Sczytanie i przypisy: Rimantas Miknys, Jan Jurkiewicz, Krzysztof Tarka
Weryfikacja: Jan Sienkiewicz

Dziennik
Rok 1920 (listopad-grudzień)
i rok 1921 (styczeń-grudzień)
Michał Römer
Wilno, 6.XI.1920
tom XXVIII

6 listopada, rok 1920, sobota
A więc dzień wyjazdu z Wilna. Błogosław mi Boże na drogę. Normalnie – droga z Wilna do Kowna to przejażdżka, dziś – podróż cała. Podróż ta tym trudniejsza, że nie wiadomo, którędy jechać i jak przez puszczę dziewiczą – trzeba dopiero torować drogę. Jadę na Suwałki, ale któż zaręczy, że można tamtędy przejechać i że nie trzeba będzie zawracać stamtąd na Warszawę, Gdańsk, Elbląg albo Kłajpedę.
Nie rozbierałem się w nocy i wstałem raniutko po ciemku jeszcze. Udałem się przede wszystkim na poszukiwanie sposobu lokomocji, aby przetransportować rzeczy z mieszkania na dworzec. Dorożek o tej porze na ulicy ani śladu. Dziś dorożkarz w mieście – to wielki pan. Nie ma się go na zawołanie, jak to kiedyś bywało. Znalazłem wreszcie wypadkowo na ulicy tragarza, który niósł akurat rzeczy jakiegoś pana z kolei z pociągu warszawskiego. Umówiłem go za 100 mk polskich i wkrótce miałem już rzeczy na dworcu. W sam czas przyszedłem, bo już ogonek zastałem przy kasie biletowej długi. Bilet wziąłem wprost do Białegostoku. Pociąg, który chodzi z Wilna do Lidy dwa razy na tydzień i stanowi jedyną łączność Wilna ze światem, był naturalnie przepełniony. Sztuką jest nie lada dostać się do wagonu, szczególnie cywilowi, który, choć zapłacił za bilety, jest na łasce tłumu bezpłatnych pasażerów – żołnierzy. Szczęściem – przyjęto mię do wagonu towarowego, zajętego przez eskortę wojskową, towarzyszącą jakimś aresztowanym żołnierzom. Oprócz mnie było tam jeszcze z kilkanaście osób cywilnych, w tej liczbie chłopów spod Bastun[1], Bieniakoń[2] i Lidy[3]. Ten lud wiejski, na którym Polacy fundują polskość tej części kraju, używa jednak między sobą mowy białoruskiej i tę samą mowę wciąż słyszałem na stacjach po drodze z ust miejscowego ludu, nie tylko chłopów, ale nawet kolejarzy. To samo obserwowałem i w samej Lidzie. W mowie tego ludu, tak jego białoruszczyźnie, jak polszczyźnie, dużo jest jednak zwrotów i akcentów lub też fonetyki litewskiej. Zdaje mi się na przykład, że litewskiego pochodzenia fonetycznego są takie dźwięki jak „w Lidzia” („w Lidzie”) lub „wilęski” („wileński”) „dworząski” („dworzański”); w pierwszym wypadku („w Lidzia”) „e” końcowe zupełnie w ten sam typowy sposób przeradza się dźwiękowo w „a” lub „ea”, jak litewskie „e” otwarte; „ę” i „ą” w wyrazach „wilęski” i „dworząski” wymawiają się przez lud tutejszy nie jak ściśle nosowe polskie „ę” i „ą”, lecz jak „ę” i „ą” litewskie, w których po odpowiedniej samogłosce „e” „a” słychać szczątkowe „n”; „wilęski” i „dworząski” w tym brzemieniu białoruskiej po polsku byłoby „wileński” „dworzański”, z ruska byłoby „wilenski”, „dworzanski” z całkowitymi dźwiękami „an”.
W wagonie zmarzłem porządnie, zanim dojechałem do Lidy. Ale oto i Lida wreszcie. Tu nowy kłopot. W Lidzie, która tytularnie należy do terytorium „Litwy Środkowej”,

1 Bastuny, wieś i stacja drogi żelaznej w powiecie lidzkim.
2 Bieniakonie, wieś w powiecie lidzkim.
3 Lida, miasto w zachodniej części Białorusi, w powiecie grodzieńskim.

stoi wojsko polskie niemaskowane i władze okupacyjne polskie. Tu dla dalszej jazdy trzeba wizować przepustki wileńskie w miejscowej „defenzywie” polskiej. Lokal tej „defenzywy” mieści się w miasteczku o parę wiorst od dworca. „Defenzywa” nie zadała sobie trudu umieszczeniu ekspozytury na dworcu ku wygodzie podróżnych. Aby udać się do „defenzywy”, trzeba gdzieś zalokować rzeczy, bo są za ciężkie, by je ze sobą do miasta dźwigać. Tymczasem na dworcu nie ma ani ubikacji dla przechowaniu rzeczy, ani tragarzy. Dworzec zalany gromadami żołnierzy, i podróżny z rzeczami, któremu trzeba śpieszyć do miastu do „defenzywy”, jest bezradny. Na szczęście, spotykam Zygmunta Nagrodzkiego juniora[4], bawiącego w Lidzie w przejeździe do Wilna. Ten okazał się na tyle uprzejmy, że mi pomógł przenieść rzeczy i zalokować je w pobliskim domku lokala kolejowego, którego znał. Wtedy pospieszyłem do miasta do „defenzywy”. Oczywiście, że musiałem się wyrzec jechania dziś z Lidy dalej, bo do odejścia pociągu na Warszawą było tylko 1 ½ godziny czasu, ale już mniejsza o to. W Lidzie w „defenzywie” nowy zawód. Od godz. 5 do 7 wieczór stałem w ogonku w „defenzywie” przed drzwiami biura „oficera inwigilacyjnego” (co za osobliwa nomenklatura!), aż gdy wreszcie zostałem dopuszczony do wnętrza, gdzie w osobie oficera „inwigilacyjnego” ujrzałem znajomego p. Kraszewskiego, brata p. Januszkiewiczowej z Łomży, dzielnego z czasów okupacji niemieckiej w Polsce peowiaka, omalże nie rozstrzelanego przez Niemców, to się okazało, że trafiłem nie do tego lokalu defenzywy, który wizuje przepustki w kierunku Wilna do Polski; jeno do tego, który wizuje je w kierunku przeciwnym. Ponieważ w każdym razie muszę już nocować w Lidzie, więc wszystko jedno. Jutro załatwię sprawę we właściwym urzędzie. Zapoznałem się w defenzywie z niejakim Kutyłowskim[5], znanym mi z widzenia, naczelnikiem taboru magistrackiego w Wilnie, który, jak ja, zbłądził i trafił do niewłaściwego lokalu defenzywy, i razem z nim i jego towarzyszem podróży, strażakiem z Wilna, zanocowałem w zajeździe żydowskim w Lidzie.

7 listopada, rok 1920, niedziela

Drugi dzień mojej podróży do Kowna. Nocleg w Lidzie wypadł bardzo dobrze. Czuję się wypoczęty. Za 25 marek polskich od osoby przenocowaliśmy z Kutyłowskim i jego towarzyszem strażakiem w zajeździe żydowskim. Dano nam mały, ale bardzo ciepły pokoik z jednym łóżkiem i jedną kuszetką. Ja zająłem kuszetkę, Kutyłowski ze strażakiem – łóżko. W osobie Kutyłowskiego miałem przyjemnego kompana. Wesoły i facetny to człowiek, rubaszny, półinteligent, z gruntu dobry i zacny. Oryginalnym trafem ma on ten sam zwyczaj, co ja, używania wyrazów „panie mój”, które stawia co kilka słów w mowę swoją. Jakoś dotąd, nie zdarzyło mi spotkać nikogo, który by konkurował ze mną pod tym względem, tak że gotów byłem przypisywać sobie monopol na „panie mój”. Teraz przekonałem się, że mam rywala.
Wstaliśmy raniutko i pierwszą rzeczą naszą było pójść do stodoły obejrzeć żywego wilka, którego przywieziono w przeddzień, o czym nas z wieczora uprzedziła gospodyni zajazdu. Był to młody piękny wilczek wiosenny, złapany przed kilku miesiącami gdzieś w lasach za Mołodecznem, a obecnie przez jakiegoś oficera polskiego, który go do Polski furmanką odsyła. Wilk leżał na wozie na łańcuchu. Swojski i miły. Pokarmiliśmy go trochę, a raczej obudziliśmy w nim apetyt kawałkiem skórki od słoniny i chlebem. Wilk zgrabnie złaził z wozu, znów się drapał na miejsce, czyniąc to zręcznie jak akrobata, przymilał się do nas, piszczał. Podobno spotkanie

4 Zygmunt Nagrodzki-junior (1884-1973), kupiec i działacz społeczno-oświatowy, członek grupy „krajowców”, w r. 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego, przyjaciel Józefa Piłsudskiego.

5 Kutyłowski – brak danych.

wilka wróży powodzenie w przedsięwzięciu. Jeżeli tak, to może mi się moja podróż do Kowna uda. Rozpoczęcie podróży wczoraj, w sobotę, ma być także znakiem dodatnim. Sobota, dzień Matki Boskiej, jest dniem szczęśliwym, dniem najlepszym do rozpoczynania podróży i w ogóle wszelkiej sprawy. Jest to dzień, w który, podług tradycji, zawsze słońce choć na chwilę musi wyjrzeć zza chmur i uśmiechem Marii opromienić ziemię; i rzeczywiście obserwacja wskazuje, że co najwyżej, nawet w naszym posępnym klimacie, zaledwie jest kilka sobót w roku, w których słońce nie zaświeci. Kto nie wierzy – niech zechce sam sprawdzić cierpliwie.
W „defenzywie" uzyskaliśmy wizy przepustek. Na mojej przepustce w wizie udzielono zezwolenia na jazdę do Suwałk. Jeszcze była jedne utrapienie – mianowicie kwestia świadectwa o szczepieniu cholery. Nikt dokładnie nie wie, czy to jest wymagane, czy nie. Jedni podróżny twierdzą, że bez takiego świadectwa jechać nie wolno, inni – że nie jest konieczne. Do ostatku trwała ta niepewność, ale wreszcie wsiedliśmy do pociągu i nikt takiego świadectwa od nas nie żądał. Ja miałem od Narkiewicza[6] na zapas świadectwo o szczepieniu cholery, ale nie było na nim pieczątki, więc wartość jego była wątpliwa.
Jazda z Lidy do Wołkowyska[7] wobec wczorajszej była wspaniała. Jechaliśmy w wagonie osobowym III klasy i nie było tłoku. Choć do Mostów[8] na Niemnie jedzie się przez terytorium, które „Litwa Środkowa" uznaje za swoje, ale okupacja polska starła tu zupełnie wszelkie cechy pozorne Litwy. Już w Lidzie wszystko, co jest urzędowe, jest tylko polskie bez żadnej maski „środkowo-litewskiej". W wagonie do Wołkowyska jechaliśmy ja, Kutyłowski „panie mój", jego strażak, p. Pieślakowa[9] młoda z Wilna i jeszcze jakaś pani z Wilna. O godz. 9 wieczorem pociąg stanął w Wołkowysku. Wysiadłem. Pociąg na Białystok, idący przez Wołkowysk z Baranowicz[10], który miał już być na stacji, później się. Dworzec w Wołkowysku był zapchany tłumami żołnierzy. Takie masy wojska są w ruchu, że podróżowanie kolejami na terenach, zajętych przez Polaków, jest dla osób cywilnych prawdziwym nieszczęściem, szczególnie dla biednych Żydów, którzy są prawdziwymi męczennikami w Polsce, przedmiotem ciągłych grubiańskich żartów, szykan, a nawet rabunku ze strony żołnierzy polskich. Żyd, który podróżuje koleją w Polsce – to śmiałek nie lada. Toteż chyba tylko mus ostateczny pcha Żyda na tę drogę. Coś dziwnego, że w tych warunkach nie może się nawiązać handel, wymiana towarów itp. Po tych leciech wojny soldateska jest tak rozzuchwalona i tak nic sobie z „cywila", a szczególnie z Żyda nie robi, uważając tylko siebie – wojsko – za jakiś lud wybrany, któremu wszystko wolno i któremu wszystko służyć bez zastrzeżeń powinno, że nikt i nic przeciwstawić się temu rozwydrzeniu obyczajów i samowoli nie jest w stanie. Biedni Żydzi, których los zmusza do podróżowania, usuwają się w wagonach i na dworcach w najgłębszy cień albo też starają się podszyć się pod podróżnych chrześcijan o tyle poważnych i statecznych, żeby mogli im służyć za rodzaj parawanu. Usiłują w powadze towarzysza podróży chrześcijanina znaleźć osłonę swego nieszczęsnego żydostwa, które jest ich przekleństwem w podróży. Takiego też i ja miałem w Wołkowysku Żydka, który się przyczepił do mnie i szukał we mnie protekcji. Strzegł on rzeczy moich, pomagał mi je dźwigać itp., bylem mu tylko pozwolił trzymać się ze mną w drodze, bo czuł, że sam mój wygląd będzie działać na wybryki soldateski

6 Narkiewicz, lekarz wileński.

7 Wołkowysk (Waukawysk), miasto na Białorusi w powiecie grodzieńskim nad Rosią (dopływ Niemna). Od 1919 r. w Polsce, siedziba powiatu.

8 Mosty, miasteczko na lewym brzegu Niemna, powyższej ujścia Szczary w powiecie grodzieńskim.

9 P. Pieślakowa – brak danych.

10 Baranowicze (Baranowiczy), miasto w zachodniej części Białorusi w powiecie brzeskim. Duży węzeł kolejowy.

poskramiająco. Byliśmy też świadkami hecy w style antysemickim, urządzonej na dworcu wołkowyskim przez kilku pijanych żołnierzy, który umyślnie wyszukiwali po kątach Żydów, przedrzeźniali ich, urządzali hałaśliwe widowisko z nieszczęsnych ofiar ku uciesze zgrai łobuzów żołnierskich, stanowiących galerię dla ekscesów pijackich tych kilku śmieszków.
Ku honorowi naszych Litwinów muszę też zaznaczyć, że żołnierze litewscy nigdy sobie w podróżach na takie burdy i hece antysemickie nie pozwalają. Obyczajność żołnierzy litewskich jest w takim stosunku do obyczajności żołnierzy polskich jak niebo do ziemi.

8 listopada, rok 1920, poniedziałek
Dopiero nad ranem, o jakiejś godz. 4, wyjechaliśmy z Wołkowyska na Białystok[11]. Aby się dostać do pociągu, trzeba było wywiedzieć się psim swędem, że pociąg z Baranowicz już przyszedł, ale zatrzymany został opodal od stacji, gdzie też stoi na torze zapasowym. Stopniowo, w miarę jak wieść szerzyła się wśród podróżnych, wyczekujących pociągu na dworcu, ten i ów zabierał po cichu swoje manatki i wymykał się torem w wiadomym mu kierunku, by wyszukać pociąg i zająć w nim zawczasu miejsce. Dzięki memu Żydowi dowiedziałem się i ja w porę o pociągu i ruszyłem z nim po miejsce. Blisko o ½ wiorsty od dworca zostaliśmy nasz pociąg, a upewniwszy się, że to pociąg białostocki, wpakowaliśmy się do jednego z wagonów towarowych, gdzie już było kilku Żydków i jakaś legionistka. Wkrótce i żołnierze z dworca napływać gromadnie zaczęli i niebawem zarówno nasz wagon, jak cały pociąg – były pełne. Gdy pociąg podano pod peron dworca, już miejsce w nim nie było.
Niepodobna uniknąć tłumów żołnierzy w pociągach na terytorium polskim. We wszystkich bez wyjątku kierunkach jadą ich stada całe. A sprawa tym się jeszcze pogarsza, że na całym terenie polskim ograniczono na dni 10 ruch osobowy na kolejach w ten sposób, że na każdej linii idzie dziennie tylko po jednym pociągu. Kto w tych czasach nie jeździł, temu trudno wyobrazić, co się w pociągach i na dworcach dzieje i jaką męką jest teraz podróżowanie. Gorsze przepełnienie widziałem tylko raz w życiu, mianowicie w listopadzie 1918, gdym jechał z Białegostoku do Wilna i gdy dziesiątki tysięcy jeńców ciągnęły z Niemiec i Austrii do Rosji.
Nasz wagon towarowy był zapchany żołnierzami. Dominującą grupę stanowił oddział jakichś taborytów czy prowiantowców, którzy ze swym porucznikiem i gromadą worów z prowiantem zajęli połowę wagonu. Wory złożyli na ziemię i całą ławą legli na nich, tworząc mieszaninę ciał, leżących i wzdłuż i w poprzek i jedne na drugich, tak że niepodobna było rozpoznać członki, bo gdzieś spod nogi raptem wyrastała głowa, gdzie indziej sterczały bezładnie ręce itd. Większość się pospała, tylko dwóch przez noc całą drogę zabawiało bezpłatnie cały wagon, nie przestając śpiewać, sypać anegdotami, powiastkami, konceptami, zachowują się hałaśliwie i przeważnie w języku ukraińskim, a częściowo rosyjskim. Był tam dowcip, było wyuzdanie sprośne, ale wszystko to wesoło, bez złośliwości, bez szykan względem kogokolwiek. Wśród garstki publiczności cywilnej były dwie młode i dość przystojne Żydóweczki. Wnet śmieszkowie wagonowi zabrali się do nich i rozpoczęło się widowisko zalotów żartobliwych, nieraz sprośnych, budzących śmiech w wagonie. Jedna z Żydóweczek broniła się i odcinała dzielnie, umiejąc nawet zdobyć przewagę nad zalotnikami; druga nie wytrzymała ataków i rychło z wagonu uciekła. Żydóweczka, która się ostała, choć męczona, ściskana za nóżki, pieczona żartami i słówkami, dotrzymała placu i zwyciężyła, bo chłodem swoim i taktem obudziła w końcu w zmęczonej atmosferze niewyspanego ranka iskrę tęsknego sentymentu w jednym z zalotników, który wreszcie

11 Białystok, miasto na zachodnim skraju Wysoczyzny Białostockiej nad Białą, lewym dopływem Supraśli.

zaczął uderzać w nuty rzewne, gdy ona, dumna i chłodna, poprzez pozory obojętności w tonie swoim zdradzała już potem uciechę zwycięstwa i zapanowania nad mężczyzną. Coś, jak tchnienie wieczystej miłości wyrosło rano niespodzianie z tej hałaśliwej nocy w wagonie. Był to kontrast barwny, pełny subtelnego efektu. Zaloty, choć rubaszne, a nawet sprośne, nigdy nie budzą tego niesmaku, co hece humoru w Polsce. Bo zaloty między młodymi są zawsze czymś naturalnym, co bez względu na formę odrażającym nigdy nie jest.
Dopiero o południu dojechaliśmy do Białegostoku. Tu nowy kłopot na dworcu: co robić z rzeczami? Miejsca do przechowania rzeczy nie ma, ani tragarze, ani w bufecie nie chcą brać do przechowania rzeczy. Musiałem zanieść do hoteliku naprzeciwko dworca i wziąć numer specjalnie dla zalokowania rzeczy. Okazało się, że dla dalszej jazdy do Suwałk moja przepustka wileńska z wizą lidzką nie jest wystarczająca i że trzeba wystarać się z Białegostoku o nową przepustkę. Dało się to jednak szybko zrobić. Udałem się do starostwa, gdzie wnet przepustkę uzyskałem, stamtąd do defenzywy, gdzie dokonano wizy przepustki. Zaniepokojony jestem co do dalszej drogi, bo mówiono na dworcu, że po dojechaniu do Łosośny (ostatnia stacja przed Grodnem jadąc z Białegostoku, bo do Grodna pociągi nie dochodzą ze względu na zniszczony most na Niemnie i na Suwałki trzeba się przesiadać w Łosośnie – jest z Łosośny do Suwałk tylko jeden pociąg osobowy, tzw. stopowy, raz na tydzień i że właśnie odchodzi on z Łosośny w nocy z poniedziałku na wtorek; a ponieważ z Białegostoku na Łosośnę mógłbym wyjechać tylko o godz. 4 po północy, więc już na pociąg suwalski trafić bym nie mógł – aż za tydzień. Poza tym, pociągiem etapowym chodzą z Łosośny na Suwalki tylko pociągi z transportami wojennymi, na które tylko w drodze łaski można się dla przejazdu dostać. Jeżeli to prawda – to nie mam perspektyw.

9 listopada, rok 1920, wtorek.
Czwarty dzień podróży z Wilna do Kowna.
W Białymstoku zanocowałem, bo jeżeli by prawdą było, co słyszałem wczoraj, że na tygodniowy pociąg z Łosośny do Suwałk już się spóźniłem, to nie było po co spieszyć, a chciałem zarówno wypocząć, jak zobaczyć się ze znajomymi w Białymstoku i zasięgnąć od nich wieści o Łomży. Łomża, odkąd spędziłem w niej dwa lata w sądzie, ma dla mnie urok wspomnień, które wypadkowa obecność w Białymstoku obudziła szczególnie żywo. Gdyby nie nadzwyczajne trudności podróży w obecnych czasach i nie obawa o wyczerpanie gotówki, którą mieć muszę na zapas, bo nie wiadomo jeszcze, czy uda mi się z Suwałk wyjechać wprost na Kowno i czy nie będę jeszcze zmuszony zwracać stamtąd na Warszawę i tak dalej, to bym sobie z radością pozwolił stąd na umyślną wycieczkę do Łomży. Cóż by to była za radość odwiedzić moją kancelarię wydziału odwoławczego karnego w sądzie, moje dziewczynki przywiązane, spotkać się z Lusią[12], pogawędzić z kolegami sędziami, wreszcie nawet przejść się po ulicach Łomży! Na to sobie pozwolić jednak nie mogłem, więc chciałem przynajmniej tu się zobaczyć z ludźmi, który mię z Łomżą łączą. Jakże nie skorzystać z takiej okazji przypadkowej, która nieprędko się może powtórzy. Wiedziałem, że jest tu w Białymstoku notariuszem Bolesław Urbanowicz[13], były nasz prokurator łomżyński, jest sekretarzem Sądu Okręgowego Podbielski[14], b. podsekretarz w wydziale cywilnym

12 Lusia Roszkowska, przyjaciółka Michała Römera z czasów jego pracy w Łomży.

13 Bolesław Urbanowicz, notariusz w Białymstoku, były prokurator łomżyński.

14 Podbielski, sekretarz Białostockiego Sądu Okręgowego.

sądu w Łomży, są sędziami okręgowymi Święcicki[15], b. sędzia pokoju i mój następca w Kolnie Lipko[16], b. podprokurator z Łomży. Lipkę jednak i Święcickiego nie zastałem w Białymstoku. Podczas inwazji bolszewickiej na Białystok wyjechali oni stąd i wstąpili w charakterze ochotników do wojska polskiego, skąd jeszcze nie wrócili. Natomiast Urbanowicza i Podbielskiego zastałem. Urbanowicz sam niewiele wiedział o Łomży, ale za to Podbielski, u którego zanocowałem, dużo i szczegółowo mi opowiadał o Łomży i Łomżyniakach. Okazuje się, że w czasie inwazji bolszewików do Łomży większa część ludności, a nawet inteligencji i w tej liczbie cały personel pracowników kancelaryjnych sądowych w Łomży był na miejscu, to znaczy z Łomży nie uciekał, choć oczywiście nie funkcjonował w sądzie. Prezes Filochowski[17] jednak, prawie wszyscy sędziowie, oprócz Łubieńskiego[18] i Piwkowskiego[19], prokuratora, sędziowie śledczy – uciekli. Wielu młodszych wstąpiło do wojska. Między innymi zabity został na wojnie, jako żołnierz, sędzia śledczy Tadeusz Wajcht[20]. Przed wkroczeniem bolszewików do Łomży przez jakiś tydzień toczyły się gorące bitwy na linii fortów łomżyńskich. Panie łomżyńskie niezmiernie gorliwie opiekowały się i wspomagały żołnierzy, broniących miasta przed bolszewikami. Inwazja bolszewicka trwała w Łomży trzy tygodnie. Zbyt wielkich gwałtów w samym mieście bolszewicy nie czynili. Niektóre jednak mieszkania tych, co uciekli, zostały przez bolszewików ogołocone (np. mieszkanie prezesa Filochowskiego; częściowo sędziego Skarzyńskiego). Kilka osób z miejscowej inteligencji łomżyńskiej z obozu radykalnego, jak adwokat Lachowicz[21], p. Januszkiewiczowa[22], Stolnicki[23], Szwejcer[24], brało po trochę udział w działalności bolszewickiego rewkomu w Łomży, chociaż udział ten był w istocie nieszczery i zmierzał do paraliżowania antynarodowej i antyspołecznej działalności tej instytucji. Jednak potem prawica zaatakowała gwałtownie tych, co wzięli w tym udział. W szczególności ucierpiał z tego powodu Lachowicz, którego koledzy adwokaci zbojkotowali i który prawdopodobnie zostanie wyrzucony z adwokatury.
Napisałem z Białegostoku do Lusi Roszkowskiej[25] i do prezesa Filochowskiego. W ogóle przez te dwa dni pobytu w Białymstoku czułem się trochę owiany atmosferą łomżyńską. Na ulicach spotykałem chłopów tego samego typu, ubioru, co pod Łomżą, może i z Łomżyńskiego nawet, boć terytorium b. guberni łomżyńskiej podchodzi bliziutko pod Białystok. Budziło to we mnie uczucie czegoś bliskiego, budziło sentyment polski, który przecie drzemie zawsze we mnie, mimo mój patriotyzm litewski. Kocham jednak tę Polską, której tyle, niestety, mam do zarzucenia w jej stosunku do Litwy, kocham i mam jakąś specjalną cząstkę serca, która jest polskością przepojona i nią tętniąca. Ten przejazd przez Białystok był dla mnie jakby jakąś kąpielą polską. Na dworcu też w Białymstoku widziałem kilka osób, które mi były dobrze z Łomży z widzenia znane; ich widok był mi teraz miły, jak widok czegoś bardzo

15 Swięcicki, sędzia Białostockiego Sądu Okręgowego, były podsekretarz w wydziale cywilnym sądu w Łomży, były sędzia pokoju w Kolnie

16 Lipko, podprokurator z Łomży.

17 Filochowski, prezes Sądu Łomżyńskiego.

18 Łubieński, sędzia Sądu Łomżyńskiego.

19 Piwkowski, sędzia Sądu Łomżyńskiego.

20 Tadeusz Wajcht, sędzia śledczy Sądu Łomżyńskiego.

21 Lachowicz, adwokat z Łomży.

22 Januszkiewiczowa – brak danych.

23 Stolnicki – brak danych.

24 Szwejcer – brak danych.

25 Lusia Roszkowska.

bliskiego. Mam naturę, przywiązującą się głęboko i serdecznie, w której wspomnienia wypełniają dużą część życia.
Samo miasto Białystok jest przeważnie żydowskie, a Żydzi tu mają cechy Żydów litewskich z językiem rosyjskim. Białystok więcej jest żydowskim, niż nawet Wilno. Ale za to ludność chrześcijańska w Białymstoku jest wybitnie polska, prawie równie czysto polska, co w Łomży. Ruch uliczny w Białymstoku – ogromny. Po opustoszałym Wilnie ruch ten wielkomiejski szczególnie się rzuca w oczy.
Próbowałem też odwiedzić mojego starego przyjaciela Feliksa Filipowicza[26], z którym kiedyś w r. 1907 żyłem w wielkiej i serdecznej przyjaźni na emigracji w Krakowie. Jest on tu aptekarzem i bardzo ruchliwym i popularnym działaczem społecznym w Białymstoku, bodaj że najpopularniejszą postacią w mieście. Jest on obecnie prezesem Białostockiej Rady Miejskiej. Nie zostałem go jednak, niestety, w domu.
Od godz. 2 po południu zasiadłem już z rzeczami na dworcu. Musiałem tu przesiedzieć większą część dnia, wieczór i znaczną część nocy, bo pociąg na Łosośną[27] odchodził dopiero o godz. 4 po północy. Oczywiście i tu zgromadziły się pod wieczór nie mniejsze tłumy żołnierzy, oczekujących pociągów, jak w Wołkowysku lub Lidzie. Ale za to dowiedziałem się rzeczy przyjemnej: że od dziś zaczynają chodzić pociągi bezpośredniej komunikacji Warszawa-Suwałki przez Białystok-Łosośnę. Wszelkie moje frasunki wczorajsze upadają. W Łosośnie wcale nawet przesiadać nie trzeba będzie. Sobota i wilk, pod których znakiem rozpocząłem tę podróż, nie zawiodły dotąd pokładanych w nich nadziei.

10 listopada, rok 1920, środa
Przy wyjeździe w nocy z Białegostoku spotkała mię przygoda która mię bardzo obeszła. Zostałem okradziony. Gdyby tylko skradziono mi pieniądze, byłaby to rzecz mniejsza. Pieniądze dziś są, jutro ich nie ma i odwrotnie. Ale skradziono mi to, co mi było spośród rzeczy moich najdroższe: mój stary zegarek złoty, pamiątka po moim kochanym świętej pamięci przyjacielu z lat szkolnych z Petersburgu, Piotrze Szymkowiczu[28]. Cała podróż i cały mój powrót do Kowna mniej warte, niż ta jedna rzecz pamiątkowa. Przywiązuję się do ludzi, przywiązuję się do wspomnień, ale nie mniej przywiązuję się do rzeczy moich, a niektóre z moich rzeczy osobistych są mi droższe od wielu przyjaciół. Do takich rzeczy najdroższych, najukochańszych przeze mnie należał ten zegarek. Nie chodzi mi tak o jego wartość materialną, która sama przez się także była wybitna, bo zegarek był złoty, doskonalej firmy genewskiej „Mermod fils", chronometr na 30 rubinach, ponadto repetier, wydzwaniający bardzo melodyjnym dźwiękiem za pociągnięciem sprężynki – godziny, kwadranse i minuty, i z zegarkiem łańcuszek złoty masywny, ładnego kształtu, a u łańcuszka pęczek breloków, z których każdy stanowił samodzielną pamiątką, ale chodzi mi nade wszystko o wartość osobistą rzeczy pamiątkowej, rzeczy, która nie tylko była mi pamiątką po dawno zmarłym przyjacielu, ale do której już przywykłem i która stała się jakby cząstką mnie samego. Ten zegarek miałem od lat 29, od roku 1897. Cała młodość moja z nim się zrosła. Mój kolega i przyjaciel szkolny Szymkowicz, odbierając sobie w jesieni r.1897 życie przez oczadzenie, w liście do ojca swego, biskupa prawosławnego, zapisał zegarek ten mnie, prosząc jednocześnie mnie, bym go nosił stale. Spełniałem dotychczas wolę zmarłego, a

26 Feliks Filipowicz,

27 Łosośna, stacja kolejowa na brzegu Łosośną, rzeki wpadającą do Niemna. Jest oddalona od Grodna o 15 km, od Sokółki 22 km i od Kuźnicy 5 km.

28 Piotr Szymkowicz, przyjaciel M. Römera z lat szkolnych (1892-1901) w Cesarskiej Szkole Prawa w Petersburgu. Był synem biskupa prawosławnego. W 1897 r. popełnił samobójstwo.

oto dziś w tym przeklętym Białymstoku, słynnym z kradzieży na dworcu, skradziono mi go. Skradziono w chwili, gdym nie mogłem upilnować zegarka. Obejrzałem się, że nie ma zegarka, dopiero wtedy, gdym już siedział w wagonie i gdy pociąg ruszył. Jestem nawet pewny, że wiem, kto mi, kiedy i w którym miejscu go ukradł. Uczyniło ta kobieta niskiego wzrostu i średniego wieku, Żydówka ubrana w paltocik jasnożółty; gdym w ciasnym miejscu przesuwał się w szeregu podróżnych na peron, ona nagle zawróciła w przeciwnym kierunku i niby usiłowała się przecisnąć wstecz; umyślnie wtłoczyła się na mnie, by mi zegarek wyciągnąć; oprócz tego, z drugiej kieszonki kamizelki ukradła około 700 mk polskich, ale to głupstwo wobec zegarka. Z Suwałk zawiadomię policję białostocką o tej kradzieży, ale nie mam zgoła żadnej nadziei, by się zguba znalazła. Jeżeli szczęśliwe znamiona soboty i wilka, które świeciły mojej podróży, miały tylko zapewnić osiągnięcie celu podróży, a nie mogły mię ustrzec od tak dotkliwej straty, to niewiele są one warte, byle tylko nie urzec w złą godzinę.
Ha, cóż robić! Pan Bóg dał – Pan Bóg wziął. Niech się stanie wola Jego.
Pod przykrym wrażeniem tej straty jechałem z Białegostoku do Suwałk[29]. Siedziałem w wagonie osobowym IV klasy. Pociąg aż do Łosośny, a właściwie do Grodna był przepełniony, jak zwykle. Z Łosośny pociąg podszedł aż do brzegu Niemna pod Grodnem, gdzie mostu na drugą stroną rzeki nie ma. Smutny tu widok. Całe przedmieście Grodna po lewej stronie Niemna spalone i zniszczone doszczętnie. Kiedyż się to dzieło wojny skończy!! W Grodnie cała niemal publiczność wysiadła. Stamtąd przez Augustów do Suwałk pusto było w pociągu. W Suwałkach nająłem małą dziewczyneczkę, Mazureczkę, do przeniesienia rzeczy moich do miasta. Stanąłem w zajeździe Mroczkowskiego, żydowskim, przy ul. dra Noniewicza.
Tegoż dnia jeszcze odwiedziłem notariusza Jana Kassakaitisa[30] i Kulwiecia[31], urzędnika skarbowego w Suwałkach, znajomego mi z Łomży, gdzie był on aplikantem sądowym w początku roku 1919. Obaj czynią mi nadzieję, że przepustkę na przekroczenie linii demarkacyjnej uda się wyrobić, mimo że obecnie nie jest łatwo o to.

11 listopada, rok 1920 czwartek
Rano z Janem Kassakaitisem udałem się do prezesa Sądu Okręgowego w Suwałkach, p. Bomana,[32] dla uzyskania pomocy w staraniach o przepustkę przez linię demarkacyjną. Bomana osobiście dotąd nie znałem, ale jako znanego w Suwałkach przed wojną adwokata i działacza społecznego, znałem go ze słyszenia dobrze. A ponieważ Suwałki są miastem kresowym, gdzie się zaczyna przejście od Litwy do Polski i były przed wojną stolicą guberni z większością litewską, więc stosunki Suwałk z Wilnem były zawsze dość żywe i analogie w warunkach pod wielu względami wielkie, a stąd i Boman znał mię dobrze ze słyszenia o mojej działalności wileńskiej. Poza tym i przez sąsiedztwo z Łomżą wiedział on później o mnie jako o sędzim okręgowym w Łomży. To ułatwiło obecnie zajęcie się jego moją sprawą. Zresztą list polecający Witolda Abramowicza, który mu okazałem, tym bardziej go skłonił do okazania pomocy. Po rozmowie z Bomanem poczciwy Kassakaitis, który mi bardzo szczerze do otrzymania przepustki pomagał, udał się do wydziału „defenzywy" i wyrobił tam obietnicę przepustki dla mnie na zasadzie poufnego zaświadczenia prezesa sądu Bomana i

29 Suwałki, miasto na Równinie Augustowskiej nad Czarną Hańczą.

30 Jonas Kasakaitis (Jan Kassakaitis,?-?), prawnik, działacz ruchu odrodzenia litewskiego. Członek stowarzyszenia grupy litewskich studentów w Warszawie „Lietuva", która rozpoczęła wydawanie pisma „Varpas".

31 Kulwieć – bliższych danych brak.

32 Boman, prezes Sądu Okręgowego w Suwałkach (1920 r.).

prokuratora Naumowicza[33] o tym, że mię znają osobiście i że wyjazd mój do Litwy żadnego niebezpieczeństwa dla Państwa Polskiego nie przedstawia. Okazało się, że od pewnego czasu wydawanie przepustek na przekroczenie linii demarkacyjnej litewskiej w zasadzie zostało zupełnie wstrzymane, nawet dla obywateli Litwy, powracających przez Polskę do kraju. Tylko w drodze nadzwyczajnego wyjątku, dzięki specjalnemu poparciu dygnitarzy suwalskich, przepustkę mnie wydano. Nie otrzymałem jej jeszcze do rąk, ale mam już zapewnioną. Chwała Bogu!
Może jutro będę już mógł wyjechać w dalszą podróż – obecnie już końmi. Poza staraniem o przepustkę, w czym więcej był czynny Kassakaitis, niż ja, spędziłem czas w Suwałkach na próżniactwie. Suwałki okazały się miastem niesłychanie tanim na te czasy. Wobec cen nie tylko wileńskich, ale nawet białostockich, warszawskich, a także kowieńskich, wobec znikomej wartości towarowej marek polskich ceny są tu niskie ponad wszelką miarę. Obiad kosztuje tu 24 marki polskie w restauracji (w Białymstoku-50 mk.p., w Wilnie, gdzie cena obiadów restauracyjnych została zafiksowana przymusowo – 45 mk.p., w Kownie – 10, a już najniżej 8 ost-marek, co w stosunku do kursu 5, a nawet 5.50 marek polskich za 1 ost-markę wynosi od 40 do 50 i 55 mk.p., obiad zaś w pierwszorzędnej restauracji w Suwałkach w przekładzie na ost- marki wyniesie niecałych 5 ost-marek); duża bomba piwa w restauracji – 8 mk.pol. (w Kownie – 4 ost-mk., w Warszawie – 20 mk.p.), masło w Suwałkach – do 100 mk.p. za funt (w Wilnie cena funta masła na rynku waha się od 160 i 180 do 200 i 230 mk.p.), funt chleba razowego – 9 mk.p. (w Białymstoku – 16 mk.p., w Wilnie w chwili wyjazdu mego – 17 mk.p., a bywało już i po 20 mk.p.). Kto ma żyć z gotówki – temu tylko do Suwałk przyjechać i tu zamieszkać. Ta obfitość i taniość produktów w Suwałkach tłumaczy się ich położeniem na uboczu; nie dotknęła Suwałk fala inwazji bolszewickiej na Polskę, nie było tu żadnego zniszczenia plonów, żadnego rabunku wojennego, a rządy litewskie w Suwałkach przez czas inwazji bolszewickiej w Polsce pod względem aprowizacyjnym nie mogły krajowi zaszkodzić, bo Litwini mają sami dostatek u siebie i nie potrzebują ogałacać nikogo. Ten głuchy suwalski zakątek na uboczu wyszedł przeto z ostatniej zawieruchy materialnie nietknięty. A brak komunikacji kolejowej regularnej Suwałk z resztą Polski ustrzegł je od emigracji produktów. Za to ustanowienie teraz regularnej bezpośredniej komunikacji z Warszawą rychło zapewne zniweluje tu ceny na rzecz powszechnego w Polsce szablonu drożyzny. Charakterystyczne jest dla czasów obecnych, że sprawa drożyzny zazwyczaj kojarzy się z łatwością zarobków; przeważnie jest tak, że im większe gdzieś drożyzna, tym większy ruch i większa przeto łatwość zarobków; i odwrotnie – obfitość i taniość produktów łączy się z zastojem i brakiem zarobków; toteż nieraz obfitość i taniość nie jest dla mas ludności lżejsza, niż drożyzna przy wielkim ruchu zarobków. W Wilnie za czasów okupacji polskiej drożyzna była wielka i rosła ciągle, ale towarzyszył jej ruch ogromny, co czyniło, że masy były zadowolone i głodu nie było; za rządów litewskich w Wilnie było tanio, ale nie było ruchu, odczuwało się wielkie bezrobocie i masy nie były zadowolone. Podobne zjawisko jest w Suwałkach. Masy wolą, aby ceny podrożały, byle ruch był większy. Ale dopiero gdy równowaga ta między wzrostem drożyzny i równoległym wzrostem ruchu zostaje zakłócona – zaczyna wyzierać groźne widmo głodu, jak właśnie jest obecnie w Wilnie, gdzie drożyzna z dnia na dzień rośnie, a zastój trwa dalej, ruchu nie ma i bezrobocie zatacza kręgi coraz szersze.
Wieczorem Kassakaitis zaprosił mię do siebie na tradycyjną gęś św. Marcina. Była kolacja z wódką, gęsią i innymi mięsiwami. Oprócz gospodarzy, było z kilkanaście osób gości, panów i pań, z krwi i kości sędziwym patriarchą suwalskim, popularnym dr

33 Naumowicz, prokurator w Suwałkach (1920 r.)

Noniewiczem[34] na czele. Dr Noniewicz jest tym w Suwałkach, czym był niegdyś dr Chałubiński[35] w całej Polsce a dr Botkin[36] w Rosji. Jest lekarzem i działaczem społecznym, który się zrósł z Suwałkami i który imię swoje połączył z każdą inicjatywą publiczną, z każdą myślą zacną o dobro ludności i o rozwój miasta. Wdzięczni Suwalszczanie za życia uczcili go przez nazwanie jednej z ulic jego imieniem. Dowiedziałem się od dr Noniewicza, że urodził się on w naszym Römerowskim Antonoszu, gdzie ojciec jego był długoletnim plenipotentem dziada Edwarda Römera[37], przebywającego wówczas na zesłaniu w Wołogdzie[38]. Potem, będąc małym dzieckiem, dr Noniewicz wyjechał z rodzicami z Antonosza do również Römerowskich Dowgirdziszek w pow. trockim, które należały wtedy do dziada Seweryna Römera[39].

12 listopada, rok 1920, piątek
Słówko jeszcze o notariuszu Kassakaitise. Jest to jeden z nielicznych Litwinów, i to nie tylko Litwinów z urodzenia, ale też z uczucia, ze świadomości, z przekonania, którzy pozostali dziś w Polsce i na służbie państwowej polskiej. Jest to tym rzadsze, że Kassakaitis nie należy do liczby ludzi obojętnych, karierowiczów, ludzi nie ducha, lecz wyłącznie materii. Jana Kassakaitisa w ostatnich latach spotykałem kilkakrotnie, przejeżdżając przez Suwałki, i za każdym razem rozmawiałem z nim dłużej. Bo jest to człowiek, z którym można rozmawiać serdecznie i z którym rozmawianie nie jest szablonem jałowym, wywołującym znudzenie. Jest to dusza wrażliwa, subtelna, natura szlachetna i czysta, która czuje rzetelnie i głęboko. Jest to charakter Litwina z najlepszego typu tej rasy, pełnego stateczności wewnętrznej, graniczącej z uporem, jednolitego bez skazy i zarazem niezmiernie wrażliwego. Że to Suwałki są położone na pograniczu polsko-litewskim, więc jest w nich jeszcze kilku Litwinów: jest sędzia okręgowy Rekłajtis,[40] ale ten jest bardzo spolonizowany, jest nauczyciel Kubilius[41], są inni. Ale nie wiem, czy który z nich jest tak czysty, rasowy i charakterystyczny, szczery z krwi i kości Litwin, jak Kassakaitis. Jan Kassakaitis należy do pokolenia Wincentego Kudirki,[42] jest jednym z tej garstki młodych orląt litewskiej studenckiej kolonii warszawskiej z 80-tych lat ubiegłego wieku, z których łona z Kudirką na czele począł się „Varpas"[43] i poczęła się niegdyś demokracja litewska, z której dalej w drodze różnych ewolucji rozwinęła się cała lewica narodowa litewska ze skrzydłami socjal-demokratów, ludowców, inteligencji radykalnej świeckiej itd. Czymże wytłumaczyć, że

34 Noniewicz, lekarz w Suwałkach.

35 Tytus Chałubiński (1820-1829), lekarz i przyrodnik. 1881 r. współzałożyciel i pierwszy przewodniczący Kasy im. Mianowskiego, rozpropagował wartości lecznicze Zakopanego i jego walory turystyczne, inicjator klimatycznego leczenia gruźlicy w Polsce.

36 Siergiej Botkin (1832-1889), internista rosyjski. Od 1861 r. profesor Akademii Medyko-Chirurgicznej, jeden z prekursorów kierunku fizjologii w medycynie klinicznej.

37 Edward Mateusz Römer (1848-1900).

38 Wołogda, miasto na obwodowe w Rosji nad rzeką Wołogda, dorzeczu Dwiny. W latach 1918-1920 – baza bolszewików w walce z białą gwardią.

39 Seweryn Justyn Römer (1814-1890).

40Pranas Rėklaitis (Rekłajtis, 1883-?), prawnik. Od 1919 r. pracował w sądach rosyjskich w Suwałkach, Augustowie, w Grodnie. Od 1919 r. w polskich sądach (Suwałki, Łomża, Grodno, Gniezno).

41 Kubilius – bliższych danych brak.

42 Vincas Kudirka (1858-1899), lekarz, czołowy działacz litewskiego odrodzenia narodowego, redaktor demokratycznego pisma „Varpas" („Dzwon"), pisarz, autor słów litewskiego hymnu narodowego.

43 „Varpas", pismo wydawane w latach 1889-1905 poza granicami Imperium Rosyjskiego, w Tylży i Regnecie. Cel pisma – obrona litewskości, wychowanie świadomości narodowej.

ten człowiek, który nie tylko pozostał Litwinem, ale jest patriotą, czującym zawsze gorąco, pozostał w Polsce i na służbie polskiej państwowej dziś, w chwili takiego zabagnienia litewsko-polskich stosunków, gdy na wszystkich punktach młoda narodowa państwowość litewska jest w najjaskrawszym zatargu z powstałym państwem polskim? Pierwszym sekretem rozwiązania tej zagadki jest Kassakaitisa żona: Kassakaitis żonaty z Polką; drugi sekret tkwi w uporczywej, *quand même*[44] szlachetnej, a tak dziś już wśród Litwinów rzadkiej wierze Kassakaitisa w braterstwo, a przeto i w pojednanie z Polakami. Ale głównym gwoździem, który przykuwa tego Litwina do Polski, jest żona Polka. Toteż życie tego człowieka jest głębokim dramatem rozłamu wewnętrznego między sercem i czuciem Litwina a żywotem fizycznym, uwiązanym do Polski. Ten dramat wyziera co chwila ze słów i duszy Kassakaitisa. Bolesny też jest nieraz ten widok człowieka o duszy jednolitej, jak bryła rasy litewskiej i życiu rozdwojonym na falach fatalnego rozbratu polsko-litewskiego. Ten człowiek usiłuje się łudzić i kojarzyć sobą to, co się żywiołowo rozpada i przeciwstawia sobie. Zaiste jest w tym trochę wspólnego u Kassakaitisa ze mną, tylko u niego bardziej jaskrawe i bolesne. W środowisku Polaków usiłuje on mówić językiem polsko-litewskim Adama Mickiewicza, językiem, któremu żywa współczesność faktów przeczy i dla którego jego towarzysze Polacy żadnego zrozumienia nie mają. Odwołuje się on do tradycji litewskiej, do cnoty litewskiej, do tych źródeł miłości, które w sercach dawnych Polaków i Litwinów były żywe i gorące, lecz dziś wyschły i zrozumienia nie budzę i boleśnie jest widzieć, jak próżne są te wołania na puszczy człowieka, jak ci, co z nim żyją, tę jego miłość litewską traktują z pewną pobłażliwością, jak niewinne dziwactwo poczciwego człowieka, dziwactwo nieszkodliwe, ale próżne. I co najboleśniejsze, że sam Kassakaitis ma jednak instynkt swojego dramatu, choć go widocznie przed własną świadomością tai. A życie tymczasem nieubłaganie robi swoje. Syn tego Litwina patrioty jest już tylko Polakiem, który tylko przez ustępstwo dla ojca pamięta jeszcze szczątkowo resztki mowy litewskiej. Wreszcie Kassakaitis przyznaje, że jeżeli Wilno zostanie odebrane Litwie, on porzuci Polskę i przejdzie na służbę do Litwy, dokąd go od dawna rodacy wzywają. A gdyby Wilno miało być litewskie, marzy o zamieszkaniu i o służbie publicznej w Wilnie. Z wielkim bólem i wielką prawdą opowiadał mi on o błędach Litwinów w krótkim czasie ich rządów lipcowych i sierpniowych w Suwałkach. Bo jak Polacy, okupując Wilna, stopniowo je anektowali *de facto*, tak samo Litwini, wszedłszy do Suwałk nie utrzymali się w roli neutralnych opiekunów ludności, lecz zaczęli kraj stopniowo zarządem swym anektować, niszcząc organizacją samorządną obywatelską w postaci tzw. Rad Ludowych i niwelując jednolity zarząd z góry, narzucany z Kowna, pomimo że kraj ten mniej jeszcze w swoich częściach polskich jest litewski, niż Wilno i sąsiednie powiaty są polskie. I zamiast odegrać szlachetną rolę opiekunów porzuconego kraju, w jakiej Litwini na razie do Suwałk wkroczyli, i poszanować indywidualność i samorzutną organizację ludności, zyskując sympatię i wdzięczność, Litwini zachowali się tam jak zaborcy, którzy gwałcą wolę i indywidualność kraju, wyzyskując koniunkturę chwilową do narzucenia przemocy swojej. Zostali znienawidzeni przez ludność polską i sami sobie jeno zaszkodzili. Inicjatorem tej nieszczęsnej polityki był prezes litewskiego Sądu Okręgowego w Mariampolu Stankunas,[45] o czym zresztą wiem dobrze, bo sam w lipcu czy sierpniu byłem świadkiem w mieszkaniu Ślażewicza w Kownie, jak Stankunas po bytności w Suwałkach rozwijał swój niefortunny plan

44 Franc. quand même – za wszelką cenę, w końcu.

45 Juozas Stankunas (1877-1936), prawnik, uczestnik Zjazdu Litewskiego (Sejmu Wileńskiego) w 1905 r., przed I wojną światową pracował, jako sędzia w Virbalis (Wierżbołów), w latach 1919-1929 wiceprezes i prezes Sądu Okręgowego w Mariampolu.

zapanowania litewskiego na Suwalszczyźnie polskiej. Kassakaitis z wielkim żalem i bólem opowiadał mi cały przebieg tego nieszczęsnego błędu.
Jutro opiszę mój dzisiejszy dzień podróży, który mię się doprowadził do strefy neutralnej między Polską a Litwą.

13 listopada, rok 1920, sobota
Cofnę się na razie do dnia wczorajszego.
A więc wczoraj rano w Suwałkach byłem aż do popołudnia zajęty dwiema rzeczami: otrzymaniem przepustki na przekroczenie linii demarkacyjnej i znalezieniem furmanki do Puńska. Po przepustkę, która miała być raniutko gotowa, chodziłem kilkakrotnie do wydziału defenzywy i zawsze na próżno; odpowiedziano mi tylko, że jeszcze nie przyniesiono jej ze sztabu 17 tej Dywizji Poznańskiej. Przepustkę bowiem na przekroczenie linii demarkacyjnej wydaje tylko sztab tej dywizji. Dywizja ta, składająca się z wojsk poznańskich, strzeże na tym odcinku linii demarkacyjnej i jej placówki i posterunki pilnują przejeżdżających. Wreszcie sam udałem się do sztabu Dywizji Poznańskiej, gdzie przepustka była już gotowa i gdzie mi ją zaraz wydano. Poszedłem z nią jeszcze do defenzywy, gdzie mi ją zawizowano. Przy tej okazji nasłuchałem się wymysłów Poznaniaków na defenzywę, która się składa z Królewiaków-piłsudczyków, i odwrotnie – wymysłów piłsudczyków w defenzywie na Poznańczyków. Instytucja ta, jak również żołnierze i oficerowie piłsudczycy z Kongresówki i Galicji z żołnierzami i oficerami Poznańczykami są w stałym antagonizmie i nienawidzą się serdecznie. W sztabie Dywizji Poznańskiej o piłsudczykach (Galicjanach i Królewiakach) z defenzywy wyrażano się te słowa: „O, te przeklęte Polaki!” (*sic*!)
Wreszcie miałem „papiery” w porządku. Gorzej było z furmanką. Choć dzień był targowy w Suwałkach, furmani Żydzi z Puńska nie przyjechali. Chodziłem po targu, szukałem, czy nie ma chłopskich furmanek z Puńska, ale nie było. Można byłoby znaleźć chłopską furmankę z okolic Puńska, wracającą z targu, ale dojechałbym nią nie do samego Puńska, jeno do jakiejkolwiek wioski, skąd musiałbym jeszcze iść piechotą. Z rzeczami byłoby to za trudne. Byłem już prawie zdecydowany pozostać w Suwałkach przez szabas aż o niedzieli, ale wreszcie jakiś Żydek wystarał się dla mnie o umyślną furmankę do Puńska, która kosztowała mię 1100 marek polskich. Wyjechałem z Suwałk około godz. 3 po południu. Wiózł mię chrześcijanin. Pojechaliśmy szosą kowieńską na Cipliszki vel Szypliszki[46]. W Cipliszkach zawróciliśmy z szosy kowieńskiej w bok na prawo na Puńsk[47]. Po ciemku dojechaliśmy do Puńska. Puńsk leży już na pasie neutralnym, który ma szerokości około 12 wiorst i dzieli linię polską od litewskiej. Nigdzie po drodze do Puńska nikt mię nie o przepustkę nie pytał. Raz tylko w Cipliszkach widziałem żołnierza polskiego, stojącego na posterunku na szosie, ale zachował się on zupełnie biernie i nie zatrzymywał mię. W przepustce, którą miałem, było napisane, aby „wszystkie placówki i posterunki” mię przepuściły, „ostatnia” zaś placówka miała odebrać i zatrzymać przepustkę. Tymczasem nie tylko ostatniej, ale żadnej placówki nie widziałem. W Puńsku, jako strefie neutralnej, nie ma prawa być wojska ani jednej, ani drugiej strony, ani polskiego ani litewskiego. Jest tylko milicja, która w Puńsku jest polska, mimo że parafia puńska jest już czysto litewską. Nieszczęsny Puńsk, czysto litewski, należy do powiatu suwalskiego i wraz z całym powiatem zaliczony został przez Europę do polskiej strony linii granicznej tzw. z dnia 8.XII.1919. Litewski Puńsk uważa to sobie za bolesną krzywdę i nie traci nadziei, że to

46 Szypliszki (Cipliszki), wieś w powiecie suwalskim, parafii puńskiej. Oddalona od Suwałk o 20 km. Dawniej tu była stacja pocztowa na trakcie z Warszawy do Kowna.
47 Puńsk, miasteczko, centrum gminy w powiecie suwalskim na Pojezierzu Sejneńskim, na jeziorze Punie.

się jeszcze zmieni i że się z macierzystą Litwą połączy. To, że go zaliczono tymczasem do strefy neutralnej przy ustalaniu obecnie linii demarkacyjnej, utrzymuje w nim nadzieje litewskie. W Puńsku milicjant zajrzał do mojej furmanki, ale po ciemku wziął mię za księdza i o przepustkę ani o paszport nie spytał. Zajechałem w Puńsku do księdza dziekana Simonaitisa[48], do którego Kassakaitis dał mi list polecający. Ks. Simonaitis dał mi herbaty i nakarmił. Przenocowałem w plebanii wygodnie na kanapie obok sypialni dziekana. Staruszek dziekan Simonaitis, Litwin gorący, przejściami lat ostatnich, wojną, zatargami polsko-litewskimi, smutkiem odcięcia Puńska od Litwy rodzimej tak jest znerwowany, że stanowi już ruinę człowieka. Jest ciągle zafrasowany, niespokojny, mowę ma nierówną, chód chwiejny, umysł osłabiony. W nocy wstawał, budził mię, pytał, czy nie słyszałem dobijania się do drzwi: widocznie miewa w nocy halucynacje słuchowe. Dziś rano po herbacie ks. Simonaitis oprowadzał mię po ogrodzie plebanii, położonym na wysokim wybrzeżu jeziora, pokazywał widoki Puńska, pokazywał piękną ławę, urządzoną przezeń w ogrodzie z perspektywą na jezioro. Rzeczywiście Puńsk położony jest ładnie ze swym kościołem nad wysokim brzegiem jeziora, wygląda malowniczo. Około godz. 10 rano wyjechałem z Puńska na Kalwarię[49]. Wiózł mię jednym konikiem za 200 mk. litewskich ojciec zakrystiana puńskiego. Z Puńska do Kalwarii 3 mile. Jechaliśmy boczną drogą, wijącą się kręto po wzgórzach między setkami charakterystycznych kolonii chłopskich, którymi usiana jest litewska część Suwalszczyzny.

14 listopada, rok 1920, niedziela
Wracam jeszcze do wczorajszej jazdy z Puńska do Kalwarii.
Większą część drogi woźnica mój wiózł mię drogą boczną, tzw. bliższą. Dopiero po przejechaniu jakichś 2/3 odległości zawrócił na szosę i wyjechał na nią w odległości mili od Kalwarii. Stąd już niebawem dotarliśmy po dobrej drodze do Kalwarii. Po drodze na szosie spotkaliśmy ogromną partię z kilkuset, a może i do tysiąca jeńców polskich, prowadzoną pod eskortą zbrojną żołnierzy litewskich w kierunku Suwałk. Na zasadzie rozejmu suwalskiego między Litwą a Polską – oba państwa dokonywają obecnie wymiany wszystkich jeńców jednej i drugiej strony. Wymiana dokonywa się na linii demarkacyjnej między Kalwarią a Suwałkami. Co dzień czy co parę dni przechodzą tędy w jedną i w drugą stronę partie wymienianych jeńców. Oczywiście, że wymianie ulegają tylko ci jeńcy polscy w Litwie, którzy pochodzą z właściwej armii polskiej, nie zaś z wojujących obecnie z Litwą wojsk Żeligowskiego. Wygląd jeńców bardzo nędzny, ludzi słabi, mizerni, ledwie się wloką, twarze czarne, poważnie nieogolone, odzież nędzna; rzeczy nie dźwigają prawie żadnych, tylko u każdego menażka lub jakieś inne naczynie do jadła. Jaskrawie odbijają od wyglądu jeńców rumiane oblicza eskortujących ich żołnierzy litewskich, dobrze odżywionych i zasobnie odzianych. W ogonie partii wloką się maruderzy, najsłabsi, niektórzy nawet boso, kulawi, goniący już tylko ostatkami sił, jak cienie ludzkie. Ileż to, mój Boże, nędzy ludzkiej widzi się w tej wojnie bez końca, ile męki! Ile młodzieży ginie w kwiecie wieku, ile się marnuje na zdrowiu, na moralności – na całe już może życie! Nie tylko ci, co padają na śmierć pod kulami lub co ranni do szpitali się przewożą! Los jeńców bodaj wszędzie jednaki. Wszędzie im krzywda dzieje i kto wie, czy nie oni są najbiedniejsi, choć uszli cało spod ognia linii.
W taki więc sposób dostałem się wreszcie wczoraj do Litwy. Po drodze z Puńska do Kalwarii nie spotkałem ani jednego posterunku litewskiego i nikt mię o przepustkę lub

48 Matas Simonaitis (1859-?), ksiądz, publicysta, działacz ruchu odrodzenia litewskiego.
49 Kalwaria (Kalvarija), miasto nad rzeką Szeszupą, leży o 41 km od Suwałk i 17 km od Mariampola.

o paszport nie spytał. Nie wiem nawet, w którym miejscu przekroczyłem linię demarkacyjną litewską, jak dnia poprzedniego nie wiem, w którym miejscu przekroczyłem linię polską. Gdybym wcale z Suwałk przepustki nie brał, z równym skutkiem byłbym przejechał z Polski do Litwy. A tak mię straszono! Tyle mi w Suwałkach opowiadano o ścisłym strzeżeniu przez wojsko polskie, tyle mię zapewniali księża w Puńsku o trudnościach, jakie mię spotkają ze strony posterunków litewskich! Wszystko się okazało przesadą. Mogłem, co chciałem, przewieźć przez granicę, tylko że nic nie wziąłem takiego, co by mogło budzić podejrzenie u jednej lub drugiej strony, bo spodziewałem się ściślejszej kontroli. Zanotuję tu jeszcze rzecz jedną, która mię spotkała pozawczoraj w Suwałkach, gdym się udawał do tzw. „defenzywy" po przepustkę. Oficerowie tej „defenzywy", instytucji wojenno-politycznej wywiadowczej, omalże nie szpiegowskiej względem państwa sąsiedniego, zaczęli mię namawiać, abym zgodził na udzielanie ich agentem wiadomości politycznych w Kownie. Źle trafili. Informatora w stylu szpiegowskim mieć ze mnie nie będą, bo zresztą czynności takiej nie podjąłbym się dla nikogo. Ale charakterystyczne jest, że propozycje takie są czynione podróżnym narodowości polskiej, przejeżdżającym z Suwałk do Litwy. Dojeżdżając wczoraj do Kalwarii, spotkałem na szosie inżyniera Stanisława Čurlanisa, brata nieboszczyka wielkiego artysty Mikołaja-Konstantego Čurlanisa[50]. Jest on inżynierem szosowym na cały okręg Suwalszczyzny litewskiej z siedzibą w Mariampolu. Čurlanis zaprosił mię do swego automobilu i przeto niebawem byłem w Mariampolu. Čurlanis zaprosił mię do siebie, nakarmił obiadem, potem kolacją, rozpytywał o Wilnie, był niezmiernie gościnny i miły. U niego też zanocowałem w Mariampolu. Od niego się pierwszych wiadomości o tym, co się w Litwie dzieje, dowiedziałem.
W Wilnie są wszyscy przekonani, że w Litwie ogłoszona jest powszechna mobilizacja do lat 40 czy 45, piszą też ciągle i w Wilnie, i w Polsce o masowym werbunku Niemców i bolszewików do wojska litewskiego, o całych pułkach niemieckich, które się zaciągnęły rzekomo na służbę litewską; było też dużo pisane o różnych zmianach rządu litewskiego, o kilkakrotnym zarządzeniu ewakuacji Kowna przez władze litewskie ze względu na niebezpieczeństwo wkroczenia wojsk Żeligowskiego. Otóż ani tej mobilizacji nie było, ani nie werbowano Niemców i bolszewików, ani tym mniej pułków niemieckich nie ma, ani rząd się nie zmienił, ani żadnej ewakuacji Kowna nie było.
Dziś rano o godz. 7, w dziewiątym i ostatnim dniu podróży, wyjechałem z Mariampola karetką żydowską wprost do Kowna. Około godz. 3 po południu stanąłem wreszcie u celu mój podróży w Kownie. Szczęśliwym trafem, bo ze względu na obecne przepełnienie Kowna jest to rzecz arcytrudne, udało mi się znaleźć pokój w hoteliku Paryskim przy ul. Maironisa – nawet niedrogo, za 20 mk. litewskich na dobę.
Po przybyciu do Kowna udałem się do restauracji przy hotelu „Wersal" na obiad. Tu spotkałem się z p. Hieronimem Zawiszą[51], generalnym plenipotentem Benedykta Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu[52]. Z Zawiszą przez czas mojego pobytu w Kownie zapoznałem się dość blisko i polubiliśmy się wzajemnie. Jest to pijaczysko, ale człowiek zacny i wcale nie wróg Litwinów i Litwy. Z przykrością dowiedziałem się od

50 Mikalojus Čiurlionis (Mikołaj-Konstanty Čurlanis, 1875-1911), wybitny kompozytor i malarz litewski.

51 Hieronim Zawisza, generalny plenipotent Benedykta Tyszkiewicza z Czerwonego Dworu.

52 Benedykt Henryk Tyszkiewicz (1852-1935), właściciel dóbr Czerwony Dwór nad Niewiażą w powiecie kowieńskim, prekursor fotografii na Litwie, żonaty z Elżbietą Bancrof.

niego, że otrzymał on od ministra wojny, Žukasa[53], rozkaz wyjazdu z granic Litwy, a więc banicję administracyjną pod groźbą internowania go w przeciwnym razie. Zarzucano mu, że jakoby u niego koncentruje się jakieś gniazdo politycznych intryg polskich, co jest stanowczo nieprawdą. Zjadłem obiad z Zawiszą, z p. Iwanowskim, urzędnikiem Tyszkiewiczowskim z Czarwonego Dworu, który zostaje następcą Zawiszy, i panną Kozłowską, buchalterką Czerwonego Dworu. Zawisza jutro wyjeżdża, toteż p. Iwanowski nadał temu obiadowi charakter uczty pożegnanej. Było nie tylko bardzo dużo wódki, nie tylko prawdziwy benedyktyn do czarnej kawy, ale jeszcze na wety– butelka szampana!

15 listopada, rok 1920, poniedziałek
Na razie mam zamiar zabawić w Kownie niedługo, bo będę musiał pojechać do Bohdaniszek zarówno dla kontroli zarządu po śmierci Papy, jak dla rozpoczęcia sprawy spadkowej, by możliwie najprędzej doprowadzić do działu familijnego. W Bohdaniszkach zapewne zabawię za dwa tygodnia i wrócę do Kowna dla pracy w sądzie. Jednak tymczasem muszę zabawić w Kownie jeszcze ze dni kilka, aby się trochę rozejrzeć i jednocześnie odebrać należne mi od rządu pieniądze z tytułu pensji zaległej za październik, ewentualnie zwrotu kosztów podróży z Wilna.
Dzień dzisiejszy spędziłem jeszcze bezczynnie. Znajomi, którzy mię spotykają, rozpytują mię o Wilno. Jak zawsze – każdy w wyobrażeniach swoich o tym, co się dzieje po przeciwnej stronie frontu, a więc w tym wypadku w Wilnie, przesadza w kierunku swoich sympatii i tęsknot. A więc Litwini, którzy są nieprzejednanie wrogo do incydentu wileńskiego usposobieni, wyobrażają sobie w Wilnie niesłychany terror władz tamecznych i wojska i przejaskrawiają wszystkie ujemne cechy przeciwnika, a natomiast mają przesadne pojęcie o sile i zamiarach autorów „Litwy Środkowej". Odwrotnie Polacy kowieńscy, którzy sympatyzują dziełu Żeligowskiego tym bardziej, im przykrzejszy jest stosunek do nich Litwinów, widzą, a zwłaszcza chcą widzieć wszystko, co się dzieje w Wilnie, w świetle różowym i ponętnym, idealizują „Litwę Środkową" i wierzą gorąco, że dokona ona zbawienia nie tylko ich, ale całej Litwy, przebudowując ją na zasadach sprawiedliwości, tolerancji i jakiegoś magicznego szczęścia powszechnego. Oczywiście, że największe sympatii u Polaków kowieńskich posiada tu kierunek, reprezentowany przez „krajowców" w Wilnie, jako ten, od którego spodziewają się oni wkroczenia do Kowna i ewentualnie zagarnięcia całej Litwy, by z niej zbudować jednolitą polonofilską państwowość ze stolicą w Wilnie. Toteż przeceniają oni „krajowców" wileńskich[54], wierzą, że zdołają oni dokonać tego działu i niechętnie traktują aneksjonistów wileńskich, usiłujących oderwać Wilno od Litwy dla wcielenia go do Polski z pozostawieniem Litwy Kowieńskiej jej własnemu losowi. Nie chcą oni wierzyć w moc aneksjonistów w Wilnie i w to, że dzieło „Litwy Środkowej" prowadzi fatalnie sprawę wileńską na aneksyjne właśnie tory. Są oni idealistami-piłsudczykami, optymistami, którzy wierzą w geniusz i gwiazdę Belwederu. Wierzą, że Piłsudski nie tylko wie, czego chce, ale też wie, co robi, i że rozpoczęte przezeń pod znakiem „Litwy Środkowej" dzieło nie może zboczyć na inne tory i dokona idei

53 Silvestras Žukauskas-Žukas (1860-1937), generał, naczelny dowódca armii litewskiej (1919 r. z przerwami do 1921 r.). Pod jego rozkazami wojska litewskie wyparły bolszewików z Litwy (V 1919). Kilkokrotnie był zwalniany ze stanowiska, gdyż podejrzewano go o sympatie propolskie.

54 W 1920 r. zwolennicy krajowości skupili się wokół powstałej wówczas „Gazety Krajowej". Redagował ją Ludwik Abramowicz, jednak w praktycznej działalności liderami byli: Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, Ludwik Chomiński, Stefan Mickiewicz i in. M. Römera poróżnił z nimi ich stosunek do Litwy niepodległej, sprawa przynależności państwowej Wilna, ich udział w wyprawie gen. L. Żeligowskiego oraz wejście w skład władz tzw. Litwy Środkowej.

„krajowców”, przepojonej Piłsudskiego duchem. W szczególności takim optymistą, niewątpliwie szlachetnym i pełnym polotu idealistycznego, jest poseł Grajewski, u którego spędziłem dziś wieczór. Więcej on jest przekonany o niezłomności idei i dążeń „krajowców” wileńskich, niż oni sami, bo ich większość, choć w zasadzie sprzyja państwowości, wprawdzie z zastrzeżeniem zdecydowanego polonofilstwa tejże, traktuje jednak aneksjonizm nie jako coś bezwzględnie wrogiego, jeno jako ewentualność alternatywną, dopuszczalną przez nich. Grajewski siedzi w Kownie, pomimo że Sejm w pełnym komplecie nie działa. Jest głęboko zrażony i niechętny temu, co się tu w Kownie przez Litwinów robi. Ma, zdaje się, trochę żalu do mnie za to, że występowałem w charakterze krytyka „Litwy Środkowej” w Wilnie, że zwalczałem tę akcję, w którą on tyle wiary kładzie, i że zwalczaniem tym wzmacniam jeno nacjonalistyczne Litwinów tendencje i robotę, która nie zmierza też bynajmniej do regulacji stosunku Wilno-Kowno na zasadach układu, przeze mnie uznawanych jeno na zasadach zapanowania, zasadach imperializmu i nacjonalizmu. Że dążenia Litwinów do tego są istotnie skierowane – nie przeczę temu i sam to uważam za rzecz ujemną, bo wiem, że Wilno zapanowaniu ulec nie może i że albo znajdzie się wcześniej czy później droga układu, choćby po fakcie odzyskania Wilna przez Litwę, jeżeli fakt ten będzie miał miejsce, albo Wilno się z Litwy wyłamie, choćby zostało w drodze zapanowania dla Litwy pozyskane. Ale, moim zdaniem, właściwie ci, co aferę „Litwy Środkowej” rozpoczęli, stali się winni wzmożenia u Litwinów kierunku nacjonalistycznego – aneksyjnego względem Wilna i podkopali tych, którzy po stronie litewskiej mogli kierunkowi temu przeciwstawić kierunek inny – kierunek wileńsko-kowieńskiej ugody. Dziś Litwini są tylko wściekli, są napadnięci i zagrożeni, a każdemu, kto by im dziś o ugodzie mówił, przeciwstawią oni fakty dokonanego na nich gwałtu i powołają się na to, że sami Polacy litewscy podnieśli na nich oręż i postawili zagadnienie wileńskie w płaszczyźnie nie układu i współżycia, lecz rozprawy krwawej o panowanie. I to najbardziej zarzucam „krajowcom” z obozu „Litwy Środkowej”, że wbrew ich własnej woli uczynili oni że sprawy wileńskiej sprawę między Kownem a Warszawą, nie zaś sprawę domową między Litwinami a Polakami litewskimi. Tom też stale zarzucał „krajowcom” w Wilnie, choć wiem, że oni sami pragnęliby skutku przeciwnego. I istotnie Litwini dziś traktują problem wileński li tylko w ramach kwestii między Warszawą a Kownem. Tak samo zresztą, dzięki akcji Żeligowskiego, traktuje ją Europa i sama Warszawa, i większość Polaków litewskich w Wilnie. Oprócz „krajowców” wileńskich, jest tylko jeden czynnik, który traktuje sprawę Wilna nie w perspektywie alternatywy aneksjonistycznej „Kowno czy Warszawa”, a czynnikiem tym jest Belweder, to znaczy Piłsudski. Ale czy zdoła on dokonać dzieła w tym kierunku przeciwko logice w świecie realnego ustosunkowania sił na wschodzie? Osobiście wątpię i jestem w tym względzie pesymistą. Te czynniki wśród Litwinów, które, jak ja, chciałyby odrzucić perspektywy aneksjonistycznych dylematów „Kowno czy Warszawa” i sprawę Wilna budować na układzie, czują się naturalnie zdrutowane[55]. Do nich należy Jonynas, do nich należy zwłaszcza Michał Biržiška, który redaguje tu po polsku litewski organ p.t. „Litwa”.[56] Nie czuje on dziś gruntu pod nogami. Rozmawiałem dziś z nim i opowiadałem mu o Wilnie. Skarży się on, że się czuje w Kownie samotny i obcy, że go tu Litwini nie rozumieją, że się przekonał, iż on sam ludzi tu nie zna i że psychologia Kowna jest mu obca. Ale coś ma robić, gdy sami „krajowcy” wileńscy zasilili i wzmocnili nacjonalistyczny aneksjonizm Litwinów.

---

55 Spętane drutem.

56 „Litwa”, pismo wydawana od 10 sierpnia 1920 r. w języku rosyjskim. Zadaniem jego była neutralizacja wpływów prasy lewicowej.

16 listopada, rok 1920, wtorek

Gazety donoszą o zupełnym pogromie armii Wrangla[57] przez bolszewików. Znowu jedna próba obalenia bolszewików w Rosji przez akcję zbrojną kontrrewolucyjnej armii rosyjskiej – upada. Jak w r.1919 rząd Kołczaka[58] w Syberii był przez Francję uznany za prawowity rząd rosyjski przeciwko nieuznawanemu rządowi Rosji Sowieckiej, tak przed kilku miesiącami uznanym był przez też Francją rząd, utworzony w Krymie przez Wrangla na ruinach Denikina[59]. I jak Kołczak, Judenicz[60], Denikin, tak oto w roku bieżącym Wrangel zdawał się zbliżać do spełnienia swych zamierzeń. Gwiazda powodzenia zdawała mu się uśmiechać. Był on się posunął zwycięsko dalej w głąb Rosji na północ i na zachód od Krymu. Rozejm z Polską dał bolszewikom możność przerzucenia znacznych sił swoich na front Wrangla. I oto już od kilku tygodni słychać było, że bolszewicy biją Wrangla, że Wrangel się cofa. Wkrótce włączony został z powrotem Półwysep Krymski. Ale oto bolszewicy wdarli się na półwysep i biją Wrangla na głowę. Zajęli Teodozję[61] i Symferopol[62], uderzają już na Sewastopol[63]. Przedsięwzięcie Wrangla zlikwidowane. Kończy się ono takim samym pogromem katastrofalnym, jak zeszłoroczne pogromy jego poprzedników – Kołczaka, Denikina, Judenicza. Dla bolszewików jest triumf wielki. Autorytet ich rośnie. Wnet uderzą zapewne na Petlurę[64] na Ukrainie, na Bałachowicza,[65] operującego na Białej Rusi jako kreatura nieurzędowa Polski. Z tymi dwoma, a zwłaszcza z Bałachowiczem, z pewnością dadzą sobie radę. A wtedy staną znów oko w oko wobec Polski. I kto wie, czy zechcą się nadał bawić w rozejm z Polską. Powszechne zarówno w Polsce, jak tu, panuje przekonanie, że porachunek bolszewików z Polską jest niezakończony i że najpóźniej na wiosnę, jeżeli teraz po rozbiciu Wrangla nie wcześniej, przyjdzie do wielkiego pojedynku polsko-bolszewickiego. Litwini z pogromu Wrangla cieszą i pokładają duże nadzieje na wznowieniu wojny bolszewików z Polską. W sprawie wileńskiej więcej oni liczą na pogrom Polski przez bolszewików, niż na jakieś tam interwencje Ligi Narodów, na projektowane przez nią plebiscyty itp. Oczywiście, że wobec Europy Litwini kryją starannie swoje polityczne sympatie bolszewickie (tylko polityczne, bo o społecznych nie ma mowy), a nawet udają, że z troską myślą o niebezpieczeństwie bolszewickim, ściąganym przez wschodnią polityką Polski na kraj. Ale w opinii publicznej litewskiej jest radość z powodu powodzenia bolszewików i jest sympatia dla ich oczekiwanej wojny z Polską, mającej Polaków z ziem spornych litewskich usunąć. Za niebezpieczniejszego rywala bowiem uważają oni Polskę, niż nawet bolszewików. Niewątpliwie, że w rozumowaniu Litwinów jest pewna racja, choć

57 Piotr Wrangel (1878-1928), baron, generał rosyjski. Podczas wojny domowej w Rosji – jeden z przywódców białej gwardii.

58 Aleksandr Kołczak (1847-1920), admirał rosyjski, jeden z organizatorów i przywódców białej armii w wojnie domowej w latach 1918-1920 w Rosji.

59 Anton Denikin (1872-1947), generał rosyjski. Od 1917 r. dowódca kontrrewolucyjnej Armii Ochotniczej. W 1920 r. powierzył dowództwo swej armii Piotrowi Wranglowi i udał się do Anglii.

60 Nikołaj Judenicz (1862-1933), generał rosyjski, jeden z przywódców sił antybolszewickich w Rosji.

61 Teodozja, Fieodosija, miasto na Ukrainie na wschodnim wybrzeżu Krymu, port nad Morzem Czarnym.

62 Symferopol, Simferopol, miasto w środkowej części półwyspu nad Salgirem (Krym).

63 Sewastopol, Sebastopol, miasto w północno-zachodniej części Krymu, port morski nad Zatoką Sewastopolską (Morze Czarne).

64 Semen Petlura (1879-1926), polityk ukraiński, członek ukraińskiej partii socjaldemokratów. W 1920 r. zawarł wojskowo-polityczny układ z Polską i brał udział w wyprawie Józefa Piłsudskiego na Kijów. Od 1921 r. na emigracji.

65 Stanisław Bałachowicz-Bułak (1883-1939), generał, od 1914 r. w armii rosyjskiej. Od lutego 1920 r. w Polsce. Podczas wojny polsko-bolszewickiej dowodził oddziałom białoruskim. Po podpisaniu rozejmu w październiku 1920 r. utworzył ochotniczą armią białoruską.

smutno jest, że tak jest. Smutno, że Polska nie potrafiła znaleźć ujścia pokojowego i pojednawczego dla sporu swego z Litwą, a natomiast potrafiła pchnąć Litwę w objęcia Rosji. Bo Litwa, niestety, w objęcia te dąży. Spodziewa się ona, że jeszcze się z tych objęć wyzwoli, ale tymczasem dąży w nie i w nich szuka chwilowego ratunku. Minister spraw zagranicznych Purycki z wielką sympatią perspektywy wojny bolszewickiej śledzi i jeżeli wszelkie oznaki nie mylą, jest w bliskim, choć nie jawnym kontakcie politycznym z bolszewikami. Wczoraj Purycki mię spotkał i prosił, bym mu zreferował, co wiem o Wilnie. Byłem dziś u niego rano w ministerium i dość obszernie referowałem mu, a raczej udzieliłem mu wywiadu. Akurat w toku mojej z nim rozmowy zadzwonił telefon. To dzwonił poseł bolszewicki w Kownie, zawiadamiając o pogromie Wrangla, o zajęciu Teodozji i Symferopola. Szczegółów innych komunikacji telefonicznej posła bolszewickiego nie słyszałem. Ale Purycki w odpowiedzi wyrażał radość serdeczną i nie ukrywał, że traktuje tę rzecz jako triumf nie tylko Rosji, ale rychło i Litwy. Przykre mi to było jako Polakowi i jako obywatelowi Litwy, który by pragnął porozumienia Litwinów z Polakami litewskimi, rozumiejąc, że tylko ta zgoda może spoić i dać moc Litwie i że wszelkie czynniki trzecie w postaci Rosji i bolszewików są intruzami, którzy swoją pieczeń pieką i którzy nie dla Litwy kasztany wyciągać będą, a Litwa za nie płacić będzie musiała. Ale, niestety – *„tu l'as voulu, George Daudin!”*[66]– można rzec Polakom litewskim. Oni pierwsi weszli na tory interwencji zewnętrznej w sprawie stosunków wewnętrznych Litwy, odwołując się do Polski. A interwencja jednych pociąga za sobą interwencję drugich. Polacy litewscy odwoływali się do Polski, Litwini odwołują się, niestety, do Rosji. Mam wrażenie, że komisja dyplomatyczna litewska, która w najbliższym czasie pod przewodnictwem b. prezesa Sądu Okręgowego w Wilnie Kalnietisa[67] wyjeżdża do Moskwy, niby to w celu realizacji lipcowego traktatu pokojowego litewsko-rosyjskiego, w istocie będzie miała zadanie tajnych konszachtów z bolszewikami w sprawach ich domniemanej wojny z Polską i polubownej likwidacji spraw na wschodzie po ewentualnym wypędzeniu Polaków; słowem – mam wrażenie, że to jest misja dyplomatyczna o zupełnie specjalnych zadaniach, innych od urzędowo jej przyznanych. Niedawno prezes ministrów litewskich, dr Grinius,[68] wyraził się przed kimś z głębokim żalem, że Polska pcha Litwę w objęcia Rosji. Wierzę, że Grinius osobiście boleje nad tym, ale taką jest logika sytuacji.

Byłem dziś u ministra sprawiedliwości Karoblisa[69]. Spytał mię on, czy się zgadzam być przydzielonym do Sądu Okręgowego w Kownie. Sąd Okręgowy Wileński nie likwiduje się, jeno jego członkowie otrzymują czasowo przydziały inne. Zgodziłem się. Wieczorem w mieszkaniu Stefana Kairysa[70] odbyło się nasze ścisłe posiedzenie[71]. Stawili się wszyscy obecni w Kownie, a mianowicie: ja, Kairys, Michał Ślażewicz,

---

66 Franc. „tu l' as voulu, George Daudin!” – „sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało!”.

67 Vincas Kalnietis (1876-1941?), prawnik, przed I wojną światową był śledczym w Tallinie, w 1920 powrócił do Litwy, gdzie pracował w kowieńskim Sądzie Okręgowym, następnie w Najwyższym Trybunale Litwy.

68 Kazys Grinius (1866-1950), lekarz, jeden z przywódców ludowców, w latach 1914-1919 na emigracji w Rosji. Premier Litwy 19 VI 1920-1 II 1922. W 1926 wybrany na prezydenta, obalony 17 XII tegoż roku w wyniku zamachu stanu. W latach 1927-1937 pracował w samorządzie kowieńskim. W 1944 wyemigrował na Zachód.

69 Vincas Karoblis (1866-1939), prawnik. Członek kowieńskiego Sądu Okręgowego (1920-1922), wielokrotni minister sprawiedliwości w gabinetach K. Griniusa (1920 VI 19), E. Galwanowskiego (1922 II 2), L. Bistrasa (1925 IX 25). Poseł III Sejmu od Związku Rolników (Ūkininkų Sąjunga) (1926).

70 Steponas Kairys (Stefan Kairys, 1878-1864) inżynier, jeden z przywódców litewskiej socjaldemokracji. Członek Taryby i sygnatariusz Aktu Niepodległości, minister aprowizacji w drugim gabinecie Sleževičiusa (1919), poseł do litewskiego Sejmu w latach 1920-1927.

Felicja Bortkiewiczowa, Michał Biržiška, Augustyn Janulaitis, Bielski[72], Dominik Siemaszko. Cały wieczór – od godz. 9 do 10 ½ – zajęło referowanie przeze mnie stosunków w Wilnie.

17 listopada, rok 1920, środa

Trzeba wiedzieć, że w aferze Żeligowskiego i całym przedsięwzięciu tzw. „Litwy Środkowej" wybitną rolę gra masoneria polska. Jest to faktem. Lepszej, niż kto inny, wiem o tym, bo znam masonów polskich i choć sam do nich nie należałem, jednak cała ich geneza, nawiązywanie przez nich łączności z Wilnem w r. 1912 czy bodaj 1913 i dalsze fazy ich rozwoju płynęły przed oczami mymi i ocierałem się o nie nieraz. Właściwych szczegółów o narodzinach masonerii polskiej w Warszawie – nie znam. Wiem tylko, że w ich liczbie byli Patek[73], Wacław Makowski[74], Śmiarowski[75] i inni, wenerablem zaś był swojego czasu dr Rafał Radziwiłowicz[76]. W r. 1913 Patek i Makowski przyjeżdżali umyślnie z Warszawy do Wilna dla zadzierzgnięcia węzłów masońskich w Wilnie. Wtedy udało im się pozyskać do masonerii polskiej Witolda Abramowicza[77], Bronisława Krzyżanowskiego[78], Jana Piłsudskiego[79], Zygmunta Nagrodzkiego (seniora)[80], Budnego[81]. Została założona polska loża masońska w Wilnie. Jaki jej tytuł i kto więcej do niej należał – nie wiem. Powyższe osoby należały do tego czasu do naszego związku wileńskiego, łączącego na stanowisku krajowym ludzi różnych narodowości. Wtedy nowo upieczeni masoni polscy gremialnie wystąpili od nas. Usiłowali oni w tych czasach kilkakrotnie nakłonić mnie i Aleksandra Zasztowta[82] do wstąpienia do nich, to znaczy do loży masońskiej polskiej. Loża polska wileńska była w związku organizacyjnym z Warszawą. Na początku wojny przeciwstawiła się ona (nie tylko loża wileńska, ale cała masoneria polska) tzw. orientacji rosyjskiej, czyli „moskalofilstwu" Narodowej Demokracji. Zresztą z Narodową Demokracją od początku i stale była na noże i zwalczała tak zewnętrzną, jak wewnętrzną politykę

---

71 Loży masońskiej „Lietuva".

72 Vaclavas Bielskis (1870-1938) inżynier, działacz społeczny i polityczny z Szawel, socjaldemokrata. Przed I wojną światową przynależał do loży wileńskiej „Litwa" pod przewodnictwem M. Römera

73 Stanisław Patek (1866-1944), prawnik, działacz polityczny, dyplomata. Przed 1914 r. jeden z przywódców Stronnictwa Narodowo-Radykalnego, dążył do zjednoczenia ruchu postępowego i niepodległościowego. W 1919-1920 minister spraw zagranicznych w pierwszym gabinecie RP. W latach 1919-1936 pracował w dyplomacji polskiej.

74 Wacław Makowski (1880-1942), prawnik, literat, publicysta, działacz polityczny. Minister sprawiedliwości w gabinecie Władysława Sikorskiego w latach 1922-1923, marszałek Sejmu 1931.

75 Eugeniusz Śmiarowski (1978-1932), prawnik, literat, pianista, działacz polityczny. W latach 1913-1917 przywódca Stronnictwa Narodowo-Radykalnego.

76 Rafał Radziwiłowicz (1860-1929), psychiatra, działacz polityczny. Od końca XIX w. współdziałał z PPS. W 1912 brał udział w założeniu Związku Chłopskiego, uczestniczył w tak zwanym zjeździe irredentystów (Zakopane). W 1913 współzałożyciel, następnie przywódca Stronnictwa Narodowo-Radykalnego.

77 Witold Abramowicz (1874-1940), adwokat, działacz społeczny i polityczny. Od 1901 r. – członek PPS, następnie Socjaldemokratycznej Partii Litwy. W 1911 r. organizował wydawanie „Przeglądu Wileńskiego".

78 Bronisław Krzyżanowski (1876-1943), prawnik, działacz społeczny i polityczny. Od 1906 r. redagował w raz z M. Römerem „Gazetę Wileńską", w 1911 r. współorganizował „Przegląd Wileński".

79 Jan Piłsudski (1876-1950), prawnik, działacz polityczny, młodszy brat Józefa Piłsudskiego.

80 Zygmunt Nagrodzki (1865-1937), kupiec, działacz gospodarczy, społeczny i oświatowy. W 1911 r. współorganizator „Przeglądu Wileńskiego".

81 S. K. Budny, urzędnik towarzystwa asekuracyjnego, członek grupy demokratów wileńskich.

82 Aleksandr Zasztowt (1874-1944), inżynier budowlany, działacz polityczny, socjalista. W 1913 r. członek Rady Wileńskiego Towarzystwa Urządzania Mieszkań. W r. 1915 współpracował w „Przeglądzie Wileńskim".

endecką. Masoneria polska stanęła na stanowisku niepodległościowym, przeciwstawiając je stanowisku, opartym na programie znanej odezwy Wielkiego Xięcia Mikałaja Mikołajewicza[83] do Polaków. Organizacja międzypartyjna tzw. Bloku Niepodległościowego[84], która istniała w Warszawie na początku r. 1915, pozostawała pod silnymi wpływami masonerii polskiej. Wtedy jeszcze masoni nie stanęli kategorycznie na stanowisku Legionów galicyjskich, ale już coraz ostrzej akcentował się u nich front antyrosyjski. Po zajęciu Warszawy przez Niemców w r. 1915 i pod okupacją niemiecką masoni przeszli kategorycznie do obozu „aktywistów". Rozkład „aktywizmu" polskiego na kierunek austrofilski, reprezentowany w Lidze Państwowości Polskiej (LPP),[85] i na kierunek niepodległościowy Piłsudskiego, którego wykładnikiem politycznym był Centralny Komitet Narodowy (CKN)[86], spowodował w latach 1916 i 1917 pewne rozdwojenie w szeregach masońskich polskich. Wpływy masońskie były w LPP, ale i w CKN-ie była część masonów. Masoni polscy wileńscy w tym czasie rozdwojeniu nie ulegli, bo rozłam kierunków LPP i CKN nie istniał konkretnie w Wilnie. Od r. 1918, kiedy się Polska pod Piłsudskiego przewodem, wyzwoliła od Niemców, masoni polscy stanęli wyraźnie pod sztandarem Belwederu. Masoneria polska zaakceptowała i poparła wielkie plany polityki zagranicznej Belwederu (Piłsudskiego) i stała się wybitną rzeczniczką jego programu federacyjnego względem Litwy. Czy sam Piłsudski Józef należy do masonerii polskiej i czy stoi na jej czele – tego nie wiem, ale związek między nim a masonami polskimi jest najściślejszy. Wszystkie polityczne projekty Piłsudskiego w stosunku do Wilna i Litwy ważą się i realizują w laboratorium masońskim. Oczywiście masoni wileńscy i z Litwy i Białej Rusi grają w tym rolę wybitną. Z laboratorium masońskiego wychodziły w roku zeszłym usiłowania utworzenia rządu w Wilnie, w których ja poniekąd chwilowo w mojej podróży kwietniowej do Kowna[87], nie należąc zresztą do masonów polskich, udział brałem. Odezwa wileńska Piłsudskiego była działem współpracy z masonami, z ich też ramienia, jako ich mąż zaufania, wyszedł zeszłoroczny wielkorządca „Ziem

83 Odezwa księcia Mikołaja Mikołajewicza – Manifest Wielkiego Księcia, naczelnego dowódcy armii rosyjskiej Mikołaja Mikołajewicza (1856-1929) do Polaków od 14 sierpnia 1914 r. stawiał konkretny program rozwiązania sprawy polskiej, mówiąc o zjednoczeniu wszystkich ziem polskich pod berłem cesarza rosyjskiego, zapowiadając ustanie wszelkiego prześladowania polskości na zjednoczonych ziemiach polskich. Dawał on przewagę Rosji w walce o opinię publiczną nad mocarstwami centralnymi, które wykazały szczególną w tej dziedzinie nieudolność. Myśli w niej zawarte propagowane były już od kilku lat przez najbardziej wpływowe stronnictwo polskie – Narodową Demokrację.

84 Blok Niepodległościowy czy Zjednoczenie Organizacji Niepodległościowych, miał swoim składzie jak elementy demokratyczne (ludowcy z grupy „Zaranie", Związek Radykałów Narodowych), tak i konserwatywne (Secesja Narodowo-Demokratyczna, Grupa Pracy Narodową). Początkowo umiarkowanie opozycyjne wobec orientacji prorosyjskiej, następnie przeszło na pozycje zdecydowanie antyrosyjskie.

85 Liga Państwowości Polskiej (LPP), ugrupowanie powstałe w 1915 r. na bazie dawnej „Secesji" skupiającej inteligencję niepodległościową głównie z Warszawy i Łodzi. Praktycznie jedyne stronnictwo w Królestwie zdecydowanie opowiadające za rozwiązanie sprawy polskiej w oparciu o Austro-Węgrzy przez połączenie Królestwa z Galicją.

86 Centralny Komitet Narodowy (CNK), reprezentacja stronnictw niepodległościowych powstała na bazie Komitetu Naczelnego Zjednoczonych Stronnictw Niepodległościowych, założona 18 XII 1915 r. w Warszawie. Swoim zasięgiem obejmował cały obszar Królestwa Polskiego. Za cel stawiał sobie CKN odbudowę państwa polskiego w oparciu o mocarstwa centralne: popierał akt 5 listopada 1916 r.

87 16-19 kwietnia 1919 r. M. Römer z polecenia Józefa Piłsudskiego jeździł do Kowna, by przekonywać Litwinów do związku państwowego z Polską.

Wschodnich" – Osmołowski[88], na którym się jednak masoni zawiedli i w jesieni roku bieżącego kopnęli go, choć już po stracie Wilna. Ekspozyturą masonów polskich był dziennik „Nasz Kraj"[89] w Wilnie, ich ekspozyturą jest tzw. prasa belwederska w Warszawie, złośliwie przez endeków „liberyjną" zwana (zwłaszcza „Naród"[90]; także „Kurier Polski"[91]). W sferze organizacji politycznych ekspozyturą jawną – „Związek Federalistów"[92] (masoneria działa jawnie tylko przez takie formacje, organizowane dla określonych celów, bo jako międzypartyjna, nie może mieć za swą ekspozyturę żadnego w ścisłym znaczeniu stronnictwa politycznego). „Rewolta" Żeligowskiego i kombinacja polityczna „Litwy Środkowej" są tworem laboratorium belwedersko-masońskiego. Tymczasowa Komisja Rządząca w Wilnie jest obsadzona przez masonów – oczywiście nie wyłącznie, bo niektórzy jej członkowie z pewnością ani się domyślają o masonach, jak np. Engel[93] i Szopa[94]. Czy Zasztowt wstąpił do masonów polskich – tego nie wiem. Sam Żeligowski oczywiście masonem nie jest i ani przypuszcza, że przez niego działają masoni i że on jest narzędziem w ich ręku. Jak ściśle jednak sam Żeligowski jest otoczony czujnością masonów, świadczy ten fakt, że w chwili wkroczenia Żeligowskiego do Wilna i w początkach jego działania w Wilnie masoni dodali do jego boku specjalnego anioła stróża, który miał być jego doradcą politycznym, w osobie Konstantego Gordziałkowskiego[95], który urzędowo nazywał się delegatem „Związku Federalistów". Czy teraz jest na miejscu Gordziałkowskiego inny anioł – stróż i kto taki – tego nie wiem.

18 listopada, rok 1920, czwartek
Od kilku lat kobiety w życiu moim coraz mniejszą odgrywają już rolę, a czasem całymi latami – żadnej. W młodości od najwcześniejszych lat dziecinnych otoczony byłem kobietami. Miałem Matkę, która kochała mię nad życie i której płaciłem miłością. Sióstr miałem pięć i byłem w rodzinie synkiem i braciszkiem jedynakiem i beniaminkiem, bo najmłodszym z rodzeństwa. Dzieciństwo moje do lat szkolnych upływało pod znakiem pieszczot Matki i troskliwej przewagi nade mną mojej siostrzyczki Maryni, która jako

---

88Jerzy Marcin Osmołowski (1872-1952), ziemianin, adwokat, działacz polityczny, społeczny i gospodarczy. W latach 1919-1920 generalny komisarz ziem wschodnich (szef Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich), w latach późniejszych prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Warszawie, działacz Partii Pracy.

89 „Nasz Kraj", pismo codzienne polityczne i literackie. Wydawane w Wilnie w latach 1919-1920.

90 „Naród", pismo wydawane w Warszawie w latach ......?

91 „Kurier Polski", dziennik informacyjno-polityczny, wydawany w latach 1898-1939 w Warszawie. W okresie międzywojennym reprezentował grupy wielkoprzemysłowe.

92 „Związek Federalistów", chodzi o obóz federalistyczny, do którego należeli działacze polityczni bardzo rozmaici. Na pierwszym miejscu – przywódcy PPS i Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie": Leon Wasilewski, Ignacy Daszyński, Mieczysław Niedziałkowski, Herman Lieberman, Bronisław Ziemęcki, Stanisław Thugutt, Maciej Rataj, Błażej Stolarski. Z kręgu literackiego – Andrzej Strug, Adam Swarczyński, Tadeusz Hołówko, Wincenty Rzymowski, Melchior Wańkowicz i inni.

93 Mieczysław Engel, adwokat, prezes wileńskiej chrześcijańskiej demokracji (1921-1922), członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowy na stanowisku Dyrektora Departamentu Pracy i Opieki Społecznej (1920-1922), poseł Sejmu Wileńskiego (1922).

94 Teofil Szopa, inżynier, krajowiec wileński, działacz Straży Kresowej (1920), organizator Stronnictwa Patriotycznego w Wilnie (1921), członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej na stanowisku dyrektora Departamentu Przemysłu, Handlu i Odbudowy, pełnił też obowiązki szefa Departamentów Oświaty i Skarbów (1920-1922).

95 Konstanty Gordziałkowski (ok. 1880-?), ziemianin, właściciel Drucka i Gabrielowa w byłej guberni mohylewskiej, kolega M. Römera z czasu studiów w paryskiej École des Sciences Politiques, w 1906 jeden z udziałowców i współpracowników wydawanej przez Römera „Gazety Wileńskiej". W grudniu 1918 jeden z założycieli Związku Polaków z Kresów Białoruskich, członek Rady Narodowej Polaków Ziem Białoruskich.

najbliższa mi wiekiem, była towarzyszką moich zabaw, ale zarazem czymś w rodzaju piastunki i przełożonej, trzymającej mię w rygorze. Na równi z siostrami była mi przyjaciółką dziecinnych lat i nasza niegdyś kochana służąca w Bohdaniszkach i potem w Wilnie, Emilka Tyszkówna[96], Emileczka dawna, późniejsza zacna Kligysowa, zmarła w r.1919. Potem rozpoczął się inny okres stosunku mego do kobiet. Zaledwie wyrastać zacząłem z lat dziecinnych w młodzieńcze, zacząłem się kochać. Były to jednak jeszcze nie lata miłości, jeno lata wzdychania, lata pierwszych naiwnych sentymentów. Jako zupełnie jeszcze gorzki młodzieniec, w czternastym roku życia, poczułem pierwszy afekt do panny. Tą pierwszą była Maniusia Koziełłówna, późniejsza p. Oskarowa Rutkowska[97]. Bawiła ona w r. 1894 w karnawale w Petersburgu i mieszkała u staruszków pp. Budrewiczów,[98] u których ja spędzałem święta i niedziele. Podkochiwałem się w niej jeszcze bezwiednie. Pamiętam – gdy wyjeżdżałem z Petersburga, dała mi na pożegnanie tyle sztuk cukierków, ile było liter w jej imieniu (miała na imię Aniela, choć nazywano ją w spieszczeniu Maniusia); postanowiłem wtedy te cukierki zachować jej pamiątkę na całe życie; co się z nimi potem stało – już nie pamiętam: może je zjadłem, a może zgubiłem; dopiero później zrozumiałem, że się w niej kochałem, jeżeli, „kochaniem" nazwać można uwielbienia chłopca 14-letniego dla panny. Tegoż lata w r. 1894 podkochiwałem się już świadomie w młodej 16-letniej pastuszce bydła w Bohdaniszkach, przystojnej Anusi Giegielównie i potem w p. Loli Świdównie z Bohdanowa pod Kasutą[99]. Odtąd podkochiwałem się co roku w niezliczonej ilości panien. Z pewnością nie mniej niż dwadzieścia, jeżeli nie więcej było przedmiotów mojej adoracji w okresie od r. 1894 do r. 1903 (od lat 14 do 23 mego życia). W ich liczbie były Zosia Tukałłowa, Maria Szczytówna (Michałowa Zabiełłowa),[100] Anielcia i Marysia Rosenówny (Konstantowa Pisaniowa i Stawska)[101], Stella Żabianka[102], Lola Falkowska (Wendorffowa[103]) i wiele innych. W tym czasie byłem jeszcze czysty, niesplamiony stosunkami płciowymi, bo późno, dopiero w wieku lat 24, zacząłem używać rozkoszy stosunków płciowych. Mniej więcej od r. 1903 naiwne podkochiwanie się moje zaczęły się przeradzać w uczucia głębsze, tchnące już miłością i wyrażające się w stosunku głębszym i bardziej wzajemnym. Przedmiotem pierwszego takiego uczucia była Nusia Falkowska (późniejsza Mieczysiowa Bohdanowiczowa)[104], potem w 1905 r. – Suzanne-Germaine Richard[105] w St. Cloud pod Paryżem, a w r. 1908 – Janka Rodziewiczówna[106] z „Gazety Wileńskiej" w Wilnie. Z tymi dwiema w wieku 28-30, doszedłem do pełni artyzmu w miłości. Już nie tylko

96 Emilia Tyszkówna, służąca Römerów w Bohdaniszkach.

97 Maniusia Koziełłówna, późniejsza p. Oskarowa Rutkowska.

98 Stefan Budrewicz i Malwina z Korwin-Kossakowskich, w domu których mieszkał M. Römer podczas studiów petersburskich w Szkole Prawa. W roku 1909 państwo Budrewiczowie po wielu latach zamieszkiwania w Petersburgu przenieśli się na stale do Wilna.

99 Bohdanów, miasteczko powiatu oszmiańskiego z kościołem katolickim.

100 Maria Szczytówna (Michałow Zabiełłowa).

101 Aniela i Maria Rosenówny (Konstantowa Pisaniowa i Józefowa Stawska), córki Justyna Rosena (1822-1908), właściciela Gaczan, sąsiada M. Römera. Maria w 1907 r. poślubiła, wbrew woli rodziców, włościanina litewskiego Józefa Stawskiego, z którym wyjechała do Rosji. Na Litwę powróciła dopiero w 1920 r. i zamieszkali w Gaczanach.

102 Stella Żabianka.

103 Lola Falkowska (Wendorfowa).

104 Nusia Falkowska (późniejsza Mieczysiowa Bohdanowiczowa).

105 Suzanne-Germaine Richard, Francuzka, którą M. Römer zamierzał poślubić, jednakże pod wpływem zdecydowanego sprzeciwu swoich rodziców odstąpił ot tego zamiaru.

106 Janina Rodziewiczówna.

kochałem, ale umiałem też, jak wirtuoz, rozkochać w sobie każdą dziewczynę, która mi się podobała. Maria Mieczkowska,[107] moja późniejsza żona Regina Römerówna[108], Anna Konupek[109] i zresztą szereg innych w tym czasie, jak Tołoczkówna[110], Hala Niesiołowska[111] itd., były nie tyle przedmiotami mojej miłości, ile rozkochanymi we mnie ofiarami mojej gry miłosnej. Żadnej z nich zresztą nie nadużyłem. Całowałem je (prócz zresztą Anny Konupek), ale z żadną nie posuwałem stosunku do próby uwiedzenia płciowego, bo z nich tylko z Reginą, ale już po ślubie to zrealizowałem. Wreszcie zenitem była moja Anna Wolberg[112], moja Aninka, dla mnie nieśmiertelna. W niej dopiero (r.1911-1914) miłość całkowitą i wielką posiadłem, która nas dwoje stopiła w zespół doskonały, małżeństwo, jakim być ono powinno, z krwi, ciała i duszy. Były to lata życia i szczęścia, lata, które osobowość moją i naszą obojga pochłonęły i wyczerpały. Ona umarła i z nią umarło moje życie osobowe, a pozostało tylko życie organiczne człowieka. Odtąd kobieta przestaje być w życiu moim czynnikiem, którym była dotąd. Po raz jedyny zbudził się u mnie pewien promyk uczucia raz jeszcze – względem Lusi Roszkowskiej w Łomży w roku zeszłym, ale był to już tylko blady cień miłości. Kobieta, która dawniej tak przemożną rolę w moim życiu grała, zeszła dla mnie ze sceny. W Annie streściła się cała moc mojej psyche męskiej, wysiliło się, zakwitła szczęściem jak paproć w noc Świętego Jana i wyczerpała się. Odtąd kobieta stała się dla mnie tylko koniecznym od czasu do czasu narzędziem rozkoszy płciowej, cackiem i przedmiotem spożycia, kupowanym dla zaspokojenia instynktu gatunku, raczej dla oszukania go w chwilowej uciesze. Ale i pod tym względem nie jestem już tak gwałtownie namiętnym, jakim bywałem dawniej. I towarem zresztą zadowalam się teraz lichszym niż niegdyś, bo drożyzna i w tym względnie wzrosła, choć nie w stosunku do spadku wartości pieniądza. Ale trudno już dziś szukać w rozpuście komfortu tego, przepychu i jaskrawych podniet, co przed wojną, kiedy nawet prostytucja za ceny względnie dostępne umiała się stroić w zbytkowne środowisko. Dziś za to braki przepychu i dekoracji w rozpuście uzupełniam w uciechach płciowych, rzadszych niż dawniej, szukaniem specjalnych zepsucie przejaskrawień. To mi daje smak większy, jak przyprawa do obiadu. Taką też dziś noc u przygodnej prostytutki spędziłem.

19 listopada, rok 1920, piątek

Wczorajszy komunikat sztabu litewskiego, ogłoszony w gazetach wieczornych, przyniósł wieść niepokojącą. Wojska gen. Żeligowskiego, które od pewnego czasu wciąż atakują Litwinów, zdołały na odcinku wiłkomierskim przełamać front litewski i zajęły Giedrojcie i Szyrwinty[113] – dwie miejscowości, które Litwini przed kilku

107 Maria Mieczkowska.

108 Regina Römer (1882-1944?), córka Edwarda Mateusza Römera i Józefy z Czechowskich, 17 X 1909 poślubiła w Wilnie Michała Römera. Od 1910 r. małżeństwo pozostawało w separacji.

109 Anna Konupek.

110 Tołoczkówna.

111 Hala Niesiołowska.

112 Anna Wolberg (1891-1914), łotewska dziewczyna, towarzyszka życia M. Römera w latach 1911-1914.

113 O świcie 17 listopada oddziały piechoty wojsk Żeligowskiego przeszły do natarcia na 30-kilometrowym froncie Szyrwinty-Giedrojcie-Dubinki (ok. 40 km na północ od Wilna). Idąc szybkim marszem w kierunku północno-zachodnim, kawaleria płk Butkiewicza osiągnęła 18 listopada wieczorem Kowarsk nad Świętą, 19 listopada przeszła przez Towiany i Łany. W nocy z 20 na 21 brygada dotarła do rzeki Niewiaży w pobliżu Kiejdan, centrum geograficznego Litwy, około 45 km na północ od Kowna. Po zajęciu Giedrojć i Szyrwint natarcie tych wojsk zaczęło słabnąć. (Piotr Łossowski, Stosunki polsko-litewskie w latach 1918-1920, Warszawa 1966, s.354-356.)

tygodniami byli w zwycięskiej bitwie odzyskali. Wieść ta wywołała zaniepokojenie w Kownie i dużo gawęd i alarmujących pogłosek przez cały dzień dzisiejszy. Wprawdzie słychać było i takie głosy, że przerwanie frontu już zostało zlikwidowane i dalsze posuwanie się wojsk Żeligowskiego powstrzymane, ale komunikat dzisiejszy wieczorny bynajmniej nie był uspokajający. Przeciwnie – zdawał się on potwierdzać najgorsze alarmujące pogłoski dnia dzisiejszego. Podaje on bowiem, że chociaż pod Szyrwintami w kierunku na Wiłkomierz ofensywa Żeligowskiego została powstrzymana, ale oddziały, które przerwały front litewski, posuwają się naprzód w kierunku na Kowarsk[114] i Onikszty[115]. Można stąd wnosić, że wyłom jest poważny i że może on zagrozić całej linii frontu, zmuszając Litwinów do głębokiego cofnięcia ze stratą Wiłkomierza, a może i odcięciem na Poniewież całej północno-wschodniej dzielnicy kraju. Sytuacja ta zaniepokoiła mię poważnie, szczególnie co do Bohdaniszek; marsz wojsk Żeligowskiego na Onikszty mógłby w dalszej konsekwencji doprowadzić do przecięcia kolei z Radziwiliszek do Rakiszek i przeciąć mi drogę do Bohdaniszek. Chciałbym już pośpieszyć z wyjazdem do Bohdaniszek, aby w razie katastrofy litewskiej znaleźć się raczej w Bohdaniszkach, niż w Kownie. Z drugiej jednak strony, inne względy skłaniają mię do zwłoki z wyjazdem. Robię tu bowiem starania o odebranie za pośrednictwem ministerium zaległej pensji mojej i zwrotu kosztów podróży z Wilna. Co do wzrostu kosztów podróży, to zachodzi pewna trudność ze względu na to, że nie mogę przedstawić kwitów na wynajem furmanek z Suwałk do Kowna. Nie przyszło mi na myśl brać od furmanów kwity, a tymczasem teraz przydałyby mi się one, bo kontrola państwowa może ze względu na brak tychże kwestionować mój rachunek. Jeżeli mi się uda całą żądaną sumę z tytułu pensji i kosztów podróży wyzyskać, to otrzymam coś około 3700 ost-marek. Będzie to już sumka pokaźna, którą chciałbym otrzymać do rąk przed wyjazdem do Bohdaniszek, tym bardziej, że muszę z tego zwrócić 500 mk. długu Grajewskiemu i kupić sobie zegarek porządny na miejsce mego ukochanego skradzionego. Suma ta znacznie więc stopnieje, ale jest mi ona potrzebna i przed jej otrzymaniem nie chciałbym się stąd ruszyć. A w każdym razie kilka dobrych dni jeszcze upłynie, nim się ta rzecz wyjaśni i nim pieniądze otrzymam. Tymczasem jeżeli inwazja wojsk Żeligowskiego nie zostanie rychło i energicznie zlikwidowana, to co można wiedzieć, co będzie za dni kilka. Na wojnie wypadki mogą iść jak lawina, szczególnie po przełamaniu frontu.

Złożyłem dziś do Departamentu Leśnego na ręce dyrektora tegoż Matulonisa[116] podanie o pozostawienie mi czasowo praw gospodarza na lasach bohdaniskich. Jak wiadomo, ustawa o upaństwowieniu lasów prywatnych dawno już przez Sejm została uchwalona. Obecnie zaś zarządzone zostało przyjęcie lasów na rzecz zarządu państwowego, wszakże b. właścicielom pozwolono do upływu pewnego terminu prosić o pozostawienie lasów w ich zarządzie na prawach tzw. „gospodarza" (z prawem użytkowania i normalnych dochodów). Termin składania podań już minął, ale mam tłumaczenie, że byłem odcięty w Wilnie. Matulonis przyrzekł mi, że podanie zostanie uwzględnione.

Wczoraj w wieczornym „Gońcu Kowieńskim" znalazłem artykuł, polemizującym z moim październikowym artykułem pt. „Naiwni", drukowanym w wileńskim „Głosie

114Kavarskas (Kowarsk), miasteczko w powiecie wiłkomierskim, o 30 km od Wiłkomierza przy drodze z Onikszt do Wiłkomierza.

115 Anykščiai (Onikszty), miasteczko nad rzeką Świętą o 36 km od Wiłkomierza.

116 Povilas Matulionis (1860-1932), leśnik, działacz społeczny. Dyrektor Departamentu Leśnego (1918-1921), wiceminister skarbów rolnych i państwowych (1919-1922).

Litwy”[117], w którym, krytykując przedsięwzięcie „Litwy Środkowej”, nazwałem „krajowców” wileńskich naiwnymi. Ten mój artykuł głośny był w Wilnie i bodaj jeszcze głośniejszy w Kownie, gdzie przedrukowała go „Litwa” Michała Biržiški i zdaje się – urzędowa „Lietuva”[118]. Polemiczny artykuł w „Gońcu Kowieńskim”[119], niepodpisany, należy, jak się domyślam, do Grajewskiego, bo coś mi on przy spotkaniu o tym wspominał, że chciałby dać memu artykułowi „Naiwni” odprawę. Autor artykułu w „Gońcu Kowieńskim” zarzuca mi, że odmawiam Wilnu prawa stanowienia o budowie państwa litewskiego i że czynię z Wilna, które ma prawo być podmiotem litewskiej budowy państwowej, jeno bierny przedmiot przetargu między Kownem a Warszawą, który li tylko może być przez kogoś z zewnątrz rządzony i w obrębie państwowości litewskiej musi ulegać posłusznie metodom państwowym rządzenia polityków prowincjonalnych litewskich z „Worń, Janiszek lub innych Radziwiliszek”. Oczywiście autor polemiki bezwiednie spaczył zasadniczo myśl moją. Wszak ja to właśnie zarzucam „krajowcom” wileńskim, że swoją akcją „Litwy Środkowej”, wszczynaną na zasadzie interwencji państwowej polskiej i metodą wojny przeciwko Litwinom przy pomocy polskiej z Warszawy, zabijają oni możności porozumienia bezpośredniego między Kownem a Wilnem na rzecz współpracy równorzędnej w budowie państwowej i przyczyniają się do stawiania kwestii Wilna w płaszczyźnie stosunku między Kownem a Warszawą, między dwoma aneksjonizmami, które obezwładniają samodzielność Wilna i pozbawiają je oblicza własnego. Niezwłocznie więc wczoraj wieczorem napisałem obszerny artykuł w odpowiedzi mojemu oponentowi. Artykuł ten wypadnie na jakiś drugi-trzeci numer „Gońca K.”. Dziś dałem go Stefanowiczowi[120], redaktorowi „Gońca”.
Obecny „Goniec Kowieński”, pomimo trudniejszych warunków cenzuralnych dla pisma polskiego, jest redagowany żywiej, niż dawny „Dziennik Kowieński” z czasów, gdym był w Kownie. Obecny „Goniec K.” jest kontynuacją poprzedników swoich pod tąż redakcją Stefanowicza – „Dziennika Kowieńskiego” i „Gazety Kowieńskiej”, które, jedna po drugim, były konfiskowane i zamykane.

20 listopada, rok 1920, sobota.
Dziś niepokoje i groźne perspektywy wczorajsze stopniały. Już w czasie obiadu słychać było, że koło fortuny odwróciło od Żeligowskiego na rzecz Litwinów, którym udało się zamknąć przerwany front i posunąć się naprzód, odzyskując Szyrwinty[121] i biorąc dużą zdobycz wojenną, wśród której w mały włos się nie znalazł sam generał Żeligowski. Jakoż istotnie zaraz po obiedzie ukazały się w sprzedaży ulicznej dodatki nadzwyczajne

117 „Głos Litwy”, organ Tymczasowego Komitetu Litwinów Wileńskich, dziennik wydawany w Wilnie w latach 1919-1922. Redagowany przez M. Biržiškę. Wychodził z dużymi przerwami. Luki „Głosu Litwy” starano się wypełnić dziennikiem „Echo Litwy”, również redagowanym przez M. Biržiškę. Artykuł Römera „Naiwni” był wydrukowany w nr 2 1920 r.

118 „Lietuva”, rządowy dziennik informacyjno-polityczny wydawany w Kownie w l. 1919-1921.

119 „Goniec Kowieński”, pod tą nazwą od 13 XI 1920 do 10 VII 1921 w Kownie był wydawany „Dziennik Kowieński” – główny organ mniejszości polskiej na Litwie.

120 Czesław Stefanowicz (1876-1958), ziemianin z majątku Łapie pod Kownem, dziennikarz, publicysta, historyk, nauczyciel. Od 1918 r. mieszkał w Kownie, czołowa postać w polskim ruchu kulturalnym i społecznym w latach dwudziestych i trzydziestych.

121 Za wczesna informacja, bo tylko w nocy z 20 na 21 listopada oddziały litewskie przystąpiły do natarcia w kierunku na Giedrojcie. Prowadziły je nadal i po godzinie dziewiątej 21 listopada, aż do zajęcia tego miasteczka. W literaturze litewskiej wysunięto twierdzenie, iż powodzenie wojsk litewskich było tak wielkie, że Wilno stało już przed nimi otworem. Według tej literatury (Šapoka A. Lietuvos istorija, Kaunas 1936, s.562. i in.), powstrzymali je, z krzywdą dla Litwy, tylko przedstawicieli Ligi Narodów. W rzeczywistości to był niewątpliwy sukces, ale o lokalnym znaczeniu. (P. Łossowski, op. cit., s. 360.).

gazety rosyjskiej „Эхо”,[122] rozchwytane w lot przez publiczność (swoją drogą, wstrętne to jest pismo, wydawane przez Żydów i pełne krzykliwego nieszczerego patriotyzmu litewskiego w tym stylu, co to Rosjanie nazywali dowcipnie „*ура-патріотизм*”[123]). Dodatek „Эхо” zawierał depesze o powodzeniu oręża litewskiego, o zlikwidowaniu inwazji wojsk Żeligowskiego w głąb terytorium litewskiego i o odzyskaniu Szyrwint. Wieczorowa „Lietuva” uzupełniła te wieści nowymi szczegółami. Istotnie, zdobycz jest dość znaczna, niebezpieczeństwo zażegnane, a co najciekawsze – cały duży odział kawalerii nieprzyjacielskiej w sile kilku eskadronów czy też całego pułku, który wjechał głęboko w terytorium litewskie, był zajął Kurkle[124], wpadł do Onikszt, stamtąd udał się na Towiany[125], został całkowicie odcięty. Podług jednej wersji, kawaleria ta, przekonawszy się, że jest odcięta, zawróciła na Laudę[126] (wielka okolica szlachecka między Kiejdanami a Poniewieżem), podług innej wersji – grasuje ona gdzieś pod Paniewieżem, skąd, jak niektórzy przypuszczają, będzie się usiłowała przemknąć w kierunku na Rakiszki i Jeziorosy[127], aby wyskoczyć z matni i przedostać się na stronę polską, korzystając z tego, że w stronach jezioroskich regularnej linii frontu nie ma. Ta kawaleria nieprzyjacielska w głębi kraju może narobić kłopotu, wyłapanie jej może być zadaniem trudnym, aczkolwiek wdzięcznym dla partyzantki strzelców litewskich („šaulów”), ale na froncie, przynajmniej na razie, niebezpieczeństwo jest zlikwidowane. Komisja Kontroli Ligi Narodów z prezesem francuskim pułkownikiem Chardigny[128] na czele, która bawi na linii frontu, na przedpolu między linią polską a litewską pod Jewjem[129], czyni wysiłki, by doprowadzić do rozejmu między wojskami Żeligowskiego a litewskimi.

Słówko teraz o Sądzie Okręgowym w Kownie, do którego znów wróciłem, choć tym razem tylko w drodze przydziału czasowego. Skład tego sądu nie zmienił się właśnie, odkąd go pożegnałem. Przybył jeden tylko nowy członek sądu w osobie Stanisława Narutowicza z Telsz[130]. Wraz z prezesem i wiceprezesem sąd w Kownie liczy obecnie dziewięciu sędziów. Lista ich obejmuje następujące nazwiska (cytuję podług starszeństwa nominacji, stanowiącego *eo ipso* starszeństwo w pełnieniu funkcji): prezes Mačys[131], wiceprezes Piotrowski[132], członkowie Preis[133], Oleka[134], Fridman[135],

---

122 „Эхо”, pismo żydowskie w Kownie.

123 Ros. – „ура-патріотизм” – krzykliwy patriotyzm.

124 Kurklės (Kurkle), miasteczko w powiecie wiłkomierskim, nad rzeką Kurklą, o 29 km od Wiłkomierza. W 1923 r. liczyło 755 mieszkańców.

125 Taujėnai (Towiany), wieś i dwór nad rzeką Muszą w powiecie wiłkomierskim, o 16 km. od Wiłkomierza na drodze z Wiłkomierza do Poniewieża.

126 Lauda, wielka okolica szlachecka nad rzeką Lauda, dopływem Niewiaży.

127 Zarasai (Jeziorosy), miasto w północnej części Litwy, o 4 km od granicy z Łotwą i o 47 km od Abel. Centrum powiatu.

128 Pierre Auguste Chardigny (1873-1951), francuski pułkownik, prezes Komisji Kontroli Ligi Narodów.

129 Vievis (Jewje), miasteczko w powiecie trockim, o 40 km od Wilna, 17 km od Trok.

130 Telšiai (Telsze), miasto powiatowe nad jeziorem Mastis, o 187 km od Kowna i 54 km na zachód od stacji kolejowej Kurszany.

131 Vladas Mačys (1867-1936), prawnik. W latach 1918-1922 przewodniczący Sądu Okręgowego w Kownie, 1923-1934 profesor Uniwersytetu Kowieńskiego.

132 Simonas Petrauskas (Piotrowski, 1867-1941), prawnik. Od 1919 wiceprezes, a od 21 października 1921 prezes Sądu Okręgowego w Kownie. Od 1 X 1926 sędzia Nawyższego Trybunału Litwy, od 10 I 1939 przewodniczący jego wydziału cywilnego.

133 Preis, sędzia Sądu Okręgowego w Kownie (1920-1921).

134 Kazimieras Oleka (1880-1971), prawnik, adwokat, działacz polityczny. W latach 1919-1921 członek Sądu Okręgowego w Kownie. Minister spraw wewnętrznych w dwóch kolejnych gabinetach E.Galvanauskasa (1920-1923). Poseł do I i II Sejmu Litwy z ramienia chreścijańskiej demokracji. Od 1923 r. zajmował się adwokaturą w Kownie.

Budrecki[136], ja, Masiulis[137] i Narutowicz. Z nich Fridman jest na tej samej stopie, co ja, to znaczy liczy się nadał członkiem Sądu Okręgowego w Wilnie, jeno czasowo przydzielonym do Kowna. Z kolegów sędziów najmniej sympatyczny jest Budrecki. Jest on synem powstańca polskiego z r. 1863, pochodzącego z Litwy, który był za powstanie zesłany na Syberię. Urodzony na Syberii, skończył szkoły i studia w Rosji i całe życie przesłużył w sądownictwie w Rosji, gdzie się dosłużył do rangi „статского советника”.[138] Dziś jest to człowiek w wieku lat przeszło 50, siwy, wysokiego wzrostu, silny jeszcze fizycznie mężczyzna, o twarzy dość typowej szlachcica polskiego. Ten długoletni sługa carski nie bardzo pamiętał o Litwie, dopóki Rosja była panią sytuacji. Po litewsku nie umiał wcale i dopiero od r. 1918, gdy wrócił do kraju, zaczął się języka litewskiego uczyć. Niemniej stał się nagle gwałtownym „patriotą” litewskim i nacjonalistą skrajnym, usiłującym gorliwością prozelity przelicytować najrodowitszych Litwinów i nagrodzić zaniedbanie dotychczasowe. Jego wrzaskliwy patriotyzm zwraca się szczególnie gwałtownie przeciwko wszystkiemu, co jest polskie, lżąc i klnąc to wszystko; jest to tym bardziej rażące, że czyni to syn powstańca i człowiek, który do niedawna był Polakiem; wszak że jako typowy tchórz, w chwilach, gdy niebiezpieczeństwo bolszewickie zdaje się do Litwy zbliżać, robi się on niemał bolszewikiem i ogłasza siebia za „komunistę”, a znów gdy bolszewizm cię oddala, przedstawia się za „narodowca”. Jako prawnik – jest słaby, ale za to krzykacz – zawołany, z gatunku starych sejmikowiczów szlacheckich. Z Litwinów jednym z najjaskrawszych hołdowników współczesnego nacjonalizmu, a zarazem radykalizmu społecznego chłopskiego jest członek sądu Oleka. Jest on zarazem juryskonsultem Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwa i członkiem Głównej Komisji Rolnej. O ile wiem, jest on redaktorem wszystkich dotychczasowych ustaw agrarnych, wydanych przez Rząd Tymczasowy i przez Sejm. Toteż w swej działalności sądowej bardzo czujnie zawsze i mocno przestrzega jurysprudencji w duchu dokładnym tego ustawodawstwa. Ale mam wrażenie, że nie czyni tego dla kariery i że jest człowiekiem szczerym i uczciwym.

21 listopada, rok 1920, niedziela

Sytuacja na froncie dobra. Zwycięstwo jest w ręku Litwinów. Są nawet pogłoski o odzyskaniu Giedrojć. Ale wojna jest wojną. Niespodzianki są zawsze możliwe. Kto zaręczy, że Żeligowski, wprawdzie chwilowo powstrzymany, nie uderzy w innym miejscu lub nie gotuje nowych posiłków do rewanżu. Jeżeli może on czerpać swobodnie z rezerwuaru wojsk polskich, to przewagę co najmniej liczebną może mieć zawsze. A choć Litwini biją się dzielnie, co im nawet Wilno z zupełnym należnym szacunkiem przyznaje, i choć zarówno wojsko, jak ogół litewski mają usposobienie mocne, pełne twardej woli zwycięstwa, połączonej z przedziwnym chłodem, który podziwiam i który jest najlepszą gwarancją gotowości bojowej, to jednak wszelka siła ma granice i przemocy w pewnych warunkach ulec może. Terytorium Litwy jest tak małe, a linia

---

135 Bernardas Fridmanas (Fridman, 1859-1929), prawnik. W 1920 r. był sędzią Sądu Okręgowego w Wilnie, następnie sędzią Sądu Okręgowego w Kownie (1920-1925 z przerwami) i sądu Okręgowego w Poniewieżu (1925-1929). Minister do spraw żydowskich (1923).

136 Juozas Budreckas (Budrecki, 1860?-1929), prawnik. Do 1918 r. pracował na stanowisku sędziego w sądach Rosji. W 1918 r. powrócił do Litwy. Jeden z założycieli Sądu Okręgowego Litwy. Długoletni radca w Ministerstwie Sprawiedliwości.

137 Boleslovas Masiulis (1889-1965), prawnik, działcz polityczny. W latach 1919-1920 sędzia pokoju w Kownie, 1920-1926 sędzia sądu Okręgowego w Kownie, 1926-1928 sędzia Najwyższego Trybunału Republiki Litewskiej. W latach 1928-1940 członek Rady Stanu. Minister sprawiedliwości(1938).

138 Ros. статский советник – radca stanu.

frontu w ten sposób je przecina, że sforsowanie frontu w niektórych miejscach mogłoby bardzo poważnie całe dzieło zachwiać. Wszak gdyby nie wspaniały wysiłek Litwinów i gdyby nie ta twardość i spokój, które cechują Litwinów i chronią ich od demoralizacji, to ostatnie przełamanie ich frontu pod Szyrwintami i w kierunku na Onikszty mogło się skończyć katastrofalną klęską. Niebezpieczeństwo było bardzo poważne.
Cała ta afera wileńska Żeligowskiego ma dla Litwinów niewątpliwie znacznie doniosłe i stanowi pod wielu względami rzecz groźną. Nie wiadomo, jaki będzie los Wilna, nie wiadomo, czy Litwa, a przynajmniej Wileńszczyzna, nie ulegnie raz jeszcze inwazji bolszewików, ale samej idei Niepodległości Litwy, dla spotęgowania w Narodzie litewskim woli i tężyzny – próba obecna jest atutem dodatnim wagi ogromnej. Tylko wysiłek, tylko ofiara i, niestety, tylko krew wiąże Naród z jego Niepodległością i czyni z niej rzecz świętą, pozostaje w jego woli i której nic nam wyrwać nie zdoła, choćby na razie nawet nam ją odebrano. Naród, który nie tylko zapragnął Niepodległości, ale przelewał o nią krew, wróci do niej zawsze. Odrodzona Litwa chłopska kochała swoją sprawę, ale jak wiara, tak miłość bez czynów jest martwa. Państwowość i niepodległość spadła Litwie jakby darem niebios, wyśrubowana prostą grą wypadków dziejowych tej Wielkiej Wojny i spekulacją garstki polityków, wyzyskujących mniej lub więcej zręcznie tę grę. Gdyby się na tym tylko ta Niepodległość oparła, zmiana wypadków mogłaby jej Litwę pozbawić. Ale zeszłoroczna operacja walk przeciwko najazdowi Bermondta[139] i obecna wojna przeciwko Żeligowskiemu poślubiły Litwę z jej Niepodległością krwią ludu. Sądzę, że „krajowcy" wileńscy ani sam Piłsudski nie docenili tego momentu i zbyt lekkomyślnie wojnę tę rozpalili. Z pacyfistycznego chłopa urodził się nagle rycerz, który nóżkę baranka, umiejącą tylko tupać dla odstraszenia nieprzyjaciół, zamienił na pazury lwa, umiejące szarpać wroga. I jakkolwiek się sprawa wileńska skończy, jakiekolwiek będą dzieje tej kompanii wojennej, Niepodległość Litwy wyjdzie z tej próby krwawej w woli jej ludu twardsza, żywsza, pełniejsza ciała i krwi.
Kawaleria polska, która została odcięta na tyłach litewskich, grasuje, podług depesz dzisiejszych, w okolicach Siesik[140] i Szat[141]. Bardzo ciekawa rzecz, co się z nią stanie[142]. Jest to epizod romantyczny tych walk.
Są pogłoski i wersje w prasie o rozpoczęciu działań wojennych polsko-bolszewickich, o koncentracji wojsk sowieckich w kierunku frontu polskiego, o przerwaniu rokowań pokojowych w Rydze.[143] Wszystko się ciągle gmatwa, ale horyzont polityczny na wschodzie jest pełny ciężkich chmur i w powietrzu czuć nową burzę wojny. Petlurę bolszewicy biją.

22 listopada, rok 1922, poniedziałek

---

139Paweł Bermondt-Awałow (1881-?), oficer rosyjski, w 1919 tworzył pod protekcją Niemców oddziały wojskowe, które we wrześniu 1919 podjęły pochód na Rygę i Litwę północno-zachodnią (Szawle, Kurszany) i poniosły klęskę w walkach z Łotyszami i Litwinami.

140 Siesikai (Siesiki), miasteczko i dobra nad jeziorem tej nazwy, o 19 km od Wiłkomierza.

141 Šėtos (Szaty), miasteczko nad rzeka Abelą w powiecie wilkomierskim, o 36 km na zachód od Wilkomierza.

142 Brygada kawalerii płk Butkiewicza w tym czasie znajdowała się koło Kiejdan. Po zawarciu umowy o zawieszeniu broni 21 listopada brygada szła już jednak od Kiejdan z powrotem, wracając nieco dłuższą trasą. Wśród walk zajęła ona stację Traszkuny. Wieczorem zdobyła Andrioniszki i przeprawiła się przez Świętą. W dniu następnym toczyła ariergardowe walki i pod Sugintami rozbiła zasrępującą jej drogę kompanię litewską. Rano 24 listopada, po przejściu ponad 250 km, brygada osiągnęła własne linie. (P. Łossowski, op. cit. s. 362-363).

143 Rokowanie polsko-radzieckie o ryski traktat pokojowy zawarty w Rydze 18 III 1921.

Spotkałem się w cukierni Perkowskiego z Hektorem Komorowskim. Dowiedziałem się od niego trochę szczegółów o śmierci śp. Papy, ale bardzo mało, bo Hektor jest tak przejęty swoimi milionowymi interesami leśnymi i zarazem tak zakochany w sobie, tak pochłonięty chęcią błyszczenia w świecie arystokracji ziemiańskiej, w której szeregach usiłuje zająć stanowisko najbardziej obiecującego filara, że poza tym nic go właściwie nie interesuje. Śmierć dziada jest dla niego tylko okazją do okolicznościowego westchnienia, gdy o tym zajdzie mowa, akurat tyle, ile wymaga dobre wychowanie i opinia młodego człowieka bez zarzutu. W gruncie nic go nie obchodzi. Nawet w głębokie wrażenie na Hektora śmierci rodzonego ojca nie bardzo wierzę. Jest to w gruncie samolub i natura bardzo, bardzo zimna, bardzo rachunkowa. Toteż śmierć Papy, jego rodzonego dziada, jest dla niego epizodem, który ledwie mu w pamięci utkwił. Nie pamiętał nawet tego, czy Elizka była obecna przy śmierci Papy. Wiedział ledwie tyle, że śmierć, jak się tego domyślałem, była spowodowana przez gangrenę, która rozwinęła się z szaloną podobną szybkością. Umarł Papa bez bólów, w ciągłym stanie półsennym. O, Wojno! Umierają nam Rodzice, a ty toczysz spienione fale Ludzkości z taką zawieruchą burzy, że w grzmotach twoich, w krwawych błyskawicach twoich wypadków toną nasze żale osobiste; oczy, oślepione jaskrawymi wypadkami zdarzeń, przestają płakać strat, uszy, ogłuszane piorunami wieści, nie słyszą szlochów własnego serca! Papo, wieczne odpocznienie racz Tobie dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj Ci świeci i odpoczywaj w pokoju wiecznym, Amen.
Dowiedziałem się też od Hektora, że Marynia Römerowa pisała do Elizki Komorowskiej, że wybiera się do Bohdaniszek i że już poczyniła starania o paszport. Daj Boże, aby przyjechała i osiadła w Bohdaniszkach.
Gazety dzisiejsze podają cały szereg szczegółów o działaniach odciętej kawalerii nieprzyjacielskiej na terytorium litewskim. Ci ułani polscy grasują w okolicach Kiejdan i Datnowa[144]. Dokonali oni kilku zamachów na linię kolejową, uszkodzili w kilku miejscach tor pod Datnowem, usiłowali wysadzić most na rzeczce Abeli i pod Kiejdanami, chcieli przejść przez most na Wilii. Strzeże od nich toru kolejowego pociąg pancerny, ścigają ich i polują na nich strzelcy litewscy, usiłuje otoczyć wojsko regularne litewskie. Podług ostatnich wieści, toczy się z nimi bitwa w okolicach Opitołok[145]. Mają oni nawet pyroksylinę ze sobą, bo im ją odebrano podczas udaremnionej próby wysadzenia mostu. Kawaleria ta wynosi 6-8 eskadronów, to znaczy liczy do 800 jeźdźców.
Depesze podały wiadomość, że interwencja Komisji Kontroli Ligi Narodów[146] doprowadziła wprawdzie jeszcze nie rozejmu, ale już do zawieszenia ofensywy z obydwóch stron, litewskiej i Żeligowskiego. Za posłuszeństwo Żeligowskiego przyjęła na siebie odpowiedzialność Warszawa. Nie jestem jednak bynajmniej przekonany, że to jest początek trwały jakiejś likwidacji zawieruchy wileńskiej i skierowania jej na tory zarządzeń Ligi Narodów, mającej ustalić metodę przyszłego plebiscytu w Ziemi Wileńskiej. Plebiscyt ten pod egidą Ligi Narodów musiałby przede wszystkim być poprzedzony przez usunięcie wojskowych władz Żeligowskiego, zneutralizowanie Wilna i okupację dzielnicy przez siły zbrojne międzynarodowe. Wiem dobrze, że Wilno, to znaczy sfery miarodajne „Litwy Środkowej", są temu plebiscytowi Ligi

144 Dotnuva (Dotnowa, Datnów), miasteczko na prawym brzegu ruczaju Datnówki, która w Kiejdanach wpada do Niewiaży, w powiecie kiejdańskim, o 58 km od Kowna.

145 Opitołoki (Apitalaukė), miasteczko na lewym brzegu Niewiaży w powiecie kiejdańskim, o 6 km od Kiejdan i 53 km od Kowna.

146 Komisja Kontroli Ligi Narodów powstała z rezolucji 20 września 1920 r. Ligi Narodów. Na czele Komisji stał Francuz płk Chardigny, w skład jej wchodzili poza tym: Włoch płk Bergera, Anglik mjr Keenan, Hiszpan płk Herce, Japończyk kpt Yanamaki. Jako sekretarz przydzielony był do komisji Serb Lassicz.

Narodów przeciwne, nie chcą słyszeć o wycofaniu się i plebiscytowi Ligi Narodów są zdecydowane przeciwstawić zwołany przez nie same sejm. Ano, zobaczymy, co z tego będzie. Kto wie też, czy interwencja bolszewików nie pokrzyżuje wszystkie szyki.
Ale jeżeli miało przyjść do zneutralizowania Wilna i do plebiscytu, projektowanego przez Ligę Narodów, to może otworzyłoby się pole do układu między Litwinami a Polakami litewskimi, reprezentowanymi przez „krajowców" wileńskich. Wszak „krajowcy" głosowaliby za Litwą i mogliby poprzeć agitację w tym kierunku, gdyby Litwini zgodzili się na pewne warunki ugody. Kto wie, czy pozyskanie poparcia „krajowców" wileńskich w plebiscycie nie stanowiłoby dla Litwinów większej ugodowości. Tym większą staje się potrzeba rozwoju i intensyfikacji działalności naszego związku ścisłego, który przede wszystkim trzeba ile możności rozszerzać organizacyjnie. W zastosowaniu do zadań kampanii plebiscytowej nasz związek ścisły może być dla sprawy litewskiej bardzo użyteczny. A nawet i ewentualnie porozumienie z „krajowcami" wileńskimi, których ośrodkiem są masoni polscy, może być właśnie przez nasz związek zrealizowane. Musi on energicznie otrząsnąć się ze snu ostatnich lat kilku i stanąć czujnie do opieki sprawy krajowej.

23 listopada, rok 1920, wtorek
Podług ogłoszonego dziś komunikatu, odcięta na tyłach litewskich kawaleria polska cofnęła się z okolic kiejdańskich w okolice Traszkun[147]. Dotychczas nie udało się Litwinom otoczyć ją i schwytać. W ogóle zadanie wyłapania kawalerii, która z natury rzeczy jest szybka w ruchach, jest trudne, zwłaszcza gdy to się robi siłami niemal wyłącznie wolnych strzelców, to znaczy działających doraźnie partyzantów. Z ruchu tej kawalerii, skierowanego spod Kiejdan na Traszkuny, można wnosić, że dąży ona istotnie do wysunięcia się na stronę polską na Jeziorosy. Jeżeli to się jej uda, będzie to dla Litwinów znacznym minusem, nie tylko ze względu na aureolę jej śmiałych ruchów w głębi terytorium nieprzyjacielskiego i na wrażenie niedołęstwa ze strony litewskiej, ale też ze względu na dokonany przez nią głęboki wywiad i na kompromitację opinii strzelców litewskich w przekonaniu nieprzyjaciela. Wyobrażam sobie, jak zagraniczna prasa polska i polonofilska przesadza opisy nadzwyczajnych czynów tych ułanów, zniszczenie toru kolejowego, mostów itp.; nie bardzo się orientując co do szczegółów wojny litewsko-polskiej, czytając o Kiejdanach, Dotnowie, Traszkunach, o uszkodzeniu toru kolejowego na linii Kowno-Szawle, karmi też z pewnością swoich czytelników sensacjami o ewakuacji Kowna, o wejściu na terytorium litewskie przez wojska Żeligowskiego aż pod Żmudź itd. Z tego epizodu zabłąkanej kawalerii zrobiono z pewnością całą epopeję, a może już i tragedię katastrofy Litwy.
Widziałem się dziś z Białorusinem Wacławem Łastowskim, który stał się dziś „wielkim człowiekiem", bo aż prezesem Rady Białoruskiej Republiki Ludowej, to znaczy właściwie ni mniej, ni więcej, jak faktycznym naczelnikiem państwa Białej Rusi. Wprawdzie Republika Białoruska, proklamowana samorzutnie w r.1918, istnieje odtąd teoretycznie, a niepodległość tej republiki nie wykracza poza sferę psychiczną świadomości narodowców białoruskich, bo władza rządu Łastowskiego nie rozciąga się faktycznie ani na jedną piędź terytorium Białej Rusi, które jest faktycznie podzielone między Rosją bolszewicką a Polskę, jednak patrioci białoruscy nie rezygnują i Łastowski jest prawowitym ich niepodległej republiki naczelnikiem rządu. Rezyduje on z częścią swego rządu w Rydze w gościnie u Łotyszów, skąd kieruje akcją dyplomatyczną i zarazem trzyma nici usiłowań niepodległościowych w kraju. Cząstka

147 Troškūnai (Traszkuny), miasteczko nad Jostą w powiecie poniewieżskim, centrum gminy, o 42 km od Wilkomierza i 25 km od stacji kolejowej Subocz.

terytorium, do którego pretenduje Białoruś jako do swego narodowego terytorium państwowego, została traktatem lipcowym litewsko-bolszewickim wcielona do Litwy, obecnie zaś uznała ją za swoją „Litwa Środkowa". Gubernia grodzieńska z Pińszczyzną, Ziemią Nowogródzką i tzw. „korytarzem polskim" (powiaty wilejski i dziśnieński) – zostały polsko-bolszewickim rozejmem ryskim ustąpione przez Rosją Polsce. Dalej na wschód terytorium białoruskie ulega Rosji; na nim istnieje tytularnie twór quasi-państwowy, a właściwie fikcyjny, stanowiący formalnie ekspozyturę bolszewickiej Rosji pod nazwą Białej Rusi Sowieckiej Federacyjnej (sfederowanej z Rosją, jak Sowiecka Ukraina, Sowiecka Kirgizja, Baszkiria itd.). Na terytorium quasi-Białej Rusi Sowieckiej, w sąsiedztwie z granicą rozejmową polską, między Mińskiem a Mozyrem, grasuje watażka partyzancki przeciwko bolszewikom, generał Bułak-Bałachowicz[148], kreatura lewych kontrrewolucjonistów rosyjskich z Sawienkowem[149] na czele i Piłsudskiego. Bałachowicz na zajętych przez siebie terenach, których centrum stanowi Słuczczyzna, także inscenizuje jakąś quasi-Białoruś. Jak wnosić można z gazet, inscenizatorami Białej Rusi Bałachowiczowskiej są dwaj działacze Białorusini, Aleksinski i Sienkiewicz, którzy za czasów okupacji polskiej byli aktywistami białoruskimi orientacji polskiej a, jak mówią złe języki, byli na żołdzie polskim, najęci do służby polskiej w sprawie białoruskiej.

24 listopada, rok 1920, wtorek
Córeczka moja, Cesia Römerówna, jest już dziewczynką dziesięcioletnią. Pisać już umie. Gdyby Regina miała naturę trochę mniej twardą i nie obawiała się zbytecznie jakichś domniemanych intryg z mojej strony w stosunku do tego dziecka, o których nie myślę, mogłaby to zrobić dawno, aby dziewczynka napisała do mnie. Jakże byłbym jej wdzięczny! Nie zna mię Regina, jeżeli myśli, że starałbym się dziewczynką od niej oderwać lub że kiedykolwiek będę się starał ją z matką poróżnić i matkę w oczach dziecka w jakikolwiek sposób dyskredytować. Dawno już myślałem o tym, aby w jakikolwiek sposób choć listownie się z moją Ceśką zapoznać. Śmierć Papy daje mi okazję spróbowania tego. Miałem nadzieję, że może przyczyni się do tego Eugeniusz Römer[150], bo przecież Regina mieszka w miasteczku Cytowianach[151], a więc przy samym dworze Eugeniusza. Myślałem napisać do Eugeniusza i prosić go, aby powiedział mej córce o śmierci jej Dziadunia i wpłynął na napisanie przez nią do mnie choćby z tej okazji. Ale słyszałem, że już teraz i Eugeniuszowi Regina niełaskawa, a po cóż mam Eugeniuszowi narzucać jakieś pośrednictwo między mną a córeczką, może przykre dla niego przy tak drażliwym stosunku, jaki zachodzi między mną a Reginą. Po co Eugeniuszowi się w to wtrącać i kłaść palce między drzwi. Zaniechałem więc tego projektu i postanowiłem napisać bezpośrednio do Cesi. Napisałem więc dziś do niej listek tej treści:
„Kowno, 24.XI, 1920, Kochana Cesio! Choć mię nie znasz, ale słyszałaś z pewnością o ojcu swoim. Pierwszy raz piszę do Ciebie i mam nadzieje, że otrzymam od Ciebie odpowiedź, bo dziesięcioletnia dziewczynka, jak Ty, która umie pisać, nie zechce

148 Bułak-Bałachowicz – Stanisław Bałachowicz-Bułak.

149 Boris Sawinkow (Sawienkow, 1879-1925), rosyjski polityk, główny przywódca organizacji bojowej socjalistów-rewolucjonistów. W 1920 r. prowadził działalność antysowiecką w Polsce.

150 Eugeniusz Römer (1871-1943), ekonomista, polityk, działacz polonijny na Litwie, kuzyn Michała Römera. Syn Izydora i Celiny z Przeciszewskich. W okresie międzywojennym członek głównych organizacji polskich w Republice Litewskiej: Biura Informacyjnego, Komitetu Polskiego oraz „Pochodni".

151 Tytuvėnai (Cytowiany), miasteczko w powiecie rosieńskim o 30 km od Rosień. Dwór leżał nad brzegiem jeziora Gasztwinis. Posiadłość rodowa Eugeniusza.

martwić swego Papę i znajdzie dla niego słówko serdeczne. Twój listek, dzieciątko moje, pocieszy mię w smutku głębokim i żałobie. Niedawno bowiem umarł w Bohdaniszkach mój Papa a Twój Dziadunio Michał Kazimierz Römer. Choć i Jego nie znałaś, ale on o Tobie wiedział i przed śmiercią błogosławił wszystkie swoje dzieci i wnuki, a więc i Ciebie także, bo wnuczką Jego byłaś. Twój stary Dziaduńko, który umarł, był człowiekiem zacnym i Jego błogosławieństwa Pan Bóg wysłucha. To módl się za Niego. Kiedyś, jak wyrośniesz, posłyszysz od ludzi, jak Twojego Dziadunia szanowali i pokochasz pamięć jego.
Ty, Cieśko, szczęśliwa jesteś, bo masz Mamę, która Ciebie bardzo kocha i opiekuje się Tobą serdecznie, masz i ojca, a choć go jeszcze nie znasz, on Ciebie także kocha bardzo. Ja nie mam już Mamy, a teraz i Papa mój kochany umarł. Pociesz mię w tym smutku, dzieciątko moje, i napisz słówko do mnie.
Jak napiszesz do mnie, to poprosisz Mamę albo kogoś innego, kogo Mama pozwoli poprosić, żeby kopertę zaadresować do mnie po litewsku tak: Jo Malonybei Mykolui Römeriui, Teismo nariui. Kauno Apygardos Teismas. Kaunas.
Całuję Ciebie z całego serca, złotko moje, i błogosławię. Bądź grzeczna i dobra i słuchaj Mamy, a Pan Bóg da, że wyrośniesz na dzielną dziewczynę i kobietę i będziesz szczęśliwa w życiu, a rodzice będą mieli na starość pociechę z Ciebie. Czekam Twego listu.
Kochający Ciebie ojciec Michał Römer."
List ten wysyłam w kopercie zaadresowanej do Reginy, załączając taki do Reginy krótki list-prośbę:
„Kowno, 24.XI.1920. J. Wielmożna Pani Regina Römerowa w Cytowianach. Proszę nie odmówić prośbie ojca. Michał Römer".
Jutro list ten wyślę pocztą. Co prawda, znając usposobienie Reginy, wątpię, aby list ten miał jakikolwiek skutek. Wiem, że wszystkie dotychczas próby moje były jałowe. Ale spróbuję. A nuż się serce Reginy zmiękczy. Tego, żeby Regina dotychczas w ogóle ukrywała przed córką istnienie moje jako ojca – tego nie chcę nawet przypuszczać.
Dziś wreszcie otrzymałem asygnaty na wypłatę zaległej mi pensji i zwrotu kosztów podróży z Wilna do Kowna. Z pierwszego tytułu – 2700 mk. (ost), z drugiego – 977 mk. (ost) i 30 fen., razem – 3677 mk. 30 fen. Jutro odbiorę pieniądze w kasie państwowej.
Kupiłem dziś sobie zegarek. Zegarek jest czarny, ale podobno ma być dobrej firmy genewskiej („Tobias") i podobno chodzi b. dobrze. Zapłaciłem 350 mk. i za łańcuszek z „nowego złota" – 70 mk. Był zegarek srebrny za 450 mk., ale firma podobno marniejsza. Nie będę już miał takiego pięknego zegarka, jak mój stary nieodżałowany.
Siedziałem dziś w sądzie na sesji karnej z prezesem Mačysem i sędzią Narutowiczem.
W sobotę myślę wyjechać do Bohdaniszek na urlop dwutygodniowy.

25 listopada, rok 1920, czwartek
Chardigny, prezes Komisji Kontroli Ligi Narodów w sprawie konfliktu polsko-litewskiego, bawi w Kownie. Usiłuje on doprowadzić do rozejmu między Litwinami a wojskiem Żeligowskiego. Od kilku dni działania zaczepne z obydwóch stron na żądanie Komisji Kontroli ustały, ale czy to jest istotnie wstęp do rozejmu, o tym trudno jeszcze sądzić. Sytuacja jest jeszcze bardzo niejasna. Choć niby Polska, jak przynajmniej z oświadczeń p. Chardigny wnosić można, wyraża gotowość do zawarcia rozejmu i poddania sprawy wileńskiej Lidze Narodów, biorąc na siebie odpowiedzialność za Żeligowskiego, z którym bezpośrednio Liga Narodów, a więc i Komisja Kontroli nie traktuje, i choć Litwa także robi gest posłuszeństwa życzeniom komisji p. Chardigny, wyrażając Polsce urzędowo swoją gotowość do zaniechania działań wojennych z

ekspozyturą warszawską Żeligowskiego i żąda tylko, aby p. Chardigny uzyskał od Polski gwarancję dotrzymania słowa, czego Litwa żądać może słusznie po doświadczeniu rokowań suwalskich, jednak coś jest w tym wszystkim niedopowiedzianego, co czyni sprawę tego rozejmu pytanie otwartym. Przede wszystkim, wszyscy się tu oglądają na Rosję, to znaczy na bolszewików, czując, że od ich zachowania się w sprawie pokoju czy wojny z Polską zależeć będą w pierwszym rządzie wszystkie sprawy na wschodzie. Druga rzecz – to stanowisko Żeligowskiego i jego rządu: czy zechce on szczerze i w dobrej wierze zastosować się do wskazówki z Warszawy i czy wskazówkom urzędowym Warszawy nie będą przeciwstawione wskazówki z Belwederu? I czy uległość Żeligowskiego posunie się aż tak daleko, że podda się on wszystkim zarządzeniom Ligi Narodów, nie wyłączając zaniechania zamierzonych wyborów do Sejmu „Litwy Środkowej" w Wilnie i nawet ewentualnie wycofania się ze sporego terytorium? Sądząc z nastrojów i kategorycznych zamierzeń czynników wileńskich w tym czasie, gdym opuszczał Wilno, można bardzo poważnie wątpić o uległości Żeligowskiego, jeżeli tylko różne względy zewnętrzne, jak postawa bolszewików wobec Polski, ich zwycięstwa nad Wranglem, Petlurą i Bałachowiczem, niepowodzenie ostatniej ofensywy Żeligowskiego przeciwko Litwinom pod Szyrwintami i Giedrojciami itd., a kto wie, czy może i jakieś tajne zapewnienia, uczynione przez Francję Polsce w sprawie plebiscytu wileńskiego, nie skruszyły poprzedniej twardej oporności Wilna. Że Komisja Kontroli Ligi Narodów, a w szczególności jej prezes, p. Chardigny, faworyzują jaskrawie stronę polską przeciwko litewskiej – to Litwini widzą na każdym kroku i to zdwaja ich czynność i budzi oczywiście nieufność. Litwini dostrzegają też, że p. Chardigny zdaje się mieć na myśli taki sposób likwidacji konfliktu, którym by za cenę wystąpienia Litwinów po stronie polskiej przeciwko bolszewikom doprowadził do układu bezpośredniego i do ustępstw Polaków na rzecz Litwy w sprawie Wilna. Toteż Litwini mają się bardzo na baczności, nie przejmują się naiwnie wiarą w rozejm, w plebiscyt pod egidą Ligi Narodów itp., dyskredytują w swojej prasie p. Chardigny, ale udają na zewnętrz, że wierzą w to wszystko, co p. Chardigny zarządza i że szykują się do rozejmu i innych postanowień, biorąc wszystkie za dobrą monetę. Litwini okazali się narodem bardzo zdolnym i zręcznym tak na polu wojennym, jak dyplomatycznym. Mają oni niewyczerpany spokój, są uparci, umieją udawać dobroduszną łatwowierność, gdy w istocie wszystkich prześcigają nieufnością i czujnością, są nieugięci w swojej linii przewodniej, do której zawsze nawracają, mają spryt i przebiegłość, znakomicie maskowaną pozorną dobrodusznością i, gdy trzeba, uległością. Niełatwo ich oszukać, a raz oszukani, jak w sprawie wileńskiej przez Polskę, nie dadzą się nabrać powtórnie i wytrwałością, spokojem, twardym taktem, upozorowanym na wszelkie powolności, rozwagą i wyzyskiwaniem błędów przeciwnika oraz okoliczności potrafią nieraz własną porażkę zużytkować powoli na własną korzyść. Zdają się oni mówić: „Tak cóż, panoczku, my prości, my nic nie wiemy, my i owszem – na wszystko gotowi, co każecie, my chcemy tylko spokoju i zgody", a w istocie grę prowadzą bardzo rzeczną po cichu na wszystkie strony i każdą okoliczność systematycznie wyzyskują. Podziwiam nieraz zręczność dyplomacji litewskiej, cichej, bardzo celowej i prostej, która jednak jest bardzo charakterystyczną i zdaje się potwierdzać stary czterowiersz o Żmudzinie:

Kiedy godzina
Ukąsi Żmudzina
Od jadu Żmudzina
Umiera godzina.

Niebezpiecznie jest kąsać Żmudzina. Sam on jest łagodny i nie ma zwyczaju kąsania, ale biada temu, kto go lekkomyślnie ukąsi. Ani się spostrzeże, jak to ukąszenie wyjdzie na złe nie ukąszonemu, lecz kąsającemu.
Zdaje się, że kawaleria polska, która się zaawanturowała na tyły litewskie, zdołała wymknąć się którędyś między Ucianą a Jeziorosami. Nie ma o tym żadnych wyraźnych oświadczeń urzędowych, ale między wierszami „Lietuvy" można to wyczuć. W każdym razie, nic się już o obecnych ruchach tej kawalerii nie pisze, jakby jej nie było, a przecież nie zniszczono jej i nie wyłapano. Chyba więc się wymknęła.
Wieczór cały spędziłem na herbacie u Jerzostwa Šaulysów. Šaulys przed paru dniami wrócił z Rygi z rokowań z Łotyszami. Głównie opowiadałem mu szczegółowo o Wilnie.

26 listopada, rok 1922, piątek
Wieczorem nasz ścisły związek zebrał się na posiedzeniu w mieszkaniu Ślażewicza. Obecni byli: ja, Michał Ślażewicz, dr Jerzy Šaulys, Wacław Biržiška, Wacław Bielski, Dominik Siemaszko, Felicja Bortkiewiczowa i Augustyn Janulaitis. Nie przybył Stefan Kairys, a Michał Biržiška wyjechał wczoraj do Wilna, licząc, że za jego pośrednictwem uda się może nawiązać poufny kontakt z Kownem na rzecz układów; gdym jechał do Kowna, Witold Abramowicz prosił mię o zakomunikowanie z Michałowi Biržišce, że w razie jego przyjazdu gwarantowane mu są bezpieczeństwo osobiste i nietykalność i że wszystkie władze oraz żandarmerja „Litwy Środkowej" zostały uprzedzone, aby Michałowi Biržišce nigdzie żadnych przeszkód ani trudności przy przejeździe nie czynie; sam Biržiška od dawna pragnął dostać się do Wilna dla kierowania tam akcją litewską; ciekawe jest jednak i nie licujące z zapewnieniami Abramowicza to, że przed kilku dniami, podług ścisłych informacji, które nadeszły do Kowna, aresztowani zostali w Wilnie – żona Michała Biržiški, p. Bronisława Biržiškowa[152], i jego brat Wiktor Biržiška wraz z kilkunastu innymi Litwinami – uczniami i nauczycielami gimnazjum litewskiego w Wilnie; areszty te nie wpłynęły oczywiście na postanowienie Michała Biržiški; przeciwnie – dodały mu bodźca do wyjazdu do Wilna, bo przez areszty i świeże „męczeństwo" jego rodziny – autorytet jego i powaga w Wilnie jeno wrośnie, co da mu większą siłę moralną wobec strony przeciwnej, a gdyby nawet on sam miał być osobiście aresztowany, to tym bardziej zyskałby jeno na tym.
Na posiedzeniu dzisiejszym Ślażewicz i Šaulys, którzy przed kilku dniami wrócili z Rygi, referowali nam o usposobieniu Łotyszów i o prądach, jakie się dają spostrzegać w stosunku Łotyszów do sprawy polsko-litewskiej. Šaulys jeździł do Łotwy z ramienia rządu litewskiego z misją specjalną, Ślażewicz – na czele delegacji sejmowej litewskiej niby dla pozdrowienia Sejmu łotewskiego w Rydze z okazji obchodu dwuletniej rocznicy ogłoszenia niepodległości Łotwy, w istocie zaś dla propagandy, aby pozyskać sympatie łotewskie dla Litwy w jej zatargu obecnym z Polską. Smutna to jest – a dla mnie szczególnie – rzecz, że Litwini zmuszeni są do prowadzenia na wsze strony akcji przeciwko Polsce i że nasi najbliżsi przyjaciele, działając w obronie niepodległości Litwy, zmuszeni są wytężać wszystkie siły do kampanii antypolskiej, co nie może nie pozostawić na stałe osadu goryczy i złej woli z obydwóch stron na przyszłość, utrudniając coraz bardziej perspektywy jakiegokolwiek porozumienia w przyszłości. Smutno, ale, niestety, nie jestem w stanie czynić im z tego powodu zarzutów, bo Polska,

152 Bronisława Biržiškienė (Biržiškowa (1879-1955), działaczka Partii Socjaldemokratów Litewskich (1907-1915), w latach 1915-1922 nauczycielka w gimnazjum litewskim w Wilnie, w latach 1919-1922 członkini Tymczasowego Komitetu Litwinów Wileńskich, w 1922 r. deportowana wraz z 33 innymi działaczami na Litwę Kowieńską, w 1932 r. prezeska Sekcji Kobiecej Związku Wyzwolenia Wilna, od 1949 r. w USA.

usiłując Litwę zniewolić, usiłując wprząc ją w charakterze służebnicy do rydwanu swej polityki, miast znaleźć w niej sojusznicę metodą poparcia jej niepodległości, zmusza sama Litwinów do obrony swej suwerenności i do prowadzenia przeto najostrzejszej kampanii przeciwko Polsce. Jak wiadomo, Łotwa ulega w dużym stopniu urokowi militarnemu Polski, który dał jej realnie możność odzyskania Łatgalii i przyczynił się skutecznie do ocalenia jej niepodległości od zalewa bolszewików. Sfery wojskowe Łotwy i polityczne koła rządzące są usposobione polonofilsko, a do niedawna cała polityka zagraniczna Łotwy orientowała się na Warszawę. W sporach polsko-litewskich Łotysze zawsze skłaniali się na stronę Polski, a Litwę z jej polityką antypolską, dyktowaną głównie sporem o Wilno i odpornością na dążenia polskie do uczynienia z Litwy formacji wasalnej względem Polski, Łotysze skłonni byli uważać za głaz leżący na drodze do utworzenia wielkiego bloku obronnego państw kresowych pod przewodem Polski przeciwko Rosji, głaz, który ewentualnie powinien być usunięty. Pewne nieufność radykalnej chłopskiej i robotniczej lewicy łotewskiej do „pańskiego" narodu polskiego topniała w promieniach kombinacji politycznych. Do pogorszenia stosunków między Łotwą a Litwą przyczyniała się i polityka poprzedniego rządu litewskiego z Voldemarasem w szczególności. W myśl tej polityki, Łotwa i Estonia, jako leżące na drogach Rosji do Bałtyku, nie mają szans utrzymania niepodległości i są „*morituri*"[153], bo nigdy odrodzona mocarstwowa Rosja nie wyrzeknie się portów bałtyckich i panowania na tym morzu. Litwa, która właściwie nie posiada ważnych dla Rosji portów bałtyckich, może uniknąć pochłonięcia przez Rosją, ale nigdy nie unikną tego Łotwa i Estonia. Toteż Litwa nie powinna wiązać swojej sprawy ze sprawą Łotwy i Estonii i nie ma powodu do szukania z nimi zbliżenia. I o ile Polska czyniła ze swej strony bardzo dużo, aby pozyskać Łotwę, obudzić w niej sympatię dla siebie i rozwinąć w Łotwie wielką propagandę polonofilską i antylitewską, o tyle Litwa zimno i obojętnie lekceważyła Łotwę. Otóż obecnie Litwinów stosunek ten do Łotwy uległ zmianie. Zrozumiano, że więcej, niż na kombinacje międzynarodowe i na pozyskania protekcji różnych czynników Ententy – liczyć trzeba na własne siły i na związki realnych interesów z sąsiadami. Tym bardziej, że niebezpieczeństwo, płynące z akcji Żeligowskiego w Wilnie i z ewentualnego jego „marszu na Kowno", to znaczy na Litwę etnograficzną, nakazywało szukać natychmiast sojuszników i zaniechać dotychczasowego odosobnienia. Jak świadczą Šaulys i Ślażewicz, w usposobieniu szerokich kół politycznych i sejmowych Łotwy udało się im wytworzyć bardzo widoczną zmianę na korzyść Litwy w jej sprawie z Polską. Mianowicie Litwini zdołali uwydatnić Łotyszom, że ewentualne zapanowanie Polski nad Litwą stworzyłoby bezpośrednie niebezpieczeństwo dla Łotwy, Polska bowiem, która nie otrzymała całkowitej satysfakcji w sprawie Gdańska i która zmuszona jest szukać swobodnego ujścia do Bałtyku, posiadając Litwę – nie zadowoliłaby się ani oczywiście Połągą, ani nawet Kłajpedą, jeno musiałaby sięgnąć po Libawę[154], której port uwieńczyłby dopiero panowanie nad Litwą. Litwa jest dla Polski tylko hinterlandem Libawy. Toteż Polska nie tylko nie broniłaby Łotwy od Rosji, ale chętnie by ją nawet sprzedała Rosji za ustąpienie Polsce samej tylko Libawy. Nie Łatgalia więc jest właściwym kamieniem obrazy, który się przyczynia do pewnego ochłodzenia stosunków Litwy do Polski, ale obawy o Libawę. Płodem propagandy litewskiej, który Litwini przynajmniej sobie przyznają, jest nota, zakomunikowana przez Łotwę Polsce. W nocie tej Łotwa wyraża swoje „*desinteressement*"[155] w sprawie między Polską a Litwą o Wilno, natomiast

153 Łac. morituri – skazani na zgubę, idący na śmierć.

154 Libawa (Liepaja), miasto portowe w Łotwie. Leży na wąskiej mierzei, łączącej tak zwane Małe Jeziora z Bałtykiem.

155 Franc. „desinteressement" – obojętność, brak zainteresowania.

oświadcza, że forsowanie przez wojska polskie Litwy etnograficznej (Kowieńskiej) musiałoby być uznane przez Łotwę za zagrażające jej interesom, wobec którego ona obojętną być nie może

27 listopada, rok 1920, sobota
Będę się starał się streszczać nadal regularnie w dzienniku nasze posiedzenia związku ścisłego. Poza referatem ryskim Ślażewicza i Šaulysa, który był uzupełniony szeregiem wyjaśnień, udzielonych w odpowiedzi na poszczególne pytania zebranych, wystarczyło czasu tylko na omówienie kandydatur. Od czasu wznowienia działalności naszego związku nie przyjęliśmy dotychczas żadnego nowego towarzysza do naszego grona. Ze względu na to, że chodzi nam o rozszerzenie naszej działalności i że chcielibyśmy w nadchodzących wypadkach, jak rozstrzygnięcie sprawy Wilna i inne, odegrać rolę aktywniejszą i przeto ogarnąć wpływami naszymi większe i szersze sfery polityki tak wewnętrznej, jak zewnętrznej, musimy przede wszystkim sami być liczniejsi i bardziej rozgałęzieni. Skądinąd wszakże ścisłość naszego związku i dbałość o dopuszczanie doń tylko wyborowego elementu ludzkiego, który by odpowiadał wysokim kwalifikacjom nie tylko politycznym, ale i moralnym, wymaga uszanowania przez nas starej tradycyjnej procedury przyjmowania nowych członków. Każda kandydatura jest poddawana przede wszystkim publicznemu omówieniu na zebraniu. Jeżeli choć jeden głos wypowiada się przeciwko niej kategorycznie, choćby bez podania motywów, już przez to samo kandydatura upada. Jeżeli się utrzymała, to się wyznacza *ad hoc* dla każdej kandydatury dwóch członków, których zadaniem jest przeprowadzić, ile możności, staranne dochodzenie o osobie kandydata, o jego przeszłości, życiu, wartości moralnej i ideowej, jak również wybadać go przez osobistą z nim rozmowę. Rezultaty tego dochodzenia są następnie referowane na zebraniu i wtedy ostatecznie kandydatura zostaje przyjęta lub odrzucona. Przyjęcie kandydatury może być tylko jednogłośne. Po przyjęciu kandydatury jednemu z członków – zazwyczaj temu, który ją pierwszy stawiał – poleca się rozmówić z kandydatem o wstąpieniu jego do związku. Jeżeli kandydat wyraża zgodę, wtedy zostaje przyprowadzony na jedno z następnych posiedzeń, na którym dokonywa się obrządek przyjęcia. W streszczeniu obrządek ten, jak się praktykował on u nas poprzednio, wyrażał się w następującym: kandydat po przyprowadzeniu go do mieszkania, gdzie się odbyć miało posiedzenie, był umieszczany w osobnym pokoju. Było surowo wzbronione informować go z góry o osobach, które należą do związku i które być mają na posiedzeniu. Nie mógł on znać żadnego nazwiska członków, oprócz z konieczności tego, który z nim o wstąpieniu do związku rozmawiał. W osobnym pokoju dawano mu arkusz papieru, pióro i atrament. Miał on udzielić na piśmie odpowiedzi na cztery następujące pytania: 1. Pański stosunek do rodziny? 2. Pański stosunek do Ojczyzny i w szczególności do kraju naszego (dodatek o stosunku do kraju był przez nas opisany wtedy, kiedy kraj nasz nie miał samodzielności politycznej, a redakcja tego pytania wskazuje, że pojęcie Ojczyzny mogło się w naszym związku nie utożsamiać z pojęciem ściślejszym „naszego kraju", pod którym rozumiano u nas Litwę i Białoruś; sądzę, że w obecnej budowie naszego związku, a raczej w jej tendencjach, bo jeszcze budowa nie zostało ujęta w kształty konstytucji, przeciwstawienie kraju i Ojczyzny zniknie, a kraj w każdym razie zostanie ograniczony do Litwy)? 3. Pański stosunek do ludzkości? 4. Pańskie przekonania polityczne i religijno-moralne? Po zredagowaniu przez kandydata odpowiedzi na pytania odpowiedzi te odczytywano na posiedzeniu w nieobecności kandydata. Jeżeli odpowiedzi były ze stanowiska ideowego zadawalające (a nie było u nas wypadku, aby się stało przeciwnie), wprowadzano kandydata na posiedzenie; na razie jednak, aby nie mógł widzieć obecnych, albo gaszono światło, albo zawiązywano kandydatowi przed

wprowadzeniem oczy. Wtedy przewodniczący lub ktoś inny z członków raz jeszcze informował kandydata o zasadach i celach związku i udzielał wyjaśnień na wszelkie jego pytania. Potem, jeżeli kandydat się nie cofał, składał on uroczyste przyrzeczenie podług ustalonego tekstu w jego języku ojczystym. Podczas składania uroczystego przyrzeczenia wszyscy członkowie musieli stać z ręką prawą na sercu. Po złożeniu przyrzeczenia przewodniczący ogłaszał uroczyście przyjęcie nowego członka do związku, po czym zapalano światło lub zdejmowano nowemu członkowi opaskę z oczu. Ceremonia kończyła się uściśnieniem nowego członka przez każdego z członków z osobna. Na posiedzeniu wczorajszym były omawiane kandydatury: obecnego prezesa ministrów dr Griniusa, obecnego ministra spraw wewnętrznych Skipitisa[156], posła do Sejmu z frakcji s.-d. Czapińskiego[157] i kilku innych, w tej liczbie Finkelsztejna[158], Bilewicza, Stanisława Narutowicza. Finkelsztejna i Narutowicza kandydatury odrzucono, bo się znalazła przeciwko nim opozycja, Bilewicza zakwestionowano ze względu na jego rzekomą prawicowość poglądów politycznych, zbliżonych do „Pažangi";[159] Griniusa i Skipitisa postanowiono przyjąć już niezwłocznie , o ile zgodzą się na wstąpienie, względem Czapińskiego, a także dr Staugaitisa[160] zarządzono dochodzenie.
Dziś rano wyjechałem z Kowna i na godz. 9 wieczór byłem w Rakiszkach. Tam czekały mię już konie kowaliskie, którymi na noc do Kowaliszek pojechałem. W Kowaliszkach zastałem całą rodzinę w komplecie.

28 listopada, rok 1920, niedziela
Spędziłem cały dzień w Kowaliszkach.
Od Elizki dowiedziałem się szczegółów o śmierci śp. naszego kochanego Papy. Śmierć została spowodowana, jak się domyślałem, przez gangrenę, która się zaczęła w lewej nodze, a stąd z przerażającą szybkością rozszerzać się zaczęła po całym ciele. Rozkład tkanek postępował w ostatnich dniach i godzinach z gwałtownością piorunującą. Początki gangreny musiały sięgać jeszcze tego czasu, kiedy ja byłem u Papy w Bohdaniszkach. Wtedy na lewej nodze na miękiszu między kolanem a stopą była u Papy plama czerwonawa; na przestrzeni tej plamy Papa odczuwał ciągły świerzb i jakby pieczenie naskórka i ciągle prosił Kazimierza, aby skrobał lub nacierał oliwą świerzbiące miejsce; trwało to przez czas dłuższy, a stopniowo w coraz innych miejscach, jak w okolicach wylotu kiszki odchodowej, w pachwinie itp., wytwarzały się takież świerzbiące miejsca naskórka, pod którymi dokonywał się proces rozkładu tkanek, czyli gangreny. Pierwsza otworzyła się mała ranka na lewej nodze; z ranki, mimo że była mała, bardzo obficie sączyła się materia; w pobliżu u tej ranki szły plamy

156 Rapolas Skipitis (1871-1976), adwokat, działacz polityczny i społeczny. 1920-1922 minister spraw wewnętrznych. 1923-1926 poseł w dwóch kolejnych sejmach. 1925-1928 przewodniczący Partii Gospodarzy (Ūkininkų partija). 1927-1928 przewodniczący Związku Szaulisów.
157 Vincas Čepinskis (Czapiński, 1871-1940), fizyk, pedagog, działacz społeczny. W 1919 r. był ambasadorem Litwy w Londynie, 1919-1922 poseł do sejmu Ustawodawczego Litwy we frakcji socjaldemokratów. VI-XII 1926 minister oświaty. 1922-1936 profesor na uniwersytecie w Kownie, 1923-1924 i 1929-1933 rektor tej uczelni.
158 Ozeris Finkelšteinas (Finkelsztejn, 1863-1932) adwokat, działacz społeczny. Długoletni wiceprezes Rady Adwokackiej w Kownie, wiceprezes Rady Narodu Żydowskiego w Kownie, poseł sejmów: Ustawodawczego, I i II.
159 „Pažanga", Lietuvių tautos pažangos partija, stronictwo kierunku endeckiego, przedstawiała interesy wielkoprzemysłowców i wielkoposiadaczy ziemskich. Powstało w 1916 r. w Rosji. Założycieli: Jurgis Kubilius, Juozas Tumas, Liudas Noreika, Augustinas Voldemaras. Wpływ na społeczeństwo litewskie był mały, posłów w sejmach litewskich nie miała.
160 Justinas Staugaitis (1866-1944), ksiądz, działacz polityczny. Jeden z liderów litewskiej chrześcijańskiej demokracji. 1918 wiceprzewodniczący Litewskiej Rady Krajowej (Taryby). 1922-1926 poseł na Sejm. 1926 zarządca biskupstwa telszewskiego.

i kółka o czarnych obwódkach, w jakiś czas potem pękła skóra na dużej przestrzeni wzdłuż na lewej nodze przy ikrze; polały się z tej rany olbrzymie ilości materii, które ciekły i sączyły się nieustannie; cała ikra, to znaczy cały miękisz ciała pod kością między kolanem a stopą uległ rozkładowi tkanek i wypłynął cuchnącą materią; nie możny było nadążyć podkładać suchej bielizny, nie starczyło prześcieradeł czystych; piernat i oba materace, na których leżał Papa, były przepojone wysiękami materii. Olbrzymia rana o czarnych i granatowo-zielonych barwach drążyła w głąb aż do obnażonej kości, a od jądra rany biegły w różnych kierunkach głębokie tunele takichże ran gangreny, z których wciąż spływały strumienia materii. W ostatnich dniach takaż rana rozkładowa ogarnęła wylot kiszki odchodowej, a w dniu śmierci utworzyła się ranka w pachwinie tyłu, która w ciągu godzin rozrosła się w olbrzymią ziejącą ranę wielkości talerza, pełną tunelów, jak ta na nodze. Był to już gwałtowny rozkład tkanek za życia, gangrena w najmożliwszym postępie. Całe ciało Papy było świerzbiące, a Kazimierz godzinami całymi skrobał Papę ręką przez gazetę lub nacierał skórę oliwą, potem tłuszczem borsuczym. 5 października, w dniu, w którym Papa umarł, przyjechała odwiedzić Papę Elizka Komorowska. Przyjeżdżając przywiozła z sobą dr Kozłowskiego z Rakiszek. Doktor skonstatował gangrenę, ale powiedział, że nie jest wykluczone, że jeszcze i ze dwa tygodnie Papa pożyje. O ratunku nie było mowy, więc doktor przepisał tylko jakieś smarowanie wnętrza ran dla ulżenia choremu. Elizka została w Bohdaniszkach do wieczora. Papa był tego dnia serdeczny, był bardzo spokojny i poważny, był słodki, o nikim złego słowa nie powiedział, nie miał ani krzty gniewu i niecierpliwości. Był przytomny i tylko parę razy na chwilę miał jakieś majaczenia; raz zdało się Papie, że są w Bohdaniszkach bolszewicy, ale się uspokoił i ucieszył, gdy Kazimierz zapewnił Papę, że Polacy już ich wygnali, drugi raz – kazał zaprzęgać jakiś wóz w parę koni i podawać pod ganek. Nocy poprzedniej nie spał wcale, ale tym razem i we dnie nie był senny. Skarżył się Elizce, że czuje się na wszystko obojętny i że nic mu się nie chce. O śmierci Papa nie myślał i w ogóle bardzo rzadko o niej w chorobie wspominał. Żadnych więc rozporządzeń na śmierć nie czynił, żadnych szczególnych wspomnień dzieciom nie poświęcał, jeno chciał, aby Elizka wciąż przy Nim była, a ponieważ Papę rozmowa męczyła, więc prosił tylko, aby Elizka o czymkolwiek rozmawiała w Papy obecności z Kazimierzem, byle tylko Papa czuł przy sobie ludzi bliskich i ludzi żywych. Sprawiało to rozrywkę Papie, który słuchał rozmowy i tylko od czasu do czasu akcentował coś spokojną zwięzłą uwagą. Kiedy Elizka chciała o zmroku odjechać i kiedy Papa się o tym dowiedział, poprosił ją serdecznie, aby pozostała na noc, aby uczyniła to na prośbę starego chorego Ojca. Elizka została. O godz. 9 wieczorem Papa zjadł jeszcze talerz mleka kwaśnego z kartoflami. Odmówił poprzednio z Elizką całą jedną tajemnicę różańca. Wkrótce po kolacji Papa powiedział do Elizki, że pora jest spać. Elizka dała Papie dobranoc i poszła do sąsiedniego pokoju się położyć. Przy Papie został sam Kazimierz. Papa powiedział Kazimierzowi, aby się położył, bo musi być zmęczony i aby zgasił lampę. Kazimierz lampę postawił na umywalni, zasłaniając sobą Papę od blasku lampy, umył ręce i wycierał je ręcznikiem. W tej chwili Papa coś jakby chrapnął, jakby odchrząknął głośno i wnet potem zawołał głośnym szeptem, na ile stać było głosu Papy i z wielkim naciskiem: „Kazimierz!”. Kazimierz odwrócił się szybko i tknięty jakimś uczuciem niepokoju podszedł do Papy z lampą w ręku. W pierwszej chwili ujrzał Kazimierz wzrok Papy mocno utkwiony w niego, jakby coś chciał powiedzieć, ale wnet oczy Papy stanęły słupem, z krtani wyszło głębokie chrapliwe westchnienie, które podrzuciło trochę głowę Papy. Przerażony Kazimierz poznał, że Papa kona. Postawił lampę, zawołał głośno na Elizkę: „Pani hrabino, pan kona!” i zaczął zapalać gromnicę. Elizka nadbiegła w negliżu, podbiegła

do głowy Papy, by ją unieść, ale w tej chwili Papa dwukrotnie westchnął i umarł. Była godzina 10 wieczorem.

29 listopada, rok 1920, poniedziałek
Dziś rano pojechałem do Bohdaniszek, gdzie zabawię się do końca przyszłego tygodnia. Zastałem w Bohdaniszkach Jakszuka i Kazimierza. Naturalnie, że prosiłem Kazimierza o powtórzenie mi szczegółów o ostatnich czasach choroby i śmierci Papy. Kazimierz mi wszystko szczegółowo opowiadał. Kazimierza kochaliśmy zawsze nie jako starego sługę tylko, ale jako niemal członka naszej rodziny, z którą od czasów naszego dzieciństwa żył on zawsze wspólnym życiem domowym. Obecnie będziemy mu jeszcze wdzięczni za opiekę troskliwą nad ojcem naszym w chorobie śmiertelnej. Nikt, jak Kazimierz, nie doglądałby tak starannie, tak troskliwie, z takim poświeceniem – chorego Papę.
Żadna siostra miłosierdzia, żadna pielęgniarka, nawet córki rodzone Papy nie umiałyby być tak oddane, tak słodkie, jak był nim dla Papy Kazimierz.
Dom bohdaniski stał się teraz dla nas świątynią naszej przeszłości. Jest pełny tęsknoty; cały tchnie pamięcią świeżo zmarłego Papy i nie mniej żywą pamięcią Mamy. Może po pewnym czasie, o ile tu zamieszka któraś z sióstr naszych, znów się napełni życiem bieżącym, ale w tej chwili jest tylko wyrazem przeszłości, którą dyszy każdy pokój, każdy mebel, każda ściana tego domu.
Dotychczas śmierć omijała dom bohdaniski. Wspomnienia dotyczą tu tylko różnych epizodów życia. Osoby bliskie, których pamięć utkwiła w domu bohdaniskim, odeszły stąd, a te, które umarły, umierały gdzie indziej. Dopiero śmierć Papy dokonała się w tym domu. Dom mieszkalny bohdaniski zbudowany został przed laty 45, w roku 1874; jego skrzydło poprzeczne, czyli przybudówka, jest o lat 11 młodsze – zbudowane w r. 1885. Przez ten czas umarły w tym domu tylko dwie osoby: mój starszy braciszek Michaś, zmarły w r.1877 w wieku 7 miesięcy, i Papa w r.1920. I Michaś, i Papa umarli w tym samym pokoju, a mianowicie w pierwszym na lewo z korytarza, idąc od przedpokoju. Ale w tymże pokoju urodziliśmy się wszyscy, którzy się urodzili w tym domu, a mianowicie: nasze siostry Elwira i Marynia, nasz nieboszczyk braciszek Michaś i ja. Jest to więc pokój życia i śmierci w tym domu. W domu tym nie umarł więcej nikt, ani z rodziny naszej, ani ze sług, ani z nauczycielek.
Po śmierci zwłoki Papy były postawione na katafalku w starym salonie portretowym. Wyglądał Papa po śmierci, jak powiadają Elizka i Kazimierz, bardzo ładnie. Zmarszczki z twarzy zeszły, pięknie regularne rysy uwydatniły się w całej pełni w powadze i spokoju śmierci. Wyglądał Papa o lat ze dwadzieścia młodziej. Zitka sfotografowała twarz Papę po śmierci, ale klisza została uszkodzona. Co za szkoda, że nie mamy portretu Papy do naszej galerii rodzinnej! W szeregu portretów przodków byłaby to twarz najpiękniejsza ze wszystkich. Można będzie obstalować portret z fotografii, ale to nie będzie to, co z żywego modelu. Mnóstwo ludu z sąsiednich wiosek modliło się i śpiewało pieśni pobożne u katafalku ze włokami starego pana, który w swojej młodości był jeszcze osobiście dziedzicem nie tylko dworu, ale poddanych – dziadów i ojców obecnego pokolenia. Dziedzictwo Papy na Bohdaniszkach sięga jeszcze ostatnich lat pańszczyzny, a osobiście przemieszkał Papa i przegospodarował w Bohdaniszkach nie mniej niż 57 lat – piękny kawał czasu, czyniący z człowieka patriarchę.

30 listopada, rok 1920, wtorek

Z Wilna pisałem trzy listy do Maryni Römerówny, zawiadamiając o śmierci Papy. Adresowałem do Bydgoszczy[161]. Nie otrzymałem odpowiedzi żadnej. Do Kotuni i do Elwiry pisać nie mogłem, bo nie miałem ich adresów i nie znałem nawet ich miejsca pobytu. Ignaś Bohdanowicz, którego w Wilnie spotkałem, mówił mi, że Elwira bawi gdzieś w gub. siedleckiej, i radził napisać do p. Józiowej Bohdanowiczowej w Warszawie, która ma adres Elwiry. Tak też zrobiłam, prosząc, aby zawiadomiła Elwirę o śmierci Papy. Wyjechałem z Wilna, nie doczekawszy się żadnych od sióstr odpowiedzi. Zapraszałem Marynię i Elwirę, aby przyjechały i zamieszkały w Bohdaniszkach, gdzie będą miały wygodę i dostatek na własnym dziedzictwie zamiast tułać się po świecie, po obcych kątach, i w ciągłej niepewności o jutro szukać kawałka chleba. Pisałem im o naszej sprawie spadkowej po Papie i o dziale Bohdaniszek, wskazując, jakie niezbędne będą metryki i plenipotencje. Choć tam w Wilnie odpowiedzi nie otrzymałem, ale tu się okazało, że siostry nasze już wiedzą o śmierci Papy. Pod adresem Kowaliszek nadeszły tu w ostatnich czasach dwa listy od Maryni. Jeden pisany przez Marynię osobiście do mnie, drugi – do Elizki z polecenia Maryni przez pewnego Niemca z Berlina, który za czasów okupacji niemieckiej bawił w Kowaliszkach i ożenił się z Litwinką, b. służącą kowaliską. Pierwszy list Maryni jest pisany w odpowiedzi na mój, który pisałem do niej z Bohdaniszek we wrześniu, zawiadamiając ją o chorobie Papy. Marynia żałuje, że nie może być przy łóżku chorego Ojca, ale powiada, że na podróż taką nie ma środków i że nie może porzucić zajęcia, które ma w Bydgoszczy; co zaś do przyjazdu do Bohdaniszek na stałe, to powołuj się na swoje zamiary małżeńskie z majorem Treśniowskim, w których upatruje swoje szczęście osobiste i których przeto wyrzec nie może, a wobec tego w Bohdaniszkach nie osiądzie, tym bardziej, że z Papą ze względu na różnice charakterów nie mogłaby wytrzymać. W drugim liście, pisanym z poleceniu Maryni przez Niemca, Marynia już o śmierci Papy wie z depeszy Elizki. Niemiec zawiadamia, że Marynia wyjeżdża do Bohdaniszek, że już ma paszport wybrany, że jednak zdecydowała się jechać z Bydgoszczy nie na Prusy, lecz na Warszawę-Wilno i z Wilna na Kałkuny. Wyjechać miała Marynia z Bydgoszczy 11 listopada. W tymże liście pisze Niemiec, że Elwira Mieczkowska także jedzie do Bohdaniszek, a mianowicie zawiezie dzieci do Wilna, zalokuje je tam u mnie, a stamtąd sama wyjeżdża do Bohdaniszek na stałe.
Z listów tych można wnosić, że Elwira i Marynia są gdzieś obecnie w drodze do Bohdaniszek i albo siedzą w Wilnie, albo już może jadą dalej. Możliwe, że w prędkim czasie zawitają. Przypuszczam, że teraz Elwira zabierze ze sobą i dzieci swoje. Czy Marynia zdecydowała się na powrót na stałe do Bohdaniszek, czy też tylko na czas jakiś – tego nie wiemy. W każdym razie, oby przyjechały prędzej. Dla Elwiry, skołatanej tułaczką, życiem wędrownym po obcych kątach, troskami i smutkami swego małżeństwa oraz trojgiem małych dziatek, Bohdaniszki będą portem spokojnym i rajem tym milszym, że ukochanym i utęsknionym, jak gniazdo dla pisklęcia. Dla Bohdaniszek przyjazd i zamieszkanie na stałe kogokolwiek z rodziny naszej będzie też dobrodziejstwem. Pod względem majątkowym obecność Maryni byłaby lepsza, niż samej tylko Elwiry, bo Marynia jest bardzo dzielna, gospodarna i zaradna i w jej ręku Bohdaniszki rychło by rozkwitły. Może zresztą Marynia, gdy się tu znajdzie, tak ulegnie miłości do Bohdaniszek, że już wyjechać nie zechce. Ale gdyby nawet osiadła tu tylko sama Elwira, to przecież i to byłoby już dla Bohdaniszek dobre. Najgorsze dla Bohdaniszek jest to opuszczenie obecne, ta bezpańskość, z której korzysta najbardziej... Jakszuk.

161 Bydgoszcz, miasto w Kotlinie Toruńskiej na lewym brzegu Wisły, wzdłuż ujściowego odcinka Brdy i Kanału Bydgoskiego.

1 grudnia, rok 1920, środa
Trzeci dzień spędzam w Bohdaniszkach, Rozkoszuję się ciszą, umiarkowaniem i pogodą życia wiejskiego i samotności. Jest tu smutek głęboki niedawnej straty Papy, ale jest też coś niezmiernie kojącego w całej atmosferze domu bohdaniskiego, co czyni boleść pojedynczej straty łagodną i stopioną w ogólny system wspomnień, których jest pełny ten dom. Niepodobna tu odczuwać ostro straty samego Papy pojedynczo, bo dom ten tchnie takim zespołem całej przeszłości naszej, że w nim wszystkie najdroższe osoby wraz z nami samymi zlewają się w jedną wielką harmonię tęsknoty, w jedno wrażenie i jedną drogą pamiątkę. Tu i dzieciństwo nasze, i zabawy w gronie rodzeństwa, i stare sługi, i lata szkolne, i wiek młody z grą uczuć i kochania, i nauczycielki z różnych epok, i nasi najdrożsi Rodzice w różnych epokach czasu, i tysięczne epizody ludzi, faktów, wydarzeń, nawet zwierząt domowych, koni i psów kochanych – wszystko się stapia, wszystko się układa w wielki poemat życia rodziny, wiążący serce słodkim, choć bolesnym uczuciem tęsknoty i instynktem żalu za przeszłością. Ból sprawia świeża strata Papy, ale oto lada kąt w którymkolwiek pokoju nie mniej żywo przypomina mi Mamę, a tam znów w aureoli tęsknoty wyłania się wizerunek jakiegoś starego sługi Żarżeja lub epizody z moim koniem Bierżukiem, towarzyszem dzieciństwa mojego itd.
Cicho w Bohdaniszkach, spokojnie. W ogromnym domu ciepło, na dziedzińcu śnieg pokrył białą ziemię i otulił powłoką puszystą drzewa, płoty, dachy. W domu tak ciepło, że aż dziw bierze: od szeregu lat wojny odwykło się w mieście od takiej zasobności opału, tu zimy się w domu nie czuje. Większą część dnia spędzam z Kazimierzem. Rozmawiam z nim, a najwięcej słucham z rozkoszą jego opowiadań z przeszłości, które znam niemal na pamięć, bo przeszłość tą wraz z nim sam przeżywałem, bo jest to przeszłość nie jego i nie moja, lecz domu naszego i rodziny naszej. Sam głos Kazimierza, sam sposób opowiadania – sprawia mi przyjemność: Kazimierz sam jest żywym tej przeszłości bohdaniskiej elementem i dlatego tak go kocham i tak mi jest z nim przyjemnie. Spędzając dni z Kazimierzem jest mi tak, jak żebym odzyskiwał i Mamę, i Papę, i siostry moje, i Żarżeja, i Bierżuka, i wszystkie konie, i psy, i sługi, i nauczycielki, i Ewę i Stefusia i Henrysia małego i jakby się przeszłość wskrzeszała i znów żyła ze mną. Wieczorami z Kazimierzem i Jakszukiem układam plany gospodarcze na przyszłość, wydaję zarządzenia, sprawdzam rachunki, radzę się z nimi. Jakszuk jest mi tu obcym i nie lubię go; wiem, że jest nieuczciwy, że okrada Bohdaniszki, nie ufam mu, ale umiarkowana atmosfera Bohdaniszek, tej mistycznej świątyni pamiątek, dziwnie łagodzi wszelkie ostre uczucia moje, a zresztą ma Jakszuk zalety w swoim zarządzie Bohdaniszek, które oceniam i które czynią, że nie jest on dla nas bez zasług.

2 grudnia, rok 1922, czwartek
Miała dziś przyjechać z Kowaliszek Elizka Komarowska, ale widocznie coś jej przeszkodziło, bo nie przyjechała. Będzie to zapewne na jutro. Miałem dziś za to inną wizytę, nie mniej przyjemną, choć zupełnie z innego względu. Przyjechał, stosownie do zapowiedzi, kupiec leśny Rabinowicz w asystencji Pejsacha i Michela Ruchów dla obrachunku i zapłaty za papierówkę w lesie staczeraskim. Po ich przyjeździe wypiliśmy po kieliszku wódki, którą na magarycza przywiózł Pejsach Ruch i pojechaliśmy do Staczerog. Po obliczeniu ustawionych sążni papierówki okazało się ich 73 ¼ . Po powrocie z lasu znów się wypiło wódki i przekąsiło, a następnie dokonaliśmy rachunku. Po odliczeniu zadatku i potrąceniu pieniędzy, które należały do zwrotu Ruchom z tytułu nadpłaconych przez nich Papie na rzecz niezrealizowanego kontraktu leśnego, pozostało mi za papierówkę od Rabinowicza gotówką 10 525 ost. marek. Nie jest zbyt

dużo na potrzeby Bohdaniszek, ale swoją drogą ta sprzedaż papierówki była wielką podporą materialną w majątku. Ogółem dała ona 21 975 mk.; z tego, co pozostało w gotówce, trzeba będzie jeszcze za 2000 zwrócić jednemu Żydowi tytułem również nadpłaconych Papie za niezrealizowany kontrakt leśny i być może trzeba będzie zapłacić jakiś – bodajże niemały – odsetek rządowi tytułem podatku ze sprzedaży lasu. Ale papierówka ta da nam jeszcze inny dochód. Podjąłem się bowiem wywiezienia Rabonowiczowi z lasu do kolei 50 sążni po cenie 200 mk. za sążeń, co może dać 10 000 mk.
Liczyć na jakikolwiek czysty zysk w gotówce z Bohdaniszek za rok gospodarski bieżący nie można, pomimo że sprzedaż detaliczna pozostałego w działkach poza papierówką lasu da może jeszcze ogółem z kilkanaście tysięcy marek, z czego znaczna część już jest zrealizowana i pochłonięta przez wydatki. Poza tym, kilka tysięcy powinno jeszcze wpłynąć z koniczyny nasiennej, która jest na sprzedaż. Ale cały szereg wydatków niezbędnych pochłonie gotówkę. Pensja parobkom, pensja Jakszukowi, pokrycie rekwizycji, podatki wiosenne, zboża, którego zabrakło nie tylko na pozostałość ordynacji i na chleb dla dworu, ale i na nasienie na wiosnę, nie mówiąc już o zażądanej normie rekwizycji, a wreszcie największy ciężar – to podatek spadkowy, który wypadnie zapłacić i który wyniesie z pewnością około 15 000 mk., jeżeli nie więcej. Poza tym zostają jeszcze długi Papy z ostatniej Jego przedśmiertnej podróży, które też spłacać wypadnie, a których suma, mimo że jest mała w stosunku do drożyzny i długiego czasu, spędzonego przez Papę w podróży bez pieniędzy, wynosi jednak kilka tysięcy marek. Prawdopodobnie gotówka, która jest i która jeszcze wpłynie, nie wystarczy na wszystkie te potrzeby. Ale dzięki Bogu i za to, że się coś jeszcze z tych różnych źródeł zebrać dało. Żeby trochę podnieść wydajność Bohdaniszek, a może i coś grosza dorobić, postanowiłem, korzystając z pewnego nadmiaru poszoru i z gotówki bieżącej, dokupić na zimę 4-5 krów; ponieważ ogólnie jest poszoru brak, a zima była wczesna, więc cena rynkowa na bydło bardzo spadła; dobrą krowę można kupić za 600-800 mk.; kupiwszy teraz kilka krów tanio, skarmi się nimi poszor, za co pozostanie nawóz, będzie się miało od nich cielęta i mleko, a na wiosnę będzie można je ewentualnie sprzedać z zarobkiem. Jakszuk radzi oprócz tego kupić na spekulację nieco siemienia lnianego, którego cena prawdopodobnie bardzo ku wiośnie się podniesie. Jeżeli poza tym się uwzględni, że ziemia pod żyto była w tym roku dobrze uprawiona i żyto dobrze zasiane, a na jesieni stan majątku nie przedstawia się jeszcze najgorzej, a w każdym razie jest lepiej, niż było w ziemie ubiegłej lub na wiosnę.
Wieczorem koło godz. 9, gdym z Kazimierzem siedział w pokoju jadalnym i jadł kolację gawędząc, przyjechali nagle z Janówki dwaj jego synowie – Kazimierz (dawny Kaziuk) i Barnaba Jankowscy. Kaziuk, który ma już obecnie lat przeszło 30 i jest żonaty od lat kilkunastu, zajmuje od kilku miesięcy posadę naczelnika rejonu milicji w Pojodupiu. Barnaba, również od lat kilku żonaty, najmłodszy z synów Kazimierza, jest tym, który pozostał na gospodarce w domu w Janowie, gdzie Kazimierz przed laty kupił grunt. Przyjechali oni z tym, żeby zaprosić mię dziś jeszcze na ucztą do Janówki, korzystając z przyjazdu Kaziuka w gościnę do domu i z tego, że rano zabito w domu Kazimierza wieprza, co jest u chłopów sygnałem tradycyjnych wielkich uczt i praktyk gościnności. Choć było późno i nie chciało mi się już jechać, a zresztą i jeść mi się wcale nie chciało, nie mogłem odmówić, aby nie martwić odmową Kazimierza i jego synów. Dla Kazimierza mam tyle wdzięczności, że dla niego wiele zrobić muszę, a tym bardziej takie drobne rzeczy.

3 grudnia, rok 1920, piątek

Czasem i jedzenie bywa ciężkim obowiązkiem i ofiarą. Wolałoby się uniknąć jedzenia i uczty, gdy się nie jest wcale głodnym i gdy trzeba jeszcze dla tych zbytecznych „rozkoszy" podniebienia i żołądka narażać się na fatygę i niewyspanie. Ale czasem trzeba, bo odmówić zaproszenia nie można. A gdy się je przyjmie, trzeba nie tylko dotknąć jadła dla symbolicznego zamanifestowania przyjętej gościny, ale jeść dużo i napychać żołądek, choćby już był pełny i choćby się najmniejszej ochoty do ucztowania nie miało. W takim położeniu byłem wczoraj wieczorem w gościnie u Kazimierza w Janówce. Byłem nie tylko syty, ale już pełny jadła i gdy wieczorem synowie Kazimierza zaprosili mię do Janówki, nie miałem żadnej ochoty jechać po nocy tam i na powrót po to tylko, aby jeść jeszcze. Wolałbym spędzić wieczór do końca w domu, położyć się wcześnie spać, a choćby i poczytać sobie z wieczora, niż używać tej uczty mimo doskonałych jej smakołyków. Ale odmówić albo przyjąwszy zaproszenie – jeść mało, byłoby to wyrządzić Kazimierzowi przykrość. Na wsi w stosunkach chłopskich jeść mało, gdy się jest zaproszonym na ucztę jadalną z takiej okazji, jak po świeżym zabiciu świni w domu gospodarzy – to jest prawie zniewaga dla gospodarza i tym bardziej dla gospodyni. Nie dość jest chwalić specjały świńskich wyrobów gospodyni, trzeba dać tym pochwałom świadectwo realną obfitym konsumowaniem jadła. A choć specjały są rzeczywiście znakomite, takie, że na samo ich wspomnienie w innym czasie, zwłaszcza np. niedawno w Wilnie, ślinę bym łykał, spożywanie ich może być w danej chwili męką. A przy tym naturalnie nie można odmówić wódki, bo to się też liczy za dodatek smaczny i niezbędny. A gdy się jest właściwym winowajcą uczty, osią całej biesiady, to konieczność jedzenia staje się większą. Toteż w rezultacie tej uczty miałem wczoraj wieczór zepsuty, noc niewyspaną zarówno na skutek późnego położenia się, jak na skutek przeładowanego żołądka, odbierającego sen i na koniec niestrawność dzisiaj. Ha, coś robić – to „ofiara wdzięczności" dla Kazimierza. Skwapliwie za to dziś z piątku skorzystałem, aby się wypościć rzetelnie.
Oczekiwałem dziś przyjazdu Elizki Komorowskiej, ale na próżno. Po obiedzie sprawdzałem rachunki Jakszuka. Wieczorem przyszedł Jan Kligys na herbatę. Na gawędce z nim i Kazimierzem upłynął nam cały długi wieczór.

4 grudnia, rok 1920, sobota
Rano pojechałem do Gaczan w odwiedziny do Rosenów. Zostałem tam Piotra Rosena z żoną i jego teścia, p. generała Brzozowskiego[162]. U Rosenów przybytek w domu. Oprócz starszego synka Stanisława, przybył drugi synek Antoś, urodzony przez ośmiu tygodniami. Tym razem młoda p. Piotrowa Rosenowa podobała mi się więcej, gdy ją poznałem. Nie tylko robi wrażenie osoby dobrej, ale ma też dużo wdzięku i jest miła i niebrzydka. Rosenowa była w ostatnich latach szczególną faworytką (oczywiście – w dobrym znaczeniu) Papy, który miał dla niej wielkie względy i sympatie, a był nawet przekonany (o, jakże bywają naiwni starcy!), że młoda kobieta jest w Papie, staruszku przeszło 70-letnim, zakochana (!).
Po obiedzie o zmroku wróciłem z Gaczan do Bohdaniszek. W Gaczanach miałem okazję przejrzenia gazety świeżej. Była to „Lietuva" z d. 1 grudnia, to znaczy numer, wydany w Kownie we wtorek 30 listopada wieczorem. Od czasu przyjazdu do Bohdaniszek gazet nie miałem, więc nie wiedziałem, co się na szerokim świecie Bożym dzieje. Z „Lietuvy" dowiedziałem się, że w d. 29 listopada w pociągu Komisji Kontroli Ligi Narodów w Kownie za pośrednictwem tejże Komisji podpisany został przez przedstawicieli Polski i Litwy układ o rozejmie między Litwą a wojskami Żeligowskiego, za który przyjęła odpowiedzialność Polska. Układ przewiduje

162 Brzozowski, generał, teść Piotra Rosena.

ustanowienie strefy neutralnej wzdłuż linii rozejmu. Układ jest bardzo krótki i bezwzględny; nie zawiera on żadnych zgoła zastrzeżeń co do politycznych metod likwidacji sprawy wileńskiej ani też co do wycofania się wojsk Żeligowskiego z Wilna na rzecz tymczasowej okupacji międzynarodowej. Jest to układ li tylko wojenny o rozejmie.

5 grudnia, rok 1920, niedziela
Po obiedzie pojechałem do Kowaliszek. Główny cel mojej jazdy był ten, aby się naradzić z Elizką Komorowską co do całokształtu spraw bohdaniskich i zarządzeń moich w majątku, a również poradzić się jej co do niektórych kwestii szczegółowych, takich np., jak ubój świń i w szczególności knura, jak ewentualne kupno kilku krów na przetrzymanie przez zimę itp.
W takich kwestiach detalicznych gospodarstwa wiejskiego Elizka jest oczywiście praktyczniejsza ode mnie, co zaś dotyczy spraw ogólnych w Bohdaniszkach, to także wolę się zawsze radzić Elizki i omówić z nią wszystko, raz dlatego, że, jako współwłaścicielka, ma ona równe ze mną do Bohdaniszek prawa, z którymi chcę się liczyć, a po wtóre dlatego, że ma ona dobrą głowę i światłą radę, a oprócz tego są w Kowaliszkach jej synowie, zawalani gospodarze, których doświadczenie i znajomość rzeczy jest dla mnie nie do pogardzenia. A zresztą nie chcę brać na siebie wyłącznej odpowiedzialności przed rodziną za zarząd Bohdaniszek i wolę odpowiedzialność tę dzielić z jedyną współobecną z naszej rodziny – Elizką.
Po drodze do Kowaliszek odwiedziłem w Rakiszkach mego przyjaciela i b. kolegę z Paryża Józefa Petrulisa[163], u którego byłem na herbatce. Petrulis zajmuje obecnie stanowisko nauczyciela historii i gospodarza klasowego w gimnazjum rakiskim. Pogawędziliśmy z nim, opowiedziałem mu o Wilnie, następnie on mi opowiadał o stosunkach rakiskich, o swojej działalności pedagogicznej itd. Rakiszki, jako miasto powiatowe, wzrosły w ostatnich paru latach i stały się bądź co bądź ośrodkiem pewnego skupienia sił inteligenckich i pracy publicznej. Choć stosunki w kołach urzędniczych litewskich nie są świetne, choć poziom kulturalny, a nieraz i etyczny młodej inteligencji i półinteligencji urzędniczej litewskiej pod wielu względami pozostawia jeszcze na prowincji dużo do życzenia, jednak ze słów Petrulisa przekonałem się, że przecież nie jest tu jeszcze najgorzej i że jest tu grono ludzi nie tylko dobrej woli, ale i wybitniejszej wartości ideowej i intelektualnej, mogących stanowić zawiązek cenny działalności postępowej i obywatelskiej w tym zakątku kraju. Przyszło mi na myśl, że może należałoby spróbować scementować tu w Rakiszkach komórkę lokalną naszego związku ścisłego, aby te lepsze siły skupić i skoordynować do pracy wspólnej na torach humanizmu i planowego rozwoju myśli obywatelskiej. Trzeba się będzie nad tym naradzić w Kownie. Rakiszki jakimś zbiegiem okoliczności zdobyły sobie w szeregu miast powiatowych Litwy sławę posiadania jednego z najbardziej postępowych w kraju gimnazjum z dyrektorem Purenasem[164] na czele. To gimnazjum rakiskie, którego

163 Juozas Petrulis (Józef Petrulis, 1877-1958), nauczyciel, przyjaciel M. Römera z czasów studiów w Paryżu (1902-1905). Studiował we Fryburgu (1900), Bernie (1901-1904), Paryżu (1904-1905), w Anglii redagował gazetę „Laikas" (1905). Założyciel towarzystwa akademickiej młodzieży litewskiej „Lithuania" w Paryżu (1904). Spotkania z nim i rozmowy przekonały M. Römera, iż dalsze separowanie się od spraw litewskich nie ma sensu – „żyjąc w Litwie masz wobec niej obowiązki jako obywatel". W latach 1920-1928 był nauczycielem w gimnazjum w Rakiszkach.

164 Antanas Purėnas (1883-1962), chemik, działacz społeczny. Dyrektor gimnazjum w Rakiszkach (1919-1921). Lektor Wyższych kursów Litwy w Kownie (1921-1922). 1922-1941 profesor na Uniwersytecie w Kownie, od jesieni 1939 prorektor tej uczelni. Od 1936 członek Towarzystwa Etycznej Kultury Wolnomyślących. Poseł Sejmu Ustawodawczego Litwy (do 13 X 1920), pracował we frakcji socjaldemokratów.

postępowość jest solą w oku kleru, stało się ośrodkiem skupiającym siły żywe i oddziaływującym pośrednio na całe środowisko intelektualne w mieście. To wyróżnia nieco Rakiszki z szeregu banalnych mieścin prowincjonalnych, tonących w bagienku obskurantyzmu, kołtuństwa i marazmu. Jest tu kilku ludzi dzielnych i żywych, a zwłaszcza jest pewien ruch, pewne ścieranie się prądów, pewien zaczyn idei, któremu nie należałoby dać się wyszumieć w jałowych fermentach waśni lokalnych, jeno skierować go na tory planowego doskonalenia stosunków i planowego działania w życiu.
Do Kowaliszek przyjechałem koło godz. 7 wieczorem. Zastałem tu proboszcza rakiskiego, ks. Łabanowskiego[165], który przyjechał po kolędzie. Ks. Łabanowski jest proboszczem w Rakiszkach dopiero od wiosny r.b. jako następca po śp. ks. Jankowskim (ks. Jankowski, wstrząśnięty wypadkami wojny, a zwłaszcza zeszłorocznej inwazji bolszewickiej, dostał w jesieni roku zeszłego obłędu i wkrótce zmarł), jest człowiekiem młodym, lat 40, czyniącym wrażenie mężczyzny, pełnego energii i niegłupiego. Zdaje się, że siedzi on trochę na dwóch stołkach, między nacjonalizmem litewskim i popularnym dziś u kleru litewskiego kierunkiem społeczno-demagogicznym chrześcijańskiej demokracji a umiarkowaniem tolerancji dla polskości i obszarników, któremu stara się dawać wyraz w swoich z dworami stosunkach. Ks. Łabanowski przesiedział w Kowaliszkach do godz. 11 wieczorem. Po jego wyjeździe odbyłem dwugodzinową konferencję w sprawach bohdaniskich z Elizką i Julkiem. Hektora, jak to bywa najczęściej, w Kowaliszkach nie było – pojechał w interesach leśnych do Kowna.

6 grudnia, rok 1920, poniedziałek
Julek Komorowski[166] został zdemobilizowany. Po wybuchu wojny między Litwą a wojskami gen. Żeligowskiego zarządzona została w Litwie rejestracja wszystkich inteligentów do pewnego wieku. Julek zarejestrował się wtedy, podając, że w wojsku rosyjskim był urzędnikiem wojskowym w intendenturze. Wprawdzie w istocie był on pospolitym szeregowym, jak każdy inny żołnierz w armii rosyjskiej powołany z poboru i tylko dzięki temu, że służył w dywizji swego wuja generała Konstantego Dowbora-Muśnickiego[167] (brat sławnego obecnie w Polsce generała Dowbora, dowódcy tzw. I Korpusu Polskiego z r. 1918), uniknął służby liniowej na wojnie i był sanitariuszem w dywizji, ale istotnie w ostatnich czasach służby w wojsku rosyjskim, po rewolucji, pracował w intendenturze. W zeszłym tygodniu komendant w Rakiszkach zawiadomił Julka telefonicznie, że został powołany na urzędnika wojskowego do intendentury. Elizka zmartwiona, bo nie będzie miała Julka w domu przy sobie, a dla Kowaliszek to też strata, bo podczas gdy Hektor[168] zajęty wielkimi interesami, wciąż musi wyjeżdżać, na Julku opierało się całe gospodarstwo w Kowaliszkach. Julek też by wolał uniknąć tej służby, choć nie wydaje się zbyt przejęty tą sprawą. Wyjeżdża dziś w nocy do Kowna i stawi się do służby. Powołanie Julka musi być także z tego względu niezbyt miłe dla Komorowskich, że chodzi tu o wojsko litewskie. Patriotami litewskimi i gorącymi wyznawcami państwowości litewskiej Komorowscy bynajmniej nie są; przeciwnie – są niechętni Litwie, tym bardziej, im bardziej wrogie są stosunki litewsko-polskie i im bardziej wewnątrz państwowości litewskiej przeważa kierunek chłopski, wymierzony

165 Łabanowski, proboszcz w Rakiszkach.

166 Julian Komorowski (1893 -?), młodszy syn Zygmunta i Elizy Komorowskich, siostrzeniec Michała Römera.

167 Konstanty Dowbor–Muśnicki, generał armii rosyjskiej, brat Józefa Dowbora -Muśnickiego (1867-1937), dowódca I Korpusu Polskiego w Rosji (1917-1918), w 1919 r. dowódcy Wojsk Wielkopolskich.

168 Hektor Komorowski (1892-?), starszy syn Zygmunta i Elizy Komorowskich, siostrzeniec Michała Römera.

jaskrawie przeciwko stanowisku społecznemu i stanowi posiadania ziemskiej obszarników Polaków. Służyć temu nie jest w tych kołach ziemiańskich uważane za zaszczyt. Litwę z jej rządem, Sejmem, urządzeniami, projektowaną reformą agrarną itd. – radzi by utopić w łyżce wody, toteż zawsze tylko złośliwie się o niej wyrażają i cieszą się każdej trudności, którą ona napotyka na swej drodze, a każdą plamkę, każdą usterkę, których w młodym państewku ludowym z natury rzeczy jest bardzo dużo, z rozkoszą wyolbrzymiają, aby mieć z tych błędów państwa prognostyki o tym rychlejszym jego upadku. Jak większość ziemian Polaków w Litwie (nie wszyscy jednak), Komorowscy pragną upadku Litwy, przynajmniej takiej, jaka jest obecnie, to znaczy chłopskiej i narodowej, pogardzają nią z całego serca. Uznaliby oni i poparli tylko taką Litwę, która szłaby na pasku Polski i jeszcze z tym uzupełnieniem, żeby ziemianie mieli w niej stanowisko społeczne odpowiadające niczym nieskrępowanym ich wpływom majątkowym i rodowym. Tak, takiej Litwie byliby oni oddani i jej chętnie ofiarowaliby swoje usługi, swoje umiejętności, swoje kwalifikacje kulturalne, niewątpliwie wybitne, i zdolności. Bo wtedy ta Litwa byłaby nie ich macochą, jaką jest dzisiaj, ale ich folwarkiem, ich ukochaną Ojczyzną. Służyć więc dziś Litwie – to się im nie uśmiecha. Jeszcze z rodziny Komorowskich w Kowaliszkach Hektor i Zitka są bardzo umiarkowani w stosunku do Litwy, Hektor może dlatego, że bardziej żyje interesami, więcej styka z władzami centralnymi w Kownie, jest w ogóle dość obojętny na wszelkie aspiracje natury idealnej, a w tej liczbie i na aspiracje narodowe polskie, ma lepszą okazję do spostrzegania i oceniania nie tylko ujemnych cech w rozwoju państwowości litewskiej, ale i usiłowań dodatnich, a Zitka dlatego, że jest inteligentna i ma zarazem więcej giętkości i wyrozumiałości od Julka i od matki, a stojąc bardziej na uboczu i nie mając bezpośrednio na głowie kłopotów, których w prowadzeniu interesów kowaliskich przysparzają zarządzenia i praktyki lokalnych władz litewskich oraz cały kierunek polityki wewnętrznej państwowej, godzącej w ziemian, może być nieco bezstronniejsza. Nie znaczy to, aby Zitka i Hektor byli gorącymi rzecznikami lub choćby przyjaciółmi Litwy w jej obecnej budowie państwowej, ale są oni w każdym razie umiarkowańsi. Elizka już choćby przez to samo, że hoduje ideałom arystokracji, nie może się z państwowością chłopską Litwy pogodzić. Wszystko w Litwie współczesnej razi jej uczucie arystokratyczne i przejmuje głęboką pogardą i wstrętem. W Polsce upatruje nie tylko Ojczyznę swej kultury narodowej, ale pono jeszcze bardziej żywą Ojczyzną kultury arystokratycznej i wierzy, że Polska w tym obecnym rozgardiaszu rewolucyjnym na wschodzie, którego ostatnim karykaturalnym wyrazem logicznym jest znienawidzony bolszewizm rosyjski, jest ostoją takiego ładu i takiego urządzenia państwowego, w którym dadzą się ocalić i zachować jeżeli już nie cały klasyczny *ancien régime* społeczny, zbudowany na zasadach stanowych kultury szlacheckiej, to przynajmniej jego zarysy i jego szczątki dość jeszcze mocne, aby mogły przeciwstawić się zalewowi „chamstwa”. Elizkę razi w Litwie wszystko, razi ją każdy urzędnik chłop, każdy inteligent litewski, który reprezentuje władzę, a którego ona nigdy do salonu swego ani do stołu, jako równego, dopuścić by nie mogła, razi ją i szokuje głęboko panoszenie się tych synów chłopskich, którzy państwo litewskie sobie zagarniają, a ze starej arystokracji rodowej, z klasy ziemiańskiej, która niegdyś tworzyła czoło społeczeństwa, czynią pariasów. Nie można zaprzeczyć, że to traktowanie ziemian Polaków pariasów jest dla nich ciężkie i przykre i że synowie chłopscy, rządzący dziś Litwą, mają pewną tendencję do zmonopolizowania przywileju w państwie dla siebie uzurpując sobie swej arystokracji stanowisko, co zawiera w sobie niewątpliwie spaczenie zasady demokratycznej. Niepodobna też zaprzeczyć, że w tej młodej chłopskiej inteligencji litewskiej, rządzącej dziś Litwą, dużo jest wad i błędów parweniuszostwa, prywaty i braku wyrobienia. Są to bolączki młodej państwowości

ludowej, które jej szkodzą i z których się ona leczyć będzie musiała. Ale Elizkę razi i drażni nade wszystko ze stanowisku obrażonego uczucia arystokratycznego.
Wyjechałem dziś z Kowaliszek rano na targ do Rakiszek, gdzie chciałem krówek dla Bohdaniszek kupić. Ale krów na targu było mało i było one nędzne, a ceny już się podniosły znacznie. Nie kupiłem więc żadnej, a wróciłem na wieczór do Bohdaniszek.

7 grudnia, rok 1920, wtorek
Dzień upłynął cicho zwykłym trybem w Bohdaniszkach. Chodziłem trochę po gospodarstwie, obejrzałem z Kazimierzem fartuchy skórzane od powozów i chomąty w lamusie, co do których istnieje poważne podejrzanie i poszlaki, że Jakszuk część tychże przywłaszczył, potem obejrzałem deski, złożone w spichrzu, byłem z Jakszukiem w gumnie, gdzie jest tylko słoma i niemłócona koniczyna nasienna, oglądałem z Kazimierzem i z Łasińskim ścianę wewnętrzną w oborze, z której, jak twierdzą parobcy, Jakszuk sprzedał Zybalisowi i wywiózł część cegły surowej, stanowiącej rodzaj otynkowania wewnętrznego ściany. Byli u mnie za interesami Michel Ruch i Justyn Malec oraz Kondrat z Rukiel. Pod wieczór odbyłem przechadzkę pieszą do Gaju. Wieczór spędziłem, jak zwykle, w pokoju jadalnym przy lampie wiszącej na gawędce z Kazimierzem, popijając czarną kawę.
Z dnia na dzień wypatrujemy z Kazimierzem moich sióstr, Elwiry i Maryni, które zapowiedziały swój przyjazd. Jakże byłoby miło, gdyby przyjechały, gdy ja tu jeszcze jestem. Ożywiłby się zaraz dom bohdaniski, odzyskałby swoich rodzimych mieszkańców w osobach tych sióstr, których on był kolebką i przez długie lata gniazdem, i z głuchej tęsknicy cieniów i pamiątek znów by wrócił do swojej aktualnej teraźniejszości, tym bardziej, że Elwira przywiozłaby chyba ze sobą dzieci. Dzieci zawsze nadają domowi tętno teraźniejszości, bo są same bez przeszłości i stanowią życie zupełnie nowe, same w sobie. Nie mamy z Kazimierzem najmniejszego pojęcia o terminie przyjazdu Elwiry i Maryni. Sądząc z wieści październikowych od Maryni, nadesłanych przez nią do Kowaliszek, już od trzech tygodni pojechały one do Wilna z zamiarem wyruszenia stamtąd do Bohdaniszek. Albo więc są one w Wilnie, albo mogą już być w drodze do Bohdaniszek. Tylko że w obecnych warunkach politycznych i komunikacyjnych niepodobna z góry żadnych terminów ścisłych ani nawet prawdopodobnych obliczyć. Mogą przyjechać lada dzień, ale mogą przyjechać i za kilku tygodni. Nie wiadomo też, jaką drogę z Wilna wybiorą. Żeby dawniej, przed wojną, to już by się dawno z nimi skomunikowało i wszystko z góry ułożyło. Teraz zaś skomunikowanie się z Wilnem może trwać i miesiące. Toteż trzeba cierpliwości. Wojna nauczyła wszystkich tej cnoty. Co dzień myślimy z Kazimierzem o Elwirze i Maryni, co dzień o ich przyjeździe rozmawiamy i co dzień zapytujemy siebie, czy dziś nagle nie zawitają do nas. Dotąd – na próżno. Ale gdy się zważy, ile może być przyczyn, wpływających na opóźnienie ich wyjazdu z Wilna w dalszą podróż do Bohdaniszek, to niecierpliwość ustaje i powody do niepokoju upadają. Może trzeba się im starać w Wilnie o jakieś przepustki, może trzeba wyczekiwać okazji, może dzieci Elwiry przeziębiły się lub zachorowały, może Elwira boi się tymczasem brać ze sobą w tę podróż dzieci i chce je gdzieś tymczasem zalokować w Wilnie, może Elwira musiała zboczyć z Wilna po jakieś rzeczy swoje, pieniądze lub w innych interesach w wilejskie strony, może Marynia miała jeszcze różne interesy do zlikwidowania w Wilnie itp. Ale obyż siostry przyjechały przynajmniej przed Bożym Narodzeniem, bym je mógł tu zastać, gdy na Boże Narodzenie przyjadę. Nie mówię już o dużej radości wzajemnej ze wspólnego pobytu w Bohdaniszkach. Ale i stosunki majątkowe wygrają na spotkaniu się moim z nimi tutaj na miejscu. Tutaj najdoskonalej zapoznam je ze stanem interesów, omówię z niemi sprawy zarządu Bohdaniszek, całego gospodarstwa, stanu

finansowego, perspektyw itd. Ich przyjazd i zamieszkanie, da Bóg, którejkolwiek z nich na stale – będzie stanowiło punkt wyjścia do jakiegoś wreszcie stałego uregulowania nadal stosunków w Bohdaniszkach.
Moralnie też będzie to dla nas wielka satysfakcja, że Bohdaniszki znów będą zamieszkałe i że znów staną się gniazdem ciepłym i kochanym w łonie naszego rodzeństwa.
Ze smutkiem nieraz myślę, że tylko ja jeden z naszego rodzeństwa, choć mam moją córeczką rodzoną, jestem tak dalece wydziedziczony z rodziny własnej, że ani marzyć mogę nawet o widzeniu tej córki, a cóż dopiero o posiadaniu jej choćby przelotnie w Bohdaniszkach i o nawiązaniu jakiegokolwiek obcowania między moją własną rodziną, to znaczy tą jedyną córeczką a moją szerszą rodziną, to znaczy rodzinami mojego kochanego rodzeństwa. Trzebaż w małżeństwie natrafić, jak ja, na taki charakterek, jak mojej „żony" Reginy! Trzebaż takiego pecha! Wszak inni ludzie w małżeństwie się pogniewają, rozejdą się, ale przecież albo się spotykają czasem, albo o sobie coś wiedzą, albo przynajmniej pośrednio się komunikują, gdy zwłaszcza jest dziecko. Zaciętość i nienawiść ślepa i twarda Reginy do mnie przechodzi wszelkie pojęcie. Zdaje się – jestem człowiekiem miękkim i nie tak już ohydnym, aby być wartym takiego wściekłego stosunku, jak Reginy do mnie. Mogłem względem niej zawinić, ale jeżeli zawiniłem, to tylko w dobrej wierze. Nie życzyłem jej źle nigdy, nie pragnąłem jej krzywdy. Zdaje się – jestem znany wśród ludzi i mam szacunek ludzki, mam nieraz sympatię, miewam dużo uznania. Łatwy jestem do życia z ludźmi, nie narzucam nigdy nikomu żadnego gwałtu, nie mam w sobie złości, okrucieństwa, narzucania przemocy. Raczej jestem zbyt miękki i delikatny w stosunkach z ludźmi. Rozumiem, że Regina może mieć do mnie żal, może tłumaczyć sobie w ten sposób mój błąd małżeństwa z nią, że biorąc jej miłość bez miłości wzajemnej obraziłem ją i oszukałem, choć zaiste nie pojmowałem mego błędu i łudziłem się, że zbuduję jej i moje szczęście. Ale dlaczego taka skrajna teraz nienawiść i takież traktowanie mojego stanowisku ojcowskiego? Jakiż inny mąż i ojciec mógłby być dla Reginy możliwy, jeżeli ta moja wina błędu aż takie z jej strony konsekwencje względem mnie spowodowała! Zdawałoby się ze stosunku Reginy do mnie, że jestem wyrodkiem ostatnim, najgorszym z możliwych, wyrzutkiem ludzkości, wyrzutkiem mężów i ojców. Niechby tak było, gdyby tylko o stosunki między nami chodziło. Nie o nią, jako żonę, mi chodzi, lecz o to naszą dziecinę jedyną. Regina zerwała najradykalniej nie tylko ze mną, ale z całą moją rodziną bez wyjątku. Moja córka jest dla całej mojej rodziny kompletnie obca i nie zna nikogo z mojej rodziny i nikt z mojej rodziny – ani mój Ojciec i moja Matka, ani moje siostry i ich dzieci nie znaliśmy i nie znamy tego dziecka i żadnych o nim wiadomości nie otrzymywaliśmy od Reginy.

8 grudnia, rok 1922, środa
Miałem w Bohdaniszkach gościa, sąsiada Lisandra z Krewna. Od lat kilkunastu Lisander zamieszkał w Krewnie. Jako Niemiec, Lisander przez długi czas był uważany za obcego w okolicznym sąsiedztwie ziemiańskim, które jest u nas polskim. Sposób, w jaki majątek w Krewnie dostało się rodzinie Lisandera, czynił zeń intruza, co mu utrudniało stosunki w okolicznym środowisku ziemiańskim. Majątek Krewno albo Krewny (po litewskiemu Kriaunai) był jednym z najstarszym majątków, należących do Römerów. Po pradziadku Michale Römerze Krewno wraz z Antonoszem dostało się w dziale najstarszemu synowi Edwardowi Römerowi (drugi syn – Seweryn – otrzymał Dowgirdziszki i Dębinę w pow. trockim, a dzieciom trzeciego syna zmarłego Michała. to znaczy Papie i cioci Kasi, późniejszej Tyszkiewiczowej, wydzielono w schedzie Bohdaniszki). Dziad Edward wydzielił za życia swego Krewno swemu dorosłemu

synowi z pierwszego małżeństwa, stryjowi Alfredowi Römerowi, ojcu żyjącej obecnie Heli Ochenkowskiej[169]. W r. 1863 stryj Alfred Römer uczestniczył w powstaniu jako członek lokalnej organizacji cywilnej powstania. Był więziony w kazamatach w Dyneburgu, a choć został uwolniony, bo mu nie zdołano udowodnić winy, to jednak znalazł się on na liście tych ziemian, którym Murawjow wyznaczył przymusowo termin do sprzedaży swoich majątków pod groźbą konfiskaty tychże. Po wyjściu Alfreda Römera z więzienia termin przymusowy do sprzedaży Krewna już upływał. Trzeba było się śpieszyć. Na Krewno znalazł się kupiec w osobie Niemca Woltera z Kurlandii. Ponieważ ilość możliwych nabywców była bardzo ograniczona, bo osobom pochodzenia polskiego, za które uważano wszystkich katolików, a więc tak Polaków, jak Litwinów, było zabronione kupować majątki ziemskie w Litwie, a przeto jedynymi nabywcami mogli być Rosjanie lub Niemcy, co w kraju obniżało konkurencję między nabywcami do minimum, i ponieważ termin, pozostawiony do sprzedaży, był krótki, więc oczywiście w tych warunkach przymusowy sprzedawca miał nóż na gardle i nie był w stanie zrealizować rzeczywistej wartości majątku. Walter skorzystał z tej sytuacji i kupił Krewno za bezcen. Po śmierci bezdzietnej Waltera Krewno przeszło w spadku na jego siostrę, zamężną za Lisandrem, matkę obecnego dziedzica Krewna, Lisandra, żyjącej jeszcze i będącą dotąd formalną właścicielką majątku. Gdy młody Lisander zamieszkał w Krewnie przed laty kilkunastu, był on z wizytą u Papy w Bohdaniszkach. Papa przyjął go niegrzecznie, nie mogąc darować krzywdy, jaką jego wuj Walter wyrządził Römerom, kupując za bezcen majątek rodowy i wyzyskując sytuację Alfreda, wytworzoną systemem represji Murawjowa. Papa traktował Lisandra za uzurpatora Krewna, był oburzony jego wizytą i nie rewizytował go wcale. To piętno pochodzenia majątku w ręku Lisandra i niemiecka narodowość tegoż utrudniały jego stosunki z sąsiedztwem ziemiańskim polskim. Stopniowo jednak z biegiem czasu oswojono się z Lisandrem, przekonano się, że to człowiek osobiście porządny, zaczęto mówić, że nie można poszukiwać na nim winy wuja i darowano mu pamięć sposobu nabycia Krewna przez Waltera. Sam Papa polubił go i w końcu utrzymywał już z nim towarzyskie stosunki sąsiedzkie. Lisander został dopuszczony do obcowania ziemiańskiego w okolicy. Lisander jest Niemcem Kurlandczykiem. Po polsku nie mówi. O ile ktoś po niemiecku nie umie, porozumiewa się z nim w łamanym języku rosyjskim. Rozumie po litewsku, umie po łotewsku. Oprócz Krewna, ma jeszcze majątek Kazimierzyszki (Kazimirwal) w Kurlandii pod Suboczem, a więc w Łotwie. Tymi Kazimierzyszkami sam zarządza jeżdżąc w tym celu co pewien czas do Łotwy; jest z tego względu w okolicach Subocza, a bodaj w całym pow. iłłuksztańskim, a przynajmniej w jego części zachodniej, unikatem, bo wszyscy właściciele majątków niemieckich z tamtych okolic uciekli i siedzą w Niemczech, porzuciwszy swoje dwory, gdyż stosunki w Łotwie, o wiele cięższe jeszcze dla obszarników, niż w Litwie, i nienawiść oraz szykany Łotyszów względem baronów niemieckich – czynią ich pobyt w kraju, a tym bardziej w majątku – nie do zniesienia. Lisander ma kłopotów tysiące, z parobkami, z władzami lokalnymi, z całym systemem rządów i stosunku do dworów tak w Litwie, jak i w Łotwie. Wiąże jakoś końce z końcami, ale mu ciężko. Nie umie sobie radzić z ludźmi, często niepotrzebnie zadziera z władzami gminnymi, jest w wiecznej wojnie z parobkami, klnie rewolucją chłopską i bolszewickie tendencje parobków, jak również rządy młodych republik chłopskich, spoczywające w ręku niedoświadczonych w sztuce

169 Helena Romer-Ocheńkowska (1875-1947), pisarka, publicystka, działaczka oświatowa i społeczna. Od 1906 współpracowała z prasą, głównie wileńską, gdzie drukowała wiersze, nowele, szkice etnograficzne, recenzje teatralne. W 1919 w redakcji „Naszego Kraju", współredagowała „Gazetę Krajową" 1920-1923, sekretarz redakcji „Kuriera Wileńskiego" 1925-1937. Ponadto ogłosiła kilka powieści i zbiorów nowel. Kuzynka Michała Römera.

rządzenia inteligentów z ludu bez kultury, których posądza, że nie mają właściwie żadnego ideału państwowego i jedyną tylko myśl wzbogacenia się osobistego szczególnie w Łotwie. Dla rządów litewskich ma trochę więcej respektu, ale Łotysze zdają mu się karykaturą formacji państwowej. Nie może darować Łotyszom, że maltretują Niemców, którym zawdzięczają cywilizację i wszystko, co w kraju ich jest coś warte. Z tym wszystkim, dzięki temperamentowi swemu, Lisander nie traci rezonu i nie poddaje się pesymizmowi ani przygnębieniu.
Lubię go dosyć. Jest łatwy w obcowaniu, bo niewyczerpalny w gadatliwości. Sypie słowami jak z rękawa, jak młynek chiński mielący pacierze. W rozmowie poruszał on myśl, która coraz częściej w ostatnich czasach jest poruszana wszędzie, tak w Litwie, jak w Łotwie, w Polsce i Wilnie, stając się jedną z najpopularniejszych koncepcji politycznych w wschodzie. Chodzi o ewentualność takiego rozwiązania skomplikowanej kwestii „państw kresowych" i całego zagadnienia państwowego na wschodzie, grożącego w obecnym stadium nowymi Bałkanami bałtyckimi, w którym Polska pochłonęłaby (ewentualnie na zasadach jakiejś autonomii czy federacji) Litwę z portem Libawą jako wyjściem na Bałtyk, zostawiając Rosji całą resztę wybrzeży bałtyckich z Rygą i Estonią całą. Nie wiem, czy ta myśl jest w opinii publicznej i kołach rządzących w Polsce rozważana konkretnie, bo urzędowo i jawnie Polska ze względu na obecny swój stosunek do Łotwy nie może tej myśli podnosić, dopóki są bolszewicy i dopóki Polska nie rozwiązała po swej myśli problemu Litwy. Ale że koncepcja taka byłaby logicznym wnioskiem z rozciągnięcia wpływów polskich na Litwę – to zdaje się być faktem, coraz bardziej uświadamianym w opinii publicznej tak ludów zainteresowanych, jak Europy. Otóż Lisander, traktując tę rzecz ze stanowiska niemieckiego, dochodzi do wniosku, że to byłoby wyjście jedyne i konieczne, które by usunęło fatalizm konfliktu polsko-niemieckiego, streszczonego w kwestii Gdańska i korytarza polskiego, a wytworzonego sztucznie traktatem na korzyść Francji. Dałoby to, jego zdaniem, możność zsolidaryzowania Polski z Niemcami i Rosją, co jedynie zapewniłoby równowagę polityczną i trwałość stosunków państwowych na wschodzie, cementując jednocześnie normalną budowę statusu społecznego przeciwko wichrom rujnującej wszystko rewolucji.

9 grudnia, rok 1920, czwartek
Była dziś w Bohdaniszkach Elizka Komorowska. Przyjechała na obiad, a o zmroku odjechała. Rad byłem z tej wizyty, ale ileż bym się ucieszył bardziej, gdybym się doczekał sióstr Elwiry i Maryni; nie dlatego, by mi one osobiście były milsze od Elizki, ale dlatego, że z nimi przybyłaby – mam nadzieję – stała załoga rodzinna Bohdaniszek. Widocznie jednak już się ich nie doczekam. Ugrzęzły gdzieś po drodze.
Dochodzą mię ze wszech stron skargi na Jakszuka. Parobcy bohdaniscy, chłopi z sąsiednich wiosek, jak Kligys, Justyn Malec z Rukiel i inni, Kazimierz, Michał Ruch – wszyscy, zostawszy ze mną sam na sam i przekonawszy się, że nikt nie podsłuchuje, donoszą o różnych nadużyciach Jakszuka. W tych skargach może być sporo przesady. Jakszuk bowiem nie umie żyć z ludźmi, nie umie ich sobie zjednywać, przeciwnie – jest kanciasty, opryskliwy, zły nieraz, bywa mściwy i przykry, toteż dużo ma wrogów, który radzi by mu zaszkodzić i widzieć jego upadek. Poza tym, służalczość natury ludzkiej i chęć zjednania mię dla swoich korzyści osobistych pcha wielu do udawania przesadnej gorliwości wobec mnie o dobro dworu i symulowania życzliwości swojej kosztem szkalowania kogoś innego. Wreszcie gra w tym pewną rolę i instynkt konserwatyzmu chłopów, którzy nie mogą patrzeć spokojnie, jak ktoś obcy, przybysz taki, jak Jakszuk, panoszy się we dworze, opuszczonym przez prawowitych panów. Razi ich parweniuszostwo, drażni ich każda wygoda Jakszuka na pańskim dworze. Toteż dużo

musi być przesady w skargach na Jakszuka, dużo zazdrości i żalów do niego. Ale niewątpliwie są w tej liczbie i głosy rzetelnej życzliwości i niewątpliwie, że nadużyć było niemało. Oto kilka głównych, które zdają się być stwierdzone i pewne. Fartuchów skórzanych z dawnych powozów bohdaniskich jest obecnie tylko pięć sztuk. Miało ich być podobno dziewięć. Są poszlaki, że przywłaszczył je Jakszuk, który szył z nich sobie buty i podsiedziołek na konie, a może i sprzedawał także. Ustalić z całą ścisłością niepodobna, bo gdy Papa w roku zeszłym wyjeżdżał, nie było spisanego inwentarza rzeczy, w tej liczbie fartuchów. Z uprzęży skórzanej, której były wielkie zapasy w Bohdaniszkach, pozostały tylko resztki. Są przypuszczenia, że Jakszuk dużo się przyczynił do tej straty, ale znowuż ustalić trudno. W wozowni zginęły w roku zeszłym czy na początku bieżącego jedne resory piękne od b. faetonu wraz z osiami, które kiedyś chciał kupić od Papy kowal Zdanowicz, ale mu ich Papa nie sprzedał. Resory te poznał u Szczuki, właściciela handlu żelaza w Rakiszkach, tenże Zdanowicz; Szczuka sprzedawał je; ludzie twierdzą, że to Jakszuk Szczuce sprzedał. Gdy Jakszuk robił dla siebie swoją nową linijkę, nagle pewnego dnia znów zginęły z wozowni jedne resory; kilka dni potem Jakszuk dawał swą linijkę do okucia i miał do niej resory; furman Łasiński i kowal Zdanowicz twierdzą, że są to te same, co zginęły z wozowni. Koła do linijki Jakszuka są dworskie z tych kilku stanów kół, które były na wiosnę wykonane w Kowaliszkach z materiału bohdaniskiego dla Bohdaniszek. Oprócz tego, jeszcze jeden stan obodów dworskich wraz z materiałem dworskim na szpice itd. Jakszuk dał do Rakiszeczek majstrowi dla wykonania kół dla niego. Deski na linijkę pochodzą też z materiału dworskiego, duha także ma być dworska, jeno pomalowana świeżo. Toteż Łasiński twierdzi, że linijka Jakszuka powinna należeć do dworu, i gorszy się na myśl, żebyśmy pozwolili ją Jakszukowi zabrać. Szyby z całego szeregu okien podwójnych do wszystkich pokojów i salek na piętrze są wyjęte – wyraźnie szkło wydłubane. Parobcy, Łasiński, Kazimierz – twierdzą, że zrobił to Jakszuk i sprzedał Zybalisowi w wiosce Bohdaniskach do budującej się chaty tegoż. Mówią, że słyszano, jak Zybalis przychodził do Jakszuka się skarżyć, iż dużo jest szyb pobitych i jak Jakszuk ustąpił mu 100 mk. z ceny. Zybalis jest teściem leśnika dworskiego Sadowskiego, zamieszkałego w Prapultini, który jest zaufanym Jakszuka. W oborze, w jej wielkim korpusie od strony lipowego ogrodu ściany drewniane są z wewnątrz dla ciepła oszalowane ścianką z cegieł surowych. Znaczna część tej ścianki jest zdarta. Trochę się ona sama osypywała i brano z niej cegłę do różnych detalicznych robot i poprawek mularskich we dworze w ostatnich latach. Otóż widziano raz latem, jak pod oborę w lipowym ogrodzie podjechał raz z dworskim koniem z wozem leśnik Sadowski, naładował tej cegły, którą mu podano przez okienko z obory i wywiózł. Twierdzą, że to także dla Zybalisa do budującego się domu i że to sprzedał lub dał za jakieś usługi Jakszuk, bo inaczej Sadowski przyjeżdżałby po cegłę w dzień i dworskim koniem. Tenże leśnik Sadowski w czasie, gdy młócono tej jesieni żyto w Bohdaniszkach, był przez Jakszuka po dniu posyłany ze zbożem niby do młyna. Podobno w ciągu tygodnia wiózł zboże do młyna cztery razy, aż wreszcie parobcy zaprotestowali przeciw temu. Domyślają się, że młyn był tylko pretekstem i że Jakszuk wywoził zboże na sprzedaż i dlatego posyłał „do młyna” nie parobków, lecz zaufanego Sadowskiego. Wszak może być i przesada, bo leśnika Sadowskiego nie lubią i mogą gadać na niego przez złość, ale że ze zbożem w Bohdaniszkach jest niewyraźnie – to fakt. Żyto było w tym roku kiepskie i było go mało – to prawda, ależ też z umłotu było mniej, niż się nawet spodziewać było można: zabrakło 186 pudów na ordynację dla parobków, nie mówiąc o tym, że nie ma nic dla dworu na chleb. We wrześniu zapowiedziałem Jakszukowi, by nie młócił zboża konną młocarnią w Bohdaniszkach, bo się sprowadzi lokomobilę, ale Jakszuk, korzystając z mojej nieobecności, pośpieszył nająć młocarnię konną i wymłócić wszystko, tłumacząc

to tym, że trzeba było pośpieszyć, aby zboża nie zatrzymano dla rekwizycji, i że zresztą parobcy, czemu oni zaprzeczają, zmusili go do młócenia natychmiast zrealizować ile się da na swoją ordynację, bojąc się by rekwizycja nie uprzedziła jej realizacji. Dużo też mówią o nadużyciach Jakszuka przy wyprzedaży detalicznej lasu w Staczeragach przez Jakszuka tej jesieni i przywłaszczeniu znacznej sumy z realizowanych z tej wyprzedaży pieniędzy. Że dymu bez ognia nie ma – to pewne. Ale trudne to są rzeczy do sprawdzenia i może być dużo przesady, dyktowanej złością i zazdrością. Jedno mi się w Jakszuku podoba i zdaje przemawiać – wbrew innych pozorom – na jego korzyść, to to, że pozostaje on zupełnie obojętny i chłodny na te gawędy i nie szuka bynajmniej zjednania sobie ludzi. Przeciwnie, z dumą i pogardą traktuje ludzi wiedząc, że mogą mu oni szkodzić i że mu są niechętni. Albo jest bezczelny i wystarczająco odważny, albo jest mniej winien, niż świadczą pozory z gawęd ludzkich.

10 grudnia, rok 1920, piątek
Rano przyjechał Baranowski, wójt gminy krewieńskiej. Przyjechał z polecenia inspektora podatkowego dla sporządzenia spisu i prowizorycznego szacunku inwentarza ruchomości w Bohdaniszkach, należącej do spadku po śp. Papie. Inspektor podatkowy będzie musiał przyjechać osobiście dla oszacowania całości majątku spadkowego, tak nieruchomego, jak ruchomego, w celu ustalenia sumy podatku spadkowego, który w Litwie jest wysoki, a tym bardziej się podnosi przez dzisiejsze wysokie ceny wszelkiego majątku, i wyniesie na Bohdaniszkach z pewnością niemniej 15 000 marek ost. Wyniósłby znacznie więcej, gdyby cenić wszystko w majątku, nie wyłączając żadnego mebla, podług cen rynkowych. Na razie wójtowi polecono zinwentaryzować ruchomość, oceniając ją prowizorycznie, a to w tym celu, aby zabezpieczyć majątek ruchomy od ukrycia przed spadkobierców na rzecz skarbu państwa od straty. Nie byłem dokładnie zorientowany co do zadania, które było zlecone wójtowi. Sądziłem, że chodzi o obejrzenie i oszacowanie całego majątku, w pierwszym rzędzie nieruchomości, a z inwentarza głównie inwentarz żywy, co zaś do takich rzeczy, jak meble, to sądziłem, że będzie dokonana tylko sumaryczna ocena. Jakszuka w domu nie było – był pojechał do Rakiszek. Honory domu mogłem robić tylko ja osobiście z Kazimierzem, który miał mi być zarazem tarczą przeciwko zbyt wysokiemu szacowaniu majętności, uwydatniając braki i minusy szacowanych rzeczy. Gdy wójt przyjechał, posłano do wioski Bohdaniszek po dwóch gospodarzy, którzy mieli być asystentami wójta przy spisywaniu i szacowaniu inwentarza, a tymczasem zaprosiliśmy z Kazimierzem wójta i jego młodocianego sekretarza na śniadanie, złożone z kiełbasy gorącej, obficie skrapianej mocną wódką, którą pan wójt pił nie kieliszkami, lecz szklankami. Bo wójt Baranowski datków pieniężnych nie bierze, ale być dobrze przyjętym lubi, a szczególnie kocha się w mocnej wódce, której może wypić ilości ogromne. Niebawem po tym naszym śniadaniu przybyli do asystowania czynnościom urzędowym wójta gospodarza Jan Kligys i Jachimowicz, obaj życzliwi dworowi sąsiedzi. Wójt Baranowski, uchodzący za człowieka przekonań czerwonych, okrzyczany za komunistę przez księży, bo za czasów bolszewickich w tych stronach w r.1919 współpracował z nimi i uwiecznił się na fotografii zbiorowej w gronie głównych okolicznych menerów bolszewizmu, z gruntu człowiek ludzki, zdawał się być na razie, gdy go wójtem obrano, postrachem dworów i ucieczką wszelkich demagogów. Umitygował się jednak rychło i dziś jest nawet dość życzliwy dworom swojej gminy. Zdaje się zresztą, że w ogóle jest człowiek uczciwy i sprawiedliwy i że ten zdrowy elementarny zmysł sprawiedliwości złagodził radykalizm jego przekonań społecznych i, niwelując jego uprzedzenia, skłonił go do traktowania równego wszystkich obywateli gminy, nie wyłączając dworów, i do zwycięstwa w nim ludzkości nad instynktami nienawiści społecznej. Bądź co bądź, dla

Bohdaniszek wójt Baranowski stał się w ostatnich czasach bardzo względny i życzliwy. Czy to w kwestiach rekwizycji, czy w rozkładzie ciężarów różnych powinności, czy w sprawie wyrębu drzewa w lesie, któremu komisja gminna leśne z Valulisem na czele usiłowała przeszkodzić różnymi sposobami, czy w rozmaitych innych sprawach – wójt Baranowski nie tylko że w ostatnich czasach nie gnębił i nie szykanował dworu, lecz starał się go zawsze osłonić i nieraz rzeczywiście osłonił skutecznie. A trzeba wiedzieć, że w stosunkach administracyjnych litewskich, kształtujących się pod tchnieniem rewolucji agrarnej i społecznej chłopskiej, władze gminne i wójt są potęgą. A dwór, przeciwnie, jako taki znienawidzony, jest pariasem, zdanym na łaskę i niełaskę, a nade wszystko na szykany i na samowolę masy ludowej chłopskiej, której wyrazem jest gmina. Toteż od postępowania Baranowskiego zależni jesteśmy bardzo. Baranowski uwzględnia trudną sytuację gospodarczą Bohdaniszek, wyczuwa upośledzania gwiazdy zachodzącej dworu i ma dlań pewne współczucie delikatne, pewną litość miękką i łagodną, która w ogóle gnieździ się w duszy litewskiej i czyni ją łatwiejszą do współżycia nawet w dobie rewolucji chłopskiej, niż np. w stosunkach na Łotwie między masą chłopską łotewską a dworami baronów nadbałtyckich.
Zresztą wójt, jak w ogóle chłopi, uważa podatek spadkowy przy przejściu spadku z ojca na dzieci za niesprawiedliwy i za krzywdę, boć chodzi tu o płacenie za swoje własne dobro. Toteż ukrycie jakichś rzeczy cenniejszych i wykręcenie się od tego podatku uważane jest podług tego poglądu nie za oszukaństwo względem skarbu państwa, jeno za akt naturalnej obrony swego dobra od zakusów uzurpacyjnych fiskusa, budzący współczucie tego, co się broni. W myśl tych intencji, wójt po śniadaniu wziął mię na stronę i uprzedził, że chodzi o spisanie i oszacowanie głównie mebli cenniejszych, sprzętów i obrazów w domu, które muszą być szacowane bardzo drogo podług cen obecnych rzeczywistych; że przeto jeżeli zechcę wszystko okazywać przy spisywaniu inwentarza, to szacunek będzie ogromny; że jednak wójt obejrzy i spisze tylko to, co mu sam okażę i po kątach i kryjówkach sam szukać nie będzie, ale musi mię uprzedzić, że gdy potem przyjdzie osobiście inspektor podatkowy dla sprawdzenia spisu wójta, to nie powinien znaleźć więcej, niż to, co wójtowi okażę. Słowem – dał mi do zrozumienia, że, o ile chcę, mogę cenniejsze rzeczy pochować. Stanęło wreszcie na tym, że pod pretekstem nieobecności Jakszuka, który ma spisy rzeczy w domu, wójt dziś czynności tej zaniechał i zapowiedział przyjazd dla wykonania na poniedziałek, prosząc, aby jutro przyjechał doń Jakszuk, któremu on dokładniej wszystko wytłumaczy. Na tym się skończyło. Wójt wkrótce odjechał, a Kligys z Jachimowiczem poszli do domu. Do poniedziałku Kazimierz z Jakszukiem poroznoszą po różnych kryjówkach na poddaszu i suterenach cenniejsze meble, obrazy, książki z biblioteki, rondle, dywany itd.
Po wyjeździe wójta i po obiedzie pojechałem roboczą klaczką Pupką w towarzystwie 10-letniego synka Jakszuków, Alfonsa, którego bardzo lubię, do Abel na grób śp. Papy. Jechaliśmy na Pokrewnie[170] i Antonosz[171]. Droga zła, gruda, bryczka ciężka, Pupka – leniwa. Było już zupełnie zimno, gdyśmy dojechali. Znalazłem na cmentarzu świeży grób Papy obok grobów dziada Edwarda[172] i jego żony Zofii z Białłozorów Römerowej[173]. Grób Papy na wysokim pagórku w ładnym miejscu. Zmówiłem wieczne

170 Pokrewnie (Pakriauniai), wieś i dobra nad rzeką Krewną w powiecie rakiskim w gminie i parafii Krewno (Kriaunos), o 12 km od stacji kolejowej Abele (Obeliai).

171 Antonosze (Antanašė), wieś nad jeziorem Naszys w powiecie rakiskim w gminie Abele o 5 km od stacji kolejowej Abele.

172 Edward Jan Römer (1806-1878), syn Michała Józefa Römera, malarz. Słynny są tomy dzienników Edwarda z lat 1848-1872. Był on opiekunem Michała Kazimierza po śmierci jego ojca Michała Stefana Römera (1816-1846).

173 Zofia Montwid-Białłozorówna (1818-1893), od 1837 r. druga żona Edwarda Jana Römera.

odpocznienie i wzruszony pomyślałem o kochanym umarłym, który odszedł do wielkiej powszechnej republiki śmierci. Tak niedawno był on jeszcze z nami! Wszyscy Cię, Papo, rychło spotkamy w państwie śmierci, bośmy śmiertelni i pospieszymy za Tobą. Wróciliśmy z Alfonsem do Bohdaniszek na dziewiątą wieczór.
Otrzymałem dziś z poczty list od Lusi Roszkowskiej z Łomży. List szedł względnie krótko; datowany był z d.14 listopada w odpowiedzi na mój list, pisany do niej z Białegostoku. Sprawił mi on dużą przyjemności. Kochana moja Lusia, tak zawsze serdeczna dla mnie!

11 grudnia, rok 1920, sobota
Skończył się mój urlop, skończyły się moje miłe wakacje bohdaniskie. Pomimo że mój obecny przyjazd do Bohdaniszek odbył się w okolicznościach tak bolesnych, jak świeża strata śp. Papy, to jednak ten pobyt tutaj był mi nie przykry bynajmniej, lecz przyjemny. Bohdaniszki związane są dla mnie z przeszłością, budzą wspomnienie nie tej jednej straty, lecz wielu strat ludzi kochanych, stosunków i rzeczy, które wraz z tą przeszłością odeszły precz z życia. Ale zarazem pamięć tych strat staje mi się w Bohdaniszkach mniej bolesną, bo nawiązuje się tu jakiś mistyczny związek między mną a tymi, co odeszli, który tę przeszłość wskrzesza w sercu moim i daje mi z nią obcowanie, łudzące niemal życiem. W atmosferze Bohdaniszek bieg czasu jakby zawraca wstecz i w przeszłości, w której śmierć poczyniła wyłomy, w cudowny sposób odzyskuje swoje prawa żywego bytu. Jest coś dla mnie niezmiernie słodkiego i kojącego w tym obcowaniu z przeszłością. Ustają dla mnie namiętności, zanika polityka, rozpływają się mgłą wieczności problemy wielkich spraw aktualnych, w których umysł i serce gubiły się w poszukiwaniu rozwiązań. Na miejsce teraźniejszości, pełnej ostrych konfliktów, powikłanej, niejasnej, szarpanej wysiłkami, w której co krok – to zagadka, wyrasta przeszłość, ścisła, spokojna, niezmiernie swojska, bo osobiście przeżyta. Głęboka jesień ponura, z mrozami bez słońca i grudą na dworze, z długimi wieczorami i nocami grudniowymi, spokój głęboki wsi o tej porze roku, śmierć natury żywej, cisza monotonnego wielkiego domu, pełnego pamiątek, czucie bezwładu i ciepłego kąta – wszystko to bardziej, niż kiedykolwiek, sprzyja wskrzeszaniu przeszłości. Ma się uczucie, że bieg czasu jest fikcją, że stany rzeczy stoją nieruchomo, że bezwład prawem i prawdą, a ruch i zmiana – kłamstwem. Przeszłość zalewa duszę; podczas gdy zwykle trzeba wysiłku, by otworzyć w sobie przeszłość, tutaj o tej porze roku dzieje się odwrotnie – trzeba uczynić wysyłek, aby sobie teraźniejszość aktualną i wielki współczesny ruch świata uprzytomnić. Może taki pobyt w Bohdaniszkach tępi energię i wolę, ale znakomicie uspokaja nerwy, wstrząsane wypadkami i niezwykłymi przejściami tych lat, które człowiek wreszcie sam nie wie, czy błogosławić, czy przeklinać. Jest to specjalny mistyczny urok głębokiej jesieni na wsi, a wrażenia te i nastroje potęgowały mi za tego pobytu w Bohdaniszkach długie z Kazimierzem posiedzenia i rozmowy wieczorne, poświecone rozpamiętywaniu przeszłości. Sama obecność Kazimierza już działała w tym kierunku, bo człowiek ten jest dla mnie w Bohdaniszkach sam tego bloku przeszłości odłamem. Jak widok rosy budzi czucie wody, tak dla mnie Kazimierz tchnie tą przeszłością.
Po obiedzie Kazimierz spakował moje rzeczy i przed wieczorem odjechałem do Kowaliszek, skąd udam się w nocy na kolej.
W Kowaliszkach zostałem jeszcze Julka, który dopiero pojutrze wyjeżdża do Kowna. Komorowscy w Kowaliszkach należą do tej kategorii ziemian litewskich Polaków, która, choć jest współczesnej Litwie niechętna i choć wzory i tęsknotę zwraca do Polski, jednak trzyma się mocno swoich majątków, ziemi i stanu posiadania, nie poświęcając ich ryzyku czynnego służenia Polsce, jak to czyni tylu ich współbraci,

przesiadujących na emigracji w Warszawie lub służących czynnie w wojsku polskim i wiążących kategorycznie los swój z losem państwowej sprawy polskiej w Litwie. Wprawdzie u tej kategorii ziemian dużą rolę gra pospolity materializm dbałości o swe dobra ziemskie ponad idealne uczuciowe przesłanki miłości dla Polski i polskości, ale niektórym z nich niepodobna odmówić i pobudek ideologicznych. Ci ostatni uważają swój stan posiadania nie tylko za dobro materialne osobiste, ale też za posterunek polskości i jej wpływów w kraju; swoje uporczywe wytrwanie na stanowisku, mimo że uczucie kieruje ich do Polski i że tu są narażeni na stosunki przykre, a nieraz nawet upokarzające, uważają za swój obowiązek obrony i straży posterunku. Ten motyw grał wielką rolę u nieboszczyka Zysia i jeszcze bardziej u Elizki, która też w tym kierunku oddziaływa na Julka. Ten ostatni jest może najbardziej ze wszystkich w Kowaliszkach niechętny Litwie i zaciekle stronny w poniewieraniu nią przy każdej okazji. Julek, któremu nie można odmówić wielkiej prawości i szlachetności uczuć, ma zarazem w naturze swej dużo przekorności kobiecej i zaciekłości jednostronnej, zbliżonej do jakiejś szczególnej histerii umysłowej. Rozumowanie jego jest zawsze jaskrawie podmiotowe, nacechowane przesadną tendencją, wypływającą z apriorycznych uprzedzeń uczuciowych i jednak pomimo wszystko ani myśli on uchylaniu się od służby, do której został powołany i staje na rozkaz tej Litwy, którą chętnie by utopił w łyżce wody lub zdeptał swą nogą! Ta jego do Litwy współczesnej niechęć jest zresztą u niego wyrazem nie tyle nienawiści do Litwinów, ile zbyt jednostronnie wyczuwanej, bez uwzględnienia całego splotu stosunków i krzywd wojennych, niesprawiedliwości i upośledzenia, którym ulegają dziś w ludowej Litwie ziemianie Polacy – i jako „obszarnicy", i jako Polacy.

12 grudnia, rok 1920, niedziela
Zaledwie parę godzin spałem w nocy, nie rozbierając się, na łóżku Hektora – i to więcejem się przewracał z boku na bok, budząc się i wciąż spoglądając na zegarek, niż spał. O godz. drugiej po północy już byłem na nogach. Kazałem zaprzęgać konie i niebawem Łasiński odwiózł mię na stację kolejową w Rakiszkach. Była jeszcze głucha noc, gdym przyjechał; domek służbowy stacji kolejowej jeszcze był zamknięty i tylko w bufecie mieszczącym się w jakiejś izdebce dużego baraku, zbudowanego prowizorycznie za czasów niemieckich, znalazłem schronienie. Nikogo z podróżnych jeszcze nie było. Za przepierzeniem bufetowa zaczynała nastawiać samowar. Zapaliłem świeczkę i zająłem się oglądaniem wielkich ilustrowanych plakatów agitacyjnych litewskich, rozlepionych na ścianach. Wszystkie miały oczywiście za temat aktualny zatarg polsko-litewski o Wilno. Plakatów takich było trzy. Jeden przedstawia olbrzymiego smoka barwy zielonej, pełznącego z paszczą rozwartą na Wilno, przedstawione we fragmencie z Góry Zamkowej; cielsko potwora dźwiga ciężki obżarty brzuch, długi ogon w skrętach zadarty do góry; na łbie czapka-rogatywka, symbolizująca polskość chciwego potwora; paszcza krwawa, cielsko także gdzieniegdzie powalane krwią ofiar, nad smokiem u góry plakatu duże plamy rdzawej krwi, ściekającej kroplami. Drugi plakat przedstawia pojedynek Pogoni litewskiej z białym orłem polskim; wierzchowiec rycerza Pogoni depcze drapieżnego ptaka; rysunek ten pochodzi z reminiscencji znanej rzeźby Piotra Rymszy[174] p.t. „Walka", która niegdyś (w roku, zdaje się, 1912) wywołała głośny skandal na wystawie litewskiej w Wilnie[175]. Na trzecim plakacie widzimy wielkiego opasłego szlachcica ubranego w

174 Petras Rimša (Piotr Rymsza, 1881-1961), czołowy litewski artysta plastyk, rzeźbiarz.

175 Na jednej z wystaw, z organizowanych w Wilnie przez Litewskie Towarzystwo Sztuk Pięknych, eksponował on rzeźbę pod tytułem „Walka", która przedstawiała bój litewskiej Pogoni z polskim Białym Orłem. Tak bezwzględna i plastycznie wyrażona

krótką węgierkę i z rogatywką na głowie; stoi on przed gankiem swojego dworu, prawą ręką wspiera się na grubym sękatym kiju, symbolizującym gwałt nad chłopami, w lewym ręku trzyma dymiące cygaro, symbolizujące użycie; twarz skrzywiona wyrazem przebiegłej uciechy, z jaką przygląda się rzędowi miniaturowych lilipucich legionistów w rogatywkach, którzy, dowodzeni przez tłustego podoficera, w postawie klęczącej na jedno kolano celują czy też strzelają w kierunku widniejącej w niewielkiej odległości wioski; za wioską tło łuny pożarów. Ostatni plakat jest zresztą b. rozpowszechniony w całej Litwie i po całym Kownie; posądzam, że skomponowany został przez Żmujdzinowicza[176]; daje on wyraz popularnej interpretacji przez Litwinów genezy polskich na Litwę napaści: jest nią usiłowanie obszarników krajowych – „dvarponių" – ujarzmienia Litwy chłopskiej przez Polskę pańską za pomocą ogłupionych chłopów polskich, wysługujących się „panom" w Legionach. Każdy plakat zaopatrzony w stosowne napisy agitacyjne. Widok tych plakatów nie jest przyjemny dla Polaka litewskiego, ale nie umiem sobie powiedzieć inaczej jak to, że Polacy przeważnie sami stali się winni takiego do nich stosunku Litwinów, bo jednak całe dzieje młodej niepodległości litewskiej są jednym ciągiem walki odpornej przeciwko usiłowaniom polskim ujarzmienia tą czy inną metodą Litwy i uczynienia z niej narzędzia polityki międzynarodowej Polski. Gdyby nawet ten cel wypływał z pojęcia nie prostej dominacji, jeno solidarności interesów polskich i litewskich, to metody były błędne w każdym razie i nie mogły wydać nic innego, jak opór i nienawiść Litwinów. Swoją zaś drogą, odwet litewski w postaci propagandy antypolskiej jest tak silny i jaskrawy, że nieraz człowiek się dziwi, iż jednak dotąd podsycane uczucie ludu nie wylały się w żadne masowe ekscesy przeciwko dworom i Polakom. Jest niewątpliwie stan upośledzenia ziemian-Polaków i szykanowanie wszystkiego, co polskie, zwłaszcza w ostatnich czasach po sprawie wileńskiej, ale ekscesów jako takich, gwałtów czynnych nie było. Po tym, co opowiadano w Wilnie o rzekomym prześladowaniu Polaków w Litwie Kowieńskiej po aferze Żeligowskiego i o aktach gwałtu, rzeczywistość, jaką po powrocie do kraju zastałem, nie jest jeszcze tak straszna i poza epizodami internowań lub bardzo rzadkich aresztowań właściwych ekscesów, a tym bardziej masowych, nie było i nie ma.
Podróż do Kowna zajęła mi dzień cały. Do Radziwiliszek jechałem w wagonie bardzo ciepłym, aż zanadto ogrzewanym, ale za to z Radziwiliszek do Kowna zmarzłem w wagonie okropnie, szczególnie w nogi.

13 grudnia, rok 1920, poniedziałek
Rano poszedłem do sądu okręgowego i najniespodziewaniej zostałem natychmiast zaangażowany na sesję do udziału w komplecie sądzącym, który, prócz mnie, składał się z prezesa Mačysa i wiceprezesa Piotrowskiego. Okazuje się, że byłem nawet wyznaczony do kompletu na sesję dzisiejszą i że były sprawy, przeznaczone dla mnie do referowania. Sprawy te wypadło usunąć z wokandy, bo nie czytałem ich. Prezes był nawet trochę nierad z tego i wymawiał mi spóźnienie się z urlopu, do winy się jednak nie poczuwałem, bo choć urlop mój się kończył w sobotę, to przecież niedziela nie jest dniem roboczym, więc mogłem w niedzielę nie stawać do pracy. Nie trzeba mię było wyznaczać na sesję w poniedziałek. Do obiadu sesja się zakończyła.

---

symbolika wywołała falę oburzenia nie tylko wśród Polaków wileńskich, lecz także spowodowała głosy protestu i ostrzeżenia w środowisku litewskim. Rozgoryczony tym Rimša potłukł swą rzeźbę.

176 Antanas Žmujdzinavičius (Żmujdzinowicz, 1867-1966), malarz litewski, założyciel Litewskiego Towarzystwa Sztuki, autor wielu obrazów odznaczających się subtelnym kolorytem, zasłużony jako dydaktyk.

Najpilniejszym zajęciem moim będzie znalezienie pokoju do wynajęcia. Tymczasem zamieszkałem w hoteliku Paryskim przy ul. Maironisa, gdzie płacę za pokój dziennie po 30 marek. Nie mówiąc o tym, że pobyt w hotelu jest niewygodny, bo nie można rozlokować rzeczy i unormować trybu życia, to już cena hotelowego mieszkania jest ponad moją możność; miesięcznie wypadłoby 900 mk., to znaczy akurat połowa mojej pensji sędziowskiej; w tych warunkach trzeba byłoby się wyrzec posady. Ale znalezienie pokoju do wynajęcia jest zadaniem nie tylko pilnym, ale i niesłychanie trudnym, bo przeludnienie Kowna przechodzi wszelkie granice. Kowno, mała prowincjonalna mieścina gubernialna przed wojną, nagle w toku wojny na stolicę, urzędowo-prowizoryczną, a kto wie – może i stałą – republiki niepodległej, wprawdzie niewielkiej, ale przecież posiadającej cały aparat państwowy. Kowno, zbudowane na skalę swoich potrzeb poprzednich miasta prowincjonalnego, musiało w murach swoich pomieścić wszystkie ministeria, instytucje państwowe i społeczne Litwy, Sejm, tysiące urzędników, różnej służby, wojska itd. O rozbudowaniu zaś miasta stosownie do rosnących potrzeb mieszkaniowych w dzisiejszych warunkach niesłychanej drożyzny i braku materiałów budowlanych i rąk roboczych – nie było mowy. W dodatku pożar zniszczył znaczną część miasta, położoną w dzielnicy staromiejskiej w głębi ul. Wiłkomierskiej. Toteż w Kownie jeszcze latem roku bieżącego i przedtem przeludnienie dawało się dotkliwie we znaki: trudno było o miejsce nawet w hotelu, ceny mieszkań i pokojów były niezmiernie wysokie i trzeba było dobrze się nachodzić i naszukać, zanim się znalazło stosowny lokal. Prawo o ochronie lokatorów, regulujące ceny mieszkań, ograniczające apetyty i swobodę rozsądzania właścicieli, mało wpływało na wstrzymanie drożyzny mieszkań, a na podaż mieszkań i pokojów wpłynęło oczywiście krępująco. Zdawało się latem, że to rzecz przemijająca w Kownie i że z chwilą, gdy Litwa wróci do swej stolicy historycznej, Wilna, Kowno, zdegradowane, opustoszeje. Krótko trwał jednak powrót Litwinów do Wilna. W październiku, gdy Wilno zostało zajęte przez wojsko Żeligowskiego, nie tylko że wróciły do Kowna wszystkie urzędy i instytucje, które już się były zaczęły przenosić do Wilna, ale jednocześnie wlała się do Kowna ogromna fala kilkunastu albo i więcej tysięcy zbiegów żydowskich z Wilna, uciekających tłumnie w panice przed widmem pogromów lub porachunku Polaków za udział Żydów w lipcowych i sierpniowych rządach bolszewickich w Wilnie. Odtąd sprawa mieszkaniowa w Kownie weszła w stadium po prostu katastrofalne. Znaleźć w Kownie mieszkanie lub pokój w śródmieściu – to tak, jak wyrwać los na wielkiej loterii.

14 grudnia, rok 1920, wtorek
Powiedziano mi w hotelu, w którym mieszkam, że gdzieś na Zielonej Górze przy ulicy Zielonej w domu niejakiej Mickiewiczowej jest pokój umeblowany do wynajęcia. Udałem się tam dzisiaj. Zielona Góra nie jest od śródmieścia daleko, szczególnie od Sądu Okręgowego, ale trzeba się na nią drapać wysoko, co jest dość męczące, a szczególnie niemiłe zimą, kiedy bywa ślisko. Ale za to jest tam taniej. Zielona Góra jest zabudowana niewielkimi domkami drewnianymi typu dworków wiejskich lub miasteczkowych, tonących w ogrodach wśród prawdziwego labiryntu uliczek. Szczególnie wiosną i latem przyjemnie tam mieszkać. W jesieni i zimą jest to mniej wygodne, tym bardziej, że w długie ciemne wieczory jest się skazanym przeważnie na siedzenie w domu, bo włóczyć się po uliczkach tego przedmieścia może być nawet niebezpiecznie. Niestety – w domku Mickiewiczowej pokój, który był wolny, jest zajęty, a choć jeden ma być wolny, bo lokatorom wymówiono, to jednak uwolni się prawdopodobnie dopiero od Nowego Roku. Szkoda, bo gospodarze mi się podobali, a pokój ma być obszerny, widny, ciepły i wygodnie umeblowany. Nie wiem, czy się go

doczekam. Radzono mi w ogóle pochodzić po uliczkach Zielonej Góry i popytać o pokoje, bo tam podobno trafiają się pokoje wolne. Pojadę na poszukiwanie jutro.
Dziś rozpoczął się przed Sądem Armii wielki proces polski w sprawie „P.O.W.”, (Polska Organizacja Wojenna) i „O.S.N.” (Organizacja Strzelców Nadniemeńskich). Jest to znana sprawa zeszłorocznego spisku wojennego polskiego w Litwie, który organizował niedoszłe powstanie w kraju. Przed wybuchem powstania organizację wykryto dzięki zdradzie pewnego współpracownika II Oddziału w Wilnie, który wydał w ręce litewskie kompromitujące papiery i spisy osób, biorących udział w organizacji. Sprawa ta, w której pierwsze areszty i dochodzenia, a następnie śledztwo rozpoczęły się już przeszło rok temu, nabrała ogromnego rozgłosu, zarówno tu, jak w Wilnie i w Polsce. Polska i Wilno usiłują przedstawiać tę sprawę za akt represji i zemsty Litwinów nad Polakami w Litwie. Sprawa ta odsłania tajniki ideologii i polityki interwencji polskiej w Litwie, fabrykowanej za wiedzą i wskazówkami Józefa Piłsudskiego przez grono jego agentów ze Sławkiem[177] i Marianem Kościałkowskim[178] w Wilnie na czele. Służy ona znakomicie rozjątrzeniu nastrojów i żalów antypolskich w społeczeństwie litewskim, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy spór o Wilno nabiera tak bolesnych dla Litwy akcentów. Rozprawy sądowe toczą się w sali posiedzeń Sądu Okręgowego i przewidywane jest trwanie ich do świąt Bożego Narodzenia. Rozprawa toczy się przy drzwiach zamkniętych. Jako członek Sądu Okręgowego, otrzymałem bilet imienny wstępu na salę, ale dziś nie skorzystałem z niego. Zapewne skorzystam jeszcze, szczególnie gdy się rozpoczną głosy stron.
Sprawa wileńska przedstawia się bardzo niewyraźnie. Z jednej strony jest wyraźna tendencja w łonie Ligi Narodów, a zwłaszcza w jej Komisji Kontroli z pułkownikiem Chardingny na czele, do faworyzowania strony polskiej i, zdaje się, wywarcia nacisku na Litwę w kierunku zsolidoryzowania jej z Polską za cenę Wilna (bodajże i Kłajpedy), z drugiej – jest obecnie opór Litwy przeciwko rozciągnięciu plebiscytu na samo Wilno, a wreszcie zdaje się wchodzić w grę czynnik trzeci w postaci Rosji Sowieckiej, która zaczyna interweniować dyplomatycznie w sprawie wileńskiej, żądając od Polski likwidacji afery Żeligowskiego, w której tkwi niebezpieczeństwo różnych nowych nieobliczalnych knowań, mogących zagrażać Rosji i pokojowi na wschodzie, i zgłaszając kategoryczny protest przeciwko dopuszczaniu na terytorium wileńskim jakichś wojsk międzynarodowych z ramienia Ligi Narodów pod pozorem plebiscytu. Sytuacja w sprawie Wilna znów się zaczyna wikłać i komplikować.

15 grudnia, rok 1920, środa
Słyszałem dziś od dr Jerzego Šaulysa[179], który się wyspecjalizował na dyplomatę (po Nowym Roku ma on być mianowany przedstawicielem Litwy w Rzymie w Kwirynale) i który pracują obecnie w Ministerium Spraw Zagranicznych, że podług posiadanych

177 Walery Sławek (1879-1939), pułkownik, działacz polityczny, członek PPS, bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego, w latach 1924-1936 prezes Związku Legionistów, w latach 1928-1938 poseł, trzykrotny premier, współtwórca konstytucji kwietniowej.
178 Marian Kościałkowski-Zyndram (1892-1946), legionista, działacz polityczny. 1915-1916 był w Legionach Polskich, 1916-1919 w POW. 1919 uczestnik wyprawy wileńskiej i szef II Oddziału w Wilnie.1920 komendant bezpośredniego sztabu Żeligowskiego, w latach 1920-1922 pracował w Sztabie Wojsk Litwy Środkowej. 1922-1939 poseł w Sejmie RP. 1934-1935 minister spraw wewnętrznych, 1935-1936 premier, 1936-1939 minister opieki społecznej. Po IX 1939 w Rumunii, skąd przedostał się do Anglii. W obozie piłsudczyków odgrywał poważną rolę.
179 Jurgis Šaulys (Jerzy, 1879-1948), dyplomata, działacz społeczny i polityczny. 1917 członek Taryby, jej wiceprzewodniczący, sygnatariusz aktu niepodległości Litwy (16 II 1918), 1919 przewodniczący misji litewskiej w Polsce, 1919-1939 poseł w różnych krajach: Niemczech, Szwajcarii, Włoszech, Watykanie, ponownie w Niemczech i od XII 1938 do IX 1939 w Polsce.

przez rząd litewski wiadomości, w Wilnie gotuje się czy może tylko się omawia, ale podobno zupełnie poważnie, nowa kombinacja „rewolty” (quasi-rewolty) na modłę wyprawy wileńskiej Żeligowskiego. Ponieważ Polska przy układach z Litwą o zawieszeniu broni między wojskiem litewskim a wojskiem Żeligowskiego przyjęła na siebie odpowiedzialność za Żeligowskiego, że tenże dotrzyma umowy, więc Żeligowski, skrępowany gwarancją Polski, nie wznowi wojny, ale jak poprzednio on zainscenizował quasi-rewoltę i niby to na własną odpowiedzialność pomaszerował na Wilno, tak teraz spod Żeligowskiego ma się wyłamać Babicki, inscenizując „rewoltę” przeciwko uspokojonej „rewolcie” Żeligowskiego, i znowu niby na własną odpowiedzialność pomaszerować na Kowno. Ile w tym prawdy – nie wiem. Wiadomość ta ukazała się też wieczorem w „Lietuvie”. Nie bardzo mi się chce w to wierzyć, bo zdawałoby się, że taki odgrzewany manewr „rewolty” zbyt by już raził sztucznością i tym razem kompromitował Polskę stanowczo. Oprócz tego, nie chce mi się temu wierzyć dlatego, że dziś Polska musi się bardziej liczyć nie tylko z państwami Ententy i Ligi Narodów, ale i z Rosją Sowiecką, niż w początku października, kiedy po wielkim zwycięstwie nad bolszewikami, zagrożonymi jednocześnie przez Wrangla i gorączkowo szukającymi rozejmu z Polską, by odetchnąć na froncie zachodnim, zawierała z nimi zwycięski rozejm i puszczała efektowne fajerwerki w postaci Żeligowskiego na Wilno, Bałachowicza na Białoruś i Petlurę na Ukrainę. Żeligowski się jej wtedy udał, choć jeszcze rzecz nie zakończona, ale Petlura i Bałachowicz przeciwko bolszewikom – spalili na panewce. Dziś bolszewicy już odetchnęli, pozbyli się Wrangla, zlikwidowali Petlurę i Bałachowicza i groźnie potrząsają bronią na pograniczu polskim. Podnoszą już oni głos przeciwko aferze Żeligowskiego i zaczynają się domagać zlikwidowania tejże, nie uwzględniając tkaniny, snutej na kanwie Żeligowskiego przez Ligę Narodów i zabarwianej, jak się zdaje, tendencjami do utworzenia nowej koalicji antybolszewickiej. Polska zdaje się niezbyt kwapić do nowej wojny z bolszewikami i w każdym razie, jeżeli będzie obstawać za zachowaniem konsekwencji przedsięwzięcia Żeligowskiego i nie ustąpi żądaniu bolszewików zlikwidowania tych konsekwencji i wyrzeczenie się atutów, które ona jej dają, to jednak wątpię, aby w tym momencie zdecydowała się na tak jaskrawe posunięcie, jak nowy fajerwerk quasi-rewolty Babickiego, naciągający jeszcze ostrzej strunę sprawy Żeligowskiego. Chyba szukałaby prowokacji i była zdecydowana na wznowienie wojny. Podejrzewam, że wiadomości Litewskiego Ministerium Spraw Zagranicznych pochodzą z informacji, nadsyłanych z Wilna przez Birżyszków. Michał Biržiška, który obecnie już bawi w Wilnie, jest człowiekiem poważniejszym, ale jego otoczenie litewskie w Wilnie, jak jego brat Wiktor, p. Bronisława Biržiškowa, Rondomański, tchną trochę plotkarstwem i zbyt pochopnie gotowi są wszelką zasłyszaną pogłoskę, wszelki kalambur brać za monetę faktu. Są to ludzie dzielni i ideowi, ale mają trochę manii prześladowczej i są zbyt wrażliwi. Dlatego też trzeba brać ich informacje z pewną rezerwą. Ale skądinąd czasy są takie, żadnej niespodziance bym się nie dziwił. Rzeczy na pozór najmniej logiczne stają się faktami i realizują się, a nawet czasem zyskują jakąś trwałości i powodzenia, a celuje w tej dziwnej sztuce realizowania paradoksów mistrz faktów dokonanych – Piłsudski, wielki mag Polski. Ale co osobliwsze w tym, co mi Šaulys opowiadał w sekrecie, jako wszakże rzecz podobno najzupełniej ścisłą – to to, że Babicki za cenę 6000 000 mk. (jakich?) był gotów urządzić „rewoltę” wsteczną, to znaczy „zbuntować się” przeciwko Żeligowskiemu nie na rzecz pchnięcia jego dzieła naprzód, czyli „marszu na Kowno”, ale na rzecz odwrotu z Wilna na łono Polski. I to mi się wydaje nieprawdopodobne. Notuję tylko to, co mi mówił Šaulys. Sprzedaję za to, za com kupił, nic od siebie nie dodając. Bez komentarzy.

Siedząc w Kownie, u źródła różnych ciekawych nowin i rzeczy, zaczynam odczuwać nadmiar tematów dla dziennika i nie wiem, od czego zacząć. Oto i teraz chciałbym powiedzieć i o Białorusinach, i o błędach polityki litewskiej w Wilnie, i o mowie oskarżonego Kowalca[180] w procesie Peowiaków, toczącym się w Kownie. Każdy z tych tematów jest ciekawy, ale i obszerny, poruszający bardzo rozległą sferę stosunków i zjawisk. Zaczną chyba o Białorusinach z okazji spotkania się dziś z p. Duszewskim,[181] jednym z członków tułaczego rządu niepodległej Republiki Ludowej Białoruskiej, którego głową jest Wacław Łastowski. Dowiedziałem się od niego, że rząd białoruski, który rezydował ostatnio w Rydze, przenosi się obecnie na siedzibę do Kowna. Jest to rezultatem układu, który w listopadzie czy końcu października stanął między Litwą a rządem Republiki Białoruskiej. Układ ten, bez względu na to, czy jest on jawny i formalny, czy też poufny i niezupełnie odpowiadający przepisom formalistyki międzynarodowej, czego dobrze nie wiem, stanowi sam przez się akt uznania rządu Republiki Białoruskiej przez Litwę. Nie wiem dobrze, ale przypuszczam, że układ ten był poufny i nie ulegał formalnej ratyfikacji Sejmu, bo chyba układ formalny byłby dla Litwy niemożliwy ze względu na Rosję, która pod firmą Białej Rusi Sowieckiej zajmuje terytorium białoruskie i z którą Litwa jest w stosunkach pokojowych, więc nie mogłaby chyba traktować urzędowo z innym rządem, uznającym się za rząd terytorialny części Rosji. Ale mniejsza o formę układu. W istocie układ taki został zawarty, a może nawet nie bez wiedzy Rosji, bo w pierwszym rzędzie zwraca się on przeciwko roszczeniom państwowym Polski na ziemie białoruskie i ma służyć za jeden z atutów przeciwko aferze „Litwy Środkowej” Żeligowskiego, a przez to samo nie byłby przez Rosję bolszewicką źle widziany. Zawarcie tego układu dało Białorusinom możność zalokowania w Kownie swego przedstawiciela przy rządzie litewskim i założenia agencji swego biura prasowego, a obecnie posłużyło im za podstawę do przeniesienia siedziby swej z Rygi, gdzie oni byli tylko tolerowani, do Kowna, gdzie mają stanowisko międzynarodowo uznanego rządu, bo gdy się z kimś rokuje i układa, to się go *eo ipso* uznaje.

16 grudnia, rok 1920, czwartek

Dzieje stosunków Litwinów do Białorusinów przechodziły w czasie wojny różne stadia. Można przyjąć za ogólną zasadę, że w chwilach, gdy sytuacja polityczna jednego z tych narodów stawała się międzynarodowo trudniejsza, to szukał on zbliżenia z sąsiadem, a natomiast gdy mu się losy zdawały uśmiechać, zapominał o nim, odwracał się jak od kompromitującego towarzystwa i gotów był kopnąć nogą. W głębi tego stosunku leży spór między Litwinami a Białorusinami o Wilno (zawsze to Wilno nieszczęsne, na które jest aż tyle pretendentów!) i o granice między nimi, bo obie strony dążą do przywłaszczenia sobie tej cząstki kraju, którą Litwini nazywają Litwą Wschodnią, Białorusini – Białą Rusią katolicką, a Polacy czasem – Białopolską. Do niedawna jeszcze, za czasów całej okupacji niemieckiej i aż nawet do traktatu pokojowego Litwy z Rosją z lipca r. 1920, Litwini pretendowali do całego terenu tzw. Rusi Litewskiej, do

---

180 Rajmund Kawalec (pseudonim Adam Juźwik, ?-?), porucznik, był komendantem Kowieńskiego Okręgu POW. Aresztowany przez Litwinów, w 1920 r. skazany na dożywocie. W więzieniu spędził cztery lata. Na wolność wyszedł w 1923 r.; napisał wówczas memoriał o sytuacji na Litwie.

181 Klaudijus Dušauskas-Duž (Duszewski, 1891-1959), inżynier, działacz białoruski. Od 1909 r. uczestniczył w ruchu odrodzeniowym białoruskim. W 1919 r. w Wilnie organizował Bielorusskaju Dumku. Przewodniczący wileńskiej i grodzieńskiej Rady Białoruskiej (1919). Od 1920 r. mieszkał w Kownie i działał w rządzie W. Łastowskiego. Organizował centrum działalności Białorusinów, redagował prasę białoruską („Bieluruski ściag” w 1922 r., „Krivič” w latach 1923-1927; „Bielaruski Asiŭrodek” – 1933-1936).

której, prócz tego, co się nazywa dziś u Litwinów „Litwą Wschodnią" w pojęciu traktatu lipcowego, wchodzi także gub. grodzieńska i pow. nowogródzki z b. gub. mińskiej. Sankcją prawną dla tak szerokiej na wschód rozciągłości Litwy narodowej (bo Litwini zawsze państwo swoje traktują li tylko jako narodowe) upatrywali Litwini w traktacie niemiecko-rosyjskim brzeskim z r. 1918, który w tych granicach konstruował Litwę. Białorusini, którzy w r. 1918 pod okupacją niemiecką usiłowali budować w Mińsku niepodległą Białoruś, oburzali się na wcielenie Traktatem Brzeskim dużej połaci Białej Rusi do Litwy i protestowali przeciwko temu. Litwini nic sobie z tych protestów nie robili. Gdy potem w końcu r. 1918 Niemcy skapitulowały na zachodzie i gdy wycofując się ze wschodu, opuszczały Białoruś na łaskę losu, a za cofającymi się Niemcami postępowali bolszewicy, nie uznający żadnych „burżuazyjnych" republik narodowych, Białorusini znaleźli się w obliczu katastrofy. Bolszewicy ani gadać nie chcieli o jakimkolwiek tolerowaniu państwowych poczynań białoruskich w Mińsku, a „państwowotwórcza" robota Białorusinów była tak jeszcze wątła, tak oderwana od mas ludowych, że o stawieniu oporu bolszewikom nie mogło być mowy. Bolszewicy, idąc za wycofującymi się Niemcami na Białoruś i Litwę, wieźli z sobą zawiązek tak zwanego „Lit-Biełu", czyli quasi-Republiki Sowieckiej Litewsko-Białoruskiej z komunistami Mickiewiczem-Kapsukasem[182] i Angarietisem[183] na czele, która była tylko fikcją formacji państwowej, a w istocie była pospolitą Rosji ekspozyturą. Wtedy Białorusini, zdezorientowani, spróbowali się rzucić w objęcia Litwy, którą niedawno za uzurpatorkę ich dziedzictwa ogłaszali. Tracąc ostoję państwowości własnej, próbowali oni ocalić choć jakikolwiek kawałek swego terytorium narodowego od zalewu Rosji, choćby pod flagą państwową litewską. Próbowali uczepić się Litwinów, aby pod sztandarem ich narodowej sprawy państwowej ratować się od potopu. Rozumowali słusznie, że jeżeli się tylko Litwie uda się ostać, to w niej i przez nią wypłyną i oni, Białorusini. Bo ta Litwa, jeżeli się utrzyma w granicach b. guberni grodzieńskiej, powiatu nowogródzkiego i gub. wileńskiej (bez pow. wilejskiego i dziśnieńskiego), będzie miała taki wielki liczebnie balast białoruski, że go ani zalać, ani przetrawić narodowym elementem litewskim nie zdoła i że przeto w tej Litwie Białorusini znajdą przytułek bezpieczny i zdołają się zorganizować dla rozpoczęcia znowu swego dzieła narodowego własnej budowy państwowej, która w przyszłości ma się rozciągnąć na całą Białoruś. Skądinąd w tym czasie i Litwini stali się ustępliwsi. Widzieli oni, że potęga niemiecka, o którą się opierali w pierwszym stadium swej budowy państwowej, runęła, że Europa Zachodnia Litwy nie zna, że ją podejrzewa o germanofilstwo, co gorliwie rozgłaszali o Litwie Polacy na Zachodzie, że się o nią nikt nie ujmie, że wreszcie za cofającymi się ku granicom niemieckim Niemcami postępują bolszewicy z Lit-Biełem, którzy ani myślą uszanować Litwy i gotują jej los takiż, jak wszystkim innym narodowym efemerydom państwowym, które zaczęły kiełkować na terenach okupacji niemieckiej. Wówczas Litwini gotowi byli brać każdego sojusznika, który by stawał pod sztandarem utęsknionej przez nich państwowości i dawał choć to moralne poparcie, że oto wola ludności ludów na terytorium ich budowanego państwa jest nie przeciwko nim, lecz z nimi. Wtedy Litwini przyjęliby chętnie w swe objęcia i Polaków litewskich, gdyby ci na stanowisku państwowości litewskiej stanęli, i Żydów. Ale

182 Vincas Mickevičius-Kapsukas (1880-1935), przywódca komunistów litewskich. W latach 1918-1919 stał na czele rządu Litewsko-Białoruskiej Republiki Sowieckiej. W lipcu 1920 r. na czele komitetu rewolucyjnego w Wilnie przygotowywał się do przejęcia władzy w Litwie.

183 Zigmas Aleksa-Angarietis (1882-1940), czołowy litewski działacz komunistyczny. W 1918 r. czynny w Komisariacie Rosji Sowieckiej do spraw litewskich. Od 8 XII 1918 r. komisarz spraw wewnętrznych w rządzie Litwy Sowieckiej. W lipcu członek Rewkomu w Wilnie.

Polacy litewscy nie rezygnowali z państwowości polskiej, a zresztą był krótki moment w końcu grudnia 1918 czy w pierwszych dniach stycznia 1919, kiedy nawiązane rokowania między Tarybą czy jej rządem w Wilnie a Polakami litewskimi w osobie grupy demokratycznej Witolda Abramowicza z udziałem Zygmunda Jundziłła i bodajże także z innymi grupami tak na lewo od demokratów, jak z prawicy ziemiańskiej, były już bardzo daleko sprawę układu posunęły i kto wie, czy nie doprowadziłyby do zupełnego porozumienia i do oparcia budowy państwowości Litwy na zasadach współpracy litewsko-polskiej, gdyby inwazja bolszewicka na Wilno nie skompromitowała zdolności odpornej Litwy i nie zwróciła ich odtąd na drogi wyłącznie wiary w zbawienie przez Polskę, popychając jednocześnie Litwinów na drogę doraźnych konszachtów z Niemcami, by ratować szczątki zagrożonej państwowości. I kto wie, czy cały dalszy rozwój państwowości litewskiej i stosunków litewsko-polskich w kraju, a więc i sprawy Wilna, nie potoczyłby się innymi zgoła torami, gdyby nie przełomowe wypadki bolszewickie ze stycznia 1919. O kontakcie z Żydami nie było tedy poważnie mowy, raz dlatego, że Żydzi lekceważyli zgoła wątły twór litewski, a po wtórze dlatego, że Żydzi są zdecydowanymi państwowcami rosyjskimi i sojusznikami Litwinów mają być i są li tylko w jej sporze z Polską, ale nigdy w jej ewentualnych starciach z Rosją.

17 grudnia, rok 1920, piątek
Skutkiem wczoraj opisanych tendencji w stosunkach Białorusinów z Litwinami w listopadzie-grudniu r.1918 był układ litewsko-białoruski o wstąpieniu Białorusinów do Taryby w Wilnie i o współrzędności obu elementów narodowych w budownictwie państwowym. Białorusini zaakceptowali państwowość litewską na zachodnim terytorium Białej Rusi. Wyrazem tej akceptacji było wydelegowanie przez organizację narodową białoruską pewnej ilości członków ze swego ramienia do Taryby. W liczbie Białorusinów, którzy weszli do Taryby, byli obaj bracia Łuckiewiczowie, Antoni i nieżyjący już obecnie Iwan, następnie Dominik Siemaszko, który wtedy od niedawna zaliczył się do Białorusinów, i inni. Grudzień r. 1919 był właściwie dobą zapoczątkowania konkretnych usiłowań organizacji państwowej litewskiej. Zaczęto śpiesznie stwarzać instytucje, aparat rządowy, tworzyć zawiązek siły zbrojnej. W organizowaniu wojska w tym czasie uwydatniła się wyraźnie zasada utrakwizmu narodowego Litwy będącego wyrazem układu litewsko-białoruskiego. Na całej ówczesnej robocie w tym względzie znać i wyraźną tendencję do zachowania równoległości formacji narodowych litewskich i białoruskich. Ale nad Wilnem wisiała już katastrofa inwazji bolszewickiej. Bolszewicy podchodzili pod stolicę Litwy. Niemcy wycofywali się, Litwini nie rozporządzali żadną siłą realną, organizację państwową mieli w stanie embrionalnym. Nie było mowy o tym, by zdołali się oprzeć bolszewikom. Ludność w Wilnie i okolicy była Litwinom niechętna, tak że i moralnego oparcia w masach im brakło. O ile chodziło o wysiłek odruchowy na rzecz doraźnego oparcia się inwazji, to można by się było o to pokusić li tylko w kształtach formacji polskiej, która też istotnie zaczęła się doraźnie wytwarzać. Działacze litewscy wraz z Tarybą i rządem, za bardzo małymi wyjątkami kilku osób (Michał Biržiška, Augustyn Janulaitis, Staszyński[184]), uciekli na zachód. Nie oparła się inwazji bolszewickiej i próba obrony polskiej w Wilnie. W pierwszych dniach stycznia 1919 bolszewicy zaleli Wilno. Zdawało się, że Litwa utonie rychło w morzu zalewu bolszewickiego, tak jak

184 Vladas Stašinskas (Staszyński, 1874-1944), prawnik, działacz społeczny i polityczny. Związany początkowo z litewskim ruchem socjaldemokratycznym, później zbliżył się do litewskich narodowców. 1919 minister spraw wewnętrznych, 1938 minister sprawiedliwości. 1930-1938 kierownik Banku Litwy.

utonęła Białoruś, że wątłe zawiązki organizacji państwowej i wojska tworzone w grudniu w Wilnie, pójdą w rozsypkę zupełną i że cała komedia państwowości litewskiej będzie zlikwidowana jako poroniony płód intrygi politycznej zwyciężonych Niemiec. Wspólny los zagłady zdawał się pochłaniać Litwę, Łotwę i Estonię. Bolszewicy podeszli aż pod Koszedary, Janów, przekroczyli Radziwiliszki, dotarli do Telsz. Zdawało się, że dni Kowna są policzone. Większość działaczy litewskich w ucieczce z Wilna oparła się aż o Berlin, inni aż o Paryż. W Kownie zatrzymała się garstka, próbując ratować resztki rozpoczętego dzieła. Na czoło garstki, dążącej do ocalenia dzieła i skupienia dokoła siebie zastępu ludzi dla dalszej pracy państwowej, wysunął się Michał Ślażewicz, który może ma dużo braków, jest niezbyt głęboki i rozumny, rozprasza się w robocie, nie ma kwalifikacji na męża stanu typu wytrawnego statysty, posługuje się demagogią, może nieraz wulgarną, ale jest bardzo ruchliwy i energiczny i ma tą wielką dla Litwy zasługę, że w styczniu r. 1919 nie poddał się panice ani depresji, nie opuścił rąk, nie zwątpił, lecz z całą mocą, całą bezwzględnością jak żołnierz, który się rzuca bronić wyłomu, jak strażak, który pośpieszy na miejsce zagrożone i pomocą w porę ocali całe dzieło ratunku, podjął zagrożoną sprawę i dźwignął ją, nie dopuściwszy do rozproszenia ostatków i do upadku zupełnego. Oczywiście, nie on wstrzymał dalszy pochód bolszewików; uczyniły to wojska niemieckie, która zatrzymały się w cofaniu. Ale gdyby Litwini – i tu jest Ślażewicza zasługa – nie skupili się na pozostałym, kowieńskim skrawku okupacji niemieckiej, nie podjęli dalej energicznie i bez żadnej przerwy swego dzieła budowy i nie wzmocnili następnie własnej organizacji, to albo Niemcy by się wcale nie zatrzymali, albo potem po ich wycofaniu się wleliby się w próżnię bądź bolszewicy, bądź Polacy. I byłaby tu nie Litwa, jeno Rosja lub Polska. Bo Niemcy, choć stanęli i powstrzymali na razie inwazję bolszewicką, jednak sami prowadzili grę podwójną i poniekąd bolszewikom dłoń podawali, a chętnie z pewnością byliby się z nimi porozumieli kosztem podziału krajów bałtyckich i stworzenia mostu czy wspólnego frontu przeciwko Polsce i dla rewanżu na zachodzie choćby z pochodnią komunizmu w ręku.
Ale odbiegłem od historii rozwoju stosunków litewsko-białoruskich. Litwa w Kownie ocalała, ale jej białoruska połać wschodnia faktycznie od niej odpadła. W praktyce zanikły wszelkie konkretne warunki współdziałania litewsko-białoruskiego w budownictwie państwowym Litwy, bo dzielnica białoruska przestała już obcować z Litwinami. Były jeszcze jakieś szczątkowe oddziały białoruskie w tworzącej się i rozrastającej się armii litewskiej, kręciła się w Litwie topniejąca coraz garstka emigrantów działaczy białoruskich, tułały się jeszcze, ale coraz słabiej i coraz oderwaniej koncepcje kooperacji państwowej litewsko-białoruskiej, ale było to już w stanie zanikowym, bo się to nie odżywiało żadnym współżyciem, żadnymi wspólnymi problematami faktycznymi. Wschodnia dzielnica Litwy, sięgająca na terytorium białoruskie, były w ręku bolszewików, potem były pod okupacją polską. Jako reminiscencja poprzedniego układu litewsko-białoruskiego utrzymało się w rządzie litewskim osobne ministerium do spraw białoruskich z ministrem wpierw Woronką, potem w gabinecie Griniusa – Siemaszką. Ale było to ministerium suchotnicze, którego zadania były tylko *in spe*[185]. Co zaś do Białorusinów – to ich akcja państwowa, odseparowana odtąd znowu od litewskiej, potoczyła się dwiema drogami. Jedni zaczęli hołdować aktywizmowi polonofilskiemu, szukając spełnienia postulatów państwowych na drodze kontaktu z Polską i szczególności z federacyjnymi planami Piłsudskiego, inni – z Łastowskim na czele – prowadzili w kraju politykę niepodległości, kierowaną z emigracji i ześrodkowaną w tułaczym rządzie białoruskim.

185 Łac. – w przyszłości.

18 grudnia, rok 1920, sobota

W r. 1919 i do połowy r. 1920, przez czas wojny polsko-bolszewickiej i okupacji polskiej, drogi polityki białoruskiej i litewskiej rozeszły się. Rozeszły się bez żadnego właściwie konfliktu, po prostu dlatego, że warunki i zadania pracy państwowej Litwinów i Białorusinów były różne, a punktów stycznych w konkretnej robocie nie było. Dopiero w lipcu r. 1920 sytuacja uległa zmianie. Bolszewicy zadali klęskę Polsce, usunęli ją z Wilna i ziem litewsko-białoruskich. Wojna przeniosła się na etnograficzne terytorium polskie, bolszewicy szli na Warszawę. Przez czas jakiś mogło się zdawać, że powrót Polaków na ziemiach litewsko-białoruskich jest wykluczony i że litewsko-białoruska polityka Polski została zlikwidowana. Polonofilskie kombinacje pewnej części polityków białoruskich, tzw. aktywistów, zdawały się pogrzebane. Garstka ich uszła wraz z wojskami polskimi do Polski, ale już w rachubę w polityce białoruskiej brana nie była. W tym samym czasie Litwa była zawarła pokój z Rosją bolszewicką w Moskwie. W rokowaniach pokojowych litewsko-bolszewickich, w pierwszym ich stadium, delegacja litewska w Moskwie, do której składu należał też litewski minister do spraw białoruskich Dominik Siemaszko, stawiała żądanie odstąpienia przez Rosją Litwie także pewnych terenów prawosławno-białoruskich, a mianowicie części b. guberni grodzieńskiej z pow. nowogródzkim i powiatów wilejskiego i bodaj dziśnieńskiego b. gub. wileńskiej, to znaczy próbowała odtworzyć z pewnymi poprawkami Litwę z Traktatu Brzeskiego. Domaganie się dla Litwy skrawków prawosławno-białoruskich było przez delegację litewską uzasadnione nie względami etnograficznymi, jeno współżyciem historycznym najściślejszym tych ziem z Litwą, pokrewieństwem wielu elementów kultury, ich ciążeniem do Wilna i Grodna, wreszcie rzekomo wolą ludności. Litwini niby to mieli z tych skrawków utworzyć jakiś autonomiczny aneks białoruski w państwie litewskim z ośrodkiem w Słonimiu[186] (miałaby to być „Ziemia Słonimska"). Zresztą delegacja litewska stawiała to żądanie bardzo miękko, nie wierząc w urzeczywistnienie tego postulatu, a może nawet nie bardzo go sobie życząc, aby nie komplikować swojej państwowości jakimiś tworami obcymi autonomicznymi, które nie tylko same wytworzyłyby w organizmie państwowym komórki obce o dążeniach odśrodkowych, ale jeszcze stać by się mogły punktami przyciągającymi dla położonych obok powiatów z ludnością litewsko-białoruską, jak grodzieński, lidzki, oszmiański[187], częściowo wileński, święciański[188], jezioroski, które Litwa uznaje ze swoje terytorium narodowe bez zastrzeżeń autonomicznych. Postulat „Ziemi Słonimskiej" był przez delegację litewską wysuwany raczej tylko taktycznie, aby było z czego ustąpić w rokowaniach. Oczywiście, bolszewicy się na to nie zgodzili i delegacja litewska z łatwością zrezygnowała z tego żądania taktycznego, mając zapewnienie ustąpienia przez Rosją Wilna, Grodna i Lidy, to znaczy granice wschodnich w całym zakresie tego terytorium, które Litwini za etnograficzne (czy też „etnologiczne", jak wolą określać Litwini) litewskie uznają. Tą drogą cząstka terytorium, zaludnionego przez Białorusinów-katolików ze wzmiankowanych wyżej powiatów przechodziła rzecz państwa litewskiego. Na to terytorium wileńsko-lidzko-grodzieńskie, odpowiadające mniej więcej temu, co dziś w Wilnie „Litwą Środkową" nazwane zostało – prawdziwe jabłko niezgody sąsiadów – pretendują tak Litwini, jak Białorusini, jak Polacy, jak wreszcie Rosja narodowa,

186 Słonim, miasto na Białorusi, w powiecie grodzieńskim, nad Szczarą (dopływ Niemna) przy ujściu Issy. W okresie międzywojennym było w granicach Polski.

187 Oszmiana, miasto na Białorusi, w obwodzie grodzieńskim. W okresie międzywojennym było w granicach Polski.

188 Swięciany (Švenčionys), miasto na Litwie. W okresie międzywojennym było w granicach Polski.

uważająca Białoruś całą i lud białoruski za integralną część Rosji i narodu rosyjskiego. Jakaż była wtedy pozycja Białorusinów i jakiż stosunek do dokonanego faktu ustąpienia tego skrawka ziemi Litwie przez Rosję Sowiecką? Tułaczy rząd Niepodległej Republiki Białoruskiej, ogniskujący się z Wacławem Łastowskim na emigracji w Rydze, ogłosił protest przeciwko traktatowi, ustępującemu Litwie przez Rosję bez wiedzy i sankcji Białorusinów cząstkę terytorium białoruskiego. Ale rząd ten był bezsilny. Sam przeszkadzać temu nie mógł i w ówczesnej konstelacji politycznej nie mógł znaleźć jakichś czynników, mogących mu dać oparcie w przeciwdziałaniu temu faktowi. Protest był potrzebny tylko dla zamanifestowania swoich praw jako zastrzeżenie, które mogłoby kiedyś w innych warunkach posłużyć za punkt wyjścia do rewindykacji tychże. W tym czasie zwycięska Rosja Sowiecka była górą i jeżeli Litwini otrzymali te granice wschodnie ze spornymi powiatami, to tylko z łaski tejże Rosji, która mogła je im odmówić, ba – mogłaby nawet, jak się zdawało, i samą Litwę w całości zniweczyć, a jeżeli tego nie uczyniła, to bądź dlatego, żeby pozostać wierną zasadzie samookreślenia ludów, bądź prawdopodobniej dlatego, że z rozmaitych względów było jej dogodniej Litwę raczej uzależnić od siebie, niż pchnąć ją w objęcia Polski. Litwa też, czując w sprawie wileńsko-lidzko-grodzieńskiej oparcie o zwycięską Rosję i lekceważąc sobie powrót Polski do Wilna, który się zdawał niemożliwy, i zabiegając jednocześnie na konferencji Spa o pozyskanie sankcji Zachodu dla przyznania Wilna Litwie i zrzeczenia się Wilna przez Polskę, co też w Spa właściwie w tym momencie osiągnęła, kpiła sobie z „protestów” białoruskich. Białorusini wileńscy, zorganizowani w komitecie narodowym, choć solidarni ze swym rządem tułaczym w sprawie niepodległości niepodzielnej Białej Rusi i sprawie jej terytorium narodowego, jednak zdawali sobie sprawę z sytuacji i z właściwym drobnym dorabiającym się narodom zmysłem oportunizmu zaczęli niezwłocznie zabiegać o wyzyskania na swoją korzyść wszelkich atutów, jakże się zaznaczały na ich korzyść w wewnętrznych stosunkach państwowych w Litwie, zastosowując się pozornie do faktu dokonanego.

Dzieje stosunków litewsko-białoruskich rozrosły się w dzienniku w cały szkic i zajmują mi tyle miejsca, że od kilku dni o niczym innym nie piszę. Zrobię więc na to kilka wierszy dzisiejszych i przerwę do jutra.

Nająłem dziś wreszcie pokój na Zielonej Górze w domku Mickiewiczów, ten sam, który oglądałem przed kilku dniami. Dałem zadatek, wniosę się we wtorek. Płacić będę miesięcznie 120 mk., oprócz oświetlenia i opału (za opał po 4 mk. dziennie, o ile piec będzie w danym dniu opalony).

Byłem dziś wezwany do kompletu sądzącego na posiedzenia Trybunału. Mieliśmy do rozpoznania dwie sprawy, które wpłynęły w drodze apelacji na wyroki Sądu Armii. W jednej z nich był wyrok śmierci za przestępstwo z art. 131 K.K. (niepubliczne rozpowszechnienie w wojsku poglądów skłaniających żołnierzy do sprzeniewierzenia się swoim obowiązkom). Chodziło o żołnierza-sanitariusza, który w gronie swoich kolegów, przeznaczonych na front polski, wyrażał się, że należałoby raczej zwrócić broń przeciwko Litwinom i że on by to uczynił, gdyby go na front posłano. Choć chodziło o sprawę z wyrokiem śmierci, ale o ileż wrażenie było mniej groźne, niż w mojej zeszłorocznej praktyce łomżyńskiego sądu doraźnego. Zresztą złagodziliśmy wyrok do 6 lat ciężkiego więzienia.

19 grudnia, rok 1920, niedziela

Kairys jedzie do Wilna. Nazywa się, że jedzie od esdeków, wydelegowany przez partię i li tylko dla poinformowania się. Wprawdzie istotnie mandatu urzędowego Kairys nie ma i żadnych pełnomocnictw jakichkolwiek rokowań i formalnych propozycji nie posiada, ale bądź co bądź wyjazd ten ma pewien związek z badaniem gruntu przez rząd

litewski i kto wie, czy w pewnych sprzyjających warunkach nie stanie się on punktem wyjścia jeżeli nie do układów między Kownem a Wilnem, to może przynajmniej do pewnego poufnego przygotowania terenu dla rokowań przyszłości. Geneza jazdy Kairysa jest następująca: Michał Biržiška w sprawozdaniu z Wilna, nadesłanym do Ministerium Spraw Zagranicznych doniósł, że wśród tzw. „krajowców” wileńskich zaznaczył się zwrot przychylny Litwie i że, szukając porozumienia z Kownem na rzecz zlania z Litwą i chcąc za wszelką cenę uniknąć rozszarpania Litwy i aneksji Wilna do Polski, odstępują oni od żądania federacji Litwy z Polską, nie obstają bynajmniej za systemem kantonalnym w budowie Litwy i zadowoliliby się li tylko jakimiś konwencjami między Litwą a Polską, co Biržišce oświadczyli Witold Abramowicz i Zasztowt; „krajowcy” więc pragną porozumienia się w tej mierze bezpośredniego z Kownem, bez żadnego pośrednictwa Warszawy. Biržiška dodaje, że w łonie partii tzw. Socjalnej Demokracji Litwy i Białej Rusi, która jest czymś pośrednim między partią samodzielną krajową z ekspozyturą wileńską PPS – również nastąpił zwrot w kierunku kontaktu z Litwą; wobec tego Biržiška podnosi myśl, czy nie warto kogoś przysłać z Kowna do Wilna dla zbadania płynących stąd możliwości. W istocie w tym, co donosi Biržiška, nie ma nic nowego, bo jota w jotę to samo było i za czasów mojego pobytu w Wilnie i to samo referowałem po powrocie do Kowna Puryckiemu i w naszym zebraniu ścisłym; ale widocznie po trochę myśl o możliwości porozumienia między Kownem a Wilnem zaczyna kiełkować w Kownie w litewskich sferach rządzących, które zdają sobie sprawę z trudności rozwiązania zagadnienia wileńskiego metodami porozumienia z Warszawą, pośrednictwa Ligi Narodów, wpływami Europy lub obosiecznym ostrzem ewentualnej wojny bolszewików z Polską. Rząd litewski nie wysyła swojego delegata do Wilna, ale na skutek raportu Biržiški wyjeżdża do Wilna za wiedzą rządu, bodajże w poufnym z nim porozumieniu, na zwiady – nie do rokowań jeszcze – Stefan Kairys jako delegat nie rządu, lecz partii. Jest to to, czego na początek właśnie pragnęli „krajowcy” z Witoldem Abramowiczem na czele. Wyglądali oni z niecierpliwością przyjazdu Michała Biržiški do Wilna, licząc na to, że obecność Biržiški da możność nawiązania pierwszych nici kontaktu. Nie zawiedli się pod tym względem. Raporty Biržiški sprowokowały teraz jazdę wywiadowczą Kairysa. Kairys jedzie na parę dni. Może to będzie pierwszy krok. Dałby to Bóg, choć trudności są jeszcze bardzo wielkie, a za największą uważam to, że „krajowcy” wileńscy, pomimo posiadania większości w Wileńskiej Tymczasowej Komisji Rządzącej, są słabi i opierają się na akcji, która się wywodzi z Polski, a więc nie jest niezależną od Warszawy.
Wracam do mojego szkicu stosunków litewsko-białoruskich. Białorusini wileńscy, po wygnaniu przez bolszewików Polaków z Wilna i po podpisaniu w Moskwie traktatu między Litwą a Rosją Sowiecką, rzucili się na razie do polityki oportunizmu. Ogłaszanie protestów przeciwko „aneksji” skrawków zachodniej Białej Rusi katolickiej – zostawili swojemu rządowi narodowemu, sami zaś nie myśleli bynajmniej pozostawać w pozycji protestujących i bojkotować Litwę. Przeciwnie – cała ich myśl zwróciła się do tego, w jaki sposób zastosować się do nowej sytuacji państwowej litewskiej tak, aby ją najkorzystniej dla interesu narodowego swojego wykorzystać. Sądzili, że będą mogli wyzyskać rywalizację państwową litewsko-polską na ziemiach wileńskich. Liczyli na to, że Litwini, bojąc się wpływów polskich na tych ziemiach i za cenę pomocy w złamaniu, a przynajmniej osłabieniu wpływów polskich, udzielą chętnie Białorusinom daleko idących koncesji. W tym kierunku Białorusini wileńscy spróbowali działać na razie. Zaczęli już w sierpniu kołatać do rządu litewskiego i słać delegacje do Kowna z żądaniem, aby wszelkie nominacje rządowe w powiatach wschodnich były dokonywane po porozumieniu z Białorusinami, a zwłaszcza domagali się kontroli organizacji narodowych białoruskich i niemal monopolu dla Białorusinów w szkolnictwie ludowym

tychże powiatów. Dawali Litwinom do zrozumienia, że za to staną się ich agentami w odpalszczaniu Litwy Wschodniej. Zawiedli się jednak, bo Litwini okazali się nadspodziewanie odporni na ten flirt białoruski, zimni i niechętni. Z chwilą, gdy Litwini (za małymi wyjątkami) byli przekonani, iż Wilno się już ostatecznie Litwie dostało i że Polska pokusić się o państwowe posiadanie Wilna już nie będzie w stanie, przestali się bać Polaków i niebezpieczeństwa polskiego w powiatach wschodnich. Liczyli, że poradzą na to niebezpieczeństwo sami z pomocą życzliwych Litwie Żydów i że zarządzeniami państwowymi i stopniowym rozciągnięciem języka litewskiego na te ziemie wschodnie rozwiną w nich tendencje asymilacyjne litewskie, poparte jeszcze radykalnymi prądami reformy agrarnej, i że te tendencje same aż nadto zwalczą odśrodkowe dążenia polskie. Pomoc Białorusinów zdawała się Litwinom nie tylko zbyteczna, ale nawet niepożądana i niebezpieczna. Rozumieli bowiem Litwini, że Białorusini zechcą zużytkować wszelkie udzielone im koncesje na rzecz wytworzenia w powiatach wschodnich stanu, w którym będą się realizować elementy autonomii terytorialnej dla stworzenia tam jakiegoś Piemontu białoruskiego. Tego Litwini nie życzyli sobie i tego się obawiali. Wyczuwali oni doskonale ukryte zamiary Białorusinów. Czegoś, co mogłoby być zawiązkiem i precedensem terytorialnej autonomii białoruskiej w Litwie, Litwini nie mogli sobie życzyć i byli zdecydowani nie dopuścić. Tendencje białoruskie do zmonopolizowania narodowego powiatów wschodnich wydawały się Litwinom w tym czasie nawet niebezpieczniejsze od sympatii polskich na wschodzie. Popularną była nawet u Litwinów taka myśl, żeby raczej sprzymierzyć się z elementem polskim w powiatach polskich dla unieszkodliwienia Białorusinów, niż odwrotnie, to znaczy, myśl ewentualnego oparcia się na Polaków przeciwko Białorusinom.

20 grudnia, rok 1920, poniedziałek
Rano miałem sesję sądową z udziałem przewodniczącego prezesa Mačysa, sędziego Masiulisa oraz mnie. Była to sesja cywilna. Ponieważ nasza sala posiedzeń w Sądzie Okręgowym jest od tygodnia zajęta przez Sąd Armii pod rozprawy głośnego procesu P.O.W., więc nasze sesje odbywają się w lokalu Sądu Armii. Przed godz. 4 nasza sesja została zakończona. Sądziłem, że dzień dzisiejszy i jutrzejszy poświęcę różnym pilnym interesom, których mam dużo, aby się przygotować do projektowanego pojutrze wyjazdu na święta Bożego Narodzenia do Bohdaniszek. Los wszakże zarządził inaczej, bo wyjeżdżam jutro, ale chwilowo w zupełnie innym kierunku. Lecz nie uprzedzajmy faktów. Po kolei opowiem, o co chodzi.
Od sędziego Narutowicza, który wrócił z sesji wyjazdowej z Szawel otrzymałem list – Elwiry, pisany z Wilna przez jakąś okazję, który był przysłany do Kowna w czasie mojej nieobecności i dostał się od rąk Narutowicza dla doręczenia mnie. Elwira jest już w Wilnie i szuka okazji przejechania przez linię demarkacyjną do Bohdaniszek, dokąd wybiera się na stałe. O Maryni nie wspomina nic. List datowany z d. 4 grudnia. Chwała Bogu, że przyjeżdża. Wieczorem u Ślażewicza odbyło się nasze zebranie ścisłe. Przybyło mało członków, tylko ja, Šaulys, Ślażewicz, Siemaszko, Bortkiewiczowa i Kairys. Ze względu niepełny komplet odroczyliśmy omawianie szczegółowe programu działalności naszej. Omówiliśmy tylko i powzięliśmy uchwały w szeregu detalicznych spraw organizacyjnych. Z kandydatur, omówionych na poprzednim zebraniu, nikt jeszcze sprawozdań nie dał, bo ci, którym było polecone, nie zdążyli się jeszcze z zadania wywiązać. Postawiono i przyjęto w zasadzie kandydaturę dr Łašasa[189], posła do

189 Vladas Lašas (Lašas, 1892-1966), lekarz, fizjolog i alergolog. 1918-1921 kierownik szpitala w Rakiszkach, 1920 przeniósł się do Kowna, gdzie aktywnie uczestniczył w życiu politycznym jako poseł w Sejmie Ustawodawczym i I Sejmie Litwy, w którym

Sejmu, członka frakcji socjalistów-ludowców-demokratów. Pomówienie z Łašasem zlecone zostało p. Bortkiewiczowej[190]. Ja przedstawiłem szanse zawiązania komórki naszego związku w Rakiszkach, projektując oprzeć jej genezę na dwóch osobach, których kandydatury postawiłem: Józefa Petrulisa i dyrektora gimnazjum w Rakiszkach Purenasie. Kandydatury przyjęto, myśl zaaprobowano. Kandydaturę Petrulisa zalecono mnie, Purenasa – Kairysowi. Postawiłem wniosek wybrania komisji z dwóch osób – mnie i Šaulysa – do zredagowania projektu statutu. Dawny nasz statut i archiwum pozostały w Wilnie. Zanim je sprowadzimy, musimy jednak mieć jakiś statut, choćby tymczasowy, ujmujący pozytywnie nasze założenia, cel, zasady i regulamin, aby mieć jakieś oparcie mocniejsze, niż tylko świadomość i instynkt każdego z osobna i uniknąć zbytniej podmiotowości. Wniosek mój przyjęto. Statut własny jest nam tym bardziej potrzebny, że właściwie nasz odrodzony związek jest nie prostym dalszym ciągiem poprzedniego sprzed wojny, lecz opartym na nowym założeniu, którym jest Niepodległość Litwy (rezerwując zasadniczą tożsamość założeń humanistycznych powszechnych). Ta nowa formacja naszego związku wymaga odrębnego własnego statutu. Stary nas nie zadowoli. Naszą grupę uważamy za suwerenną konstytuantę odrodzonego związku; statut, który przyjmiemy, będziemy zresztą mogli później skorygować w zestawieniu z przepisami technicznymi dawnego. Przeszliśmy następnie do kwestii naszych dawnych członków. Wobec tego, że uznaliśmy się nie za prostą kontynuację przeszłości naszej, lecz za organizację, którą obwołujemy na założeniach nowych, postanowiliśmy o każdym z naszych byłych członków zdecydować osobno, czy go uważamy za należącego, czy nie. Ci członkowie, którzy już brali udział w odrodzonym związku, są już jego członkami *eo ipso*. Są to: Michał Ślażewicz, Michał Biržiška, Stefan Kairys, dr Jerzy Šaulys, Wacław Biržiška, Wacław Bielski, Dominik Siemaszko, Felicja Bortkiewiczowa i Augustyn Janulaitis. Co do innych, to o każdym osobno dziś zadecydowaliśmy. A mianowicie: uznaliśmy za członków jako nie budzących żadnej wątpliwości – dr Jerzego Romma[191], dr Szabada[192], Jonasa Vileišisa i Czesława Landsberga[193]. Uznaliśmy za wykluczonych, jako stojących na stanowisku państwowości obcej: Wacława Łastowskiego, który jest prezesem ministrów Republiki Białoruskiej, i Iwana Kraskowskiego[194], który jest posłem ukraińskim w Tyflisie w

należał do bloku złożonego z socjalistów-ludowców-demokratów i posłów Związku Chłopskiego (Valstiečių Sąjunga). Od 1922 profesor na uniwersytecie w Kownie, 1924-1940 i 1944-1946 dziekan Wydziału Matematycznego tej uczelni.

190 Felicija Bortkevičienė z domu Povickaitė (Bortkiewiczowa Felicja, 1873-1945), dziennikarka, działaczka społeczna i polityczna. 1899-1915 mieszkała w Wilnie, uczestniczyła w rozpowszechnianiu nielegalnych druków litewskich, związana była z litewskimi kręgami demokratycznymi. Członkini loży masońskiej „Litwa" (1911-1915). Po I wojnie światowej działała w Związku Litewskich Włościan Ludowców (Lietuvos valstiečių sąjunga, od 1922 – Lietuvos valstiečių liaudininkų sąjunga). 1920-1922 posłanka w Sejmie Ustawodawczym Litwy.

191 Jerzy Romm, znany chirurg wileński, związany z rosyjskim ruchem liberalno-demokratycznym, w latach 1915-1919 przebywał w Rosji, po powrocie w okresie międzywojennym mieszkał w Poniewieżu.

192 Cemak Szabad (Cemach Shabad, 1864-1935), lekarz i działacz społeczny. Po studiach w Moskwie wrócił w 1894 do rodzinnego Wilna. Pracował nad rozwinięciem nowoczesnej kultury żydowskiej. W czasie I wojny światowej w Komitecie Obywatelskim w Wilnie, 1919-1927 członek rady miejskiej, 1928 wybrany do Senatu RP. Folkistowiec (ludowiec), jeden z założycieli Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie (YIVO, JIWO) w 1925.

193 Česlovas Landsbergis (?), inżynier, działacz Litwinów wileńskich, był przewodniczącym litewskiego Banku Handlu i Przemysłu w Wilnie (1921). 4 II 1922 r. deportowany z polecenia prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej na Litwę Niepodległą wraz z 33 najaktywniejszymi działaczami litewskimi i białoruskimi. W Niepodległą Litwie pracował w Zarządzie Kolei (do 1925 r.), był dyrektorem Litewskiego Banku w Kłajpedzie.

194 Iwan Kraskowski (1880-1955), pedagog, białoruski działacz społeczny i polityczny, działał razem z Römerem w łożach masońskich w Wilnie do I wojny światowej, potem w Kownie. Ucierpiał od represji stalinowskich.

Gruzji, oraz Antoniego Łuckiewicza stojącego na stanowisku państwowości białoruskiej. Co do Bramsona[195] i Michała Prozorowa[196], o których nic nie wiemy, gdzie są i co robią, uznaliśmy ich za uśpionych do czasu, gdy się o nich dowiemy i powziąć decyzję zdołamy. Za uśpionych czasowo, acz z innych przyczyn, uznaliśmy Aleksandra Zasztowta, członka rządu „Litwy Środkowej" w Wilnie, i Władysława Osmołowskiego[197], który, objąwszy w Wilnie stanowisko wicedyrektora aprowizacji, przez to samo współdziała z formacją Litwy Środkowej, nie wykluczyliśmy ich, ale decyzję o nich zawiesiliśmy z tym zastrzeżeniem, że ewentualnie uznanie ich za naszych członków będzie zależało od usprawiedliwienia się ich przed nami z ich działalności obecnej ze stanowiska niepodległości Litwy. Wreszcie co do Bułata, postanowiliśmy wpierw wybadać go, czy jego opozycja stosuje się tylko do formy rządu lub ustroju państwa, czy też do samej państwowości i niepodległości Litwy; zbadanie polecono mnie. Do liczby nie budzących wątpliwości zaliczyliśmy także Bugailiškisa[198] w Szawlach. Dla kontaktu z analogiczną organizacją białoruską, która podobno istnieje, wyznaczono mnie; porozumiewać się mam z Łastowskim. Do spróbowania nawiązania kontaktów, a nawet ewentualnie wejścia w ścisłe stosunki organizacyjne z formacjami we Włoszech, a ewentualnie i innymi w Europie Zachodniej przez Włochy – wydelegowano Šaulysa, który po Nowym Roku ma jechać do Rzymu jako poseł litewski.
Podczas naszego posiedzenia przyszedł do mieszkania Ślażewicza minister spraw zagranicznych Purycki. Ślażewicz przyjął go w sąsiednim pokoju, potem wywołał tamże Šaulysa. Wkrótce Šaulys wywołał mnie i wraz z Puryckim zaproponowali mi oni pojechać jutro do Wilna. Jutro o godz. 11 wychodzi do Wilna pociąg specjalny. Pociągiem tym pod wodzą misji francuskiej jedzie do Wilna komisja specjalna w sprawie wymiany jeńców. Przy tej okazji rząd litewski, bardzo poufnie, wysyła kilku zaufanych na zwiadki polityczne co do szans jakiegoś możliwego kontaktu w przyszłości i układu ewentualnego z czynnikami politycznymi obozu „krajowców" w Wilnie. A więc jedzie Kairys na zwiady w kołach socjalistów wileńskich, o czym wspominałem wczoraj, i pojechałbym ja dla poinformowania się w kołach moich stosunków z „krajowcami": Propozycję przyjąłem. Pojadę. Byłbym szczęśliwy, gdyby te zwiady, to pierwsze „zwąchanie się" stało się.

21 grudnia, rok 1920, wtorek
Jestem jeszcze w Kownie. Nie wyjechałem dziś do Wilna, ale wyjechać mam jutro o 7 ½ rano automobilem.
Sama perspektywa jazdy do Wilna, a tym bardziej w roli zwiastuna dobrej nowiny, przynoszącego bratniemu Wilnu różdżkę oliwną pojednania i zgody, porusza mię i napełnia serce radością. Niczego bym więcej nie pragnął, jak przyłożyć rąk do zbratania Wilna z Kownem, przyczynić się do dzieła sprawiedliwego pokoju i miłości między dwoma poważnionymi odłamami Litwy. Byłbym szczęśliwy, gdyby ta moja podróż wileńska stała się pierwszym krokiem do układu. Litwa, która z Wilnem i Kłajpedą mogłaby stanowić państwo małe wprawdzie, ale zdolne do życia i posiadające wszelkie warunki do rozwoju, bez tych dwóch ramion, jako twór li tylko kowieński w granicach

195 Leontij Bramson (1869-1941), adwokat, poseł w I Dumie rosyjskiej, przynależał do partii kadetów rosyjskich.
196 Michaił Prozorow, architekt, członek partii kadetów rosyjskich, w 1915 r. wyjechał z Wilna. Bliższych danych brak.
197 Władysław Osmołowski, przemysłowiec, właściciel wytwórni wód mineralnych, sympatyk grupy demokratów wileńskich w latach 1911-1915, finansował „Kurier Krajowy" (1912-1914), w 1915 r. wyjechał do Rosji.
198 Peliksas Bugailiškis (1883-1965), prawnik, działacz socjaldemokratyczny, redaktor pisma „Kultura" wydawanego w Szawlach w latach 1923-1933. Członek loży masońskiej „Litwa" (1911-1915).

obecnych, byłaby prawie nonsensem, tułowiem bez członków, organizmem bez oddechu, niezbędnego dla życia i rozwoju. Odcięcie Wilna od Litwy okaleczyłoby ją boleśnie. Z drugiej strony, Wilno, oderwane od Litwy, od Kowna i Bałtyku i zaanektowane do Polski, stałoby się nędzną polski kolonią i straciłoby warunki, potrzebne do jego rozkwitu. Jak Kowno bez Wilna, tak Wilno bez Kowna – skazane byłyby na byt karykaturalny. Wilno i Kowno potrzebują się wzajemnie i uzupełniają. Tylko w połączeniu tworzą one Litwę. Prawdę tą, zdaje się, lepiej uświadamiają sobie Litwini kowieńscy, niż wileńscy Polacy litewscy. Ale dotąd Litwini kowieńscy, pożądając Wilna, czynili ten błąd, że chcieli po prostu zapanować nad nim. Oparło się temu Wilno. Mogłoby się zdawać, że Litwini kochają tylko mury Wilna, że tylko o posiadanie murów im chodzi. Ale Wilno – to nie tylko mury z legendą Giedymina o żelaznym wilku i z tradycją prastarą litewską, ma ono też tradycję wieków późniejszych, tradycję nacechowaną wpływami polskimi, ma zwłaszcza ludność żywą. Kto chce Wilna, ten musi przyjąć nie tylko mury wileńskie; musi on je przyjąć z taką ludnością, jaka ona jest, z jej mową, charakterem, kulturą, tradycją. Wilno, należąc do państwa, musi mieć w nim swój wyraz, pozyskać swoje prawo obywatelstwa. Wilno ma prawo być nie przedmiotem tylko państwa, lecz podmiotem na równi z litewskim Kownem. Litwini za małymi wyjątkami, dotąd nie doceniali tego. Zdawało im się, że dość zapanować nad Wilnem. Wskazywałem im na to w moim odczycie sierpniowym, ale nie dosłyszeli tego, bo w tym czasie zbyt pewni byli swego. Gdym potem polemizował z „Litwą Środkową”, zawsze uznawałem prawo Wilna do stanowiska podmiotu obywatelskiego w państwie, wytykając „krajowcom” wileńskim nie to, że się upomnieli o prawa Wilna i protestowali przeciwko zapanowaniu kowieńskiemu, lecz to, że posługiwali się do tego metodą interwencji z zewnątrz, pomocy państwowej polskiej, która wchłania Wilno w sieć państwową Polski. I dlatego właśnie błędu „krajowców” wileńskich obawiam się poważnie, że teraz, gdy droga układu Wilno-Kowno zdaje się nam świtać – a przecież tego najbardziej pragnęli „krajowcy” i to mię do nich zbliżało – opozycja przyjdzie ze strony Polski, która się upomni o zapłatę za pomoc i interwencję i że wtedy „krajowcy” nie znajdą sił do oparcia się wpływom Polski, którym sami Wilno poddali i upragniony przez nich układ przyjdzie za późno, bo już go oni sankcjonować nie zdołają. Tego się dziś najwięcej boję. Co do Litwinów – to wypadki ostatnich miesięcy i tygodni nauczyły ich boleśnie tego, czego wpierw widzieć nie umieli czy nie chcieli i dziś, jak wnosić mogę z rozmowy z Puryckim, co również zaczyna się stawać widoczne i z różnych innych oznak, dokonywa się w ich umysłach zmiana zasadnicza w stosunkach do Wilna. Pod wrażeniem tych myśli i roli wstępnej, która mi się w tej sprawie zdaje wypadać, nie mogłem zasnąć tej nocy. Położyłem się około godz. 3 w nocy, spałem z przerwami, a o godz. 7 rano już byłem na nogach. Odwiozłem zaraz rzeczy na moje nowe mieszkanie na Zielonej Górze, wróciłem do miasta, zjadłem śniadanie, załatwiłem kilka pilnych sprawunków i na godz. 10 stawiłem się do Ministerium Spraw Zagranicznych do wyznaczonej rozmowy z Puryckim, skąd miałem automobilem odjechać na dworzec, aby wsiąść do pociągu na Wilno. Już wczoraj, proponując jazdę do Wilna, Purycki mi oświadczył, że Litwini ze swej strony gotowi są na bardzo dalekie ustępstwa dla Wilna, że się przygotowują daleko idące zarządzenia ustępstw językowych i amnestia, że nastrój stronnictw sejmowych w Kownie sprzyja całkowicie tym daleko idącym koncesjom i wreszcie że się opracowuje projekt autonomii Litwy Wschodniej („Rytų autonomijos”). Dziś Purycki rozwinął mi jeszcze bardziej perspektywy koncesji dla Wilna, do których są skłonni Litwini. Gotowi oni tę autonomię posunąć aż do dualizmu kantonalnego, w którym Litwa wschodnia i zachodnia miałaby każda swój Sejm krajowy, a oprócz tego byłby Sejm całego państwa, Sejm Zwierzchni. Z dualizmu byłyby wyłączone: wojsko, polityka

zagraniczna z dyplomacją, finanse, moneta, komunikacje; to byłoby wspólne; wspólna też byłaby wyższa uczelnia (Uniwersytet w Wilnie), wszakże z uwzględnieniem wszystkich narodowości i języków krajowych. Purycki dodał, że odbył konferencję ze wszystkimi frakcjami sejmowymi i wszystkie się na to zgodziły. Oczywiście prosił mię o pewną rezerwę ze względu taktycznych, aby od razu w Wilnie „krajowcom" wszystkich kart nie otwierać i nie wykładać na stół *maximum* ustępstw, by mieć i rezerwę do rokowań. Zresztą chodzi głównie o informowanie się nasze z Kairysem w Wilnie. Ewentualnie mieliśmy zaproponować Wilnu przysłanie delegacji do Kowna, czego by Purycki bardzo życzył i co by się mogło już stać początkiem rzeczywistych rokowań. Jedziemy do Wilna Kairys i ja.
Francuzi jednak, pod których egidą odszedł do Wilna pociąg z reemigrującymi się uchodźcami wileńskim, nie zgodzili się nas do pociągu przyjąć, natomiast zgodzili się, byśmy w charakterze komisji do spraw reemigracji uchodźców udali się do Wilna automobilem pod flagą francuską z oficerami misji francuskiej. Czekaliśmy cały dzień na ten automobil; około godz. 3 podano go, ale już było za późno jechać. Wyjedziemy jutro rano dwoma automobilami. Jedziemy my z Kairysem w misji politycznej, urzędnik Ministerium Spraw Wewnętrznych w sprawie reemigracji uchodźców, dwóch urzędników policji kryminalnej dla ścigania pewnych zbrodniarzy, którzy się ukrywają w Wilnie, kapitan francuski i szoferzy.

22 grudnia, rok 1920, środa
Przenocowałem w moim nowym mieszkaniu na Zielonej Górze, które nawiasem mówiąc, podobało mi się bardzo, bo jest czyściutkie, ciepłe, suche i bardzo zaciszne, tym bardziej, że i oddalenie od miasta zwiększa wrażenie głębokiego oderwania od ruchu, i raniutko o szóstej już wstałem. Na godz. 7 ½ stawiłem się na punkt zborny, który był wyznaczony w lokalu Głównego Dowództwa Milicji. Wnet się tam zebrali wszyscy odjeżdżający do Wilna, a i oba automobile stawiły się w porę. Nie trzeba było czekać, jak wczoraj. Pojechaliśmy do misji francuskiej, skąd wnet wyszedł kapitan Pujol[199], który nam będzie towarzyszyć do Wilna. Niezwłocznie puściliśmy się w drogę. W pierwszym samochodzie jechał p. Pujol z agentami wydziału kryminalnego milicji, w drugim – my w trzej, stanowiący komisję dla reemigracji uchodźców, to znaczy Kairys w charakterze przewodniczącego komisji, ja i Pius Adamowicz, wydelegowany przez Ministerium Spraw Wewnętrznych dla załatwienia właściwej techniki reemigracji. Oba automobile szły pod flagą francuską. Między Litwą właściwą a tzw. „Litwą Środkową", to znaczy między Kownem a Wilnem żadnych stosunków bezpośrednich nie ma, bo Kowno „Litwą Środkową" i wileńską Komisją Rządzącą neguje. Wszelkie więc niezbędne stosunki załatwiają się za pośrednictwem misji francuskiej.
Bez przygód dojechaliśmy do linii demarkacyjnej litewskiej, która, położona jest o 3-4 kilometry za Jewjem. Tu się zaczyna strefa neutralna, która w tym miejscu wynosi ledwie około 3 kilometrów szerokości. W strefie neutralnej gościniec jest miejscami uszkodzony i brak gdzieniegdzie mostów, w innych miejscach na drodze są zwalone drzewa. Około kilometra wypadło nam iść pieszo, automobile zaś były prowadzone ostrożnie bez drogi równolegle do szosy. Ze strony polskiej ani placówka, ani dowództwo batalionu, który rezyduje w Rykontach, nie robiły nam żadnych przeszkód i kwestii. Automobile popędziły naprzód. Im bliżej Wilna, tym więcej się spotyka Wilnian, ciągnących ręczne wózki, naładowane produktami, nie tylko dla spekulacji. Analogiczny stan rzeczy wraz z analogicznym krążeniem wózków ręcznych po

199 Puyoll (Pujol), kapitan, członek francuskiej misji wojskowej na Litwie.

bliższych i dalszych okolicach miasta, znamionujący zawsze ciężki kryzys bezrobocia i aprowizacji, ujawnił się w pierwszym roku okupacji niemieckiej – w zimie r. 1919.
Około godz. 1-2 po południu wyjechaliśmy do Wilna przez Wielką Pohulankę. Pujol wpierw się udał do pułkownika Babickiego, szefa sztabu wojsk Żeligowskiego i dyrektora Departamentu Obrony Krajowej dla notyfikacji naszego przyjazdu władzom wojskowym, a następnie z całą komisją z Pujolem na czele udaliśmy się do prezesa Komisji Rządzącej i ministra spraw wewnętrznych Witolda Abramowicza dla omówienia z nim spraw technicznych.
Jak tylko się zwolniłem od spraw formalnych komisji, przystąpiłem wnet do zabiegów w zakresie właściwego celu mego przyjazdu. Mój plan działania był taki: przede wszystkim, wybrać grono najbardziej zaufanych ludzi, o których szczerości przekonań „krajowych” nie mogę wątpić na chwilę, i im powiedzieć otwarcie, na co idą Litwini, to znaczy otworzyć im karty, wbrew formule zleceń Puryckiego. Rozumowałem tak: ludzie ci pragną zespołu Wilna z Kownem państwowości litewskiej, ale dotąd najsłabszą stroną ich stanowiska jest to, że Kowno milczy i nie idzie na żadne ustępstwa i zdaje się wcale nie chcieć rozmawiać z Wilnem. Ponieważ ludzie ci, o ile są w dążeniach „krajowych” szczerzy, są w istocie, pomimo głębokich nieraz różnic metod, naszymi sprzymierzeńcami w dążeniu do głównego celu wspólnego, trzeba im dać do ręki argument, którego im dotąd w walce z aneksjonistami polskimi, wspólnymi naszymi przeciwnikami, brakło. Argumentem tym są ustępstwa, na które gotowe już jest dziś iść Kowno. Jeżeli jeszcze ze względów taktycznych nie można argumentu tego użyć jawnie i publicznie odrzucając zasłony, to przynajmniej trzeba go dać do poufnej wiadomości tych ludzi, choćby dlatego, żeby w nich umocnić wiarę i pobudzić do działania, które bez tej wiary gotowe już jest czasem wygasnąć. Wybrałem w tym celu tylko ludzi, których dyskrecji mogłem zaufać przynajmniej co do szczegółów. Ten pierwszy wstęp mego działania wykonałem dziś, zapraszając do Zygmunta Jundziłła, jako na grunt neutralny, na herbatką następujące osoby: Witolda Abromowicza, Zasztowta, Ludwika Abramowicza, Helę Ochenkowską i dr Adolfa Narkiewicza[200]. Już sam mój przyjazd do Wilna wywołał wielkie zainteresowanie wśród moich przyjaciół, którzy wiedzieli dobrze, że dla samej sprawy technicznej uchodźców, z którą mam mało do czynienia, nie przyjechałbym. W mieście też moja obecność wywoływała różne domysły i komentarze o perspektywach stosunków polsko-litewskich. Gdym zebranym u Jundziłła przedstawił w otwarte karty całą moją wczorajszą rozmowę z Puryckim i wszystko to, na co gotowi są iść Litwini, wywołało to duże wrażenie i sensację. Wszyscy powitali to jako punkt zwrotny w stosunkach dotychczasowych i byli przyjęci powagą nowiny. W szczególności Jundziłł i Zasztowt, a bodajże i Narkiewicz mieli nawet chwilę entuzjazmu, jakby chwilę szczęścia, o którym od dawna marzyli. Ale wnet Witold Abramowicz podniósł dalsze zastrzeżenia i w szczególności drugą kwestię, równoległą do stosunku wewnętrznego Wilna z Kownem w państwie litewskim, a mianowicie kwestię stosunku Litwy do Polski. Poniekąd i poparł go w tym względzie Zasztowt, podczas gdy Narkiewicz, Jundziłł i nawet Ludwik Abramowicz gotowi byli kwestię stosunku Litwy do Polski usunąć na plan dalszy i nie wiązać jej *jumctim* ze sprawą budowy wewnętrznej, rozumiejąc, że tym tylko stosunek Wilna do Kowna został ustalony dość mocno i zadawalająco dla obydwóch stron, a przez to stosunek do Polski ustali się dodatnio *a posteriori*[201] i że stawianie go *a priori*[202] jeno komplikuje

200 Adolf Narkiewicz, lekarz, działacz demokratyczny w Wilnie.

201 Łac. – robić wnioski z doświadczenia.

202 Łac. – robić wnioski za wcześnie.

sprawę i czyni zastrzeżenia Wilna niszczącymi wszelkie podstawy układu i jeno znacznie trudniejszymi, a może i iluzorycznymi.

23 grudnia, rok 1920, wtorek
W Wilnie zastałem Elwirę Mieczkowską[203] z dziećmi, wybierającą się do Bohdaniszek na stałe, ale nie śpieszącą się zbytnio. Przeszło od miesiąca tu siedzi, ale że z małymi dziećmi, szczególnie zimą, wybrać się w dłuższą drogę jest trudno, a warunki przejazdu z Wilna do Litwy Kowieńskiej są uciążliwe i wymagające pomysłowości, więc wyjazd jej się zwleka. Zresztą nie kwapi się o to zbytnio, bo ma w Wilnie lokal tymczasem w naszym mieszkaniu, a jej mąż, Stefan Mieczkowski[204], który znowu wrócił do posady rządcy Mieczysia Bohdanowicza w Obodowcach, dowozi jej ze wsi produkty, co czyni pobyt w Wilnie bardzo dla Elwiry tanim. Gdyby nie strach przed nową wojną i inwazją bolszewików na Wilno, co *vox populi*[205] w Wilnie uważa za pewnik najbliższej przyszłości i co ciągle niepokoi Elwirę, która już aż nadto doświadczyła nędzy i tułaczki wojennej, to gotowa by ona była siedzieć tak w Wilnie do nieskończoności. Maryni Römerówny[206] w Wilnie nie zastałem. Była przyjechała do Wilna wraz z Elwirą w listopadzie, zlikwidowała tu różne swoje zaległe interesy, zwęszyła niepewność sytuacji wileńskiej pod względem politycznym i wywiozła wszystkie meble i rzeczy swoje i Kotuni Pruszanowskiej[207] do Bydgoszczy. Marynia, jak mi mówi Elwira, ani myśli już o stałym pobycie w Bohdaniszkach. Zajęta jest swoim majorem, ulega poza tym wpływowi swej córki Ewy Mejerowej[208], która upodobała Poznańskie i Pomorze[209] i ciągnie tam matkę, a tak dalece Marynia się oderwała od kraju i chce się ekspatriować, że zamierzała nawet na razie sprzedać swoją schedę w Bohdaniszkach i kupić sobie za to coś na Pomorzu; tylko sam jej narzeczony major odradził to ze względów praktycznych. Dziwnie zmienne są kobiety i dziwnie łatwo pod wpływami uczuć i okoliczności zatracają wszystkie swoje dawne usiłowania, które zdawały się być ich drugą naturą. Tak kochała Marynia Bohdaniszki, tak marzyła o nich, tak była głęboko do Wilna przywiązana! Wszystko to się ulotniło. Marynia ma wkrótce wrócić do Wilna, skąd miała szukać okazji dla jazdy z Elwirą do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach miała zabawić do wiosny. Ale namówiłem Elwirę, aby jechała teraz na Kowno pociągiem z powracającymi uchodźcami, dla których reemigracji przyjechała nasza komisja. Mieszkanie nasze w Wilnie jest w stanie likwidacji. Pozostały w nim tylko moje meble i resztki moich rzeczy, którymi chyba Marynia po powrocie się zaopiekuje, by je gdzieś zalokować, bo trzymać mieszkanie – nie warto. Narkiewicz z mieszkania tego już się wyniósł. Dziś przyjechał z Obodowiec na święta Stefan Mieczkowski.
Przechodzę do spraw publicznych. Od razu na pierwszym zebraniu wczoraj, na którym stawiałem wyraźnie przed gronem zaufanych perspektywy kompromisu wileńskiego ze strony litewskiej, przekonałem się, że od sprawy stosunku wewnętrznego między

203 Elwira Maria Mieczkowska z Römerów (1874-ok.1955), siostra Michała, w 1909 r. poślubiła Stefana Mieczkowskiego. Mieszkała i gospodarowała w Bohdaniszkach. Wiosną 1945 r. repatriowała się do Polski.

204 Stefan Mieczkowski (ok.1882-?), agronom. W 1909 r. poślubił Elwirę Marię Römerównę.

205 Łac. – głos ludu.

206 Maria Römer (1878-1937), najmłodsza siostra Michała. W 1898 r. poślubiła Witolda Römera (1866-1918), dziedzica Ikaźni, po owdowieniu ponownie wyszła za mąż za Justyna Butkiewicza.

207 Konstancja Michalina Maria Pruszanowska z Römerów (1870-1940), w 1892 r. poślubiła Ezechiela Pruszanowskiego, dziedzica Bielcza w powiecie bobrujskim.

208 Ewa Helena Meyerowa z domu Römer (1898-1951), córka Marii i Witolda Römerów, siostrzenica Michała Römera. W 1920 r. poślubiła Konstantego Meyera, w 1945 repatriowała się do Polski.

209 Pomorze, nazwa nadmorskich ziem polskich leżących zarówno u ujścia Odry, jak i Wisły.

Wilnem a Kownem w państwie litewskim o wiele trudniejszą jest sprawa stosunku Litwy do Polski. Wobec ustępstw, do których gotowe jest Kowno, pierwsza sprawa przestaje być trudna. Porozumienie w tym zakresie zdaje się być możliwe. Te elementy społeczeństwa polskiego w Wilnie, które rozumieją potrzebę współżycia państwowego Wilna z Kownem są przeciwne podziałowi Litwy, zadowolą się stanowiskiem równorzędności Wilna do Kowna. W tezie litewskiej, jak mi ją Purycki formułował, wprawdzie nie ma kantonalności, to znaczy Litwa nie jest rozumiana jak związek państw (kantonów – Wilno, Kowno, Kłajpeda) i zastrzeżona jest jedność państwa, zbudowanego na zasadach prowincji autonomicznych, jednak autonomizm ten aż nadto gwarantuje równorzędność Wilna z Kownem i chroni je od narzucenia mu języka litewskiego lub urzędników litewskich, importowanych z Kowieńszczyzny, a daje swobodę urządzenia się samodzielnego i większego wpływu w państwie. Natomiast sprawa stosunku do Polski przedstawia trudność bardzo istotną. Polacy wileńscy są tak do Polski przywiązani, a uleganie rządom z Polski i obcowanie z Polską w ciągu tych dwóch lat ostatnich tak ich do Polski zbliżyło, że bez ścisłego współżycia z Polską nie wyobrażają sobie przyszłości. Toteż żaden układ między Wilnem a Kownem nie może stanąć bez przesądzenia stosunku Litwy do Polski. Znaczna część Polaków wileńskich żąda po prostu kategorycznie inkorporacji do Polski. Inni żądają „połączenia" (odróżniają „połączenie" od „przyłączenia") z Polską na zasadach stosunku umownego, jaki określi przyszły Sejm w Wilnie. A ci nawet, co stoją na stanowisku niepodzielnego państwa litewskiego, przynajmniej z Kownem – na zachód, żądają albo federacji, albo jakiegoś innego „ścisłego związku" z Polską. Słowem – najpopularniejszą u Polaków wileńskich tezą jest: byle z Polską. Dla realizacji tej tezy poświęcają oni to, co jest najgłębszą i najistotniejszą państwowości cechą – suwerenność Litwy. Natomiast Kowno zmuszone jest stać z ewentualnym przyszłym układzie z Wilnem na straży suwerenności Litwy, z której pod żadnym pretekstem ani nawet pod groźbą utraty Wilna zrezygnować nie może. To jest trudność. Federacja Litwy z Polską, a szczególnie z Polską imperialistyczną, nie dałaby się z suwerennością Litwy pogodzić. Z konwencjami byłoby nieco łatwiej, ale także nie zanadto. Na konwencje handlowe, pocztowe, kolejowe Litwa poszłaby z łatwością. Trudniej jest z konwencją militarną, od której, jako minimum, Polacy wileńscy odstąpić się nie zgadzają. Konwencja militarna zależy od tego, jakim jest państwo, z którym się ją zawiera, kto w nim rządzi, czy konwencje jest zaczepna i przeciwko komu skierowana, czy też tylko obronna, jako wojenne poręczenie granic, ale w takim razie trzeba wiedzieć, jakie się granice poręcza, bo od ich budowy zależy charakter i tendencje konwencji. Słowem – Litwa w kwestii ewentualnej konwencji musiałaby wychodzić przede wszystkim z założeń własnego interesu państwowego i tak ten rzecz rozumie Kowno, podczas gdy polskie Wilno chce konwencji tylko dla realizacji związku z Polską. Wilno więc jest w tej kwestii – stosunku do Polski – organem wiązania Litwy z Polską „*coute que coute*"[210], to znaczy czynnikiem, który chce Litwę do Polski przywiązać tak, jak niegdyś usiłowano wiązać powstającą „państwowość" polską z Austrią lub Niemcami za czasów NKN[211] lub Tymczasowej Rady Stanu i Rady Regencyjnej. Ta trudność i różnica stanowisk w kwestii stosunku do Polski uwydatniała się już wczoraj przy pierwszej rozmowie mojej. Tacy krajowcy, jak Narkiewicz, Jundziłł, mogli sobie pozwolić na traktowanie tej kwestii inaczej, bo oni są niezależni i oderwani od kontaktu z masami, jak zresztą cały obóz inteligenckiego Stronnictwa Demokratycznego, i myślą oraz mówią od własnego

210 (fr.) Za wszelką cenę.

211 Naczelny Komitet Narodowy, organ polityczny utworzony 19 sierpnia 1914 r. w Krakowie z inicjatywy polityków galicyjskich o orientacji proaustriackich jako polityczna reprezentacja narodu polskiego.

imienia, ale Witold Abramowicz, który należy do rządu i chce prowadzić politykę realną, oraz Zasztowt, który jako członek PPS na Litwie i Białej Rusi (tak brzmi obecnie nazwa partii), jest w kontakcie z masami, musi się liczyć z ich interesami i je wyrazić, bo w przeciwnym razie straci swoją postawę, od razu musieli stawiać sprawę stosunku z Polskę na stopie szukania formuł związkowych.

24 grudnia, rok 1920, piątek
Jadąc do Wilna, zamierzaliśmy z Kairysem wrócić do Kowna automobilem. Członek naszej komisji Adamowicz miał pozostać jeszcze na dni kilka w Wilnie, doczekać się pociągu z Kowna i tymże pociągiem wrócić, zabierając ze sobą reemigrantów. Okazało się jednak, że załatwienia różnych kwestii i formalności, związanych z przysłaniem pociągu z Kowna, reemigracją uchodźców, pozostałych urzędników litewskich i ich rodzin w Wilnie itd., nie da się załatwić przez jednego Adamowicza i wymaga czynniejszego udziału mego i Kairysa. A że nie wszystko jeszcze zakończone, więc musimy z Kairysem pozostać. Nasz Francuz, kapitan Pujol, tak się rwał na święta do Kowna, że ani chciał słyszeć o przedłużeniu pobytu i postanowił dziś odjechać. Dla nas z Kairysem miał zostawić jeden z dwóch samochodów, byśmy mogli nim wrócić w niedzielę, ale żaden z szoferów nie zgodził się pozostać. Wobec tego oba automobile z Pujolem i milicjantami dziś odjechały do Kowna, a my z Kairysem i Adamowiczem zostaliśmy i zaczekamy na pociąg, który ma być podany w niedzielę i którym odjedziemy. Nie gniewamy się za tę zwłokę, przeciwnie, bo dla politycznych celów naszej wyprawy wileńskiej przedłużenie pobytu o dni kilku jest konieczne.
Kucję tradycyjną spożyłem dziś w towarzystwie Elwiry i Stefana Mieczkowskich oraz ich dzieci. Sama wieczerza była skromna – składała się ze śledzi zwykłych i wędzonych, barszczu i łamańców, a z napojów – wódka na wstępie i herbata na końcu, ale miło było, że się przynajmniej ten wieczór spędziło wśród swoich.
Z organizacji i stronnictw politycznych polskich w Wilnie wysuwa się na lewicy na jedno widniejszych miejsc tzw. Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie”[212]. Jest to radykalne stronnictwo chłopskie o tendencjach daleko idącej reformy agrarnej, mniej więcej pod względem społecznym pokrewne ludowcom odłamu „Wyzwolenie” w Polsce i stronnictwu litewskiemu pod nazwą „socjalistów-ludowców-demokratów”. Początek tego stronnictwa sięga roku przeszłego. Jednym z jego twórców był Ludwik Chomiński. Wielką sensację przed rokiem budził w Wilnie wielki zjazd chłopski „Odrodzenia”, na który przybyły tłumy chłopów polskich i białoruskich z Wileńszczyzny i który gorszył i drażnił całą reakcję wileńską radykalizmem jaskrawym swoich obrad i uchwał. Ziemiaństwo, konserwatywna inteligencja wileńska, oficerowie polscy, zestosunkowani towarzysko z domami burżuazji i szlachty wileńskiej – wszystko to było wściekłe na organizatorów zjazdu. Nastrój wtedy, za rządów Osmołowskiego[213], w pełni potęgi polskiej w Wilnie, był tak reakcyjny, że wielkie publiczne obrady radykalnego zjazdu chłopskiego wydawały się ludziom po prostu skandalem. Z niesłychanym oburzeniem i pianą wściekłości na ustach rzucono się w prasie i opinii publicznej na ten zjazd. Domagano się oddania pod sąd organizatorów zjazdu, uważano ich czyn za zdradę stanu, za zakłócenie spokoju społecznego, za zamach na polskość niemal, mimo że

212 Stronnictwo Ludowe „Odrodzenie” – odpowiednik PSL „Wyzwolenie”. Założycielski zjazd odbył się z inicjatywy grupy demokratów, głównie Ludwika Chomińskiego i Stefana Mickiewicza, 14-15 II 1920 r. Organem „Odrodzenia” stała się redagowana przez L. Chomińskiego „Gazeta Ludowa”. Od nr 5 (17) z 15 II 1920 pismo zmieniło nazwę Na „Gazeta Ludowa-Odrodzenie”.
213 Jerzy Marcin Osmołowski (1872-1952), ziemianin, adwokat, działacz polityczny, społeczny i gospodarczy. W latach 1919-1920 generalny komisarz ziem wschodnich (szef Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich). W latach późniejszych prezes Okręgowego Urzędu Ziemskiego w Warszawie, działacz Partii Pracy.

zjazd pod względem sympatii narodowych, bez względu na obecność na nim Białorusinów, był wyraźnie polonofilski. Najwięcej gorszyło i oburzało ziemian to, że inicjatorem był Ludwik Chomiński, sam należący do społeczeństwa ziemiańskiego, wielki obszarnik, szlachcic z dobrej rodziny. Wybaczono by proletariuszowi lub inteligentowi z ludu, ale nie można było wybaczyć Chomińskiemu. Rozpoczęła się nagonka na niego. Przypominano mu, że za czasów bolszewickich w r. 1919 współpracował z nimi, był bolszewickim komisarzem oświaty czy też rolnictwa. Na próżno Chomiński zasłaniał się tym, że kwestia jego współpracy z bolszewikami w Wilnie była przezeń oddana do rozpoznania Józefowi Piłsudskiemu, który go rozgrzeszył, uznając, że współpraca ta nie zawierała w sobie nic ze stanowisku polskiego zdrożnego. Nastrój, wrogi Chomińskiemu, był taki, że dochodziło nawet czasami do ekscesów publicznych przeciw niemu. Oficerowie wyprosili go razu pewnego z gospody żołnierskiej, do której zaszedł. Innym razem zmusili go do opuszczenia restauracji Żorża[214]. Założone przez Chomińskiego i paru jego współpracowników „Odrodzenie" (związek i pismo pod tąż nazwą) istniały, ale w atmosferze stosunków ówczesnych, zbudowanych na przewadze szlachecko-ziemiańskiej i na ogromnej potędze autorytetu militarnego polskiego, którego moc w kraju zdawała się niezachwiana i który faworyzował tendencje reakcji społecznej, ruch ten napotykał na znaczne przeszkody i rozwinąć się nie mógł. Ani w przybliżeniu nie mógł się on mierzyć z wpływami przemożnej wtedy „Straży Kresowej", która, chociaż nie pozbawiona zacięcia demagogicznego, była z gruntu reakcyjna i zwłaszcza poświęciła się gwałtownemu forsowaniu w masach ludowych idei inkorporacyjnej (inkorporacji do Polski), co dogadzało całkowicie aspiracjom reakcji. Teraz nastały warunki inne. Autorytet militarny Polski został przez porażkę lipcową zachwiany, a choć Polska potem zyskała rewanż i wróciła do Wilna pod maską Żeligowskiego i Litwy Środkowej, ani się równać może urokowi potęgi polskiej sprzed pół roku, tym bardziej, że bolszewicy po zwalczeniu Wrangla i stłumieniu Petlury i Bałachowicza, którzy byli kreaturami Polski i których Polska wesprzeć nie była w stanie, wyrośli znów na potęgę i cały lud w kraju jest przekonany, że gdyby teraz na Polaków uderzyli, zadaliby im cios ogromny. Co więcej – sama Polska i samo wojsko polskie nie ma już wiary w zwycięstwo nad bolszewikami w razie wznowienia wojny. Lud to widzi i czuje i lud wileński już w potęgę i niezwalczalność Polski nie wierzy. Zachował on dla Polski sympatię gorącą, ale już tej atmosfery, jaką wytwarzał triumfujący wszechmocny militaryzm, nie ma. Lud spragniony jest pokoju, ładu i szybszego zrealizowania reformy agrarnej, która odda chłopu ziemię. Teraz frazes patriotyczny już nie wystarcza, toteż lud odwraca się od Straży Kresowej i szuka radykalniejszego i bardziej konkretnego społecznie hasła, a to mu daje „Odrodzenie". Jednocześnie i reakcja, która kwitła i czuła się mocna w atmosferze triumfu militarnego, opuściła głowę i uległa depresji; ludność zamożna, ziemiaństwo – nie kwapią się wracać do kraju i wolą przeczekać ewentualności wiosny w Polsce. Wszystkie te warunki sprzyjają ożywieniu i rozwojowi ruchu „Odrodzenia", które też istotnie coraz więcej w ostatnich tygodniach zyskuje na sile i wpływach, rosnąc i rozwijając się jak grzyby po deszczu.

25 grudnia, rok1920, sobota
Związek ludowy „Odrodzenie" rozwija się szybko na całym obszarze Wileńszczyzny, zajętym przez wojska Żeligowskiego. Nie tylko sami *leaderzy* „Odrodzenia", ale w ogóle ludzie, którzy obserwują na miejscu rozwój stosunków, nie wyłączając przeciwników politycznych „Odrodzenia", przyznają, że wpływy tego stronnictwa na

214 Żorża, restauracja w Wilnie na prospekcie Adama Mickiewicza (teraz Gedimino).

wsi rosną bardzo i wytwarzają ruch chłopski, z którym się liczyć w stosunkach krajowych należy. I ciekawym jest zjawisko, że „Odrodzenie" rozwija się nie tylko równolegle do konkurencyjnej Straży Kresowej, ale w dużym stopniu jej kosztem, to znaczy najwięcej szerzy się tam, gdzie działała Straż Kresowa. Okazuje się, że ta ostatnia mimo woli odegrała rolę pierwszej oraczki gruntu psychicznego w masach chłopskich, agitacją swoją przygotowała niechcący uprawę pod radykalny ruch agrarny „Odrodzenia". Najpodatniejszymi dla wpływów „Odrodzenia" okazują się umysły poruszone przez Straż Kresową i tą drogą „Odrodzenie" zagarnia spadek dzieła nie nieboszczki, lecz żyjącej jeszcze dotąd Straży Kresowej. Przypuszczają powszechnie, że jeżeli wybory do sejmu w Wilnie, zapowiedziane przez Wileńską Komisję Rządzącą, dojdą do skutku (*notabene* zostały one odroczone z d. 19 na d. 30 stycznia), to „Odrodzenie" wejdzie prawdopodobnie do Sejmu poważną ilością mandatów. Straż Kresowa czuje niebezpieczeństwo konkurencji „Odrodzenia" i, aby uniknąć ujemnych dla siebie skutków tejże na wyborach, zabiega o zawarcie z „Odrodzeniem" zawczasu sojuszu wyborczego.
Z rozejrzenia się w stosunkach wileńskich i analizy ich wywnioskowaliśmy z Kairysem, że dla sprawy ewentualnego porozumienia litewsko-polskiego między Kownem a Wilnem miałoby wielką wagę pozyskanie kontaktu z „Odrodzeniem". W układzie sił i kierunków politycznych w Wilnie (pod nazwą Wilna rozumiem tu nie samo tylko miasto, ale całą dzielnicę wileńską ze wsią) grupy prawicy, z wyjątkiem pewnej garstki ziemian, usposobionych „krajowo", lecz chodzących luzem, są tak zdecydowanie aneksjonistyczne i wrogie wszelkiemu kontaktowi państwowemu Wilna z Litwą, że o jakimkolwiek porozumieniu z nimi mowy być nie może. Do grup tych należą przede wszystkim endecy, których głównym organem czynnym jest tu tzw. Komitet Zjednoczenia Kresów[215] i chrześcijańscy demokraci z Ligą Robotniczą w Wilnie. Z góry jest wiadomo, że prawica ta będzie zawsze wroga porozumieniu z Kownem i że będzie mu usiłowała przeszkodzić. Zresztą Komitet Zjednoczenia Kresów wpływów w masach ludowych nie ma. Jest to organizacja, rozgałęziona wśród ziemian, których szeregi są zdziesiątkowane i którzy działają nie tyle w kraju, ile z zewnętrz, z Polski, w której pozostają nadal na emigracji, poza tym sięgająca do pewnych elementów szlachty i bogatszych chłopów folwarkowych, wreszcie mające pewne sympatie u inteligencji burżuazyjnej. Zdaje się, że wpływy tej formacji endeckiej są tak nikłe, o ile chodzi o masy, że na wyborach o własnych siłach, bez pomocy obcej (chrześcijańskich demokratów) na mandaty liczyć wcale nie może. Co do chrześcijańskiej demokracji, to ta organizacyjnie jest silna tylko w samym mieście Wilnie. Na wsi wpływów organizacyjnych chrześcijańska demokracja nie ma, a siła jej polega tu tylko na osobistych wpływach kleru, który ją popiera (o ile kler ten nie jest narodowo litewskim). Ale ponieważ wpływy kleru w ludzie wiejskim katolickim są silne, więc te elementy, które nie są ogarnięte organizacyjnie wpływami Straży Kresowej lub „Odrodzenia", będą prawdopodobnie ulegały wskazówkom kleru, dając oparcie chrześcijańskiej demokracji. Przesadzać jednak siły niezorganizowanych wpływów chrześcijańskiej demokracji przez kler bodaj nie należy, bo lud chłopski jest bądź co bądź tak poruszony rewolucyjnymi hasłami reformy agrarnej, elementami haseł bolszewickich i tyle jest na wsi wszędzie demoralizacji, wyzucia się z karności wszelkiej itd., co towarzyszy zawsze okresom przesileń, rewolucji, wojny i ciągłych zmian rządów, a tym bardziej gdy to trwa już od lat szeregu bez żadnych widoków

215 Komitet Zjednoczenia Kresów powstał w Wilnie 20 III 1920 i miał na celu inkorporację kresów w całość RP. W skład Komitetu wchodzili narodowi demokraci wileńscy i ich zwolennicy.

pacyfikacji, jak w Wileńszczyźnie, że autorytety wszelkie, a w tej liczbie i autorytet kleru nie ma już tam prawdopodobnie tej władzy nad umysłami, jaką miał dawniej. Centrum w kierunkach społecznych stanowi Straż Kresowa[216]. Organizacja ta za poprzedniej okupacji polskiej działała w kierunku czysto aneksyjnym wszechpolskim. Wpływy i środki propagandy miała na wsi ogromne, agitację prowadziła na amerykańską skalę, inscenizując masowe zebrania po gminach i wsiach, petycje, uchwały wiecowe itd. Akcja ta była wprawdzie ogromnym humbugiem, ale poruszała wieś, zaszczepiała pewne pojęcia i ruch, bo agitatorzy musieli operować demagogią, co nawet wywoływało nieraz zaniepokojenie i napaści na Straż Kresową ze strony endeckiej w Wilnie i zwłaszcza w Warszawie, mimo że agitacja Straży Kresowej była skierowana do miłej sercu endeckiemu inkorporacji Wilna do Polski. Obecnie, jak mówiłem, wpływy Straży Kresowej zmalały, ustępując w wielu miejscach i na wielu punktach radykalnym wpływom „Odrodzenia". Ale jednocześnie i w stanowisku Straży Kresowej zaszły pewne zmiany, a przynajmniej coś jakby skaza jej poprzednim czysto endeckim wszechpolskim aneksjonizmie. Wprawdzie nadal jej organy i wiece głoszą z uporem hasło „do Polski", a nie „do Litwy", jednak już i w tym względzie jest pewien odcień różnicy. W przeciwieństwie do endeków, Straż Kresowa jest przeciwną plebiscytowi Ziemi Wileńskiej i staje na stanowisku Sejmu w Wilnie, co zbliża ją do formuły bardziej autonomicznej „połączenia z Polską" zamiast czysto aneksyjnej endeckiej „przyłączenia do Polski". Z drugiej strony jednak Straż Kresowa przeciwstawia się i bardziej autonomicznym hasłom stronnictw lewicy w sprawie tegoż Sejmu, bo gdy te ostatnie stoją na stanowisku „Sejmu Suwerennego", to znaczy nadają mu prawo nie tylko decyzji o tym, czy Wilno ma się łączyć lub należeć do Polski czy też do Litwy i w ogóle wszelkiej decyzji we wszystkich sprawach i kwestiach tak tego połączenia, jak innych, nadając przez to Wilnu charakter samodzielnej jednostki prawno-państwowej, Straż Kresowa obstaje przy Sejmie tzw. „plebiscytowym", to znaczy ograniczonym do stwierdzenia woli ludności o samej zasadzie przynależności państwowej do Polski lub do Litwy. Słowem, stanowisko Straży Kresowej jest pośrednie między radykalnie aneksyjnym prawicy a połowicznie krajowym lewicy.

26 grudnia, rok 1922, niedziela
Dziś już oczekiwaliśmy pociągu z Kowna, aby zabrać uchodźców, rodziny urzędników, jeńców i wraz z nimi powrócić do Kowna. Wszystkie formalności tu już z naszej strony i w stosunku do władz wileńskich były ukończone. Pociąg jednak nie przyszedł. Nie dziwimy się jednak temu, bo wczorajszy dzień świąteczny Bożego Narodzenia mógł przeszkodzić Kownu w wykonaniu zarządzeń ekspedycji pociągu.
Wracam do omówienia tła, na jakim usiłujemy z Kairysem utworzyć akcję porozumienia. Zacząłem mówić o kierunkach społeczno-politycznych w Wilnie, z którymi oczywiście trzeba się liczyć, mając na względzie perspektywę porozumienia. Kontynuuję więc o Straży Kresowej, która zajmuje centrum między prawicą a lewicą. Z prawicą łączy ją przeszłość i bezwzględność hasła „do Polski!", z lewicą zaś łączy ją przede wszystkim Piłsudski, którego autorytet Straż Kresowa uznaje, a któremu nie ufa, zwalcza i w istocie nienawidzi prawica, zwłaszcza endecy. Straż Kresowa, powodowana rozmaitymi względami akcji i środków materialnych także, uprawia kult Piłsudskiego i podporządkuje mu się. Z lewicą łączy ją poza tym, jak mówiłem,

216 Straż Kresowa, powstała w czerwcu 1919 r. Jej organem prasowym był tygodnik „Ziemia Wileńska". Subwencjonowana przez rząd, miała służyć jego polityce federacyjnej. Jednakże na stanowisku Straży ciążyli również rzecznicy inkorporacji. W agitacji szeroko prowadzonej przez Straż Kresową dominowało przede wszystkim podkreślanie polskości Ziemi Wileńskiej, głoszenie haseł złączenia jej z Polską.

negowanie plebiscytu w Wilnie i hasło Sejmu w Wilnie, chociaż inaczej, niż na lewicy, formułowane. Chociaż w całej akcji Straży Kresowej rozlega się donośnie hasło „Do Polski!", a nawet „Tylko do Polski!", to jednak stanowisko aneksyjne Straży Kresowej, które w roku zeszłym było w niej niesłychanie jaskrawe i wypełniało całą jej akcję, obecnie jakby cokolwiek złagodniało. Są oznaki, że w stanowisku Straży Kresowej jest pewne chwiejność, że jest ona cokolwiek na rozdrożu. Jedną z takich oznak charakterystycznych jest np. to, że gdy Komisja Rządząca, o czym może innym razem obszerniej pomówię, odrzuciła żądanie aneksjonistów uzupełnienia jej składu kooptacją trzech jaskrawych rzeczników aneksji i gdy na skutek tej decyzji zgłosili swoją dymisję dwaj jej członkowi aneksjonistycznego skrzydła, mianowicie Engel, który reprezentuje chrześcijańską demokrację, i Jankowski[217], dyrektor departamentu finansów (pożal się Boże nad tymi „finansami" Litwy „Środkowej"), który, choć nic nie reprezentuje, jest osobiście zdecydowanym aneksjonistą i wyznawcą ideałów endeckich, to Szopa, człowiek związany ściśle ze Strażą Kresową, który w roku zeszłym stał na jej czele i który wraz z Englem i Jankowskim stanowił w Tymczasowej Komisji Rządzącej skrzydło aneksjonistyczne, do dymisji się nie podał, to znaczy tych konsekwencji radykalnych z faktu przeciwstawienia się Komisji aneksjonistom, jakie wyciągnął Engel, nie wyciągnął. Tu więc w tej ważnej kwestii, która stała się kwestią przesilenia w rządzie wileńskim, przesilenia bardzo ciężkiego i niebezpiecznego dla Komisji Rządzącej, o czym jeszcze może powiem, a nie skończonego dotąd, drogi skrajnej prawicy aneksjonistycznej i Straży Kresowej zdaję się rozchodzić i Straż Kresowa zdaje się jednak pozostawać w obozie nie tych, co dążą bezwzględnie do obalenia Komisji i do zlikwidowania czym prędzej „Litwy Środkowej" na rzecz prostego wcielenia do Polski, lecz w obozie Komisji Rządzącej, pomimo że zapewne nie godzi się na wiele rzeczy z programu „krajowców" tejże Komisji. Drugą oznaką charakterystyczną jest np. to, że, jak słychać, Straż Kresowa na swojej liście kandydatów do Sejmu w Wilnie ma wystawić nazwisko Mariana Świechowskiego[218], zdecydowanego federalisty i rzecznika Wielkiej Litwy kantonalnej, największego bodaj przeciwnika aneksji Wilna do Polski, chociaż skądinąd – nie mniej gorącego rzecznika interwencji zbrojnej polskiej na Kowno dla skłonienia Litwy Kowieńskiej do reakceptowania programu Wielkiej Litwy historycznej kantonalnej, sfederowanej z Polską. W każdym razie, żadne imię w tym stopniu nie kłóci się tak z zasadą oderwania Wilna od Litwy i wcielenia do Polski, co imię Mariana Świechowskiego. Za charakterystyczną oznakę pewnej zmiany nastrojów Straży Kresowej uchodzi też to, że Straż Kresowa zrywa z takimi ludźmi, jak publicysta Franciszek Hryniewicz[219], aneksjonista czystej wody, który w roku zeszłym był jednym z najzaufańszych jej ludzi i wyrazicieli. W ogóle na czoło Straży Kresowej wysunęli się ludzie nowi, w ich liczbie niejacy Mydlarz[220],

217 Czesław Jankowski (1857-1929), pisarz, krytyk literacki, dziennikarz, działacz polityczny. W poglądach politycznych bliski zachowawczemu ziemiaństwu na Litwie, rzecznik krajowości, 1905-1907 redaktor „Kuriera Litewskiego", poseł do I Dumy z guberni wileńskiej, 1907 współorganizator efemerycznego Stronnictwa Krajowego Litwy i Białorusi. Od 1922 r. członek redakcji wileńskiego „Słowa".

218 Marian Świechowski (1882-1934), ziemianin, znawca problematyki narodowościowej. 1919 zastępca naczelnika Wydziału Politycznego Departamentu Litewsko-Białoruskiego w MSZ. W latach 1919-1920 kierownik Referatu Narodowościowego komisarza generalnego ZCZW, 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego od PSL „Piast", 1927-1928 pracownik Wydziału Narodowościowego MSW, 1927-1931 referent spraw narodowościowych w Prezydium Rady Ministrów. Od 1924 r. współredaktor „Kuriera Wileńskiego".

219 Franciszek Hryniewicz, publicysta, działacz Straży Kresowej.

220 Stefan Mydlarz, publicysta, czołowy działacz Straży Kresowej. Autor artykułu o wynikach wyborów do Sejmu Wileńskiego: S.M., Wola ludności wileńskiej, „Wschód Polski", 1922, nr 1-3.

Wścieklica[221] itd.; choć są to ludzie z Warszawy, którzy czucia krajowego nie mają i w istocie są Wilnu, a tym bardziej Litwie całej obcy, a przez to samo nie tylko formalnie programowo, ale i uczuciowo zawsze na pytanie „Czy do Litwy, czy do Polski?” odpowiedzą „Do Polski!”, to jednak są oni piłsudczykami jaskrawymi i to ich różni od ich poprzedników w Straży Kresowej zeszłorocznej. W każdym razie, z „*mot d'ordre*”[222] Piłsudskiego ta organizacja i ci ludzie liczyć się będą. Podobno, jak słyszałem od Zygmunta Jundziłła i nie pamiętam jeszcze od kogo, niektórzy z *leaderów* Straży Kresowej wypowiadali się w ten sposób, że na połączenie Litwy Wileńskiej z Kowieńską i na program federacyjny z Polską w pewnych warunkach i z pewnymi zastrzeżeniami gotowi są pójść. Są to wszystko rzeczy charakterystyczne, z którymi liczyć się trzeba, bo świadczą one, że jednak w tym obozie, tak zdawało się jaskrawie i nieprzejednanie aneksjonistycznym, pewna ewolucja zaszła czy też, co byłoby jeszcze lepsze, zachodzi. Z tym wszystkim, ze Straży Kresową jako czynnym agentem ewentualnego porozumienia, nie liczyć się nie można. Do jakichkolwiek rokowań na rzecz porozumienia wciągać jej niepodobna. Chociaż bowiem mam wrażenie, że kwestii stosunku wewnętrznego między Wilnem a Kownem w budowie państwa litewskiego na zasadach tych ustępstw, na które dziś zdecydowane jest Kowno, ze Strażą Kresową można byłoby się dogadać, to jednak w drugim elemencie porozumienia, w sprawie stosunku Litwy do Polski, wszelkie układy ze Strażą Kresową są wykluczone. Jeżeli bowiem Straż Kresowa dałaby się nawet nakłonić na zasadę federacji z Polską, zamiast aneksji Wilna do Polski lub połączenia go z Polską na podstawach autonomicznych, to, po pierwsze, na federację z Polską nie idą Litwini, a po wtóre, ta federacja w rozumieniu Straży Kresowej byłaby takim ścisłym spojeniem Litwy z Polską, a właściwie podaniem jej Polsce, które by niszczyło całkowicie suwerenność Litwy, a przez to samo o porozumieniu w perspektywach takiej koncepcji mowy być nie może. Z programu więc akcji porozumiewawczej Straż Kresową z konieczności całkowicie wykluczyć potrzeba jako należącą do grupy tych kierunków, u których jednak jest przewaga aneksji nad państwowością Litwy, bo „federacja” byłaby tu tylko odmianą aneksji, inną jej zaprawą, innym po prostu mówiąc – sosem. To nie przeszkadza, że w pewnych warunkach porozumienie, gdyby zostało ono wzmocnione uzupełniającym porozumieniem solidarnych czynników wileńsko-kowieńskich z pokrewnymi im czynnikami społecznymi w Warszawie i zyskało uznanie Piłsudskiego, bez czego w ogóle strona polska zapewne by układu nie zawarła, to wpływ Piłsudskiego i jego wskazówki mogłyby *a posteriori* zaważyć znacznie na stosunku Straży Kresowej do układu. Ale tylko *a posteriori* i *post factum*, nie *a priori* w momencie wytwarzania układu.

27 grudnia, rok 1920, poniedziałek
I dziś jeszcze pociąg z Kowna nie przyszedł. Przez cały dzień dowiadywaliśmy się o pociągu, ale na próżno. Na dworcu kolejowym Komitet Litewski[223] ustanowił specjalny dyżur dla dopilnowania nadejścia pociągu kowieńskiego. W Komitecie Litewskim drzwi się nie zamykają od tłoczących się reemigrantów, wciągniętych do list osób, mających odjechać tym pociągiem, którzy się wciąż przychodzą dowiadywać, czy nie ma pociągu. Zaczyna mię to już niepokoić. Kto wie, czy Kowno się nagle nie rozmyśliło i nie zaniechało wysłania pociągu, uważając gwarancje ustne, udzielone

221 Władysław Wścieklica, czołowy działacz Straży Kresowej. Sekretarz Komisji Naukowej do Spraw Sejmu Wileńskiego (1922). Redaktor referatów na potrzeby tego sejmu.

222 Franc. „mot d'ordre” – apel.

223 Tymczasowy Komitet Litwinów Wileńskich.

przez Babickiego[224] Pujolowi za niedostateczne i obawiając się, żeby władze wileńskie nie zatrzymały w Wilnie pociągu litewskiego. Ponieważ skomunikować się z Kownem bezpośrednio nie możemy, bo jedynym sposobem komunikowania się jest radio, dla którego niezbędne jest pośrednictwo władz wileńskich, więc jesteśmy, jak tabaka w rogu. Wyczekamy jeszcze spokojnie dzień jutrzejszy, a jeżeli nie doczekamy się pociągu, trzeba będzie coś przedsięwziąć.
Dziś przez osoby, które przyjechały końmi z Kowna (p. Żmujdzinowiczowa, prezes Komitetu Litewskiego w Wilnie p. Augiewicz[225]), dowiedzieliśmy się o wyroku w głośnej sprawie P.O.W., sądzonej przez Sąd Armii w Kownie. Kilku głównych oskarżonych na bezterminowe ciężkie wiązanie, innych – na 10 lat, na 6 lat i na krótsze terminy. Uniewinnionych tylko dwóch. O całym szeregu skazanych, a mianowicie, zdaje się, wszystkich, którzy zostali skazani na terminy nie dłuższe, niż 6 lat, sąd wystąpił z inicjatywą do łaski prezydenta państwa o ułaskawienie. Wyrok sam przez się jest dość ostry, co wywoła pewne rozdrażnienie w polskiej opinii wileńskiej, która bacznie wsłuchiwała się w echa tego procesu i bardzo wrażliwie na sprawę tę reaguje. Może byłoby lepiej, gdyby wyrok był łagodniejszy albo gdyby do procesu tego, zwłaszcza w tej chwili, nie było doszło. Jednak w gruncie rzeczy przesady w wymierzonych karach nie ma, a inicjatywa sądu w sprawie ułaskawienia bardzo łagodzi wyrok. Zresztą nie ma chyba wątpliwości, że wyrok ten będzie pokryty amnestią, jak tylko stosunek z Polską zostanie uregulowany, chyba że Polska zabrałaby Wilno na stałe.
Wracam do referowania o stosunkach w Wilnie i o naszej z Kairysem w nich akcji porozumiewawczej. Jak rzekłem – z grupami prawicy o porozumieniu jakimkolwiek i nie ma mowy; stoimy z nimi w sprawie państwowości na dwóch biegunach. Z centrum, którego głównym wyrazem jest Straż Kresowa, również w obecnym stadium porozumiewać się niepodobna. Pozostaje lewica. Do niej należą trzy główne ugrupowania: demokraci grupy Witolda Abramowicza (Polskie Stronnictwo Demokratyczne), „Odrodzenie" i socjaliści, którzy się przekształcili na „PPS na Litwie i Białej Rusi"(zatem organizacyjnie wrócili do stanu sprzed roku 1909). Jeżeli chodzi o tzw. „krajowość", to znaczy sprzyjanie zasadnicze idei niepodzielności i państwowości Litwy ze stolicą w Wilnie, to najwyraźniejsze pod tym względem są sympatie i przekonania demokratów. W prawdzie i tu są znaczne u poszczególnych ludzi odchylenia (np. Ignacy Turski[226], a nawet Zygmunt Nagrodzki[227]), ale na ogół program demokratów, ich tradycja pod tym względem, mocna wola i wiara w państwowość Litwy u ich *leadera* Witolda Abramowicza, czynią w tym stanowisko krajowe dość mocnym, a bodajże nawet najmocniejszym, a są pomiędzy demokratami ludzie tak kategorycznie i tak konsekwentnie wyznający zasadę państwowości litewskiej, że właściwie prawie że się nie różnią pod tym względem ode mnie, jak dr Adolf Narkiewicz, Zygmunt Jundziłł, Napoleon Czarnocki[228]. Ale demokraci są słabi, wpływy ich nie sięgają poza Wilno, a w samym Wilnie mają sympatyków i wpływy tylko w

224 Babicki, urzędnik Litwy Środkowej.

225 Jonas Augevičius (Augiewicz, 1883-1953), lekarz w litewskich szkołach i przytułkach w Wilnie. W latach 1919-1922 sekretarz Tymczasowego Komitetu Litwinów Wileńskich, lekarz sanitarny Wilna, w 1922 r. wraz z 33 innymi działaczami litewskimi i białoruskimi deportowany do Kowna, gdzie do 1940 r. pracował jako lekarz wojskowy.

226 Ignacy Turski, działacz społeczny, członek grupy demokratycznej, sekretarz Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego w 1912 r. Jeden z organizatorów „Bazaru" – wystawy przemysłu i sztuki ludowej we wrześniu 1913 r. Członek Komitetu Narodowego Polskiego w Wilnie w 1918 r. i powołanego z inicjatywy Witolda Abramowicza Związku Demokratycznego.

227 Zygmunt Nagrodzki, junior.

228 Pomyłka. Chodzi o Napoleona Czarkowskiego (1855-1928), który był znany jak lekarz, bibliotekarz, bibliograf i bibliofil.

kołach inteligencji. O jakimkolwiek pozyskaniu przez nich mas ludowych nie ma mowy. Dlatego porozumienie się z nimi, choć może byłoby względnie łatwiejsze, dałoby mało pozytywnych rezultatów dla nawiązania ściślejszego stosunku między Kownem a Wilnem. Demokraci – to nie tyle stronictwo polityczne w układzie społecznym, ile grupa pokrewnie myślących jednostek inteligenckich. Jeżeli są oni całkowicie *quantité négligeable*, to nie dlatego, że mają duże wpływy w Tymczasowej Komisji, bo sama ta Komisja jest tworem niezmiernie słabym i iluzorycznym, a nadto jest ona tak dalece zależną od Warszawą i tak mało może się na własną rękę do czegokolwiek zobowiązywać, że o jakimś porozumiewaniu się z nią i układzie mowy być nie może – Komisja sama cienia własnego się boi, a jej prezes i zarazem wódz demokratów Witold Abramowicz jest zajęty li tylko nędznym lawirowaniem między uległością Warszawie a pozorami samodzielności i władzy, ale dlatego, że w kole demokratów jest poniekąd kwiat inteligencji, który sam przez się ma wartość w porozumieniu, niezależne od czynników organizacyjnych społecznych, i oprócz tego demokraci, a przynajmniej różne jednostki z nich mają wpływ osobisty na *leaderów* innych stronnictw i poniekąd w społeczeństwie wagę osobistą. Ale porozumiewać się z samymi demokratami – to za mało. Z socjalistami rzecz jest niezbyt trudna. Choć masy robotnicze polsko-wileńskie w ostatnich czasach, ze względu na bliższe stosunki z Polską, na zarobki, które pod rządami zeszłorocznymi polskimi były lepsze, niż za innych rządów w czasie wojny, na ciągłą mowę Kowna do zawierania jakiegokolwiek kompromisu z Wilnem i obstawania za „ przynależnością" Wilna do Litwy, rozumianą jako panowanie nie tylko państwowe, ale i narodowe, i językowe litewskie nad Wilnem – skłaniały się coraz bardziej do stanowiska aneksji do Polski, a przynajmniej oderwania Wilna od Litwy i połączenia go na zasadach jakiegoś układu z Polską, to jednak u socjalistów, jak i u demokratów, tradycje „krajowości" w partii są silne, a oprócz tego samo stanowisko demokratyczne zasadnicze zmusza ich do liczenia się z różnorodnością ludu, języków, narodowości w kraju i do uwzględniania ręki litewskiej, o ile się ona do nich z Kowna wyciąga. Z socjalistami gadał więcej Kairys, niż ja, i skutek był ten, że socjaliści gotowi są bardzo chętnie rozpocząć próbę porozumienia i układu. Bez żadnych zastrzeżeń wyrazili oni gotowość i chęć posłania swoich delegatów partyjnych do Kowna dla rozpoczęcia porozumienia się społecznego – oczywiście bezpośrednio z socjalistami litewskimi w Kownie. Drugi odłam robotniczy – komuniści – są oczywiście poza wszelkim nawiasem jakichkolwiek kombinacji państwowych czy też z Polską, czy z Litwą.
Do *leaderów* socjalistycznych (PPS) w Wilnie należą Bagiński[229], Godwod[230], Zasztowt, Hartwig[231], Czyż[232], poniekąd Folejewski, Kulikowski[233] (mówię o *leaderach* inteligenckich). Choć Zasztowt w razie dojścia do skutku porozumienia z socjalistami zapatruje się na sytuację bardzo optymistycznie i twierdzi, że robotnicy, przeto socjaliści, są taką potęgą moralną, iż to co oni poprą, to zwyciężyć w masach ludowych

229 Stanisław Bagiński (1881 – po 1939), adwokat, działacz socjalistyczny. Członek loży masońskiej „Litwa" (1911-1915). 1915-1918 członek Komitetu Polskiego. 1919 przywódca PPS Litwy i Białej Rusi. 1922 poseł na Sejm Wileński i Sejm RP.

230 Godwod, lider PPS w Wilnie.

231 Hartwig, lider PPS w Wilnie.

232 Witold Czyż (1884-1952), inżynier, działacz PPS. 1918-1921 kierownik kontroli i ekspedycji Drukarni Papierów Wartościowych w Warszawie. Od końca 1920 r. w Wilnie. Członek loży masońskiej „Tomasz Zan" (do 1938). 1921-1924 kierownik Oddziału Biura Technicznego „Agromotor". 1924-1927 Dyrektor Miejskiego Biura Statycznego, od 1934 inspektor powiatowy w Oszmianie Państwowego Zakładu Ubezpieczeń Wzajemnych.

233 Julian? Kulikowski, lider PPS w Wilnie.

może, ja jednak – a i Kairys także – jesteśmy zdania, że na samych socjalistach poprzestać nie można.

28 grudnia, rok 1920, wtorek
Gdym się udał rano do Komitetu Litewskiego poinformować się o pociągu, dowiedziałem się z zadowoleniem, że pociąg z Kowna już jest podany i przyszedł wczoraj o godz. 10 wieczorem. Po południu rozpoczęło się ładowanie do pociągu uchodźców, których większość przybyła z Rosji i już od dwóch miesięcy czekała w Wilnie okazji przedostania się za front litewski (biedacy od pięciu miesięcy są w drodze, zanim z głębi Rosji udało im się dotrzeć do Ojczyzny), rodzin urzędników litewskich, które były ugrzęzły w Wilnie i spieszą teraz uciec z nędzy wileńskiej do ziemi obiecanej Kowieńskiej, zaiste dziś mlekiem i miodem płynącej w porównaniu do spustoszonych wojną ziem sąsiednich, oraz jeńców litewskich, wracających na zasadzie warunków rozejmu – do kraju. Pociąg kowieński składa się z trzydziestu kilku wagonów, z których kilka klasowych osobowych, dwa – sanitarne dla chorych i rannych jeńców i reszta – towarowe tzw. „tiepłuszki" z piecykami żelaznymi. Z Kowna przywieziono też wagony drzew do opalania „tiepłuszek" Zawagonowała się i Elwira z dziećmi, zajmując miejsce w „tiepłuszce", gdzie się bardzo wygodnie rozmieściła z mnóstwem rzeczy. Koło godz. 6 pociąg był już gotów do odejścia, ale dopiero o godz. 11 odjechaliśmy z dworca wileńskiego.
Wspomnę tu jeszcze o Felicjanie Węgłowskim[234], mężu Irenki Pruszanowskiej, którego poznałem w Wilnie. Jest to młody porucznik w wojsku polskim, w wieku lat 22, b. oficer rosyjski. Jest Polakiem, pochodzi z Wołynia, gdzie rodzina jego ma mająteczek. Mówi cokolwiek z ukraińska (służył też w ukraińskim wojsku za rządów hetmana Skoropadzkiego – robi wrażenie takiego Polaka kresowego, co to może równie dobrze uważać za swoją Ojczyzną Polskę, jak Ukrainę, i nie należy do zaciekłych wszechpolaków, dla których Warszawa wyczerpuje całą indywidualność krajów b. Rzeczypospolitej. Pod względem charakteru, wyglądu i wychowania, o ile mogą sądzić z krótkiej bardzo znajomości, sprawią na mnie – i zresztą sprawia na wszystkich, którzy go poznali – wrażenie bardzo dodatnie. Jest uprzejmy, bardzo gościny, naturalny, lecz żadnego nadymania się, zarozumiałości i jakiejkolwiek afektacji, spokojny, skromny, ale niemniej ma w sobie dużo męskości i zdaje się być energiczny, a może nawet trochę uparty, o czym, jeżeli się nie mylę, świadczy wielka odległość między oczami w budowie czoła tam, gdzie jest nasada nosa. Jest on bez żadnego porównania sympatyczniejszy i zapewne więcej wart od swego szwagra Tanajeweskiego, męża Elizki Pruszanowskiej, a także od Meyera, męża Ewy Römerówny, córki Maryni. Zdaje się, że dotychczas jest on najlepszym nabytkiem w małżeństwach dzieci naszych sióstr. Stosunek jego z Irką zdaje się być bardzo dobry, serdeczny i miły. Irka zmizerniała, ale w tym jej do twarzy i wygląda dobrze. Wyładniała bardzo w małżeństwie, choć zresztą zawsze była przystojną.
Wracam do referatu o naszej z Kairysem politycznej misji wileńskiej. Do nawiązywanego porozumienia oprócz demokratów i socjalistów polskich pożądane i prawie niezbędne jest wciągnięcie ludowców z „Odrodzenia". Są oni dziś siłą, która w masach wiejskich ma wpływy duże i którą przeto dobrze jest pozyskać i mieć po swojej stronie. Bez ludowców, opierając się na jednych demokratach inteligenckich i na socjalistach, których wpływy wyczerpują się przeważnie miastem, sprawa porozumienia byłaby niezupełna. Dziś Białorusini, z którymi Litwini zawarli układ, i

234 Felicjan Węgłowski, porucznik wojska polskiego, mąż Ireny Pruszanowskiej, siostrzenicy Michała Römera, córki Ezechiela i Konstancji Pruszanowskich.

Żydzi – są po stronie litewskiej w Wilnie; Białorusini i Żydzi zadeklarowali formalnie, że w wyborach do Sejmu, zarządzonych przez Tymczasową Komisję Rządzącą, udziału przyjąć nie mogą). Jeżeli jeszcze w drodze porozumienia i układu da się pozyskać solidarność socjalistów i ludowców „Odrodzenia" w sprawie państwowości litewskiej, przeciwstawiając ich obozowi aneksjonistycznemu w społeczeństwie polsko-wileńskim, to sprawa będzie zupełnie mocna i już zbyteczne będzie się obawiać czy to plebiscytów, czy Sejmu w Wilnie, czy jakichś nastrojów w masach lub innych ewentualności. Przeciwko takiej koalicji w sprawie państwowości chrześcijańscy demokraci polscy nic nie zrobią, choćby nawet poparła ich w tym Straż Kresowa, która zresztą zdaje się być na rozdrożu. A czas, jak jest na to szereg wskazówek w usposobieniu ludności, o czym jeszcze później pomówię, jest w tej sprawie sprzymierzeńcem Litwinów. Choć socjaliści polscy i „Odrodzenie" wzięli udział w wyborach do Sejmu, to jednak, o ile dojdzie do porozumienia z nimi, staną się oni w tym Sejmie rzecznikami związku państwowego z Litwą. Gdyby zdobyli w Sejmie większość, w co jednak wątpię, to Sejm ten, który bez porozumienia może być niebezpiecznym, stałby się może nawet czynnikiem, ułatwiającym układ; ale gdyby nawet byli w mniejszości, to głos ich będzie miał wagę, tym bardziej, że w tej sprawie byliby oni rzecznikami nie tylko samych siebie, ale i tych, co będą w Sejmie nieobecni, to znaczy Żydów, Białorusinów i Litwinów, uchylających się zasadniczo od wyborów i pozostających w sejmowym wyrazie woli ludności „*une qualité et une volonté inconnue*"[235]. Jedną z wielkich trudności porozumienia, a nawet samego kontaktu z „Odrodzeniem" są osoby jego *leaderów*. Tych głównych *leaderów* jest trzech: Ludwik Chomiński, Helman i Stefan Mickiewicz. Wszyscy trzej są ludźmi co najmniej nietaktownymi, w ten lub inny sposób skompromitowanymi w społeczeństwie, działającymi z pobudek przeważnie ambicji lub kariery, nieobliczalnymi nieraz, z którymi trzeba się mieć na baczności. Ludwik Chomiński jest najinteligentniejszym z nich i uczciwym, ale niezrównoważonym i trochę narwanym; miewa szusy i skoki dość niekonsekwentne i za mało ma hartu, równowagi i mocy ustalonej w sobie. Wielki obszarnik z pochodzenia i majątku, syn popularnego i szanownego w kołach ziemiańskich p. Aleksandra Chomińskiego[236], który był posłem do Dumy czy Rady Państwa Rosyjskiej, starannie wychowany, wykształcony i oczytany, Ludwik Chomiński, obecnie w wieku lat trzydziestu kilku, zasłynął w Wilnie jako człowiek przekonań światłych i postępowych jeszcze przed wojną. Na stałe zamieszkał w Wilnie, zdaje się, dopiero na początku wojny lub przed samą wojną. Był bliski kół inteligencji demokratycznej z grupy Witolda Abramowicza. W r. 1919 za czasów pierwszej wojny bolszewików w Wilnie nie uciekł z Wilna, jak większość demokratów, lecz pozostał i nawet współpracował z bolszewikami w komisariacie oświaty czy rolnictwa, czego mu cała konserwa wileńska, cała burżuazja, a tym bardziej ziemiaństwo nie mogą darować, toteż jest on u prawicy człowiekiem znienawidzonym i zohydzonym.

29 grudnia, rok 1920, środa
Wyjechaliśmy z Wilna wczoraj o godz. 11 wieczorem. Pociąg szedł pod flagą francuską. Towarzyszył mu kapitan Coindé[237] z misji francuskiej w Kownie. Jechałem

235 Franc. – nieznane jakości i chęci.

236 Aleksandr Chomiński (1859-1936), ziemianin, działacz społeczny i polityczny. Zwolennik stanowiska zwanego krajowym. Przedstawiciel konserwatywnego skrzydła tego kierunku politycznego, ugodowiec. Poseł w II Dumie rosyjskiej i członek Rady Państwowej (1910-1913). Publicista i wydawca. Wydał Kronikę Wielkiego Xięstwa Litewskiego i Żmudskiego Kodeks Olszewski Chomińskich.

237 Coindé, kapitan misji francuskiej w Kownie (1920).

w *coupé* wagonu osobowego, przeznaczonym dla naszej komisji, w towarzystwie Kairysa i Piusa Adamowicza[238]. Zimno było u nas w wagonie dotkliwe. Wołałbym jechać z Elwirą w jej ogrzanej „tiepłuszce", gdzie i wyspać bym się mógł wygodnie na miękkich węzłach jej niezliczonych bagażów, gdyby nie to, że wiozłem ze sobą z Wilna część zeszytów mojego dziennika i obawiałem się, by ich nie zabrano przy rewizji na linii demarkacyjnej. Liczyłem, że w przedziale komisji będzie bezpieczniej, bo komisja, która jeździła do Wilna pod osłoną francuską, będzie korzystała z przywileju dyplomatycznego i bagaże jej nie ulegną rewizji. W każdym razie, nie chciałem opuszczać dzienników. W Landwarowie[239] był króciutki postój i pociąg ruszył dalej. O 14 wiorst za Landwarowem jest linia demarkacyjna polska, potem kilka wiorst pasa neutralnego, dalej przejeżdża się linią litewską i o 4 wiorsty za nią jest stacja Jewje. Po wyjeździe z Landwarowa czekałem linii demarkacyjnej. Patrzałem przez okno – noc była księżycowa. Dziwiłem się, że długo nie dojeżdżamy do linii, bo zdawało mi się, że powinniśmy byli już wiorst 14 przejechać. Nagle po obu stronach pociągu rozległy się dokoła gęste strzały karabinowe. Pociąg zwolnił biegu i stanął. Okazało się, że jesteśmy już na stronie litewskiej. Przez linię polską przeskoczyliśmy nie zatrzymani przez nikogo. Rewizji oczywiście już żadnej nie było. Wnet ruszyliśmy do Jewja. Wezwano tam miejscowego komendanta litewskiego, ale ten po przybyciu żadnych formalności nie zażądał i zaraz puścił pociąg w dalszą drogę. W Jewju przesiadłem się do wagonu Elwiry i przespałem resztę drogi. Około godz. 6 rano stanęliśmy w Kownie. Było dużo roboty z wyładowaniem Elwiry z rzeczami. Ale z pomocą naczelnika wydziału kryminalnego milicji miejskiej, jego agenta i dwóch milicjantów poszło z tym względnie szybko. Bagaż Elwiry złożyliśmy na dworcu na przechowanie. Naczelnik wydziału kryminalnego milicji, Maksimów, dał nam faeton, zaprzężony parą dobrych koni, którym odwiozłem Elwirę z dziećmi do hotelu.

Na godz. 11 przed południem umówiłem się z Kairysem, że się z nim spotkamy się w Ministerium Spraw Zagranicznych dla zdania relacji ministrowi Puryckiemu[240] z naszych spostrzeżeń w Wilnie. Purycki nas zaprosił do gabinetu prezesa Rady Ministrów. Obecni byli na naszym sprawozdaniu prezes ministrów dr Grinius, minister spraw zagranicznych dr Purycki, minister Gałwanowski, wiceminister spraw zagranicznych Klimas i dr Jerzy Šaulys. Zdaje się więc, że był tam cały komplet tzw. „małego gabinetu", na który, jeżeli się nie mylę, składają się trzej ministrowie: Grinius, Purycki i Gałwanowski[241]. Sprawozdanie nasze wraz z pytaniami i odpowiedziami uzupełniającymi oraz krótkimi obradami trwało ze trzy godziny. Sprawozdanie główne i wyczerpujące o sytuacji politycznej w Wilnie, o kierunkach społecznych i perspektywach porozumienia złożyłem ja, Kairys zaś uzupełnił krótko swoimi wrażeniami, które w ogólnych liniach zgadzały się z mymi, i o socjalistach wileńskich, z którymi on się głównie stykał i konferował. Dyskusji żadnej nie było. Członkowie rządu podzielali w zupełności nasze wnioski o tym, że należy prowadzić usiłowania porozumiewawcze dalej i postarać się o jak najprędsze przybycie do Kowna delegatów

238 Pius Adamowicz, urzędnik litewski do spraw uciekinierów z Wilna w 1920 r.

239 Lentvaris (Landwarów), wieś i folwark nad jeziorem tej samej nazwy w powiecie trockim. Folwark należał do hr. Tyszkiewiczów. Stacja kolejowa na linii Wierzbołowo-Wilno, między Jewjem a Wilnem.

240 Juozas Puryckis (1883-1934), ksiądz, działacz społeczny i polityczny. Członek Taryby, poseł litewski w Berlinie (1919), minister spraw zagranicznych (1920-1921), po wystąpieniu ze stanu duchownego został redaktorem urzędowej „Lietuvy", a potem prezesem syndykatu dziennikarzy litewskich.

241 Ernestas Galvanauskas (Gałwanowski,1882-1967) inżynier, polityk i działacz państwowy litewski. Premier rządu litewskiego (1919-1920). Następnie był jeszcze trzykrotnie premierem oraz kilkokrotnie ministrem w kolejnych gabinetach litewskich. Poseł w Londynie (1924-1927), rektor Instytutu Handlowego w Kłajpedzie (1934-1939).

stronnictw wileńskich „Odrodzenia" i socjalistów, a bodaj i demokratów. Purycki chciał się jeszcze nas radzić co do zarządzeń, które należy przedsięwziąć ze strony litewskiej już zaraz dla wytworzenia pomyślnych usposobień do porozumienia, ale że już było późno, więc dłużej nad tym nie obradowano. Wspominał Purycki o przygotowującej się noweli w sprawie samorządów (autonomii) prowincjonalnych: rozszerzeniu praw językowych, o projekcie powołania do życia specjalnego organu (komisji) dla spraw Litwy Wschodniej, z udziałem Litwina, Polaka, Żyda i Białorusina itp. Ja z mojej strony wskazałem na to, o czym nam z Kairysem wspominał w Wilnie p. Tadeusz Wróblewski[242], że byłoby wskazanym umieścić parę odpowiednich artykułów w duchu pojednawczym w półurzędowej „Lietuvie", co by miało znaczenie symptomatyczne i uczyniłoby na Polakach litewskich dobre wrażenie jako manifestacja dobrej woli do porozumienia ze strony litewskiej. Coraz bardziej się przekonywam, że głównym „*spiritus movens*", forsującym w kierunku porozumienia, jest Purycki, który oczywiście zdecydował się kategorycznie na taką linię polityczną w sprawie wileńskiej. Zdumiewam się, że to czyni ten sam Purycki, który jeszcze latem był tak trudny do jakichkolwiek ustępstw w tym kierunku i zdawał się być nieprzejednany na gruncie odrzucenia jakichkolwiek koncesji na rzecz choćby cienia samorządu dzielnicowego Wilna, a wszelkie uwagi i wskazówki ze strony polskiej krajowej na błędność polityki panowania żywiołu narodowego litewskiego w Wilnie i na konieczność liczenia się z narodowymi polskimi Wilna dążeniami w ramach państwowości litewskiej zbywał ironią i lekceważeniem. Jako polityk realny, zrozumiał widocznie błąd poprzedniego stanowiska i nie zawahał się wyciągnąć natychmiast wnioski, przeciwne jego własnemu niedawnemu stanowisku. Jest to z resztą nie tylko polityk realny, ale, zdaje się, i człowiek energiczny, co go dobrze kwalifikuje do roli kierownika polityki zewnętrznej Litwy w tym trudnym momencie dziejowym. Jak dalece Purycki sprzyja sprawie porozumienia i skłonny jest posuwać chęć do układów z Wilnem, świadczy to, że w dzisiejszej pogadance, po wysłuchaniu naszego sprawozdania, w którym obaj z Kairysem stwierdziliśmy zgodnie, że o porozumieniu się z wileńską Komisją Rządzącą nie może być mowy, a jeno należy próbować wejść na tory układów społecznych między organizacjami, Purycki jeszcze parokrotnie wracał do tego, że „a jednak" może by warto było spróbować zawiązać kontakt porozumiewawczy z Komisją Rządzącą, która niewątpliwie bardzo pragnie tego... Musieliśmy z Kairysem oponować znowu przeciwko temu.

30 grudnia, rok 1920, czwartek
Elwira miała wyjechać z Kowna do Bohdaniszek wieczorem, pociągiem na Radziwiliszki, do którego miano doczepić kilka towarowych wagonów „tiepłuszek" dla dalszej jazdy tych reemigrantów, co wczoraj z Wilna przyjechali. Nie dostała się jednak do tego pociągu, bo biedaczce z dziećmi jest trudno dać radę i bagażu nie chciano od jej przyjąć. Została więc jeszcze w Kownie. Wyjeżdża jutro rano, ale tylko z dziećmi i drobnym bagażem, a cały duży bagaż pozostawia w Kownie na dworcu na przechowaniu, po przyjeździe zaś do Bohdaniszek ma stamtąd przysłać niezwłocznie konie z dwoma furmankami do Kowna po rzeczy pod kierunkiem Kazimierza.

242 Tadeusz Stanisław Wróblewski (1858-1925), prawnik, działacz społeczny i oświatowy, czołowa postać środowiska polskiej inteligencji demokratycznej w Wilnie w początkach XX w. Zasłynął jako obrońca w procesach działaczy politycznych. Od 1891 był adwokatem w Wilnie i radcą prawnym Poleskiej Dyrekcji Kolejowej. 1906 kandydował (bez powodzenia) do I i II Dumy z Wilna. 1912 założył Towarzystwo Biblioteki im. Eustachego i Emilii Wróblewskich, któremu w 1913 przekazał swój bogaty księgozbiór i rozpoczął budowę gmachu dla przyszłej biblioteki. Należał do głównych ideologów krajowości.

Miałem dziś dłuższą rozmowę z Janczewskim, byłym prezesem b. Centralnego Polskiego Komitetu Wyborczego do Sejmu Ustawodawczego w Kownie[243], późniejszym prezesem zarządu Polskiego Biura Informacyjnego w Kownie przy frakcji poselskiej. Zdaje się, że były już u mnie w dzienniku latem wzmianki o nim. Jest on jednym z *leaderów* politycznych Polaków w Kowieńszczyźnie. Wraz z Wielhorskim[244] i innymi stoi na stanowisku państwowości Litwy ze stolicą w Wilnie (o ile możności – Litwy historycznej), sfederowanej albo przynajmniej bardzo blisko zespolonej w jakiś inny sposób z Polską. Jak cała frakcja poselska polska, złożona zresztą z trzech tylko posłów, i ogromna większość Polaków kowieńskich, jest w opozycji do rządu litewskiego ze względu na jego politykę antypolską na zewnątrz i wewnątrz. Hołduje sympatiom interwencyjnym, wierząc, że interwencja polska zadałaby najskuteczniejszy cios obecnym rządom kowieńskim, a ponieważ Polska nie byłaby w stanie całej Litwy pochłonąć na zasadach aneksji, przeto interwencja polska przyczyniłaby się jeno do formacji państwowości litewskiej na nowych zasadach o kierunku polonofilskim. Przychodziło mi nieraz na myśl w Wilnie i tu po powrocie, że byłoby dobrze wciągnąć do akcji porozumiewawczej, a przynajmniej zsolidaryzować z nią kowieńską organizację polityczną polską wraz z frakcją poselską. Byłoby to rzeczą dodatnią dla całej sprawy porozumienia, a niezależnie od tego przez to Biuro Polskie można byłoby rozszerzyć akcję i na tę sferę społeczeństwa polsko-wileńskiego, która bezpośrednio w nawiązujących się rokowaniach porozumiewawczych między organizacjami społecznymi inaczej udziału by wziąć nie mogła, bo w społeczeństwie litewskim nie ma dla niej właściwego odpowiednika społecznego. Mam na myśli pewien odłam szlachty ziemiańskiej w Wileńszczyźnie, konserwatywnej i niechętnej radykalnym prądom reformy agrarnej, usposobionej „krajowo" czy też, podług terminologii wileńskiej – „federacyjnie", to znaczy nie sprzyjającej aneksji Wilna do Polski i pragnącej zachowania niepodzielnej państwowości Litwy na pewnych zasadach kontaktu jej z Polską. Myśli tej sprzyja mniejszość ziemiaństwa z tamtej strony linii demarkacyjnej, ale bądź co bądź taka mniejszość jest. Do takich ludzi należy tam np. Szymon Meysztowicz[245], zastępujący obecnie w Wilnie dyrektora Departamentu Spraw Zagranicznych, i szereg innych, którzy, kto wie, czy kulturą i inteligencją nie górują nawet nad ziemianami endekującymi. Sympatie tych ziemian dla państwowości litewskiej, oczywiście tylko nie polonofilskiej i takiej tylko, która by gwarantowała równorzędność Wilna z Kownem i wykluczałaby naruszenie panowania narodowości i języka litewskich nad ludnością polską, nie są tylko platoniczne, lecz opierają się też, jak to stwierdziłem teraz w kilku rozmowach okolicznościowych w Wilnie, na takim między innymi rozumowaniu, dotyczącym bardzo żywotnych interesów klasy ziemian: chłop litewski w Kowieńszczyźnie, powiadają oni, jest gospodarny, zamożny, skrzętny, zamiłowany w ładzie, z natury trzeźwy i realny; to go czyni bardziej odpornym na rewolucyjne dążenia wywrotowe, bardziej umiarkowanym, a nawet skłonnym do

243 Centralny Polski Komitet Wyborczy do Sejmu Ustawodawczego w Kownie utworzył się na zjeździe ziemian zwołanym 18 II 1920 r. w Kownie. Miał cel być reprezentacją polityczną Polaków litewskich w wyborach do Sejmu. Z czasem Komitet połączył się z Poselskim Biurem Informacyjnym. Biuro Informacyjne przy polskiej frakcji poselskiej w Sejmie litewskim było powołane w Kownie w 1920 r. Na jego czele stali Kazimierz Janczewski i Eugeniusz Römer.

244 Władysław Wielhorski (1885-1953), działacz polski na Litwie, historyk, autor wielu publikacji na temat historii i etnografii Litwy oraz stosunków polsko-litewskich. Jeden z przywódców mniejszości polskiej w Litwie Kowieńskiej, w 1924 pozbawiony obywatelstwa litewskiego i wydalony z Litwy. W latach 1931-1939 dyrektor Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie. Po wojnie działał i pisał na emigracji w Wielkiej Brytanii.

245 Szymon Meysztowicz, ziemianin, ugodowiec, konserwatysta, zastępca dyrektora Departamentu Spraw Zagranicznych w Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej. Jeden z liderów założonego w 1937 r. Stronnictwa Zachowawczego.

konserwatyzmu, traktującym bardziej chłodno i sceptycznie nowinki jaskrawych haseł agrarnych, grożących zamętem społecznym i gospodarczym, niż chłop spolonizowany i białoruski w Wileńszczyźnie, który jest uboższy, zniszczony przez wojnę, zmiany rządów i inwazje różnych wojsk do tego stopnia, że już niewiele ma do straceniu, i dotknięty głęboko wpływami bolszewickimi, zdemoralizowany, mniej z natury trzeźwy od litewskiego. Hasła radykalne reformy agrarnej w Litwie Kowieńskiej i w jej Sejmie, powiadają oni, są radykalniejsze od dążeń chłopa litewskiego; ich ostrze i ich radykalizm są nie tyle społeczne, ile polityczne i narodowe, jako metoda walki z polskością i Polakami; toteż gdyby doszło do porozumienia i układu tak między Kownem a Wilnem, jak między Litwą a Polską i gdyby ustał konflikt ostry narodowy litewsko-polski, a przez to samo sprawa agrarna straciłaby swe ostrze narodowo-polityczne i zeszła do zagadnienia tylko społecznego i ekonomicznego, to radykalizm zmiękłby i złagodził bardzo wtedy we współżyciu państwowym kowieńsko-wileńskim, chłop litewski, kowieński stałby się nawet hamulcem radykalizmu agrarnego chłopa wileńskiego. Tak rozumują niektórzy ziemianie w Wileńszczyzn, pragnący kontaktu z Litwą. Nie chodzi mi o ścisłość i wagę tego rozumowania, chodzi tylko w tym razie o to, że prąd taki nie jest w tym odłamie ziemian czysto uczuciowy, ale ma i realniejsze przesłanki interesu. Otóż organizacja polityczna polska w Kowieńszczyźnie jest bardzo mocno zabarwiona elementem ziemiańskim. Jej *leaderzy* są ziemianie. Dlatego też oni, gdyby chcieli się zsolidaryzować z akcją porozumiewawczą, mogliby wejść kontakt z owym „krajowym" odłamem ziemiańskim wileńskim i wzmocnić ten prąd. Z tego względu chodziło mi o rozmowę z Janczewskim, którego prosiłem o przybycie do mnie. Przyjechał wieczorkiem do mnie z młodym Konstantym Platerem-Zyberkiem z Kurtowian, który mieszka w Kownie. Przedstawiłem mu wygodny zwrot, jaki się uwydatnia w rządzie i sferach sejmowych litewskich, zreferowałem o Wilnie, o perspektywach i zamiarach akcji porozumiewawczej. Jednak Janczewski zgłosił bardzo duże i poważne zastrzeżenia w kierunku stwierdzania przez rząd litewski dowodów w całej praktyce rządów w stosunku do Polaków w kraju, stawiając to za warunek poparcia Polaków kowieńskich akcji porozumiewawczej. Teraz Janczewski na dni 10 wyjeżdża, ale po powrocie ma mi przedstawić sformułowane przez Biuro Polskie żądania, dotyczące stosunku polityki wewnętrznej litewskiej do ludności polskiej.

31 grudnia, rok 1920, piątek
Nie zapomniałem, że nie dokończyłem w dzienniku mego referatu wileńskiego, nie, i nie myślę go przerwać, ale tymczasem nie mogę pominąć i innych rzeczy bieżących, które się zresztą przeważnie też łączą, w ten czy inny sposób, ze sprawą wileńską. Do toku mego referatu wileńskiego wrócę, a tymczasem muszę i dywersje bieżące robić. Wszak to mój dziennik piszę, a nie monografię jaką. Dziennik – „*silva rerum*", jak nasi ojcowie taką pracę w zapiskach nazywali, jest jak kalejdoskop: zmienia się ciągłą zmianą figur i barw.
Siedziałem dziś na sesji cywilnej w sądzie pod przewodnictwem wiceprezesa Piotrowskiego. Sesja już się miała ku końcowi po godz. 3, gdy przyniesiono mi telefonogrammę tej treści (w tłumaczeniu z litewskiego) „Pan Michałowi Römerowi. Przedstawiciel Anglii Wilton[246] chciałby z Wami pomówić. Będzie dziś w konsulacie angielskim od godz. 4 po obiedzie. Dr Purycki prosi Was bardzo, byście nie odmówili wstąpić do p. Wiltona i poinformować go o stanie rzeczy w Wilnie. Dr Šaulys". Przyśpieszyliśmy zakończenie sesji i w kilku minut po godz.4 stawiłem się w konsulacie angielskim, gdzie zostałem przyjęty przez p. Wiltona, reprezentanta Anglii

246 C. E. Wilton, przedstawiciel Anglii w krajach bałtyckich.

w Kownie. Jest to człowiek młody jeszcze, niskiego wzrostu, cały ogolony z angielsku, żywy i ruchliwy jak na Anglika, inteligentny i sprytny. Konwersację prowadziliśmy po francusku. P. Wilton, który jest w Kownie od niedawna, interesował się żywo układem kierunków społeczno-politycznych w Wilnie, stosunkami tamże i perspektywami porozumienia kowieńsko-wileńskiego oraz rozstrzygnięcia sprawy wileńskiej na rzecz państwowości litewskiej. Sprzyja on zupełnie wyraźnie litewskiemu rozwiązaniu sprawy wileńskiej, jest przeciwnikiem ekspansji polskiej na wschód, którą uważa za niebezpieczną dla samej Polski i za źródło wojen na wschodzie, zakłócających na stałe równowagę i pokojowe współżycie ludów, jest pełen uznania dla Litwy, która zdołała zorganizować się sprawnie i osiągnąć bardzo zadawalający stan gospodarczy, różniący ją dodatnio od wszystkich sąsiadów, dostrzega zresztą wszystkie trudności ustalenia stosunku Litwy do Polski, wiążącego się z kwestią Wilna. Długośmy z nim rozmawiali o wszelkich możliwych ewentualnościach konwencji z Polską, o polskich granicach wschodnich itd. Poinformowałem go też dość szczegółowo o kierunkach społeczno-politycznych polskich w Wilnie i szansach porozumienia wileńsko-kowieńskiego. Wilton był bardzo zadowolony z moich informacji, z których niejedną rzecz sobie zanotował, dziękował mi, prosił o pozwolenie zwrócenia się do mnie ponownie, gdy mu zajdzie potrzeba, oświadczał, że wiele nowego się ode mnie dowiedział i że mu to pomogło do wytłumaczenia sobie różnych rzeczy, których czasem nie rozumiał. Szczególnie zastanowiło go to, com mu powiedział o perspektywach ewentualnego plebiscytu w Litwie wileńsko-lidzko-grodzieńskiej, Wskazałem mu, że jest wszelkie prawdopodobieństwo, iż w razie zarządzenia tam plebiscytu głosowanie ludowe wypadnie w ten sposób, że ludność w powiatach, położonych za linią rozejmu suwalskiego (powiaty grodzieński, lidzki, oszmiański, a zwłaszcza pierwszy i trzeci). opowiedziałaby się za Litwą, podczas gdy ludność w ściślejszym promieniu Wilna opowiedziałaby się za Polską. Wilton powiada, że słyszał już o tym, ale nie mógł tego zrozumieć. Jest to zjawisko rzeczywiście ciekawe i oryginalne, ale, zdaje się, że w nastrojach ludowych prawdziwa. Tak przynajmniej z wielu stron słyszałem w Wilnie i to nie tylko ze strony ludzi i kół, niechętnych w Polsce, jak Białorusini i Litwini, ale nawet od takich, którzy są działaczami Straży Kresowej, a więc nie mogą być podejrzani o fałszowanie opinii o nastrojach ludowych na niekorzyść Polski (adwokat Dobrowolski z Grodna, redaktor wychodzącego w Grodnie organu Straży Kresowej, którego w pierwszym dniu świąt spotkałem na herbatce u Zygmunta Jundziłła). Czym się to zjawisko tłumaczy? Dlaczego w powiatach południowych i wschodnich, geograficznie bliższych w Polsce i nie znających okupacji polskiej bezpośrednio, nastrój jest raczej antypolski, podczas gdy na terenie eksperymentu „Litwy Środkowej" Żeligowskiego, położonym za tą antypolską strefą, nastrój jest polonofilski? W Wilnie dają temu tłumaczenie takie. Nigdy, za żadnych rządów podczas wojny demoralizacja w wojsku nie była tak wielka, a władza tak słaba, nie było tyle rabunków, takiej samowoli, a zarazem takiej nędzy aprowizacyjnej, jak teraz w Wileńszczyźnie pod Żeligowskim. Ludność, pamiętając, że za czasów bezpośredniej okupacji polskiej było inaczej i stan był o wiele lepszy, składa winę na to, że wojsko Żeligowskiego i władze „Litwy Środkowej" są niezależne od Warszawy, i wyobraża sobie, że uzależnienie wojska i władzy od Warszawy usunie demoralizację, zaprowadzi karność, ład i warunki normalne. Toteż chce Polski. Litwy zaś Kowieńskiej boi się i nie chce dlatego, że wyobraża sobie, czego już miała próbkę we wrześniu, że Litwini narzucą Ziemi Wileńskiej język i urzędników swoich, nie licząc się z ludem miejscowym. Natomiast w powiatach południowych i wschodnich, gdzie są wojska właściwe polskie i administracja polska, stan jest nie lepszy i demoralizacja i rabunki wojska nie mniejsza, niż pod Żeligowskim, o czym ludność podwileńska nie jest dostatecznie

poinformowana, ale ludność tameczna czuje to bezpośrednio za sobie i widzi, toteż ona nie chce rządów Warszawy i woli z dwojga Litwę, której rządów nie doświadczyła, a o której słyszała, że materialnie i ekonomicznie stoi mocno. Zresztą w powiatach południowych i wschodnich ludność jest mniej spolonizowana, niż w promieniu Wilna, więcej białoruska i więcej tam jest prawosławnych, którzy są Polsce niechętni. Niewątpliwie, że te nastroje ludowe muszą oddziaływać i na polityków „środkowo-litewskich" w kierunku większych ich ugodowości na rzecz porozumienia z Kownem, tym bardziej, że czas raczej działać tam będzie na korzyść Litwy. Tak się przynajmniej zdaje. Świadomość albo wyczucie tych nastrojów muszą nie być obce rządom w Warszawie i Kownie. Tym się to zapewne tłumaczy, że wobec Ligi Narodów Polska nie zgadza się na plebiscyt na południe i wschód od linii rozejmu suwalskiego i żąda plebiscytu tylko w okolicach Wilna, a Litwa odwrotnie – nie zgadza się na plebiscyt w promieniu Wilna, żąda go natomiast ewentualnie tylko za linią rozejmową suwalską.

1 stycznia, rok 1921, sobota
Rok Nowy! Spotkałem go podług mego zwyczaju – w łóżku samotnie. W wieku lat 40 nie taka to osobliwość Nowy Rok. Rok więcej, rok mniej – ani od młodości bardzo oddala, ani też do starości bardzo posuwa. Ciekaw jestem, co ten nowy rok przyniesie. Dałby Bóg, aby się on zaznaczył sprawiedliwym i zgodnym załatwieniem sprawy wileńskiej na rzecz państwowości litewskiej z zachowaniem Wilnu i Wileńszczyźnie stanowiska równorzędnego w państwie z dzielnicą zachodnią, bez krzywdy niczyjej, bez gwałtu i zapanowania. Takie jest moje najpierwsze i największe życzenie na ten rok. Mam jeszcze i drugie życzenie, natury czysto osobistej, którego jednak nie wyrażę w dzienniku. Zresztą nietrudno się domyślić, że wiąże się ono z moją córką, bo jakież inne mogłyby być pragnienia w życiu osobistym takiego samotnika po śmierci mojej Anny, jak ja! Zresztą – oddaję wszystko w ręce Boga: niech się stanie Jego wola. Cofając wzrok wstecz na rok ubiegły – widzę w nim śmierć Papy, widzę ciężką chmurę, zawisłą nad Wilnem, ale widzę i jedną dodatnią rzecz, z której prawdziwie rad jestem – to mój powrót z Polski do Litwy. Nie zbłądziłem, gdym się na ten powrót zdecydował. Był już najwyższy czas.
Wreszcie powracam znowu do przerwanego toku mego opowiadania wileńskiego. Urwałem ten tok pod datą 28 grudnia na charakteryzowaniu trzech *leaderów* „Odrodzenia"": Ludwika Chomińskiego, Helmana i Stefana Mickiewicza. Zacząłem o Chomińskim. Pamiętam, jakie zgorszenie wywoływała na wiosnę r. 1919 wśród demokratów wileńskich, bawiących wtedy na emigracji w Warszawie, wiadomość, że ich do niedawna partner polityczny Ludwik Chomiński – Luk – przyłączył się bolszewików i współpracuje z nimi. Że zaś to nie było współpracownictwo przygodne, z konieczności tylko dla chleba, ani też wallenrodowym, dążącym do unieszkodliwienia działalności bolszewickiej przez tamowanie ich akcji pod pozorami współpracy, czym się wielu później, a bodajże i sam Chomiński – usprawiedliwiało; świadczyć by powinno to, że Chomiński wystosował w tym czasie z Wilna list do swoich dawnych przyjaciół politycznych, demokratów, zarzucając im, że odbiegli warsztatów pracy publicznej w Wilnie, czy też nawołując ich do skruchy i powrotu – dobrze nie pamiętam. Gdy wojska polskie wypędziły bolszewików z Wilna, Chomiński został. Oburzenie było na niego wielkie. Doznawał różnych przykrości, był odpychany, czasem maltretowany i wzgardzony. Wymawiano mu publicznie przeszłość bolszewicką. Chomiński się nie zrażał, wyparł się swej przeszłości i pchał się. Nie wykazał zaiste zalet godności i taktu, ale za to nie dał się zgnębić i utrzymał się na powierzchni. Co do demokratów, to ci mu przebaczyli, choć był już dla nich człowiekiem niedogodnym jako skompromitowany w opinii. Ale i Chomińskiemu nie zależało zbytnio na łasce

demokratów. Rozumiał, że demokraci, jako formacja inteligencka, są słabi i przyszłości wielkiej nie mają. A że chodziło mu o odegranie roli, drzwi zaś miał przed sobą zamknięte, postanowił stworzyć coś nowego. Zabrał się do wytwarzania radykalnego ruchu chłopskiego, który był w Wilnie zaniedbany. Na tym polu nie miał konkurencji, nie potrzebował się bać opinii, a w perspektywie otwierały mu się widoki stania się wodzem ruchu. Ruch zaczął się rozwijać. Dokoła Chomińskiego zaczęły się grupować jednostki bądź ambitne i umiejące działać na lud, jak Helman, bądź skompromitowane i pragnące grać jakąś rolę, które gdzie indziej znaleźć sobie miejsce nie mogły i czepiały się przeto nowego ruchu, jak Stefan Mickiewicz. Wielki zjazd ludowy sprzed roku, tchnący ostrym radykalizmem podniesionych na nim haseł społecznych, zwłaszcza agrarnych, stał się punktem wyjścia nowego ruchu i zarazem rozpętał wściekłość elementów reakcyjnych i konserwatywnych na Chomińskiego, który jednak niewiele sobie z tego robił i pchał swój ruch dalej. Przed powtórną inwazją bolszewicką do Wilna w lipcu 1920 Chomiński tym razem uszedł do Warszawy. Wrócił z wojskami Żeligowskiego do Wilna już w mundurze wojskowym polskim, co go miało rehabilitować z poprzedniej przeszłości bolszewickiej. Zabrał się zaraz w Wilnie energicznie do wznowienia ruchu ludowego „Odrodzenie" i jednocześnie miał wielką ochotą zostać dyrektorem Departamentu Rolnictwa w Komisji Rządzącej. Demokraci z Komisji Rządzącej uważali go jednak za kompromitującego, toteż wysunęli na to stanowisko Seweryna Ludkiewicza[247], który jednak, zdaje się, jest ministrem tylko tytularnym, za jego zaś plecami działa, kieruje departamentem i układa reformę agrarną Chomiński, który jest wicedyrektorem i przez to samo formalnie nie należy do rządu i nie świeci nazwiskiem, co demokratom dogadza. Takim jest jeden *leader* „Odrodzenia". Drugim jest Helman[248]. Pochodzi z ludu, był niegdyś chłopakiem do usług w mleczarni Hurczyna w Wilnie, wykształcenia nie ma, inteligencji niewielkiej, samouk, sprytu ogromnego, ambicji olbrzymiej. Mówca ludowy pierwszorzędny, zna lud, rozumie i wyczuwa jego duszę, na wiecach zwycięża wszystkich mówców i agitatorów, umie mówić godzinami, mówi z patosem, porywa lud, prowadzi go, jak chce i dokąd chce. Tłumy beczą, ryczą, śmieją się – pod słowem Helmana. Jest on dziś w ruchu ludowym potęgą ogromną, straszną dla przeciwników. Gdzie się pokaże – zwycięża i zdobywa lud. Jeden z sekretów powodzenia „Odrodzenia" mieści się w osobistych Helmana wpływach. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli Sejm w Wilnie dojdzie do skutku, Helman w nim się znajdzie i stanie się wodzem posłów chłopskich, co mu da wpływ znakomity. O uczciwości jego różnie mówią, o pobudkach – także. Że jest karierowiczem politycznym – to pewne, ale nieobca mu jest miłość kraju, którego jest synem i sympatia jego dla ludu jest szczera. Ze sprawą ludową i sprawą „Odrodzenia" związał się ambicją, karierą, zarazem tak, że kto nie w „Odrodzeniu" – ten dla niego wróg. Trzeci „*leader*" – Stefan Mickiewicz. Ten – to szuja skończona, człowiek bez czci i wiary. Rodem jest z Poniewieża. Grasował przed wojną głównie na gruncie petersburskim trzymając się starego generała Babiańskiego, ale miewał „gościnne występy" i na Litwie. Jakich tylko dróg i spekulacji nie próbował! Udawał i Litwina, był bodajże Białorusinem, flirtował z Rosjanami, Żydami, przymykał się do niepodległościowego ruchu polskiego! Skompromitowany jest u wszystkich i wszędzie.

247 Seweryn Ludkiewicz (1882-1964), ziemianin, działacz gospodarczy, nauczyciel, piłsudczyk, mason. Pochodził z okolic Poniewieża. 1909-1912 nauczyciel progimnazjum w Telszach. 1912-1915 współredaktor i administrator „Tygodnika Rolniczego" w Wilnie. 1921-1922 członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej.1922-1923 prezes Głównego Urzędu Ziemskiego, 1926-1927 i 1935-1936 wiceprezes Rady Nadzorczej, 1933-1938 prezes Państwowego Banku Rolniczego.

248 Stanisław Helman (1869- po 1939), rzemieślnik, lider Związku Ludowego „Odrodzenie-Wyzwolenie" w Wilnie. 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego. 1922-1927 poseł do I Sejmu RP.

Chce zawsze grać jakąś rolę, nie usiedzi spokojnie i nie wiadomo nigdy, gdzie się znajdzie jutro i co robić będzie. Jest to żywa chodząca klęska wszystkiego, czego się dotknie. Człowiek nieszczery, który właściwie żadnych ideałów i przekonań nie ma, kabotyn, ścierka, która wszystkie już brudy zamiatała, spekulant polityczny, intrygant bez taktu, łgarz pospolity, człowiek, z którym niepodobna rozmawiać, bo wszystko, co usłyszy, rozgłosi i przekręci rozmyślnie, stosownie do celów swoich.

2 stycznia, rok 1921, niedziela
W południe, gdym siedział przy pracy w domu, przyszedł poseł do sejmu z frakcji socjalistów-ludowców-demokratów Makowski[249] z oświadczeniem, że Ślażewicz prosił mię przyjść zaraz do redakcji „Ukininkasa"[250] na posiedzenie ludowców. Domyśliłem się, że w związku z nawiązaną akcją porozumiewawczą z Wilnem ludowcy chcą usłyszeć moje sprawozdanie z Wilna, by powziąć decyzję co do swego stanowiska w tej sprawie. Poszedłem natychmiast z Makowskim. Nie omyliłem się: istotnie o sprawozdanie moje im chodziło. W zapoczątkowanej akcji porozumiewawczej, jeżeli się ma ona dalej rozwijać, rola ludowców litewskich (partii tzw. „socjalistów-ludowców-demokratów") będzie jedną z najważniejszych. Ponieważ w stadium obecnym akcja porozumiewawcza będzie się toczyła nie między rządami, lecz między organizacjami społecznymi, jako akcja na razie li tylko społeczna, i ponieważ ze strony Wilna wciągnięto do tego formacje lewicowe, z którymi tam jedynie ze strony polskiej można rozmawiać, więc oczywiście strona litewska do akcji zmobilizować może także tylko odłamy lewicowe, odpowiadające stanowiskiem społecznym grupom polsko-wileńskim. Z PPS-em wileńskim będą porozumiewać socjalni demokraci litewscy, natomiast ze związkiem ludowym „Odrodzenie" nawiązać mają kontakt litewscy ludowcy. Na posiedzeniu, na które zostałem zaproszony, było oprócz mnie 8 osób, w tej liczbie Michał Ślażewicz, który przewodniczył, posłowie Makowski, Raczkowski[251], dr Łaszas, trzy osoby, których nazwisk nie znam, i p. Felicja Bortkiewiczowa. Jak mię poinformował Ślażewicz, było to połączone posiedzenie prezydium zblokowanych frakcji sejmowych „socjalistów-ludowców-demokratów"[252] i „Związku Włościańskiego" („Valstiečių Sąjungos")[253] i komitetu centralnego partii tychże

---

249Jonas Makauskis (Makowski, 1885-1969), farmaceuta, działacz polityczny. Od 1912 działał w Litewskiej Partii Demokratycznej, od 1918 w Związku Chłopskim. 1919 założyciel Czerwonego Krzyża na Litwie. 1920-1924 poseł do Sejmów RL. Po II wojnie światowej na emigracji.

250 „Ūkininkas", tygodnik, organ Związku Chłopskiego, wydawany w latach 1918-1939. W r. 1918 w Wilnie, następnie w Kownie.

251 Vytautas Aleksandras Račkauskas (Raczkowski, 1881-1956), inżynier, działacz społeczny i polityczny. 1919-1920 dyrektor Departamentu Porządkowania Ziemi w Ministerstwie Rolnictwa. W 1920 r. uczestniczył w naradach Litwy z Rosją Sowiecką. Poseł Sejmu Ustawodawczego i I sejmu od Związku Chłopskiego. W latach 1924-1940 pracował w różnych urzędach państwowych. 15 VI 1941 z całą rodziną wysłany do Syberii, gdzie zmarł.

252 Litewska Partia Socjalistów Ludowców Demokratów, powstała w Rosji w latach 1917-1918, kiedy dawni „demokraci" (Partia Demokratów Litwy założona w 1902 r.) rozpadły się na dwa odłamy, zasadniczo różne – mianowicie na właściwych tzw. „socjalistów-ludowców-demokratów" i na odłam wybitnie rewolucyjny, pokrewny lewym „eserom" rosyjskim pod nazwą lewych ludowców – Litewska Partia Socjalistów Ludowców. W życiu politycznym Litwy Niepodległej partia była wyrazicielem orientacji lewicy demokratycznej. Liderzy partii – M. Sleževičius, K. Grinius, F. Bortkevičienė i in. Organem partii były: pismo „Saulėtekis" („Wschód Słońca") (1919 r.); „Darbas" („Praca") (1919-1920). W XII 1922 Litewska Partia Socjalistów Ludowców Demokratów połączyła się z Litewskim Związkiem Chłopskim tworząc Litewski Związek Chłopski Ludowców.

253 Litewski Związek Chłopski, powstał w 1905 r. Działał z przerwami w latach 1905-1908 i 1918-1922. Zawsze miał bliski kontakt organizacyjny i ideowy z „demokratami", którzy byli organizacją inteligencji liberalnej. „Związek" natomiast zawsze dążył do uzyskania szerszego poparcia społecznego wśród włościan, chłopów i miał w tym dążeniu sukcesy. W szerokich warstwach społecznych był on zarówno bardziej radykalny, jak i bardziej popularny i wpływowy, niż „demokraci". Np. w latach 1907-1908

ludowców. W dłuższym przemówieniu, trwającym około 1 ½ godziny, zreferowałem bardzo szczegółowo i treściwie sytuację praktyczną w Wilnie, układ stronnictw i kierunków społecznych tamże i widoki porozumienia. Ludowcy wysłuchali referatu z wielkim zainteresowaniem i wyrazili mi uznanie za ciekawą i głęboką analizę społeczno-polityczną stosunków, o których mieli pojęcie bardzo niedokładne. Po szeregu uzupełniających pytań i odpowiedzi ludowcy doszli jednomyślnie do przekonania, że należy nawiązać stosunki z „Odrodzeniem" i rozpocząć niezwłocznie próbę porozumienia. W tym celu, gdym im zakomunikował, że „Odrodzenie" pragnęłoby otrzymać zaproszenie przed wysłaniem swoich delegatów do Kowna, postanowili zadośćuczynić temu żądaniu i zaproszenie zwłocznie przesłać. Spośród zebranych, którzy zabierali głos, najdobitniej akcentował wolę porozumienia i zdawał się najdalej posuwać w dążeniach ugodowych poseł Raczkowski, który, po wysłuchaniu mego referatu, wyrażał opinię, że porozumienie z „Odrodzeniem" powinno się stać wstępem do traktowania następnie i z grupami, dalej stojącymi, byle tylko nie zdecydowanie aneksjonistycznymi, a więc nie wykluczał w dalszych stadiach porozumienia nawet Straży Kresowej. Postanowiono czynić starania o jak najszybsze rozpoczęcia układów, ażeby, ile możności, poprzedziły mu okres ewentualnej kampanii wyborczej do Sejmu w Wilnie. Co mię zdziwiło – to to, że wysunięte zostało, za inicjatywą Ślażewicza, życzenie, aby wraz z delegatami „Odrodzenia", socjalistów i demokratów z Wilna przybył także Marian Swiechowski. Litwini o Świechowskim wiedzą i mają doń zaufanie. Mimo że Świechowski był stale i do ostatnich czasów zwolennikiem i rzecznikiem interwencji zbrojnej polskiej na Litwę Kowieńską, a prawdopodobnie jest nim i dotąd, wszakże nikt bardziej od niego nie jest przeciwnikiem aneksji Litwy do Polski lub podziału jej w jakichkolwiek sposób. Ponieważ Świechowski jest wystawiany jako kandydat do Sejmu w Wilnie przez Straż Kresową, więc jego przyjazd i udział w akcji porozumiewawczej mógłby pośrednio wciągać w sferę tej akcji Straż Kresową.
Zaraz wieczorem napisałem list do Zygmunta Jundziłła, aby dołożył starań, by wraz z delegacją „Odrodzenia" i socjalistów przybyli do Kowna delegaci demokratów i aby wpłynął na przyjazd także Świechowskiego, którego przyjazdu wyrażano ze strony litewskiej życzenie z wielkim naciskiem. Że Świechowski zachce przyjechać, w to nie wątpię. Co do delegatów od demokratów, to wskazałem, że byłby pożądany przyjazd dr Adolfa Narkiewicza i Napoleona Czarnowskiego, a trzeciego wybór pozostawiam taktowi Jundziłła. List do Jundziłła wyślę drogami poufnymi korespondencji.

3 stycznia, rok 1921, poniedziałek
Jeszcze za czasów śmiertelnej choroby Papy, pisząc o tym z Bohdaniszek do Eugeniusza Römera i przewidując rychłą śmierć Papy, prosiłem go, aby, o ile śmierć ta nastąpi, Eugeniusz zawiadomił o tym córeczkę moją i postarał się, aby napisała ona do mnie przy tej okazji z kondolencją. Eugeniusz w odpowiedzi przyrzekł mi, że się o to postara. W listopadzie czy w grudniu napisałem do Eugeniusza o śmierci Papy, nic już o prośbie poprzedniej nie wspominając, bom zresztą o śmierci Papy napisał do córeczki wprost, adresując na imię Reginy. W odpowiedzi na to od córeczki nie otrzymałem nic – oczywiście Regina jej mego listu nie doręczyła wcale. Dziś otrzymałem list od Eugeniusza, w którym jest ustęp taki: „O poleceniu Twoim względem Twej córki

członkowie „Związku" E. Galvanauskas i P. Ruseckas rozważali możliwości wcielenia w życie idei socjalizmu „ludowego" na Litwie. W latach 1920-1922 liderzy „Związku" walczyli o ograniczenie wielkość majątków do 50 ha. dla właścicieli. Nadwyżki miały być przekazane w dzierżawę bezrolnym i małorolnym. Założycielami i liderami „Związku" byli: Juozas Gabrys Paršaitis, Petras Ruseckas, Ernestas Galvanauskas.

pamiętam i mówiłem o tym Reginie, ale nic poradzić nie mogę. Regina jest wciąż zażalona na Ciebie i nie chce o tym teraz jeszcze z córką mówić. Dzidzi rośnie na ładną dziewczynkę, jest grzeczna, układna i dobrze wychowana, ale nie bardzo tęgiego zdrowia. Regina niedobrze się ma, a wobec niemożności komunikowania się z Wilnem i Łunną jest w położeniu materialnym dość kłopotliwym."
W tych kilkudziesięciu słowach mieści się dla mnie treść ogromna, poruszająca cały świat moich uczuć osobistych. Nie wiem, czy ostatni ustęp o kłopotach materialnych Reginy nie zawiera pewnej przymówki do udzielenia jej przeze mnie pomocy. Był czas przed wojną, kiedy Eugeniusz, opiekując się Reginą z tytułu jej najbliższego krewnego, bardzo gwałtownie domagał się ode mnie alimentów dla Reginy, które jej w tym czasie wypłacałem. Potem Eugeniusz zaprzestał wtrącania się w nasz stosunek poseparacyjny, a o alimentach, odkąd na początku wojny wstąpiłem do Legionów i zaprzestałem płacenia, od dawna nie ma mowy. Dziś Regina, po śmierci matki i brata, jest osobą bogatą: jest właścicielką kamienicy Römerowskiej na Sawicz – ulicy w Wilnie i wielkiego majątku Łunna[254] w pow. grodzieńskim nad Niemnem, liczącego 6000 dziesięcin, jeżeli się nie mylę. Ale niezależnie od tego, jakżebym miał jej płacić i wspierać, kiedy ona odmawia mi najelementarniejszych praw do dziecka i czyni wszystko, aby mię nawet wiadomości o córce pozbawić. Regina jest „wciąż zażalona" na mnie... To dobre! Jej „zażalenie" osobiście mię tyle wzrusza, co śnieg przeszłoroczny. Niech sobie będzie zażalona, niech mię nienawidzi, niech myśli o mnie, co chce! Ani miłości, ani szacunku jej, ani jakichkolwiek z nią stosunków nie żądam. Ale córka jest tak samo jej, jak moją. Jakże podły, jak zły jest charakter tej kobiety, która się mieni chrześcijanką i która przez lat 10 na skutek „żalu" i nienawiści do tego stopnia mię krzywdzi i mści na mnie, że nie zgadza się na nakreślenie przez dziecko kilku słów najbanalniejszej treści do ojca. Jeżeli zawiniłem, żem się z Reginą, nie kochając jej, ożenił, złudzony jej szaloną wiarą, że na jej miłości zbudujemy sobie szczęście wzajemne, to, mój Boże, jakże ciężko pokutuję za to w moim uczuciu rodzicielskim. Prawo ludzkie udziela przedawnienia 10-letniego dla zbrodniarzy, a ja czyżbym gorszy był do zbrodniarza, żem w dobrej wierze zbłądził! Słodkie mi są słowa, że Cesia „rośnie na ładną dziewczynkę, jest grzeczna, układna i dobrze wychowana" ale, niestety, jest „nie bardzo tęgiego zdrowia". Ostatnie słowa krają mię nożem po sercu. Cesia po matce pochodzi z rodziny słabego zdrowia. Jej dziad, Edward Römer, był chory na suchoty. Jej stryjowie, obaj bracia rodzeni Reginy – Edzio i Jurek – zmarli w młodym wieku z suchot. Regina była zawsze zdrowia wątłego, zagrożona suchotami. Słyszałem, że Cesia jest dzieckiem bujnym; szybki rozrost ciała często osłabia dzieci i staje się nieraz przyczyną zachwiania równowagi organizmu, przeto szybki i bujny wzrost może być niebezpieczny. Dla dziewczynek słabych na płuca niebezpieczny jest wiek między 15 a 20 latami. Boże, zlituj się nad tym dzieckiem, Boże, miej je w opiece Swojej! Wiem, że dla Ciebie, Boże, w wielkim dziele Twojego stworzenia jedno pokolenie jednej rodziny ludzkiej na drobnej planecie ziemskiej jest rzeczą znikomą, która w planie Stworzenia jest niczym, ale Ty, Panie, nie jesteś tylko mechanizmem zegara, lecz Ojcem dobrotliwym, miłości i łaski pełnym. Zniosę wszelką wolę Twoją, jeżeli prosić Cię wolno, racz córkę moją zachować! Żadnych nie mam życia osobistego radości, samotny jestem bez szczęścia i miłości, bez ogniska rodziny, bez tych wszystkich rzeczy, które zdobią zazwyczaj życie pospolitego człowieka. Nie uskarżam się, Panie. Wdzięczny Ci jestem, bo dałeś mi matkę, która mię nade wszystko kochała, dałeś mi kilka chwil wielkiego szczęścia w miłości z Anną, szczęścia, którego blask starczy mi na życie całe. To szczęście, które miałem, nie oddałbym ze swojej

254 Łunna, miasteczko w powiecie grodzieńskim nad Niemnem. Centrum gminy, 43 km od Grodna.

przeszłości za największe skarby przyszłości, które bym jeszcze mógł w pozostałym mi życiu osiągnąć. Sowicie więc byłem obdarzony, szczęśliwszy o wiele od tych, którzy wiek cały w miarkowanym szczęściu przeżyli. Dziś matka moja i Anna są w grobie. W przyszłości żadna gwiazda szczęścia mi nie świeci i żadnej nie pożądam. Życie moje poświęcam działaniu na rzecz tego, co uważam za dobro kraju i ludu. Jedna wszakże pozostała mi jeszcze świętość osobistego życia uczuć – a jest nią moja córka Cesia. Ona jedna moją prywatną sprawą, moją cząstką serca w świecie uczuć osobistych. Widziałem się z p. Janem Przeździeckim[255], od którego słyszałem, że Elwira dojechała szczęśliwie na miejsce. Była w Kowaliszkach i odjechała już do Bohdaniszek. P. Jan Przeździecki przyjechał do Kowna na wielki zjazd katolicki jako delegat z Rakiszek. Ciekaw jest, że litewski kler rakiski, który w agitacji antypolskiej namiętnie występował przeciwko Przeździeckiemu, nie wiadomo dla jakich przyczyn, względnie – na zasadzie jakich instrukcji nagle zaproponował Przeździeckiemu uczestnictwo w tym zjeździe, mającym cechy kongresu i wydelegował go z Rakiszek. Kongres ten ma ustalić zasady akcji katolickiej w kraju. Jak słychać, toczy się w jego łonie walka między kierunkiem demagogiczno-klerykalnym chrześcijańsko-demokratycznym, dążącym do zamknięcia akcji katolickiej w polityce partyjnej, pod kierunkiem apolityczności akcji katolickiej, którego głównym rzecznikiem jest ks. Tumas i dawniejsi świeccy z obozu stronnictw umiarkowanych „Pažangi"[256] i „Žemdirbių Sąjungos"[257], jak między innymi Antoni Smetona, Norejka [258] i inni.

4 stycznia, rok 1921, wtorek
Zostałem dziś na wieczór zaproszony przez prezesa sądu, p. Mačysa. W ostatnich czasach Mačysa oceniłem i polubiłem. Byłem do niego poprzednio uprzedzony przez Grajewskiego, który miał z nim jakieś nieporozumienie i specjalnie go nie lubi. A może i dlatego nie lubiłem na razie Mačysa, że w ogóle zwierzchnikom nie ufam i do prezesów sądu jestem zawsze uprzedzony. Nie lubiłem Filochowskiego w Łomży, potem nie podobał mi się Mačys w Kownie, ale już prawdziwym rarogiem, po prostu niemożliwym na tym stanowisku, był Kalnietis w Wilnie. Gdym Mačysa bliżej poznał, przekonałem się, że to człowiek dobry, sumienny, pracowity, prawnik umiejętny, ma dużo taktu, nie przesadza ani nacjonalizmem, ani forsowaniem jakichś tendencji politycznych do działalności sądu, co można by niektórym sędziom zarzucić, człowiek z pewnymi dziwactwami i słaby administrator, ale zacny i względnie jeszcze jeden z najodpowiedniejszych. U prezesa Mačysa zebrało się wieczorkiem grono zaproszonych gości. Oprócz gospodarza i jego żony, Polko-Białorusinki spod Mińska, która dopiero

---

255 Jan Przeździecki (1877-1944), ziemianin, właściciel Rakiszek.

256 „Tautos Pažanga", stronnictwo „Postępu Narodowego", powstało w 1916 r. w Piotrogrodzie. Założyciele: ksiądz J. Tumas, J. Kubilius, L. Noreika i in. W 1920 r. jako sympatycy jej programu i dążeń, popierani przez nią i popierający ją byli Antoni Smetona, A. Voldemaras, M. Yčas (Iczas). Było to stronnictwo społecznie bardzo umiarkowane, posiadające wybitny zmysł państwowy, nacjonalistyczne. Była przeciwniczką wywłaszczeń i radykalnej reformy agrarnej, opartej na faworyzowaniu jednych klas ludności. Organem „Pažangi" było w r. 1920 czasopismo „Tauta" („Naród") pod redakcją J. Tumasa, następnie „Lietuvos balsas" („Głos Litwy") pod redakcją A. Smetony.

257 „Žemdirbių Sąjunga" („Związek Rolników"), była uzupełnieniem „Pažangi". Założona w Litwie w r.1919. Była organizacją wybitnie konserwatywną społecznie. Założycielami „Związku Rolników" byli zamożniejsi chłopi-gospodarze i właściciele folwarków i dworków. W swoim programie żądała uszanowania zasady prawa własności jako podstawy życia społecznego i państwowego. Organem stronnictwa był w r.1920 miesięcznik „Žemdirbys" („Rolnik"), w r. 1921 – tygodnik „Žemdirbių Balsas" („Głos Rolników").

258 Liudas Noreika (Norejka, 1884-1928), prawnik, publicysta, działacz społeczny i polityczny. 1917-1918 sekretarz prezydium Najwyższej Rady Litwinów w Rosji. 1918 r. dokooptowany do Taryby, 1919-1920 minister sprawiedliwości, później adwokat.

od niedawna nauczyła się mówić po litewsku, byli obecni: notariusz Škiema[259], młody sędzia śledczy do spraw szczególniejszej wagi Rustejko[260], podprokurator Żyliński[261], ja i przyjaciel osobisty prezesa p. Zabielski, prawnik, b. notariusz w Petersburgu, obecnie w Litwie bez żadnej posady, Litwin mimo nazwiska polskiego. Mieliśmy herbatkę z doskonałym mazurkiem, chrustem, miodem pszczelim i koniakiem. Przyjęcie było na ogół bardzo dobrze i na te czasy – kosztowne, gospodarze b. uprzejmi. O godz. 11 kolacja z wódką i przekąską, złożoną ze śledzi marynowanych, marynowanych grzybów, jesiotra, ozora wędzonego i kiełbasy wiejskiej, na kolacją było kapusta tuszona i kaczka z jabłkami, tort, kawa czarna, wyśmienity naturalny koniak francuski, jakiego już dawno nie piłem. W międzyczasie między herbatą a kolacją i po kolacji do godz. 1 w nocy towarzystwo się zabawiało grą w karty w „*chemain de fer*".[262] Najgrubiej grał notariusz Škiema, ryzykowali ostro Rustejka i Żyliński. Škiema wygrywał duże sumy. Ja grałem umiarkowanie, a dzięki kilku dobrym bankom wygrałem na ogół coś ze 250 marek.
Wracam do perspektywy porozumienia wileńsko-kowieńskiego. Akcja, której grunt wybadaliśmy z Kairysem w Wilnie, wejdzie w najbliższym czasie na tory bezpośredniego porozumienia się między organizacjami społecznymi polsko-wileńskimi a litewsko-kowieńskimi. Jakie będą tego owoce – przyszłość pokaże. Gdyby chodziło tylko o stosunek wewnętrzny dzielnicy wileńskiej do kowieńskiej w Litwie, to mam przekonanie, że trudności zasadniczych żadnych by nie było. Kowno pod tym względem poszłoby dziś na tak daleko posunięte ustępstwa, że Wilno mogłoby być zupełnie zadowolone i uzyskać wszelkie gwarancje, iż nie znajdzie się we wspólnym państwie na stopie prowincji zawojowanej, a mieć będzie równorzędność zupełną. Trudną jest tylko kwestia stosunku Litwy do Polski, która w układzie Wilna z Kownem przesądzona być musi. Tylko o tę kwestię może się akcja pojednawcza rozbić. Przeszkody do układu są dziś tylko ze strony Wilna, nie zaś Kowna. Kowno bowiem nie może dla żądań wileńskich w stosunku do Polski zrezygnować z suwerenności państwowej Litwy; toteż tu jest granica kompromisu, która przekroczona być nie może. Od Wilna zależy, czy ono we wnioskach swoich i ustępstwach tę granicę uszanuje. W każdym razie, rozpoczęcie akcji porozumiewawczej witam optymistycznie i jeżeli choćby tylko w kwestii stosunków wewnętrznych dało się dogadać, to już bym to uznał za duży krok naprzód, bo do niedawna i w tej kwestii nie było widać perspektywy kompromisu; w tej kwestii przeszkody płynęły głównie ze stanowiska Kowna, które obecnie poszło na ustępstwa.
Mam wrażenie, że najlepszą i najbardziej decydującą rolę w akcji porozumiewawczej odegra „Odrodzenie". Od jego stanowiska i ustępliwości najwięcej zależeć będzie. W tej mierze badaliśmy z Kairysem nastrój „Odrodzenia" w Wilnie. Zaczęło się to od tego, że po zorientowaniu się co do wagi społecznej „Odrodzenie" postarałem się o zobaczenie się i pomówienie z *leaderami* Helmanem i Chomińskim. Ze Stefanem Mickiewiczem wcale rozmawiać nie życzyłem. W d. 22 grudnia wstąpiłem do lokalu „domu ludowego" „Odrodzenia" przy ul. Mostowej, gdzie zostałem Helmana. Porozmawiałem z nim na cztery oczy bardzo dobrze i z obydwóch stron życzliwie w sprawie potrzeby i widoków porozumienia Wilna z Kownem. Na wstępie postarałem się

259 Kazys Škėma (Škiema), notariusz w Kownie.

260 Steponas Rusteika (Rustejka, 1887-1941), prawnik, sędzia Sądu Okręgowego w Kownie (1920-1921).

261 Aleksandras Žilinskas (Żyliński,1885-?) prawnik, minister sprawiedliwości RL (1928-1934). W r. 1919 prowadził śledztwo nad działaczami P.O.W. W latach 1920-1928 pracował na różnych stanowiskach w Sądzie Okręgowym w Kownie. Od 12 VI 1934 notariusz w Kownie. W 1941 r. aresztowany przez władze sowieckie i wysłany do Syberii

262 Franc. – „chemain de fer" – droga żelazna.

ująć Helmana stwierdzeniem jego wybitnej roli i wpływów, o których przekonałem się z informacji, zebranych w Wilnie, na co Helman jest bardzo wrażliwy. Mówiłem mu, jak dalece Kowno gotowe jest iść na przyznanie Wilnu równorzędności w państwie, jaką krzywdą byłoby dla całej Litwy oderwanie od niej Wilna i zaanektowanie go do Polski i jak dla samego Wilna, dla najżywotniejszych jego potrzeb i stanowiska byłoby niepożądane, gdyby los jego miał być od losu i dziejów Litwy odseparowany. Helman słuchał mię z wielką uwagą i zainteresowaniem, raczył mię wzajemnie komplementami o wpływach i żywej tradycji mojej działalności w kraju, mówił, jak głęboko mu w sercu osiadły idee i hasła, głoszone niegdyś w r. 1905 przez moją „Gazetę Wileńską", zapewniał, że on bardzo żywo współczuje układowi Wilna z Kownem, że takie porozumienie spełniłoby jego najgorętsze pragnienia i że byłby szczęśliwy, gdyby się faktem stać mogło. Gdy się dowiedział, że chcę się zobaczyć jeszcze i pomówić z Chomińskim, zaproponował, byśmy jutro przyszli z Kairysem do „Odrodzenia", gdzie się spotkamy z nim, Helmanem, i z Chomińskim. Zgodziłem się na to. Umówiliśmy się nazajutrz na godz. 3 po południu.

5 stycznia, rok 1921, środa
Helman zaproponował nam z Kairysem spotkanie w dniu kucji na godz. 3 po południu. Idąc tam byliśmy z Kairysem pewni, że zastaniemy tylko Helmana i Chomińskiego. Tymczasem Helman urządził z tego powodu całe zebrańko, na które prócz Chomińskiego zaprosił Stefana Mickiewicza i kilku jeszcze przywódców „Odrodzenia" *minorum gentium*, w ich liczbie niejakiego Barwickiego i innych, których nazwisk nie wiem. Byli to bądź chłopi bądź półinteligenci z czynniejszych działaczy ludowców. To się nam z Kairysem nie podobało, bo obecność większej liczby osób, szczególnie takich, o których nic nie wiedzieliśmy, kto racz, zmuszała nas do większej ostrożności i liczenia się ze słowami, co oczywiście krępowało zamierzoną pogawędkę. Szczególnie zaś krępującą była obecność Stefana Mickiewicza, którego trzeba się po prostu wystrzegać, bo nigdy nie wiadomo, jaki użytek zrobi on z tego, co usłyszy. Dlatego też mówiliśmy z Kairysem bardzo połowicznie i niemal samymi ogólnikami. W ogóle w całym toku naszej akcji wileńskiej, którą zresztą każdy z nas dwojga prowadził z osobna (wspólnie z Kairysem mieliśmy tylko tą jedną pogadankę w „Odrodzeniu", a poza tym Kairys gadał z socjalistami, a z innymi ja sam jeden), Kairys prawie wyłącznie się informował i nie wywnętrzał się co do tendencji i ustępstw litewsko-kowieńskich prawie wcale, nie wychodząc poza sferę bardzo ostrożnych ogólników i tylko ja trochę konkretniej i obficiej wsączyłem w opinię polsko-wileńską wieści o nastrojach pojednawczych kowieńskich. W rozmowie naszej z „Odrodzeniem" mówiliśmy tylko ogólnie o zasadzie równorzędności, na jakiej winien być budowany w państwie litewskim stosunek Wilna do Kowna, to znaczy dzielnicy wschodniej do rdzennie litewskiej zachodniej, o prawie samookreślenia w układzie państwowym, o tym, że zasada równorzędności jest dziś przez stronnictwa polityczne litewskie, przez frakcje sejmowe i przez sfery rządowe, podług posiadanych przez nas informacji, w zupełności akceptowane i przeto pod tym względem, jak się nam zdaje, trudności wielkich i przeszkód do porozumienia by nie było, o ile Wilno, byłoby w ogóle do porozumienia skłonne: Z ramienia „Odrodzenia" przemawiał przeważnie Chomiński. Zaznaczał, że ludowcy „Odrodzenia" byli zawsze i są za porozumieniem Wilna z Kownem i że gdyby tylko była możność takiego układu, który z jednej strony ustaliłby stosunek sprawiedliwy między obu częściami Litwy, a z drugiej strony dał wyraz ciążeniom ludu polskiego i katolicko-białoruskiego w Wileńszczyźnie do Polski przez odpowiednie ustalenia stosunku Litwy do Polski, to byliby gotowi gorąco sprawę takiego układu poprzeć. Dał przy tym Chomiński ciekawe wyjaśnienie pewnej uchwały,

powziętej niedawno przez zjazd delegatów kół „Odrodzenia", która mogłaby uchodzić za przeszkodę do porozumieniu z Kownem i budzić poważne wątpliwości co do stanowiska „Odrodzenia" w sprawie nawiązania ewentualnego układu z Kownem. Mianowicie uchwała ta orzeka „połączenie Wilna (czy „Litwy Środkowej") z Polską". Otóż Chomiński twierdzi, że uchwała ta była powzięta wobec perspektywy plebiscytu, który przez obie strony, litewską w Kownie i polską w Warszawie, pod egidą Ligi Narodów – był przyjęty za metodę do rozwiązania kwestii wileńskiej. W plebiscytowej formule rozwiązania kwestia wileńska była stawiana w ten sposób, że ludność miała orzec: „do Kowna" czy „do Warszawy". Była to więc alternatywa i to rozumiana w ten sposób, że wybór może być tylko taki: czy Wilno ma należeć do Kowna, czy też do Warszawy. Kowno było brane jako Litwa, czyli Kowno nie była stawiane jako wytwór wspólny Wilna z Kownem, jeno po prostu jako mechaniczne rozciągniecie na Wilno panowania kowieńsko-litewskiego. W formule plebiscytowej była wykluczona zasada swobodnej współpracy Wilna w budowie państwowego tworu Litwy i Wilno było traktowane jako tylko przedmiot tej lub innej aneksji, kowieńskiego (litewskiego) lub warszawskiego (polskiego) zaboru. W obliczu więc takiej alternatywy, takiego postawienia formuły rozwiązania i tylko w tym obliczu „Odrodzenie" wypowiadało się w swej uchwale za Warszawą, za Polską, zastrzegając jednak „połączenie" zamiast „przyłączenia", co też wyraża się w popieraniu przez „Odrodzenie" zasady sejmu w Wilnie, sejmu suwerennego, który wolny będzie stanowić o związkach i wszelkich układach, przeciwstawiając sejm plebiscytowi o „przynależności". Że przeto wobec dylematu panowania Kowna czy Warszawy, formułowanego w plebiscycie, „Odrodzenie" odpowiedziało: „Warszawa", dążąc równocześnie do tego, aby panowanie Warszawy zastąpić układem z nią przez sejm i wierząc, a raczej rozumiejąc, że z Warszawą układ da się zawrzeć, podczas kiedy Kowno na żaden układ pójść nie chce i nie zechce i ze strony Kowna może być tylko stosunek zapanowania. Że wszakże gdyby okazała się możność układu z Kownem, gdyby kwestia miała być stawiana na gruncie udziału równorzędnego Wilna w samej budowie państwowej Litwy, a formuła plebiscytowa „Kowna" jako aneksji Wilna do Litwy Kowieńskiej byłaby odpadła, to wytworzyłaby się zupełnie odrębna sytuacja, która nie była wcale uwzględniana przy powzięciu uchwały powyższej i przeto uchwała ta wobec takiego postanowienia rzeczy nie wiąże i nie krępuje „Odrodzenia". Tak wyjaśnił znaną uchwałę Chomiński, obecnie zaś ludowcy zaznaczyli, że tak samo rzecz rozumieją.

6 stycznia, rok 1921, czwartek
Ponieważ nic osobliwego ani w moim życiu, ani w wypadkach nie zachodzi, więc mogę, nie odrywając się dla spraw bieżących, opisywać swobodnie szczegóły naszej akcji wileńskiej i spostrzeżenia tamże poczynione.
Pisałem wczoraj, jak na naszej konferencji w „Odrodzeniu" w d. 24 grudnia była stawiana przez obie strony zasada porozumienia. I my z Kairysem, i ludowcy „Odrodzenia" wypowiadaliśmy się zgodnie o potrzebie bezpośredniego porozumienia Wilna z Kownem. Nie precyzowaliśmy szczególnie tez porozumienia, nie chcąc się pod tym względem angażować wobec liczniejszego grona osób. Po ogólnikach i po przemówieniu Chomińskiego, z którym zsolidaryzowali się inni obecni ludowcy, ja nadmieniłem, że skoro wszyscy uważamy porozumienie za potrzebne i pożyteczne, a my twierdzimy, że w Kownie w usposobieniu kół politycznych sejmowych i rządowych dojrzewają daleko idące ustępstwa na rzecz żądań wileńskich, więc byłoby pożądanym, aby ludowcy wileńscy sami się o tym przekonali, wysyłając do Kowna swoich delegatów dla zbadania usposobień i rozpoczęcia próby porozumienia z pokrewnymi litewskimi elementami społecznymi, o ile grunt po temu wyda im się tam odpowiedni.

Na to ludowcy podnieśli wzgląd taki: przedstawiciele kół społecznych wileńskich – powiadają oni – jeździli już raz do Kowna przed rokiem, w grudniu 1919, próbując tam nawiązać porozumienie z Litwinami; byli w Kownie przez lewicowe ugrupowania litewskie, z którymi weszli w kontakt, przyjęci uprzejmie, i rozmowy toczyły się nieźle, tak że mogło zdawać, iż skutek będzie pomyślny; gdy Wilnianie wyjeżdżali, stanęło na tym, że niebawem przybędą do Wilna delegaci z Kowna, aby kontynuować nawiązany stosunek na rzecz porozumienia; tymczasem nie przyjechali wcale i sprawa utknęła w martwym punkcie. Jeżeli zatem teraz myśl porozumienia ma być podjęta na nowo, to pierwszy krok należy uczynić z Kowna, to znaczy nie delegaci wileńscy do Kowna, ale delegaci litewsko-kowieńscy do Wilna pierwsi, zdaniem „Odrodzenia", przyjechać powinni, i w Wilnie trzeba by zacząć obradować. Tezę tę zwłaszcza podnosił Stefan Mickiewicz, ale ogół obecnych ludowców zdawał się mu potakiwać; tylko jeden Helman gotów był oponować Mickiewiczowi, znajdując, że o to, kto do kogo ma jechać, spierać się nie warto i że wszelką możność dla próby porozumienia wyzyskać należy. Ludowcy, a w szczególności Mickiewicz i Chomiński – ten ostatni umiarkowaniej od Mickiewicza i usiłując znaleźć ułatwienie w tej trudności – wskazywali na to, że ponieważ my z Kairysem przyjechaliśmy bez żadnych formalnych mandatów w przedmiocie akcji porozumiewawczej i, jak sami zaznaczamy, mówimy tylko prywatnie w imieniu osobistym, więc dotąd ze strony Kowna żadnego kroku nie uczyniono. W tych warunkach trudno jest „Odrodzeniu" posłać swoich delegatów do Kowna, nie tylko dla wskazanej wyżej zasady kolejności wizyt porozumiewawczych, ale zwłaszcza dlatego, że „Odrodzenie" żadnych gwarancji skuteczności akcji porozumiewawczej dotychczas nie ma, a tymczasem gdyby posłało do Kowna swoich ludzi i gdyby pomimo to do porozumienia nie doszło, to przeciwnicy polityczni „Odrodzenia" nie omieszkaliby ukuć z tego bardzo skutecznej broni przeciwko stronnictwu; wskazywaliby oni na to, że „Odrodzenie", pomimo uchwały o połączeniu z Polską, próbuje ciągle wejść w jakieś konszachty z Litwinami, ciągle czyni gesty uprzejme w stronę Kowna, które, wobec tylekroć ujawnionej niechęci Kowna do jakichkolwiek ustępstw i układów i wobec brutalnego lekceważenia przez Litwinów wszelkich zabiegów ugodowych ze strony polsko-wileńskiej, obrażają godność narodową przez jakieś podejrzane skłonności przywódców „Odrodzenia" do oddania losów Wilna na samowolę zachłanności kowieńsko-litewskiej. Słowem – „Odrodzenie" boi się inicjatywy, nie mając gwarancji powodzenia akcji, bo inicjatywa taka na wypadek niepowodzenia kompromitowałaby je i byłaby przeciwko niemu przez wrogów konkurentów politycznych zużytkowana. W odpowiedzi na to, w kwestii, czy Wilno ma pierwsze wystąpić do Kowna, czy – Kowno do Wilna, zabrałem głos ja i wskazałem, że „Odrodzenie" należy do tej strony, która podniosła oręż w sporze kowieńsko-wileńskim, wszczęła wojnę z Kownem i spowodowała przelew krwi; że wojna, zawieszona obecnie rozejmem i przelew krwi – całkowicie pokryły wszystko to, co miało miejsce przed rokiem i stworzyły sytuację w stosunkach wzajemnych zupełnie nową; że przeto wszelka ciągłość między tym, co było w grudniu r.1919 i co jest teraz, została przerwana faktem wojny, a więc dziś powoływać się na wizytę z r. 1919 i nawiązywać do niej niepodobna; że trudno byłoby żądać od Litwinów w Kownie, którym narzucona była z Wilna wojna, aby dziś oni pierwsi przysyłali do Wilna delegację ugodową, bo to zakrawałoby na kapitulację; że natomiast ze strony Polaków wileńskich, którzy sprowokowali przelew krwi wzajemnej, słuszniej i łatwiej byłoby wyciągnąć pierwszym rękę i spróbować układów, tym bardziej, że, jak nam się zdaje, w Kownie dobrej woli nie zabraknie. Zrozumieli to jednak ludowcy i Chomiński w ich imieniu poprosił o to, żeby z Kowna od ludowców litewskich przysłano im przynajmniej zaproszenie przyjazdu, aby mieć się czym zasłonić wobec napaści

przeciwników. Obecnie już ten szkopuł jest załatwiony, bo, jak pisałem pod datą 2 stycznia, ludowcy litewscy postanowili żądane zaproszenie „Odrodzeniu” przesłać. Później jeszcze Chomiński próbował wyciągnąć od nas z Kairysem wskazówkę, na jakie konkretne wnioski poszłoby Kowno w sprawie stosunku Litwy do Polski, ale na to odpowiedzi dać nie mogliśmy, bo to już by było przedmiotem obrad porozumiewawczych. W rozmowie na cztery oczy udzieliłem potem Chomińskiemu więcej wyjaśnień w sprawie ugodowych skłonności Kowna.

7 stycznia, rok 1921, piątek
Znowu nic ciekawego w dniu dzisiejszym. Większą część dnia wypełniła mi sesja cywilna w sądzie, na której siedziałem do obiadu pod przewodnictwem prezesa Mačysa z udziałem Oleki i moim, a po obiedzie pod przewodnictwem Oleki z udziałem moim i sędziego śledczego Rustejki. Wieczorem po sesji byłem na herbatce u posła Grajewskiego, któremu opowiadałem o stosunkach i mojej akcji w Wilnie. Skorzystałem znowu z wolnego od spraw aktualnych miejsca w dzienniku, aby dotknąć spraw wileńskich. Tym razem opowiem o sytuacji politycznej w Wilnie, w szczególności o kryzysie rządowym, na jaki tam właśnie natrafiliśmy. Już od dłuższego czasu koła i organizacje tzw. „narodowe” w Wilnie, to znaczy ściśle aneksjonistyczne, prowadziły ostrą kampanię przeciwko Tymczasowej Komisji Rządzącej wileńskiej, złożonej, jak wiadomo, w większości z „krajowców”. W Warszawie w opinii publicznej i w prasie endeckiej usiłowały one Komisję Rządzącą zohydzić, wypisując o niej niestworzone rzeczy, wymyślając bajki o prześladowaniu przez nią elementów „narodowych” i prowadzonej rzekomo przez nią agitacji na szkodę interesów polskich. Wiedząc o zależności rządu wileńskiego od Polski, dążyli oni do tego, aby podkopać Komisję Rządzącą i przez Warszawę albo ją obalić, albo przynajmniej uczynić powolną sobie, zmuszając ją do podporządkowania się kierunkowi aneksjonistycznemu. Ze stanowiska aneksjonistów stan prawno-państwowy Wilna określa się znaną zeszłoroczną uchwałą sejmu warszawskiego, orzekającą inkorporację Wilna do Polski w myśl stwierdzonej rzekomo licznymi uchwałami i petycjami woli ludności wileńskiej. Tę uchwałę sejmową uznają oni za prawomocną, za stanowiącą podstawę prawną. Wszelki stan rzeczy, niezgodny z tą podstawą, uznają oni za nielegalny. W myśl tego poglądu, jedynym zadaniem Wileńskiej Komisji Rządzącej powinno być zrealizowanie tej podstawy prawnej. Już samo zwołanie sejmu w Wilnie uważają oni za odchylenie od legitymizmu uchwały sejmowej warszawskiej i jeżeli akceptują z konieczności wybory do sejmu w Wilnie, to tylko jako ustępstwo, dyktowane koniecznością sytuacji międzynarodowej Wilna, służące zresztą do potwierdzenia raz jeszcze „woli ludności” należenia do Polski. Wszelkie gawędy o jakiejś „suwerenności” sejmu w Wilnie uważają za herezję, wymyśloną przez szkodników Polski. Równolegle do tej ostrej akcji, prowadzonej w Warszawie przeciwko wileńskiej Komisji Rządzącej, aneksjoniści wileńscy przez swoje organizacje zwrócili się do Komisji Rządzącej z żądaniem, aby ona zreformowała względnie uzupełniła swój wkład osobisty w ten sposób, aby czynniki aneksjonistyczne zyskały większy głos, raczej przewagę w łonie Komisji. Opierając się na różnych zeszłorocznych uchwałach wiecowych i petycjach, fabrykowanych agitacją aneksjonistów i domagających się przyłączenia do Polski, a także powołując się na zeszłoroczne wybory do Rady Miejskiej w mieście Wilnie, które dały olbrzymią większość prawicy aneksjonistycznej, twierdzili oni, że obecny dowolny skład osobisty samorzutnej Komisji Rządzącej, w której przewagę mają różni demokraci, „krajowcy” i „federaliści”, nie odpowiada woli ludności i stosunkowi sił społecznych i kierunków politycznych w kraju. Jako minimum – domagali się co najmniej obsadzenia trzech tek swoimi ludźmi, wskazując zarazem tychże. Mianowicie

żądali oddania spraw wewnętrznych Witodowi Bańkowskiemu[263], prezydentowi miasta Wilna, teki spraw zagranicznych – Raczkiewiczowi[264] czy Raczkowskiemu[265] (Raczkiewicz i Raczkowski – są to dwie różne osoby, choć obaj są aneksjonistami; nie pamiętam – który to z nich dwóch został wysunięty) i teki oświaty – księdzu Olszańskiemu[266], wodzowi Ligi Robotniczej w Wilnie, to znaczy chrześcijańskiej demokracji. Oczywiście, że „krajowcom" z Komisji Rządzącej nie w smak były te żądania, a zwłaszcza najcięższym byłoby ustąpienie spraw zagranicznych. Choć „krajowcy" z Komisji Rządzącej zawiedli się na obecnym tytularnym dyrektorze Departamentu Spraw Zagranicznych Jerzym Iwanowskim[267], który zupełnie zaniedbuje obowiązki i faktycznie nie rządzi wcale departamentem, jednak w jego zastępstwie kierują polityką zagraniczną kolegialnie trzej pracownicy tego departamentu – Szymon Meysztowicz, Okulicz i Marian Świechowski – wszyscy trzej „krajowcy". Wypuścić tę tekę z rąk swoich na rzecz aneksjonistów – tego „krajowcy" nie chcieliby za żadną cenę. Dalszy ciąg – innym razem.

8 stycznia, rok 1921, sobota
Wieczorem byłem zaproszony do sędziego Preissa na zebranie towarzyskie. Zebranie to miało cechę kurtuazji specjalnie dla prezesa sądu Mačysa. Jest to pewnego rodzaju powinnością towarzyską między kolegami z jednej instytucji, że się od czasu do czasu przy jakiejś okazji świąt czy imienin urządza u siebie przyjęcie dla kolegów. Oczywiście, że powinność ta ciąży zwłaszcza na tych, którzy są żonaci, a więc mają tzw. dom; wtedy zapraszają oni do siebie na te przyjęcia kolegów z rodzinami. Kawalerowie lub ci, którzy mieszkają samotnie, są od takiego obowiązku towarzyskiego wolni. Zwyczaj przyjęć towarzyskich dla kolegów z rodzinami istnieje zarówno w Polsce (w Łomży odbywały się z rzadka takie przyjęcia u prezesa Filochowskiego, u sędziów Skarzyńskiego i Duszyńskiego), jak tu. Prawdopodobnie jest on powszechny, a szczególnie był upowszechniony za czasów rosyjskich, zwłaszcza po miastach prowincjonalnych, jałowych pod względem rozrywek towarzyskich i publicznych; zresztą wtedy, przed wojną, życie było tanie, przyjęcia

263 Witod Bańkowski (1865-?), prezydent miasta Wilna (1920-1922), poseł Sejmu Wileńskiego Litwy Środkowej (1922), jeden z liderów Zespołu Stronnictw i Ugrupowań Narodowych w tym sejmie. Członek 20-osobowej delegacji posłów Sejmu Wileńskiego, która jechała do Warszawy dla przekazania uchwały o wcieleniu Wileńszczyzny do Polski.
264 Władysław Raczkiewicz (1885-1947), prawnik, polityk polski. Delegat RP przy Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej (od 29 XII 1920 do 1921), minister spraw wewnętrznych (1921, 1925-1926, 1935). W latach 1926-1930 wojewoda wileński, 1939-1945 prezydent RP w emigracji.
265 Feliks Raczkowski (1877-?), inżynier, publicysta, działacz polityczny, endek. Lider Związku Ludowo- Narodowego w Wilnie (1920-1922). Poseł Sejmu Wileńskiego Litwy Środkowej (1922). Jeden z liderów Zespołu Stronnictw i Ugrupowań Narodowych w tym sejmie. Rzecznik inkorporacji Ziemi Wileńskiej do Polski. Członek 20-osobowej delegacji posłów Sejmu Wileńskiego, która jechała do Warszawy dla przekazania uchwały o wcieleniu Wileńszczyzny do Polski.
266 Ignacy Olszański (1884-?), ksiądz, działacz społeczny i polityczny. Założyciel Polskiego Związku Chrześcijańsko-Demokratycznego w Wilnie. Poseł Sejmu Wileńskiego Litwy Środkowej (1922). Jeden z liderów Zespołu Stronnictw i Ugrupowań Narodowych w tym sejmie. Rzecznik inkorporacji Ziemi Wileńskiej do Polski. Członek 20-osobowej delegacji posłów Sejmu Wileńskiego, która jechała do Warszawy dla przekazania uchwały o wcieleniu Wileńszczyzny do Polski.
267 Jerzy Iwanowski (1878-1965), inżynier, działacz społeczny i polityczny, piłsudczyk, mason. Od 1896 członek PPS. 1901 uczestnik przygotowań ucieczki Józefa Piłsudskiego ze szpitala w Petersburgu. 1918-1919 minister przemysłu i handlu, następnie – pracy i opieki społecznej R.P. (łącznie w dwóch gabinetach). 1919 szef polskiej misji handlowej przy rządzie Denikina. 1920-1922 dyrektor Departamentu Spraw Zagranicznych Tymczasową Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, wspówłaściciel „Elektrobanku" w Warszawie. 1940-1945 w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, po 1945 w Londynie. 1950-1955 prezes Rady Naczelnej Niepodległości Polski.

więc takie były dostępniejsze pod względem kosztu; sądownicy jakieś dziury prowincjonalnej zbierali się ciągle to u jednego, to u drugiego spośród siebie, a zebrania te okraszały się grą w karty, bibą i jadłem. W zwyczaju tym tkwi ta myśl zasadnicza, aby stosunkowi między kolegami, który ma w sądzie charakter formalny, służbowy, nadać cechy zbliżenia poufnego w obcowaniu towarzyskim. Powinność ta w pierwszym rzędzie ciąży zwyczajowo na prezesie sądu, który w sądownictwie jest nie tyle zwierzchnikiem sędziów, ile pierwszym między równymi („*primus inter pares*"). W każdym razie już to, że jest pierwszym, czyni go faktycznie wyższym i nadaje jego stanowisku między sędziami pewną przewagę, zarówno formalnie, jak realną praktycznie. Otóż celem tego obcowania towarzyskiego jest łagodzenie tej przewagi, równanie koleżeńskie. Jednak, ponieważ natura ludzka nie daje się całkowicie pokonać zasadami i kulturą, więc nawet kultura społeczna instytucji sędziowskiej, zbudowanej na zasadach niezależności, nie jest w stanie wyplenić całkowicie z psychiki sędziów instynktu pozyskania względów władzy i uznania zwierzchności ponad stan formalny. Pod tym względem państwowość stara rosyjska, przepojona pierwiastkiem władzy i hierarchii, który tłumił całkowicie w ustroju państwowym swobodę i równość obywatelską, szczególnie usposabiała do kultu wszelkiej zwierzchności, co nie mogło pozostać bez wpływu i na stan sędziowski. Pomimo więc, że organizacja sądowa rosyjska była zbudowana na zasadach bardzo liberalnych reformą Aleksandra II[268] i zapewniała stanowi sędziowskiemu formalnie wielką niezależność, tworząc w sferze sądownictwa wyłom kapitalny z ogólnej budowy biurokratycznej państwa, wskutek czego (to się zaprzeczyć nie da) sądy rzeczywiście były w Rosji lepsze od jakiejkolwiek innej instytucji państwowej i wyróżniały się dodatnio na tle samowoli urzędniczej, to jednak i tam przenikały elementy psychologii ogólnej, karierowiczowskiej i niewolniczej względem zwierzchności; nie odmawiając szacunku dla b. stanu sędziowskiego w Rosji, który przez czas długi usiłował na tle ogólnego bezprawia i samowoli biurokratycznej utrzymać wysoko sztandar prawa i niezależności, co raziło biurokrację rządzącą stale i wywoływało w okresach reakcji (za Aleksandra III[269] i po r. 1905) systematyczne usiłowania do zgwałcenia sądownictwa i podporządkowania go regule ogólnej (instytucja naczelników ziemskich, rządy ministra sprawiedliwości Szczegłowitowa[270]), trzeba stwierdzić, że jednak nigdy, nawet w najlepszych tradycjach sądownictwa rosyjskiego, nie zdobywało ono tego stanowiska niezależności, jakie cechuje stan sędziowski w samorządnych społeczeństwach anglosaskich, w których wyrosło ono nie z przepisów formalnych tylko, lecz z kultury społecznej własnej. Toteż za czasów rosyjskich w tych przyjęciach towarzyskich ujawniała się nie tylko idea poufnego prywatnego stosunku koleżeńskiego, ale spekulacja karierowiczowska, pochlebstwo, intryga stosunków między zwierzchnikiem a podwładnym, chęć dogodzenia przełożonym (z drugiej strony nadymanie się lub protekcyjny ton przełożonego, bawiącego się swoją „władzą"). Z Rosji te pierwiastki przeniknęły też i do stosunków w krajach, które powstały na jej gruzach, pomimo ich demokratyczności formalnej. Czy to w Polsce, czy w Litwie prezes lub minister sprawiedliwości imponuje jednak sędziom jako zwierzchność, władza, przełożony. U Litwinów z inteligencji ludowej jest tego może mniej. W naszym sądzie kowieńskim tacy na przykład Piotrowski, Oleka, Masiulis są pod tym względem co do zwierzchności bez zarzutu; taki Masiulis nigdy zresztą nie przechodził szkoły biurokratycznej rosyjskiej, toteż nie ma w nim ani cienia tych wpływów. Ale za to niektórzy, którzy przesiąkli kulturą

268 Aleksandr II Romanow (1818-1881), cesarz rosyjski od 1855, syn Mikołaja I.

269 Aleksandr III Romanow (1845-1894), cesarz rosyjski od 1881, syn Aleksandra II.

270 Iwan Szczegłowitow (1861-1918), prawnik, rosyjski działacz państwowy, minister sprawiedliwości Rosji (1906-1915).

urzędniczą rosyjską, jak taki sędzia Budrecki albo b. prezes sądu w Wilnie Kalnietis[271], mają tych cech aż do obrzydliwości. Otóż sędzia Preiss, który jest Rosjaninem, też ma dużo nałogu, mimo że jest człowiekiem uczciwym i że politycznie należy do opozycji jako konserwatysta, i trzyma się na uboczu od kolegów Litwinów, czując, że mu są oni politycznie niechętni, i nie próbując wcale zjednać lub się ich prądom podporządkować. Ale wobec prezesa ma on ten nałóg i urządzając przyjęcie, miał na myśli to dogodzenie, nawet nie tyle prezesowi, ile pani prezesowej, która, jak tyle żon urzędniczych, jest znudzona i spragniona zawsze zabiegów i przyjemności, a mieć ich z tytułu własnej wartości nie może. Ta kobieta, głupia i pusta, więdnąca i nudna, jest typową żoną urzędnika w stylu pań „czynownic" rosyjskich. W Rosji była podrzędną „czynownicą", a teraz, gdy została prezesową, lubiłaby być otoczona tymi względami, które nieraz zapewne sama prezesowym świadczyć musiała. W zebraniu u prezesa byli przeważnie Rosjanie, a z sądownictwa prezes z żoną, ja i podprokurator Żyliński. Graliśmy w „*chemain de fer*", ale gra była nudna, bo grano bez żadnego zapału – tylko z uczciwości dla prezesowej, która gra chciwie i skąpo.

9 stycznia, rok 1921, niedziela
Zbierałem się jechać na sesję wyjazdową sądu z sędziami Preissem i Narutowiczem do Telsz. Sprawa mego wyjazdu wahała się jednak ciągle ze względu na to, że oczekiwany jest w prędkim czasie ewentualny przyjazd delegatów Wilnian dla narad porozumiewawczych z Litwinami. O ile by przyjechali, moja obecność byłaby potrzebna w Kownie. Przed paru dniami wyjechał z Kowna do Wilna wraz z Komisją Kontroli Ligi Narodów Jonynas[272], przedstawiciel litewski przy tej Komisji. Jonynas powiózł do Wilna na ręce Michała Biržiški instrukcje w sprawie owej wycieczki Wilnian do Kowna, a w szczególności zapewne także zaproszenie od ludowców litewskich dla „Odrodzenia" w Wilnie i mój list do Zygmunta Jundziłła z poleceniem w tejże sprawie. Ponieważ obie strony, wileńska i kowieńska, uważają za wskazane, by akcja porozumiewawcza rozpoczęła się jeszcze przed wyborami do sejmu w Wilnie, odroczonymi przez Komisję Rządzącą na dzień 30 stycznia, więc jest bardzo prawdopodobne, że delegacja wileńska przyjedzie w najbliższym czasie. Z tego powodu mój wyjazd na sesję, który powinien nastąpić jutro, a sesja trwać na dni z 10, wciąż był zawieszeniu, pomimo że prezes Mačys i sędzia Preiss bardzo forsownie mię do jazdy naglili. Wczoraj wieczorem, przed udaniem się na zebranie do Preissa, otrzymałem listek od Jerzego Šaulysa, w którym prosi mi on od imienia dr Puryckiego o przybycie dziś rano do Ministerium Spraw Zagranicznych dla rozmowy i uprzedza, że prawdopodobnie wypadnie mi zaniechać wyjazdu na sesję sądową do Telsz. Myślałem, że chodzi tu tylko o coś w związku w oczekiwanym przyjazdem Wilnian. Okazała się jednak rzecz dalej idąca. Już w czasie naszej z Kairysem relacji w tzw. „małym" gabinecie ministrów po naszym powrocie z Wilna minister Purycki wspomniał o zamiarze utworzenia jakiegoś specjalnego organu dla spraw Litwy Wschodniej (Wilna), złożonego z osób należących do różnych narodowości krajowych (Litwin, Polak, Żyd, Białorusin). W kilka dni potem słyszałem o tym konkretnie z ust Šaulysa, który wspominał mi o tym, że ma być specjalna komisja i że Purycki zamierza zaproponować mnie należenie do niej. Otóż o tym właśnie mówił dziś ze mną Purycki. Komisja ta ma

271 Vincas Kalnietis (1876-1941?), prawnik, przed I wojną światową był sędzią śledczym w Tallinie, w 1920 powrócił do Litwy, gdzie pracował w kowieńskim Sądzie Okręgowym, następnie w Trybunale Litwy, w czerwcu 1941 wywieziony na Syberię.
272 Ignas Jonynas (1884-1954), historyk, dyplomata. W latach 1910-1919 nauczyciel, m.in. dyrektor gimnazjum litewskiego w Wilnie. Wydalony z Wilna przez władze polskie z grupą Litwinów w styczniu 1922. W latach 1924-1929 pracował w dyplomacji. Wieloletni wykładowca w Uniwersytecie Kowieńskim (1924-1939) i Wileńskim (1945-1948).

być specjalnym organem, który ma ogarniać całą sprawę wileńską, czuwać nad nią i kierować nią. Do niej będą należały wszelkie układy litewsko-polskie, zapoczątkowane w Warszawie, akcja porozumiewawcza społeczna z Wilnem, ustalanie planu polityki litewskiej w sprawie Wilna, w ogóle wszystko to, co się wiąże ze sprawą Wilna i może doprowadzić do odzyskania go. Byłoby to więc czymś w rodzaju osobnego Departamentu do sprawy Wileńskiej, ale ponieważ ze względu na zagadnienia narodowe, które się z tym łączą, kierownictwo tego organizmu ma być kolegialne w ten sposób, aby wszystkie narodowości w nim uczestniczyły, i ze względu na to, że nie wiadomo, do jakiego ministerium można by taki departament nawiązać, tym bardziej, że formalnie nawiązanie takiego organu do jakiegoś ministerium byłoby obniżeniem jego wagi, postanowiono nazwać ten organ komisją i utworzyć ją przy Prezydium Rady Ministrów. Purycki powiada jednak, że faktycznie Komisja ta będzie w najbliższym kontakcie z nim, to znaczy z Ministerium Spraw Zagranicznych, co jest, po pierwsze, słuszne, bo sprawa Wilna rozstrzyga się dziś przeważnie na gruncie międzynarodowym i łączy się ściśle z akcją dyplomatyczną, a po wtóre, jest dobrym dlatego, że Purycki dziś bodaj najwięcej ze wszystkich ministrów gabinetu litewskiego usposobiony jest w sprawie wileńskiej ugodowo, rozumiejąc, że Litwa sprawę tę przesądzić może na swoją korzyść li tylko na drodze kompromisu i porozumienia pojednawczego z ludnością spornej dzielnicy. Komisja ta będzie centralizować całą litewską akcję wileńską i wiązać planowo poszczególne jej elementy, aby, słowem, wytworzyć i realizować program sprawy wileńskiej tak sferze akcji dyplomatycznej, jak polityki wewnętrznej. Idea tej Komisji jest b. pokrewna temu, co projektowałem ja latem w moim programie polityki wschodnio-litewskiej, referowanym przeze mnie w polskim Biurze Informacyjnym i w odczycie sierpniowym. Litwini wtedy, obecni na moim odczycie , nie zwrócili uwagi na mój projekt programu, a wiceminister spraw zagranicznych Klimas, któremu Purycki dał mój referat do przejrzenia, zganił go jako podejrzany o polonofilstwo i o separatyzm. Polskie Biuro Informacyjne wtedy z pewnymi modyfikacjami mój program przyjęło i oparło się na nim w swoich zabiegach wobec rządu, które jednak, zostały przez rząd, za sprawą nawet głównie tegoż Puryckiego, który bardzo się od tego czasu w tej kwestii zmienił, całkowicie zlekceważone. W moim ówczesnym projekcie programu jednym z głównych elementów było utworzenie w łonie gabinetu ministrów specjalnego na czas przejściowy Ministerium dla spraw Litwy Wschodniej, które by centralizowało cały zarząd kraju i całą politykę w dzielnicy do czasu ustalenia jej stosunku do państwa na zasadach wysłuchania życzeń ludności. Tworzona obecnie Komisja Rządowa do spraw Litwy Wschodniej jest w założeniu bardzo memu projektowi letniemu bliska. Ja mam być powołany do tej komisji jako Polak. Litwin powołany będzie w osobie Wacława Biržiški. Wolałbym wprawdzie, aby to był Michał Biržiška, człowiek rozumny, wódz idei pojednawczej w społeczeństwie litewskim i cieszący się wielkim uznaniem i zaufaniem Polaków. Ale Michał Biržiška jest w Wilnie i jest tam niezmiernie potrzebny. Wacław, człowiek w gruncie słaby i chwiejny, dość nerwowy, trochę skompromitowany przeszłością bolszewicką w r. 1919, przypuszczam, że będzie szedł po linii swego brata Michała. Michał Biržiška jest wodzem całej rodziny Biržišków, a przeto Wacław nie przeciwstawi się zapewne jego linii i kierunkowi. Wybór Żyda i Białorusina jeszcze nie ustalony. Purycki chce, aby komisja zaczęło jak najprędzej działać, nie czekając na uzupełnienie jej składu nominacją Żyda i Białorusina (Żyd i Białorusin mają być z Wilna). Jutro mamy z Biržišką się zebrać na pierwszą konferencję z Puryckim i Griniusem. Purycki ma mi dać wszystkie dokumenty i akta, dotyczące dotychczasowej akcji politycznej i dyplomatycznej w sprawie wileńskiej, bym się ze stanem sprawy dokładnie zapoznał. Uważa on, że ponieważ największe trudności w sprawie wileńskiej płyną ze strony

polskiej, więc moja praca i rola w komisji będzie wymagała wysiłku i pracy. Nie ma oczywiście mowy o jeździe mojej na sesję sądową do Telsz. Co więcej – Purycki stwierdza konieczność wycofania się mego z sądu, abym się mógł oddać całkowicie i wyłącznie zadaniom i pracy tej komisji. Ano – szczęść i dopomóż Boże! Odważam się na to. Czuję i rozumiem, że to zadanie wielkie i bardzo odpowiedzialne, przed którym chwilami strach mię ogarnia. Ale kto się nie odważa – ten nie dokona niczego, a toć przecie marzenie i idea całego mego życia. Skojarzyć Litwę szczęśliwą ludową ze stolicą w Wilnie, Litwę, która będzie sprawiedliwą dla wszystkich synów i miłością ich ogarnie jak matka – do tego tęskno mi zawsze i tego pragnę. Czy podołam – nie wiem. Zadanie – trudne, przeszkody – wielkie, a z pewnością i zła wola przeciwników z obydwóch stron ścigać mię będzie nieraz. Ale bez ofiary i wysiłku – nie ma plonu, a któż, jak nie ja, może sobie pozwolić na to, by go nawet szkalowano i rzucano kamienie pod nogi, skoro w sumieniu moim jestem spokojny i przekonany. Wszak życie moje jest dla mnie tylko warte mojej idei. Co jej służy – to winienem czynić. Osobistych względów już się moje życie wyzbyło.

10 stycznia, rok 1921, poniedziałek
Taka pogoda, pełna deszczu, mgły i błota, trwająca od szeregu dni bez widoków zmiany, może wreszcie wszelkie usposobienie skruszyć. Już to nie do wytrzymania. Wreszcie już i ja jej uległem i czuję się zniechęcony, pełny jakieś niewiary i depresji. Potrzeba mi słońca i suszy, potrzeba dnia pięknego pogody, aby mię dźwignąć i wiarę moją wskrzesić. Wstąpienie do tej komisji do spraw wschodnich niepokoi mię. Muszę się krzepić, muszę sięgać głęboko w same źródła moich przekonań, w samo jądro ofiarności mojej, aby wykrzesać odwagę do tej nowej pracy. W takiej chwili wpływy atmosferyczne niepogody, działające depresyjnie na psychikę, osłabiające wolę i mącące wszelkie barwy uczuć i myśli – fatalnie pogarszają usposobienie. Wszystko mi się wydaje czarne i beznadziejne, smutne i jałowe, jak ten deszczyk podły, ta mgła zgniła, to błoto. Komisja do spraw wschodnich, organ Litwy Wileńskiej, który ma służyć odzyskaniu Wilna i spojeniu go z Litwą! Piękna to rzecz – bez wątpienia. Dążenie, które było zawsze moim i któremu nigdy hołdować nie przestałem!
Ale dążenie i cel nie dadzą się pomyśleć bez środków i dróg. Wchodząc do tej komisji, przyjmuję na siebie odpowiedzialność za metody i za drogi, którymi Litwa dążyć będzie do zrealizowania tej sprawy. Realizować posiadanie Wilna zapanowaniem, wygraniem spekulacyjnym li tylko jakichś kombinacji międzynarodowych czy politycznych i narzucaniem Wilnu jednostronnej woli Litwy Kowieńskiej – to uważam za rzecz nietrwałą, nie prowadzącą do celu i zasadniczo niesprawiedliwą, na którą się zgodzić nie mogę. Rozumiem stosunek li tylko na drodze porozumienia; na drodze uszanowania praw Wilna do równorzędności w budownictwie państwowym Litwy. Mój akces do tej pracy opieram na stwierdzeniu przez Puryckiego takiegoż pojmowania dróg i na nadziei, że w Wacławie Biržišce, który będzie przewodniczącym w tej komisji i łącznikiem między nią a rządem, znajdę takież zrozumienie sprawy. Komisja nie opiera się na przesądzonym programie, który ma się Wilnu narzucić, i nie ma za zadanie wyszukania li tylko sposobów narzucania programu jakiegoś Wilnu i zdobycia go dla Litwy. Za podstawę przyjęta jest teza, że tylko porozumienie doprowadzi do trwałego odzyskania Wilna i że przeto zadaniem komisji jest tego porozumienia wytworzenie. Odpowiada to memu pojmowaniu w zupełności i dlatego staję do apelu. Ale skądinąd któż mi zaręczy, że tak rozumieć będzie i zechce społeczeństwo litewskie w masie swojej i frakcje większości sejmowej. Pomimo wszelkie zapewnienia Puryckiego, nie widać dotąd w prasie litewsko-kowieńskiej i w przeciętnej opinii litewskiej innego traktowania Wilna, niż szablonowe domaganie się własności swojej, to znaczy prawa do

zapanowania. Gdybym miał pracować w tej komisji tylko dodatkowo, pozostając w sądzie, mniej by mię ona wiązała. Ale skoro mam dla niej zerwać z sądem i oddać się jej całkowicie, niepokój mię ogarnia. Przyjmuję na siebie odpowiedzialność za jej akcję, mam pokrywać sobą jej działalność, a nie jestem pewny, czy presja opinii litewskiej i dążenia frakcji większości sejmowej, którym jednak musi ulegać rząd, nie wywrą takiej presji na tę akcję komisji, że spaczą ją i zepchną na tory innych zgoła od założonych – dróg i metod. Wchodzę do pracy tej i boją się, bo nie jestem pewny, czy będę w stanie moją linię w niej prowadzić. A od linii tej odchyleń nie mogę akceptować. Ale skądinąd czuję, że mi się usuwać nie godzi, skoro jakiekolwiek szanse są, bo beze mnie akcja się tym rychlej spaczy. Jestem prawie jedyny – jeżeli nie liczyć Michała Biržiški – który może stać się *leaderem* porozumienia między Litwą polsko-wileńską a litewsko-kowieńską i nie wolno mi się uchylać od odpowiedzialności, dopóki są jakiekolwiek szansa zwycięstwa słusznej sprawy. Ciężko mi, ale trzeba się odważać dźwigać rzeczy ciężkie, bo lekkie – dźwignie byle kto.

11 stycznia, rok 1921, wtorek
Wolę jednak nie wycofywać się z Sądu Okręgowego. Stanowisko członka Sądu Okręgowego ma bądź co bądź swoją wagę społeczną i daje większą niezależność, niż stanowisko zwykłego urzędnika państwowego, choćby wyższego. Nie chcę tych atutów stałych tracić, tym bardziej, że komisja, do której mam należeć, ma charakter wybitnie polityczny. Pomimo że rząd (a właściwie Purycki, bo ten jest głównym inicjatorem całej akcji wileńskiej) udziela tej komisji dużą autonomię i inicjatywę w zakresie jej zadań, to jednak zawsze jest ona organem politycznym rządu i ulega jego kontroli. W charakterze członka tej komisji jest się urzędnikiem politycznym, politycznym agentem rządu. Ta zależność polityczna jest tu podwójna, bo raz zależy wraz z całą komisją od rządu, a drugi raz zależy wewnątrz od składu osobistego jej kolegium. W sferze politycznej, przynajmniej dla mnie, zależność jest zawsze najprzykrzejszą i najbardziej krępującą. Jeżeli się wycofam z sądu i będę li tylko członkiem tej komisji, zależność ta i skrępowanie uwydatni się w całej pełni, czego bym właśnie pragnął uniknąć, nawet dla samej powagi, a może i skuteczności mojej roli w tejże komisji. Jeżeli zaś pozostanę członkiem Sądu Okręgowego, to stanowisko to będzie samo przez się nadawało mi większą niezależność na zewnątrz i wewnątrz komisji. Będę w niej pracował swobodnie, nie tracąc nic z mojego zasadniczego niezależnego stanowiska. Choć Purycki uważał, że należy mi się z sądu wycofać, aby móc całkowicie i wyłącznie poświęcić się komisji, jednak sądzę, że się to da pogodzić. Rozmowa dzisiejsza z prezesem sądu Mačysem utwierdza mię w tym przypuszczeniu. Mačys prosił mię, abym się z sądu nie wycofał, że będzie się liczyć z moją pracą pozasądową w komisji i zawsze uwzględni pierwszeństwo tamtej roboty przy wyznaczaniu mi pracy w sądzie. Mówił, że mogę moją pracę w sądzie ograniczyć do udziału w jednej sesji sądowej co tydzień. Przypuszczam, że to mię nie przeciąży, bo zresztą tymczasem nie widzę takiego nawału roboty w tej komisji. Przyszłość to pokaże, ale na razie z sądu się jeszcze nie wycofuję. Tymczasem, zostawieni sami sobie, nie wiemy jeszcze dobrze z Wacławem Biržišką, co mamy robić. Jesteśmy trochę jak dwie błędne owce, które nazwano komisją. Spotykamy się z Biržišką, pogadamy i rozchodzimy się. Biržiška zajął się opracowaniem tablic statystycznych zaludnienia Wileńszczyzny, ale poza tym nie bardzo wie, co przedsięwziąć. Tupczemy na miejscu, ale to działalnością nie jest. Rozumiem, że trzeba prowadzić dalej zainicjowaną w Wilnie akcję porozumiewawczą polsko-litewską, którą chcę forsować dalej, zdaję sobie sprawę, że trzeba będzie przedsięwziąć akcję, nawiązać kontakt ścisły z Wilnem dla działania tam, porozumieć się w pierwszym rzędzie dokładnie z Michałem Biržišką w Wilnie, ponieważ cała akcja

wileńska na zasadach porozumienia wypłynęła z jego inicjatywy i ponieważ on jest tym człowiekiem-osią, który od dwóch lat usiłuje nawiązywać nici łączności Wilna z Litwą i wytwarzać atmosferę, warunki i akcję po temu. Być może, że za parę dni pojadę sam do Wilna. Rozumiem też, że dla większej skuteczności zainicjowanej akcji porozumiewawczej wileńsko-kowieńskiej, aby wytworzyć pomyślniejszą dla niej atmosferę, należałoby wyzyskać pewne złagodzenie antypolskiego kursu politycznego w wewnętrznych stosunkach Litwy Kowieńskiej, a przynajmniej wykazać dobrą wolę rządu w tym kierunku przez niektóre posunięcia, mogące czynić dobre wrażenie na krajową opinię polską. W tej kwestii nawiązałem kontakt z Kazimierzem Janczewskim, *leaderem* politycznym polskim w Kownie; szkoda tylko, że jest związany z obszarnikami i że ci wszędzie stoją na jego czele, co społecznie utrudnia zrozumienie potrzeby ustępstw ze strony demokracji litewskiej. Nie wiem jeszcze, czy pod tym względem uda mi się coś uzyskać, a uważałbym to za rzecz pożądaną. Gruntu jeszcze pod tym względem nie zbadałem. Duże też znaczenie będzie miało to, kto z Białorusinów z Wilna wejdzie w skład naszej komisji. Mój wyjazd do Wilna byłby w chwili obecnej bardzo pożądany. Chodziłoby tylko o pobyt parodniowy.
Wacław Biržiška ma wielką rację, mówiąc, że wielkim brakiem dla wytworzenia porozumienia jest to, że ruch społeczny litewski i białoruski jest w Wileńszczyźnie tak zaniedbany. Istotnie, choć w ludzie jest tam i element litewski, i zwłaszcza silny białoruski, jednak ruch społeczny jest rozwinięty tylko polski, co mu daje monopol akcji, bo masy ludowe kierują się jednak przeważnie względami społecznymi i ruch czysto nacjonalistyczny bez zróżniczkowania społecznego, operujący hasłami tylko narodowymi i państwowymi, większej atrakcji dla mas nie przedstawia. Element ludowy, który mógłby być podłożem dla akcji społecznej litewskiej czy białoruskiej, dziś przeważnie mieści się w szrankach rozwiniętego społecznie ruchu polskiego, dając mu moc ponad jego wagę narodową i pozory monopolu narodowego. Bo złożyły się na to liczne warunki, przeważnie niezależne od woli Litwinów i Białorusinów. Ruch społeczno polski rozwinął się wciągu dwóch lat ostatnich, które Polakom dało warunki uprzywilejowane.
Niewątpliwie, że gdyby Polacy nie posiadali w Wileńszczyźnie monopolu ruchu społecznego, wpływałoby to dodatnio i na porozumienie kowieńsko-wileńskie obecnie. Wacław Biržiška zarzuca nawet Michałowi Biržišce to, że w swojej akcji zeszłorocznej w Wilnie dawał nadmierną przewagę kierunkowi państwowemu nad społecznym, zaniedbując ten ostatni.

12 stycznia, rok 1921, środa
Jadę więc jutro do Wilna. Mamy tam być króciutko. Nazywa się, że pobyt ma trwać zaledwie kilka godzin, ale, jak przypuszczają znający się na rzeczy, potrwa co najmniej dzień, jeżeli nie dwa. Podróż odbędzie się pociągiem, który ma odejść z Kowna jutro o godz. 7 rano pod flagą francuską (towarzyszy pociągowi kapitan Pujol). Pociąg ten odwozi powracających do Wilna uchodźców wileńskich.
Zobaczę się w Wilnie z Michałem Biržišką, z Zygmuntem Jundziłłem, dowiem się w sprawie przyjazdu Wilnian do Kowna itd. Jednocześnie co do spraw prywatnych, zobaczę się z Marynią, która tam już jest prawdopodobnie, i przynaglę ją do wyjazdu do Bohdaniszek, a może uda się ją nawet tymże pociągiem przywieźć. Co do oczekiwanego przyjazdu Wilnian do Kowna dla zainicjowanej akcji społeczno-porozumiewawczej, to słyszałem już dziś od p. Felicji Bortkiewiczowej, która w ubiegłym tygodniu jeździła do Wilna i między innymi zawiozła owo zaproszenie „Odrodzeniu” od ludowców litewskich z Kowna, że Wilnianie już się gotują do

przyjazdu do Kowna w najbliższym czasie i że oprócz delegatów PPS-u i „Odrodzenia" mają przyjechać także delegaci od demokratów.
Czytałem dziś w Ministerium Spraw Zagranicznych pierwszą część sprawozdania delegacji litewskiej z rokowań polsko-litewskich warszawskich. Ze strony polskiej kierował obradami minister spraw zagranicznych Eustachy Sapieha, delegacja litewska składała się z dr Staugaitisa jako przewodniczącego, Zygmunta Žemaitisa[273], młodego socjalista Digrysa[274] i pewnego księdza. Formalnie dotąd rokowania te przerwane nie zostały, bo dr Staugaitis i ksiądz przyjechali do Kowna dla sprawozdania i po instrukcje dalsze, a Žemaitis i Digrys jeszcze czekają na ich powrót w Warszawie. Czytając sprawozdanie delegacji, ma się wrażenie, że przeszkoda do układów jest tylko ze strony polskiej. Delegacja litewska skonkretyzowała swoje propozycje w 12-stu punktach, które, moim zdaniem, idą daleko w kierunku ustępstw i gwarancji dla Polaków w stosunkach i budowie wewnętrznej Litwy; pod tym względem chyba już bardzo niewiele mogliby Polacy jeszcze żądać od Litwinów, a szczegółowe omówienie tych punktów mogłoby dać formuły obustronnie zadowalające. Pewna luka w propozycjach litewskich może być ze stanowiska polskiego dostrzeżona tylko w stosunku Litwy do Polski. Ale Polacy czynią wrażenie uchylających się od rokowań. Bo, aby rokować – trzeba albo dyskutować propozycje litewskie, albo sformułować własne kontrpropozycje. Polacy zaś nie czynią ani tego, ani tego: gadają, wracają wciąż do plebiscytu, jakby myśleli nim zastraszyć Litwinów, zamykają się w sferze frazesów i ogólników albo jakichś detali szczegółowych, a *in meritum* wysuwając tylko federację jako tezę zasadniczą: zdawałoby się, że chcą Litwinów sforsować na federację i dopiero po tym sforsowaniu zasadniczym rozpoczynać rokowania na zasadzie federacji. Oczywiście, że nie byłaby to żadna federacja, jeno przyjęcie przez Litwę z góry podporządkowania się Polsce. Na rezygnację jednak z suwerenności Litwy Litwini pójść nie mogą. Kto tego od nich żąda – ten nie chce rokowań z Litwinami, jeno chce zgwałcenia ich. Do tego rodzaju ludzi należy właśnie Sapieha, który w sprawie Litwy jest rzecznikiem „federacji". Pojmuję on tę federację właściwie jako wznowienie historycznej unii. Osoba Sapiehy i jego koncepcja jest wielką przeszkodą do likwidacji sporu na drodze rokowań. Obawiam się jednak, że Sapieha w tym odpowiada dążeniom Piłsudskiego.
Zdaje się być wielka analogia między metodami, jakimi w w. XVI Zygmunt August i panowie polscy realizowali Unię Lubelską Litwy z Polską, a metodami, których Polska używa obecnie do „sfederowania" Litwy ze sobą. Wiadomo, że Unia Lubelska nie była spontanicznym aktem dobrej woli i miłości obydwóch stron i że słowa o miłości i braterstwie dwojga Narodów w akcie Unii były w dużym stopniu frazesem retorycznym, stylizacją aktu. Unia była wytwarzana przez szereg lat i aktów. Ze strony litewskiej był stawiany energiczny opór, który Polska przełamywała systematycznie, stawiając Litwę wobec faktów dokonanych jej opozycją niepodległościową, odrywając od niej dzielnice, aż wreszcie wymusiła na Litwie Unię. Dziś powtarza się to samo i w gruncie tymiż metodami. Różnica jest tylko ta, że gdy wtedy opór litewski realizowali magnaci, dziś realizuje go lud i nade wszystko inteligencja ludowa na zachodnim skrawku b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego. Jakiż był owej Unii ze stanowiska litewskiego skutek! Oto ten, że większa część Litwy katolickiej została wchłonięta

273 Zygmunt Žemaitis (1884-1969), matematyk, profesor Uniwersytetu Kowieńskiego oraz rektor Uniwersytetu Wileńskiego w latach 1946-1949. 1918-1919 organizator szkolnictwa wyższego na Litwie.

274 Stasys Digrys (1886-1959), ekonomista, działacz społeczny i socjaldemokratyczny. Poseł Sejmu Ustawodawczego, członek frakcji socjaldemokratycznej. Współtwórca i przewodniczący Litewskiego Banku Kooperacyjnego. Członek Rady Banku Litewskiego. Lektor Wyższych Kursów Naukowych w Kownie.

przez Polskę i spolonizowana tak, że dziś, gdy dzieje polskich usiłowań sforsowania unii się powtarzają, opór litewski, który niegdyś ogarniał ogromną przestrzeń państwa litewskiego, dziś skurczył się do malutkiego już skrawka odrębności Narodu. Wileńszczyzna z prastarą stolicą Litwy jest już dziś narzędziem zniewolenia Litwy przez Polskę i w usiłowaniach Polski gra tę rolę, którą w przygotowaniach do Unii Lubelskiej grało Podlasie. Jakże się dziś Litwa nie ma bronić przeciwko ponawiającym się usiłowaniom Polski sforsowania jej na unię czy federację, jakże ma kłaść głowę w jarzmo dobrowolnie?! Jeżeli skutkiem Unii Lubelskiej było wytrawienie żywej idei niepodległości i Narodu z ogromnej większości kraju, to nowa unia czy federacja spowodowałaby wyniszczenie tej idei i z tego ostatniego skrawka, na którym ona jeszcze się przechowała – a więc śmierć polityczną Litwy, a w najlepszym razie sprowadzenie jej na poziom Bretanii. Sam instynkt samozachowawczy zmusza Litwinów do obrony za wszelką cenę od narzucanej „federacji”.

13 stycznia, rok 1921, czwartek
Wstałem raniutko, o godz.5 i na godz. 6 byłem na dworcu kolejowym. Zastałem już tam gromadę uchodźców wileńskich, których mamy tym pociągiem dowieźć do Wilna. Są to prawie wyłącznie Żydzi, który uciekli w październiku z Wilna do Kowna w chwili wkraczania do Wilna wojsk Żeligowskiego. W tej liczbie jest mnóstwo młodych Żydków, z których niejeden z pewnością ma na sumieniu czynny udział w rewkomie wileńskim lub innych instytucjach bolszewickich z czasów lipcowej inwazji bolszewików do Wilna[275]. Uciekali oni z Wilna, bojąc się pogromów ze strony polskiej albo zemsty za ich bolszewicką przeszłość, gdyby się ona wykryła. Toteż nasz pociąg zawierać będzie ładunek Żydów, których Kowno z wielką chęcią zwraca Wilnu, nie tylko dlatego, że nadmiar tych uchodźców ogromnie obciąża trudną sprawę mieszkaniową w Kownie, ale też dlatego, że Kowno w istocie niechętnie patrzy na ten balast bolszewicki u siebie, którego się z radością pozbędzie, tym bardziej, że tenże balast na gruncie wileńskim z niebezpiecznego w Kownie staje się tam Litwinom użytecznym jako popierający w wileńskim sporze polsko-litewskim sprawę litewską przeciwko polskiej. Ujemny więc i niepożądany dla Litwinów w Kownie, staje się on dla nich w Wilnie pomocnym. Ale dla tych samych przyczyn ładunek ten jest mniej miły dla strony polskiej w Wilnie. Litwini, jadący ze mną tym pociągiem, z zadowoleniem przyjmowali fakt wywożenia tych uchodźców żydowskich z Kowna. Biedny to nieszczęśliwy naród – ci Żydzi na wschodzie. Nikt ich nie kocha i każdy się cieszy, gdy ich ubywa u niego. Każdy się ich pozbywa z radością. Jakieś smutne przekleństwo dziejowe ciąży nad nimi. Nawet ci, który dla przejściowych względów polityki liczą się z Żydami i mają ich w danej chwili za sprzymierzeńców, w istocie są im głęboko niechętni, jak to ma miejsce z Litwinami.
Wkrótce załadowano uchodźców i jeden po drugim przybywać zaczęli ci Litwini, jadący tymże pociągiem za rozmaitymi poszczególnymi interesami, nie w charakterze uchodźców. Jadą oni bądź pod pozorem członków delegacji dla wymiany uchodźców, bądź też pod pozorem urzędników, jadących po swoje rodziny, pozostałe w Wilnie. Oprócz tego, jedzie delegacja kolejarzy dla wypłaty zaległej pensji kolejarzom w Wilnie, którzy służyli za czasów bolszewickich. Pociąg idzie pod flagą francuską pod kierunkiem członka misji francuskiej w Kownie – kapitana Pujola. Pociąg składa się z ogrzewanych wagonów towarowych („tiepłuszek”) i jednego klasowego wagonu osobowego dla osób w charakterze urzędowym. Towarzystwo nasze w oddziale wagonu składało się z jednej strony z grupy złożonej z kapitana Pujola i dwóch

275 Chodzi o inwazję bolszewicką na Wilno 14-15 lipca 1920 r.

arystokratycznych panien – Rosjanki panny Gołowlew i Polki p. Węcławowiczówny z Narun, córki Zygmunta Węcławowicza[276], które się trzymały osobno, a z drugiej strony – grupy litewsko-inteligenckiej, z którą i ja się trzymałem. Byli tam z Litwinów: p. Żmujdzinowiczowa[277], Pius Adamowicz, Jasinkiewicz[278], bardzo ładny i pełny wdzięku oraz wyrazu młody człowiek o oczach barwy jasno-niebieskiej, miły, grzeczny i zaradny, dalej muzyk Stanisław Šimkus[279], pełny humoru i temperamentu, dalej literat Vincas Krėvė-Mickiewicz[280] i oto bodaj wszystko. Z nich tylko Adamowicz był właściwie do spraw uchodźców przeznaczony. Pociąg odszedł zaraz po 7-mej. W Koszedarach[281] staliśmy dłużej, bo nadeszła depesza od Dyrekcji Kolejowej z Kowna, by pociąg nasz zatrzymać do dalszych zarządzeń. Ale tu zainterweniował Pujol, który, nie chcąc siedzieć w Koszedarach i nie mogąc się dowiedzieć przez telefon o przyczynach zwłoki, polecił puścić pociąg na osobistą odpowiedzialność, oświadczając, że gdyby po przekroczeniu linii demarkacyjnej okazały się jakieś trudności czy przeszkody, on się je podejmuje usunąć. Udaliśmy się więc w dalszą drogę. Przejechaliśmy Jewje, linię demarkacyjną litewską, przesunęliśmy się przez bezpańską zonę neutralną, dotarliśmy do wioski Rykonty[282] po stronie polskiej (środkowo-litewskiej), gdzie zostaliśmy zatrzymani. Okazało się, że miejscowe władze wojskowe polskie, strzegące linii, nic o przybyciu naszego pociągu nie wiedziały i żadnych instrukcji nie otrzymały. Byliśmy w pozycji takiej, że nie pozwolono nam ani ruszyć naprzód, ani się cofnąć na stronę litewską. Pujol porozumiewał się przez telefon z Wilnem, ale niewiele mógł wyjaśnić. Przez dłuższy czas zachodziła obawa, że ostatecznie nas do Wilna nie puszczą wcale, bo pomimo pierwotnego układu o pociągu, władze wojskowe wileńskie zapewne zaoponowały przeciwko temu, nie życząc napływu Żydów, i że będziemy zmuszeni wrócić. Wreszcie wszakże przybyła z Wilna specjalna „komisja” z defenzywy dla zbadania dokumentów i po długich ceregielach puszczono nas do Wilna. Staliśmy w Rykontach od godz. 12 ½ po południu do godz. 11 nocy. Przez ten czas Pujol z pannami siedział w Rykontach u oficera polskiego zajadając obiad, pijąc herbatę i bawiąc się rozmową towarzyską i grą w karty i ani zajrzał do nas, ani się potroszczył o transport, który na terytorium środkowo-litewskim był formalnie pod jego opieką, pomimo że nędzarze uchodźcy byli głodni i zziębnięci i że były matki z niemowlętami, które nie miały dla nich pokarmu ani z ubrania nic ciepłego. Wywołało to w pociągu większe oburzenie na Pujola, tym ostrzejsze u Litwinów – i Żydów zapewne – że drażniło wyraźne wyróżnienie w sympatiach Pujola Polaków nad Litwinami.

14 stycznia, rok 1921, piątek

276 Zygmunt Węcławowicz, ziemianin, właściciel dobra Naruny (Noriūnai) w powiecie poniewieskim, gminy Subocz, parafii Kupiszki. Syn Henryka Węcławowicza.

277 Maria Putwińska Żmujdzinowiczowa (1877-1959), dentystka, działaczka społeczna. Jedna z założycieli Litewskiego Towarzystwa Sztuki w r. 1907 w Wilnie. Była członkinią Zarządu tego Towarzystwa do samego jego zamknięcia w Kownie w 1928 r. Działaczka kobiecej organizacji szaulisów, członkini Rady tej organizacji, w latach 1935-1936 – prezes. Żona wybitnego malarza litewskiego Antanasa Žmujdzinavičiusa (1876-1966). Koleżanka M. Römera z czasów paryskich.

278 Jasinkiewicz, współtowarzysz podróży M. Römera z Kowna do Wilna w styczniu 1921 r.

279 Stanislovas Šimkus (1887-1943), muzyk, dyrygent, działacz społeczny.

280 Vincas Krėvė-Mickevičius (Mickiewicz, 1882-1954), pisarz, prozaik, dramaturg, literaturoznawca, wydawca pieśni litewskich, aktywny też w życiu politycznym. Od 1922 r. był profesorem historii literatury Uniwersytetu Kowieńskiego. Redagował wiele pism literackich. W latach 1941-1944 – prezes litewskiej Akademii Nauk. W 1944 r. wyemigrował z Litwy. Zmarł w USA.

281 Koszedary (Kaišiadorys), miasto w powiecie trockim, stacja kolejowa.

282 Rykonty (Rykantai), miasteczko w powiecie trockim, stacja kolejowa.

Pociąg nasz przyszedł do Wilna o północy. Nie wiedząc, czy Marynia jest w Wilnie i czy nasze mieszkanie w domu Wołodkowicza na Ofiarnej nie jest już może zlikwidowane, zanocowałem w hotelu „Italia”.[283] U Maryni byłem dziś rano. Zastałem ją w Wilnie. Wybiera się do Bohdaniszek, ale jeszcze ze mną tym pociągiem nie pojedzie. Ma wyjechać z Wilna dopiero za jakichś dni 10, stosownie do okazji, jaka się w tym czasie trafi. W każdym razie, wybiera się do Bohdaniszek na czas dłuższy, na jakiś rok mniej więcej. Spodziewam się, że gdy zasmakuje w Bohdaniszkach, to już może nie zechce ich w ogóle opuścić. Myśli o wzięciu Bohdaniszek w dzierżawę na rok jeden, to jeszcze w tym roku z pewnością wspólnej gospodarki nie zlikwidujemy. Byłoby to doskonałe i z całej siły popierać będę ten projekt, ustępując Maryni dzierżawę na najdogodniejszych warunkach. Na dzierżawie wyjdzie dobrze, bo jest bardzo pomysłowa, zaradna, pełna inicjatywy i pracowita, a dla Bohdaniszek będzie to opieka doskonała.
Jednym z głównych zadań mojego przyjazdu do Wilna było poinformowanie się co do skutków naszej inicjatywy grudniowej i w szczególności ustalenie konkretne szczegółów oczekiwanego przyjazdu Wilnan do Kowna dla akcji porozumiewawczej. Przed wyjazdem słyszałem od p. Felicji Bortkiewiczowej, która niedawno była w Wilnie, że „Odrodzenie” i socjaliści gotują się już do jazdy do Kowna. Zaproszenie od ludowców kowieńskich „Odrodzenie” już otrzymało. Sądziłem więc, że chodzi tylko o ustalenie szczegółów wykonania podróży. Wszakże od razu od pierwszych rozmów w Wilnie przekonałem się, że rzecz jest o wiele bardziej skomplikowana. W Wilnie rozpoczęła się kampania przedwyborcza do Sejmu. Wprawdzie dla różnych przyczyn nie można jeszcze być pewnym, czy w ogóle do Sejmu tego dojdzie, bo są różne komplikacje i wskazówki pośrednie na to, że jeszcze sprawa wileńska wejść może na zupełnie inne tory i że w pewnych warunkach sama Polska może sprawę Sejmu w Wilnie ubić, szczególnie jeżeli w pewnym momencie spostrzeże, że wybory nie idą po linii aneksyjnej – ale tymczasem technika wyborów już została mechanicznie w ruch wprowadzona i kampania się rozpoczęła. Wybory znowu odroczone zostały – tym razem na 6 lutego. Do walki stają głównie następujące czynniki: prawica jaskrawie aneksyjna, połączona w solidarnym „Centralnym Polskim Komitecie Wyborczym”, w którego akcji łączą się wszystkie żywioły endeckie, chrześcijańsko-demokratyczne i pokrewne im, następnie „Odrodzenie”, z którym połączyli się dla wyborów demokraci, dalej socjaliści polscy (PPS) i wreszcie komuniści. „Straż Kresowa”, o której coraz bardziej wszyscy stwierdzają, że wpływy jej maleją stale na rzecz „Odrodzenia”, do wyborów samodzielnie nie staje. Zresztą w stanowisku „Straży Kresowej” konsoliduje się podobno znów kierunek zdecydowanie aneksyjny i organizacja ta poprze ostatecznie na wyborach prawicę. O „Odrodzeniu” trzyma się mocno opinia jako o stronnictwie, rosnącym wprost żywiołowo i mogącym odegrać na wyborach ogromną rolę. Ferment „Odrodzenia” w ludowych masach chłopskich kipi. Niektórzy liczą, że „Odrodzenie” na wyborach może zdobyć nawet większość, choć zdarzają się i głosy pesymistyczne z samychże kół sympatyków ruchu. Prawica liczy głównie na potężne wpływy kleru i na środowisko drobnoszlacheckie. Najsilniejsze podobno są pozycje prawicy i czystego programu aneksyjnego w najbliższym pasie linii demarkacyjnej litewskiej, to znaczy w cząstce pow. trockiego, w wileńskim i w części święciańskiego. O wpływach i szansach wyborczych PPS opinie są podzielone. Sami PPS-owcy liczą na zdobycie jakichś 10% mandatów, a mianowicie 3-4 w Wilnie i po jakimś jednym w okręgach wiejskich; inni nie wróżą PPS-wi ani jednego mandatu poza Wilnem. Faktem jest, że w kampanii przedwyborczej prawica dotąd nie zwraca wielkiej uwagi na PPS, a natomiast uderza

283 „Italia”, hotel w Wilnie na ulicy Wielkiej.

wściekle na „Odrodzenie", upatrując w nim najniebezpieczniejszego przeciwnika. Co do komunistów, to podobno szanse ich, ewentualnie poza samym Wilnem, są większe w powiatach wschodnich i południowych, gdzie zaczyna się już ludność prawosławna, gdzie największa jest niechęć do Polski i gdzie w ogóle zarówno sąsiedztwo bolszewików, jak większa anarchia w pojęciach i kulturze ułatwia siłę prądów rozkładowych. Zdaje się, że na akcji komunistów połączą się w ogóle wszystkie żywioły niechętne Polsce, a w szczególności Żydzi i Białorusini, którzy pod własnym sztandarem do wyborów nie stają, bojkotując je formalnie. Kampania wyborcza rozpoczęła się w sposób niezwykły. Choć na razie partie ustalają dopiero swoje pozycje i kampania jest jeszcze w okresie właściwych przygotowań do walki, ale już namiętności kotłują wściekle. Nienawiść między partiami, zwłaszcza prawicą i „Odrodzeniem", jest szalona i zieje najdzikszymi metodami walki, nie cofając się przed już nie tylko oszczerstwem, ale wszelkim gwałtem aż do bójki na pięści włącznie. Ton polemik prasowych jest wściekły. Tyle jadu, nienawiści, szkalowania, niesumiennych oskarżeń, podłego ogłupiania mas demagogiczną agitacją (zwłaszcza na prawicy) nie daje się z niczym porównać. Na wiecu „bezpartyjnych" w niedzielę obity został przez tłum z udziałem nawet prezydium – Helman za to, że oponował przeciwko kłamliwemu stwierdzeniu przez prezydium jednogłośności uchwały o przyłączeniu do Polski i usiłował dostać się na trybunę, by uzasadnić, co go różni od powziętej uchwały.

15 stycznia, rok 1921, sobota
Zanim jeszcze wczoraj zwróciłem się do „Odrodzenia", już z otrzymanych informacji zrozumiałem, że kampania wyborcza do Sejmu tak pochłonie wszystkie stronnictwa, stające czynnie do niej, iż wszelkie inne sprawy chwilowo idą na bok, choćby nawet w zasadzie były nie mniej ważne. Bo kampania wyborcza ma to do siebie, że powadzi do wykazania względnej siły stronnictw i do zafiksowania jej na czas dłuższy w formacji pochodzącej z wyborów. Dlatego też w okresie wyborczym stronnictwa muszą skupić całą uwagę na tej akcji, bo ona stanowić ma o ich wadze, o podstawie samej ich dalszego działania. Jest to prawdą zawsze, a tym bardziej teraz w Wilnie, gdzie walka stronnictw toczy się z taką gwałtownością, jak rzadko. Tu każde zaniedbanie w akcji wyborczej jest niebezpieczne, bo wróg czuwa z całym napięciem sił, toteż wszystkich własnych sił trzeba napiąć. „Odrodzenie" jest najbardziej atakowane przez prawicę, bo jest najniebezpieczniejsza dla niej. Jest to walka śmiertelna bez kompromisu o duszę chłopa, o zasadę tej duszy, czy ma ona być bierną duszyczką poczciwego„kmiotka", posłusznego panom i kierowanego przez kler, czy duszą samodzielną ludu, który sam ma być gospodarzem praw wsi w kraju i czynnym ich społecznym budowniczym. Udałem się do lokalu „Odrodzenia" i poprosiłem o rozmowę w sprawie naszej akcji porozumiewawczej litewskiej. Zostałem zaproszony na pogadankę w tej sprawie z zarządem, która się odbyła wczoraj o godz. 7 wieczorem. Obecni byli Chomiński, Helman, Mickiewicz, Karnicka[284] (wdowa po Antonim, jedna z tych kobiet, całą istotą oddanych ruchowi ludowemu, jak Irena Kosmowska[285] w Warszawie i Felicja Bortkiewiczowa w ruchu ludowym litewskim), Barwicki[286] i inni, których nazwisk nie znam. Wiedząc, w jakiej sprawie przybywam, przyjęli mię z zakłopotaniem, które z łatwością wyczułem, zarazem z zadowoleniem, bo moja obecność bądź co bądź

284 Aleksandra Karnicka (1882-?), biuralistka, członkini Polskiego Związku Ludowego „Odrodzenie", posłanka na Sejm Wileński Litwy Środkowej (1922).

285 Irena Kosmowska (1879-1945), pedagog, publicystka, działaczka ruchu ludowego, posłanka na sejm RP (1919-1930). Współzałożycielka Instytutu Oświaty i Kultury im. S. Staszica. 1942-1945 więziona na Pawiaku i w Berlinie.

286 Barwicki, działacz Polskiego Związku Ludowego „Odrodzenie" w Wilnie.

umożliwia im pewne wyjście z kłopotu. Zakłopotanie ich pochodzi stąd, że właśnie otrzymali od ludowców litewskich zaproszenie na przyjazd do Kowna dla rozpoczęcia obrad. Zaproszenia tego sami żądali, stawiając to poniekąd za warunek swego przyjazdu, za założenie formalne rozpoczęcia obrad. Litwini warunek spełnili i teraz prosta lojalność ukazuje „Odrodzeniu" wysłać delegatów do Kowna i stanąć do akcji porozumiewawczej. Ale akurat w tym czasie rozpoczęła się kampania wyborcza, która rozpętała walkę stronnictw, nakazującą „Odrodzeniu" skupienie wszystkich sił i całej uwagi na tej jednej sprawie, bo lada zaniedbanie może być dla „Odrodzenia" niezwykle ciężkim; jest ono bowiem punktem ośrodkowym najwścieklejszych ataków prawicy. „Odrodzenie" ma sił inteligenckich i *leaderów* bardzo niewielu. Są mu oni w tej chwili niesłychanie potrzebni na miejscu na posterunkach kampanii wyborczej. Jakże tu to pogodzić z koniecznością wyjazdu do Kowna, a więc z zobowiązaniem, przyjętym wobec Litwinów? Akcja porozumiewawcza z Kownem dotyczy pierwszorzędnej przyszłości kraju. Niepodobna posłać w tej sprawie ludzi podrzędnych. Posłać zaś *leaderów* – to w tej chwili jest niewykonalne, bo groźne dla sprawy wyborczej. Przedstawili mi oni te trudności, z których sam już sobie sprawę zdawałem i oświadczyli, że nie wiedzą, co w tej sytuacji zrobić, i że się bardzo cieszą, że właśnie przyjechałem i wspólnie z nimi się zastanowię. Wskazali mi na to, że jeżeli nawet, co daj Boże, wycieczka do Kowna uwieńczyłaby się paktem z Litwinami, to jeżeli przez to stracę oni w kampanii wyborczej i osłabią się w Sejmie, pakt ten straci przez to samo dużo dla stron obu na wartości, bo im silniejsi będą rzecznicy paktu w Sejmie, tym mocniejszy i skuteczniejszy pakt; że więc przeto, nawet ze względu na ewentualny układ z Litwinami, zaniedbanie akcji wyborczej przez „Odrodzenie" musi być uznane za rzecz niepożądaną. Niewątpliwie – racja. Sam to rozumiem, a nawet więcej nadto. Jeżeli nawet nie dojdzie do paktu, to lepiej będzie na przyszłość dla sprawy zjednoczenia Litwy, aby Sejm, jeżeli się kiedykolwiek w Wilnie zbierze, był jak najbardziej ludowy i aby ruch ludowy w Wileńszczyźnie wzrastał na sile i zwyciężał reakcję obszarniczo-klerykalną, bo gdyby i pakt do skutku nie doszedł, i Sejm Wileński się zebrał, i nawet doszłoby do zrealizowania aneksji Wilna do Polski, to w każdym razie jestem przekonany, że wcześniej czy później i im dalej, tym z większą siłą – będą się uwydatniały i działały czynniki, dążące do spojenia Wilna z Litwa Kowieńską, a im silniejszy będzie społeczny ruch ludowy w kraju, im chłop, który jest w tym kraju narodowo i etnicznie mieszanym, będzie bardziej świadomy i społecznie czynny, tym prędzej i intensywniej odbywać się będzie to działanie. Uwzględniając te okoliczności, wziąłem na siebie wobec „Odrodzenia" inicjatywę zreferowania tej sytuacji po powrocie do Kowna ludowcom litewskim i zaproponowania im, aby tym razem odłożyli na bok względy, kto do kogo pierwszy powinien pojechać – Wilno do Kowna czy Kowno do Wilna – i pomimo spełnienia przez Kowno warunku „Odrodzenia" o zaproszeniu ich, przyjechali sami do Wilna. Propozycja moja oczywiście bardzo się spodobała „Odrodzeniu". Uchwycili się jej jak ślepy płotu i wyrazili mi wdzięczność. Zaznaczyłem im wszakże, że z góry nie mogę ich zapewnić, iż ludowcy litewscy pójdą na to, jeno z mojej strony z tą inicjatywą wobec nich wystąpię. Aby zaś dać ludowcom litewskim satysfakcję i nie dać żadnego pozoru, że „Odrodzenie" zbagatelizowało po prostu nadesłane zaproszenie, oraz aby uniknąć posądzenia ludowców w Kownie, że to tylko ja w zbytku gorliwości usiłuję wmówić im jazdę do Wilna, byle tylko sprząc obrady, których „Odrodzenie" wcale może nie życzy, zażądałem, jako warunku mojej inicjatywy w Kownie, żeby „Odrodzenie" wystosowało przeze mnie w tymże duchu pismo do ludowców litewskich. Przyrzeczono mi, że to będzie zrobione i że pismo takie, ze formalnymi podpisami zarządu, będzie doręczone. Istotnie pismo takie zostało

sporządzone, jeno, na skutek pewnych nieporozumień, nie trafiło do rąk moich i jest w ręku innej osoby, jadącej ze mną jutro do Kowna, od której mam je odebrać.

16 stycznia, rok 1921, niedziela
Na dziś wyznaczony został powrót pociągu naszego do Kowna. Pociąg zabiera ze sobą nową partię uchodźców, powracających do kraju przeważnie z Rosji, względnie z Wileńszczyzny, oraz szereg osób wracających do Kowna z samego Wilna, w tej liczbie garść Litwinów, przeważnie Litwinek, żon urzędników lub działaczy litewskich, i kilka osób z ziemiaństwa, wracających z emigracji w Polsce, aby ocalić swe majątki od skutków politycznych nieobecności właścicieli. Wyjazd wyznaczony był na godz. 9 rano. Wyjechaliśmy z niezbyt dużym opóźnieniem około godz. 11-tej. W Landwarowie zostaliśmy zatrzymani przez czas dłuższy. Groziła tu nam zwłoka uciążliwa, a może nawet konieczność powrotu do Wilna. Okazało się bowiem, że wojskowe dowództwo dworca kolejowego w Landwarowie nie było powiadomione o naszym pociągu i nie miało żadnych zleceń do przepuszczenia go w kierunku linii demarkacyjnej. W dodatku – niedziela, personel służbowy – podchmielony. W tej „Litwie Środkowej" taki nieład, taki brak organizacji władz cywilnych i wojskowych, takie rozluźnienie wszelkich spoideł służbowych, że jest się tam ciągle na łasce fantazji i widzimisię każdej poszczególnej władzy lokalnej. Dzięki interwencji Pujola i jakiegoś dziennikarza Ligi Narodów, który jechał z nami, zarządzono wszakże energiczne rozmowy telefoniczne na wszystkie strony, których skutkiem było to, że wreszcie po dwóch godzinach postoju pociąg został puszczony. Za to w Rykontach nie stanęliśmy wcale, przez obie linie demarkacyjne i zonę neutralną przejechaliśmy bez przeszkód i zwłoki, w Jewju także staliśmy krótko. Tylko w Koszedarach władze wojskowe litewskie zatrzymały pociąg na czas dłuższy, zarządzając rewizję rzeczy uchodźców i poszukując głównie literatury agitacyjnej komunistycznej. Był to akt przezorności, aż nadto usprawiedliwiony wobec tego, że akurat w tych dniach wykryto w Kownie rozgałęzioną organizację spiskową komunistyczną, która przygotowywała wielkie rozruchy, strajki, manifestacje w kraju na dzień 15 stycznia, dążąc ewentualnie do dokonania przewrotu. Nastąpiły w Kownie areszty, znaleziono materiały wybuchowe, broń, dokumenty kompromitujące, proklamacje. Po rewizji w Koszedarach nasz pociąg o godz. 7 wieczorem stanął w Kownie.
Wracam do mojej akcji wileńskiej. Z poznawania stanu rzeczy w Wilnie, z prasy, z rozmowy z ludowcami „Odrodzenia" wyczułem i zrozumiałem, że nie sam tylko wzgląd na ekonomię sił w kampanii wyborczej krępuje ludowców i jest dla nich przeszkodą do wysłania delegacji do Kowna. Jest jeszcze wzgląd inny, nie mniej, a może nawet bardziej istotny, z którym wprawdzie otwarcie się przede mną nie chwalili, ale który z łatwością dostrzegłem i gdym im nań wskazał, przyznali, że tak jest w istocie. Jest to wzgląd taktyczny w agitacji wyborczej. „Odrodzenie" jest stronnictwem, które zmuszone jest walczyć energicznie z potężnymi wrogami na prawicy, jak w szczególności kler i agitacja skrajnie nacjonalistyczna elementów wstecznych. Wrogowie ci są czujni i wściekli; skorzystają z każdej okazji, aby „Odrodzenie" skompromitować w opinii mas, których psychika jest głęboko zmącona zawieruchą lat ostatnich i przeróżnymi wpływami demagogii, uprawianej na nastrojach chłopskich. „Odrodzenie" ma gdzieniegdzie już swoje własne dobrze urobione masy, karne i oddane ruchowi, wobec których może się mniej liczyć z obłudną kontragitacją wrogów. Ale poza tymi wyspami własnych, dobrze już rozpalonych i mocno płonących ognisk ruchu, jest jeszcze cała pustynia ogromna mas ludowych, na której grasuje w całej pełni stara tradycyjna reakcja kleru i młoda, ale gwałtowna reakcja ślepego nacjonalizmu, zasianego zeszłoroczną agitacją „Straży Kresowej" i organizacji pokrewnych. Na tej

pustyni „Odrodzenie” stawia dopiero pierwsze kroki, dopiero z trudem roznieca tam ogniska, które zdmuchnąć usiłują ze wszech stron pustynne wichry reakcji. Tam „Odrodzenie” musi być bardzo ostrożne, musi się liczyć niezmiennie z uprzedzeniami mas, kultywowanymi przez kler i reakcję, podszywającą się pod patriotyzm i Polskę, mającą rzekomo zbawić centralizmem swoim lud wileński od wszystkich dolegliwości i utrąpień. Jedyną bronią „Odrodzenia” w tym rozniecaniu ognisk ruchu ludowego na pustyni reakcji, jedynym atutem, który pociąga do „Odrodzenia” lud i wyrywa go ze szponów reakcji, jest daleko posunięty program agrarny „Odrodzenia”, odpowiadający radykalnym pod tym względem i bardzo popularnym pożądaniom chłopa. Tą bronią „Odrodzenie” operuje swobodnie, ale zmuszone jest wystrzegać się bardzo wszystkiego, co by mogło dawać pozory zbyt wielkiej rozbieżności „Odrodzenia” z kierunkami reakcji w sprawie stosunku do Polski, bo reakcja każdy taki pozór, każdy szczegół w tym kierunku wyzyskałaby na zohydzenia „Odrodzenia” i zasiania nieufności do niego u ludu. W zwykłym czasie „Odrodzenie” mogłoby się mniej obawiać, bo powoli i konsekwentnie doszłoby do swego celu. Ale w okresie kampanii wyborczej nie ma czasu na powolność. Co dziś stracone, to już stracone w efektach wyborów bezwzględnie. Otóż takim momentem kompromitującym, dającym broń przeciwnikowi w jego kontragitacji demagogicznej, byłoby dla „Odrodzenia” układanie się jego w danej chwili z Litwinami i jazda delegacji „Odrodzenia” do Kowna.

17 stycznia, rok 1921, poniedziałek
Cały prawie dzień dzisiejszy spędziłem w domu przy pracy. Tak lubię moje ciche mieszkanie na Zielonej Górze i tak się w nim dobrze pracuje, że z prawdziwą rozkoszą jak najdłużej w nim przebywam i nie tęsknię wcale do ludzi. Mam przed sobą na biurku fotografię Aninki, drugą fotografię mojej córki Cesi z pierwszego roku jej życia i innego towarzystwa ludzkiego nie pożądam. Do tych dwóch fotografii brakuje mi jeszcze tylko trzeciej – mojej Mamuśki kochanej. Te trzy kobiety wypełniają i zamykają moje życie: dziedzictwo – Mama, wiek męski, miłości i szczęścia – Anna, starość i przyszłość – Cesia.
Wracam do mego referatu wileńskiego. Faktem jest, że w tym momencie układy z Kownem byłyby dla „Odrodzenia” w jego grze wyborczej czynnikiem kompromitującym, bo prawica nie omieszkałaby to wytknąć „Odrodzeniu” i wyzyskać dla zdyskredytowania w opinii mniej uświadomionych chwiejnych mas, które, na skutek dwuletniej agitacji, przywykły uważać hasło „do Warszawy!” za coś jedynie prawomyślnego. Z pewnością „Odrodzenie” pewne ciążenie do zbliżenia z Kownem ma i jego działacze zdają sobie sprawę, że dla Wilna odcięcie go na stałe od Kowna nie będzie dobre. Jednocześnie pragnęłoby ono utrzymać też związek z Polską. Na tych zasadach chętnie by z Kownem się układało, ale moment układów jest dla „Odrodzenia” najmniej dogodny. Odmówić propozycji litewskiej rozpoczęcia narad na rzecz porozumienia niepodobna, bo założenia demokratyczne ruchu obowiązują do tego, a zresztą „Odrodzenie” zażądało od Litwinów zaproszenia jako warunku wstępnego i Litwini warunek spełnili, więc cofać się nie ma jak. Przyjmuje się więc zasadę układów, ale z jakąś wstydliwością, jako coś, z czym się trzeba dyskretnie ukrywać, jak najmniej się z tym na światło dzienne jawności pokazywać. To wnosi pewien przykry ton do akcji porozumiewawczej, coś nieszczerego, co razi i czyni tę akcją przykrą, bo kompromitującą dla jednej ze stron. Wskazałem na to „Odrodzeniu” w rozmowie, jaką miałem z jego działaczami. Nie mogli mi tego zaprzeczyć. Zaznaczyłem, że z przykrością to stwierdzam, bo gdy Litwini otwarcie wyciągają rękę i proponują dojść do porozumienia w drodze układów bezpośrednich, to strona polska, która zawsze składała winę za brak porozumienia na Litwinów, zarzucała im upór

nieprzejednany i tą niechęcią do kompromisów i do liczenia się z Wilnem ze strony Litwinów tłumaczyła i usprawiedliwiała swoje dążenia aneksyjne do Polski, zamiast teraz uścisnąć otwarcie i serdecznie wyciągniętą dłoń litewską, zaczyna się nagle żenować, kręcić wstydliwie, jak gdyby wolała udać, że dłoni wyciągniętej nie widzi. Zapewnia, że chce się porozumieć, ale jednocześnie uważa porozumiewanie się za kompromitujące dla siebie i wolałaby jakoś bądź tego uniknąć, bądź zrobić to tak, by nikt tego nie widział i o tym się nie dowiedział. Wskazałem, że takie zjawisko utrudnia bardzo porozumienie. Dodałem, że w ogóle zachowanie się Polaków w sporze litewskim jest bardzo, co najmniej w ostatnich czasach, dziwne. Poza endekami i jaskrawymi aneksjonistami, Wilno demokratyczne z Tymczasową Komisją Rządzącą i stronnictwami lewicy zawsze twierdziło głośno, że pragnie szczerze porozumienia z Kownem i czyniło gesty na rzecz tego porozumienia, gesty manifestacji odpowiedniej woli. W Warszawie także stronnictwa, kierunki i ludzie, stojący poza Narodową Demokracją, zawsze twierdziły o dobrej woli porozumienia z Litwinami i czyniły Kowno odpowiedzialnym za zatarg, tłumacząc, że to stanowisko Kowna zmusza Polskę do inkorporowania Wilna, nie dając innego wyjścia w rozwiązaniu sprawy. Podczas ostatnich rokowań polsko-litewskich w Warszawie, gdy Warszawa odmawiała dyskutowania propozycji litewskich i sama żadnych konkretnych kontrpropozycji nie wystawiała, czyniąc przez to rokowania jałowymi i bezcelowymi z braku tematu na dyskusji, ze strony polskiej dawano delegacji litewskiej do zrozumienia, że Kowno powinno rozpocząć układy bezpośredniego porozumienia się z Wilnem. Gdy zaś Kowno próbuje się do organizacji społecznych w Wilnie zwrócić, napotyka na takie objawy „wstydliwości” i połowiczności, które nie świadczą o szczerej woli porozumienia, bo czynią z niego dla Wilna jakąś rzecz kompromitującą. W tych warunkach Kowno gotowe jest dojść do wniosku, że całe gadanie o chęci porozumienia ze strony polskiej, jest tylko obłudą frazesu i gestem, jest tylko manewrem, by postarać się uczynić Litwinów odpowiedzialnymi za nieporozumienie i ukuć z tego jeno nowy atut moralny dla dokonania aneksji Wilna. Rozumiem wprawdzie względy sytuacji wyborczej „Odrodzenia”, ale niemniej objawy takie mogą na akcję porozumiewawczą działać demoralizująco, a przeto ujemnie.

18 stycznia, rok 1921, wtorek
Poza akcją porozumiewawczą wileńsko-kowieńską, nad którą pracuję, usiłując wytworzyć dla niej warunki, i poza pewnym zamierzonym przeze mnie oddziaływaniem na prasę przez zasilanie jej planowymi artykułami, nie widzę na razie dla siebie innej roboty w udziale w stworzonej przez Puryckiego Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Obym tylko te dwa zadania w granicach możności zewnętrznej spełnił – to już będzie dość ode mnie. Przybył już do komisji naszej i trzeci jej członek, Żyd, młody Rozenbaum[287] z Wilna. Odbyliśmy dziś z nim i Wacławem Biržišką naradę. Zastanawialiśmy się głównie nad zastosowaniem ciągłej i regularnej komunikacji między Kownem a Wilnem, co jest z jednym z pierwszych warunków wszelkiej pracy naszej, aby przede wszystkim kontakt był stały i byśmy mogli wszelką korespondencję naszą i prasę wysyłać i odbierać bez przeszkód i systematycznie. To się zrobić da. Pod tym względem usługi ruchliwych Żydów nam dopomogą. Rozenbaum to zorganizuje. Chciał jeszcze Rozenbaum, człowiek typowego umysłu żydowskiego, wierzący w moc argumentów oderwanej od życia agitacji, byśmy obmyśleli i przystąpili jak najrychlej do akcji wydawania broszur i odezw agitacyjnych na rzecz Litwy do kolportowania i propagandy tychże w Wileńszczyźnie, ale tę rzecz my z Biržišką

287 Rozenbaum, syn Szymona Rozenbauma.

odłożyliśmy na później, bo nie jest to tak proste, jak się Rozenbaumowi zdaje. Umysł inteligencki żydowski wychowany jest na skrajnym racjonalizmie, żonglującym argumentacją frazesu intelektualnego. Żyd współczesny, do czego go już może Talmud usposobił, a co pozytywizm w kulturze europejskiej XIX wieku w nim jeszcze bardziej wyrobił, jest racjonalistą z krwi i kości, toteż wierzy głęboko w działanie frazesu logicznego na umysłowości ludzką. Toteż i nasz Rozenbaum skłonny jest do przeceniania propagandy racjonalistycznej, czysto rozumowej w masach ludowych Wileńszczyzny, by je tą drogą zdobyć na rzecz państwowego stanowiska litewskiego. Kto jednak zna duszę naszego ludu, ten wie, jak jest on daleki od racjonalizmu, jest aracjonalny, że się tak wyrażę, i jaką przewagę mają w jego skomplikowanej psychice alogiczne pobudki uprzedzeń, nałogów, przyzwyczajeń i wszystkiego tego, z czego się przede wszystkim jego czucie składa. Propaganda, zbudowana na oderwanym racjonalizmie, byłaby jałowa.

Wieczorem byłem w zebraniu konstytucyjnym odrodzonego „Žiburėlisa"[288], towarzystwa wspierania kształcącej się młodzieży litewskiej. Lata wojny rozbiły działalność „Žiburėlisa" jako instytucji powszechnej, ale w całym szeregu miejscowości powstały i funkcjonują lokalne kółka o tych samych celach i pod tą samą nazwą (w Poniewieżu, w Szawlach, w Marjampolu, w Wilnie). Obecnie centralizacja towarzystwa została dzisiejszym zebraniem, które było bardzo liczne, pod przewodnictwem p. Felicji Bortkiewiczowej, wznowiona.

Wracam do mojej akcji wileńskiej. Zaproponowałem więc „Odrodzeniu" wystąpić po powrocie do Kowna z inicjatywą wobec ludowców litewskich ewentualnego ich przyjazdu do Wilna, zamiast przyjazdu „Odrodzenia" do Kowna. Uprzedziłem, że zreferuję ludowcom litewskim wszystkie względy, jakie zachodzą, czyś oni zaś zechcą wyjść na tę drogę i udać się do Wilna – za to z góry zaręczyć nie mogę. „Odrodzenie" przyjęło moją propozycję z uczuciem ulgi i wystosowało, zgodnie z moim żądaniem, list do ludowców litewskich w tej sprawie, stanowiący odpowiedź na otrzymane przez „Odrodzenie" zaproszenie z Kowna. Na razie zdawało mi się, że kwestia ewentualnego przyjazdu ludowców litewskich do Wilna nie powinna być przeszkodą dla jazdy, jak to już było poprzednio ułożone, delegatów PPS wileńskich i ewentualnie demokratów – do Kowna, bo te względy, które stają na przeszkodzie wyjazdowi „Odrodzenia" do Kowna, nie dotyczą ani PPS-owców ani demokratów. Wszakże że po rozmowie z Michałem Biržišką zmieniłem zdanie. Michał Biržiška wskazał mi na to, że jeżeli akcja porozumiewawcza ma mieć jakiś skutek, a przynajmniej powagę, która, niezależnie od wyniku narad, stworzy pewną tradycję i atut na przyszłość dla myśli ugodowej, to wszystkie elementy tej akcji, to znaczy wszystkie narady pokrewnych grup społecznych, powinny być rozpoczęte i prowadzone jednocześnie i w jednym miejscu, to znaczy bądź w Kownie, bądź w Wilnie. Że, jeżeli zatem ludowcy litewscy zdecydują się dla narad z „Odrodzeniem" jechać do Wilna, to i socjalni demokraci litewscy niech lepiej do Wilna przyjadą; a jeżeli ludowcy litewscy do Wilna nie pojadą i będą czekać, aż „Odrodzenie" po zakończeniu kampanii wyborczej zdecyduje się na przyjazd do Kowna, to nie warto spieszyć i z jazdą PPS-owców czy demokratów do Kowna. W przeciwnym razie będzie to nieobowiązujące gadanie, ale nie jednolita planowa akcja porozumiewawcza społeczna, o którą chodzi. Jeżeli wszystkie elementy tej akcji będą funkcjonowały jednocześnie i w jednym miejscu, to tylko wtedy uwydatni się całkowity jej wyraz, bo niewątpliwie między tymi elementami będzie zachodzić pewne

288.„Žiburėlis", Towarzystwo Wspierania Kształcącej się Niezamożnej Młodzieży Litewskiej, założone w 1893 r. przez Gabrielę Pietkiewiczówną-Bitė i Jadwigę Juszkewiczówną (Juškytė). Do 1905 r. działało w podziemiu, następnie legalnie latach 1911-1915 M. Römer należał do zarządu Towarzystwa.

oddziaływanie wzajemne i pewna wymiana wpływów. Zgodziłem się w zupełności na argumenty Biržiški. Później w rozmowie, którą miałem z PPS-owcami, ci ostatni również w ten sam sposób rzecz tę traktowali, popierając gorąco jednoczesność i tożsamość miejsca akcji. Ale wtedy, po rozmowie piątkowej z „Odrodzeniem", przyszły mi na myśl jeszcze inne względy, podające w wątpliwość, czy mi warto starać się w Kownie przekonać ludowców litewskich, aby, wbrew pierwotnej umowie, jechali do Wilna i czy nie należy przeciwnie – odradzać im tego. Mianowicie jeżeli dla „Odrodzenia" dziś ze względu na sytuację wyborczą rokowania z Litwinami są czynnikiem kompromitującym i niedogodnym, to czy nie wpłynie to w ten sposób na ich psychikę w naradach, że będą w nich nieszczerzy, a może nawet umyślnie stwarzać trudności, aby układy rozbić i móc się wobec zarzutów przeciwnika z endecji chwalić, że to właśnie oni tak dobrze strzegli sprawy polskiej w układach z Litwinami, iż dzięki temu układy zostały rozbite.

19 stycznia, rok 1921, środa
Odbyłem dziś konferencję z ludowcami i esdekami w sprawie akcji porozumiewawczej wileńskiej. O konferencjach tych zreferuję jutro, bo chcę wpierw dokończyć relację z moich zabiegów wileńskich.
Mówiłem wczoraj, że już po rozmowie mojej z „Odrodzeniem" przyszło mi na myśl, czy nie warto w ogóle odradzać ludowcom litewskim jazdy teraz do Wilna. Bo jeżeli „Odrodzenie", skrępowane względami akcji wyborczej do Sejmu, będzie teraz w rokowaniach z Litwinami nieszczere, a może nawet będzie się starało umyślnie zwiększać trudności i przesadzać w wygórowanych żądaniach, aby układowi, który byłby może dlań w tej chwili kompromitującym, przeszkodzić i ewentualnie móc się pochwalić w swej agitacji wyborczej maksymalizmem względem Litwinów, to czy nie lepiej jeszcze teraz nie zaczynać wcale i nie narażać lekkomyślnie trudnej sprawy porozumienia, stawiając ją od początku w tak niedogodne warunki. Być może wkrótce szanse porozumienia, a przynajmniej szczerości obustronnej będą lepsze, być może warunki będą bardziej sprzyjające. Po wyborach, kiedy się już siły wszystkich stron walczących w Wilnie ustalą, kiedy „Odrodzenie" będzie już wiedziało, ilu mandatów w Sejmie rozporządza i będzie mogło działać z przyłbicą otwartą, nie obawiając się już natychmiastowych szkód ze strony swych wrogów z prawicy, będzie ono mogło swobodniej i szczerzej podjąć akcję porozumiewawczą z Litwinami – bez obawy, że to mu zaszkodzi w zdobywaniu mandatów. Wtedy liczyć można będzie na większą rozwagę z jego strony, na bardziej poważny stosunek do tak ważnej sprawy, jak układ z Kownem. Wtedy w poczuciu odpowiedzialności za przyszłą pracę swoją w Sejmie, oceni ono stateczniej względy, przemawiające przeciwko lekkomyślnemu odrywaniu Wilna od Kowna. Wtedy, dążąc do wyzyskania Sejmu w Wilnie, do nadania mu cech Sejmu suwerennego, do czego „Odrodzenie" dąży bardzo szczerze, zwalczając z całą siłą dążenia do uczynienia z tego Sejmu li tylko narzędzia manifestacji na rzecz automatycznego wcielenia Wilna do Polski, będzie ono może miało jeszcze i ten wzgląd do porozumienia z Litwinami, że porozumienie to wzmocni opozycję przeciwko idącemu z prawicy usiłowaniu rozbicia Sejmu. Dużo jest względów za tym, że, o ile teraz „Odrodzenie" zmuszone jest do unikania zbyt jaskrawych skłonności porozumiewawczych z Litwinami, o tyle po wyborach będzie może nawet poniekąd tego porozumienia szukać. Czy nie lepiej więc dopiero wtedy zacząć, przeczekawszy moment obecny, bo jeżeli się zacznie teraz, to niepowodzenie obecne i wyczucie przez Litwinów nieszczerości „Odrodzenia" w tej chwili może uczynić tak złe wrażenie, że potem trudniej będzie rzecz w dogodniejszych warunkach wznowić. Zawód bowiem jest zwykle czynnikiem demoralizującym i nieraz trudniej jest wznowić, niż zaczynać.

Poza tym, przychodziło mi na myśl, że Wilno jest w ogóle mniej odpowiednim miejscem do rokowań, niż Kowno, bo, po pierwsze, jest ono właśnie przedmiotem sporu nie tylko przez kampanię wyborczą, ale i przez samą tymczasowość stanu Wilna. Atmosfera w Kownie jest pełna spokoju statecznego i bez żadnego porównania bardziej zrównoważona od wileńskiego, gdzie ludzie i stronnictwa mają się jak w jakimś wulkanie, niepewni jutra, nieświadomi swojej przyszłości i losów, podrażnieni, nienawidzący się wzajemnie, źli jak osy. Wszelkim obradom szkodzi zbytnia nerwowość.
Po konferencji z „Odrodzeniem" odbyłem w sobotę wieczorem konferencję z PPS-owcami w osobach Stanisława Bagińskiego, Kulikowskiego[289] i Aleksandra Zasztowta. Przedstawiłem, jak stanęły rzeczy z „Odrodzeniem". Powiedziałem im o propozycji, z jaką mam się zwrócić do ludowców litewskich w sprawie ich przyjazdu do Wilna i zreferowałem im wyżej streszczone wątpliwości co do tego, czy nie warto w ogóle odroczyć rozpoczęcia akcji porozumiewawczej. PPS-owcy stanęli stanowczo na stanowisku, że odraczać nie należy i że skoro zachodzą trudności wyjazdu Wilnian do Kowna, to trzeba dążyć do przyjazdu Kownian do Wilna, i to jak najprędzej. Głównym argumentem było to, że masy ludowe Wileńszczyzny są tak zmęczone tymczasowością stanu kraju, tak tej tymczasowości nienawidzą i chcą z nią za wszelką cenę skończyć, uważając ją za źródło wszelkiego zła i wszystkich bied swoich, które są rzeczywiście ciężkie, że pierwszym i głównym hasłem ludu, pierwszym zagadnieniem czy to w Sejmie, czy gdziekolwiek indziej, jakąkolwiek by metodą się sprawa rozstrzygała, będzie: „Precz z tymczasowością!". Dążenie do zakończenia tymczasowości będzie, nawet jest żywiołowym w masach. Na tym też budują swoją akcję endecy, żądający aneksji do Polski. Jeżeli nie będzie zrobione nic w kierunku porozumienia wileńsko-kowieńskiego, jeżeli nie będą ustalone żadne próby czy zręby tego porozumienia, to lud, byle tylko prędzej skończyć z tymczasowością, poprze wszelkie rozwiązania aneksyjne jako prędzej wiodące do tego głównego celu. Wobec tego nie należy zwlekać, bo wypadki toczą się szybko i nagle może się okazać za późno. Dlatego też PPS-owcy radzili stanowczo, aby akcję rozpoczynać zaraz i we wszystkich elementach jednocześnie, i w tym samym miejscu, a więc w Wilnie.
Rozmawiałem o tym tegoż dnia w sobotę w Wilnie jeszcze z Michałem Biržišką i Jonynasem. Biržiška podziela w zupełności argumenty PPS-owców o tymczasowości i radzi nie zwlekać. Jonynas natomiast jest innego zdania i radzi nie spieszyć się.

20 stycznia, rok 1922, czwartek
Po powrocie do Kowna wypadło mi zwrócić się w pierwszym rządzie do ludowców litewskich i następnie do esdeków, przedstawiając im stan rzeczy w Wilnie i odwołując się do ich decyzji ustalenia, czy mają oni posyłać delegacje do Wilna i rozpoczynać akcję porozumiewawczą już teraz, czy też uważają za wskazane wstrzymać się do wszelkich kroków na razie i zaczekać na przyjazd delegacji „Odrodzenia" i PPS z Wilna, co może nastąpić prawdopodobnie dopiero po wyborach do Sejmu Wileńskiego. Prosiłem więc ludowców i socjalnych demokratów o wyznaczenie posiedzeń dla wysłuchania moich referatów. Oba posiedzenia, ludowców i esdeków, odbyły się wczoraj.
Na posiedzeniu ludowców (prezydium frakcji sejmowej i Komitet Główny partii) w lokalu redakcji „Ukininkas" byli obecni: Michał Ślażewicz, dr Staugaitis[290], dr Lašas,

289 Kulikowski, działacz PPS w Wilnie.
290 Justinas Staugaitis, ksiądz, działacz polityczny.

Felicja Bortkiewiczowa, poseł Makowski, poseł Raczkowski i Railys[291]. Zreferowałem szczegółowo sytuację, jaka się wytworzyła w sprawie akcji porozumiewawczej, przedstawiłem wszystkie względy *pro* i *contra* jazdy do Wilna dla rozpoczęcia obrad w tej chwili. Starałem się utrzymać na stanowisku ściśle przedmiotowym, nie usiłując forsować decyzji ludowców w żadnym kierunku. Oprócz względów *pro* i *contra*, o których już w dzienniku pisałem, dodałem jeszcze parę innych. Zaznaczyłem, że, zdaniem moim, rozwiązanie problemu wileńskiego aneksją do Polski, choć nie jest ono bynajmniej wykluczone i choć dużo czynników dziś właśnie w tym kierunku działa, nie wydaje mi się w istocie zbyt niebezpieczne, bo podług wszelkich przewidywań, aneksja taka nie okazałaby się trwałą; względy militarne, gospodarcze, społeczne, a nawet etniczne w prędkim czasie zwróciłyby się w samej Wileńszczyźnie przeciwko takiemu rozwiązaniu i rozsadzałyby dzieło aneksji. Szczegółowo o tym w tej chwili mówić nie będę, bo za dużo by mi to zajęło miejsca. Aneksja Wilna do Polski, jak mi się zdaje, byłaby ze stanowiska państwowego litewskiego niebezpieczna nie tyle sama przez się, jako taka, ile jako czynnik, ściągający na Wilno, a bodaj i na całą Litwę – bezpośrednie niebezpieczeństwo rosyjskie. Rozwiązanie aneksyjne sprawy wileńskiej uczyniłoby z niej kwestię między Polską a Rosją. A w tym sporze stanowisko rosyjskie byłoby ze wszech miar silniejsze nie tylko atutami siły fizycznej, ale i atutami społecznymi i kulturalnymi przez Białoruś. W aneksji więc Wilna do Polski w tej chwili – zbyt wielkiego niebezpieczeństwa polskiego ze stanowiska państwowego litewskiego nie upatruję. Aneksję tą, gdyby się dokonała, uważam za rzecz przemijającą. Toteż, zdaniem moim, Litwini nie mają powodu zbyt nerwowo traktować tę ewentualność aneksyjną i zbyt się teraz gorącować. W sporze z Polską czas, moim zdaniem, będzie raczej ich, niż Polski, sprzymierzeńcem, o ile tylko nie uprzedzi obojga *tertius gaudeus*[292] – Rosja. Toteż wzgląd, wysuwany przez PPS-owców wileńskich i popierany przez Michała Biržiškę, o potrzebie pośpiechu z powodu żywiołowego dążenia mas w Wileńszczyźnie do skończenia z tymczasowością, choć ważki, nie byłby, moim zdaniem, decydujący do pośpiechu za wszelką cenę. Ale jest wzgląd jeszcze jeden, moim zdaniem – bardzo ważny. Dotąd strona polska, tak w Warszawie, jak w Wilnie, w postulatach oderwania Wilna od Litwy i przyłączenia do Polski – powoływała się zawsze na niechęć Kowna do ustępstw, do liczenia się ze strukturą narodową Wilna, z jego aspiracjami i prawami w budowie państwowej Litwy. Wskazywano, że Kowno i Litwini nie chcą traktować z Wilnem, nie chcą się z nim wcale liczyć, domagają się jedynie kapitulacji Wilna, jego aneksji do Litwy Kowieńskiej. Pod tym względem powstała legenda, która utrwaliła się w opinii ludności Wileńszczyzny. Trzeba przyznać, że rzeczywiście dotąd Kowno nie czyniło nic na rzecz porozumienia z Wilnem. Kowno (pod Kownem rozumiem Litwinów) nie wykazało zrozumienia dla uszanowania indywidualności i praw ludności Ziemi Wileńskiej. Obecnie po raz pierwszy Kowno zaczyna ujawniać zrozumienie tej kapitalnej prawdy, na której jedynie może być zbudowany stosunek Wilna do Litwy. Jest to najwyższy czas. Niechęć Kowna traktowania z Wilnem na zasadzie równych praw była atutem wielkiej wagi w ręku aneksjonistów polskich i osłabiała niezmiernie przeciwników aneksji po stronie polskiej. Toteż ze strony polskiej wyzyskiwano ten atut bardzo skutecznie zarówno na forum międzynarodowym, jak w opinii i nastrojach ludu Wileńszczyzny. Za wszystkie minusy rozdarcia Litwy czyniono – i poniekąd zasadnie – odpowiedzialnym Kowno. Otóż trzeba dla sprawy państwowej litewskiej tę odpowiedzialność z Kowna zdjąć, trzeba się postarać, by w Wilnie i w masach ludowych utrwaliła się świadomość, że

291 Railys, bliższych danych brak.

292 Łac. zwalczy trzeci.

Kowno idzie na układ z Wilnem, że go gwałcić nie chce, że wyciąga doń rękę jak równe do równego, jak brat do brata. Będzie to miało tę stronę bezwzględnie dodatnią, że jeżeli nawet do układu nie dojdzie, jeżeli zbyt wygórowane żądania strony polskiej, nie dające się pogodzić z zasadą suwerenności państwowej Litwy, uniemożliwią porozumienie, to pozostanie ferment świadomości w Wilnie, że Kowno ze swej strony uczyniło, co mogło i że nie ono jest odpowiedzialne za podział kraju. Jeżeli aneksję się dokona, to niech przynajmniej ujemne jej dla Wileńszczyzny skutki nie obarczają winą Kowna za jego rzekomą niechęć do układu.

21 stycznia, rok 1921, piątek
Ten wzgląd, który streściłem wczoraj w dzienniku i który zreferowałem starannie na posiedzeniu ludowców litewskich, był, zdaje się, głównym, który przeważył ich decyzję na rzecz wysłania delegacji do Wilna i rozpoczęcia akcji porozumiewawczej wileńskiej bez zwłoki. W krótkiej dyskusji, która się po moim referacie wywiązała, większość obecnych wypowiadała się za jazdą do Wilna. Najgoręcej za tym przemawiał poseł Makowski, popierał to też dr Staugaitis, którego głos jest szczególnie ważny, bo stanął on właśnie świeżo na czele delegacji litewskiej w Warszawie w rokowaniach z Polską, skąd niedawno wrócił i przeto lepiej od innych musi być zorientowany w warunkach i potrzebach skutecznego stawiania sprawy wileńskiej ze strony Litwy[293]. Poparł też jazdę do Wilna Ślażewicz. Przeciwko temu wypowiadał się tylko poseł Raczkowski. Wreszcie większością głosów przeciwko jednemu (Raczkowski) uchwalono delegację do Wilna wysłać. Na delegatów wybrano posłów Makowskiego i Raczkowskiego i Felicję Bortkiewiczową. Nie jest to najlepszy dobór składu delegacji. Pani Bortkiewiczowa jest pierwszorzędną siłą organizacyjną, ale wytrawnym statystą, jakim trzeba być w rokowaniach tak odpowiedzialnych, nie jest. Raczkowski i zwłaszcza Makowski też siłami pierwszorzędnymi nie są. Ale cóż robić! Z *leaderów* – ani Ślażewicz, ani dr Staugaitis nie nadawali się do tego. Ślażewicz – dlatego, że samo imię jego budziłoby po stronie polskiej w Wilnie nieufność, gdyż okrzyczany jest (moim zdaniem – niezupełnie słusznie) za najjaskrawszego wroga Polaków, a dr Staugaitis dlatego, że był, a właściwie jest formalnie dotąd prezesem delegacji litewskiej w rokowaniach litewsko-polskich w Warszawie, toteż, gdyby teraz pojechał do Wilna dla rokowań z „Odrodzeniem”, powiedziano by w Wilnie, że to nie ludowcy litewscy, ale rząd rokuje przez Staugaitisa i powiedziano by jeszcze, że Litwini zmuszeni zostali w Warszawie do przeniesienia rokowań na grunt wileński i że nie z własnej woli wyciągają dłoń pojednania, lecz z musu sytuacji. Z obecnych na posiedzeniu pozawczorajszym byłby do takiej delegacji wileńskiej doskonały dr Lašas, człowiek rozumny, z taktem, spokojny. Wybrano go na delegata i namawiano, aby wybór przyjął, ale on się nie zgodził, podając za motyw to, że bardzo słabo mówi po polsku. Wielka szkoda, że on nie jedzie. Że źle i mało mówi po polsku – to by właściwie przeszkody poważnej nie stanowiło.
Po posiedzeniu ludowców tegoż dnia pozawczoraj wieczorem udałem się na posiedzenie Komitetu Wykonawczego socjalnych demokratów. Na posiedzeniu obecni

293 Chodzi o rokowania, które rozpoczęły się 13 grudnia 1920 r. w Warszawie przy pośrednictwie Komisji Kontrolnej Ligi Narodów. Delegacja litewska, na czele z Justinasem Staugaitisem 20 grudnia wręczyła deklarację, w której proponowała rządowi polskiemu wyrzeczenie się plebiscytu na Wileńszczyźnie i uznanie granicy, wytyczonej przez traktat litewsko-sowiecki z 12 lipca 1920 r. Wilno miałoby zostać stolicą Litwy. W zamian obiecywała zaprzestanie walki zbrojnej, zagwarantowanie Polsce wolnego tranzytu przez Litwę, rozpoczęcie rokowań gospodarczych, przyznanie swobód mniejszościom. Nadmieniała, że Litwa zostanie urządzona na zasadzie decentralizacji, co mogło oznaczać przyznanie autonomii dla Wileńszczyzny. Strona polska uznała propozycje litewskie za niewystarczające, sugerując wznowienie unii bądź zawarcie federacji.

byli posłowie do Sejmu: Stefan Kairys, Kazimierz Węcławski, Pożela i Bielinis[294]. Zreferowałem im znowu całą sytuację, którą zreferowałem przed chwilą u ludowców. W tym środowisku oczywiście kwestia, kto pierwszy do kogo ma jechać, czy delegaci PPS-owców wileńskich do Kowna, czy też delegacja esdeków litewskich do Wilna – żadnych zastrzeżeń nie budzi. Jak PPS-owcy wileńscy od pierwszej rozmowy w grudniu z Kairysem gotowi byli jechać do Kowna, nie żądając żadnych zaproszeń formalnych, tak socjalni demokraci litewscy gotowi są jechać do Wilna, jeżeli teraz okoliczności zalecają Wilno zamiast Kowna. Sama zasada socjalistyczna nakazuje socjalistom szukanie rozwiązania kwestii spornej stosunku na drodze nie innej, niż bezpośrednie porozumienie i uznanie w pełni praw ludu wileńskiego do określania swego stanowisku w Litwie. Pod względem prawno-państwowego stanowiska Wilna w Litwie, to socjalni demokraci idą w ustępstwach jak najdalej, a właściwie traktują to nie jako ustępstwo, bo ustępować można tylko z jakiegoś prawa lub roszczenia prawnego, podczas gdy oni zasadniczo nie wychodzą z założenia jakiegoś prawa posiadania Wilna. Rozumieją oni stosunek państwowy, łączący Wilno z Kownem w Litwie, jako umowę wypływającą z obustronnej woli ludu, toteż za czynnik państwowotwórczy uznają tę wolę. Nie cofają się więc nawet przed stosunkiem kantonalnym, który w kołach burżuazyjnych litewskich, nie wyłączając ludowców, uchodzi dotąd za niedopuszczalny. Po referacie moim u esdeków zadawali mi oni jeszcze pytania. Wypowiadali się też – zwłaszcza Węcławski – stanowczo przeciwko uchwalonemu przez Litwinów, Białorusinów i Żydów w Wilnie bojkotowi wyborów do Sejmu Wileńskiego, uważając ten bojkot za wielki błąd. Węcławski nawet poruszał kilkakrotnie myśl o rewizji uchwały bojkotowej i o przyjęciu obecnie przez wszystkie te elementy udziału czynnego w wyborach. Teraz jest to już za późno, ale co do samej myśli, to kto wie, czy nie słuszna. Bojkot bierny, zwłaszcza ze strony Litwinów, chybia celu. Jest on zresztą niewykonalny, bo masy litewskie i białoruskie w Wileńszczyźnie nie są tak narodowo bierne, jak żydowskie, i mimo proklamowanego formalnie bojkotu – będą uczestniczyć w wyborach, głosując, w braku innych, na listy polskie. Bojkot mógłby mieć efekt tylko o tyle, o ile mógłby być czynny, to znaczy o ile możliwa byłaby jawna agitacja za bojkotem, co jest wykluczone.
Wybór delegatów do Wilna socjalni demokraci odroczyli do dnia następnego na posiedzeniu partyjnym. Wczoraj dowiedziałem się, że wybrali na delegatów posła Kazimierza Węcławskiego i Franciszka Jagmina, z tym, że gdyby Węcławskiemu coś jechać przeszkodziło, to na jego miejsce pojedzie jako zastępca – Stefan Kairys. Wybór Węcławskiego wskazuje na tendencje bardzo ugodowe esdeków, bo Węcławski, o ile wiem, reprezentuje kierunek radykalniejszy i wyzuty z nacjonalizmu.

22 stycznia, rok 1921, sobota
Pociąg z Wilna do Kowna, wiozący nowy transport reemigrantów-uchodźców wileńskich, miał odejść dziś lub w niedzielę. Tym pociągiem miałem jechać i ja wraz z delegatami ludowców i esdeków. Ze względu wszakże na pewne trudności, czynione ze strony Wilna, które wita niechętnie powrót uchodźców, prawie wyłącznie – Żydów, sprawa uległa zwłoce. Pociąg odejdzie nie prędzej, niż we wtorek lub środę. Musimy nań czekać, bo transport uchodźców daje najlepszy pretekst formalny dla dokumentów podróżnych naszej delegacji. Jutro ma wyjechać specjalnym automobilem do Wilna

294 Kipras Bielinis (1883-1965), litewski działacz socjaldemokratyczny, za udział w rewolucji 1905 skazany na więzienie i zesłanie, w 1918 r. powrócił na Litwę. W latach 1920-1926 poseł do Sejmu, członek frakcji socjaldemokratów. Był aktywny w pracy samorządowej i spółdzielczej, w czasie wojny w antyhitlerowskim ruchu oporu, po 1944 na emigracji.

członek naszej Komisji dla spraw Litwy Wschodniej, Żyd Rozenbaum. Posyłam przez niego list do Zygmunta Jundziłła, uprzedzając o przyjedzie delegatów kowieńskich. Dowiedziałem się dziś od posła Makowskiego, że z łona esdeków powstała inicjatywa zwrócenia się ewentualnego do frakcji sejmowej żydowskiej i polskiej z propozycją, by również uczestniczyły w jeździe do Wilna dla akcji porozumiewawczej. Ludowcy się jeszcze nad tym zastanawiają i w poniedziałek mają odbyć naradę w swoim kole w tym przedmiocie. Uprzedziłem o tym poufnie posła Grajewskiego i Kazimierza Janczewskiego[295], aby się przygotowali, jakie mają zająć stanowisko, gdyby się do nich z tym zwrócono. W ogóle w zasadzie uważałbym za dodatnie przyjęcie przez frakcję polską udziału w tej akcji, bo faktem jest, że jednak odpowiedzialni kierownicy polityki polskiej miejscowej z posłem Grajewskim, Kazimierzem Janczewskim i Wielhorskim[296] na czele oraz z ich organem „Gońcem Kowieńskim" stoją wyraźnie na stanowisku niepodzielności Litwy i są zdecydowanie przeciwni aneksji Wilna do Polski. Wprawdzie motywy ich różnią od motywów Litwinów, bo Polacy kowieńscy, jak to szczególnie uwydatnił niedawno Wielhorski w „Gońcu Kowieńskim", są temu przeciwni głównie, że w razie oderwania Wilna od Litwy byliby oni osamotnieni i że uważają Wilno za czynnik nie tylko wzmacniający stanowisko i rolę polskości w Litwie i wiążący Litwę solidarnością z Polską i wprawdzie w budowie państwowej Litwy skłaniają się do zasady kantonów i pragną federacji Litwy z Polską, co też ich znacznie różni politycznie od Litwinów, jednak wobec aneksjonistów polskich są oni bądź co bądź sprzymierzeńcami sprawy państwowości litewskiej. Ich udział w akcji porozumiewawczej uczyniłby, jak sądzę, dobre wrażenie na Polaków wileńskich i mógłby być czynnikiem pożądanym. Boję się tylko nerwowości Polaków kowieńskich, płynącej z podrażnienia, wywołanego przez przykry stosunek, jakiego tu doznają w polityce wewnętrznej litewskiej, ulegającej psychicznym skutkom konfliktu polsko-litewskiego. Może i słusznie mówi Janczewski, że trzeba się tu liczyć z maksymą „nieprania brudnej bielizny domowej u obcych", to znaczy niewywlekania brudów wewnętrznego stosunku i nieporozumień na zewnętrz. Dopóki trwają gorzkie kwasy i rekryminacja w stosunkach wzajemnych wewnętrznych, dopóty może nie warto łączyć tych elementów we wspólnej akcji zewnętrznej. Udział Polaków kowieńskich w litewsko-polskiej akcji porozumiewawczej kowieńsko-wileńskiej jest pożądany, ale warto się postarać o uprzednie zsolidaryzowanie, a przynajmniej znaczne złagodzenie ich stosunków politycznych wewnętrznych. Zresztą Janczewski i Grajewski jeszcze się zastanowią nad tym, o ile zresztą odpowiednie grupy litewskie zwrócą się do nich z propozycjami.

Chciałbym jeszcze zreferować wczorajsze posiedzenie naszej Komisji do Spraw Litwy Wschodniej, które się odbyło w gabinecie ministra Puryckiego z jego udziałem. Z członków Komisji uczestniczyliśmy wszyscy trzej – Wacław Biržiška, ja i Rozenbaum; oprócz tego Purycki zaprosił na posiedzenie bawiącego w Kownie przedstawiciela Litwy przy Komisji Kontrolującej Ligi Narodów – Jonynasa. Omówiliśmy szereg spraw organizacyjnych – co do technicznego funkcjonowania Komisji, etatu pracowników, preliminarza wydatków Komisji. W tej ostatniej kwestii Purycki idzie bardzo daleko, działalność i zadania tej Komisji szacuje on nie niżej niż akcję wojenną i powiada, że

295 Kazimierz Janczewski (1878-1959), ziemianin, czołowy działacz polski na Litwie, prezes Komitetu Polskiego. Radny, a następnie przewodniczący Rady Miejskiej w Kownie.

296 Władysław Wielhorski (1885-1953), działacz polski na Litwie, historyk, autor wielu publikacji na temat historii i etnografii Litwy oraz stosunków polsko-litewskich. Jeden z przywódców mniejszości polskiej w Litwie Kowieńskiej, w 1924 pozbawiony obywatelstwa litewskiego i wydalony z Litwy. W latach 1931-1939 dyrektor Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie. Po wojnie działał i pisał na emigracji w Wielkiej Brytanii.

jak na wojnę nie możemy szczędzić pieniędzy, tak i na taką akcję, jaką ma prowadzić Komisja. Omówiliśmy też sprawę nawiązania stałego kontaktu, stałej komunikacji między Kownem a Wilnem dla naszych potrzeb. Sprawa udziału Białorusina w naszej Komisji też została omówiona. Udział Białorusina jest dla nas bardzo ważny, bo czynnik białoruski gra dużą rolę w sprawie wileńskiej. Ponieważ Wilno nam dotychczas, pomimo starań poczynionych, nie przysyła nam Białorusina, więc Purycki zwraca się w tej kwestii do Dominika Siemaszki i do Wacława Łastowskiego. I jeden, i drugi rekomendował swego kandydata. Uznaliśmy, że z ramienia Siemaszki kandydata brać nie należy ze względu na to, że sam Siemaszko jest źle widziany przez Białorusinów wileńskich i rekomendacja ta będzie depopularyzować osobę białoruskiego członka Komisji. Łastowski rekomendował Griba[297]. O Gribie mamy jak najlepszą opinię, ale ja wskazałem na to, że należy on do rządu Republiki Ludowej Białoruskiej, co jest przeszkodą do udziału jego w akcji państwowej litewskiej. Zdobycia Białorusina z Wilna ja mam się podjąć w mojej najbliższej ekskursji wileńskiej.

23 stycznia, rok 1921, niedziela
Nie dokończyłem wczoraj o pozawczorajszym posiedzeniu naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej, odbytym z udziałem ministra Puryckiego i Jonynasa. Jednym z przedmiotów, które zostały poruszone, było moje żądanie, aby redakcja dziennika rządowego „Lietuva" była zobowiązana drukować bez zastrzeżeń wszelkie pochodzące od Komisji naszej artykuły w zakresie sprawy wileńskiej. Jest to rzecz bardzo ważna. „Lietuva" jest najpoczytniejszym organem w Kownie. Czytają ją w Kownie wszyscy. Żaden Litwin, żaden zwłaszcza urzędnik nie opuści ani jednego dnia, aby nie przeczytać „Lietuvy". Kupi on lub nie kupi inną gazetę, ale „Lietuvę" kupi i przeczyta na pewno. Oprócz Litwinów, czytają ją zresztą i wszyscy, kto tylko umie po litewsku. Prowincja czyta „Lietuvę" także, chociażby dlatego, że to jest organ rządu i że przeto czy się rząd popiera, czy się go zwalcza, czy się jest przyjacielem, czy nawet wrogiem Litwy, czy się kierunkowi pisma sprzyja, czy nie sprzyja – trzeba się z nim liczyć. Z opinią „Lietuvy" ludzie się liczą jako z wyrazem opinii kół rządzących. W istocie jednak, choć redaktorowie „Lietuvy" z p. Sruogą[298] na czele są publicystami na etacie państwowym i są inspirowani przez rząd, często bardzo mało się liczą sami z nastrojami rządu i faktycznie sami na własną rękę nadają ton pismu w najważniejszych kwestiach. Ale szeroka opinia o tym nie wie i wszystko, co pisze „Lietuva", kładzie na karb tendencji rządowych. Kierunek, nadawany poszczególnym kwestiom przez „Lietuvę", jest tym ważniejszy, że ogromna masa urzędników – a dziś prawie cała narodowa inteligencja litewska jest urzędnicza i przez to wpływ urzędników w narodzie jest olbrzymi – woli w ogóle oszczędzić sobie fatygi samodzielnego myślenia i posiadania własnego zdania, bo to nawet jest zwykle praktyczniej, i urabia sobie opinię podług prądów, które wyczuwa u góry w sferach kierujących. Dlatego też wpływ „Lietuvy" w opinii narodowej jest przemożny. Cóż z tego, że teraz u rządu, a zwłaszcza w ściślejszym gronie najwybitniejszych rządu sterników, jak Purycki, Grinius i Gałwanowski, powiał nowy prąd w sprawie wileńskiej, dążący do oparciu tej sprawy o zasady porozumienia i przyznania Wilnu stanowiska równorzędnego z Kownem, i że stopniowo Purycki zdobywa dla tej idei koła polityków sejmowych, kiedy na zewnętrz

297 Tomasz Hrib (Hryb Tamasz, Grib, 1895-1938), białoruski działacz polityczny, sekretarz Wszechbiałoruskiego Zjazdu w Mińsku (14-17 grudnia 1917 r.), szef resortu spraw zagranicznych, od 1922 na emigracji w Czechosłowacji.

298 Balys Sruoga (1896-1947), pisarz litewski, teatrolog, profesor uniwersytecki, autor kilkunastu sztuk teatralnych, jego wspomnienia ze Stutthofu pt. Las bogów cieszyły się dużą popularnością. „Lietuvę" redagował w latach 1921-1923.

nikt o tym nie wie i, wnosząc z tonu „Lietuvy", ani domyślić się tego nie może. „Lietuva" dmie sobie dalej w dudkę starego traktowania Wilna za jakiś przedmiot zdobyczy, po prostu przynależny Litwie, który należy li tylko „odzyskać", nie licząc się zgoła z trudnym problemem pojednania dążeń litewsko-kowieńskich z dążeniami ludności wileńskiej. Struny nacjonalizmu brzęczą w „Lietuvie" po dawnemu, ale w niczym to nie ułatwia rozwiązania sprawy. Patrzącemu na to z ubocza może się nawet zdawać, że wszystko, co się mówi i szepcze o nowych usposobieniach liberalnych w sprawie wileńskiej w rządzie, jest tylko jakąś grą w maskaradę, bo ton „Lietuvy" nie zdradza żadnych odchyleń od dawnych formuł maksymalizmu nacjonalistycznego. Ukazanie się przeto w „Lietuvie" choć kilku artykułów, traktujących sprawę wileńską inaczej, a mianowicie jako problem porozumienia wileńsko-kowieńskiego, nie zaś aneksji Wilna do Litwy Kowieńskiej, i problem kooperacji państwowej dzielnic Litwy, nie zaś zapanowania większości nad cząstką, uczyniłoby bardzo dobre wrażenie tak w Wilnie, jak na Polaków tutejszych i poza tym obudzić by mogło większy krytycyzm w tej kwestii w litewskich masach inteligencko-urzędniczych. Byłoby to przyjęte jako charakterystyczny wskaźnik nowych nastrojów w opinii rządowej i byłoby akurat na czasie jako dodatni czynnik atmosfery dla rozpoczynającej się akcji porozumiewawczej społecznej między Kownem a Wilnem. Choć muszę z żalem przyznać, że ze względu na usposobienie polsko-wileńskich kół politycznych nie wierzę w natychmiastową skuteczność tej akcji porozumiewawczej, która się musi na razie rozbić o kwestię stosunku Litwy do Polski, stawianą przez Wilno w sposób gwałcący suwerenność Litwy, jednak mam przekonanie, że akcja ta zmarnowaną nie będzie: przyczyni się ona do większego skonkretyzowania problemu i jego formuł rozwiązania, zbliży stanowiska stron w przedmiocie założeń wewnętrznej ludowy Litwy i – co zwłaszcza będzie, moim zdaniem, ważne – przyczynić się powinna do rozproszenia głęboko utrwalonej w Wilnie legendy o tym, że Kowno na żadne ustępstwa nie idzie, nie chce słyszeć o jakimkolwiek uszanowaniu indywidualności Wilna i jest niewzruszone w uporze mechanicznego podporządkowania Wilna większości litewskiej. Trzeba przyznać, że ta legenda, która bardzo szkodzi Litwie w Wileńszczyźnie, ma jednak dość realne uzasadnienie w dotychczasowej polityce Kowna. Otóż dla rozproszenia tej legendy w akcji porozumiewawczej niezmiernie pożądanym jest ukazanie się szeregu artykułów o pewnym kierunku w „Lietuvie". My to w Komisji zrobić możemy i ja sam się tych artykułów podejmę, ale musimy mieć gwarancję, że redaktorowie „Lietuvy" nie będą mogli ani artykułów naszych odrzucić, ano dokonywać w nich zmian. Postawiłem przeto me żądanie tak, aby, o ile artykuł, dostarczony w sprawie wileńskiej przeze mnie lub innego członka, zostanie zaakceptowany przez jej prezesa Wacława Biržiškę i przez to samo zyszcze stempel Komisji, redakcja „Lietuvy" musiałaby go wydrukować. Niech sobie równolegle drukuje w tejże sprawie jakie chce inne artykuły, choćby różniące się tendencją: wytworzyłby się przynajmniej różnolity dwugłos „Lietuvy", który w każdym razie już by nie był monogłosem starego prądu, co dałoby już ludziom do myślenia, a ze sprzecznego dwugłosu jedno ze zdań będzie musiało stopniowo zatriumfować. Purycki obiecał, że takie zlecenie będzie redakcji „Lietuvy" dane. Korzystając z tego, napisałem wczoraj artykuł pod tytułem „Kooperacja jako zasada państwowa Litwy", w którym mocno tę zasadę o współżyciu dzielnic Litwy (Kłajpedy-Kowna-Wilna) podkreśliłem[299]. Umyślnie nie konkretyzowałem zbytnio formuł prawno-państwowych zrealizowania tej kooperacji, aby to zostawić otwartym do ewentualnego układu w taki sposób, by w to założenie zmieścić wszystko, nie cofając się nawet przed

299 Przypuszczalnie artykuł był opublikowany tylko w wersji polskiej.

ewentualnością systemu kantonalnego. Biržiška zaakceptował tytuł i po tłumaczeniu na litewski da go „Lietuvie".

24 stycznia, rok 1921, poniedziałek
Doręczono mi dziś w sądzie awizację z poczty na list polecony na moje imię, datowany z Cytowian. Siedziałem na sesji sądowej, więc odebrać listu z poczty nie mogłem. Gdym się w godzinach poobiednich po list zgłosił, nie wydano mi go, bo było za późno. Muszę więc zaczekać do jutra. Prawdopodobnie jest to list od Eugeniusza Römera, ale nie mogę się oprzeć nadziei, która tryska mi z serca, że a nuż... może... będzie to listek od mojej Cesi! A nuż by się moja prośba, którą kierowałem do Eugeniusza, potem do Reginy – miała spełnić. Rozum mi mówi, że to nieprawdopodobne, bo wszak mi już pisał Eugeniusz, że Regina o tym „jeszcze" słyszeć nie chce i wszak znam upór kamienny Reginy! Ale gdybyż tak nagle Regina była na jedną chwilkę zmiękła i pozwoliła czy kazała córce napisać do ojca! Gdyby! Ta awizacja na list z Cytowian wzruszyła mię do głębi, choć z pewnością, niestety, po to tylko, aby mi raz jeszcze rozczarowanie zgotować. Dziwnie jednak budzi się we mnie instynkt miłości do dziecka. Mama – Aninka – Cesia – te trzy kobiety są kabałą mego serca. Mama, która mi dała życia i miłość i która serce mi i rozum zbudowała, leży w grobach rodzinnych w podziemiach starej fary w Trokach, Aninka, która mi dała szczęście i przez którą poznałem piękno życia, leży na cichym cmentarzu ewangelickim w Wilnie. Obie – umarły. Cesia, dziewczynka, która ledwie sama żyć zaczyna, nie dała mi z siebie nic. A jednak jakiś mistyczny pociąg wiąże mię do niej. Ona jedna z tych trzech istot moich żyje, choć jest dla mnie mniej realną od tych, które umarły. Życie Cesi jest dla mnie jakąś legendą, bo fizycznie jest ona dla mnie niedostępną, niedotykalną i niewidzialną. Zdaje się, że gdybym ją ujrzał, dotknął, nawet list od niej, jej ręką pisany, otrzymał, miałbym poczucie cudu. Czyżby ten cud był tak bliski i spoczywał na poczcie w Kownie! Skąd u mnie to przywiązanie do córki, której nie znam wcale, do córki, zrodzonej z kobiety, której nie kochałem i która mię nienawidzi? Przywiązanie to rośnie we mnie z roku na rok jak ziarno, które kiełkuje w gruncie biernym i wyrasta na drzewo ogromne. W pierwszym roku po urodzeniu córki, póki nie poznałem Aninki, tęskniłem do córki i marzyłem o niej. Przez czas naszego związku z Anną nie myślałem o córce. Zobojętniała mi ona, nie kochałem jej. Natomiast po śmierci Anny stopniowo Cesia znów mi się w sercu budzić zaczęła i rosnąć. Instynkt krwi! Ale cóż ta pleśń planety, zwana człowiekiem, jest za osobliwość, by cząstka materii, oddzielona od niej, fizycznie oderwana, psychicznie nieznana, mogła tak na nią oddziaływać, czego w naturze w pozaludzkich stosunkach materii – nie widzimy nigdy. Czy nie bluźnię, Boże! Stawiam kropkę i nie dociekam. Ale jeżeli kocham Cesię, to o ileż bym ją kochał bardziej, gdyby była ona nie córką moją tylko, ale córką moją i Aninki – naszą! Jak bym ją wtedy kochał – czy na to jest słowo w jakimkolwiek języku ludzkim!
W „Lietuvie" jest dziś wzmianka o tym, że do sejmu w Wilnie nie dojdzie, że nie dopuści do tego Liga Narodów. Zakomunikowano, że Chardingny oświadczył urzędowo w Kownie, iż Liga zaprotestowała przeciwko sejmowi i zażądała od Polski powstrzymania wyborów i zapewnił, iż do sejmu nie dojdzie. Czy to tylko kaczka dziennikarska, czy jakiś manewr Chardigny, czy też pewnik, może nawet ustalony w porozumieniu z Polską? To ostatnie nie jest nieprawdopodobne. Wśród wersji, które otrzymałem w Wilnie, nie brakło i bardzo poważnych w tym właśnie kierunku. Pomimo rozpoczętych działań wyborczych, sprawa zwołania tego sejmu bynajmniej nie jest niewzruszona. Za daleko bym zaszedł, gdybym chciał tu analizować wszystkie względy i czynniki, które nadają prawdopodobieństwo nie tylko temu, że może do sejmu tego nie

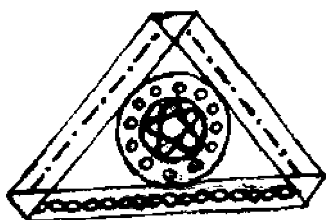
dojść w ogóle, ale nawet temu, że ewentualnie sama Polska w pewnych warunkach gotowa jest własnymi rękami to zapoczątkowane dzieło udusić.
Dotknę jeszcze jednej sprawy, którą podniósł Purycki na naszym sobotnim posiedzeniu Komisji do spraw Litwy Wschodniej (nazwa litewska tej Komisji: „Lietuvos Rytų Komisija”). Chodzi o to, czy należy, aby Kowno dostarczało Wilnu żywności w warunkach obecnych, w szczególności – takich produktów, jak cukier, sól, których w Wilnie jest brak dotkliwy, a których Kowno ma pod dostatkiem, czy też należy granicę dla wywozu z Kowna do Wilna zamknąć bezwzględnie. Że szmugiel z Kowieńszczyzny do Wileńszczyzny idzie ciągle i na wielką skale – to aż nadto dobrze i powszechnie wiadomo. Żadne usiłowania ze strony władz kowieńskich nie są w stanie temu zapobiec. Chodzi jednak o wywóz legalny. Popularny pogląd na tę sprawę, ustalony w opinii litewskiej, jest ten, że należy nic nie dawać Wileńszczyźnie, dopóki ona jest w ręku polskim, aby jej dać poczuć, jak dalece ona pod względem materialnym (żywnościowym) jest zależna od Kowna i jak ciężkie są dla niej skutki rozdziału politycznego. Opinia ta uważa, że tą drogą można przemówić do przekonania Wilnian i że zamknięcie granicy dla wywozu jest to pono najskuteczniejsza broń agitacyjna Litwinów na rzecz wytworzenia w Wileńszczyźnie prądu do połączenia z Litwą. W ostatnich czasach władze litewskie (Ministerium Przemysłu i Handlu – Gałwanowski, za wiedzą i zgodą Ministerium Spraw Zagranicznych – Purycki) uczyniły pewien wyłom w tej polityce i udzieliły parokrotnie pozwolenia na wywóz do Wilna kilku wagonów soli (czy sól ta została wywieziona – nie wiem; zdaje się, że nie). Otóż z tego powodu wszczął się w opinii litewskiej alarm. Uderzyła na alarm prasa, nie wyłączając esdeckiej (Kairys w ostatnim numerze „Socijaldemokratas”), podniesiono krzyk w stronnictwach politycznych i w szerokich kołach społeczeństwa. Niektórzy wybitni Litwini z Wilna, w tej liczbie stary Basanowicz, zwrócili się listownie do rządu protestując przeciwko dowozowi i wyrzekaniu się tak ważnej broni agitacyjnej i stwierdzając, że oni osobiście wolą być głodni, niż mieć za tę cenę lepsze warunki żywnościowe w Wilnie.

25 stycznia, rok 1921, wtorek
Byłem na poczcie po list z Cytowian. Okazało się jednak, że list ten był przyszedł w czasie mojej ostatniej bytności w Wilnie, a ponieważ w Sądzie Okręgowym, dokąd list był adresowany, oświadczono, że wyjechałem do Wilna i listu nie przyjęto, poczta odesłała go do Cytowian z powrotem. Nadal więc nie wiem, co to był za list. Napiszę, zapytując, do Eugeniusza.
Nic jeszcze nie wiadomo, kiedy odejdzie pociąg do Wilna. Wobec tego nie wiadomo też, kiedy tam pojadę z delegatami ludowców i socjalnych demokratów.
Rano o godz. 10 miałem dziś rozmowę z gronom *leaderów* stronnictwa „Pažangi”. Rozmowa była wyznaczona w mieszkaniu Antoniego Smetony. Uczestniczyli w niej z ramienia „Pažangi” – Smetona, Voldemaras, Noreika i ks. Tumas; ten ostatni wszakże wkrótce wyszedł. Moje wrażenie z tej rozmowy – się ona nie udała, choć skądinąd dowiedziałem się z niej dużo ciekawego o stanowisku „Pažangi” w sprawie wileńskiej i w ogóle. Rozmowę tę zainicjowałem dla zbadania, czy „Pažanga” nie byłaby skłonna wziąć udział w projektowanej w Wilnie akcji porozumiewawczej, a przynajmniej przy tej okazji wysłać do Wilna kogoś dla wysondowania gruntu i ewemtualnie nawiązania kontaktu z pokrewnymi jej społecznie lub politycznie elementami polsko-wileńskiemi, o ile się takie znajdą. Po wysłuchaniu mojego obszernego referatu o stosunkach wileńskich i naturze oraz szansach zapoczątkowanej akcji porozumiewawczej, referatu, który zresztą tym razem nie bardzo mi się udał, zabierali głos Voldemaras i Smetona. Na ogół wyrazili oni stosunek ujemny do takiej akcji porozumiewawczej i od udziału w

jakichkolwiek próbach jazdy i szukania kontaktu uchylili się. Streszczę tutaj tylko w ogólnych zarysach, jak się oni w ogóle na te sprawy zapatrują. W przeciwstawieniu do innych stronnictw politycznych, które operują frazesem i demagogią, uważają oni siebie za stronnictwo realne budowy państwowej. Wszystkie narody i kraje, które były ujarzmione i usiłowały po tej wojnie ustalić swoją niepodległość i zakładać państwowość, traktowały państwo nie jako pewien kompleks terytorialno-ludnościowy, który musi być budowany logicznie, uwzględniając dziejowe czynniki społeczne i gospodarcze, które go wiążą w całość i zarazem wyodrębniają na zewnętrz, lecz jako podstawę dla narodowości, to znaczy metodą nacjonalistyczną, mimo że zjawisko narodowości, to znaczy języka i kultury, ma inną zgoła ekspansję, niż mieć może terytorium państwowe. Wilno i Kowno, to znaczy Litwa, spojone są społecznie itd., bez względu na różnice narodowości wewnętrzne. „Pažanga" wie, że różnice narodowości są i pozostaną w Litwie; usuwać ich ona nie myśli i nigdy nie będzie żądać litwinizacji ludności; czego wszakże żąda kategorycznie – to upaństwowienia się tej ludności. Jest ona zresztą przekonana, że czynniki, spajające Wilno z Litwą, są tak silne, że zawsze dojdą do głosu i przemówią do świadomości ludu wbrew agitacji demagogicznej przeciwnej. Spojenie Litwy dokona się choćby automatycznie, bo jest koniecznością. Dlatego spokojnie patrzy w przyszłość, pomimo że jest przygotowana na to, że załatwienie sprawy wileńskiej w duchu państwowości litewskiej może być kwestią długich lat, może nawet lat 10 i 20, i że ewentualnie czasowo zatriumfować może aneksja do Polski. Pod względem zresztą mocnego niewzruszonego przekonania o tym, że wcześniej czy później Wilno musi się połączyć z Litwą i że aneksyjno-polskie rozwiązanie sprawy wileńskiej jest nietrwałe, jeżeli się nawet na razie zrealizuje, z „Pažangą" jest zgodne cała społeczeństwo litewskie i wszystkie jego stronnictwa, co przyczynia się do spokoju i zrównoważenia Litwinów w traktowaniu sprawy wileńskiej, w przeciwieństwie do gorączkowej nerwowości, jaką wykazuje w tejże sprawie strona polska, mimo że dziś, podług wszelkich danych, warunki sprzyjają rozwiązaniu polskiemu. „Pažanga" uważa, że wszelka akcja na rzecz szukania porozumienia z Wilnem, a raczej z działającymi tam stronnictwami polskimi, jest zbyteczna i również zbyteczne jest forsowne zdobywanie opinii ludności Wileńszczyzny. Jej zdaniem – musi przyjść czas, że ta opinia sama się zwróci do Litwy i sama szukać będzie tego związku. Dziś ludność wileńska, pod wpływem różnych czynników demagogii różnych pozorów, wierzy w zbawienie z Polski i na włączenie do Polski zapatruje się tak, jak Żydzi na przyjście Mesjasza. Gdy ktoś wierzy w Mesjasza, trudno go przekonać argumentami do czegoś innego. Dlatego próżne są usiłowania „porozumienia" i działania w tym kierunku. Zawód przyjdzie sam i logika rzeczy oraz zdrowy instynkt statecznych elementów ludowych zrobią swoje. Tu Smetona w dłuższym przemówieniu uczynił analogię do podobnej sytuacji w kwestii społecznej. W młodych wyzwolonych państwach społeczeństwa na razie uległy atrakcji frazesów i demagogii. Stronnictwa rzuciły się na tanią agitację demagogicznych jaskrawych obietnic. W Łotwie, Estonii, w Litwie w wyborach zwyciężali ci, co byli najhałaśliwsi. Dla tych powodów stronnictwa realne, takie, jak „Pažanga", która frazesem i demagogią nie operuje, w pierwszym momencie przegrały, w Sejmie nie mają ani jednego posła. Ale w toku realnej pracy sejmowej i rządowej rychło uwydatnia się jałowość tych, co na frazesie wyjeżdżali. Społeczeństwa w pierwszym momencie wyzwolenia podobne są do uwolnionego z więzów cielęcia, które pędzi rozbrykane z zadartym ogonem. Potem wszakże przychodzi rozwaga i realne interesy biorą w świadomości górę nad frazesem taniej demagogii. W Estonii coraz częściej się zdarza, że w wyborach miejskich ludność w większości estońska wybiera do Rady Miejskiej Niemców, pomimo że nawet przed wojną Rady Miejskie były już tam w większości estońskie. Dlaczego Niemców?

Dlatego, że ludność uważa ich za lepiej się kwalifikujących do gospodarki miejskiej. Nie brak analogicznych objawów otrzeźwienia społecznego i w Litwie, a wtedy na miejsce demagogów do głosu ci, co umieją pracować realnie i tworzyć coś konkretnego. Tak samo z Wilnem. Gdy ludy Litwy Kowieńskiej, Łotwy, Estonii już przeszły przez spazm rozwydrzenia cielęcego i w szkole roboty państwowej już trzeźwieją, to Wilno, które dotąd żyło tylko dyktaturami wojskowymi, dopiero się gotuje do tej choroby demagogii i frazesu, choroby rozbrykania i zadartego ogona, tak pod względem narodowym, jak społecznym. Próbować je przekonywać, żeby zaniechało tego i, stuliwszy ogon, zastanowiło się nad realnymi względami – to rzecz próżna. Dla podobnych względów „Pažanga" potępia nawet politykę rządu, która się wyraziła w posłaniu w grudniu do Warszawy delegacji Staugaitisa i wystawieniu propozycji litewskich (znane 12 punktów). Słowem, „Pažanga" jest przeciwna jakiemukolwiek gadaniu i graniu na pozorach. Nie neguje ona pożytku samodzielnej własnej akcji społecznej w Wilnie, ale na to nie ma sił i środków, ponieważ ona tymże się zajmuje tu w Kownie. A sprawa wileńska dojrzeje sama i dlatego będzie jeszcze czas do działania.

26 stycznia, rok 1921, środa



List polecony z Cytowian otrzymałem. Widocznie nie był on jeszcze odesłany z powrotem, bo gdy wróciłem po obiedzie z miasta do domu, znalazłem go na stole. Ale był to, jak się domyślałem, tylko list od Eugeniusza Römera. Złudzenia moje – prysły. Tak się i należało spodziewać. Tylko głupie serce niepotrzebnie roi.
Wieczorem u Jerzego Šaulysa odbyło się posiedzenie naszego związku ścisłego. Ale mało osób się stawiło. Byli tylko: ja, Šaulys, Kairys, Wacław Biržiška, Janulaitis i Bortkiewiczowa. Na porządku dziennym postawiłem omówienie sprawy dowozu żywności do Wilna. Dotknąłem tej sprawy w dzienniku pozawczoraj. Została ona podniesiona w sobotę przez ministra Puryckiego na posiedzeniu naszej Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Purycki ją nam wtedy zreferował i prosił, aby Komisja się co do niej wypowiedziała, ponieważ jest ona jednym z bardzo poważnych zagadnień polityki litewskiej w sprawie wileńskiej, a ponieważ nasza Komisja została stworzona w celu planowego skupienia całej polityki w jednym ręku i wytworzenia akcji jednolitej i programowej w sprawie wileńskiej, więc oczywiście i tą kwestią, jedną z bardzo istotnych, powinna się Komisja zająć. Na skutek krzyku, który się podniósł w społeczeństwie i w prasie litewskiej z powodu wieści o udzieleniu przez władze pozwoleń na wywóz wagonów soli (bodajże i cukru) do Wilna i na skutek listów protestujących od kilku wybitnych Litwinów z Wilna, sprawa ta, jak nam zreferował Purycki, była rozpoznawana na posiedzeniu Rady Ministrów, na którym większością głosów przeciwko dwóm głosom Puryckiego i Gałwanowskiego została przesądzona negatywnie decyzją o bezwzględnym – „hermetycznym" – zamknięciu granicy dla jakiegokolwiek wywozu produktów do Wilna. Purycki ma jednak wątpliwości co do słuszności i użyteczności takiej decyzji, powziętej zresztą zbyt pośpiesznie, bez głębokiej analizy założeń i dlatego przekazuje tę sprawę Komisji naszej, prosząc o zbadanie jej i przedstawienia mu następnie wniosków w motywowanym referacie, wyrażając przypuszczenie, że zdanie Komisji będzie uznane w Radzie Ministrów za

miarodajne. Motywy Puryckiego za dopuszczeniem dowozu produktów do Wilna są następujące: hermetycznie granicy się zamknąć nie da, bo szmugiel, który się prowadzi przez spekulantów i przyfrontową ludność na ogromną skalę, potrafi zawsze utorować sobie nie tylko ścieżki, ale i gościńce; szmugiel ten jest zbyt zyskownym procederem dla spekulantów, aby się go wyrzekli, a władze przy największym wysiłku nie zdołają go skutecznie zatamować, szmugiel ten jest złem, bo wywożąc produkty z kraju, nie daje mu natomiast żadnych korzyści, ani fiskalnych, ani politycznych, jeno szkodę; czy nie lepiej więc, w drodze legalizacji wywozu, ująć w ręce rządu kontrolę nad nim i możność pewnego normowania go, osiągając tą drogą, po pierwsze, pewne korzyści fiskalne, a może i polityczne; bądź co bądź Litwa uważa Wileńszczyznę za część swojego terytorium i jej ludność – za swoich obywateli, czy zatem słuszne ze stanowiska państwowego i moralnego jest pozostawienie tej nieszczęśliwej wygłodzonej ludności bez pomocy, gdy się ma możność dopomagania jej, i czy udzielenie tej pomocy przez Litwę nie byłoby raczej atutem nawet politycznie dodatnim, pociągając jej sympatie do Litwy. Po przemówieniu Puryckiego zabrałem głos ja i wskazałem, że, abstrahując się od względów fiskalnych i li tylko humanitarnych i rozważając rzecz ze stanowiska atutów politycznych, przychylne na rzecz wywozu rozwiązanie tej kwestii zależeć powinno od tego, czy można wywóz organizować i wykonywać w ten sposób, aby, po pierwsze, mieć gwarancję, że produkty będą dochodziły do samej ludności wileńskiej, nie przechodząc tranzytem do Polski i nie wsiąkając w wojsko Żeligowskiego, którego prowiantowanie i zasilanie nie może być dla Litwy pożądane, i po wtóre, od tego, czy da się osiągnąć ten efekt, aby ludność, spożywająca te produkty, miała świadomość, że pochodzą one z dowozu kowieńskiego; gdyby te gwarancje były ziszczalne, dowóz byłby atutem dodatnim, bo znękana materialnie ludność Wileńszczyzny mogłaby być tym atutem zniechęcana do prądów politycznych, skierowanych do oderwania Wilna i odcięcia go od Litwy; że wszakże trzeba liczyć się z faktami, na które wskazywał w „Socijaldemokratas" Kairys, że elementy polsko-aneksjonistyczne w Wilnie wraz ze swą prasą podobno usiłują, a w każdym razie mogą usiłować przy dowozie produktów z Kowna ukrywać ich pochodzenie i natomiast rozgłaszać o dowozie ich z Polski, wyzyskując tym dowóz na rzecz właśnie ściślejszego wiązania nastrojów ludności z Polską; że zatem wywóz prywatny, spekulacyjny, choćby ulegalizowany, nie spełni żadnych spodziewanych korzyści politycznych i może – przeciwnie – zaszkodzić, że wszakże gdyby się dało zorganizować go na zasadach publicznych, np. za pośrednictwem jawnym i głośnym Komisji Kontroli Ligi Narodów – mógłby on być politycznie dodatni i skuteczny.

27 stycznia, rok 1921, czwartek

Zatrzymam się jeszcze w dalszym ciągu nad sprawą dowozu produktów żywności z Kowieńszczyzny do Wilna. Mówiłem, jak postawił tę sprawę wobec naszej Komisji Purycki i jak się ja co do niej wypowiedziałem. Po mnie zabrał głos członek naszej Komisji Rozenbaum. Zajął w tej kwestii stanowisko zdecydowanie ujemnie, analogiczne do stanowisku tych Litwinów wileńskich, którzy nadesłali alarmujące listy do rządu z protestem. Zaczął od tego, że wskazał, iż jest to już w naturze psychiki ludzkiej, że człowiek, gdy mu jest dobrze, nie analizuje przyczyn i źródeł, z których ten stan dobry wypływa, jeno czuje ogólne zadowolenie ze stanu istniejącego; tak też ludność wileńska, jeżeli Kowno jej dopomoże do nasycenia się, nie będzie myślała o żadnej wdzięczności dla Kowna, jeno, syta i zadowolona, będzie akceptowała rządy Żeligowskiego i, nie czując bezpośrednio ujemnych tego rządu skutków, jak również ujemnych skutków odseparowania od Litwy Kowieńskiej, będzie z łatwością, siłą inercji, iść na lep demagogicznej agitacji na rzecz oderwania Wilna od Litwy i aneksji

do Polski; zadowolenie ludności będzie więc, niezależnie od tego, kto się do tego zadowolenia przyczynia, utrwalało rządy Żeligowskiego i wrogie dla Litwy tendencje, że natomiast gdy ludność będzie odczuwała bezpośrednio głód i wszelkie ujemne skutki panowania rządów Żeligowskiego i oderwania od Kowieńszczyzny, to będzie się od tych rządów odwracała i sam żołądek ludności zatęskni do takich warunków bytowania politycznego, które sytuację polepszą, a że polepszenie to może przyjść w pierwszym rzędzie z Litwy Kowieńskiej, więc utrzymanie w całym rygorze skutków odcięcia od Kowna powinno być nakazem kategorycznym polityki litewskiej w Wilnie w warunkach obecnych; Kowno przeto nie powinno w żadnej mierze przyczyniać się do łagodzenia sytuacji w Wilnie pod rządami Żeligowskiego; nie powinno być żadnego legalnego dowozu żywności, gdyby nawet można go było tak zorganizować, aby ludność wiedziała dokładnie, że żywność jest dostarczana z Kowna, a szmugiel należy tępić i walczyć z nim bezwzględnie. W odpowiedzi Rozenbaumowi z wręcz przeciwnym zdaniem zabrał głos na posiedzeniu Komisji Jonynas. Wskazał on, że system ogładzania ludności nigdy nie może być pożytecznym dla ogładzających, może to być użyteczne jako środek walki z przeciwnikiem, co np. było stosowane bardzo skutecznie podczas Wielkiej Wojny przez Aliantów względem Niemiec, ale nigdy nie może być środkiem pozyskania sympatii ogładzanej ludności; gdyby Wileńszczyzna była krajem nieprzyjacielskim i byłaby za taki uważana przez Kowno, ogładzanie mogłoby być wskazane; ale jeżeli Litwie chodzi o pozyskanie sympatii Wileńszczyzny, o wytworzenie tam prądów na rzecz połączenia z Litwą, to metodą ogładzania tego się nie osiągnie nigdy; próbowała Ententa sforsować bolszewizm w Rosji blokadą – na próżno; blokada Rosji i usiłowanie wygłodzenia jej nie nawróciło Rosji do caratu ani wytworzyło w masach rosyjskich sympatii dla Koalicji; zwalczanie szmuglu też jest próżną nadzieją; trzeba go zwalczać, ale niepodobna liczyć na to, że go się wytępi radykalnie; w czasie blokady urzędowej Rosji ci sami spekulanci angielscy i Francuzi, zwabieni zyskami, dostarczyli Rosji szmuglem na olbrzymią skalę – amunicję; jeżeli ludność Wileńska będzie miała świadomość, że Litwa Kowieńska ma możność dopomożenia jej i złagodzenia jej cierpień, a nie czyni tego, by złamać przez to jej wolę, to poczucie to jeno rozgoryczy bardziej tę ludność przeciwko Kownu i odstręczy od Litwy, działającej jak macocha; na bohaterstwo ofiary głodowej dla dobra sprawy mogą być zdolni ci, którzy są do sprawy bezwzględnie przekonani, ale liczyć na to, że wygłodzenie ludności spolonizowanej i rozagitowanej przeciwko Litwie pozyszcze ją dla niej – to naiwne i błędne, oparte na nieznajomości psychologii ludzkiej; to, że kilku Litwinów ze starego pokolenia działaczy, jak Basanowicz, którzy nie stykają się z szeroką ludnością Wilna i Wileńszczyzny i, zamknięci w gabinetach swoich, pełni nienawiści i goryczy, marzą o przekonaniu ludności głodem o pożytku połączenia z Litwą – nie może być argumentem i dowóz żywności z Kowna do Wilna jest wskazany i powinien on być wykonywany tak, aby ludność mogła jak najszerzej wiedzieć o tym; trzeba tylko mieć gwarancje, że produkty te nie pójdą na użytek wojska Żeligowskiego i że firma kowieńskiego pochodzenia dowozu nie będzie zatajona, lecz przeciwnie – najszerzej upowszechniona; robić to będzie wrażenie li tylko dodatnie i raczej przyczyniać się do prądów połączenia z Litwą, by korzystanie z produktów utrwalić, niż szkodzić temu; wszakże Jonynas jest przeciwny korzystaniu w tej sprawie z jakiejkolwiek pomocy pośredniczej Komisji Kontroli Ligi Narodów, choćby po prostu dlatego, by wpływu i autorytetu tej Komisji w oczach ludności i na zewnętrz nie zwiększać, bo to ze stanowiska polityki litewskiej nie jest wskazane; Komisja ta bowiem, a zwłaszcza Chardigny, jest stronna na niekorzyść Litwy, chcąc ją sforsować do jakichś związków z Polską, i nie ma żadnych gwarancji, że zająwszy się tą sprawą, nie pokierowałaby nią przeciwko Litwie, biorąc zasługę sobie; zresztą technicznie rzecz

ta nie leży w sferze zadań bezpośrednich Komisji; rozdziałem produktów w Wilnie mogłyby się zająć kooperatywy tameczne, a techniką dowozu i zaopatrzenia kooperatyw zająłby się albo Komitet Litewski w Wilnie, albo ktoś inny, nad czym należy się zastanowić; w każdym razie, dowóz ten powinien by być zorganizowany tylko społecznie, natomiast wykluczony powinien być udział w tym spekulantów i udzielanie przepustek na wywóz osobom prywatnym, bo czynnik zysku spaczy tę rzecz całą i nie da możności wykorzystania atutów tej akcji, pozbawiając jednocześnie sprawę wszelkich gwarancji. Również ostro potępił Jonynas pewne pomysły i zabiegi ze strony pewnych kół litewskich w Wilnie, aby uzyskać możność zaprowiantowania z Kowna instytucji narodowych litewskich w Wilnie, jak przytułki, ochronki, jadłodajnie itd. Także wyróżnianie przez Kowno Litwinów w Wilnie byłoby niepolityczne i niemoralne i czyniłoby na ogóle ludności wrażenie jak najgorsze, wskazując, że Kowno traktuje nie równo całą ludność, lecz stwarza jakieś szczególnie przywileje dla obywateli Litwinów. Kowno powinno starannie unikać w Wilnie pozorów nierównego traktowania obywateli.

28 stycznia, rok 1921, piątek
Wrócił z Wilna Rozenbaum. Jeździł on tam dla nawiązania stałej organizacji wzajemnych przesyłek prasy, listów i pism wszelkich między Kownem a Wilnem dla naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej. Przy tej sposobności wysłałem przez niego na ręce Zygmunta Jundziłła uprzedzenie o przyjeździe do Wilna najbliższym pociągiem delegacji ludowców i esdeków litewskich z Kowna. Z wracającym Rozenbaumem przyjechali z Wilna Jonynas i Michał Biržiška na parę dni. Jutro odbędzie się rano posiedzenie naszej Komisji z udziałem Michała Biržiški.
O Polsko! Ty żeś winna, że Wolność Litwy ludowej realizuje się nie z Tobą, lecz przeciwko Tobie! I jakąż ironią, Polsko, jest uchwała Twego Sejmu czy jego komisji zagranicznej, o czym się dowiaduję od Jonynasa, głosząca jednocześnie inkorporację Wilna do Polski i gotowość wejścia w stosunek federacyjny z okaleczoną Litwą, ograniczoną do Kowna! Spaczyłaś dzieło najpiękniejsze, jakieś mogła ułatwić na Wschodzie, spaczyłaś nie tę uchwałą swoją, bo nie jest ona żadnym przesądzeniem sprawy, aby całą polityką swoją względem Litwy i Białej Rusi. Ustami Piłsudskiego gasiłaś swobodny związek współpracy równych z równymi, a pragnęłaś w istocie panowania nad ludami. Nie będziesz go miała, Polsko, choćby Ci się nawet powiodło zaanektować Wilno z przyległym terytorium litewsko-białoruskim. Wrogów śmiertelnych jeno przez to w ludach tych sobie stwarzasz, a rabując je – śmiesz im o federacji mówić! Mogłaś z nich mieć towarzyszy, a mieć będziesz mścicieli, którzy Cię nienawidzą. Chciałaś mieć Unię Lubelską i każesz Wilnu grać rolę ówczesnego Podlasia. Przez Podlasie niegdyś złamałaś opór magnatów litewskich, ale dziś tą metodą oporu ludu, który pragnie żyć i być wolny, nie złamiesz. I pomimo wszystko mam jeszcze wiarę, że ten rozbrat, rękami Polski tworzony, upadnie i że solidarność nastanie jeszcze – solidarność między wolnymi.
Ale wracam do zjawisk realnych, do opowieści o biegu zagadnień konkretnych. Słów kilka jeszcze o sprawie dowozu żywności z Kowna do Wilna. Po przemówieniu Jonynasa na sobotnim posiedzeniu naszej Komisji, popartym przez Wacława Biržiškę, cała nasza Komisja, nie wyłączając pierwotnego oponenta Rozenbauma, zgodziła się na to, że dowóz taki, z zachowaniem zastrzeżeń, o których w przemówieniach naszych wspominaliśmy, będzie czynnikiem politycznie dodatnim. Naszej Komisji zlecone zostało przez Puryckiego opracowanie konkretnych wniosków w tej sprawie. Chcąc tę sprawę trochę spopularyzować, a zarazem wysłuchać, jakie mogą być zarzuty *contra*, postawiłem we środę tę sprawę na porządku dziennym posiedzenia naszego związku

ścisłego. Żałowałem, że nie było tam Ślażewicza, który jest osobą wpływową u ludowców. Okazało się, że wśród obecnych nie ma wcale zasadniczych przeciwników dowozu; wszyscy zgadzają się na to, że dowóz żywności z Kowna do Wilna byłby atutem politycznym dodatnim, pod trzema wszakże warunkami: 1. żeby dokonywał się on nie w drodze spekulacji prywatnej, lecz był zorganizowany na zasadach społecznych; 2. żeby produkty, które będą przywiezione, poszły istotnie na potrzeby ludności miejscowej i w każdym razie nie były zużytkowane dla wojsk Żeligowskiego; 3. żeby ludność wileńska wiedziała, że produkty przychodzą z Kowna. Cały spór między nami we środę dotyczył tylko tego, w jaki sposób konkretnie tę rzecz zorganizować, a właściwe kogo można by tu użyć za element pośredniczący przy rozdawnictwie tych produktów kooperatywom wileńskim. Jedni proponowali, aby tym się zajął Wileński Komitet Litewski (Wacław Biržiška), drudzy (Kairys), żeby powołać w tym celu specjalny komitet rozdawniczy w Wilnie, do którego by weszli przedstawiciele Komitetu Litewskiego, organizacji narodowych żydowskich i białoruskich oraz tych polskich, które nie stoją na stanowisku aneksyjnym. Wreszcie ja proponowałem, aby uczynić z tego akcję li tylko między kooperatywami, to znaczy w ten sposób, aby inicjatywa wyszła formalnie od kooperatyw kowieńskich do kooperatyw wileńskich i aby całą technikę rozdziału kooperatywom w Wilnie prowadzili delegaci kooperatyw kowieńskich. Z pewnością o sprawie tej będziemy mówili jeszcze jutro na posiedzeniu naszej Komisji z udziałem Michała Biržiški, a bardzo prawdopodobne, że ta sprawa zostanie poruszona w Wilnie przez delegacje ludowców i esdeków litewskich. W wykonaniu tej rzeczy mogą powstać poważne trudności ze strony władz wileńskich lub polskich elementów nacjonalistycznych w Wilnie, które będą się obawiały atrakcyjnej siły tych produktów z Kowna w stosunku do usposobień wygłodzonej ludzkości wileńskiej, tym bardziej, że aneksjoniści polscy systematycznie wmawiają ludowi, iż jedyny ratunek aprowizacyjny może przyjść z Polski. Ale przy odpowiednim rozgłoszeniu gotowości Kowna dostarczenia Wilnu cukru, soli, zboża sama ludność zgłodniała może wywrzeć taki nacisk na rząd i sfery decydujące w Wilnie, iż te będą musiały przyjąć ofertę na warunkach kowieńskich. Zresztą pod względem politycznym już sama gotowość Kowna dostarczania Wilnu żywności będzie atutem dodatnim. Trzeba uczynić wszystko, aby uwydatnić, że Kowno jest w stanie i chce zaopatrywać Wilno, a jeżeli są przeszkody – to nie ze strony Kowna.

29 stycznia, rok 1921, sobota.
Cały wieczór wczorajszy, od jakiejś godz. 5 po południu do północy, upłynął mi na pisaniu wielkiego artykułu, który przeznaczam dla Warszawy. W artykule tym omówiłem wyczerpująco problem stosunku Polski do Litwy i rolę kwestii wileńskiej w tym problemie. Scharakteryzowałem dosadnie obie popularne w Polsce metody „polskiego" rozwiązania sprawy – metodę aneksjonistów, którzy dążą do inkorporacji do Polski, pozostawiając Litwę Zachodnią (Kowieńską) jej własnemu losowi, względnie – ofiarowując okaleczonej Litwie możność „sfederowania się" z Polską, i metodę federalistów, którzy chcą sprawę wileńską użyć za narzędzie spekulacji politycznej, usiłując za oddanie Wilna Litwie wymusić na niej federację z Polską. Uwydatniłem błędy obu metod, w szczególności płytkość racjonalistycznej metody federalistów, wykazałem ujemne skutki proponowanych rozwiązań, podkreśliłem i uzasadniłem błąd zasadniczy tezy, przyjętej w założeniu tych metod – o traktowaniu Ziemi Wileńsko-Lidzko-Grodzieńskiej jako rzekomo etnicznego czy narodowego terytorium polskiego. Ustaliwszy natomiast tezę, że dzielnica ta jest narodowo mieszaną, i wykazawszy wiązadła, łączące ją z Litwą, stwierdziłem jako punkt wyjścia, że rozwiązanie zagadnienia Litwy może być tylko „litewskim", ale nie „polskim".

Wreszcie rozwinąłem zasady metody trzeciej, której bronię, mianowicie zrzeczenie się roszczeń niezasadnych Polski do Wilna i traktowanie wtedy z Litwą jako z wolną i równą dopiero stworzyłoby podstawę do realnego i trwałego zbliżenia obu krajów; zrzeczenie się zaś przez Polskę roszczeń do Wilna i łączność państwowa tegoż z Litwą nie powinny oczywiście uwłaszczać w niczym konsekwencjom odrębnej indywidualności dzielnicy wileńskiej w budowie wewnętrznej państwowego układu Litwy, w której zastrzeżone być mają wszelkie tej natury konsekwencje. Dodałem, że pod tym względem w świadomości Litwinów dokonywa się dojrzewanie szybkie i że są wszelkie dane do twierdzenia, iż zastrzeżenia takie nie napotkają w realizacji żadnych trudności i mogą być zresztą odpowiednio zagwarantowane. Artykuł ten odczytałem dziś Michałowi i Wacławowi Biržiškom i wyślę go przez Michała Biržiškę w rękopisie do Wilna dla przesłania do Warszawy. Daję go za podpisem moim. Skierują go do redakcji tygodnika „Przymierze", które wychodzi w Warszawie, poświęcone sprawom zbliżenia między państwami Wschodu po-rosyjskiego, ich obcowaniu i zapoznawaniu się wzajemnemu. Redaktorem „Przymierza" jest, zdaje się, Wakar[300]. „Przymierze" należy, zdaje się, do wyznawców federalizmu w sprawie Litwy i zapewne nie będzie się całkowicie zgadzać z moimi wywodami. Mniejsza mi o to. Niech je usiłuje zbijać i dyskutować z nimi. Dla mnie ważne jest to, aby dać szerokiej opinii publicznej w Polsce nowy pogląd w tej sprawie, którego z prasy polskiej, kołującej między li tylko dwomi biegunami „polskiego" rozwiązania sprawy Litwy, aneksjonistycznym i federacyjnym, nigdy poznać nie mogła. Spór między aneksjonizmem i federalizmem stał się jakąś scholastyką dla myśli polskiej w sprawie Litwy. Niech ujrzy nową metodę, w której dotąd nie myślała nigdy; niechaj ją razi nagły błysk światła w jednostajnym mroku, ale niech ujrzy i niech myśl swoją pobudzi do pracy.

Bardzo ujemne i przygnębiające wrażenie sprawiła na opinię litewską wiadomość, która się rozeszła lotem błyskawicy i podana została w prasie, o tym, że zjazd premierów czy też Rada Ambasadorów głównych mocarstw Ententy powzięła decyzję o uznaniu *„de jure"* Łotwy i Estonii, natomiast co do Litwy – postanowiła uznanie *„de jure"* odroczyć do czasu rozstrzygnięcia spornej sprawy wileńskiej, zaznaczając wszakże formalnie swoją przychylność; po litewsku odnośny wyraz podany w brzmieniu „užuojauta", co znaczy dosłownie „współczucie" dla usiłowań niepodległościowych narodu litewskiego. Wprawdzie ta ostatnia pigułka osłodziła nieco cios, którym dotknięta została tą uchwałą Litwa, bo oznacza ona, że jednak mocarstwa „Ententy" uznają w zasadzie niepodległościowe rozwiązanie kwestii litewskiej, jednak niemniej cios jest dla Litwy bolesny. Wiadomo, jakim atutem ogromnej wagi jest dla młodych tworów państwowych, które wciąż się obawiają zakwestionowania swego bytu państwowego przez przyszłą pobolszewicką Rosję i względnie przez innych drapieżnych sąsiadów, ich uznanie *„de jure"* przez potęgi Ententy, które dziś przesądzają losy świata. Jest to dla nich sprawa ich legalizacji międzynarodowej, broń opieki formalnej prawa. Lżej było Litwie znosić dotąd odmowę legalizacji międzynarodowej, dopóki odmowa ta dotyczyła nie jej samej, lecz także sąsiadów, będących w tymże, co ona położeniu – Łotwy i Estonii. Lecz oto gdy tamte zostały uznane, Litwa zostaje nagle wyłączona i samotna, co pogarsza jej stanowisko i stawia ją w pozycji niższej. Cios ten odczuli Litwini bardzo boleśnie. Ponieważ motywem odmowy jest sprawa wileńska, więc oczywiście żal Litwinów zwraca się ostro przeciwko Polsce, która jest sprawczynią tego, czy pośrednią, czy może nawet bezpośrednią. Zapanowało z tego powodu

300 Włodzimierz Wakar (1885-1933), ekonomista, statystyk, działacz samorządowy, publicysta, autor „Myśli Narodowej", wykładowca Głównej Szkoły Handlowej w Warszawie, współtwórca projektu pierwszej ordynacji wyborczej I projektu konstytucji, kierownik Instytutu Gospodarstwa Społecznego.

usposobienie wśród Litwinów bardzo nerwowe. Nie tylko zwykli krzykacze i arcynacjonaliści, gotowi zawsze do podjudzaniu nienawiści do Polski i Polaków, lecz wielu nawet poważnych i statecznych ludzi pod wpływem tego rozgoryczenia, tej nowej świadomości, że oto znowu, jak, niestety, zawsze dotąd, wszystkie biedy i przeszkody, wszystkie zawody w budownictwie państwowym Litwy spotykają je ze strony Polski, z oburzeniem żądają zaniechania wszelkich względów dla Polski, a także dla Polaków w kraju, odrzucenia wszystkiego, co w ostatnich czasach było czynione na rzecz i w kierunku złagodzenia stosunku do Polski i próbowania jakiegoś polubownego z nią ułatwienia konfliktu i domagają się nawet polityki bezwzględnej i ostrej represji względem Polaków w kraju, polityki zemsty i odwetu, polityki, która jeżeli nie będzie wyrazem taktu, to będzie przynajmniej wyrazem obrażonej godności, która zresztą w tych warunkach nie ma nic do stracenia bo takt i względy okazują się na nic. Ten moment zaognienia, moment przykrej goryczy nie sprzyja taktownemu i pojednawczemu umiarkowaniu politycznego kursu Puryckiego. Są nawet pogłoski o spodziewanym kryzysie rządu, który doprowadził do takiego niepowodzenia zewnętrznego. Ze strony sfer rządzących są usiłowania wpłynięcia na pewnego rodzaju uspokojenie, na przywrócenie równowagi w zbyt nerwowym nastroju.
Wieczorem odbyło się posiedzenie naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej z udziałem Michała Biržiški i także przygodnie – p. Felicji Bortkiewiczowej.

30 stycznia, rok 1921, niedziela
Nie widziałem dziś nikogo, bo oprócz krótkiej wycieczki do miasta na obiad, który zjadłem w cukierni Perkowskiego, gdzie się zwykle stołuję, i przy którym nie spotkałem się z nikim znajomym, calutki poza tym dzień spędziłem przy pracy w domu. Nie wiem więc, jaki kształt i kierunek przyjmują nastroje w litewskiej opinii publicznej z powodu uchwały konferencji premierów głównych mocarstw Ententy o uznaniu „*de jure*” Łotwy i Estonii i odroczeniu uznania Litwy do czasu rozstrzygnięcia sprawy wileńskiej. Że wieść o tej decyzji bardzo dotknęła opinię litewską, wywołała wielkie rozgoryczenie i podrażnienie nerwowe, które ostrzem głębokiej niechęci zwraca się przeciwko Polsce i Polakom, o tym już wiem dobrze z dnia wczorajszego. Litwini to traktują jako jeszcze jeden kamień, rzucony im pod nogi przez Polskę i gotowi są wybuchnąć zemstą. Oburzenie jest ogromne. Litwini posądzają, że konferencja premierów, za działaniem głównie Francji, chce ich tą decyzją sforsować do szukania wyjścia w objęciach Polski, na co Litwa za żadną cenę się nie zgadza i przeciwko czemu stałe walczy. Są wieści, że przedstawiciel Włoch na konferencji popierał gorąco zasadę uznania Litwy, co podnieca równolegle wyraz gorących sympatii Litwy do Włoch, które już raz w Lidze Narodów stały na czele tych państw, co głosowały za przyjęciem Litwy do Ligi. Ale czy wczorajsze pogłoski o mogącym z tego powodu wybuchnąć przesileniu gabinetowym mają szanse do sprawdzenia się i czy ku temu idzie – nie wiem.
Co do przesilenia gabinetowego, to przed tygodniem było ono bliskie, ale z innych zgoła powodów. Mianowicie w poniedziałek socjaliści-ludowcy-demokraci („liaudininkai”) rozważali nad tym, czy je nie wywołać. Wywołanie przesilenia jest zupełnie w ręku ludowców. Obecny bowiem gabinet dr Griniusa jest, jak wiadomo, wyrazem kompromisu (bloku większości) między ludowcami i chrześcijańskimi demokratami. Odwołanie przez ludowców swoich mężów zaufania z rządu wywołałoby w rządzie nie tylko kryzys częściowy, ale zupełny upadek gabinetu, bo przede wszystkim do ludowców należy sam prezes gabinetu Grinius. Ludowcy są niezadowoleni przede wszystkim z rządu, a następnie – z Sejmu i ze swoich wspólników większości – chrześcijańskich demokratów. Rządowi zarzucają oni, że nie

liczy się i nie spełnia uchwał sejmowych, w szczególności w przedmiocie ustaw, mających styczność z reformą agrarną, jak np. ustawa o upaństwowieniu lasów prywatnych. Zarzucają, że rząd w wykonaniu ustaw sejmowych kieruje się interpretacją dowolną, przeciwną zasadom tychże i że wykonywa je w drodze rozporządzeń, fałszujących zupełnie ustawy. Poza tym, gniewają się ludowcy na chrześcijańskich demokratów za ich jaskrawy zwrot wstecz w przedmiocie projektu reformy agrarnej. Istotnie, zwrot ten jest bardzo charakterystyczny i widoczny. Chrześcijańscy demokraci, którzy pierwej byli zdecydowani do przyjęcia normy maksimum własności rolnej nie ulegającej wywłaszczaniu w ilości 70 dziesięcin i przyjmowali zasadę wywłaszczenia bez odszkodowania, obecnie podnoszą już maksimum do 100 dziesięcin i przyjmują odszkodowanie, a są pewne poszlaki, że mogą pójść jeszcze dalej i że to nie jest jeszcze kres zwrotu. A ponieważ chrześcijańscy demokraci mają w Sejmie większość absolutną, więc ustawa rolna przejdzie tak, jak oni ją określą. Natomiast ludowcy stoją mocno na swojej tezie 50 dziesięciu maksimum bez odszkodowania. U nich teza o maksimum nie jest tezą oportunizmu i polityki, jak u demagogicznych chrześcijańskich demokratów, jeno konsekwencją zasady doktrynalnej, którą wyznają, o tym, że własność ziemska może być tylko warsztatem bezpośredniej pracy, nie zaś narzędziem produkcji kapitalistycznej i że przeto obywatel może tylko tyle posiadać ziemi, ile jest w stanie pracą swoją i rodziny uprawić (koncepcja, odpowiadająca dość ściśle psychice chłopów). Otóż w tych warunkach ludowcy nie chcieliby przez udział w rządzie ponosić odpowiedzialności za politykę społeczną i zwłaszcza agrarną rządu i Sejmu, który kompromituje ich w przekonaniu tych mas, które szły i idą za nim... Woleliby mieć ręce rozwiązane i znaleźć się w opozycji. Wszakże od decyzji ostatecznej na rzecz wywołania przesilenia gabinetowego wstrzymał ich jeszcze tym razem wzgląd na to, że w razie odwołania ich ludzi z rządu, chrześcijańscy demokraci, którym ludzi zdolnych do rządzenia brak zupełny (podobno Puryckiego, którego uważam za jednego ze zdolniejszych w obozie chrześcijańsko-demokratycznym, uważają oni za zbyt lewego i nie mają doń zaufania), będą zmuszeni do zapożyczenia kierowników rządu z prawicy, to znaczy z „Pažangi", jak np. Gałwanowskiego lub kogoś innego, co ludowcy uważaliby za jeszcze gorszy wynik ze względu na merytorycznie niechętne stanowisko „Pažangi" względem radykalizmu reformy agrarnej.
W każdym razie, stosunki tak się zdają układać, że bodaj niedaleki już jest termin, kiedy strącona z piedestału podczas wyborów do sejmu „Pažanga", czekająca powrotu swojej kolejki, może się znów znaleźć u szczytu. Przypowieść Antoniego Smetony o rozbrykanym cielęciu, pędzącym z zadartym ogonem, które się rychło zmęczy i uspokoi, przekonane o jałowości rozbrykanej „swobody", i wróci pokornie do pani matki, prosząc, by nim rządziła – może się sprawdzić. Kto wie, czy gdyby doszło dziś do przesilenia gabinetowego z powodu owej decyzji konferencji premierów w Paryżu, czy jeszcze „Pažanga" nie doszłaby przynajmniej do współwładzy, która siłą rzeczy dałaby jej kierownictwo i ster nad chrześcijańskimi demokratami, tym bardziej, że i w polityce zagranicznej, wiążącej się tak ściśle ze sprawą wileńską i stanowiącej, gdyby doszło do przesilenia, punkt wyjścia kryzysu, „Pažanga" ma swoje stanowisko zupełnie odrębne, przeciwstawiające się ostatnim charakterystycznym fazom obecnego rządu (zwłaszcza Puryckiego), o czym postaram się pomówić jutro.

31 stycznia, rok 1921, poniedziałek
Większą część dnia przesiedziałem na sesji w sądzie. Po raz pierwszy w Sądzie Okręgowym Kowieńskim wypadło mi przewodniczyć na sesji. Zasadą jest, że na posiedzeniu, o ile nie uczestniczy w nim prezes lub wiceprezes, przewodniczy ten z członków, który jest najstarszy terminem nominacji. Oprócz prezesa Mačysa i

wiceprezesa Piotrowskiego, starszymi ode mnie są sędziowie Preis, Fridman, Oleka i Budrecki. Jeżeli więc w posiedzeniu ze mną uczestniczy jeden z nich, to już ja przewodniczyć nie mogę. Młodszymi ode mnie terminem nominacji są sędziowie: Masiulis, Narutowicz, Rusteika, który mianowany został dopiero przed 10 dniami, i teraz jeszcze jeden, świeżo wraz z Rusteiką mianowany, który jeszcze nie zaczął urzędować i którego nawet nazwiska nie wiem. Prezes lub wiceprezes jednak tak wyznaczają zawsze sędziów do kompletu, aby przewodnictwo zapewnić sędziemu doświadczonemu, na którego takcie i wiedzy zawodowej można polegać. Toteż faktycznie prócz prezesa i wiceprezesa przewodniczą tylko Preis i Oleka. Nie znam wypadku, aby przewodniczył Fridman lub Budrecki; pierwszy może dlatego, że karykaturalnie mówi po litewsku, a może i dlatego, że jest Żydem, co jednak, pomimo politycznej przyjaźni litewsko-żydowskiej, mogłoby czynić ujemne wrażenie na uczestniczących w procesie chłopów; Budrecki zaś zapewne dlatego, że nie przedstawia gwarancji taktu i że jest na ogół słabym prawnikiem. Otóż na dziś Piotrowski wyznaczył komplet, złożony ze mnie, Masiulisa i Rusteiki, co automatycznie wysunęło mię na czoło kompletu jako przewodniczącego. Fakt ten uczynił na mnie wrażenie przyjemne, bo wziąłem go – słusznie czy niesłusznie – za oznakę, że zdobyłem opinię sędziego zdolniejszego i wprawnego. Wprawdzie w Łomży miałem tę opinię zawsze, uchodząc tam za gwiazdę sędziowską, jednak w Kownie, dokąd tradycje mego sędziostwa łomżyńskiego nie sięgały, byłem „*homo novus*”[301] i musiałem wyrabiać sobie opinię od początku, a ponieważ język litewski znaczne mi bądź co bądź utrudnia funkcjonowanie, więc nie mogłem się tak uwydatnić, jak w Łomży. Jednak widocznie zdobyłem nienajgorszą markę. Nie mogę zaprzeczyć, że mi to było przyjemne stwierdzić. Gdym się rano przekonałem, że mi wypadnie przewodniczyć, byłem jednak na razie stropiony, mimo że w Łomży byłem z tym aż nadto oswojony. Bałem się bowiem na razie, że mój kiepski akcent i wymowa litewska będą mi przeszkadzać w funkcjonowaniu. Ale poszło jakoś nieźle. Dawałem sobie radę i czułem się lepiej, niż pod przewodnictwem innej osoby. Sprawy były przeważnie trudne i wielce zawiłe. Sesja trwała do godz. 7 wieczorem z przerwą 1 ½ godziny na obiad.
Wspomniałem wczoraj, że kto wie, czy nie zbliża się czas, kiedy na czoło rządów Republiki Litewskiej wysunie się znowu „Pažanga”. Stronnictwo to, które uważa się za stronnictwo „państwowości litewskiej” i chlubi się tym, że reprezentuje najgłębszy realny zmysł państwowy, wolny od wszelkiej demagogii i frazesu, nie posiada w Sejmie Ustawodawczym ani jednego posła. Stronnictwo to jest widmem starej nieboszczki „Taryby”, dzieckiem jej ducha. Za czasów przedsejmowych stało ono u rządów, było piastunem u kolebki naradzającej się Litwy. Z jego łona wyszedł ówczesny tymczasowy prezydent Rzeczypospolitej – Antoni Smetona, pod jego egidą był sformowany rząd poprzedni z Gałwanowskim na czele i Voldemarasem u steru polityki zagranicznej. Na wyborach do Sejmu kraj dał wotum nieufności „Pažandze”, nie wybrawszy ani jednego posła spod jej znaku. Ale „Pažanga” nie zraziła się tym, ustąpiła władzę stronnictwom większości sejmowej, sformowanej z kompromisu chrześcijańskich demokratów z ludowcami i, uzbrojona skalpelem krytyki, stanęła na uboczu, nie tracąc rezonu i nie przestając na chwilę wierzyć i głosić, że w myśl przypowieści Smetony o rozbrykanym cielęciu, pędzącym z ogonem zadartym, kraj, rozczarowany w demagogii, po miodowych miesiącach bratania się z frazesem, wróci do niej. Że tak być może – jest to bardzo prawdopodobne, a nie jest wykluczone, że może nastąpić w niedługim czasie. Już chrześcijańscy demokraci zachwiali się w swoim radykalnym kierunku agrarnym i grawitują społecznie na prawo, co ich zbliża po trochę do „Pažangi”. Już ludowcy

301 Łac. – nowy człowiek.

zaczynają stygnąć dla sojuszu z chrześcijańskimi demokratami, myślą poważnie o rozbracie z nimi. Chrześcijańscy demokraci cierpią na ubóstwo ludzi, podczas gdy „Pažanga" ma ludzi „*ministeriables*"[302] do zbytku. Ostatni cios uchwały paryskiej uderza boleśnie Litwę w sferze jej stanowiska międzynarodowego. W opinii litewskiej budzi to zastanowienie nad polityką zagraniczną obecnego rządu. Powstać mogą wątpliwości, czy nie było w tej polityce błędów, czyniących ją odpowiedzialną za ten cios. I tu właściwie „Pažanga" występuje z własną, zupełnie odrębną koncepcją tej polityki litewskiej, przeciwstawiającą się polityce rządowej Puryckiego. Główne znaczenie ma tu oczywiście kierunek tej polityki wobec Polski i stosunek jej do sprawy wileńskiej. W polityce Puryckiego ujawniły się w tym względzie tezy pojednawcze. Głównymi wyrazami ich były: wysłanie do Warszawy delegacji dr Staugaitisa dla rokowań pokojowych z Polską, zgłoszenie przez tę delegację znanych 12 punktów, stanowiących podstawę propozycji litewskich, idących – trzeba przyznać – na dość znaczne ustępstwa w stosunku do dotychczasowego stanowiska Litwy w traktowaniu sprawy wileńskiej i stosunku do Polski, następnie – nie ujawniona dotąd formalnie, ale przyjęta przez Puryckiego faktycznie gotowość do udzielenia autonomii terytorialnej Wileńszczyźnie i zabiegi, czynione przezeń w tej mierze na rzecz zapewnienia przychylności frakcji sejmowych, dalej – w ogóle prąd liberalny Puryckiego w traktowaniu zagadnień akcji wileńskiej, wreszcie nawet – powołanie do życia naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej i jej skład osobisty. Na opinię litewską może czynić wrażenie, że kierunek rządowy Puryckiego jest nie dość stanowczo odporny na usiłowania Francji sforsowania Litwy do połączenia się z Polską, co może jest przyczyną uchwały premierów w Paryżu, liczącej na to, że Litwa już jest na tej drodze i że trzeba ją tylko przynaglić, aby ją do tego związku z Polską ostatecznie popchnąć. Może więc w opinii litewskiej, bardzo ostro podrażnionej, powstanie myśl, że cały kierunek Puryckiego jest z gruntu wadliwy i że trzeba szukać kierunku innego. A „Pažanga" właśnie reprezentuje ten kierunek przeciwny i potępia wszystkie elementy tej Puryckiego polityki.

1 lutego, rok 1921, wtorek
Słyszałem, że na piątek wyznaczone jest w Sejmie wielka rozprawa w przedmiocie polityki zagranicznej. Ma wygłosić mowę Purycki, następnie ma być dyskusja generalna. Zobaczymy, czy Sejm da Puryckiemu poparcie, czy też potępi jego politykę, co prawdopodobnie wywołałoby upadek gabinetu. Sądzę jednak, że do przesilenia nie dojdzie i że chrześcijańscy demokraci nie zechcą dyskredytować rządu oraz swego bloku z ludowcami, a ludowcy też chyba przesilenia w tym zakresie prowokować nie będą, bo uważają oni Puryckiego za względnie bliższego sobie i nie będą zapewne życzyli torować ścieżek Voldemarosowi, który, zdaje się, chciwie spadku po Puryckim i powrotu swego władzy wyczekuje.
Wskażę tu, co głównie różni „Pažangę" od polityki zagranicznej rządu (Puryckiego) w sprawie wileńskiej i litewsko-polskiej, która dziś jest osią całej polityki litewskiej na zewnętrz. Wiedziałem dawno, że Voldemaras nie zgadza się na politykę Puryckiego i słyszałem, że reprezentując Litwą w Genewie wobec Ligi Narodów, żądał on jego odwołania ze względu na to, że nie może się z kierunkiem polityki rządowej pogodzić. Wszakże nie zdawałem sobie sprawy, na czym właściwie różnice polegają. Uprzytomniłem to sobie dopiero na pogadance u Smetony przed tygodniem. „Pažanga" jest zasadniczo przeciwko uganianiu się za natychmiastowym rozwiązaniu sprawy wileńskiej za cenę jakichś doraźnych obietnic, ustępstw czy „porozumieniu". Uważa

302 Łac. – nadających się na ministrów.

ona to za jałową, a nawet szkodliwą demagogię, za politykę płytkiego oportunizmu „*vom Fall zum Fall*”[303], która nic zgoła nie daje, a natomiast kompromituje. Przy wyborze środków politycznych – powiada ona – należy wychodzić z założenia nie korzyści doraźnych, nie efektu natychmiastowego, lecz ciągłości czynników państwowych. Wilno – powiada – musi być częścią składową państwa litewskiego i będzie nią. Będzie lub nie będzie – zależy nie od tego, czy Polska się na to zgodzi czy nie, czy Liga Narodów lub Francja, względnie Anglia przesądzi tak lub inaczej, czy nawet plebiscyt lub Sejm Wileński wypowie się dziś za Polską lub Litwą, ale zależnie od głębokich i trwałych czynników dziejowych, takich, jak terytorium, czynniki geograficzne, gospodarcze, społeczne, ludnościowe, których działanie jest ciągłe, choćby chwilowo w pewnych poszczególnych momentach ich działanie zdawało się być przyćmione wpływami czynników ubocznych. Otóż te czynniki dziejowe ciągłe łączą Wilno z Litwą, a nie z Polską. Wobec tego zbytecznym jest Litwie zabiegać. Czas automatycznie pracuje za nią. „Pažanga” nie obawia się aneksji Wilna na rzecz Polski, choćby się ona dziś dokonała, co nie uważa za nieprawdopodobne. Przygotowana jest ona na najgorsze chwilowo rezultaty i ze spokojem spogląda w przyszłość, licząc, że ostateczne rozwiązanie sprawy wileńskiej w duchu państwowości litewskiej, które jest koniecznością, może nastąpić choćby i za lat 20! Wszelkie gorączkowe forsowanie tej sprawy ze strony Litwy jest błędem i polega na niezrozumieniu czynników dziejowych. Wzmacnia ono tylko stronę przeciwną, a natomiast kompromituje Litwę, czyniąc z niej błazna, który spodziewa się wygrać sprawę jakimiś sztuczkami, jakimś mydłkowaniem spekulacyjnym. Dlatego „Pažanga” jest przeciwna wszelkim „akcjom porozumiewawczym”, czy to z Wilnem, czy z Warszawą, wszelkim delegacjom do Polski, wszelkim propozycjom układu, jak zaproponowane przez delegację Staugaitisa w Warszawie „12 punktów”[304]. W szczególności co do tych 12 punktów – „Pažanga” mocno je krytykuje. Jest tam wśród nich punkt o udzieleniu przez Litwę Polsce „dostępu do morza”. Co to znaczy? – zapytuje „Pažanga”. Dostęp do morza – to znaczy: koleje litewskie i Niemen. Innego „dostępu” nie ma. Więc co? Więc Litwa ma oddać Polsce swoje koleje i oddać jej do użytku Niemen?. Ale czymże w takim razie będzie „niepodległość” Litwy? I oto skutek tych propozycji – powiada „Pažanga” – może być tylko ten, że realnych rezultatów do odzyskania natychmiastowego Wilna nie będzie żadnych, ale za to kompromitacja w oczach Europy – ogromna. Bo cóż powie Europa o Litwie i jak będzie jej niepodległość szacować, kiedy sama Litwa tak mało ją ceni i tak jej nie rozumie, że najistotniejsze elementy swej gospodarki, swej niezależności ofiarowuje Polsce, wyrażając zarazem gotowość do zawierania z Polską, której stan gospodarczy i finansowy jest w stanie zupełnej dezorganizacji i chaosu, „koncesje ekonomiczne”! Niepodległości takiego państwa, gotowego do takich eksperymentów i „ofiar”, nikt w Europie cenić nie będzie i nikt nie będzie sprawy litewskiej traktować poważnie. Litwa więc sama się podkopuje i to akurat wtedy, gdy domaga się uznania jej niepodległości przez Europę! Taki jest pogląd „Pažangi”, który mi wyrazili Smetona i Voldemaras. Dziś, gdy Europa „odroczyła” uznanie Litwy *de jure*, to znaczy odmówiła uznania, uznawszy jednocześnie Łotwę i Estonię, „Pažanga” z pewnością tym bardziej wini w tym niepoważną (jej zdaniem) politykę Puryckiego.

2 lutego, rok 1921, środa

303 Niem. – czas od czasu, od wypadku do wypadku.

304 Chodzi o deklarację delegacji litewskiej z J. Staugaitisem na czele na rokowaniach w Warszawie z 20 grudnia 1920 r.

Pisała dziś Elwira[305] i przysłała list do Maryni i do swego męża Stefana, prosząc o przesłanie tychże do Wilna. Z listów Elwiry widzę, że ma trudności w Bohdaniszkach ogromne, ale walczy z nimi dzielniej, niż się po niej spodziewałem. Wprawdzie biedna Elwira, obarczona dziećmi i znękana życiem, które skruszyło jej dawną energię i zaradność, dzielnie jeszcze, jak na swój stan, walczy, ale bez Maryni nie da ona sobie w Bohdaniszkach rady. Z jej listów widzę, że jeszcze nie ze wszystkimi trudnościami się zetknęła i że jeszcze jest nieświadoma wielu, które, jak bałwany morskie w burzy, będą się piętrzyły i pędziły jedna za drugą, doprowadzając do rozpaczy pływaczkę. Dobrze mówi Elizka Komorowska, że pozycja i rola ziemianina podobna jest teraz do czynności stworzenia, które by, zmuszane iść naprzód, spotkało na drodze swojej górę: ledwie tę górę piasku rozkopie, ledwie sobie przez nią utoruje drogę, ledwie wyjdzie na przestrzeń otwartą – aż tu nowa przed nim takaż albo i większa góra wyrasta itd. bez wytchnienia, że aż ręce opadają i zniechęcenie ogarnia. Rozumiem to w zupełności i nie pragnąłbym być dziś w tej roli. Obszarnikowi na podupadłym po wojnie majątku – nie zazdroszczę jego dominiów, o, nie! Jeżeli Kowaliszki mają trudności, jeżeli im w gospodarstwie – poza spekulacyjnymi interesami Hektora – idzie jak z kamienia, to cóż dopiero mówić o Bohdaniszkach, spustoszonych do ostateczności. Gdzie krótko, tam rwie się – mówi przysłowie i to się doskonale do Bohdaniszek stosuje. Ledwie jakoś z wielką biedą wiązały się końce z końcami, a tu bije klęska za klęską, niepowodzenie za niepowodzeniem, zawód za zawodem. Po przyjeździe Elwiry w krótkim czasie – skradziono jednego konia, dwie krowy zroniły i zachorowały, najpiękniejsze źrebię, zeszłoroczna klaczka, córka Barki – zachromiała; poprzednio, z jesieni, podług obliczeń, powinien był być poszoru nadmiar. W jesieni projektowaliśmy wywieźć przez zimą 50 sążni papierówki dla kupca ze Staczerag do Rakiszek, licząc po 200 mk. za wywózkę 1 sążnia, co dałoby 10 000 mk.; tymczasem nie było sanny, Jakszuk zaniedbał tej sprawy i ostatecznie kupiec wywiózł papierówkę chłopskimi furmankami, a nam zostaje do wywiezienia ledwie 7 sążni. Czym się zastąpi te 10 000 mk. niedoboru w budżecie, który ledwie-ledwie jakoś się do wiosny dawał zrównoważyć. Z Jakszukiem Elwira jest w stanie wojny. Kto wie, czy znaczna część tych „klęsk" nie jest sprawą rąk jego? I kto wie, czy rozstanie się z Jakszukiem na św. Jerzy obejdzie się bez zajść, bez próby oporu z jego strony, denuncjacji itd.? Smutny jest stan Bohdaniszek, ale to jeszcze nie wszystko, bo oto czego Elwira jeszcze, zdaje się, nie docenia lub nie uświadamia – przyjdą zaraz podatki, egzekwowanie rekwizycji, wielki podatek spadkowy, może jeszcze podatek zeszłorocznej sprzedaży leśnej, następnie brak nasienia do siewów jesiennych, brak zboża na ordynarię, wypłaty pensji... Zniszczony, bokami robiący dwór – musi wszystkiemu podołać. W państwie, pod wpływem prądów radykalnych społecznych, nie ma względów dla zniszczonego dworu. Obarcza się go powinnościami, jak gdyby był on w stanie normalnego funkcjonowania; kredytu zorganizowanego też nie ma. A jak ma się dźwignąć w tych warunkach? Państwo zdaje się mówić do obszarnika: masz dwór, masz wielki warsztat – to pełń powinności; twój dwór jest twoim przywilejem; nie ty musisz prosić o względy dla siebie, ale społeczeństwo winno żądać od ciebie rachunku z przywileju, który posiadasz; jeżeli przywilej w postaci dworu masz, to winieneś być użytecznym dla społeczeństwa, pełniąc powinności i wytwarzając dużo; jeżeli nie tylko nie wytwarzasz nadmiaru, ale i powinnościom nie podołasz, to ustąp, a twoje miejsce zajmą ci, co warsztat ten zużytkują lepiej od ciebie. Dwór mógłby na to odrzec: dajcie mi się dźwignąć, ulżyjcie mi chwilowo i dopomóżcie – a wtedy dam więcej i zdam egzamin użyteczności społecznej. Ale czekać nikt nie chce, bo dokoła czekają rzesze bezrolnych i

---

305 Elwira Maria Mieczkowska z Römerów.

małorolnych, które z zawiścią patrzą na dwór i pragną jego klęski, życzą sobie jego dyskredytacji, by mieć argument przeciwko dworowi. Waga zaś polityczna tych mas jest taką, iż państwo dworowi ręki nie poda. Jest więc *circulus vitiosus*,[306] w którego kole nieszczęsny dwór się obraca jak szczuty zwierz. Dwór musi trwać i dźwigać się, i dawać radę o własnych siłach, nie mogąc liczyć na pomoc i współczucie z zewnętrz. Dopiero jak Marynia przyjedzie – sprawy Bohdaniszek może pójdą lepiej, bo Marynia jest tak sprężysta, tak zaradna, jak nikt: potrafi ona chyba z lotnego piasku bicz ukręcić. Dziś rano przed obiadom brałem udział w dwóch zebraniach. W jednym uczestniczyli z jednej strony z ramienia Komisji do spraw Litwy Wschodniej Wacław Biržiška i ja, z drugiej, jako rzecznicy społeczeństwa polskiego – poseł Grajewski i Konstanty Plater[307], piątym zaś był Michał Biržiška jako ów mąż, który uchodzi w opinii tak polskiej, jak litewskiej za jedynego opatrznościowego polityka, zdolnego do znajdywania linii uzgodnień na rzecz rozwiązania problemu stosunków polsko-litewskich. Drugim zebraniem było zebranie delegatów, wybranych do jazdę do Wilna z ramienia ludowców i esdeków, z udziałem obu Biržišków i moim. O zebraniach tych pomówię może jutro, jeżeli mi miejsce pozwoli.

3 lutego, rok 1921, czwartek
Zdaje się, że misterna kombinacja „krajowców" wileńskich, tworzona pod nazwą „Litwy Środkowej", ma się ku schyłkowi. Sprawa się upraszcza do dylematu: Polska czy Litwa? Kiedy w październiku wojska Żeligowskiego wkroczyły do Wilna, a wraz z nimi zjechali do Wilna panowie „krajowcy", którzy rzecz tę zainscenizowali w tajemnicy przed endekami, i pełni różowych nadziei obwołali „Litwę Środkową" i stworzyli „Tymczasową Komisję Rządzącą", w której zagarnęli miejsce dla siebie i swoich ludzi, oddając się słodkiemu złudzeniu, że zdołają się przeciwstawić aneksyjnym prądom polskim i doprowadzą swoją „Litwę Środkową" do zespołu z całą Litwą, wytargowawszy jeno dla niej właściwe stanowisko w państwie i używszy jej jako manewru do nadania państwowości litewskiej kierunku polonofilskiego, wskazałem im, że są w błędzie i nazwałem ich naiwnymi. Konstanty Gordziałkowski, jeden z tych, co należeli do „spisku", w pierwszym dniu komedii, spotkawszy mię na ulicach Wilna, wykładał mi intencję („*animus*") przedsięwzięciu i dziwił się, że się nie zapalam jak oni i że pozostają widzem smutnym widowiska. Wskazywałem im w rozmowach i konferencjach oraz w artykułach, które ogłosiłem w tym czasie w prasie wileńskiej, że metodą wojny przeciwko Litwinom i przelewem krwi jednych przeciwko drugim niepodobna cementować Litwy i budować związku Wilna z Kownem; że posługując się interwencją Polski i korzystając z jej pomocy przeciwko Litwie, czerpiąc wszelkie środki li tylko z Polski niepodobna się od niej nie uzależnić; że operując środkami polskimi, rozpalając uczucia narodowe polskie, posługując się emblematami polskimi – nie można tworzyć rzeczy, która ma prowadzić nie do Polski; że taka lub inna konstrukcja składu osobistego Komisji Rządzącej nie może sfałszować konsekwencji, które płyną z natury samej czynu, z warunków i środków działania, ze środowiska, w którym się działanie rozwija, z metod interwencji. Łudzili się „krajowcy", lekceważyli logikę, sądzili naiwnie, że sztuczkami i kombinacyjkami zmienią naturę rzeczy i pokierują sprawę po myśli swojej. Były to iluzje typowo inteligenckie, w doskonałym stylu donkiszoterii politycznej Witolda Abramowicza, który zawsze, z powagą godną mędrszej sprawy, usiłuje oszukać przeciwnika, posługując się nim i jego środkami, aby w końcu ze zdumieniem się spostrzec, że

306 Łac. – „circulus vitiosus" – zaklęty krąg.

307 Konstanty Plater-Zyberk.

oszukanym jest on, gdy tymczasem przeciwnik triumfuje. Gdy skład osobisty Komisji Rządzącej okazał się rzeczą niedostateczną do nadania pozorom „samodzielności" cech samodzielności istotnej, gdy zaatakowani Litwini nie odpowiedzieli na „noty" rządu „Litwy Środkowej", wzywające do rokowań, gdy wdała się w tę sprawę Liga Narodów, traktując rzecz w płaszczyźnie sporu między Litwą a Polską i wysunęła pomysł rozwiązania plebiscytowego, wtedy „krajowcy" wileńscy pośpieszyli przeciwstawić plebiscytowi – „Sejm w Wilnie", wierząc, że w tym Sejmie tym znajdą panaceum przeciwko aneksji do Polski i punkt oparcia do układu z Litwą. Tymczasem logika nie przestała działać, rozbijając cegiełkę po cegiełce z konstrukcji „krajowców". Systematyczny planowy atak aneksjonistów, silnych logiką własnego czynu „krajowców", poparty realizowaniem przez Polskę weksla jako zapłaty za pomoc, za interwencję całą, doprowadził już w grudniu do ciężkiego przesilenia w Komisji Rządzącej, zakończonego w połowie stycznia jej upadkiem. Na miejsce starej Komisji Rządzącej „krajowców" powstała nowa, jako już tylko „fachowa", o realiach raczej zarządu, niż rządu politycznego. Polityczny pierwiastek władzy wyemigrował z rąk Komisji Rządzącej i pozornego „dyktatora" Litwy „Środkowej", Żeligowskiego, w ręce delegata Rządu Polskiego – p. Raczkiewicza[308]. Pozostawał „Sejm". Wybory do tego były wciąż odraczane: z d. 9 stycznia odroczono je pierwotnie na d. 30 stycznia, z d. 30 stycznia na d. 6 lutego, z d. 6 lutego na d. 20 lutego. Im bardziej odraczano, tym bardziej słabła wiara w to, że w ogóle do sejmu dojdzie. W ostatnich czasach coraz bardziej słychać było, że do sejmu nie przyjdzie wcale. Z wielką namiętnością rozpoczęła się w Wilnie walka w pierwszych stadiach kampanii wyborczej. W kampanii tej uczestniczyły tylko stronnictwa polskie, z których ani jedno zresztą nie odważyło się wystawić hasła połączenia kraju z Litwą. Jedni mówili: „przyłączenie do Polski" , inni: „połączenie z Polską". Ale istotnym przedmiotem sporu w stosunku do Sejmu było to, czy Sejm to ma być tylko „orzekający", którego uchwały będą się ograniczały do sformułowania lakonicznej odpowiedzi na pytanie: „do Polski?" czy „do Litwy?" – i nic ponadto, czy też będzie on „suwerennym", nie ograniczonym w atrybucjach, a więc organem państwowym. Prawica i wszyscy jaskrawi aneksjoniści stali na gruncie pierwszej formuły, lewica i „krajowcy" – na gruncie drugiej. „Krajowcy" wierzyli, że gdy Sejm się zbierze i zacznie funkcjonować, to się sprawa aneksji odwlecze, a tymczasem utrwali się formacja prowizoryczna „Litwy Środkowej" i wytworzy się grunt do układu z Litwą właściwą. Tymczasem Komisja Kontroli Ligi Narodów forsuje w kierunku rozwiązania po linii pierwotnie ustalonej. Powoli ogranicza ona siły zbrojne Żeligowskiego, przysposabia do ewakuacji spornego terytorium, do ujęcia go w zarząd międzynarodowy, na koniec, o czym dotąd było słychać jako o zamiarze, a dziś już jest depesza jako o fakcie – nakazała ona w porozumieniu z Polską zaniedbanie wyborów do Sejmu, wymógłszy Żeligowskim rozkaz, wstrzymujący całą akcją wyborczą. Rzecz więc wraca do problemu plebiscytowego, albo do – „konsultacji ludowej", jak określają Polacy, bojący się plebiscytu w pełnym znaczeniu. W obliczu nowej sytuacji, jaką stwarza zwrot ten perspektywom plebiscytowym, nasza akcja porozumiewawcza wileńsko-kowieńska będzie miała trochę inny wyraz, niż mógł być w obliczu Sejmu. Zdaje się, że w tych dniach już pojedziemy do Wilna, bo pociąg ma iść.

4 lutego, rok 1921, piątek
Z tego, co się dowiaduję, zawieszenie przez Żeligowskiego na żądanie Polski akcji wyborczej do Sejmu w Wilnie na czas nieokreślony nie jest jeszcze ostatecznym przesądzeniem tego, że wyborów tych i Sejmu nie będzie wcale i że jedynym

308 Władysław Raczkiewicz.

pozostawionym wyjściem jest plebiscyt. Zarządzenie to zostało spowodowane przez Komisję Kontroli Ligi Narodów. Ponieważ Liga Narodów używa co do sprawy wileńskiej określenia „*consultation populaire*”[309], co jest mniej ścisłe, niż „plebiscyt”, więc nie jest wyłączone, że za sposób tej „konsultacji” może być przyjęty i sejm, który by w takim razie nie mógł mieć i cech organu suwerennego państwowego, jak chciała lewica polska w Wilnie, jeno byłby tylko sejmem „orzekającym” dla dania wyrazu woli ludności co do przynależności państwowej Wileńszczyzny – do Litwy lub do Polski. Zarządzenie, nakazane Żeligowskiemu, zdaje się przesądzać tylko jedno: mianowicie że pod rządami Żeligowskiego wyborów i Sejmu nie będzie, a przeto nie będzie „Sejmu Litwy Środkowej”, do czego chciała doprowadzić pierwsza Komisja Rządząca w Wilnie. Liga Narodów „Litwy Środkowej” jako tworu państwowego nie uznała i nie uznaje i nie może przeto dopuścić do „Sejmu” takiego państwa. Traktuje ona Ziemię Wileńską jako teren wspólny między dwoma państwami. Zamiast wszakże plebiscytu bezpośredniego może być przyjęta ta forma „konsultacji” w postaci przedstawicielstwa ludności, co stanowiłoby analogię do Sejmu, ale w ścisłym znaczeniu Sejmem by nie było. Różne więc możliwości nie są jeszcze wykluczone. Nie określony jest jeszcze ani sposób „konsultacji”, ani warunki, co do których strony zainteresowane już by się były zgodziły. W każdym razie, gdyby miało przyjść do wyborów, zarządzonych nie przez władze Żeligowskiego, a pod egidą Komisji Międzynarodowej po ewakuacji Żeligowskiego, to prawdopodobnie Litwini, Białorusini i Żydzi bojkotu „Sejmu” by zaniechali i przyjęliby udział w wyborach i agitacji. Perspektywy sposobów rozwiązywania sporu wileńskiego są dotąd bardzo nieokreślone.
Miałbym do napisaniu w dzienniku o całym szeregu rzeczy. Nigdy wyczerpać toku wszystkich spraw nie jestem w stanie. Życie zawsze płynie bardziej wartko, niż moje relacje. Gdy biorę jeden jakiś temat, jeden element zagadnienia lub akcji, to zanim w dzienniku go rozwinę i uchwycę, już tymczasem w żywym biegu sprawy uwydatniło się i rozwinęło dużo innych, które w ten sposób wymykają się spod mojej relacji.
Wczoraj i dziś w naszej Komisji dla spraw Litwy Wschodniej, w której posiedzeniach i pracach uczestniczy bawiący jeszcze w Kownie Michał Biržiška, podnoszona była między innymi ważna kwestia przygotowawcza, mianowicie co do opracowania planu akcji plebiscytowej w Wileńszczyźnie na wypadek ewakuacji Żeligowskiego. Akcja taka będzie wymagała wysiłku i pracy ogromnej i oczywiście musi być planowana. Trzeba się do niej gotować poważnie, trzeba nawet właściwie już zaczynać cały szereg robót. Przyjęta została moja propozycja, aby inicjatywę co do planu działania skupić w Wilnie i w tym celu postarać się o stworzenie tam ekspozytury naszej Komisji, zbudowanej na tych samych zasadach, co my, to znaczy, aby były w niej reprezentowane wszystkie cztery elementy narodowe – litewski, polski, żydowski, białoruski. Ekspozytura taka jest konieczna, bo tylko na miejscu można się orientować należycie w zmiennych warunkach, określać potrzeby i stosować do nich środki. Ekspozytura taka działałaby w Wilnie tajnie, byłaby naszym organem poufnym. Jej też przede wszystkim należałoby zlecić inicjatywę do planu akcji. Zresztą o ile przyjdzie do ewakuacji Żeligowskiego, zapewne i nam, to znaczy Komisji naszej, wypadnie przenieść siedzibę do Wilna. Zorganizowaniem tej ekspozytury w Wilnie mam zająć się ja, gdy pojadę do Wilna z delegatami ludowców i esdeków litewskich, co ma nastąpić pono w przyszłym tygodniu. Chcę się zabrać do tego w ten sposób, aby przede wszystkim wskrzesić w Wilnie pośród dawnych członków zawiązek naszego związku ścisłego i w porozumieniu z nim stworzyć ekspozyturę Komisji, która by pozostawała pod czujną tajną kontrolą tego związku. Utworzenie ekspozytury jest najtrudniejsze w

309 Franc. „consultation populaire” – sondaż narodowy.

stosunku do elementu polskiego, jak zresztą i sama akcja plebiscytowa będzie dla strony litewskiej najtrudniejsza w sferze elementu polskiego, czego wszakże zaniedbać niepodobna. Ale co do różnych kombinacji pomysłów w tej mierze, tak względem moich, jak akcji, nie będą tu dziś mówił, bo do tego wrócę zapewne nieraz w dzienniku. Sprawa aprowizacji Wilna, o której przed kilku dniami obszernie się rozpisałem, mało się naprzód posuwa. Nie możemy zacząć nic konkretnego w tej mierze poruszać, zanim zasadniczo nie uzyskamy na to zgody rządu. W sobotę sprawa ta była omawiana w Komisji z udziałem Michała Biržiški i Felicji Bortkiewiczowej. Myśmy ją przesądzili dodatnio i zdecydowaliśmy, po upewnieniu się w zasadzie o zgodzie rządu na tę akcję, popchnąć ją w ten sposób, żeby zwołać specjalne zebranie z udziałem przedstawicieli stronnictw dla omówienia techniki wykonania. Tymczasem dowiadujemy się, że powstają trudności właśnie z kół politycznych. Sprawa ta była szeroko omawiana na posiedzeniu partyjnym ludowców, którzy, pomimo gorącej obrony jej przez samego Griniusa i p. Bortkiewiczowej, znaczną większością stanowczo rozstrzygnęli ją ujemnie. Utrudnia to znacznie perspektywy jej wykonania, tym bardziej, że stanowisko ludowców będzie miało wpływ i na decyzję rządu. Głównym argumentem ludowców przeciwko takiej akcji był nie motyw planowego głodzenia Wilna, to znaczy utrzymania w nim uczucia związku między ujemnym stanem aprowizacyjnym z odcięciem od Kowna, ale ten motyw, że jawny, choćby społeczny, dowóz żywności do Wilna będzie drażnić wojsko, które będzie upatrywało w tym legalizację spekulacji za szkodą, jak to żołnierz pojmuje, dla interesów państwowych, co będzie wpływało demoralizująco na nastrój patriotyczny wojska, wymagający przykładu niewzruszoności z góry, i czego ma ścigać szmugiel, kiedy same władze wywóz tolerują albo nawet uprawiają.
Przed kilku dni nasza Komisja dla spraw Litwy Wschodniej uzupełniła się przedstawicielem Białorusinów w osobie pułkownika Konopackiego[310]. Konopacki pochodzi z Tatarów osiadłych w pow. oszmiańskim i osobiście jest mahometaninem, wszakże zalicza siebie do narodowości białoruskiej i jest patriotą Białorusinem. Jest to człowiek małego wzrostu, drobny, niepokaźny, w wieku lat ponad 40, o twarzy ściągłej tatarskiej. Robi wrażenie dodatnie, jak w ogóle nasi Tatarzy krajowi, którzy słusznie zyskali sobie opinię ludzi rzetelnych, uczciwych, zacnych. Trochę, zdaje się, za mało ma inicjatywy i energii. Konopacki był tym, który w roku 1919 organizował oddziały wojskowe białoruskie pod okupacją, coś w rodzaju białoruskich legionów w wojsku polskim. Organizowanie tych oddziałów ochotniczych białoruskich odpowiadało i ówczesnym planom polityki wschodniej Piłsudskiego. Gdy jednak czynniki wojskowe i polityczne polskie zbyt zaczęły ograniczać samodzielność tych oddziałów i podporządkowywać je sobie, Konopacki zerwał z tą robotą i usunął się. W każdym razie, nie jest to „istinno-ruski", jakich dużo dziś podszywa się pod Białorusinów.

5 lutego, rok 1921, sobota
Spieszno mi już i do Bohdaniszek, bo dużo interesów tam mię czeka. Dawno nie byłem, Elwira i Elizka Komorowska wzywają mię coraz goręcej. Byłbym teraz na zapusty pojechał, gdyby nie to, że ciągle się robią nadzieje na ten pociąg do Wilna. Jeżeli pociąg będzie – muszę jechać do Wilna koniecznie, nie tylko dla czuwania nad tzw. akcją „porozumiewawczą" delegatów ludowców litewskich z „Odrodzeniem" i delegatów

310 Hassan Amuratowicz Konopacki (Konapacki, Kanapacki, 1879-1953), pułkownik, działacz ruchu odrodzenia białoruskiego. Uczestnik wojny rosyjsko-japońskiej 1904-1905 i I wojny światowej. Pułkownik w wojsku rosyjskim od 1917 r. W latach 1919-1920 mianowany dekretem J. Piłsudskiego z 22 X 1919 dowódcą wojska białoruskiego. W latach 1920-1921 przebywał w Republice Litewskiej, był członkiem Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. W 1921 powrócił do Polski, działał w organizacjach białoruskich zorientowanych na współpracę polityczną z państwem polskim. W 1946 osiedlił się w Bydgoszczy.

esdeków litewskich z PPS wileńską, ale i dla całego szeregu innych niezbędnych czynności w zakresie akcji naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej. A zresztą i dla samych Bohdaniszek ważniejsze jest przywiezienie z Wilna Maryni, niż mój przyjazd bez niej. W Bohdaniszkach trzeba zrobić porządek z Jakszukiem i trzeba obmyślić sposób gospodarzenia na nadchodzący rok gospodarski, ale skoro Marynia ma przyjechać, to trudno decydować o tych rzeczach bez niej. Ten pociąg – to już od dwóch tygodni ma iść, ale nie idzie. Ze strony Kowna przeszkód do wysłania pociągu nie ma, ale jest opozycja ze strony Wilna, które nie chce przyjąć transportu powracających Żydów uciekinierów. Byłem już zwątpił o tym pociągu i gotów już byłem wybrać się w czasie zapustów do Bohdaniszek, gdy oto przed kilku dniami zaczęło ze źródeł, zdaje się, dobrze poinformowanych twierdzić, że Wilno się już zgodziło na przyjęcie pociągu i że w tych dniach on już odejdzie. Mówiono o piątku i sobocie w tym tygodniu, potem o poniedziałku lub wtorku; wreszcie zaczęto twierdzić, że termin odejścia pociągu został ustalony na 10 lutego, to znaczy na przyszły czwartek. Dziś wreszcie postanowiłem sam się o tym przekonać u źródła. W tym celu udałem się osobiście do p. Kubiliusa[311], kierownika wydziału uchodźców w Ministerium Spraw Wewnętrznych. Okazuje się, że to jeszcze nic tak bardzo pewnego. Dotychczas nie ma wiadomości o zgodzie Wilna na przyjęcie pociągu. Miała się tym zająć misja francuska w Kownie, która była obiecała wyjednać zgodę Wilna. Gdy wszakże w dzienniku „Laisvė"[312], organie chrześcijańskich demokratów, ukazał się artykuł, w którym zarzucano oficerom misji francuskiej, że jeżdżąc do Wilna, szmuglują oni przy tej sposobności towary, Francuzi się obrazili i oświadczyli, że skoro oni ze swojej strony czynią usługi Litwinom, a prasa litewska ich z tego tytułu szkaluje, to oni pośrednictwa odmawiają. Pomimo że „Laisvė" jest organem prywatnym, za który władze litewskie odpowiedzialności nie mogą ponosić, Francuzi niemniej czuli się obrażeni. Czynniki litewskie robiły starania o załagodzenie sprawy, ukazało się nawet podobno jakieś odwołanie zarzutów „Laisvė" i jest nadzieja, że Francuzi dadzą się przejednać, uzyszczą zgodę Wilna na pociąg i że pociąg ten we czwartek odejdzie. Jest więc „nadzieja", ale jeszcze tylko – nadzieja. Dziś wieczorem albo jutro ma już być wiadomość pewna. Nasza Komisja do spraw Litwy Wschodniej jest więc teraz w komplecie. Przedstawiciel Białorusinów, pułkownik Konopacki, dokompletował skład osobisty. Zdaje się, że człowiek to zacny, Białorusin i krajowiec szczery, nie jakiś „istinno-ruski", który pod pozorną okolicznościową powłoką białoruską ukrywa tęsknoty wszechrosyjskie, jakich się wielu obecnie znalazło w obozie białoruskim, jeno wygląda zbyt bierny, zbyt mało temperamentu politycznego, a przeto inicjatywy i ruchliwości w polityce mający. Takie przynajmniej czyni na nas wrażenie. Tymczasem rola Białorusinów w sprawie wileńskiej jest ze stanowiska państwowego litewskiego niezmiernie ważna. Między Litwinami a Białorusinami było w sprawie wileńskiej na gruncie traktatu litewsko-bolszewickiego z d. 12 lipca 1920 głębokie nieporozumienie, bo rząd narodowy białoruski Łastowskiego uważał, że traktat ten, który część tzw. Białej Rusi katolickiej (powiaty grodzieński, lidzki, oszmiański, święciański, brasławski, a w pojęciu Białorusinów nawet samo Wilno) przyłączył do Litwy, jest aktem gwałtu i samowoli, aktem dowolnego krojenia żywego narodu białoruskiego, układem między dwoma narodami obcymi bez wysłuchania woli bezpośrednio zainteresowanych Białorusinów,

311 Kubilius, kierownik Wydziału Uchodźców w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych RL.

312 „Laisvė" (Wolność), dziennik, organ chrześcijańskich demokratów w latach 1920-1923. Na skutek ingerencji cenzury tracił często koncesję i pojawiał się pod inną nazwą: Od 20 I do 19 II 1922 „Tėvynės sargas" („Stróż Ojczyzny"), od 10 V 1922 w 23 numerach „Lietuvos laisvė" („Wolność Litwy"). Od 15 XII 1923 na miejscu „Laisvė" zaczął wychodzić „Rytas" („Ranek") (1923-1936).

potraktowanych jako jakiś przedmiot bezwłasnowolny. Rząd Łastowskiego ogłosił uroczysty protest przeciwko traktatowi temu, oświadczając, że naród białoruski nigdy go nie zaakceptuje. Stanowisko Łastowskiego było powszechnie przez ogół narodowców białoruskich przyjęte, a gdy jeszcze zaostrzył się konflikt między Komitetem Narodowym Białoruskim w Wilnie a litewskim ministrem do spraw białoruskich Siemaszką, co miało miejsce w sierpniu-wrześniu roku ubiegłego, rozbrat między Białorusinami a Litwą stał się zupełny i Białorusini stanęli w wyraźnej opozycji do państwowości litewskiej. Litwini, posiadający wtedy Wilno, też niewiele sobie robili ceremonii z Białorusinami. Wewnątrz lekceważyli ich reklamacje, nie kwapili się ze zreformowaniem litewskiego Ministerium Spraw Białoruskich w duchu zastosowania go do zasad autonomicznych, po cichu nawet marzyli o zbliżeniu się do elementu polskiego kosztem białoruskiego (że takie tendencje były w tym czasie bardzo żywe i bardzo namacalne wśród wyższych urzędników litewskich i przedstawicieli władzy w Wilnie – jest to fakt niezbity, o którym może jeszcze kiedyś pomówię – pomimo pozorów przeciwnych konfliktu litewsko-polskiego i rzekomego „prześladowania" Polaków w Wilnie za rządów litewskich). Na zewnętrz też ten ostry rozbrat wyraził się w tym czasie w takim fakcie, że gdy na konferencji państw bałtyckich w Rydze[313] białoruski rząd Łastowskiego zgłosił żądanie dopuszczenia go do udziału w konferencji i wszyscy jej uczestnicy (Łotwa, Estonia, Polska) zgodzili się na to, jednak Litwa w osobie swego delegata Jerzego Šaulysa sprzeciwiła się temu pod pozorem, że Białoruś faktycznego bytu państwowego nie posiada i rząd Republiki Białoruskiej jest fikcją i najwyżej zjawiskiem woli, nie zaś faktem realnym. Stosunek ten zmienił się z obu stron dopiero po zajęciu Wilna przez Żeligowskiego.

6 lutego, rok 1921, niedziela
Chciałem dziś zasiąść do artykułu, który projektuję do dziennika „Litwa" (jest to dziennik litewski w języku polskim, założony w październiku przez Michała Biržiškę; po wyjeździe Michała Biržiški do Wilna redakcję miał objąć i Zygmunt Žemaitis, ale ponieważ został on wyznaczony do delegacji litewskiej do Warszawy i również wyjechał, przeto dziennik, zostawiony bez właściwego steru, dostał się do niepowołanych rąk grafomana Sakowicza,[314] jednego z podrzędnych i lichych, ale nie mniej ambitnego i przesadnie pewnego swoich literackich uzdolnień współpracownika, który pismo był zupełnie spaskudził; w ostatnich czasach pewien dozór nad „Litwą" objął Wacław Biržiška, ale Sakowicz potrafi w nim jeszcze grasować i kompromitować pismo). Wszakże wypadło mi napisać dziś terminowo pewien wyrok w sprawie cywilnej, która była przed dwoma tygodniami rozpoznana. Każdy wyrok lubię umotywować porządnie i starannie, a że sprawa była dość skomplikowana i wyrok poruszał dużo spornych zagadnień prawnych, więc praca nad wyrokiem zajęła mi niemal cały dzień i zmęczyła mię mocno. Artykułu więc wypadło zaniechać.
To, że teraz mam w sądzie tylko jedną sesję tygodniowo, a zaś w Komisji dla spraw Litwy Wschodniej tymczasem pracą przeciążony nie jestem, daje mi możność starannego i wszechstronnego pogłębienia spraw sądowych, które przez ręce moje przechodzą, i w szczególności klasycznego opracowania moich wyroków. Zawsze lubiłem wyroki. Zawsze pisanie wyroku dawało mi satysfakcję. Wyrok jest zresztą

313 Chodzi o kolejną konferencję państw bałtyckich w Rydze sierpniu 1920 r. Konferencja miała na celu zawarcie sojuszu obronnego między krajami bałtyckimi a Polską.
314 Vladimiras Sakavičius (Włodzimierz Sakowicz), działacz Litwinów wileńskich. Od 1919 r. nauczyciel wileńskiego gimnazjum litewskiego. W latach 1920-1922 członek redakcji dzienników „Echo Litwy" i „Litwy" redagowanych przez M. Biržiškę, następnie współpracownik „Przeglądu Wileńskiego", gdzie głównie recenzował prace autorów litewskich.

najistotniejszą pracą sędziego. Zarazem uzasadnienie wyroku jest najlepszą szkołą dla sędziego, jest znakomitym i koniecznym ćwiczeniem myśli prawniczej, która najgłębiej się wydoskonala w pracy twórczej, jaką jest budowanie wyroku, jest też metodą studiów i poznawania kodeksu. To ostatnie jest mi szczególnie potrzebne dla spraw cywilnych, bo z kodeksem cywilnym rosyjskim, tu obowiązującym, od dawna do czynienia nie miałem i nigdy szczególnym jego znawcą nie byłem, obecnie więc muszę go poznać gruntownie, chcąc być dobrym sędzią. Że nie jestem nadmiernie obarczony robotą sądową – to mi co do wartości mojej roboty bardzo na dobrze wychodzi. W ogóle sędzia może pracować dobrze tylko wtedy, gdy nie jest przeciążony. Wtedy dopiero praca jego staje się rzeczywiście dobra, a właśnie to jest warunkiem funkcjonowania tej instytucji, która jest użyteczna społecznie tylko o tyle, o ile rzeczywiście jest dobra. Wiem, że, niestety, w braku sędziów niedościgłym jest tymczasem stan taki, w którym sędzia nie byłby przeciążony. Nie tylko sędziów brak, ale dobór ich staje się lichszy. Co robić – są to braki konieczne anormalnych warunków czasu. Ale tym lepiej, że dla mnie okoliczności się pod tym względem, przynajmniej na tę chwilę, tak pomyślnie złożyły, iż mogę w pracy sędziowskiej zbliżać się do celowania. Sam czuję, że wyroki moje stają się coraz lepsze. Ja zaś szczególnie muszę dla dobrego pokonywania trudności czysto myślowych pokonywać także trudności władania języka litewskiego w formułowaniu myśli. Wyroki moje są może ciężkie pod względem języka, gdy je piszę po litewsku, bo operując ograniczoną ilością słów i układu w granicach mojej znajomości języka, nie mogę tak plastycznie i swobodnie używać giętkości mowy, jak mogłem to czynić po polsku, niemniej wszakże pod względem bogactwa treści myślowej jestem z mojej pracy sędziowskiej i tu, jak dawniej w Łomży, zadowolony.
Wracam do wczorajszego tematu o Białorusinów. Widocznie mam jakieś szczególne „szczęście" do tego tematu. Gdy zacznę pisać o Białorusinach, nie mogę z tematu tego wybrnąć.
Zajęcie Wilna przez Żeligowskiego, powstanie „kwestii wileńskiej" między Litwą a Polską i z drugiej strony Traktat Ryski rozejmu między Polską a Rosją Sowiecką – stały się radykalnym punktem zwrotnym w stosunkach litewsko-białoruskich, przynajmniej na czas trwania konfliktu litewsko-polskiego, bo z czasem spór litewsko-białoruski będzie musiał zapewne się wznowić (wszakże o tyle, o ile spór polsko-litewski o Wilno zostanie zlikwidowany w kierunku postulatu państwowego litewskiego). Litwini, dopóki byli pewni siebie, widzieli niebezpieczeństwo realne roszczeń białoruskich. Teraz wszakże musieli zrozumieć, że wobec bezpośredniego zagrożenia Wileńszczyźnie ze strony polskiej, zagrożenia bardzo istotnego, trzeba szukać sprzymierzeńców, bo w Wileńszczyźnie, zajętej przez Żeligowskiego, sam element narodowy litewski jest za słaby, by się na nim móc skutecznie oprzeć dla przeciwstawieniu elementowi i niebezpieczeństwu polskiemu. Mieli i mają tam Litwini sprzymierzeńca pewnego i poważnego w osobie Żydów, ale to jest za mało, bo sprzymierzeniec ten nie ma dostępu i działania w masie ludności chrześcijańskiej, opanowanej przez ruch i przez sprawę państwową polską. Tam pozyskanie dla siebie akcji białoruskiej jest nader ważne. Uwidoczniło się to Litwinom od razu, a dziś waga tego związku z Białorusinami uwydatnia się dla sprawy państwowej litewskiej coraz bardziej, im bardziej się ujawnia, że ruch białoruski szerzy się na ogół, że ma on dużo narzędzi wpływów i propagandy popularnych, że ma głębokie i trwałe korzenie społeczne i kulturalne w kooperatywach i w szkolnictwie ludowym, że wreszcie w powiatach wschodnich i południowych „Litwy Środkowej", gdzie jest ludność prawosławna i białoruska i gdzie jest dla akcji białoruskiej szerokie podłoże, dla akcji zaś litewskiej narodowej żadnego podłoża ludowego nie ma, są silne prądy antypolskie,

które Litwinom wygrać dla swej państwowości przeciwko atutom polskim w sporze – jest rzeczą nader ważną. Z drugiej strony, dla sprawy białoruskiej stosunek polsko-bolszewicki, wyrażony w traktacie rozejmowym ryskim okazał się o wiele groźniejszym od poprzednich „zaborów” traktatu litewsko-bolszewickiego, który zresztą na razie poszedł w praktyce w zawieszeniu. Traktat litewsko-bolszewicki, aczkolwiek w pojęciu Białorusinów „krajał” narodowe ich terytorium i przeto był przez nich uważany za akt samowoli sąsiadów i gwałtu, jednak bądź co bądź dzielił tę Białoruś logiczniej i opierał granicę na jakimś czynniku logicznym, mianowicie wyłączał z Rosji do Litwy Białoruś „katolicką”, nie krając terenów prawosławnych. Traktat zaś Ryski kraje dowolnie same jądro Białej Rusi prawosławnej, wyrzyna z niej jakieś fantastyczne „korytarze” w rodzaju wilejsko-dziśnieńskiego, ćwiartuje tak, jak się czyni z mięsem wieprza. Poza tym, podział Białej Rusi między Polską a Rosją, między dwoma macherami, historycznymi o Białoruś rywalami, jest dla samej idei państwowej białoruskiej o wiele groźniejszy, niż przydzielenie jej skrawka katolickiego do małej ludowej Litwy. Polsko-rosyjsko akt rozbioru Białej Rusi – to nie spór detaliczny białorusko-litewski. W obliczu sytuacji, wytworzonej przez Żeligowskiego i Traktat Ryski, następuje w bardzo szybkim tempie zbliżenie litewsko-białoruskie, którego wyrazem jest Układ Kowieński z listopada czy grudnia, zawarty między rządem litewskim a Łastowskim.

7 lutego, rok 1921, poniedziałek
W ogóle na bezsenność nie cierpię nigdy. Ale przekonałem się wielokrotnie, że mocna kawa czarna, gdy się ją pije z wieczora przed snem, działa na sen ujemnie. Wtedy do późna w noc zasnąć nie można. Wiedziałem o tym z dawniejszego doświadczenia, ale gdym w ostatnich czasach zaczął używać kawy, zlekceważyłem to doświadczenie. Aż oto wczoraj, gdym wypił przed nocą parę szklanek bardzo mocnej kawy, odpokutowałem to w nocy, nie mogąc za nic zasnąć. Toteż dziś czułem się z rana bardzo zmęczony i osowiały. Zmęczenie usposabiało mię pesymistycznie. Przejąłem się ogromnie faktem administracyjnego wysłania z Kowna księży-Polaków Pacewicza[315] i Sawickiego[316], o którym słyszałem wczoraj. Banicja administracyjna jest dla mnie wstrętna zawsze. Wytoczenie sprawy na drodze sądowej, śledztwo, najsurowszy nawet wyrok, ale wyrok sądowy, a więc w ramach gwarancji prawnych, nie oburza mię nigdy. Ale represja polityczna administracyjna, banicja, internowanie, wydalenie itd. – są zawsze aktami prześladowania, które potępiam i które najczęściej szkodzą bardziej prześladowcy, niż prześladowanemu. Zwłaszcza byłem na to oburzony teraz, gdy taki akt, sam w sobie ujemny, staje się poza tym jeszcze niezmiernie szkodliwy dla perspektyw plebiscytowych w Wilnie, bo daje nowy argument przeciwnikom dla dyskredytowania Litwy i Litwinów w Wilnie, tym niebezpieczniejszy, że chodzi o księży. Tworzenie prześladowanych męczenników polskich może dawać zadowolenie uczuciu nienawiści i zemsty pewnych jednostek, ale nie może być aktem politycznie mądrym; przeciwnie – kompromituje ono Litwę, nawet jej najgorętszym rzecznikom, jak ja, odbiera broń argumentów, bo muszę uznać, że to jest gwałt i muszę to potępić, a w takim razie sam poniekąd moralnie podkopuję akcję na rzecz Litwy, do której rękę przykładam. Spotykałem się w Wilnie i spotykam tu w Kownie ze strony polskiej z oburzeniem z powodu wyroku w sprawie P.O.W. Ale tam był proces sądowy, był akt

315 Franciszek Pacewicz, polski ksiądz w Kownie. Zarządzeniem nuncjusza apostolskiego wizytującego Litwę, Achillego Rattiego, F. Pacewicz został wyznaczony przełożonym zakonnic z klasztoru benedyktynek w Kownie. Klasztor został wyłączony spod jurysdykcji biskupa żmudzkiego i oddany pod zarząd delegatury apostolskiej.
316 Sawicki, polski ksiądz w Kownie.

oskarżenia i wyrok z zachowaniem przepisów i gwarancji prawa. Toteż z podniesionym czołem odpieram te zarzuty. Tam bowiem sądownie stwierdzone zostało przestępstwo. Można dyskutować o tym, czy ze względów politycznych nie należało pokryć tamtej sprawy amnestią, ale kwestia samego wyroku nic wspólnego z aktem prześladowania nie ma. Tu natomiast muszę przed rekryminacjami spuszczać czoło. Muszę przyznawać, że są one zasadne. Ale w takim razie każdy, do którego będę przychodzić ze słowem pojednania na rzecz Litwy, może mi odrzeć: wpierw, zanim przyjdziesz, postaraj się, aby takie fakty nie ponawiały się na przyszłość! I muszę temu przyznać rację. Na fakty z przeszłości można by już rzucić płaszcz zapomnienia, tłumaczyć to momentem wojny i podniecenia nerwów, ale cóż z tego, kiedy się to powtarza. W Wilnie nie omieszkają ukuć z tego broni, a nawet tu w Kownie oburzenie wśród pospólstwa i ferment – wielki. Wziąłem tę sprawę bardzo do serca, poruszyłem ją gorąco wobec Wacława i Michała Biržišków, którzy się też nią przyjęli i wnet udaliśmy do Puryckiego. Purycki sam wolałby, aby tego nie było, bo to się stało zresztą bez jego wiedzy, ale rzecz się okazała trochę mniej ostra, niż się nam przedstawiała na razie, bo księża Pacewicz i Sawicki nie zostali wysłani z granic Litwy, jak się nam zdawało, lecz tylko na zasadzie przepisów o stanie wojennym zostali wysłani z Kowna, gdzie władze wojskowe uznały ich działalność za szkodliwą. Wprawdzie wolałbym, aby i tego nie było, bo jestem zdania, że wysłanie ich więcej szkody przyniesie, niż ich agitacja antylitewska w Kownie, za którą ich wysyłają. Zyskają oni bowiem pozór prześladowanych męczenników, co daje im urok o wiele większy i większy wpływ, niż ich własna agitacja tutaj. Kiedyś to ludzie zrozumieją, że takimi metodami przeciwnika zwalczyć i unieszkodliwić nie można i że – przeciwnie – ta metoda przysparza prozelitów dla sprawy, którą się zwalczyć pragnie!! Ba – czy zrozumieją kiedykolwiek?! Oczywiście – wysłanie tych księży tylko z Kowna z pozostawieniem ich na wolnej stopie w wyznaczonych im miejscach pobytu (jednemu – w Kretyndze, drugiemu – w Taurogach) jest mniej ostrym i mniej szkodliwym od banicji z granic Litwy, jakem tu wpierw sądził, tym bardziej, że wygnanie ich z Litwy zaprowadziłoby ich do Wilna i uczyniło z ich osób najżarliwszy sztandar agitacji antylitewskiej, ale i to, jak wszelka represja administracyjna w walce politycznej, jest rzeczą ujemną i szkodliwą. Takich jak mnie to od Litwy nie odstręczy, bo źródła moich przywiązań do Litwy i mojej państwowej koncepcji litewskiej są głębokie i niezależne od takich lub innych zarządzeń władz litewskich, od takiej lub innej polityki rządu lub większości sejmowej. Ale o ile chodzi o sprawę wileńską i o jej plebiscytowe rozwiązanie, to nie o to przecież chodzi, by mieć po swojej stronie tych, którzy już są przekonani na rzecz Litwy, jak oto Litwinów lub Żydów, lecz o to, by pozyskać i pociągnąć te elementy, które są chwiejne, by osłabić uprzedzenia tych, którzy je mają. Te elementy należą do strony polskiej, t też drażniąc i gnębiąc w jakikolwiek sposób element polski, nie osiągnie się nic dodatniego.
Gdym przyszedł po obiedzie do domu, zostałem list od kuzynki Zosi Eugeniuszowej Römerowej z Cytowian. Dziękuje mi ona za pośrednictwo w jej korespondowaniu z jej ojcem, dr Dembowskim[317] w Wilnie, i przysyła mi... fotografię mojej córki Cesi z r. 1919. Fotografia ta była dana w grudniu 1919 Eugeniuszowi na imieniny z własnoręcznym na odwrotnej stronie napisem Cesi. Mam więc fotografię Cesi nową, bo w wieku lat 9, i po raz pierwszy widzę jej pismo, oczywiście dziecinne, niewyrobione, podobne do każdego dziecinnego. W fotografii jednak mniej mi się Cesia podoba. Moim zdaniem, przynajmniej na fotografii, jest brzydka, tylko jest wysoka i ma ładne – długie i gęste – włosy. Jednak jak Eugeniusz, tak Eugeniuszowa twierdzą, że Cesia jest

317 Tadeusz Dembowski (1856-1930), wybitny chirurg wileński, ojciec Zofii Römerowej (1885-1972), malarki, żony Eugeniusza Römera.

ładnym dzieckiem! Daj Boże! Bardzo to poczciwe i serdeczne ze strony Eugeniuszowej, że tę fotografię przysłała. Obiecuje mi narysować podobiznę Cesi i pyta, czy życzę. Czy życzę???!!! Córeczkę moją nazywają „Dzidzią”. Nie podoba mi się to dziwaczne spieszczenie. Wszak imię Celina, Cesia – jest tak ładne! Może podobizna w rysunku będzie lepsza od fotografii.

8 lutego, rok 1921, wtorek
Już drugi dzień jestem niewyspany, bo wczoraj znowu późno poszedłem spać. Wieczór wczorajszy spędziłem u prezesa Mačysa. Jak zawsze – były karty, ulubione. p. prezesowej. Był Preis z żoną, Zabielski, notariusz Škiema i ja. Graliśmy podług szablonu w „*chemin de fer*”. Rozeszliśmy się koło godz. 2 w nocy. Ale że wygrałem około 300 marek i że dziś pogoda była śliczna, słoneczna i mroźna, więc nie czułem wielkiego zmęczenia z niewyspania.
W sądzie miałem sesję cywilną. Odbyła się pod przewodnictwem prezesa z udziałem Preisa i moim. Pod koniec prezes wyszedł, przewodnictwo objął Preis, a na trzeciego do kompletu dobraliśmy sędziego pokoju Herubowicza[318]. Pomimo tłustego wtorku zapustnego, pracowaliśmy jak w dniu powszednim.
Nie mogę na chwilę zapomnieć o otrzymanej wczoraj fotografii mojej córki. Noszę ją w kieszeni i niezliczone razy ją wyciągam i przyglądam się. Nawet dziś na sesji przyglądałem się tej fotografii raz po raz. Coś mię w wyglądzie mojej córki razi, ale na próżno chcę się dopatrzyć – co mianowicie. To mi się wydaje, że głowa jest za wielka, to że ramiona są za wysokie, co czyni wrażenie, że mi się nie podoba. Ale nie umiem uchwycić tego „czegoś” konkretnie. Gdy się wpatruję w każdy szczegół z osobna, gdy się przyglądam rysom – zaczyna mi się ona podobać. Ale gdy na chwilę oderwę od niej wzrok i znów nagle spojrzę na fotografię, to za każdym razem ogólne wrażenie jest jednak ujemne i coś mię w córce razi. Staram się też dostrzec w niej jakieś podobieństwa, szukam mimo woli podobieństwa do mnie, podobieństwa tego pragnę i tęsknię doń. Nie dostrzegam go jednak, ale nie dostrzegam też podobieństwa do Reginy. Jest tylko leciutkie czasem podobieństwo do mojej siostry Elwiry. W ogóle w twarzy Cesi, raczej w wyrazie tej twarzy, jest jakaś uwaga głęboka wytężona, nie odpowiadająca naturze dziecka. Pierwsze i ogólne wrażenie moje – ujemne, trochę przykre, ale im dłużej się Cesią na fotografii opatruję, tym podoba mi się ona bardziej i tym bardziej zaczyna mi się wydawać swojską i dokładnie taką właśnie, jaką być musi i jaką ją przeczuwałem. Zaczyna mi się wydawać, że taką właśnie widziałem ją w snach moich i że taką ją znam od dawna... Spostrzegam, że kocham to dziecko niezmiernie i że jest to rodzaj miłości inny, niż znane mi dotąd.
A teraz do innego przechodzą tematu. Nie pamiętam, czy od czasu wyjazdu z Łomży choć raz wspomniałem w dzienniku o Lusi Roszkowskiej. Oczywiście – żadnego głębokiego uczucia stosunek mój z Lusią nie pozostawił, ale wspomnienie zostało miłe i serdecznie. Bądź co bądź, ten stosunek był pewną okrasą w moim życiu pustelniczym, poświeconym li tylko pracy. Z Lusią po wyjeździe z Łomży korespondowałem, ale ze względu na trudne warunki komunikacyjne między listem a odpowiedzią tyle przechodziło czasu, że odbierało to korespondencji tętna żywego. Dopiero w tych dniach pierwszy napisałem list do Lusi, tchnący żywym tonem podmiotowym i nawiązujący głębiej do przeszłości naszego stosunku, budząc atmosferę naszych pieszczot, naszej „półmiłości” zeszłorocznej. Ciekaw jestem, co mi Lusia odpowie. Chciałbym posłyszeć od niej, co czuła dla mnie w roku zeszłym. Proszę, by mi o tym napisała, zaznaczając, że możemy już obecnie być ze sobą otwarci zupełnie, nie

318 Stanisław Herubowicz, sędzia pokoju w Kownie.

krępowani żadnymi konwenansami, jak dwoje ludzi przyjaznych i serdecznie względem siebie usposobionych. Wskazuję, że dzieli nas wiek, że nie mogę być konkurentem do jej ręki, że jestem daleki i że może się już nawet nigdy nie zobaczymy, więc nie potrzebuje ona krępować się wobec mnie konwenansami, wiążącymi „pannę na wydaniu”. Skądinąd podkreślam umyślnie z naciskiem ten fakt, że już życie moje z miłością i szczęściem mam poza sobą od dawna i do stosunków bieżących, jak również do stosunków ostatnich lat, a więc i do naszego z nią stosunku, żadnych miłości i szczęścia kryteriów nie przykładam, a w życiu moim obecnym i w uczuciach moich jestem zupełnym ascetą w tym znaczeniu, że przywiązań głębszych i gwiazd szczęśliwych nie szukam i nie pożądam; w kobietach, o ile z nimi miewam do czynienia i o ile potrzeba płci mię do nich kieruje, szukam li tylko narzędzia bezpośredniej rozkoszy zmysłowej – i nic ponadto, toteż niebezpiecznym być dla niej nie mogę, bo skoro ona oczywiście tym narzędziem nie jest i nigdy być nie może dla mnie, to pozostaje tylko między nami stosunek ludzki dwojga, którzy zachowali wspomnienie o sobie i życzliwość serdeczną. Nie przeszkadza mi to zresztą w końcu listu przy pożegnaniu zanurzyć twarz w jej włosy, co jest zmysłów wyrazem. Ciekaw jestem, co mi odpisze. Wiem, że do serc dziewczęcych najskuteczniej jest trafiać przez chłód pozorny, pod którym tli domyślnie wielki żar spopielonego życia. Kobieta ma w sobie coś z motyla, który leci na oślep na ogień, by w nim skrzydła spalić. Gdy pod chłodem zewnętrznym czuje i domyśla się żaru, pragnie zimną powłokę przełamać i dostać się do żaru, by w nim spłonąć. Drażni ją chłód zewnętrzny i przez jego powłokę tęskni do ognisku żaru. Człowiek młody może ogniem bezpośrednim rozpalać kobietę. Mężczyzna dojrzały interesuje kobietę powściągliwością zewnętrzną, pod którą intryguje ją ogień ukryty, drażniący, pełny namiętności palącej.

9 lutego, rok 1921, środa

Zdaje się, że pociągu do Wilna i tym razem nic nie będzie. Trzeba będzie się postarać w przyszłym tygodniu dostać się do Wilna w jakiś inny sposób. Jutro wyjeżdża do Wilna automobilem Michał Biržiška. Rozmówi się on tam sam bezpośrednio lub przez Zygmunta Jundziłła z Marianem Kościałkowskim[319], by posterunek polski na linii demarkacyjnej w Rykontach był uprzedzony o przyjeździe naszym, to znaczy moim i delegatów ludowców-esdeków litewskich. Jeżeli skutek rozmowy z Kościałkowskim będzie pomyślny, to Michał Biržiška mię zawiadomi i w takim razie będziemy się musieli postarać za pośrednictwem naszej Komisji o automobile – i pojedziemy. W Wilnie roboty będzie dużo, bo oprócz tzw. akcji porozumiewawczej społecznej delegatów litewskich z elementami polskimi, trzeba będzie zorganizować stałą ekspozyturę wileńską naszej Komisji, oprócz tego zaś nawiązać kontakt społeczny przez tychże delegatów litewskich z Żydami i Białorusinami w Wilnie. W szczególności akcja porozumiewawcza będzie wymagała wielkiego taktu i rozwagi. Żałuję bardzo, że skład delegacji litewskiej ludowców jest dobrany słabo. Makowski, Raczkowski i Bortkiewiczowa – są to ludzie, nie nadający się do tej trudnej i delikatnej roli politycznej; mogą oni mieć dużo innych zalet, ale brak im tak znajomości stosunków, jak wybitnej i giętkiej inteligencji, by tę rzecz umiejętnie prowadzić. Żałuję bardzo, że nie może pojechać z nami do Wilna Zygmunt Žemaitis, który wraz z Digrisem świeżo wrócił z Warszawy. Należeli oni tam do składu delegacji Staugaitisa i gdy Staugaitis wrócił do Kowna, pozostali jeszcze przez parę tygodni w Warszawie. Opowiadają rzeczy bardzo ciekawe z ostatnich czasów pobytu swego w Warszawie, które były wypełnione nie tyle rokowaniami urzędowymi, ile pogadankami mniej lub

319 Marian Kościałkowski-Zyndram.

więcej poufnymi z organizacjami społecznymi, stronnictwami politycznymi, kołami sejmowymi, grupami działaczy społecznych. Pogadanki te przyczyniły się do wyświetlenia wielu ze strony polskiej uprzedzeń do Litwy, płynących nieraz nie ze złej woli, a nawet do znacznego zbliżenia stanowisk w próbach rozwiązywania kwestii polsko-litewskiej w ogóle i wileńskiej w szczególności Mianowicie ujawnił się w rezultacie tych pogadanek zwrot dodatni do przenoszenia rozwiązań ze sfery jakichś apriorystycznych wiązadeł między Polską a Litwą (unia, federacja, koncesja) w sferę zastrzeżeń co do wewnętrznej budowy Litwy, zapewniającej Wilnu i Wileńszczyźnie stanowisko autonomiczne w państwie. Gdyby kwestia była postawiona na tym gruncie, to nie wątpię, że porozumienie stałoby się ziszczalnym. Wobec tego kto wie, czy nie będzie wskazanym prowadzić akcję porozumiewawczą Wileńską metodą, wskazywaną przez Tadeusza Wróblewskiego, a polegającą na tym, by ograniczyć się między Wilnem a Kownem pewnym tylko zbliżeniem, nie kusząc o układ zupełny, a następnie rozszerzyć akcję na odpowiednie elementy społeczne w Warszawie (PPS i „Wyzwolenie"), doprowadzając do układu w sferze porozumienia nie tylko Wilno-Kowno, lecz Kowno-Wilno-Warszawa. Trzeba bowiem uwzględnić i to, że Polacy wileńscy w kwestii stosunku Litwy do Polski mogą być sami mniej skłonni na własną rękę do czynienia ustępstw i rezygnowania z pewnych zastrzeżeń federacyjno-koncesyjnych, niż sami Polacy warszawscy, którzy w tym względzie mogą nawet wpływać dodatnio na umiarkowanie zastrzeżeń Wilnian.
Ba, ciągle polityka i polityka. Ciągle zagadnienia wielkie, ciągle dziedzina zjawisk społecznych. A człowiek przecie poza tym, że jest człowiekiem społeczeństwa ludzkiego, jest jeszcze bardziej i przede wszystkim żywą jednostką ludzką z krwi, ciała, płci i psychiki. Wiem, że moje pod tym względem wielkie życie skończone. Wiem i czuję to aż nadto. Niemniej krew płynie w żyłach moich, siły są w całej pełni rozwoju, a są siły męskie określonej wybitnie płci, która żądają rozkoszy zmysłów i pragną ujścia twórczego w cielesnym z przeciwną płcią życiu. Krótko mówiąc, jako mężczyzna pożądam kobiety. Nie mogąc jej mieć dla zrealizowania szczęścia w miłości i związku małżeńskim, pragnę choćby kochanki jako narkotyku zmysłów, jako narzędzia rozkoszy i ujścia sił. Jest to co prawda uproszczony sposób, który syci tylko na chwilę, ale nie mogę się bez tego obejść. Zmieniam dziewczyny, kupuję ich ciało dla zmysłów płci mojej; nie jestem nigdy w stanie się nasycić i wyczerpać tego demona osobowości męskiej, który mieszka we mnie. Niech się rozpęta szał krwi, niechże orgia jak słońce zapłonie! Jest w tym krzyku płci mężczyzny 40-letnego, w tym jego wielkim głodzie ciała kobiety – coś tak krwiożerczego, tak oślepiająco dzikiego i namiętnego, że w chwilach zmysłowego pragnienia śnią się orgie zbrodni, szał już nie spółkowania tylko, ale darcia i rozrywania mięsa kobiecego, zanurzenia się w całych gromadach obnażonych ciał dziewcząt, posiadania i królowania w jakimś haremie fantastycznym Wschodu.

10 lutego, rok 1921, czwartek
Wczorajszy dzień w dzienniku zakończyłem krzykiem wściekłym krwi. Ta dzika namiętność płci, która, jak wiedźma, swój sabat odprawia krwi ludzkiej, zbudziła się i ryknęła na głos. Ciągle się ona we mnie budzi i ciągle sabaty swoje wyprawia, jeno zazwyczaj w dzienniku głosu jej nie udzielam. Wiek 40-letni u mężczyzny jest wiekiem pełni dojrzałości, wiekiem największego rozwoju sił, wiekiem, w którym dojrzałość w nadmiarze sił żywotnych zaczyna się przeradzać w przejrzałość zbliżającą się do granicy krytycznej przesilenia w kierunku schyłkowym. Instynkt bliskiego przesilenia schyłkowego, przeczucie schyłku, łącznie z maksymalnym rozrastaniem siły stwarzają w mężczyźnie 40-letnim szczególne usposobienie psychiczne. Jego spokojna

równowaga, osiągnięta po przefermentowaniu burzliwych tęsknot miłości, jego siła, przetrawiona psychicznie w poczucie pewności siebie, miarkująca statecznie jego uniesienia i nadająca mu wagę równą i głęboką, w tym wieku pogranicznym, poprzedzającym schyłek, ulega jakimś zakłóceniom sporadycznym, w których się wyraża bunt podświadomy przeciwko naturalnemu biegowi życia wraz z wielkim pożądaniem użycia swoich sił, ich wykorzystania aż do wyczerpania zupełnego. Niższe instynkty krwi i płci wołać zaczynają o spełnienie swoich przeznaczeń, o ujście dla siebie, o swoje prawo pospolite w naturze zwierzęcej. Podnoszą one bunt przeciwko wyższym pierwiastkom ducha ludzkiego i myśli, które panują nad nimi w wieku męskim. Co jakiś czas zrywa się w człowieku burza elementów od dołu i szaleje wściekle, depcząc jego wolę. Człowiek w tym wieku dojrzałości jest skłonny do fantastycznych wybryków, których by się nikt po jego pozorach statecznych równowagi nie domyślił, a które są tym jaskrawsze i bardziej rażące, im mniej dojrzałości stosowne. Zdarza się, że mężczyzna w tym wieku porzuca rodzinę, depcze stanowisko, zrywa ze światem całym; jak łódź żaglowa, gnana wichrem, rzuca się ciągle w odmęt wielkich namiętności i pędzi jak wściekły goniąc mary złudne miłości, zarezerwowanej dla wieku młodego. Ileż takich szaleństw w tym wieku krytycznym od lat 40 do 50, poprzedzającym starość! Co do mnie – to jestem trzymany na wodzy mocą rozumu i wpływem przeszłości mojej, która zamyka szczęście moje, zgasłe a przytomne w świadomości mojej. Ale bunt płci podnosi się w krzyku doraźnym, domagającym się rozkoszy zmysłów w posiadaniu kobiety. Gdy uczynię temu zadość, demon płci przygasa i na czas jakiś chowa się w głęboki cień. Na siebie nie mogę się jeszcze skarżyć. Mam wprawdzie przeczucie szaleństwa wieku dojrzałego, ale sam nie szaleję i zupełnie nie oszaleję nigdy. Moje burze płci nie wykraczają poza naturalną potrzebę zmysłową ciała, która jest wyrazem zdrowego rozkwitu sił i koniecznością ujścia dla nich. Fizjologiczna natura człowieka jest tak zbudowana, że się wszystkie jego elementy kojarzą współzależnie, a element płci nie jest tylko umiejscowiony w organach płciowych i nie jest jakimś czynnikiem izolowanym w ekonomice sił, któremu odpowiada izolowana potrzeba spółkowania z kobietą, lecz jest rozlany w całej indywidualności, przepajając wszystkie elementy fizycznej i psychicznej natury człowieka. Toteż jędrność i siła płci decyduje też o jędrności myśli, czucia, woli i twórczości czynnej we wszystkich w sferach jego życia. Siła płci określa jego siłę zarówno fizyczną, jak psychiczną i daje miarę jego wydajności. Ale bogactwo płci nie zadowala się tą twórczością pośrednią, zapładniającą całą czynność człowieka – wymaga ono poza tym bezpośredniej dla siebie dominacji w postaci aktów zapłodnienia płciowego kobiety. I te wymogi stają się w dojrzałym wieku balzakowskim tak potężne, że tłumione przez czas jakiś, sprowadzają szał i wściekłość, której się ostać niepodobna. Po burzy takiej zrealizowanej w piorunach posiadania dziewczyny, nastaje cisza i uspokojenie; powrót do wielkiej, stepowej pogody wieku 40-letniego. Tak oto spokojnym i pogodnym znowu jestem dziś po tej nocy błyskawic zmysłowych rozkoszy. Miałem dziewczynę ładną, Litwinkę typową czystej krwi, pełną swoistego wyrazu litewskiego w charakterystycznej mowie, w budowie ciała i całym rytmie ruchów. Kocham się w płciowym posiadaniu dziewczyny, nie dla samego tylko aktu spółkowania, bo gdyby o ten akt tylko chodziło, to równie dobrze mogłaby temu służyć jakaś lalka gumowa, ale dla tego wyrazu posiadania kobiety, który akt płciowy mężczyzny z niej wykrzesać jest zdolny. W posiadaniu płatnym wynajętej prostytutki nigdy się nie wydobędzie z niej takiego maksimum wydajności wyrazu, jaki się ma w stosunku, zawartym w miłości, i dlatego zawsze spółkowanie z prostytutką płatną jest tylko czymś połowicznym, dalekim od doskonałości istotnego związku płci, ale i tu

sztuka mężczyzny, odpowiednio zastosowana, może dużo z takiej płatnej dziewczyny wydobyć. Trzeba tylko umiejętności!

11 lutego, rok 1921, piątek
Zacznę robić starania wyjazdu do Wilna automobilem. Podobno chce jechać w przyszłym tygodniu ktoś z Francuzów, a że chciałby wykorzystać bezpłatnie z automobilu, więc da się zapewne zrobić w ten sposób, że nasza Komisja dostarczy automobil, a za to ja będę miał dla jazdy za towarzysza – Francuza, co stanowi zawsze pożądaną protekcję.
Wczoraj mieliśmy wieczorem znowu dłuższe posiedzenie naszej Komisji do spraw Litwy Wschodniej. Omawianych było kilka większych kwestii. Sprawa dowozu produktów do Wilna na ogół utknęła dla różnych przyczyn. Zresztą, ponieważ ruch pociągów między Kownem a Wilnem, który się zapowiadał częstszy, jakoś się zupełnie urwał, więc i same warunki techniczne takiego dowozu stały się tak trudne, że uczyniły tę kwestię nieaktualną. Poza tym, wobec tego, że sama kwestia dalszych losów sprawy wileńskiej jest w tej chwili w zawieszeniu krytycznym, więc i wszelka akcja, budowana na istniejącym stanie rzeczy, staje się jakoś martwą, której nie warto budować. A że jest i opozycja przeciwko akcji aprowizacyjnej w obecnych warunkach, więc wszystko się składa na to, że sprawa ta się odciąga i idzie po trochę w zapomnienie. Natomiast sprawa ta ma jeszcze i drugą stronę, która wymaga niezaniedbywania jej. Jeżeli mianowicie dojdzie do ewakuacji wojsk Żeligowskiego, to nie będzie chwili do stracenia. Obie strony, każdy we własnym interesie, litewska i polska, będą musiały zacząć natychmiast zabiegać energicznie o spotęgowanie swoich sympatii i wpływów na spornym terytorium. Potężnym środkiem propagandy jest obfite prowiantowanie Wilna. Kowno musi się więc do tego zawczasu przygotować, aby na zawołanie móc dostarczać Wilnu wszelkich towarów i produktów. Chwila ta może nadejść czasem zupełnie niespodzianie; otóż nie należy nigdy dać się zaskoczyć. Z tego względu sprawa aprowizacyjna nie przestaje być aktualna. Nasze Komisja musi ją podnosić wobec rządu i domagać się, by rząd miał gotowy plan aprowizacyjny, mogący być uruchomionym szybko. Plan ten wypadnie zapewne opracować z udziałem takich czynników, jak kooperatywy i intendentura. Z innych rzeczy, omówionych wczoraj, zwrócę uwagę na pomysł zużytkowania dla akcji wileńskiej takich organizacji, jak „Gynimo Komitetai” i organizacja wolnych strzelców („šiauliai”). Referował o tym Wacław Biržiška, któremu zwrócił na to uwagę Grinius i także Žemaitis, który sam należy do centralnego „Gynimo Komitetu”. Z chwilą, gdy ustała bezpośrednia kampania wojenna, „Gynimo Komitety”, czyli „Komitety Obrony Krajowej”, które się były rozrosły w potężną i bardzo rozgałęzioną organizację, stanowiącą społeczną organizację gotowości wojennej i wydobycia ze społeczeństwa maksimum odporności, a które poniekąd miały i swoją niebezpieczną stronę dla życia państwowego, uzurpując nieraz władzę i stając niejako pod rządem, straciły na aktualności i zaczęły tracić rację bytu. Ale że „Komitet Obrony” tworzą silną organizację – powstała przeto myśl, poniekąd w ich łonie, a poniekąd na zewnętrz, zużytkowania jej dla akcji w sprawie wileńskiej. Pod tym względem miałem duże wątpliwości, które też wyraziłem. Boję się bowiem, aby specjalne zacięcie antypolskie, wyrobione w łonie tej organizacji, nie zaszkodziło więcej sprawie, niż by się miało pożytku z siły tej organizacji. Akcję wileńską rzecz Litwy, niepodobna prowadzić skutecznie metodą narodowo-antypolską. Trzeba ją prowadzić w kierunku państwowym litewskim *contra* państwowości polskiej, ale nie drażnić, nie tykać, nie jątrzyć narodowych elementów polskich; przeciwnie – trzeba w państwowości litewskiej otworzyć szeroko bramy dla ujścia narodowych postulatów polskich. To jest zadanie trudne i wymagające taktu. Jeżeli się będzie rzecz prowadzić metodą

przeciwną, zohydzając wszystko, co polskie, szpecąc je i zwalczając, to wprawdzie będzie się miało po swej stronie Żydów i garść przekonanych Litwinów, ale na masy chwiejne, ogarnięte wpływami narodowymi polskimi, nie mówiąc już o wyraźnie polskich, wpływu się nie zdobędzie żadnego, jeno tym silniej się je pchnie w kierunku państwowości polskiej. Użycie więc wydatne dla akcji wileńskiej takich organizacji, które już mają bardzo ostrą i specjalną markę antypolską, odpowiednie tradycje i nawet wyrobiony nałóg – jest niebezpieczne. Trzeba więc tu wielkiej ostrożności i umiarkowania. Wolałbym osobiście, aby jak najmniej się tymi organizacjami posługiwać. Wacław Biržiška obstawał jednak. Nie mogłem zaprzeczyć, że zabronić „Komitetom Obrony" zwrócić swoją działalność w tym kierunku – niepodobna. Postanowiliśmy jednak pokonferować w tej sprawie z przywódcami „Komitetów Obrony", jak Ślażewcz, Žemaitis, by im przedstawić względy tej akcji i omówić warunki przystosowania tych komitetów do szczególnej natury zadania wileńskiego. Ba, gdyby „Komitety Obrony" składały się z ludzi, tak myślących, jak Žemaitis, to żadnych obaw bym nie miał. Ale tak nie jest. Zresztą „Komitety Obrony" mogą być zużytkowane tylko do akcji pomocniczej, nie zaś bezpośredniej, bo akcja wileńska nie może i nie powinna być rozwiązywana społeczną organizacją kowieńską, jeno musi się oprzeć na czynnikach społecznych samej Wileńszczyzny, które poniekąd są gotowe w postaci ruchu białoruskiego i akcji żydowskiej, poniekąd trzeba wyłonić w ruchu polskim i zorganizować w ruchu miejscowym litewskim. Akcja naszej Komisji musi w pierwszym rzędzie zmierzać do odpowiedniego zorganizowania i zużytkowania sił i czynników społecznych w samej Wileńszczyźnie, a że tamta społeczność różni się znacznie od społeczności Litwy Zachodniej, w której dominuje czynnik narodowy litewski, więc akcja nie może być tam skutecznie prowadzona siłami społecznymi, wyłonionymi ze społeczności zachodniej części Litwy.

12 lutego, rok 1921, sobota

Wczoraj wieczorem i dziś rano napisałem dwa artykuły, które – pod pseudonimem „Ryś" – dałem Wacławowi Biržišce do druku w dzienniku „Litwa". Pierwszy z tych artykułów zatytułowany „O krajowcach wileńskich", drugi – „Krajowcy a plebiscyt"[320]; oba artykuły wiążące się ze sobą, a dla osoby, znającej nasze stosunki publicystyczne i w szczególności dla „demokratów" wileńskich, gdy przeczytają te artykuły, ich autorstwo moje będzie bardzo wyraźne, bo są one, a szczególnie pierwszy, dalszym logicznym wywodem z mojego znanego i głośnego artykułu pt. „Naiwni", którym w październiku w Wilnie przywitałem twór „krajowców" – aferę Żeligowskiego i „Litwy Środkowej". Oczywiście, że artykuły te przeznaczone są nie tylko dla Kowna, ale w nie mniejszym, a pono i większym jeszcze stopniu dla Wilna. Z jednej strony bowiem są one dla opinii litewskiej wytycznymi punktami orientacyjnymi dla zrozumienia stosunków polsko-wileńskich i wskazań litewskiej polityki wileńskiej, z drugiej wszakże – przemawiam w nich do „krajowców". Za pośrednictwem organów wileńskich – bądź „Straży Litwy"[321] Michała Biržiški, bądź „Gazety Krajowej"[322] Ludwika Abramowicza – artykuły te dotrą do czytelników wileńskich. W pierwszym z tych artykułów wykazuję bankructwo polityki „krajowców" wyrażonej w ich tworze „Litwy Środkowej"; twór ten – dzieło „krajowców" – który miał służyć ich polityce i

320 Ryś (M. Römer), O krajowcach wileńskich, Litwa, nr 36; Ryś (M. Römer), „Krajowcy" a plebiscyt, Litwa, 1921, nr 37. Powtórnie ostatni artykuł był publikowany w: Głos Litwy, 1924, nr 44.

321 „Straż Litwy", dziennik. Od 21 I do 1 IV 1921 wydawany w miejsce dziennika „Dzwon Litwy".

322 „Gazeta Krajowa", pismo wydawane w Wilnie od września 1920 do lutego 1922. Pierwszym redaktorem był Ludwik Abramowicz, drugim Ludwik Chomiński.

ich celom, to znaczy miał ratować niepodzielność Litwy, przebudowanej na innych, niż robiono poprzednio z Kowna, zasadach, stał się logicznym w rozwoju swoim jeno atutem i narzędziem polityki aneksjonistów, zmierzającej właśnie do podziału Litwy. Stało się to, na co wskazywałem od pierwszej chwili zainscenizowania „Litwy Środkowej”, kiedy „krajowcy” byli jeszcze pełni różowych nadziei i z naiwnym zapałem trąbili w fanfary, dzierżąc „władzę” w Tymczasowej Komisji Rządzącej i wierząc, że ich „czyn” doprowadzi do budowy nowej „doskonalszej” niepodzielnej Litwy. Logika rozwoju tego dzieła była od samego początku dla mnie najzupełniej wyraźna i spełnia się ona ze ścisłą konsekwencją, nie idąc w żadnym szczególe po linii „krajowców”. Dziś „krajowcy” i ich polityka są już poza nawiasem „Litwy Środkowej”, a przynajmniej jej stosunków władzy, zagadnienie zaś, którego wyrazem stała się „Litwa Środkowa”, zostało sprowadzone do prostego plebiscytowego dylematu : „Litwa czy Polska?”, w którym sama formacja „Litwy Środkowej” stała się li tylko narzędziem na rzecz odpowiedzi: „Polska!”, to znaczy właśnie atutem podziałowym Litwy. W drugim artykule wzywam „krajowców” do rewizji ich dotychczasowej polityki i do szukania rozwiązania problemu zadowalającej budowy Litwy na drodze bezpośredniego układu, wskazując jednocześnie pewne konkretne tego rozwiązania tezy.
Bardzo ciekaw jestem, jak się potoczą w Wilnie pierwsze obrady akcji porozumiewawczej, które zapewne w przyszłym tygodniu już się rozpoczną, o ile tylko nie zajdą jakieś przeszkody do przyjazdu do Wilna delegatów kowieńskich. Ciekaw jestem także, jakie zainteresowanie wywołają one w Wilnie w kołach demokratycznych różnych odcieni „krajowców”, i czy będą z ich strony czynione realne i poważne wysiłki do rozwoju i opieki nad tą akcją. Jeżeli tylko dobra wola ze strony wileńskiej będzie i jeżeli wysiłki będą poważne i nacechowane taktem, to jednak ta akcja może być owocną i zbliżającą rozwiązanie, pomimo że natychmiastowego i bezpośredniego porozumienia w postaci dokonanego układu akcja ta teraz jeszcze w Wilnie wydać nie może. Ale myśl wyrażona w grudniu przez Tadeusza Wróblewskiego o przeniesieniu dalszego toku społecznej wileńsko-kowieńskiej akcji porozumiewawczej do Warszawy coraz bardziej mi trafia do przekonania wobec relacji z Warszawy Žemaitisa i wobec analizy nastrojów społecznych w Polsce, jakie w związku z tą sprawą w prasie i opinii publicznej w Warszawie się ujawniają. Dlatego obrady wileńskie mogą się stać zapoczątkowaniem ważnym, o ile poprą je umiejętnie „krajowcy”, o ile delegaci kowieńscy, zwłaszcza „liaudininków”, nie zepsują sprawy jakimiś błędami.
Do Wilna mam jechać automobilem we wtorek. Ba, o ile śnieg nie przeszkodzi, bo zaczyna padać i jakby się zanosi na dłuższe śnieżenie.
Wieczór dziś spędziłem u sędziego Preisa, do którego byłem zaproszony. Towarzystwo składała się z gospodarzy domu, to znaczy z Preisa, jego żony i córki Ksieni, jej towarzysza czy narzeczonego, następnie przyrodniczego brata Preisa – p. Towstolesa i prezesa sądu Mačysa z żoną, wiceprezesa Piotrowskiego i mnie. Była herbata, potem wieczorem kolacja z dość obfitą porcją alkoholu. Dla rozrywki pani prezesowej była oczywiście gra w „*chemin de fer*”, w której uczestniczyli wszyscy prócz Mačysa i Piotrowskiego. Moja gra szła dość barwnie, rezultat ostateczny wszakże był średni – wygrałem około 100 mk. Najmniej ciekawą i miłą towarzyszką w grze jest, jak zawsze p. prezesowa, pulchna starzejąca się blondyna, która zdaje się jest przekonana o swoich powabach ciała i dumna z nich, pragnąca asystencji płci męskiej, graczka namiętna, ale chciwa, przeto nieprzyjemna. Za to miłą atrakcją gry jest młoda panna Ksienia Preis[323], przystojna i pełna temperamentu, typowa Rosjanka, paląca papierosa, gadatliwa i śmiała, nawet pewna siebie, mająca dużo ostrego pieprzyku podniet dla mężczyzny,

323 Ksienia Preis, córka kolegi M. Römera, sędziego Sądu Okręgowego w Kownie Preisa.

która ze swym młodym towarzyszem czy narzeczonym tworzy sympatyczny zespół. Kto jest ten jej towarzysz – nie wiem. Są oni zawsze razem – i w domu, i na mieście, i w kawiarni, i nawet w pokoju panny Ksieni, a przy kartach także wspólnie grają i zawsze jedną „chewrę" stanowią, a jednak – przynajmniej przy ludziach – nie mówią po imieniu, więc widocznie formalnie są sobie jeszcze obcy.

13 lutego, rok 1921, niedziela
Układ podpisany w październiku czy listopadzie między białoruskim rządem Łastowskiego a rządem litewskim[324] w ten sposób normuje sporną kwestię przynależności państwowej wschodnich powiatów Litwy, które Białoruś uważa za swoje zachodnie, że zastrzega, iż granice wschodnie Litwy, określone w traktacie lipcowym r. 1920 litewsko-bolszewickim, są ostatecznymi tylko w stosunku do Rosji, to znaczy o ile Białoruś nie zrealizuje swej niepodległości terytorialnej państwowej, i pozostanie częścią składową państwa rosyjskiego. Natomiast o ile państwo białoruskie rzeczywiście zaistnieje w postaci realnego tworu niepodległego, wówczas granice traktatowe litewsko-rosyjskie nie będą obowiązywały formalnie stron układających się. Wtedy kwestia granic między Litwą a Białą Rusią staje się kwestią otwartą i rozgraniczenie powinno być dokonane w drodze porozumienia specjalnego jakąkolwiek bądź metodą, jak plebiscyt, arbitraż itp. Takie postawienie sprawy usuwa aktualność konfliktu litewsko-białoruskiego. Rządowi białoruskiemu Łastowskiego i patriotom białoruskim, stojącym niewzruszenie na stanowisku niepodległości Białej Rusi i uznającym narodowy rząd Łastowskiego za rząd prawowity, daje to możność traktowania przynależności formalnej w myśl traktatu lipcowego spornych powiatów wschodnich do Litwy nie za zabór, przeciwko któremu oni winni protestować, lecz za rodzaj dobrowolnego depozytu do czasu rzeczywistego powstania Niepodległej Białej Rusi, która będzie miała prawo podnieść spór legalnie i zgłosić swoje pretensje. Ma to te ważne konsekwencje praktyczne w sporze polsko-litewskim o Wileńszczyznę, że Białorusini stanąć mogą i stają wyraźnie po stronie litewskiej, udzielając jej poparcia ruchem swoim, albowiem chwilowo w tym sporze identyfikują się z państwowością litewską, znajdując dla siebie rozwiązanie układowe białoruskie w ramach państwowego na razie rozwiązania litewskiego. Dla Litwinów w sporze z Polską o Wilno jest to rzeczą bardzo ważną, bo sami w powiatach wschodnich, zaludnionych elementem białorusko-polskim, są oni czynnikiem znikomym lub żadnym, który musi tam znaleźć jakieś oparcie poza sobą. Siły własne narodowe litewskie są tam tak słabe, a na kresach wschodnich powiatów grodzieńskiego, lidzkiego, oszmiańskiego i święciańskiego – żadne, że gdyby nawet ruch białoruski sam był słaby, dla Litwinów nie byłby on jeszcze wobec ich sił – „*une quantité négligeable*"[325]. Dla Litwinów jest ważne, aby ruch białoruski na tych kresach był nie tylko nie wrogi dla nich, ale i nie obojętny, nie bierny w sporze państwowym litewsko-polskim. W obliczu plebiscytowego czy jakiegokolwiek bądź innego sposobu rozwiązania sporu państwowego litewsko-polskiego nie można pogardzać żadnym czynnikiem swoich atutów, a szczególnie gdy się jest w pozycji Litwinów w tych powiatach wschodnich. Ale z zsolidaryzowanie ruchu narodowego białoruskiego z pozycją litewską i wyzyskanie czynne wpływów i akcji tegoż ruchu na rzecz zwalczania niebezpieczeństwa państwowego polskiego i rozstrzygnięcia sprawy w kierunku litewskim jest tym ważniejsze, że ruch białoruski bynajmniej zbyt słaby nie jest i rośnie

324 Układ był podpisany 11 listopada 1920 r. Był on reakcją na ryski układ polsko-bolszewicki i miał na celu stworzenie systemu kontrśrodków co do założeń tego układu wobec Litwy i Białorusi.

325 Franc. „une quantité négligeable" – nieznaczna liczba.

szybko. Rozwija się on zwłaszcza bardzo szybko w kooperatywach (te ostatnie nawet w samym Wilnie są w dużym, a może w przeważającym stopniu w rękach Białorusinów, którzy w ogóle do akcji kooperatywnej ujawniają ogromną zdolność i sprężystość, rozporządzając zresztą licznym zastępem masowym tzw. półinteligencji, bliskiej ludu i obrotnej, stanowiącej świetny materiał pracowników kooperatyw) i w szkolnictwie ludowym. W powiatach południowo-wschodnich Wileńszczyzny (grodzieński, część lidzkiego, oszmiański), zajętych przez właściwe wojska i okupację cywilną polską (nie – Litwy Środkowej) i gdzie wśród ludności białoruskiej jest większy odsetek prawosławnych, nastrój znacznych mas ludności jest w ogóle – co nie tylko stwierdzają sami Białorusini, ale co także przyznawali mi nieraz w ostatnich czasach w Wilnie sami Polacy, nawet ze „Straży Kresowej", biadając nad tym (redaktor Wojewódzki[326] z Grodna) – antypolski i nawet dość ostry, co oczywiście ułatwia akcję białoruską narodową, a nawet rosyjską, która się tam podszywa specyficznie pod białoruską, właściwie podkopując ją nawet, ale niemniej, choć inną metodą, działając w kierunku antypolskim państwowym (akcja rosyjska, podszywająca się pod białoruską i usiłująca spaczyć narodową akcję białoruską, właściwie jeszcze silniej się akcentuje dla pewnych szczególnych – choć w gruncie przemijających względów – w kierunku państwowym litewskim, niż rzetelnie białoruska). Ale i na terenie władz i wojska „Litwy Środkowej", gdzie nastrój ludności jest na ogół bardziej polonofilski, akcja białoruska szerzy się i rośnie. Tu Białorusini potrafili bardzo umiejętnie skorzystać z obecności Białorusina Wacława Iwanowskiego w Komisji Rządzącej „Litwy Środkowej", urzędowo się niby nie przyznając do kontaktu politycznego z nim jako biorącym udział w aferze Żeligowskiego oraz z tych usiłowań flirtu z Białorusinami i pozyskaniu ich, a przynajmniej ujawnieniu swego wielkiego liberalizmu narodowościowego ze strony sterników politycznych „Litwy Środkowej". Dzięki protekcji Wacława Iwanowskiego i udzielanym im za jego pośrednictwem funduszom i pozwoleniem zdobyli oni całą sieć szkół ludowych białoruskich, zwłaszcza w Oszmiańszczyźnie. Liczba tych szkół jest bardzo wielka, a choć zdaje się, że nie wszystkie funkcjonują regularnie, jednak każda jest małą komórką propagandy narodowej.

14 lutego, rok 1921, poniedziałek

Jeżeli więc nic nieprzewidzianego nie stanie na przeszkodzie, to jutro jadę do Wilna. Jadę automobilem z kapitanem Pujolem. Z nami jedzie też Białorusin Jan Czerepuk,[327] poufny wysłaniec rządu Łastowskiego. Wszystko już do wyjazdu gotowe. Automobil – wynajęty i obstalowany na godz. 8 rano jutro; Pujol – gotów do jazdy; dokumenty – mam wszelkie. Na przejazd przez linię posterunków litewskich mam przepustkę od sztabu generalnego z prawem powrotu, wystawioną do d. 27 lutego. Na wjazd do „Litwy Środkowej" formalnej przepustki nie mam, ale takiej w ogóle otrzymać niepodobna z Kowna. Zastępuje ją poniekąd wiza misji francuskiej, która chociaż formalnie dla władz „Litwy Środkowej" obowiązująca nie jest, lecz która bądź co bądź pewien autorytet ma, stanowiąc rodzaj rekomendacji. Dla otrzymania wizy francuskiej trzeba było moją podróż jakoś upozorować dla Francuzów urzędowo. Uczyniło się to w ten sposób, że z wydziału uchodźców przy Ministerium Spraw Wewnętrznych otrzymałem poświadczenie, iż udaję się do Wilna w sprawie owego pociągu, co to od trzech tygodni nie może wyruszyć dla braku dokładnego porozumienia między Wilnem a Kownem. Konsul w misji francuskiej, do którego się po wizę udałem, udzielił mi jej chętnie. Był dla mnie bardzo uprzejmy; znał mię ze słyszenia, wiedział o mojej książce

326 Wojewódzki, redaktor z Grodna, bliższych danych brak.

327 Jan Czerepuk, poufny wysłaniec rządu Łastowskiego w Kownie. Bliższych danych brak.

„Litwie”, zapytywał, czy nie mógłby dostać egzemplarz, bo chciałby przeczytać; słyszał już o nawiązywanej społecznej akcji porozumiewawczej między Wilnem a Kownem, interesował się nią i rozpytywał mię o niej; wyrażał gorące życzenie, by akcja ta wydała owoce, zaznaczał, że dokonane porozumienie litewsko-polskie dałoby Francji możność energiczniejszego poparcia Litwy i wyrażał przekonanie, że przyznanie obszarowi wileńskiemu przez Litwą autonomii stanowić by mogło podstawę do rozwiązania sprawy wileńskiej w kierunku państwowym litewskim. Co do owego nieformalnego pociągu, który od trzech przeszło tygodni nas zwodził i wciąż dotąd nie zdołał wyruszyć, to dowiedziałem się od konsula francuskiego, że przed kilku dniami mógł on odejść, jeno zaszło nieporozumienie. Mianowicie na prośbę władz litewskich konsul był posłał radiotelegram do Wilna, w którym donosił, że Kowno zamierza wysłać pociąg do Wilna we czwartek 10 lutego, i zapytywał, czy władze wileńskie zgadzają się na to. Władze wileńskie uważały widać, że przyjście pociągu jest już faktem przesądzonym, i okazuje się, że w d. 10 lutego z Wilna udało się do Rykont na linię demarkacyjną umyślnie trzech oficerów, w ich liczbie Wiktor Wąsowicz[328], na spotkanie pociągu kowieńskiego. Czekali w Rykontach czas dłuższy, aż wreszcie, gdy stracili nadzieję, klnąc odjechali do Wilna z powrotem. Konsul zaś francuski, nie mając z Wilna odpowiedzi na swój radiotelegram, nie odważył się wziąć na siebie odpowiedzialności wobec władz litewskich za to, że pociąg zostanie do Wilna dopuszczony i że będzie mógł stamtąd wrócić.
Oczywiście po przyjeździe do Wilna zajmę się też zaraz wyjaśnieniem również sprawy tego pociągu. Zapewne pod tym względem trudności nie będzie, skoro już Wilno raz się było zgodziło na przyjęcie go. Jeżeli więc władze wileńskie udzielą zgody na pociąg, to po załatwieniu w Wilnie w ciągu półtora dnia głównych moich interesów, jak wskrzeszenie wileńskiego kółka naszego związku ścisłego, zainicjowania wileńskiej ekspozytury naszej Komisji dla spraw Litwy Wschodniej, porozumienie się z Żydami i Białorusinami, przygotowanie w kołach polskich terenu dla rychłego przyjazdu delegatów kowieńskich dla obrad akcji porozumiewawczej – wrócę we czwartek z Pujolem tymże automobilem do Kowna, skąd już znowu wraz z delegatami litewskimi udam się do Wilna pociągiem. Jeżeli zaś sprawa pociągu w Wilnie się załatwić nie da, to z Pujolem nie wrócę; prześlę przez niego list do Wacława Biržiški, aby delegaci natychmiast wyruszali w drogę automobilami lub końmi; załatwię formalności, by zapewnić, że ich przepuszczą w Rykontach przez linię polską do Wilna, a sam zostanę w Wilnie i będę tam na nich czekał.
W Kownie w kołach rządowych otrzymano wiadomość o jakichś nowych gromadzeniach wojsk polskich w różnych punktach linii demarkacyjnej i różnych przygotowaniach wojennych; utrzymuje to wrażenie, że wojska Żeligowskiego gotują się do jakiejś nowej akcji zaczepnej; wiadomości te przedostały się też do pracy i opinia publiczna w Kownie jest trochę zaalarmowana. Osobiście nie mogę uwierzyć, żeby ewentualność nowej napaści była rzeczywiście konkretnie ze strony Żeligowskiego lub polskiej w obecnych warunkach przygotowywana, ale doświadczenie wojny nauczyło wierzyć w najnieprawdopodobniejsze prawdopodobieństwa.

15 lutego, rok 1921, wtorek
Rano o godz. 8 wyjechałem z Kowna automobilem. Jechaliśmy we trzech – ja, Białorusin Czerepuk i kapitan francuski Pujol. Urzędowo my z Czerepukiem jechaliśmy niby w delegacji od władz kowieńskich – z ramienia Departamentu Pracy i Opieki Społecznej – dla wyjaśnienia sprawy pociągu, mającego odwieźć do Wilna

328 Wiktor Wąsowicz, polski oficer z Litwy Środkowej.

reemigrantów. Tak brzmiały nasze dokumenty, zawizowane przez misję francuską w Kownie. W istocie wszakże ja jechałem w wiadomej sprawie społecznej akcji porozumiewawczej, Czerepuk zaś – z jakimiś zleceniami białoruskiego rządu Łastowskiego do Białoruskiego Komitetu Narodowego w Wilnie. Pogoda wypadła najfatalniejsza: dzień mroźny, wietrzny, sypiący od czasu do czasu suchym śniegiem. Gdyby nie to, że nasz automobil systemu Forda był kryty i zapięty z boków, trudno byłoby wytrzymać ostrego chłodu. W nogi zmarzłem porządnie, ale jakoś się przecież broniłem od chłodu. Do linii demarkacyjnej polskiej dojechaliśmy bez większych przeszkód. Za to w Rykontach natrafiliśmy na poważne utrudnienie dalszej podróży. Komendant batalionu, strzegącego odcinka, kapitan Korsak[329], zatrzymał nas do czasu uzyskania od komendy pułku w Landworowie odpowiedzi w sprawie naszej dalszej podróży. Zatelefonował on o nas do Landworowa i czekał cierpliwie odpowiedzi. Upłynęło przeszło trzy godziny, zanim odpowiedź nadeszła. Kapitan Korsak tłumaczył się przed nami, że na własną rękę bez decyzji pułku nie może nas puścić, ponieważ nie posiadamy przepustek od władz wileńskich. Wiza francuska, którąśmy mieli, jak również obecność kapitana Pujol mało go wzruszały. Pujol był wściekły podwójnie – raz dlatego, że tracił się na próżno czas na głupim siedzeniu w Rykontach, po wtóre zaś dlatego, że autorytet jego był przez to zarządzenie podkopany. Myśleliśmy już, że może nam pozwolenia na dalszą jazdę odmówią i że będziemy musieli wracać z Rykont jak niepyszni do Kowna. Po trzech godzinach nadeszło z Landwarowa polecenie telefoniczne skierować nas pod eskortą żołnierza do komendy pułku. Dodano więc nam w Rykontach szeregowca z karabinem i wysłano do Landwarowa. Tam potraktowano nas grzecznie i znów dodano oficera, by nam towarzyszył do Wilna. W Wilnie Pujol ulotnił się do hotelu, nas zaś z Czerepukiem zawieziono do pałacu Żeligowskiego. Przyjął nas tam jakiś adiutant i zaczął z nami natychmiast rozmowę o pociągu. Choć byliśmy zmęczeni podróżą, a w sprawie pociągu, która była tylko formalnym upozorowaniem naszego przyjazdu, mało byliśmy poinformowani, musieliśmy o tej rzeczy rozmawiać i udawać, że pertraktujemy. Trwało to zapewne około godziny. Mówiąc o pociągu, adiutant przechodził na coraz inne tematy i przeważnie poruszał kwestię ustanowienia stałego organu przedstawicielstwa wileńskiego w Kownie, co, jako przedmiot stosunków dyplomatycznych, wykraczało poza nasze kompetencje. Wreszcie adiutant nam oznajmił, że sprawa pociągu nie należy do właściwości Żeligowskiego, o ile chodzi o porozumienie się w tej sprawie z Kownem i o ile ta rzecz musi być załatwiona z udziałem pośredniczym czynników międzynarodowych, jak misja francuska lub Komisja Kontroli Ligi Narodów, i odesłał nas do delegata Rządu Polskiego Raczkiewicza, dokąd nas też natychmiast pod eskortą sierżanta odwieziono (do pałacu Ogińskich). Na szczęście, Raczkiewicz i jego biuro już się zamykały, bo była godz. 7 wieczór, więc dano nam wreszcie do jutra spokój. W ogóle byliśmy traktowane jak jacyś zamorscy cudzoziemcy, co mię irytowało, bo w Wilnie przywykłem się czuć u siebie, a nie za granicą, uciążliwości zaś włóczenia nas od Annasza do Kajfasza pod eskortami, z Rykont do Landworowa, stamtąd do Wilna i w Wilnie od jednej władzy do innej – zmęczyły mię jeno. Nie ma tu żadnej metody stałej w przedmiocie przekraczanie linii demarkacyjnej. Za każdym razem – inna niespodzianka!

Gdyśmy już byli swobodni, udałem się zaraz na Ofiarną do Maryńki. Zastałem ją znękaną i smutną. Od miesiąca siedzi w Wilnie bez grosza, na ciągłym wyjezdnym, nie mogąc się doczekać zapowiadanego pociągu, nie mając też żadnej innej możności

329 Korsak, kapitan polski z Litwy Środkowej, komendant batalionu w Rykontach.

wyjazdu. Żyć musiała tylko z łaski Węgłowskich[330], u których jadała obiady i pożyczała na życie. Mieszka w jednym pokoiku, płacze często, czuje się zwichnięta i smutna. Biedna Maryńka! Ona, taka energiczna, dzielna, pracowita, zawsze pełna inicjatywy, znalazła się w położeniu rozbitka. Z pracy wielu lat nie pozostało jej nic, ani warsztatu, ani zasobów materialnych. Dzieci dorosły i poszły w świat własnymi drogami, a ona pozostała samotna. Wreszcie zdaje się, że i w zamiarach małżeńskich względem swego majora zawiodła się. Słowem – czuje się rozbitkiem. Ma jechać do Bohdaniszek, by tam zaczynać tworzyć pracę i życie niemal od nowa.
U Maryńki spotkałem jej syna Stefusia[331]. Ze względu na Maryńkę podałem mu na przywitanie rękę. Dla serca matki nie przestał on być nigdy synem.

16 lutego, rok 1921, środa
W sprawie uzyskania zgody Wilna na przyjście z Kowna pociągu z uchodźcami – nic się wyjaśnić nie dało. Byłem dziś w tej sprawie u delegata Rządu Polskiego Raczkiewicza. Przyjął mię w zastępstwie Raczkiewicza pułkownik Tupalski[332], ale rozmowa nasza nie doprowadziła do niczego. Przede wszystkim, jest w Wilnie obecnie dwoistość władzy – z jednej strony władza Żeligowskiego i „Litwy Środkowej", bardzo uszczuplona, stanowiąca ledwo cień istotnej władzy, i z drugiej – władza polska, wykonywana przez delegata Rządu Polskiego Raczkiewicza, posiadająca widoczną supremację nad pierwszą i dążącą do zatarcia odrębności prawno-państwowej Litwy Środkowej w kierunku przetworzenia jej na województwo wileńskie, w myśl tendencji większości sejmowej w Warszawie i aneksjonistów miejscowych. Dwoistość władz czyni obie połowicznymi i nieustalonymi co do zakresu właściwości. Choć władza Żeligowskiego w postaci obecnej Tymczasowej Komisji Rządzącej wykazuje miękką ustępliwość wobec rosnącej władzy Raczkiewicza, jednak pewne czynniki oporu istnieją, a że proces ścierania się dwóch władz nie jest zakończony, więc wszystko tu jest, gdy chodzi o władzę i o decyzję, chwiejne i niewyraźne. Tak też w sprawie tego pociągu nikt, nie wyłączając samych elementów tej i drugiej władzy, nie wie dokładnie, od kogo decyzja zależy. Wskutek tego nie wiadomo, z kim o tym mówić, bo jedni odsyłają do drugich, a każdy, gdy się z nim zaczyna mówić o konkretnej sprawie pociągu, przechodzi do tematów ogólnych o stosunkach dyplomatycznych, o ustanowieniu przedstawicielstwa między Kownem a Wilnem lub Warszawą itd., konkretnych zaś o pociągu decyzji ustalić niepodobna. Zresztą widocznym jest, że czynniki decydujące wileńskie są niechętne przyjęciu powracających uchodźców wileńskich, których by ten pociąg przywiózł, bojąc się, że w liczbie tych uchodźców, stanowiących prawie wyłącznie Żydów, znajdzie się duży odsetek agitatorów bolszewickich. Wobec tego zaniechałem dalszych bezpośrednich starań w sprawie pociągu, prosząc Pujola, aby on zlecił odpowiednie staranie Komisji Kontroli Ligi Narodów w osobie jej prezesa (komisji wojskowej) pułkownika włoskiego Bergerata[333]. Zatem ja sam osobiście nie wracam jutro automobilem do Kowna. Posyłam tylko tym automobilem zawiadomienie, aby delegaci stronnictw litewskich przyjeżdżali do Wilna, sam zaś będą tam na nich czekał. W sprawie ich przyjazdu byłem dziś z Zygmuntem Jundziłłem u szefa II wydziału, majora Mariana Kościałkowskiego, który zapewnił mię solennie, że prześle rozporządzenie do Rykont, aby delegaci, których nazwiska mu podyktowałem, zostali przez linię demarkacyjną polską przepuszczeni swobodnie. Na

330 Węgłowscy, teściowie Ireny Pruszanowskiej, córki Konstancji Michaliny Marii Pruszanowskiej, siostry Michała Römera.

331 Stefan Römer (1900-?), syn Marii (siostry M. Römera) i Witolda Römerów.

332 A. Tupalski, pułkownik polski, zastępca delegata rządu RP Władysława Raczkiewicza.

333 Bergerat, pułkownik włoski, członek Komisji Kontroli Ligi Narodów, prezes komisji wojskowej.

życzenie Jundziłła i Kościałkowskiego termin przyjazdu delegatów litewskich został ustalony między środą a niedzielą w przyszłym tygodniu. Zdaje się, że chodziło im o to, aby przyjazd delegatów dokonał się po powrocie Prystora[334] z Warszawy, gdzie Prystor miał się widzieć z Piłsudskim po jego powrocie z Paryża i przywieźć dla grup „krajowych" polskich w Wilnie pewne instrukcje Piłsudskiego.
Automobilem, którym przyjechałem wczoraj i który jutro wraca do Kowna, wyślę Maryńkę, sam zaś pozostanę w Wilnie. W Wilnie od Maryńki i od Heli Ochenkowskiej dowiedziałem się o dwóch śmierciach, które zaszły świeżo w rodzinie Römerów. Umarł stryj Kazimierz Römer[335] z Janopola, syn Seweryna[336] i Anieli z Burbów, brat cioci Marysi Römerówny z Antokola[337], ojciec Antosia[338], żonatego z Hanią Sołtanówną, i czterech córek, z których dwie starsze są zamężne za Platerem[339] i Wańkowiczem[340]. Stryj Kazimierz, stryjeczno-rodzony brat Papy, był od paru lat ciężko chory i pogrążony w głębokiej melancholii. Umarł w Wilnie. Umarła też w bardzo podeszłym wieku Maryni[341] teściowa, matka Witolda Römera[342], Antonina Józefowa Römerowa, wdowa po Józefie Römerze[343], z domu Iwaszkiewiczówna, babka Stefusia[344] i Ewy Meyerowej[345].
Z okazji rocznicy ogłoszenia Niepodległości Litwy (została ona proklamowana przez Litwinów w d.16. II. 1918 r.), obchodzonej z wielką uroczystością w Kownie i całej Litwie z tamtej strony linii demarkacyjnej, odbył się w gimnazjum litewskim w Wilnie wieczorek, na którym byłem obecnym. Publiczności było mnóstwo. Zebrała się cała kolonia narodowa litewska, której najliczniejszą część stanowi dziś młodzież ucząca się i element ludowy, bo inteligencji litewskiej pozostały w Wilnie tylko szczątki; było też dużo Żydów, była garść Białorusinów. Z Polaków był p. Tadeusz Wróblewski, Zygmunt Jundziłł, ja. Z wybitniejszych działaczy żydowskich był dr Wygodzki[346], obecni też byli działacze białoruscy, jak Kochanowicz, Duszewski, Karabasz, ks. Adam Stankiewicz[347]. Z gości honorowych był biskup wileński Matulewicz[348], byli dwaj

---

334 Aleksander Prystor.

335 Kazimierz Ignacy Römer (1848-1921), syn Seweryna Justyna, żonaty z Kazimierą Skirmuntówną, stryjeczno-rodzony brat ojca Michała Römera.

336 Seweryn Justyn Römer (1814-1890), syn Michała Józefa i Racheli de Raës.

337 Maria Antonina Römer (1847-1939), córka Seweryna Justyna, bezpotomna.

338 Antoni Kazimierz Römer (1889-1973), syn Kazimiera i Kazimiery ze Skirmuntów.

339 Edward Plater-Zyberk (1891-1937), mąż Ireny Anieli Heleny Römer (1891-1979), córki Kazimierza Ignacego.

340Karol Wańkowicz, mąż Kazimiery Römer, córki Kazimierza Ignacego.

341 Maria Römer.

342 Witold Römer (1866-1918), dziedzic Ikaźni.

343 Józef Römer (1819-1900), właściciel Ikaźni, mąż Antoniny Iwaszkiewiczówny.

344 Stefan Römer, syn Marii, siostrzeniec M. Römera.

345 Ewa Helena Römer (1898-?), córka Marii, siostrzenica M. Römera, w 1920 r. poślubiła majora wojska polskiego Konstantego Meyera i zamieszkała w Warszawie.

346 Jakub Wygodzki (właśc. Wygodski, 1857-1941), naczelny lekarz w Wilnie, minister do spraw żydowskich, związany z ruchem syjonistycznym, prezes gminy żydowskiej w Wilnie, minister do spraw żydowskich w rządzie litewskim, w latach 1919-1929 radny miasta Wilna, w latach 1922-1939 poseł na Sejm RP, rzecznik równouprawnienia szkolnictwa polskiego i żydowskiego, zamordowany przez gestapo.

347 Adam Stankiewicz (1892-1949), ksiądz, białoruski działacz społeczny i polityczny, pisarz, historyk. Jeden z założycieli Białoruskiej Chrześcijańskiej Demokracji (1917), 1924-1926 prezes Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, redaktor: „Bielaruskaja Krynica", „Szlach Moładzi", „Samapomac", „Kałośsie"; zmarł na zesłaniu na Syberii.

348 Jerzy Matulewicz (Jurgis Matulaitis, 1871-1927), generał zakonu marianów, w latach 1918-1925 biskup wileński, od 1925 r. arcybiskup i wizytator apostolski na terenie Litwy, od 1926 r. rządca diecezji kowieńskiej, beatyfikowany w 1987 r.

członkowie Komisji Kontroli Ligi Narodów – Hiszpan i Japończyk[349]. Program wieczora wypełniły deklamacje, śpiew, jednoaktówka i popisy muzykalne dzieci, uczących się w gimnazjum litewskim. Gorącą mowę, witającą odrodzenie państwowe Litwy, wygłosił od imienia bratniego narodu białoruskiego po białorusku ks. Stankiewicz, na którą odpowiedział mu po litewsku Michał Biržiška. To obudziło u Tadeusza Wróblewskiego chęć wypowiedzenia mowy powitalnej do Litwinów także po polsku. Wszakże po naradzie z Michałem Biržišką, ze mną i kilku innymi Wróblewski zaniechał zamiaru ze względu na obawę, by sam dźwięk publicznego przemówienia po polsku nie wywołał, zanim jeszcze treść zostanie wysłuchana, jakiegoś nieobliczalnego odruchu protestu, choćby indywidualnego, co musiałoby sprawić bardzo przykre wrażenie i byłoby tylko wykorzystane przez koła endeckie do zdyskredytowania wystąpień pojednawczych i serdecznych ze strony polskiej względem Litwinów. W atmosferze głębokiego podrażnienia antypolskiego uczuć Litwinów wileńskich mógłby się ktoś znaleźć, który by nagle gwizdnął, a mógłby też to zrobić ktoś z młodzieży żydowskiej, a nawet ktoś może w celach prowokacyjnych polskich. Wróblewski więc zaniechał zamiaru, choć smutno, że do tego stosunki doszły.
Widziałem się już z całym szeregiem osób. „Krajowcy" wileńscy i w ogóle koła lewicowe, choć widzą załamanie się ich dzieła – „Litwy Środkowej" – nie tracą nadziei i nie uważają gry swojej za ostatecznie przegraną. Domagają się Sejmu w Wilnie, garną się do Żeligowskiego, przeciwstawiając jego władzę władzy Raczkiewicza, której nie chcą uznawać i do którego są usposobieni jaskrawie wrogo, z całą bezwzględnością protestują przeciwko ewakuacji wojsk Żeligowskiego i przeciwko przysłaniu oddziałów międzynarodowych, twierdząc, że Wilno nigdy do tego nie dopuści, jak również nie chcą i nie wierzą w plebiscyt i traktują Ligę Narodów oraz jej rolę w rozwiązywaniu sporu wileńskiego za czynnik obcy, który uprawnień żadnych nie posiada, bo o Wilnie i Ziemi Wileńskiej tylko Wilno i ta ziemia decydować mogą.

17 lutego, rok 1921, czwartek
Rano automobil odszedł do Kowna. Wyekspediowałem nim Maryńkę, dla której Michał Biržiška dał kartkę na przekroczenie linii litewskiej. Ze strony polskiej przepustkę Marynia ma. Po odjeździe Maryńki ogarniał mię kilkakrotnie niepokój o nią. Pojechała ona biedaczka prawie bez grosza, miała zaledwie kilkadziesiąt marek ost. Chociaż dałem jej kluczyk od mojej walizki w moim mieszkaniu w Kownie, w której mam przeszło 1000 mk. moich oszczędności, aby wzięła, ile jej będzie potrzeba, ale nie przyszło mi na myśl, że nuż coś się stanie w drodze, nuż na granicy zajdzie jakieś nieporozumienie i biedna Maryńka siądzie w pół drogi bez środków nawet na najęcie furmanki dla powrotu do Wilna. Da Bóg, że wszystko jej pójdzie szczęśliwie, ale jestem niespokojny. Nie mogę bez wzruszenia myśleć o Maryńce, która zasługuje na więcej szczęścia, niż ma w życiu. Dałby Bóg, żeby pokochała Bohdaniszki i żeby w tej pracy zdołała znaleźć przyjemność i zadowolenie. Do innych jej smutków przybyło jeszcze zwichnięcie jej projektów małżeństwa z majorem Treśniowskim[350], ale bądź co bądź ten projekt dawał Maryńce słodycz nadziei i koił jej tęsknoty jak widok spokojnego portu dla strudzonego żeglarza. Ale musiało coś się zachwiać w tym stosunku do majora, bo wczoraj Maryńka, mówiąc mi o swoich zamiarach małżeństwa na przyszłość wspomniała, że nie o majorze myśli, bo się przekonała, że major ją opuszczał. Ten zawód musiał być dla niej bolesny. Wszystko się w życiu pokruszyło i teraz, jak

349 Hiszpan płk Herce; Japończyk kpt. Yanamaki.

350 Treśniowski, major, przyjaciel siostry M. Römera Marii.

rozbitek, musi ona zaczynać wszystko na nowa. Oby Bohdaniszki dały jej podstawę dla stworzenia dzieła trwalszego, niż jej praca, tylekroć łamana!
Do akcji porozumiewawczej, która się zapoczątkuje przyjazdem do Wilna delegatów stronnictw litewskich z Kowna, wciągnięci będą w Wilnie przez Polaków także Żydzi i Białorusini. Już w Kownie dochodziły mię wieści, że Żydzi i Białorusini w Wilnie, słysząc o przygotowaniach do tej akcji porozumiewawczej i o moich kilkakrotnych przyjazdach w tej sprawie do Wilna, wyrażali z żalem zdziwienie, iż stosunki są nawiązywane w Wilnie tylko z Polakami i że oni są pomijani. Rozmyślnego pomijania wszakże nie było, bo zresztą i sama akcja jeszcze się nie rozpoczęła, a w okresie przygotowawczym z konieczności wypadło stykać się tylko z kołami polskimi, bo z tej strony były największe przeszkody do przezwyciężenia, wiadomo zaś było, że z Żydami i Białorusinami, którzy w sprawie wileńskiej stoją po stronie litewskiej, żadnych trudności istotnych do porozumienia nie będzie. Żydzi, a szczególnie Białorusini podkreślają mocno to, że Litwini powinni odwoływać się do nich, aby przez to samo wytrącić Polakom argument i pozór monopolu narodowego w Wileńszczyźnie i uwydatnić, że sprawa wileńska musi być rozstrzygana z uwzględnieniem równorzędnym innych krajowych czynników narodowych. Litwini też zresztą dbają o to i są jaskrawe przeciwstawiania Żydów i Białorusinów Polakom w grze o Wilno. Zbyt jaskrawe przeciwstawianie mogłoby drażnić Polaków, którzy niewątpliwie politycznie trzymają pierwsze skrzypce w Wileńszczyźnie i nie dadzą sobie wybić atutów przez podstawianie konkurentów żydowskich i białoruskich, toteż takt i miara w uwzględnianiu Żydów i Białorusinów w akcji porozumiewawczej – muszą być zachowane. Ale całkiem pomijać Żydów i Białorusinów nie można, bo i oni mają słuszne prawo do głosu w sprawie wileńskiej, która jest sprawą wspólną. Dobre porozumienie społeczne między Litwinami kowieńskimi a Żydami i Białorusinami wileńskimi ma bez wątpienia dużą wagę, tym większą, że czynnik białoruski w powiatach wschodnich i w Grodzieńszczyźnie gra rolę w stosunkach wiejskich już dziś bardzo wybitną, pomimo przeciwnych usiłowań Polaków, którzy chcieliby go zbagatelizować lub tłumić. Zasada „*divide et impera*" uśmiecha się Litwinom, a Białorusini wciąż na nią wskazują. Wszakże dopóki są szanse porozumienia się z Polakami bezpośrednio, tej zasady nadużywać nie należy, Polaków to zraża. Wciągnięcie przeto Żydów i Białorusinów do akcji jest potrzebne, ale musi być wykonywane z taktem. W tej myśli odwiedziłem dziś dr Szabada, przywódcę żydowskiego stronnictwa demokratycznego i dr Jakuba Wygodzkiego, przywódcę syjonistów. Obaj z wielkim zainteresowaniem traktują gotującą się akcję porozumiewawczą i przywiązują do niej wielką wagę, uznając ją za konieczną i widząc w niej metodę rozwiązania sprawy wileńskiej. W szczególności dr Szabad[351], mimo że stoi niezłomnie na stanowisku scałkowanej państwowo Litwy, traktuje sprawę z wielkim umiarkowaniem, uważając za konieczne wszechstronne uwzględnienie żądań polskich, których nie wolno mierzyć miarką nacjonalizmu litewskiego. Szabad ubolewa, że akcja porozumiewawcza rozpoczyna się tak późno i wskazuje, że najlepszy czas dla niej był wtedy, gdy jeszcze u steru stała pierwsza Komisja Rządząca z Witoldem Abramowiczem.na czele i gdy jeszcze Polska w osobie Raczkiewicza nie była położyła ręki na „Litwie Środkowej".

351 Zemach Szabad (Cemach Szabad, 1864-1935), lekarz i wileński działacz demokratyczny nowoczesnej kultury żydowskiej. W czasie I wojny światowej członek Komitetu Obywatelskiego w Wilnie, 1919-1927 członek rady miejskiej Wilna, 1928 wybrany do Senatu RP. Politycznie związany z partią folkistowską (Folkspartei). Jeden z założycieli Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie (YIVO) w 1925 r.

W stronnictwie „Odrodzenie" – duże zmiany. Po pierwsze, dla „Odrodzenia" nastały czasy gorsze. Za rządów poprzedniej, to znaczy Abramowiczowskiej Komisji Rządzącej „Odrodzenie" korzystało z opieki kół rządowych w Wilnie. Obecnie nowe rządy są mu nieprzychylne. „Odrodzenie" ulega rewizjom, szykanom, nawet represjom. Po drugie, stary zarząd „Odrodzenia" i zwłaszcza niektórzy z jego członków, jak zwłaszcza Stefan Mickiewicz, a także Barwicki i kilku innych, którzy przesadzali w metodach demagogicznych, skompromitowali się. Wydana przez nich głośna odezwa agitacyjna pt. „Piłsudski z nami!", w której Józef Piłsudski – porównany był do Jagiełły a Jan Piłsudski – do Witolda, narobiła hałasu i zgorszenia tak w Wilnie, jak i w Warszawie. Skorzystali z tego demokraci, którzy, działając w zmowie z Ludwikiem Chomińskim, doprowadzili na ostatnim zjeździe, czyli tzw. „kongresie" „Odrodzenia" do wyeliminowaniu z zarządu Stefana Mickiewicza i wytworzenia nowego zarządu, do którego w pierwszym rządzie weszli dwaj demokraci – Napoleon Czarnocki i Leon Pietkiewicz[352]. Helman, ambitny i węszący stosunki układów realnych, trzyma się Chomińskiego i demokratów. Chomiński też formalnie się z zarządu usunął, ale tylko w tym celu, aby razem ze sobą odciągnąć Mickiewicza.

18 stycznia, rok 1921, piątek
Demokraci, to znaczy tzw. Polskie Stronnictwo Demokratyczne, wytworzone od lat kilku w Wilnie przez Witolda Abramowicza z zawiązku dawnych tzw. „przeglądowców"[353] i pozostające pod niewidzialnym wpływem polskich masonów wileńskich, jest formacją czysto inteligencką, pozbawioną oparcia społecznego w masach ludowych. Kiedy powstało i zaczęło się rozwijać „Odrodzenie" jako ruch radykalny chłopski, znalazło ono sympatie w pierwszym rządzie w obozie demokratów, których ideologii ruch taki jak najbardziej odpowiadał. Zresztą jeden z twórców „Odrodzenia", Ludwik Chomiński, sam osobiście wychodził z szeregów demokratów stronnictwa Abramowicza. Na gruncie niedoszłych wyborów do Sejmu Wileńskiego sympatie pierwotne, dość luźne, między demokratami a „Odrodzeniem" doprowadziły do formalnego zbliżenia, które się wyraziło w ścisłym bloku wyborczym i formowaniu wspólnych list kandydatów. Odtąd cały szereg członków Stronnictwa Demokratycznego zaczął pracować czynnie w „Odrodzeniu", w szczególności zaś Jan Piłsudski, dr Napoleon Czarnocki i Leon Pietkiewicz. Jaskrawie demagogiczne i wichrzące elementy działalności „Odrodzenia", wyrażone w akcji poprzedniego rządu i zwłaszcza w metodach działania takich ludzi, jak Stefan Mickiewicz, Barwicki i inni, raziły nieraz stateczne umiarkowanie demokratów. Podczas ostatniego zjazdu, czyli „kongresu" „Odrodzenia", podczas wyborów nowego zarządu demokraci skorzystali z kilku błędów poprzedniego rządu, z kilku nietaktów i wybryków demagogicznych, które sprowadziły represje na „Odrodzenie", aby przy pomocy Ludwika Chomińskiego i Helmana, którzy też się przyłączyli do umiarkowanego skrzydła demokratów, usunąć formalnie Mickiewicza jako jednostkę kompromitującą i wprowadzić do zarządu paru swoich ludzi (Czarnocki i Pietkiewicz). Jan Piłsudski, którego nazwisko było w demagogii poprzedniego zarządu wyzyskiwane, usunął się przez wzgląd właśnie na swe nazwisko i na swój charakter brata Józefa Piłsusdkiego. Chociaż liczebnie demokraci w nowym

352 Leon Pietkiewicz (1862-1932), publicysta, literat, ekonomista, tłumacz. Absolwent prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracował z wieloma pismami poruszając problematykę ekonomiczną. W 1906 r. przebywał w Wilnie, gdzie przez dwa miesiące redagował wydawaną przez M. Römera „Gazetę Wileńską".

353 Grupa skupiona wokół Witolda Abramowicza i Bronisława Krzyżanowskiego, kiedyś najbliższych przyjaciół i współpracowników M. Römera, z którymi poróżnił go m.in. stosunek do niepodległej Litwy, sprawa przynależności państwowej Wilna, ich udział w wyprawie gen. L. Żeligowskiego oraz wejście w skład władz tzw. Litwy Środkowej.

zarządzie są słabi, to jednak wagę ich podnosi to, że reprezentują w nim oni element inteligencki i że popierają ich wpływy osobiste Chomińskiego i Helmana. Demokraci, którzy weszli do „Odrodzenia”, dążą przy pomocy Chomińskiego do pewnego rodzaju przewagi i kierowniczej roli względem chłopów. „Odrodzenie” ma się więc stać poniekąd oparciem społecznym dla demokratów, którego im brakowało, w pewnej mierze podnóżkiem społecznym dla inteligencji miejskiej. Ale Stefan Mickiewicz nie drzemie. Ten człowiek, z usposobienia warchoł, trawiony ambicją i gorączką odgrywania roli przodowniczej w jakimkolwiek ruchu, a nie mogący sobie znaleźć nigdzie miejsca, bo we wszystkich grupach jest gruntownie skompromitowany, rychło się spostrzegł, że go demokraci chcą nie tylko formalnie z zarządu, ale i faktycznie z „Odrodzenia” wyrugować. Zapałał więc nienawiścią i pragnieniem zemsty na intruzach, którzy mu odbierają z rąk to, co zostało stworzone z jego przemożnym udziałem. Rozpoczął walkę przeciwko demokratom, przeciwko elementowi inteligenckiemu w zarządzie i przeciwko własnym towarzyszom niedawnym, jak Chomiński i Helman. Walka ta na razie intrygancka, ale niebawem prawdopodobnie wyleje się w kształty walki otwartej, której przebiegu niepodobna przewidzieć. Demokraci bowiem, czyli inteligenci w zarządzie, równie szczerze, jak on ich, pragną go się pozbyć, aby „Odrodzenie” zrehabilitować moralnie (Mickiewicz skompromitowany jest nie tylko politycznie, lecz także moralnie) i móc poprowadzić je po linii bardziej umiarkowanej, odpowiadającej pokojowemu inteligenckiemu temperamentowi demokratów. Mickiewicz wie i wyczuwa dążenia demokratów, ale wie także, że ruch chłopski, raz rozkołysany, nie daje się uspokoić łatwo, zwłaszcza na gruncie pożądań reformy agrarnej i ludowładztwa, i zna dobrze elementarną nieufność chłopa do inteligenta, którego chłop zawsze ma za pana. Na tym gruncie zaczyna jątrzyć, podniecając nieufność chłopów w zarządzie „Odrodzenia” do inteligentów, budząc instynkty podejrzliwości chłopskiej i dając chłopom do zrozumienia, że inteligenci nie tyle chcą ruchowi chłopskiemu służyć, ile się nim posługiwać dla własnych celów, aby panować i mieć głosy chłopskie. Słowem – gra na metodzie demagogicznej. A że ma swoje wpływy w „Odrodzeniu”, ma posłuch u chłopów, wyrobiony poprzednią działalnością swoją w „Odrodzeniu”, ma grono oddanych mu wiernych ludzi, którzy widzą w nim gorącego rzecznika sprawy ludowej, więc wichrzy skutecznie. W takim stanie jest „Odrodzenie” w chwili, gdy delegaci stronnictw litewskich mają z nim wejść w pierwszy kontakt. „Odrodzenie” jest dalekie od zrównoważenia. Może to i lepiej dla sprawy akcji porozumiewawczej, bo przez to stanowisko polityczne ruchu jest mniej skrystalizowane i łatwiej ulegać może wpływom. Jest giętsze, podatniejsze do ewentualnego porozumienia. „Odrodzenie” – to jeszcze chaos, jeszcze mgławica ludowa.
Dziś pierwsza strzała zatruta ugodziła we mnie. Jedna z dwóch konkurujących agencji telegraficznych prywatnych polskich – „East Expres” (druga jest „Orient”) – rozesłała wczoraj dla całej prasy polskiej depeszę o otworzeniu w Kownie specjalnej Komisji spraw Litwy Wschodniej i podane zostały nazwiska wszystkich czterech jej członków (Wacław Biržiška, ja, Rozenbaum i Konopacki). Ja nazwany zostałem w depeszy „pseudo-Polakiem”. Depesza podaje, że komisja ta rozporządza dużymi środkami i że na jej utrzymaniu jest szereg pism w Wilnie, wydawanych tu w duchu państwowym litewskim w różnych językach pod kierunkiem ogólnym Michała Biržiški i w istocie za pieniądze rządowe, jak przypuszczam, litewskie, choć bez udziału rzeczywiście naszej komisji. Niektóre z pism wileńskich, jak „Gazeta Krajowa”, „Straż Litwy”, depeszy tej nie umieściły. Ale za to „Gazeta Wileńska”, organ „Straży Kresowej”, umieściła depeszę tę na pierwszym miejsce, zaopatrując ją w sensacyjny tytuł: „Spisek przeciw Polsce”. Zrobiono więc ze mnie nie tylko „pseudo”-Polaka i spiskowca przeciw Polsce,

jak gdyby dążenie do utrzymania łączności państwowej Wilna z Litwą godziło Polskę, mimo że w moich dążeniach łączność ta ma się zasadzać na zupełnym uszanowaniu praw narodowych i politycznych Polaków wileńskich i ma prowadzić do zbliżenia litewsko-polskiego. Aby zaś nadać tej wieści jeszcze większą sensację, „Gazeta Wileńska", która od pewnego czasu plakatuje co dzień główne tezy treści numeru, rozplakatowała wielkimi literami sensację: „Spisek kowieński przeciw Wilnu". Oczywiście, chodzi nie o sensację tylko, ale i o zohydzenie mnie oraz podkopanie zawczasu tej społecznej akcji porozumiewawczej, dla której tu przyjechałem i która ma się w tych dniach zacząć.

19 lutego, rok 1921, sobota
Nie chciałem zostawiać depeszy „East Expressu" o „komisji kowieńskiej" bez odpowiedzi ze względu na nadanie tej komisji jakiegoś specjalnego charakteru antypolskiego i zwłaszcza na nadanie temu przez „Gazetę Wileńską" cech „spisku przeciw Polsce". Chodziło mi o to, aby przez zohydzenie mojej osoby nie zdyskredytowano zawczasu akcji porozumiewawczej, która ma się w tych dniach rozpocząć, a która jest przeważnie moim dziełem. Poza tym, sam fakt zohydzenia mojej osoby nie mógł mi być osobiście obojętnym. Nie uważałem jednak za właściwe bronić się przeciwko insynuacji bezpośrednio i występować w obronie własnej publicznie, a to ze względu na mój charakter gościa w Wilnie, przyjeżdżającego dla nawiązania kontaktu między powaśnionymi stronami. Wybrałem więc drogę pośrednią. Udałem się wczoraj do redakcji „Gazety Krajowej", prosząc, aby redakcja uczyniła to od siebie w postaci niby wywiadu ze mną. Zresztą Ludwik Abramowicz sam już był wpadł na tę myśl. Wywiad sfabrykował Benedykt Hertz[354], który od pewnego czasu wrócił do Wilna i pracuje w „Gazecie Krajowej". Dziś wywiad ten ukazał się w druku. Jest on krótki i dotyczy tylko przedmiotu depeszy „East Expressu". W wywiadzie stwierdzam, że o żadnym spisku przeciw Polsce nic mi nie jest wiadomo, że o oderwaniu Wileńszczyzny od Polski nie może być mowy, gdyż Wileńszczyzna do Polski dotąd nie należy, że stałem i stoję zawsze na stanowisku niepodległości Litwy niepodzielnej, której zrealizowanie pojmuję li tylko metodą porozumienia i uszanowania wszelkich indywidualności narodowych i dzielnicowych i że w tym celu zapoczątkowana została właśnie społeczna akcja porozumiewawcza, która już jest w toku i z którą związany jest mój przyjazd. Dodałem, że z organami prasy w Wilnie, które rzekomo są subsydiowane przez „komisją" kowieńską, nie mam żadnego związku. W „Straży Litwy", organie Michała Biržiški, wydawanym po polsku (jest to dalszy ciąg zamykanych kolejno przez władze wileńskie dzienników pod tytułami „Echo Litwy", „Głos Litwy", „Dzwon Litwy"), ukazał się też artykulik w odpowiedzi na depeszę „East Expressu", odpierający insynuację o spisku i biorący mię w obronę, zwłaszcza co do nazwania mię „pseudo-Polakiem".
W ogóle dokoła mojej osoby zaczyna się robić w prasie huczek. Widocznie społeczna akcja porozumiewawcza kowieńsko-wileńska, z którą się moje przyjazdy do Wilna łączą, budzi zainteresowanie i jest obserwowane pilnie, choć nie wszędzie bynajmniej jest witana przychylnie. W „Kurierze Warszawskim"[355] wyczytałem dziś depeszę tegoż „East Expressu", datowaną z Wilna i donoszącą o moim przyjeździe w takim

354 Benedykt Hertz (1872-1952), poeta, dramaturg, publicysta, sympatyk ruchu socjalistycznego, współpracownik wielu pism lewicowych.
355 „Kurier Warszawski", dziennik informacyjno-polityczny, wydawany 1821-1939 w Warszawie. Redagowali: K. Olchowicz starszy (1906-1924), K. Olchowicz młodszy wraz z F. Hoesickiem (1924-1939).

lakonicznym brzmieniu, jak żebym był co najmniej równy Lloydowi George'owi[356] i jak żeby sam fakt mego przyjazdu do Wilna był doniosłym wypadkiem politycznym, zrozumiałym dla ogółu czytelników: „Wilno. 17 lutego (E.E.). – Dziś przybył tutaj Michał Römer. Celem przyjazdu jest usunięcie trudności technicznych stojących na przeszkodzie przyjazdów do Wilna litewskiej delegacji parlamentarnej. Römer przesłał do Kowna wiadomości, iż trudności te są już usunięte. W najbliższym czasie spodziewane jest przybycie delegacji". Zresztą depesza ta podaje wieści dość ścisłe, prócz szczegółu określenia delegacji litewskiej jako „parlamentarnej", bo w istocie jest ona delegacją nie Sejmu, lecz dwóch stronnictw, mimo że delegatami są posłowie do Sejmu. Z wileńskiego oddziału agencji telegraficznej „Orient" otrzymałem dziś prośbę udzielenia rozmowy na tematy polityczne dla wiadomości pism warszawskich. Wolałbym jednak od takiego *interview* się uchylić, bo wiem, że w wywiadach myśl interlokutora ulega często spaczeniu i że są one potem wyzyskiwane nieraz dla celów przeciwnych zamierzeniom udzielającego wywiadu, co szczególnie jest do przewidzenia w atmosferze sporów i nienawiści, wytworzonej dokoła sprawy wileńskiej, i co oczywiście mogłoby jeno posłużyć do jątrzenia i przez to szkodzić warunkom pojednawczej istoty akcji. W tym duchu odpiszę do „Orientu".
Dziś miałem przynajmniej fizycznie dzień odpoczynku, bo wszystko, co miałem do zrobienia, już właściwie zrobione zostało i teraz pozostaje mi tylko czekać na przyjazd delegatów litewskich. Wczoraj za to nachodziłem się przez cały dzień aż do zbytku, bo musiałem zaprosić cały szereg osób na zebrańko do dr Szabada dla omówienia metod prowadzenia akcji porozumiewawczej z delegatami litewskimi. Chodzenie po mieście jest samo przez się w Wilnie prawdziwą męką wobec niezwykle śliskich tutaj podczas suchego mrozu chodników. Zdaje się, nie znam miasta, w którym by chodniki były tak, jak w Wilnie, śliskie. Zależy to chyba od gatunku kamieni, z których są ułożone niektóre chodniki wileńskie.
Na zebranie u Szabada chciałem zaprosić po jednym człowieku od wszystkich tych grup społecznych wileńskich, które mają uczestniczyć w obradach akcji porozumiewawczej z Litwinami, i oprócz tego, jako rzeczoznawców, stojących konsekwentnie na stanowisku państwowym litewskim, z którymi prawdopodobnie delegaci litewscy będą się stale w toku akcji naradzali – Michała Biržiškę i Tadeusza Wróblewskiego. Z grup polskich zaprosiłem od PPS – Zasztowta i od „Odrodzenia" – dr Napoleona Czarnockiego. Chciałem zaprosić jeszcze kogokolwiek ze Stronnictwa Demokratycznego, ale nie zdołałem, bo dr Narkiewicza nie zastałem w domu, a Jan Piłsudski odmówił, motywując to tym, że jako Piłsudski, brat Naczelnika, nie może się angażować w tę akcję porozumiewawczą, mimo że jej sprzyja, a to dlatego, żeby prawica aneksjonistyczna nie mogła rozgłaszać złośliwie, że „Pilsudscy dzielą Polskę". Co do Białorusinów, to udałem się na posiedzenie ich Wileńskiego Komitetu Narodowego, na którym zastałem prezesa Jeremicza i pp. Karabasza, Kochanowicza, ks. Adama Stankiewicza i Antoniego Łuckiewicza. Zdałem im sprawę z dotychczasowego przebiegu przygotowań do akcji porozumiewawczej, jej założeń i celów, wskazałem, że w akcji tej Litwini pragną również udziału Białorusinów, co im się bardzo podobało, i poprosiłem, by wydelegowali kogoś spośród siebie na zebranie do dr Szabada. Wydelegowali Jeremicza. Z Żydów na zebraniu był tylko dr Szabad i dwóch innych z tejże partii Szabada (Żydowskiej Demokratycznej). Z grup syjonistycznych Szabad nie zaprosił nikogo.

356 Lloyd George (1863-1945), polityk brytyjski, premier od XII 1916 do 1922. W 1919 jeden z głównych uczestników Paryskiej Konferencji Pokojowej.

20 lutego, rok 1921, niedziela

Pozawczorajsze zebranie u dr Szabada zwołane było przeze mnie dla omówienie metod akcji porozumiewawczej z delegatami litewskimi. Akcja ta, jak wiadomo, idzie dwoma równoległymi łożyskami społeczno-ideowymi: socjaliści będą się porozumiewać osobno, to znaczy delegaci esdeków litewskich będą rozmawiali z PPS-owcami i ewentualnie socjalistami innych narodowości w Wilnie, ludowcy zaś litewscy – z grupami ludowymi i demokratycznymi wileńskimi. Poza tym, w każdej równoległej akcji społecznej będzie kilka równoległych akcji międzynarodowościowych (z grupami polskimi, białoruskimi i żydowskimi). Jednoczyć je będzie tylko tożsamość miejsca (Wilno) i jednoczesność. Ponieważ wszakże te różne łożyska akcji porozumiewawczej mają jedną myśl wspólną (jest nią zasada bezpośredniego układu społecznego między Wilnem a Kownem dla rozwiązania kwestii wileńskiej w łonie wspólnej państwowości litewskiej), należało się zastanowić, czy nie trzeba nawiązać kontaktu między tymi różnymi łożyskami akcji i jeżeli trzeba – to ustalić, ile możności, z góry, w jaki sposób to uczynić. To było głównym tematem pogadanki u Szabada. Poza tym, poruszyłem myśl o tym, czy nie należy tę akcję kowieńsko-wileńską uważać tylko za stadium pierwsze, którego stadium drugim i ostatnim byłoby porozumienie wszystkich trzech zainteresowanych czynników, to znaczy Kowna, Wilna i – Warszawy. Na zebraniu u Szabada najdzielniej przemawiali demokraci żydowscy i oni też najgłębiej ujmowali sprawę. Podnosili oni wagę akcji porozumiewawczej, wskazywali, że metoda układu bezpośredniego jest jedyną dla rozwiązania trudnej sprawy wileńskiej i podkreślali, że oni, Żydzi, mogą być w tym sporze stroną najbardziej przedmiotową, traktującą zagadnienie jako li tylko krajowe, ponieważ oni jedni mogą się abstrahować od uprzedzeń i wyłączności nacjonalizmu tak litewskiego, jak polskiego. Na ogół wszyscy zebrani uznawali konieczność nawiązania kontaktu między równoległymi łożyskami akcji, zwłaszcza narodowymi; przeważały nawet głosy na rzecz niedzielenia akcji na łożyska narodowe. wszakże ostatecznie postanowiono rzeczy tej nie przesądzać, udzielając pod tym względem swobody decyzji poszczególnym grupom, a dla nawiązania kontaktu między łożyskami narodowymi skojarzyć dwie międzypartyjne i międzynarodowościowe komisje, jedną – grup socjalno-demokratycznych i drugą – grup ludowych i demokratycznych. Z największą rezerwą zachowywał się na zebraniu u Szabada przedstawiciel „Odrodzenia" – dr Czarnocki. W drugiej kwestii – co do rozciągnięcia akcji w fazie wtórnej na Warszawę – wszyscy się w zasadzie na to zgadzali, prócz Zasztowta, który oponował ze względów zasadniczych, twierdząc, że współżycie państwowe Wilna z Kownem może być i powinno być rozstrzygnięte tylko układem między nimi, bez ingerencji Warszawy. Zebranie u Szabada nie tyle się przyczyniło do ustalenia metod, ile stanowiło rodzaj zapoznania się grup, które mają do akcji stanąć. Ale z grup najważniejszych dla tej akcji – polskich – demokraci nie uczestniczyli w zebraniu wcale, a „Odrodzenie" w osobie Czarnockiego zachowało stanowisko wymijające wszelką precyzję, dawało wyczuwać jakby pewną nieufność do wspólnictwa z grupami żydowskimi i białoruskimi.

„*Calomniez, calomniez, toujours il en restera quelque chose*"[357] – powiada maksyma francuska. Zdaje się, że maksymę tą zdecydowani są stosować wobec mnie przeciwnicy z prawicy aneksjonistycznej w Wilnie. Dziś z napaścią i insynuacją przykrą wobec mnie wystąpiła „Rzeczpospolita"[358] w swoim wydaniu wileńskim w artykule pt. „Pod ruchem pojednania". Ale o tym napiszę może jutro.

357 Franc. – „Calomniez calomniez toujours – il en restera quelque chose" – Szkalujcie, szkalujcie, zawsze coś przylgnie.

358 „Rzeczpospolita", dziennik informacyjno-polityczny wydawany w Warszawie 1920-1932, organ chadecji. Redaktor naczelny S. Stroński.

Po obiedzie byłem zaproszony do Ludwika Abramowicza na czarną kawę. Zebrało się towarzystwo męskie polityczne w osobach gospodarza Ludwika Abramowicza i gości: Tadeusza Wróblewskiego, Witolda Abramowicza, Bronisława Krzyżanowskiego, Czesława Jankowskiego, Jana Piłsudskiego, Benedykta Hertza, Michała Biržiški, księdza Wiskonta[359] i mnie. Krzyżanowski i Piłsudski[360] zabawili krótko, reszta – spędziła na pogawędce cały wieczór. Do kawy było sporo różnych gatunków likierów i wódek słodkich. Języki się rozwiązały i niebawem wywiązała się na tle poruszonego przez Witolda Abramowicza tematu o potrzebie założenia w Wilnie klubu narodowościowego – pełna temperamentu dyskusja, potrącająca o całokształt sprawy wileńskiej i państwowości litewskiej. Prawie wszyscy zabierali głos i mówili dosadnie, ożywiając poruszony temat jaskrawością swoich poglądów i stanowisk. Jeden Hertz nie brał udziału w dyskusji, bawiąc się w roli humorystycznego słuchacza. Aż wreszcie podczas długiej mowy Wróblewskiego zasnął na dobre w krześle. Zwłaszcza my z Witoldem Abramowiczem dosadnieśmy w polemice rozwinęli nie tylko nasze stanowisko, ale i krytykę stanowiska przeciwnika, ja – porównując czyn Żeligowskiego i dzieło „krajowców” wileńskich z Abramowiczem na czele do tego niedźwiedzia z bajki, co to chcąc spędzić muchę z łba przyjaciela rzucił w nią kamieniem i spędziwszy muchę, zabił zarazem przyjaciela. Abramowicz zaś – porównując mię do małpy z innej bajki, co to znalazłszy okulary (w tym wypadku rzekomo jakąś doktrynę moją), nie wiedziała, jak ich użyć, aż je wreszcie potrzaskała. Wróblewski, pomimo rzekomo mocnej głowy, czym się zawsze lubi chętnie chwalić, był mocno podchmielony: choć nie stracił wyrazistości, jednak język mu się mocno plątał, a nogi, gdy wstał, odmawiały posłuszeństwa.

21 lutego, rok 1921, poniedziałek
Odwiedziłem grób Anny. Stoi dotąd na grobie ten sam drewniany pobielony krzyż, który postawiłem na pogrzebie, z moim własnoręcznym napisem ołówkiem na ramionach: „Anna Wolberg, mirufe 22 Oktobri 1914”. Pomnik kamienny kompozycji Stefusia Römera[361] był przeze mnie w r. 1915 obstalowany w pewnej pracowni pomników przy ul. Zawalnej. Gdym wyjeżdżał do Legionów, poleciłem Maryni zająć się postanowieniem pomnika. Ale przyszła inwazja niemiecka i zawierucha, trwająca w Wilnie dotychczas. Nie czas było na stawianie pomników, bo zresztą nie wiem nawet, czy pracownia, w której pomnik obstalowałem, ocalała, a poza tym, cena pomnika kamiennego tak co do materiału, jak wykonania i ustawienia stała się po prostu niedostępną dla mnie. Trzeba więc przeczekać ciężkie czasy, a może da Bóg w przyszłości zdołam jeszcze oddać ten hołd formalny miejscu, w którym spoczywają drogie mi, bezcenne szczątki tej, co mi była najsłodszym owocem życia. Trzy drzewka bzów rosną nad grobem, a u dołu za ogrodzeniem cmentarnym – przecudny widok doliny Wilii z Wilnem, pasmem lasów antokolskich, Śnipiszkami i górami szeszkińskimi[362] w głębi oraz lesistym Zwierzyńcem[363] w pobliżu. Rezonans tu z dołu miasta dobry. Pieśń płynie z miasta żołnierska jak w pierwszym roku po śmierci Aninki,

359 Antanas Viskontas (Wiskont, 1877-1940), ksiądz, działacz społeczny. Współpracował z „Przeglądem Wileńskim” Ludwika Abramowicza.

360 Jan Piłsudski (1876-1950), prawnik, działacz społeczny, sędzia w Wilnie (1920), poseł na Sejm RP (od 1928), minister skarbu (1931-1932), wiceprezes Banku Polskiego, w 1939 aresztowany przez bolszewików, przebywał w więzieniu do 1941, po wojnie na emigracji w Londynie.

361 Stefan Jan Römer (1891-1935), syn Bolesława i Elżbiety (1859-1934), córki Edwarda Jana z Anną Montwid-Białłozorówną.

362 Dzielnice Wilna.

363 Dzielnica Wilna.

gdym tu przychodził codziennie. Tylko że dziś płynie pieśń żołnierska polska, podczas gdy wtedy płynęła rosyjska armii carskiej, symbolizująca pęta tej ziemi. Ale i ta pieśń nie jest jeszcze pieśnią w Wilnie zupełnego wyzwolenia. Przez tych kilku lat od śmierci Aninki jej grób słyszał z doliny miasta pieśni różne: po rosyjskiej płynęła niemiecka, potem pieśń rewolucyjna czerwonej armii bolszewickiej, potem trzask karabinów, łoskot walki i pieśń żołnierzy polskich, następnie znów – czerwona, wreszcie – na krótko – uderzyła poważna melodyjna pieśń żołnierska litewska. I znów wróciła – polska. Ale dopiero gdy pieśń polska skojarzy się z litewską i obie popłyną równolegle, uzupełnione jeszcze białoruską, dając wyraz zespołowi kraju, dopiero wtedy ziemia ta odetchnie swobodnie tchnieniem własnym, a może kiedykolwiek przez dolinę wileńską przemaszeruje z pieśnią oddział sprzymierzony łotewski i dźwięki pieśni uderzą o grób Anny, aż zadrżą jej martwe kości, z łotewskiej krwi i ziemi, z wybrzeży szarego Bałtyku urosłe. Śpij, Aninko – to Twój Michasik stanął nad Twoim grobem i marzy smutny! Samaś w smutnym grobie, ale i ja sam na powierzchni ziemi, tęsknotą wieczną z Tobą związany, w naszą miłość świętą wpatrzony, naszym związkiem doskonałym w przeszłości szczęśliwy, do grobu własnego wierny wieczystym naszego ducha pierwiastkom. Odchodząc – nie chcę Ci rzec: „Bądź zdrowa!" ani Cię dotknąć, Aninko, ale Ci rzeknę „Amen. Pierwiastki nasze przetrwają na zawsze we mnie samotnym".
Niech gady prawicy rzucają we mnie pełnymi garściami błoto, gdy im się to podoba, niech, jak to uczyniła wczoraj gazeta „Rzeczpospolita", cytują moją epopeję walki czynnej w Legionach Piłsudskiego, zakończoną w Szczypiornie, i zestawiając z tą niedawną przeszłością moją obecną działalność w kierunku państwowym litewskim, radzą traktować mię za „zdrajcę stanu" i wymyślając tym, którzy wchodzą w kontakt ze mną w tworzonej przeze mnie społecznej akcji porozumiewawczej, wskazują, że należałoby raczej całkowicie przestać rozmawiać ze mną! Niech! Sumienie moje czyste jest. O Niepodległość Polski walczyłem przeciwko Rosji, dla Niepodległości Polski przeciwstawiłem się wraz z tymiż Piłsudskiego szeregami Niemcom i siedziałem za to w Szczypiornie. Wierzyłem też, że czyn Niepodległości Polski musi się stać punktem wyjścia dla wyzwolenia innych ludów i krajów z niewoli rosyjskiej i że jest on zwiastunem Wolności Litwy także. I choć nie przewidziałem, że tak rychło nastanie chwila przeciwstawienia się tej Polski powstającej Litwie, nie przestałem rozumieć, że jednak Niepodległość Polski była istotnie założeniem Niepodległości narodów i republik tzw. kresowych. Ale nie walczyłbym nigdy po stronie polskiej przeciwko Litwie, zwłaszcza zaś o co! – o oderwanie Wilna od Litwy, o obezwładnienie jej i przyprzężenie służebne do rydwanu mocarstwowego polskiego. Natomiast jestem nadal przekonany, że solidarność Litwy z Polską jest faktem dziejowym, ale faktem, który musi być dokonany w zupełnej Niepodległości nie tylko Polski, ale w tym samym stopniu – Litwy. Trudno by mi było i boleśnie walczyć także po stronie litewskiej przeciwko Polsce, ale w ramach idei Niepodległości Litwy i jej scałkowania łącznie z Wilnem, raczej bym walczył po litewskiej stronie niż polskiej. Polacy litewscy mogą być albo rowem, albo mostem między Litwą a Polską. Ja usiłuję być mostem. Czy mi się to uda – nie wiem, ale gdybym choć w jakiejkolwiek mierze się przyczynił do utrwalenia stosunku układu – byłbym szczęśliwy i dumny.
Agencja telegraficzna „Orient" zaprzeczyła dziś w prasie depeszą niedawnej depeszy „East Expressu", nazywając wieść o „spisku kowieńskim przeciwko Polsce" – zmyśloną i fałszywą.

22 lutego, rok 1921, wtorek
Zbliża się termin przyjazdu z Kowna delegatów litewskich. Powinni przyjechać między dniem jutrzejszym a niedzielą. Ciekaw jestem bardzo, jak się ta akcja układać będzie,

ale się też trochę niepokoję o nią. Osobiście przywiązuję do tej akcji bardzo wielką wagę i chciałbym, aby obie strony zrozumiały dokładnie doniosłość sprawy i były głęboko przekonane, że jest to rzeczywiście metoda jedyna i że bez porozumienia, bez kompromisu bezpośredniego i bez liczenia się wzajemnie z zastrzeżeniami jednej i drugiej strony żadne trwałe rozwiązanie sprawy wileńskiej, czy to jakimś plebiscytem, czy decyzjami Ligi Narodów i innych czynników obcych, czy mechaniczną grą przygodnych wypadków zewnętrznych, czy nawet układem między rządami kowieńskim a warszawskim – wykonalne nie jest. Obawiam się jednak, że spośród stron, które będą uczestniczyć w tej akcji, strona polska i strona litewska, dla różnych względów, nie dość poważnie rzecz będą traktować. Boję się mianowicie, że w szeregach demokratycznych i ludowych polskich na ogół nie dość jest szczerym pragnienie związku państwowego z Litwą. Postulat niepodzielności Litwy jest w tych grupach w dużym stopniu szczątkowym, który się utrzymał w programach z doby przeszłej; choć niewątpliwie ma on tu poszczególnych szczerych wyznawców, jednak przez sam fakt niestosowania go przez czas dłuższy przy równoległym żywym i ciągłym kontakcie z Polską i utrwalaniu się pojęć państwowego zespołu z Polską staje się on podobnym do organu ciała, który, nie ćwiczony w swej funkcji, wpada w stan zanikowy. Boję się więc, iż w psychice politycznej tych grup ten postulat programowy stracił już do tego stopnia żywotność, że grupy te traktować będą akcję porozumiewawczą tylko za gest, za akt odczepnego, a liczne mogą być i takie elementy, które zechcą rozmyślnie wyzyskać tę akcję dla wykazania niemożności porozumienia i przeto dla umorzenia wreszcie samego postulatu. Ze strony tych elementów nie jest wykluczony tzw. sabotaż akcji porozumiewawczej, misterne i staranne psucie roboty, falsyfikowanie jej lub podkopywanie, słowem – żądło zatrute złej woli. Z drugiej strony, boję się, iż delegaci litewscy, którzy w atmosferze Kowna przywykli zbyt upraszczać problem wileński, traktując go po prostu ze stanowiska narodowych praw litewskich, które rzekomo tylko chwilowo pogwałcone zostały przez falsyfikat „afery Żeligowskiego" i które automatycznie zrealizować się muszą, będzie za mało powagi, za mało istotnego wysiłku [przywiązywać] do poznania i pokonania trudności. Boję się, że delegaci litewscy zbyt powierzchownie się na sprawę zapatrują i niezbyt zdają sobie sprawę ze swej roli. Boję się, aby nie uważali swego przyjazdu za jakąś tylko drobnostkę, jakiś epizod pogawędki, traktującej sprawę dyletancko po łebkach, dla zamydlenia oczu, jako tylko gest okazyjny dobrej woli. Boję się, aby tak nie było, toteż chcę przed ich pierwszym spotkaniem z grupami polskimi urządzić specjalną ich naradę z udziałem moim oraz Tadeusza Wróblewskiego i Michała Biržiški, a następnie zetknąć ich z Żydami, którzy w Wilnie bardzo dobrze wagę akcji porozumiewawczej pojmują, a że są w sporze polsko-litewskim stroną trzecią i stroną, o której Litwini dobrze wiedzą, że w sporze tym sprzyja stanowisku państwowemu litewskiemu, przeto ich pogląd na sprawę może delegatów litewskich zmusić do głębszego zastanowienia nad ich rolą i zadaniami akcji. Obawiam się też, aby coś nieprzewidzianego nie stanęło nagle na przeszkodzie przyjazdowi delegatów. We czwartek posłałem do Wacława Biržiški zawiadomienie, aby delegaci przyjeżdżali. Ale nuż to zawiadomienie dla jakichkolwiek przyczyn nie zostało doręczone Wacławowi!
Odpowiedzi od Wacława Biržiški dotąd nie otrzymałem żadnej. A gdyby delegaci litewscy nie przyjechali – uczyniłoby to wrażenie bardzo ujemne i utrudniłoby dalsze reperowanie rzeczy drogą wznowienia terminów. Od dwóch miesięcy akcja ta się nawiązuje, a choć dotąd inicjatywa wciąż szła ze strony kowieńskiej, to jednak są w Wilnie czynniki niechętne tej akcji, które wciąż usiłują rzecz przedstawić w ten sposób, że to Litwini umyślnie marudzą i że w istocie chodzi im wcale nie o porozumienie, jeno o przewlekanie, o łudzenie Wilnian, o pospolite spekulowanie na zwłokę. Ważnym jest,

aby Litwini działali tutaj energicznie i wykazywali maksimum dobrej woli. Od jutra zaczynam czekać z niecierpliwością gości z Kowna.
Przyjechał dziś z Warszawy generał Babiański[364], znany postępowy działacz polityczny polski, rodem z Kowieńszczyzny. Babiański w ostatnich czasach rozwinął dużą akcję w kołach demokratycznych warszawskich i w prasie („Kurier Polski") na rzecz rozwiązania sprawy litewskiej drogą systemu kantonalnego w ustroju państwowym Litwy (kanton kowieńsko-litewski i kanton wileńsko-polski) i konwencji wojskowej między Litwą a Polską, odrzucając postulat federacji Litwy z Polską. Choć projekt Babiańskiego posiada wady zasadnicze (czyni on z kantonu wileńskiego obszar narodowy polski, co nie odpowiada rzeczywistości, bo jest obszar co najmniej polsko-białoruski, i skonstruować się w postaci narodowego polskiego nie da) i pomimo że przyjmuje on ustrój kantonalny, który w opinii litewskiej jest uważany za niedopuszczalny, jednak wychodzi on z założeń Niepodległości Litwy, czym się zasadniczo różni od pomysłów federalistycznych polskich i dlatego jest przez prasę litewską witany życzliwie i z uznaniem jako objaw w każdym razie zwrotu w myśli polskiej na rzecz liczenia się realnego z faktem i prawem Niepodległości Litewskiej.
Zauważyłem, że jednak stan aprowizacyjny Wilna trochę się polepszył w porównaniu do tego, jakim był. Za to kurs marki polskiej spada ciągle. W styczniu za ost-markę płacono około 9 mk. polskich, teraz wymieniałem ost-marki na polskie po 13.40 mk. za 1 mk. ost, a dziś już po 12.00. W stosunku do kursu ost-marek ceny są przeciętnie dziś już niższe w Wilnie w markach polskich, niż w Kownie w ostach. Drożyzna wileńska wyraża się nie w cenach stosowania do kursu, ale w stosunku cen do zarobków. Zarobki i pensje są tu o prawie połowę niższe od kowieńskich i dlatego, pomimo niższych w stosunku do kursu cen, drożyzna jest tu większa.

23 lutego, rok 1921, środa
Delegaci litewscy przybyli. Cieszę się bardzo, że przyjechali w pierwszym dniu wyznaczonego terminu, wykazując przez to maksimum gotowości do akcji porozumiewawczej. Ujawnienie całkowitej dobrej woli jest już samo przez się atutem dodatnim. Bardzo mi na tym zależy, żeby legenda o tym, że Litwini nie są skłonni do porozumienia z Wilnem i do liczenia się z życzeniami tej części kraju i że nie pojmują inaczej stosunku do Wilna, jak tylko zapanowanie nad nim i narzucenie mu jednostronnie swojej woli – została odpowiednimi czynami Litwinów zaszachowana. Elementy, wrogie scałkowaniu Litwy, to znaczy aneksjoniści w obozie polskim, potwierdzenia tej legendy pragną i posługują się nią zawsze. Dotąd Litwini rzeczywiście prawie że nic nie uczynili w kierunku przeciwnym, co było jeno wodą na młyn endecki. Niechże teraz, gdy weszli na tory akcji porozumiewawczej, wykażą maksimum dobrej woli i gotowości do porozumienia. Niech będą ściśli i niech się trzymają mocno tych rzeczy, które są istotne dla scementowania Litwy Niepodległej, niech nie zatracają w ugodowości zmysłu państwowego i nie czynią zeń ustępstw w przetargu o korzyści doraźne, ale niech nie będą uparci w tym, co istotnym nie jest i niech zwłaszcza ujawniają wobec Wilna szczerość w metodzie porozumiewawczej.
Przyjechali wszyscy trzej delegaci strojnictwa „socjalistów-ludowców-demokratów" i zblokowanego z nim „Związku Włościańskiego" – to znaczy posłowie do Sejmu Raczkowski[365], Makowski i Bortkiewiczowa. Z ramienia esdeków litewskich przyjechał tylko jeden poseł Kazimierz Węcławski. Delegaci litewscy oczywiście niezupełnie

364 Aleksander Babiański (1853-1931), prawnik, działacz polityczny rodem z Kowieńszczyzny. Poseł do III Dumy Rosyjskiej. Odegrał wybitną rolę wśród uchodźców polskich w Piotrogrodzie. Po powrocie do Polski w 1919 r. czynny w sprawach kresowych.
365 Władysław Raczkowski.

zdają sobie sprawę z wagi realnej tej akcji porozumiewawczej, którą ich przyjazd rozpoczyna i z ciężarów tejże, bo przyjeżdżają z tym, żeby pojutrze odjechać. Oczywiście jeden dzień jutrzejszy – to za mało nawet dla dotknięcia sprawy tylko po łebkach. Ale jestem przekonany, że gdy się tylko dotkną sprawy, to sami zrozumieją, czym ona jest i pozostaną dłużej, bo nie odważą się skompromitować sprawy, dla której przyjechali.
Jednocześnie, zbiegiem okoliczności, przyjechali do Wilna w drodze powrotnej z Warszawy do Kowna – Žemaitis i Balutis[366], którzy wraz z Jonynasem jeździli w charakterze delegatów rządu litewskiego do Komisji Kontroli Ligi Narodów, a raczej do prezesa komisji plebiscytowej, pułkownika Chardigny, bawiącego w Warszawie i udającego się z referatem na posiedzenie Ligi Narodów, na którym ma być rozpoznawana sprawa wileńska. Balutis opowiada, że z rozmów z Chardigny i jego otoczeniem wyniósł przekonanie, iż Liga Narodów przekreśli całkowicie pierwotny projekt plebiscytu i zamiast plebiscytu zadecyduje arbitraż w sprawie polsko-litewskiej. Wprawdzie na propozycję plebiscytu obie strony w jesieni w zasadzie się zgodziły, jednak Liga Narodów nie uważa tego za rzecz obowiązującą, ponieważ to była tylko jej propozycja, którą ona może cofnąć, skoro obecnie co do warunków plebiscytu między stronami zgody nie ma. Bowiem obie strony oddały spór wileński do decyzji Ligi Narodów. Wolno więc Lidze Narodów ustalić dowolnie sposób orzeczenia decyzji. Zamiast więc plebiscytu będzie postanowiony arbitraż. Tak twierdzi Balutis.
Jutro rano zaczniemy robotę delegatów litewskich od tego, że przede wszystkim urządzimy naradę ich własną z udziałem opiniodawczym Michała Biržiški, Tadeusza Wróblewskiego, moim i Žemaitisa. Na naradzie tej ustalimy plan działania i warunki prowadzenia akcji porozumiewawczej. Oby jej Pan Bóg pobłogosławił!

24 lutego, rok 1921, czwartek
Rano cała w komplecie delegacja litewska, a więc zarówno trzej delegaci ludowców, jak delegat esdeków Węcławski, wraz z Michałem Biržišką, Žemaitisem i ze mną – zebrała się na naradę u Tadeusza Wróblewskiego. Ustaliliśmy wszyscy zgodnie, że niezbędnym i najistotniejszym warunkiem jakiejkolwiek użyteczności akcji porozumiewawczej jest ten, aby obie strony przede wszystkim sformułowały swoje postulaty, ujmując je nawet, ile możności, w ścisłe formuły prawne, i przedstawiły je sobie wzajemnie, aby obrady oparła się od razu na gruncie tez konkretnych. Wszyscyśmy się na to godzili. Dla delegatów litewskich ludowców takie stawianie rzeczy było poniekąd nowiną, bo nie byli przygotowani do traktowania tej akcji w charakterze rokowań ścisłych i skłonni byli na razie brać ją za jakiś rodzaj tylko pogadanki nieobowiązującej i raczej informacyjnej z „Odrodzeniem". Rychło jednak ze słów nas wszystkich, uczestniczących w naradzie, zrozumieli, że nie czas już na jakieś tylko flirty i pogadanki informacyjne, bo coraz bardziej naglącym staje się realne rozwiązywanie sprawy wileńskiej i społeczna akcja porozumiewawcza, którą wyraża przyjazd delegatów stronnictw litewskich, jest i musi być wyrazem pewnej ścisłej metody rozwiązywania problemu, elementem polityki konkretnej, odpowiedzialnym i wymagającym poważnego i realnego wysiłku pracy. Zrozumieli to w zupełności i ciężar, na razie nieprzewidziany, przyjęli. Co do potrzeby obustronnego sformułowania postulatów i postawienia tego za warunek i podstawę akcji porozumiewawczej – uzasadniałem to tym, a ze mną godzili się wszyscy, że jeżeli każda ze stron określi i

366 Bronius Kazys Balutis (1879-1967) dyplomata, działacz społeczny i państwowy. 1920 IX – X był przewodniczącym delegacji litewskiej w rokowaniach z Polakami w Kalwarii i w Suwałkach. Przedstawiciel Litwy w naradach w Warszawie z Komisją Międzynarodową w sprawie plebiscytu o Wilnie (1921) i w rokowaniach z Komisją Kontroli Ligi Narodów (1920-1922).

sformułuje ściśle oraz wyjaśni w toku akcji porozumiewawczej swoje pojmowanie rozwiązania sprawy wileńskiej w ramach państwowości niepodzielnej litewskiej (bo oczywiście tylko w tych ramach zasadniczych może się toczyć porozumienie, z wykluczaniem podziału Litwy i aneksji Wileńszczyzny do Polski), to chociaż nawet do uzgodnienia programów każdej ze stron, a przeto i do układu w obecnej fazie akcji porozumiewawczej nie dojdzie, a że jeszcze w tym pierwszym spotkaniu dojść nie może, to dla mnie jest pewnikiem, to przynajmniej przez samo zastosowanie ostatnich granic jednej i drugiej strony można będzie wreszcie ustalić ściśle i nawet sformułować to, co dzieli. Będzie to już rezultatem realnym i znacznym, bo wiadomym będzie wreszcie, co pozostaje do pokonania. I jeżeli następnie dojdzie do drugiego aktu akcji porozumiewawczej czy w ogóle do jakiegoś kontaktu i obrad w innej formie, to rzeczywiście będzie to już akt drugi, a nie powtarzanie tylko pierwszego gestu i rozpoczynania wszystkiego od początku – *ab ovo*. Każde następne obrady, każda dalsza akcja metodą porozumienia – będzie się wyłaniała już nie z chaosu, lecz będzie miała punkt wyjścia. Wytworzenie punktu wyjścia przez sprecyzowanie i zestawienie konkretne stanowisk – to uważam za najistotniejszą wartość obecnej fazy społecznej akcji porozumiewawczej. Jeżeli ona zadanie spełni – to już nie będzie zmarnowana i już posunie sprawę naprzód. Dotąd tego właśnie brakło bezwzględnie i to też, moim zdaniem, było główną przeszkodą do wprowadzenia sprawy na tory metody porozumienia. Jeżeli to się zrobi, to będzie to zrobione po raz pierwszy. Próba w tym kierunku ze strony litewskiej była raz zrobiona – w obradach rządowych warszawskich w grudniu ubiegłym przez delegację Staugaitisa. Litwini sformułowali wtedy i przedstawili delegacji polskiej swoich tzw. 12 czy 13 punktów. Ale strona polska w Warszawie żadnym kontrprojektem nie odpowiedziała i dlatego próba ta realnego rezultatu nie wydała. Jeżeli można wytłumaczyć pod tym względem Warszawę, której sfery rządowe dla wielu względów politycznych nie są dziś w stanie sprecyzować programu wileńskiego i która zresztą może mieć tę słuszną wymowę, że nie może sama mówić za Wilno i za Polaków wileńskich, których Litwini, zwracając się do Warszawy, *eo ipso* pomijają, bowiem Warszawa w zastępstwie Wilnian może tylko traktować ich za swoich pupilów, to znaczy brać ich pod swe skrzydła państwowe, a nie czynić za nich jakieś ustępstwa i rezygnacje z państwowości polskiej i decydować o ich zespole z Litwą, to w żadnym razie nie może odmówić złożenia swoich postulatów Wilno, gdy Litwini z Kowna bezpośrednio się do niego zwracają i gdy ono przyjmuje w zasadzie metodę porozumienia co do niepodzielności Litwy. Litwini w delegacji warszawskiej Staugaitisa już pierwszy punkt wyjścia dali. Może on być niedostateczny, może należy go – zwłaszcza przez litewskie stronnictwa ludowe – rozszerzyć, ale każdym razie pierwszy początek jest; jest ze strony litewskiej na rzecz metody porozumienia przynajmniej tyle, co pierwsze wyrzeczenie wyrazu „Mamo!" przez niemowlę. Ze strony polskiej nie ma jeszcze nawet tego: dużo ze strony polskiej było w różnych miejscach próbowane układać przeróżnych projektów i pomysłów rozwiązania sprawy wileńskiej w państwowości litewskiej (dziesiątki odcieni i odmian programów federalistycznych, kantonalnych itd.), więcej o wiele, niż ze strony litewskiej, która dotychczas bogactwem pomysłowości nie błyszczała, ale nigdy nie zostały one skonkretyzowane wobec Litwinów formalnie jako programy, jako coś, co może być usankcjonowane odpowiedzialnymi podpisami jakiegoś choćby tylko stronnictwa. Dlatego też teraz należy żądać, aby obie strony sformułowały odpowiedzialnie swoje propozycje, a zwłaszcza, na co kładł nacisk największy Žemaitis, b. uczestnik litewskiej delegacji warszawskiej Staugaitisa, wymagać, aby to było uczynione ze strony grup polskich. Nie można dopuścić, aby jedna strona litewska szła coraz dalej w swoich propozycjach, druga zaś – milczała. Toteż Žemaitis nalegał zwłaszcza na to, by delegaci

litewscy nastali na zgłoszeniu przede wszystkim propozycji ze strony polskiej. W tej naradzie i w tej kwestii w grę głównie wchodziła akcja grup ludowych i delegacji litewskiej ludowców, bo delegat esdeków Węcławski, aczkolwiek uznawał potrzebę konkretyzacji obustronnej postulatów, nie wiązał tego jednak z żadną dyplomacją polityczną i akcję porozumiewawczą esdecką zasadzał na rąbaniu prosto z mostu przez uznanie zasady ludowładczej w Wileńszczyźnie i odrzucenie wszelkich skrępowań i ograniczeń co do kantonów czy jakiejkolwiek innej formy stosunku, jaką Wilno chciałoby względem Litwy we współżyciu określić.

25 lutego, rok 1921, piątek
Na wczorajszej naradzie u Wróblewskiego oprócz tej zasady, że akcja porozumiewawcza powinna wypływać ze sformułowania przez obie strony konkretnych propozycji i że delegaci litewscy powinni się tego stanowczo od strony polskiej domagać, było jeszcze sporo mówione o samych tezach propozycji litewskiej. Rzecz tę obszernie referował Wróblewski. W założeniu przyjęto w gruncie rzeczy propozycje litewskie warszawskiej delegacji Staugaitisa. Główny punkt ciężkości ze strony litewskiej kładziono na kwestię ustroju wewnętrznego Litwy. Za gwarancję praw narodowych i dzielnicowych przyjęto: a) tzw. personalną autonomię narodową, to znaczy organizację samorządu narodowo-kulturalnego pozaterytorialnego i b) decentralizację państwa w kierunku samorządu ludowego, który by przez grupowanie się samorządów powiatowych w większe skupienia samorządne wytwarzał okręgi, względnie dzielnice o cechach autonomicznych.
Narada u Wróblewskiego trwała do godz. 1. Uczyniła ona na delegatów litewskich wrażenie dodatnie i przekonała ich o tym, że akcja porozumiewawcza powinna się stać rzeczą poważną, która się nie wyczerpuje bynajmniej jakąś obustronną pogadanką informacyjną. Sam Tadeusz Wróblewski, którego delegaci Raczkowski i Makowski nie znali poprzednio, sprawił na nich wrażenie głębokie. Wyszli oni od niego pod urokiem jego rozumu, jego ścisłego myślenia, jak niemniej tego niepospolitego mieszkania, które jest podobniejsze do muzeum i biblioteki, niż do tego, co się za mieszkanie ludzkie zwykło uważać. Poważne, pełne ksiąg i zbiorów mieszkanie, którego ściany są wyłożone od dołu do góry książkami, które jest samo żywym zbiornikiem kultury, zamieszkałe przez mędrca, wywiera istotnie duże wrażenie na profanów, szczególnie gdy ci ostatni nie znają słabostek p. Tadeusza i gotowi są uważać go za czyste wcielenie mądrości, płynącej ze słów jego i wolnej od wszelkich względów ludzkich. Skądinąd i na Wróblewskiego delegaci sprawili wrażenie. Muszę przyznać, że i ja sam, im dłużej obserwuję delegatów litewskich, tym więcej mam dla nich uznania. Mam na myśli zwłaszcza Raczkowskiego i Makowskiego. Obawiałem się wpierw, że będą dla tak trudnej i odpowiedzialnej roli za słabi; lękałem się nawet, żeby się nie skompromitować nieudolnością, bo trzeba przyznać, że nie są to siły polityczne pierwszorzędne w ich stronnictwie. Raczkowki jest wprawdzie inżynjerem, człowiekiem z wyższym wykształceniem, ale nie jest umysł orła i ponad poziom przeciętny nie wyrasta; poza tym, nie jest specjalnie obeznany ze stosunkami wileńskimi; Makowski ma mniejsze kwalifikacje inteligenckie, co najwyżej mógłby być do tzw. półinteligentów zakwalifikowany. Przekonałem się jednak, że są oni dla akcji porozumiewawczej zupełnie odpowiedni i że radę dają sobie w zupełności. Usposabiają ich do tego po prostu przeciętne cechy umyślności litewskiej. Litwin myśli i orientuje się wprawdzie powoli, lotnym i błyskotliwym nie jest, ale za to umie być ścisłym i trafia w sedno rzeczy. Brak mu może pomysłowości, ale za to, co zrozumie, to już zrozumie dobrze i zastosuje w porę, wykorzysta umiejętne. I wczoraj, i dziś miałem możność po prostu podziwiania ścisłości i trafności myślenia tych niepokaźnych i na pozór

nieobiecujących z umysłu ludzi, który jeszcze przed dwoma dniami, przyjeżdżając do Wilna, nie mieli pojęcia w swoich zadaniach a tutaj, po zorientowaniu się, tak doskonale i z takim taktem, spokojem i dokładnością, jak zawodowi dyplomaci, dawali sobie wszędzie radę i występowali zawsze w porę i trafnie. Nieraz czyniono spostrzeżenia, że Litwini z wielką zręcznością umieją w polityce wyzyskiwać okoliczności. Zdaje się, że do dyplomacji Litwini mają rzeczywiście zdolności wielkie. Nawet tacy szeregowi politycy, jak Raczkowski i Makowski, umieją zdumiewać zręcznością i taktem politycznym.
Po naradzie u Wróblewskiego, po obiedzie – zaprowadziłem wczoraj Raczkowskiego, Makowskiego i Bortkiewiczową na zebranie z grupami żydowskimi w mieszkaniu dr Wygodzkiego. Z grup żydowskich, reprezentowanych na zebraniu, obecne było stronnictwo syjonistyczne, stronnictwo demokratyczne żydowskie, grupa rzemieślników żydowskich i stronnictwa „Cirei-Cyon"[367]. Z osób był dr Jakub Wygodzki, dr Szabad, dr Gierszun,[368] – innych nazwisk nie znam. Po przemówieniu powitalnymi Wygodzkiego i odpowiedzi stosownej Raczkowskiego nastąpiła wymiana zdań o wadze i zadaniach, a poniekąd i metodzie społecznej akcji porozumiewawczej, którą Żydzi witali bardzo gorąco, wskazując, że ich zdaniem jest ona konieczna, nawet już trochę spóźniona i że bez wysiłków porozumienia niepodobna marzyć o jakimkolwiek skutecznym rozwiązaniu trudnej sprawy wileńskiej. W szczególności Żydzi wskazywali na to, że pobyt delegatów litewskich w Wilnie nie może być przelotny i z góry ograniczony terminem, jeno trwać musi tyle czasu, ile będą wymagały obrady, i że w każdym razie akcja porozumiewawcza nie może być zaniechana nadal. Wskazywali na to, że nie należy się zrażać żadnymi na razie trudnościami, jeno działać uparcie i wytrwale, jak się prowadzą wszelkie układy pokojowe, choćby miały trwać miesiącami, jak np. rokowania pokojowe polsko-bolszewickie w Rydze. Podkreślali z naciskiem, że przed zakończeniem obrad z grupami polskimi, z którymi obrady będą oczywiście najważniejsze, bo z nimi najwięcej jest u Litwinów punktów spornych, delegaci litewscy będą obowiązani się odwołać do grup żydowskich nie tylko wtedy, gdy układ będzie się przedstawiał możliwym, bo Żydzi też mają prawo, jako uczestnicy kraju, na pewne warunki układu, gdyby strony, rozczarowane i przekonane o niemożności układu, myślały o przerwaniu rokowań. Żydzi bowiem wtedy mogą się okazać w roli mostu lub oliwy jako wolna od krańcowości nacjonalistycznych każdej ze stron, może mitygować i nawiązać zrywaną łączność, a w każdym razie mają prawo, jako obywatele – do wykonywania kontroli i wpływu na akcję, decydującą o losach kraju.

26 lutego, rok 1921, sobota
Wracam jeszcze do pierwszego dnia akcji porozumiewawczej, to znaczy do czwartku. Spotkanie delegatów litewskich z Żydami było bardzo dla Litwinów potrzebna, bo pogłębiło w nich znakomicie świadomość wagi zadania. Rozumiałem dobrze, że skutek ten nastąpi, a ponieważ chodziło mi właśnie o to, żeby delegatów litewskich umocnić w poczuciu powagi i odpowiedzialności zadania i tą drogą zwalczyć ich pierwotne dość powierzchowne traktowanie całej sprawy, z jakim przyjechali, w tym celu umyślnie urządziłem zebranie z Żydami przed pierwszym spotkaniem delegatów litewskich z grupami polskimi. Udało mi się to w zupełności. Efekt pod tym względem był dobry. Bałem się, że spotkawszy się po raz pierwszy z grupami polskimi, gdy ze strony delegatów litewskich nie będzie należytego zrozumienia doniosłości akcji, a ze strony

367 „Cirei-Cyon",/właśc. Cejrej-cjon).

368 Gierszun, lekarz, działacz żydowski w Wilnie.

polskiej znajdą się też elementy, które, pomimo pozorów gotowości do rokowań, w głębi serca nie wierzą w porozumienie i nawet go nie pragną, a nawet (bo są i takie elementy w tych grupach) życzyłyby raczej zdyskredytowania całej akcji, delegaci litewscy zadania swego nie spełnią i cała akcja, z takim mozołem doprowadzona do skutku, rozpłynie się w nieszczerej „pogadance" i pójdzie na marne. Tego się najwięcej bałem, więc zarówno pierwszą naradę u Wróblewskiego, jak spotkanie z Żydami zarządziłem dla odpowiedniego zahartowania Litwinów i uodpornienia ich na różne deprymujące wrażenia kontaktu z grupami polskimi. A trzeba wiedzieć, że Litwini są materiałem, który się hartuje znakomicie, jak chyba rzadko któryś inny podobny naród. Typy nie Konrada Wallenroda, ale i samego Mickiewicza, Józefa Piłsudskiego i innych, że wymienię tylko postaci największe – zawdzięczają swój hart i tężyznę naturze litewskiej, która ma tę zaletę mocy i odporności w stopniu jak najwyższym.
Zapewnienia o wadze akcji porozumiewawczej z ust grup polskich mogłyby u delegatów litewskich, z natury, jak każdy Litwin, ostrożnych i raczej nieufnych, budzić różne wątpliwości. Gdybym ja ich o tym przekonywał, mogliby to kłaść na karb zbytniej gorliwości z mej strony i przeceniania wytworzonej przeze mnie akcji, bo każdy działacz może być skłonny do szanowania swojego dzieła. Nawet opinia tak zasłużonego i tak uznawanego przez Litwinów Michała Biržiški mogłaby im się pod tym względem wydać nie dość miarodajną ze względu na to, że Biržiška, zamknięty w kole stosunków wileńskich i specjalnie w nich zaangażowany, może również mieć brak perspektywy i przeceniać pewne zjawiska, nadając im wagę nadmierną. Ale jeżeli trzeźwi i rachunkowi Żydzi przywiązują taką wagę do akcji porozumiewawczej Litwinów z Polakami wileńskimi, jeżeli oni, sprzyjając zasadniczo sprawie litewskiej w sporze wileńskim i dalecy od jakichkolwiek szczególnych względów kurtuazji wobec strony polskiej, w ten sposób oceniają doniosłość sprawy porozumienia, to znaczy, że rzeczywiście jest to rzecz bardzo ważna.
Byłem zupełnie zadowolony z pierwszych pokierowań delegatów litewskich. Dotyczy to delegatów ludowców, bo co do Węcławskiego, to ten zaraz po pierwszej naradzie u Wróblewskiego poszedł sobie własnymi torami, nawiązując kontakt samodzielnie z PPS i nacjonalistami białoruskimi, bez żadnego związku z akcją ludowców.
Tegoż dnia, we czwartek wieczorem, było wyznaczone w lokalu „jadłodajni higienicznej" przy ul. Wileńskiej pierwsze spotkanie delegatów litewskich (mówię zawsze o ludowcach) z grupami polskimi. Z grup polskich w rachubę wchodzą tylko dwie – Stronictwo Demokratyczne i Związek Ludowy „Odrodzenie". Gdym przyszedł na to zebranie w towarzystwie delegatów litewskich, zastaliśmy tam następujące osoby: od demokratów – Witold Abramowicz, Bronisław Krzyżanowski, i od „Odrodzenia" – Ludwik Chomiński, dr Napoleon Czarnocki, Leon Pietkiewicz, Helman i jeszcze ktoś taki. Dwaj demokraci byli formalnie upoważnieni przez swe stronnictwo do prowadzenia obrad z delegacją litewską, co też zaznaczyli. Trzecim wydelegowanym przez demokratów był Zygmunt Jundziłł, który wszakże z powodu przeziębienia, które go trzyma w domu, przybyć nie mógł. Na to obecni przedstawiciele „Odrodzenia" zastrzegli się na wstępie, że na razie jeszcze formalnych mandatów od swego stronnictwa nie mają i że przeto to zebranie jest z konieczności tylko prywatnym, przeznaczonym do zapoznania się wzajemnego. Brak mandatów formalnych tłumaczyli tym, że nie spodziewali się przyjazdu delegatów litewskich w pierwszym dniu wyznaczonego kilkudniowego terminu i że zebranie zarządu, na którym będzie wyłoniona specjalna delegacja „Odrodzenia" do obrad z Litwinami, jest wyznaczone dopiero na dzień następny. Zresztą podkreślali kilkakrotnie, że można uważać za pewnik, iż zarząd „Odrodzenia" tych samych właśnie obecnych na tym zebraniu członków wydeleguje do obrad, a przeto brak u nich mandatów formalnych jest tylko

przejawem chwilowym, bo w dalszych obradach formalnych uczestniczyć będą ci sami ludzie (zobaczymy jednak z dalszego opowiadania, że zapewnienie to się nie spełniło i że stało się wręcz przeciwnie). Zebranie odbywało się przy stole jadalnym. Podano kolację, na którą się złożyły kotlety wieprzowe, potem podano herbatę w szklankach. Zaczęło się od przemówień powitalnych, pełnych grzeczności, w których z obydwóch stron wyrażano radość ze spotkania i oczywiście – gorące pragnienie porozumienia oraz wiarę w to, że ono nastąpi. Ze strony polskiej powitanie wygłosił Chomiński, ze strony litewskiej odpowiedział – Raczkowski, któremu trzeba przyznać wielką zręczność i wyrazistość w układaniu zwrotów manifestacyjnych, jak również, o czym się miałem sposobność przekonania w dniach następnych – wielką umiejętność przecinania sytuacji zawiłych i niepokojących apelem do dobrej woli i przedmiotowości z taktem, pełnym zarazem równowagi spokojnej i zapału, co zawsze ujmuje rozwichrzone temperamenty i wciąga je w karby, zyskując jednocześnie poklask szczery dla mówcy. Po mowach powitalnych zaczęły się jedno za drugim poszczególne przemówienia. Prawie każdy coś powiedział. Ze strony polskiej coraz to w przemówieniach podnoszono względy szczególnych uczuć, łącznych Wilno z Polską i dotykano w ten lub inny sposób tematu „związku (Litwy) z Polską", nie precyzując wprawdzie, ale poniekąd uprzedzając i przygotowując Litwinów do tego „*leit-motiwu*" dalszych obrad. Oczywiście trzymano się zawsze tezy niepodzielności Litwy. Litwini zachowywali się z taktem, polemiki żadnej nie podnosili, poruszany ze strony polskiej temat „związku z Polską" omijali, unikali w ogóle uchodzenia „*in medias res*"[369], dopóki to jest tylko zebranie prywatne, rezerwując ścisłości właściwych obrad do posiedzenia formalnego; natomiast tłumaczyli szeroko przeszkody, jakie stały dotychczas w drodze do porozumienia, wykazywali nieporozumienia obustronne, błędne o Litwinach i Litwie mniemania i informacje itd. Na tym upłynęło to pierwsze spotkanie. Litwini na zebraniu przemilczali często powtarzany przez Polaków temat o Polsce, ale we własnych ich wrażeniach utkwił on głęboko. Toteż wyszli z zebrania nie pod najlepszym wrażeniem, czując, że strona polska będzie wciąż w obradach biła na to i utrudniała tym porozumienie. Natomiast Litwini, jak mię dochodziły potem głosy ze strony polskiej, sprawili na Polaków, dzięki swej umiejętnej powściągliwości, wrażenie bardzo dobre.

27 lutego, rok 1921, niedziela
Wiem, że muszę się późnić w opisie akcji porozumiewawczej, ale chcę ją zreferować w dzienniku dokładnie. Będę robił kosztem drobniejszych epizodów mego pobytu w Wilnie.
Stanąłem na czwartku. Był to pierwszy dzień akcji porozumiewawczej. Zakończył się on, jak mówiłem, pierwszym spotkaniem delegatów litewskich z grupami polskimi. I o ile na uczestniczących w tym zebraniu Polakach delegaci litewscy, jak mię potem dochodziły głosy, sprawili wrażenie dodatnie, o tyle delegaci litewscy opuścili to zebranie pod wrażeniem ujemnym. Ciągłe wysuwanie w przemówieniach polskich postulatu „łączności z Polską" czyniło na Litwinów wrażenie, że grupy polskie chcą ich z góry skrępować i onieśmielić. Poza tym, nie podobało się to, że po tylu przygotowaniach, po tak długiej zwłoce jeszcze przedstawiciele „Odrodzenia" nie zdążyli otrzymać od swego zarządu mandatów formalnych, co spowodowało stratę czasu i mogło się wydawać pewnego rodzaju lekceważeniem akcji. Ale Litwini niełatwo się zrażają. Gdy raz zrozumieli znaczenie akcji porozumiewawczej, postanowili nie poddawać się wrażeniom i wytrwale robić swoje, wykazując spokojnie maksimum cierpliwości i gotowości do porozumienia. Niemniej wrażenie pierwszego

369 Łac. - „in medias res" – prosto do sprawy.

spotkania z grupami polskimi troszeczkę już ostudziło Litwinów. Nie kwapili się zbytnio do formułowania swoich propozycji, jak to było postanowione na naradzie czwartkowej u Tadeusza Wróblewskiego. Na naradzie u Wróblewskiego zredagowanie tych propozycji było zlecone delegatowi Raczkowskiemu w porozumieniu i pod kierunkiem Wróblewskiego. Raczkowski tego we czwartek nie wykonał; gdy się udał do Wróblewskiego, zastał u niego gości, co uniemożliwiło pracę. Nazajutrz pod wrażeniem spotkania z grupami polskimi delegaci litewscy zaczęli traktować z większą rezerwą potrzebę formułowania swoich propozycji. Wątpili oni, czy grupy polskie zechcą w ogóle przedstawić propozycje swoje, wobec czego propozycje litewskie byłyby zbyteczne. Gdy przyszedł do delegatów litewskich Žemaitis, zacząłem nalegać energicznie na sformułowanie tych propozycji, by w każdym razie Litwini mieli je w pogotowiu. Na razie skłonni oni byli stanąć po prostu na gruncie dosłownym propozycji litewskiej urzędowej, zgłoszonej przez delegację dr Staugaitisa w Warszawie. Dali się jednak wreszcie przekonać i Žemaitis naszkicował dla delegatów litewskich krótki konspekt tych propozycji. W założeniu przyjął on za punkt wyjścia propozycje delegacji Staugaitisa, w której sam uczestniczył, jeno je cokolwiek rozwinął w myśl tych tez, do których konkretyzowania był doszedł z Digrysem[370] w Warszawie w toku pogadanek z grupami społecznymi polskimi. Projekt propozycji, naszkicowany przez Žemaitisa jako podstawa dla delegatów litewskich, przedstawia się tak: cały projekt podzielony jest na trzy zasadnicze kwestie, które powinno objąć porozumienie; są nimi: a. terytorium, b. ustrój wewnętrzny i c. stosunek do Polski. Co do terytorium Litwy, to określone ono zostało tak: a. tereny, ogarnięte obecnie władzą Sejmu Ustawodawczego Litwy, b. stolica w Wilnie jako ośrodku politycznym, kulturalnym, ekonomicznym i historycznym (o Wilnie, jako centrum narodowym, nie wspominano), c. tereny na wschód, które ciążą do Wilna, i d. tereny, które ciążą do Niemna, a co do których Rosja zrzekła się swoich formalnych praw suwerennych. W ten sposób terytorium na wschodzie zakreślone zostało dość ogólnikowo i elastycznie; za kryterium przyjmuje się ciążenie do Wilna lub do Niemna; przy takim określeniu unika się *à priori* konfliktu zasadniczego w rozgraniczeniu z Polską. Opuszczona jest Kłajpeda z okręgiem, ale żądanie jej połączenia z Litwą rozumie się samo przez się i zresztą nie stanowi żadnej kwestii spornej między Kownem a Wilnem. Co do ustroju wewnętrznego Litwy, a właściwie gwarancji praw narodowych i dzielnicowych w ustroju wewnętrznym, bo o to tylko chodzi, propozycje w redakcji Žemaitisa streszczają się do tez następujących: a. równouprawnienie, b. autonomia (samorząd) personalna narodowa, c. szeroka decentralizacja, oparta na samorządzie ludności, z zastrzeżeniem prawa grupowania się samorządów powiatowych w większe samorządne skupienia okręgowe i dzielnicowe. Ten ostatni punkt sformułowany jest embrionalnie i w toku obrad rozwinięty został przez delegację litewską, stając się punktem wyjścia najistotniejszego postulatu ustępstw litewskich *contra* postulatowi kantonalnemu, wysuniętemu przez stronę polską, o czym pomówię innym razem. W przedmiocie stosunku do Polski – projekt Žemaitisa najdokładniej kopiuje propozycje warszawskie delegacji Staugaitisa, uzupełniając je jednym nowym postulatem o dążeniu Litwy do międzynarodowego uznania jej neutralności. Składa się on więc z tez następujących: a. suwerenna Litwa układa się z suwerenną Polską; b. Litwa dąży do międzynarodowego uznania jej neutralności; c. Litwa zobowiązuje się nie napadać nigdy na Polskę i nie tolerować na swym terytorium żadnych formacji obcych wrogich Polsce i żadnych sił zbrojnych lub

370 Stasys Digrys (1886-1959), ekonomista, działacz społeczny i socjaldemokratyczny. Poseł Sejmu Ustawodawczego, członek frakcji socjaldemokratycznej. Współtwórca i przewodniczący Litewskiego Banku Kooperacyjnego. Członek Rady Banku Litewskiego. Lektor Wyższych Kursów Naukowych w Kownie.

innych, organizujących się przeciw Polsce; d. Litwa udziela Polsce dostęp do morza przez swe terytorium; e. Litwa zgadza się na zawarcie z Polską konwencji handlowych i gospodarczych; f. Litwa udziela Polsce praw najbardziej uprzywilejowanego państwa. Projekt w redakcji Žemaitisa został przez delegację litewską przyjęty jako punkt wyjścia jej propozycji dla akcji porozumiewawczej.
Zanotuję, że przed dwoma dniami „Gazeta Krajowa” w sposób bardzo dla mnie kurtuazyjny wzięła mię w obroną wobec napaści na mnie „Rzeczypospolitej”. Wdzięczny jestem Ludwikowi Abromowiczowi za to.

28 lutego, rok 1921, poniedziałek
Akcja porozumiewawcza wileńska, a raczej jej akt pierwszy, zbliża się ku końcowi. Jutro wyjeżdżam już z Wilna, a delegaci ludowców litewskich wracają do Kowna pojutrze. Zanim jednak tę akcję zreferuję, zanim tych kilka dni w dzienniku wyczerpię, upłynie sporo czasu.
Cofam się do piątku 26 lutego. O południu tego dnia było wyznaczone spotkanie delegatów litewskich z Białorusinami w lokalu klubu białoruskiego w domu Bohdanowicza na Placu Katedralnym. Ruch białoruski narodowy na ogół jest jeszcze w bardzo wczesnym stadium zróżniczkowania społecznego. Wprawdzie w jego łonie jest kilka kierunków, tworzących nawet osobne stronnictwa, a szczególności tzw. esery („socjaliści-rewolucjoniści”), którzy dziś stanowią kierunek dominujący i są u steru władzy, bo ich wyrazem jest rząd Łastowskiego, i są tzw. esdecy, do których należy np. Jeremicz, prezes Wileńskiego Komitetu Narodowego Białoruskiego, oraz grupa Antoniego Łuckiewicza, jednak w istocie w działalności narodowej Białorusini są skonsolidowani i działają jednolicie. W swoich komitetach narodowych, na ogół w akcji politycznej, zwłaszcza w polityce narodowej na zewnątrz wobec innych narodów, różnice kierunków znikają i ruch białoruski ma front wspólny. Nie przeszkadza temu nawet ten fakt, że równolegle do społecznej akcji białoruskiej istnieją przy każdym z sąsiednich rządów państw grupy działaczy białoruskich, uprawiających politykę białoruską ugodową, jak np. grupa polonofilska Aleksiuka[371] lub np.Wacław Iwanowski, którzy reprezentują „aktywizm” białoruski oparty no Polskę, albo inna grupa w Mińsku, która stanęła na gruncie „Białej Rusi Sowieckiej”, skojarzonej z Rosją bolszewicką. Akcja białoruska społeczna, będąca w ścisłym kontakcie z rządem Łastowskiego, aczkolwiek wypiera się formalnie Aleksiuka, W. Iwanowskiego lub działaczy Białej Rusi Sowieckiej, jednak po cichu pewne czucie z nimi utrzymuje i stosownie do możności korzysta z ich wpływów. Zróżniczkowanie partyjne Białorusinów dotyczy raczej metod, niż podłoża społecznego i przejawia się tylko w ich stosunkach wewnętrznych, wewnątrz samego ruchu, nie zaś na zewnątrz. Gdy wszakże zachodzi potrzeba, Białorusini dwoją się i mnożą, występując pod rozmaitymi postaciami. Tak też rzecz się ma w społecznej akcji porozumiewawczej litewskiej. W istocie Komitet Narodowy Białoruski w Wilnie jest jednolity, jednak w obradach z delegatami litewskimi część działaczy z tego komitetu bierze w charakterze „socjalistów” udział w akcji, prowadzonej przez Węcławskiego w łonie grup socjalistycznych, druga zaś komunikuje się z delegatami ludowców litewskich w charakterze kierunków ludowych i demokratycznych. W istocie jednak są to tylko różne postaci jednego ruchu białoruskiego narodowego i chłopskiego. W spotkaniu z delegatami ludowców litewskich w Klubie Białoruskim uczestniczył ks. Adam Stankiewicz, dyrektor gimnazjum białoruskiego Kochanowicz i ktoś trzeci, którego nazwiska nie znam. W obradach tych Białorusini przemawiali po białorusku, delegaci

371 Pawel Aleksiuk (1892-?) białoruski działacz polityczny, zwolennik współpracy z Polakami.

litewscy – po polsku. Białorusini podnieśli bolącą kwestię Ministerium do Spraw Białoruskich w rządzie litewskim i ministra Dominika Siemaszki. Kwestia tego Ministerium i Siemaszki jest prawdziwą bolączką stosunków litewsko-białoruskich. Białorusini wskazywali na anormalną sytuację, płynącą z tego, że ministerium to, które urzędowo ma być wyrazem autonomii personalnej Białorusinów w Republice Litewskiej, nie tylko że ignoruje społeczeństwo białoruskie i jego organizacje narodowe, od których nie jest w żaden sposób zależne, jak by być powinno, ale jeszcze w osobie swego szefa, ministra Siemaszki, usiłuje intrygą rozszczepić społeczeństwo białoruskie i przez popieranie czynników w istocie „istotno-ruskich", rdzennie moskiewskich lub moskalofilskich, tęskniących do restauracji wielkiej niepodzielnej Rosji i podszywających się tylko czasowo pod nazwę Białorusinów, stara się przeciwstawić je ruchowi narodowemu białoruskiemu i nadać sobie pozory oparcia w społeczeństwie. Wszelkie żądania, które były przez Białorusinów zwracane do rządu litewskiego o usunięcie Siemaszki, były dotąd przez rząd litewski zignorowane. Białorusini domagają się, by ministrem do spraw białoruskich został człowiek z ich ramienia. Wysuwają oni obecnie kandydaturę Iwana Kraskowskiego[372]. Delegaci litewscy słuchali tych skarg i żądań z zainteresowaniem. Choć są oni posłani do Sejmu, jednak dla nich były to rzeczy nowe. Co do samych postulatów rozwiązania kwestii wileńskiej, to w rozmowie z Białorusinami rzecz ta była mniej poruszana. Dla Białorusinów w sporze między Polską a Litwą o Wileńszczyznę wygranie Litwinów jest tak oczywiście pożądane, że w łonie państwowości litewskiej zgodziliby się oni *a priori* na wszystko, wiedząc dobrze, że w Litwie staną się oni w powiatach wschodnich czynnikiem tak ważkim, iż zdobędą wszelki gwarancje i wszelkie stanowiska; co najwyżej – będzie to tylko kwestia czasu. Żądanie autonomii terytorialnej wysuwają zresztą stale, toteż z przyjemnością wysłuchali zasad propozycji litewskiej, otwierających metodą skupiania się samorządów powiatowych – drogę do autonomii. W dłuższych przemówieniach Białorusini wykazywali delegatem litewskim rozwój i siłę, zwłaszcza potencjalną, a gdzieniegdzie już zorganizowaną, czynnika ludowego białoruskiego w kraju, podkreślając i dowodząc, że w warunkach swobody i równości agitacji oraz warunków organizacyjnych i środków materialnych ruch białoruski szybko wyrośnie na potęgę decydującą, która wszelkie wysiłki propagandy aneksyjnej polskiej pochłonie. Szeregiem argumentów i przykładów Białorusini twierdzenia swoje uzasadniali bardzo mocno, czyniąc na delegatów litewskich wrażenie duże. Delegaci litewscy wyszli z tej konferencji przekonani o wybitnej roli czynnika i ruchu białoruskiego w decydowaniu o losach kraju; o ile chodzi o wagę potencjalną, to rzeczywiście sprawa białoruska w kraju jest bardzo poważna.

1 marca, rok 1921, wtorek
Rano wyjechałem z Wilna automobilem w towarzystwie powracającego do Kowna delegata esdeków litewskich – posła Kazimierza Węcławskiego i p. Heleny z Grabowskich Maciejowej Kończyny[373]. Słówko o p. Kończynie. Jest to młoda mężatka, żona Macieja Kończy z Szeszołek[374], syna śp. Pawła Kończy, b. dyrektora Banku Ziemskiego w Wilnie. Jest z domu Grabowską, córką b. marszałka szlachty pow. święciańskiego z czasów rosyjskich, bodaj jedynego w ostatnich latach panowania

372 Iwan Kraskowski (1880-1955) pedagog, białoruski działacz społeczny i polityczny, działał razem z M. Römerem w lożach masońskich w Wilnie do I wojny światowej, potem w Kownie. Ucierpiał od represji stalinowskich.

373 Helena Kończyna z Grabowskich, żona Macieja Kończy (1884 -?), syna Pawła Konczy (1845-1911), właściciela Szeszołek, jednego z dyrektorów Wileńskiego Banku Ziemskiego.

374 Szeszołki (Šešuoliai), majątek w powiecie wiłkomierskim.

rosyjskiego marszałka szlachty – Polaka. O marszałku Grabowskim, ziemianinie z pow. święciańskiego, różnie mówiono: ogólnie zarzucano mu wysługiwanie się rządom carskim; z pewnością ziemianin – Polak, którego za rządów carskich mianowano w kraju marszałkiem szlachty, musiał mieć zasługi u sfer rządzących, a „zasługi" takie nie mogły go ze stanowiska obywatelskiego dobrze rekomendować. Ale w mojej pamięci marszałek Grabowski, ojciec p. Kończyny, zapisał się dobrze i zdobył tytuł wdzięczności; mianowicie w r. 1909 podczas rozprawy sądowej w moim procesie karnym z oskarżeniem mię z art. 129 Kod. Karnego (za artykuł p.t. „Ogniste półkole" pióra Norberta Barlickiego[375], wydrukowany w jednym z lipcowych r. 1906 numerów redagowanej przeze mnie „Gazety Wileńskiej"), który się toczył w Izbie Sądowej Wileńskiej z udziałem tzw. przedstawicieli stanów, do kompletu sądzącego w charakterze przedstawicieli szlachty należał marszałek Grabowski[376]. Był on dla mnie w tej sprawie usposobiony życzliwie i wiem, że dzięki jego głosowi zostałem z art. 129 K.K. uniewinniony. Marszałka Grabowskiego nigdy osobiście nie poznałem, widziałem go raz jeden tylko na tym procesie w roli sędziego. Ale utkwił mi on w pamięci, gdy wraz z resztą sędziów wychodził z pokoju narad na salę posiedzeń dla ogłoszenia wyroku; szedł rozjaśniony, rad, że udało mu się uratować mię od kary; spojrzał na mnie i na mego obrońcę Tadeusza Wróblewskiego i z jego twarzy i spojrzenia wyczytaliśmy wyrok uniewinniający wpierw, nim przewodniczący go odczytał. Ten szczegół zachował mi sympatyczne o marszałku Grabowskim wspomnienie. Toteż rad byłem, że po latach mogłem się jego córce odwdzięczyć usługą i ułatwić jej przedostanie się przez linię demarkacyjną do Litwy, co jest rzeczą bardzo trudną i o co chodziło biednej kobiecie bardzo. Zresztą p. Kończyna jest sama przez się osobą miłą, której mi żal było, gdy przychodziła się starać o możność przejazdu i prosiła mię o pomoc i radę w tej potrzebie. Michał Biržiška dał mi kartkę rekomendacyjną dla niej na przejazd i zabraliśmy ją z Węcławskim do naszego automobilu. Przez linię demarkacyjną przejechaliśmy bez większych przeszkód, oprócz zwykłych tarć między posterunkami polskimi na linii, które same dobrze nie wiedzą, co który z nich ma robić. Po przekroczeniu linii udaliśmy się na stację kolejową do Żośl, uprzedziwszy wpierw z Jewja telefonem Żośle, aby pociąg, odchodzący na Kowno, zaczekał na nas. Automobilem, który szedł pod flagą litewską, dojechaliśmy tylko do Żośl[377], stamtąd zaś pociągiem – do Kowna, bo automobil musiał wracać do Wilna, by zabrać jutro delegatów ludowców litewskich.

Węcławski wcześniej od delegatów ludowców spełnił swoje zadanie w Wilnie. Było ono zresztą prostsze w łonie kół socjalistycznych, które, choć przejęte elementami narodowymi, mają jednak poza różnicami narodowymi swój specjalny kabalistyczny język formułek doktrynalnych. Obradował on z PPS-owcami i socjalistami białoruskimi. Ci ostatni, uczestniczący w obradach z Węcławskim w ilości czterech osób (Jeremicz, Karabasz, Duszewski i Łuckiewicz), reprezentowali aż cztery różne białoruskie partie socjalistyczne! Obrady toczyły się w łonie grup socjalistycznych podwójne: jedne wspólne bez podziału na grupy narodowe i drugie – osobno z PPS-owcami. Żydowskie grupy socjalistyczne (główną jest „Bund") uchyliły się od akcji porozumiewawczej, są one bowiem bardzo zbliżone do komunistów i sprawę państwowości litewskiej lub innej uważają za nacjonalistyczny wybryk burżuazyjnych

375 Norbert Barlicki (1880-1941), publicysta, działacz socjalistyczny. W 1906 r. sekretarz redakcji „Gazety Wileńskiej". Römer jako redaktor naczelny odpowiadał za niepodpisany artykuł sekretarza redakcji.

376 Grabowski, ziemianin, marszałek szlachty powiatu wileńskiego w początku XX w.

377 Żośle, miasteczko nad jeziorami Żośle, Limeń i Staszkuniszki w powiecie trockim, o 8 km od Żyżmor ku Wilii, 36 km od Trok. Stacja kolejowa.

„gojów”, podszywających się fałszywie pod socjalizm. Węcławski w imieniu partii litewskiej s.-d. akceptował zasadę kantonalnej budowy Litwy i zwołania osobnego Sejmu w Wilnie w charakterze Konstytuanty, równoległej do Sejmu Ustawodawczego w Kownie. Tą drogą w kwestii ustroju wewnętrznego Litwy mógł z łatwością dojść do porozumienia z PPS-owcami. Na razie socjaliści białoruscy, którzy bardzo ostro występowali przeciwko PPS, zarzucając socjalistom polskim łączenie się z polityką nacjonalistyczną burżuazyjną, oponowali przeciwko postulatowi dwóch kantonów – kowieńskiego i wileńskiego – bojąc się, aby kanton wileński nie stał się tylko kopią „Litwy Środkowej” i nie został przez Polaków opanowany na rzecz supremacji narodowej. Węcławski musiał sam przekonywać Białorusinów i tłumaczyć, dlaczego kanton przy organizacji demokratycznej nie może się rzekomo stać formacją narodową, jeno dzielnicową, wykluczającą zapanowanie jednej narodowości, zwłaszcza mniej licznej, choćby silniejszej pod innymi względami. Natomiast postulat PPS o federacji Litwy z Polską Węcławski odrzucił kategorycznie, stwierdzając, że choć jego partia hołduje dążenia do federacjo w ogóle, jednak federacja jest tylko stadium wtórnym i może być w myśl pojęć socjalistycznych pożądana tylko między krajami, rządzonymi przez klasy ludowe. Federacja *à priori* z Polską, która jeszcze ulega imperializmowi, jest dla esdeków litewskich nie do przyjęcia. Węcławski twierdził, że w PPS między robotnikami a przywódcami inteligenckimi nie ma zupełnej zgodności i że robotnicy zapewniali, iż w związkach narodowych tezy społeczne Węcławskiego znajdą posłuch większy, niż aspiracje nacjonalistyczne przywódców.

2 marca, rok 1921, środa
Po przyjeździe do Kowna zostałem tu list Maryni, pisany już z Bohdaniszek i świadczący o tym, że dojechała już szczęśliwie na miejsce, oraz list Kotuni Pruszanowskiej, datowany z Berlina. Kotunia przysyła mi plenipotencję swoją i Henrysia; pierwsza jest sporządzona na imię Józefa Petrulisa, druga – na imię Jana Kligysa. Plenipotencje są formalne, poświadczone przez konsula litewskiego. Dla ich sporządzenia Kotunia jeździła umyślnie do Berlina, gdzie urzęduje konsul litewski. Tych dwóch plenipotencji brakło nam dotąd dla rozpoczęcia działu po śp. Papie. Teraz przeszkody tej już nie będzie. Elwira i Marysia wzywają mię do Bohdaniszek. Pojadę tam w przyszłym tygodniu i zwołam pierwsze ogólne zebranie spadkobierców dla ustalenia nie tylko zasad działu, ale i bieżących spraw zarządu Bohdaniszek.
Wracam do sprawozdania z akcji porozumiewawczej w Wilnie i cofam się do piątku 25 lutego. W tym dniu miało się odbyć wieczorem drugie spotkanie delegatów litewskich z grupami polskimi. Dnia poprzedniego było zapowiedziano, że nazajutrz przedstawiciele „Odrodzenia” będą już mieli mandaty formalne i że przeto będzie można rozpocząć właściwe obrady. Na zebraniu z delegatami litewskimi mieli brać udział wspólnie z przedstawicielami „Odrodzenia” także przedstawiciele demokratów, jak dnia poprzedniego. Tymczasem zaczęły nas dochodzić pogłoski o jakichś tarciach i nieporozumieniach tak w łonie „Odrodzenia”, jak między „Odrodzeniem” a demokratami. Jak się dowiedzieliśmy potem, rozgrywał się w „Odrodzeniu” epizod walki o wpływy między gronem przywódców inteligenckich a Mickiewiczem Stefanem, którą charakteryzowałem w dzienniku przed kilku dniami. Kwestia sposobu prowadzenia obrad z Litwinami posłużyła tylko za przygodne tło dla tej walki. Grono inteligenckie z Ludwikiem Chomińskim, dr Napoleonem Czarnockim i Leonem Petkiewiczem – a z nimi i Helman – dążące do pewnego rodzaju oligarchii inteligenckiej w ruchu chłopskim, usiłowało skłonić zarząd „Odrodzenia” do wyborów delegatów dla obrad z Litwinami. Natomiast wśród chłopów, należących do zarządu „Odrodzenia”, była przez Stefana Mickiewicza i jego popleczników wytwarzana

tendencja, aby się nie dać zastąpić przez jakąś delegację, nie dopuścić do pośrednictwa inteligentów w tych obradach, jeno prowadzić akcję porozumiewawczą z Litwinami bezpośrednio przez cały zarząd „Odrodzenia" w komplecie, a nawet z dopuszczeniem do obrad wszystkich chłopów, którzy się przygodnie w lokalu „Odrodzenia" znajdą. Walka toczyła się długo i ostro. Mickiewicz znalazł wdzięczny teren do warcholenia demagogicznego. Zdaje się, że jeszcze Babiański, acz z innych względów, sam zresztą do „Odrodzenia" nie należący, sekundował w tym Mickiewiczowi. Debaty w tej materii były w „Odrodzeniu" długie i gorące. Dnia poprzedniego delegatom litewskim było oświadczone, że zebranie nazajutrz odbędzie się o godz. 8 wieczorem. Tymczasem na godz. 8 zarząd „Odrodzenia" jeszcze nie zakończył swego sporu o tym, w jaki sposób obradować z Litwinami, wobec czego zebranie odroczono na godz. 9. Ostatecznie grupie inteligenckiej nie udało się przeforsować wyboru delegacji do obrad z Litwinami i wskutek tego gdym z delegatami litewskimi przybył na oznaczoną godzinę do lokalu „Odrodzenia", zastaliśmy nie delegację „Odrodzenia", jak nam zapowiadali wigilią Chomiński, *et consortes*, lecz cały zarząd „Odrodzenia" *in corpore* i zresztą grono chłopów spoza zarządu. Z łona „Odrodzenia" było więc ze 30 osób i w tej liczbie ogromna przewaga chłopów, wśród których nieliczni inteligenci tonęli. Zwyciężył Mickiewicz. Demokraci byli tym obrotem rzeczy tak zgorszeni, że ich delegaci nie przybyli na zebranie wcale. Byli oni oburzeni na Mickiewicza, którego nie znoszą i którego pragnęliby widzieć usuniętego z ideowo im bliskiego „Odrodzenia" jako element warcholski i kompromitujący. Poza tym i do Babiańskiego demokraci nie mają nabożeństwa, uważając, że jego usiłowania znalezienia stanowiska pośredniego w sporze polsko-litewskim i odegrania roli arbitra – są niewłaściwe i szkodzące porozumieniu. A Babiański w charakterze gościa na zebraniu był. Litwini jednak cieszyli się szczerze z takiego obrotu sprawy, bo było ich pragnieniem najgorętszym, by się zetknąć w „Odrodzeniu" bezpośrednio z chłopami, nie zaś mieć do czynienia z samymi prowodyrami inteligenckimi. Choć wiedzieli, że akcja Mickiewicza jest warcholska, a samego Mickiewicza Litwini znają dobrze i najmniejszego zaufania doń nie czują, jednak w tym wypadku jego demagogia była Litwinom w skutkach na rękę.

3 marca, rok 1921, czwartek
W Sądzie Okręgowym przewodniczyłem dziś na sesji karnej. Oczywiście pasowany zostałem przez prezesa na jednego z tych, którzy przewodniczyć umieją. Dla mnie to nie nowina, bo w Łomży przewodniczyłem zawsze na moich sesjach karnych. Ale tu w Kownie, zwłaszcza ze względu na litewski język sądownictwa, jest to dla mnie nowiną i trudności pewne mam. Jednak radę daję sobie, a po trochę biegłość moja w języku litewskim wzrasta.
Delegaci ludowców litewskich – Raczkowski, Makowski i Bortkiewiczowa[378] – już wrócili z Wilna. Stwierdzają oni, że akcja porozumiewawcza, którą w Wilnie zapoczątkowali, nie była próżną. Są na ogół pod wrażeniem dobrym; przyznają, że sami skorzystali dużo, wiele się dowiedzieli i zorientowali należycie w stosunkach. Uważają też, że ich pobyt w Wilnie, same obrady, wreszcie obustronne konkretyzowanie postulatów przyczynią się do rozproszenia wielu uprzedzeń do Litwy i Litwinów w tych elementach ludowych, z którymi się zetknęli w „Odrodzeniu"[379], co sprzyjać będzie

378 Felicja Bortkevičienė, z domu Pavickaitė (1873-1945), dziennikarka, działaczka społeczna i polityczna związana z litewskimi kręgami demokratycznymi, po I wojnie światowej działała w Związku Litewskich Włościan Ludowców (Lietuvos valstiečių sąjunga; od 1922 Lietuvos valstiečių sąjunga liaudininkų sąjunga), 1920-1922 posłanka w Sejmie Ustawodawczym Litwy.
379 Polski Związek Ludowy „Odrodzenie" – działające na Wileńszczyźnie w latach 1920-1922 stronnictwo ludowe, odpowiednik Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie", z którym połączyło się w czerwcu 1922 r.

kiełkowaniu dalszych prądów porozumiewawczych na rzecz zbliżenia Wilna do Kowna. Wieczorem w gmachu Sejmu byłem obecny na posiedzeniu frakcji Socjalistów-Ludowców-Demokratów[380] i Związku Włościańskiego[381], na którym wymienieni delegaci zdawali sprawę ze swej misji wileńskiej. Nie mogłem być na tym posiedzeniu do końca i wysłuchałem przeto tylko relacji Raczkowskiego i częściowo Makowskiego, na dyskusji zaś nie byłem obecny.
Jedna rzecz w sprawozdaniu wileńskim delegatów wywołała na posiedzeniu wśród zebranych wielkie zadziwienie, poniekąd w pierwszej chwili nawet konsternację. Nastąpiło [to] mianowicie wtedy, gdy Raczkowski, odczytując komunikat zamknięcia obrad przedstawiony przez delegację litewską „Odrodzeniu", wymienił „konwencję wojskową obronną" jako postulat, na który grupy litewskie mogą się w stosunkach Litwy do Polski zgodzić. Ale o tym postulacie, o jego roli i o tym, w jaki sposób dostał się on do postulatów litewskich, do formalnego dokumentu delegacji, napiszę dalej w toku referowania akcji wileńskiej.
Otrzymana dziś została w kołach urzędowych depesza o tym, że Liga Narodów na posiedzeniu w Paryżu odrzuciła stanowczo plebiscyt czy też tzw. „konsultację ludową" w sprawie wileńskiej. Plebiscytu więc nie będzie. Sprawa będzie rozstrzygnięta jakąś inną metodą – chyba arbitrażem. Bliższych szczegółów uchwały paryskiej jeszcze nie znam.
Cofam się do relacji z biegu akcji porozumiewawczej wileńskiej. Pierwsze formalne spotkanie się delegatów litewskich z „Odrodzeniem" odbyło się więc w piątek 25 lutego z udziałem całego zarządu „Odrodzenia", a więc licznym udziałem chłopów. Mowy powitalne były krótkie. Obrady właściwe rozpoczęły się od dyskusji na temat, która strona pierwsza ma przedstawić drugiej formularz swoich postulatów. Obie strony zgadzały się na to, że dla użyteczności akcji porozumiewawczej należy zamiast frazesów i pogadanek ogólnikowych sprowadzić obrady w łożysko możliwie dokładnych, konkretnych programów rozwiązania sprawy wileńskiej przez jedną i drugą stronę. Wszakże Polacy („Odrodzenie") żądali początkowo, aby program taki został przedstawiony wpierw przez stronę litewską. Natomiast Litwini, bojąc się, by się nie powtórzyła historia obrad urzędowych warszawskich, w których strona litewska przedstawiła swoje propozycje, strona zaś polska oświadczyła po prostu, że propozycje te nie są wystarczające, wszakże sama swoich nie zgłosiła, oparli się temu stanowczo, zdecydowani stać mocno na żądaniu przedstawienia propozycji wpierw przez stronę polską. Ze strony litewskiej motywowano to tym, że w Litwie po stronie kowieńskiej państwo litewskie już się zorganizowało, Sejm Ustawodawczy działa i uchwala ustawy. Litwini pragną połączenia Wilna z Litwą; jeżeli państwo litewskie w dotychczasowej budowie i funkcjonowaniu nie zadowala Polaków wileńskich, uznających w zasadzie niepodzielność Litwy, jeżeli ustawy, uchwalone przez Sejm w Kownie, nie zadowalają Wilnian, to niechże wreszcie Polacy wileńscy wypowiedzą, jakie są ich zastrzeżenia i co uważają dotychczas za przeszkodę do zrealizowania budowy niepodzielnej państwowości litewskiej.

380 Socjaliści-Ludowcy-Demokraci (Lietuvos liaudininkų demokratų partija; socialistai liaudininkai demokratai), partia reprezentująca litewskie nurty umiarkowanie lewicowe, działająca początkowo w Rosji (1917-1918), następnie w Litwie (1918-1922). W grudniu 1922 r. połączyła się ze Związkiem Włościańskim (Valstiečių sąjunga) w Litewski Związek Włościan Ludowców (Lietuvos valstiečių liaudininkų sąjunga).
381 Związek Włościański (Valstiečių sąjunga; Lietuvos valstiečių sąjunga), partia ludowa działająca w latach 1905-1916 i 1918-1922. Od 1906 odgałęzienie Litewskiej Partii Demokratycznej (Lietuvos demokratų partija). W 1918 odnowiona jako samodzielna organizacja. W grudniu 1922 połączyła się z partią Socjalistów-Ludowców-Demokratów.

Takie postawienie sprawy przekonało „Odrodzenie”, które zgodziło się przedstawić delegacji litewskiej swój program, nie czekając na przedstawienie takiegoż programu ze strony litewskiej. Zresztą delegaci litewscy oświadczyli, że mają program swoich propozycji już przygotowany i że jak tylko „Odrodzenie” zgłosi swój, oni swój także przedstawią by dać możność porównania ich i prowadzenia obrad w łożysku postulatów ścisłych. [Uzgodnienie] programów zostało wyznaczone na dzień następny.

4 marca, rok 1921, piątek
Dalszy ciąg akcji porozumiewawczej społecznej w Wilnie. Zebranie w „Odrodzeniu” w piątek 25 lutego. Po ustaleniu przez obie strony, że nazajutrz obie strony – tak „Odrodzenie”, jak delegaci litewscy w imieniu Stronnictwa Socjalistów-Ludowców-Demokratów i Związku Włościańskiego – mają sobie przedstawić wzajemnie swoje projekty rozwiązania sprawy wileńskiej, obrady toczyły się dalej w postaci pogadanki informacyjnej. Ze strony „Odrodzenia” prócz Chomińskiego[382] zabierało głos także paru chłopów, w tej liczbie przewodniczący Adamowicz[383] i niejaki Mickiewicz[384] (nie Stefan[385]), ze strony zaś Litwinów tak Raczkowski, jak Makowski.
Ciekawe było dla Litwinów stwierdzenie, że w samym „Odrodzeniu”, które się nazywa „Polskim Związkiem Ludowym”, element białoruski wśród chłopów musi być bardzo liczny, bo obaj mówcy chłopscy, którzy zabierali głos – Adamowicz i Mickiewicz – okazali się Białorusinami i sami się za Białorusinów podawali, choć wyrażali tendencje polonofilskie. Jeżeli w samym zarządzie „Odrodzenia” są chłopi Białorusini, a nawet Białorusinem jest sam prezes „Odrodzenia” Adamowicz, to cóż mówić o masie chłopskich członków tej formacji na wsi! Co zaś charakterystyczniejsze, że taki Adamowicz, obecny prezes zarządu „Odrodzenia”, Białorusin, był w roku zeszłym jednym z czynnych działaczy chłopskich „Straży Kresowej”. Nie tylko więc w radykalnym „Odrodzeniu”, ale nawet w „Straży Kresowej”, która jest ultranacjonalistyczną polską i hołduje programowi prostej aneksji Wileńszczyzny do Polski, element ludowy nie jest bynajmniej jednolicie polski. Kontyngent ludowy tych ruchów jest tworzony w dużym stopniu przez Białorusinów-katolików. Dziś idą oni w ogonku obozu narodowego polskiego, ale w innych okolicznościach przypomną sobie, że są Białorusinami. Zresztą „Odrodzenie” to jeszcze chaos, jeszcze mgławica, z której po ustatkowaniu się wyłonią się kształty nowe. Dziś obóz „Odrodzenia” sprzęgają radykalne hasła agrarne, ale poza tym jest on zbiorowiskiem elementów ludowych o bardzo nieokreślonym obliczu politycznym. Jest to laboratorium dopiero przyszłego ruchu ludowego chłopskiego, ale nie krystalizacja dokonana.
W przemówieniach chłopów z „Odrodzenia” były tony różnych żalów i skarg względem Litwinów, zwłaszcza co do zachowania się władz litewskich w krótkim okresie ich rządów w Wileńszczyźnie. Ze strony zaś litewskiej, szczególnie w przemówieniu Makowskiego, były uwydatnione prądy reformy agrarnej w Litwie, rola obszarników, którzy usiłują poróżnić Litwę ludową Kowieńską z Wileńszczyzną i pragnęliby z Polski uczynić narzędzie do zwalczania radykalizmu agrarnego w kraju,

---

382 Ludwik Chomiński (1890-1958), jeden z czołowych przedstawicieli demokratów wileńskich, działacz ludowy, współzałożyciel PZL „Odrodzenie”, poseł do Sejmu Wileńskiego 1922, poseł w Sejmie RP (1922-1927).

383 Jan Adamowicz (1871 – po 1944), działacz ruchu ludowego, w 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego z listy PZL „Odrodzenie”, 1922-1927 poseł w Sejmie I kadencji.

384 Być może tożsamy z Antonim Mickiewiczem, posłem do Sejmu Wileńskiego w 1922 r. Przeciw identyfikacji przemawia to, że A. Mickiewicz został wybrany do Sejmu Wileńskiego z listy PSL „Piast”, podczas gdy Mickiewicz wspomniany przez M. Römera był działaczem PZL „Odrodzenie”.

385 Stefan Mickiewicz (ok. 1886 – ?), adwokat, 1922 wybrany do Sejmu Wileńskiego z listy PZL „Odrodzenie”.

wreszcie były wskazywane różne szczegóły rozwoju gospodarczego Litwy i prostowane błędne o Litwie pojęcia i uprzedzenia upowszechniane wśród ludności wileńskiej. Na tym się zebranie piątkowe skończyło.
Nazajutrz, w sobotę, znów się odbyło zebranie w „Odrodzeniu". Znowu był obecny cały zarząd „Odrodzenia" *in corpore*, poza tym garść przygodna chłopów należących do „Odrodzenia". Przedstawicieli Stronnictwa Demokratycznego[386] znów nie było. Na zebraniu tym doszło do przedstawienia przez obie strony swoich postulatów. Program litewski był ułożony podług konspektu Żemaitisa. Program „Odrodzenia" został, o ile wiem, ułożony przez Ludwika Chomińskiego. Był on zresztą także raczej konspektowo traktowany.
Jak program litewski, tak i program „Odrodzenia", składał się z trzech zasadniczych rubryk : terytorium, ustrój wewnętrzny Litwy i stosunek Litwy do Polski. Co do terytorium, to „Odrodzenie" zakreśliło je dość szeroko, posuwając je znacznie na wschód. Na wypadek spełnienia niepodzielności Litwy „Odrodzenie" żąda wcielenia do niej tzw. korytarza, to znaczy pasa na wschód od wschodniej granicy litewskiej, ustalonej traktatem lipcowym litewsko-rosyjskim (powiaty dziśnieński i wilejski) i poza tym na południowym brzegu Niemna pragnie jeszcze dołączenia do Litwy całego powiatu nowogródzkiego i części słonimskiego do rzeki Szczary. Oczywiście rozszerzenie na wschód terytorium państwowego Litwy, jako jedno z zastrzeżeń połączenia Wilna z Litwą, wyraża dążenie do zneutralizowania w Litwie narodowego elementu litewskiego, by tenże nie mógł majoryzować ludności nielitewskiej i by ta ostatnia była liczebnie o tyle silna, żeby się mogła ewentualnym zakusom litwinizacyjnym oprzeć i paraliżować je trwale. A ponieważ rozszerzenie terytorium Litwy nie może się w dezyderatach polityków dokonać kosztem terytorium polskiego, więc się je posuwa w kierunku białoruskim, zagarniając już nawet powiaty zaludnione przez Białorusinów prawosławnych. Natomiast projekt „Odrodzenia" w kwestii terytorium odrywa od Litwy Grodno i oddaje je Polsce.

5 marca, rok 1921, sobota
Dalszy ciąg akcji porozumiewawczej w Wilnie. Sobota 26 lutego. Zebranie w „Odrodzeniu".
W programie przedstawionym przez „Odrodzenie", w dziale o terytorium – prócz rozszerzenia go na wschód na korytarz i za Niemnem do Szczary – mieścił się też postulat o ustąpieniu Grodna Polsce. Mogłoby się zdawać, że jest to nielogiczne. Polacy wileńscy, których interesy w sferze politycznej miał realizować program „Odrodzenia", są wprawdzie na interes państwowy litewski nie nazbyt wrażliwi, bo w gruncie [rzeczy], nawet zachowując niepodzielność Litwy czynią to tylko przez kompromis i wychodzą raczej z założeń państwowości Polski, ponieważ w silnej Polsce upatrują główną gwarancję swego stanowiska i swych praw w Litwie. Wszakże, skoro już rozszerzają terytorium niepodzielnej Litwy na wschód, aby zyskać w państwie większą przeciwwagę liczebną ludności nielitewskiej (polskiej i białoruskiej) wobec Litwinów, to dlaczegóż wyłączają Grodno? Wszak jeżeli dla zneutralizowania narodowego elementu litewskiego w państwie wzmacniają Wilno nie tylko Lidą i Oszmianą, ale także białoruską Dzisną, Wilejką, Nowogródkiem i Słonimem, dlaczegóż robią wyjątek z Grodna, które jest bardziej polskie niż Dzisna lub Słonim, i które przeto we wspólnym

386 Działalność Stronnictwa Demokratycznego w Wilnie daje się w miarę prześledzić od połowy 1917 r. Otwarta jest kwestia, czy powstało w tym czasie, czy też stanowiło kontynuację wcześniejszych struktur demokratów wileńskich. Nie zdobyło poważniejszych wpływów; w wyborach do Sejmu Wileńskiego 8 I 1922 r. uzyskało 4 mandaty (na ogólną liczbę 106).

państwie skuteczniej by się z Wilnem politycznie zbratało, niż powiaty i miasteczka wschodnie – białoruskie.
Postulat o Grodnie trafił do programu „Odrodzenia" niewątpliwie pod wpływem Babiańskiego[387]. Babiański od dłuższego czasu prowadził energiczną akcję w Warszawie na rzecz spopularyzowania swojej koncepcji rozwiązania sporu polsko-litewskiego i sprawy wileńskiej. Na zebraniach politycznych w Warszawie i w prasie występuje ciągle i broni swoich tez. Stara się on przekonać opinię publiczną w Polsce, że próby narzucenia Litwie stosunku federacyjnego z Polską są nierealne i do zbliżenia polsko-litewskiego doprowadzić nie mogą, bo godzą w zasadę suwerenności Litwy, której się Litwa nie wyrzecze nigdy i wyrzec nie może. Natomiast opiera on stosunek między Litwą a Polską na konwencji wojennej obronnej przeciwko Rosji i uważa, że Litwa i Polska winny być w ten sposób zbudowane, aby Litwa z konieczności musiała się stać przedmurzem Polski na północnym wschodzie. Grodno, które jest twierdzą i poniekąd kluczem linii Niemna, tak jak Brześć jest kluczem linii Bugu, gra w systemacie politycznym Babiańskiego rolę niezmiernie ważną.
Polska posiadając Brześć i Grodno miałaby w ręku główne punkty oporu przeciwko ewentualnej akcji zaczepnej Rosji. Brześć i Grodno, Bug i Niemen broniłyby właściwego terytorium Polski. Litwa, wysunięta na północny wschód przed Grodno, miałaby za zadanie bronienie linii przedniej, wstrzymywanie pierwszego impetu Rosjan. Stałaby się buforem opartym o główną, niemeńską linię polską, zamykaną kluczem grodzieńskim. Pozostawienie Grodna w ręku polskim uzależniłoby samo przez się Litwę od Polski militarnie, czyniłoby ją uczestniczką wojennego systemu polskiego na wschodzie. Konwencja wojenna obronna między Litwą a Polską systematyzowałaby jeno to, co już by samą naturą rzeczy było predestynowane poniekąd z góry. Grodno więc byłoby zarazem kluczem do zsolidaryzowania militarnego i politycznego Litwy z Polską, a przeto posiadanie go przez Polskę jest, zdaniem Babiańskiego, warunkiem do rozwiązania trudnej kwestii stosunku polsko-litewskiego bez gwałcenia suwerenności państwowej litewskiej. Przez Grodno Polska miałaby militarnie kontrolę nad Litwą a przez to samo usunięte by zostało główne niebezpieczeństwo, którego się Polska obawia – aby Litwa nie mogła stać się pomostem do militarnego kontaktu Rosji z Niemcami i zamiast dzielić Polskę od państw bałtyckich stała się, jak Polska pragnie, ogniwem systematu biegnącego od Morza Czarnego do Bałtyku, od Rumunii do Finlandii.
Tak pojmuje rolę Grodna Babiański i tak też musiał on ją przedstawić autorom projektu „Odrodzenia". Ci ostatni zrozumieli z łatwością, że usadowienie Polski w Grodnie jest atutem na rzecz wpływów polskich względem Litwy, wpływy zaś te są dla Polaków wileńskich zadatkiem ich stanowiska i mocy w państwie litewskim. Tak się przedstawia sprawa terytorium w postulatach „Odrodzenia". Co do dwóch innych działów – ustroju Litwy i stosunku do Polski – „Odrodzenie" sformułowało je ogólnikowo, mianowicie tak: dwa kantony, jeden ze stolicą w Wilnie, drugi ze stolicą w Kownie i z dwoma odrębnymi kantonalnymi Sejmami, których delegacje stanowią najwyższy organ centralny ustawodawczy w państwie; stosunek Litwy do Polski – federacyjny. Bliższego wyszczególnienia tych tez program „Odrodzenia" nie podaje.

6 marca, rok 1921, niedziela

387 Aleksander Babiański (1853-1931), generał, prawnik, działacz społeczny i polityczny, czynny na polu stosunków polsko-rosyjskich i polsko-litewskich, poseł do III Dumy Państwowej, w której zasiadał w klubie konstytucyjnych demokratów.

Miałem dopiero we środę wybrać się na kilka dni do Bohdaniszek. Tymczasem prezes Mačys[388] uprosił mię, bym jutro pojechał na sesję wyjazdową sądu do Poniewieża na trzy pierwsze dni posiedzeń. Wobec tego wyjeżdżam jutro – wpierw do Poniewieża, a stamtąd do Bohdaniszek.
Tych kilka dni spędzonych w Kownie od powrotu z Wilna do jutrzejszego wyjazdu urozmaiciły mi się miłym stosunkiem z panią Maciejową Kończyną, którą przywiozłem z Wilna i którą wypadło mi się tu zaopiekować. Ten krótki stosunek stał się małą, ale bardzo przyjemną dywersją w moim pustelniczym życiu samotnika, wypełnionym stale li tylko bądź pracą zawodową, bądź działalnością publiczną w sprawach politycznych. Młoda pani Maciejowa Kończyna, choć pod względem inteligencji jest mało zajmującą, jednak jest interesująca fizycznie jako kobieta młoda w pełni rozwoju i także psychicznie, jako charakter czy usposobienie. Jest wysoka, smukła, zgrabna, wszakże o kształtach dobrze rozwiniętych. Jest dość przystojna, choć ma oczy trochę zanadto wypukłe. Jest z charakteru miękka, łagodna, skłonna do płaczu, co się szczególnie uwydatnia w stanie znerwowania, w jakim pozostaje. Jest przy tym bardzo prosta, naturalna i ludzka. To wszystko czyni ją bardzo powabną. Jest w niej coś z tej słodkiej, kleistej kobiecości, która lgnie łatwo do otaczających ją mężczyzn i do której też lgną mężczyźni, jakby pociągani magnesem.
Sama, bez męża, który bawi jeszcze w Poznaniu, bezdzietna, próbująca utorować sobie i mężowi drogę do majątku, samotna i niemal bezradna w środowisku obcym i w sferze kłopotów i interesów – znerwowana tą rolą, która przechodzi jej siły, a bodaj niemniej niezaspokojonymi pragnieniami płci, co się wyczuwa instynktem mężczyzny, a co może pochodzić nie tylko może z chwilowego oderwania od męża, ale, kto wie czy nie chronicznie ze słabości męskiej Macieja Kończy. Ma ona w sobie coś z powoju, który się ze słodkim oddaniem biernym owija dokoła spotkanego mężczyzny, gotowego jej dopomóc ramieniem. Chodziło tu o wyrobienie jej możności spokojnego osiedlenia się w majątku mężowskim Szeszołkach pod Szyrwintami.
Dopomagał jej w tym młody adwokat Chodakowski, szwagier Smetony[389] i Tubelisa[390]. Chodakowski zwietrzył w pani Kończynie te słodkie dla każdego mężczyzny cechy kobiecego powoju, szukającego mocy męskiej, by się dokoła niej opleść i dnie całe poświęcał towarzyszeniu pani Kończynie. Ale sam był za miękki i za delikatny, więc w krótkich abcugach zwyciężyłem go kompletnie, pomimo że nie ja pani Kończyny, ale ona mnie szukała. Taka kobieta lubi poczuć twardość mężczyzny, lubi być zapanowaną jak dziecko, choćby w tym zapanowaniu było nawet trochę brutalności, bezwzględności – nawet szczypta maltretowania, byle leciutka, ledwie uchwytna, niepokojąca, przeplatana spokojną dobrocią. Jej bezradność i łzawość nerwowa lubi się opierać o moc taką, która sama przez się daje jej uczucie niepokojącej rozkoszy, tęsknotę płciową oddania się.
Umiałem być wobec niej takim i zdobyłem psychicznie tę kobietę. Sprawiało mi to przyjemność i sympatia między nami w ciągu tych paru dni urosła. Załatwiałem jej sprawę, ile mogłem i dużo poza tym czasu z nią spędziłem. Urwało się to wobec mojego jutrzejszego wyjazdu, ale czuję, że gdyby nasz stosunek trwał dłużej, skułbym tę kobietę ze sobą, jak tyle innych dawniej, a może nawet, ze względu na jej rozwój dojrzałości kobiecej i na jej zmysłowość mężatki, zaostrzoną się stanem nerwowego

388 Vladas Mačys (1867-1922), prawnik, 1918-1922 przewodniczący Sądu Okręgowego w Kownie, 1923-1934 profesor Uniwersytetu w Kownie.

389 Ananas Smetona (1874-1944), litewski mąż stanu, prezydent Litwy 1919-1920, 1926-1940.

390 Juozas Tubelis (1882-1939), premier Litwy 1928-1938.

niezaspokojeni, stosunek zaszedłby o wiele dalej, niż z pannami, których miłości stawałem się panem.
Maciejowa Kończyna miała w stosunku do mnie coś ze ćmy i szła do mnie jak ćma do ognia, pociągana jakąś dziwną siłą, szukała mię i pragnęła, bojąc się jednocześnie i drżąc. Wiem, że jeszcze trochę, a zaczęłaby mię kochać. Niepokoiłem ją i drażniłem jej wyobraźnię, a byłem spokojny wobec niej i twardy, na przemian brutalny trochę i dobry, a zawsze równy i nie okazujący osobistego zainteresowania nią, co najbardziej zwykle kobietę w początkowych stadiach stosunku niepokoi i pociąga. Siłę i twardość, którą czuje, chce ona rozpalić w wielki ogień, by go następnie pochłonąć w sobie, spełniając wieczysty akt płci, akt samicy – wody gaszącej ogień męski, pochłaniający i neutralizujący siłę płodną samca, zlaną w jej bierne łożysko. Szkoda, że nasz stosunek z panią Kończyną, który był tylko przedsmakiem, na tym się kończy. Gdy wrócę do Kowna, jej już zapewne nie będzie i czy ją kiedykolwiek ujrzę jeszcze – nie wiem.

7 marca, rok 1921, poniedziałek
Rano wyjechałem do Poniewieża na sesję wyjazdową sądu. Za towarzysza podróży miałem sędziego Šurnę, niedawno mianowanego członkiem Sądu Okręgowego, który również uczestniczyć będzie w tej sesji. Sędzia Šurna, Litwin, mężczyzna w wieku lat czterdziestu kilku, stary kawaler, prawnik z wykształcenia, mieszkał przed wojną w Petersburgu i służył w Ministerium Finansów. Po powrocie do Litwy w r. 1918 i przebyciu w r. 1919 inwazji bolszewickiej, podczas której przebywał u swojego brata, księdza Šurny w powiecie wiłkomierskim, wstąpił do sądownictwa litewskiego i był do ostatnich czasów sędzią pokoju w Wiłkomierzu. Jest to człowiek wykształcony, trochę, zdaje się, zrzęda i kłótliwy, pedant, jak zwykle starzy kawalerowie.
Trzecim w sesji ma brać udział sędzia Budrecki[391], który przyjechał do Poniewieża wprost ze wsi, gdzie bawił. Prezes Mačys, prosząc mię o wzięcie udziału w tej sesji, wyznaczył mię na przewodniczącego. Wszakże Budrecki, jako starszy ode mnie z tytułu wcześniejszej nominacji, miał pierwszeństwo przede mną, a ponieważ oświadczył, że z pierwszeństwa tego skorzysta, więc przewodniczyć będzie on. Nie bardzo mi się to podoba, bo Budrecki w ogóle jest jako sędzia i prawnik do niczego, ale cóż robić.
Żałuję, że wyjechałem z Kowna akurat w tym czasie. Są tam bowiem spodziewane pewne dalsze kroki w rozwoju zapoczątkowanej w Wilnie akcji porozumiewawczej społecznej i poza tym interesuje mię bardzo wyjaśnienie paryskich uchwał Ligi Narodów w sprawie wileńskiej. Uchwały paryskie przekreśliły plebiscyt, a natomiast wysunęły rozwiązanie sprawy wileńskiej metodą bezpośrednich układów polsko-litewskich w Brukseli pod przewodnictwem Hymansa z ramienia Ligi Narodów, to znaczy pod jej kontrolą w charakterze superarbitra. Jest to więc właściwie droga arbitrażu Ligi Narodów.
Opinia publiczna litewska nie jest jeszcze zorientowana co do znaczenia i wartości tych uchwał. Pierwszy odruch był – zaniepokojenie. Litwini w ogóle nie nazbyt ufają Lidze Narodów i zwłaszcza w niej czynnikom francuskim lub belgijskim, które posądzają o faworyzowanie specjalnie Polaków. Ale wszak sami Litwini nie zgadzali się na plebiscyt w Wilnie, chcąc go ograniczyć do terenów na wschód i południe od suwalskiej linii rozejmowej z października r. 1920, to znaczy od linii Orany-Bastuny-Mołodeczno, i wciąż protestowali wobec Ligi Narodów przeciwko usiłowaniom rozciągnięcia plebiscytu na Wilno i okolice. Uchwały więc paryskie, kasujące w ogóle plebiscyt, dawałyby satysfakcję niechęci litewskiej do plebiscytu w Wilnie. A jednak opinia litewska jest zaniepokojona i słychać utyskiwania na skasowanie plebiscytu.

391 Juozas Budreckas (1860 ? – 1929), sędzia Sądu Okręgowego w Kownie.

Litwini się boją, że Liga Narodów wywierać zechce presję na Litwę w kierunku zmuszenia jej do sfederowania się z Polską za cenę Wilna lub do militarnego co najmniej uzależnienia jej od Polski. Szczególnie niepokój chce zasiać prawica. Dziś już Voldemaras[392], *leader* opozycji („Pažanga"[393]) w polityce zagranicznej, zwalczającej politykę Puryckiego[394], uderzył na alarm w artykule drukowanym w „Laisvė"[395], wskazując, że polityka litewska jest na drodze pochyłej i że zachodzi niebezpieczeństwo, iż rozwiązanie sprawy wileńskiej zgubi niepodległość Litwy, czyniąc z niej cenę zjednoczenia.

Rzeczywiście problem wileński ma poniekąd cechy dylematu: zjednoczenie czy niepodległość, dość analogicznie do takiego dylematu, wobec którego stała Polska w pierwszym okresie wojny światowej.

Co do mnie osobiście, to gdyby rzeczywiście taki dylemat stanął na ostrzu noża, wolałbym, tak samo, jak wolałem ongi dla Polski, raczej niepodległości bez zjednoczenia. Niepodległość skonsolidowanej części, litewski Piemont Kowieński, niż zjednoczenie, to znaczy niepodzielność z Wilnem, ale bez niepodległości. Zresztą jeszcze nie wiadomo, czy rzeczywiście Liga Narodów stawia Litwę w obliczu takiego kategorycznego dylematu. Że skasowanie plebiscytu jest krokiem dla ułatwienia przyznania Wilna Litwie – zapewne na jakichś warunkach i z jakimiś zastrzeżeniami kantonalnymi czy autonomicznymi – to można uważać za najprawdopodobniejsze, bo już poprzednio były oznaki, że Liga Narodów, jak też czynniki Koalicji w tym kierunku się orientują i Wilna odrywać od Litwy i wcielać w postaci województwa wileńskiego do Polski nie życzą, uważając takie rozwiązanie za niedorzeczność polityczną, militarną i gospodarczą, ale zachodzi kwestia co do ceny, którą ma Litwa tę niepodzielność, a więc i swoją stolicę, okupić.

Najbardziej zaniepokojona jest opinia litewska zarządzeniami przejściowymi uchwał paryskich. Likwidują one wprawdzie aferę „buntu" Żeligowskiego i twór „Litwy Środkowej", ale zachowują na okres przejściowy wojsko okupacyjne polskie w spornym okręgu wileńskim, natomiast na Litwę nakładają obowiązek żywienia Wileńszczyzny (ludności cywilnej). Wojsko okupacyjne polskie redukują one do 15 0000, ale zarząd cywilny w Wileńszczyźnie zachowują faktycznie ten sam, co obecnie, wprawdzie pozbawiają go cech władzy politycznej; w składzie tego zarządu element litewski nie jest reprezentowany. Wojsko litewskie, z wyjątkiem dwóch dywizji, musiałoby się cofnąć znad linii demarkacyjnej. Cóż to więc znaczy, powiadają Litwini. Wojsko w Wileńszczyźnie pozostaje polskie, administracja cywilna faktycznie w ręku czynników polskich, a Litwini, bez godnego ekwiwalentu, praw współrzędności, mają tylko sam obowiązek karmienia! A jakaż gwarancja, że po uchwale ostatecznej, przyznającej Wilno Litwie, czynniki polskie i w pierwszym rzędzie wojsko polskie, zechce się zastosować do decyzji i opuścić teren wileński ? Opinia litewska szemrze.

8 marca, rok 1921, wtorek

392 Augustinas Voldemaras (1883 – 1942), polityk, historyk, premier Litwy 1918 i 1926 – 1928.

393 „Pažanga" (Lietuvių tautos pažangos partija; Litewska Narodowa Partia Postępowa), prawicowa partia powstała w 1916 r. w środowisku narodowców litewskich. W 1924 połączyła się z pokrewnymi organizacjami politycznymi w Związek Narodowców Litewskich (Lietuvių tautininkų sąjunga).

394 Juozas Puryckis (1883-1944), ksiądz, polityk, dyplomata litewski, 1920-1921 minister spraw zagranicznych.

395 „Laisvė" („Wolność") – dziennik, organ Litewskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (Lietuvių krikščionių demokratų partija) wychodzący od 1919 r. W styczniu 1922 zmienił nazwę na „Tėvynes sargas" („Stróż Ojczyzny"), a w maju 1922 na „Lietuvos laisvė" („Wolność Litwy"). W 1923 zastąpiony przez dziennik „Rytas" („Poranek").

Pierwsze posiedzenia na sesji sądowej w Poniewieżu. Sprawy apelacyjne cywilne, drobne. Do obiadu posiedzenie zakończone.
Z „wrażeń" poniewieskich nic do pisania nie mam, bo żadnych nie było. Mówiłem wczoraj, że żałuję, iż mi akurat teraz wypadło wyjechać z Kowna. Żałuję dla kilku racji. Pierwsza i nie najmniejsza – ta, że wyjazd przerwał mój stosunek z panią Maciejową Kończyną, który zaczął się rozwijać interesująco. Druga ta, że wyjechałem w chwili, kiedy się powinno było wyjaśnić znaczenie uchwał paryskich w sprawie wileńskiej[396]. O uchwałach tych do czasu mego wyjazdu było wiadomo tylko z depesz otrzymanych w Kownie. Opinia publiczna i rządowa litewska była dość zaniepokojona, ale nade wszystko zdezorientowana i nie wiedziała jeszcze, co o tych uchwałach trzymać. Przedstawicielami Litwy wobec Ligi Narodów na sesji paryskiej byli minister Gałwanowski[397] i wiceminister spraw zagranicznych Klimas[398], którzy zastąpili w tej roli poprzedniego przedstawiciela – Voldemarasa (Voldemaras, jak wiadomo, nie godząc się na kierunek Puryckiego w sprawie wileńskiej, sam żądał, by go odwołano, co też zostało zrobione). Klimas w doniesieniach o uchwałach paryskich domagał się od rządu, by się wstrzymać od jakichkolwiek decyzji w sprawie tych uchwał do czasu powrotu jego i Gałwanowskiego, doniesienie zaś jego było utrzymane w tonie bardzo optymistycznym. Powrót Klimasa do Kowna miał nastąpić pozawczoraj w niedzielę pod wieczór. Żałuję więc bardzo, że wskutek wyjazdu z Kowna nie mogłem się dowiedzieć o znaczeniu tych uchwał w sprawozdaniu Klimasa.
Wreszcie jest jeszcze jedna przyczyna, dla której żałuję mojej nieobecności w Kownie. Akcja społeczna porozumiewawcza wileńska, której akt pierwszy dokonał się w Wilnie i której relacji w dzienniku jeszcze nie wyczerpałem, nie została na tym pierwszym akcie zakończona. Rozwijać się ona będzie dalej, bo Litwini przekonali się, że jest ona dla sprawy użyteczna.
Już w czasie pobytu delegatów litewskich w Wilnie w otoczeniu księdza biskupa wileńskiego Matulewicza[399] powstała myśl rozszerzenia tej akcji porozumiewawczej na elementy chrześcijańsko-demokratyczne. Poufnie z ramienia biskupa zakrzątnął się w tej sprawie ks. Wiskont[400], który porozumiał się z delegatami ludowców litewskich i z grupą Witolda Abramowicza[401].
Akcja chrześcijańsko-demokratyczna polska w Wilnie, kierowana przez ks. Olszańskiego[402] i grono takich księży, jak Kulesza[403] i inni, jest prowadzona ściśle w kierunku aneksyjnym polskim, wyłączającym wszelką myśl zbliżenia z Litwinami na gruncie wspólnej państwowości. Ale w akcji katolickiej polskiej w Wilnie zarysowuje

396 Rada Ligi Narodów uchwałą z 3 III 1921 zrezygnowała z rozstrzygnięcia sporu polsko-litewskiego drogą plebiscytu, zaproponowała natomiast arbitraż bądź dwustronne pertraktacje polsko-litewskie.

397 Ernestas Galvanauskas (1882-1967), premier Litwy 1919-1920 i 1922-1924, minister finansów, handlu i przemysłu 1919-1922.

398 Petras Klimas (1891-1969), historyk, dyplomata, 1919-1923 wiceminister spraw zagranicznych Litwy.

399 Jurgis Matulevičius-Matulaitis (Jerzy Matulewicz) (1871-1927), błogosławiony, biskup wileński 1918-1925, odnowiciel Zgromadzenia Księży Marianów, 1925 tytularny arcybiskup Aduli, 1987 beatyfikowany.

400 Antanas Viskontas (1877-1940), ksiądz, dr filozofii i teologii, współzałożyciel Towarzystwa św. Kazimierza na Wileńszczyźnie (1925) i jego przewodniczący.

401 Witold Abramowicz (1874-1941 ?), adwokat, od 1901 członek PPS, jeden z najaktywniejszych przedstawicieli środowiska demokratów wileńskich, 1920-1921 pełnił obowiązki prezesa Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego, senator R P (1922-1930)

402 Ignacy Olszański (1883-1963), ksiądz, działacz chrześcijańskiej demokracji, poseł do Sejmu Wileńskiego (1922) i Sejmu RP (1922-1927).

403 Adam Kulesza (ok. 1881-1941), ksiądz, działacz chrześcijańskiej demokracji, 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego.

się postać jezuity ks. Sobasia[404], przybyłego z Poznania, który wznawia tradycje akcji katolicko-robotniczej jezuity ks. Muckermanna[405] z czasów okupacji niemieckiej. Akcja ks. Muckermanna, Niemca, który zyskał ogromną popularność w Wilnie i wsławił się wywiezieniem go przymusowym z Wilna przez bolszewików w r. 1919, kiedy to masy ludowe stanęły w jego obronie, polegała na przewadze czynnika katolickiego nad narodowym i przeto, jako nie oparta na nacjonalizmie, była w stosunkach narodowych wileńskich łagodzącą, pojednawczą. Akcja jezuitów w Wilnie z czasów Osmołowskiego, prowadzona przez jezuitów polskich, zdaje się z Galicji, zeszła z torów Muckermanna i została zabarwiona nacjonalizmem, wszakże ks. Sobaś przybyły z Poznania, który obecnie objął tę akcję, podobno ją reformuje, oczywiście bardzo subtelnie i oględnie, jak to umieją czynić jezuici, w kierunku wyeliminowania z niej nacjonalizmu i nadania jej wyrazu czysto katolickiego, pod względem narodowym możliwie biernego.

Biskup Matulewicz więc myśli o nawiązaniu pewnego kontaktu porozumiewawczego między chrześcijańską demokracją polską w Kownie[406] a akcją ks. Sobasia i jego grupą w ruchu katolickim w Wilnie. W porozumieniu Wiskonta z delegatami ludowców litewskich w Wilnie oraz z Tadeuszem Wróblewskim[407], Michałem Biržiška[408] i z drugiej strony – z Witoldem Abramowiczem, Zygmuntem Jundziłłem[409] i innymi, zaprojektowano przyjazd do Wilna dla nawiązania tego kontaktu, delegatów chrześcijańsko-demokratycznych litewskich z Kowna i już z góry ustalono osoby, mianowicie ks. Vailokaitisa[410] i dr Jokantasa[411].

Wtajemniczono w tę rzecz Mariana Kościałkowskiego[412] i przez niego wyrobiono dla Vailokaitisa i Jokantasa przepustki na przyjazd do Wilna. Przepustki te przywieźli do Kowna wracający z Wilna delegaci litewscy. Akcja porozumiewawcza elementów ludowych i demokratycznych, zakończona w pierwszym akcie w Wilnie, ma być

404 Jan Sobaś (1873-1944), ksiądz jezuita, profesor pedagogiki i języków klasycznych w szkołach średnich, kaznodzieja i opiekun stowarzyszeń katolickich, 1920-1922 wicerektor Kolegium św. Kazimierza w Wilnie.

405 Muckerman Friedrich (1883-1946), ksiądz jezuita, w czasie I wojny światowej jako kapelan wojsk niemieckich znalazł się w Litwie, 1919 organizator Ligi Robotniczej w Wilnie, 1934 wobec negatywnego stosunku do hitleryzmu emigrował z Niemiec, ostatnie lata życia spędził w Paryżu.

406 Na przełomie 1918 i 1919 r. powstało w Kownie kilka polskich organizacji politycznych, wśród nich Polski Związek Chrześcijańsko-Demokratyczny.

407 Tadeusz Stanisław Wróblewski (1858-1925), prawnik, działacz społeczny i oświatowy, ideolog krajowości, czołowa postać środowiska polskiej inteligencji demokratycznej w Wilnie na początku XX w., zasłynął jako obrońca w procesach działaczy politycznych, 1912 założył Towarzystwo „Biblioteka im. Eustachego i Emilii Wróblewskich", któremu przekazał swój bogaty księgozbiór.

408 Mykolas Biržiška (1882-1962), historyk literatury, działacz polityczny, 1917 wybrany do Litewskiej Rady Krajowej (Taryby), 1918-1919 minister oświaty RL, 1919-1920 przewodniczący Tymczasowego Komitetu Litewskiego w Wilnie. Po wydaleniu z Wilna (1922) objął katedrę historii literatury na Uniwersytecie w Kownie i był profesorem (1926-1927 rektorem) tej uczelni do 1939 r., 1939-1943 profesor i rektor Uniwersytetu w Wilnie.

409 Zygmunt Jundziłł (1880-1953), prawnik (od 1921 prowadził własną kancelarię adwokacką w Wilnie), jeden z czołowych przedstawicieli środowiska demokratów wileńskich, konsekwentny obrońca zasad krajowych, 1930-1935 senator R P.

410 Juozas Vailokaitis (1880-1953), ksiądz, działacz chrześcijańsko-demokratyczny, poseł do Sejmu Ustawodawczego (1920-1922) i I zwykłego Sejmu Litwy (1922-1923).

411 Kazimiera Jokantas (1880-1945), lekarz, działacz oświatowy, polityk związany z chrześcijańską demokracją, 1920-1927 poseł w kolejnych Sejmach Litwy, 1925-1926 i 1939-1940 minister oświaty.

412 Marian Zyndram Kościałkowski (1892-1946), działacz niepodległościowy, polityk; 1919-1920 organizował POW na ziemiach Litwy i Białorusi, 1920 uczestniczył w wyprawie wileńskiej L. Żeligowskiego, 1920-1922 pracował w sztabie wojsk Litwy Środkowej, 1934-1935 minister spraw wewnętrznych, 1935-1936 premier, 1936-1939 minister opieki społecznej.

kontynuowana w drugim akcie w drodze przyjazdu delegatów „Odrodzenia" i Stronnictwa Demokratycznego oraz grup żydowskich i białoruskich wileńskich do Kowna. Przyjazd tych delegatów wileńskich do Kowna projektowany jest za parę tygodni, po wyczekaniu poufnym przyjazdu chrześcijańskich demokratów litewskich do Wilna. Zdaje się jednak, że to się trochę zwlecze, bo przedstawiciele chrześcijańskich demokratów litewskich, dla których przepustki są wystawione do dnia 8 marca, nie mogli z powodu złego stanu dróg na skutek roztopów wiosennych wybrać się w tym terminie automobilem do Wilna. Ale wysiłki te z pewnością zaniedbane nie zostaną, o ile tylko rozwój wypadków, jaki im nadadzą uchwały paryskie Ligi Narodów, zmieniające głęboko dotychczasowe ustosunkowanie elementów w toku sprawy wileńskiej, nie pokrzyżują w inny sposób ciągłości rozpoczętej akcji porozumiewawczej.
Tymczasem w Kownie zaczęła się naradzać bardzo dobra myśl o uzupełnieniu akcji porozumiewawczej społecznej kowieńsko-wileńskiej przez próbę porozumienia społecznego litewsko-polskiego w samej Kowieńszczyźnie. Myśl tę ja miałem już dawno i poruszałem ją już w styczniu i lutym w rozmowach z Kazimierzem Janczewskim[413], prezesem Biura Polskiej Frakcji Poselskiej i posłem Grajewskim[414] i usiłowałem ją zapoczątkować realnie przez naszą Komisję do Spraw Litwy Wschodniej. Pomówię o tym jeszcze jutro.

9 marca, rok 1921, środa
Drugie posiedzenie sesji sądowej w Poniewieżu. Było parę spraw bardziej skomplikowanych, przeto posiedzenie zaciągnęło się za przerwę obiadową. Gdym wyjeżdżał na sesję do Poniewieża, prezes mi zapowiedział, że moja obecność jest potrzebna tylko na trzy posiedzenia, bo już na czwarte posiedzenie przyjedzie i zluzuje mię prezes. Miałem więc wyjechać jutro wieczorem i na jutro na noc zamówiłem telegraficznie konie z Kowaliszek na stację w Rakiszkach. Tymczasem dziś otrzymałem depeszę od prezesa, że przyjedzie dopiero w piątek, to znaczy – muszę jeszcze zostać na sesję piątkową.
Przechodzę do tematu, o którym pisałem wczoraj. Jeszcze w styczniu i lutym, w związku z przygotowywaną wówczas akcją społeczną porozumiewawczą w Wilnie, rozumiałem potrzebę uporządkowania stosunków litewsko-polskich tu na miejscu, to znaczy po tej, litewskiej, stronie linii demarkacyjnej. Rozumiałem, że wszelkie jątrzenie tych stosunków tu będzie utrudniało porozumienie litewsko-polskie w Wilnie i że wszelki błąd, wszelki akt represji w stosunku do Polaków spełniony w Kownie będzie wyzyskiwany w Wilnie przeciwko Litwinom i w szczególności przeciwko polityce porozumienia, pogarszając warunki oddziaływania tych nawet elementów polskich w Wilnie, które są porozumieniu przychylne.
Zaognianie stosunków litewsko-polskich w Kowieńszczyźnie stało się po prostu chroniczne. Niewątpliwie, że u Polaków kowieńskich wytworzyło się pod tym względem specjalne przeczulenie, takie samo, jakie można zaobserwować u Litwinów wileńskich. Z powodu tego przeczulenia są oni skłonni przesadzać prześladowania litewskie i z niesłychaną wrażliwością komentują i uogólniają każdy poszczególny epizod nietaktu lub wybryku antypolskiego jakiegokolwiek urzędniczyny lub oficerka i węszą prześladowania nawet tam, gdzie chodzi o zjawiska zupełnie innej natury, np.

413 Kazimierz Janczewski (1879-1959), ziemianin, w okresie międzywojennym jeden z czołowych działaczy polskich w R L (członek jej naczelnych organizacji – Biura Informacyjnego, a od 1928 Komitetu Polskiego).
414 Adolf Grajewski (1877-1967), ziemianin, polski działacz polityczny w R L, poseł do Sejmu Ustawodawczego Litwy; w latach trzydziestych prowadził kancelarię adwokacką.

społeczne lub policyjne, które w istocie mają chyba tylko pośrednio zabarwienie narodowe. Ale skądinąd nie można zaprzeczyć, że niechęć do Polaków i do polskości, podniecana przez zatargi polityczne i wojenne lat ostatnich, poniekąd też płynąca samorzutnie z wpływów kultury rosyjskiej, głęboko w masach inteligencji litewskiej zagnieżdżonych, wreszcie przez niedawne intrygi polityczne niemieckie podniecona, jest tak szeroko w społeczeństwie litewskim rozlana, że w całym działaniu aparatu państwowego i wojennego litewskiego kierunek antypolski coraz to się przejawia w aktach przykrych, drażniących, nieraz zupełnie niepotrzebnych, nie usprawiedliwionych żadnymi względami polityki lub ostrożności.

Prawda, że i Polacy miejscowi płacą Litwie przeważnie takąż niechęcią, prawda, że w chwilach, kiedy Litwa była zagrożona ze strony Polski, Polacy miejscowi przeważnie czekali chciwie z radością w sercu na jej upadek, a nieraz gotowi byli czynnie w stosownej chwili uderzyć w nią z zasadzki, prawda, że Litwa musiała się strzec knowań wewnętrznych polskich i miała dużo powodów do nieufności względem współobywateli Polaków. Ale jeżeli były winy z jednej [strony], to nie mniej były też winy niepotrzebnych zgoła represji i szykan – i z drugiej. Chodziło o to, żeby ten stosunek złagodzić z obydwóch stron, wytworzyć prąd do zrozumienia się i zbliżenia, przynajmniej z elementami skłonnymi do ugody, i wytworzyć przez to lepszą atmosferę dla akcji porozumiewawczej wileńskiej, a może nawet pozyskać dla tej akcji czynnych sojuszników litewskich ze strony Polaków kowieńskich, którzy także pragną utrzymania niepodzielności Litwy, choćby tylko z motywów zachowania w państwie litewskim większej siły liczebnej i większej spoistości polskiej przez związek z Wilnem.

Potrzebę nawiązania kontaktu z politycznymi czynnikami Polaków kowieńskich podnosiłem nieraz w Komisji do spraw Litwy Wschodniej i porozumiewałem się w tej mierze z Janczewskim i Grajewskim. Janczewski mi wtedy doręczył na piśmie postulaty Polaków kowieńskich, streszczone w szeregu punktów dotyczących usunięcia rozmaitych zjawisk i zarządzeń ujemnych w wewnętrznej polityce litewskiej względem Polaków. Postulaty te przedstawiłem Wacławowi i Michałowi Biržiškom w naszej Komisji, ale były one tak ogólnikowo zredagowane, że miały raczej cechę pobożnych życzeń, niż wniosków praktycznych.

Wtedy przeforsowałem w Komisji urządzenie specjalnej pogadanki przedstawicieli naszej Komisji z przedstawicielami krajowej politycznej organizacji polskiej. Pogadanka taka w dniu 2 lutego odbyła się; uczestniczyli w niej Michał i Wacław Biržiškowie[415], ja, poseł Grajewski i członek zarządu Biura Polskiej Frakcji Poselskiej Konstanty Plater[416]. W pogadance tej wyjaśniliśmy sobie cały szereg tego, co jest w polityce litewskiej względem Polaków metodą, a co nieporozumieniem lub nadużyciem oraz co należałoby usunąć i naprawić. Ale ta jedna pogadanka nie zdołała nawet wyczerpać tematu, a cóż dopiero ustalić ścisłe zastosowanie środków zaradczych. Trzeba by rzecz tę prowadzić dalej, a nie poprzestać na tej jednej lub nawet paru pogadankach. Tymczasem niebawem Michał Biržiška wrócił do Wilna, Grajewski pojechał do Szyłel dla prowadzenia swoich spraw w charakterze adwokata na wyjazdowej sesji sądowej, potem i ja wyjechałem do Wilna i rzecz się rozprzęgła w pół drogi. A w tym międzyczasie zaszły nowe wypadki drażniące Polaków, jak wysłanie z

415 Vaclovas Biržiška (1884-1956), bibliograf, historyk kultury, 1919 ludowy komisarz oświaty w rządzie Litwy radzieckiej, od 1922 wykładowca na Uniwersytecie w Kownie i dyrektor (1923-1944) Biblioteki Uniwersyteckiej, od 1924 dyrektor Instytutu Bibliograficznego, 1940-1941 profesor Uniwersytetu Wileńskiego i dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej.

416 Konstanty Plater (Zyberk-Plater) (1886-1956), ziemianin, jeden z czołowych działaczy polskich w RL, 1920-1927 członek Biura Informacyjnego (naczelnej polskiej organizacji w Litwie), następnie Komitetu Polskiego.

Kowna księży Pacewicza[417] i Sadowskiego itp. Otóż teraz Babiański po przyjeździe do Kowna podjął myśl konferencji społecznej stronnictw litewskich z przedstawicielami politycznej organizacji polskiej jako uzupełnienie do akcji porozumiewawczej wileńskiej. Okazało się, że tą samą myśl niezależnie od Babiańskiego podnosi w stronnictwie ludowców litewskich Raczkowski. Uważam taką akcję za bardzo użyteczną i bardzo na czasie. Jest ona właściwie dalszym rozwinięciem moich usiłowań styczniowych i lutowych, jeno stawia je na grunt mocniejszy i szerszy, o wiele właściwszy – grunt układu społecznego. Byłby to wybitny element w zapoczątkowanej akcji porozumiewawczej. Do konferencji tej ma przyjść w czasie mojej nieobecności. Żałuję, że mię nie będzie, ale oby tylko rzecz ta doszła do skutku.

10 marca, rok 1921, czwartek
Czas schodzi mi w Poniewieżu monotonnie i nudnie. Dzień składa się z dwóch epizodów: posiedzenia sądowego i obiadu. Posiedzenie trwa zwykle od rana do obiadu. O godz. 3 idziemy z posiedzenia na obiad do klubu „Vienybė"[418]. Obiady są smaczne, ale tak obfite, że później z przeładowanym żołądkiem robię się ociężały i całą resztę dnia wegetuję bez żadnej energii i pragnienia. Moi koledzy sędziowie, Budrecki i Šurna, mają tu znajomych, wizytują przedstawicieli miejscowej magistratury sądowej, słowem spędzają wieczór ruchliwie i bawią się na swój sposób. Ja zaś nie lubię przygodnych znajomości, wizyt między urzędnikami, stosunków i stosuneczków, które tchną chińszczyzną klanową i światem biurokracji urzędniczej. Toteż dzień mam po posiedzeniu sądowym pusty, a za to brzuch zbyt pełny, który mi dokucza.
Gdybym sam na posiedzeniach przewodniczył, sprawiałyby mi one przyjemność. Wszakże przewodniczenie głupiego Budreckiego czyni je nieznośnymi. Ja spokojniej traktuję głupotę i wybryki nietaktu Budreckiego, ale sędzia Šurna irytuje się, po prostu choruje na „Budreckowstręt". Rad jestem, że już się jutro mój debiut poniewieski kończy.
Wracam do niedokończonej relacji o akcji porozumiewawczej wileńskiej. Wspomniałem, że na posiedzeniu w sobotę 26 lutego w „Odrodzeniu" obie strony – zarząd „Odrodzenia" i delegaci ludowców litewskich – złożyli sobie wzajemnie na piśmie zarysy swoich programów rozwiązania sprawy wileńskiej w ramach niepodzielności Litwy. Zestawiając te dwa dokumenty, których zasadnicze postulaty streściłem, widzimy, że w kwestii terytorium różnic zasadniczych nie ma. To, co program „Odrodzenia" konkretyzuje, wymieniając przybliżone granice wschodnie Litwy, da się pomieścić w tych kryteriach, które w kwestii terytorium wyraża program litewski, mianowicie ciążenia do Wilna i ciążenia do Niemna.
Choć Litwini zasadniczo nie bardzo się zapalają do rozszerzenia wschodnich granic litewskich na terytorium etnograficzne białoruskie i woleliby poprzestać na granicach lipcowego traktatu litewsko-bolszewickiego, bo się obawiają zbytniego rozwodnienia Litwy elementem obcym, a prawosławnych Białorusinów, zaludniających tzw. „korytarz" dziśnieńsko-wilejski oraz powiaty nowogródzki i słonimski, uważają za element zupełnie sobie obcy, który zawsze pozostanie odrębnym i może w przyszłości jeno nabawić państwu kłopotu, a co gorsza, stworzy w państwie mocną podstawę narodową białoruską, która utrudni asymilację litewską Białorusinów katolików w sąsiednich powiatach zachodnich, jednak w obecnych warunkach Litwini zbyt mocno

417 Ksiądz Pacewicz prawdopodobnie tożsamy z ks. Franciszkiem Pacewiczem, współzałożycielem Polskiego Robotniczego Stowarzyszenia Sług pod wezwaniem Opieki Matki Boskiej (Kowno, 1908), działaczem powstałego w 1909 r. Towarzystwa Szerzenia Oświaty wśród Polaków w Kownie.

418 „Vienybė" – „Jedność".

się przeciwstawiać takiemu rozszerzeniu granic na fragmenty prawosławno-białoruskiego terytorium nie będą.
Rozumieją oni, że powiaty prawosławne-białoruskie mogą być w tej chwili Litwie właśnie ze względu na swą wybitną odrębność nawet użyteczne, jako środek do zneutralizowania zbyt silnej przewagi polskiej w Wileńszczyźnie katolickiej, a potem, z czasem, gdy niebezpieczeństwo aspiracji państwowych polskich zmaleje w obliczu nowej chmury ze wschodu w postaci odrodzonej imperialistycznej Rosji i gdy Rosja się o dziedzictwo białoruskie upomni lub gdy Białoruś, jako państwo narodowe, powstawać zacznie, Litwa się o te wschodnie skrawki prawosławno-białoruskie zbyt kłócić nie będzie i ustąpi je bądź Rosji, bądź Białej Rusi. Przynajmniej na wypadek konfliktów na wschodzie Litwa będzie miała coś do ustąpienia, co jej szkody nie wyrządzi i co będzie mogło się stać przedmiotem ewentualnego przetargu dla ocalenia reszty terytorium uważanego przez Litwinów za ich dziedzictwo dawne.
Tak rozumuje sobie praktyczny Litwin i z filozoficznym spokojem akceptuje narzucanie mu tego, czego bynajmniej nie pragnie i czego za swoje nie uważa. Gotów to przyjąć, jeżeli potrzeba, uważając sobie po cichu, że przyjmuje to tylko w depozyt.
Nie wiem, czy Polacy litewscy postępują ze stanowiska swych interesów narodowych mądrze, narzucając Litwinom to rozszerzenie granic na wschód przy utrzymaniu niepodzielności Litwy. Chcą oni zwiększeniem terytorialnym i liczebnym elementu nielitewskiego zneutralizować przewagę narodową litewską w państwie i utrudnić panowanie Litwinów, czyniąc z Wileńszczyzny, którą by chcieli sformować w osobny kanton, siłę liczebnie i terytorialnie dość mocną dla utrzymania odrębności kantonalnej i równoważenia litewskiej połowy państwa.
Mnie się zdaje, że popełniają błąd polityczny. Mieliby rację, gdyby to rozszerzenie na wschód zwiększało liczebność polską; tymczasem w istocie rozszerzenie to wprowadzi do dzielnicy wileńskiej większą ilość elementu choć nie litewskiego, ale i nie polskiego, osłabiając jednolitość polską tej dzielnicy i rozwadniając element polski. Zamiast więc neutralizować Białorusinami Litwinów, będzie to w dzielnicy wileńskiej neutralizowało Polaków, szczególnie przy ustroju kantonalnym, tworzącym z całej polsko-białoruskiej Wileńszczyzny jeden kanton. Litwinom da to tylko możność oparcia się na elemencie białoruskim do paraliżowania polskiego. Byłoby wręcz przeciwnie, gdyby dzielnica wileńska była skonstruowana w granicach traktatu lipcowego. W tych granicach, obejmujących terytorium katolickie, uważanych przez Litwinów za ich właściwe terytorium państwowe, Litwini separatyzmu białoruskiego by się nie lękali i nie tolerowaliby, a wtedy Polacy mogliby znaleźć u Litwinów poparcie i wpływy większe w państwie. Nigdy by wtedy Litwini nie odważyli się użyć Białorusinów przeciwko elementowi polskiemu. W rozszerzonych sztucznie granicach, na terytorium prawosławno-białoruskim, którego Litwini utrzymać nie myślą i o które nie dbają, będą oni przejściowo wykorzystywali ruch czynników białoruskich dla osłabienia w katolickich częściach Wileńszczyzny elementu polskiego.

11 marca, rok 192, piątek
Siedziałem na posiedzeniu sądowym do obiadu, po obiedzie zaś pożegnałem Poniewież, udałem się na kolej i odjechałem na Rakiszki. Do Rakiszek przyjechałem koło północy. Zastałem tam konie kowaliskie i Hektora Komorowskiego[419], który kończył akta przekazywania komisji rządowej szpał[420] na kolei. Zaczekałem, aż Hektor ukończy swoją robotę i pojechałem z nim na noc do Kowaliszek.

419 Hektor Komorowski (1892- ?), syn Zygmunta i Elizy z Römerów Komorowskich, siostrzeniec Michała Piusa Römera.
420 To znaczy podkładów (z rosyjskiego: шпала – podkład).

Korzystam z miejsca, by kontynuować relację o społecznej akcji porozumiewawczej w Wilnie. Jestem w stadium zestawiania propozycji „Odrodzenia" z propozycjami delegatów litewskich. Powiadam, że co do terytorium nie ma różnic zasadniczych i nieprzezwyciężalnych w propozycjach obydwóch stron. Litwini nie zgadzają się tylko na postulat Grodna, które w propozycjach „Odrodzenia" miałoby być ustąpione Polsce. Co zaś do proponowanego przez „Odrodzenie" rozszerzenia granic Litwy na wschód do granic rosyjskich rozejmu ryskiego, to znaczy aż po Lepel i Mińsk i za Niemen po Szczarę, to Litwini nie oponują zasadniczo, podnosząc jeno wzgląd formalny, że ponieważ granice te uważają za niewątpliwe terytorium białoruskie, więc Litwa, która nie dąży do zaborów, będzie musiała się w tej kwestii liczyć z życzeniami ludności białoruskiej, a przeto sprawa ta wyłącznym układem polsko-litewskim rozstrzygana ostatecznie być nie może. Litwini wskazują na to, że Białoruś już raz rozcięta została rozejmem ryskim wzdłuż z północy na południe między Rosję a Polskę, obecnie zaś rozcinanie zachodniej Białej Rusi linią Szczary w poprzek między Polskę a Litwę byłoby dalszym aktem podziału żywego narodu, co bez wysłuchania Białorusinów, jako strony zainteresowanej, nie powinno mieć miejsca. W gruncie jednak ze swej strony Litwini żadnych obiekcji przeciwko takiemu określeniu granic nie podnoszą.
Druga kwestia – to kwestia ustroju wewnętrznego Litwy. Różnica między dwiema propozycjami jest tu już znaczniejsza. Projekt „Odrodzenia" zastrzega wyraźnie dwa kantony, wileński i kowieński, z osobnymi Sejmami i bez wspólnego Sejmu państwowego. Organem ogólnopaństwowym byłby zamiast wspólnego Sejmu „parlament", jak go nazywa Babiański, złożony z członków delegowanych w równej liczbie przez każdy z dwóch Sejmów kantonalnych, albo delegacje, jak to nazywa projekt „Odrodzenia". Kantony wileński i kowieński obejmowałyby w zasadzie terytoria rozgraniczone zeszłoroczną, sprzed inwazji bolszewickiej, linią demarkacyjną polsko-litewską, po dokonaniu ewentualnych poprawek granicznych na rzecz tej lub drugiej strony na zasadach kompensacji. Tak wygląda projekt polski „Odrodzenia".
Delegaci litewscy Stronnictwa Socjalistów-Ludowców-Demokratów i Związku Włościańskiego w projekcie swoim, zaprojektowanym dla nich przez Zygmunta Žemaitisa[421] i opartym na propozycjach warszawskich urzędowej delegacji litewskiej w grudniu 1920[422], wychodzą z założeń samorządowych. Zamiast budować z góry dwa kantony o ustalonych *a priori* terytoriach kantonalnych, projekt litewski przyjmuje za podstawę samorządy powiatowe, otwierając w drodze konstytucyjnej możność i prawo samorządnym powiatom łączenia się w większe – okręgowe i dzielnicowe – skupienia samorządne, względnie autonomiczne. Żadne terytoria nie byłyby z góry przesądzone i skrystalizowane w sposób niewzruszony, a tworzyłyby się ze swobodnych skupień powiatowych z korektywami wyłączenia się lub wcielenia dla kresowych samorządów gminnych w powiatach. Terytoria wyodrębniających się przez skupienia dzielnic samorządnych czy autonomicznych byłyby przeto określane swobodnie z dołu przez samą ludność zorganizowaną w samorządach.
Jeżeli chodzi o zakres praw i stosunków, które miałyby należeć do właściwości tych bądź kantonów w programie „Odrodzenia", bądź dzielnic autonomicznych w programie delegatów litewskich, to – jak ustaliła dalsza dyskusja, w której jedna i druga strona rozwijała i konkretyzowała swoje tezy – różnic zasadniczych nie ma. Okazuje się, że „Odrodzenie" rezerwuje dla kantonów ten sam zakres właściwości, który delegaci

421 Zigmas Žemaitis (1884-1969), matematyk, działacz społeczny i polityczny, 1918-1919 organizator szkolnictwa wyższego na Litwie, profesor uniwersytetów w Kownie i Wilnie; działacz na polu stosunków polsko-litewskich.

422 W Warszawie od 13 do 29 grudnia 1920 r. prowadzone były pertraktacje polsko-litewskie w sprawie plebiscytu na spornym terytorium. Stronę litewską reprezentowała delegacja z Jonasem Staugaitisem na czele.

litewscy gotowi są przekazać Sejmom dzielnic autonomicznych, i przekazuje delegacjom ten sam zakres spraw ogólnopaństwowych, który delegaci litewscy rezerwują dla Sejmu centralnego państwowego.
W szczególności do spraw i stosunków wyłączonych z właściwości czy to kantonów, czy sejmów dzielnicowych i zastrzeżonych na rzecz czy to delegacji, czy Sejmu Centralnego, jedna i druga strona odnosi następujące: wojna i pokój, siły zbrojne („Odrodzenie" wnosi tu zastrzeżenie o tworzeniu osobnych pułków w jednym i drugim kantonie, aby obywatele każdego kantonu odbywali powinność wojskową w obrębie swego kantonu, i o konsystowaniu pułków w czasie pokoju w granicach odpowiednich kantonów, co nie ubliża swobodnej rozporządzalności wojsk w czasie wojny), dyplomacja, stosunki zagraniczne, finanse ogólnopaństwowe, moneta, handel i przemysł, poczta i komunikacja, kodeks karny i cywilny, ustawodawstwo robotnicze, zasady reformy agrarnej (polityka społeczna i agrarna). Litwini dodają do tego jeszcze wyższą uczelnię, a z pewnością należałoby dodać i Sąd Najwyższy.
Oczywiście dokładne rozgraniczenie właściwości wymagałoby szczegółowego i starannego opracowania, bo cały szereg rzeczy odniesionych do właściwości ogólnopaństwowej musi w pewnej mierze należeć i do właściwości kantonalnej czy dzielnicowej, jak np. finanse, komunikacja lokalna. Ale podkreślam, że w ogólnych zarysach rozdział właściwości jest przez obie strony jednakowo rozumiany i że w tej sprawie żadnych istotnych różnic nie ma.

12 marca, rok 1921, sobota
Po wczesnym obiedzie w Kowaliszkach wyjechałem na Rakiszki do Bohdaniszek. W Rakiszkach miałem szereg interesów u sędziego pokoju, inspektora podatkowego, u Petrulisa[423]. W toku załatwiania tych interesów nadjechała Elwira Mieczkowska[424] jadąca z Bohdaniszek po mnie. Wsiadłem do jej linijki[425], odprawiłem konie kowaliskie i niebawem powlekliśmy się noga za nogą do Bohdaniszek. Droga już bardzo zepsuta roztopami wiosennymi, ale jeszcze w głębi zamróz trzyma trochę, a w lesie budelskim jeszcze twardy lód na drodze.
Do Bohdaniszek dojechaliśmy już późnym wieczorem. Elwira i Marynia[426] krzątają się w Bohdaniszkach i pracują bardzo dzielnie. Warunki mają bardzo trudne, bo zastały gospodarkę w ruinie. Jakszuk tak wygospodarował przez jesień, że nie pozostało ani ziarnka zboża, a poszoru[427] dla inwentarza także zabrakło. Jeżeli do tego dodamy pustkę w kasie, nie wypłaconą pensję i nie wydaną ordynarię parobkom, zaległości rekwizycyjne, różne ciążące na majątku opłaty, nędzne, stare szkielety końskie jako siła robocza, pięć krów, z których dwie zroniły, to będziemy mieli obraz nędzy, z którą się siostry musiały w Bohdaniszkach uporać. A do wszystkich tych utrapień dodatek najgorszy w postaci Jakszuka, z którym siostry musiały wojnę prowadzić.

---

423 Petrulis występuje w dalszych zapiskach „Dziennika" z imieniem Józef. Jest być może tożsamy z Juozasem Petrulisem (1877-1958), który studiował w Europie Zachodniej, w Paryżu w 1904 r. zainicjował powstanie Towarzystwa „Lithuania", tam też zapoznał się z M. Römerem i wywarł wpływ na ukształtowanie się jego postawy prolitewskiej. W okresie międzywojennym Juozas Petrulis trudnił się na Litwie pracą nauczycielską.

424 Elwira Maria Mieczkowska z domu Römer (1874 – ok. 1955), córka Michała i Konstancji z Tukałłów Römerów, siostra Michała Piusa Römera; w 1909 poślubiła Stefana Mieczkowskiego.

425 Linijka – rodzaj lekkiego powozu.

426 Maria Römer (1878-1938), córka Michała i Konstancji z Tukałłów Römerów, siostra Michała Piusa Römera, poślubiła Witolda Römera, ale małżeństwo wkrótce się rozpadło (ok. 1901 r.).

427 Poszor (gwarowe) – pasza, strawa bydlęca.

Nadspodziewanie dzielną okazała się Elwira. Gdy się ją widziało w ostatnich latach, a zwłaszcza przed jej wyjazdem do Bohdaniszek, w Wilnie, znękaną, brudną, opuszczoną, zajętą wyłącznie dziećmi, kłócącą się bezładnie ze Stefanem[428], czyniła wrażenie przedwcześnie podstarzałej tak fizycznie, jak umysłowo, niedołężnej i bezradnej.
Tymczasem tu odzyskała energię, odżyła pomimo ciężkich warunków, zahartowała się moralnie i poprawiła się fizycznie. Jakszuka wygryzła, stopniowo odebrała od niego cały zarząd, zapanowała nad wszystkim, zaczęła po trochę wprowadzać ład, zużytkowała resztę gotówki bohdaniskiej pozostawionej przeze mnie w Kowaliszkach na zakup zboża na chleb i na ordynarię, zabrała się wreszcie do wyprzedaży lasu stosownie do pozwolenia władz leśnych, prowadząc tę wyprzedaż osobiście z pomocą Jana Kligysa, który został doradcą i prawą ręką Elwiry w Bohdaniszkach. Elwira w Bohdaniszkach po prostu przeistoczyła się widocznie. Odrodziła się w niej dawna Elwira z jej czasów panieńskich, pełna woli, hartowna, twarda, przy tym oszczędna bardzo i skrupulatna. Do Elwiry należy w Bohdaniszkach głównie las i ogólny kierunek interesów i zarządu. Mniej dobry jest stan moralny biednej Maryńki. Jest ona wciąż chwiejna, czuje się wykolejona, stęskniona do dzieci, do świata, do ludzi, do swoich marzeń małżeńskich, pełna rozterki i buntu przeciwko uchodzącej młodości i losowi, który przedłuża jej samotność i który ją rzucił w odludne zacisze bohdaniskie na ciężką i smutną, bo samotną pracę. Maryńka ma się zająć i działem gospodarstwa rolnego i domowego, ale nieraz musi walczyć ze sobą i tłumić boleśnie odruchy wielkiego pragnienia życia, ludzi i przestworza. Smutny i ciężki jest stan biednej Maryńki. Jest ona kobietą pełną sił żywotnych, pragnącą życia, miłości męskiej, szczęścia dla siebie. Chciałaby jeszcze życie swe połączyć z życiem mężczyzny, poddać się ramieniu męskiemu i być kobietą. Pozbawiona od wczesnej młodości męża (rozstała się z Witoldem mając lat 23), znosiła dzielnie swą samotność przez długie lata. Mówiła zawsze, że jest szczęśliwa, iż nie ma męża, jest sama sobą, od nikogo nie zależną; kpiła z mężatek, które są cieniem swoich mężów lub muszą dźwigać uczepiony do nich ogon w postaci męża. Miała dwoje dzieci, którym się oddała i które jej wystarczały do zapełnienia życia. Pierwszy lat dziesiątek po katastrofie małżeńskiej spędziła w Bohdaniszkach w domu rodzicielskim przy Mamie, zajęta dziećmi. Miała ludzi, którzy się w niej kochali, jak Eugeniusz Falejew, potem Sližys, ale sama pozostała zimna, nie pragnąc recydywy małżeńskiej. Potem zamieszkała dla wychowania dzieci w Wilnie. Tu rozwinął się w niej instynkt towarzyski i energia czynu. Była gospodarna, oddawała się filantropii i pomocy społecznej, potem za okupacji niemieckiej pracowała dzierżawiąc ogrody, zdobywała środki na utrzymanie swoje i dzieci, dokonywała cudów pracowitości i zaradności.
Potem dzieci dorosły, poszły własnymi drogami; katastrofy rewolucyjno-wojenne zniszczyły cały plon jej pracy. Zatęskniła wtedy do życia i szczęścia małżeńskiego, do słodyczy uczuć w parze, zapragnęła drugiej młodości. Ten instynkt nurtuje ją teraz głęboko, akurat teraz, kiedy los zrządził, że po śmierci Papy trzeba było się brać do Bohdaniszek. Biedna Maryńka! Szkoda mi jej serdecznie.
Z dzieci Elwiry są w Bohdaniszkach tylko Andrzej i mały Michaś. Córeczka Helcia uczy się wraz z dziećmi Komorowskich w Kowaliszkach. Kazimierz jest w Bohdaniszkach, ale żadnej większej roli nie odgrywa i tylko usługuje w domu. Boję się, że nie pozostanie w Bohdaniszkach na stałe. Natomiast totumfackim u sióstr moich w Bohdaniszkach stał się Jan Kligys.

---
428 Stefan Mieczkowski (ok. 1882-?), agronom, 1909 poślubił Elwirę Marię Römerównę.

13 marca, rok 1921, niedziela
Korzystając z mojej obecności w Bohdaniszkach i z tego, że wreszcie mamy plenipotencję od Kotuni Pruszanowskiej[429] i Henrysia Wołłowicza[430], postanowiłem zwołać do Bohdaniszek pierwsze ogólne zebranie spadkobierców śp. Papy i ich uwierzytelnionych pełnomocników dla omówienia spraw zarówno zarządu Bohdaniszek, jak zasad działu. Zwołałem to zebranie na dzisiaj.
Zebranie odbyło się, chociaż nieobecnym był plenipotent Kotuni Pruszanowskiej – Józef Petrulis. Petrulis, gdym się z nim widział wczoraj w Rakiszkach, zgodził się na przyjęcie roli plenipotenta Kotuni i przyrzekł dziś przyjechać. Wszakże dziś, gdy Hektor Komorowski jadąc do Bohdaniszek zajechał po niego, nie pojechał i przysłał do mnie przez Hektora list, wymawiając się brakiem czasu i zastrzegając się, że z góry przyjmuje i podpisze wszystko, co my na zebraniu familijnym uchwalimy bez niego. Wobec tego zebranie mogło dojść do skutku. Wzięli w nim udział: ja, Elwira Mieczkowska, Marynia Römerowa, Hektor Komorowski jako plenipotent Elizki Komorowskiej i Jan Kligys jako plenipotent Henryka Wołłowicza.
Do omówienia były trzy główne kwestie: kwestia pieniędzy na opłacenie podatku spadkowego i kosztu działu, kwestia zarządu tymczasowego Bohdaniszek i kwestia działu. Opłacenie podatku spadkowego i koszty działu – to jest Rubikon najcięższy, bez którego przekroczenia nie może być działu. Trzeba na to ogromnej, jak na nasze puste kieszenie, sumy, która wynosić może przeszło 50 000 marek. Zanim tego nie opłacimy, nie możemy się formalnie podzielić, a bez podziału Bohdaniszek jesteśmy narażeni na to, że po uchwaleniu reformy agrarnej skonfiskują nam albo „wywłaszczą" lwią część majątku. Trzeba się śpieszyć, a tymczasem pieniędzy nie ma i nie wiadomo, co wymyślić, skąd je wziąć. Sam podatek spadkowy wynieść może do 20 albo i więcej tysięcy marek. Dokładnej sumy tego podatku jeszcze nie wiemy, bo nie wiemy, w jakiej sumie oszacował całość majątku inspektor podatkowy.
Suma ta będzie zależeć od tego, czy las jako w zasadzie wywłaszczony, lecz pozostający formalnie w zarządzie moim, będzie policzony w szacunku, czy nie. W szczególności co do lasu, to pozostaje jeszcze otwartą kwestia, czy już jest on stracony jako wywłaszczony ustawą zeszłoroczną[431], czy też może być jeszcze uratowany dla nas, jeżeli zdążymy się nim podzielić do czasu formalnego odebrania go od nas w zarząd państwowy, co podobno, jak słychać w Kownie, ma być w krótkim czasie powszechnie zarządzone.
Właściwie podatek spadkowy, jak również koszta działu ponosi każdy ze spadkobierców za siebie. Mniej więcej wypadłoby tu na każdego z nas sześciu po 8-9 tysięcy. Ale właściwie musimy znaleźć pieniądze na zapłacenie za wszystkich, bo po pierwsze nie ma ani mowy o tym, aby Kotunia czy Henryś przysłali na to pieniądze, których zresztą nie mają (chcą oni tylko co prędzej otrzymać pieniądze ze zrealizowania spadku, a o wykładaniu pieniędzy z góry ani myślą), a po wtóre wszyscy współspadkobiercy są tak związani współzależnością przed działem, że bez zapłacenia za wszystkich żaden z nas z osobna nie może zrealizować swoich praw i swojej schedy. Skądże więc wziąć tę sumę, choćby tylko na podatek spadkowy tymczasem.

429 Konstancja Pruszanowska z domu Römer (1870-1940), córka Michała i Konstancji z Tukałłów Römerów, siostra Michała Piusa Römera; 1892 poślubiła ziemianina Ezechiela Pruszanowskiego.

430 Henryk Wołłowicz, syn Józefa i Heleny z Römerów (1873-1894) Wołłowiczów, siostrzeniec Michala Piusa Römera.

431 Sejm Ustawodawczy Litwy uchwalił 14 sierpnia 1920 r. wywłaszczenie prywatnych lasów (ponad 25 hektarów), bagien, torfowisk, niewysychających wód otwartych, bogactw „wnętrza ziemi" i źródeł mineralnych (ustawa ogłoszona w „Vyriausybės žinios", nr 45 z 1920 r.).

Z nas jeden Hektor ma gotówkę – i to grubą – dzięki swoim operacjom leśnym, ale Hektor nie kwapi się bynajmniej z ofiarowaniem nam na ten cel pożyczki. Kiedyśmy się nad tą kwestią biedzili, Hektor zaproponował, byśmy spróbowali zrobić tak, jak było w dziale w rodzinie Montwiłłów, że mianowicie całą ruchomość spadkową (głównie domową, meble) puszczono na licytację między spadkobiercami, wpłacając pieniądze do wspólnej kasy. Sposób to jest u nas niewykonalny, bo nie mając pieniędzy nie możemy licytować i kupować z licytacji, a w takim razie wszystko bez konkurencji skupiłby sam Hektor. Hektor rzeczywiście ma ochotę do mebli. Skoro więc licytacja okazała się niemożliwa, Hektor zaproponował, że on po prostu wykupi część mebli spadkowych. Skończyło się na tym, że postanowiliśmy, by Marynia z Elwirą do świąt Wielkanocy sporządziły spis całkowity ruchomości, w czasie zaś świąt całą ruchomość, prócz inwentarza gospodarskiego, podzielimy w drodze losowania.
Wtedy Hektor będzie mógł kupić co zechce z części Kotuni i Henrysia, którzy w ogóle wszystko swoje chcą spieniężyć. Ewentualnie Elwira z Marynią ze swoich części też będą mogły coś sprzedać, co do mnie zaś, to oświadczyłem, że wpłacę moją część podatku spadkowego i potem kosztów działu gotówką. Nie mam jej co prawda prócz jakichś 1 ½ tysiąca oszczędności osobistych, ale chyba potrafię znaleźć. Oczywiście, że Hektor część Elizki pokryje również gotówką. Co do mebli, to za wspólną zgodą postanowiliśmy całkiem wyłączyć z działu umeblowanie Papy gabinetu i starego salonu jako pamiątkowe, przywiązane do funduszu bohdaniskiego – w szczególności garnitur mebli herbowych i zbiór portretów rodzinnych.

14 marca, rok 1921, poniedziałek
Główną kwestią, którąśmy omówili na wczorajszym zebraniu spadkobierców śp. Papy, była sprawa działu Bohdaniszek. Innego majątku prócz Bohdaniszek Papa nam nie zostawił. Cały kapitał Papy, który przed wojną, licząc w walucie złotej, był pokaźny – zniknął. Był on ulokowany w różnych papierach wartościowych złożonych w depozyty bankowe. Wszystko to w czasie wojny ugrzęzło w Rosji, a kwity depozytowe zabrali Papie bolszewicy w r. 1919. Może kiedyś coś z tego da się uratować, ale w dzisiejszych stosunkach waluty będzie to już rzecz małej wagi.
Spadek realny to Bohdaniszki i to, co w nich jest. Dzielimy się w naturze choćby dlatego, że tylko przez jak największe rozdrobnienie ziemi można uratować majątek od grożącego większym obszarom ziemskim niebezpieczeństwa reformy agrarnej. I w tym względzie trzeba się już bardzo śpieszyć, żeby się nie dać uprzedzić reformie agrarnej, która szybko się zbliża. Jeżeli się zdąży majątek podzielić formalnie, a choćby w ostateczności faktycznie, przed uchwaleniem reformy agrarnej, to dobrze. Tymczasem jednak do działu formalnego są jeszcze różne przeszkody formalne. Ale w każdym razie dział jest pierwszym i zasadniczym celem, do którego wszystkie nasze wysiłki dziś zmierzać muszą.
Jest nas sześciu spadkobierców – ja, Kotunia Pruszanowska, Elizka Komorowska[432], Elwira Mieczkowska, Marynia Römerowa i Henryś Wołłowicz, a przeto sześć sched. Dwoje spadkobierców – Kotunia Pruszanowska i Henryś Wołłowicz – są zdecydowani schedy swoje spieniężyć. Reszta chce je zachować nietknięte.
Zawsze od najdawniejszych lat byłem zdecydowany na to, że się z siostrami dzielić będę na równi, pomimo że do r. 1912 prawo obowiązujące u nas przyznawało córkom tylko 1/14 część nieruchomości ziemskiej i pomimo że Rodzice, w myśl starych pojęć tradycyjnych, uważali mnie, syna, za jedynego dziedzica majątku, wyznaczając córkom

432 Eliza Irena Komorowska (1871-1961), córka córka Michała i Konstancji z Tukałłów Römerów, siostra Michała Piusa Römera; w 1891 poślubiła Zygmunta Komorowskiego (1865-1920), właściciela majątku Kowaliszki.

tylko posagi. Potem już i Rodzice uznali stopniowo zasadę równego działu. Wprawdzie przed wojną myśleliśmy zawsze, że ten równy dział dokona się w postaci pozostawienia Bohdaniszek w moim ręku, jeno ze spłatami ekwiwalentów dla sióstr. Teraz nie ma mowy o spłatach i dział ma być nie tylko równy, ale i w naturze.
Ponieważ jednak testamentu Papa nie pozostawił, więc formalnie z mocy ustaw siostry (i Henryś, który też reprezentuje schedę siostrzaną nieboszczki Helci, jego matki) dziedziczą tylko w 1/7 części, co razem czyni 5/7**,** pozostałe zaś 2/7 należą do mnie. Zrzekam się tego przywileju na rzecz równości, ale za to zastrzegam pewne warunki działu gwarantujące zachowanie samego funduszu bohdaniskiego. Mianowicie zastrzegam dla siebie prawo wyboru schedy, a następnie zastrzegam pierwszeństwo wyboru sched dla tych spadkobierców, którzy ich nie sprzedają, przed tymi, którzy je mają sprzedać, to znaczy pierwszeństwo dla Elwiry, Maryni, Elizki przed Kotunią i Henrysiem. Co do samego wydzielenia sched, to projektujemy tak: dwie schedy będą utworzone z różnych skrawków, jak folwark Staczeragi, Cegielnia, Wiwieliszki, Janówka, Apuszyniec, Karwieliszki, a jeżeli tego nie wystarczy, to się im przydzieli jeszcze skrawków z pola dworskiego. Będą to schedy Kotuni i Henrysia, przeznaczone do sprzedaży. Z pozostałych czterech sched trzy będą się zasadzały we dworze samym i stamtąd rozchodziły w trzy różne kierunki. Sam dwór będzie podzielony między te trzy schedy. Pierwsza z nich będzie prawdopodobnie obejmowała część dworu północno-zachodnią, złożoną z gumniska włącznie z łaźnią, chatą parobczaną i zabudowaniami gumien, ogród warzywny przy gumnisku, stajnię roboczych koni i aż po ogród lipowy; w polu będzie się posuwała w kierunku Karwieliszek i obu stron Gaju. Ewentualną granicą będzie droga busiska, staw kąpielowy do niej by należał. Tę działkę wybiorę zapewne ja, bo tą część Bohdaniszek najbardziej lubię; jest ona najładniejsza, a pod względem wartości ziemi najlepsza. Nazwałbym ją może „Prudelis” (czyta się jak Prudialis) od nazwy łąki w głębokiej dolinie za gumniskiem przy granicy gruntów wioski Bohdaniszki. Nie miałbym co prawda w tej schedzie ani domu mieszkalnego, ani kawałka ogrodu owocowego, ale zrezygnowałbym z tego na rzecz sióstr, co zresztą uzupełniłoby się może ekwiwalentem ziemi. Druga działka obejmowałaby środek dworu – obie sadzawki wewnętrzne dworskie, miejsce gdzie stała oficyna, stary ogród owocowy; pod względem zabudowań byłaby najuboższa. W polu działka ta rozwijałaby się w kierunku Busiszek i pasieki kumszańskiej. Trzecia działka dworska obejmowałaby dom mieszkalny z trawnikiem, oborą i spichrzem, nowy ogród owocowy, który stanowi największą i najcenniejszą część ogrodu i rozwijałaby się w polu w kierunku Kumsz i granicy boniuskiej. W samym dworze byłaby ona najcenniejsza, jednak w polu miałaby glebę gorszą od pierwszej i drugiej. Druga i trzecia działki dworskie byłyby rozlosowane między Elwirę a Marynię. Ta, któraby dostała działkę drugą, dzierżawiłaby też moją. Właścicielka trzeciej działki mogłaby dzierżawić działkę Elizki, która by miała za środek Kumsze.
Tak się przedstawia szkicowo nasz pomysł o podziale Bohdaniszek. Dla wyznaczenia działek i załatwienia całej operacji uchwaliliśmy powołać arbitrów w osobach Piotra Rosena z Gaczan i Lisandra z Krewna, superarbitra zaś w osobie Zygmunta Rutkowskiego z Koźliszek.

15 marca, rok 1921, wtorek
Elwira i Marynia pragną bardzo aby dział – jeżeli nie formalny, to przynajmniej faktyczny z ustaleniem dokładnym sched w naturze – dokonał się przed św. Janem, to znaczy przed rozpoczęciem roku gospodarskiego, by już każda z nich wiedziała, co do niej należy. Będziemy się starali śpieszyć, choć mnóstwo jeszcze formalności i ciężarów mamy przed sobą, zanim dział ostateczny stanie się możliwy.

Jedną więc i główną sprawą dokonaną w ciągu naszego pobytu w Bohdaniszkach jest niedzielne zebranie spadkobierców. Drugą, nie mniej ważną sprawą było zlikwidowanie zarządu Jakszuka. Choć Elwira dawno już potrafiła sama usunąć faktycznie Jakszuka od zarządu biorąc cugle w swoje ręce, ale trzeba było go jeszcze zlikwidować formalnie i pozbyć się go z Bohdaniszek. Jakszuk jest dla sióstr solą w oku Bohdaniszek, złośliwą strzemką w bolącym ciele. Są one oburzone jego nadużyciami, jego gospodarką rabunkową pustoszącą bezczelnie Bohdaniszki. Ze wszystkich stron dowiadują się one o jego nadużyciach. Jakszuk ma rzeczywiście w sobie dużo z cech bandyty, jakiegoś watażki rabunku, który rwie powierzone mu dobro cynicznie, bezczelnie. Nie jest to złodziejaszek pospolity, kradnący cichaczem, otaczający się wspólnikami, pokorny na zewnątrz. Ten ma gest pański, rwie na prawo i na lewo, lubi posiadać i realizować pełnię władzy. Nie pochlebia właścicielowi, którego okrada, jeno żąda podporządkowania się sobie i panowania niepodzielnie. Z ludźmi żyć nie umie, jest dla ludzi przykry, gwałtowny, nie panujący nad nerwami. Toteż jest powszechnie we dworze i w okolicy znienawidzony przez parobków i włościan. Tym gorliwiej przeto wszyscy zanoszą teraz do sióstr skargi na niego. Wykrywają się więc coraz to nowe nadużycia, coraz cięższe grzechy. W obecności sióstr przyjąłem od Jakszuka rachunki i zlikwidowałem cały z nim stosunek zarządu. Dużo przykrych, ale prawdziwych rzeczy musiał się przy tym nasłuchać Jakszuk, wściekły, blady, siedzący jak na rozżarzonych węglach, rzucający się czasem, ale broniący się tylko wykrętami, bo nic realnego zarzutom tym przeciwstawić nie mógł. Starałem się utrzymać likwidowanie stosunku w ramach spokojnych i rzeczowych, eliminując drażniące szczegóły, co czasem nawet irytowało moje siostry. Najwięcej sporów wywołała kwestia linijki, którą Jakszuk chciał uważać za swoją, ale ostatecznie siostry postawiły na swoim i nie dały mu jej, ponieważ większość materiału, z którego ona została zrobiona, jest dworska, a za robotę Jakszuk też przeważnie dworskimi płacił rzeczami, jak sianem, darowaniem należności za dzierżawione od dworu dziesięciny itd. Za linijkę siostry ofiarowały Jakszukowi tytułem odczepnego starą bryczkę, co właściwie było nawet łaską. Rzucał się Jakszuk, wściekał się, protestował, klął się, ale – na nic. Już po zlikwidowaniu wszystkich stosunków z Jakszukiem jeszcze się znalazły nowe kawałki nadużyć, które oburzone siostry są zdecydowane wyegzekwować, fantując mu cielicę.
W najbliższych dniach Jakszuk z rodziną ma się już z Bohdaniszek wynieść, z czego siostry całym sercem się cieszą. Odetchną dopiero, gdy go już nie będzie. Tak się kończy sławetny zarząd Jakszuka, którego Papa w r. 1919, wyjechawszy z Bohdaniszek do Polski, charakteryzował w liście do Kotuni jako człowieka nie tylko energicznego, ale i zacnego i „dobrego patriotę" (polskiego oczywiście)! Wprawdzie Jakszuk umiał wywijać Bohdaniszki z różnych kłopotów, zwłaszcza wobec żądań władz, ale za to rabował na potęgę. Był on plagą Bohdaniszek nie mniejszą od różnych okupantów i wojen i potrafił spustoszyć majątek gruntownie. Jeszcze parę lat takiej „gospodarki", a Bohdaniszki rozsypałyby się w strzępy jak stara bielizna. Już i teraz są one ruiną, która ledwie się trzyma.
Z tym wszystkim, choć to najbardziej moje siostry oburza, mam do Jakszuka sympatię. Jest to wprawdzie bandyta, ale dumny, nawet z gestem pogardliwym, samotnik, pełny nienawiści do świata i ludzi, typ bayroński, typ zbójeckiego rycerza. Nie cierpię natomiast Jakszukowej, intrygantki, zachłannej, baby paskudnej.

16 marca, rok 1921, środa
Miałem dziś wyjechać z Bohdaniszek, ale ponieważ sporo było różnych interesów rano, więc odłożyłem wyjazd do jutra. Zyskałem więc jeden dzionek wakacji w Bohdaniszkach. Mam miejsce w dzienniku, więc korzystam, aby wcisnąć w wolne

miejsce kawałek o społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej. Ostatnio, zestawiając propozycje „Odrodzenia" z propozycjami delegatów ludowców litewskich, zatrzymałem się na kwestii ustroju wewnętrznego. „Odrodzenie" żądało dwóch z góry ustalonych kantonów, delegaci litewscy, opierając się na metodzie samorządu, proponowali ustalenie konstytucyjne prawa samorządów powiatowych do łączenia się w większe skupienia samorządne aż do dzielnic autonomicznych włącznie. Wskazałem, że co do zakresu właściwości tych bądź kantonów, bądź dzielnic autonomicznych żadnych różnic zasadniczych między dwiema stronami nie było. W tym względzie uważam, że zbliżenie nastąpiło bardzo duże, mimo że Polacy nie zgadzali się do końca ustąpić ze stanowiska kantonalnego na samorządowo-autonomiczne litewskie. Uważam to za zbliżenie choćby dlatego, że jeszcze bardzo niedawno, czy to w czasie wojny z Żeligowskim, czy w czasie posiadania przez Litwinów Wilna, Litwini ani słyszeć nie chcieli o jakiejkolwiek autonomii terytorialnej dla Litwy Wschodniej. Była to rzecz u Litwinów tak niepopularna, że gdyby im wtedy ktokolwiek o tym wspomniał, uważaliby go oni za niebezpiecznego, ukrytego wroga państwa i niepodległości. Pod tym względem dokonała się w opinii litewskiej ogromna ewolucja, po prostu zadziwiająca dla kogoś, kto by sobie przypomniał nastroje litewskie sprzed paru miesięcy. Niewątpliwie, że głównym rzecznikiem tej ewolucji pojęć był Purycki.
Główna, choć bez wątpienia bardzo istotna różnica między kantonalnym postulatem polskim a samorządowo-autonomicznym litewskim polega na sposobie budowania kantonu czy dzielnicy autonomicznej. Polacy chcieliby zafiksować zasadę i samo terytorium kantonów z góry, *a priori*, jako gwarancję. Litwini budują dzielnice autonomiczne z dołu, wywodząc je ze swobodnych orzeczeń samorządów lokalnych. Metoda litewska jest bardziej demokratyczna, Polacy wszakże zarzucają jej, że jest nie dość określona i że nie daje dostatecznych gwarancji. Na to Litwini powiadają, że gwarancją będzie wpisanie odpowiednich praw do konstytucji oraz zastrzeżenie specjalnej, kwalifikowanej większości do zmiany lub uchylenia przepisów konstytucyjnych. To zastrzeżenie może ustanowić taką większość, która będzie przewyższała stosunek procentowy Litwinów w państwie, aby dać gwarancję, że głosami Litwinów nie da się pozbawić mniejszości tych praw zasadniczych.
Drugą, bardzo istotną różnicą tych dwóch postulatów jest ta, że system kantonalny wyklucza Sejm ogólnopaństwowy, a przeto osłabia więź między obywatelem a państwem i właściwie podkopuje jedność państwową, podczas gdy postulaty litewskie zachowują jedność Sejmu Centralnego. Bez Sejmu ogólnopaństwowego ludność będzie bezpośrednio związana tylko ze swym kantonem, z państwem zaś będzie związana tylko za pośrednictwem kantonu, nie uczestnicząc w wyborach do ciała ustawodawczego ogólnopaństwowego i nie mając bezpośrednio wpływu na rząd państwowy. Kantony tworzą ścianę między obywatelami a państwem, stają się państwami same. Litwini wskazują, że tzw. delegacje, wyłaniane przez sejmy kantonalne, są zamaskowanym senatem, pochodzącym z wyborów pośrednich, izbą wyższą, gwałcącą demokratyczną, jednoizbową zasadę Republiki.
Jest jeszcze jedna rzecz, która się uwydatnia przy zestawieniu tych dwóch postulatów i na którą chciałbym zwrócić uwagę. Jeżeli zagadnienie rozważać ze stanowiska raczej nacjonalizmu, czy to litewskiego, czy polskiego, niż ze stanowiska państwa jako zbiorowości, to kto wie, czy polski postulat kantonów, przeciwko któremu oponują Litwini, nie jest właśnie dla narodowego (nacjonalistycznego) interesu litewskiego lepszym, i odwrotnie – postulat litewski lepszy dla nacjonalizmu polskiego. Przy bowiem zastrzeżonej z góry, zafiksowanej budowli dwóch kantonów, kanton wileński, który Polacy, ufni w swoje wpływy, chcieliby widzieć narodowym kantonem polskim, stanie się rychło, zwłaszcza przy rozszerzeniu granic wschodnich na prawosławne

powiaty białoruskie, areną ostrych i coraz gwałtowniejszych walk polsko-białoruskich; będzie to nowa Galicja Wschodnia. W kantonie wileńskim wytworzą się stosunki niezdrowe, z ciągłym jątrzeniem wewnętrznym. Obok zaś będzie kanton kowieński jednolity, ścisły, narodowy litewski. Litwini kantonu kowieńskiego będą mogli wyzyskiwać rozterki wewnętrzne kantonu wileńskiego, które niewątpliwie w delegacjach ze strony wileńskiej się ujawnią, i łącząc się to z Polakami, to z Białorusinami, stosując politykę „*divide et impera*"[433], będą panami sytuacji. Kanton kowieński tą drogą może z łatwością zapanować nad wileńskim i stać się właściwym gospodarzem w państwie. Dla nacjonalizmu litewskiego może by to i było dogodne. Tymczasem w ramach postulatu litewskiego utworzyłaby się zapewne w Litwie Wschodniej (Wileńszczyźnie) nie jedna dzielnica autonomiczna, lecz dwie: dzielnica, która by powstała ze skupienia katolickich, spolonizowanych powiatów podwileńskich, i dzielnica właściwa białoruska. Tą drogą mogłaby się dokonać konsolidacja terytoriów narodowych w Litwie, może niedogodna dla nacjonalizmu litewskiego i za mało jaskrawa dla ambicji polskich, marzących o spolonizowaniu całego terenu białoruskiego powiatów wschodnich, ale dla stosunków państwowych zdrowa, może nawet kładąca kres wyłącznej walce narodowościowej w kraju i mogąca z czasem doprowadzić Litwę do statecznych wzorów szwajcarskich. Polacy mogliby tą drogą zapewnić sobie w kraju może skromniejsze niż pragną, ale trwałe terytorium narodowe.

17 marca, rok 1921, czwartek
Śliczna jest o tej porze roku wieś. Szkoda wyjeżdżać, ale muszę. Zresztą za tydzień przyjadę znów na święta Wielkiejnocy. Zewnętrznie świat roślinny jeszcze swych nagich kształtów zimowych nie oblekł zielenią, ale już w powietrzu i w ziemi wielki ruch wiosenny – laboratorium życia. Wielkie słońce świeci już inaczej, fauna skrzydlata napełnia pola, lasy i ogrody mnóstwem głosów miłości.
Wyjechałem z Elwirą po śniadaniu do Rakiszek. Miałem tam z nią do załatwienia cały szereg interesów w zarządach miejscowych w sprawach bohdaniskich. Zajęło nam to czas do zmroku. Wtedy Elwira odwiozła mnie na stację kolejową a sama pojechała dalej, do Bohdaniszek. Ja zostałem na stacji aż do pociągu, który przyjdzie dopiero koło godz. 4 po północy.
I znów korzystam z miejsca dla dalszego ciągu relacji o społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej. W zestawieniu propozycji zgłoszonych przez „Odrodzenie" z propozycjami zgłoszonymi przez delegatów litewskich, omówiłem kwestię terytorium i kwestię ustroju wewnętrznego. Pozostaje trzecia kwestia – stosunek do Polski. Projekt „Odrodzenia" mówił o federacji Litwy z Polską, bliżej stosunku federacyjnego nie określając. Projekt litewski pierwotnie, w redakcji naszkicowanej przez Żemaitisa, powtarzał pod tym względem tezy propozycji warszawskich delegacji Staugaitisa[434], a więc: zasada naczelna, że Suwerenna Litwa układa się z Suwerenną Polską; Litwa otwiera Polsce przez swe terytorium dostęp do morza; Litwa gotowa jest zawrzeć z Polską konwencje handlowe i ekonomiczne; Litwa udziela Polsce prawa kraju najbardziej uprzywilejowanego; Litwa zobowiązuje się nie napadać w żadnym wypadku na Polskę i nie tolerować na swym terytorium żadnych formacji i żadnej siły zbrojnej obcej, wymierzonej do walki przeciwko Polsce. Do tych też Żemaitis dodał jeszcze jedną, a mianowicie, że Litwa dąży do międzynarodowego

433 „Divide et impera" (łac.) – dziel i rządź.

434 Jonas Staugaitis (1868-1952), lekarz, działacz litewskiego ruchu ludowego (1920-1922 w Związku Włościańskim, następnie w Litewskim Związku Włościan Ludowców), przewodniczył delegacji litewskiej w pertraktacjach polsko-litewskich w Warszawie 13-19 XII 1920; marszałek II i III Sejmów Litwy (1923-1926).

zneutralizowania jej terytorium. Teza o neutralności, której nie było w propozycjach delegacji Staugaitisa, została przez Žemaitisa skonstruowana w toku jego pogadanek z grupami społecznymi w Warszawie. Jak wiadomo, w końcu grudnia po wyjeździe z Warszawy prezesa delegacji dr Staugaitisa i członka delegacji, ks. Jurgutisa[435], pozostali przez czas jakiś w Warszawie dwaj członkowie delegacji, Žemaitis i Digrys[436]. Ponieważ skład delegacji był zdekompletowany, więc obrady urzędowe ustały. Natomiast różne grupy działaczy politycznych i stronnictw demokratycznych w Warszawie – za inicjatywą głównie redakcji „Przymierza"[437] i takich działaczy politycznych, jak generał Aleksander Babiański i Marian Świechowski[438] – zaczęły w tym czasie zapraszać Žemaitisa i Digrysa na pogadanki i konferencje. Na pogadankach tych ze strony polskiej podnoszono wciąż tę myśl, że jednak o ile Polska ma się zrzec roszczeń do Wilna na rzecz Litwy, musi ona nie tylko mieć pewność, że Polacy wileńscy nie będą w Litwie litwinizowani i będą korzystali z pełni praw współgospodarzy w państwie, co się zabezpieczy odpowiednim ustrojem wewnętrznym Litwy, ale też tę pewność, że w razie wojny Polski z Rosją Polska nie będzie miała zagrożonego skrzydła ze strony litewskiej, w szczególności zaś że Litwa będzie w jakimkolwiek stosunku układu wojennego z Polską, gdyż bez takiego stosunku Polska nie jest w stanie zrealizować planu wspólnej obrony bloku państw kresowych (Finlandia – państwa bałtyckie – Polska). Że przeto Litwa musi być w stosunku bądź federacji, bądź co najmniej ścisłej konwencji wojskowej z Polską, w przeciwnym bowiem razie Polska nie może wyrzec się wspólnej granicy z Łotwą przez korytarz wilejsko-dziśnieński, izolując Litwę; dla utrzymania zaś tego korytarza musi mieć Wilno. Nie może Polska zrzec się Wilna i korytarza łączącego ją z Łotwą i dlatego także, że Litwa, stanowiąca połączenie Niemiec z Rosją, mogłaby w razie wojny posłużyć za pomost do oskrzydlenia Polski. Jeżeli więc Litwa odmawia udziału w ścisłym wojennym zespole z Polską i w militarnym bloku Polski z państwami bałtyckimi, to Polska musi odgrodzić ją od Rosji przez zatrzymanie Wilna, aby Niemcy przez Litwę nie podali ręki Rosji. Wtedy w odpowiedzi na te argumenty Žemaitis wysunął tezę międzynarodowego zneutralizowania Litwy. Neutralność terytorium Litwy, zagwarantowana międzynarodowo, zabezpieczyłaby Polskę zupełnie na skrzydle litewskim na wypadek wojny z Rosją. Neutralność jest nie tylko prawem bronionym przez gwarancję międzynarodową, ale i obowiązkiem bronienia tejże przez zneutralizowane państwo. W razie więc wojny Polski z Rosją neutralne terytorium litewskie zabezpieczałoby skrzydła polskie, a gdyby Rosja poważyła się neutralność zgwałcić, jak to uczyniły Niemcy z Belgią, to przez to samo Litwa w obronie swej neutralności stanęłaby natychmiast czynnie po stronie polskiej przeciw gwałtowi Rosji. Podług więc tych wywodów Žemaitisa, neutralność jest prawie takąż formą zabezpieczenia, co konwencja.

18 marca, rok 1921, piątek

---

[435] Vladas Jurgutis (1885-1966), ksiądz, ekonomista, działacz chrześcijańskiej demokracji.
[436] Stasys Digrys (1886-1959), ekonomista, działacz polityczny związany z ruchem socjaldemokratycznym.
[437] „Przymierze" – wychodzący w Warszawie od 1 sierpnia do końca 1921 r. tygodnik pod faktyczną redakcją Włodzimierza Wakara, poświęcony idei zbliżenia i politycznego porozumienia się nowo wyzwolonych narodów.
[438] Marian Świechowski (1882-1934), ziemianin, znawca problematyki narodowościowej, 1919-1920 kierownik Referatu Narodowościowego komisarza generalnego Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich, 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego z listy PSL „Piast", od 1928 kierownik naukowy Instytutu Badania Spraw Narodowościowych, związany z grupą wileńskich demokratów (federalistów).

Od czwartej w nocy do szóstej-siódmej wieczorem byłem w podróży. Po przyjeździe do Kowna udałem się od razu do siebie na Zieloną Górę i już stamtąd nie wychodziłem.
Znów wracam do społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej. Žemaitisa postulat o dążeniu do międzynarodowej neutralizacji Litwy, wpisany do projektu zgłoszonego przez delegatów litewskich, miał być tarczą przeciwko żądaniu polskiemu konwencji militarnej Litwy z Polską. Jeżeli bowiem Polacy uzasadniają żądanie konwencji militarnej względami zabezpieczenia Polsce od strony Litwy skrzydeł na wypadek wojny z Rosją i przecięciem możności połączenia się Rosjan z Niemcami przez terytorium litewskie, to, jak rozumuje Žemaitis, międzynarodowa neutralizacja Litwy całkowicie te potrzeby zaspokaja i przeto czyni konwencje zbytecznymi.
Tak pierwotnie była sprawa w kwestii stosunku do Polski w propozycjach delegatów litewskich postawiona. W toku jednak dalszym akcji porozumiewawczej, w szeregu zebrań dalszych, obrad i dyskusji uległa ona znacznej modyfikacji ze strony litewskiej, stanowiącej bardzo śmiały i duży krok naprzód w kierunku porozumienia. Muszę to specjalnie uwydatnić i o tym pomówić, aby wykazać, jak się to stało. Propozycje litewskie były przez „Odrodzenie" na ogół przyjęte chłodno. Co do chłopów z zarządu „Odrodzenia", to ci na ogół słabo się orientowali w szczegółach i samych zasadach tych czy innych postulatów. Na razie zamiast mówić o zgłoszonych przez obie strony propozycjach, chłopi z „Odrodzenia", dla których równie za mądre były ich własne postulaty „Odrodzenia", jak postulaty delegatów litewskich, zaczęli od wytykania Litwinom różnych zarzutów, pretensji, żalów itd. W ciągu jednak następnych posiedzeń, gdy delegaci litewscy z wielkim taktem i umiarkowaniem udzielili odpowiedzi na wszystkie skargi i zarzuty i wyjaśniali rzeczowo znaczenie zgłoszonych przez nich postulatów, chłopi z „Odrodzenia" zaczęli na ogół przychylnie traktować program litewski, zwłaszcza w zakresie ustroju wewnętrznego.
Inna grupa uczestników zebrań ze strony „Odrodzenia", grupa raczej inteligencka, zwłaszcza z dr Napoleonem Czarnockim[439] i Leonem Pietkiewiczem na czele, bardzo widocznie niechętna porozumieniu, czyniła ze swej strony wszystko, aby postulaty delegatów litewskich zdyskredytować i przedstawić je w świetle jak najgorszym.
Ale otóż w toku dyskusji, która się na następnych zebraniach wywiązała, ze strony polskiej, krytykując tezy propozycji litewskich w kwestii stosunku Litwy do Polski, wskazywano na to, że to, co Litwini proponują, to jest nic. Bo co znaczy neutralność? Jest to frazes, ale jakie są realne gwarancje zachowania i rzeczywistej obrony tej neutralności? Żadne; zależne od dobrej woli Litwy, od różnych okoliczności i wpływów, którym ona dla tych czy innych względów ulegać będzie. Jeżeli nawet neutralność Belgii, która była uznana powszechnie, została przez Niemcy zgwałcona, to o ileż mniej się będą strony zainteresowane liczyły z neutralnością Litwy. Zresztą międzynarodowe zneutralizowanie Litwy jeszcze nie istnieje. Propozycje litewskie mówią o „dążeniu" Litwy do międzynarodowego zneutralizowania. Ale czyż samo dążenie może być jakąś gwarancją i czy można je utożsamiać z faktem, czyniąc zeń jakąś tezę w stosunku wzajemnym? Jakież są w ogóle szanse tego dążenia? Jeżeli Litwa nie jest jeszcze nawet uznana *de iure* jako państwo niepodległe, to cóż mówić o jakimś międzynarodowym zagwarantowaniu jej neutralności, stanowiącym wyższą sankcję międzynarodowego uznania? Nie ulega wątpliwości, że cała Europa Zachodnia traktuje stan stosunków państwowych na wschodzie, na byłym terytorium państwowym Rosji, jako prowizorium, które ostatecznie zostanie ustalone i usankcjonowane dopiero po zlikwidowaniu rewolucji rosyjskiej. W tych warunkach niepodobna liczyć na to, aby

[439] Napoleon Czarnocki (1866-1937), lekarz, społecznik; po studiach w Moskwie (1889-1895) rozpoczął praktykę lekarską w Lipniszkach pod Wilnem (gdzie pomagał przechowywać drukarnię „Robotnika"), w 1919 osiadł w Wilnie.

Europa przez międzynarodowe zagwarantowanie neutralności Litwy zafiksowała już dziś ostatecznie to, co sama uważa za prowizorium. W tych warunkach mówić o „dążeniu” do międzynarodowego zneutralizowania jest czczym frazesem, który nic nie wyjaśnia i na którym niczego oprzeć nie można. To jedno, a drugie – to, że neutralność jest czymś biernym, co nie określa bynajmniej stosunku Litwy do Polski. Powiedzieć, że Litwa będzie „neutralna”, to jest stwierdzić, że jej stosunek do Warszawy jest taki sam jak do Berlina i Moskwy. Otóż Wilno nigdy się z tym pogodzić nie może. Dla Wilna, które jest związane z Polską więzami kultury, narodowości, historii, które zawdzięcza Polsce wybawienie od bolszewików, które od dwóch lat tak ściśle z Polską, z jej życiem, jej wojskowością, z Piłsudskim, było zespolone, Warszawa nie może być tym samym, czym Berlin i Moskwa. Wprost nawet uczuciowo Wilno się z tym nie godzi i jeżeli ma ono wyrażać swoje warunki, by tworzyć z Kowieńszczyzną wspólny twór państwowy, to tylko z takim zastrzeżeniem, by ten twór był głównie czymś bliższym Warszawie niż Moskwie lub Berlinowi. Zresztą poza względami uczuciowymi Wilno w kontakcie Litwy z Polską i w realizacji wielkiego bloku bałtyckiego chce się czuć skutecznie zabezpieczone od Rosji ze wschodu. Tu traktat o neutralności Wilnu nie wystarcza.

19 marca, rok 1921, sobota
Niepotrzebnie pośpieszyłem z powrotem Bohdaniszek, bo tu się dowiaduję, że dzień św. Józefa, wypadający w dniu dzisiejszym, został uznany w Litwie za dzień w urzędach wolny od pracy. Wobec tego dziś i jutro nic w Kownie do roboty nie mam. Po tygodniu spędzonym w Bohdaniszkach u sióstr w atmosferze życia rodzinnego, od którego w samotności mojej odwykłem, czuję się obecnie po powrocie do Kowna w moim pokoiku samotnym opuszczony i smutny. Pusto mi i nudno chwilami samemu, tym bardziej, że te pierwsze dni, jako świąteczne, muszę spędzić przeważnie sam ze sobą.
Znów wracam do relacji o społecznej akcji porozumiewawczej w Wilnie. Kontynuuję tok wczorajszy. Gdy delegatom litewskim zaczęto wskazywać ze strony polskiej na to, że ich propozycja nie zawiera w sobie nic, co by w jakikolwiek sposób łączyło Litwę z Polską i określało w jakikolwiek sposób bliższy stosunek do Polski, niż do Berlina lub Moskwy, na co w żadnym razie Wilnianie przystać nie mogą, bo dla nich Polska jest szczególnie bliską i nie może być dla nich mowy o stawianiu jej na jednej stopie z Rosją czy Niemcami, delegaci litewscy, chcąc ujawnić dobrą wolę do porozumienia, zaprzeczyli jednakowemu traktowaniu przez Litwinów Polski z Rosją i Niemcami. Dla was – mówili oni, odpowiadając Polakom wileńskim – są względy uczuciowe, które was szczególnie do Polski zbliżają i czynią ją wam drogą, dla nas tych szczególnych względów uczuciowych nie ma; ostatnie lata zatargów i wojny mogły w nas, Litwinach, wyrobić nawet uczucie szczególnej do Polski niechęci. Ale jeżeli brak nam dla szukania zbliżenia z Polską podłoża uczuciowego, to są za to względy interesów realnych, które z konieczności będą czyniły nasz stosunek do Polski innym, niż do Rosji i Niemiec i mianowicie bliższym. Ze strony Rosji, której mocarstwowe dążenia nie zginęły i prawdopodobnie podniosą się z nową siłą, Litwie również, jak sąsiednim na północy państwom bałtyckim i Polsce na jej granicach wschodnich, grozić będzie niebezpieczeństwo, o którym zapominać niepodobna. To niebezpieczeństwo wiąże cały łańcuch państw od Finlandii przez Estonię, Łotwę, Litwę, Polskę i aż do Rumunii włącznie solidarnością interesów, nakazujących organizację wzajemnej solidarnej obrony. Jest to idea Związku Bałtyckiego – powiadają Litwini – punkt wyjścia dla ewentualnej przyszłej konwencji militarnej obronnej. Wyraz „konwencja wojenna obronna” został przez delegatów litewskich wyrzeczony. Nie precyzowali go

oni jeszcze, ale już go z ust swoich wypuścili. Stało się to bardzo prosto, naturalnym biegiem obrad. Gdyby Žemaitis nie był wyjechał z Wilna, może by nie dopuścił do wyrażenia przez delegatów litewskich tego postulatu, a zwłaszcza do zafiksowania go. Ale Žemaitisa już nie było, a Michał Biržiška był nawet rad temu i nie myślał o hamowaniu delegatów pod tym względem. Delegaci, zdaje się, nie spostrzegli się sami, że wykrztusili tak prosto postulat, tak niemiły, tak pełny dotąd specjalnego odium w opinii litewskiej. Fakt jednak stał się i nabrał tym większego znaczenia, że delegaci litewscy w swoim komunikacie urzędowym, wręczonym „Odrodzeniu" przed wyjazdem z Wilna, wpisali w liczbie postulatów litewskich w rozdziale o stosunku do Polski, konwencję militarną obronną. Uczynili to nawet zbyt ogólnikowo, nie ograniczając tej konwencji granicą wschodnią i nie zastrzegając, że mówi się tu nie o osobnej konwencji litewsko-polskiej, ale o konwencji pewnego rodzaju spółki obronnej całego łańcucha państw od Finlandii do Rumunii.
Fakt ten stał się wielkim krokiem naprzód w kierunku zbliżenia sprzecznych stanowisk. Dotąd Litwini w Kownie na pozwalali nawet wyrzec słowa „konwencja wojenna". Teraz słowo zostało wyrzeczone i to przez delegatów stronnictwa w komunikacie urzędowym, podpisanym przez nich w imieniu partii. Gdy delegaci litewscy po powrocie do Kowna referowali na posiedzeniu frakcji sejmowej ludowców swoją akcję wileńską, odczytanie przez nich w komunikacie tego postulatu wywołało niepokój bliski konsternacji. Ale cóż było robić? Frakcja nie mogła dezaprobować ten epizod, bo byłoby to potępieniem formalnym jej delegatów. Oto tą drogą „straszne" słowo wyrwało się z ust litewskich – opinia zacznie się z nim oswajać. Ten szczegół uważam za jeden z najciekawszych w akcji porozumiewawczej w Wilnie. Jest on precedensem.

20 marca, rok 1921, niedziela
Widziałem się dziś z adwokatem Chodakowskim. Dowiedziałem się od niego szczegółów o pani Maciejowej Kończynie, którą z przyjemnością wspominam. Po moim wyjeździe z Kowna pani Kończyna z pomocą Chodakowskiego i dzięki poparciu ministra spraw wewnętrznych Skipitisa, do którego ja się w jej sprawie udawałem, załatwiła pomyślnie wszystko, zwalczyła przeszkody czynione jej przez dyrektora departamentu milicji Navakasa[440] i pojechała do majątku mężowskiego Szeszołek pod Szyrwintami, położonego przy samej linii demarkacyjnej. Wyjeżdżając pozostawiła bardzo miły listek do mnie, który mi doręczył Chodakowski i już z Szeszołek napisała do Chodakowskiego, że czuje się tam dobrze, że ma pełno stosunków itd. Jest młoda, bardzo łatwa, ma powab dla mężczyzn, toteż da sobie radę. Byle tylko dała sobie radę w pokusach serca i płci, bo w interesach to za nią radzić będą jej protektorzy. Krótka była nasza znajomość z panią Kończyną, ale pozostały w tym przelotnym stosunku – sympatia i wspomnienie. Bardzo żałuję, że się to skończyło. Zaprasza mię pani Kończyna do Szeszołek, może przez zwykłą grzeczność tylko, ale nic z tego nie będzie. Jakże by to wyglądało, gdybym tam raptem jeździć zaczął!
Dowiedziałem się, że przez czas mojej nieobecności w Kownie nie zostało nic zrobione w dalszym rozwoju akcji porozumiewawczej wileńskiej. Nawet konferencja grup litewskich z frakcją poselską polską i polskimi elementami politycznymi w Kownie nie doszła do skutku. Rzecz utknęła na tym, kto ma uczynić pierwsze kroki i która strona pierwsza zwrócić się do drugiej. Generał Babiański nic nie wskórał na razie i sam tymczasowo pojechał do swego majątku. Widzę, że w każdej sprawie publicznej, zwłaszcza w każdej akcji powinien być ktoś pełniący rolę łyżeczki do mieszania cukru w szklance z herbatą. I trzeba mieszać, trzeba robić ruch, bo bez tego akcja zamiera i

[440] Jonas Navakas (1896-?), prawnik, 1920-1923 pracował w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, 1933-1935 gubernator Kraju Kłajpedzkiego.

wpada w stan bezładu. Tę rolę łyżeczki pełniłem w tym wypadku ja. Gdy mnie nie było, wytworzyła się stagnacja. Że po takim pierwszym akcie, jaki się odbył w Wilnie, nastąpiła pewnego rodzaju pauza, to nie szkodzi, bo trzeba, by się pierwsze zawiązki akcji porozumiewawczej ugruntowały nieco w opinii litewskiej i spopularyzowały, gdyż zbytnie forsowanie może nawet czasem zerwać strunę, ale skądinąd nie należy czujności zbytnio usypiać i dać się wrażeniom ulotnić. Będę musiał się tym zająć i sprawę pchać dalej, ale chyba dopiero po świętach Wielkiejnocy, które spędzę w Bohdaniszkach.

21 marca, rok 1921, poniedziałek
Próbuję w archiwach sądowych i notarialnych natrafić na jakikolwiek dokument stanowiący tytuł własności Papy na Bohdaniszki. Nie mogę znaleźć. Brak formalnego tytułu własności utrudnia nam dokonanie działu. To mię niepokoi. Zajmuje mię też kwestia lasów bohdaniskich, a mianowicie czy się nam uda ustrzec nasze lasy od upaństwowienia, jeżeli zdążymy je podzielić przed formalnym przejęciem tychże w zarząd państwowy. Podług zeszłorocznej ustawy o wywłaszczeniu lasów prywatnych na rzecz państwa, lasy nie przekraczające 25 dziesięcin wywłaszczeniu nie ulegają. Moglibyśmy więc podzielić się lasem w Bohdaniszkach w ten sposób, że na każdą schedę wyznaczylibyśmy po 25 dziesięcin lasu. Ale skuteczność tej kombinacji zależna jest od tego, czy las należy uważać za wywłaszczony *ipso iure* od chwili ogłoszenia ustawy zeszłorocznej, co miało miejsce jeszcze za życia Papy, czy też dopiero od chwili sporządzenia aktu o przejęciu poszczególnego lasu od właściciela, czego jeszcze w stosunku do Bohdaniszek nie było.
Jeżeli przyjąć drugą interpretację, która przemawiałaby na naszą korzyść, to i w tym wypadku rezultat zależny będzie od tego, czy w chwili sporządzenia aktu o przejęciu lasów bohdaniskich przez państwowy zarząd leśny, las będzie już między nami podzielony na schedy indywidualne czy też będzie jeszcze stanowił własność wspólną, to znaczy będzie całością. Chodzi jednak o to, że dla dokonania formalnego działu mamy jeszcze różne przeszkody, których usunięcie zajmie jeszcze dużo czasu, podczas gdy w sferach sejmowych i rządowych jest tendencja do przyśpieszenia likwidacji prywatnej własności lasów i ta ostatnia może nastąpić prędzej, niż się zdążymy podzielić. Musimy więc jak najprędzej za wszelką cenę podzielić się choćby faktycznie, ale czy podział faktyczny bez działu formalnego będzie mógł być uznany za podstawę do rozparcelowania własności lasu, to jeszcze wielka kwestia. W każdym razie robić musimy co się da i dlatego też trzeba koniecznie doprowadzić do faktycznego podziału Bohdaniszek włącznie z lasem – zaraz, to znaczy jeszcze podczas świąt Wielkanocnych, kiedy ja w Bohdaniszkach będę.
Będąc dziś w archiwum sądowym spotkałem się tam przypadkowo z panną Miliną Guidoni, której nie widziałem od lat przeszło 10. Jest ona córką zmarłej przed kilku laty pani Ewy Guidoni, Komarówny z domu, córki starego pana Michała Komara z Rogówka a siostry Konstantego, Antoniego i zmarłego Michała Komarów. Stary Michał Komar, rodzący się z Rosjanki, musiał stosownie do dawnych ustaw rosyjskich należeć do wyznania prawosławnego, mimo że ród Komarów jest polski i katolicki. Choć sam był żonaty z Polką i katoliczką, Walicką z domu, jego dzieci musiały być po nim prawosławne, przynajmniej formalnie, bo tak nakazywało stare barbarzyńskie prawo rosyjskie. Na córkach jego, jak zresztą i na synach, wychowanych po katolicku i po polsku, ciążył ów przymus prawosławia, który im ograniczał, jeśli nie zamykał, drogę małżeństwa z rodakami w granicach państwa rosyjskiego, bo każdy Polak i katolik, który by się z nimi ożenił, zmuszony był z góry akceptować przymusowe prawosławie dla przyszłego potomstwa swego, co w domach polskich w owej dobie

prześladowania równało się w opinii aktowi renegacji. Toteż Michał Komar usiłował wydać córki za mąż za obcych poddanych, aby dać im i ich przyszłemu potomstwu możność pozbycia się narzuconego prawosławia. Jedną wydał za Włocha Guidoniego, drugą za Francuza. W ten sposób latorośle Komarów zmieszały się po kądzieli z krwią cudzoziemską. Owocem jednego z tych związków była Milinka (Michalina) Guidoni. Dla jej matki stary pan Komar kupił majątek Łajłuny w powiecie wiłkomierskim. Przed laty przeszło 10 poznałem Milinę Guidoni w Abelach, gdzie spędzała lato z matką (dwór w Abelach przez czas jakiś należał do Michała Komara, który po odprzedaniu go Janowi Przeździeckiemu[441], stale co roku przyjeżdżał z Paryża na lato do Abel). Milina miała wtedy lat około 13. Była dziewczynką bujną i bardzo piękną. Mimo tak młodego wieku podobała mi się bardzo, o czym wiedziała. Toteż była wtedy między nami jakaś szczególna nić stosunku, różniąca go od przeciętnych stosunków znajomości. Nie była to miłość między mężczyzną a dzieckiem, ale było jednak coś ze sfery miłości zapożyczonego. Milina, o gorącej krwi włoskiej, była piękna, czyniła na mnie wrażenie mocnego, słodkiego wina, pełnego upojenia, a dziś jest już panną prawie podstarzałą i nie jest już tą piękną, jaką była. Tylko w uśmiechu ust ma ten sam śliczny urok dawnej Milinki, ten sam smak mocnego, gęstego i słodkiego wina.

22 marca, rok 1921, wtorek
Brałem dziś udział w posiedzeniu sądowym karnym pod przewodnictwem wiceprezesa Piotrowskiego[442]. W komplecie sądzącym uczestniczył też sędzia Šurna. Posiedzenie skończyło się około piątej, mimo że spraw było na wokandzie dość dużo i że w ich liczbie była jedna sprawa o zabójstwo. Było to zabójstwo na tle romantycznym, dokonane przez młodego Żyda na osobie narzeczonej, również Żydówki. Zabójstwo było dokonane w okolicznościach takiego podniecenia psychicznego mordercy i takiego bólu jego uczuć, że głosowałem za uniewinnieniem go, uznając jego czyn za akt niepoczytalny. Moi koledzy wszakże przegłosowali mię i skazali oskarżonego, z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, na 3 lata ciężkiego więzienia.
Są wieści o dwóch wybitnych – jednym dla Litwy i drugim dla Polski – wypadkach politycznych. Jednym z nich jest wydanie wyroku w arbitrażu o granice między Litwą a Łotwą[443]. Wyrok nie jest dla Litwy najlepszy. Wprawdzie zyskuje ona Połągę i przez to kawałek brzegu morskiego, sięgającego nieco poza ujście rzeki Świętej, za to wszakże traci ona w kilku miejscach skrawki terytorium wzdłuż granicy kurlandzkiej, jak w szczególności w okolicach Żagor (miasteczko Brunowiszki) i Oknistę, a poza tym cały sporny powiat iłłuksztański, prócz drobnego skrawka pod Jeziorosami, pozostaje w Łotwie, w tej liczbie w ręku Łotyszów pozostają Iłówka i Kałkuny, przez co przecięta zostaje kolej łącząca Poniewież i Rakiszki z Wilnem. Chociaż Połąga ma dla Litwy znaczenie ogromne, przewyższające to, co Litwa traci, jednak Połąga z okolicą jest tak oczywiście litewską, że trudno ją nawet uznawać za sporną i że właściwie jest to tylko akt rewindykacji. Natomiast w terytorium iłłuksztańskim (semigalskim), które jest rzeczywiście bardzo sporne, a które ma jeszcze poza tym dla Litwy wartość jedynego dostępu do Dźwiny i znaczenie tranzytu kolejowego, Litwa przegrała. Ale przynajmniej raz tu się już granica ustali.

---

[441] Jan Przeździecki (1877-1944), ziemianin, właściciel Rakiszek, 1935-1940 prezes Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego „Pochodnia".
[442] Simonas Petrauskas (1867-1941), prawnik, 1919-1921 wiceprezes Sądu Okręgowego w Kownie, następnie prezes tegoż sądu, a w latach 1926 -1940 sędzia Najwyższego Trybunału Litwy.
[443] Litwa i Łotwa zgodziły się na rozstrzygnięcie sporu terytorialnego (o Połągę, Możejki i Iłłuksztę) przez komisję arbitrażową Ligi Narodów. Komisja pod przewodnictwem Jamesa Simpsona podjęła 21 III 1921 decyzje w sprawie rozgraniczenia obu krajów.

Drugim wypadkiem, o którym przyszły już pierwsze wieści, jest zwycięstwo niemieckie w plebiscycie na Górnym Śląsku. Podobno za Niemcami głosowało około 2/3 ludności, za Polską około 1/3[444]. Przypuszczam, że wynik ten nie przesądza jeszcze ostatecznych decyzji Europy o Górnym Śląsku, bo podobno w paru powiatach Polacy mieli nawet większość i zapewne nastąpi jakiś podział Górnego Śląska, ale w każdym razie, o ile tylko te wieści nadchodzące do Kowna *via* Niemcy, są prawdziwe, bo za to jeszcze ręczyć nie można, obniża to szanse polskie w sprawie górnośląskiej, w której słuszność i bodajże sprawiedliwość dziejowa jest – niezależnie od wyników przygodnych jakiegoś „plebiscytu" – po stronie Polski, tak na przykład, jak w sprawie wileńskiej jest ona po stronie Litwy. U Litwinów widzę przeważnie pewnego rodzaju zadowolenie z górnośląskiej porażki Polski. To mi jest przykre. Wiem, że zaognienie stosunków litewsko-polskich tłumaczy nastroje litewskie, niechętne zasadniczo Polsce i cieszące się z każdego jej niepowodzenia, bo ono osłabia przeciwnika, i wiem, że po stronie polskiej również się zazwyczaj cieszą z każdego niepowodzenia Litwy, które ją osłabia. Ale i jedno, i drugie jest mi osobiście przykre. Może zresztą Litwini przeczuwają instynktownie, że trudności Polski w sprawie górnośląskiej ułatwią czynnikom Europy zmuszenie Polski do ustępstwa na rzecz Litwy w sprawie wileńskiej, kompensując ją za to na Górnym Śląsku kosztem Niemców, pomimo zwycięstwa tychże. Gdyby tak było, to może i lepiej, ale i to niepewne. Zresztą Litwini zbyt jawnie radości swej z powodu porażki Polski na Górnym Śląsku nie manifestują, ale zadowolenie się jednak wyczuwa.

23 marca, rok 1921, środa
Miałem dziś znów posiedzenie w sądzie. Przewodniczył sędzia Oleka[445], uczestniczyliśmy – Frydman[446] i ja. Na wokandzie były sprawy cywilne. Posiedzenie zostało zakończone na godzinę trzecią.
Co do uchwał paryskich Ligi Narodów z pierwszych dni marca w sprawie wileńskiej, kasujących plebiscyt w Wileńszczyźnie i ustanawiających rokowania bezpośrednie między Polską a Litwą w Brukseli pod przewodnictwem Hymansa z ramienia Ligi, to w Kownie są one uważane za sukces polityczny litewski. Na razie, jak wspominałem w dzienniku, opinia litewska przyjęła uchwały paryskie nieufnie, głównie ze względu na zarządzenia na czas przejściowy, podług których w Wilnie pozostałyby wojska polskie, podczas gdy obowiązek wyżywienia cywilnej ludności Wileńszczyzny ciążyłby na Litwie. Relacje jednak Gałwanowskiego i Klimasa, którzy byli delegatami Litwy wobec Ligi Narodów na jej sesji paryskiej, wpłynęły na opinię litewską w kierunku optymistycznym. Uchwały paryskie były powzięte w duchu przychylnym żądaniom litewskim. Odwołanie plebiscytu jest ze stanowiska litewskiego dodatnim, bo wyniki tegoż byłyby w chwili obecnej niebezpieczne dla Litwy, szczególnie gdyby się plebiscyt miał ograniczyć ściślejszym terytorium Wilna bez Grodzieńszczyzny. W rokowania bezpośrednie litewsko-polskie w Brukseli nikt z Litwinów nie wierzy, natomiast panuje tu przekonanie, że przewodnictwo pełnomocnika Ligi Narodów w tych rokowaniach stanie się punktem wyjścia do arbitrażu Ligi w tym sporze, to znaczy, że to, czego rokowania bezpośrednie nie będą w stanie rozwiązać układem, zostanie rozwiązane decyzją Ligi na wniosek Hymansa. Podług źródeł litewskich, inspirowanych przez sprawozdania Gałwanowskiego i Klimasa, Liga Narodów jest zdecydowana nie

[444] Plebiscyt na Górnym Śląsku przeprowadzono 20 III 1921. Za Polską opowiedziało się 479 tys. głosów (ok. 40 %), za Niemcami 707 tys. (ok. 60 %).
[445] Kazimieras Oleka (1880-?), 1919-1921 członek Sądu Okręgowego w Kownie, 1922-1923 minister spraw wewnętrznych, od 1944 na emigracji.
[446] Bernard Frydman (Fridman; B. Fridmanas) (1859-1929), sędzia Sądów Okręgowych w Kownie (1920-1925 z przerwami) i w Poniewieżu (1925-1929), minister do spraw narodowej mniejszości żydowskiej (1923).

dopuścić do wcielenia Wilna do Polski, żądając jeno od Litwinów za cenę Wilna pewnych zastrzeżeń, zmierzających do uzgodnienia jej polityki z polityką ogólną Ententy i zapewne także do udzielenia pewnych gwarancji konstytucyjnych co do praw politycznych ludności dzielnicy wileńskiej w ustroju wewnętrznym Litwy. Litwini w tej chwili czują się mocni i pewni siebie w sporze wileńskim, będąc najlepszej myśli. Ten ich optymizm uosabia ich do pewnego zaniedbania drogi porozumienia rozpoczętego w społecznej akcji wileńskiej. Zresztą w kołach politycznych litewskich, tak rządowych, jak sejmowych, wyczuwa się prąd do zrewidowania dotychczasowych pojęć o stanowisku Litwy wobec Europy Zachodniej, Francji i nawet Polski oraz do większego uwzględnienia dążeń i praw czynników nielitewskich w ustroju państwowym. Pod tym względem są bardzo charakterystyczne artykuły drukowane w „Lietuvie”[447] w postaci całego cyklu „Listów z Paryża” podpisywanych pseudonimem Mucius Scaevola. Dokonywają one systematycznie głębokiego i bardzo charakterystycznego przeorania pojęć w społeczeństwie litewskim. W istocie artykuły nie są bynajmniej „listami z Paryża”; są one pisane w Kownie i inspirowane przez Gałwanowskiego i Klimasa.
O ile prasa i opinia litewska wyraża zadowolenie z uchwał paryskich, udając zresztą oczywiście różne zastrzeżenia, aby nie okazać nadmiernego zachwytu, o tyle opinia polska, jak sądzić można z prasy warszawskiej i wileńskiej, z obrad sejmowych w Warszawie i z wynurzeń rządowych, nie jest z uchwał paryskich zadowolona. Podkreśla ona, że zasadniczo nie zrzeka się i nie zrzeknie plebiscytu czy też „konsultacji ludowej” w jakiejkolwiek formie, ponieważ za jedyne kryterium uznaje wolę ludności Wileńszczyzny, a choć się zgadza w zasadzie na prowadzenie w Brukseli rokowań z Litwinami, jednak z góry kategorycznie zastrzega, że arbitraż decydujący Ligi Narodów jest wykluczony i że rola Ligi Narodów może być tylko pośredniczącą, ale nie rozstrzygającą arbitralnie.

24 marca, rok 1921, czwartek
Prezes Mačys uczynił z powodu świąt Wielkiejnocy przerwę 10-dniową w posiedzeniach sądowych. Posiedzenia zostaną wznowione dopiero po Niedzieli Przewodniej[448]. Ale za to w tych ostatnich dniach przedświątecznych wyzyskał nas w pracy do maksimum. Wczoraj odbyło się ostatnie posiedzenie sądowe, a dziś jeszcze posiedzenie gospodarcze i ogólne zebranie. Na ogólnym zebraniu oprócz innych drobniejszych spraw omówiliśmy kandydatury nowych członków Sądu Okręgowego. Ma być wybranych jeszcze czterech nowych członków, a mianowicie panowie Moigys, Czesław Milwid[449], Sugintas[450] i czwarty, zdaje się – Petronaitis. Z nich Moigys wrócił bardzo niedawno z Rosji; był on dawniej starszym notariuszem w Smoleńsku. Znam go ze słyszenia od Julka Komorowskiego[451], który bawiąc przez czas dłuższy w Smoleńsku jako zakładnik wywieziony przez bolszewików, poznał się tam z Moigysem i jego rodziną. Moigys dużo świadczył zakładnikom i zyskał ich sympatie i wdzięczność.
Czesław Milwid, człowiek lat przeszło 40[452], właściciel dwóch majątków ziemskich w powiatach szawelskim i telszewskim, ziemianin i adwokat przysięgły, był posłem z

[447] „Lietuva” – oficjalny organ rządu litewskiego, wychodzący w latach 1919-1928.
[448] Niedziela przewodnia (*Quasi modo geniti*), pierwsza niedziela po Wielkanocy.
[449] Česlovas Milvydas (1870-1936), ziemianin, prawnik, 1906 poseł litewski do I Dumy Państwowej, od 1921 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie, 1928-1933 sędzia Najwyższego Trybunału Litwy.
[450] Antanas Sugintas (1890-?), 1921-1923 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie, 1923-1927 poseł w Sejmie RL, długoletni adwokat w Kownie, od 1945 na emigracji.
[451] Julian Komorowski (1893-?), syn Zygmunta i Elizy z Römerów Komorowskich, siostrzeniec Michała Piusa Römera; w 1924 poślubił Magdalenę Górską (ur. 1900).
[452] Urodził się w roku 1870, miał więc w r. 1921 ponad 50 lat.

guberni kowieńskiej do I Dumy Państwowej Rosyjskiej w r. 1906. Jako ziemianin i szlachcic należy on do kultury polskiej, wszakże sprzyjał zawsze Litwinom i był lojalnym obywatelem litewskim. Zresztą ród jego jest pochodzenia litewskiego. Jest to jeden z tych ziemian żmudzkich, którzy bodaj w równym stopniu są Polakami, co Litwinami i łączą w sobie syntezę dwóch narodowości. Osobiście go zresztą nie znam. Opinię ma dobrą. W początkach państwowości litewskiej zajmował on w Telszach stanowisko naczelnika powiatu. Wygryźli go jednak stamtąd miejscowi działacze radykalni, dla których był on za mało radykalny społecznie i za mało nacjonalistyczny, podejrzany o polonofilstwo i sprzyjanie ziemianom. Milwid, zrażony i zniechęcony, usunął się z życia publicznego. Za namową Narutowicza[453] zgodził się on teraz na postawienie swej kandydatury do sądu. Trzeci – Sugintas (tak, zdaje się, brzmi jego nazwisko), jest sędzią śledczym, prawnikiem zawodowym. Niewiele wiem o nim. Czwarty jest jeszcze człowiekiem młodym i mało doświadczonym, ale prawnikiem. Prezes Mačys zapewnia, że jest człowiekiem zdolnym. Nasz sąd więc staje się coraz liczniejszy. Ułatwi to podział pracy i przyczyni się do lepszego funkcjonowania sądu. Wacław Biržiška pokazywał mi list Michała Biržiški z Wilna. Michał pisze, że „krajowcy" wileńscy, to znaczy nie tylko z grupy demokratycznej Witolda Abramowicza, ale i elementów społecznie bardziej konserwatywnych, jak Czesław Jankowski[454], pragnąc rozszerzyć rozpoczętą społeczną akcję porozumiewawczą, chcieli posłać zaproszenie przyjazdu do Wilna chrześcijańskim demokratom litewskim i stronnictwu „Pažangi". Władze wojskowe wileńskie na razie na prośbę „krajowców" obiecały wydać przepustki formalne na przyjazd przedstawicieli tych grup do Wilna, ale potem odmówiły, tłumacząc się złymi stosunkami urzędowymi z Litwą „Kowieńską" i oświadczyły, że przedstawiciele litewscy mogą przyjechać w ten sam sposób, jak przyjechali w lutym delegaci ludowców i esdeków litewskich, bez przepustek formalnych, danych z góry. „Gentlemańscy krajowcy" – jak powiada Michał Biržiška – uznali, że w tych warunkach byłoby niegrzecznym zapraszać przedstawicieli stronnictw litewskich. Dalej powiada Biržiška, że „Odrodzenie" gotuje się do posłania delegatów do Kowna, jeno czeka zawiadomienia z Kowna od ludowców, że skądinąd Zasztowt[455] też zabiega o to, aby się spieszyć z jazdą do Kowna. Ze swej strony Biržiška zaznaczał, że dla oczyszczenia atmosfery należy zapoczątkowaną akcję porozumiewawczą, przeciwko której wściekają się endecy w Wilnie, prowadzić dalej. Co do „Odrodzenia", to list Biržiški zawiera wiadomość o utworzeniu się w łonie tego związku frondy, na której czele stoi Stefan Mickiewicz[456]. Fronda ta ma nawet podobno wydawać osobne pismo. W sprawie porozumienia z Litwinami fronda „Odrodzenia" jest podobno usposobiona bardziej ugodowo i podobno nawet gotowa jest nie nalegać na postulacie federacji Litwy z Polską. Tyle Michał Biržiška. Napisałem przeto do Zygmunta Jundziłła w Wilnie prosząc, by się zakrzątnął w sprawie przyjazdu delegatów wileńskich do Kowna. Niech się stronnictwa, które mają uczestniczyć w tej akcji, porozumieją między sobą, wybiorą delegatów i wyznaczą zawczasu staranie o przygotowanie i dostarczenie im przepustek na przekroczenie linii demarkacyjnej. Mam

---

[453] Stanisław Narutowicz (1862-1932), brat prezydenta Gabriela Narutowicza, działacz polsko-litewski, sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy 16 II 1918.

[454] Czesław Jankowski (1857-1929), pisarz, dziennikarz, rzecznik krajowości, 1906 poseł do I Dumy Państwowej, od 1922 członek redakcji wileńskiego „*Słowa*".

[455] Aleksander Zasztowt (1874-1944), działacz socjalistyczny, 1918-1923 przywódca Polskiej Partii Socjaldemokratycznej Litwy i Białorusi (od 1922 PPS Litwy i Białorusi), 1920-1921 członek Tymczasowej Komisji Rządzącej Litwy Środkowej, 1922 poseł na Sejm Wileński.

[456] Stefan Mickiewicz (ok. 1886-?), adwokat, działacz ludowy, poseł do Sejmu Wileńskiego z listy PZL „Odrodzenie".

nadzieję, że po powrocie do Kowna ze świąt zastanę już może odpowiedź Jundziłła i będę mógł pocisnąć tę sprawę.

25 marca, rok 1921, piątek
Rano wyjechałem z Kowna. Ścisk był na dworcu kolejowym i w pociągu z powodu ruchu świątecznego. Aby umożliwić tłumowi podróżnych wyjazd, dyrekcja kolejowa puściła w kierunku na Szawle pociąg dodatkowy. Na wieczór przyjechałem do Rakiszek. Tu zastałem furmankę przysłaną dla mnie z Kowaliszek, która mię w nocy dowiozła wprost do Bohdaniszek. W Bohdaniszkach stanąłem o godz. 2 w nocy. Zastałem siostry uśpione, ale wstały na moje powitanie. Dowiedziałem się, że Jakszuka już w Bohdaniszkach nie ma. Wyniósł się w dwa dni po moim wyjeździe. Elwira zatrzymała nie tylko sporną linijkę, ale i starą karafaszkę[457], którą mu wpierw za linijkę oddawała, i cielicę. Zarządziła to Elwira z powodu ujawnienia nieuregulowanych przez Jakszuka rachunków należności w młynie, które to należności były przez Jakszuka w rachunkach podane za opłacone, oraz z powodu sprzedanych przez Jakszuka resorów dworskich na jego własny rachunek. Jakszuk widząc, jak ostro się Elwira bierze do likwidowania jego nadużyć, pośpieszył umknąć, żeby nie zatrzymano potem we dworze i reszty jego rzeczy. Wyniósł się Jakszuk z rodziną do Kieleżerów, podobno na gospodarkę wójta Baranowskiego. Posady, którą miał otrzymać w Rakiszkach, widocznie nie otrzymał. Siostry odetchnęły swobodnie, gdy Jakszuk się wreszcie oddalił.
Znowu zapadłem na 10 dni na wieś i nie będę wiedzieć, co się na świecie Bożym w sferze stosunków politycznych dzieje. Ale tym razem w Bohdaniszkach będę miał dużo roboty, bo trzeba będzie koniecznie przez święta dokonać działu faktycznego w majątku.
Nadmienię w dzienniku, że wspominał mi wczoraj dyrektor departamentu w Ministerium Spraw Zagranicznych, pan Balutis[458], o tym, że istnieje projekt wysłania mnie w delegacji litewskiej na konferencję litewsko-polską pod przewodnictwem Hymansa w Brukseli. Wątpię, bym propozycję taką przyjął, gdyby mi ona uczyniona została. Udział Polaka w delegacji litewskiej do rokowań z Polską o przedmiot ostrego sporu, choćby Polaka, który, jak ja, stoi kategorycznie na stanowisku państwowości litewskiej, może być aktem nietaktu, nie mówiąc o tym, że moja pozycja osobista byłaby bardzo przykra.

26 marca, rok 1921, sobota
Dzień spędziłem bezczynnie. Byłem zmęczony po podróży wczorajszej, wypoczywałem w cichej słodyczy Bohdaniszek. Zresztą w Bohdaniszkach życie płynie teraz dość wartko, bo siostry krzątają się i pracują dzielnie. Ślady ich pracy znać wszędzie. Bohdaniszki co do ładu wewnętrznego, organizacji i inicjatywy dźwigają się. Ciężko idzie siostrom, ale idzie.
Korzystam z zacisza, dającego mi miejsce wolne w dzienniku, aby pchnąć nieco naprzód ku zakończeniu moją relację o społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej z ubiegłego miesiąca. Wyczerpałem zestawienie programu rozwiązania sprawy wileńskiej, przedstawionego przez „Odrodzenie”, z takimże programem przedstawionym przez delegatów ludowców litewskich. W dniu, w którym obie strony przedstawiły sobie wzajemnie propozycje, dyskusja, która się wywiązała, zeszła na tory wypominania sobie błędów, win i krzywd wzajemnych. Czynili to zwłaszcza chłopi z „Odrodzenia”, zresztą prawie wyłącznie (przynajmniej ci, co zabierali głos) –

[457] Karafaszka – bryczka.
[458] Bronius Balutis (1879-1967), litewski polityk, dyplomata.

Białorusini, podający się sami za takich. Przemawiali jednak ze stanowiska całkowicie polonofilskiego. W litanii skarg, zarzutów i rekryminacji względem Litwinów nie poruszali oni właściwie wcale tez zawartych w propozycjach obydwóch stron. Uczyniło to obrady jałowymi, pozbawionymi wszelkiej wartości realnej dla sprawy porozumienia. Wrażenie było bardzo przykre, bo w tych rekryminacjach strona litewska była jak pod pręgierzem. Zapanował nastrój nerwowy, drażniący delegatów litewskich. Ze strony litewskiej poseł Makowski, chcąc odeprzeć liczne, bezładne zresztą zarzuty, spróbował wystąpić z dłuższym przemówieniem, ale że był zdenerwowany i poirytowany, sam mówił bezładnie, argumentując słabo i popełniając ten sam błąd, co chłopi „Odrodzenia", a mianowicie drażniąc Polaków wzajemnymi rekryminacjami. To jeszcze bardziej pogorszyło nastrój. Skorzystali z tego ci z inteligenckich menerów[459] „Odrodzenia", którzy od początku byli najwidoczniej przeciwni porozumieniu, traktowali całą akcję ze złośliwym przekąsem i pragnęliby najszczerzej łeb jej urwać. Zwłaszcza było to widoczne u Ludwika Chomińskiego, dr Napoleona Czarnockiego i Leona Pietkiewicza. Chomiński robił to z większą dyplomacją, operując frazesem, Czarnocki, z fajeczką w zębach, miał ton w przemówieniu niedbały, raniący sam przez się pewnym nawet odcieniem lekceważącej pogardy; Leon zaś Pietkiewicz, szczerszy od dwóch poprzednich, mówił już wprost bez ogródek o bezcelowości jakiegoś porozumiewania się i upatrywał w propozycjach litewskich drwiny z Polaków wileńskich i po prostu próbę okpiwania ich jakimś bujaniem dziecinnym. Widać było, że inteligenccy przeciwnicy akcji porozumiewawczej w „Odrodzeniu" cieszą się z przykrej atmosfery skarg i zarzutów wzajemnych i chcą na poczekaniu umorzyć rzecz całą. Były momenty, że się zdawało, iż jest już po wszystkim i że wszelkie dalsze gadanie jest bezcelowe. Uratował sytuację poseł Raczkowski, który z wielkim taktem odwołał się do rozwagi zebranych i zaproponował, by zaniechać na przyszłość w obradach oskarżania się wzajemnego i przejść do konkretnego omawiania tez jednej i drugiej strony, zawartych w propozycjach, by poszukać w nich tego, co jednak jest u obydwóch stron bliskim i wspólnym i spróbować ustalenia kompromisu. Przemówienie Raczkowskiego wniosło uspokojenie i wywołało oklaski, zwłaszcza chłopów. Na tym się ten dzień skończył. Postanowiono obradować nadal nazajutrz. Litwini wyszli jednak z tego zebrania pod wrażeniem bardzo przykrym. Co do mnie, postanowiłem w dalszym toku obrad nie brać osobiście udziału, uważając, że mój udział może jeszcze utrudnić akcję, bo już Leon Pietkiewicz dał mi wyraźnie do zrozumienia, że moją rolę uważa za coś w rodzaju faktora litewskiego, szkodzącego sprawie.

27 marca, rok 1921, niedziela
Pierwszy dzień Wielkiejnocy. W wyczerpanych Bohdaniszkach nie ma tradycyjnego święconego, ale przynajmniej po wielu leciech jestem znowu u siebie, w gnieździe rodzinnym, i spędzam te święta w domu w towarzystwie kochanych siostr – Elwiry i Maryni. Dzięki Bogu – zaczynamy się znowu skupiać i odtwarzać naszą rodzinę. Nas troje najmłodszych z rodzeństwa, którzyśmy najdłużej w domu rodzicielskim dom nasz własny mieli, znowuśmy się spotkali na współżyciu w Bohdaniszkach. Los zdarzył, że małżeństwa nasze zostały spaczone i że przeto przez rodzinę indywidualną nie zostaliśmy tak oderwani od naszego wspólnego podłoża rodzinnego, jak starsze siostry – Kotunia i Elizka. Ja i Marynia żyjemy zupełnie poza więzami małżeńskimi. Elwira swoje małżeństwo ze Stefanem formalnie zachowała, ale w istocie jej stosunek ze Stefanem jest zupełnie luźny, a przez odseparowanie faktyczne obecnie jej małżeństwo jest tylko fikcją, przynajmniej w tej chwili. Jesteśmy więc znowu we troje w Bohdaniszkach, wznawiając jakby dalszy ciąg naszej dawnej rodziny macierzystej, jak

[459] Mener (fr.) – kierownik stronnictwa; kierownik intrygi.

było do r. 1908. Jest tylko ta różnica głęboka, że brak wśród nas Mamy i Papy i żeśmy postarzeli sami o lat kilkanaście, zbliżając się do schyłku wieku dojrzałego. Ale gdyśmy razem w Bohdaniszkach, to duch naszych zmarłych Rodziców jakby odżywa wśród nas i zdaje się nam towarzyszyć, błogosławiąc wspólnocie naszej. I jest jeszcze ta różnica, że zamiast dzieci Maryni, jak było przed laty, są dziś dzieci Elwiry. Ale są dzieci – i to grunt. Dzieci aktualizują życie, orientują je w przód, a nie wstecz, wnoszą ruch i są pierwiastkiem wieczystości natury. Bez nich smutne jest życie. Dzieci Maryni wyfrunęły już w świat, natomiast dziatki Elwiry są jeszcze tak młode, że długo jeszcze będą Bohdaniszkom swego żywego uroku użyczały. Córeczka Elwiry, dziesięcioletnia Helcia, najstarsza z jej dzieci, bawi w Kowaliszkach dla nauki; nie przyjechała na święta do matki, bo w Kowaliszkach ma rozrywki, ma towarzystwo dziecinne, ma farbowanie jaj świątecznych, ma święcone wspaniałe, a w Bohdaniszkach nie miałaby tego wszystkiego. Są tu więc z dzieci Elwiry tylko dwoje najmłodszych: ośmioletni Andrzej, zwany Aniem albo Aniusiem i dwuletni Michaś, jedyny z wnuków Papy, który odziedziczył to imię. Mały Andrzej Mieczkowski jest dzieckiem bardzo miłym, kto wie, czy nie najmilszym ze wszystkich dzieci sióstr moich. Z rysów i wyrazu twarzy jest bardzo podobny do swojej ciotki rodzonej po ojcu, panny Marysi Mieczkowskiej, tylko przystojniejszy od niej. W wyrazie miewa też nieraz bardzo duże podobieństwo do Henrysia Wołłowicza, gdy tenże był mały. Andrzej jest dzieckiem niepowszednim. Czasem bywa psotny, pełny figlów, żywy jak ogień. W przeszłym roku czynił wrażenie, że żywość i psotność są jego cechami najwydatniejszymi. W tym roku jednak żywość ta wybucha w nim tylko chwilami, jakby falami, na ogół zaś ma w sobie niezmiernie dużo zamyślenia. Pasjami lubi czytać i gotów dnie całe spędzać nad książką lub obrazkami, nie wychodząc na chwilę na dwór się pobawić. Jest dzieckiem myślącym i ma wyobraźnię niezmiernie rozwiniętą. Stwarza sobie w wyobraźni świat cały, w który się wpatruje i czerpie rozkosz z tej kontemplacji. Jest nierealny, jakby nie z tego świata. Umysł jego nie przywiązuje się do żadnych rzeczy praktycznych, unika realizmu czynów i faktów, natomiast żyje i ćwiczy się w wyobraźni. Pomimo to jest w wielu rzeczach pedantem drobiazgowym. Charakter – prawy i serdeczny, pozbawiony interesowności. Może z niego wyrosnąć chłopiec zdolny i obdarzony bogatą treścią psychiczną. Jednak wyobraźni przewaga może być w wieku przejściowym niebezpieczna dla zdrowia i równowagi rozwoju psychicznego. Młodszy synek Elwiry – Michaś – jest dziwny i pomimo dwóch lat skończonych nie posiadł sztuki mowy. Wymawia tylko kilka wyrazów, ale bardzo niewyraźnie. Mówi dużo, czasem szczebiocze po kilka minut bez przerwy, coś tłumaczy i opowiada, ale jest to jakaś mowa nieartykułowana, której nikt zrozumieć nie jest w stanie. Jest dzieckiem wesołym, czasem, zwłaszcza przy matce, kapryśnym, fizycznie rozwinięty nieźle, ale umysłowo bardzo jeszcze głupiutki na swój wiek. Mnie lęka się jak zmory. Samo imię „wujek" przeraża go i jest najskuteczniejszym środkiem do poskromienia kaprysów.

28 marca, rok 1921, poniedziałek
Dzisiejszy dzień w dzienniku poświęcę raz jeszcze społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej, którą rad bym już zakończyć w relacji. Czuję jednak, że jeszcze dziś nie skończę i że jeszcze jeden dzień prócz dzisiejszego na to poświęcić wypadnie.
Po posiedzeniu w „Odrodzeniu", na którym zarząd „Odrodzenia" i delegaci ludowców litewskich wręczyli sobie wzajemnie propozycje jednej i drugiej strony, ja osobiście potem już w dalszych posiedzeniach bezpośrednio nie uczestniczyłem. Nie chciałem się bowiem narzucać. Nie chciałem, by członkowie „Odrodzenia", zwłaszcza inteligenci, mogli zarzucić, że to nie delegaci litewscy, lecz ja stawiam i rozwijam w ich zastępstwie postulaty litewskie i kieruję stroną litewską w układach. Mogliby oni

uważać mój udział za szkodzący porozumieniu i zarzucać, że to ja utrzymuję „upór" Litwinów i że bez mojego wtrącania się, oni, Polacy wileńscy, łatwiej by się z Litwinami dogadali bezpośrednio. Wiem bowiem, że takie zarzuty były mi stawiane, choć w istocie Bóg mi świadkiem, że to nieprawda, że przeciwnie, właśnie ja, przez konkretyzowanie i rozwijanie logiczne niedopowiedzianych nieraz postulatów litewskich, zmuszałem poniekąd Litwinów do stawiania kropek na „i", nie dając im utonąć w mglistym ogólniku. Takie konkretyzowanie w istocie przyczyniało się jeno do zbliżenia stanowisk w tej pierwszej fazie obrad, bo konkretyzując Litwini musieli wyciągać w logicznych i ścisłych formułach konsekwencje założeń ogólnikowych o uszanowaniu indywidualności narodowych i dzielnicowych, o równorzędności Wilna w budowie państwowej Litwy, o względach wspólnej z Polską obrony przeciwko niebezpieczeństwu ze wschodu itd. Konkretyzowanie takie doprowadzało od ogólników do takich formuł, których by sami Litwini się przerazili, gdyby nie doszli do nich stopniowo przez konkretyzację logiczną. Od ogólnika zawsze potem łatwiej się cofnąć lub dać mu tłumaczenie restrykcjami, natomiast gdy się rzekło konkretną formułę, to już ona obowiązuje nadal. Moim więc dążeniem w stosunku do Litwinów było doprowadzenie do tego, by nie dać im po wykrztuszeniu „a" ustać w pół drogi, lecz za „a" wycisnąć z nich „b", „c" itd. Chociaż to konkretyzowanie formuł nie doprowadziłoby u Litwinów do identyczności z formułami Polaków Wilnian, ale tylko tą drogą można, zdaniem moim, dochodzić do krystalizacji jasnej stanowisk, która jest warunkiem wszelkiego układu dwustronnego. Do tego też istotnie dążyłem w tej akcji i pod wielu względami to mi się powiodło skutecznie. Natomiast ludzi krótkowzrocznych w obozie polskim mogło to razić i drażnić. Woleliby oni, gdybym ja, zwłaszcza z tytułu, że jestem osobiście Polakiem, popierał wobec Litwinów postulaty polsko-wileńskie i starał się przekabacić Litwinów na stanowisko tez polskich. Żeby więc nikogo ze strony polskiej nie drażnić, więcej na zebrania w „Odrodzeniu" nie chodziłem, a komunikowałem się z delegatami litewskimi i prowadziłem moją linię w bezpośrednich rozmowach z nimi poza tymi zebraniami. Odbyły się jeszcze trzy dalsze zebrania w „Odrodzeniu". Delegaci litewscy potrafili zręcznie ugłaskać pierwszy impet skarg i zarzutów płynących od chłopów względem Litwy i Litwinów. Paru zręcznymi, pełnymi taktu i sprytu politycznego posunięciami, potrafili oni zsolidaryzować na gruncie postulatów społecznych sympatie chłopskie z litewskimi ludowcami, które w szczególności ich stronnictwo i zresztą państwowość litewska realizuje, zostawiając w pewnym odosobnieniu element inteligencki w „Odrodzeniu". Tą drogą udobruchali oni i nawiązali pewną nić ścisłości z chłopami. Oczywiście, że wpłynęło to dodatnio i na nastrój ugodowy w spornej kwestii wileńskiej. Na próżno Leon Pietkiewicz, a nawet pani Karnicka[460], wreszcie i Ludwik Chomiński usiłowali kilka razy podkopać delegatów litewskich, zdyskredytować ich postulaty przez obudzenie podejrzliwości chłopów w „Odrodzeniu", słowem – łamać i sabotować drogę porozumiewawczą. Delegaci litewscy wykorzystali też dogodny dla nich antagonizm między Stefanem Mickiewiczem a gronem inteligentów demokratycznych w „Odrodzeniu" i Stefan Mickiewicz sam im w tym dopomógł. Jest on aż nadto sprytny, by wyczuć, że delegaci litewscy szukają kontaktu bezpośredniego z chłopami, starając się usunąć pośrednictwo inteligenckie. A ponieważ Stefan Mickiewicz walczy z tymiż inteligentami o wpływy w „Odrodzeniu" i przeciwstawia się im, usiłując się oprzeć na chłopach, wśród których ma znaczny posłuch i których demagogicznie łechce radykalnym frazesem, więc zrozumiał on w lot, że może być dla delegatów litewskich politycznie użyteczny.

---

[460] Aleksandra Karnicka, z domu Barańska (1882-1965), działaczka ludowa, poseł Sejmu Wileńskiego (1922) z listy PZL „Odrodzenie", senator (1922-1928) i poseł w Sejmie RP (1928-1930) z listy PSL „Wyzwolenie".

Oczywiście chodziło mu o upieczenie przy tym własnej pieczeni – czysto pieniężnej. Nie zawahał się ten „działacz", który mógłby się mienić alfonsem politycznym, zwrócić się do delegatów litewskich prywatnie i poufnie o udzielenie mu pożyczki, motywując tym, że go inteligenci polscy bojkotują i że nigdzie kredytu znaleźć nie może.

29 marca, rok 1921, wtorek
Od jutra rozpoczną się w Bohdaniszkach nasze prace dzielcze, o których w dzienniku referować będę. Dziś więc mogę jeszcze skorzystać z miejsca dla kończenia spóźnionej relacji o społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej.
Gdy mi delegaci litewscy powiedzieli, że Stefan Mickiewicz zwracał się do jednego z nich, Raczkowskiego, z prośbą o pożyczkę pieniężną, co oczywiście miało cechę subsydium, a subsydium działaczowi politycznemu nigdy się za darmo nie udziela, ostrzegłem Litwinów, aby byli bardzo z tym ostrożni. Stefan Mickiewicz jest osobnikiem, na którym polegać nie można. Jeżeli dziś prosi o pieniądze Litwinów, to jutro może się zwrócić o to samo do kogoś innego i za grubszy datek wyśpiewa fakt otrzymania od Litwinów „pożyczki". Byłoby to wielką kompromitacją, gdyby się ujawniło, że delegaci ludowców litewskich, przyjechawszy do Wilna dla społecznej akcji porozumiewawczej, zajmują się przekupywaniem działaczy polskich z „Odrodzenia". Delegaci litewscy postanowili wobec tego w Wilnie Mickiewiczowi pieniędzy nie dawać, jeno przyrzec mu udzielenie prywatnej pożyczki po przyjeździe jego do Kowna. Jednocześnie kładli w rozmowach z Mickiewiczem wielki nacisk na to, by w przyszłej delegacji do Kowna zostali koniecznie wybrani z ramienia „Odrodzenia" nie sami tylko inteligenci, lecz także chłopi, o których pozyskanie ludowcom litewskim chodzi nade wszystko. Delegaci litewscy liczyli, że w ten sposób pozyskają w Mickiewiczu agenta, który będzie zabiegał gorliwie o szybkie wysłanie delegacji „Odrodzenia" do Kowna i o jej dobór taki, który Litwinów zadowoli. Ze Stefanem Mickiewiczem nawiązali oni bliższy stosunek, zaprosili go na poufny obiadek w gabinecie restauracji „Bristolu" i za jego pośrednictwem zostało też zainicjowane i doprowadzone do skutku przed wyjazdem delegatów litewskich z Wilna śniadanie pożegnalne, w którym wzięli udział delegaci litewscy i grono chłopów z zarządu „Odrodzenia", bez udziału inteligenckich elementów z tegoż zarządu. Słowem, nastąpiła bliższa komitywa delegatów litewskich z chłopami „Odrodzenia" poza plecami prowodyrów inteligenckich w rodzaju Chomińskiego, Pietkiewicza i innych. Moim zdaniem jednak co do Stefana Mickiewicza, Litwini powinni zachować w kontaktach z nim wielką ostrożność, bo w żadnym razie polegać i dużo budować na nim nie można.
Lwią część akcji porozumiewawczej wypełniły obrady delegatów litewskich z zarządem „Odrodzenia", które toczyły się w szeregu codziennych posiedzeń. Polskie Stronnictwo Demokratyczne (grupa Witolda Abramowicza), które się też gotowało do akcji porozumiewawczej i przez delegatów swoich – Witolda Abramowicza i Bronisława Krzyżanowskiego – wzięło udział w pierwszym zebraniu powitalnym dla delegatów litewskich w jadłodajni higienicznej, występując wspólnie i solidarnie z przedstawicielami „Odrodzenia", zostało następnie wytrącone z dalszego łożyska akcji porozumiewawczej. Gdy bowiem w łonie zarządu „Odrodzenia" rozpoczęły się tarcia między Stefanem Mickiewiczem a inteligenckimi elementami zarządu i gdy wbrew pierwotnemu planowi, ułożonemu wspólnie z demokratami, zarząd „Odrodzenia" na skutek opozycji chłopskiej, podniecanej przez Mickiewicza, postanowił nie wybierać żadnej osobnej delegacji do porozumiewania się z Litwinami, jeno obradować z delegatami litewskimi bezpośrednio *in corpore*, demokraci się od następnych zebrań uchylili, nie chcąc się stykać z Mickiewiczem i uważając, że metoda gremialnego

rozmawiania z Litwinami w „Odrodzeniu" jest ujemna. Nie chcieli też obradować z Litwinami w obecności generała Babiańskiego, któremu nie ufają i którego wścibstwo razi ich. Uważali oni, że dla powagi i skuteczności rokowań powinny brać w nich udział li tylko wyraźne strony bez wszelkiego udziału jakichś faktorów pojednania, samozwańców dobrej woli, poszukujących tajemniczego sekretu zbawienia i uszczęśliwienia ludzkości przez swoje wykoncypowane pomysły kompromisu. W roli takiego faktora i lekarza bawił w Wilnie Babiański. Im więcej narzucał się on ze swym pośrednictwem, tym bardziej demokraci się usuwali. Delegaci litewscy spostrzegli nieobecność demokratów, ale sami pierwszego kroku do nawiązania z nimi osobnego kontaktu czynić nie chcieli, ponieważ formalnie po pierwszym spotkaniu z demokratami wspólnie z przedstawicielami „Odrodzenia" nie zostali przez demokratów zawiadomieni, że demokraci od „Odrodzenia" się wyodrębniają. Wobec tego ja wziąłem na siebie inicjatywę nawiązania osobnego kontaktu delegatów litewskich z demokratami. Porozumiałem się w tej mierze z Witoldem Abramowiczem, wskutek czego w mieszkaniu Zygmunta Jundziłła wyznaczone zostało pewnego dnia spotkanie delegatów ludowców litewskich z delegatami Stronnictwa Demokratycznego w osobach Jundziłła, Krzyżanowskiego[461] i Witolda Abramowicza. Zebrańko to i pogawędka na nim okazały się bardzo dobre. Obie strony wyniosły jak najlepsze wrażenie. Delegaci litewscy nabyli przekonania, że demokraci traktują sprawę bardzo poważnie i szczerze oczekują praktycznego sposobu rozwiązania sprawy wileńskiej na zasadach niepodzielności Litwy.

30 marca, rok 1921, środa
Wczoraj przyniesiono mi z gminy krewieńskiej pakiet, w którym znalazłem *primo* – list od Jakszukowej, i *secundo* – zaproszenie od wójta Baranowskiego, bym się dziś na godz. 10 rano stawił w gminie. List od Jakszukowej, długi, pełny utyskiwań na siostry moje i skarg na krzywdy, które rzekomo Jakszuków spotkały, dopomina się o zwrot zatrzymanej linijki i cielicy, a wreszcie grozi, że w przeciwnym razie Jakszukowie będą dochodzić sprawiedliwości. Oczywiście w liście tym Jakszukowa kadzi mnie pochlebstwem, podnosząc moją uczciwość i szlachetność i odwołując się do mojego uczucia sprawiedliwości, o siostrach zaś moich śmie się odzywać ubliżająco. Zważywszy, że Jakszukowie zamieszkali w tejże wsi Kieleżerach, w której mieszka wójt krewieński, Baranowski, i że, jak Jakszukowa pisze, wójt Baranowski dał im do użytku 5 dziesięcin ziemi ze swojej gospodarki, oraz że list Jakszukowej przysłany został w tej samej kopercie urzędowej, w której zamieszczona została kartka wzywająca mię na dziś do gminy, jestem pewien, że wójt mię wzywa właśnie w sprawie skargi Jakszuka. Nasze młode samorządy gminne nie orientują się dobrze w zakresie swoich praw i funkcji; zdaje się im, że są one powołane do rozstrzygania wszelkich spraw i regulowania całego życia i wszystkich stosunków w obrębie gminy. Taki wójt uważa siebie za rodzaj małego królika, który może wymierzać sprawiedliwość i decydować w gminie o wszystkim; pretensje Jakszuka nadają się do rozpoznania w sądzie, ale wójtowi może się zdawać, że jego władza wystarczy. Znam cały szereg jaskrawych przykładów świadczących, że nawet w sprawach cywilnych o własność nieruchomości gmina przywłaszcza sobie atrybucje sądów i komorników. Lud nasz nie miał jeszcze szkoły samorządu, a jeżeli ją miał za czasów rosyjskich, to była ona spaczona samowolą naczelników ziemskich i posłuszną biernością *quasi*-samorządnej, a w istocie rządzonej masy chłopskiej, toteż dziś nałogi rosyjskie, czyniące z „samorządów" małą satrapię władz lokalnych, wciąż jak szydło z worka wyłażą. Czasy też bolszewickie, choć

[461] Bronisław Krzyżanowski (1876-1943), prawnik, jeden z czołowych przedstawicieli demokratów wileńskich, 1922 wicemarszałek Sejmu Wileńskiego, 1922-1927 senator RP.

krótkie tu było ich panowanie, nie pozostały też bez śladu; stworzyły one wzory nieodpowiedzialnych rządów władz lokalnych, właściwie ich samowolę wyrażoną w osławionej rosyjskiej formule sowieckiej: „власть на местахъ”[462].To rozprzężenie władzy i rozproszkowanie jej lokalne jest jedną z plag stosunków administracyjnych tak w Litwie, jak w Łotwie, ciężko dotykających ludność i podkopujących zasadę praworządności. Oczywiście ze mną, prawnikiem i sędzią, nie będzie mógł wójt postąpić sobie tak, jak mógłby postąpić ze zwykłym śmiertelnikiem, chcąc sobie na własną rękę wymierzać urojoną „sprawiedliwość”. Pojechałem jednak na wezwanie do gminy, by nie dać pozoru lekceważenia jej. Ale wójta nie zastałem. Poczekałem w Krewnie dwie godziny u księdza, a gdy się wójta nie doczekałem, wróciłem do Bohdaniszek. To, że się stawiłem na wezwanie i że wzywającej mię „władzy” nie zastałem, to mam z tego tylko atut.
Dopóki Bohdaniszki są formalnie niepodzielone i dopóki pozostają na stopie dworu, trzeba z gminą i jej władzami liczyć się i zachować wszelką kurtuazję dyplomatyczną, bo w stosunkach administracyjnych tak nienormalnych, jak te, które są dziś w kraju i wobec tendencji ogólnej gnębienia dworów i obarczania ich różnymi ciężarami, dyplomacja jest konieczną. Umiejętnie sobie radząc z władzami gminnymi można uniknąć wielu ciężarów, a jeżeli się z nimi zadrze, to jest się narażonym na szykany i ciężary bez końca. Wprawdzie moje stanowisko w Kownie daje mi wielką siłę w stosunkach bohdaniskich, ale swoją drogą liczyć się trzeba, choćby dlatego, że mnie tu przeważnie nie ma, a siostry same są w większości przypadków bezradne. Nie dam się zjeść i zdeptać praw moich, ale do czasu bezpieczniej jest zachować kurtuazję.
Po obiedzie przyjechała z Kowaliszek Elizka Komorowska z Hektorem. Rozpoczynamy czynności dzielcze. Zaczynamy sami, a pojutrze przyjadą arbitrowie dla usankcjonowania operacji dzielczych i ostatecznego ustalenia podziału nieruchomości. Do wspólnych czynności przybył też Jan Kligys jako plenipotent Henrysia Wołłowicza. Nieobecny był tylko Józef Petrulis, plenipotent Kotuni Pruszanowskiej. Ponieważ jednak Petrulis już przeszłym razem zaznaczył, że trudno mu jest przyjeżdżać i że rolę swoją uważa li tylko za formalną, bo w myśl zresztą listu Kotuni ja mam udzielone mi przez nią prawo decydowania za nią we wszystkich kwestiach działu, a przeto uważa uczestnictwo swoje w naszych zebraniach familijnych za zbyteczne i podpisze wszystko, co my uchwalimy i wszędzie, gdzie będzie potrzeba, więc na zebranie dzisiejsze nie wzywaliśmy go wcale. Będzie spisany protokół i ten mu poślemy do podpisania.
Zaczęliśmy dział od ruchomości. W pierwszym rzędzie szły meble i sprzęty domowe, oprócz mebli w gabinecie Papy i garnituru mebli herbowych oraz portretów rodzinnych w starym salonie, które zostały uznane za niepodzielne i darowane na własność mnie, i oprócz bufetu, stołu jadalnego i krzeseł wiedeńskich w pokoju jadalnym i stolika marmurowego w przedpokoju, które zostały uznane z góry za własność tego, kto zostanie właścicielem domu mieszkalnego w Bohdaniszkach, jak się później okazało – Elwiry. Spis mebli został sporządzony przez Marynię. Podług tego spisu ułożyliśmy sześć osobnych kompletów równej wartości, które następnie rozlosowaliśmy kartkami.

31 marca, rok 1921, czwartek
Przesiedzieliśmy wczoraj, dzieląc Bohdaniszki, do godz. 3 w nocy. Napracowaliśmy się porządnie, ale za to zrobiliśmy dużo. Większą część czasu zajęły nam czynności działu ruchomości, choć to było najłatwiejsze i sprowadzało się do działań mechanicznych. Ruchomości dzieliliśmy przeważnie na losy. Przy podziale mebli dużą sensację

[462] „Власть на местах” (ros.) – „władza w terenie”, hasło bolszewików, służące im w 1917 r. w walce o władzę, później zaś dla zwalczania opozycji.

stanowiło to, co się komu z losów dostanie. Mnie wypadła jedna ze słabszych działek mebli. Wylosowałem wszakże jedno z luster mahoniowych nieuszkodzonych, ładną szafę bieliźniarkę, którą od dzieciństwa przywykliśmy oglądać i która przeto jest miłą pamiątką, dużą kanapę żółtą funduszową bohdaniską, najstarszy mebel w Bohdaniszkach, który jeszcze Papa tu zastał, dużą szafę Papy do ubrania, tradycyjnie stojącą w korytarzu, dwa stoły środkowe z wielkiego pokoju czarne, zegar staroświecki pokojowy duży, kupiony już za mojej pamięci z licytacji w Gudziszkach, stół w garderobie, jeden nieduży stolik czarny, okrągły salonowy i trochę drobniejszych rzeczy.
Elizka, jedyna z nas rozporządzająca pieniędzmi i chciwa ładnych mebli, zamieniła swoją działkę z Marynią za odpowiednią dopłatą i odkupiła od Elwiry za 700 marek garnitur salonowych mebli czerwonych adamaszkowych. Elwira, choć się przez to ogołociła szpetnie, zdobyła jednak trochę gotówki, co już zapewni jej opłatę jej części podatku spadkowego i postawi cokolwiek na nogi. Dzieliliśmy się potem w drodze losowania szkłem, porcelaną i fajansem, różnymi drobiazgami, książkami z biblioteki Papy, inwentarzem gospodarskim. Co do inwentarza, to choć się nim podzieliliśmy, postanowiliśmy pozostawić go na rok do użytku bezpłatnego Elwirze i Maryni w Bohdaniszkach. Miedź – rondle, podzieliliśmy na wagę i wypadło po 30 funtów na sztukę. Oprócz tego było złoto w ilości 27 monet różnego stempla i daty. Złoto to Papa na początku wojny zakopał wraz ze srebrem w piwnicy. W r. 1919 Papa chciał go wykopać. Kopał, szukał, ale nie znalazł i był przekonany, że je skradziono. Przed 10 dniami Marynia spróbowała raz jeszcze pokopać i znalazła. Złoto to postanowiliśmy nie dzielić w naturze, jeno spieniężyć ogólnie i podzielić się gotówką. Z inwentarza gospodarskiego na moją schedę wypadła linijka, wielka nasza staroświecka kareta, dwa konie robocze, krowa jedna, owca.
Główna atoli waga działu polegała na samych Bohdaniszkach. Już poprzednio było ustalone, że Kotunia z Henrysiem biorą schedy na kresach, złożone ze skrawków (Wiwieliszki, folwark Staczeragi, Prapultinia, Cegielnia, Janówka, Apuszynie, Karwieliszki), Elizka Kumsze, ja zaś, Elwira i Marynia bierzemy schedy w samej formie Bohdaniszek z zastrzeżeniem pierwszeństwa wyboru dla mnie. Teraz ustalając każdą schedę przyjęliśmy metodę taką: po wydzieleniu dwu sched kresowych cztery pozostałe (Bohdaniszki i Kumsze) oszacujemy punktacją; za schedę podstawową przyjęliśmy zasadniczą schedę bohdaniską, tę, do której należy dom mieszkalny, cały młodszy ogród owocowy i pole w kierunku Kumsz i granicy boniuskiej. Tę schedę określiliśmy ilością 100 punktów. Drugą schedę bohdaniską – środkową – ze starym ogrodem owocowym, częścią dworu, na której stała dawna oficyna, staw duży i spichrz, i polem środkowym w kierunku pasieki kumszańskiej i Wielkiej Łąki określiliśmy 105 punktami.
Trzeciej schedzie bohdaniskiej z częścią dworu, do której wchodzi kawałek lipowego ogrodu, mniejsza sadzawka, stajnie roboczych koni, gumnisko z zabudowaniami i z polem na Karwieliszki i na granicę busiską, obejmującym Gaj widłami, daliśmy 115 punktów. Wreszcie scheda kumszańska otrzymała 120 punktów. W takim stosunku liczebnym (100 : 105 : 115 : 120) ma być nadzielana każdej schedzie ziemia z całości. Gdy wypadło ustalić, kto jaką otrzyma schedę i gdy ja pierwszy wybrać musiałem, zawahałem się. Żal mi było domu bohdaniskiego, który jest uroczym gniazdem, i ogrodu owocowego. Wszakże co do pól, co do majętności całej, to nie lubię części w kierunku Kumsz i Boniuszek i natomiast najwięcej jestem przywiązany do części w kierunku Gaju i Busiszek. Długo się wahałem nie mogąc się zdecydować. Brałem pod uwagę i wzgląd ten, że Elwira ma dzieci i że może z czasem ktoś z jej potomstwa przejmie i skupi całe Bohdaniszki, podczas gdy ja mam tylko moją jedną córkę, która

Bohdaniszek nie zna i nie będzie lubić, bo będą one dla niej obce. Zdecydowałem się wreszcie i wybrałem schedę bohdaniską trzecią, od gumniska. Dwie pierwsze schedy bohdaniskie zostały rozlosowane między Elwirą a Marynią. Elwirze wypadła zasadnicza scheda z domem mieszkalnym i młodym ogrodem. Maryni wypadła scheda środkowa, obok mojej. Maryni więc oddam moją schedę w dzierżawę. Jedno mię tylko razi. Dopóki jest Elwira i jej dzieci – dopóty wszystko dobrze. Ale ciarki mię przechodzą na myśl, że może tu przyjechać i rozporządzać się w tym świętym dla nas domu pamiątek, domu Rodziców naszych, Elwiry brutal, mąż – Stefan Mieczkowski.

1 kwietnia, rok 1921, piątek
Wskazałem wczoraj, w jaki sposób zarysował się na pozawczorajszym posiedzeniu dzielczym podział Bohdaniszek. Dotyczyło to ziemi. Las postanowiliśmy dzielić osobno. Ze zbadania kwestii leśnej w Kownie i z analizy skrupulatnej zeszłorocznej ustawy sejmowej o wywłaszczeniu lasów doszedłem do przekonania, że dopóki dotychczasowy właściciel prywatny lasu nie otrzymał z właściwej komisji leśnej urzędowego aktu o przejęciu jego lasu w zarząd i na własność państwową, dopóty jest on właścicielem formalnym. Ten fakt, że dotychczasowi właściciele lasów, którym ich jeszcze nie odebrano, otrzymali swoje lasy w jesieni w r. 1920 tylko w „zarząd" z ramienia Departamentu Leśnego i że po tym pozostawieniu im „zarządu" zostali oni przez Departament nazwani „tymczasowymi gospodarzami" („laikinieju šeimininkai"), nie zaś właścicielami, nie zmienia ich stanowiska prawnego, które się określa ustawą. Skoro więc są oni właścicielami i dopóki są nimi, mogą oni dzielić las na zasadach spadkowych tak samo, jak każdą inną nieruchomość. Wprawdzie redakcja ustawy jest dość bałamutna, mogąca dać podstawę i do przeciwnego wnioskowania, jednak trzeba próbować tłumaczyć ją tak, jak nam jest najwygodniej. *Qui ne risque rien – n'a rien*[463], powiada francuskie przysłowie, a gra warta świec. Zresztą, odwaga popłaca i życie należy do tych, kto ma odwagę zdobywać je. Trzeba więc iść i dzielić las. Cała rzecz polega na tym, że lasy mają być już w prędkim czasie przejmowane z rąk właścicieli prywatnych w zarząd, a przeto i na własność państwową. Jeżeli zdążymy podzielić las w Bohdaniszkach przed tym przejęciem, to mamy przeważające szanse na to, że go ocalimy. Podzielić faktycznie można i zaraz, ale dział faktyczny, bez formalnego działu rejentalnego, najprawdopodobniej okaże się niedostateczny. Dla działu formalnego mamy jeszcze cały szereg przeszkód. W pierwszym rzędzie – nie jesteśmy jeszcze zatwierdzeni do spadku i będziemy zatwierdzeni nie wcześniej, niż w połowie maja. Poza tym, największym skrupułem jest ten, że nie mamy formalnego tytułu własności Papy na Bohdaniszki. Bez takiego tytułu nie możemy tytułu uzyskać sami na nasze imię, a nie posiadając tytułu, nie możemy i działu formalnego robić. Przeszukałem teraz w Bohdaniszkach wszystkie skrytki Papy, wszystkie archiwa dokumentów bohdaniskich – i Papy tytułu własności nie znalazłem. Znalazłem u Papy stare dokumenty na Bohdaniszki w największym porządku; są dokumenty sięgające XVII wieku, ale wszystko się urywa na połowie w. XIX i z czasów przejścia własności na Papę nie ma nic. Będzie z tym kłopot nie lada, jeżeli się akt własności Papy nie znajdzie. Rozpocząłem już w tym kierunku poszukiwania w archiwum sądowym w Kownie, ale czy się uda – nie wiem. Jeżeli się akt nie znajdzie, trzeba będzie próbować różnych sztuczek adwokackich, a w ostateczności może wypadnie nawet ustalić własność Papy drogą przedawnienia, co wszakże będzie bardzo kosztowne i wynieść może do 40 000-50 000 marek, i w każdym razie spowoduje wielką zwłokę w dziale, zwiększając niebezpieczeństwo wywłaszczenia, zwłaszcza w stosunku do lasu. Bądź co bądź, stajemy na stanowisku podziału lasów i będziemy go realizować konsekwentnie,

---
[463] „*Qui ne risque rien...*" (fr.) – „Kto nie ryzykuje, ten nic nie ma".

na razie choćby faktycznie, a potem i formalnie, o ile nas wywłaszczenie w międzyczasie nie zaskoczy. Co do działu lasów rzecz ma się tak. Ustawa zeszłoroczna o wywłaszczeniu lasów przewiduje maksimum własności leśnej w ilości 25 dziesięcin. Las prywatny do 25 dziesięcin upaństwowieniu nie ulega. Natomiast kto ma lasu więcej niż 25 dziesięcin, u tego się las upaństwawia cały, nie pozostawiając mu nawet 25 dziesięcin maksimum. Wobec tego dzieląc las, będzie każdy z nas brał po 25 dziesięcin, raczej trochę niespełna, niż nadto. Ale w Bohdaniszkach zarejestrowanych jest w Departamencie Leśnym 172 dziesięciny lasu, a mianowicie: Montowszczyzna – 100 dziesięcin, Staczeragi – 40 dziesięcin i Gaj – 32 dziesięciny, nie licząc 21 dziesięcin w Apuszyni pod zaroślami, obarczonych serwitutem pastwiskowym wsi Matejki. Nas jest do działu 6 osób. Biorąc lasu po równi, wypadłoby na każdego przeszło 25 dziesięcin, co oczywiście byłoby zgubne. Wobec tego wypadłoby nadzielić każdej z 5 sched po 25 dziesięcin, do szóstej zaś schedy – resztę, tj. 47 dziesięcin, które jako przekraczające normę 25 dziesięcin, poszłyby na pożarcie upaństwowienia. Innej drogi nie ma. Otóż przyjmując te zasady działu, ja sobie pozawczoraj obrałem moją schedę lasu w Gaju; choć tam w tej chwili las jako towar jest najsłabszy, ale Gaj jest pamiątkowy i na przyszłość będzie to kawałek dobry, bo las tam rośnie jak na drożdżach. Marynia, której ziemia także zbliża się do Gaju, wzięłaby resztę Gaju w Montowszczyźnie. Elwira i Elizka wzięłyby las w Staczeragach, gdzie pod względem towarowym jest on najlepszy, Kotunia wzięłaby w Montowszczyźnie, Henrysia zaś scheda leśna, jak wypadło z losu, byłaby ofiarą upaństwowienia, za co wszyscy inni musieliby go ze swoich ocalonych sched leśnych odszkodować.

2 kwietnia, rok 1921, sobota
Wczoraj przyjechali do Bohdaniszek arbitrowie. Odbyliśmy z nimi całodzienne, a nawet dwudniowe posiedzenie dzielcze. Przed samym obiadem, kiedy się już arbitrowie zjechali, przyjechał nagle – bardzo nie w porę – wójt Baranowski z Krewna. Przyjąłem go w gabinecie Papy, który się stał obecnie moim gabinetem. Nie myliłem się przypuszczając, że wzywanie mię przed paru dniami do gminy w Krewnie miało jakiś związek z żalami Jakszuka. Wójt teraz przywiózł mi długi papier, zapisany skargą Jakszuka na dwór Bohdaniszki, raczej na Elwirę i Marynię, za rzekomą krzywdę, która go ze dworu spotkała. Podnosi w niej Jakszuk głównie dwie kwestie: zatrzymanie linijki i zatrzymanie cielicy. Domyślając się zaś, że siostry będą uzasadniały zatrzymanie cielicy tym, że Jakszuk przywłaszczył resory dworskie, które w roku zeszłym sprzedał samowolnie Szczuce w Rakiszkach, twierdzi już teraz, że je kupił od Papy, choć sam poprzednio, dopóki kwestia resorów opierała się tylko na pogłoskach, zapewniał uroczyście, że to nieprawda i że żadnych resorów nie sprzedawał.
Skarga Jakszuka jest adresowana do gminy. Prosi on gminę, by sprawę tę rozpoznała. Oczywiście pretensje takie mogłyby być kierowane tylko do sądu, nie do gminy. Wójt Baranowski sam to dobrze rozumiał, a wiedząc, że ma w mojej osobie do czynienia z prawnikiem i sędzią okręgowym, nie odważył się twierdzić, że gmina jest władna orzekania takich kwestii. Prosił mię tylko, bym dał na piśmie wyjaśnienia na Jakszuka skargę, zaznaczając, że gmina oczywiście żadnych decyzji powziąć nie może i że skoro moje wyjaśnienie odrzuci twierdzenia i pretensje Jakszuka, to tylko do sądu będzie się mógł Jakszuk zwrócić. Wątpię, by się na to odważył. Zwraca się do gminy, bo myśli, że ja przez przysłowiową u nas dobroć moją i miękkie serce ulituję się nad nim i nie poprę sióstr, a zresztą liczył zapewne na to, że gminą, która jest w naszych stosunkach wiejskich przepotężną, nas zastraszy. Chętnie napisałem wyjaśnienie, w którym dość ostro skargi i pretensje Jakszuka odparowałem. Wójt był bardzo grzeczny i miękki. Liczy się on ze mną i widocznie nie chce zadzierać, nawet dla miłości Jakszuka, z

którym może być w dobrej komitywie, gdy z nim pije, ale który mniej ma mocy ode mnie. Moje stanowisko sędziowskie jest dla mnie silną tarczą w Bohdaniszkach. Nie mogę być traktowany samowolnie, jak często stało się we zwyczaju traktować sterroryzowanych ziemian. Że Elwira z Marynią – Elwiry to głównie zasługa – pozbyły się z Bohdaniszek Jakszuka, to dla Bohdaniszek prawdziwe szczęście. Był to prawdziwy wrzód. Gdyby „pogospodarzył" jeszcze lat parę – dziedzice Bohdaniszek musieliby chyba pójść z torbami. I taki jeszcze odważa się skarżyć i głosić się za pokrzywdzonego.
Arbitrowie przyjechali na zjazd tylko dwaj: Piotr Rosen z Gaczan i Zygmunt Rutkowski z Koźliszek. Lysander z Krewna nie przyjechał, uprzedziwszy mię w przeddzień, że jest chory. Tym lepiej, bo Niemiec Lysander byłby nam może pod pewnymi względami zawadą. Obradowaliśmy z arbitrami wczoraj i dziś. Przeważna część roboty działu – co do zasad i tez głównych – była już przez nas samych bezpośrednio wykonana, toteż arbitrowie pod wielu względami mieli zadanie ułatwione. Wprowadzili oni jednak w naszym zaprojektowaniu działu pewne poprawki, zmiany i uzupełnienia. W szczególności zmienili trochę naszą punktację sched, przyznając Kumszom, jako schedzie słabszej, trochę wyższą cyfrę punktów w stosunku do sched bohdaniskich, rozciągnęli też zaprojektowaną przez nas punktację na schedy kresowe Kotuni Pruszanowskiej i Henrysia Wołłowicza. W ogóle też – szczególnie Piotr Rosen – brali wielokroć w obronę interesy nieobecnych, to znaczy Kotuni i Henrysia, zepchniętych z natury rzeczy na schedy kresowe i skrawkowe, ponieważ życzą sprzedaży sched swoich, i wytargowywali różne kompensaty na nas na rzecz sched kresowych. Tendencja ta, bardzo zresztą naturalna u arbitrów, drażniła Elizkę i szczególnie Elwirę, która nie posiadała się z oburzenia, że Piotr Rosen, co sam kiedyś w swoim dziale krzywdził schedy siostrzane, teraz udaje sprawiedliwego, jak gdyby był więcej ode mnie na krzywdę wrażliwy i dopatrywał się cieniów krzywdy tam, gdzie nawet ja jej nie widzę. Niejedno słówko przykre musiał połknąć Rosen od Elwiry, a nawet Elizki.

3 kwietnia, rok 1921, niedziela
Wszystkie zasady naszego działu zostały ustalone. Co do działu ziemi – za wyjątkiem lasów – to schedy zostały wyznaczone jak najściślej, do tego stopnia, że wyliczone już zostały ilości dziesięcin na każdą schedę i w przybliżeniu nakreślone na planie granice. Pod względem ilości ziemi największe są schedy Elizki Komorowskiej i Kotuni Pruszanowskiej, które bez lasu wynoszą 60 dziesięcin. Scheda Elizki obejmuje Kumsze z częścią zarośli i pasieki kumszańskiej, do schedy Kotuni przydzielono folwark Staczerogi, grunt w Wiwieliszkach i Cegielnię. Do schedy Henrysia należeć będzie grunt w Janówce, Apuszynie, folwark w Prapultini i Karwieliszki. Moja scheda bohdaniska wynosić będzie nieco ponad 55 dziesięcin. Scheda Elwiry, liczebnie najmniejsza, wynosić będzie do 50 dziesięcin. Co do lasów, to utrzymaliśmy zasadę, że pięciu bierze po 25 dziesięcin, szósty zaś – Henryś Wołłowicz – resztę. Arbitrowie przekonali nas, że powinniśmy zaniechać sentymentu do Gaju i poświęcić go na ewentualne wywłaszczenie, ponieważ towaru leśnego jest w nim obecnie najmniej. Wobec tego Gaj będzie przydzielony do schedy Henrysia. Ja wybrałem sobie 25-dziesięcinową działkę leśną w Staczeragach od strony Prapultini. Inne schedy leśne nie zostały na razie ustalone. Postanowiono sprowadzić komornika dla odgraniczenia sched na razie w naturze oraz działek 25-dziesięcinowych w lesie. Gdy komornik to wykona, arbitrowie mają jeszcze oszacować schedy leśne, wyrównać je systemem dopłat, realizowanych ze sprzedaży lasu i na ostatecznym zjeździe powyznaczać każdemu schedę. Lękam się tylko, żeby ta procedura nie wywołała zbyt wielkiego opóźnienia działu, bo kto wie, jak prędko uda się nam sprowadzić komornika.

Na tym właściwie zakończyliśmy tymczasem dział. Były w toku czynności dzielczych sprzeczki, nie tyle między nami, ile ze strony sióstr w stosunku do arbitra Piotra Rosena, ale ostatecznie zakończyliśmy zgodnie. Oby tylko udało się nam zrealizować ten dział. Co do pola – to rozdzielność posiadania zaczynamy realizować zaraz, ale dopóki schedy leśne nie są wyznaczone, dopóty dział, nawet faktyczny, nie jest zupełny. W ogóle naszej własności lasu grozi niebezpieczeństwo największe. Nie jestem bynajmniej pewnym, że się nam uda las uratować. Wczoraj po zakończeniu czynności dzielczych przeszliśmy się z arbitrami wzdłuż granic sched bohdaniskich i kumszańskiej, obchodząc je oczywiście tylko w przybliżeniu. Chcieliśmy jednak, by przez obejście z arbitrami granic zamanifestować symbolicznie dokonany dział. Moje granice są najwyraźniejsze: z jednej strony granica mojej schedy biegnie prostą linią od lipowego ogrodu we dworze w kierunku Karwieliszek starą granicą zewnętrzną dworską za wsią Bohdaniszkami aż do drogi z Prapultini na Busiszki w tym miejscu, gdzie droga ta przecina grunta bohdaniskie, stamtąd granica moja biegnie tą drogą aż do brzegu Gaju, oddzielając moją schedę od schedy Henrysia Wołłowicza. Potem granicę stanowi linia brzegu Gaju, który jest ujęty moją schedą jak widłami. Z drugiej strony granica mojej schedy, oddzielająca ją od schedy Maryni, biegnie z dworu wpierw drogą busiską aż do wielkiego stawu kąpielowego w polu; stamtąd zawraca w prawo w skos i biegnie dróżką kumszańską aż do Wielkiej Łąki, dalej brzegiem Wielkiej Łąki, która pozostaje w schedzie Maryni, do ruczaju Eibutis, zwanego inaczej Bučupis, skąd zawraca w lewo i biegnie starą zewnętrzną granicą dworską z Busiszkami i Ginduryszkami *vel* Kinderyszkami – do brzegu Gaju.
Arbitrowie wczoraj po obiedzie odjechali z Bohdaniszek. Odjechała też Elizka z Hektorem i Zitką. Ja zostałem jeszcze na dzień dzisiejszy, ale już dziś na nocny pociąg do Rakiszek odjeżdżam. Elwira i Marynia zaczęły już gospodarzyć osobno na swoich schedach. Marynia oprócz swojej dzierżawi także moją. Podziwiam, jak moje siostry są gospodarne i zaradne i jak się im udaje dobrze to, do czego się biorą. Potrafiły one w ciągu jednego wieczora zawrzeć umowę z parobkami, podczas gdy w przeszłym roku nie mogłem tego w żaden sposób dopiąć. Trzeba jednak wiedzieć, że obecność moich sióstr jako właścicielek w Bohdaniszkach, ich praca i energia, a zwłaszcza to, że potrafiły one usunąć Jakszuka, działają na parobków bardzo kojąco i wywołują u nich wrażenie pewności i spokoju, przez co oni sami stają się w żądaniach umiarkowańsi. Widzą oni, że dwór jest w pewnym ręku i że przeto los dworu i ich własny nie wisi prekarnie[464] na włosku.

4 kwietnia, rok 1921, poniedziałek
Przez noc całą i dzień byłem w podróży z Bohdaniszek do Kowna. Na stacji Subocz wsiadł do wagonu, w którym jechałem, Komar z Poławenia, którego następnie przez całą drogę miałem za towarzysza podróży. U naszych ziemian – czemu się zresztą trudno dziwić – temat do rozmów jeden: skargi na stosunki agrarne, strach przed reformą rolną, ból nad stratą upaństwawianych lasów, utyskiwanie na Litwę, złośliwe prognozy o smutnym bankructwie gospodarki społecznej i samego państwa, cicha, tłumiona strachem, tęsknota do inwazji polskiej, która by uratowała dwory i ukróciła rządy chłopskie. Podrażnienie ziemian, ich stan niepokoju o majątki swoje, w którym ciągle żyją, pozbawia ich równowagi i trzeźwości sądu. W szczególności Polska wydaje im się jakąś wymarzoną policją starego układu stosunków społecznych na wschodzie. Być może jednak, że instynkt ich nie myli i że rola Polski na tych obszarach litewsko-

[464] *Prekarnie* (z łac.: *precarius*) – niepewnie (w starożytnym Rzymie „precarium” oznaczało grunt dany klientowi przez patrona z prawem odebrania w każdym czasie; przyzwolenie z zastrzeżeniem cofnięcia go).

białorusko-ukraińskich z konieczności, ze względu na ten element społeczny, który tu jest najbardziej polskim i na którym się tu polityka polska najskuteczniej opierać może, jest policyjną na rzecz „*ancien régime*'u" społecznego. Jeno że policją biegu życia wstrzymać niepodobna, a tam, gdzie się je tą metodą wstrzymuje, tam potem wybuch tłumionego rozwoju iści się w kształtach katastrofalnych, o wiele cięższych od tych, które realizują rozwój metodą stopniowej, radykalnej na pozór – ewolucji. Dlatego też mam przekonanie, że w Litwie ludowej, zorganizowanej państwowo, rozwój społeczny okaże się o wiele umiarkowańszym i dużo więcej wytworzy ostoi konserwatywnej, niż w sąsiednich terenach białoruskich, rządzonych przez Polskę, gdzie w masie ludowej narastać będą głuche elementy wybuchu, które kiedyś dokonają dzieła – ale będzie to dzieło zniszczenia.
W Kownie rzeczy bieżące dostarczą mi dużo tematu do dziennika na dni następne i może nie zostawią mi miejsca na dokończenie relacji o społecznej akcji porozumiewawczej, która się w lutym toczyła w Wilnie. Wobec tego skorzystam z miejsca dnia dzisiejszego i rzecz dokończę. Wałkowałem ją w dzienniku długo, urywając, nawracając, gubiąc nieraz wątek. Ale zdaje się, że mniej więcej zobrazowałem ją całą. Pozostaje mi z tej akcji zanotować jeszcze tylko jedno. Chodzi o to, że gdy obie strony – litewska i polska – przedstawiły sobie wzajemne propozycje o sposobie rozwiązania sprawy wileńskiej na zasadzie niepodzielności Litwy, propozycje te jednak różniły się o tyle, że ujednostajnienia ich w tym stadium układów być nie mogło. Z obydwóch stron rozumiano dobrze, że na ujednostajnienie propozycji, a więc na układ, jest jeszcze za wcześnie i że na razie może być jeszcze tylko mowa o przygotowaniu dopiero gruntu przez poznanie i zrozumienie wzajemne propozycji jednej i drugiej strony i tego, co je dzieli. Pod tym względem akcja porozumiewawcza, jak to pisałem, owoce jednak wydała i nie tylko dała możność dokładnego stwierdzenia, co dzieli, ale także na wielu punktach istotnych doprowadziła bądź co bądź do pewnego zbliżenia. Ale o wspólnych uchwałach w zakresie propozycji zasadniczych nie mogło być jeszcze mowy. I oto tu wystąpił z inicjatywą wobec obydwóch stron – to znaczy „Odrodzenia" i delegatów litewskich – generał Babiański, który wskazał na to, że pożądane jest jednak powzięcie jakichkolwiek uchwał wspólnych, które by wskazywały, że jednak obie strony, pomimo różnicy konkretnych wniosków o sposobie rozwiązania sprawy wileńskiej, łączy jednak jakaś wspólna myśl. Sformułowane przez niego postulaty w tym względzie – zostały wspólnie przez obie strony uchwalone w kilku punktach tej treści:
a) obie strony witają zaprzestanie działań wojennych i wyrażają przekonanie, że sprawa stosunku Kowna do Wilna oraz Litwy do Polski drogami wojny rozwiązana być nie może; b) obie strony uważają za wskazane wznowienie jak najrychlejszych stosunków komunikacyjnych między Wilnem a Kownem; c) obie strony uznają za potrzebne usunięcie wszelkich utrudnień do powrotu nieobecnych mieszkańców Wileńszczyzny i Kowieńszczyzny do swych siedzib; d) obie strony uznają za wskazaną zupełną amnestię polityczną po jednej i po drugiej stronie dla czynów, które wypływały z dotychczasowych stosunków; e) obie strony wyrażają życzenie i stwierdzają potrzebę kontynuowania rozpoczętej społecznej akcji porozumiewawczej, której akt drugi winien się zrealizować przez przyjazd delegatów wileńskich do Kowna. Uchwały te zostały spisane i podpisane przez członków zarządu „Odrodzenia" i delegatów litewskich.

5 kwietnia, rok 1921, wtorek
Wielka radość! Znalazły się w archiwum sądowym akta starego procesu, który w latach 1860-1862 toczył się w byłej „Ковенской Палате Гражданскаго Суда"[465] między

[465] Kowieńskiej Izbie Sądu Cywilnego.

Aleksandrem Żukowskim, ojczymem Papy, jako plenipotentem swojej żony, babki Witalii z Kobylińskich *1-o voto* Michałowej Römerowej i *2-o voto* Żukowskiej, działającej osobiście jako naturalna opiekunka nieletnich dzieci z pierwszego małżeństwa, Michała[466] (to znaczy Papy) i Katarzyny (ciocia Kasia, późniejsza Tyszkiewiczowa), a stryjami Papy czyli szwagrami babki Witalii z jej pierwszego małżeństwa – Edwardem i Sewerynem Römerami – o podział spadku po ojcu pozwanych, a teściu babki Witali , moim zaś pradziadku Michale Römerze[467] i jego żonie, prababce Racheli z de Raësów Michałowej Römerowej. Przed świętami Wielkiejnocy, poszukując w archiwum sądowym jakiegoś wątku starych procesów dla znalezienia tytułu własności Papy na Bohdaniszki, natrafiłem w starym skorowidzu archiwalnym na ślad tej sprawy. Nie wiedziałem dobrze, o jaki to proces chodzi, ale domyślałem się, że w aktach tej sprawy mógłby się znaleźć upragniony, a tak cenny teraz dla nas dokument własności. Było jednak bardzo wątpliwe, czy się same akta sprawy znajdą. Wniosłem podanie do sądu, by je odszukano i oto próba została uwieńczona skutkiem pomyślnym. Z akt tych dowiedziałem się, o czym nie wiedziałem dotąd, że Bohdaniszki zostały wydzielone Papie przez pradziada Michała jeszcze za życia tegoż. Mianowicie pradziad Michał Römer w grudniu r. 1852 (zmarł wkrótce potem, w początku r. 1853) wraz ze swą żoną Rachelą dokonał podziału funduszu między spadkobierców swoich, to znaczy synów Edwarda i Seweryna oraz wnuków Michała i Katarzynę jako potomków zmarłego syna Michała Stefana[468]. Aktem tym z całego funduszu ziemskiego swojego i żony, wynoszącego 17 000 dziesięcin ziemi, lasów i wód, wyznaczył Sewerynowi wszystkie dobra w powiecie trockim (główne funda: Dowgierdziszki Romerowskie i Dębina po de Raësach), Edwardowi Antonosz i Krewno w powiecie jezioroskim z dependencjami, Papie zaś Bohdaniszki i Montowszczyznę z wsiami i zaściankami zaludnionymi przez chłopów poddanych, bo to było jeszcze za czasów pańszczyzny, a cioci Kasi – posag w gotówce. Scheda Papy w stosunku do stryjowskich miała się jak 1:7, ale wtedy ziemie i lasy mało się jeszcze ceniły, a pieniądz był drogi. Edward i Seweryn zostali obciążeni spłatami długów i alimentów rodziców, Papa zaś otrzymał kilka tysięcy rubli dopłaty. Otóż Żukowscy w latach 1860-1862 próbowali ten akt podziału obalić, ale bezskutecznie. W aktach procesu znalazłem akt z r. 1852, stanowiący tytuł prawny własności Papy na Bohdaniszki. Dzięki Bogu. Spadł mi kamień ciężki z serca. Teraz, jak tylko zostaniemy zatwierdzeni przez sędziego pokoju do spadku, co może nastąpić około połowy maja, będziemy mogli dokonać bez przeszkód formalnego aktu naszego działu. Znalezienie tego aktu zaoszczędziło nam może do 40 000 marek, bo tyle mniej więcej mogłyby wynieść opłaty, gdybyśmy w braku aktu byli zmuszeni do ustalania własności Papy na zasadzie przedawnienia.
Dziś doręczono mi w Komisji do spraw Litwy Wschodniej listy przysłane mi z Wilna przez Jundziłła. Od Jundziłła listu nie było, tylko były listy Ewy Meyerowej[469] do Maryni i listy Kotuni Pruszanowskiej i Henrysia Wołłowicza do mnie. Z listów tych dowiedziałem się nowiny, że u Elizki Tanajewskiej urodziła się w lutym roku bieżącego córka, nazwana Ireną. Jest to pierwsza wnuczka naszego rodzeństwa. Kotunia Pruszanowska została babką rodzoną, a *eo ipso* ja, jako jej brat, zostałem dziaduniem! Automatycznie przez przyrost pokoleń zstępnych człowiek starzeje, robiąc się wpierw

[466] Michał Kazimierz Römer (1845-1920), ojciec Michała Piusa Römera. Żoną jego (poślubioną w 1869) była Zofia z Tukałłów (1847-1914).
[467] Michał Józef Römer (1778-1853), pradziad Michała Piusa Römera.
[468] Michał Stefan Römer (1816-1846), dziad Michała Piusa Römera.
[469] Ewa Helena Meyerowa z domu Römer (1895-1951), córka Marii i Witolda Römerów, żona Konstantego Meyera (ślub w 1920); siostrzenica Michała Piusa Römera.

wujem, ojcem, po tym dziadem, a wreszcie może się jeszcze za lat 20 i tytułu pradziada doczeka.

6 kwietnia, rok 1921, środa
Przyjechali do Kowna Eugeniusz Römer z żoną Zosią z Dembowskich[470]. Zosia Eugeniuszowa Römerowa, którą osobiście znam bardzo mało, bo poznałem ją tylko przelotnie jeszcze za jej czasów panieńskich, przed jakimiś dziesięciu laty, w ostatnich czasach korespondowała ze mną dość często, ponieważ jeżdżąc i miewając okazje do Wilna, pośredniczyłem w jej korespondencji z ojcem, dr Tadeuszem Dembowskim[471], znanym chirurgiem i do niedawna działaczem społecznym wileńskim. Przez wdzięczność za to pośrednictwo Zosia Römerowa, wiedząc o moim przywiązaniu i tęsknocie do mojej córki Cesi[472], przysłała mi razu pewnego jej fotografię i przyrzekła narysować dla mnie jej podobiznę. Zosia Römerowa ma talent rysunkowy i malarski, jest trochę artystką, kształciła się na tym polu za czasów panieńskich w Paryżu, skąd datuje się jej wielka przyjaźń z Helą Białą (Ochenkowską)[473], z którą kolegowały. Gdy mi Zosia napisała o obietnicy portretu córki, skwapliwie ją wziąłem za słowo. I oto teraz Zosia mi swoją pracę przywiozła. Jest to śliczny portrecik Cesi, dla mnie dar milszy nad wszystko. O ile na fotografii Cesia mi się nie bardzo podobała, tak że nawet doznałem pewnego rozczarowania, o tyle z portretu ołówka Zosi jestem z Cesi bardzo zadowolony. Wprawdzie Cesia nie jest piękna, to znaczy nie ma rysów szczególnie doskonałych, ale na ogół jest dziewczynką ładną, a zwłaszcza ma twarz wyrazistą, pełną charakteru. Córka człowieka jak ja, bądź co bądź nieprzeciętnego, posiadającego dużo wybitnej indywidualności, nie może być mdłą laleczką. W szczególności z oczu, rozumnych i spokojnych, przypomina mi Cesia na portrecie swego pradziada Michała Stefana Römera, mojego Papy ojca, z jego portretu wiszącego w Bohdaniszkach w gabinecie Papy. Brwi i włosy ma ładne, czoło szerokie, zdaje mi się z portretu, że ma szczęki dość mocno rozwinięte, a przynajmniej usta i wargi duże, ale ładne i zmysłowe; nos tylko gruby i szeroki. W ogóle twarz niebanalna, pełna charakterystycznego wyrazu indywidualnego z charakterystycznym u Cesi spokojem głębokim, skupieniem szlachetnym i jakimś piętnem dobrej uczciwości, budzącej zaufanie do człowieka o takiej twarzy. Cieszę się serdecznie z tego portretu. Zosia Römerowa nie mogłaby mi zrobić większej przyjemności od tej.
W rozmowie dowiedziałem się od Zosi i Eugeniusza trochę szczegółów o Cesi i Reginie[474]. Regina myśli więc o wyjeździe z Cytowian na stałe do Łunny z zamiarem ulokowania córki w klasztorze brygidek w Grodnie dla kształcenia. Wyjazd Reginy będzie dla mnie o tyle przykry, że z Grodna i Łunny, które zapewne należeć będą do Polski, trudno mi będzie o wieści o Cesi; ale za to dla Cesi będzie to lepsze, bo się będzie uczyć i nabierze ogłady, a w każdym razie będzie oderwana od ogłupiającego środowiska matki i histeryczki Francuzki – panny Elizy Courtôt. Cesia jest bardzo zaniedbana i w wykształceniu, i zewnętrznie. Regina ma dwie krowy, kawałek ogrodu, gospodareczkę całą i ani jednej służącej. Sama z Francuzką, a przeważnie sama, bo Francuzka ma ciągłe ataki histerii, doi krowy, pracuje itd. Oczywiście Cesia musi też

[470] Eugeniusz Romer (1871-1943), ziemianin, jeden z czołowych działaczy polskich w R L. Zofia z Dembowskich Romerowa (1885 – 1947), malarka, w 1911 poślubiła Eugeniusz Römera.
[471] Tadeusz Dembowski (1856-1930), wileński chirurg, aktywny w zyciu społecznym i kulturalnym miasta.
[472] Celina Römerówna (1910-1944?), córka Michała Piusa i Reginy Römerów.
[473] Helena Romer Ochenkowska (1875-1947), pisarka, działaczka społeczna, rzeczniczka krajowości.
[474] Regina Römerowa (1882-1940), córka Edwarda Mateusza Romera i Józefy z Czachowskich, żona Michała Piusa Römera; ich małżeństwo, zawarte w 1909 r., trwało tylko kilka miesięcy, wiosną 1910 r. znaleźli się w separacji, w 1932 wzięli rozwód.

pomagać. W tych warunkach trudno się dziecku uczyć, tym bardziej że uczy ją Regina, która sama nic nie umie. Cesia jest stęskniona towarzystwa dzieci, zawsze biedna samotna. Smutne ma dzieciństwo między głupią matką a histeryczką Francuzką, która nad Reginą panuje. Regina nie pozwala Cesi samej przychodzić do Eugeniuszostwa dla pobawienia się z ich dziećmi, a bywa u Eugeniuszostwa z Cesią zaledwie parę razy do roku. Cesi aż oczy się śmieją do zabawy z dziećmi. O ojcu, to znaczy, o mnie, Cesia nic dotąd nie wie, bo gdy raz dzieci Eugeniuszostwa spytały ją, gdzie jest jej tatuś i czy ma tatusia, Cesia odpowiedziała, że nie wie. Widocznie Regina i Francuzka nic jej o mnie nie mówią. Francuzka najformalniej choruje na histerię, dostaje charakterystycznych ataków histerycznych, bywa czasem chora tygodniami, choć nie przyznaje się, że to cierpienia nerwowe; nazywa się to zawsze niby coś gastrycznego albo niby ataki sercowe, choć lekarze wyraźnie formalną histerię stwierdzają, łatwą zresztą do poznania, bo gdy się raz widziało atak histeryczny, to nietrudno go potem rozróżnić od sercowego. Eugeniuszostwo posądzają, że Francuzka chyba okrada Reginę i składa sobie pieniądze, bo Regina przy skromnych potrzebach, zupełnym zaniedbaniu siebie i córki, wszystkim gotowym z gospodarki własnej – cierpi na ciągły brak pieniędzy, choć względnie jest dobrze w gotówkę zaopatrywana.

7 kwietnia, rok 1921, czwartek
Z Preisem i Oleką siedziałem na sesji sądowej cywilnej. Sędzia Oleka udzielił mi dziś jednej bardzo ważnej rady w sprawie naszego działu. Mianowicie powiada on, że skoro mamy tytuł własności Papy na Bohdaniszki i możemy się wylegitymować co do praw spadkowych po Papie, to możemy robić dział formalny notarialny zaraz bez względu na brak specjalnej decyzji sędziego pokoju w Rakiszkach o zatwierdzeniu nas do spadku. Co do wylegitymowania naszych praw spadkowych, to jest u nas ten feler, że nie możemy przedstawić kompletu metryk. Mianowicie co do Henrysia Wołłowicza nie ma metryki śmierci jego matki, Helci z Römerów Wołłowiczowej, która umarła w majątku mężowskim Bryzlenna w powiecie borysowskim guberni mińskiej, stąd metryka jej musiałaby być brana albo z parafii Dziedziłowicze, albo z konsystorza obecnej diecezji mińskiej, względnie archidiecezji mohylowskiej w Petersburgu[475], bo w r. 1894, kiedy Helcia umarła, teren obecnej wznowionej diecezji mińskiej należał bezpośrednio do archidiecezji mohylowskiej, której rezydencją jest Petersburg. Zarówno Dziedziłowicze, jak Mińsk i Petersburg leżą w obrębie Rosji, ewentualnie Białej Rusi Sowieckiej, co na to samo wychodzi. Oczywiście o otrzymaniu jakichkolwiek dokumentów z Rosji w dzisiejszych stosunkach mowy być nie może. Jeżeli nawet księgi metryczne istnieją jeszcze w Rosji i jeżeli odpowiednie instytucje kościelne funkcjonują, to w każdym razie wydobycie stamtąd jakichkolwiek dokumentów trwałoby chyba lata. Wszakże mamy świadectwo sędziego pokoju Herubowicza o tym, że jesteśmy jedynymi spadkobiercami Papy. Choć stosownie do przepisów formalnych prawa, takie świadectwo jest niezupełnie wystarczające, o ile ktoś ze spadkobierców jest nieobecny w kraju, jak to ma w tym wypadku miejsce z Henrysiem i Kotunią, jednak może zbyt pedantycznie starszy notariusz przy zatwierdzaniu aktu dzielczego względu tego rozpoznawać nie będzie.
Porada Oleki poruszyła mię bardzo. Gdyby bowiem udało się nam dokonać działu formalnego i gdyby dział ten już był zatwierdzony przez starszego notariusza,

[475] Arcybiskupstwo mohylowskie powołane ukazem Katarzyny II w 1782 r., uzyskało (w 1783 r.) sankcję kanoniczną bullą papieża Pawła VI. Biskupstwo mińskie, utworzone z części diecezji wileńskiej ukazem z 1795 r., sankcję kanoniczną uzyskało w 1798 r. W 1869 r. skasowane ukazem Aleksandra II , a w 1917 odnowione aktem papieskim. Biskupem został (1918) Zygmunt Łoziński, który od 1921 r. rezydował w Nowogródku. Odnowiona diecezja przetrwała do 1925 r.

bylibyśmy już prawdopodobnie całkowicie zabezpieczeni od upaństwowienia, przynajmniej co do lasów, których ocalenie dotąd wisi tylko na włosku. Co do ziemi bowiem bezleśnej, to pośpiech ma dla nas mniejszą wagę. Wywłaszczenie ziemi nie tak prędko jeszcze nastąpi, więc do tego czasu chyba w każdym razie zdążymy się podzielić, a czy ocalimy całą przestrzeń ziemi, czy też cząstki z poszczególnych sched naszych pójdą na pastwę reformy agrarnej – to już będzie zależało od stopy maksymalnej własności, jaka będzie w ustawie reformy agrarnej przez Sejm uchwalona, co nie ma związku z terminem działu. Co do lasu jednak – to jest *periculum in mora*[476]. Radziłem się jeszcze z kilku osobami z sędziów, adwokatów i notariuszów co do tego, czy ich zdaniem dział może być robiony i zatwierdzony formalnie bez sądowego zatwierdzenia do spadku. Zdania są podzielone i zarówno zdanie *pro*, jak zdanie *contra* operuje argumentami prawnymi. Adwokat Każdajlewicz wskazał mi jednak pewien wyrok Senatu, z którego można wysnuć jak najlepsze horoskopy dla robienia działu bez takiej sądowej sankcji praw spadkowych. Trzeba będzie próbować. Muszę tylko zaczekać na przyjazd Elizki Komorowskiej, która za kilka dni będzie w Kownie, i z nią omówić kwestię pieniędzy na opłacenie kosztów działu (zapewne do 20 000 marek),bo bez tego nic robić nie możemy.
Otrzymałem list z Libawy od Żenni Wolberg, siostry mojej Aninki. Pisałem do niej przed paru tygodniami. Aninka prosiła mię przed śmiercią, bym się jej ułomną biedną siostrą i matką opiekował. Niestety – sam niewiele mam i dużo pomóc nie mogę tymczasem, ale coś od czasu do czasu posyłać będę. Matka Aninki, jak się dowiaduję z listu, umarła w r. 1919. Żenni Wolberg została samotna. Nieszczęśliwa to istota, którą przez pamięć Aninki muszę wspierać, ale Aninka a ona – to niebo a ziemia.

8 kwietnia, rok 1921, piątek
Bawi w Kownie pan Tadeusz Wróblewski. Przyjechał przed tygodniem z Jonynasem i jutro wraca do Wilna. Mieszka tu u Janulaitisa. Widuję się z nim co dzień. Wróblewski – pierwszorzędna głowa prawnicza, chociaż sofista wielki, umiejący doskonale wykręcać argumenty logiczne na prawo i na lewo, gdzie to mu jest potrzebne, jest od lata roku ubiegłego doradcą prawnym rządu litewskiego. W czasie inwazji bolszewickiej w Wilnie po odwrocie Polaków w r. 1920 odgrywał wybitną rolę po stronie polskiej w rokowaniach z bolszewikami i następnie trzymał jedne z pierwszych skrzypiec wśród władz litewskich w Wilnie podczas pobytu Litwinów w tym mieście. Litwini, którym niepodobna odmówić umiejętności organizacyjnych i dyplomatycznych, umieli zażyć Wróblewskiego. Jego ambicja i próżność, które nie ustępują zdolnościom i głowie, oddały go całkowicie na usługi litewskie. O ile w społeczeństwie polskim Wróblewski nie może już od dawna żadnej roli odegrać, bo jest uważany za człowieka zmiennego, któremu zaufać nie można, o tyle u Litwinów jest on noszony na rękach, okadzany, słuchany z przejęciem, co mu daje zadowolenie najwyższe, a co nie przeszkadza zresztą temu, że sprytni i ostrożni Litwini korzystają z jego wskazówek i wiedzy akurat tyle, ile im jest potrzeba; zużytkowują go zręcznie, posługując się nim, ale czynią to w sposób taki, że jemu dają pozory przewagi nad sobą. Toteż Wróblewski stał się odtąd gorliwym rzecznikiem sprawy litewskiej. Udaje nawet, a może i sam jest przekonany, że był zawsze niezmiennym rzecznikiem państwowości litewskiej, choć ci, co go znają dobrze, wiedzą, że ten człowiek w swoim długim życiu służył najrozmaitszym i często zupełnie sprzecznym sprawom, czasem nawet jednocześnie i zwykle po cichu, unikając afiszowania się i jawności, mogącej nieraz skompromitować. I teraz zresztą Litwinom służy Wróblewski pokątnie, unikając światła dziennego i rozgłosu, by na wszelki wypadek nie palić mostów za sobą do rejterady.

[476] „*Periculum in mora*” (łac.) – „niebezpieczeństwo w zwłoce”.

Wprawdzie wszyscy o jego roli obecnej dobrze wiedzą i Polacy wileńscy wyciągnęli już z tego konsekwencje, skazując Wróblewskiego na ostracyzm społeczny i zupełne osamotnienie do tego stopnia, że prócz niewielkiej garstki znajomych i uczonych, ceniących w nim wiedzę i pracę nad gromadzeniem zbiorów biblioteki i kultury krajowej, większość ogromna nawet jego przyjaciół opuściła go i bojkotuje go w Wilnie otwarcie, to jednak Wróblewski, skazany w Wilnie na osamotnienie w swoim mieszkaniu wspaniałym, jedynym w swoim rodzaju, z którego nie wytyka nosa na ulicę, skompromitowany politycznie u Polaków bez pardonu i odwołania, jeszcze się nie odważa na jawność i przy spotkaniu z Polakami wmawia im, że rola jego w stosunku do Litwinów jest tylko rolą doradcy prawnego, rzeczoznawcy prawnika, nie zaś agenta politycznego. W istocie wszakże jest on instruktorem politycznym rządu litewskiego i działalność jego jest ściśle polityczna.
Próżność Wróblewskiego jest w Wilnie torturowana przez stosunek do niego społeczeństwa polskiego. Bojkot zaprawiony pogardą, który jest stosowany do niego w Wilnie przez ogromną większość, a niemalże ogół Polaków, jest dlań ciągłą męką, bo człowiek ten jest szczęśliwy tylko wtedy, gdy mu się kadzi i kłania i gdy się wielkości jego kult oddaje. Toteż nienawidzi on gorąco społeczeństwo polskie i zwłaszcza wileńskie i serce jego pełne jest uczucia zemsty. Ale będąc tchórzem, nie odważa się zemsty wykonywać otwarcie i głośno. Szepcze zemstę w insynuacji, w działaniu pokątnym, ale ukrywa się starannie pod pozorami li tylko obserwatora i fachowego li tylko rzeczoznawcy prawnego względem Litwinów. Niewątpliwie, że dla sprawy litewskiej jest dzięki swej wiedzy i głowie bardzo użytecznym, a chociaż to, co robi, prowadzi do realizacji tychże celów, o które i mnie bardzo chodzi, a w szczególności o rozwiązanie sprawy wileńskiej w łożysku państwowości litewskiej niepodzielnej, to jednak nie mogę stawiać pana Tadeusza w moim przekonaniu na zbyt wysokim poziomie czystości moralnej. Jest to człowiek niewątpliwie bardzo zdolny i umysł wybitny, ale charakter pełny słabostek próżności i ambicji. Nie nazwę go podłym lub brudnym etycznie, lecz muszę stwierdzić, że te słabostki pozbawiają go siły moralnej i czynią zeń człowieka ułomnego. Daleko mu do wielkości charakteru i do cnót kryształu.

9 kwietnia, rok 1921, sobota
Jeszcze o Wróblewskim. Tym razem nie o nim samym, jeno o jego działaniu w Kownie. Pan Tadeusz Wróblewski został tu, zdaje się, zaproszony z Wilna przez rząd litewski, który chętnie by go użył do delegacji litewskiej na konferencję brukselską. W myśl marcowych uchwał paryskich Ligi Narodów, które tak się Polsce nie podobały, sprawa wileńska miała być rozstrzygana na rokowaniach polsko-litewskich w Brukseli pod przewodnictwem delegowanego członka Ligi Narodów Hymansa. W istocie rokowania te byłyby zamaskowanym arbitrażem, wykonywanym przez Ligę Narodów za pośrednictwem Hymansa. Polska, która z obrad i uchwał paryskich słusznie wywnioskowała, że arbitraż nie wypadłby na jej korzyść, przystając w zasadzie, choć bez zapału, na rokowania brukselskie, z góry zastrzega, że o arbitrażu Hymansa czy Ligi Narodów mowy być nie może. W Polsce, a szczególnie w polskiej opinii Wilna, którego los się rozstrzyga, uchwały paryskie Ligi Narodów wywołały alarm. Protestuje się tam przeciwko oddawaniu decyzji w sprawie Wilna czynnikom obcym, piorunuje się na Ligę Narodów, głośno się woła o tym, że gdyby Europa zmusiła Polskę do wyrzeczenia się Wilna, ludność chwyci za broń, wojsko Żeligowskiego, zasilone powstaniem ludowym, stawi opór decyzjom przetargu i nie dopuści do zapanowania „rządu kowieńskiego”.

Pułkownik Chardigny[477], prezes Komisji Kontroli Ligi Narodów, którego referat spowodował uchwały paryskie, ten sam Chardigny, który był okrzyczany za polonofila i litwinofoba i był przez Polaków, zwłaszcza wileńskich, traktowany jako godny zaufania i chwalony, a przez Litwinów był tak znienawidzony, że w prasie i opinii litewskiej był przedmiotem ciągłych napaści i docinków, że aż nazwisko jego stało się niemal połajanką w ustach Litwinów, żądających odwołania go z tego stanowiska jako stronnego, nagle stał się znienawidzonym w Polsce i polskiej części Wilna, a chwalony gorliwie i okadzany w Kownie przez Litwinów. W Wilnie doszło do tego, że w ubiegłym tygodniu, gdy Chardigny udał się na dworzec kolejowy, by jechać do Kowna, został on na dworcu obrzucony jajkami i kartoflami przez gromadę pań wileńskich, i to pań z tzw. „towarzystwa”! Namiętności polityczne rozigrały się. Dla Polski sprawa wileńska stała się źródłem wielkiego kłopotu. Sama Polska może by się nawet łatwo wyrzekła Wilna, zwłaszcza za cenę większych przydziałów z Górnego Śląska, ale trudno jej to zrobić jawnie, a po cichu nie bardzo się da. Bo masa Polaków z „kresów”, która ma duże wpływy w Warszawie, i samo Wilno w jego przeważającej polskiej części, zwłaszcza inteligencji, krzyczy tak głośno, że Polska nie może zbyć to milczeniem lub udać, że nie słyszy. Polska więc usiłuje przewlec sprawę wileńską obecnie, aby wpierw sprawa Śląska rozstrzygnięta została. Po rozstrzygnięciu bowiem sprawy śląskiej Polska będzie miała ręce wolniejsze dla sprawy wileńskiej. O ile więc przed uchwałami paryskimi, gdy sprawa wileńska była urzędowo przez Ligę Narodów stawiana na gruncie metod plebiscytowych, Polska forsowała przyspieszenie sprawy, Litwa zaś grała na zwłokę, o tyle teraz rzecz się ma diametralnie odwrotnie. Polska i jej wileński, najbardziej zainteresowany bezpośrednio odłam ludności narodowej, protestując gwałtownie przeciwko tendencjom arbitrażu i rozstrzyganiu sprawy spornej wolą czynników obcych, jak Liga Narodów, odwołuje się do zasady stanowienia ludów o swoim losie i zastrzega kategorycznie, że od żądania, by o sprawie tej rozstrzygnęła sama ludność Wileńszczyzny, nie odrzeknie się ani wobec Ligi Narodów, ani w rokowaniach z Litwinami. Polska zdaje sobie sprawę, że posiadanie przez nią faktycznej władzy w Wileńszczyźnie i dwuletnia agitacja jednostronna, przez nią w Wileńszczyźnie wykonywana, jest takim atutem, który ogromnie dużo zaważy na jej korzyść w jakiejkolwiek formie głosowania ludności w tym stanie rzeczy. Jedna część opinii polskiej i polsko-wileńskiej – prawica – żąda plebiscytu, rozumianego naturalnie najlepiej w postaci uproszczonej „konsultacji ludowej”, druga część – lewica – żąda wskrzeszenia zaniechanych wyborów do Sejmu w Wilnie.

10 kwietnia, rok 1921, niedziela
Więc pan Tadeusz Wróblewski otrzymał od rządu litewskiego propozycję wzięcia udziału w delegacji litewskiej na rokowaniach w Brukseli. Z tym także w związku był jego przyjazd do Kowna. Sprawa tej konferencji polsko-litewskiej przedstawia się jeszcze mglisto. Litwa przyjęła marcowe uchwały paryskie. Natomiast Polska, której te uchwały się nie podobają, wprawdzie zgodziła się w zasadzie na bezpośrednie raz jeszcze rokowania z Litwą pod przewodnictwem Hymansa, uchylając wszakże z góry wszelką ideę arbitrażu w rokowaniach, jednak zgłosiła kilka istotnych zastrzeżeń co do *modus* stanu przejściowego w Wileńszczyźnie, zaprojektowanego uchwałami paryskimi. Owóż Hymans, wychodząc z założenia, że uchwały paryskie stanowią całość niepodzielną, która może być przyjęta tylko *en bloc*, ale nie dzielona na fragmenty dogodne, które się przyjmuje, i niedogodne, które się odrzuca, zarezerwował rokowania

[477] August Pierre Chardigny (1873-1951), francuski generał, w 1920-1921 przewodniczył (będąc wówczas w stopniu pułkownika) Komisji Kontrolnej powołanej przez Ligę Narodów w związku z polsko-litewskim sporem terytorialnym

ustalone uchwałami paryskimi do czasu przyjęcia przez obie strony lub porozumieniem się ich co do prowizorium w Wileńszczyźnie. Zaproponował więc Polsce i Litwie, by delegaci obu stron zjechali się w Brukseli na dzień 18 kwietnia dla odbycia konferencji przedwstępnej co do tegoż prowizorium, z tym, że o ile by zasady prowizorium zostały przyjęte, ciż sami delegaci rozpoczną obrady formalne co do samego *meritum* sporu. Na razie więc chodzi o rokowania przygotowawcze. Czy dojdzie do konferencji merytorycznej – nie wiadomo. Ale oczywiście, że dla obydwóch stron bieg tych rokowań, toczących się w obliczu pełnomocnika Ligi Narodów, jest bardzo ważny, i obie gotują się do tej akcji. Litwa posyła do Brukseli Gałwanowskiego i Klimasa, którzy ją przedstawiali w marcu w Paryżu wobec Ligi Narodów. Chciano więc tam posłać i pana Tadeusza Wróblewskiego jako siłę prawniczą pierwszorzędną. Wróblewski nie zdecydował się jednak na to. W gruncie może to i lepiej, bo jego udział, jako Polaka, drażniłby jeno stronę polską. Wszakże bawiąc w Kownie, Wróblewski odbył cały szereg konferencji ze sferami rządowymi i dyplomatycznymi oraz ze stronnictwami politycznymi litewskimi i bardzo dużo udzielał Litwinom wskazówek technicznych, prawnych i politycznych na przyszłą konferencję w Brukseli. Pod tym względem, zachowując ulubioną metodę działania zakulisowego, przyczynił się on bardzo dużo do przygotowania gruntu dla akcji litewskiej w Brukseli. Był on też u marszałka Sejmu, Stulgińskiego, pełniącego obowiązki prezydenta Rzeczpospolitej[478], na przyjęciu dla członków Komisji Kontroli Ligi Narodów. Tam też gorliwie prowadził sprawę litewską przed tymiż panami. Jednocześnie w konferencjach odbytych ze stronnictwami politycznymi poruszał on sprawę dalszego rozwoju zainicjowanej w lutym w Wilnie społecznej akcji porozumiewawczej. Na skutek tych jego kroków ustalony został wyjazd do Wilna poufnych przedstawicieli chrześcijańskich demokratów w osobach ks. Vailokaitisa, dr Jokantasa i ks. Jurgutisa, którzy wkrótce mają się tam udać. W tej inicjowanej akcji elementów katolickich, które dotąd w społecznej akcji porozumiewawczej udziału nie brały, pośredniczy poufnie wileński biskup Matulewicz. Co do akcji porozumiewawczej stronnictw lewicowych – Wróblewski powiózł do Wilna zaproszenie od Litwinów do przyjazdu do Kowna: „Odrodzeniu", demokratom polskim w osobie Zygmunta Jundziłła, grupom białoruskim w osobie ks. Adama Stankiewicza[479] i grupom żydowskim, które uczestniczyły w naradach w lutym, w osobie dr Szabada[480].

11 kwietnia, rok 1921, poniedziałek
Sprawę naszego działu obmyślam i opracowuję ciągle. W toku spisywania protokółów naszych zebrań spadkowych w Bohdaniszkach przyszło mi do głowy całe mnóstwo zastrzeżeń, na które w Bohdaniszkach nie zwróciłem uwagi. W szczególności dotyczy to sched Kotuni Pruszanowskiej i Henrysia Wołłowicza, które muszą być koniecznie zmniejszone do 70 dziesięcin. W naszych zaś układach scheda Kotuni liczyłaby 85 dziesięcin, scheda Henrysia – 117 dziesięcin, a jeżeli dodać do niej i działkę podarowaną w Janówce w ilości 10 dziesięcin Kazimierzowi Jankowskiemu, na którą

[478] Aleksandras Stulginskis (1885-1969), prezydent Litwy 1922-1926, czołowy działacz litewskiej chrześcijańskiej demokracji.
[479] Adam Stankiewicz (A. Stankevič, 1892-1949), ksiądz, działacz białoruskiej chrześcijańskiej demokracji, obrońca praw języka białoruskiego, czynny w kierownictwie Białoruskiego Komitetu Narodowego w Wilnie, Towarzystwa Szkoły Białoruskiej, Białoruskim Instytucie Gospodarki i Kultury, poseł do Sejmu RP (1922-1927).
[480] Zemach Szabad (1864-1935), lekarz, działacz społeczny, pracował nad rozwinięciem nowoczesnej kultury żydowskiej, współzałożyciel Żydowskiego Instytutu Naukowego w Wilnie (JIWO) w 1925, 1919-1925 członek rady miejskiej Wilna, 1928 wybrany do Senatu RP, politycznie związany z partią folkistowską (Folkspartei).

tymczasem formalnego aktu darowizny sporządzić nie można i która przeto musi być w naszym dziale policzona w naszych schedach w naturze, to scheda Henrysia wyniesie 127 dziesięcin. Zmniejszenie tych dwóch sched do 70 dziesięcin, choć pozornie zmniejszające ich stosunkową wartość, ma cały szereg pierwszorzędnych atutów zarówno dla ogółu, jak dla nich samych, a mianowicie: a) właściciel, który ma ogółem nie więcej 70 dziesięcin, może mieć lasu ponad 25 dziesięcin; jego las upaństwowieniu nie ulega; tą drogą ocaliłoby się zatem całą nadwyżkę lasu w Bohdaniszkach, pozostającą po przydzieleniu do każdej schedy po 25 dziesięcin; b) gospodarstwa ponad 70 dziesięcin, których właściciele sami gospodarstwa nie prowadzą, ulegają przejęciu w zarząd państwowy, który bynajmniej dla właściciela przyjemny nie jest, bo w istocie pozbawia go dochodu i prawa rozporządzalności. Ani Kotunia, ani Henryś sami gospodarstwa na swoich schedach tu prowadzić nie będą, bo w ogóle nie myślą o powrocie do kraju; chociaż ustawa mówi o „gospodarstwach" ponad 70 dziesięcin, a nie o „własności ziemskiej", schedy zaś tak Kotuni, jak Henrysia, złożone ze skrawków, nie stanowią jednolitych gospodarstw, więc prawo to do nich może się nie stosować, jednak strzeżonego Pan Bóg strzeże: kto wie, jak ta ustawa może być stosowana i jakie mogą być jeszcze do niej przepisy uzupełniające; c) najważniejszy wzgląd jest jednak ten, że właściciel, mający nie więcej ponad 70 dziesięcin, może swobodnie sprzedawać swoją ziemię bez żadnych ograniczeń, zastrzeżeń i pozwoleń, natomiast właściciel mający ponad 70 dziesięcin, może sprzedać ziemi nie więcej niż 10%, i tylko za specjalnym pozwoleniem Ministerstwa Rolnictwa, ustawa zaś zastrzega, że pozwolenia takie mogą być udzielane tylko dla zdobycia gotówki na ratowanie lub ulepszenie gospodarstwa; i Kotunia i Henryś chcą schedy swoje sprzedać; lepiej więc im otrzymać mniej, ale móc sprzedać, niż więcej, ale nic z tym nie móc zrobić. Z powyższych względów dopisałem do protokółu uchwał naszych jedną *quasi*-uchwałę na własną rękę, upoważniającą mnie przy sporządzaniu aktu dzielczego do zmniejszenia podług mego uznania sched Henrysia i Kotuni do 70 dziesięcin. Dziś rozmówiłem się o tym z Hektorem i Elizką Komorowską, która przyjechała do Kowna dla dokonania działu na Kowaliszki. Oczywiście, że oboje zaakceptowali moją poprawkę. Ustaliliśmy, żeby na schedę Kotuni złożyły się 32 dziesięciny w Wiwieliszkach i 36 dziesięcin lasu w Montowszczyźnie, na schedę zaś Henrysia – 32,5 dziesięcin w Janówce, 1,5 dziesięciny w Prapultini i 36 dziesięcin lasu w Montowszczyźnie i Gaju. Apuszyni postanowiliśmy nie brać wcale w dziale. Zresztą Apuszynie są oparte na zupełnie osobnym akcie własności. W takim razie z obcięcia sched Kotuni i Henrysia odpadną Karwieliszki (20,5 dziesięcin), Cegielnia (8 dziesięcin) i folwark Staczeragi (20 dziesięcin). Karwieliszki wezmę do mojej schedy, a Cegielnia i Staczeragi pójdą jedna do schedy Maryni i druga – do schedy Elwiry. Zmiany te zakłócą równowagę wartości sched, ale to się potem wyrówna sankcją arbitrów. Na koszta działu Hektor zgodził się udzielić nam pożyczki w kwocie 25 000 marek, co powinno wystarczyć, o ile podatek spadkowy będzie opłacony. Wobec tego spodziewam się, że za dwa tygodnie, jak Hektor wróci z Berlina, dokąd w tych dniach jedzie, i doręczy mi pieniądze, dokonamy formalnego aktu działu.

12 kwietnia, rok 1921, wtorek
Siedziałem dziś na sesji karnej. Przewodniczył Oleka, uczestniczyliśmy ja i sędzia pokoju Herubowicz. Sprawy były drobne – same nędzne kradzieże. Toteż nudna była sesja, ale za to się skończyła prędko.
Poza tym dzień dzisiejszy niczym szczególnym się nie zaznaczył. Wskutek tego zrobię sobie urlop w dzienniku i na tym dziś poprzestanę.

13 kwietnia, rok 1921, środa
Od bardzo dawna nie wspominałem w dzienniku o naszej Komisji do Spraw Litwy Wschodniej („Lietuvos Rytų Komisija"), do której formalnie należę. W rzeczy samej jednak instytucja ta nie zasługuje nawet na wzmiankę. Zapoczątkowana na wielką skalę – okazała się nicością. Gdybym był usłuchał Puryckiego, kiedy w styczniu angażował mię on do tej Komisji, i gdybym był wystąpił dla niej z Sądu Okręgowego, to musiałbym był już chyba od dawna do sądu wracać, bo wstyd byłoby po prostu brać pensję za należenie do Komisji, nic w istocie nie robiąc. Z początku miewaliśmy jeszcze posiedzenia tej Komisji, omawialiśmy różne plany akcji i polityki litewskiej, które należy w sprawie wileńskiej stosować; rząd i w szczególności minister spraw zagranicznych Purycki utrzymywał nas *au courant* wszelkich zapoczątkowań rządowych w tej sprawie, odwoływał się do nas we wszelkich projektach, byśmy je rozważyli i odpowiednio opracowali. Wszystko okazało się na próżno. Nie tchnęło to w Komisję życia. Byliśmy w Komisji podobni do tej gromadki zwierząt z bajki Kryłowa[481], która, dorwawszy się do instrumentów muzycznych i nie umiejąc grać na nich ani skoordynować ich dźwięków, by naśladować orkiestrę, próbowała znaleźć tajemnicę sztuki w rozsadzeniu poszczególnych graczy.

„*Вы, господа, какъ не садитесь,*
*все въ музыканты не годитесь !*"[482]

– zwraca się w końcu do nich bajkopisarz. Tak samo było z nami. Chaotyczność naszej „pracy" w Komisji tłumaczyliśmy wpierw brakiem osobnego lokalu i dorywczością naszych zebrań. Otrzymaliśmy wreszcie osobny pokój w części lokalu opróżnionego przez Ministerium Spraw Zagranicznych. Nie na wiele się to zdało. Potem zdawało się nam, że dla kierowania sprawami wileńskimi musimy wytworzyć naszą ekspozyturę w Wilnie, za której pośrednictwem będziemy stąd regulowali akcję wileńską. Ale Wilnianie przyjęli myśl o ekspozyturze sceptycznie, upatrując w niej jakiś twór biurokratyczny, całkiem zbyteczny. Stopniowo też i Komisja nasza straciła wiarę w możność żywego działania Kowna na Wilno, straciła swój słomiany zapał młodzieńczy i anemicznie zrezygnowała ze swej roli wielkiego czynnika w sprawie wileńskiej. Żadnych już zebrań Komisji nie ma, bo nie ma o czym obradować. Komisja po prostu nie ma żadnego wspólnego zadania, żadnej wspólnej pracy. Jej działalność skurczyła się do roboty biurowej, załatwianej przez Wacława Biržiškę z pomocą jednego kancelisty. Wacław Biržiška, który się okazał człowiekiem papierowym, pozbawionym mocnej inicjatywy, przychodzi i przesiaduje co dzień godziny w biurze Komisji; wypisał on mozolnie długie tablice porównawcze różnych źródeł statystyki narodowościowej w Wileńszczyźnie, do których sporządził mapy i jako materiał – ma to swoją wartość, ale to nie dzieło Komisji, jeno jego. Poza tym w biurze Komisji (W. Biržiška i kancelista) dokonywa się ekspedycja pism [litewskich] dla Michała Biržiški w Wilnie i tam się koncentrują pisma polskie, nadsyłane z Wilna przez Michała Biržiškę, z których sporządzają się wycinki jako materiał usystematyzowany do sprawy wileńskiej. Wreszcie W. Biržiška ma pewien, choć podrzędny, kontakt z Griniusem i Puryckim w różnych drobnych szczegółach pośrednictwa komunikacyjnego między Kownem a Wilnem. Ale na politykę zagadnienia wileńskiego ani Biržiška, ani Komisja, która się nawet nie zbiera, wpływu nie mają. Purycki, człowiek żywy, bagatelizuje – i słusznie –

---

[481] Iwan A. Kryłow (1769-1844), rosyjski poeta, bajkopisarz, dramatopisarz.
[482] „Вы, господа..." - „Wy panowie, jakkolwiek usiądziecie, nie zostaniecie muzykantami". Z wiersza I. Kryłowa pt. „Kwartet", M. Römer przytoczył niedokładnie. W istocie brzmi on: „А вы, друзья, как ни садитесь, // Все в музыканты не годитесь". W tłumaczeniu Tadeusza Łopalewskiego: „Wy zaś, jakkolwiek usiądziecie, // Muzykantami nie będziecie!", zob.: I. Kryłow, Bajki, Biblioteka Narodowa. Seria 2, nr 129, Wrocław – Kraków 1961, s.101-102.

Komisję, którą sam wpierw stworzył i którą chciał mieć za organ polityki wileńskiej. Członkowie Komisji – Rozenbaum i Konopacki – są ludźmi, którzy wpływu wielkiego mieć nie mogą. Jeden z nich jest młodzikiem, drugi – osobą podrzędną w ruchu białoruskim, poczciwy, ale bierny. Obaj oni zresztą czują jałowość Komisji i mają skrupuły pobierać pensję bez pracy. W takim składzie osobistym Komisja ta nigdy nie mogłaby odegrać roli wybitniejszej. Powierzać trudną i odpowiedzialną sprawę wileńską w ręce ludzi, tworzących tę Komisję, byłoby ze strony rządu naiwnym i niepotrzebnym. Toteż sprawa płynie mimo Komisji i bez jej udziału. Moja rola ograniczała się tylko do społecznej akcji porozumiewawczej wileńskiej, ale Komisja właściwie w tym udziału nie brała i moja przynależność do Komisji w niczym mi tu nie dopomogła. Komisja okazała się instytucją chybioną, która w łożysko życia nie weszła.

14 kwietnia, rok 1921, czwartek
Siedziałem na sesji cywilnej. Przewodniczył prezes Mačys, uczestniczyli sędzia Preiss i ja. Brać udział w sesji, na której przewodniczy Mačys – to „klęska". Trudno zaiste znaleźć większego marudę, uprawiającego na sesji sport gawędziarski i przeciągającego rozprawę sądową ponad wszelką potrzebę, niż nasz prezes Mačys. Ma on szczególny talent marudzenia i nudziarstwa, tak na samej rozprawie, jak potem na naradzie sędziowskiej. To, na co wystarczyłoby 10 minut, to u niego zająć może godzinę. Niezły to człowiek, choć orłem nie jest, niezły też cywilista, choć w ramach przeciętności, bardzo kiepski administrator, dobry kolega, ale i nade wszystko – nudziarz w robocie. Sesja z Mačysem – to zawsze na pewno cały dzień stracony!
W sądownictwie litewskim na ogół i w naszym Sądzie Okręgowym w szczególności nie najlepiej się dzieje. W ogóle w sądownictwie – wielki brak ludzi wykwalifikowanych. Na stanowiskach sędziów pokoju i sędziów śledczych, z wyjątkiem kilku białych kruków, prawników nie ma. Poziom też tej niższej magistratury sądowej nie tylko pod względem wiedzy i kwalifikacji fachowych, ale też pod względem moralnym pozostawia dużo do życzenia. Niestety – łapownictwo między sędziami pokoju jest zjawiskiem nierzadkim. Niska stopa pensji sędziowskiej odstrasza od sądownictwa ludzi zdolniejszych i zniechęca tych, którzy jeszcze służą. Stosuje się to zarówno do niższej, jak do wyższej magistratury sądowej. Prawników do Sądu Okręgowego prawie że niepodobna znaleźć. Każdy prawnik woli lepszą posadę gdzie indziej albo też adwokaturę, dającą zarobki znakomite. W Sądzie Okręgowym praca wciąż się zwiększa, ale pracowników nie przybywa. Spraw wpływa więcej, niż się rozpoznaje, zaległość więc rośnie. Zaczynają się dostawać do sądu na stanowiska sędziów takie skończone osły niezdarne, jak Rustejko, który po prostu jest skandalem i który może śmiało konkurować z moim byłym kolegą sędzią Makowskim w sądzie łomżyńskim. Kandydatów na sędziów brak. Z wybranych przez nas niedawno czterech kandydatów jeden, Moigys, cofnął się, a był to najpoważniejszy jako siła fachowa, dwóch odrzuciło Ministerium jako za młodych – może to i dobrze – i mianowany został tylko jeden – Czesław Milwid. Ale żaden to dla nas przybytek, bo akurat jednocześnie zachorował Narutowicz. Nie znoszę ministra sprawiedliwości, pana Karoblisa[483]. Jest to młodzik głupi, uparty, biurokrata i nacjonalista ciasny. W nominacjach stara się zbyt gorliwie utrzymać przewagę elementu litewskiego, nieraz ze szkodą kwalifikacji, i jest nadmiernie podejrzliwy względem elementu narodowo obcego. W ogóle u nas w sądzie trochę za dużo jest polityki, nawet w wyrokowaniu, czego być nie powinno, i stanowczo za dużo jest ducha urzędniczego, który nie odpowiada wcale wolnemu

[483] Vincas Karoblis (1866- 1939), działacz chrześcijańskiej demokracji, minister sprawiedliwości w latach 1920-1923 (z przerwami) i 1925-1926.

zawodowi sędziego. Sędzia musi być niezależny do szpiku kości, bo gdy w nim urzędnik panuje nad sędzią – biada sprawiedliwości!

15 kwietnia, rok 1921, piątek
Około 10 dni temu, we środę 6 kwietnia, byłem zaproszony wieczorem na jedno zebranie, o którym w dzienniku przez zapomnienie nie wspomniałem. Było to zebranie w redakcji „Lietuvos Ukininkas"[484], zwołane przez grono inicjatorów z kół stronnictwa Socjalistów-Ludowców-Demokratów ze Ślażewiczem[485] na czele. Chodziło o naradzenie się nad wytworzeniem ściślejszego kontaktu elementów społecznych lewicy demokratycznej w celu skupienia ich sił i skoordynowania ich akcji, a w szczególności nad stworzeniem dziennika, który mógłby się stać organem zbiorowym nie jednej partii tylko, lecz całej demokracji lewej, blokującej się między prawicą „Pažangi" i Chrześcijańskiej Demokracji a skrajną rewolucyjną lewicą komunistów i tzw. lewych ludowców (grupa Januszkiewicza)[486], odrzucającą stanowisko państwowe i orientującą się bądź w kierunku Rosji Sowieckiej, jak komuniści, bądź w kierunku li tylko rewolucji społecznej, jak tzw. lewi ludowcy z pokrewnymi im elementami w rodzaju Bułata.
Na zebraniu, prócz inicjatorów w osobach Ślażewicza, Natkiewicza[487] i Strimaitisa[488], reprezentujących partię Socjalistów-Ludowców-Demokratów i Związek Włościański, było trzech ludzi z demokratycznego stronnictwa inteligenckiego „Santary"[489] z Piotrem Leonasem[490] na czele, pani Felicja Bortkiewiczowa oraz jako bezpartyjni – ja i prof. Šimkus[491], który w kilka dni potem został mianowany ministrem wojny w miejsce ustępującego Žukasa. Referował w imieniu inicjatorów Ślażewicz. Wskazał on na dokonywujący się proces skupiania sił na prawicy i na skrajnej lewicy, na zbliżenie się na obu tych skrajnych skrzydłach elementów pokrewnych sobie założeniami ideowymi lub metodą bez względu na różnice szczegółowe dzielące poszczególne ugrupowania partyjne. Całość społeczeństwa podzielił on na trzy wielkie odłamy: na prawicę, w istocie konserwatywną społecznie, pomimo demagogicznej nieraz taktyki pozorów u chrześcijańskich demokratów, politycznie umiarkowaną, a nawet tęskniącą do reakcji i

[484] „Lietuvos ūkininkas" („Litewski Gospodarz"), tygodnik, w latach 1918-1922 organ Związku Włościańskiego (Valstiečių sąjunga), od 1922 Litewskiego Związku Włościan Ludowców (Lietuvos valstiečių liaudininkų sąjunga).
[485] Mykolas Sleževičius (1882-1939), adwokat, polityk, 1907 wstąpił do Litewskiej Partii Demokratycznej, 1917 współorganizator Partii Litewskich Socjalistów-Ludowców-Demokratów, 1918-1919 dwukrotnie premier Litwy, ponownie w VI-XII 1926.
[486] „Lewi ludowcy" – Litewska Partia Rewolucyjnych Socjalistów Ludowców (Lietuvos revoliucinių socialistų liaudininkų partija), radykalna partia lewicowych socjalistów-rewolucjonistów (lewicowych eserowców). W latach 1918-1927 działała w Litwie (nielegalnie, wyjąwszy okres władzy centro-lewicowego rządu M. Sleževičiusa w drugiej połowie 1926 r.). W 1927 przekształciła się w Związek Litewskich Socjalistów Rewolucjonistów Maksymalistów (Lietuvos socialistų revoliucionierų sąjunga). Głównym ideologiem partii był Mykolas Januškevičius (1886-1942), poseł do IV Dumy Państwowej (1912-1917).
[487] Vladas (Ladas) Natkevičius (1893-1945), prawnik, dyplomata; 1020-1922 poseł w Sejmie Ustawodawczym (wybrany z listy bloku socjalistów-ludowców i Związku Chłopskiego), 1939-1940 poseł nadzwyczajny i minister pełnomocnyw ZSRR.
[488] Jonas Stirmaitis (1891-1933), działacz Związku Rolników Litewskich (Lietuvos žemdirbių sąjunga).
[489] „Santara" (Demokratinė tautos laisvės santara; Demokratyczna Jedność Wolnego Narodu), litewska liberalna partia działająca w latach 1917-1925. W 1925 przekształcona w Partię Gospodarzy (Ūkininkų partija).
[490] Petras Leonas (1864-1938), prawnik, socjolog, poseł do II Dumy Państwowej (1907), w RL minister sprawiedliwości (1918-1919) i minister spraw wewnętrznych (1919), profesor Uniwersytetu w Kownie.
[491] Jonas Šimkus (1874-1944), chemik, polityk, 1918-1919 minister handlu i przemysłu, 1921-1922 minister obrony, 1922-1940 profesor na Uniwersytecie w Kownie.

czekającą li tylko zwrotu w wielkim całokształcie stosunków dokoła Litwy, by skasować zdobycze rewolucji i oprzeć mocno rozwój dalszy na czynnikach społecznie najkonserwatywniejszych w narodzie litewskim. Do prawicy tej zaliczył „Pažangę”, Chrześcijańską Demokrację i pokrewne im formacje społeczno-polityczne, takie jak Žemdirbių Sąjunga[492] lub ekspozytury chrześcijańsko-demokratyczne w gatunku Ukininkų Sąjungi[493] lub Darbo federacii[494]; dalej na lewą demokrację, która hołduje ideałom ludowym, pragnie lud uczynić władcą państwa i państwo dostosować do potrzeb szerokich mas pracujących, aby je wyrażało i im służyło, która przeto nie uchyla się od rewolucji, lecz chce ją owszem zużytkować do ugruntowania zdobyczy ludowych na rzecz ustalenia przewagi pracujących rzesz włościańskich i robotniczych, stojąc jednocześnie mocno na gruncie państwowym Litwy niepodległej. Do tego obozu zalicza Ślażewicz swoje stronnictwo wraz ze Związkiem Włościańskim i sporo elementów luźnych bezpartyjnych wśród inteligencji; do tegoż obozu należy, zdaniem Ślażewicza, i Socjalna Demokracja Litwy[495], mimo że ulegając znanym u socjalistów obawom przed posądzeniem ich o „burżuazyjność” i o odstępstwo od czystości doktrynalnej marksizmu wypiera się wszelkiego kontaktu z pokrewnymi im elementami lewicy demokratycznej, usuwa się od skoordynowanego z nimi działania i z talmudyczną pedanterią usiłuje uwydatnić bardzo starannie to, co ją od „burżuazji” lewicowej i radykalnej dzieli. Wreszcie na trzeci wielki obóz – skrajnej lewicy, odrzucającej stanowisko państwowe litewskie lub nie interesującej się nim wcale i dążącej do rewolucji społecznej *à outrance*[496], bez względu na konsekwencje natychmiastowe, bez względu na ład, stateczność gospodarczą, spoistość polityczną narodu w szalejącej dokoła katastrofie. Do tego obozu zaliczył komunistów, którzy kategorycznie i celowo dążą do obalenia Litwy na rzecz Rosji Sowieckiej, by się z jej rewolucją stopić, i tzw. „lewych ludowców” z Januszkiewiczem na czele, którzy przed kilku laty oderwali się od Stronnictwa Socjalistów-Ludowców-Demokratów i za cel jedyny mają rewolucję społeczną, nie dbając o państwo, zwłaszcza burżuazyjne, któremu żadnej konkretnej wartości dodatniej nie przypisują. W obozie prawicy widać usiłowania do konsolidacji, zjazdy, konferencje, koordynowanie działania poszczególnych stronnictw, łączenie w pewnej mierze wysiłków; prawica ma swój organ codzienny – „Laisvė”, który jest jej wyrazem zbiorowym. Skrajna lewica musi z konieczności działać w ukryciu, o ile jej działalność skierowana jest przeciw państwu. Jednak jest ona dobrze zorganizowana, ciągle czynna, gwałtowna w swoich usiłowaniach. Najbardziej rozproszona, bierna, ospała – jest lewa demokracja.

16 kwietnia, rok 1921, sobota[497]

Bawi w Kownie Kraskowski, z którym się nie widziałem od r. 1915[498]. Moje z nim stosunki przed wojną były jak najbliższe. Kraskowski należał do naszego związku[499] w

---

[492] Žemdirbių sąjunga (Lietuvos žemdirbių sąjunga; Związek Litewskich Rolników), organizacja narodowców litewskich działająca (głównie w środowisku wiejskim) w latach 1919-1924.

[493] Ūkininkų sąjunga (Związek Gospodarzy), organizacja chrześcijańsko-demokratyczna, działała w latach 1919-1930, głównie w środowisku wiejskim.

[494] Darbo federacija (Federacja Pracy), ekspozytura chrześcijańskiej demokracji, powstała w 1919 r. z zamiarem zjednoczenia chadeckich związków robotniczych.

[495] Litewska Partia Socjaldemokratyczna (Lietuvos socialdemokratų partija) powstała w 1896 r., po kryzysie w latach 1917-1919, odbudowana na przełomie 1919 i 1920 r., działała do 1936 r.

[496] „*à outrance*” (fr.) – tu: „do końca”.

[497] Pod datą wyrysowany znak masoński.

[498] Kraskowski (biał.: Kraskoŭski) Iwan. Różniące się dane biograficzne Kraskowskiego podają: „Encyklapedyja gistoryi Bielarusi”, t. 2, Mińsk 1994, s. 250 i „Encyclopedia of Ukraine ”, Vol. II, London 1988, s. 658. Pierwsza podaje, iż urodził się w 1880, a zmarł w 1955 r.

Wilnie i był jednym z najczynniejszych jego członków. Z zawodu jest pedagogiem, był przed wojną w Wilnie nauczycielem i inspektorem w gimnazjum Winogradowa. Jest to człowiek kultury rosyjskiej, pod względem narodowości niezupełnie określony, coś pośredniego między Rosjaninem, Białorusinem a Ukraińcem. Rodem jest z powiatu bielskiego byłej guberni grodzieńskiej, gdzie ludność etnicznie przedstawia typ przejściowy od białoruskiego do ukraińskiego. Jako prawosławny i wychowany w kulturze rosyjskiej, inspektor gimnazjum z czasów rosyjskich w Wilnie, uchodził on zwykle za Rosjanina, chociaż sam grawitował zawsze do ruchu białoruskiego i z Białorusinami utrzymywał stosunki bliskie i współpracował. W czasie wojny, gdy Niemcy zajęli Wilno, Kraskowski, który się znalazł w Kijowie, brał czynny udział w ruchu społecznym i politycznym na gruncie wielkich organizacji społecznych, powstałych w Rosji dla łagodzenia ciężarów szalejącej wojny. Przebywał w Kijowie i na froncie galicyjskim. Zbliżył się tam też do ruchu ukraińskiego, utrzymywał kontakt z akcją białoruską. Nie przestawał brać czynnego udziału w życiu i działalności Związku, który w latach 1915, 1916 i 1917 stał się wielką potęgą zakulisową w Rosji i odegrał ogromną rolę w pierwszym przewrocie, zapoczątkowującym rewolucję rosyjską.
W r. 1917 za rządów Kiereńskiego[500] w Rosji Kraskowski pogłębia swój udział w akcji białoruskiej i zarazem ukraińskiej. Przez czas jakiś jest on komisarzem gubernialnym w zajętym przez Rosjan Tarnopolu w Galicji Wschodniej. Białorusini czynią go rzecznikiem spraw swoich w powstającej i wyodrębniającej się stopniowo od Rosji Ukrainie. Kraskowski zostaje ministrem w rządzie Ukraińskiej Rady Narodowej[501]. Przychodzi okupacja niemiecka Ukrainy i przewrót hetmański obala Radę i jej rząd. Po upadku hetmańszczyzny[502] Kraskowski wypływa znowu i znajduje się w akcji Petlury. Staje na czele misji ukraińskiej na Kaukazie i zajmuje stanowisko posła ukraińskiego w Gruzji, gdzie przebywa aż do grudnia r. 1920. W tym czasie wyjeżdża, ale już wrócić tam nie może, bo w międzyczasie Gruzja pada pod ciosami Rosji Sowieckiej. Zresztą i Ukraina Petlury, sprzymierzonego z Polską, przestaje istnieć realnie. Pokój ryski polsko-bolszewicki dzieli faktycznie Ukrainę między Polskę a Rosję, która utrzymuje swoją ekspozyturę ukraińską pod nazwą Ukrainy Sowieckiej. Petlura ze swym rządem wygnańczym osiada kątem w Tarnowie w Galicji Zachodniej. Kraskowski w Wiedniu likwiduje sprawy ukraińskiej misji kaukaskiej. W tej chwili także miejscem jego pobytu jest Wiedeń. Z Wiednia Kraskowski nawiązuje bliższe stosunki z bawiącym w Kownie białoruskim rządem Łastowskiego[503], który skwapliwie werbuje Kraskowskiego do

---

[499] M. Römer, wspominając o „naszym związku" lub „naszym związku ścisłym", miał na uwadze lożę wileńską z lat 1910-1915 – „Litwa", której przewodniczył, oraz powstałą z jego inicjatywy w lipcu 1920 r. w Kownie lożę „Lietuva". Miano „Związek" (bez bliższego określenia) odnosił do wolnomularstwa w ogóle.
[500] Aleksander Kiereński (1881-1970), rosyjski polityk, VII-XI 1917 premier Rządu Tymczasowego.
[501] Ukraińska Rada Narodowa powstała 4/17 III 1917 (pod nazwą: Ukraińska Centralna Rada), jako reprezentacja organizacji politycznych narodu ukraińskiego, 7/20 XI 1917 proklamowała powstanie Ukraińskiej Republiki Ludowej, a 9/22 I 1918 ogłosiła jej suwerenność państwową.
[502] W kwietniu 1918 r. Niemcy poparli gen. Pawła Skoropadskiego (1873-1945), który usunął od władzy Centralną Radę Ukraińską, proklamował utworzenie nowego tworu państwowego (Państwo Ukraińskie; Ukrajińska Derżawa) oraz ogłosił się jedynowładcą jako hetman Ukrainy. Po klęsce wojennej państw centralnych został zmuszony (w grudniu 1918) do złożenia władzy, która przeszła w ręce tzw. Dyrektoriatu stworzonego przez członków dawnej Rady Centralnej.
[503] Wacław Łastowski (Vaclaŭ Lastoŭski, 1883-1938), polityk, historyk, badacz dziejów literatury, czołowy przedstawicieli białoruskiego ruchu narodowego, 1906-1917 działacz Białoruskiej Socjalistycznej Hromady, od 1919 lider Parii Białoruskich Socjalistów Rewolucjonistów. W grudniu 1919 r. stanął na czele białoruskiego rządu powołanego przez Białoruską Radę Ludową (powstałą w wyniku rozłamu w łonie Rady Białoruskiej Republiki Ludowej), skupiającą działaczy przeciwnych wiązaniu się z Polską. Władze polskie uniemożliwiły działalność tego gabinetu. W maju 1920 r. W.

siebie. Kraskowski zaczyna myśleć o powrocie do kraju, o Wilnie. W styczniu czy lutym wpada do Kowna, wchodzi w stosunki bezpośrednie z Białorusinami rządu Łastowskiego, po tym jedzie na krótko do Wilna, skąd znów do Wiednia wraca. Z łona Białorusinów wileńskich powstaje myśl wystawienia kandydatury Kraskowskiego na ministra spraw białoruskich w rządzie litewskim w Kownie na miejsce znienawidzonego przez Białorusinów Siemaszki[504]. Rząd Łastowskiego gorąco popiera myśl o kandydaturze Kraskowskiego. Odtąd nazwisko Kraskowskiego jest przez Białorusinów stale wystawiane przeciw Siemaszce, chociaż tylko połowicznie, bo ostrożny rząd litewski, flirtując z Białorusinami, ani myśli zamieniać Siemaszki, który mu jest dogodny, kimś innym, kto by był w tym rządzie ekspozyturą rządu obcego, mężem zaufania Łastowskiego. Rząd litewski po prostu udaje, że domagań się białoruskich o usunięciu Siemaszki nie słyszy, a Łastowski jako szef obcego rządu nie może oczywiście urzędowo mieszać się w sprawy składu osobistego rządu Litwy i wyrażać jakiekolwiek życzenia co do osób ministrów.

17 kwietnia, rok 1921, niedziela
Kraskowski bawi w Kownie tylko kilka dni i wraca do Wiednia. Naradzał się on tu z Białorusinami, którzy wciąż chcieliby przeforsować jego kandydaturę na litewskiego ministra do spraw białoruskich. W ogóle Kraskowski, który tęskni do powrotu stałego do kraju, a z Ukrainą zresztą, która jest rozbita, niewiele już ma wspólnego poza likwidacją jej misji kaukaskiej, dokonywaną w Wiedniu; do Białorusinów garnie się coraz bardziej, i jestem pewny, że w prędkim czasie połączy się już z nimi zupełnie, stając czynnie w ich szeregach. Choć i Białoruś jest dziś pod względem państwowym takim samym rozbitkiem, jak Ukraina, jednak, korzystając z terenu litewskiego do organizowania się i mając żywe ogniska propagandy w Wileńszczyźnie, Grodzieńszczyźnie i nawet na terenie Białej Rusi Sowieckiej, sprawa białoruska, kierowana rękami rządu Łastowskiego, jest w ciągłym i wielkim ruchu twórczym. Ale zwłaszcza nęcić musi Kraskowskiego to, że sprawa białoruska da mu możność powrotu i ustalenia się w kraju.
Kraskowski widział się też tutaj ze mną i z Litwinami, z którymi przed wojną obcował we wspólnym łonie związku. Na wniosek Ślażewicza zwołałem wczoraj *ex re* przyjazdu Kraskowskiego zebranie naszego związku ścisłego, który, jak wiadomo z mego dziennika, został tu przez nas w zeszłym roku wskrzeszony, ale nie zdołał rozwinąć się zupełnie, nie tylko że nie wytworzywszy ani jednej nowej formacji, ale nie zyskawszy przez cały rok ani jednego nowego członka. Zebraliśmy się wczoraj wszyscy w Kownie, a więc ja, Michał Ślażewicz, Stefan Kairys[505], Felicja Bortkiewiczowa, Wacław Biržiška, Wacław Bielski[506], Augustyn Janulaitis[507] i Dominik Siemaszko. Obecny był też Kraskowski, który, jak mi się potem sam przyznał, był bardzo

---

Łastowski osiadł w Kownie i tu zorganizował białoruski rząd emigracyjny, którym kierował do 1923. W 1927 wyjechał do BSRR, gdzie represjonowany (od 1930 r.) zginął 23 I 1938.
[504] Dominik Siemaszko (Daminik Sjamaška, 1878-1932), białoruski działacz polityczny, 1920-1922 minister do spraw białoruskich w rządzie RL.
[505] Steponas Kairys (1876-1964), inżynier, polityk, czołowy działacz litewskiej socjaldemokracji, 1917 wybrany do Litewskiej Rady Krajowej (Taryby), 1919 minister aprowizacji, 1920-1927 poseł w Sejmach Litwy, 1923-1943 wykładowca na Uniwersytecie w Kownie.
[506] Vaclovas Bielskis (1870-1936), inżynier, działacz społeczny i polityczny, 1919 komisarz rolnictwa w radzieckim rządzie Litwy, osiadłszy następnie w Kownie rozwinął działalność w Litewskiej Partii Socjaldemokratycznej.
[507] Augustinas Janulaitis (1878-1950), prawnik, historyk; 1896-1901 współpracowal z prasą warpasowców (*varpininkai*), następnie związał się z Litewską Partią Socjaldemokratyczną i pozostawał w niej do 1923. W 1918 minister spraw zagranicznych, 1919-1925 sędzia (1924 przewodniczący) Najwyższego Trybunału Litwy, od 1922 profesor Uniwersytetu w Kownie.

zdziwiony, ujrzawszy wśród nas Siemaszkę, przeciwko któremu Białorusini wystawiają właśnie jego, Kraskowskiego. Zresztą Kraskowski sam osobiście żadnych zabiegów o wpakowanie się na miejsce Siemaszki nie czynił, a ujrzawszy go w naszych szeregach, oświadczył mi, że tym bardziej stanowczo sam czynnie przeciwstawiać się Siemaszce nie będzie, a nawet wątpi, czy użyczyłby swego imienia na sztandar i hasło przeciw Siemaszce. Kraskowski ma duże poczucie solidarności braterskiej naszego Związku. Zapewniłem go, że za daleko tę solidarność posuwa, bo zastępstwo polityczne jednego człowieka przez innego na stanowisku ministra nie może być hamowane solidarnością związkową, która różnicy kierunków politycznych nie wyklucza.
Na zebraniu naszym wczorajszym Kraskowski, który jest wielkim entuzjastą Związku, referował nam o stadiach jego rozwoju w czasie Wielkiej Wojny i w dziejach potem rewolucji rosyjskiej oraz wyłaniania się z masy rosyjskiej państw narodowych. Podkreślał też mocno potrzebę konsolidacji Związku w poszczególnych wyodrębnionych narodach oraz w najściślejszym kontakcie między nimi, ponieważ problem wschodnio-europejski jeszcze zlikwidowany nie jest i jeszcze wszystkie narodowe nowotwory państwowe staną w obliczu odradzającego się imperializmu rosyjskiego, który zagrozi ich bytowi. Jest to prawda, ale niemniej – źle to czy dobrze – u nas szans dla wielkiego rozwoju naszego Związku nie ma. Narody, jak Ukraińcy lub Białorusini, które bytu państwowego nie zrealizowały i mają liczną emigrację, wśród której są ich najlepsze nieraz szeregi inteligencji narodowej, mogą wytwarzać takie formy przygotowania się do przyszłych wypadków i przyszłego czynu, jak taki Związek. Ale narody, które byt państwowy zrealizowały, zwłaszcza niewielkie, nie mające nadmiaru sił inteligenckich, są tak pochłonięte konkretną a twórczą pracą państwową, że na wytwarzanie form dalekiego przyszłego czynu, do czego nadawałby się właśnie nasz Związek, nie mają czasu ani energii. Cała ich energia jest pochłonięta wytężoną pracą bezpośrednią i natychmiastową. Jest to fakt, który mi w zupełności tłumaczy jałowość naszego Związku tutaj od roku mimo najlepszych chęci. Może to i źle, może natychmiastowa praca bieżąca dokonywa się za wielkim kosztem, bo kosztem zadań przyszłych, którymi potem naród będzie zaskoczony, ale kto wie, czy nie ma racji ten instynkt narodów, który im każe zaniedbywać wszystko inne dla konkretnej pracy państwowej. Bo stworzywszy mocne podwaliny państwa i oparłszy je głęboko w ludzie, wytworzy się nowe formy silniejsze od wszelkich Związków inteligenckiego tworu.

18 kwietnia, rok 1921, poniedziałek
Dziś dzień rozpoczęcia w Brukseli rokowań wstępnych litewsko-polskich pod przewodnictwem Hymansa. Dobrych kilka dni upłynie, nim dojdą nas pierwsze stamtąd wieści. Jestem usposobiony do tych rokowań sceptycznie i nie wróżę im powodzenia, o ile tylko Europa nie wywrze na Polsce ostrego nacisku sprawą górnośląską. Nie jestem bynajmniej pewny, że nie obejdzie się jeszcze przed ostatecznym rozstrzygnięciem sprawy wileńskiej bez krwi rozlewu. Obie strony – Polska i Litwa – zacięły się w swoich postanowieniach i niełatwo z nich zrezygnują. W gruncie rzeczy nie da się zaprzeczyć, że obie strony dziś dalej poszły w kierunku ustępstwa na punkcie sprawy wileńskiej, niż do tego skłonne były przed rokiem, ale na ostatnich okopach przed kompromisem oszańcowały się tak, że ani rusz z miejsca.
Z ramienia Litwy oprócz Gałwanowskiego i Klimasa oraz Naruszewicza[508], który ma przyjechać do Brukseli z Londynu, i Miłosza[509], który ma przyjechać z Paryża,

[508] Tomas Naruševičius (1871-1927), inżynier, dyplomata, 1921-1923 minister pełnomocny Litwy w Londynie, 1923-1924 minister łączności.
[509] Oskar Władysław de Lubicz Miłosz (Oskaras Milašius; Oscar Venceslas de Lubicz Milosz) (1877-1939), wybitny poeta francuski, filozof-mistyk, dyplomata. W czasie I wojny światowej zaczął wspierać

wyjechali jeszcze dzisiaj do Brukseli dwaj wybitniejsi ludzie z kół sejmowych – Michał Ślażewicz i ksiądz Jurgutis.

19 kwietnia, rok 1921, wtorek
Wieczorem przyjechał z Bohdaniszek Jan Kligys, przysłany przez siostry dla działu naszego jako plenipotent Henrysia Wołłowicza. Przyjechał niespodzianie dla mnie, bo akt dzielczy będziemy mogli robić u notariusza nie wcześniej, jak dopiero za tydzień, mianowicie po otrzymaniu przeze mnie pieniędzy od Hektora Komorowskiego, który obecnie bawi w Berlinie i wracać będzie przez Kowno w końcu bieżącego tygodnia. Ale lepiej, że Kligys przyjechał wcześniej, niż gdyby się spóźnił. Siostry z Bohdaniszek ani Elizka Komorowska osobiście na dział nie przyjadą, jeno będą zastąpione przez plenipotentów, którzy, nie wdając się w *meritum* dyspozycji dzielczych, ustalonych przeze mnie, podpiszą za nie akt. Elwira przysłała plenipotencję na imię adwokata Staszyńskiego, Marynia – na imię adwokata Każdajlewicza, od Petrulisa, plenipotenta Kotuni Pruszanowskiej, jest przelew plenipotencji na imię Wacława Biržiški, Elizkę zaś Komorowską zastępować będzie za plenipotencją jej syn Julek. Wszystkie plenipotencje przywiózł Kligys. Oprócz tego, Kligys przywiózł metrykę śmierci Papy, wycofane od sędziego pokoju w Rakiszkach poświadczenie sędziego pokoju w Kownie Herubowicza o osobach spadkobierców Papy, wreszcie – plany Bohdaniszek. Nie przywiózł tylko od inspektora podatkowego w Rakiszkach wykazu sumy podatku spadkowego do zapłacenia i oceny Bohdaniszek. Zatelegrafowałem zaraz do Elizki Komorowskiej, że dokumentów od inspektora podatkowego nie ma.
Jeżeli tylko nie powstaną jakieś trudności ze względu na plenipotencje Kotuni Pruszanowskiej i Henrysia Wołłowicza, które są nieco zbyt ogólnikowe i tylko przebąkują o dziale, nie specyfikując poszczególnych czynności dzielczych, do których plenipotent jest upoważniony, i trudności z powodu braku metryk, które ma zastąpić ryczałtowo zaświadczenie Herubowicza, to za tydzień w imię Boże dokonamy działu Bohdaniszek i wreszcie będziemy mieli nasze najważniejsze zadanie spełnione. Wtedy dopiero odetchniemy swobodniej. Okaże się wtedy, czy dział jest w stanie uratować lasy, czy też jest już na to za późno. Dotychczasowe ustawy o lasach i własności ziemskiej nie zamknęły jeszcze, zdaję się, drogi do dokonania działu spadkowego przestrzeni leśnych, o ile władze nie doręczyły jeszcze niepodzielnemu właścicielowi aktu formalnego o wywłaszczeniu jego lasu. Analiza tych ustaw zdaje się uzasadniać taki wniosek, choć redakcja ich nie jest zupełnie wyraźna i przy pewnym naciąganiu może doprowadzić i do przeciwnego wniosku, tendencja zaś urzędów państwowych, stosujących ustawy agrarne i leśne, oraz tendencja sądu, który musi liczyć się także z kierunkiem woli ustawodawcy, wyrażającym się w całokształcie ustaw, o ile ścisły tekst pewnych przepisów jest wątpliwy – nie sprzyja własności prywatnej lasów. Mam jednak wrażenie i nadzieję, że da się obronić lasy bohdaniskie mocą działu i że pewne wątpliwości ustaw nie [są] pod tym względem zbyt niebezpieczne.

20 kwietnia, rok 1921, środa
Inspektor podatkowy z Rakiszek przysłał mi dziś sam pocztą dokument oceny Bohdaniszek. Wykazu sumy podatku spadkowego do zapłacenia nie przysłał, zawiadamiając, że sprawę uzyskania od nas podatku spadkowego przesłał do inspektora podatkowego w Kownie. Mając jednak ocenę, mogę już sam wyliczyć sumę podatku. Całość spadku bohdaniskiego oszacowana została przez inspektora podatkowego na 811 000 marek. Podatek spadkowy od tej sumy wyniesie więc 22 300 marek, co wypada na

litewskie aspiracje narodowe i sam uważać się za Litwina, 1918 uczestniczył w delegacji litewskiej na Konferencję Pokojową w Paryżu, 1919-1925 przedstawiciel Litwy przy rządzie francuskim.

każdego ze spadkobierców po 3721 marek, koszt zaś działu, licząc 2 ½% stempla i podatku aktowego oraz honorarium notariusza itp., wyniesie około 23 000 marek, razem zapewne przeszło 45 000 marek. Mam przygotowanych na to pieniędzy gotówką około 10 000 marek, resztę zaś w ilości około 35 000 marek wypadnie mi dostać od Hektora Komorowskiego, który w tych dniach będzie wracać z Berlina. Muszę więc teraz czekać na Hektora i złapać go w przejeździe przez Kowno.
W dniu 15 kwietnia pisałem o zaprojektowaniu przez grono inicjatorów ze Ślażewiczem na czele stworzenia jakiejś obszerniejszej międzypartyjnej organizacji lewicy demokratycznej i wspólnego dziennika lewo-demokratycznego. Na zebraniu, zwołanym przez inicjatorów, Ślażewicz zreferował o potrzebie takiego zapoczątkowania. Konkretnie zaprojektował zwołanie w najbliższym czasie wielkiego zjazdu elementów lewicy demokratycznej, tak zorganizowanych w partiach Socjalistów-Ludowców-Demokratów, Valstiečių Sąjungi, „Santary", jak luźnych bezpartyjnych. W zasadzie wtedy wszyscy zebrani projekt ten zaakceptowali, jeno przedstawiciele „Santary" zastrzegli, że muszą wpierw odwołać się do swojej partii. Wprawdzie nie wątpią, że partia zaaprobuje myśl samą, ale oczywiście nie mogą oni bez niej nic za nią decydować i muszą w partii omówić wszystkie szczegóły wykonawcze projektu. Rezerwując więc formalną sankcję „Santary", postanowiono wtedy utworzyć komisję specjalną, której ma być polecone ustalenie zasad i programu, zwołanie projektowanego zjazdu oraz opracowanie projektu dziennika. Do komisji tej wybrano trzech bezpartyjnych, mianowicie prof. Šimkusa, Zygmunta Žemaitisa i mnie oraz zarezerwowano w niej miejsce dla przedstawicieli Socjalistów-Ludowców-Demokratów, Valstiečių Sąjungi i „Santary", których stronnictwa te mają same wydelegować. Na tym wtedy sprawa stanęła, ale jakoś odtąd i zamarła, bo dalej nic o tym nie było słychać. Dopiero dziś otrzymałem znów zaproszenie na następne zebrańko w tej sprawie, ale gdym na wskazaną godzinę się udał do redakcji „Lietuvos Ukininkas", nic tam o zwołanym zebrańku nawet nie wiedziano, a po półgodzinnym przeszło oczekiwaniu, nie doczekawszy się nawet inicjatorów, wyszedłem. Nie wiem, czy coś z tej sprawy będzie. Wyjazd Ślażewicza, który na lewicy jest zawsze *spiritus movens*, widocznie uśpił energię pozostałych, a słyszałem, że trudności sfinansowania dziennika studzą zapał w tym kierunku. Dużo rzeczy w pomysłach się zaczyna, ale mało z nich w czynie się krystalizuje.

21 kwietnia, rok 1921, czwartek
Przez cały dzień do godz. 9 wieczorem pracowałem na posiedzeniu sądowym. Była sesja cywilna, na której ja przewodniczyłem, mając za towarzyszy sędziów Masiulisa[510] i Šurnę. Dużo było wyznaczonych spraw, z nich większość z udziałem adwokatów, w tej liczbie kilka skomplikowanych, jak sprawa księcia Konstantego Radziwiłła[511], tzw. Totka, z Towian z całą gromadą dzierżawców i połowników[512] jednego folwarku. Przez cały czas sesji Kligys też siedział na sali, przysłuchując się rozprawom.
Jeżeli uda się nam bez przeszkód dokonać działu formalnego i jeżeli już – da Bóg – akt dzielczy zostanie zatwierdzony przez starszego notariusza, to odetchnę wreszcie

[510] Boleslovas Masiulis (1889-1965), prawnik, działacz polityczny; 1920-1926 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie, 1926-1928 sędzia Najwyższego Trybunału RL, 1928-1940 członek Rady Stanu (1938-1940 jej przewodniczący), 1938 minister sprawiedliwości.
[511] Konstanty Radziwiłł (1873 – 1944 lub 1945), ziemianin, polityk konserwatywny w RL; wobec państwa litewskiego przyjął postawę lojalną. Był współzałożycielem Zrzeszenia Szlachty Litewskiej (Lietuvių bajorų draugija), w 1927 współorganizował w Kiejdanach uroczystości ku czci Janusza Radziwiłła (1612-1655).
[512] Połownicy – dzierżawcy gruntów na warunkach uiszczania właścicielowi połowy plonów lub jej pieniężnej równowartości.

spokojniej. Znajdą się wtedy nowe kłopoty o zabezpieczenie Bohdaniszek i lasu, ale główna podstawowa rzecz będzie zrobiona. Ja osobiście stanę się wtedy właścicielem 100-dziesięcinowego folwarku w jednolitym zwartym kawałku. Las bowiem zdecydowałem się wziąć nie w Staczeragach, lecz w Gaju, aby uratować Gaj od przejścia w obce ręce, co by musiało nastąpić, gdyby dostał się on Henrysiowi Wołłowiczowi, i aby nie psuć figury mojej schedy. Ale ten fakt, że się stałem właścicielem 100 dziesięcin ziemi, uczynił ze mnie, człowieka wolnego – niewolnika ziemi, *glebae adscriptus*[513]. Taka jest bowiem konsekwencja zastosowania ustaw przejściowych, skierowanych do realizowania reformy agrarnej. Dopóki żył Papa i ja osobiście żadnej własności nie miałem, byłem wolnym człowiekiem i mogłem nie tylko mieszkać, ale i robić, co mi się podoba. Teraz podpadłem pod działanie ustaw reformy agrarnej. W myśl tych ustaw, właściciel ziemski, mający przeszło 70 dziesięcin własności, musi sam osobiście prowadzić gospodarkę. Jeżeli tego nie czyni, to jego majątek musi być zabrany w zarząd państwowy, co się niemal równa wywłaszczeniu, bo majątek taki zostaje wydzierżawiony małorolnym i bezrolnym bez żadnej dla właściciela korzyści, a dzierżawa taka jest już poniekąd zawiązkiem uwłaszczenia osadzonych dzierżawców, bo się przewiduje, że te parcele dzierżawne zostaną w drodze kapitalnej reformy agrarnej utrwalone na własność dzierżawców. Właściciel ziemski może tylko wtedy sam nie prowadzić osobiście gospodarki, jeżeli jest na służbie państwowej lub w wojsku litewskim. Otóż ponieważ w spadku po Papie stałem się właścicielem parceli 100-dziesięcinowej, ściślej – 99 dziesięcin, więc powyższe przepisy ograniczające stosują się i do mnie. Dopóki więc jestem członkiem Sądu Okręgowego, dopóty mogę nie siedzieć na moim folwarku. Gdybym wszakże zechciał porzucić sądownictwo i w ogóle zaniechać służby państwowej, musiałbym osiąść na mojej ziemi i z konieczności stać się hreczkosiejem. W zasadzie nie jestem wolny w wyborze zawodu. Prawo, pod groźbą odebrania mi majątku, zmusza mię do czynnego pełnienia zawodu rolnika. Stałem się *glebae adscriptus* jak kolonista z czasów rzymskich lub chłop z czasów tworzenia się stosunków feudalnych. Dziś w roli kolonisty lub chłopa znajduje się ziemianin obszarnik, ten, który był panem niegdyś. Gdybym został adwokatem, gdybym był śpiewakiem opery, uczonym lub poetą, mógłbym nim być tylko o tyle, o ile zdołałbym pogodzić ten zawód z czynnością rolnika. Oto do jakich konsekwencji doprowadziły ziemian przepisy poczynającej się reformy agrarnej[514]. Z chęcią zmniejszyłbym może ilość moich dziesięcin ziemi do 70, aby odzyskać nieskrępowaną niczym swobodę. Ale to samo prawo zabrania mi tego, zmuszając do pozostania w niewoli. Bo kto ma ponad 70 dziesięcin ziemi, ten mocen jest sprzedać nie więcej, niż 10% i to tylko za specjalnym pozwoleniem. Z moich więc 100 dziesięcin mogę sprzedać co najwyżej 10, a w takim razie pozostanie mi jeszcze 90 dziesięcin! Wprawdzie są to przepisy czasowe, które mają mię krępować tylko do czasu zakończenia reformy agrarnej, kiedy moja majętność przejdzie przez jej sito, ale ponieważ folwarki 100-dziesięcinowe będą szły przez to sito na samym ostatku, a reforma tej kolosalnej miary nie może być szybko dokonana, więc może jeszcze przez lat jakichś 10 mogę być w tej samej pozycji *glebae adscripti*.

22 kwietnia, rok 1921, piątek
W sprawie naszego działu załatwiłem dziś dwie ważne rzeczy. Pierwsza i najważniejsza – ta, że przyłapałem Hektora Komorowskiego, który dziś wrócił z Berlina i jutro jedzie dalej do Kowaliszek. Hektor mi jest najpotrzebniejszy, bo on jest naszym źródłem

---

[513] (łac.) ziemi przypisany.
[514] Podstawowa ustawa o reformie rolnej została przyjęta przez Sejm Ustawodawczy dopiero 22 marca 1922 r.

gotówki, naszym bankierem spadkowym, bez którego ani rusz – nie moglibyśmy pchnąć sprawy naszego działu naprzód. On jeden z nas wszystkich ma pieniądze i on nas pod tym względem ratuje. Gdyby nie było Hektora z pieniędzmi – nie wiem, co byśmy robili i gdybyśmy ich nie dostali, nie moglibyśmy się podzielić, a bez działu mogłyby nam przepaść Bohdaniszki, raczej ich większa część, na pewno zaś przepadłby las, który drogą działu jeszcze się nam może uda uratować. Hektor gotówki przy sobie w tej chwili nie ma, więc udał się zaraz ze mną do swego wspólnika w interesach leśnych, kupca Rabinowicza, z którym ma rachunki, i rzecz została załatwiona w ten sposób, że w poniedziałek rano Rabinowicz doręczy mi 35 000 marek. *All right*. Druga rzecz – to konkretne ustalanie działek schedowych na planie. Czynność tę, która polega na ścisłym wyliczeniu dziesięcin ziemi na planie i stosownie do tego wykreśleniu pod moim kierunkiem i za moimi wskazówkami, granic każdej schedy, załatwia mi biuro inżynierów pod firmą „Technolog". Udałem się dziś tam z Kligysem i w naszej obecności inżynier Abramson dokonał wymiarów i wykreślał granice. Zakończyliśmy ustalanie i rozgraniczanie sched w samej fermie Bohdaniszkach włącznie z Kumszami, Gajem i Karwieliszkami, stanowiącymi zwartą całość z Bohdaniszkami. Scheda Elwiry w Bohdaniszkach wynosi 47 ½ dziesięciny; scheda Maryni wynosi 50 dziesięcin i oprócz tego niespełna 8 dziesięcin w Gaju od strony Ginduryszek; scheda kumszańska Elizki Komorowskiej powinna była wynosić 59 dziesięcin, faktycznie jednak zabrakło jej około 2 dziesięcin, więc wypadło na nią 57 dziesięcin. Moja scheda wynosi ogółem 99,1 dziesięcin, w tej liczbie ziemi dwornej 54,5 dziesięciny, lasu w Gaju 25 dziesięcin i Karwieliszki – 19,6 dziesięciny. Będzie to jedyna scheda w jednolitym zwartym kawale. Zarówno bowiem Elwira, jak Marynia i Elizka otrzymają jeszcze uzupełnienie swoich sched w skrawkach kresowych lub w lesie staczeraskim i montowskim, gdzie też zostaną wyznaczone schedy Kotuni i Henrysia. Te skrawki kresowe z dwoma lasami wydzielać będziemy jutro.

23 kwietnia, rok 1921, sobota
Spotkałem się dziś na ulicy z Ignacym Jonynasem[515], który dziś pociągiem Komisji Kontroli Ligi Narodów przyjechał z Wilna. Dowiedziałem się od niego, że z ramienia „Odrodzenia" proszono go już o udzielenie przepustek na przyjazd do Kowna aż dziewięciu osobom w charakterze delegatów „Odrodzenia". Jonynas żądane przepustki już wydał. W liczbie wskazanych delegatów „Odrodzenia" jest Ludwik Chomiński, Helman[516], pani Karnicka, jest Stefan Mickiewicz, Zaremba[517], jest prezes zarządu „Odrodzenia" – chłop Białorusin Adamowicz, jest jeszcze kilku chłopów poza tym. Można więc liczyć na to, że delegacja „Odrodzenia" wkrótce już zawita do Kowna. Prawdopodobnie przyjadą nie wszyscy wskazani na liście przepustek, bo zapewne są tam także nazwiska zapasowe. O terminie przyjazdu Jonynas tymczasem nic nie wie. Czy jednocześnie z delegacją „Odrodzenia" przyjadą przedstawiciele jakichś innych grup – nic nie wiadomo. Tymczasem do Jonynasa z żadnej innej grupy po przepustki w tym celu się nie zwracano. Dziwi mię, że nie skomunikowali się w tej sprawie z „Odrodzeniem" demokraci, w których liczbie są tacy ludzie, jak Witold Abramowicz, Zygmunt Jundziłł, Bronisław Krzyżanowski, dr Adolf Narkiewicz, którzy sprawie porozumienia społecznego wileńsko-kowieńskiego szczerze sprzyjają i rozumieją jego

[515] Ignas Jonynas (1884-1954), wybitny historyk, dyplomata, 1920 pełnomocnik rządu litewskiego w Wilnie, 1023-1929 pracował w MSZ, profesor uniwersytetów w Kownie i Wilnie.
[516] Stanisław Helman (1869 – po 1930), członek PZL „Odrodzenie", 1922 poseł do Sejmu Wileńskiego, 1922-1927 poseł do Sejmu (wybrany z listy PSL „Wyzwolenie")
[517] Prawdopodobnie tożsamy z Leonardem Zarembą, który w 1922 podpisywał jako redaktor i wydawca „Gazetę Ludową „Odrodzenie".

doniosłość. Widocznie demokraci nie wiedzą jeszcze o staraniach „Odrodzenia" o przepustkach do Kowna, bo Zygmunt Jundziłł w liście do mnie, doręczonym mi przez tegoż Jonynasa, pisze z ubolewaniem o tym, że Wilnianie zwlekają ciągle z wyjazdem do Kowna. Donosi, że jednak u demokratów w najbliższym czasie ma zapaść decyzja ostateczna o tym, kiedy pojechać i kto pojedzie, a w końcu listu zwraca uwagę na to, że dotąd nie dostarczono im ze strony litewskiej przepustek. Nie wiedzą więc widocznie, że po przepustki mogą się zwrócić do Jonynasa. Czy przyjechaliby i pepeesowcy wileńscy – nie wiadomo. Są oni bardzo obrażeni na Węcławskiego, który po bytności w Wilnie z ramienia esdeków litewskich i po konferencjach, które tam z pepeesowcami prowadził, napisał po powrocie do Kowna artykuł w organie partyjnym esdeków litewskich „Socjaldemokratasie", w którym scharakteryzował PPS wileńską jako hołdującą prądom nacjonalizmu, imperializmu polskiego i aneksji pod płaszczykiem socjalistycznych frazesów. Chociaż tu chodzi tylko o Węcławskiego, ale ponieważ był on w Wilnie formalnym delegatem SD litewskiej, więc incydent ten zamącił stosunki między dwiema partiami. O tym, czy wybierają się do Kowna także delegaci grup żydowskich i białoruskich – Jonynas nic nie wie. Otrzymali oni zaproszenia, ale grupom polskim z pewnością nie zależy na tym, by wraz z nimi jechali do Kowna Żydzi i Białorusini, toteż nie komunikują się z nimi w tej kwestii, a Żydom i Białorusinom trudno jest pewno o przepustki nie tyle ze strony litewskiej, ile polskiej.
Jonynas opowiadał mi też o różnych wypadkach i stosunkach wileńskich, a między innymi o incydencie z chorągwią na Górze Zamkowej. Powiewała stamtąd chorągiew z herbem Litwy Środkowej – Orłem i Pogonią. Niedawno – Jonynas nie wie, jaką drogą – chorągiew ta została nagle zastąpiona chorągwią polską z samym Orłem. Komendant miasta kazał przywrócić chorągiew Litwy Środkowej i sam tego dopilnował. Zaledwie jednak odszedł – chorągiew z Orłem znów się wzniosła do góry. Wreszcie komendant kazał usunąć w ogóle chorągiew z Góry Zamkowej, teraz nie ma tam żadnej.

24 kwietnia, rok 1921, niedziela
Inżynier Abramson zakończył mi dziś wyliczanie na planie przestrzeni i ustalanie pod moim kierunkiem na gruncie sched spadkowych w Bohdaniszkach. Moja scheda w Bohdaniszkach z Karwieliszkami i większą częścią Gaju, stanowiąca zwarty obszar, jest największa i wynosi 99 dziesięcin ziemi. Druga z kolei co do przestrzeni jest scheda Elwiry Mieczkowskiej, która wynosi w Bohdaniszkach 47 ½ dziesięciny i w Staczeragach 46 dziesięcin, razem 93 ½ dziesięciny. Trzecia – Maryni Römerowej – w 3 odcinkach, a mianowicie: w Bohdaniszkach 50 dziesięcin, w Gaju – 7 ½ dziesięciny i w Cegielni z częścią lasu Montowskiego – 25 dziesięcin, razem 82 ½ dziesięciny. Czwarta - Elizki Komorowskiej – w trzech odcinkach, mianowicie: w Kumszach 57 dziesięcin, w Staczeragach 17 dziesięcin i Montowszczyźnie 8 dziesięcin, razem 82 dziesięciny. Piąta – Henrysia Wołłowicza – w trzech odcinkach, mianowicie: w Janówce 35 ½ dziesięciny, w Prapultini około 2 dziesięcin i w Montowszczyźnie 31 ½ dziesięciny, razem 69 dziesięcin. Szósta – Kotuni Pruszanowskiej – w dwóch odcinkach, mianowicie: w Wiwieliszkach 33 ½ dziesięciny i w Montowszczyźnie – 32 dziesięciny, razem 65 ½ dziesięciny.
Jutro otrzymać mam pieniądze od Rabinowicza i pojutrze chcę zaczynać spisywanie aktu dzielczego.
Wczoraj rozpoczął się w lokalu redakcji „Lietuvos Ukininkas" zjazd partyjny Socjalistów-Ludowców-Demokratów i Związku Włościańskiego. Miałem zaproszenie na ten zjazd. Udałem się na pierwsze posiedzenie wczoraj wieczorem. Wysłuchałem referatu posła Kriščiunasa o reformie agrarnej i dyskusji, która się następnie wywiązała. Przemówienia delegatów z prowincji były bardzo radykalne i przeważnie dalej idące

nawet od przeciętnego stanowiska posłów sejmowych partii. W szczególności bardzo ostro występowano przeciwko zasadzie odszkodowania przy wywłaszczaniu dworów, domagano się stanowczo obniżenia maksimum do normy 50 dziesięcin, domagano się też, by wywłaszczonemu właścicielowi odebrać prawo wyboru w majątku tej cząstki, która ma mu być stosownie do normy pozostawiona nietykalną. Charakterystyczne było długie przemówienie prezesa [rady] ministrów, dr Griniusa[518], członka partii, jednego z najstarszych działaczy obozu ludowego litewskiego, który studził zapał radykalnych przedmówców i bardzo chłodno nicował perspektywy wykonania radykalnej reformy agrarnej, wykazując jej trudności i niebezpieczeństwa ze stanowiska gospodarczego, finansowego, technicznego, politycznego i wreszcie międzynarodowego. Mówił tak, jak by mówił umiarkowany ziemianin niechętny reformie, mimo że podnosząc trudności – unikał gruntu przekonań jako takich. Przemówienie jego nie zniechęciło jednak zebranych do radykalizmu i nie podobało im się. Toteż replikowano mu i potępiano jego sceptycyzm.

25 kwietnia, rok 1921, poniedziałek
Rano byłem u Rabinowicza, który mi wypłacił 35 000 marek, pożyczonych nam przez Hektora Komorowskiego na podatek w sprawie aktu dzielczego, z którym umówiłem się na jutro, by zacząć układać projekt aktu. Następnie poszedłem do Sądu Okręgowego na posiedzenie, które odbyło się pod moim przewodnictwem z udziałem sędziów Šurny i Masiulisa. Sporo było spraw ze świadkami, więc znowu dziś posiedzenie przeciągnęło się do godz. 8 wieczorem. W paru sprawach na początku posiedzenia nie mógł brać udziału Masiulis, a w jednej nie mógł Šurna, bo chodziło o rozpoznawanie skarg apelacyjnych na wyroki I instancji tegoż Masiulisa, względnie Šurny. Zaprosiłem więc do chwilowego udziału w ich zastępstwie nowego sędziego, Penkaitisa, dopiero co mianowanego, który przypadkowo był przyszedł do sądu. Po nominacji Czesława Milwida, który jeszcze do Kowna nie przyjechał, ale już bierze udział w sesji wyjazdowej w Telszach i przeto rozpoczął już swoje czynności sędziowskie, świeżo mianowani zostali sędziami okręgowymi w Kownie Sugint[519] i Penkaitis[520]. Suginta jeszcze nie poznałem, Penkaitisa zaś – dziś po raz pierwszy. Penkaitis jest człowiekiem w wieku lat około 38, którego biografia jest już pod pewnym względem niezwykła, budząca dlań szacunek. Pochodzi on z ludu wiejskiego i wykształcenie zawdzięcza wyłącznie samemu sobie, własnej woli i energii. Będąc już człowiekiem dorosłym Penkaitis był jeszcze prostym kowalem wiejskim. W drodze samokształcenia przygotował się i zdał egzamin na maturę, wstąpił na uniwersytet i skończył nauki na wydziale prawnym. Człowiek, który tego dokonał o własnych siłach w wieku dojrzałym nie może być pospolitym pionkiem. Musi to być człowiek przynajmniej charakteru, jeżeli nie wybitnej głowy zarazem. Potem w Wilnie Penkaitis próbował nawet pracy literackiej, w wydawanym przed wojną przez Antoniego Smetonę i współredagowanego przez obecnego sędziego okręgowego Masiulisa „Vairasie"[521]. Podobno wykazał nawet pewien talent literacki, ale, pochwalony w recenzji przez Tumasa, zmanierował się w dalszym ciągu swej pracy. Czy dziś uprawia swój talent pisarski – nie wiem. Choć jest

---

518 Kazys Grinius (1866-1950), lekarz, działacz litewskiego ruchu narodowego, 1920-1922 premier, prezydent Litwy 1926.
519 Ananas Sugintas (1890-?), prawnik, polityk; 1921-1923 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie, 1924-1944 adwokat w tymże mieście, 1923-1927 poseł w I, II i III Sejmach Litwy (we frakcji chłopów ludowców; valstiečiai liaudininkai).
520 Pranas Penkaitis (1877-1931), prawnik, pisarz, 1920 pełnomocnik litewskiego Ministerstwa Komunikacji na Wileńszczyźnie, 1921 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie.
521 „Vairas" („Ster"), organ narodowców litewskich, wychodził (z dłuższą przerwą w okresie I wojny światowej) od 1914 do 1940 r.

prawnikiem, jednak praktycznie w zawodzie prawniczym się nie ćwiczył; nie był ani adwokatem, ani sędzią. Obecnie zajmował jakąś posadę na kolei. Z krótkiego dziś udziału Penkaitisa w posiedzeniu wyniosłem wrażenie o nim dodatnie, że się orientuje nieźle i że się może wyrobić na sędziego. Dodam jeszcze, że przed kilku dniami na ogólnym zebraniu w sądzie wybraliśmy jeszcze jednego kandydata na członka Sądu Okręgowego w osobie niejakiego Burkiewicza[522], którego nie znam. Wiem tylko to o nim, że jest na poły Łotyszem i na poły Litwinem, o kulturze podobno łotewsko-niemieckiej, co może być jeno czynnikiem dodatnim w sądownictwie naszym, jest prawnikiem i przez krótki czas był sędzią pokoju w Rakiszkach w r. 1919.

26 kwietnia, rok 1921, wtorek
Pierwszy dzień upału. Wczesna wiosna w całej krasie. Liście popękały na drzewach, trawa porasta już bujnie, dziś sady owocowe rozkwitły. Co za radość byłaby mieć wakacje i swobodę bez pracy teraz aż do czasu, kiedy bzy przekwitną. Tymczasem po uszy pogrążony jestem w pracy. I sądowej pracy mam dużo, i jeszcze więcej roboty z naszym działem. O pracy publicystycznej, o jakimkolwiek innym zajęciu – ani mowy nie ma. Ledwie mam czas na dziennik.
Byłem dziś rano u notariusza, oczywiście z Kligysem, który jak cień towarzyszy mi wszędzie. Zdawało się, że wszystko już jest gotowe i że będziemy mogli zacząć spisywanie projektu aktu dzielczego. Tymczasem okazała się jeszcze potrzeba opisania granic każdej schedy. Musiałem zająć się tą pracą, bardzo drobiazgową i marudną, by tak opisać dokładnie granice stosownie do nakreślonych na planie, żeby w razie zguby planu geometra mógł na zasadzie tego opisu wykreślić granice w naturze. Ponieważ schedy nasze są przeważnie każda w kilku odcinkach i granice biegną liniami zupełnie nowymi, które określać trzeba długością i kątami, więc praca ta zajęła mi w domu bitych 6 godzin. Gdym ją wieczorem ukończył i udał się z nią do notariusza, wypłynęło nowe „ale". Opisu granic dokonałem po polsku. Przetłumaczenie tego na litewski – to nowa praca, której notariusz w kancelarii swej podjąć się nie jest w stanie. Znowu więc będzie na to co najmniej dzień stracony. Poleciałem do panny Janulaitisówny, chcąc ją prosić o przetłumaczenie, oczywiście za wynagrodzeniem. Sama ona nie podjęła się tego, ale mi nastręczyła tłumaczkę w osobie panny Aldony Czarneckiej, która jutro się do roboty zabierze. Myślałem, że jutro podpiszemy już akt, tymczasem najwcześniej będziemy to mogli uczynić pojutrze.

27 kwietnia, rok 1921, środa
Panna Aldona Czarnecka tłumaczy na litewski opis granic sched naszych do aktu dzielczego. Z powodu tego tłumaczenia dzień dzisiejszy – stracony i aktu u notariusza pisać nie możemy. Tłumaczenie będzie gotowe na jutro rano.
W Kownie dziś wybuchł wielki pożar w dzielnicy za Soborem w kierunku dworca kolejowego. Ogień strawił duży kwartał między ul. Giedymina i Leśną. Dużo tam było zabudowań drewnianych, między nimi kilka kamienic. Klęska pożarów raz po raz dotyka Kowno w ciągu tych lat ostatnich. Jest ona tym cięższa, że miasto, podniesione ze stopy prowincjonalnego do godności czasowej stolicy Republiki, pełnej ministeriów, urzędów, instytucji państwowych, społecznych i prywatnych, jest przeludnione jak nigdy i musi pomieścić w swych murach i zabudowaniach kilkakroć większą ilość mieszkańców w porównaniu do tej, na której potrzeby było obliczone, a nie zabudowuje się wcale z powodu niezmiernej drożyzny budowlanej. Ostry kryzys mieszkaniowy,

---

[522] Vilhelmas Burkevičius (1885-1971), prawnik, pedagog, historyk oświaty litewskiej, kapłan luterański, 1921-1944 (z przerwami) sędzia Sądu Okręgowego w Kownie.

szalejący w Kownie i rosnący ciągle, staje się na skutek pożarów jeszcze ostrzejszy. Ludność skłonna jest uważać za przyczynę tych pożarów kowieńskich – podpalanie. O polityce nic nie wiem. Jestem tak pochłonięty sprawami działu i pracą sądową poza tym, że o niczym innym nie mam czasu myśleć. Ledwo mi wystarcza czasu na przeczytanie gazety. Z rokowań brukselskich wiadomości bardzo skąpe. Tymczasem rokowania te mają cechę prywatnych, przedwstępnych, bo jeszcze nie przyjechał do Brukseli prof. Szymon Askenazy[523], przewodniczący delegacji polskiej. Na ogół opinia litewska w Kownie usposobiona jest do rokowań brukselskich pesymistycznie i nie wierzy w skuteczność bezpośredniego porozumienia Litwy z Polską. Pragnienia litewskie skłaniają się do arbitrażu Ligi Narodów, licząc, że w sporze o Wilno czynniki Europy poprą raczej Litwę niż Polskę. Prawica litewska ze stronnictwem „Pažangi" na czele, które zaczęło wydawać własny organ pod nazwą „Lietuvos Balsas"[524], redagowany przez Antoniego Smetonę i zasilany artykułami tegoż Smetony i Voldemarasa, ostro atakuje rząd i ministra spraw zagranicznych Puryckiego za jego politykę ustępstw w sprawie wileńskiej. Obietnice takie, jak konwencje handlowe i tranzytowe z Polską, udzielenie Polsce dostępu do morza przez terytorium Litwy, zobowiązywanie się do koordynowania swej polityki z polityką Polski w łonie Związku Bałtyckiego[525], uroczyste oświadczenie o udzieleniu Litwie Wschodniej, to znaczy Wileńszczyźnie, autonomii, wypowiadane w chwili rozpoczęcia rokowań brukselskich, świadczą, zdaniem prawicy, o tym, że rząd i Sejm Ustawodawczy gotowi są podporządkować suwerenność Litwy na rzecz osiągnięcia pozornych zwycięstw w sprawie wileńskiej i skrępować ją zobowiązaniami pod gwarancją Polski i kontroli międzynarodowej. Prawica zarzuca rządowi i Sejmowi przekroczenie udzielonych im przez naród pełnomocnictw.

28 kwietnia, rok 1921, czwartek
Panna Aldona Czarnecka skończyła tłumaczenie opisu granic sched do naszego aktu dzielczego i rano mi to tłumaczenie doręczyła. Ponieważ jednak byłem wyznaczony na posiedzenie sądowe, nie miałem już czasu zanieść tłumaczenia do notariusza. Na posiedzeniu sądowym przewodniczył prezes Mačys, maruda klasyczny, który potrafi z najprostszej sprawy, która mogłaby być w kilkanaście minut zakończona, uczynić przewlekłą, pełną gadaniny. Toteż posiedzenie – bez przerwy obiadowej – trwało do godz. około 6. Gdy się skończyło, poszedłem zjeść obiad, a stamtąd z Kligysem do notariusza Borowskiego w sprawie naszego aktu dzielczego. Niestety – notariusza już nie zastaliśmy i oświadczono nam kategorycznie, że już go dziś nie zdobędziemy. Wypadło odłożyć sprawę tę na jutro.

29 kwietnia, rok 1921, piątek
Cały dzień spędziłem nerwowo na staraniach o dokonanie działu. Poszliśmy razem z Kligysem do notariusza Borowskiego. Ale wciąż u niego pełno różnych interesantów, wciąż jest on zajęty, wciąż nie ma czasu, wciąż tylko dorywczo coś robi. Kunktator z niego wielki; gada i gada, podnosi w kółko te same kwestie, które mu ciągle *da capo* muszę wyjaśniać, a co do roboty rzetelnej spisywania aktu, to nie można się do tego zabrać. Już gada o poniedziałku, o niedzieli jako najwcześniejszym terminie napisania

---

523 Szymon Askenazy (1866-1935), historyk, dyplomata, 1922-1923 polski minister pełnomocny przy Lidze Narodów; profesor Uniwersytetu Lwowskiego.
524 Po kilku miesiącach pismo zmieniło nazwę z „Lietuvos balsas" („Głos Litwy") na „Lietuvių balsas" („Głos Litwinów"), co M. Römer odnotował w zapisie z 7 XI 1921. W 1922 przyjęło nazwę „Tevynės balsas" („Głos Ojczyzny").
525 Termin „Związek Bałtycki" określał popularną w dwudziestych latach XX w. ideę Ententy Bałtyckiej (Polski, Litwy, Łotwy, Estonii).

aktu. Tymczasem plenipotent Maryni – adwokat Każdajlewicz – jutro wyjeżdża na parę tygodni z Kowna, a gdy zajrzałem do jego plenipotencji, przekonałem się, że nie udziela mu ona prawa na przekazanie jej w ręce trzecie. Na dziś wieczór notariusz Borowski wyznaczył mi godzinę na zaczęcie projektu aktu. Pobiegłem z Kligysem do Każdajlewicza. Wyjeżdża on jutro rano nieodwołalnie i aż do 10 maja. Każdajlewicz poradził zwrócić się do notariusza Škemy, który zrobi akt prędzej. Udaliśmy się do Škemy. Škema, choć stękał i wyrażał wątpliwości co do możności tak szybkiego sporządzenia aktu, obiecał przystąpić do redagowania go dziś o godz. 5-6 wieczorem. Wycofałem więc zaraz dokumenty od Borowskiego i złożyłem je Škemie.
Nie mając pewności, czy akt będzie dzisiaj gotowy i czy Każdajlewicz zdąży go przed wyjazdem podpisać, ujrzałem się zmuszony wysłać depeszę *via* Kowaliszki, wzywając Marynię, by się stawiła jutro w Kownie osobiście. Jest to tym bardziej konieczne, że ja sam wyjeżdżam pojutrze w niedzielę do Szawel na cztery dni na sesję wyjazdową sądu i że trudno mi się cofnąć, bom już prezesowi przyrzekł pojechać. Gdybyśmy więc akta przed wyjazdem Każdajlewicza podpisać nie zdołali, a ja bym wyjechał, zanim by przyjechała Marynia, to znowu nie mógłby już tak długo siedzieć w Kownie Kligys, którego nikt zastąpić nie jest w stanie, bo on jedyny ma plenipotencję Henrysia bez prawa przelewu tejże.
Wieczorem udaliśmy się z Kligysem do biura Škemy, gdzie w ciągu trzech godzin zredagowaliśmy i zakończyliśmy całkowicie akt dzielczy. Całkowitego opisu granic, zredagowanego przeze mnie i przetłumaczonego przez pannę Czarnecką, do aktu już nie wpisywaliśmy, bo byłoby to za długie. Po prostu tylko wymieniliśmy granice zewnętrzne każdej działki, wskazaliśmy jej zawartość ilością dziesięcin i powołaliśmy się w akcie na osobny plan każdej schedy, podpisany przez wszystkich uczestników aktu. Wypadło więc mi jeszcze obstalować u geometry sześć osobnych kopii planów dla każdej ze sched. Zrobiłem to zaraz wieczorem po wyjściu od notariusza. Wykopiowanie planów kosztować będzie 1500 marek. Jutro raniutko akt będzie podpisany przez Każdejlewicza, potem – przez wszystkich innych. Schedę moją nazwałem w akcie dzielczym „Prudelis" (wymawia się „Prudialis"), schedę Maryni Bohdaniską – „Eibutis" od starożytnej nazwy ruczaju, płynącego z błot piełańskich i popieliskich do jeziora kumszańskiego „Ažiškis". Ruczaj ten, oddzielający grunta bohdaniskie dworne od busiskich, nazywany jest obecnie „Bučupis". O nazwie „Eibutis" dawniej nie słyszałem, ale teraz w marcu w Bohdaniszkach w starych opisach granic bohdaniszskich z w. XVIII i początku w. XIX znalazłem nazwę „Eibutis" bardzo mile brzmiącą. Nazwa zaś „Bučupis" stosuje się w starych opisach do innego ruczaju, wpadającego do tegoż jeziora, ruczaju, który już zanikł.

30 kwietnia, rok 1921, sobota
Rano podpisał akt dzielczy Każdajlewicz w imieniu Maryni, potem podpisał go w imieniu Elizki Komorowskiej Julek Komorowski, następnie ja i w imieniu Henrysia Wołłowicza – Kligys. Później podpisał go w imieniu Kotuni Pruszanowskiej Wacław Biržiška i wreszcie w imieniu Elwiry Mieczkowskiej – adwokat Staszyński. Około południa akt był formalnie gotowy, podpisany. Wpłaciłem na ręce notariusza Škemy 18 600 marek opłaty aktowej i stempla, i na rzecz honorarium notariusza wraz z wynagrodzeniem kancelarii – przeszło 1 500 marek. Przy tej okazji notariusz zaproponował mi kupno pożyczki państwowej, na co dałem z własnej kieszeni 500 marek. Przed paru dniami opłaciłem też podatek spadkowy, który ogółem od nas wszystkich wyniósł przeszło 16 000 marek. Suma podatku spadkowego wyniosła jakichś 6000 marek mniej, niż wypadało pierwotnie podług moich przypuszczalnych obliczeń. Pierwszy, jeden z trudniejszych, etap działu spadkowego, który wymagał

czynnych z naszej strony zabiegów – przebyty. Drugim etapem, nie mniej ważnym, ale w którym nasza rola jest już zupełnie bierna, będzie teraz zatwierdzenie aktu dzielczego przez starszego notariusza. Są w dokumentach, na których osnuty jest nasz akt dzielczy, pewne luki, w szczególności największą luką jest brak nie tylko zatwierdzenia sądowego praw spadkowych, ale i metryk, zamiast czego jest przedstawione do aktu tylko poświadczenie sędziego pokoju Herubowicza o wykazie spadkobierców, ale starszy notariusz nie jest formalistą i mam nadzieję, że z tego względu trudności czynić nie będzie. Niepokoi mię trochę tylko to, żeby starszy notariusz nie zażądał przedstawienia mu od Departamentu Leśnego dowodu, że las bohdaniski nie został upaństwowiony, ponieważ w akcie dzielczym wymieniłem wyraźnie, ile do każdej schedy przydzielone zostało lasu. Wprawdzie Departament Leśny wydałby mi chyba takie poświadczenie, bo rzeczywiście dotąd lasy nasze nie zostały formalnie przejęte na własność państwową, ale żądanie takie mogłoby obudzić przedwcześnie czujność Departamentu Leśnego, co przed formalnym zatwierdzeniem aktu dzielczego może być niebezpieczne.
W sądzie miałem dziś króciutkie posiedzenie gospodarcze, a potem asystowałem wraz z prokuratorem egzaminowi, który zdawał przed prezesem sądu pewien młody Żydek, reflektujący na stanowisko adwokata prywatnego. Reflektant nie miał najmniejszego pojęcia o prawie, co się ujawniło od razu z pierwszych jego odpowiedzi. Pomimo tego prezes z jakąś rozkoszą inkwizytora torturował go egzaminem jeszcze trzy godziny!
Telegrafowałem rano *via* Kowaliszki do Maryni, odwołując wezwanie wczorajsze. Jednak było za późno, bo Marynia już wczoraj wyjechała i dziś wieczorem stawiła się u mnie w Kownie.

1 maja, rok 1921, niedziela
Dzień 1 maja, międzynarodowe święto robotnicze. Dziś zaczynają go sobie wszyscy przywłaszczać. Demokracja burżuazyjna, dążąc do zatarcia wszystkiego, co w jakiś sposób wyraźny lub symboliczny wyodrębnia ją od proletariatu, przyjmuje chętnie jego symbole i godła, by stępić ich ostrze przeciwko niej zwrócone. Wkrótce chyba robotnicy będą musieli sobie inny dzień dla swojego „święta pracy", które zresztą poświęcają manifestacyjnie bezrobociu, wybrać. Młode republiki, by zaznaczyć, że są one wyrazicielami ludu pracującego i zsolidaryzować ze sobą rzesze robotnicze, upaństwowiły święto 1 maja. Jakże więc wykonywać symboliczny strajk 1 maja, mający zamanifestować solidarność międzynarodową proletariatu i pogłębić odrębną świadomość klasową robotników, kiedy dzień ten został przez samo państwo ogłoszony za dzień wypoczynku roboczego i obchodzony urzędowo. Oto prócz państwa i różne poszczególne instytucje lub zawody ogłosiły dzień 1 maja za swój dzień szczególny. Tak np. litewska „Meno Kurejų Draugija"[526] ogłosiła dzień 1 maja za narodowy dzień „święta sztuki". Słowem świętowaniu 1 maja daje się coraz więcej rozmaitych tytułów, które w święcie ogólnym zasłaniają sobą dotychczasowy jedyny tytuł rewolucyjny tego „święta pracy" – święta świadomego proletariatu. W tym roku dzień ten wypadł w niedzielę, ale gdyby nawet wypadł on w dzień powszedni, to jego rewolucyjny efekt robotniczy byłby utonął w biegu najrozmaitszych tytułów tego święta.
Maryńka przenocowała u mnie. Nagadaliśmy się z nią wczoraj wieczorem do późna w noc o dziale, o schedach naszych, o jej i Elwiry gospodarskich kłopotach i zapoczątkowaniach w Bohdaniszkach, o wszystkim zresztą prócz polityki, której nie lubię poruszać w rozmowie z moimi siostrami, a nie lubię dlatego, że pod wpływem trudności i wrogich tendencji społecznych względem dworów w Litwie, tendencji,

[526] Menų kurejų draugija (Lietuvių menų kurejų draugija; Towarzystwo Twórców Litewskiej Kultury), skupiająca ludzi kultury organizacja działająca w latach 1920-1929 w Kownie.

którym polityka państwowa sprzyja i popiera, moje siostry, tkwiące psychicznie w obozie polsko-ziemiańskim, są niesprawiedliwe względem Litwy i nieżyczliwe jej, co je radykalnie dzieli ode mnie. Maryńka w Bohdaniszkach odżyła. Tryska energią, jest upojona uczuciem własności, którą po raz pierwszy w Bohdaniszkach posiadła. Praca, która w niej kipi i bucha, stała się dla niej tym, czym jest ona dla człowieka z przeznaczenia Boskiego: nie męką bolesną, lecz rozkoszną ukochaną twórczością. Rannym pociągiem Maryńka wyjechała z Kowna z powrotem do Bohdaniszek, zabierając ze sobą Kligysa.
Po obiedzie o godz. 6 wyjechałem z Kowna i ja także – do Szawel na dwa dni na sesję sądową. Przyjechałem do Szawel około godz. 11 w nocy i zajechałem do hotelu „Wenecja", w którym zamieszkali moi koledzy, sędziowie Frydman i Sugintas.

2 maja, rok 1921, poniedziałek
Jestem w Szawlach z sędziami Frydmanem i Sugintasem. Tego ostatniego dopiero tu poznałem, jest to bowiem jego pierwszy debiut na stanowisku sędziego Sądu Okręgowego. Jest on człowiekiem bardzo młodym, zapewne nie ma jeszcze lat 30. Dotąd był on sędzią śledczym w Rosieniach. Zresztą robi wrażenie chłopca inteligentnego, myślącego i starannego w pracy. Może się z niego wyrobić materiał na sędziego, ale dopiero po latach doświadczenia i pracy, bo na razie jest on jeszcze zupełnie surowy i musi się dopiero uczyć sądzenia. Co prawda Sąd Okręgowy nie powinien by być miejscem do uczenia się zawodu sędziowskiego, ale cóż, kiedy jest taki brak ludzi, że byle się nadarzył prawnik zawodowy, to już się go bierze i pcha, aby tylko lukę zapełnić. Pod tym względem niewiele lepiej jest i w Polsce, gdzie przecież inteligencji zawodowej jest stosunkowo więcej, niż w Litwie. Naturalnie, że na skutek tego poziom sądownictwa się obniżył i obniża stale, ale jest to smutna konieczność w dobie takich wstrząśnień i przeobrażeń, w której żyjemy, i nie same sądownictwo to doświadcza. Jest obniżenie powszechne poziomu kultury, którego proces jeszcze się bodaj nie zakończył. Zresztą jeszcze taki Sugintas to doskonałość w porównaniu do „sędziów" takich, jak Rustejko[527] albo nawet Budrecki, który przez lat kilkadziesiąt pracował w sądownictwie rosyjskim. Niech tylko ci młodzi adepci sądownictwa nie zdemoralizują się na wzorach, dostarczanych im przez prezesa Mačysa lub wiceprezesa Piotrowskiego, którzy, choć nieźli prawnicy, stosują – na sposób trochę bolszewicki – metodę „sprawiedliwości" zamiast ścisłego wykonywania ustaw. Młodych, niedoświadczonych sędziów, których nam ciągle przybywa, metody te mogą łatwo zdemoralizować i wykoleić; przywykają oni do lekceważenia prawa i stawiania ponad nie własnego widzimisię pod pozorem „sprawiedliwości" materialnej, górującej nad formalną i uczynić mogą z sądu loterię. Dziś niebezpieczeństwo to jest tym większe, że w ogóle instynkt prawa osłabł bardzo, tak pod wpływem rozpanoszenia się samowoli, charakteryzującej czasy wojny, jak też pod wpływem rewolucji, która z natury rzeczy, burząc stare kształty, nie sprzyja szacunkowi prawa.
Młody Sugintas jest z przekonań lewicowcem dość radykalnym. Należał do obozu ludowców, przed wojną, jako student, był bliski kół młodzieży socjalistyczno-ludowej i, bywając w Wilnie, pracował w redakcji „Lietuvos Žinios"[528] i „Lietuvos Ukininkas". O stopniu jego radykalizmu społecznego świadczy to, że w czasie wojny na emigracji litewskiej w Rosji podczas rozłamu u ludowców należał do tej grupy, która zerwała z prawicą, stanowiącą dzisiejszy obóz socjalistów-ludowców-demokratów, chociaż nie

[527] Steponas Rusteika (1887-1941), prawnik, 1920-1921 sędzia Sądu Okręgowego w Kownie.
[528] „Lietuvos žinios", („Wiadomości Litewskie"), wydawany w latach 1909-1915 w Wilnie organ Litewskiej Partii Demokratycznej. Od 1922 r. pod takim samym tytułem wychodził w Kownie dziennik, organ Litewskiego Związku Włościan Ludowców.

podążyła do ostatnich wniosków lewicy socjalistów-ludowców, o mały włos różniących się od komunistów i zatrzymała się na rozdrożu w pośrodku, nie stworzywszy żadnego skupienia partyjnego. Bezpartyjnym też pozostał odtąd i Sugintas.

3 maja, rok 1921, wtorek
Spędzę na sesji w Szawlach tylko trzy dni – wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy. Sprawy na tej sesji są dość łatwe i po niezbyt dużo na każde posiedzenie. Zresztą sporo spraw dla tych lub innych przyczyn się odracza, przeważnie z powodu wadliwego doręczenia wezwań stronom przez władze gminne. Co dzień w kilku sprawach występują adwokaci miejscowi, głownie – Łukowski i Węcławski. Z wczoraj i dziś posiedzenie się ukończyło przed godz. 2 po południu. Przewodniczy na posiedzeniach sędzia Frydman, który spośród nas trzech ma pierwszeństwo nominacji. Frydmanowi rzadko się zdarza przewodniczyć, bo zwykle prezes tak miarkuje dobór sędziów w kompletach sądzących, żeby przewodnictwo nie wypadło na Frydmana. Choć Republika Litewska nie jest antysemicka, a nawet szczyci się szczególnym liberalizmem swego stosunku do Żydów, którym udzielona została w państwie autonomia narodowa – jednak i tutaj w praktyce Żyd jest bądź co bądź *caeteris paribus*[529] czymś pośledniejszym od chrześcijan, i to nie tylko od Litwinów, ale nawet od Polaków, do których politycznie jest niechęć największa. Litwini politycznie kokietują Żydów i rozumieją dobrze, że międzynarodowe wpływy żydowskie są dla nich atutem niezmiernej wagi w sporze z Polską. Wpływy też te w tym sporze popierają usilnie Litwę. Ale w masie ludu litewskiego Żyd jest zawsze uważany za coś podrzędnego i nie lubiany oraz pogardzany. Chłop litewski uważa Żyda za wroga chrześcijan, za szkodnika, który pasożytniczo wyzyskuje lud. Żyd na urzędzie i na stanowisku sędziowskim razi chłopa. Różnica pod tym względem w psychologicznym stosunku do Żyda jest między chłopem litewskim a polskim niewielka; tylko że chłop litewski jest powściągliwszy i że warunki polityczne w rozwoju narodowości litewskiej i państwa nie dały się tak rozpasać antysemityzmowi w Litwie, jak w Polsce. Kler litewski i inteligencja, nie wyłączając większości czynników politycznych, kokietujących skądinąd z Żydami, też w gruncie rzeczy zachowuje do nich ukrytą niechęć i głęboką nieufność, w której tają się ziarna przyszłego antysemityzmu. Tylko w Litwie nie mówi się o antysemityzmie głośno i starannie się unika powodów do zarzutu antysemityzmu. Ale metodą przemytniczą antysemityzm kiełkuje i nieraz wyłazi z ukrycia, jak szydło z worka. Zresztą inteligencja i czynniki polityczne litewskie są dobrze świadome tego, że solidarność polityczna Żydów z Litwinami i sprawą państwową litewską jest zjawiskiem okolicznościowym, szczególnie mocnym w obliczu zatargu Litwy z Polską, ale zjawiskiem, które pryśnie jak bańka mydlana w chwili kapitalnego regulowania stosunku Litwy do Rosji. Wszyscy Żydzi bowiem, za wyjątkiem chyba białych kruków, tęsknią do wielkiej Rosji i wierzą w jej odbudowanie po upadku bolszewików i przejściu rewolucji. Mała Litwa nie przemawia ani do ich uczucia, ani do ich głowy, ani zwłaszcza do ich interesu. Czucie ojczyzny w znaczeniu narodowym i państwowym tych krajów i społeczeństw, wśród których żyją, jest dla nich – dla ogółu żydowskiego – obce. Litwini wiedzą o tym dobrze i kokietując z Żydami dla konkretnych celów polityki bieżącej, nie łudzą się co do istoty stosunku. Litwini wiedzą, że do porachunku z Rosją młodych narodów i republik, a w tej liczbie i Litwy, jeszcze przyjdzie i że w tym porachunku Żydzi okażą się potęgą, dla sprawy młodych narodów niebezpieczną. Jest więc flirt, a nawet doraźna solidarność polityczna Litwinów z Żydami, ale miłości dla Żydów u Litwinów nie ma. A u ludu nie tylko że nie ma do Żydów miłości, ale jest niechęć głęboka i pogarda. Toteż ponieważ Frydman jest Żydem, nasi przełożeni sądu

[529] „*Caeteris paribus*" (łac.) – przy innych jednakowych warunkach .

starają się go zawsze od przewodniczenia na posiedzeniach usunąć. Frydman zaś jest bardzo ambitny czy może raczej próżny, mimo że udaje bardzo skromnego, i niezmiernie jest wrażliwy na wszelkie zewnętrzne oznaki swego stanowiska i godności. Ogromnie lubi przewodniczyć. Nic to dziwnego u Żyda, który przez całe życie był przyzwyczajony do upośledzenia i do upokarzającej roli, na jaką skazani byli w Rosji Żydzi. Trzeba jednak przyznać, że Frydman, który jest prawnikiem zdolnym i doświadczonym i sędzią dobrym, bardzo dobrze przewodniczy poza jedną niepoprawną wadą, że mówi fatalnie po litewsku tak co do akcentu, jak co do gramatyki. Jego język litewski – to karykatura mowy. Na chłopów przewodniczenie Frydmana musi nieraz zapewne działać ujemnie, gorsząc i drażniąc. Ale niech przywykają, niech się oswajają, że Żyd może równie dobrze spełniać publiczne funkcje obywatelskie, jak każdy chrześcijanin, jak każdy inny obywatel kraju.

4 maja, rok 1921, środa
W Szawlach od czasu wojny nie byłem. Na początku Wielkiej Wojny w r. 1915 Szawle kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk – od Rosjan do Niemców i odwrotnie. Były kilkakrotnie bombardowane granatami, zdobywane i opuszczane. W toku tych przejść uległy radykalnemu zniszczeniu. Czego nie zburzyły pociski, to zostało rozmyślnie spalone przez żołnierzy rosyjskich. Podczas odwrotu zdemoralizowani żołnierze, plądrując opuszczone przez ludność cywilną miasto, rabowali co się dało po sklepach, a następnie oblewali domy naftą i podpalali je. Większa część Szawel legła w gruzach. Miasto nie dźwignęło się dotąd z tej ruiny, nie zdołało się odbudować i przedstawia dziś widok niezwykły. Z pewnością kilkakroć więcej jest w mieście ruin, niż zabudowania. Widzi się dokoła całe, już nie kwartały tylko, ale pola ruin, zniszczonych aż do fundamentów, gruzem tylko i podmurowaniem świadczących o przeszłości swojej, wśród tego – szkielety kamienic lub samotne kominy, a pośród tych wielkich obszarów rumowiska gdzieniegdzie gruzy domów ocalałych albo całe kwartały żywe, dzielniczki, jak gdyby miasteczka i wsie na cmentarzysku miasta. Dziś, kiedy tak trudno odbudować choćby dom pojedynczy, a cóż dopiero miasto, Szawle nie dźwigają się z ruiny. Wprawdzie pewien ruch budowlany daje się zauważyć, ale jest to tylko kropla w tym oceanie zwalisk. Bardzo rzadko się widzi jakiś dom mieszkalny odbudowywany, prawie wyłącznie z drzewa, a za to dość dużo buduje się specyficznych szop z desek na sklepy i magazyny. Szawle bowiem są dość znacznym ośrodkiem handlowym, a prawdopodobnie staną się i ośrodkiem administracyjnym. Ruch jest tu spory, toteż dla handlu budują się ubikacje, ale tylko doraźne, z desek, niezdatne do zamieszkania w naszym klimacie. Takie szopy dla magazynów są tańsze od budowli mieszkalnych, a tylko one są dla właścicieli dochodowymi, bo jako przeznaczone dla handlu, nie pod1egają przepisom prawa o ochronie lokatorów, krępującym zyski z nieruchomości. One też prawie wyłącznie tu powstają. Gdzieniegdzie jakaś suterena ruiny lub jakieś jej skrzydełko zostało przysposobione do zamieszkania i tli się życiem pośród śmierci. Takie miasto ruin widziałem w czasie wojny tylko w Kaliszu. Jednak tam wyglądały one inaczej i nie tak były do tła wyniszczone, jak w Szawlach. Zresztą – *ambo meliores*[530].
Skończyliśmy dziś sesję w Szawlach. Jutro wracam do Kowna.
Od kilku dni jestem bardzo chory na żołądek. Zaczęło się to jeszcze w Kownie. Musiałem coś zjeść bardzo niezdrowego. Tu zachowuję dietę, żywię się tylko kurą i jajami, biorę krople Inoziemcewa, ale dotąd bez żadnego skutku. Nie doświadczam żadnego polepszenia. Biegam na dobę po razy 8-10 dla wypróżnienia żołądka, a ta potrzeba objawia się tak gwałtownymi paroksyzmami, że ledwie zdążyć wybiec jestem

---

[530] „*Ambo meliores*" (łac.) – tu: „oba równie dobre".

w stanie. Powtarza się to tak w dzień, jak w nocy i jest niezmiernie męczące. Z wychodkiem w hotelu, w którym mieszkam, poznałem się tu tak gruntownie, że chyba go lepiej będę pamiętać od pokoju hotelowego i od samego hotelu. Służba i gospodyni hotelowa, które mię widzą co chwila biegnącego przez dziedziniec do wychodka, a w nocy mię słyszą zdążającego tamże przez ich pokoje, bo taki jest rozkład tego domu, muszą mię uważać za osobliwego gościa o jakimś szczególnym usposobieniu.

5 maja, rok 1921, czwartek
O godz. 6 rano wyjechałem pośpiesznym pociągiem z Szawel i przed południem byłem już w Kownie. Poszedłem na miasto tylko na obiad i do geometry dla odebrania wykopiowanych z ogólnego planu bohdaniskiego sześciu osobnych planów każdej poszczególnej schedy w dziale. Jutro pójdę do Škemy dowiedzieć się, co słychać z naszym aktem dzielczym i czy starszy notariusz nie czyni jeszcze jakich zastrzeżeń. Dałby Bóg, aby to przeszło pomyślnie!
Poza tym dzień cały spędziłem w domu. Żołądek nie daje mi wciąż spokoju. Żadnego polepszenia nie ma. Co jakichś parę godzin muszę się zrywać i lecieć jak opętany do wychodka.
Wspomnę tu teraz o Wiązowcu, niegdyś tak przeze mnie ukochanym, który w dziale po Mamie przeszedł na własność Elwiry, ale w którym moja scheda, wynosząca 1/7 części całości, pozostała nie wydzielona. Przez czas wojny i rewolucji rosyjskiej las w Wiązowcu pozostawał nie uszkodzony – przynajmniej do roku zeszłego, kiedym go z Elwirą odwiedził. Latem roku zeszłego Wiązowiec przeszedł pod panowanie bolszewickie. Na zasadzie jesiennego rozejmu ryskiego linia rozejmowa polsko-rosyjska szła przez miasteczko Radoszkowicze i Wiązowiec pozostał za tą linią, po stronie rosyjskiej, ściślej – w pasie neutralnym. Potem dowiedzieliśmy się z gazet, że ostateczny traktat pokojowy w Rydze przesunął nieco granicę polską w okolicach Radoszkowicz w kierunku powiatu borysowskiego. Elwira, której Wiązowiec leży bardzo na sercu, miała nadzieję, że Wiązowiec znajdzie się po stronie polskiej i że tą drogą będzie mogła odzyskać i zrealizować swoją własność, bo o własności prywatnej lasu pod panowaniem bolszewików oczywiście nie ma mowy. I oto teraz przed kilku dniami wpadła mi do rąk gazeta z dokładnym wyszczególnieniem nowych granic polsko-rosyjskich w tamtych stronach. Granica ta przechodzi gdzieś koło samego Wiązowca, ale zdaje się, że Wiązowiec zostaje po stronie rosyjskiej, choć dotykać musi bezpośrednio do samej linii granicznej, ocierając się o nią brzegiem, mianowicie tą częścią lasu, która nosi nazwę „Ga”", bo osada szlachecka Budźki, z którą Gaj graniczy, leży już po stronie polskiej.
Wzdłuż granicy do Polski należą w tamtej okolicy wsie: Lubawiec, Mordasy, Rubcy, Łowcewicze północne i południowe, Budźki, Klimonty, Wielkie Bakszty i miasteczko Radoszkowicze, do Białej Rusi zaś sowieckiej, stanowiącej część Rosji, należą wsie: Papysie, Sieliszcze, Podworany, Trusewicze Północne, Daszki, Cyganowo, Dworzyszcze i Czyrewicze. Nie mam co prawda pod ręką mapy szczegółowej tamtych okolic, ale większość wymienionych tu wsi, otaczających Wiązowiec, znam i z zestawienia tego opisu wnoszę, że Wiązowiec pozostaje również po stronie rosyjskiej, jak zresztą cały majątek Mamyły, którego cząstkę stanowi Wiązowiec. Zmartwi się Elwira, gdy się o tym dowie. Co prawda, granica tam jest zupełnie sztuczna, bo po obu stronach jest jednolita Białoruś i wcześniej czy później życie granicę tę skasuje, łącząc obie połowy rozdartej Białej Rusi, ale co do prywatnej własności ziemskiej, to trudno przypuścić, żeby kiedy dało się odzyskać to, co dziś zostanie już w Rosji znacjonalizowane lub zagarnięte przez włościan sąsiednich i przez nich do ich

gospodarstwa wchłonięte. Jaki rząd dopuści rewindykację utraconej własności po wielu leciech.

6 maja, rok 1921, piątek
Żołądek nie daje mi spokoju. W nocy latałem jak opętany. Pomimo diety i kropli Inoziemcewa – żadnego polepszenia nie ma. Poradziłem [się] dziś doktora Frumkina, który poradził mi środek bardzo prosty, ale niezawodny na wszelkie niedyspozycje żołądkowe – rycynę. Stara, poczciwa rycyna, której ludzie tak nie lubią. Że też mi ona nie przyszła na myśl! Zaraz też kupiłem w aptece sporą dozę tego zacnego olejku i po obiedzie pochłonąłem go z zadowoleniem i wdzięcznością dla tej staruszki, której skutku żadne krople ani inne jakieś osobliwe leki nie zastąpią nigdy.
Wielka dla mnie nowina! Zaszedłem do biura notariusza Škemy i dowiedziałem się, że nasz akt dzielczy na Bohdaniszki został już w dniu 3 maja przez starszego notariusza zatwierdzony. Mam uczucie, jakby spadł mi z serca kamień ogromny. Dziewięć dziesiątych dzieła ocalenia Bohdaniszek – zrobione. Zatwierdzony formalny akt dzielczy – to twierdza warowna naszej ojcowizny. Z tej twierdzy obrona staje się już o wiele łatwiejsza. Teraz już byle tylko prawowitość działu lasu nie została przez Departament Leśny zakwestionowana – to i wszystko będzie dobrze. Ale już i przeciwko temu zakwestionowaniu mamy środki obrony najlepsze, na jakie nas stać.

7 maja, rok 1921, sobota
W sądzie, w którego gmachu, na tym samym co Sąd Okręgowy piętrze, mieści się Ministerium Sprawiedliwości, spotkał mię minister Karoblis i zaprosił do swego gabinetu. Tam mi oświadczył, że chciałby mi zaproponować nominację na członka Trybunału Najwyższego i spytał, czy się na to zgadzam. Odrzekłem, że się zgadzam chętnie. Oczywiście cieszyłbym się z tej nominacji dla wielu względów. Po pierwsze dlatego, że jest to stanowisko wyższe w sądownictwie. Trybunał – „Lietuvos Vyriausiasis Tribunolas" („Najwyższy Trybunał Litwy") – jest najwyższą instancją sądową w państwie. Już przez to samo praca sędziowska w Trybunale jest odpowiedzialniejsza, bo wyroki Trybunału mają wagę i autorytet najwyższej instancji, z którą liczy się cała jurysprudencja niższych sądów. Pracy tej muszą być przeto stawiane wyższe wymagania, a więc i odpowiedzialność jest większa. Ale któż, ceniący swoją pracę, nie lubi tej odpowiedzialności, która jej wagi dodaje. Tylko partacz i tandeciarz unika w pracy odpowiedzialności, boi się jej i woli podrzędność. Co do mnie, to gdy coś robię, to chcę robić dobrze i tak, aby ponosić całkowitą odpowiedzialność wraz z największą wagą i podołać im. Po drugie – praca w Trybunale jest spokojniejsza, równiejsza, nie ma też w niej tych nieznośnych wyjazdów na sesje sądowe na prowincję, co w naszym Sądzie Okręgowym jest bardzo upowszechnione. Bardzo też miły jest prezes Trybunału, pan Kriščiukaitis[531], i jedyny dotąd członek tegoż, sędzia Janulaitis, mój dobry znajomy i przyjaciel z czasów wileńskich. Słowem, ze wszelkich względów nominacja ta mi się uśmiecha, nade wszystko zaś dlatego, że stanowisko jest wyższe i praca owocniejsza, wpływowsza i odpowiedzialniejsza. Dotąd – ponieważ w myśl przepisów tymczasowych o organizacji sądownictwa w Litwie instancji kasacyjnej nie ma – Trybunał był tylko instancją apelacyjną dla tych spraw, które Sądy Okręgowe rozpoznają w charakterze I instancji. Tylko dla pewnej kategorii spraw, rozpoznawanych w Sądzie Armii, Trybunał jest instancją kasacyjną. Ale teraz projektowane jest utworzenie instancji kasacyjnej, przynajmniej dla spraw rozpoznawanych w II instancji w Sądach Okręgowych z apelacji na wyroki sędziów pokoju. Funkcje instancji kasacyjnej ma pełnić tenże Trybunał. Rola przeto Trybunału

[531] Antanas Kriščiukaitis (1864-1933), pisarz, prawnik, 1918-1933 prezes Najwyższego Trybunału RL.

wzrośnie, jego zadania i autorytet się spotęgują, oczywiście i odpowiedzialność zawodowa sędziów Trybunału będzie większa, a wraz z tym i roboty przybędzie co niemiara. Co do dopuszczenia kasacji na wyroki ostateczne Sądów Okręgowych, to sprawa ta jest omawiana już od dłuższego czasu. Adwokatura i opinia publiczna gorąco się domagają instancji kasacyjnej, część wszakże działaczy sądowych, w tej liczbie nasz prezes Sądu Okręgowego Mačys, są zdecydowanymi przeciwnikami takiej instancji i oponują jej projektowi. Mačys występował przeciwko instancji kasacyjnej w Towarzystwie Prawniczym i złożył ministrowi obszerny, choć bardzo nieudatny memoriał przeciwko projektowi tej innowacji. W istocie instancja kasacyjna jest jednak konieczną, jeżeli państwo ma być praworządne i jeżeli założeniem wyroków sądowych ma być prawo obowiązujące, a nie widzimisię sędziowskie pod postacią jakiegoś nieuchwytnego i czysto podmiotowego „poczucia sprawiedliwości” sędziów wyrokujących. Brak instancji kasacyjnej sankcjonuje „*bon vouloir*” sędziów[532], podminowuje podstawy działania ustaw, demoralizuje młodych sędziów nieodpowiedzialnością i lekceważeniem przepisów prawa i krzewi jeno bolszewickie metody „wymiaru sprawiedliwości”, który w praktyce wyradza się w bezprawie. W Sejmie projekt instancji kasacyjnej jeszcze nie uchwalony, zyskał jednak zasadniczo aprobatę i zapewne będzie przyjęty.
Sądzę, że propozycja uczyniona mi przez Karoblisa pochodzi nie od niego samego. Moja kandydatura musiała być przez sam Trybunał wystawiona, bo niepodobna, by minister sam brał na siebie w tej sprawie inicjatywę. On tylko zanim mię przedstawi do nominacji marszałkowi Sejmu pełniącemu obowiązki prezydenta państwa, musi mię o tym uprzedzić i pozyskać moją zgodę. Nie wiem, czy już jednak jestem zaprojektowany do nominacji, czy też jest więcej kandydatów.

8 maja, rok 1921, niedziela
Zaprojektowałem napisanie dziełka o stronnictwach politycznych litewskich. Będzie to studium niewielkich rozmiarów, na jakieś, jak przewiduję, trzy arkusze druku. Wydam to za pośrednictwem Komisji dla spraw Litwy Wschodniej jako wydawnictwo informacyjne o Litwie, jedno z takich, co są bardzo pożądane do rozpowszechniania w Wileńszczyźnie. Będzie wydane po polsku i po polsku też je oczywiście pisać będę. Wileńskie pisma Michała Biržiški, wydawane tam do niedawna po polsku i po rosyjsku (obecnie władze wileńskie już te pisma zamknęły i zakazały kategorycznie ich wydawania), wydały już kilka takich poważniejszych dziełek informacyjnych o Litwie w językach polskim i rosyjskim, jak Michała Biržiški o literaturze litewskiej, posła Albina Rimki studium o stanie i rozwoju gospodarstwa rolnego w Litwie, poety Vidunasa „*Litwa w przeszłości i teraźniejszości*”, stanowiące studium kultury, jej warunków i etnografii Litwy[533]. Wszystkie te dziełka są poważne i wartościowe. Mam nadzieję, że moje studium o stronnictwach politycznych litewskich będzie ciekawe i wartościowe nawet dla czytelników litewskich. Pracę tę zaprojektowałem jeszcze w roku zeszłym w czasie, kiedy Litwini byli w Wilnie. Chodziło mi wtedy o zapoznanie publiczności wileńskiej ze społeczeństwem litewskim i już zacząłem to wykonywać na szpaltach „*Gazety Krajowej*” Ludwika Abramowicza[534]. Wtedy jednak miałem na myśli

---

[532] „*Bon valouir*” sędziów – „dobrą wolę sędziów”.
[533] Przytoczone przez M. Römera książki to: M. Biržiszka, *Skrót dziejów piśmiennictwa litewskiego*, Wilno 1919; A. Rimka, *Ustrój gospodarczy w Litwie przed wielką wojną,* Wilno 1920; V. Vidunas [Wilhelm (Vilius) Storosta], *Litwa w przeszłości i teraźniejszości,* Wilno 1919; Albinas Rimka (1886-1944), ekonomista, działacz polityczny, w 1926 minister finansów; Vydūnas (Vilius Storosta, 1886-1953), filozof, pisarz, autor ponad 30 sztuk teatralnych.
[534] Wychodzącą od 2 września 1920 r. w Wilnie „Gazetę Krajową” powołało do życia grono krajowców (z L. Abramowiczem na czele) gotowych do współpracy z władzą litewską na Wileńszczyźnie. W okresie

nie tyle książeczkę osobną, ile szereg osobnych artykułów, z których w każdym omówiłbym i scharakteryzował jedno stronnictwo. Ale wówczas tylko 2 takie artykuły się ukazały w „*Gazecie Krajowej*": jeden o „*Pažandze*" i drugi o Związku Rolników (*Žemdirbių Sąjunga*). Oba udały mi się znakomicie. Ale już więcej nie zdążyłem, bo wkroczyły do Wilna wojska Żeligowskiego i oczywiście już wtedy wykonanie tej pracy upadło.
Teraz podjąłem tę myśl na nowo, tylko już w postaci osobnej pracy zwartej, nie zaś w artykułach w dzienniku. W osobnej książeczce praca ta będzie miała zresztą większą wartość i pożytek, bo w dzienniku w szeregu artykułów się zatraci i mniej będzie czytana. O wydaniu tej pracy już się porozumiałem z Wacławem Biržišką i dziś rozpocząłem wstęp, stanowiący część ogólną studium. Następnie przejdę do analizy każdej poszczególnej partii, zaczynając od prawicy i idąc w kierunku na lewo. Będę traktował tę pracę bardzo przedmiotowo. Czuję, że mi się uda zrobić z niej rzecz dobrą. Chciałbym skończyć tę pracę do czasu wyjazdu na wakacje letnie, bo latem w Bohdaniszkach czeka mię wielka robota wykreślania w naturze granic naszych sched w dziale, która mi zajmie ze dwa do trzech tygodni, i wątpię, bym jednocześnie mógł się zajmować pracą literacką. Ale zapewne tak prędko tego dziełka skończyć nie zdążę. Na wakacje bowiem chciałbym wyjechać już od 1 czerwca.

9 maja, rok 1921, poniedziałek
Wreszcie, po tygodniu przeszło choroby, z żołądkiem zaczyna być lepiej. Nie jest jeszcze zupełnie dobrze, ale coraz lepiej. Rycyna i parę dni dobrej diety zrobiły swoje. Wieczorem popracowałem znów parę godzin nad moim studium o stronnictwach politycznych litewskich. Piszę jeszcze wstęp, który stanowi część ogólną pracy, daje założenia i kreśli zarazem historyczną genezę obecnego rozwoju politycznego i obecnego układu narodowego społeczeństwa litewskiego. Wczoraj mi jeszcze praca szła dość ciężko, gdym ją rozpoczynał, dziś natomiast pisałem pełną parą i szło mi znakomicie. Byle tylko doszło do wydania jej. Jest to praca informacyjna, która będzie niewątpliwie miała wartość.
Zainterpelowałem dziś Janulaitisa co do otrzymanej przeze mnie pozawczoraj propozycji od ministra Karoblisa o nominacji mojej na członka Trybunału. Nie myliłem się. Kandydatura moja została przez sam Trybunał wysunięta. Co do samego Karoblisa, to wątpię, aby był on zachwycony moją kandydaturą. Mam wrażenie, że nie żywi on dla mnie wielkiej sympatii, zresztą – wzajemnie. Dla nacjonalisty, jak Karoblis, który jest tak gruboskórny, że mógł na prezesa Sądu Okręgowego w Wilnie wysunąć Kalnietisa[535], chyba tylko dlatego, że ten jest Litwinem i przesadza w gorliwości „patriotycznej", nie mając skądinąd żadnych kwalifikacji po temu, a już najmniej kwalifikacji taktu, tak niezbędnego dla wpływów litewskich w Wilnie, i który w nominacjach członków Sądu Okręgowego w Kownie przestrzega bodaj tylko jednej rzeczy, by kandydaci byli Litwinami, a przynajmniej by była zapewniona już nie tylko większość, ale kilkakrotna przewaga Litwinów nad nie-Litwinami, choćby ta przewaga była zdobyta taką ceną, jak mianowanie kompletnych niezdarności i idiotów w rodzaju Rustejki, udającego Litwina, podczas gdy takie kandydatury nie-Litwinów, jak sędziego

---

Litwy Środkowej pismo wyrażało poglądy federalistów wileńskich; Ludwik Abramowicz (1879-1939), ideolog krajowości, działacz polityczny, historyk, publicysta, bibliofil. W 1905-1938 jedna z czołowych postaci w środowisku polskiej inteligencji demokratycznej w Wilnie, 19201921 wydawca i redaktor „Gazety Krajowej", w 1921 wznowił przerwane w 1915 wydawnictwo „Przeglądu Wileńskiego" i do 1938 nieprzerwanie wydawał i redagował to pismo, czyniąc z niego główną trybunę krajowości.
[535] Vincas Kalnietis (1876-1941?), prawnik, w 1920 mianowany prezesem Sądu Okręgowego w Wilnie (zajęcie miasta przez wojska gen. L. Żeligowskiego uniemożliwiło mu sprawowanie tego stanowiska), 1928 mianowany członkiem Rady Państwa

pokoju Herubowicza lub podprokuratora Dobrowolskiego, z których jeden jest bądź co bądź sędzią doświadczonym, a drugi człowiekiem pracowitym i zdolnym, są pod różnymi pretekstami uchylane, np. w szczególności co do Dobrowolskiego dlatego, że rzekomo jego nazwisko figurowało na jakiejś liście kandydatów do zamianowania na wypadek wkroczenia wojsk Żeligowskiego do Kowna, choć jestem przekonany, że Dobrowolski nic o tym nie wiedział, a rzecz ta była na razie odroczona niby do zbadania źródłowego i oczywiście potem ubita, pomimo że nic nie zbadano. Dla takiego, powiadam, nacjonalisty, jak Karoblis, jestem zapewne podejrzany i nieprawomyślny dlatego, że jestem Polakiem i że się do mojej narodowości przyznaję, pomimo że pozostając Polakiem i nie wdziewając na siebie skóry pozornej litewskiej, jak jakiś Budrecki albo tenże Rustejko, z pewnością szczerszym i głębszym jestem patriotą Litwy i więcej dla niej mam zasług, niż panowie Budreccy, którzy cały wiek spędzili na służbie w Rosji i ani myśleli o kraju, gdy im na obczyźnie było dobrze, a teraz uciekłszy od głodu bolszewickiego, ledwie się nauczyli łamanego języka litewskiego, wrzask podnoszą wielki o swoim patriotyzmie i oczywiście psy wieszają na polskości, z której sami pochodzą i za którą krew ich ojciec przelewał, albo jak panowie Rustejkowie, tacyż słomiani „patrioci" i osły, a wreszcie, jak sam pan Karoblis. A to mi się udał ten obraz na całej przeszło pół stronicy.

10 maja, rok 1921, wtorek
Znowu cały dzień wysiedziałem na posiedzeniu sądowym w sprawach cywilnych. Sprawy przeważnie duże, bardzo sporne i zawiłe, z udziałem adwokatów. Nie tak ich było dużo, ale czasu zajęły wiele i wymagały wielkiego wytężenia myśli. Posiedzenie trwało do godz. 8 wieczorem. Przewodniczył Frydman, który jest zawsze szczęśliwy, gdy się dorwie do przewodnictwa, choć udaje, że mu to jest obojętne. Zmęczony jestem tym posiedzeniem okrutnie. Ani mowy o tym, żebym mógł jeszcze poświęcić czas mojej pracy o stronnictwach politycznych litewskich. A szkoda, bo mi zależy na pośpiechu i już polubiłem tę pracę. Jutro mam znowu posiedzenie, ale zapewne krótsze i mniej męczące, jak zwykle u nas karne.
Frydman zwęszył, że w Trybunale zamierzają oprócz mnie dobrać jeszcze jednego członka, o czym dziś ze mną mówił Janulaitis, radząc się co do osoby kandydata. Dowiedział się też, że wśród ewentualnych kandydatów wymieniany jest on i sędzia Oleka i że co do niego Janulaitis zapytywał, co to za kwestie powstały między Frydmanem a ministrem Karoblisem i co Karoblis ma przeciwko Frydmanowi. Frydman, trawiony ambicją dostania się do Trybunału, zły na Karoblisa, posądzający o intrygi przeciwko sobie, nie może znaleźć miejsca i gotów rozchorować się ze wzruszenia i niepokoju. Jest z niego niezły sędzia, zna się na prawie i nie lekceważy praworządności, jak, niestety, wielu innych sędziów, ale też nadyma się ambicją i pragnieniem coraz wyższego stanowiska jak purchawka. Mało mu już być członkiem Sądu Okręgowego – nęci go Trybunał i to w takim stopniu, że już Sąd Okręgowy wydaje mu się czymś godnym ostatecznej pogardy. Przed dwoma laty było dlań zaszczytem zostać z adwokata prywatnego sędzią pokoju w Ucianie, potem za blask uważał stanowisko członka Sądu Okręgowego, a dziś już chce stawiać sprawę tak, że albo Trybunał, albo dymisja. Nienasycona to próżność prowincjonalnego Żydka, choć człowiek to poczciwy.
Jednak sędziego Olekę wolałbym mieć za kolegę w Trybunale, przynajmniej na razie, póki nas tam będzie mało członków. Bądź co bądź, Frydman nie ma dostatecznej powagi na zewnątrz.

11 maja, rok 1921, środa

Brałem udział w posiedzeniu sądowym karnym, które się odbyło pod moim przewodnictwem z udziałem sędziów Masiulisa i Narutowicza. Posiedzenie trwało krótko, bo tylko jedna sprawa została rozpoznana; inne wypadło odroczyć bądź dla niestawiennictwa – świadków, w jednym wypadku oskarżonego, bądź dla innych przyczyn.
Na każdym posiedzeniu, zwłaszcza w sprawach karnych, ujawniają się fatalne nieporządki w technicznym funkcjonowaniu naszych kancelarii sądowych. Już to nieład jest w naszym sądownictwie szkaradny, a winien tu jest prezes Mačys, który jako administrator jest do niczego. Czy można winić kancelarie, że źle funkcjonują? Mnie się zdaje, że nie. Wobec braku wykwalifikowanych pracowników, jaki się wszędzie daje wyczuwać, i wobec niskich płac w sądownictwie, trudno się dziwić, że ci sekretarze i kanceliści – po większej części panienki młode – nie umieją sobie dać rady i popełniają na każdym kroku błędy, gdy są pozostawieni sami sobie, bez kierunku, wskazówek i kontroli, tym bardziej, że prezes zleca im cały szereg takich czynności, które właściwie należałyby do niego lub do kogoś z sędziów w jego zastępstwie. Sam prezes osobiście też nie byłby w stanie podołać wszystkiemu, bo sąd jest wielki, tym bardziej, że biedak od czasu do czasu wyrywa się na sesję wyjazdową, aby dietami i oszczędnościami na płatnych kosztach podróży dorobić coś do szczupłej pensji swojej. Ale by wprowadzić ład w funkcjonowanie techniczne naszej niezdarnej machiny sądowej (mówię o samej technice mechanicznej, nie o funkcji sądzenia) – jest na to sposób: zużytkować siły sędziów, podzielić sąd na wydziały, podzielić pracę między sędziów, ustanowić dyżury dla wykonywania czynności bieżących, rozłożyć między sędziów dozór i kierownictwo nad kancelariami. Mówi się o tym u nas wśród sędziów ciągle, wszyscy tego pragną i tego się domagają, ale Mačys jest temu przeciwny. A trudno znaleźć człowieka bardziej upartego, niż nasz prezes, pomimo wszystkich jego innych zalet, których mu obok licznych wad nie brak. Trudno wiedzieć, co nim kieruje w tej opozycji przeciwko żądaniu uporządkowania techniki sądu przez podział i usystematyzowanie pracy między członkami sądu. Chyba miłość własna i obawa, by jego autorytet nie zmalał na podzieleniu się czynnościami kierowniczymi z ogółem sędziów. Dziś w tym bezładzie każdy z członków sądu jest tylko jakąś maszynką do sądzenia, którą się wysyła na posiedzenia i każe sądzić, a potem napisać motywy wyroku. Nawet w samym wyznaczaniu na posiedzenia lub na sesje wyjazdowe nie ma żadnego ładu i metody. Nikt nie wie z góry, kiedy mu wypadnie siedzieć na posiedzeniu lub jechać na sesję (co do wyjazdów, to ja wyjątkowo miałem przywilej niejeżdżenia ze względu na moją posadę w Komisji dla spraw Litwy Wschodniej). O wyznaczeniu na posiedzenie lub na sesję wyjazdową członkowie dowiadują się w ostatniej chwili. Co do kancelarii, które wykonywają bardzo ważną funkcję techniczną, członkowie sądu nie mają na nie żadnego wpływu. Tymczasem z powodu niedołężnego funkcjonowania tychże całe mnóstwo roboty idzie na marne, sprawy na posiedzeniach się odraczają, bo np. wezwania za późno wysłane i nie doręczone, a tymczasem ludzie tracą czas na niepotrzebne jeżdżenie albo kancelaria przyjmuje podanie lub skargę, które podług ustaw nie mogą być przyjęte w Sądzie Okręgowym, bo muszą być podane za pośrednictwem sądów pokoju, wobec czego na posiedzeniu skarg tych rozpoznać niepodobna i trzeba je zwracać stronom, które na skutek niewłaściwego przyjęcia tych skarg w sądzie straciły tymczasem termin do złożenia ich w sądach pokoju, albo np. sekretarz (*sic*!) wyznacza dla dwóch oskarżonych, których interesy są w procesie wprost sprzeczne, jednego obrońcę, wobec czego sąd musi rozpatrzenie sprawy odroczyć, a tymczasem pokrzywdzony, wzywany na świadka, płacze, że musi kilkakrotnie z daleka przyjeżdżać, nie otrzymując żadnego za to odszkodowania, choć już poniósł stratę na kradzieży konia i jest człowiekiem biednym. I sprawy się odraczają

bez końca, a tymczasem w sądzie więcej spraw wpływa, niż się wyznacza i zaległości rosną. Na publiczności, dla której niezbędny jest wymiar sprawiedliwości, czyni to oczywiście złe wrażenie i dyskredytuje sąd. Już są interpelacje co do funkcjonowania sądów w Sejmie, są skargi i utyskiwania w prasie. Tymczasem te same kancelarie i ci sami pracownicy tychże wyrobiliby się i byliby dobrzy, gdyby wykonywali swoje czynności pod doświadczonym kierunkiem sędziów. I sami sędziowie tego pragną i domagają się, ale wszystko się łamie o upór Mačysa. Jednak żądanie podziału i usystematyzowania pracy tak się wśród sędziów i na zewnątrz wzmaga, że już chyba Mačys nie będzie mógł dłużej się temu przeciwstawiać i rzecz ta będzie wreszcie musiała być przez ogólne zebranie postanowiona. Co do mnie, to jeżeli już wkrótce zostanę mianowany członkiem Trybunału, nie będę w tym podziale pracy uczestniczył. Co do naszych kancelarii sądowych, to skandaliczną jest kancelaria wydziału karnego. W wydziale cywilnym porządniej funkcjonuje, a zwłaszcza bardzo dobrze tam pracują trzy miłe inteligentne panienki, prowadzące protokóły na posiedzeniach – panny Janulaitisówna, Sakalówna i Smilgówna (może lepiej Smilgianka).

12 maja, rok 1921, czwartek
Intryguje mię wielka cisza otaczająca przebieg litewsko-polskich rokowań w Brukseli. Zdaje się, że nikt w Brukselę nie wierzył, nikt ani ze strony litewskiej, ani polskiej nie oczekiwał stamtąd rozwiązania wielkiej zagadki wileńskiej. Polacy jechali do Brukseli niechętnie, Litwini – bez wiary w skuteczność rokowań bezpośrednich. Kto wie, czy nie jeden tylko Gałwanowski, przewodniczący delegacji litewskiej, człowiek mądry i nie lubiący dużo gadać, bodaj najlepsza głowa w liczbie mężów stanu litewskich, miał jakąś myśl własną konkretną i wolę do jej wykonania. I kto wie, czy wbrew wszelkim przewidywaniom Bruksela nie dokona niespodzianie dzieła, które zdawało się być łamigłówką bez wyjścia. Jeżeli się ono dokona, to na zasadzie jakiegoś stosunku między Litwą a Polską, który będzie zbliżony do federacyjnego czy związkowego. Wydaje się to na pozór niepodobnym, bo nie ma postulatu bardziej niepopularnego w opinii litewskiej, jak federacja czy coś do niej zbliżonego – z Polską. Sama nawet myśl o konwencjach zdaje się być w opinii litewskiej godną najwyższego potępienia, a cóż dopiero jakiś stosunek związkowy realny. Jednak Gałwanowski już po powrocie z Paryża w marcu w szeregu inspirowanych przezeń artykułów w „Lietuvie”, oswajał opinię litewską z konwencjami i założeniami związkowymi z Polską, oczywiście bardzo oględnie, ze wszelkimi zastrzeżeniami suwerenności. Jak się ta rzecz teraz w Brukseli przedstawia – trudno dokładnie sądzić, bo informacje są bardzo lakoniczne. Na razie był większy o tym rozgłos, pisano o łączeniu przez Polskę sprawy Wilna ze sprawą Kłajpedy, prasa zachodnioeuropejska, zwłaszcza francuska i belgijska, dużo pisała o federacji jako metodzie rozwiązania sprawy ze zwrotem Wilna Litwie i oddaniem jej Kłajpedy. Gałwanowski jeździł do Paryża, Naruszewicz wyjeżdżał z Brukseli do Londynu. Teraz rokowania są prowadzone, otoczone ciszą i bardzo skąpymi wieściami w prasie.
W krótkich informacjach wskazuje się, że delegacje w rokowaniach rozważają szczegółowo, w jakim stopniu uzgodnienie wspólnych potrzeb obrony i polityki zewnętrznej Polski i Litwy jest możliwe bez ujmy dla suwerennych praw obu państw, a prasa francuska wciąż mówi o rozwiązaniu federacyjnym. Coś tu federacją pachnie, coś się jakby gotuje niespodzianego, mimo że w opinii litewskiej nie widać zwrotu polonofilskiego bynajmniej. Oprócz Gałwanowskiego jest w Brukseli jednak Ślażewicz, człowiek, który ma czucie Niepodległości i który z polityków litewskich jest najmniej do kompromisu na tym gruncie skłonny. Gałwanowski i Ślażewicz uzupełniają się.

Jakim będzie ich dzieło, jeżeli Bruksela nie chybi? Kto wie, czy nie stoimy w przededniu decyzji pierwszorzędnych.

13 maja, rok 1921, piątek
Wczoraj miałem list od Kotuńki – bardzo miły, bardzo serdeczny. List przyszedł pocztą, wprost z Polski. Czasem tą drogą listy dochodzą, to znów czasem giną. Kotuńka wciąż jeszcze mieszka w Starogardzie wraz z Ezechielem[536], który już posady nie ma i więcej się o nią nie stara, bo już mu ze względu na wiek za ciężko, i z dwiema młodszymi córkami Kasią i Stasią. Ciężko jest Kotuńce. Pieniądze, które zimą wzięła w ilości 100 000 marek polskich za sprzedane meble, przywiezione jej przez Marynię z Wilna, już się kończą. Czeka więc z niecierpliwością na jakiś grosz ze spieniężenia jej części spadku bohdaniskiego. Słyszała już coś o naszym dziale od Ewy Meyerowej, która wie o tym z listów Maryni i która przyjeżdżała niedawno do Kotuni, ale nie wie jeszcze, co jej się w dziale dostało. Z listu Kotuńki dowiedziałem się też o śmierci śp. cioci Masi Bohdanowiczowej. Szczegółów, gdzie i kiedy umarła, nie wiem. Jest to już przedostatnie z rodzeństwa Mamy. Żyje już tylko jedna ciocia Rózia Tukałłowa.
Cicho spędziłem dzień, jak zawsze, kiedy nie mam posiedzenia w sądzie. Cicho, pracowicie i samotnie. Dzień w dzień, za bardzo rzadkimi, zgoła nadzwyczajnymi wyjątkami, spędzam całe poobiedzie i wieczór w domu. I dzień w dzień tę samą wykonywam pracę; jeden wyrok motywowany, jeden list, jeden dzień dziennika, no i teraz kilka kartek pracy o stronnictwach politycznych litewskich. Monotonność tej pracy jest bardzo wielka, choć tylko co do formy, bo co do treści, to i dni w dzienniku, i listy, i wyroki są zawsze różne. Nie należę tu teraz do żadnych towarzystw, nie bywam prawie nigdy na żadnych zebraniach, nie odwiedzam żadnych domów rodzinnych, nie udzielam się żadnym stosunkom towarzyskim, w teatrach ani w żadnych miejscach rozrywek nie bywam, bo zresztą jestem w żałobie[537]. Co do teatru jednak, to zacznę bywać, bo niepodobna tak żyć zupełnym odludkiem i trzeba trochę też wrażeń zewnętrznych zaznać, a teatr nie jest jakimś miejscem hucznej zabawy, zakłócającym żałobę formalną.

14 maja, rok 1921, sobota
W Sądzie Okręgowym mieliśmy dziś ogólne zebranie. Liczne było, jak nigdy dotąd, bo też w ostatnich czasach liczba sędziów została bardzo zwiększona. W zebraniu wzięli udział: prezes Mačys, wiceprezes Piotrowski i sędziowie Preis, Budrecki, ja, Masiulis, Narutowicz, Šurna, Rustejko i Burkiewicz; razem – 10 osób. A jeszcze pięciu było nieobecnych, mianowicie: Oleka, Frydman, Milwid, Penkaitis i Sugintas. Wszyscyśmy oczekiwali na tym zebraniu podniesienia tematu o podziale pracy między sędziami. Rzecz ta uznawana przez wszystkich za niezbędną, oczekiwana od dawna, rozbijała się dotąd zawsze o opór prezesa. Ale już w ostatnich czasach coraz bardziej się podnosił krzyk o to, tak w łonie sądu, jak poza nim, domagając się stanowczego wreszcie uporządkowania działalności sądu. Wiadomo było, że już prezes nie może dłużej temu się sprzeciwiać. Pomimo to nie wiedzieliśmy, czy sprawa ta została na porządek dzienny przez prezesa wniesiona, bo u nas tu nie ma, niestety, zwyczaju podawania zawczasu do wiadomości sędziów porządku dziennego zebrania. W porozumieniu jednak z kilku kolegami postanowiliśmy, że ja w każdym razie wystąpię na zebraniu z odpowiednim wnioskiem, a koledzy mię poprą, gdyby prezes chciał oponować. Dlatego mnie o to proszono, że ja, jako wybrany do Trybunału, liczę się już jakby tylko jedną

[536] Ezechiel Pruszanowski, ziemianin, 1892 poslubił Konstancję Römerównę, siostrę Michała Piusa Römera.
[537] M. Römer był w żałobie po śmierci (6 X 1920) ojca.

nogą stojący w sądzie i mogę przeto mniej się liczyć z prezesem, podczas gdy innych niechęć prezesa krępuje. Jak zwykle u prezesa – porządek dzienny ogólnego zebrania okazał się przeładowany mnóstwem kwestii detalicznych, dotyczących głównie ruchu służbowego (nominacje i dymisje sędziów pokoju i śledczych, urlopy tychże, prośby o przyjęcie w poczet kandydatów lub obrońców sądowych), które ze względu na znane zamiłowanie prezesa do niewyczerpanego wałkowania najdrobniejszej sprawy, groziło zatopieniem wszelkiej innej poważniejszej sprawy. Gdyśmy jednak zajrzeli do dziennika zebrania, znaleźliśmy na ostatnim miejscu porządku dziennego interesującą nas sprawę podziału członków sądu na wydziały. Posiedzenie wlokło się bardzo marudnie, gdy już zegar zaczął wskazywać spóźnioną porę obiadową, członkowie zebrania zaczęli się niecierpliwić i myśleć o prędszym jego zakończeniu. Może na to prezes i liczył, chcąc, jak się pokazało, wyczerpać całe zagadnienie li tylko podziałem sędziów na wydziały karny i cywilny. Wtedy ja zaproponowałem odroczyć rozpoznanie tej sprawy do następnego zebrania, wyznaczając ją na pierwszym miejscu i stawiając ją o wiele szerzej, niż podział na wydziały. Poparł mię Piotrowski i sprawa, pomimo widocznej niechęci prezesa, w ten sposób przeszła. Wyznaczone zostało na poniedziałek ogólne zebranie dla rozpatrzenia tej kwestii. Dowiedziałem się, że prezes zaprojektował wyznaczenie mnie do wydziału karnego, do którego jest brak zupełny ochotników. Co prawda, sam kiedyś prezesowi wspominałem, że wolałbym wydział karny. Obecnie jednak wolałbym się dostać do cywilnego, bo: 1) kancelaria wydziału karnego jest prawdziwą stajnią Augiasza i 2) do wydziału karnego wyznaczone zostaną z pewnością najniezdarniejsze siły spośród sędziów – w ich liczbie taki np. Rustejko, podczas gdy element zdolniejszy i bardziej wyrobiony trafi do wydziału cywilnego. W tych okolicznościach wydział cywilny będzie przedstawiał o wiele przyjemniejsze warunki pracy.

15 maja, rok 1921, niedziela
Byłem na mszy w kościele Witolda[538] nad Niemnem. Chcę w ogóle zacząć niedzielami chodzić na nabożeństwa katolickie, bo zresztą mam inklinację do religii i w szczególności Kościół katolicki pociąga mię do siebie. Nabożeństwa katolickie sprawiają na mnie duże wrażenie. Mam co prawda dużą niechęć do klerykalizmu, ale Kościół katolicki oddziaływa na mnie i wywiera wpływ atrakcyjny głęboki. Nie wiem, czy od katolicyzmu daje się oddzielić klerykalizm, ale o ile ten ostatni jest dla mnie antypatyczny, o tyle czuję głęboką do katolicyzmu sympatię. Imponuje mi ścisłość logiczna i doskonałe wykształcenie systemu katolickiego, a wielkie nabożeństwa masowe mają dla mnie urok niezwykły. Należę do ludzi, którzy nie umieją stopić się w tłumie i w tej wielkiej zbiorowości zatracić osobowość własną i jej czucie. Zbyt rozwiniętą mam indywidualność na to. Ale atmosfera zbiorowego czucia, ten wielki rytm wspólny i jednolity, a tak poważny i mocny, jaki się w nabożeństwie katolickim w Kościele wyraża, imponuje mi i zachwyca. Nie zlewam się z tym rytmem i nie przestaję czuć siebie, ale działa on na mnie kojąco, jest pięknym i czyni wrażenie wielkiej prawdy w nim zawartej. Ma on w sobie coś z nieśmiertelności, coś z wieczności ducha ludzkiego, coś, co jest tchnieniem Człowieka bez względu na czas, przestrzeń i osobowość.
Do kościółka Witolda, którego gospodarzem jest ks. Tumas[539], zwabiły mię zapowiedziane śpiewy solistów, które tam zresztą stale są w nabożeństwie

[538] Popularna nazwa kościoła franciszkanów w Kownie. Nie zachował się akt fundacyjny tej świątyni, ale przyjmuje się, że jej założycielem był wielki książę Witold.
[539] Juozas Tumas-Vaižgantas (1869-1933), ksiądz, pisarz, historyk, działacz chrześcijańsko-demokratyczny.

praktykowane. Nie śpiew mię jednak głównie zachwycił. Większe od niego wrażenie czyniło na mnie samo nabożeństwo. Nie kazanie też mię poruszyło, bo było banalne, wołające przeciwko alkoholowi jako jednemu z najniebezpieczniejszych oręży wroga duchowości, książęcia tego świata – szatana. Nabożeństwo samo, to znaczy msza święta, odprawiona przez księdza, msza, w której się realizuje obcowanie wiernych w kościele, było dla mnie źródłem wzruszenia. Od pieśni solistów na chórach większe sprawia na mnie wrażenie śpiew zbiorowy ludu w kościele, pełny powolnego rytmu i harmonii, jako kanwa, na której się haftuje modlitwa wiernych. Nie jestem wielkim znawcą muzyki, choć śpiew lubię. Nie śpiew jednak jako taki, nie muzyka głosu ludzkiego, wyrażona zapewne lepiej w występach solistów, ale pieśń kościelna ludu jako element nabożeństwa czyni na mnie przeważne w kościele wrażenie.
Dziś mamy rocznicę zwołania Sejmu Ustawodawczego. Dzień ten zbiegł się z dniem Zielonych Świątek. Cudna pogoda. Kowno całe na ulicy, na parostatkach, na wycieczkach i majówkach. Uroczystość rocznicy sejmowej była manifestowana chorągwiami i obchodzona programem specjalnym – nabożeństwem uroczystym w katedrze, uroczystym posiedzeniem Sejmu, wieczorem koncertem i bodajże rautem. W uroczystościach tych nie uczestniczyłem i nie byłem nawet ich widzem.

16 maja, rok 1921, poniedziałek
Cały ranek do obiadu spędziłem w sądzie na ogólnym zebraniu. Byli prawie wszyscy sędziowie, tylko Oleka się spóźnił i Frydman się nie stawił. Nie było też Milwida i Sugintasa, którzy jeszcze nie objęli swoich stanowisk. Głównym przedmiotem obrad był podział sędziów na wydziały – cywilny i karny. Wszyscy, prócz wiceprezesa Piotrowskiego, domagali się wyznaczenia do wydziału cywilnego. Wydział karny nie miał zgoła amatorów. Niełatwo było znaleźć na to sposób. Ja proponowałem losowanie, osobno w grupie starszych i doświadczeńszych sędziów i osobno w grupie nowych. Starszyzna jednak była zdania, że lepiej jest spróbować ułożyć się dobrowolnie, ewentualnie wyznaczać decyzją ogólnego zebrania. Poza prezesem i wiceprezesem, którzy się podzielili dobrowolnie, innych dzielono na grupy. Do pierwszej grupy zaliczono tylko dwóch najstarszych, najdoświadczeńszych, którzy po prezesie i wiceprezesie mają kierować wydziałami i bezpośrednio współpracować z nimi – Preisa i Olekę. Do drugiej grupy zaliczono sześciu starszych i doświadczeńszych, nadających się do przewodniczenia na sesjach i posiedzeniach, mianowicie Budreckiego, mnie, Masiulisa, Narutowicza, Šurnę i Milwida. Do trzeciej wreszcie grupy zaliczono nowiutkich sędziów, nowicjuszów w zawodzie – Rustejkę, Penkaitisa, Sugintasa i Burkiewicza. W każdej grupie dzielono osobno. W pierwszej, korzystając z nieobecności Oleki, wpakowano go do wydziału karnego, Preisa zaś do cywilnego. W drugiej była walka największa. Szczególnie Budrecki chciał się przegłosować gwałtownie do cywilnego, wypychając mnie do karnego. Ja wszakże, wiedząc że koledzy więcej cenią moje zdolności i wiedzę, niż Budreckiego, nastałem na głosowanie.
Głosowania dokonano kartkami i do wydziału karnego trafili Budrecki, Masiulis i Šurna. W trzeciej grupie dokonano po prostu arbitralnego podziału nowicjuszy. Frydman pozostał osobno. Uznano – mimo mojej opozycji – że Frydman ze względu na bardzo słabą znajomość języka litewskiego i niedogodność zaprzysięgania świadków przez Żyda, powinien być wyłączony od przewodniczenia; w gruncie rzeczy usunięto go po prostu od przewodniczenia jako Żyda, bo chłopa Litwina sędzia Żyd razi. Wzgląd o języku był tylko listkiem ligowym, drugim zaś pretekstem było to, że Frydman nie ma stażu adwokatury przysięgłej i wstąpił na służbę państwową dopiero już za czasów litewskich. Frydmana wyznaczono do wydziału cywilnego. Ostatecznie więc wydziały

będą miały skład sędziów taki: wydział cywilny – prezes Mačys, sędziowie Preis, ja, Milwid, Narutowicz, Frydman, Penkaitis i Burkiewicz; wydział karny – wiceprezes Piotrowski, sędziowie: Oleka, Budrecki, Masiulis, Šurna, Rustejko i Sugintas. Wykonanie podziału w praktyce odroczono do września, to znaczy po wakacjach letnich. Podział ustalono na rok jeden. Nie wiem, czy ktokolwiek zwrócił uwagę na to, że w tym podziale cały element narodowy litewski zgromadził się w wydziale karnym, gdzie są sami Litwini, podczas gdy wydział cywilny skupił całą mieszaninę ludzi o narodowości lub kulturze nie-litewskiej. Litwinami z krwi i kości są w wydziale cywilnym tylko Mačys i Penkaitis, natomiast Preis – Rosjanin; ja, Milwid i Narutowicz – Polacy albo przynajmniej kultury polskiej (bo sam nie wiem, czy Narutowicz i Milwid uważają siebie narodowo za Polaków czy za Litwinów); Frydman – Żyd; wreszcie Burkiewicz – bardziej pono Łotysz, choć ostatecznie zdecydował się na opcję narodowości litewskiej. Podzieliliśmy się też dzisiaj czasem wakacyjnym. Ja zapisałem się do liczby tych, co korzystają z wakacji w pierwszej połowie lata, to znaczy od 1 czerwca do 15 lipca.
Uprosił mię Narutowicz jechać zamiast niego na sesję do Uciany. Ostatecznie zgodziłem się, choć mi to jest bardzo niedogodne ze względu na moją pracę o stronnictwach politycznych litewskich, którą chciałbym wykończyć przed wakacjami. Na sesję jadę z Penkaitisem i Burkiewiczem. Sesja będzie pod moim przewodnictwem. Wyjeżdżamy na sesję pozajutro. Musiałem zrobić tę usługę Narutowiczowi, który jest chory.

17 maja, rok 1921, wtorek
Mam dziś trochę gorączki, więc wypoczywam i poza dziennikiem nic pisać nie będę. Zanotuję zmianę, która zaszła w zamarłej ostatecznie Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Ustąpił z niej kierownik Komisji Wacław Biržiška i na jego miejsce mianowany został Zygmunt Žemaitis. Istnienie tak bezczynnej Komisji było po prostu skandalem, a wypłacanie pensji jej członkom było marnowaniem grosza publicznego. Od kilku miesięcy Komisja nie zbierała się wcale i jako taka nie robiła literalnie nic. Jeden tylko Wacław Biržiška z kancelistą Żydkiem załatwiał wymianę bieżących wiadomości i gazet między Kownem a Wilnem, ale do tej czynności zbyteczna była Komisja. Nam, członkom Komisji, wstyd było po prostu brać pensję, toteż niejednokrotnie wspominaliśmy Biržišce, że albo musimy ustalić naszą robotę, jeżeli jest, albo usunąć się z Komisji. Biržiška jednak zawsze odwodził nas od tego zamiaru i wmawiał, że bezczynność Komisji jest tylko czasowa, ponieważ w tej chwili sprawa wileńska wkroczyła na tory międzynarodowe (uchwały paryskie Ligi Narodów, Bruksela), które wychodzą poza zakres zadań Komisji, ale może jeszcze powrócić potrzeba innych metod, dla których należy utrzymać Komisję w rezerwie i że Biržiška już kilkakrotnie omawiał sprawę istnienia Komisji z prezesem ministrów dr Griniusem i Grinius jest stanowczo za zachowaniem Komisji w pogotowiu. Nędzne to było wprawdzie pogotowie, ale ostatecznie czekaliśmy. Przynależność płatna do martwej Komisji ciążyła nam.
Niedawno, gdym zaszedł do Biržiški, przebąknął mi on, że się usuwa i wraca do pułku, do którego jako oficer należy. Nie rozpytywałem go o szczegóły i powody, bo domyślałem się, że może mu zaproponowano ustąpienie za niedołęstwo i że temat ten może mu być przykry. Ze słów jego, a raczej z półsłówek zrozumiałem, że następcą jego będzie Žemaitis. Nie zastałem go dziś jednak w Komisji. Žemaitis jest człowiekiem żywym i bardzo miłym. Na tym stanowisku będzie lepszy od Wacława Biržiški, który, choć człowiek zacny, jest niezmiernie miękki i bez inicjatywy – typowy drugorzędny biurokrata. Jakie są zamiary Žemaitisa, czy myśli on o zreformowaniu i

ożywieniu Komisji, czy też o zlikwidowaniu jej i ograniczeniu roboty do kontaktu technicznego między Kownem a Wilnem, do czego zbyteczna jest Komisja – tego nie wiem. Chciałbym tylko, by Žemaitis przez tę Komisję wydał mi moją pracę o stronnictwach litewskich.

18 maja, rok 1921, środa
Rano wyjechałem z Kowna na Ucianę. Na dworcu kolejowym w Kownie spotkałem się z sędziami Penkaitisem i Burkiewiczem oraz towarzyszącym na sesję podsekretarzem sądu. Wyruszyliśmy wszyscy we czworo w wagonie III klasy. Oszczędność na kosztach przejazdu – ponieważ sędziowie otrzymują zwrot ceny biletu pierwszej klasy, jadą zaś trzecią – stanowi jedną z głównych atrakcji tych sesji, dla której niektórzy sędziowie tak chętnie na nie jeżdżą. Nasi biedni sędziowie mają pensję tak nędzną, że ten drobny sukurs paruset marek jest manną, do której się nieraz wzdycha i która cokolwiek ratuje sytuację. Oprócz zwrotu ceny biletu, sędzia pobiera przy wyjazdach na sesje po 40 marek diety dziennej. Oczywiście jest to wynagrodzenie bardzo liche, szczególnie jeżeli trzeba na miejscu płacić za mieszkanie i za utrzymanie. Cała spekulacja oszczędności polega wtedy na tym, że żyjąc kosztem diety, zaoszczędza się przez ten czas na pensji zasadniczej, która oczywiście nie wytrąca się za czas wyjazdów. Niektórzy sędziowie, amatorowie sesji, a raczej spekulacji oszczędnościowej na sesjach, wystudiowali już doskonale warunki każdej miejscowości i wiedzą bez pudła, gdzie się wyjazd na sesję opłaca i w jakim stopniu, a gdzie się on nie opłaca lub jest nawet połączony ze stratą. Wiedzą, gdzie sędziowie są więcej lub mniej gościnnie przez urzędników miejscowych przyjmowani, gdzie się im daje mieszkanie bezpłatne, gdzie się ich zaprasza na obiady itd. Oczywiście najmniej są lubiane sesje tam, gdzie trzeba ciągnąć się lichą furmanką ze stacji kolejowej o wiorst kilkanaście lub kilkadziesiąt do miasta, jak na przykład do Rosień lub Telsz. Nie wszyscy oczywiście sędziowie są pieczeniarzami i niejeden z nich brzydzi się tą spekulacją na bezpłatnych obiadkach i herbatkach, rozumiejąc dobrze, że na dnie tych uprzejmości kryje się często chęć zaskarbienia łask sędziowskich i że niejeden z tych zaskarbiających łaski ma różne grzeszki na sumieniu, a przeto jest w tym coś, co tchnie czasem nieprzyjemnie korupcją. Ale są i tacy, którzy nic się tym nie krępują i wyzyskują uprzejmości z całą bezwzględnością, a nawet umieją narzucać się i poniekąd zmuszać ludzi do świadczenia im rozmaitych względów. Takim doskonałym pieczeniarzem i znawcą wszystkich atutów dodatnich oraz ujemnych poszczególnych miejscowości jest Budrecki. Ten to grasuje w sesjach po Litwie i panoszy się jak świnia w korycie.
Dzięki protekcji sędziego Penkaitisa, który do niedawna zajmował wyższe stanowisko w zarządzie kolejowym i ma w tym wydziale wpływy, otrzymaliśmy osobne *coupé*[540], w którym dojechaliśmy do Poniewieża. W Radziwiliszkach spotkaliśmy się z komornikiem sądowym z Poniewieża, jegomościem niezmiernie uczynnym i wprost narzucającym się z usługami, pomocą i... traktamentem swoich przełożonych, do których oczywiście należą wszyscy sędziowie. Trochę on nam dokuczył w Poniewieżu usiłowaniem fundowania nam koniaku i piwa, ale za to okazał wielką usługę, wystarawszy się dla nas od komendanta dworca w Poniewieżu osobnego wagonu służbowego w pociągu wąskotorówki na Ucianę. Toteż mieliśmy wygodę i sen znakomity w drodze. Wąskotorówką tą jechałem po raz pierwszy. Droga bardzo ładna. Wagon nasz był przyczepiony w samym końcu pociągu, toteż mieliśmy z okien tylnych widok otwarty na całą drogę za sobą. Pociąg idzie wolno, kiwając się, ale – śliczny czas! Śliczna droga, lasy, słowiki, wiosna, wieczór księżycowy. Przyjechaliśmy do Uciany o godz. 2 w nocy. Spotkał nas na dworcu sekretarz sędziego pokoju i pomocnik

---
[540] *Coupé* (fr.) – przedział

naczelnika milicji. Czekały nas dwa powozy parokonne. Dla każdego z nas był przygotowany pokój u różnych obywateli miejscowych w różnych częściach miasteczka (obecnie jest to już nie miasteczko, lecz miasto powiatowe).

19 maja, rok 1921, czwartek
Byłem już wyspany z drogi, więc ledwie kilka godzin przespałem w łóżku w wyznaczonym mi pokoju w Ucianie i raniutko, o godz. 6, byłem już na nogach. Mieszkam w domu niejakiego Żadejki, obywatela Uciany, który ma tu domek z ogrodem na końcu miasteczka i kawałek ziemi. Domek obszerny, pobielony, z ganeczkiem, w stylu dworku, otoczony dokoła wysokim i gęstym żywopłotem kwitnących bzów, skąpany powietrzem pachnącym kwiecia jak skropiony perfumą, stoi nad szosą w tym miejscu, gdzie z szosy wybiega gościniec na Malaty i Wilno. Gospodarz, pan Żadejko, człowiek młody, Polak litewski, z typu czy gatunku Wilnianin, dopiero niedawno tu osiadły, mieszka z siostrą i matką. Jest żonaty z szlachcianką z okolicznego dworku, która jeszcze pozostaje u rodziców, bo pan Żadejko w swoim domku w Ucianie nie ma dla niej miejsca, gdyż musi udzielać lokalu i pełnomocnikowi Ministerium Rolnictwa, i sztabowi Związku „Šaulisów" (wolnych strzelców litewskich)[541], i lokalnemu Komitetowi Obrony („Gimimo Komitetas")[542]. Mała Uciana, pasowana na miasto powiatowe, z trudnością mieści liczne urzędy, dla których rekwirowane są bez pardonu wszystkie lepsze mieszkania. A jeszcze i z samego mieszkania Żadejki rekwirowany jest stale na potrzeby doraźne jeden pokój, w którym oto i ja teraz ulokowany jestem. Żadejko, choć się od niedawna dopiero nauczył po litewsku, mówi jednak tym językiem wcale dobrze. Zaczął ze mną rozmowę po litewsku, ale gdym się przekonał, że jest Polakiem, tośmy już po polsku nadal rozmawiali. Żadejko i jego siostra są mili i gościnni. Dziś u nich obiad zjadłem, ale na stałe zaproszenia ich na obiady nie przyjąłem, bo to zbyt krępujące dla gospodarzy.
Posiedzenie sądowe rozpoczęliśmy punktualnie o godz. 10 i zakończyliśmy o godz. 3. Sprawy wszystkie – włościańskie, prawie wyłącznie o ziemię lub o inwentarz. Adwokatów w Ucianie nie ma wcale. Z moich kolegów sędziów Burkiewicz podobał mi się dziś o wiele więcej od Penkaitisa. Burkiewicz, skromny i niezbyt pewny siebie, ma jednak zawsze, a przynajmniej zawsze stara się wyrobić własne w każdej sprawie zdanie, zrozumieć i zgłębić zagadnienie prawne do samego gruntu, przestudiować odpowiednie ustawy i w ogóle wykonać zadanie sędziowskie rzetelnie i bez blagi. Będzie z niego sędzia sumienny i pracowity. Ma w oczach charakterystyczny połysk metalowy łotewski – znamię hartu i woli. Co robi – to robić chce dobrze.
Penkaitis natomiast wydaje mi się przy bliższej obserwacji powierzchowny i płytki, a zarazem pewny siebie, zawsze z siebie doskonale zadowolony i zarozumiały. Mały, okrągły, z okrągłym brzuszkiem, na krótkich nóżkach, którymi przy chodzeniu stawia drobniutkie kroczki, błyszczący, uśmiechnięty, zadowolony ze siebie, bardzo dbały o swoją osóbkę, którą lubi pieścić i której dogadza bardzo, czyni wrażenie egoisty, sobka i człowieka, którego praca w gruncie rzeczy mało obchodzi. Lubi o wszystkim wiedzieć, wszystkich znać, być w kursie wszystkich spraw publicznych i prywatnych, wielkich i małych, i mieć takie zdanie, które jest w chwili bieżącej popularne. Takie na mnie czyni wrażenie. Oczywiście, że ta płytkość uwydatnia się i w jego czynnościach sędziowskich. A zdaje mi się, że nie lubiłby jednak przyjmować wskazówek od kogoś

[541] Związek Szaulisów (Związek Strzelecki; Šaulių sąjunga; Lietuvos šiaulių sąjunga), paramilitarna organizacja podległa litewskiemu Ministerstwu Obrony, działająca w latach 1919-1940.
[542] W Litwie w ramach mobilizacji społeczeństwa w obronie przed możliwą ofensywą gen. L. Żeligowskiego powołano 26 X 1920 r. rozbudowaną organizację społeczną pod nazwą Najwyższy Komitet Obrony Litwy (Vyriausias Lietuvos gynimo komitetas). Na czele jej stanął M. Šleževičius.

bardziej doświadczonego. Sędzią pokoju w Ucianie jest Żyd, były adwokat prywatny w Jeziorosach, Berman. Po litewsku nie mówi, tylko rozumie. Jest to wielką wadą, zwłaszcza tu, gdzie ludność jest jednolicie litewska. Skądinąd zdaje się, że to człowiek myślący poważnie i wcale niezły sędzia. Przynajmniej sprawia wrażenie, że zna przepisy prawa i że umie zachować takt.

20 maja, rok 1921, piątek
Drugi dzień sesji w Ucianie. Dziś posiedzenie trwało cokolwiek dłużej; skończyło się koło godz. 4 po południu. Choć uległo odroczeniu więcej spraw, niż wczoraj, ale za to jedna sprawa pociągnęła się parę godzin i ona to spowodowała zwłokę. Była to jedna z kategorii tych przykrych spraw, które dotyczą stosunków dworskich. Sprawy tej kategorii są bardzo przykre dlatego, że dwory, do których liczby zaliczone są majątki liczące ponad 70, ewentualnie w pewnych wypadkach – ponad 100 dziesięcin ziemi, są z mocy całego szeregu ustaw przechodnich, stanowiących wstęp do reformy agrarnej i przepojonych jej duchem niechęci do dworu oraz jej tendencją do przyspieszenia upadku dworów, wyjęte spod prawa normalnego, regulującego ogólne stosunki cywilne ludności. Szczególnie to jest dotkliwe w stosunkach dworu z dzierżawcami, z parobkami, w stosunkach sprzedaży, posiadania, użytkowania itd. Z tych ustaw wyjątkowych, czyniących dwór czymś w rodzaju zwierzęcia szczutego, którego otacza zgraja chciwych jego skóry myśliwych, by chwilę jego upadku przyspieszyć, korzystają skwapliwie wszystkie męty próżniacze z ludu, które powołują się niby na obronę przed „wyzyskiem” dworu, a w istocie wyzyskują same najczynniej stworzony dla nich tymi ustawami przywilej. Nie byłem nigdy w mym życiu adoratorem roli dworów w ich stosunkach z robotnikami i w ogóle chłopami, byłem zawsze rzecznikiem obrony ludu, zawsze stronę chłopską trzymałem, ale bo dawniej dwór miał przywilej społeczny i prawny i on był w tych stosunkach czynnikiem wykonywającym wyzysk. Przyznam się, że jednak teraz, gdy role się zmieniły, dwór w tych stosunkach budzi we mnie teraz przeważnie współczucie. Bo mój instynkt sprawiedliwości pozostał bez zmiany i rola kata, stosującego tortury do pokonanej i skrępowanej ofiary i szczującego instynkty chciwości i zemsty względem strony, która dużo ma wprawdzie win w przeszłości i którą może Nemezis dziejowa zasłużoną dotknęła karą, nie jest rolą szlachetną i nie może mi dawać zadowolenia. Kto wie nawet, czy nie moralniejsza jest metoda bolszewików, która wprost uderzyła i zniszczyła dwory oraz burżuazję, niż metoda tego legalizmu zemsty i systematycznego szczucia, metoda powolnego, ale wytrwałego gnębienia pod obłudną maską prawa i sprawiedliwości oraz rzekomego równouprawnienia obywatelskiego, jaka się praktykuje w młodych państwach chłopskich, lawirujących między bolszewizmem a tchórzostwem burżuazyjnym, schlebiającym pospolitym instynktom chciwości tłumów i próbującym wykonywać jakąś ekwilibrystykę między rewolucją a ustrojem burżuazyjnym. Mój instynkt sprawiedliwości gra we mnie zawsze, współczuję każdemu, kto jest prześladowany, choćby to był wczorajszy prześladowca. Już jeżeli uderzać – to właśnie szybko i zadać cios wyraźny, mocny, ale nie dręczyć i piec na wolnym ogniu, ubierając to w legalizm i sprawiedliwość formalną. Może nawet reforma agrarna w postaci projektowanej przez prądy chłopskie jest potrzebna – choć mam co do tego wątpliwości istotne i może być ona nawet sprawiedliwą materialnie, ale nie można ją pozorować w sprawiedliwość formalną, bo wymaga formalnie gwałtu, a nie pozorów jakiegoś sprawiedliwego legalizmu, który maskuje powolną torturę. Szczególnie zaś dla mnie moralnie jest przykre to szczucie masowe, ten tłum drapieżny naganiaczy i triumfatorów widowiska, którego ryk i śmiech towarzyszy mękom gnębienia wczorajszego tej masy panka i choćby nawet ciemiężcy. Ten widok boli mię moralnie. Zaś jeszcze bardziej, niż tłumu

krwiożerczego, lecz przynajmniej szczerego namiętnością, nie znoszę tych licznych wygodnisiów i filistrów, którzy szczują, nie mając sami wiary ani fanatyzmu, ani namiętności tłumu, jeno w celu dogodzenia modnym zachciankom jaśnie wielmożnego motłochu, stanowiącego potęgę królewską współczesną.

21 maja, rok 1921, sobota
Dzisiejsze posiedzenie sądowe trwało dłużej, bo do godziny mniej więcej 7 wieczorem. Ale było ono przyjemne, bo robota szła dobrze, sprawy były urozmaicone i miałem dobre usposobienie do pracy. Usposobienie zaś ma duży wpływ na pracę sędziowską. Człowiek nie jest nigdy automatem i nawet taka praca czysto myślowa, oparta nade wszystko na logice, nie jest wolna od zmiennych sędziego usposobień. Sędzia powinien być człowiekiem zrównoważonym; ja nim jestem, ale nie ma człowieka tak zrównoważonego, aby był zupełnie wolny od zmian w stanie psychicznym. Dziś był jeden z lepszych pod tym względem dni, kiedy dobre usposobienie czyniło umysł przejrzystym i jego pracę ścisłą i szybko ogarniającą każde zagadnienie. Toteż „diagnozy" prawne i wyroki były trafne, co zawsze sam sędzia w kryterium własnego sumienia wyczuwa dokładnie – przynajmniej sędzia umiejętny i rozumny.
Pośród spraw posiedzenia dzisiejszego była sprawa Butlera, właściciela majątku Podhaje, który żądał usunięcia parobka nie spełniającego zobowiązań. Referat tej sprawy należał do mnie. Czytając ją wczoraj, domyśliłem się od razu, że to musi być ten sam Butler, który był przez szereg lat rządcą u Babuni Zuzanny Tukałłowej[543] i którego znałem dobrze z Kasuty; pamiętałem, że miał on własny majątek w Wiłkomierskim. Jakoż okazał się tym samym Butlerem, tylko postarzał bardzo, schudł, skurczył się i posiwiał. Podczas przerwy w posiedzeniu przypomniałem się jemu. Choć znajomość nasza z Kasuty nie była żadnym stosunkiem bliskim, jednak miło mi było spotkać się tu z Butlerem i odświeżyć w pamięci te czasy bytności w Kasucie i wspomnienia z nimi związane z pierwszych lat wieku bieżącego.
Byliśmy – my, to znaczy trzej sędziowie okręgowi i nasz sekretarz – zaproszeni dziś na obiad do notariusza Bolesława Urbanowicza (imiennik i bliski krewny innego Bolesława Urbanowicza, byłego adwokata w Kownie, potem za czasów polskich prokuratora w Łomży, z którym współpracowałem, będąc tamże sędzią, a obecnie – również notariusza, jeno w Białymstoku w Polsce). Ani ja, ani Penkaitis, ani Burkiewicz nie jesteśmy amatorami proszonych obiadów podczas sesji sądowej; niepodobna jednak odmówić udziału w tych przyjęciach, czynionych specjalnie z naszej racji, bo to by obrażało proszących, a zdawałoby się, że u sądowników przyjąć obiad łatwiej, niż u kogoś innego, bo stosunek ma pewne cechy koleżeństwa. U notariusza więc i u sędziego pokoju, który ma nas zaprosić w poniedziałek, obiad przyjmujemy. Nic nie wiedzieliśmy jednak, że pan notariusz trudni się zarazem praktyką adwokacką, bo oto rano w pewnej sprawie wystąpił w charakterze pełnomocnika powoda. Było to dla nas przykre, ponieważ mieliśmy iść doń na obiad. Przegrał jednak swoją sprawę z kretesem, ale był o tyle taktowny, że ani wspomniał nam o sprawie potem.
Obiad u notariusza był doskonały, suty i smaczny, obficie skropiony dobrymi wódkami. Na obiedzie była prócz nas arystokracja urzędnicza Uciany – naczelnik powiatu, komendant miasta, prezes rady powiatowej, sędzia pokoju i sędzia śledczy.
Nie chciałbym być źle zrozumiany co do tematu wczorajszego. Serce moje nie zapałało nagłą miłością specjalnie do szlachty i obszarników i nie odwróciło się od ludu. Znam nasze ziemiaństwo aż nadto dobrze i nie wątpię, że gdyby tylko warunki polityczne się zmieniły na jego korzyść, pokazałoby ono natychmiast rogi swojej pychy i

---

[543] Zuzanna z Bohdanowiczów Tukałłowa (? – 1909), żona Mieczysława Tukałło (1817-1885), babka Michała Römera.

wyzyskiwałoby parobków i krzywdziło lud po dawnemu, dając jeszcze upust zemście. Aspiracjami społecznymi ziemian nie zachwycam się i za ich pogardę dla Litwy potępiam ich stanowczo, ale w tej chwili, w tych warunkach społeczno-politycznych, jakie są, są oni stroną upośledzoną i krzywdzoną, stroną prześladowaną zarówno społecznie, jak narodowo; i oto w zakresie tej krzywdy i tego prześladowania moje sympatie i współczucie towarzyszą im i mają skłonność do brania w obronę ich gwałconego prawa, tym bardziej, że widzę, iż z tego gwałtu korzysta rzetelnie nie lud przeważnie, nie interesy pracowitych biedaków, lecz głównie męty próżniacze rozmaitego łajdactwa, karierowiczostwa i pasożytnictwa, podszywające się pod patriotyzm lub pod hasła robotnicze i ludowe.

22 maja, rok 1921, niedziela
Czwarty dzień w Ucianie. Dzień bezrobocia świątecznego – wypoczynek niedzielny. Gdyby to w Kownie, w domu, to bezrobocie urzędowe jest przyjemne, bo można zeń skorzystać swobodnie, bądź dla własnej pracy, stosownie do chęci i potrzeby, bądź na wypoczynek istotny. Ale na tych sesjach wyjazdowych człowiek nie ma swego domu, nie ma poczucia, że jest „u siebie", a czuje się natomiast jak na jakimś popasie, gorzej nawet – jak w klatce. Taki dzień przymusowego bezrobocia jest wtedy nudny nieznośnie i pusty. Największą jeszcze rozrywką sesji, przynajmniej dla mnie, jest właściwa, codzienna praca sędziowska, czyli sam proces sądzenia, a więc posiedzenia sądowe. Poza tym dzień jest jałowy.
Nie znoszę takiego przesiadywania po obcych kątach, spędzania całych tygodni w jakimś przygodnym miejscu pobytu. W jednym tylko wypadku to lubię – gdy jestem w podróży, gdy się oddaję swobodnej włóczędze; ale też wtedy człowiek ma specjalną psychologię podróży – poznawania, zbierania wrażeń, a zresztą poczucia swobody ruchów.
Jadąc tu myślałem kontynuować wolnym czasem moją pracę o stronnictwach politycznych litewskich. Czasu wolnego mam dosyć, ale o rzetelnej pracy, wymagającej skupienia, ani marzyć nie mogę. Po prostu nie umiem tak na poczekaniu pracować. Ani tu stołu nie mam wygodnego, ani usposobienia, ani wszystkich warunków normalnego trybu życia. Nie mogę narzekać – ulokowany jestem wygodnie. Pokój mam duży i dobry (tylko łóżko marne ), gospodarze mieszkania – ludzie bardzo przyjemni, gościnni, grzeczni. Ale czuję się jak na popasie – i basta. Zwiedzałem Ucianę, raczej jej okolice, które dokoła miasta poznałem nieźle. Położenie i widoki przeciętne. Jest parę małych jeziorek, rzeczka, strumyków i źródełek kilka, są wzgórza i bagna, są, a raczej jest lasek nędzny przy stacji kolejowej. Co najwięcej ożywia Ucianę, to wielka szosa idąca z Kowna na Dyneburg, która jest właściwie odcinkiem szosy Warszawa-Petersburg. Szosa ta wkracza z Polski na terytorium Litwy między Suwałkami a Kalwarią i wychodzi z Litwy do Łotwy między Jeziorosami a Dyneburgiem. Czego zaś w Ucianie i dokoła jest moc ogromna, wprost zdumiewająca, to słowików, które w dzień i w noc nucą i muzyką swoją napełniają powietrze. Jest też dwór wielki, noszący także nazwę Uciany, należący do Bolcewiczów. Ponieważ właściciel, pan Bolcewicz, jest nieobecny w kraju, przeto na zasadzie przepisów prawa zeszłorocznego majątek jest wzięty w tzw. opiekę państwową za wyjątkiem 1/14 części w ilości stu kilkudziesięciu dziesięcin, zostawionych siostrze właściciela, pani Bolcewiczowej (Bolcewiczównej z domu ) jako jej scheda, ponieważ ona jest na miejscu. Majątek zaniedbany, wyjałowiony, pól większość leży odłogiem. We dworze, pięknym i wielkim, dewastacja i nędza. Pałac zajęty na koszary żołnierskie, pusty wewnątrz i przez żołnierzy zdewastowany. W dziedzińcu, na folwarku, w podwórzach dworu, w ogrodzie i rodzaju

parku – smutne zaniedbanie rzeczy chorej i umierającej. Jest to rozkład organizmu gospodarczego, destrukcja warsztatu, zmierzch dworu.
Światek urzędniczy powiatowej Uciany – nieciekawy i poziom jego, jak się zdaje, niewysoki bardzo. W Litwie, której brak wielki sił inteligenckich, wszystko, co w sferze tych sił jest żywsze, zdolniejsze, dorastające poziomu kultury wyższej, wypompowuje się przez Kowno, a na prowincji sfera urzędnicza, nie wyłączając wyższych jej elementów, zaledwie jest godna miana półinteligencji. Doktor, aptekarz, księża zupełniają mały światek „inteligencji" urzędniczej. Musi tu być monotonnie i pusto mieszkać w takiej dziurze w światku urzędniczym.

23 maja, rok 1921, poniedziałek
Na posiedzeniu dzisiejszym mieliśmy aż cztery sprawy o alimenty, poszukiwane przez matki na domniemanych ojcach na utrzymanie dzieci nieślubnych. W trzech wypadkach matkami były młode dziewczęta, w jednym kobieta w średnim wieku, mężatka, sekundowana przez prawowitego małżonka, dochodząca ojcostwa dziecka na starym mężczyźnie. W sobotę też mieliśmy jedną sprawę o to samo. Z obfitości tej kategorii spraw można wnosić, że okolice Uciany starają się gorliwie o przysporzenie Litwie obywateli, zresztą nie bez czynnej w tym względzie pomocy niedawnych okupantów – Niemców, jak to się daje wywnioskować z różnych epizodycznych okoliczności tych spraw. Domniemani ojcowie, pociągani przez matki do odpowiedzialności, bronią się gorliwie i odsłaniają dużo drastycznych szczegółów ilustrujących dosadnie niedawne stosunki okupacyjne i homeryczne czyny żołnierzy i żandarmów niemieckich na polu miłostek z Litwinkami. Niemcy – panowie sytuacji – grasowali po wsiach litewskich jak paszowie tureccy, zrywając pełną ręką kwiaty dziewictwa nadobnych wieśniaczek i orząc pod siew krwi germańskiej wdzięczne ciałka skromnych Litwinek. Wybierali się na przykład z aparatem fotograficznym na wyprawy do wiosek po złote runo ciała dziewczęcego, wabili nadobne Werusie i Karusie, fotografowali się z nimi, nawiązywali stosuneczki przyjaźni, ściągali je potem do siebie rozdawnictwem takich poszukiwanych w tym czasie towarów, jak mydło, cukier, trzewiki, płótno, ozdoby – i zdobywali kochanki. Dziś te mateczki poszukują ojców dla swych dziatek pośród bogatych chłopców gospodarskich, którzy zapewne także korzystali na uboczu z wyłomów i furtek, uczynionych w dziewczątkach przez Niemców. Sprawy dziś były na ogół łatwe. Sesja skończyła się o godz. 3. Po sesji udaliśmy się na obiad do sędziego pokoju Bermana, który nas do siebie zaprosił. Na obiedzie znów byli wszyscy ci sami, co w sobotę u notariusza, z dodatkiem jeszcze lekarza powiatowego, dr Svilasa[544], człowieka bardzo miłego i kulturalnego. Były naturalnie obfite i dobre wódki, w ich liczbie też krupnik doskonały, świetne też rozmaite ryby, przyrządzone po żydowsku. Byliśmy po tych trunkach i jadle pełni jak bąki, gdy się opiją krwi. Swoją drogą, choć te obiady mogą być przyjemne (co prawda – trochę zanadto obfite ), są one jednak krępujące. Wszak taki obiad, na osób 10-12, ze względu zwłaszcza na wódki, musi kosztować co najmniej z 500 marek. Zważywszy, że sędzia pokoju pobiera miesięcznie koło półtora tysiąca marek pensji i że sesje wyjazdowe Sądu Okręgowego wypadają czasem w Ucianie co miesiąc, trzeba stwierdzić, że około trzeciej części szczupłej pensji sędziowskiej wychodzi na przyjęcie panów sędziów okręgowych. To trochę za uciążliwa powinność towarzyska, której nam, gościom, zaiste przyjemniej byłoby uniknąć.
Wieczorem na spacerze udałem się szosą w kierunku, w którym dotąd nie chodziłem, mianowicie w kierunku jezioroskim i w końcu miasta natrafiłem na bardzo pięknie urządzony, monumentalny cmentarz wojenny niemiecki, który będzie tu nie tylko

[544] Povilas Svilas (1890-1941 ?), lekarz w Ucianie.

trwałą pamiątką Wielkiej Wojny, ale i ozdobą Uciany. Jest też w Ucianie przy szosie, koło spustoszonej cerkiewki prawosławnej, postument pomnika cara Aleksandra II, stereotypowego, jak całe mnóstwo takichże, postawionych w r. 1911 po wsiach w pięćdziesiątą rocznicę zniesienia pańszczyzny. Pomniczki te były wystawiane niby to przez gminy, jako odruch wdzięczności włościan, w istocie zaś środki na nie były od gmin wymuszane gorliwością urzędników carskich. Popiersie cara już strącone z postumentu – podobno leży gdzieś w pobliżu zakopane. Na postumencie z jednej strony nadpis o „wdzięczności" gminy uciańskiej i wiżuńskiej dla „swego" cesarza, z drugiej cytata z manifestu carskiego z dnia 19 II 1861 r. – o ironio – zaczynająca się od słów: „*Осени себя крестнымъ знаменіемъ православный народъ*..."[545]. Katolicki chłop litewski w „dobrowolnym" wyrazie uczuć wdzięczności i hołdu „wybrał" cytatę słów cara, odwołujących się do „prawosławnego" ludu! Co za wstrętne kłamstwo, jakie chamstwo w tym czynowniczym manifestowaniu fałszowanych „odruchów" katolickiego ludu Litwy.

24 maja, rok 1921, wtorek
Żałuję bardzo, że dopiero dziś dowiedziałem się o dwóch starożytnych górach warownych, z pewnością pilkalniach[546], które są w pobliżu Uciany, w odległości koło 5 wiorst, w pobliżu gościńca malackiego, gdzie niegdyś stała pono pierwotna Uciana. Gdybym o nich wiedział wcześniej, byłbym, korzystając z niedzieli, je zwiedził. Z nich jedna ma być szczególnie duża, druga w pobliżu – mniejsza. Podanie łączy te góry, w szczególności większą, z zamkiem księcia litewskiego Utenasa, który miał tu panować udzielnie nad rozległą dzielnicą kraju około wieku XIII, założył Ucianę ( po litewsku „Utena") i nazwał ją swoim imieniem[547]. Oczywiście do gór tych przywiązany jest cały szereg podań o skarbach i broni zakopanej, o lochach podziemnych itd., jak do każdej pilkalni. Pod pilkalnią ma być źródło niezwykłe, którego woda ma smak doskonały – podobno ma przypominać smak mleka. Uciana musiała być niegdyś znacznym miastem w Litwie, stolicą księstwa. O rozległości tej dzielnicy mieszkańcy tutejsi wnoszą z nazw pochodnych od Uciany, przywiązanych do pewnych miejscowości w jej promieniu. Jest jedna wieś czy osada pod nazwą „Utenelė" gdzieś w kierunku Malat, druga tej samej nazwy – w kierunku Jezioros. „Utenelė" jest nazwą pochodną od „Utena", jej zdrobnieniem; musiały to więc być zapewne kolonie pierwotne Uciany, jej rozkrzewienia, jej osadnictwo na kresach. Ciekawy też jest ruczaj, który się już z biegiem wieków zabagnił i dziś jest zaledwie śladem ruczaju, wodościekiem bagnistym, pod nazwą „Kraujo Upelis" („Strumień Krwi", dosłownie – „Rzeczka Krwi" ), wpadający do jeziorka położonego w pobliżu drogi na Użpole pod Ucianą. Podanie głosi, że niegdyś przed wiekami była tu rzeczka, nad którą Litwini stoczyli krwawą, dwudniową bitwę z Krzyżakami i odnieśli zwycięstwo. Ilość zabitych była tak wielka, że wody strumienia zabarwiły się krwią i przez dwa dni barwiły się posoką trupów. Ciekawe wreszcie jest sąsiednie starożytne miasteczko Użpole o 16 wiorst od Uciany, obecnie nędzne, położone na uboczu, ale niegdyś znane, posiadające nawet herb własny[548]. W Użpolach jest źródło, uchodzące za cudowne. Ma być tam przy źródle

---

[545] „*Осени себя ...*" – „Przeżegnaj się znakiem krzyża, prawosławny narodzie". Fragment jednego z końcowych zdań manifestu Aleksandra II z 19 lutego (3 marca) 1861 r.
[546] Pilkalnie – grodziska litewskie.
[547] Postać legendarnego litewskiego księcia Utenesa z latopisów litewsko-ruskich trafiła do *Kroniki polskiej, litewskiej i wszystkiej Żmudzi* Macieja Stryjkowskiego (1582), a za nią do późniejszej historiografii i literatury pięknej.
[548] Użpole (Uszpol; lit. Užpaliai), miateczko na północ od Uciany. Miejscowość (gród) znana w źródłach od XIV w. Herb otrzymało miasteczko dopiero w 1792 r. od króla Stanisława Augusta, ale utraciło go

gaik czy grupa drzew pod nazwą, zdaje się, „Krakuła”, stanowiący podobno resztkę starożytnego gaju świętego Litwinów z czasów pogańskich. Obecnie przy źródle zbudowana jest kapliczka i w wielki odpust Bożego Ciała w Użpolu, który właśnie wczoraj miał miejsce, odbywają się przy udziale tysięcy pobożnego ludu święcenia źródła. Woda źródła ma mieć własności lecznicze cudowne, zwłaszcza na oczy, ale zresztą na różne inne cierpienia ludzkie. Jej skutek jest zresztą błogosławiony dla wszystkiego, czego się dotknie. Lud skrapia tą wodą zboże, płody wszelkie, len. Dawniej tradycja zabraniała używania tej wody ze źródła przez cały rok, prócz jednego dnia Bożego Ciała. Teraz podobno ludzie już zakazu tego nie przestrzegają.
Ostatni mój dziś dzień w Ucianie. Mam dla niej szczególną sympatię i choć w ogóle sesji wyjazdowych nie lubię, w tym wypadku czułem się tu dobrze i wywożę o Ucianie wspomnienia przyjemne. Przyczyniło się do tego może głównie to, że poza posiedzeniami sądowymi, które zresztą także były przyjemne, korzystałem z przechadzek, czułem się tu na wsi i że poza tym miałem miłe towarzystwo mego gospodarza mieszkania, Żadejki i jego siostry. Uciana z jej okolicą i ludnością zrobiła na mnie wrażenie czegoś bardzo swojskiego. Uciana niczym się nie różni od moich rodzinnych stron rakiskich, odległych od niej zresztą zaledwie o kilometrów 40-50; to samo narzecze, ten sam typ ludności, która tu jest czysto i jednolicie litewska.
Odbyło się dziś ostatnie posiedzenie sądowe tej sesji, mniej ciekawe od innych i dość długie, trwające do godz. 7 wieczorem z przerwą obiadową.
Miałem dziś tu gościa, Piotra Rosena, który wiedząc, że jestem w Ucianie, przyjechał tu specjalnie z Gaczan dla widzenia się ze mną. Naturalnie, nie ma karesu bez interesu. Jak wszyscy ziemianie, żyje on pod strachem zbliżającej się reformy agrarnej i realizacji ustawy o upaństwowieniu lasów i, jak wszyscy ziemianie, rzuca się w ostatniej chwili do ratowania majątku przez jakieś akty przekazu cząstek własności. Wpierw ziemianie długo żyli nadzieją jakiejś przemiany politycznej, ewentualnie – inwazji polskiej, ale wreszcie widzą, że wszystko zawodzi i że reforma agrarna nieubłaganie się zbliża, toteż rzucili się do ratowania dóbr, jak się da. Nie wszyscy mają tak wyjątkowo legalną okazję do spadkowego podziału majątku, jak my w Bohdaniszkach lub Komorowscy w Kowaliszkach. Ci, co jej nie mają, próbują dokonywać wydziałów na żony lub dzieci albo sporządzać akty fikcyjnych sprzedaży cząstek majątku i lasu, antydatowane datami od r. 1915 do 1918, opierając się na ustawie, która pozwala uprawniać akty sprzedaży, uczynione prywatnie w czasie okupacji, kiedy instytucje notarialne nie działały w kraju, o ile tylko akt był zaświadczony przez osobę pełniącą jakieś funkcje społeczne. Rolę takiej osoby zwykle spełniał ksiądz. O ile akt jest antydatowany, trzeba znaleźć księdza, który zechce dać swój podpis. Rosen jednak był o tyle przewidujący, że w swoim czasie poczynił takie akty, unikając konieczności antydatowania ich obecnie. Zdaje się, że aktami tymi osłoni Gaczany od reformy. Przyjechał radzić się ze mną o uprawnieniu tych aktów.
Wyjeżdżamy z Uciany dziś o północy.

25 maja, rok 1921, środa
Wyjechaliśmy z sędziami Penkaitisem i Burkiewiczem oraz sekretarzem z Uciany wczoraj o północy. Słowiki, w które Uciana obfituje tak, jak wyspy jeziora trockiego, żegnały nas muzyką swych namiętnych trelów w lasku przy stacji kolejowej. Noc była bardzo zimna. Miejsca w wagonikach wąskotorówki było mało. Trzeba było drzemać siedząc lub podpierając się łokciami. Toteż zmęczony byłem po tej nocy niewyspanej w podróży. Od wschodu słońca, który nas zastał w Traszkunach, już nie spałem. O godz. 7

---

wraz z prawami samorządowymi jeszcze w tym samym roku, zob. E. Rimša, *Lietuvos Didžiosios Kunigaikštystės miestų antspaudai*, Vilnius 1999, s. 552.

rano przyjechaliśmy do Poniewieża. Za półtorej godziny ruszyliśmy już stamtąd dalej, na Radziwiliszki do Kowna, dokąd przyjechaliśmy około godz. 6 wieczorem. W drodze spotkałem wielu znajomych: pułkownika Głowackiego, znanego mi z r. 1919 z Bohdaniszek, Julka Komorowskiego, posłów Adolfa Grajewskiego, Makowskiego i Balysa. Od posła Makowskiego dowiedziałem się, że w tych dniach ludowcy litewscy w Kownie otrzymali z Wilna od zarządu „Odrodzenia" zawiadomienie, że delegaci wileńscy „Odrodzenia", demokratów i pepeesowców chcą przyjechać do Kowna i zapytują, kiedy to mogą uskutecznić. Na to ludowcy odpowiedzieli, że w tej chwili byłoby to niedogodne, bo są zajęci kampanią wyborczą do samorządów, proszą zatem o odroczenie przyjazdu Wilnian. Tak oto ta rozpoczęta w lutym społeczna akcja porozumiewawcza między Kownem a Wilnem wciąż się dla różnych przyczyn zwleka. Ponieważ jednak w tej społecznej akcji porozumiewawczej obie strony bawią się w dyplomację i zamiast traktować szczerze metodę bezpośredniego porozumienia społecznego jako rzeczywistą drogę do układu współżycia, formującą, że tak powiem, bieg polityki państwowej kowieńskiej i warszawskiej w sprawie wileńskiej, traktują ją raczej jako materiał niesamodzielny i służący jeno daniu pewnych atutów dyplomacji litewskiej względnie polskiej, więc obie strony prowadzą tę akcję niezupełnie szczerze i w każdym razie bez wiary w jej skuteczność samodzielną. Stąd zwłoka i ociąganie się jednych i drugich. Sprawa bowiem dziś stanęła na gruncie rozwiązania międzynarodowego w Brukseli i ani Litwini, ani Polacy wileńscy nie chcą działaniem na własną rękę utrudniać rządowi litewskiemu, względnie polskiemu, swobodę decyzji w Brukseli. Stąd też akcja społeczna stoi na planie drugorzędnym i może mieć na razie cechy co najwyżej pomocnicze dla akcji prowadzonej przez państwa.
Mój kolega i jeden z towarzyszy sesji ucianskiej, sędzia Penkaitis, im bardziej go poznaję, tym coraz mniej mi się podoba. Nie jest to człowiek dzielny i człowiek charakteru, jakim go być sądziłem, wnosząc z jego biografii. Jest to człowiek na wskroś małostkowy, zarozumiały i egoistycznie zakochany w sobie. Jest to człowiek frazesu zdawkowego, w który, zdaje się, sam w istocie nie wierzy. Należy on do tych licznych teraz w kraju – frazesu patriotycznego kreatur, które głośnym wrzaskiem gorliwości patriotycznej pokrywają nicość własnego uczucia i zupełną w istocie obojętność na wszelkie sprawy publiczne, byle im było wygodnie. Frazes patriotyczny jest dla nich liczmanem własnej kariery, narzędziem, przy którego pomocy rozpychają się łokciami i zdobywają wygodny dla swej kariery i dobrobytu patent „patrioty". Jest to typ wstrętny dla mnie, ale liczny bardzo zawsze i wszędzie, a w obecnych czasach w kraju w szczególności. Brzydzę się tym rewolwerowym, krzykliwym patriotyzmem, który jest zazwyczaj pospolitą osłoną pustki i brudu nicości moralnej. Natomiast coraz bardziej cenię młodego sędziego Burkiewicza.

26 maja, rok 1921, czwartek
Przy ślicznej pogodzie odbyła się tradycyjna procesja Bożego Ciała, której przyglądałem się na Laisvės Alei. Nie na rękę mi jest ten dzień świąteczny, bo przed wyjazdem na wakacje miałbym dużo roboty, która wiąże się z instytucjami i urzędami publicznymi. Z powodu zamknięcia tychże ze względu na święto dzisiejsze jest to dzień dla mnie zmarnowany.
Z konferencji w Brukseli wieści są wciąż skąpe. W prasie zagranicznej dużo się pisze o kombinacjach federacyjnych Polski z Litwą, wysuwanych w Brukseli przez Polskę. Prasa litewska z urzędówką „Lietuvą" na czele wykazuje niemożliwość federacji i traktuje te żądania polskie jak zamach na niepodległość Litwy. Czy się o to układy rozbiją, nie wiadomo, ale tymczasem konferencja trwa i mam wrażenie, że jednak poza urzędowymi rokowaniami toczą się i próbują układać rozmaite kombinacje zakulisowe

w poszukiwaniu możliwego dla obu stron wyjścia z sytuacji. Warunkiem tych wszystkich kombinacji jest oczywiście zawsze oddanie Wilna Litwie, do czego w zasadzie wszyscy bodaj pośrednicy europejscy się skłaniają. Chodzi tylko o to, za jaką cenę ten warunek ma być spełniony. Mam wrażenie, że przyznanie Wilnu praw kantonalnych w Litwie już zasadniczych przeszkód ze strony Litwinów nie napotka i że ta rzecz jest już niemal przesądzona, o ile w ogóle Wilno wróci do Litwy. Kwestia stosunku Litwy do Polski jest zagadnieniem trudniejszym, ale przypuszczam, że i tu się mogą znaleźć formuły możliwe do przyjęcia. Jeżeli tylko mię moje domysły nie unoszą za daleko i nie mylą, to bardzo charakterystycznym pod tym względem i zastanawiającym jest epizod niedawnej podróży ministra Puryckiego do Rygi i Rewla[549]. Purycki jeździł tam dla nawiązania konkretnych układów na rzecz Związku Bałtyckiego Litwy z Łotwą i Estonią. Po powrocie Puryckiego było ogłoszone, że sprawa utworzenia tego związku weszła już na tory konkretne i że z Łotwą podpisano już kilka ważnych w tym względzie umów i są nadzieje, że wkrótce Estonia też się do nich przyłączy, a czynione są nawet zabiegi o Finlandię. Umowy z Łotwą na rzecz Związku Bałtyckiego nie zostały ogłoszone, ale urzędowo zaznaczone zostało, że do głównych zadań związku należeć ma wspólna konwencja wojskowa i uzgodnienie polityki zagranicznej państw związkowych. Zważywszy, że kombinacje federacyjne z Litwą, wysuwane przez Polskę, dotyczą głównie także konwencji wojskowej i wspólnej polityki zagranicznej i że minister Purycki oświadczył urzędowo w Sejmie, że Litwa, nie mogąc się w żadnym razie zgodzić na federację z Polską ani nawet na konwencję wojskową z samą Polską, może jednak zaakceptować konwencję wojskową całego Związku Bałtyckiego włącznie z Polską, dochodzę do wniosku, że usiłowania Puryckiego w Rydze i Rewlu zmierzają do wytworzenia pewnych możliwości układu litewsko-polskiego przez Związek Bałtycki i przygotowują grunt dla Brukseli. Tak więc sprawa wileńska jest dopiero w stadium preparowania jej w laboratoriach dyplomatycznych, ale za beznadziejną jej nie uważam. Wiąże się też ona ze skomplikowaną sprawą górnośląską, która przez „powstanie" polskie zainscenizowane przez Korfantego[550] wprowadziła duży zamęt w stosunki międzynarodowe.

27 maja, rok 1921, piątek
Dziś wreszcie zobaczyłem się z Zygmuntem Žemaitisem, następcą po Wacławie Biržišce na stanowisku kierownika Komisji dla Spraw Litwy Wschodniej i zarazem redaktora „Litwy". Rozmówiłem się z nim w sprawie wydania mojej pracy o stronnictwach politycznych litewskich, którą przyrzekłem mu wykończyć w połowie czerwca, to znaczy już podczas wakacji, i przysłać mu do druku rękopis z Bohdaniszek. W tej kwestii obawiam się tylko jednej rzeczy – aby mianowicie mój rękopis nie był przy kwalifikowaniu go do druku rozpoznawany ze stanowiska potrzeb propagandy i agitacji litewskiej w Wileńszczyźnie i aby nie żądano poprawek w rękopisie stosownie do tej skali. Pracę tę bowiem chcę traktować jako analizę przedmiotową, wolną od wszelkiej tendencji agitacyjnej, jako po prostu studium i nic więcej. W samej informacyjnej wartości tej pracy może tkwić moment propagandowy sprawy litewskiej w Wileńszczyźnie, ale tylko w tym jednym; nie chcę żadnej tendencji, żadnego naciągania agitacyjnego. Mam nadzieję, że Žemaitis to zrozumie i nie zechce żądać ode mnie broszury agitacyjnej; zrozumie, że praca autora „Litwy", dzieło Michała Römera

[549] Minister spraw zagranicznych Litwy Juozas Purickis odbył oficjalne wizyty w Rydze i Tallinie w dniach od 30 IV do 12 V 1921 r. Wizyty nie przyniosły istotnych rezultatów.
[550] Wojciech Korfanty (1873-1939), polski polityk, działacz narodowy na Śląsku, 1903-1911 i 1918 poseł w Reichstagu, jeden z przywódców powstań śląskich.

nie może się zniżać do skali twórczości agitacyjnej i że musi być w nim uszanowana praca historyka i badacza zjawisk społecznych.
Gdym się widział z Žemaitisem w gabinecie Komisji, był tam także obecny drugi członek Komisji, młody Rozenbaum. Trzeciego członka Komisji, Konopackiego[551], nie ma. Od kilku tygodni bawi w Wilnie i mam wrażenie, że może wcale o powrocie do Komisji nie myśli. Žemaitis poruszył kwestię dalszego istnienia Komisji i ewentualnie jej zadań oraz działalności. Ja przemawiałem za rozwiązaniem Komisji jako takiej i za pozostawieniem tylko osobnej kancelarii czy biura pod kierunkiem jednego człowieka – Žemaitisa – dla utrzymania stałej łączności z Wilnem. Žemaitis i Rozenbaum byli jednak zdania, że Komisję należy zachować, przynajmniej do czasu, aż się przekonamy, że rzeczywiście jest ona nieużyteczna, po wypróbowaniu dróg ustalenia jej działalności. Tymczasem doszliśmy do wniosku, że najpilniejszym zadaniem jest stworzenie w samym Wilnie mocnego węzła międzynarodowościowego dla propagandy państwowej litewskiej tamże. Gdyby taki węzeł tam powstał, co jest bardzo ważne, rola naszej Komisji w Kownie sprowadzałaby się właściwie do obsługiwania potrzeb tego węzła, ustępując jemu inicjatywę. Gdyby się to dało zrobić w Wilnie, to obsługiwanie węzła wileńskiego akcji litewskiej byłoby oczywiście wskazane, ale czy do tego jest potrzebna specjalna Komisja, jak nasza, tego nie wiem. W każdym razie postanowiono zająć się utworzeniem w Wilnie organu łączącego akcję państwowo-litewską, prowadzoną tam w łonie różnych narodowości ich środkami społecznymi własnymi. Nie chodzi o stworzenie jakiejś nowej akcji, wskazanej z Kowna, jeno o skoordynowanie tego, co się tam robi w tym kierunku, o zszeregowanie sił społeczno-politycznych w Wilnie, tych sił, których akcja rozwija się w kierunku sprzyjającym państwowości litewskiej.

28 maja, rok 1921, sobota
Mój Boże, kiedyż ja wypocznę, kiedy będę mógł odetchnąć swobodnie w świadomości, że nic na mnie nie ciąży, że żadna robota nie woła o wykonanie! Oto nadchodzą wakacje moje, czas wypoczynku rocznego, czas, kiedy powinno się móc odetchnąć i nasycić spokojem zupełnym. A jednak czeka mię i na wakacjach praca i to niemała. Po pierwsze, muszę na wakacjach w Bohdaniszkach wykończyć nasz dział przez rozgraniczenie sched spadkowych w naturze, stosownie do aktu dzielczego. Robota ta, nie nazbyt trudna, ale pracowita, szczególnie przy wytykaniu linii granicznych w lesie, zajmie mi co najmniej dobrych dwa tygodnie czasu, a bodaj i więcej. Następnie trzeba zwołać arbitrów dla oszacowania rozgraniczonych sched i wyrównania ich wartości przez dopłaty. Robota ta sama przez się wystarczyłaby mi na wakacje. Jest ona zresztą przyjemna, zdrowa fizycznie i zupełnie odpowiednia dla wsi latem. Ale, niestety, mam oprócz tego na głowie pracę literacką – wykończenie mojego rękopisu o stronnictwach politycznych litewskich[552]. Dla wakacji, zwłaszcza przy tamtej robocie polowej rozgraniczania sched, nie jest ona odpowiednią. Czuję, że będzie mię ona męczyła i nie jestem pewny, czy jej podołam. Zmęczony fizycznie rozgraniczaniem sched w polu i lesie, będę musiał jeszcze i umysłowo pracować i nie czuć się wolnym, gdy wrócę z pola czy lasu. A pracy tej o stronnictwach pozostaje mi jeszcze dużo. Nie mogę jej dokończyć przed wyjazdem, bo, po pierwsze, czasu za mało, po wtóre, muszę jeszcze zebrać materiał co do poszczególnych stronnictw i wreszcie po trzecie – muszę jeszcze pokończyć opracowanie wszystkich moich niewykończonych wyroków sądowych, aby

[551] Hassan Amuratowicz Konopacki (Gasan Amuratovič Kanapacki; 1879-1953), wojskowy (1917 pułkownik), działacz białoruskiego ruchu narodowego, X 1919 – IV 1920 dowódca wojska białoruskiego walczącego po stronie polskiej w wojnie polsko-bolszewickiej, 1920-1921 członek Komisji do spraw Litwy Wschodniej.
[552] W istocie była to praca o charakterze publicystycznym, a nie literackim.

pod tym względem być przynajmniej czystym i wolnym. Praca literacka jest mi na czas tegorocznych wakacji bardzo nie na rękę. Gdybym nie miał nic innego, cieszyłbym się z niej nawet. Žemaitis chciał jeszcze, bym mu artykuły latem pisał, ale na to się już chyba nie zdobędę.
Wyjadę stąd na wakacje zapewne za tydzień w sobotę w dniu 4 czerwca. Pojadę do Bohdaniszek przez Kowaliszki. Na św. Jana, to znaczy na dzień 24 czerwca, zwołuję w Bohdaniszkach zjazd spadkobierców śp. Papy, względnie ich pełnomocników, z udziałem arbitrów. W Bohdaniszkach zabawię cały czerwiec. W początku lipca chcę zrobić małą wycieczkę po Niemnie – do Kłajpedy. Może i Połągę przy okazji zwiedzę. W połowie lipca – koniec wakacji.

29 maja, rok 1921, niedziela
Jestem chory, mam coś w rodzaju hiszpanki, którą się musiałem zarazić. Pierwsze objawy choroby spostrzegłem pozawczoraj, a wczoraj i dziś rozwinęły się już one znacznie. Przede wszystkim, mam jakiś ból reumatyczny w kościach, analogiczny do lumbago, z tą tylko różnicą, że ogarnia górną część tułowia – klatkę piersiową, kość pacierzową u osady szyi, ramiona, plecy. Do tego dochodzi wolność żołądka, szum w głowie, łamanie ogólne w kościach, lekki stan gorączkowy. Byle tylko przeszło do wyjazdu. Dziwna rzecz, że taka choroba chwyciła mię nagle w pełnym lecie, w samym rozwoju upałów. Dziś było gorąco jak w piekle. Nie piszę więcej, bom chory.

30 maja, rok 1921, poniedziałek
Już dzisiaj zdrowszy jestem. Wprawdzie niezupełnie jeszcze, ale już różnica z dniem wczorajszym wielka. Aspiryna i rycyna wczorajsze pomogły. Trochę mię dziś tylko gardło boli i kaszel jest ciężki, ale za to pod innymi względami lepiej.
Jestem teraz bardzo zajęty, bo przed wyjazdem likwiduję różne prace, aby móc swobodnie wyjechać. Oprócz licznych sprawunków przedwakacyjnych, których załatwianie odkładam na ostatnie dni – tym bardziej, że w tej chwili i pieniędzy nie mam – mam tu głównie w dwóch pracach dużo roboty przed wyjazdem. Pierwsza – to wykończenie wszystkich wyroków, aby żadnych zaległości nie zostawić. Z tego względu muszę teraz więcej dziennie pisać wyroków, niż w zwykłym czasie. Ale mi już niewiele zostało – tylko z sesji uciańskiej. Szczęśliwie się złożyło, że prezes nie wyznaczył mię na żadne posiedzenia po powrocie z Uciany, bo przybyłoby mi jeszcze kilka wyroków. Ponieważ jutro na posiedzenie nie jestem wyznaczony, więc już dzięki Bogu amen, bo pozajutro już się moje wakacje zaczynają.
Druga praca – to moja monografia o stronnictwach politycznych litewskich. Oczywiście o wykończeniu tej pracy przed wyjazdem nie ma mowy. Wykończony będę miał tylko wstęp historyczny obszerny i analizę dwóch stronnictw prawicy: „Pažangi" i „Žemdirbių Sąjungi". Co najwyżej może dotknę, ale nie skończę jeszcze Chrześcijańskiej Demokracji. Pozostanie mi więc jeszcze Chrześcijańska Demokracja z dwoma skrzydłami – „Ukininkų Sąjunga" i „Darbo Federacija" – dalej „Santara", Socjaliści-Ludowcy-Demokraci z „Valstiečių Sąjungą", Socjalna Demokracja Litwy, lewi albo rewolucyjni ludowcy i wreszcie komuniści. Ale przed wyjazdem muszę sobie przyszykować materiał do tej pracy, bo w Bohdaniszkach go nie znajdę. Dlatego muszę ciągle w tych dniach biegać, prosić rozmaite frakcje o ich programy i rezolucje, dokonywać „wywiadów" u biegłych polityków itp. Dziś wypadło mi w tym celu udać się na Aleksotę, a nawet na jej krańce nad Niemnem dla zobaczenia się z *leaderem* lewych ludowców Januszkiewiczem, byłym posłem litewskim do IV Dumy Państwowej w Rosji. Widzenie się było poufne, bo Januszkiewicz, jako *leader* stronnictwa nielegalnego, traktowanego w Litwie jako antypaństwowe i ściganego sądownie,

przebywa w Kownie konspiracyjnie, ukrywając się pod obcym nazwiskiem. Miejsce jego pobytu wskazał mi poufnie Kairys i dał mi kartkę do osoby, która mi ułatwi widzenie się z Januszkiewiczem. Januszkiewicza znalazłem i w dłuższej z nim rozmowie wybadałem kierunek i postulaty tego stronnictwa, politycznie bliskiego bolszewikom, dążącego również do systemu rad („sowietów") i dyktatury proletariatu, a raczej „darbo žmonių" – „ludu pracującego".

31 maja, rok 1921, wtorek
Dobrze mówi mądre przysłowie: „Nie mów: hop! aż przeskoczysz!". Powiedziałem wczoraj „hop!", pochwaliłem się, że mi się szczęśliwie trafiło nie być wyznaczonym na żadne posiedzenie sądowe przed nastaniem wakacji, aż oto masz tobie: o godz. 9 ½ rano wchodzi do mnie goniec sądowy, przynosi akta sprawy karnej i oświadcza, że to jest sprawa na dzisiejsze posiedzenie, którą mam referować. Gdy, zdumiony tak niezwykłym przysłaniem mi sprawy nawet nie w przeddzień, ale w sam dzień posiedzenia, tłumaczę gońcowi, że o posiedzeniu dzisiejszym nic nie wiem i że chyba zajść musiała pomyłka, goniec odpowiada, że sekretarz kazał mię przeprosić za późne przesłanie sprawy, co nastąpiło z winy wyznaczonego do obrony kandydata sądowego, który sprawę przetrzymał aż do dziś rano. I tak oto wbrew oczekiwaniom wypadło mi jeszcze przed wakacjami w ostatnim dniu uczestniczyć w posiedzeniu. Przewodniczył na posiedzeniu Oleka, do kompletu należeliśmy ja i Narutowicz. Okazało się, że wszyscy trzej otrzymaliśmy dopiero dziś tę niespodziankę – posiedzenie wraz z aktami spraw do referowania, toteż humory były nieświetne, szczególnie Oleki. W toku posiedzenia w każdej sprawie z kolei były jakieś klasyczne braki bądź śledztwa, bądź czynności prokuratury czy kancelarii sądowej itd., co wprawdzie jest, niestety, zjawiskiem powszednim u nas, ale za każdym razem może najcierpliwszego wyprowadzić z cierpliwości, bo prawdziwym skandalem są nie tyle te braki same przez się, ile to, że nasz prezes sądu nie tylko nic nie przedsiębierze w celu ich usunięcia, ale jeszcze przeciwstawia się wszelkim usiłowaniom reformy i uporządkowania stosunków przez zorganizowanie właściwego dozoru członków sądu nad ruchem spraw i czynnościami kancelarii. Oleka był zdenerwowany i wściekły. Skończyło się posiedzenie aż pod wieczór. Mnie się o tyle powiodło, że sprawa, w której byłem referentem, uległa odroczeniu, więc posiedzenie dzisiejsze nie przysporzyło mi wyroków do motywowania.
Ciekawe, co będzie z tej konferencji w Brukseli. Ostatnia jej faza polegała na tym, że gdy się Hymans przekonał, iż nie ma szans na pogodzenie różnic stanowiska polskiego i litewskiego, złożył obydwóm delegacjom swój własny projekt[553]. Projekt, a raczej propozycja Hymansa jest na razie poufna, ale już się główne jej zasady przedostały do wiadomości publicznej. W myśl tej propozycji, Wilno należy do Litwy (zapewne bez Grodna, ale z całym korytarzem dziśnieńsko-wilejskim, powiatem nowogródzkim i może częścią słonimskiego); Litwa składa się z dwóch kantonów – kowieńskiego (litewskiego) i wileńskiego (polskiego), językami równoległymi państwowymi są litewski i polski, Litwa z Polską zawierają ścisły związek, który wprawdzie nie jest federacją, ale bodaj czy nie ciąży do typu unii, bo „związek" ten realizuje się w ten sposób, że dla koordynacji polityki zagranicznej, wspólnej obrony wojennej i spraw gospodarczych obu państw tworzą się jedne specjalne organy mieszane polsko-litewskie, a wszelkie sprawy i nieporozumienia, wynikające na gruncie tych stosunków,

[553] Projekt przedstawiony przez P. Hymansa 20 V 1921 r. przewidywał zorganizowanie Litwy jako państwa federacyjnego, złożonego z dwóch kantonów, a zarazem ustanowienie między Polską a Litwą więzi państwowej typu konfederacyjnego. Zwany jest pierwszym projektem Hymansa (w odróżnieniu od kolejnego, złożonego przez belgijskiego dyplomatę 3 IX 1921 r.).

rozstrzyga Liga Narodów. Kombinacja jest skomplikowana i co prawda dość dziwaczna.
Jakie są perspektywy przyjęcia tej propozycji – trudno zgadnąć. Na razie była się ukazała depesza Elty o tym, że Litwa wyraziła zgodę na zasady Hymansa. Wszakże w dwa dni potem Elta ogłosiła odwołanie powyższej wiadomości, komunikując, że Litwa zgody nie wyraziła. W opinii publicznej litewskiej wielkie zaniepokojenie na skutek tych propozycji Hymansa. Litwini obawiają się, żeby Bruksela nie pochłonęła niepodległości Litwy. Ścisły „związek" z Polską tchnie zaanektowaniem Litwy, jeżeli nie wprost do państwa polskiego, to przynajmniej do sfery bezpośrednich wpływów polskich. Litwa weszłaby w orbitę polityki polskiej jako wasalka imperializmu mocarstwowego Polski.

1 czerwca, rok 1921, środa
Od dziś rozpoczęły się moje wakacje, ale jeszcze trzy dni zabawię w Kownie. Wyroki są już, już na ukończeniu, ostatnie wywiady z członkami stronnictw i gromadzenie programów tychże – skończone. Najwyższy czas wyjechać, bo upały są tak wściekłe, że już trudno w mieście wytrzymać. We dnie można się rozpłynąć w pocie; kamienie murów, chodników i bruku jak piec rozpalają gorące już od słońca powietrze. Świeżego powietrza, wiatru pól, chłodnego cienia lasu i kąpieli! Jest susza wielka, narzekanie powszechne na brak deszczu, obawa o urodzaje, zwłaszcza jarzyny.
Od kilku dni wyczuwało się przesilenie w konferencji brukselskiej. Była wiadomość o propozycjach Hymansa, które wszakże nie śpieszono publikować. Zaczęły przenikać do prasy jakby ukradkiem fragmenty tejże propozycji, była wiadomość o wyrażeniu przez Litwę zgody na nią, potem odwołanie tej wieści, od paru zaś dni pogłoski, że konferencja zerwana. W ogóle cały bieg konferencji był dość zagadkowy. Pisano o niej bardzo skąpo, opinia publiczna litewska stale jej nie ufała, opozycja prawicowa Smetony i Voldemarasa w dzienniku „Lietuvos Balsas" ostrzegała ciągle, że w Brukseli gotuje się grób dla niepodległości Litwy i że rząd wraz z delegacją brukselską są na drodze do ustępstw, które się nie dadzą z niepodległością pogodzić. Organy rządowo-sejmowe („Lietuva" i „Laisvė") broniły stanowiska rządu, gromiły opozycję prawicy jako skierowaną rzekomo tylko do siania zbytecznego niepokoju, nie zmieniały ani o jotę swego zwykłego tonu o Polsce i Polakach, pełnego niechęci i ukąszeń, ale o konferencji i perspektywach brukselskich rozwiązania sprawy wileńskiej przeważnie milczały dyplomatycznie. Gdy się już mniej więcej stała wiadomą propozycja Hymansa, „Lietuvos Balsas" uderzył w wielki, donośny dzwon na alarm. I opinia szeroka litewska, nawet ta, co „Lietuvos Balsasa" nie lubi za jego stanowisko społeczne i krytykę reformy rolnej itd. i gotowa mu nawet zarzucać intrygę antypaństwową, tym razem jednak okazała się niezwykle wrażliwa na alarm pisma. Zaczęto uświadamiać niebezpieczeństwo utraty niepodległości i to za cenę Wilna... kantonalnego, którego właściwie Litwa posiadać nie będzie. Gdzieniegdzie zapanowało już przygnębienie. Aż oto dziś w gazetach wieczornych ukazały się wiadomości o tym, że konferencja w Brukseli zerwana, że delegacja polska oświadczyła, że ponieważ projekt Hymansa przewiduje oddanie Wilna państwu litewskiemu zorganizowanemu kantonalnie, więc delegacja polska bez wyrażenia na to zgody przez przedstawicieli Wilna, to znaczy bez udziału tychże w rokowaniach, nie może na gruncie tego projektu rokować sama. Stąd źródła informacyjne litewskie czynią wniosek, że delegacja polska zrywa konferencję i że logicznym wyjściem jest rozjechanie się delegacji. Jak wieść o propozycji Hymansa i o możliwości przyjęcia jej przez Litwę, tak teraz wieść o zerwaniu konferencji wywołuje w Kownie różnego rodzaju zaniepokojenie. Zaczynają spodziewać się rychłego wypowiedzenia wojny. Skonsternowani są też Polacy w Kownie, bo

propozycja Hymansa, której z wielką uwagą się przysłuchiwali, budziła w nich dużą nadzieję. Jeżeli prawdą się okaże zerwanie konferencji – to cóż dalej ? Arbitraż. Ale jakiż może być arbitraż w sporze właściwie nie o granice, jeno o przyszły stosunek między dwoma państwami? Jakże zmuszać do formy stosunku?

2 czerwca, rok 1921, czwartek
Skwar taki sam. Już trudno wytrzymać. Ludzie chodzą w dzień na wpół przytomni. Za to wieczorem miasto ożywia się, bo każdy śpieszy opuścić duszne mieszkania dla chłodku wieczornego. Zresztą noce też są ciepłe, o temperaturze nieco ponad 20° Rèaumura.
Skończyłem już wszystkie wyroki, pożegnałem się z sądem. Jutro mam jeszcze trochę sprawunków i pakowanie się. Pojutrze wyjazd. Kupiłem dziś parę gołąbków, które zawiozę do Bohdaniszek i będę hodować, jak kiedyś w Kolnie. Imiona też będę dawać dawne kolneńskie, póki ich starczy. Ta pierwsza parka będzie się nazywała: „Sam” i „Łaferma”. Gołąbki nie są bardzo ładne. Obawiam się, czy tylko rzeczywiście jest to samczyk i samiczka.
Podług dzisiejszych wiadomości urzędowych z Ministerium Spraw Zagranicznych, konferencja w Brukseli jeszcze nie zerwana. Wisi jednak na włosku. Być może, że Hymans będzie szukał jeszcze kompromisu w kwestii, która się w tej chwili stała kamieniem obrazy. Kwestią tą jest podniesione przez delegację polską żądanie udziału w konferencji przedstawicieli „Litwy Środkowej”. Polacy motywują to tym, że ponieważ w propozycji Hymansa jest mowa o przyznaniu Wilna Litwie, więc to może być przyjęte tylko za zgodą Wilna, delegacja zaś polska sama za Wilno decydować tego nie może. Delegacja litewska na przedstawicielstwo „Litwy Środkowej” stanowczo się nie zgadza.
Żądanie polskie ma pozory słuszności zasadniczej, ale tylko pozory. Gdyby chodziło o swobodny wyraz istotnej woli ludności Wileńszczyzny, to ze stanowiska zasady demokratycznej trudno byłoby temu oponować. Co do mnie osobiście, to uważam, że w żadnym razie sprawa tej wagi, jak przynależność państwowa Wilna, nie może być oddawana na kaprys „woli” jednego pokolenia, zwłaszcza, że ta „wola” jest fikcją, bo nie jest wyrazem świadomości całokształtu zagadnienia, jeno przygodną wypadkową rozmaitych warunków i oddziaływań psychicznych kilku ostatnich niezwykłych i nienormalnych lat. Ale w dzisiejszym rozwielmożnieniu fikcji i samego frazesu demokratycznego z zasadą „woli” ludności trudno byłoby walczyć. Litwini podnoszą jednak ten wzgląd, zupełnie słuszny, nie tylko merytorycznie, lecz i zasadniczo, że sam twór „Litwy Środkowej” wyraża tylko jeden odłam narodowy dzielnicy wileńskiej – polski – i że przedstawicielstwo „Litwy Środkowej” byłoby tylko przedstawicielstwem Polaków wileńskich. Podnoszą, że „Litwa Środkowa” wytworzona została z łona państwa sąsiedniego, które w tej budowie opierało się tylko na odłamie polskim w kraju. Jest to prawda zupełna. Dzisiejsza władza „Litwy Środkowej” – to władza Polaków miejscowych, pożyczająca środków z Polski. Jest to ekspozytura lub twór sutenerski, który dotąd nie przetrawił się nawet *post factum* wyborami i Sejmem Ustawodawczym.
Czy się z tej sprzeczności znajdzie formuła pośrednia wyjścia – zobaczymy. „Lietuvos Balsas” dziś już w artykule wstępnym Voldemarasa domaga się bodaj oddania pod sąd członków delegacji litewskiej w Brukseli, zwłaszcza Gałwanowskiego i Ślażewicza, pod zarzutem zdrady ojczyzny i knowania przeciwko jej niepodległości.
Nasza Komisja do spraw Litwy Wschodniej, którą Žemaitis usiłuje dźwignąć z martwego punktu, postanowiła wysłać do Wilna posła Raczkowskiego i swego członka

Rozenbauma dla wytworzenia tam z działaczy miejscowych różnych narodowości mocnego ośrodka skoordynowanej akcji państwowej litewskiej.

3 czerwca, rok 1921, piątek
Fakt stał się. Konferencja brukselska została zerwana[554]. Polacy oświadczyli, że chociaż obrady wykazały dużo wspólnych potrzeb Polski i Litwy i chociaż Polska gotowa jest wyciągnąć z tego konsekwencje, traktując Litwę jako równą sobie i jako z taką zawierając z nią szereg układów szczególnych, z zastrzeżeniem wszakże zmiany stosunku do Polaków w polityce wewnętrznej Litwy, jednak ponieważ Litwini chcą Wilna, które delegacja polska uważa za terytorium rdzennie polskie, wobec czego przyjęcie propozycji Hymansa zależne jest od orzeczenia samej ludności Wilna, przeto do czasu powołania do udziału w rokowaniach przedstawicielstwa „Litwy Środkowej" delegacja polska cofa się od dalszych obrad i uważa je za zawieszone. W odpowiedzi na to Litwini zaprotestowali stwierdzając, że Polacy nie mają prawa mówić o konsekwencjach przed rozstrzygnięciem kwestii wileńskiej, bo Litwini wyraźnie od tego uzależnili wszelkie rozważania wzajemnego stosunku obu państw i zastrzegli, że mowy być nie może o wciąganiu w sferę rokowań Litwy z Polską okupacyjnego tworu polskiego, jakim jest „Litwa Środkowa". Niechże teraz czynniki Europy suszą sobie głowę nad dalszymi etapami rozwiązania sporu polsko-litewskiego o Wilno. Jednak choć opinia litewska jest wręcz przeciwnego zdania, mam wrażenie, że konferencja brukselska nie była zupełnie jałowa i że pewne metody rozwiązania sprawy zostały przez nią skonkretyzowane. Czy jednak Polacy nie przeciągnęli struny?
Rzeczy mam już spakowane, bilet kupiony. Jutro rano wyjeżdżam na wakacje. Boję się, żeby mi tych wakacji nie przerwano. Z jednej strony może mi je przerwać Žemaitis, który w razie pilnej potrzeby ma mię wezwać. A w obecnym stadium sprawy wileńskiej „pilna potrzeba" może się łatwo w jakichś okolicznościach wyłonić, szczególnie w razie przyjazdu delegatów społecznych wileńskich. Po wtóre, zakłócenie wakacji może być spowodowane przez nominację moją do Trybunału. W ostatnich paru tygodniach sprawa mojej nominacji ucichła, ale oto dziś wieczorem otrzymałem list od prezesa Trybunału Kriščiukaitisa, który prosi, bym się z nim skomunikował przed wyjazdem na wakacje, bo ma on do mnie pilny interes w związku z mającą w tych dniach nastąpić moją nominacją na członka Trybunału. Zobaczyć się z Kriščiukaitisem już nie zdążę. Napiszę do niego z Rakiszek. Kto wie, czy rozkład czasu wakacyjnego w Trybunale nie zakłóci ciągłości moich wakacji. W każdym jednak razie cieszę się, że nominacja moja dochodzi skutku.

4 czerwca, rok 1921, sobota
Rano wyjechałem z Kowna. Dzień był pogodny, ale nie tak skwarny, jak poprzednie, toteż jechać było znośnie. Upał był łagodzony wiatrem. Podróż upłynęła mi bez żadnych szczególnych przygód lub wrażeń. O godz. 10 ½ wieczorem przyjechałem do Rakiszek. Gołębie, które wiozłem w klatce, dojechały szczęśliwie. Ruch pociągu je oszałamiał, toteż siedziały cicho, nakryte chustką. Wytrwałe to są ptaki. Od pozawczoraj siedzą w ciasnej klatce, w której się ledwie poruszać mogą; z wrażenia, które na nich czyni to zamknięcie, straciły zupełnie apetyt i przez cały ten czas nie dotknęły jabłka i wody.
Miałem jechać na noc do Kowaliszek, ale ponieważ na razie nie zastałem koni, nająłem furmaneczkę prosto do Bohdaniszek za marek 100. Wprawdzie wkrótce nadeszły konie kowaliskie po mnie, ale już postanowiłem nie zmieniać i pojechałem wprost do

[554] W istocie obrady zostały odłożone (3 VI 1921 r.) na okres potrzebny rządom Polski i Litwy do rozważenia propozycji P. Hymansa (jego projektu z 20 V 1921).

Bohdaniszek, dokąd dotarłem koło godz. 2 w nocy. Elwira i Maryńka wstały zaspane z łóżek na moje powitanie. Pogawędziliśmy z godzinkę i rozeszliśmy się na spoczynek. Ja lokuję się w Bohdaniszkach w całym piętrze przybudówki. Pokój sypialny urządziły mi siostry w moim dawnym pokoju. Nie mieszkałem w nim od lat siedmiu, ale z przyjemnością wracam do tego miłego pokoju, który od wielu lat był tu moim gniazdem.

5 czerwca, rok 1921, niedziela
Dzień dzisiejszy, jako pierwszy dzień wakacji w Bohdaniszkach i w dodatku niedziela, spędziłem bezczynnie. Od jutra rozpoczynam rozgraniczanie sched.
Obejrzałem dziś tylko gospodarstwo sióstr i właściwie nie robiłem więcej nic. Gospodareczka ich po trochę się rozwija, najdotkliwszym jest tylko brak gotówki i niedostateczna ilość koni, co jak zmora trapi obie siostry i nie daje im możności ani odetchnąć na chwilę, ani rozwinąć gospodarstwa na większą skalę. W każdym razie, przyrastają cielęta, rośnie liczna gromadka świnek, pola są uprawione i obsiane prawie w całku, ogrody także, a najobficiej prezentuje się dział ptactwa. Niezliczone stadka kurcząt, kacząt, gąsiąt, indycząt zaludniają części ogrodu owocowego w najbliższej okolicy domu, a obie siostry lwią część dnia zajęte są karmieniem tych żarłocznych gromad ptasich.
Bohdaniszki w pełni swej roślinności wyglądają o tej porze roku ślicznie. Znam je na wylot, a jednak nigdy mi one spowszednieć nie są w stanie. Zawsze mię czarują swoim urokiem, jak gdybym dopiero co je poznał. Upały były tu takież, jak w Kownie. Rolnicy wyglądają deszczu. Toteż radość była wielka, gdy pod wieczór przeciągnęła burza i polał kilkakrotnie duży deszcz.
Kąpałem się dziś po raz pierwszy w tym roku w dużej sadzawce w polu, która wreszcie jest moją wyłączną i prawowitą własnością jako należąca do mojej schedy. Towarzyszył mi w kąpieli mały Andrzej, synek Elwiry. W ogóle Andrzej tak się mnie trzyma, jak ślepy płotu lub cielę matki. Nie odstępuje mię na krok i wisi przy mnie jak pijawka. Lubię zresztą tego chłopca.

6 czerwca, rok 1921, poniedziałek
Dziś od rana rozpocząłem pracę rozgraniczania sched spadkowych. Do pracy tej mam dwóch ludzi – Sadowskiego z Prapultini i leśnika Januszkiewicza z Montowszczyzny. Ponieważ siostry, a szczególnie Marynia, chcą nade wszystko wiedzieć swoje granice w polu bohdaniskim, więc zaczynam nie od rozgraniczenia sched w lasach, ale przede wszystkim od sched zasadniczych w Bohdaniszkach. Do obiadu wyznaczyłem wszystkie granice bohdaniskiej schedy Elwiry. Nie była to rzecz zbyt trudna, bo miałem dokładne wymiary wszystkich linii tej granicy obliczone w sążniach[555], chodziło więc tylko o wymierzenie w naturze. Trochę większą trudność sprawiło tylko wyprowadzenie jednej linii prostej przez zarośla w pasiekach kumszańskich, ale uporaliśmy się z tym nieźle, dzięki zwłaszcza zręczności Sadowskiego, który do tych robót jest doskonały. Po obiedzie zabrałem się do ustalania granicy mojej z Marynią w Gaju, przecinającej w poprzek las linią prostą. Ten odcinek granicy jej jest jednym z najtrudniejszych, bo Gaj jest tak gęsto zarosły młodym lasem, że wytknięcie linii prostej jest zadaniem nie lada. Zaczęliśmy od tego, że przede wszystkim przeszliśmy przez las od jednego punktu tej przyszłej linii u wylotu z lasu do drugiego punktu końcowego tejże linii u przeciwległego wylotu; po drodze wybrałem parę punktów

[555] Sążeń – obowiązująca w Cesarstwie Rosyjskim miara długości równająca się 2,1336 m. Tekst dotyczy tej miary, nie zaś sążnia stosowanego w Polsce przedrozbiorowej (a także w XIX w.), który równał się 1,787 m.

orientacyjnych w środku lasu i następnie zaczęliśmy pędzić próbne linie między poszczególnymi punktami orientacyjnymi. Główną część roboty na tym odcinku, mianowicie wyprostowanie dokładne linii przez Gaj i przecięcie jej w lesie, odłożyliśmy do jutra. Zimny dziś dzień, ostry wiatr północny studzi powietrze, ale robota ta jest mi bardzo przyjemną tak w lesie, jak w polu. Tylko że wieczorem wróciłem do domu tak zmęczony powietrzem i ruchem, że po kolacji byłem senny i na pół przytomny, aż kiwałem się i co chwila zasypiałem, pisząc dziennik. Ale czuję, że to zmęczenie jest zdrowe. Jutro dużą część rozpoczętej dziś w Gaju pracy wypadnie przerobić, bo przez pomyłkę wziąłem nie tę skalę, co jest na planie w stosunku do fermy Bohdaniszek (do niej bezpośrednio należy i Gaj) i przeto w jednym ważnym punkcie orientacyjnym bardzo mocno zbłądziłem, wkraczając głęboko w działkę Maryni. Będę więc musiał jeszcze jutro prostować punkty orientacyjne jako podstawę dla linii.
Przyjeżdżał dziś do Bohdaniszek Piotr Rosen, z którym spędziłem przerwę obiadową. Przyjechał znowu zasięgać u mnie rady w sprawie zatwierdzenia aktów kupna na parę skrawków gaczańskich, sprzedanych niby w r. 1918. Akty te, w istocie fikcyjne, bo robione dopiero teraz z datą wsteczną, w celu skorzystania z ustawy zezwalającej na sankcjonowanie sądowe akt kupna sprzedaży sporządzonych prywatnie za czasów okupacji niemieckiej, są już przez Rosena przygotowane i podpisane przez dziekana w Użpolu, co stanowi warunek zatwierdzenia. Rosen poważnie zabiera się do tej roboty, mającej faktycznie ustrzec Gaczany, a przynajmniej ich pewną część z lasem, od ostrych niebezpieczeństw reformy agrarnej. Powinno mu się udać, skoro dziekan w Użpolu zdecydował się na zaświadczenie antydatowanych aktów. Spać, spać i spać, bo już nie wytrzymam!

7 czerwca, rok 1921, wtorek
Cały dzień zajął mi Gaj. Pomocników miałem tych samych, co wczoraj – Sadowskiego i leśnika Januszkiewicza, od obiadu zaś zamiast Januszkiewicza był Maryni starszy parobek, Jan Jodelė. Do obiadu prostowaliśmy jeszcze linię, którą wczoraj w paru miejscach wyprowadziliśmy krzywo. Wreszcie do obiadu linia prosta była już przez cały Gaj wytyczkowana. Była to sztuka nie lada, bo wytknięcie prostej linii przez taką gęstwinę jak w Gaju i w poprzek całego lasu na długości przeszło 200 sążni, było zadaniem bardzo trudnym. Marynia z Elwirą nie mogły zrozumieć, jak tej sztuki potrafiliśmy dokonać. Ale w Sadowskim miałem pomocnika pierwszorzędnego, który mi ogromnie zadanie ułatwiał. Do prostej linii doszliśmy przeważnie tą metodą, że w kilku miejscach wewnątrz lasu (na rowie, na drodze) oznaczyłem dość dokładnie podług wymiarów planu punkty, przez które powinna przechodzić linia i tą drogą miałem linię podzieloną na odcinki. Wtedy w każdym odcinku stawiałem na punktach krańcowych robotnika. Robotnicy, nawołując się głosem, zbliżali się do siebie z punktów krańcowych, znacząc drogę, i w ten sposób przecinali odcinek. Potem droga ta tworzyła już odcinek linii, suma zaś odcinków – linię całą. Po obiedzie Sadowski z Jodelą przecięli mi linię na całej długości przez las. Tą drogą Gaj został rozgraniczony. Przecięta linia szerokości sążnia stanowi granicę między moją schedą a gajową działką schedy Maryni.
Deszcz padał duży, mokro było w lesie, ale ciepło. W gąszczach Gaju, przypominających zarośla dziewicze, pięknie było i romantycznie, jak zawsze. Odzywał się gdzieś słowik, w pobliżu gruchały dzikie gołębie, a młody, bujny las tonął w wilgoci. W gąszczach Gaju krzewią się niesłychanie jesionki, znane w całej okolicy ze znakomitych swych zalet na obody do kół.
W porze obiadowej zastałem w Bohdaniszkach naszego nowego proboszcza z Krewna.

8 czerwca, rok 1921, środa
Robota rozgraniczania sched posuwa się szybko – o wiele szybciej, niż sądziłem początkowo. W polu, szczególnie w czystym polu, z wielką łatwością znajduję potrzebne mi punkty, wskazane na planie, a przeto i wytykanie linii w naturze okazuje się bardzo łatwe, a wymiary tych linii odpowiadają zawsze wymiarom skali. Oczywiście tak i być powinno, bo plan jest tylko streszczeniem natury, ale zanim się weźmie człowiek do roboty, to ma opaczne wrażenie, jakby plan i natura były dwoma osobnymi światami, które tylko sekret sztuki mierniczej potrafi łączyć. Sekret ten jednak jest w wykonaniu bardzo prosty – zaiste, nie święci garnki lepią. W Gaju linia była trudna, ale to nie ze względu na trudność znalezienia punktów wyjścia stosownie do planu, jeno ze względu na gęstość zalesienia, utrudniającą wybór prostego kierunku. Dziś miałem do pomocy robotników w osobach Maryni parobka Jurenasa i leśnika ze Staczerag – Aleksiejusa. Robotę mieliśmy przeważnie w polu otwartym. Przede wszystkim rano wytknęliśmy linię na małym odcinku wzdłuż Gaju od wylotu granicy mojej z Marynią w Gaju do granicy dworskiej z Ginduryszkami. Potem wytyczkowaliśmy granicę między mną a zasadniczą schedą Maryni od ruczaju Eibutis (Eibučupis albo Bučupis) do dróżki kumszańskiej. Po obiedzie odgraniczałem schedę Maryni od kumszańskiej schedy Elizki Komorowskiej. Na pasiekach kumszańskich wypadało gdzie niegdzie przerąbywać znaczne przestrzenie chrustów, ale w ogóle praca trudną do wykonania nie była.
Z rozkoszą prowadzę tę robotę. Całe dnie spędzam w polu lub lesie, na słońcu czy deszczu. Co prawda, od chodzenia nie czuję nóg wieczorem, ale za to obcuję z piękną naturą i kontempluję coraz to nowe fragmenty prześlicznych widoków, w które Bohdaniszki są niezwykle bogate. Jutro do obiadu skończę rozgraniczanie wszystkich sched w samych Bohdaniszkach i ukończę usypanie wszystkich kopców. Zostaną mi tylko lasy w Staczeragach i Montowszczyźnie, gdzie jednak zadanie będzie o wiele łatwiejsze, niż w Gaju.
Przez cały dzień towarzyszył mi dziś w polu Andrzej. Mam dwóch takich towarzyszy, którzy starają się nie odstąpić kroku ode mnie: Andrzej i psinka Tanka, wychowana przeze mnie w roku zeszłym. Są oni moim ogonem.

9 czerwca, rok 1921, czwartek
Do obiadu z Sadowskim i Januszkiewiczem kończyłem rozgraniczanie sched w Bohdaniszkach. Wytknąłem ostatnią linię graniczną między schedą Maryni a schedą kumszańską Elizki Komorowskiej na Wielkiej Łące do ruczaju Eibutis i pousypywałem ostatnie kopce na drodze pokrewieńskiej i w samym dworze. Jednocześnie parobcy Maryni – Jurenas i Jodelė – przeorali miedze wzdłuż granic poszczególnych sched między kopcami w polu. Całe więc Bohdaniszki, to znaczy ferma właściwa z Kumszami i Gajem, są już podzielone nie tylko formalnym aktem dzielczym, ale też faktycznie w naturze kopcami granicznymi i miedzami. Bohdaniszki jako całość, jako jednolity dwór, przestały istnieć. Odtąd będzie kilka osobnych folwareczków, z których każdy będzie bytować osobno. Na razie, w tych pierwszych latach po podziale, zwłaszcza w naszych trzech schedach – Elwiry, Maryni i mojej – dużo będzie jeszcze tradycji wspólnej, dużo śladów jednolitości i współzależności tych cząstek, spajającej je mimo podziału. Stopniowo jednak więź wspólna będzie się musiała rozluźniać i schedy będą się separować. Sama psychologia własności prowadzić będzie konsekwentnie do separatyzmu, a fakt osobnego posiadania i osobnej indywidualności gospodarczej sched będzie je oddalał wzajemnie. Dzień dzisiejszy dokonał w naturze tego, co dzień 30 kwietnia dokonał formalnie w tytule własności. Praca, którą wykonywam, jest

przyjemną jako sport, ale smutną jest jako realizowanie działu, a więc łamanie Bohdaniszek, zabijanie ich całości, ich duszy jednolitej tępienie. Gdyby Papa mógł to widzieć z grobu, byłby zgorszony i zły. On, który tak ukochał Bohdaniszki, On, który nam zawsze zalecał, byśmy Bohdaniszek nie szarpali na kawałki! Ale wzgląd na reformę agrarną, która zwiastuje śmierć dworom, a oszczędza niewielkie folwarki, uczynił dział sposobem uratowania własności rodziny; żeby uratować wszystko lub większą część, trzeba zniszczyć całość i uczynić z niej jak najwięcej odrębnych całostek. Swoją drogą, smutno mi jest i przykro, gdy dzielimy Bohdaniszki. Dopóki nasze pokolenie żyje, dopóki jestem ja i siostry, dopóty jeszcze jedność Bohdaniszek choć w tradycji się utrzyma, bo dla nas pozostaną one w pamięci naszym gniazdem wspólnym. Ale jest to już tylko cień jedności Bohdaniszek, cień, który jak zmierzch się pochłania przez noc, tak się roztopi w konsekwencjach działu. Elwira i Marynia, a zwłaszcza ta ostatnia nie czuje, zdaje się, wcale bólu działu. Instynkt swojej własnej, odrębnej własności, który dla niej realizuje dział, panuje w niej nad instynktem przywiązania do dawnych, niepodzielnych Bohdaniszek. Może Elizka Komorowska z większą przykrością przyjmuje ten dział, jako *malum necessarium*[556], ale nie tyle dla przywiązania do Bohdaniszek jak ja, ile dla próżności, którą drażnią i bolą folwarczki w rodzinie zamiast wielkiego dworu pańskiego, dającego splendor i stanowisko społeczne godne arystokracji. Po obiedzie z Sadowskim i Aleksiejusem wytknąłem linię granicy między schedą Elwiry i Elizki w Staczeragach. Następną czynnością będzie wycięcie tej linii przez las. Rozbijanie lasu w Staczeragach i Montowszczyźnie na schedy będzie mi mniej przykre, niż było w samych Bohdaniszkach, bo lasy te, zwłaszcza montowski, są mi bardziej obce, niż Bohdaniszki.

10 czerwca, rok 1921, piątek
Jeździłem dziś do Rakiszek. Wybrałem się tam na prośbę Piotra Rosena. Jak wspominałem, Rosen dokonał dwóch aktów sprzedaży na cząstki Gaczan z lasem na imię swego teścia generała Brzozowskiego i swojej długoletniej gospodyni w Zadworzu, swojej zarazem byłej kochanki Anny Kisilis. Akty te antydatowal (z r. 1915 i z r. 1918), aby je na zasadzie ustawy z r. 1919 zatwierdzić w drodze sądowej i w ten sposób zalegalizować sprzedaż, obecnie zabronioną. Są to w istocie akty sprzedaży fikcyjne, obliczone tylko na to, by przez podział tytułów własności usunąć odpowiednie działki ziemi i lasu od zastosowania do nich ustaw reformy agrarnej i uratować ich nietykalność. Zatwierdzenie tych aktów musi być dokonane sądownie w drodze powództwa wytoczonego do Rosena przez nabywców ziemi. Choć akty Rosena są formalnie mocne, bo poświadczone przez dziekana użpolskiego, jednak Rosen dla większej pewności uprosił mię o to, bym był obecny przy tym, jak generał Brzozowski i Kisilisówna złożą sędziemu pokoju w Rakiszkach odpowiednie skargi powodowe i będą go prosić o przyśpieszenie terminu rozpoznania sprawy. Moje stanowisko sędziego okręgowego przyczyni się, zdaniem Rosena, do tego, że sędzia pokoju chętniej wyznaczy krótszy termin rozpoznania tych spraw, pośpiech zaś jest konieczny ze względu na spodziewane wkrótce przejmowanie lasów w zarząd państwowy. Zgodziłem się towarzyszyć generałowi Brzozowskiemu do sędziego pokoju w Rakiszkach, tym bardziej, że sam miałem także do sędziego interes. Rzecz poszła gładko. Sędzia wyznaczył w sprawach Rosena krótki termin. W Rakiszkach zabawiłem do godz. 3 i wróciłem do Bohdaniszek. Oczywiście, już dziś żadnych wymiarów w rozgraniczaniu sched bohdaniskich nie robiłem. Z Rakiszek przywiozłem numer „Lietuvy”. Bardzo ciekawe i charakterystyczne drukują się teraz w „Lietuvie” artykuły Albina Rimki p.t. „Listy o reformie agrarnej”. Charakterystyczne są one przez to, że

---

[556] „*Malum necessarium*” (łac.) – zło konieczne.

autorem ich jest Rimka, jeden z inicjatorów do niedawna i teoretyków reformy agrarnej. Rimka, chłop samouk, który się wyrobił na dzielnego publicystę i ekonomistę, którego prace o stosunkach gospodarczych i rolnych w Litwie należą do najlepszych, tym bardziej, że zdobył on rozległą wiedzę w zakresie takichże stosunków w innych krajach Europy, był jeszcze przed wojną jednym z wybitniejszych członków Stronnictwa Socjalistów-Ludowców-Demokratów i jest jednym z odnowicieli radykalnego Związku Włościańskiego. Prace ekonomiczne Rimki zmierzały do uwydatnienia roli drobnej własności w gospodarstwie społecznym i stanowiły pewnego rodzaju uzasadnienie naukowe dążeń reformy agrarnej. Jako poseł do Sejmu z ramienia Związku Włościańskiego, Rimka w r. 1920 był w komisji agrarnej główną sprężyną projektów i aktów ustawodawczych, zmierzających do realizowania reformy agrarnej. Wszakże od niejakiego czasu słychać było, że między Rimką a jego stronnictwem, które najradykalniej reformę agrarną w stylu chłopskim popiera, powstały pewne rozdźwięki i że stanowisko Rimki jest w tej sprawie umiarkowańsze od stanowiska partii. Wbrew też pierwotnym oczekiwaniom, nie Rimka wystąpił w Sejmie referentem komisji w projekcie reformy agrarnej. Niebawem Rimka usunął się z Sejmu i będąc prawdziwie chory, wyjechał leczyć się za granicę. Stamtąd pisuje owe „Listy o reformie agrarnej”. Jego koledzy partyjni tłumaczyli różnicę w stanowisku Rimki ze stanowiskiem partii rzekomo tylko różnicą poglądu na zasadę odszkodowania przy wywłaszczeniu. Rimka, wychodząc z założeń prawa własności, dopuszcza wywłaszczenie tylko za odszkodowaniem, podczas gdy partia zasadniczo odszkodowaniu obszarników za wywłaszczone przestrzenie ziemskie jest przeciwna, to znaczy stoi na stanowisku konfiskaty ziem przekraczających stopę maksymalną własności.

11 czerwca, rok 1921, sobota
Zabrałem się w dalszym ciągu do mojej roboty, która szybko posuwa się naprzód. Do obiadu z Sadowskim i Aleksiejusem przecięliśmy przez las staczeraski linią graniczną schedy Elwiry od schedy Elizki Komorowskiej. Staczeragi – to najpiękniejszy las w Bohdaniszkach pod względem towarowym. Elwira i Elizka są co do lasu z nas wszystkich najbardziej uprzywilejowane. Nie jestem z natury chciwy ani zazdrosny co do bogactwa i nigdy też, nawet w przeszłości, kiedy rodzice myśleli o zachowaniu całej fortuny niepodzielnej dla mnie, spłacając jeno skromne pensje córkom i kiedy wychowywany byłem w tej tradycji, że Bohdaniszki są moją jedyną ojcowizną, nie chciałem krzywdy sióstr ani żadnego przywileju dla siebie z tytułu płci i pierwszy podniosłem w rodzinie hasło równego działu. Teraz podczas działu sam właściwie mogłem decydować o wszystkim, bo nawet formalne pierwszeństwo wyboru miałem sobie zastrzeżone, a faktycznie mogłem zrobić, co chciałem. Nie wybrałem sobie jednak schedy najcenniejszej, nie skrzywdziłem sióstr, przeciwnie – tak pomiarkowałem, aby siostrom było jak najlepiej. Toteż i teraz bez zawiści wydzielam piękny las Elwirze i Elizce, sam mając jeno Gaj, który jest tylko nadzieją lasu, ale towaru nie posiada wcale.
Po obiedzie z Sadowskim, Januszkiewiczem i Kazimierzem Jankowskim udałem się do Montowszczyzny. Tam zacząłem ustalać punkty graniczne w lesie między schedami Maryni i Elizki i Maryni i Henrysia Wołłowicza. Linie tych granic prowadzić będę w poniedziałek. Biednej Maryni wypadł las kiepski. Trzeba będzie zażądać dla niej dobrej dopłaty od Elizki i Elwiry. Zresztą i mnie się będzie dopłata należała. Będzie to zadaniem arbitrów, których zjazd zwołujemy na św. Jana.
Jeszcze słówko o Rimce i jego artykułach o reformie agrarnej w „Lietuvie”. Z treści tych artykułów spostrzegam, że rozdźwięki między Rimką a stanowiskiem popieranym w reformie agrarnej przez większość sejmową, a przeto i przez jego stronnictwo, które

stanowi w tym względzie najradykalniejsze skrzydło większości sejmowej, jest o wiele głębsze, niż usiłują przedstawić towarzysze partyjni Rimki. Rimka występuje ostro nie tylko przeciw zasadzie konfiskaty, lecz również przeciwko całej demagogii reformy agrarnej, nie liczącej się ze względami czynników ekonomicznych i w szczególności przeciwko sztucznemu obcinaniu własności przez ustanawianie dowolnych absolutów maksimum. Że przeciwko reformie agrarnej w jej radykalnych i demagogicznych tendencjach, zasadzających się na ślepej chciwości tłumów, rozpoczyna się w społeczeństwie litewskim reakcja – to zdaje się być faktem. Zaś szczególnie charakterystycznym tej reakcji wskaźnikiem jest głos Rimki, który uchodził do niedawna za ideologa radykalnej reformy. Dla jego stronnictwa musi to być faktem nieprzyjemnym, bo Rimka nie jest byle jakim szeregowcem partii politycznej, lecz człowiekiem, który ma imię i którego głos jako badacza i znawcy tych właśnie stosunków musi mieć wpływ duży. Opozycja Rimki może bardzo zaważyć na sprawie i wzmocnić opozycję ogólną przeciwko radykalizmowi tej reformy. Uważam to za objaw dodatni, bo nie należę do entuzjastów radykalnej reformy agrarnej w tej postaci, w jakiej się ona projektuje, a poza tym dla zdrowotności rozwoju społecznego uważam jednostronny przerost radykalizmu za nie mniej niebezpieczny i szkodliwy, niż w innych okresach jednostronny przerost konserwatyzmu. Nigdy też na samej chciwości mas zbudować reformy twórczej nie można, bo chciwość nie zmierza do pracy, jeno do pasożytniczego pochłonięcia dóbr na zubożenie społeczeństwa.

12 czerwca, rok 1921, niedziela
Niedziela, więc nie miałem roboty w lesie. Ale też deszcz taki padał, że choćby to nie była niedziela, nie mógłbym iść do lasu. Już teraz rolnicy przestaną chyba narzekać na suszę i będą zadowoleni. W ubiegłym tygodniu bowiem prawie tydzień padał po trochę deszcz, a dziś padał strumieniami i prawie przez cały dzień przy cieplejszym powietrzu. Jarzyny i warzywa podrosną znakomicie, a żyta są w tym roku bardzo piękne. W ogóle urodzaj w polach zapowiada się dobrze, jeżeli tylko nic zbiorom nie przeszkodzi. Prawie co roku się powtarza, że w porze między siewami wiosennymi a sianokosami, kiedy jest najbardziej potrzebny deszcz, mamy w naszym klimacie okres suszy i co roku o tej porze rolnicy narzekają na wyjątkowy rok, co jest u nas właściwie normalne. A za to potem, mniej więcej w okresie sianokosu, nastaje okres dżdżysty, który na razie cieszy rolników, a wkrótce znów wywoływać zaczyna utyskiwania na nadmiar wi1goci i tęsknotę do pogody.
Przychodził dziś do mnie Antuk Jankowski, syn Kazimierza, który służy w intendenturze powiatowej w Rakiszkach, pod wieczór zaś był Kligys. Choć nie miałem roboty, ale i nie miałem czasu dla siebie. Po obiedzie Elwira pojechała do Kowaliszek. O kontynuowaniu pracy mojej o stronnictwach politycznych litewskich nie ma nawet mowy. Za parę dni skończę rozgraniczanie sched spadkowych, ale nie wiem, czy i wtedy znajdę czas na pracę literacką, bo po pierwsze, wieś w ogóle nie usposabia mię latem do pióra, po drugie, będę musiał pospisywać różne umowy z siostrami i w szczególności umowę dzierżawy mojej schedy z Marynią, dalej przygotować rachunki dzielcze, wreszcie poskładać parę wizyt w okolicy, a niebawem przyjdzie i nasz zjazd dzielczy z arbitrami, na którym ma być dokonane oszacowanie i wyrównanie sched dopłatami, co też będzie wymagało pracy.

13 czerwca, rok 1921, poniedziałek
Znowu cały dzień pracowałem w lesie montowskim, wydzielając schedę leśną Maryni. Sadowski z Januszkiewiczem wytykali i wycinali w lesie dwie linie, jedną oddzielającą działkę Maryni od działki Elizki, i drugą – od działki Henrysia Wołłowicza. Powoli szła

ta robota, szczególnie rano, dopóki wytykano linię prostą przez zwarty las na długiej przestrzeni między działkami Maryni i Henrysia. Robiliśmy to w ten sposób, że ja stałem na jednym krańcu tej linii w miejscu, gdzie ma stanąć kopiec, a Sadowski z Januszkiewiczem z przeciwległego końca linii szli do mnie na mój głos, znacząc drogę nacięciami na korze drzew i przerąbywaniem gęstwiny. Sadowski jest w tej robocie znakomity i umie na daleki głos prowadzić linię prawie bez odchyleń. Zresztą w ogóle jest to robotnik doskonały, inteligentny i pracowity. Potem trzeba było linię wyrównywać i wycinać drzewa na całej jej długości. Przed wieczorem odwiedziła nas przy pracy Marynia dla zapoznania się ze swą działką montowską. Oprowadziłem ją po jej działce i pokazałem granice. Las w montowskiej działce Maryni jest gorszy o wiele od lasu w działkach staczeraskich Elwiry i Elizki i nawet od lasu w działce montowskiej Kotuni Pruszanowskiej, ale w każdym razie pod względem towarowym dużo więcej wart od lasu w Gaju, gdzie sztuk towarowych na sprzedaż nie ma wcale. Marynia spodziewa się, że arbitrowie wyznaczą jej sporą dopłatę od Elwiry i Elizki i łakomi się na gotówkę od Elizki, by dokupić za nią koni do gospodarstwa. Jeżeli dla Maryni będzie wyznaczona dopłata, to dla mnie dopłata powinna być znacznie wyższa, bo mam las najgorszy. Ciekaw jestem, na ile też ocenią arbitrowie nasze schedy. Na trzeciego arbitra mamy zaprosić Pawła Koziełła z Użukrewnia, na którego zgodzili się Rosen i Rutkowski. Moje siostry były trochę niechętne kandydaturze „Pawełka" (Paweł Koziełł na całe życie został „Pawełkiem") i chciały pannę Roppównę z Antuzowa, ale zgodziły się wreszcie na tę kandydaturę. Śliczna jest moja praca w lesie, to znaczy nie tyle praca, ile środowisko, w którym się odbywa – natura, las. Po środowisku miejskim, po pracy papierowej jest to rozkosz i zmęczenie fizyczne, które jest najlepszym wypoczynkiem umysłowym. Czuję od tej pracy przypływ zdrowia w całym ciele. Ludzie się dziwią, że potrafię dokonywać wymiarów i podziałów ścisłych w naturze podług planu jak geometra. W istocie jednak nie jest to rzecz trudna.
Deszcz dziś nie padał, temperatura była umiarkowana. Jedna tylko w lesie jest plaga – to komary, ale i one są cząstką natury i jako takie przyczyniają się do wyrazu lasu, więc choć się na nie gniewam i biję setkami, jednak nie przykrzę zbytnio. Wieczorem zaś, gdy wracam z lasu do domu, słyszę w jasną noc czerwcową głosy żab po stawach, piski sowiąt i hukanie sów po ogrodach i lipach Bohdaniszek oraz równy jak wahadło zegara głos derkacza ze zbóż w polu. Są to efekty naszej wsi litewskiej, tak swojskie, jak ja sam sobie, tak kochane, jak dzieciństwo własne i jak wszystko, co było drogim w życiu. Biedny jest ten człowiek, który nie ma tych przywiązań wiecznych do swojskich wyrazów natury.
Zastałem wieczorem w Bohdaniszkach pana Lysandra z Krewna. Przyjechał konno z wizytą a zarazem dla poradzenia się ze mną w pewnych kwestiach prawnych.
Wczoraj w Krewnie i gminie krewieńskiej „Žvalgyba" (służba wywiadowcza – coś w rodzaju policji politycznej)[557] rakiska wraz ze sprowadzonym oddziałem wojska dokonała licznych aresztowań komunistów miejscowych. Powiat rakiski słynie w ogóle z propagandy komunistycznej i z głęboko tu tkwiących tęsknot bolszewickich, które zazwyczaj są wyrazem nie tyle pewnego prądu społecznego lub tym mniej ideowego, ile pożądań hultajskich cudzego mienia i rozwielmożnienia instynktów pasożytniczych na tle demoralizacji i rozprzężenia towarzyszącego zwykle okresom wielkich przesileń dziejowych. Gmina zaś krewieńska jest jedną z tych, w których gniazda propagandy komunistycznej głęboko się rozsiadły i zakorzeniły. Wśród wielu innych aresztowanych znalazł się i nasz „viršaitis" (wójt) Baranowski, który był jednym z działaczy za czasów bolszewickich i o którym było powszechnie wiadomo, że należy do czynnych komunizmu agentów i bodaj konspiratorów w naszych stronach.

[557] Žvalgyba (Zwiad) – litewski kontrwywiad pełniący też rolę policji politycznej.

14 czerwca, rok 1921, wtorek
Nie wiem, co to jest, że tak strasznie jestem wieczorami senny. Po kolacji robię się po prostu nieprzytomny i oczy się tak kleją, że pomimo największych wysiłków co chwila zaczynam drzemać, budzę się i znowu wpadam w drzemkę. Skutek to widać trybu życia i wsi; zmęczenie fizyczne, wczesne wstawanie przed godz. 7 rano i całodzienne przebywanie na świeżym powietrzu – oto zapewne źródła tej niezwykłej śpiączki wieczornej.
Dziś nie miałem roboty w lesie, bo mój główny i najlepszy robotnik, Sadowski, prosił mię wczoraj o zwolnienie na dzień dzisiejszy dla wożenia nawozu.
Bawiła dziś w Bohdaniszkach panna Iza Roppówna z Antuzowa, sąsiadka nasza, jedna z najdzielniejszych ziemianek i dobra obywatelka kraju, co jest cnotą dość rzadką w sferach naszej szlachty ziemiańskiej. Dzielna to i pracowita kobieta, samotna, od wielu lat samodzielnie zarządzająca majątkiem, gospodarna, rozumna przy tym, rozumiejącą życie i stosunki społeczne, wprost zadziwiająca nieraz rozległością horyzontów swego pola myśli i umiejętnością badania zjawisk społecznych. Jak wszyscy ziemianie, boryka się ona z ciężarami majątku, ale choć widzi i bezpośrednio czuje na sobie wszystkie bolączki momentu dziejowego, nie żywi w sercu nienawiści ślepej, jeno usiłuje zawsze wznieść się na wyżyny kryteriów dobra ogólnego, dalekich od egoizmu klasowego i z nich analizować to, co się dzieje dokoła. Jest to osoba dużej kultury obywatelskiej, światła i przywiązana do kraju. Los jej nie oszczędza i nie oszczędza jej też jako ziemianki ogólny prąd radykalizmu, trapiący bytowanie dworów. A przecież, choć należy ona do malkontentów i do opozycji zachowawczej przeciwko podmuchowi rewolucji i jego niszczącej robocie, jakże różną jest jej krytyka i jej stosunek do wypadków i prądów od krytyki pospolitych ziemian.
Elwira przywiozła wczoraj z Kowaliszek swoją córeczkę Helcię, która od szeregu miesięcy bawiła tam dla wspólnej nauki z innymi dziećmi kowaliskimi. Helcia ma coś niespokojnego w oczach, coś, co może zapowiada w niej histeryczkę, jak twierdzą Elizka i Hektor. Ale może jest to wpływ Kowaliszek, wpływ zbytniej tresury dziecka, zbytniego łamania żywej indywidualności na rzecz szablonu „dobrego wychowania", które się w Kowaliszkach identyfikuje z doskonałym wyszlifowaniem dobrej, pozbawionej wszelkich kantów lalki. Tresura ta męczy dziecko i obcinając jego naturalne cechy charakteru, jego popędy i przejawy indywidualności, czyni pod powierzchownością wyćwiczonej lalki niespokojnym i nierównym, jak zwierzątko w klatce. Helcia staje się coraz bardziej podobna do siostry swego ojca, Stefana Mieczkowskiego, Michaliny Starzyńskiej. Już to moje siostry mają wszystkie tę właściwość, że prowadzą dzieci nie po sobie, lecz po mężu. Dziwna rzecz – same mają bardzo wybitną indywidualność, a w dzieci swoje jej nie przelewają, lecz rodzą dzieci na podobieństwo mężów. Szczególnie Kotunia, Elizka i Elwira. Dzieci Kotuni – wykapani Pruszanowscy, dzieci Elizki – Komorowscy z krwi i kości, dzieci Elwiry – to czysta rasa Mieczkowskich, jak gdyby nic nie miały w sobie z matki. Krwi swej, typu fizycznego i psychicznego – w dzieci nie przelewają, jeno wiernie je rodzą swym mężom. U klaczy jest to pono zaletą, ale wolałbym, żeby dzieci moich sióstr miały w sobie więcej z naszej rodziny.

15 czerwca, rok 1921, środa
Po dniu przerwy znowu kontynuowałem moją robotę w lesie. Przerąbana została linia między schedą Maryni i Henrysia Wołłowicza oraz Maryni i Elizki Komorowskiej w lesie montowskim, a pod wieczór udałem się z moimi robotnikami jeszcze dalej w las montowski dla oznaczenia ostatniej linii – między schedami Henrysia Wołłowicza i

Kotuni Pruszanowskiej. Na tej linii dopiero ustaliłem punkty wyjścia i częściowo ją wytknąłem, wycięcie zaś jej będzie dokonane jutro. Na tym się jutro skończy rozgraniczanie sched spadkowych. Ustalanie granic zajmowało mię, dopóki chodziło o schedy moją i sióstr pozostających na Bohdaniszkach – Elwiry i Maryni. Już scheda Elizki Komorowskiej mniej mię interesowała, bo czuję, że Komorowscy traktują ją li tylko jako doczesną, z której zechcą tylko wycisnąć sok jak z cytryny, by pozbyć się jej po wyzyskaniu. Dla Komorowskich jest ona czymś obcym, co nie będzie im służyć za warsztat pracy i podstawę bytu i nie będzie się wiązać z tym uczuciem, jakie łączy nas z Bohdaniszkami. Schedy zaś Henrysia Wołłowicza i Kotuni Pruszanowskiej są w Bohdaniszkach odpadkiem, bo z góry są już przeznaczone na spieniężenie i wyzbycie się ich w obce ręce. Dlatego też z żalem na schedy te spoglądam. Wiem, że ten duży szmat lasu w Montowszczyznie, który się składa na schedy Henrysia i Kotuni, to las „*moriturus*”[558]. Smutny to widok, bo las ładny. Pójdzie on z pewnością na wycięcie, a ziemia spod niego stanie się warsztatem tych, co ją nabędą. Co prawda, pójdzie ona w pracowitsze ręce, które ten szmat ziemi ukochają, ale las zginie. Bez przyjemności więc dotykam tych sched. Dobrze, że wypadły one na tak dalekie kresy Montowszczyzny, które znam najmniej i które przez to do serca mi mniej przemawiają. Ale dla śp. Papy byłoby to bolesne, bo Papa cały swój las znał, kochał uczuciem głębokim i z miłością go pielęgnował.
Maryńka – gospodyni zawołana, pełna zmysłu praktycznego i ukochania pracy. Z przyjemnością obserwuję jej energię i jej artyzm twórczy w pracy gospodarskiej. Wrosła ona w tę pracę i kocha się w niej, a płynie ona z jej rąk jak dzieło sztuki. Mniej radości sprawia widok Elwiry, która, choć wytęża siły i jest dzielna, jednak nie jest tak twórczą w pracy. Elwirę wiąże więcej interes i względy dobrobytu dzieci, niż miłość czynu i uczucia dla Bohdaniszek, a zresztą lwią część jej energii i wysiłków pochłania opieka nad dziećmi, czyniąc ją w pracy gospodarskiej połowiczną. Marynia pracą się bawi i żyje, Elwira raczej się stara spekulować. U Maryni gospodarstwo jest dziełem i sztuką, u Elwiry – ciężką walką o chleb, w której chleb dominuje nad czynem.

16 czerwca, rok 1921, czwartek
Skończyłem dziś rozgraniczanie sched. Moi robotnicy, Sadowski i Januszkiewicz, tak już byli znudzeni tą robotą, która zarazem była ciężką dla nich, bo przy wycinaniu linii w lesie trzeba jednym ciągiem spiłowywać drzewa, że już wczoraj mi oświadczyli, iż porozumieli się „nie puścić” mię dziś na obiad do Bohdaniszek, żeby prędzej skończyć robotę. Tak też się stało. Z linii między schedami Henrysia i Kotuni w lesie montowskim, którą dziś wycinaliśmy, jest co najmniej dwie wiorsty do Bohdaniszek. Iść więc stamtąd na obiad do domu i wracać, to przejść co najmniej 4 wiorsty[559]. Oprócz zmęczenia, jest to więc duża strata czasu. Wobec tego leśnik Januszkiewicz zaprosił mię do siebie na obiad. Pracowaliśmy akurat przy samej leśniczówce, która wypada na skraju schedy Henrysia Wołłowicza. Na ten „obiad” złożyło się świeże mleko, doskonały ser podsuszany, masło, chleb i jajecznica ze słoniną. Po posiłku dokończyliśmy w ciągu godziny robotę i już było po wszystkim.
Niebo się zadżdżyło i gdym wracał do domu, deszcz padał jednym ciągiem i tak padał już do wieczora przy temperaturze chłodnej. W ogóle od tygodnia nastąpiło wielkie oziębienie. Nocami bywa tak zimno, że termometr nad ranem spada niekiedy zaledwie do paru stopni ponad zero, tak że od przymrozku niedaleko. Reakcja chłodów w czerwcu jest w naszym klimacie północnym prawie co roku zjawiskiem; pamiętam lata, kiedy Mama kazała – ku zgorszeniu Papy – palić w piecu w wielkim pokoju na św.

[558] „*Moriturus*” (łac.) – mający umrzeć, skazany na zagładę.
[559] Wiorsta – obowiązująca w Cesarstwie Rosyjskim miara długości równa 1066,8 m.

Jana! Jakszukowie w roku zeszłym prawie że bez przerwy palili w piecu u siebie. Z powodu chłodów nie mogę wcale używać ulubionej kąpieli. Przejmująca wilgoć i chłód uprzykrzyły cały wieczór dzisiejszy. Marynia przed deszczem zdołała złapać i zwieść do odryny suche siano z gumniska i części mojej łąki pod nazwą „Prudelis".
Wieczorem z Abel przyniesiono całą gromadę listów nadeszłych od Kotuni Pruszanowskiej, Ewy Meyerowej i Stefana Mieczkowskiego z Polski. Moje siostry, Elwira i Marynia, znalazły taką drogę korespondowania z Polską, że listy do nich z Polski są adresowane do Łotwy na stację pocztową Subocz (Subat), położoną na pograniczu z Łotwą o kilka wiorst od Abel. Adresują się one do pani Pawłowskiej, żony rządcy w Abelach. Ta je odbiera z Subocza, a przy okazji odsyła do Bohdaniszek. Pierwszy to raz Elwira otrzymała list od męża, Stefana. Stefan bawi wciąż w Obodowcach na stanowisku rządcy u Mieczysia Bohdanowicza[560], który przeważnie przebywa w Wilnie. W Obodowcach, które po zawarciu polsko-rosyjskiego pokoju w Rydze zostały po stronie polskiej i są zabezpieczone od inwazji bolszewickiej, zakłada się przez Mieczysia intensywne gospodarstwo. Mieczyś ma pieniądze, które zarobił na spekulacji, przeważnie solą, uprawianej przez niego w ostatnich latach na wielką skalę. Gdy inni ziemianie z Białej Rusi, wyrzuceni ze swych siedzib na tułaczkę w czasie przewrotów i wojny ostatnich lat, nędznieli i wegetowali na marnych posadkach w Polsce, Mieczyś, który ze wszystkiego umie wyciągnąć korzyść i którego głowa we wszelkich okolicznościach znajdzie zyskowny interes, zorganizował, siedząc w Poznaniu, Warszawie i Wilnie, wielki handel solą, którą dostarczał do miasteczek Białej Rusi, skąd była ona rozkupywana przez szmuglerów i wieziona kontrabandą do Rosji Sowieckiej, gdzie płacą za nią ceny bajeczne. Trudno sobie wyobrazić, jakie ilości soli były pochłaniane przez miasteczka białoruskie na pograniczu Rosji Sowieckiej. Ogromne transporty tego artykułu szły wciąż i szły i wsiąkały tam natychmiast, wykupywane przez spekulantów kontrabandy. Pomimo wojny, pomimo obsadzenia linii przez wojska, szmugiel soli do Rosji płynął wielką rzeką, a transporty materiałów wojennych i zaprowiantowania wojska nie tamowały jakoś masowego dowozu soli z Polski do dalekich okolic Białej Rusi.
Oczywiście Mieczyś smarował i smarowali też spekulanci, szmuglerzy i rycerze kontrabandy, ale też smarowanie łapówek opłacało się sowicie zyskami spekulacji i dziś Mieczyś zakupił do Obodowiec 16 koni i pług parowy, co przy obecnym kursie marki polskiej oznaczać musi duże miliony. Ileż musiał na tej spekulacji zarobić, kiedy mógł takie sumy wydać, pomimo że przy ciągłym spadku kursu marki polskiej wartość pieniędzy z roku przeszłego była o kilkakroć wyższa od obecnej! Widocznie nie chował gotówki, lecz miał ciągły obrót w spekulacji.

17 czerwca, rok 1921, piątek
Spędziłem dzień na porządkowaniu mojego działu biblioteki po Papie, spisaniu paru projektów umów i poza tym trochę na spacerze i włóczeniu się po Bohdaniszkach. Zaglądałem parę razy w pole do Maryni; dozoruje osobiście robót nad suszeniem siana, drżąc o to, by deszcz nie uszkodził zbioru. Dzień był na ogół zimny i brzydki, choć przetrwał bez deszczu. Na noc nawet rozpogodziło się zupełnie, ale za to temperatura jeszcze bardziej spadła.
Wśród listów wczorajszych do sióstr moich, które nadeszły przez Subocz Kurlandzki, był też list do Maryni od jej córki – Ewy Meyerowej. W liście tym była wzmianka o majorze (Trześniowskim), pierwszym konkurencie do ręki Maryni. Maryńka, która marzy stale o zamążpójściu („nie miała baba kłopotu"), była już w ostatnich latach

[560] Mieczysław Bohdanowicz, ziemianin; matka jego, Maria (?) Bohdanowiczowa z domu Tukałło, była siostrą matki Michała Piusa Römera.

przed przyjazdem do Bohdaniszek ostygła w uczuciach dla starego majora. Ostudzenie to tłumaczyło się jednak konkurencją rywala miłosnego. Jest w Polsce zwyczaj, rozpowszechniony w ciągu paru lat ostatnich, że panie uprawiające sport opiekowania się żołnierzami, wybierają sobie pojedynczych pupilów, by się nimi ściślej i konsekwentniej opiekować, zastosowując opiekę do indywidualności pupila. Jest to wzorowane na opiece nad ubogimi rodzinami, uprawianej przez towarzystwa filantropijne, których członkowie i członkinie dzielą między sobą rodziny ubogich i każdy patron lub patronka opiekuje się tylko „swoimi” rodzinami ubogich. Ta opieka pań nad żołnierzami wyraża się w matkowaniu im. Otóż takie matkujące panie wytworzyły instytucję tzw. „chrzestnych matek” żołnierzy. Bawią się one tym matkowaniem, troszczą się gorliwie o potrzeby swoich „chrześniaków”, a nieraz i podkochują się w chłopcach. Przypuszczam, że niejedna młodsza „chrzestna mateczka” obdarzyła nawet swego prawowitego małżonka młodą latoroślą pochodzącą z krwi „chrześniaka”. Żołnierzom instytucja „chrzestnych matek” trafiła do gustu, nie tyle zapewne dla perspektyw miłości, bo do tego potrafią oni znaleźć młodsze okazy płci pięknej, ile dla łatwości wyzyskiwania naiwnej adoracji i rozczulenia „mateczek”. Brać żołnierska musi sobie dobrze kpić w swym kole z tych poczciwych „matek”, które się tak łatwo dają naciągać, ale naciąga je chętnie. Dział anonsów w prasie polskiej pełny jest ogłoszeń i odezw osobistych żołnierzy „poszukujących chrzestnych matek”. Znajdują też je z łatwością. Marynia też się była puściła na te wody i miała kilku takich „chrześniaków” żołnierzy. Naciągali ją oni, wyłudzając datki w bieliźnie etc., jeden zaś, jakiś „sierżant” imieniem Józio, udawał zakochanego. Marynia brała jego wzdychania za dobrą monetę, a że Józio był od starego majora młodszy i serce niewiasty bardziej lgnęło do niego, więc do majora się zniechęciła. Zdarzyło się, że w tym czasie Marynia przez czas dłuższy nie miała listów od majora. Wytłumaczyła więc to skwapliwie zaniedbywaniem jej przez majora i udzieliła mu w sercu dymisję. Ale sierżant Józio nie bardzo zapewne tęsknił do nieobecnej „chrzestnej matki”, świeżo zaś wyszło na jaw, że jest on osobnikiem niepewnym, bo gdy Irka Węgłowska przesłała przez niego swej matce, Kotuni Pruszanowskiej, jakiś fracht na wysłane rzeczy i kilkanaście czy kilkadziesiąt tysięcy marek polskich, sierżant Józio gdzieś się ulotnił z horyzontu z frachtem i markami. Marynię to musiało zrazić do Józia, a zapewne i odległość wpłynęła na większe zastanowienie. Znalazła się więc na rozdrożu, bo już się majora odrzekła dla Józia, a teraz i w Józia zwątpiła. Aż oto w liście wczorajszym Ewy znalazła się wzmianka o zapomnianym majorze, który zaczął znów pisywać do Ewy, dopytując o Marynię i usprawiedliwiając swoje milczenie zatraceniem adresu Maryni. Wieść ta odrodziła w sercu Maryni wygasłą tęsknotę małżeńską do majora, który zresztą był nie tyle w dymisji, ile w rezerwie wobec Józia. Gdy kobieta 40-letnia zapragnie małżeństwa, każdy mężczyzna jest dla niej dobry, każdy może być rycerzem jej serca. Dziś już Marynia ciągle o majorze gadała i wspominała o nim co chwila, marząc o przyjeździe jego do Bohdaniszek, zamieszkaniu jego z nią tutaj i połączeniu z nim. Major zmartwychwstał przez jedną noc w sercu i aspiracjach Maryni jak feniks z popiołów.

18 czerwca, rok 1921, sobota
Byłem dziś w Gaczanach. Lubię bywać tam, bo Gaczany przypominają mi dzieciństwo i młodość. Pojechałem tam trochę dla wizyty, a trochę w interesie Elwiry i Maryni, by wyprosić od Rosena kartofli na kredyt i jakiejś mąki lub ziarna dla Bohdaniszek. To ostatnie udało mi się tylko częściowo, bo dostałem ledwie sieczek kartofli i sieczek gryki. Na przednówku trudno o płody rolne, bo wszędzie jest ich niewiele.

Podziwiałem śliczne urodzaje w Gaczanach i znakomitą uprawę pól, która przypomina stan przedwojenny i po prostu pieści oko, odwykłe od takich widowisk po dworach. Śliczne jest tam żyto, pszenica, jęczmień. Nawóz wywieziony na ugór, zorany i zabronowany. Koniczyna skoszona schnie w kupkach. Kiedyż doczekam się takiego widoku na polach bohdaniskich w gospodarstwie Maryni! U Piotra Rosena w Gaczanach nie czuje się i nie widzi na polu śladów wojny i rewolucji. Co prawda, jak twierdzą języki ludzkie, Rosen zasilił swoje gospodarstwo kosztem Pokrewnia i Tarnowa z Jużyntami, którymi zarządzał i „opiekował się" przez dwa lata, korzystając jednocześnie z inwentarza tychże majątków. Jak słychać, płacił on rekwizycje za Gaczany zbożem z tamtych majątków, wybierał stamtąd do Gaczan lepsze konie i krowy itd. Teraz stracił już tę wygodę, bo tak Pokrewnie, jak Tarnów i Jużynty zostały przejęte w zarząd państwowy na zasadzie ustawy o roztoczeniu „opieki" państwowej nad majątkami osób, które same nie prowadzą osobiście gospodarstwa. Na noc wróciłem do Bohdaniszek. Jeździłem prostym wozem gnojowym, klaczą Elwiry, Barką, ale cóż robić – „*à la guerre, comme à la guerre*"[561]. Czym się może, tym się jeździ. W dzisiejszych czasach o powozach nawet się nie marzy, a nawet pospolita i uchodząca dawniej za demokratyczną linijka kurlandzka jest wyrazem zamożności. Dobry będzie i wasąg[562] prosty, byle się jechało.
W Gaczanach wpada mi do rąk numer gazety „Laisvė", w którym wyczytałem o dokonanej nominacji mojej na członka Trybunału Najwyższego. Dobrze, że to się już stało. Obawiam się tylko, aby nominacja ta nie posłużyła do skrócenia moich wakacji. Słyszałem w Kownie, że członek Trybunału Janulaitis wybiera się na wakacje w końcu czerwca. Otóż boję się, by mię na ten termin nie wezwano, aby umożliwić kworum posiedzeń Trybunału i możność ciągłego funkcjonowania tegoż, bo w nieobecności Janulaitisa i mojej pozostałby sam jeden prezes Kriščiukaitis. Wprawdzie posiedzenia Trybunału mogą się odbywać i zawsze się dotąd odbywały z udziałem „dopożyczonego" *ad hoc* członka Sądu Okręgowego, ale dobre to, gdy chodzi o trzeciego członka kompletu, nie bardzo zaś jest właściwe gdy się „dopożycza" aż dwóch do kompletu. Wprawdzie nie straciłbym moich wakacji, gdyby mię teraz wezwano, bo mam do nich prawo na okres sześciu tygodni, ale musiałbym rozbijać je na dwie części i resztę wakacji przenieść na koniec lata. Mam awizację na list polecony z Kowna, który leży dla mnie w Rakiszkach na poczcie. Bardzo prawdopodobne, że jest to właśnie list od Krikščiukaitisa lub Janulaitisa w związku z moją nominacją i objęciem funkcji członka Trybunału.
Wracam do listów pozawczorajszych, otrzymanych przez moje siostry. Z listu Stefana Mieczkowskiego potwierdza się mój wniosek, że nasz Wiązowiec pozostał z mocy traktatu ryskiego po stronie rosyjskiej na samej granicy. Stefan jednak dodaje, że czytał gdzieś, iż granica ma iść ruczajem Wiązowcem, który przecina nasz las i przeto część lasu pod nazwą „Gaj" pozostawałaby po stronie polskiej. W myśl zaś dyspozycji Traktatu Ryskiego podobno właściciel posiadłości przeciętej granicą ma prawo przy ostatecznym ustalaniu granicy żądać przeniesienia w całości jego ziemi do tej lub innej strony. Nie bardzo jestem pewny, czy Stefan dobrze tę rzecz przedstawia, bo w ogóle jest to człowiek nie umiejący myśleć ściśle i pozbawiony czucia prawniczego; może zwykłe prawo optacji obywatelskiej bierze za prawo właściciela do żądania przesunięcia granicy, co wydaje mi się mało prawdopodobnym ze względu na negowanie przez bolszewików tytułów własności. W każdym razie, Stefan chce czynić

[561] „*Á la guerre*..." (fr.) – „na wojnie jak to na wojnie" (różnie bywa – powiedzenie na usprawiedliwienie przeważnie jakiejś straty, ofiary, ubytku z powodu ingerencji siły wyższej).
[562] Wasąg – tu: wóz. Nazwą „wasąg" określano też kosz wyściełający wnętrze wozu lub wierzch bryki nasadzony na osie.

starania o zmianę przynależności państwowej Wiązowca i prosi Elwirę o przysłanie w tym celu plenipotencji. Elwira mu ją pośle, choć ze względu na brak instytucji konsularnych polskich w Litwie plenipotencji formalnej stąd wydać niepodobna.

19 czerwca, rok 1921, niedziela
Cały dzień spędziłem w domu. Nie wychodziłem nawet na spacer za dwór. Porządkowałem trochę papiery i rzeczy po Papie w jego gabinecie, który się stał moim, a jest tych papierów zwłaszcza prawdziwa kopalnia, bo Papa miał podobnie do mnie zamiłowanie do gromadzenia różnych papierów, notatek, listów itp. Poza tym, pracowałem trochę, doprowadzając dział nasz do realizacji prawnej w różnych zakresach (umowy różne między nami, deklaracja do zarządu leśnego o podziale lasów bohdaniskich dla uchylenia ich spod działania ustawy wywłaszczeniowej itp.), bawiłem się z dziećmi Elwiry. Posłaniec z Kowaliszek przyniósł list od Elizki, zapytujący w imieniu Zygmunta Rutkowskiego, czy się nie da odłożyć naszego zjazdu dzielczego na dni kilka, na co udzieliłem odpowiedzi odmownej, bo już nie da się odwołać terminu względem Pawełka Koziełły. Przyniesiono mi też kartkę z gminy z prośbą o przybycie moje dziś lub jutro do zarządu gminnego, ale w jakim interesie – nie wiem. Oto i cały mój dzień. Marynia jest znerwowana strasznie, zła jak osa. Sama składa to znerwowanie na karb kłopotów i ciężarów gospodarstwa, rzeczywiście wielkich, kiedy nie ma ani zboża, ani zwłaszcza gotówki, ani grosza nawet na opłatę najemników i nie wiadomo, skąd wziąć. W istocie jednak główne źródło znerwowania mieści się w nowinach o majorze, w poruszeniu się znowu zagadnienia małżeńskiego, braku adresu majora, niepokoju o to, czy będzie mógł tu przyjechać itd., a oprócz tego, w zawodzie ze strony „sierżanta Józia” i przykrościach ze strony Kotuni Pruszanowskiej, której rzeczami Marynia przez lat kilka bezinteresownie się w Wilnie opiekowała, a teraz, gdy te rzeczy przez różne perypetie bolszewickie i inne częściowo poginęły lub nawet przez same córki Kotuni były pobrane, większą zaś ich część Marynia odwiozła i odesłała do Bydgoszczy, Kotunia i jej córki nie tylko nie okazują wdzięczności, ale wciąż dochodzą i zgłaszają różne pretensje, czynią aluzje, doszukują się swoich rzeczy w meblach i sprzętach Maryni pozostawionych u Ewy itd. Wieczorem Elwira z Marynią pojechały do Krewna dla wzięcia udziału w głosowaniu na dzisiejszych wyborach do rady gminnej. Instruktorem ich co do głosowania był Kligys, który wskazywał im, na którą listę warto podać glos i w ogóle objaśnił co do charakteru i barwy poszczególnych list. Naturalnie, że tak Kligys, jak Elwira z Marynią darzą sympatią i obdarzą głosami tę listę, która najmocniej reprezentuje element zamożnych gospodarzy. Jest to zjawisko bardzo naturalne i słuszne, że elementy społecznie pokrewne się popierają i że posiadacze własności szukają instynktownie oparcia w elemencie, który również czynnik własności wyraża. Jest to zjawisko zdrowe i społecznie dodatnie. Świadomość klasowa solidarności interesów robi swoje i powinna zwyciężyć demagogię frazesu. Aspiracje lewicowe lub prawicowe są w zdrowym i silnym rozwoju społecznym wyrazem nie fantazji lub abstrakcji idealistycznej jeno świadomego interesu klasowego. Jest to prawda wielka i zarazem bardzo prosta w świecie zjawisk społecznych.
Jakie mamy chłody, o tym świadczyć może fakt, że dziś w dniu 19 czerwca mamy o godz. 10 ½ wieczorem 5° ciepła. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby nad ranem był przymrozek.

20 czerwca, rok 1921, poniedziałek
Przenikliwy chłód. Wicher szalał, chmurzyska pędziły jedne za drugimi sypiąc deszczem, to znów w przerwach odsłaniając słońce. Dwukrotnie wypadł grad, dzięki Bogu – niewielki, więc nieszkodliwy.

Jutro jadę z Piotrem Rosenem do Rakiszek, więc przygotowałem deklarację do nadleśniczego o dokonanym dziale Bohdaniszek wraz z podziałem lasów, przygotowałem też podanie od imienia Kligysa, jako plenipotenta Henrysia Wołłowicza, do sędziego pokoju o zatwierdzenie Henrysia w liczbie spadkobierców do spadku po Papie i przetłumaczyłem z niemieckiego na litewski plenipotencję Kligysa od Henrysia. Niezależnie bowiem od dokonanego i zatwierdzonego działu, chcemy uzyskać sądowe zatwierdzenie nas w prawach spadkowych.
Marynia i Elwira, oblegane przez włościan proszących o udzielenie im łąk do skoszenia za odrobek, odmawiają, bo nie mają w tym roku koniczyny, więc same się muszą kwapić na siano, a zresztą Elwira ma łąk bardzo mało. Co dzień po kilku zgłasza się petentów. Gdyby tylko udzielać łąki do koszenia, to w ciągu paru dni włościanie okoliczni rozchwytaliby wszystkie łąki i jeszcze zabrakłoby dla całych tłumów. Pochodzi to stąd, że chłopi na ogół, a zwłaszcza małorolni, bezrolni i parobcy, trzymają dużo inwentarza żywego, bodajże więcej, niż przed wojną. Świeżej paszy dla bydła mają dosyć, ale poszoru[563] mają na zimę mniej, niż wynosi przekarmienie posiadanej ilości inwentarza. Chłop w Litwie, gdzie pieniądz względnie zachował pewną wartość i zwłaszcza większą równowagę kursu, niż w krajach sąsiednich, jak Łotwa, Polska i szczególnie Rosja, gdzie pieniądz systematycznie i katastrofalnie spada, jest w pozycji zgoła odrębnej, niż np. w Polsce. Tam każdy chłop ma stosy pieniędzy, których nie może zużytkować i nie chce ich przeto więcej brać, dążąc do ograniczenia produkcji do zakresu własnych potrzeb. U nas natomiast chłop pieniędzy nie ma, o ile tylko nie posiada jakiegoś dobrodzieja w Ameryce, zasilającego go dolarami. Jeżeli który czasem ma pieniądze, to prawie wyłącznie rosyjskie carskie, które z powodu katastrofalnej zniżki wartości są bezużyteczne. Ost-rubli i ost-marek nie ma. Ciągle więc goni za groszem, tym bardziej, że ceny na płody rolnictwa przeciętnie się obniżają, podczas gdy ceny na towary dowożone z miast i z zagranicy, jak również wszelkie wyroby rzemieślnicze, a także cena rąk roboczych stale ma tendencję do podnoszenia się. Chłop więc rolnik musi wytężać wszystkie siły do zdobywania gotówki, której potrzebuje i nie ma, przeto i do zwiększania produkcji. Ma to cechy ujemne, ale i dodatnie także. Położenie chłopa jest u nas dosyć zbliżone do stanu przedwojennego – oczywiście ze wszelkimi zastrzeżeniami i tylko porównawczo do krajów sąsiednich i niezmiernie się różni od położenia w Polsce i zapewne w Rosji. W Polsce chłop dziś zaczyna tworzyć plutokrację, podczas gdy u nas jest mu ciężko materialnie. I bodajże tendencja jest u nas do coraz większego upodobnienia sytuacji i koniunktur naszego rolnictwa do stanu sprzed wojny.

21 czerwca, rok 1921, wtorek
Najdłuższy dzień w roku. Maksimum słońca, dnia, światła. Jesteśmy na szczycie góry, z którego od jutra zaczniemy iść ku schyłkowi.
Byłem dziś z Piotrem Rosenem w Rakiszkach. Rosen swój interes załatwił. Wyrokiem sędziego pokoju jego akty sprzedaży działek ziemi i lasu w Gaczanach generałowi Brzozowskiemu i Annie Kisielisównie, datowane z r. 1918 i r. 1915, zostały zatwierdzone. Co zaś do moich interesów, których miałem kilka, to zanotuję tylko dwie rzeczy ważniejsze. Jedna to list polecony z poczty. Jak się domyślałem, był to list z Trybunału od prezesa Kriščiukaitisa, skracający moje wakacje. Kriščiukaitis zawiadamia mię, że już zostałem mianowany członkiem Trybunału, a ponieważ pierwszy członek tegoż, Janulaitis, wyjeżdża w dniu 20 czerwca na urlop, więc prezes prosi mię o powrót do Kowna na 1 lipca, by umożliwić posiedzenia Trybunału,

[563] Poszor (regionalne) – pasza, karma bydlęca.

pozostałą zaś część wakacji w ilości dwóch tygodni będę mógł odbyć w sierpniu po powrocie Janulaitisa. Naturalnie, że tak też i zrobię.
Druga rzecz to sprawa lasów bohdaniskich. Złożyłem nadleśniczemu deklarację o dokonanym dziale Bohdaniszek wraz z lasami, załączając odpis aktu dzielczego. Był już najwyższy czas to uczynić, bo właśnie rozpoczęło się forsowne przejmowanie lasów prywatnych w zarząd państwowy. W szczególności Departament Leśny polecił nadleśniczym przejęcie wszystkich lasów w tych gminach, w których procent zalesienia nie przekracza 10%. Do takich gmin należy i nasza krewieńska. Nadleśniczy rakiski, Litwin pruski, człowiek bardzo porządny i miły, kulturalny, w zasadzie z przekonań swych przeciwnik wywłaszczania lasów prywatnych, ale urzędnik obowiązany do spełniania zaleceń swojej władzy, oświadczył mi, że właśnie w tym tygodniu przejmie wszystkie lasy w gminie abelskiej, w tygodniu zaś następnym w gminie krewieńskiej. Las więc bohdaniski był wyznaczony do przejęcia wraz z innymi lasami tejże gminy w ostatnich dniach czerwca. Na razie nadleśniczy radził mi, bym natychmiast sam się udał do Kowna do Departamentu Leśnego i tam osobiście załatwił sprawę zwolnienia lasów bohdaniskich od wywłaszczenia, ponieważ on sam decydować o tym nie może i deklarację moją odeśle do departamentu, a tymczasem będzie musiał, o ile tylko Departament Leśny nie przyśle mu polecenia odwołującego przejęcie tych lasów w zarząd państwowy, przejąć je, gdyż takim jest nakaz jego zwierzchności, którego on dyskutować ani uchylać własną decyzją nie może. Wreszcie jednak przystał na to, że deklarację moją prześle do departamentu i dopóki nie otrzyma stamtąd wyraźnej w tym przedmiocie wskazówki, lasu bohdaniskiego nie przejmie. Ja zaś w pierwszych dniach lipca, po przyjeździe do Kowna, zgłoszę się natychmiast do departamentu i postaram się poprzeć moją deklarację, by uzyskać zwolnienie. Jest jeszcze taka kwestia, że u nadleśniczego w rejestrze lasów wykazanych jest 574 dziesięciny lasu należącego do Bohdaniszek, podczas gdy w istocie całe Bohdaniszki nie mają tylu dziesięcin, a lasu (nie licząc Kumsz) jest w nich zaledwie około 165 dziesięcin (niespełna). Wiem ze sprawdzenia przeze mnie w Departamencie Leśnym na wiosnę wykazu lasów bohdaniskich, jaką drogą przestrzeń ich na papierze urosła. Niektóre lasy nasze były tam dwukrotnie albo i trzykrotnie policzone pod różnymi nazwami, na przykład Gaj wpisany jest pod trzema nazwami, jako „Gaj", „Gojus" i „las karwieliski"; Kumsze są wpisane dwukrotnie, jako „Kumsze" i jako „Umsze". Do bohdaniskich są też zaliczone niektóre lasy Römerów należące do Antonosza, jak las przy folwarku Styrniszki na wyspie jeziora Sarty. Wtedy w departamencie poczyniłem poprawki, wykreślając z liczby naszych lasy antonoskie i kasując wszystkie bisowania. Wykreślono też przy mnie z liczby lasów Kumsze, ale pozostały – oprócz Gaju, Staczerag i Montowszczyzny – Apuszynie, których w dziale naszym nie uwzględniliśmy, nie przyznając się do ich własności. Jest więc teraz duże zamieszanie w wykazach stwierdzających ilości lasów w Bohdaniszkach i różnice między tymi wykazami a wyszczególnieniem lasów w naszym akcie dzielczym. Możliwym jest przeto, że zajdzie potrzeba sprawdzenia ilości lasów w Bohdaniszkach podług planów i w naturze. Otóż boję się, by nie ujawniono wtedy i nie zaliczono do lasów Kumsz, które choć są wyrąbane i lasem w istocie już nie są, jednak w większej swojej części nie zostały wyrobione na pola uprawne i są zaroślami, czyli krzakami, co formalnie zalicza się do liczby lasów. Apuszynie też mogą nabawić nas kłopotu, choć ich mniej się lękam, niż Kumsz. Ale kwestia ustalenia ilości lasów mniej mię niepokoi, niż sama kwestia zasadnicza prawna z tym, czy las bohdaniski już był wywłaszczony przed naszym działem, co czyniłoby sam dział w stosunku do lasów nieważnym, czy też był on wtedy jeszcze naszą własnością zupełną. Od odpowiedzi na to pytanie zależy wszystko inne.

22 czerwca, rok 1921, środa
Jestem bardzo niespokojny o los lasów bohdaniskich. Przez cały dzień byłem pod wrażeniem tego niepokoju, który mię pozbawiał równowagi do tego stopnia, że miejsca sobie znaleźć nie mogłem. Jestem usposobiony bardzo pesymistycznie co do perspektyw ocalenia naszych lasów i mam złe przeczucie, że wszystkie moje wysiłki uratowania tego lasu przez dział pójdą na nic. Im więcej o tym myślę, im bardziej się zastanawiam nad tendencjami panującymi w Departamencie Leśnym, w Sejmie, w sądzie, w całej młodej Republice Litewskiej i jej wewnętrznej polityce społecznej, tym czarniej mi się perspektywy tej sprawy rysują. A gdy wczytuję się w tekst zasadniczej ustawy z dnia 14 VIII 1920 o wywłaszczeniu lasów, zredagowanej bardzo bałamutnie co do interesującego mię zagadnienia, a jeszcze bardziej w brzmienie rozporządzeń Ministerium Rolnictwa, stanowiących dyspozycje wykonawcze względem tej ustawy, tym bardziej mi opadają ręce i smutna rezygnacja mię ogarnia. Nie o siebie mi chodzi. Ja się z tym pogodzę z łatwością, bo straty materialnej się nie boję, zysków i korzyści osobistych z własności mojej działki Gaju nie spodziewam się zgoła, a żal z utraty lasu, płynący z przywiązania osobistego do tych drogich, kochanych cząstek ojcowizny, przetrawię w sobie. Mało cenię w ogóle interes materialny i nie przywykłem się nim kierować w życiu. Los mię nie oszczędzał w życiu, mimo pozorów płynących z urodzenia, dobrobytu i stanowiska, których mi zapewne niejeden zazdrości. Oswoił mię ze stratami o wiele boleśniejszymi, które nauczyłem się przyjmować ze spokojem i błogosławieniem ręki Boskiej, która mię dotyka. Stałem się twardy na to, co mnie dotyka i gotów jestem do wszelkich doświadczeń i klęsk, które mię jeszcze mogą w nieznanej przyszłości uderzyć. Ciosy też spadające na mnie w straszliwej grze walk społecznych, wielkie wichry tych ruchów i burz, które smagają mię jako osobnika przynależnego z urodzenia do starego stanu uprzywilejowanego, nie zachwieją mojej miłości do Litwy, jak to ma miejsce z ogromną większością naszych ziemian krajowych. Wreszcie czymże są dla mnie te straty po śmierci Anny i całym nieszczęściu mojej samotności bezdomnej bez rodziny, jak suchy liść! Od dawna umarłem w sercu dla siebie i pogrzebałem to, co jest nadzieją szczęścia osobistego. A już w najmniejszej mierze nie kładę szczęścia w posiadanie dóbr materialnych. To, co mi jeszcze pozostało – ambicja, praca, przywiązania, przyjemności, chwile przelotnych rozkoszy tworzenia lub zmysłów, te szczęściem nie są i być nie mogą. Nie o siebie mi więc chodzi w tym niepokoju o lasy bohdaniskie, lecz o siostry moje Elwirę i Marynię. Dla nich odebranie lasów bohdaniskich byłoby ciosem stanowczym. Na tym lesie fundują one wielkie nadzieje, prawie że całą podstawę utrzymania i rozwinięcia warsztatu bohdaniskiego swojej pracy. Dla Elwiry ten warsztat jest portem i fundamentem bytu rodziny, dla Maryni – streszczeniem jej bytowania, jej twórczości i wszystkich rojeń i nadziei, których się nie wyrzekła i które tętnią w niej jeszcze życiem. Cios odebrania lasów byłby dla nich okropny: Otworzyłby on przed nimi próżnię pełną rozpaczy. Może zdołałyby one próżnię tę energią swą zasypać, zwłaszcza Marynia, ale cios byłby w każdym razie wielki, a może nawet w próżni tej utonęłaby cała ich energia i wiara, odrzucając je precz od warsztatu i czyniąc bankrutkami rozpoczętego z takim trudem dzieła w Bohdaniszkach. Co do Elwiry zwłaszcza, nie wiem, czy bez tego kawałka lasu odważyłaby się na mękę dalszej walki w Bohdaniszkach. Widzę, jak siostry tu pracują, jakie piekło przeszkód mają do zwalczenia, jak pracą, energią, dzielnością wysiłku, ofiarą najwyższego wyczerpania sił tworzą to dzieło podobne do pracy Syzyfa i dźwigają je jednak powoli z lepszym od Syzyfa skutkiem. Czy zniosłyby ten nowy cios, czy podołałyby mu? Boję się o tym myśleć. Nie odważam się też podzielić z siostrami moim niepokojem, nie mam serca, by je do tej męki wdrażać i ten jad w żyły ich zmęczonego ducha szczepić.

Zagadnienie kapitalne polega na pytaniu, czy moment prawny upaństwowienia lasów, a więc przejścia własności z właścicieli prywatnych na państwo, dokonał się w chwili wydania ustawy z dnia 14 VIII 1920, czy też dokonywa się on każdorazowo w każdym poszczególnym wypadku dopiero w chwili przejęcia prywatnego lasu przez państwo. W pierwszym wypadku utrata własności dokonałaby się w stosunku do lasów bohdaniskich przed naszym działem i przeto dział nie mógłby skutkować, w drugim mielibyśmy las ocalony. Redakcja ustawy jest taka, że daje się i *pro*, i *contra* interpretować. Ale niewątpliwie, że i ujemna dla nas interpretacja ustawy ma dość poważne uzasadnienie, a z brzmienia wszystkich rozporządzeń Departamentu Leśnego, zwłaszcza zaś z systematycznego określania właścicieli nie przejętych jeszcze przez państwo lasów nazwą „byłych właścicieli", wynika, że Departament Leśny akceptuje niekorzystną dla nas interpretację. A teraz rozstrzygnięcie konkretne tej kwestii w stosunku do naszych lasów ma się dokonać w Departamencie. Toteż obawy moje są zasadne. A chociaż Departament Leśny nie jest autorytetem i mogę się z jego decyzją nie godzić, odwołując się do sądu, jednak zważywszy, że ustawa nie jest kategoryczna pod tym względem i może być różnie interpretowana, skutek staje się wątpliwy, bo i tendencje społeczne ustawodawstwa, z którymi musi się liczyć i sąd, są niewątpliwie nieprzychylne własności prywatnej lasów. O Boże – oszczędź Ty lasy.

23 czerwca, rok 1921, czwartek
Przyjechał po obiedzie pierwszy uczestnik jutrzejszego zjazdu dzielczego, dobrany na trzeciego arbitra Pawełek Koziełł. Inni, to znaczy arbitrowie Piotr Rosen i Zygmunt Rutkowski oraz Elizka Komorowska z Hektorem, przyjadą jutro. Lubię Pawełka Koziełła, który pomimo zmanierowania jest z gruntu wcale niegłupi i niezły człowiek. Przypomina mi on czasy dziecinne, kiedym go znał jeszcze w gimnazjum w Wilnie w latach 1890-1891, gdzie był on jednak o kilka klas wyżej ode mnie. Nawet mało się zmienił od tego czasu. Pozostał też na całe życie „Pawełkiem", mimo że ma już 50 lat. Przed paru mniej więcej tygodniami rozpoczęły się w gminie krewieńskiej areszty i rewizje, które nie ustają do dnia dzisiejszego. Wspominałem o nich w dzienniku. Od razu aresztowano cały szereg osób i poszukiwano zwłaszcza naszego „*viršaitisa*" (wójta) Baranowskiego, którego w pierwszym dniu aresztów nie znaleziono, ale już nazajutrz ujęto. Aresztów dokonano wtedy w Krewnie i różnych wsiach dokoła. W wiosce Bohdaniszkach w parę dni potem dokonano rewizji szczegółowej u Michała Niemeikšisa, gdzie wszakże nic kompromitującego nie znaleziono. Areszty te zrobiły duże wrażenie. Aresztowanie Baranowskiego samo przez się nikogo nie zdziwiło, bo powszechnie mówiono o nim jako o agitatorze komunistycznym, u którego wciąż się odbywają jakieś zgromadzenia nocne i konszachty elementów rewolucyjnych. Z dnia na dzień coraz więcej nadchodziło szczegółów o tych aresztach. Pozawczoraj dowiedziałem się w Rakiszkach od Petrulisa, że areszty te doprowadziły do wykrycia wielkiego zorganizowanego spisku, na którego trop była wpadła „Žvalgyba". Istniała rozgałęziona organizacja komunistyczna, na której czele stał Komitet Rewolucyjny. Prezesem tego Komitetu był Baranowski. Komitet miał sekretarza, kasjera i nawet „ginklininkasa" (zawiadowcę broni). Posiadał skład broni i pyroksyliny. Dzięki temu, iż na czele komitetu stał wójt gminy, organizacja zdobywała wielki autorytet i mogła się posługiwać środkami działania zapożyczonymi u władzy. Gmina krewieńska stała się punktem zbornym agentów bolszewickich przybywających z Rosji. Baranowski sporządzał dla nich fałszywe paszporty legalne, za którymi się rozjeżdżali po Litwie, udzielał podwód gminnych („stójek") przyjezdnym agentom bolszewickim. Pieniądze ściągane w gminie pod różnymi pretekstami od ludności, jak również pieniądze rządowe wpływające do kasy gminnej na różne wypłaty, zasilały w znacznym odsetku

kasę rewolucyjną. Areszty więc rozpoczęte w gminie krewieńskej wyrastają na wielką i głośną sprawę, która się oprze chyba o sąd polowy. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, Baranowski zapłaci głową jako przywódca spisku i urzędnik. Być może nie on jeden będzie rozstrzelany. Dochodzenie jest w toku i widocznie się jeszcze rozwija, bo areszty nie ustają i zataczają coraz szersze kręgi. Przedwczoraj znów zaaresztowano i wywieziono do Rakiszek cały szereg osób. Z wioski Bohdaniszek zaaresztowano Michała Niemeikšisa, gospodarza Jachimowicza, młodego Zybelisa, Michała Juszkiewicza, który służył u moich sióstr we dworze za koniucha. Zaaresztowano też młodego Zybelisa ze Staczerag, parobka Jurkienasa i jeszcze jednego ze dworu Pokrewnie. Wreszcie dziś aresztowano dzierżawcę i leśnika Elwiry ze Staczerag – Aleksiejusa. Po aresztach tych zawrzało jak w ulu. Wczoraj i dziś byłem oblężony przez żony, matki i siostry aresztowanych, które z płaczem i lamentem błagały mię o radę i pomoc. Obiecywałem im, że będąc w Rakiszkach postaram się poinformować o stanie rzeczy, ale jakiejś protekcji szczególnej, poręczeń i kartek, o które mię proszono, odmawiałem, nie znając stanu sprawy ani szczegółów oskarżenia. Panika ogarnęła znaczną część ludności, wszystkich czujących się winnymi lub mających jakąkolwiek styczność z aresztowanymi oraz żony tychże; panika, lecz zarazem złość i nienawiść do rządu. Biegli do mnie po ratunek i protekcję, a jak wiem ze strony, wyrażali się tak, że skoro jest władza i rząd „burżujów”, to do burżuja i o pomoc i poparcie trzeba się udawać. Te areszty otrzeźwiają może zbyt pochopnych „rewolucjonistów”, ale zarazem wnoszą wielkie podrażnienie w nastroje mas. Moim zdaniem, są one zbyt masowe i w tym tkwi ich szkodliwość i niebezpieczeństwo. Władza stworzyła tą drogą setki malkontentów, którzy ją nienawidzą. Nie wiem jednak wszystkich szczegółów sprawy, toteż nie mogę twierdzić, że areszty te są przesadzone. Może były one potrzebne, może rzeczywiście był to spisek poważny. Powiadają, że spisek ten gotował się w najbliższym czasie do powstania zbrojnego. W kołach rodzin aresztowanych krążą budzące strach opowieści o szalonym biciu aresztowanych w Rakiszkach, o czym się mówi powszechnie i do przesady zapewne. Moje siostry, zwłaszcza Elwira, cieszą się z tych aresztów i represji, a Kligys promienieje radością i triumfem, dając folgę nienawiści do usiłowań wywrotowych, które tak trapią zamożnych gospodarzy.

24 czerwca, rok 1921, piątek
Pierwszy dzień zjazdu dzielczego. W porze obiadowej przyjechali dwaj pozostali arbitrowie – Piotr Rosen i Zygmunt Rutkowski. Przyjechał też w zastępstwie Elizki Komorowskiej Hektor, sam jeden bez Elizki, która nie przyjechała ze względu na przyjazd do Kowaliszek na dwudniowy urlop drugiego syna – Julka. Posądzamy zresztą, że pretekst do nieprzyjazdu Elizki bardzo odpowiadał życzeniom Hektora, który z pewnością woli być bez Elizki w chwili szacowania sched i ustalania dopłat, rozumiejąc, że Elizce, jako siostrze, trudniej będzie trwać na gruncie czystego interesu wobec Elwiry i Maryni i że obecność Elizki, jej serce i uczucia siostrzane będą źródłem ustępstw względem biedniejszych Elwiry i Maryni. Sam zaś Hektor umie być w miarę twardym i nie daje się wzruszać sentymentom. U niego zasadą: nie ma karesu bez interesu. Będąc bogatym i mając kieszenie pełne gotówki, ku której z tęsknotą wzdychają nie posiadający jej, Hektor w stosunkach rodzinnych i ziemiańskich umie czasem otworzyć dłoń i spuścić łaknącym rosę złotą, ale tylko w miarę i w porę, rachując tak, aby samemu upiec zawsze przy tym jakiś dogodny interes. Elizka, która nigdy nie była pod pantoflem swego kochanego męża, Zysia, kierowała nim zawsze i gderała, umiejąc mimo jego indywidualności zdobyć na nim i przeforsować to, co chciała sama, teraz po śmierci męża, stała się posłuszna Hektorowi i ulega mu jak

trusia, bojąc się go i nie odważając się na żadną decyzję bez rady i woli Hektora. Hektor imponuje Elizce i ma nad nią przewagę zupełną. Zarówno charakter, poglądy, jak pieniądze zapewniają Hektorowi wpływ decydujący w Kowaliszkach. Wszystkie te cechy imponują Elizce i tłumią wszelką myśl opozycji. Jest to zresztą nie niewola, lecz poddaństwo dobrowolne matki synowi. Elwira i Marynia doświadczają tego na sobie, bo choć Elizka wie, jak im jest ciężko, jednak prawie nigdy nie przyjeżdża nawet do Bohdaniszek i nie potroszczy się sama o nie, jak sobie dają radę i czy im czego nie trzeba. Jest to wpływ Hektora, który usuwa Elizkę od Bohdaniszek i nie dopuszcza jej do zbytniej troskliwości o siostry, rozumiejąc dobrze, że troskliwość ta ze strony siostry bogatej nie da się ograniczyć do życzliwych rad, lecz musi prowadzić do pomocy pieniężnej.
Od samego rana, dopóki był sam Paweł Koziełł i gdy potem zaczęli nadjeżdżać inni, nasłuchałem się narzekań i wymyślań na Litwę, na rząd, na Sejm, na wszystko, co litewskie i chłopskie. Nie dziwię się ziemianom, że reforma agrarna i wszystkie ustawy i zarządzenia, które przeciwko nim zmierzają i z przedziwną nieraz perwersją podkopują podstawy materialne ich bytu, łamią i udaremniają ich usiłowania gospodarcze, a następnie powołują się na rzekomą nieudolność i pasożytnictwo dworów, by je bić i uzasadniać „reformy”, musi ich drażnić do najwyższego stopnia i przyprawiać o wściekłość. Argumentów zaś dostarcza ziemianom i to także, że cała ta polityka ustaw i zarządzeń zmierzających do spełnienia rewolucji agrarno-społecznej jest ze stanowiska ekonomicznego zjawiskiem czyniącym dużo szkód i paradoksów dziwacznych. Tym niemniej nie kocham się wcale w tych utyskiwaniach, które, po pierwsze, działają denerwująco nawet na mnie, a cóż dopiero na moje biedne, znękane siostry, a po wtóre, są posunięte do jaskrawej przesady i przepojone ślepą nienawiścią. Nie ma bodaj rzeczy bardziej roznamiętniającej najzłośliwsze instynkty duszy ludzkiej niż atmosfera rozjątrzenia walk społecznych klasowych. Nawet atmosfera Wielkiej Wojny nie była tak duszącą i pełną wybuchów nienawiści i złości ludzkiej, tchnącej instynktami zemsty itp., jak atmosfera rewolucji.
Po obiedzie aż do późnego wieczora byliśmy z arbitrami w lesie. Arbitrom, którzy spośród siebie wybrali na superarbitra Pawła Koziełłę, towarzyszyliśmy: ja, Hektor i Kligys. Elwira i Marynia chciały wpierw zastrzec, aby spadkobiercy, prócz mnie, nie chodzili z arbitrami po lesie; było to wymierzone przeciwko Hektorowi, by mu przeszkodzić zbytnio wpływać na arbitrów. Nie dało się to jednak zrobić, bo jakoś nie wypadło podnieść tej kwestii.

25 czerwca, rok 1921, sobota
Dobrze zrobiliśmy, że wczoraj obeszliśmy z arbitrami las, bo dziś przez cały dzień była słota na dworze. Wprawdzie i wczoraj nas skropił deszczyk w lesie, ale niewielki. Obejrzeli więc wczoraj arbitrowie wszystkie schedy w lasach staczeraskim i montowskim. W Gaju nie byli wcale, zresztą Rosen zna Gaj, a Paweł Koziełł był w nim wczoraj rano ze mną na spacerze, więc też się przekonał, że towaru na sprzedaż w nim nie ma. Ziemi dworskiej ani folwarków nie oglądali wcale. Poprzestali na informacjach szczegółowych o każdej ze sched udzielonych przeze mnie w obecności wszystkich spadkobierców. Każdemu wolno było uzupełniać mój referat swoimi uwagami, ale był on tak wyczerpujący i bezstronny i uwydatniał tak dokładnie wszystkie dodatnie i ujemne strony każdej schedy, że nikt już nic ani do dodania, ani do ujęcia nie miał. Przyjęto z góry, że szacunek będzie dokonywany przez arbitrów w złocie, mianowicie w rublach złotych, a przeto wypłaty wzajemne dokonywane w różnorodnej walucie papierowej o zmiennym kursie będą się stosowały do kursu złota. Narada arbitrów trwała z przerwą obiadową 5-6 godzin. Parokrotnie wzywali mię oni do siebie dla

poufnego podzielenia się ze mną pierwszymi wnioskami swymi i usłyszenia mojej opinii lub uwag przed decyzją ostateczną. Za podstawę szacunku przyjęli oni ceny przeciętne ziemi i lasu z roku 1914, to znaczy normalnego czasu przedwojennego, w rublach waluty złotej, gatunkując wartość ziemi i lasu w poszczególnych schedach i działkach tychże na zasadzie oględzin wczorajszych i naszych informacji. Takich rzeczy, jak zabudowania, ogród owocowy itp., nie szacowali specjalnie. Ziemię bezleśną cenili od 150 rb. złotych za dziesięcinę (w mojej schedzie i w działkach bohdanowskich Elwiry i Maryni) do 70 rb. (w działkach Kotuni i Henrysia w Wiwieliszkach i Janówce); w kumszańskiej schedzie Elizki ocenili ją po 120 rb., a w działce staczeraskiej folwarkowej Elwiry i w działce Cegielni Maryni po 100 rb. Ziemię spod lasu cenili w Gaju (u mnie i Maryni) po 100 rb. dziesięcina, w Staczeragach (u Elwiry i Elizki) również po 100 rb., w Montowszczyznie u Kotuni po 70 rb., u Maryni i Henrysia po 50 rb. Las rosnący jako towar ocenili u Elizki w Staczeragach i Montowszczyznie po 220 rb. na dziesięcinie, u Elwiry w Staczeragach i u Kotuni w Montowszczyznie po 200 rb. na dziesięcinie, u Maryni w Montowszczyznie po 150 rb. i u Henrysia w Montowszczyznie po 100 rb., w Gaju zaś (u mnie i u Maryni) – nic, uznając las w Gaju pod względem towarowym za bezwartościowy. Rezultat tego szacunku okazał się dość niespodziewany nie tylko dla nas, którzyśmy nie znali cen, jakie arbitrowie przyjęli za punkt wyjścia, ale i dla samych arbitrów. Tak – my liczyliśmy zawsze, że o ostatecznej wartości sched zadecyduje las, co zaś do ilości dziesięcin, byliśmy zdania, że wartość lasu tak będzie dominowała nad wartością ziemi, iż większa lub mniejsza ilość dziesięcin w schedzie, to znaczy jej wielkość stosunkowa, będzie czymś zgoła podrzędnym. Zdawało się więc nam wobec tego, że taka np. scheda, jak moja, która jest największa, ale ma las najgorszy, pozbawiony wszelkiej wartości towarowej, otrzyma grubą dopłatę. Byliśmy też pewni, że znaczna dopłata wypadnie Maryni, która ma słabszy las. Liczyliśmy też, że wielki ciężar wypłat nałożony będzie na Elizkę, która ma las doskonały. Tymczasem w pierwszym obrachowaniu arbitrów, który nieco zdziwił ich samych i którego oni nie ogłosili, jeno mnie poufnie przedstawili, okazało się, że poza Elwirą, która oczywiście ma najwięcej do zapłacenia, bo i las najlepszy, i ziemi prawie że najwięcej, spłacać musimy i ja, i Elizka, i Marynia i że nawet niewielka jest różnica między obciążeniem mnie i Elizki. Okazało się, że ilość ziemi, czyli wielkość schedy jest w tym szacunku bardzo poważnym czynnikiem wartości. Po poufnej rozmowie ze mną arbitrowie wkrótce wezwali nas dla ogłoszenia rezultatu. Okazało się, że zmienili nieco pierwszy wniosek, strąciwszy ze schedy mojej, Maryni i Elwiry po 500 rubli tytułem tego, że my przyjęliśmy pewnego rodzaju moralny obowiązek wobec rodziny utrzymania działek bohdaniskich i niesprzedania ich w obce ręce.

26 czerwca, rok 1921, niedziela
Arbitrowie wczoraj wieczorem się już rozjechali i czynność ich została zakończona. Zreferuję ją w dzienniku od punktu, na którym stanąłem wczoraj. Gdy nas arbitrowie wezwali, przyszliśmy wysłuchać ich nie decyzji jeszcze, lecz wniosku. Było bowiem postanowione z góry, że arbitrowie po ustaleniu szacunku przedstawią go nam wpierw w postaci wniosku nie mającego na razie cech decyzji ostatecznej. Wniosek ten zostaje poddany naszej krytyce. Spadkobiercy mogą zgłaszać do tego wniosku wszelkie uwagi i zastrzeżenia. Po wysłuchaniu tych uwag arbitrowie wydadzą decyzję ostateczną. Podług więc wniosku arbitrów, szacunek poszczególnych sched w rublach waluty złotej wyrażał się, jak następuje:
1. scheda moja 13 175 rb.
2. scheda Elwiry Mieczkowskiej 16 415 rb.

3. scheda Elizki Komorowskiej 14 265 rb.
4. scheda Maryni Römerowej 11 500 rb.
5. scheda Kotuni Pruszanowskiej 11 575 rb.
6. scheda Henrysia Wołłowicza 7 185 rb.
Ogólna wartość spadku wynosiłaby więc około 75 000 rb. w złocie. Idealna równa scheda spadkowa powinna wynosić 12 350 rb. Wobec tego:

1. ja spłacam 925 rb.
2. Elwira spłaca 4 125 rb.
3. Elizka spłaca 1 815 rb.
4. Marynia otrzymuje dopłaty 850 rb.
5. Kotunia otrzymuje dopłaty 775 rb.
6. Henryś otrzymuje dopłaty 5 165 rb.

Cyfry te są w szczegółach niezupełnie ścisłe i trochę się nie zgadzają ze sobą, a to dlatego, że cytuję je z brulionu arbitrów, który mam przed sobą. Ponieważ ruble są liczone w złocie, więc sumy te same przez się w stosunku do cen przedwojennych bardzo niewysokie, wyrastają znakomicie, gdy je przerachujemy na pieniądze bieżące podług kursu złota.
Ponieważ rubel złoty odpowiada w tej chwili ± 30 markom niemieckim, stanowiącym podstawę waluty obowiązującej w Litwie, więc każdą z sum powyższych trzeba pomnożyć na 30. Takiej więc Elwirze wypadłoby spłacić sto dwadzieścia kilka tysięcy marek. Otóż suma ta wydaje się już ogromną, szczególnie dla osoby, która, jak Elwira, nie ma gotówki i dla której w ciągłej pogoni za pieniędzmi każda marka, a tym bardziej każda setka, a cóż dopiero każdy tysiąc wydaje się czymś bardzo trudnym do zdobycia, a przeto bardzo wysoko wartościowym. A że moje siostry, które niedawno przyjechały z Polski, przywykły do marek polskich, więc sumy te, przerachowując je na marki polskie podług obecnego stosunku tychże do marek niemieckich, wyrażającego się w cyfrze 20:1, wydają się wprost kolosalne. 4125 rubli złotych Elwiry wyrastają w markach polskich do zawrotnej cyfry około 2 ½ milionów marek, które obciążają jej schedę. Toteż biedna Elwira przeraziła się nie na żarty. Jest już znerwowana wielkimi trudnościami, które wyrastają ze wszech stron, a które przerastają jej siły i jej głowę. Jeszcze bardziej przeraża ją odpowiedzialność wobec jej męża, Stefana, który z daleka ją gderze i przepowiada jej ciągle w listach, że Elwira nie da sobie rady w dziale i że da sobie narzucić ciężary, którym nie podoła.
Stefan jest zresztą takim człowiekiem, który zawsze będzie malkontentem i zawsze będzie uważał, że on lub żona są skrzywdzeni przez rodzinę. Z góry wiadomo, że żadna scheda go nie zadowoli. Jeżeli Elwira otrzyma schedę najlepszą, to będzie dostrzegał krzywdę w spłatach, które ją obciążają, a gdyby otrzymała schedę moją, to narzekałby na brak lasu i wytykałby to jako krzywdę; gdyby zaś otrzymała schedę najgorszą Henrysia z dużą dopłatą pieniężną, to znów krzywdą by nazywał wyrównanie jej pieniędzmi, wykazując bezwartościowość pieniędzy papierowych i długie oczekiwanie na ich wypłatę. W każdym wypadku Stefan Mieczkowski byłby niezadowolony i zawsze zarzucałby Elwirze, że się dała nabrać. Taka jest jego natura. Elwira wie o tym dobrze. Sama się gniewa za to na Stefana, ale swoją drogą to ją drażni i denerwuje więcej i czyni ją niespokojną. Chciałaby ona imponować Stefanowi, a tymczasem Stefan uważa ją za niepraktyczną, niezaradną, dającą się nabrać. Toteż perspektywa wielkiego ciężaru spłaty przeraża ją bodaj nie tyle nawet sama przez się, ile ze względu na nową broń, którą Stefan ukuje z tego przeciwko niej, zdobywając nowy argument do dręczenia jej i nowe źródło walki z nim i rozterek kłótni. Toteż biedne troski stosunku

rodzinnego gnębią Elwirę nie mniej od obaw materialnych. Zapomina ona o zaletach swej schedy i przeraża się samymi ciężarami. Wniosek powyższy arbitrów uległ wszakże zmianie, ale o tym jutro.

27 czerwca, rok 1921, poniedziałek
Wracam do relacji o pozawczorajszym szacowaniu sched przez arbitrów. Wysłuchaliśmy wniosku arbitrów. Elwira, przerażona sumą obarczającej ją wypłaty, przyjęła wniosek z oburzeniem i protestem. Za inicjatywą moją i Hektora zaproponowaliśmy arbitrom strącenie 25% z oceny ziemi użytkowej i 50% z oceny ziemi pod lasem. Ponieważ wszyscy spadkobiercy to przyjęli, arbitrowie chętnie się na to zgodzili. Wpłynęło to na pewne złagodzenie ostateczności między plusami jednych a minusami innych sched i zmieniło nieco ich stosunek wzajemny. Po dokonaniu tej poprawki arbitrowie przedstawili nam cyfry decydujące. Wyraziły się one tak:
1. moja scheda wynosi 9 630 rb. w złocie
2. scheda Maryni Römerowej 9 245 rb. w złocie
3. scheda Elwiry Mieczkowskiej 13 110 rb. w złocie
4. scheda Elizki Komorowskiej 11 595 rb. w złocie
5. scheda Kotuni Pruszanowskiej 10 000 rb. w złocie
6. scheda Henrysia Wołłowicza 6 000 rb. w złocie
Wartość ogólna spadku – 59 580 rb. w złocie.
Idealna scheda równa wynosiłaby z pewnym zaokrągleniem 10 000 rb. Wobec tego:
1. Elwira dopłaca 3 110 rb. w złocie
2. Elizka dopłaca 1 595 rb. w złocie
3. Kotunia nie dopłaca i nic nie otrzymuje
4. ja otrzymuję 370 rb. w złocie
5. Marynia otrzymuje 755 rb. w złocie
6. Henryś otrzymuje 4 000 rb. w złocie
Spostrzegam, że te cyfry nie są dokładne, bo przyjmując je wypadłoby, że suma ogólna do spłacenia jest niższą od sumy ogólnej do otrzymania. Dla wyrównania więc, aby te sumy się wzajemnie pokrywały, trzeba obniżyć dopłaty należne mnie, Maryni i Henrysiowi po 140 rb. w złocie na każdego. Ja więc będę miał do otrzymania nie 370, lecz tylko 230 rb. w złocie, Marynia – 615 rb. w złocie i Henryś – 3 860 rb. w złocie. Arbitrowie, wyjeżdżając, nie spisali protokołu decyzji swojej. O spisanie protokołu i przysłanie go im do podpisu uprosili mnie. Zostawili mi tylko w charakterze materiału bruliony swoje i krótki konspekt podpisany przez Koziełłę i Rutkowskiego. Materiały te zawierają drobne niedokładności, które muszę sam prostować i nawet poniekąd dotwarzać, idąc za wątkiem myśli arbitrów przy spisywaniu protokołu, co dziś zacząłem czynić.
W uchwałach arbitrów jest jeszcze jedna rzecz ważna. Powstawała mianowicie kwestia, jak się zachować przy szacowaniu sched wobec możliwości dotknięcia naszych sched lub części tychże różnymi zarządzeniami reformy agrarnej, będącymi w toku. Dotyczy to głównie trzech pozycji: 1) możliwości upaństwowienia lasów bohdaniskich przy nieuwzględnieniu przez Departament Leśny naszego działu jako dokonanego po wydaniu ustawy leśnej z dnia 14 VIII 1920; 2) możliwości wydania ustawy uwłaszczającej długoletnich dzierżawców, co szczególnie zagrażałoby Wiwieliszkom w schedzie Kotuni, gdzie dzierżawca Bejnarowicz siedzi od lat 30; 3) możliwości wywłaszczenia ze sched mojej, Elwiry, Maryni i Elizki nadmiaru przekraczającego normę maksymalną nietykalnej własności, mającą wynosić 80 hektarów (± 70 dziesięcin). Gdy arbitrowie podnieśli tę kwestię, wskazałem im, że widzę tu tylko dwie metody rozwiązania trudności: albo metodę dyskontu ryzyka, to znaczy uwzględnienia

go w szacunku i strącenia pewnej sumy na to konto, albo metodę wzajemnej asekuracji, polegającą na ustaleniu z góry zasad wzajemnego odszkodowania na wypadek zrealizowania niebezpieczeństwa. Pierwsza metoda jest mniej sprawiedliwa, ale bardziej odpowiada pierwiastkowi własności i czyni dział ostatecznym. Druga metoda może bardziej zadowolić sprawiedliwość i równość warunków, ale ekonomicznie jest mniej dogodna, bo pozostawia stosunki własności nieustalonymi. Arbitrowie przyjęli tę drugą metodę – wzajemnej asekuracji, ale tylko co do lasów i możliwości uwłaszczenia dzierżawców w Wiwieliszkach i Janówce. Możliwość wywłaszczenia nadmiaru ziemi ponad normę nie uwzględnili, uważając, że ze względu na niewielkie nadmiary w naszych małych schedach niebezpieczeństwo jest małe; wątpliwe jest, czy reforma z całą konsekwencją aż do drobnych folwarków doprowadzona będzie.

28 czerwca, rok 1921, wtorek
Co do orzeczenia arbitrów, pozostaje mi dodać kilka jeno słów. Dotyczy to gwarancji wzajemnych na wypadek upaństwowienia lasów bohdaniskich i na wypadek uwłaszczenia długoletnich dzierżawców w Wiwieliszkach i Janówce. W pierwszym wypadku wartość sched ulega zmianom, ponieważ z szacunku odpadają las rosnący i ziemia spod lasu, stosunek więc wypłat wzajemnych także się zmieni; wtedy wartość sched ma być ustalona na nowo na podstawie szacunku jedynego tylko czynnika – ziemi użytkowej. W drugim wypadku wszyscy spadkobiercy będą obowiązani wynagrodzić poszkodowanego, każdy w stosunku 1/6 części odpowiednio do przyjętej przez arbitrów wartości ziemi w Wiwieliszkach i Janówce (po 70 rb. w złocie za dziesięcinę z potrąceniem 20%).
Ostatnie dni w Bohdaniszkach mam pełne pracy papierowej. Zredagowałem protokół oszacowania arbitrów, umowę moją z Marynią na dzierżawę mojej schedy, wzór plenipotencji Elwiry dla Stefana. Muszę spisać rachunki spadkowo-dzielcze i ustalić, kto komu ile winien, następnie spisać umowę z Elwirą na wynajęcie jej połowy mego domu parobczanego, zredagować testament dla Maryni, również testament dla Kazimierza Jankowskiego i umowę prywatną na sprzedaż półwłócza w Janówce temuż Kazimierzowi od imienia Henrysia. Ta ostatnia umowa ma pokryć darowiznę. Są jeszcze i inne akty do spisania przed wyjazdem. Trzeba by jeszcze uporządkować papiery i rzeczy w gabinecie Papy, ale na to nie mam już czasu.
Marynia cieszy się z dopłaty, która wypadła na rzecz jej schedy od Elizki Komorowskiej. W markach naszych wyniesie ona około 20 000. Gotówka ta dźwignie Marynię. Przychodzi ona bardzo w porę, bo najcięższym jest brak gotówki właśnie w czasie zagospodarowywania się. Sześć i pół tysięcy Hektor już wpłacił na to konto Maryni. Zaraz wczoraj pojechała ona z pieniędzmi na targ do Rakiszek i kupiła dwa konie. Elwira wciąż jeszcze sarka na decyzje arbitrów i jest biedaczka przerażona wysokością obarczającej ją wypłaty. Jest znerwowana i zmęczona pracą, kłopotami, niepokojem. Jest przygnębiona i źle wygląda. Gospodarka nie idzie jej też tak, jak Maryni. W dodatku zachorował jej synek, Andrzej, u którego uformował się jakiś guz podskórny na lewej nodze w okolicy pachwiny. Nie wiadomo, co to jest, bo zdaje się – nie wrzód. Obawiamy się, aby to nie były tuberkuły. Trzeci dzień Andrzej leży. Chodzić nie może, bo noga boli i może ją trzymać tylko podkurczoną. Biedna Elwira pociesza się tylko tym, że ta część wypłaty, która się od Elizki należy Henrysiowi, będzie na razie wypłacona do rąk jej, a dopiero ona będzie winna Henrysiowi. Da to jej trochę gotówki na początek, tak niezbędnej w jej warunkach.

29 czerwca, rok 1921, środa

Z powodu św. Piotra wypadło mi pojechać do Gaczan na imieniny Piotra Rosena, obchodzone tradycyjnie. Pojechaliśmy tam po obiedzie z Elwirą w mojej linijce konikiem roboczym Maryni. W Gaczanach gości było niewiele. Oprócz nas był tylko pan Lysander z Krewna, ksiądz proboszcz Meilys z Jużynt i pani Masiulisowa. Zabawiliśmy kilka godzin, byliśmy na kawie i kolacji i na noc wróciliśmy do domu. Rozmowa toczyła się naturalnie na temat reformy agrarnej, uchwalonej artykułami w drugim czytaniu przez Sejm, ale ton nienawiści do Litwy i napaści na rządy litewskie był miarkowany obecnością Litwinów – proboszcza i Masiulisowej.
Od Lysandra posłyszałem, że w Krewnie krąży wersja, że to może ja przyczyniłem się do wykrycia rozgałęzionej organizacji rewolucyjno-komunistycznej w tych stronach i masowych aresztów jej członków. Wersja ta opiera się na spostrzeżeniu, że areszty te rozpoczęły się wkrótce po moim przyjeździe do Bohdaniszek i że szczególnie dużo było aresztowań w okolicach Bohdaniszek. Przypuszczają więc, że to ja, jako znający dobrze stosunki miejscowe i mający informacje źródłowe, mogłem udzielić władzom dokładnych wskazówek o organizacji i ludziach. W istocie nie miałem z tą sprawą nic wspólnego. Ale oto taka wersja, na wypadek, gdyby przyszli bolszewicy, wystarczyłaby z pewnością do oskarżenia mię o akcję kontrrewolucyjną przeciwko ludowi, a może nawet do rozstrzelania, bo u bolszewików dochodzenia i egzekucje są krótkie.

30 czerwca, rok 1921, czwartek
Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Żal mi wyjeżdżać, bo dobrze mi było z siostrami. Mam wrażenie, że lepiej się czuję w Bohdaniszkach teraz, niż się będę czuł w przyszłości, kiedy prawdopodobnie zamieszka w Bohdaniszkach Stefan Mieczkowski, a Marynia może sprowadzi swego majora. Milsze mi są siostry same, niż z ich mężami.
Moje wakacje bohdaniskie dalekie były od „*dolce far niente*" albo „*kejfu*" wschodniego. Spędziłem je pracowicie na wykańczaniu działu i załatwianiu interesów majątkowych. Nie skarżę się jednak na to, bo wypoczynek polega bodaj nie tyle na próżniactwie, ile na zmianie trybu życia i zajęcia. Wszakże niepewność sytuacji co do utrwalenia działu, zwłaszcza lasów, niepokój i widok ciężarów ponad siły, z którymi borykają się moje biedne siostry, a zwłaszcza żal Elwiry, która w troskach o dzieci i o majątek wytęża resztki sił, wyczerpuje się i prawdziwie nie jest w stanie podołać pracy w gospodarstwie i znowu zaczyna mizernieć, źle wyglądać i trawić się lękiem – to są rzeczy o wiele gorsze niż praca i denerwują one i nie przyczyniają się do wypoczynku. O wiele lepsze wrażenie czyni Marynia. Ta czasem irytuje się, gderze, narzeka, ale przygnębieniu nie poddaje się nigdy, jest pełna energii, wiary w swe siły i namiętności do swojej pracy, w której się kocha. Toteż u niej wszystko w gospodarstwie idzie lepiej, dźwiga się i tworzy. Gdyby jej jeszcze dodać majora, udostępnić przyjazd do niej na wakacje Ewy z mężem, a jeszcze dać jej możność od czasu do czasu w jesieni lub zimą puszczenia się trochę w świat, za granicę, do Polski, do Wilna, do znajomych i krewnych, to nic by jej do szczęścia nie brakowało. Szkoda mi wyjeżdżać, bo wszystko mię w Bohdaniszkach interesuje, szczególnie w gospodarstwie Maryni, w którym plastycznie realizuje się jej twórczość i przyjemność mi sprawia obserwowanie postępów w gospodarstwie, widok jej wysiłków, jej gromadzenie zapasów siana obecnie, potem żniwa, ogród owocowy, ogrody warzywne itd. Lubiłbym to wszystko widzieć, uczestniczyć w jej radości, obserwować ten ruch twórczy pracy i umiejętnej organizacji.
Biedna Elwira ma nowy ciężki kłopot, który ją gniecie strasznym niepokojem. Chodzi o jej synka Andrzeja, który wciąż jest chory, leży, ma nóżkę przykurczoną i jakiś dziwny guz podskórny. Elwira nie należy do osób skarżących się, które w głośnym stękaniu znajdują ulgę i prawie że się pocieszają. Zaciska ona zęby i trawi ból w sobie, męcząc się tym więcej i ulegając głębokiemu przygnębieniu.

Wyjeżdżam z Bohdaniszek na noc na Abele. *Adieu* – do sierpnia. Niech Bóg strzeże Bohdaniszki i siostry moje!

1 lipca, rok 1921, piątek
W nocy Kligys konikiem roboczym Maryni w deszczu odwiózł mię na stację kolejową do Abel. Musiałem tam jeszcze parę godzin czekać na odejście pociągu. Dawny, przedwojenny budynek stacyjny w Abelach ocalał. Od czasu zajęcia Iłówki przez Łotyszów, a następnie przyznania jej Łotwie na stałe, Abele stały się stacją pograniczną litewską. Pod względem ruchu osobowego i towarowego między Litwą a Łotwą Abele w tej chwili żadnej roli nie grają, bo cały ten ruch normalny skierowuje się na Możejki, a zresztą semigalski skrawek Łotwy stanowi teraz głuchy i martwy kąt. Zdaje się, że normalnej komunikacji kolejowej między Abelami a Kałkunami nie ma nawet wcale. Abele stały się zapadłą stacją kresową Litwy, do której docierają tylko mieszkańcy miejscowi oraz podróżni udający się stąd końmi do odciętego od kolei współczesnego powiatu jezioroskiego. Martwe co do normalnego ruchu komunikacji, stały się natomiast Abele bardzo ruchliwym punktem pod innym względem. Tędy mianowicie toczy się do Litwy wielka fala reemigracji uchodźców z Rosji. Od kilku miesięcy płyną z Rosji przez Łotwę na Dyneburg do Abel pociągi za pociągami, pełne tysięcy i tysięcy reemigrantów. Płyną one z dalekiej północy, ze wschodu, z południa, wioząc niewyczerpaną rzekę ludzi, wśród których jednak pierwsze miejsce liczebnie stanowią nawet nie Litwini, lecz Żydzi. W Abelach są dla tych reemigrantów urządzone łaźnie, kwarantanna, punkt żywnościowy. Wskutek tego i służby odpowiedniej, i wojska dużo. Na stacji kolejowej snuje się przeto co dzień mnóstwo tych reemigrantów, którzy po odbyciu kwarantanny udają się stąd w dalszą drogę w głąb Litwy. We dnie zaś w różnych porach przychodzą ze wschodu tzw. „eszełony", to znaczy pociągi wiozące transporty tych ludzi z Rosji, ale ze stacji prowadzą ich zaraz do baraków myć, dezynfekować i osadzać na kwarantannę. Uchodźcy ci przestali już tu być nowością. Oswojono się z nimi, z ich opowiadaniami o Rosji, ich rublami sowieckimi, które się wymieniają za tysiąc po pół naszej marki, ich nieraz niedolą, a czasem i bogactwem (w rzeczach i kosztownościach, nie zaś w pieniądzach, które w Rosji przestały być miernikiem fortuny).
Do Kowna przyjechałem o godz. 6 ½ wieczorem i udałem się zaraz dorożką do siebie na Górę Zieloną. Byłem na kolacji w restauracji ogrodu miejskiego, gdzie spotkałem się z Andrzejem Bułatem i jego żoną.

2 lipca, rok 1921, sobota
Poszedłem do Trybunału. Dowiedziałem się, że nie tylko Janulaitis, ale i prezes Trybunału Kriščiukaitis bawi na urlopie. Będę więc w lipcu sam jeden w Trybunale zastępując prezesa i uosabiając cały Trybunał, to znaczy najwyższą władzę sądową Litwy. Ale prezes Kriščiukaitis bawi na letnim mieszkaniu gdzieś w okolicach Kowna i na posiedzenia będzie przyjeżdżał osobiście. Pierwsze posiedzenie odbędzie się we środę.
Sprawa wileńska jeszcze raz się rozbiła. Była ona rozpoznawana w Genewie na sesji Ligi Narodów. Rezolucja Ligi Narodów oparła się na brukselskiej propozycji Hymansa[564]. Liga Narodów proponuje wznowienie rokowań bezpośrednich polsko-litewskich w Brukseli w połowie lipca z udziałem wszakże przedstawicieli ludności wileńskiej. Ten udział „przedstawicieli Wilna" jest wszakże bardzo niewyraźnie w propozycji Ligi sformułowany, jeżeli tylko ogłoszony w pismach litewskich tekst nie

[564] Rada Ligi Narodów 28 czerwca 1921 r. zaakceptowała projekt P. Hymansa z maja tegoż roku jako podstawę dalszych rokowań polsko-litewskich.

jest zmylony. Przedstawiciele ludności wileńskiej mają uczestniczyć w obydwóch delegacjach, litewskiej i polskiej ! Cóżby to było za przedstawicielstwo !? Oczywiście każda delegacja dobrałaby sobie takich „przedstawicieli Wilna”, którzy są dogodni dla niej. Pod tym względem wniosek Ligi jest bardzo niewyraźny w opublikowanym brzmieniu. Jednocześnie z rozpoczęciem rokowań miałyby być nawiązane stosunki regularne między Litwą a Polską. Jednocześnie też miałaby być rozpoczęta w Wilnie ewakuacja wojsk Żeligowskiego, która powinna być zakończona do 1 września. W Wilnie pozostaje tylko milicja czy straż bezpieczeństwa w ilości 5000 ludzi (w Wilnie i w „Litwie Środkowej”, ale na jakim terytorium, ściśle nie określono), zarząd kraju należy do komisji międzynarodowej. W dniu 1 września Litwa demobilizuje swoje wojsko i cofa je z linii demarkacyjnej w głąb kraju. Układ, który będzie zawarty w Brukseli, ulega ratyfikacji Sejmów polskiego i litewskiego, ale potem ma być ratyfikowany także przez Sejm Wileński! Tak brzmią, w relacjach doniesień telegraficznych, wnioski Ligi Narodów. Prasa litewska ostro je krytykuje i uznaje w nich stronniczość Ligi na rzecz Polski przeciwko Litwie. Delegacja polska w Genewie pono zaakceptowała te wnioski, natomiast litewska oświadczyła, że się musi odwołać do swego rządu i w tych dniach wraca do Kowna. Prasa litewska uważa wnioski Ligi Narodów za nie do przyjęcia dla Litwy.

3 lipca, rok 1921, niedziela
Miałem dziś bardzo przyjemną wizytę. Tym przyjemniejszą, że zupełnie niespodziewaną. Odwiedził mię pan Tadeusz Mieczysław Skarżyński[565] z Łomży, brat sędziego Zygmunta Skarżyńskiego. Ma on majątek ziemski w Litwie w powiecie sejneńskim i przyjechał do Litwy na krótko w sprawach tegoż majątku, który zresztą z mocy ustawy sejmowej o majątkach nie gospodarowanych osobiście przez właścicieli jest wzięty w zarząd państwowy. Bawiąc w Kownie przelotnie, odszukał mię, by mi złożyć wizytę i przypomnieć naszą znajomość łomżyńską oraz poinformować się u mnie o różnych ustawach obowiązujących, dotyczących własności ziemskiej w związku z projektowaną reformą agrarną. Wizyta ta była dla mnie prawdziwą rozrywką. Zabawił u mnie pan Skarżyński ze trzy godziny. Przypomnieliśmy sobie Łomżę, wspólnych znajomych, stosunki tameczne. Opowiadał mi Skarżyński o Polsce, o prądach politycznych tamże, o sytuacji gospodarczej, o tysiącach rzeczy i tematów niezmiernie interesujących. Jest to endek, konserwatysta, jeden z przywódców reakcji w ziemi łomżyńskiej, ale człowiek niewątpliwie rozumny, biorący wybitny udział w ruchu przemysłowym i finansowym, głowa dobra mimo pewną jednostronność polityczną, która zresztą nadaje większą wyrazistość kierunku jego obserwacjom i myślom, i człowiek miły. Zapatruje się bardzo optymistycznie na przyszłość Polski i na rozwój obecny stosunków społecznych i gospodarczych tamże, w których stwierdza wyraźną reakcję porewolucyjną, ożywienie tempa produkcji, pracy i organizacji oraz zwrot od etatyzmu do inicjatywy prywatnej i wolności działania. Z jaką przyjemnością byłbym teraz pojechał odwiedzić Łomżę, pogawędzić z szeregiem przyjaciół oraz przyjrzeć się znów stosunkom w Polsce.
Kocham Litwę i nie żałuję, żem do niej wrócił. Kocham ją więcej od Polski. A jednak zawsze jestem w duszy dwoistym, zawsze jestem Polako-Litwinem czy Litwino-Polakiem, płodem formacji dwóch pierwiastków – litewskiego i polskiego – i zawsze nie tylko że nie potrafię, jak większość rdzennych Litwinów-narodowców z inteligencji,

[565] Tadeusz Mieczysław Skarżyński (1865-1930), ziemianin, działacz społeczny i polityczny, zwolennik ruchu narodowo-demokratycznego, działacz Towarzystwa Oświaty Narodowej, 1907 uzyskał mandat do II Dumy (z guberni łomżyńskiej), 1908 wybrany do rosyjskiej Rady Państwa, 1918 z ramienia sejmiku łomżyńskiego wszedł do Rady Stanu Królestwa Polskiego.

nienawidzić Polski, ale ją kocham mimo wszelkie zatargi polsko-litewskie, kocham, jak drugą ojczyznę. Przez całe moje życie oscyluję między Litwą i Polską i bywam czasami bardziej Litwinem, to znów bardziej Polakiem. Rozumiem całą głębię konfliktu między Litwą narodową a Polską, który się nie wyczerpuje tylko sporem politycznym i terytorialnym o Wilno lub inne zagadnienie stosunków państwowych. Rozumiem, że konflikt ten sięga głębiej w sam rdzeń problemu życia lub śmierci Litwy, jej narodowości, jej indywidualności kulturalnej i psychicznej. Rozumiem to i nie łudzę się, aby problem ten dał się łatwo rozwiązać jakimś układem formalnym, jakąś ugodą podług recepty Hymansa czy innej, jakimś wreszcie *modus vivendi* w rozstrzygnięciu sprawy wileńskiej. I o ile w konflikcie tym indywidualność litewska jest zagrożona, a wiem i czuję, że jednak niebezpieczeństwo jest dla niej realne i nie z palca tylko „litwomanów" wyssane, o tyle sympatie moje są po litewskiej stronie i przeciwko polskiej. Nie tylko dlatego, że uczucie idealne sprawiedliwości nakazuje mi stawanie po stronie zagrożonej przeciwko agresywnej, bo wbrew pozorom antypolska agresywność Litwinów jest tylko postacią obrony, zaś pod łaskawym protekcjonalizmem Polski, otwierającym ramiona do Litwy, kryje się głęboka historyczna agresywność plemienia polskiego, pochłaniającego Litwę w objęciach tak, jak promienie słońca topią lód, ale jeszcze bardziej dlatego, że kocham indywidualność litewską, wierzę w jej pierwiastki psychiczne i uważam ją za nieskończenie piękne i wartościowe, których kult ma wagę absolutnie dodatnią. Bo zresztą w sobie samym tę indywidualność litewską czuję i kocham i ze wszystkich sił pragnę jej zachowania. Zdaje się, gdybym był malarzem o zdolnościach Čurlanisa[566], wyraziłbym tę indywidualność litewską w kształcie i barwach lepiej i mocniej, niż opisać ją można słowem. Wiem, jak trudne jest pogodzenie pierwiastka litewskiego z polskim na zasadzie utrzymania indywidualności pierwszego i nie żywię nadmiernego optymizmu co do rozwiązań politycznych sporu. Ale nie byłbym nigdy bardziej szczęśliwy, niż gdybym mógł ujrzeć takie pojednanie, aby się ono dokonało masowo, tak, jak się dokonało osobiście we mnie, to znaczy stapiając pierwiastek litewski z polskim, ale z zachowaniem miłości litewskiego i wolą gorącą jego rozwoju i rozkwitu indywidualnego.

4 lipca, rok 1921, poniedziałek
Od dnia dzisiejszego rozpocząłem urzędowanie w Trybunale. Codziennie będę tam spędzał po parę godzin, załatwiając w zastępstwie prezesa sprawy bieżące. Co do spraw wyznaczonych na posiedzenia, których referowanie do mnie obecnie należeć będzie, to jeszcze nie ustaliłem, czy je będę studiował u siebie w domu, czy w Trybunale. W Kolnie i Łomży czyniłem to wyłącznie w sądzie i do domu nigdy żadnych spraw nie brałem. Tu jednak, w Kownie, w Sądzie Okręgowym pracowałem nad sprawami, poza posiedzeniami oczywiście, wyłącznie w domu, bo w lokalu sądu nie było miejsca odpowiedniego do pracy. Być może jednak, że w Trybunale wrócę do praktyki łomżyńskiej, bo sekretarz mi mówi, że prawdopodobnie otrzymam tu osobny gabinet, co byłoby mi bardzo na rękę.
Wczoraj wieczorem wybrałem się do kinematografu. Rzadko mi się to zdarza, bo w ogóle nie jestem zbytnim entuzjastą widowisk ani amatorem sztuki kinematograficznej w zastosowaniu do dramatów, które są najczęściej na ekranach ku uciesze i podrażnieniu nerwów tłumu przedstawiane. Zresztą przywykłem pędzić życie tak pracowite i samotne, że o rozrywkach zewnętrznych zwykle nawet nie myślę. Dość powiedzieć, że przez cały czas pobytu w Łomży, o ile mię pamięć nie myli, nie byłem w kinematografie ani razu i również ani razu dotąd nie byłem w nim w Kownie. Udałem się do kinematografu pod nazwą „Palas" przy Laisvės Alei. Okazało się jednak,

[566] Mikalojus Konstantinas Čiurlionis (1875-1911), wybitny kompozytor i genialny malarz litewski.

że to już nie jest kinematograf, bo w lokalu tym mieści się teraz kabaret pod nazwą „Wypoczynek Komediantów", o którym czytywałem w ogłoszeniach i reklamach. Poszedłem więc na widowisko. Jest to kabaret czysto widowiskowy, w którym się siedzi jak w teatrze, bez stolików, jadła i trunków, a przeto i bez zabawy samej publiczności. Przedstawienie trwa bez antraktów około 1½-2 godzin. Po każdym seansie publiczność, która go oglądała, usuwa się i jej miejsce w teatrze zajmuje nowa publiczność, która przez ten czas napłynęła; dla niej produkuje się znowu cały repertuar dnia – i tak w kółko. Kabaret jest rosyjski lub rosyjsko-żydowski, bo antreprenerzy i większość artystów są Rosjanie i rosyjskim jest przeważnie repertuar piosenek, a przynajmniej rosyjska jest najcharakterystyczniejsza część programu, a publiczność przeważnie żydowska, choć nie brak dziewczynek i w ogóle młodzieży kategorii „tutejszych", to znaczy nieokreślonej narodowości litewsko-polskiej z pewnym polorem rosyjskim, zastępującym czasem w pewnych środowiskach dawną francuszczyznę sfer wyższych arystokracji. Jest to młodzież przeważnie rzemieślniczo-robotnicza z ludu miejskiego. Inteligencji natomiast ani polskiej, ani litewskiej wśród publiczności nie widać i nie dziwię się temu, bo takie kabareciki pełnią wcale nieprzyjemną rolę „*kulturträgerstwa*" rosyjskiego, sączą w poszukującą rozrywek młodzież ludową Kowna „sztukę" kabareciarską w szacie moskiewskiej. Dla uczynienia zadość względom państwowości litewskiej pierwszy numer programu wykonywa się w języku litewskim. Jest to zresztą jakaś staroświecka serenada hiszpańska odśpiewana słowami litewskimi z nut przez Rosjanina, która nic wspólnego ani z pieśnią, ani z charakterem litewskim nie ma. Zresztą sztuka pieśniarska i taneczna ludowa litewska nic wspólnego ze stylem kabaretów nie ma i żadnych wzorów w tym kierunku nie wytworzyła, więc artyści kabaretowi rosyjscy nie mają nawet z czego czerpać, a w międzynarodowym szablonie pieśniarstwa kabaretowego Litwini też nie zaczęli jeszcze tworzyć niczego. Kabaret artystyczny litewski, który istniał w roku zeszłym, był narodowym i wybitnie artystycznym, tworząc całkiem oryginalny wyraz kultury kabaretowej o wysokim poziomie inteligenckim, który mógł być wykonywany tylko przez artystów Litwinów i dla publiczności litewskiej, toteż on wzorów dostarczyć dla uciechy Żydów i młodzi „tutejszej" nie byłby w stanie (był to kabaret pod nazwą „Vilkolakas"). Na serenadzie hiszpańskiej odśpiewanej słowami litewskimi skończył się cały hołd Litwie, a dalej już poszedł jednym ciągiem program w stylu międzynarodowo-moskiewskim. Przeplatały się tańce solowe artystek i piosenki. Szły piosenki rosyjskie, parę niemieckich, jedna – żydowska, odśpiewana przez pełną wdzięku młodą artystkę operetki żargonowej, stanowiąca może najładniejszą i najwięcej mającą wyrazu cząstkę programu. Po języku litewskim, rosyjskim, niemieckim i żydowskim czekałem, czy coś się i w języku polskim zaprodukuje. Ależ gdzie tam. Polski jest wyklęty, nieprawomyślny w Kownie, mającym większość stosunkową polską. Dla panów artystów Moskali i dla ich publiczności żydowskiej języka polskiego trzeba się przez „patriotyzm" litewski wystrzegać bardziej od samych Litwinów, a bydło chrześcijańskiej młodzieży „tutejszej" nie upomni się o rodowite słowo polskie, gdy się go modną rosyjskością nakarmi. Byłem z tego względu pod przykrym wrażeniem. Najbardziej narodowe w stylu były produkcje piosenkarskie rosyjskie – przedstawiane i skomponowane tak, jakby „единая народность"[567] była najrealniejszym faktem. Z niesmakiem opuściłem ten przybytek muzy podkasanej, snującej w Kownie tradycje ciągłości i tożsamości moskiewskiej.

5 lipca, rok 1921, wtorek

---

[567] „*Единая народность*" – jeden naród; jedna narodowowość. Terminem tym posługiwał się nacjonalizm rosyjski dla uzasadnienia tezy o jedności narodowej mieszkańców imperium carskiego.

Po nędznej rozrywce kabaretowej przyszła z kolei wczoraj rozrywka ze sfery rozkoszy, wielka uczta namiętności i misteriów zmysłowych ciała. Takiej uczty atrybutem niezbędnym jest oczywiście kobieta. Tym razem uczta ta udała się lepiej, niż zwyczajnie w takich razach z wynajętą do tego celu dziewczyną. Jeżeli się trafi dziewczyna bezbarwna, zmęczona, bez temperamentu, a nawet taka sobie przeciętna, w której temperament by się znalazł, gdyby go jeszcze rozpalić iskrą uczucia, jeno że to uczucie rzadko się w przygodnych dziewczynach budzi względem kochanków dojrzałego wieku, to rozkoszy osiągnąć niepodobna. Dziewczyna wtedy jest tylko przedmiotem posiadania chwilowego, narzędziem raczej pewnych ucieleśnień wyobraźni, niż instrumentem bezpośredniej rozkoszy. Posiadając takie bierne ciało kupnej dziewczyny, choćby najlepiej wytresowane w ruchach mechanicznych, mężczyzna – nie wiem czy każdy, ale mówię tylko z doświadczenia własnego o sobie – rozkosz doświadcza nie bezpośrednią, wyczuwalną i przeżywaną, jeno skomplikowaną i refleksyjną, racjonalistyczną, że tak powiem, działającą przez wyobraźnię. Spełniając w tej lub innej postaci akt zmysłów z taką dziewczyną, mężczyzna żyje nie samym tym aktem bezpośrednio, lecz wyobraźnią, którą sam wypełnia barwami wizji jaskrawych i podniet, oszukując siebie i podstawiając posiadane ciało pod fikcje tworzone w tęsknotach i chimerach fantazji. Ale dziewczyna, którą posiadłem dziś w nocy, należy do tych, co same przez się stają się instrumentem rozkoszy bezpośredniej bez udziału wyobraźni, bo ta ostatnia przestaje być potrzebna i w blasku jaskrawych barw rzeczywistości nie snuje wcale swoich księżycowych miraży snu. Dziewczyną tą była Katė Juratytė, młoda, ładna Litwinka spod Wyłkowyszek rodem, natura w gruncie zimna i trzeźwa, nie zapalająca się sentymentem, ale rozpłomieniająca się ogniem ciekawości życia i użycia, dreszczem pożądania doświadczeń i zgłębienia wszystkich tajemnic najwyszukańszych perwersji zmysłów i rozpusty, nie kobieta-Madonna, lecz kobieta-Ewa, którą kusi diabeł drzewa świadomości. Z tych dwóch biegunów kobiecości – Madonny i Ewy – każda ma swoją wartość swoistą. Ale Ewa dla mężczyzny dojrzałego, pragnącego rozrywki i biegłego w sztuce zmysłów, jest instrumentem wielkiej rozkoszy. Jej ciekawemu łaknieniu życia, jej nienasyconej pożądliwości doświadczeń i świadomości, które ją wiodą w najtajniejsze ścieżki misteriów, potrafi on jak wąż podstawiać widziadła mamiące i budzić w niej dreszcze wzruszenia głębokie, które spija jak słodycz dziewczyny na wzór pszczoły ściągającej wonny miód z kwiatów. Toteż dobrze się bawiłem z Katė Juratytė. Gdyby nie kosztowność takiej zabawy, chętnie bym z tej dziewczyny uczynił stałą kochankę swoją. Ale o tym ani marzyć nie mogę, tym bardziej, że ładna Juratytė lubi pieniądze i nie uczyni z zysków ofiary, a chciałaby je ciągnąć z kochanków najobficiej. Licząc na walutę złotą nie byłyby to może nawet zbyt wielkie sumy, jeno że moje dochody nie odpowiadają teraz walucie złotej. Dla stałej zabawy z Juratytė trzeba by nie tylko dawać jej pieniądze, ale i pić i zaspakajać jej żądzę wrażeń, co jest kosztowne bardzo. Ta dziewczyna kureczką domową, umiarkowaną i zadawalającą się małym być nie potrafi.
W Trybunale pracuję teraz dość intensywnie. Co prawda, roboty w gruncie nie mam dużo, ale ponieważ praktyka Trybunału, który łączy w sobie rolę dawnego Senatu rosyjskiego z rolą dawnej Izby Sądowej, nie jest mi znana z doświadczenia, więc teraz, w początkach mojej pracy na tym polu, każdy drobny szczegół do załatwienia wymaga z mej strony odpowiedniego przestudiowania go w ustawach, co wykonywam starannie, będąc świadom, jak zawsze, odpowiedzialności w swej pracy – zwłaszcza na stanowisku w najwyższej instytucji sądowej w Republice. Jest też jedna sfera, z którą dotychczas nie miałem żadnej styczności, a która w praktyce Trybunału duże zajmuje miejsce – mianowicie ustawy sądowo-wojenne. Studiowanie ich przy powstających zagadnieniach wymaga ode mnie dużego nakładu pracy.

6 lipca, rok 1921, środa
Odbyło się posiedzenie gospodarcze, częściowo ogólne Trybunału. Stawił się prezes Kriščiukaitis, który spędza wakacje na letnim mieszkaniu o 7 wiorst od Kowna nad Wilią i stamtąd będzie stale przychodził pieszo na posiedzenia. Dla uzupełnienia kompletu był wezwany członek Sądu Okręgowego Sugintas. Obecny był też prokurator Trybunału, człowiek starszy, dobrej tuszy, Litwin typowy, z wyrazu twarzy przypominający Bułata[568]. Prokurator Trybunału jest człowiekiem może niegłupim i w każdym razie mającym doświadczenie i rutynę w swym zawodzie, bo był prokuratorem Izby Sądowej jeszcze za czasów rosyjskich przed wojną na Kaukazie, ale jest też bardzo zarozumiałym i lubi się popisywać swoją doświadczonością fachową. Mieliśmy dziś, oprócz szablonowych kwestii pospolitych parę zagadnień istotnie ciekawych do rozwiązania. Jednym z nich było zagadnienie wniesione przez adwokata Leonasa w kwestii, czy mogą być dopuszczani do obrony w Trybunale adwokaci przysięgli w sprawach karnych, które w drodze kasacji wpłynęły do Trybunału z Sądu Armii i dotyczą wykroczeń formalnych czysto wojskowych, w których w Sądzie Armii adwokaci cywilni do obrony dopuszczani nie są. Przy badaniu odnośnych ustaw kwestia ta okazała się bardzo sporna. Ale o wiele większej wagi była kwestia konstytucyjna, przedstawiona do orzeczenia Trybunału przez ministra sprawiedliwości. Kwestia ta powstała na tle sporu, jaki powstał w gabinecie ministrów głównie między ministrami sprawiedliwości a wojny o to, do którego z nich ma należeć kontrasygnowanie aktów łaski prezydenta Republiki. Spór ten wypłynął z kategorycznej odmowy prezesa Sądu Armii, Šniukšty, spełnienia aktu ułaskawienia kontrasygnowanego przez ministra sprawiedliwości, dotyczącego wyroku Sądu Armii potwierdzonego wyrokiem kasacyjnym czy też apelacyjnym Trybunału. Zagadnienie było sformułowane w dwóch punktach: czy akty łaski powinny być kontrasygnowane i jeżeli tak, to który z ministrów, sprawiedliwości czy wojny, jest właściwy do kontrasygnowania. Kwestia była bardzo sporna. Ustawy wyraźnych przepisów pod tym względem nie zawierają. Pierwszy punkt – że akty łaski ulegają kontrasygnowaniu – dał się ustalić z łatwością i jednogłośnie. Ale drugi punkt wywołał rozbieżność całkowitą zdań. Ja byłem za tym, że w wypadkach należących do właściwości Sądu Armii, do kontrasygnowania aktów łaski właściwym jest bezwzględnie i zawsze minister wojny, choćby chodziło o wyrok Trybunału. Wniosek ten wyciągałem z analizy intencji ustawodawcy, przekazującego pewne kategorie spraw i osób do właściwości osobnego sądownictwa wojskowego. Sugintas nieco inaczej tę rzecz ujmował, a prokurator wystąpił z jeszcze innym wnioskiem, rozróżniającym sprawy normalnej właściwości Sądu Armii od tych, które są przekazywane temu sądowi tylko na skutek i na czas stanu wojennego. Głosem prezesa zagadnienie zostało rozstrzygnięte w myśl wniosku prokuratora.
Posiedzenia Trybunału będą rzadkie w tym okresie wakacyjnym. Następne posiedzenie – sądowe dla spraw kasacyjnych – odbędzie się dopiero dniu 22 lipca, a potem sądowe dla spraw apelacyjnych w dniu 30 lipca. Nie będę więc przeładowany pracą i będę mógł sobie czasem nawet wybrać się na jakąś wycieczkę w niedzielę. Chętnie sobie zafunduję parę spacerów po Niemnie.
Zdaje się, że mój siostrzeniec Hektor Komorowski – pierworodny spośród licznego potomstwa naszego rodzeństwa – decyduje się wreszcie na realizowanie zamiarów małżeńskich. Trudno o młodzieńca bardziej zrównoważonego i trzeźwego, niż Hektor. Ma lat 29, a nie miał nigdy żadnego zakochania się ani szaleństwa, żadnej przygody uczuć, żadnej historii miłości, prócz kupnych miłostek. Ten człowiek, pierwszorzędny

[568] Najwidoczniej jest tu wspomniany Andrius Bulota (1872-1941), prawnik, związany z litewskim ruchem socjalistycznym, poseł do II (1907) i III (1907-1912) Dumy Państwowej

spekulant, znający się na interesach i umiejący robić z nich pieniądze, nigdy i nigdzie nie dał się wytrącić z równowagi. Od wielu lat był zdecydowany na to, że ożeni się tylko z panną, która ma majątek ziemski. Tą drogą on posiądzie majątek, a Kowaliszki pozostaną nie dzielone dla Julka. Ale Hektor nie należy do ludzi, którzy by chcieli tylko osiąść na fartuszku i łasce żony. On musi wziąć żonę z majątkiem ziemskim, ale sam wnieść do tego majątku pieniądze, aby pozostać panem i utrzymać władzę w swoim ręku. Nie polegając też wyłącznie na przyszłej kiedyś spłacie z Kowaliszek, dążył systematycznie do zdobycia własnej fortuny i posiadł ją. Może się więc żenić. Jak wiem od jego brata Julka, pannę miał już od dawna upatrzoną, choć jej wcale nie znał i nie widział nigdy. Kto była ta panna, tego mi Julek nie mówił. Hektor zaś, wstrzemięźliwy w słowach, nigdy się w zwierzenia co do projektów swych nie bawił. Aż oto wczoraj, gdyśmy się z nim widzieli, oświadczył mi, że szybkim tempem idzie do małżeństwa, że pannę upodobał, poznał i choć się jeszcze nie oświadczył formalnie, jednak już ku temu idzie. Wymienił mi też pannę. Jest tą panną Mielżyńska, dziedziczka dużego majątku na Żmudzi i dóbr po matce na Białej Rusi w Mohylowszczyźnie, obecnie niedostępnych ze względu na rządy bolszewickie. Panna Mielżyńska rodzi się z Sianożęckiej i jest córką zmarłego brata pani Czesławowej Komorowskiej z domu Mielżyńskiej. Panna [jest] oczywiście tą samą, którą już Hektor od dawna był upatrzył i z którą się to małżeństwo od dawna układało za pośrednictwem pani Czesławowej i z udziałem Elizki. Obecnie Hektor ma już pieniądze, więc kombinacja małżeńska dojrzała i nastał czas jej realizowania. Jest to małżeństwo układu, które jednak uda się, bo Hektor nie bawi się w sentymenty, a taktu i zręczności ma tyle, że życie ułoży jak zechce, jeżeli tylko panna będzie równie układna życiowo.

7 lipca, rok 1921, czwartek
W moich próbach większych prac publicystycznych nie mam powodzenia. Nie pierwszy raz mi się zdarza, że zabieram się do obszerniejszego opracowania jakiegoś tematu. Roję o znalezieniu wydawcy dla pracy, miewam nawet pewne obietnice i nadzieje, a wreszcie cała rzecz spełza na niczym i praca pozostaje w rękopisie, wzbogacając jeno martwe archiwum papierów, które pozostaną po mnie. Jedną z przyczyn tego jest zdaje się to, że w pracach moich zachowuję stanowisko odrębne własne i nie podporządkowuję się ani partii jakiejś, ani innemu stanowisku tej lub innej strony. W sprawach społecznych ani wypisuję dytyrambów lewicy, rzucając się bij-zabij na prawicę, ani odwrotnie; toteż dla prawicy jestem zbyt lewicowym, a dla lewicy, która mię w gruncie uważa za swego, jestem za mało lewicowym. W sprawach znów narodowych jestem dla Polaków podejrzany o schlebianie „litwomanii", dla Litwinów zaś trącę nieco „polonofilstwem". Szczególnie charakterystycznie się to wyraziło w stosunku do zeszłorocznego rękopisu o wnioskach dla polityki litewskiej w Wileńszczyźnie. Kto wie, czy nie powtórzy się teraz coś podobnego z rozpoczętą pracą moją o litewskich stronnictwach politycznych.
Liczyłem na to, że wydaniem tej pracy zajmie się Komisja dla spraw Litwy Wschodniej. Obiecywał mi to Wacław Biržiška, potem obiecywał jego następca Žemaitis. Przed wyjazdem na wakacje napisałem obszerny wstęp historyczny o formacji społeczno-politycznej narodu litewskiego i uzupełniłem dwa moje zeszłoroczne artykuły z „Gazety Krajowej" o dwóch stronnictwach prawicy – „Pažandze" i „Žemdirbių Sajundze". Przed wyjazdem złożyłem rękopis u Žemaitisa. Dobrze, że w Bohdaniszkach nie kwapiłem się kontynuować tej pracy, bo nie wiadomo jeszcze, czy do wydania jej dojdzie. Žemaitis zaczyna się teraz wymawiać i proponuje skierowanie tego rękopisu do Wilna do Michała Biržiški, aby ewentualnie go tam w Wilnie wydać, mówiąc, że książeczka taka będzie bardziej odpowiadała potrzebom informacyjnym w

Wileńszczyźnie, niż tutaj. Zgodziłem się na to, ale z kontynuowaniem tej pracy wstrzymam się, aż się dowiem, co o tym Michał Biržiška powie. O wydaniu jej własnym nakładem oczywiście nie może być mowy.
Frakcja polska w Sejmie (Grajewski, Laus, Snalewski)[569], działając oczywiście w kontakcie z Polskim Biurem Informacyjnym (*leaderzy* Biura - Kazimierz Janczewski, Wielhorski[570], Okulicz[571]), wysłała niedawno memoriał do Ligi Narodów ze skargą na ucisk Polaków w Litwie[572]. Memoriał ten miał być zadaniem kłamu twierdzeniu delegacji litewskiej w Brukseli, która na zarzuty delegacji polskiej o polityce ucisku stosowanej względem Polaków w Litwie, kategorycznie zaprzeczyła temu, powołując się na zupełne równouprawnienie i wolność narodowości kraju. Nie przeczę, że element polski w kraju jest traktowany po macoszemu i że miałby wiele powodów do skarg. Jednak wynoszenie tych skarg na forum międzynarodowe i odwoływanie się do opinii obcej uważam bezwzględnie za błąd, który tylko szkodę może przynieść Polakom, i za wykroczenie ciężkie przeciwko zasadzie obywatelskiej, a nawet przeciwko własnym prawom obywatelskim; szczególnie gdy się to zwraca do takiego „trybunału", który rozpoznaje w tej chwili spór państwowy litewsko-polski i gdy się wobec niego toczy sprawa wileńska. Wtedy staje się to podkopywaniem stanowiska państwowego, działaniem na szkodę społeczeństwa i na rzecz polityki przeciwnika, który nie omieszka skorzystać z tego dla swych celów.

8 lipca, rok 1921, piątek
Memoriał Polskiej Frakcji Poselskiej do Ligi Narodów o „prześladowaniu" Polaków w Litwie wywołał, jak należało przewidywać, wybuch gniewu u Litwinów i grozi nowym, bardzo ostrym zaognieniem stosunków. Frakcja polska źle się zasłużyła tym aktem tak krajowi, jak Polakom w Litwie. Że memoriał zrodził się nie z własnej inicjatywy frakcji poselskiej, a właściwie Grajewskiego, bo on jeden tylko ma głowę w tej frakcji, podczas gdy ks. Laus i Snalewski są tylko pionkami i figurantami, lecz że wyszedł z pomysłu Polskiego Biura Informacyjnego, które kieruje frakcją poselską i zagarnęło sobie rolę politycznego przedstawicielstwa ludności polskiej w kraju, o tym wiem dobrze. Zresztą Grajewski jest solidarny z panami Janczewskim, Wielhorskim, Okuliczem, Budzyńskim[573] *et consortes*, którzy stoją na czele Biura i są jego *leaderami*. Choć nie jestem o tym przekonany i nie mógłbym za to ręczyć, jednak przypuszczam, że Grajewski brał inicjatywę tego memoriału za pochodzącą samorzutnie z łona Biura Informacyjnego, a może nawet była ona samorzutną istotnie. Jednak skłonny jestem posądzać – co byłoby jeszcze gorszym – że inicjatywa pochodziła tu z zewnątrz i że działacze Biura Informacyjnego, będący, jak o tym wiem z roku zeszłego, kiedy sam przez czas jakiś do Polskiego Biura Informacyjnego należałem, w stałym kontakcie z

---

[569] Posłowie polskiej frakcji poselskiej – ziemianin Adolf Grajewski (1877-1967), ksiądz Bronisław Laus (1872-1941) oraz przedstawiciel środowiska robotniczego Antoni Snalewski (Śnielawski) – w lipcu 1921 r. wycofali się z prac Sejmu Ustawodawczego Litwy.
[570] Władysław Wielhorski (1885-1953), historyk, wydalony został z RL w 1924, działał nadal na polu stosunków polsko-litewskich, 1930-1939 dyrektor Szkoły Nauk Politycznych w Wilnie. Autor licznych prac poświęconych historii i etnografii Litwy.
[571] Konstanty Okulicz, ziemianin, jeden z czołowych działaczy polskich w RL.
[572] Polskie Biuro Informacyjne – organizacja w Republice Litewskiej w latach 1920-1928, pełniąca rolę politycznej reprezentacji ludności polskiej, w 1928 r. zastąpiona przez Komitet Polski. Wiosną 1921 r. Polskie Biuro Informacyjne rozpoczęło gromadzenie materiałów do memoriału do Ligi Narodów o położeniu Polaków w państwie litewskim. Podpisany przez posłów frakcji polskiej Sejmu litewskiego memoriał został przesłany do Genewy 19 VI 1921.
[573] Wiktor Budzyński (1888-1976), ziemianin, jeden z czołowych działaczy polskich w RL, 1923-1926 poseł i przywódca (od 1924) polskiej frakcji poselskiej w II Sejmie Litwy, 1926-1927 poseł w III Sejmie Litwy, 1924-1935 przewodniczył Polskiemu Towarzystwu Kulturalno-Oświatowemu „Pochodnia".

arkanami polityki zagranicznej Polski, głównie za pośrednictwem posła polskiego w Rydze Kamienieckiego[574], działali w tym wypadku z polecenia Warszawy (Belwederu) i że wystosowanie tego memoriału Polaków z Kowna było uplanowane jako atut dla akcji Askenazego w Lidze Narodów. Byłby więc to epizod tej samej polityki peowiacko-belwederskiej w Litwie, zgubnej i w samym założeniu fałszywej, która metodą czy to spisków i powstań, czy też odwoływania się do zagranicy, ale zawsze z zewnątrz Litwy w imieniu Polaków litewskich usiłuje szachować samodzielność Litwy i jej polityki państwowej na rzecz polityki polskiej Belwederu. Jeżeli nawet memoriał ten był samorzutnym pomysłem kierowników Biura Informacyjnego w Kownie, którzy przyjęli na siebie odpowiedzialność za polityczną obronę interesów Polaków litewskich, nie podyktowanym im ani z Warszawy, ani z Wilna, to i w takim razie jest on wyrazem tegoż peowiackiego kierunku, usiłującego poprzeć interwencję polską dla rozstrzygania dróg rozwoju Litwy.
Nie można zaprzeczyć, że w warunkach istniejącego zatargu litewsko-polskiego i rozdrażnienia, które mu towarzyszy, ludność polska, jej język i jej prawa obywatelskie w kraju są pod wielu względami traktowane po macoszemu i doznają krzywd i upokorzeń nieraz ciężkich, przykrych, niezasłużonych. Wbrew też twierdzeniom litewskim, temat do skarg i żalów Polaków litewskich (nie obszarników tylko) nie jest wyssany z palca, mimo pewnej może przesady i przejaskrawienia ich ze strony polskiej. I chociaż ja osobiście pomimo to, pozostając Polakiem litewskim, jestem usposobiony pojednawczo względem Litwinów i nawet litewskich kół rządowych i bynajmniej nie jestem skłonny do wyciągania nieprzejednanych konsekwencji wojowniczych z tych założeń krzywd i żalów – nie tylko dlatego, że rozumiem dobrze, iż wina leży nie wyłącznie po stronie litewskiej, ale także dlatego, iż czuję i wiem, że w łonie tegoż społeczeństwa narodowego litewskiego są pomimo wszystko w pewnych silnych i wpływowych odłamach i elementach częściowo świadome, a częściowo podświadome pierwiastki polonofilskie, które w dzisiejszej atmosferze stosunków i wypadków konfliktu polsko-litewskiego nie mogą się rozwinąć i ujawnić, ale w swoim czasie, jeżeli im się nie przeszkodzi ze strony samych Polaków i Polski, przyjdą do głosu – jednak mogę zrozumieć i usprawiedliwić stanowisko nieprzejednanej opozycji ze strony Polaków litewskich. Z nieprzejednanej opozycji zarzutu bym Polakom nie czynił. To jest zresztą ich prawo obywatelskie i środek obrony swoich interesów, co do którego użyteczności można się zgadzać lub wątpić w tej lub w innej mierze, ale którego wykonywaniu zasadniczo zaprzeczać nikomu z obywateli nie można. Opozycja, choćby najostrzejsza, byle powstrzymywana w ramach wewnętrznych państwowych, nie przeczy zasadzie obywatelskiej. Inaczej rzecz się ma, gdy się w obronie swoich praw i interesów odwołuje w takiej lub innej postaci do interwencji zewnętrznej. To jest właśnie metoda, którą nazywam u Polaków litewskich peowiacką; metoda, którą, niestety, zaleca im Piłsudski, metoda, która wyraża się w tworzeniu spisków, przewrotu zbrojnego opartego o siłę zbrojną państwa polskiego (proces POW), bądź w memoriale do Ligi Narodów, mającym służyć poparciu akcji dyplomatycznej polskiej w procesie polsko-litewskim, toczącym się przed tąż Ligą. Ci sami Polacy, którzy się oburzali tak niesłychanie na Żydów w Polsce, gdy ci dla obrony i zdobycia swych praw szkalowali Polskę w Europie, a zresztą nie tylko szkalowali, lecz i prawdę – oczywiście z takimże przejaskrawieniem – wywlekali i odwoływali się do pomocy i do interwencji zagranicy w wewnętrzne państwowe stosunki Polski, uważają za słuszne i właściwe, gdy to samo w Litwie czynią Polacy litewscy. Ale Polska w swoim interesie państwowym może tego pragnąć, gdy to jej jest na rękę. Lecz że to czynią Polacy litewscy – to jest błąd wielki i

[574] Witold Kamieniecki (1883-1964), historyk, działacz polityczny, był *chargé d'affaires* Polski w Łotwie od 1 VIII 1920 do 1 IX 1921 r.

kiepska polityka z ich strony. Są oni podobni do tego głupca, który podcina słup, na którym oparty jest jego dom lub który podpala własne domostwo. Może to robić albo głupiec, albo ten, kto domostwa tego nie uważa za swoje i chce jego ruiny, bo spodziewa się, że rozbitków inne przygarnie domostwo.

9 lipca, rok 1921, sobota
Napisałem rano artykuł zawierający krytykę drogi przyjętej przez frakcję polską dla obrony praw ludności polskiej (skarga do Ligi Narodów). Napisałem umiarkowanie, suponując dobrą wiarę autorów skargi, stwierdziłem rzeczywistość krzywd, które się dzieją ludności polskiej, a przeto potrzebę poprawy stosunków, wyraziłem dużo z tego, com wczoraj pisał o tym w dzienniku i surowo potępiłem wystąpienie posłów polskich jako łamiące zasadę obywatelską, na którą się zawsze sami nawet powołują. Artykuł ten dam do druku Žemaitisowi do dziennika „Litwa”[575]. Dziennik ten, redagowany po polsku, jest jednak organem litewskim i wydawany jest środkami państwa (wprost czy w drodze subsydium). Dlatego też w pewnych twierdzeniach mój artykuł może być niezupełnie do gustu Žemaitisowi, bo Litwini nie chcieliby przyznawać, że w Litwie dzieje się jakakolwiek krzywda Polakom, a jeżeli nawet ludzie uczciwi i lepiej znający te stosunki, jak Žemaitis, nie mogą tego nie przyznać poufnie, to jednak woleliby nie mówić o tym jawnie. Rzeczywiście ustawom litewskim nic zarzucić nie można, toteż zawsze, gdy ktoś Litwinom wspomina o złym traktowaniu Polaków, powołują się i przeciwstawiają im ustawy. Ale praktyka życia nieraz odbiega od wzoru ustaw. Po co tu obwijać rzecz w bawełnę, po co negować bolączki rzeczywistości. Właśnie, że negując to, daje się jeno broń przeciwnikowi, który dyskredytuje Litwę, bo rzeczywistości ukryć się nie da. O wiele mocniej i głębiej można zdyskredytować drogę obraną przez frakcję polską, jeżeli się nawet przyjmie to z jej założeń, które odpowiada przykrej rzeczywistości i następnie się wykaże, że z założeń tych dla poprawy stosunków wypływa właśnie nie ta droga, która jest dla nich fatalna, lecz zgoła inna, niż negować same założenia na oślep. Toteż myślę, że Žemaitis przyjmie i wydrukuje mój artykuł, który mu zresztą daję w postaci nie artykułu redakcyjnego, lecz listu nadesłanego, jako zdanie Polaka litewskiego, a nie Litwina. Tak się też pod artykułem podpisałem: „Polak litewski”. Nie podpisuję go nazwiskiem moim, bo ponieważ zajmuję wybitne stanowisko w sądownictwie litewskim, więc, po pierwsze, wolę unikać mieszania się w walki polityczne prasowe, a po drugie, powiedziano by może złośliwie z obozu przeciwników po stronie polskiej, że wysługuję się Litwinom, bo służę państwu i chcę robić karierę. Dla tych też głównie powodów nie próbuję nawet dawać tego artykułu do „Gońca Kowieńskiego”[576], który jest organem właśnie orientacji peowiacko-belwedersko-interwencjonistycznej. I w „Litwie”, i w „Gońcu Kowieńskim” – taki jest mój los – artykuł mój może być drukowany tylko jako „*votum separatum*”. W „Gońcu Kowieńskim” jednak albo odmówiono by całkiem drukowania, albo co najmniej zażądano by podpisania imiennego i zaopatrzono by ostrym i złośliwym komentarzem, czego nie życzę sobie. Dyskusji i polemiki nie unikam, ale nie znoszę błota złośliwości ludzkiej, której tylekroć doświadczyłem.
Memoriał frakcji polskiej, jak to było do przewidzenia, już wywołał gwałt i wielkie poruszenie w opinii litewskiej. We środę w Sejmie wywołało to burzę i nawet skandal bójki. To jest zresztą rzecz najmniejsza. Mała skandaliczna bójka w parlamencie jest

[575] Dziennik zaczął wychodzić w Kownie jesienią 1920 r. (nr 54 z 31 grudnia 1920 r.). Brak danych, kiedy zaprzestał się ukazywać (zapewne w 1922 r.).
[576] Dziennik polski w Litwie ukazujący się od 1 stycznia do 3 sierpnia 1921 r. Zastąpił on wydawaną wcześniej (od 19 X 1920) „Gazetę Kowieńską”. Z kolei w miejsce „Gońca Kowieńskiego” pojawił się 10 VIII 1921 r. dziennik „Dzień Kowieński”.

zjawiskiem rozigrania doraźnego namiętności i temperamentów. Gorsza jest gorycz i nienawiść, którą to wystąpienie posłów polskich znów rozpali w nastrojach, co jątrzyć będzie nadal jątrzące stosunki. Nie wiem też, czy się w Sejmie na samym skandalu skończy i czy nie wda się w tę sprawę prokuratura państwowa, żądając wydania posłów polskich dla wdrożenia przeciwko nim postępowania karnego za działanie na szkodę państwa. Nie dziwiłbym się temu, choć wolałbym, by do tego nie doszło, bo stałoby się to znów sprawą niesłychanie dla obu stron drażniącą. Niefortunne wystąpienie posłów polskich stało się tym dotkliwsze i bardziej drażniące, że wypadło akurat na moment wielkiego podrażnienia wywołanego przez fiasko litewskie sprawy wileńskiej na sesji Ligi Narodów w Genewie. Czynnik ten będzie drażnił krwawiącą ranę stosunków, a z podrażnienia tego korzystać będą w pierwszym rządzie wszystkie elementy warcholskie i usiłujące jątrzyć stosunki nie tylko narodowe, ale i społeczne, by wichrzyć i nie dopuszczając do równowagi i spokoju, utrzymywać ferment wszelakiej anarchii. W kraju powoli, ale coraz widoczniej skupiać się zaczyna i narasta reakcja społeczna, która w obecnej chwili jest zbawienna dla skonsolidowania zdobyczy dokonanych przemian. I to nic bardziej nie utrudnia rozwoju tej reakcji i uzdrowienia rozwichrzonych stosunków, jak wybuchy nastrojów i namiętności politycznych, których ogniskiem – nieszczęsna sprawa wileńska, a zarzewiem takie oto fakty, jak wystąpienie frakcji polskiej.

10 lipca, rok 1921, niedziela
Wybrałem się dziś na wycieczkę parostatkiem po Niemnie do Jurborka. Chciałem wyjechać wczoraj, przenocować w Jurborku i dziś wrócić, ale artykuł wczoraj mię zatrzymał. Wyjechałem więc dziś o godz. 11 rano parostatkiem „Vaidyla”[577]. Podróż trwała długo, do godz. 8 wieczorem, a więc aż nadto, aby się rozrywką nasycić. Jazda sprawiała mi przyjemność, mimo że brzegi Niemna nie są tak piękne, jak sobie wyobrażałem. Nie brak malowniczych widoków, nieraz bardzo ładnych fragmentów, ale w oczach moich z podróży statkami pozostały mi w pamięci wycieczki tak piękne, jak po Elbie przez tzw. Szwajcarię Saską, po Bosforze przez Dardanele, wzdłuż wybrzeży greckich i dalmackich, z których pięknością nasze wybrzeża rzek krajowych równać się nie mogą. Jeździłem kiedyś po Niemnie od Grodna do Łunny i po Dźwinie od Dyneburga do Krasławia i Pohulanki lub po Berezynie od Bobrujska do Parycz i Bielcza, ale pamięć tych wycieczek pochłonięta została ostatnią podróżą grecką z r. 1914, toteż efekt dzisiejszy był słabszy, niż się spodziewałem. Między innymi widokami w paru miejscach widziałem ładne, starożytne pilkalnie litewskie, wznoszące się na wybrzeżach Niemna, jak w Welonie i zwłaszcza w Średnikach (po litewsku Seredžius), gdzie do Niemna wpada Dubissa. Szczególnie ta ostatnia pilkalnia jest wspaniała; należy jej się miejsce królewskie wśród mnóstwa pilkalni krajowych. Mam ochotę pojechać do Średnik umyślnie, by je zwiedzić i obejrzeć szczegółowo i nasycić wyobraźnię widokiem tej majestatycznej pamiątki przeszłości. Niestety – u nas nikt się w kraju nie troszczy o pilkalnie i mało nawet kto wie o nich, mimo że cały kraj jest pokryty nimi i że są one tak charakterystyczne, iż, zdawałoby się, nie mogą nie zwracać uwagi i nie skierować umysłów do systematycznego ich przestudiowania. Są one naszymi piramidami krajowymi i żywymi świadkami dziejów narodowych, ich pomnikami i księgami, które czekają odczytania. Samo ułożenie mapy rozlokowania pilkalni w kraju dałoby z pewnością bardzo ciekawy wątek do poznania historii krajowej, a następnie pilną potrzebą byłoby zaopiekowanie się nimi przez państwo i ochrona ich od zniszczenia. Zainteresował się nimi i studiował je uczony polski Ludwik

[577] „Vaidyla” – „Wajdelota”.

Krzywicki[578], ale to był dopiero przygodny początek, który się urwał wraz z pracami Krzywickiego.
Rozrywkę miałem nie tylko w widokach wybrzeży. Sam Niemen, sama woda tej rzeki w wielu miejscach, zwłaszcza przy wielkim wietrze, jaki był dzisiaj, dawał piękną ekspresję siły w naturze. Rozrywkę też stanowiła obserwacja publiczności na statku, typów ludowych litewskich i ich wyrazu w ruchach, stosunkach, formach obcowania wzajemnego itd. Statek pod tym względem o wiele więcej daje materiału, niż podróż pociągiem, bo podróż w nim odbywa się patriarchalniej, bliżej natury, mniej urzędowo i pedantycznie, niż koleją żelazną, a wreszcie Niemen przerzyna samą głąb rdzenną Litwy, płynąc między głęboką Suwalszczyzną a Żmudzią.

11 lipca, rok 1921, poniedziałek
Napodróżowałem się w mojej wycieczce niemeńskiej aż do zbytku. Przesadziłem trochę, używając wypoczynku świątecznego na taki przejazd „jednym haustem" z Kowna do Jurborka i z powrotem. Nie powiem, żeby mi ta wycieczka przesyciła i obrzydziła spacer statkiem, ale miałem już tego dość na ten raz. W Jurborku wczoraj wieczorem oczywiście nic do robienia nie miałem. Miasteczko nic osobliwego nie przedstawia, zdaje się, aby warto było poświęcać mu dłuższą uwagę. Jedna tylko synagoga drewniana, datująca się podobno z w. XVIII, ciekawa w swojej wzorzystej rzeźbionej budowie, bardzo skomplikowanej ganeczkami i przybudówkami, zwróciła w Jurborku moją uwagę. Nie mając co robić i nie chcąc dłużej pozostawać w Jurborku, postanowiłem następnym parostatkiem, odchodzącym o północy, wracać do Kowna. Tak też uczyniłem. Przez całą noc jechałem. Pospałem króciutko na pokładzie statku, poza tym zaś czuwałem przez noc i ranek cały. Ładnie było, ale zmęczenie dokuczało. Zresztą droga przejeżdżana powtórnie, a więc znana mi już trochę, wydawała mi się krótsza i statek („Laisvė") szedł bardzo dobrze. Rano byłem w Kownie z powrotem, ale już do pracy na cały dzień ze zmęczenia i niewyspania niezdolny.

12 lipca, rok 1921, wtorek
Otrzymałem dziś pierwszy po moim powrocie do Kowna list z Bohdaniszek – od Maryni. Z wielką radością dowiedziałem się z tego listu, że „Miškų uredas" w Rakiszkach zawiadomił Bohdaniszki urzędowo, że lasy bohdaniskie, jako podzielone i stanowiące własność poszczególnych właścicieli-spadkobierców, nie przekraczające normy zwolnionej od upaństwowienia, pozostają nietykalne i nie ulegają przejęciu na rzecz państwa. Spadł mi ciężki kamień z serca. Przypuszczam, że „Miškų uredas" (nadleśniczy), który po otrzymaniu mego zawiadomienia na piśmie o dziale nie decydował się samodzielnie kwestii tej rozstrzygnąć i oświadczył mi, że się odwoła do Departamentu Leśnego, otrzymał z Departamentu odpowiednią, przychylną dla nas odpowiedź i na tej zasadzie zawiadomił Bohdaniszki o nietykalności naszych lasów. W takim razie las nasz był ocalony. Dzięki Bogu za to. Byłem bardzo pesymistycznie co do perspektyw rozwiązania tej kwestii usposobiony. Po przyjeździe do Kowna nie zwracałem się wcale do Departamentu Leśnego dla wyjaśnienia, jak stoi ta sprawa, bo w myśl zasady niewywoływania wilka z lasu nie chciałem poruszać wcale tej sprawy i podniecać czujności czynników Departamentu. Obawiałem się, że jak tylko zacznę chodzić dowiadywać się, poruszać kwestię i nalegać na jej rozstrzygnięcie, to mogę tylko zaszkodzić sobie i skierować uwagę na to, co bez moich zabiegów może przejść niepostrzeżenie i pomyślnie. Uprzedzano mię w Kownie, że przejmowanie

[578] Ludwik Krzywicki (1859-1941), socjolog, działacz społeczny, popularyzator socjalizmu na ziemiach polskich, od 1918 profesor Uniwersytetu Warszawskiego, od 1928 członek Polskiej Akademii Umiejętności. W jego zainteresowaniach naukowych mieściły się też historia i archeologia Litwy.

upaństwowionych lasów wytworzyło w Departamencie Leśnym taki nawał roboty, tyle przeróżnych powstających stąd zagadnień prawnych i kłopotów zarządu i eksploatacji, że prawdopodobnie moja deklaracja o dokonanym podziale lasów bohdaniskich i zwolnieniu ich od skutków ustawy o upaństwowieniu nie będzie wcale szczegółowo rozpatrywana i co najwyżej gdzieś załączona do akt i przyjęta do wiadomości, tym bardziej, że o nic w niej nie proszę, jeno zawiadamiam, więc Departament nie będzie miał nawet potrzeby wydawania w tej sprawie jakiejś decyzji. Mam nadzieję, że tak się też stało i że sprawa naszych lasów nie była wcale analizowana ze stanowiska zagadnienia prawnego, jeno po prostu załatwiona kancelaryjnie przez personel wykonawczy Departamentu. Otucha więc wstąpiła we mnie i tuszę sobie, że sprawa stanęła na dobrej drodze i że już własność naszych lasów kwestionowana nie będzie. Žemaitis zwołał dziś posiedzenie naszej Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Był obecny Žemaitis, ja i Rozenbaum, członka Białorusina obecnie w Komisji nie mamy, bo Konopacki jak wyjechał z Kowna w kwietniu do Wilna, tak już więcej nie wrócił. Jak wiadomo, rząd litewski odrzucił formalnie propozycję genewską Rady Ligi Narodów o kontynuowaniu bezpośrednich rokowań litewsko-polskich w Brukseli na podstawie znanego projektu Hymansa. Sejm w Kownie aprobował decyzję rządu, a dla większego efektu, dla poparcia odmowy tej wobec zagranicy, zainscenizowano wszędzie na prowincji i w samym Kownie akcję protestów, rezolucji i wieców ludowych przeciwko zasadom projektu Hymansa, przeciwko kantonalnej budowie Litwy i jakiemukolwiek wiązaniu jej z Polską. Mniejsza o to, że odmowa ta grzeszy trochę brakiem konsekwencji, bo poprzednio Litwa w założeniu była się zgodziła na przyjęcie projektu Hymansa za podstawę do rokowań i nie uzależniała samego faktu rokowań od przywrócenia stanu rzeczy w myśl październikowego układu suwalskiego. Powiadam „mniejsza o to” tylko w tym znaczeniu, że w tej chwili zatrzymywać się na tym nie chcę. Odmowa kategoryczna Litwy na propozycje genewskie stwarza sytuację bez wyjścia w sprawie wileńskiej. Droga plebiscytu odrzucona została przez Ligę Narodów w czerwcu, droga układów pod kierunkiem Ligi Narodów – odrzucona również. Pozostaje albo arbitraż, na który nie chce się zgodzić Polska, albo – wojna, albo *Deus ex machina*. Litwini są jednak usposobieni optymistycznie i niefrasobliwie, prócz skrajnej prawicy (grupa Smetony i Voldemarasa – „Lietuvos Balsas”). Rząd zresztą czyni przygotowania na wypadek zatargu zbrojnego, „Gynimo Komitetas” znów się poruszył dla utrzymywania w kraju nastrojów gotowości wojennej, co grozi oczywiście znowu zaognieniem stosunków społecznych, niezmiernie wrażliwych na stadia sporu polsko-litewskiego. Ale Litwini są skłonni widzieć rozwiązanie sprawy wileńskiej w barwach bardzo różowych. Wiara ich w posiadanie Wilna jest tak silną i prostą, jak wiara prostaczków i dzieci. Zaiste – mają oni tę żywą wiarę, co cuda czyni rzeczami prostymi.

13 lipca, rok 1921, środa
Mówiłem wczoraj, że Litwini są w sprawie wileńskiej usposobieni optymistycznie. Nie znaczy to, aby zamykali oczy na trudności wewnętrzne zespolenia Wilna z Litwą i zwłaszcza na przeszkody, które stawiać będą pod tym względem Polacy wileńscy, wspomagani bądź jawnie, bądź zakulisowo przez Polskę. Pod tym względem Litwini nie tylko nie są skłonni do przesadzania możliwości intryg, oporu, powstań itd., aranżowanych przez Polaków wileńskich, a właściwie, jak Litwini sądzą, przez agentów Polski i Piłsudskiego. O ile w zeszłym roku byli raczej pod tym względem lekkomyślni, o tyle sprawa Żeligowskiego nauczyła ich przesadnej podejrzliwości. Dziś każda pogłoska znajduje u nich wiarę, każdy pozór obleka się w kształty spisku gotowego. Trzeba też zaznaczyć, że Litwini w aferze Żeligowskiego trochę za mało doceniają

czynnik oporu miejscowego. Optymizm Litwinów dotyczy innej sfery. Są oni tak święcie, bez żadnych wahań przekonani o sprawiedliwości swego żądania Wilna, że ani na jedną sekundę nie wątpią, że Wilno połączy się z Litwą i będzie litewskim. Co najwyżej dopuszczają wątpliwości co do terminu, kiedy to nastąpi, ale o ile chodzi o opinię przeciętną, to ta i pod względem terminu nie wątpi, że musi to nastąpić przy pierwszym rozwiązaniu sprawy wileńskiej. Dlatego też z wielkim spokojem – zresztą w ogóle charakterystycznym dla usposobienia litewskiego – spoglądają w przyszłość sprawy wileńskiej nawet w takiej chwili, jak teraz, kiedy sprawa ta stanęła na zupełnym rozdrożu. Wierzą i są pewni swego, bo w przekonaniu swoim mają prawdę po sobie. Drugi artykuł ich wiary optymistycznej – ten, że tylko pozory i uprzedzenia utrzymywane sztucznie dzielą ludność Wileńszczyzny od Litwy i że współżycie państwowe bardzo szybko scementuje i stopi tę ludność z całością narodu litewskiego, bez żadnych operacji, walk bolesnych i innych tego rodzaju zjawisk zakłócających dobre porozumienie. Źródła rozdziału i niesnasek upatrują wyłącznie w intrygach z zewnątrz. Co do Polski i jej roszczeń do Wilna, to popularna opinia litewska w Kownie żywi przekonanie, że imperialistyczna polityka polska, której roszczenia te są wyrazem, w związku z chaosem gospodarczym, finansowym i prawnym w Polsce doprowadzić musi rychło do krachu. Na tym (nie wyłącznie, bo liczą także na czynniki polityczne układu międzynarodowego Europy) budują oni nadzieje, że wileńskie przedsięwzięcie Polski samo przez się zbankrutuje i może nawet po prostu pewnego pięknego dnia cała Wileńszczyzna nagle uwolni się w chwili jakiegoś katastroficznego odpływu Polski. Wobec tego powstała myśl opracowania programu zarządu Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz zasad polityki, którą Litwa ma w stosunku do Wilna zastosować na wypadek, gdyby nagle Wilno dla tych czy innych przyczyn stanęło przed Litwą otworem. Niezależnie od perspektyw takiego nieoczekiwanego wypadku, sama myśl o ustaleniu dokładnego programu polityki wileńskiej jest zdrowa i godna uznania. Gdyby w przeszłym roku Litwa miała jakąś linię przewodnią w swojej polityce wileńskiej i gdyby się była zawczasu przygotowała do możliwości objęcia Wilna, byłaby zapewne uniknęła wielu błędów uczynionych w Wilnie, które jej nade wszystko zaszkodziły. Bezplanowość i brak myśli przewodniej uczyniły zeszłoroczny epizod zarządu dzielnicy wileńskiej przez Litwę głupim epizodem eksperymentów poszczególnych urzędników i dykasterii, z których każda stosowała dowolnie odrębną metodę, planu zaś zbiorowego i ścisłej polityki nie było. Trzeba więc tę zapobiegawczość powitać z uznaniem, byle tylko program został umiejętnie ułożony. Žemaitis przedsięwziął już kroki w tym celu. Pozajutro zwołuje naradę byłych wyższych urzędników wileńskich z czasów litewskich, potem tezy programu mają być omawiane w naszej Komisji, wreszcie – ustalić ma je ostatecznie gabinet ministrów. Będę się domagał, aby do udziału w tej ważnej pracy byli powołani także przedstawiciele Białorusinów, bo program polityki wileńskiej wiąże się z zagadnieniem białoruskim w Litwie i Białorusini w zakresie Wileńszczyzny są czynnikiem bezpośrednio zainteresowanym, bardziej miejscowym od samych Litwinów. Litwini też skłonni są zawsze do monopolizowania roli gospodarza w państwie.

14 lipca, rok 1921, czwartek
Dwie są metody traktowania sprawy wileńskiej czy też wschodnio-litewskiej w łonie tejże litewskiej państwowości. Jedna wychodzi z założeń bezpośrednio zainteresowanej ludności wileńskiej (pod wileńską rozumiem tu nie wileńską miejską, ale całej ziemi dzielnicy wschodniej), jako udziałowczyni zespołu i przeto w pierwszym rzędzie usiłuje rozpoznać potrzeby i interesy tej ludności, by z nich, oczywiście w granicach pogodzenia ich z interesem zbiorowym całości, uczynić podwalinę układu, na jakim

mają być zbudowane stosunki dzielnicy wschodniej do zachodniej we wspólnym państwie. Toteż rzecznicy tej metody nie cofają się przed rozwiązaniem autonomicznym czy też kantonalnym, o ile układ ten bardziej odpowiada życzeniom lub potrzebom ludności wileńskiej, która przeważnie czysto litewską narodowo nie jest. Druga metoda, którą nazwałbym nacjonalistyczną, wychodzi z założenia, że Litwa jest litewskim państwem narodowym i że właściwym gospodarzem w państwie, który je snuje z siebie, jak jedwabniki nić swoją i który je spajać będzie w przyszłości, jest pierwiastek narodowy litewski. Rzecznicy tej narodowej metody litewskiej, uznając nawet zasady demokratyczne budowy państwowej i nie zaprzeczając równości obywatelskiej bez różnicy narodowości, zawsze jednak skłonni są różnicować masę ludności państwowej na ludność zasadniczą państwową, tj. litewską, i ludność obconarodową, dla której Litwa jest lokalem, ale nie własnością całkowitą jako państwo. Właściwie cały ogół litewski – od prawicy do lewicy – za bardzo nielicznymi chyba wyjątkami jednostek i za wyjątkiem skrajnych kierunków rewolucyjnych, które w ogóle dla kwestii narodowej są zupełnie obojętne, hołduje tej metodzie drugiej. Różnice są tylko w stopniowaniu i w większej lub mniejszej szczerości i logiczności wniosków. Wypływa to zresztą przeważnie stąd, że Litwini, u których uczucia, a przeto i wiara gra dużą rolę w koncepcjach polityczno-narodowych, w gruncie rzeczy wierzą, że z czasem cała ludność Litwy, a przynajmniej polska i białorusko-katolicka, które pochodzą z wynarodowionych Litwinów, odrodzi się narodowo w kierunku litewskim i wróci na łono swej pranarodowości. Polskość i białoruskość tej ludności w dzielnicy wileńskiej uważają Litwini za zjawisko naleciałości, które przeminie. Dlatego nie chcą oni zafiksowywać tego stanu przejściowego przez taki ustrój państwowy czy dzielnicowy, który by wyraźnie odseparowywał tamtą ludność i utrudniał stopienie się jej narodowe z Litwą i mógłby stworzyć w przyszłości podstawę dla separatyzmu państwowego. Poza tym, wiedzą oni dobrze – i trudno zaprzeczyć, że jednak tak jest przeważnie w rzeczywistości – że mocny zmysł państwowy litewski, zmysł, który jest źródłem woli i twórczości państwowej, mają tylko Litwini i tylko oni są właściwie autorami Litwy jako państwa. Toteż pragnąc tego państwa i jego utrwalenia, czują, że wyodrębnianie konstytucyjne dzielnic z przeważającym elementem nielitewskim, czy to wyodrębnienie będzie czynione w postaci autonomicznej, czy też bardziej w postaci kantonalnej, będzie czyniło państwo słabszym, będzie pozbawiało pewne jego części niezbędnego elementu litewskiego. Wprawdzie od niejakiego czasu Litwini, nauczeni doświadczeniem, zaczęli rozumieć, że jednak centralizm państwowy z zachowaniem jednolitości narodowego charakteru państwa nie da się od razu narzucić tak, jak oni by tego pragnęli i przeto idą na ustępstwa, nie obawiając się już nawet słowa „autonomia", a nawet coraz mniej się gorsząc słowem „kantony", ale w gruncie akceptują to tylko jako ustępstwo wypadkom, jako „*malum necessarium*"[579], i wierzą w głębi serca, że to byłaby tylko forma przejściowa i okolicznościowa, ale nie esencjonalna w państwie litewskim. Dziś już nawet wódz ludowego nacjonalizmu litewskiego, jakim jest Ślażewicz, powiada, że kantony nie są dla Litwy straszne i mogą być przez nią przyjęte, jeżeli tego koniecznie żądają Polacy wileńscy i jeżeli bez tego Litwa nie może odzyskać Wilna i stawiają już tylko takie zastrzeżenie: albo ustrój kantonalny Litwy bez proponowanych w projekcie Hymansa form stosunku Litwy do Polski, albo, jeżeli mają by przez Litwę przyjęte te formy stosunku, to w takim tylko razie kantony stają się niemożliwością, bo byłyby narzędziem przekształcania tego stosunku w niewolę Litwy. Słowem, o ile chodzi o samą tylko budowę ustroju wewnętrznego, Litwini już się nie boją nawet kantonów, a raczej po trochę się już bać przestają. Ale że się przestają bać, to nie znaczy, że je przyjmują jako wynik logiczny wyznawanej przez nich zasady.

[579] „*Malum necessarium*" – zło konieczne.

Przeciwnie, przyjmują je jako uchybienie swojej zasadzie, jeno uchybienie takie, które przy ściślejszej analizie nie wydaje im się niebezpieczne, tym bardziej, że liczą, iż się to na wieczne czasy nie utrzyma i że życie oraz rozwój wewnętrzny państwowości litewskiej, dźwiganej czynnikiem narodowym litewskim, same stopniowo usuną tę przeszkodę z drogi. Zawsze więc, w tej czy innej kombinacji, czy to upierając się przy jednolitości scentralizowanego państwa, czy też dopuszczając autonomię lub nawet kantony, koncepcja państwowa Litwinów pozostaje rdzennie nacjonalistyczna. Niewątpliwie też, że i teraz w podjętej przez Žemaitisa próbie ustalenia programu wewnętrznej polityki wileńskiej na wypadek, gdyby jakiś zbieg szczęśliwy okoliczności otworzył państwu litewskiemu samorzutną drogę do Wilna, opracowywanie tego programu iść będzie po linii metody nacjonalistycznej, pomimo że sam Žemaitis jest względnie najmniej w porównaniu do innych Litwinów nacjonalizmem przejęty. Jednak nacjonalizm państwowy, różny od nacjonalizmu językowego i nacjonalizmu warunków cywilnego współżycia, jest zasadą ogólną Litwinów, która i u Žemaitisa jest mocna. Žemaitisa zaliczyć można nawet do polonofilów, ale polonofilizm jego w znaczeniu pragnienia oparcia się na elemencie polskim w Wileńszczyźnie i wykorzystania tego elementu z jego kwalifikacjami i kulturą dla budowy i rozwoju Litwy oraz znalezienia [kontaktu międzynarodowego] Litwy z Polską w niczym nie uchybia nacjonalizmowi państwowemu jako metodzie tworzenia państwa, którą scharakteryzowałem wyżej.

15 lipca, rok 1921, piątek
Doszły mię pogłoski, że spodziewane są liczne areszty Polaków i w szczególności członków Polskiego Biura Informacyjnego. Słyszałem o tym ze strony polskiej. Byłoby to w związku ze sprawą nieszczęsnego memoriału Frakcji Poselskiej Polskiej do Ligi Narodów. Nie dziwiłbym się, żeby prokuratura zwróciła się do Sejmu z żądaniem zawieszenia nietykalności poselskiej względem posłów frakcji polskiej i wydania ich dla pociągnięcia do odpowiedzialności karnej. Zgłoszenie memoriału ze skargą do Ligi Narodów i żądanie od Ligi interwencji dla ochrony Polaków w Litwie, uczynione zwłaszcza w momencie rozstrzygania przez Ligę sporu polsko-litewskiego, ma wszelkie cechy przestępstwa przewidzianego w Kodeksie Karnym. Ale o tym coś nie słychać. Może Litwa nie chce wobec Ligi Narodów zaogniać tej kwestii, tym bardziej wobec przykrego zajścia w Sejmie, które miało miejsce w d. 6 lipca podczas referowania sprawy tego memoriału przez Griniusa i debaty, jaka się stąd wywiązała. Zajście to – poturbowanie czynne posłów polskich, Lausa i Snalewskiego, choć zostało przez Sejm należycie zlikwidowane w drodze odpowiedniego skarcenia kilku posłów włościańskich, sprawców burdy i następnie wyznaczenie specjalnej komisji sejmowej do zbadania zajścia, jednak wzmocniło trochę pozycję posłów polskich na zewnątrz, czyniąc z nich ofiary napaści. Zajście to zostało rozdmuchane szczególnie ze strony polskiej, ks. Laus i Snalewski odezwali się w „Gońcu Kowieńskim" publicznie ze skargą w roli pokrzywdzonych, a z gazet wiemy, że już i Warszawa chce z tego zajścia skorzystać, by odwoływać się do ludów Europy z protestem o gwałt czynny nad posłami Polakami w Sejmie Litwy. Dla tych więc, a może i innych powodów ewentualne wytoczenie formalnego oskarżenia przeciwko posłom frakcji polskiej zostało zaniechane albo tylko odroczone do momentu stosowniejszego, gdy wrażenie skandalu sejmowego przebrzmi. Nikt się chyba jednak nie łudzi co do tego, że memoriał Polskiej Frakcji Poselskiej nie był jakimś samorzutnym i przygodnym wyskokiem trzech posłów. Jeżeli nawet nie był on kombinowany w porozumieniu z czynnikami państwowymi polskimi, co jest bardzo prawdopodobne, przecież w każdym razie rzecz ta musiała by poprzednio starannie rozważona i przygotowana w Polskim Biurze Informacyjnym, współpracującym systematycznie, a nawet kierującym

działalność Frakcji Poselskiej Polskiej i w ogóle stojącemu u steru polityki krajowej polskiej. Rzecz tej wagi nie mogła mieć miejsca bez wiedzy i udziału Biura Informacyjnego, którego rola rzeczywista daleko poza informacyjną wybiega. Wiedzą o tym dobrze Litwini i rozumieją, że sprawcy są nie tylko w osobie Grajewskiego i ks. Lausa, a tym mniej Snalewskiego, ale tam, gdzie się mieści gniazdo całej akcji, kuźnia i pracownia tej polityki. Że sprawa ta ma jakiś związek z zagranicą polską i że memoriał ten nie był tylko prostą skargą do Ligi Narodów, lecz miał służyć orężem i argumentem dla polityki państwowej polskiej w jej sporze z Litwą wobec Trybunału Ligi Narodów, świadczy taki fakt ujawniony, że chociaż Komisja Kontroli Ligi Narodów, na której ręce w Kownie złożono memoriał, nie przesłała go do Ligi przed sesją genewską, to jednak prezes delegacji polskiej, Askenazy, miał już w czasie sesji genewskiej odpis memoriału. Z pewnością władze litewskie dokładają starań, by wytropić dokładnie drogi genezy i użytku tego memoriału i posiąść nić tego działania, które zbyt wyraźnie obsługuje politykę państwową polską przeciwko Litwie w zatargu litewsko-polskim. Czy jednak zamierzone są w związku z tą sprawą jakieś aresztowania i nowy wielki proces i czy są już one przewidywane konkretnie – tego nie wiem. Zapytywałem dziś Žemaitisa, czy nie słyszał o tym. Powiadał Žemaitis, że dokładnie nie wie, ale rzecz tę bada i usiłuje wykryć Žvalgyba, to znaczy służba wywiadowcza polityczna (odpowiadająca polskiej defensywie). Dodał, że słyszał, iż natrafiono na ślad rozgałęzionej organizacji szpiegowskiej (informacyjnej) polskiej, z której może wyłonić się nowa wielka sprawa. Boję się zawsze w takich razach, aby nie wpadł w awanturę Julek Komorowski, który jest w gorącej wodzie kąpany, szlachetny, ale nieobliczalny, jednostronny, pełny romantyzmu patriotycznego polskiego, uważającego taką akcję wywiadowczą na rzecz Polski nie za brzydkie szpiegostwo ani za zdradę względem Litwy, lecz za czyn ofiarny dla dobra Polski i samej Litwy, która w przekonaniu tej młodzieży z Polską się nierozłącznie wiąże. Nie wiem, czy Julek do takiej akcji rękę przykładał, ale to jest w stylu jego przekonań i jego ideologii gorącej belwedersko-peowiackiej. Dla niego osobiście rzecz taka mogłaby się skończyć fatalnie, bo jest urzędnikiem wojskowym, a więc należy do wojska.

16 lipca, rok 1921, sobota
Przyjechała do Kowna i wpadła do mnie p. Helena Maciejowa Kończyna. Ucieszyłem się z niej, bo pozostało mi bardzo miłe wspomnienie z naszej krótkiej znajomości w marcu. Ten krótki stosunek pozostawił nawet po sobie pewne wrażenie na mnie. Jest to osoba, która potrafi zjednywać ludzi (przepraszam – mężczyzn) i od razu przywiązać ich do siebie. Nie jest nawet ładna, bo ma twarz piegowatą i cerę trochę zwiędłą, jeno jest zgrabna i ma wdzięk w oczach i ustach, ale jest tak miłą, tak łatwą i naturalną, tak ludzką i nie maskującą się żadnymi pozorami ani etykietą form towarzyskich, że każdy mężczyzna, który się do niej zbliży, zostaje oczarowany wiejącą od niej kobiecością i czuje się tak, jak żeby znał ją od dawna i jak żeby był jej przyrodzonym opiekunem. Wytwarza ona w każdym stosunku atmosferę poufności, która jest bardzo miłą. Jej miękkość i bezradność kobieca, a otwartość i naturalność sprawiają, że mężczyzna od razu zdobywa w stosunku do niej rolę wspierającego ramienia i głowy, rolę ostoi, o którą ona się wspiera i obwija jak miękki bluszcz dokoła mocnego dębu. A że w stosunku dęba i bluszczu rola dęba odpowiada istocie natury męskiej, więc samo czucie swojej roli wspierającej, swojej przewagi męskiej nad tym powojem kobiecym daje mężczyźnie przyjemność w tym stosunku, uwydatniając jego męskość we własnej jego świadomości i budząc sympatię do powoju. Taką jest p. Maciejowa Kończyna i taką jest jej sztuka zdobywania sympatii męskiej. Toteż nic dziwnego, że dla załatwienia interesów majątkowych przyjeżdża do Kowna ona, a nie jej mąż, pan Maciej, który

wrócił już do Szeszołek z Polski, ale żonę za siebie do interesów wysyła. Ma ona w Kownie trzech ludzi, których poznała przygodnie w czasie swego przyjazdu z Wilna w marcu i potrafiła ich tak zjednać, że są oni zawsze na jej usługi i każdą rzecz dla niej załatwią, wyjednają i wyrobią. Ludźmi tymi są: ja, adwokat Chodakowski i poseł Węcławski. Szczególnie Chodakowski jest dla niej oddany i wierny; kiedy ona przyjeżdża do Kowna, Chodakowski wisi przy niej i towarzyszy jej dniami całymi jak pies swemu panu. Zdaje się, że żaden z nas, nawet najwierniejszy jej Chodakowski, nie jest w niej zakochany. Nie spostrzegłem też, aby p. Kończyna, pomimo nadzwyczajnej łatwości stosunku i zupełnego odrzucenia rygoru w obcowaniu towarzyskim z mężczyznami, dopuszczała do jakiegokolwiek użycia zmysłowego tego stosunku. Spędziłem z nią dzisiaj cały wieczór, chodząc po mieście, zaglądając do kawiarni i wieczorem siedząc nad brzegiem Niemna. Jutro też od obiadu mam jej towarzyszyć, co mi cały wieczór znów zapełni, bo mamy wybrać się wieczorem na przedstawienie baletu wielkiej trupy petersburskiej z byłego Cesarskiego Teatru Maryjskiego. Chodakowskiego p. Kończyna nie zastała w Kownie, Węcławskiego też nie ma, cały więc miły obowiązek asystowania jej spadł wyłącznie na mnie.

17 lipca, rok 1921, niedziela
Od obiadu do wieczora spędziłem cały czas z p. Maciejową Kończyną. Byliśmy z nią na obiedzie w tzw. klubie dyplomatycznym „Metropolu", po obiedzie pojechaliśmy wąskotorową kolejką nadniemieńską do Poniemunia, tameśmy poleżeli na trawie w cieniu drzew nad wybrzeżem Niemna, stamtąd wróciliśmy do Kowna pieszo, idąc po stronie suwalskiej Niemna, co uczyniło pięć wiorst spaceru pieszego, następnie wstąpiliśmy do kawiarni na kwaśne mleko i chcieliśmy pójść jeszcze do teatru na balet, ale już miejsc dobrych nie było, więc przeszliśmy się tylko po ogrodzie miejskim i o godz. 10 rozstaliśmy się. Pogniewaliśmy się trochę z p. Kończyną, ale to minęło. Zresztą czas spędziłem średnio. Tym razem stosunek nasz z p. Kończyną nie układa się tak ciekawie, jak w marcu.
Spotkałem dziś Jonasa Vileišisa, który dopiero co wrócił z Ameryki po dwuletniej niebytności w kraju. Był on przedstawicielem Litwy w Ameryce i niedawno został odwołany. Cieszę się bardzo z jego powrotu. Lubię go i cenię wielce.

18 lipca, rok 1921, poniedziałek
P. Maciejowa Kończyna bawi jeszcze w Kownie. Chodziłem dziś z nią trochę w różnych interesach i byłem z nią na obiedzie. Jutro wyjeżdża do Szawel, ewentualnie do Połągi, również w interesach, by się porozumieć z Węcławskim dla prowadzenia pewnej sprawy w sądzie.
Nie wiem jeszcze, jaki był wynik konferencji Žemaitisa z byłymi pełnomocnikami ministeriów litewskich w Wilnie w przedmiocie wskazań dla polityki litewskiej tamże. Najprawdopodobniej rzecz ta będzie mało aktualna, bo nie przewiduję, aby Litwa tak rychło i znienacka otrzymała wstęp do Wilna, ale bądź co bądź to rzecz ciekawa i mogąca mieć pewne znaczenie wychowawcze dla polityki litewskiej. Ciekaw jestem, w jakim stopniu Litwini uświadomili sobie błędy swojej zeszłorocznej polityki wileńskiej i jakie wysuną obecnie metody; czy zdołają uwzględnić należycie i uszanować odrębności Wileńszczyzny i jakie z nich wyciągną w zastosowaniu do polityki konsekwencje? W tej naradzie pełnomocników będą niemal wyłącznie sami Litwini, bo ministeria w zeszłym roku posługiwały się w zarządzie Wilna jeno Litwinami. Nie jest to rzecz zupełnie normalna i słuszna, że w sprawie metody polityki państwowej w Wilnie głos nie tylko dominujący, ale niemalże wyłączny, mają Litwini Kownianie, zamiast tego, aby się o tym przede wszystkim wypowiedziały elementy bezpośrednio

zainteresowanej ludności wileńskiej, to znaczy w pierwszym rzędzie Białorusini i Polacy. Wspomniałem, że wypływa to przede wszystkim z nacjonalistycznej zasady państwa, której hołdują Litwini. Ale jest jeszcze przyczyna inna, która usprawiedliwia znaczenie Litwinów. Oto jeżeli chodzi o Polaków, to opierają się oni w sprawie wileńskiej o państwo polskie, nawet w rozwiązaniu „litewskim" („federacyjnym") sprawy wileńskiej, toteż w tych warunkach Litwini, wychodzący z założenia czysto niepodległościowego, nie mogą zwracać się o wskazówki i zdanie do Polaków wileńskich czy miejscowych. Poza białymi krukami, jak ja lub jak p. Tadeusz Wróblewski w jego obecnym stanowisku, nikt z Polaków nie udzieliłby im wskazówek w tej materii. O ile zaś chodzi o Białorusinów, to ci właściwie także nie wychodzą z założeń państwowości litewskiej. W ramach sporu polsko-litewskiego o Wilno i Litwę Wschodnią czy też Białoruś Zachodnią narodowcy białoruscy popierają sprawę państwową litewską, ale popierają ją tylko jako stopień przejściowy do państwowości białoruskiej. Wiedzą o tym Litwini, toteż wiedzą także, że Białorusini, o ile byłaby mowa o polityce państwowej litewskiej w Wileńszczyźnie po odzyskaniu tejże, wyrażaliby wskazania nie takie, które są potrzebne dla utrwalenia państwowości litewskiej, ale takie, które torowałyby drogi dla przyszłej państwowości białoruskiej. W idei państwowej litewskiej i takiej polityce, która by się z tą ideą dała nie tylko pogodzić, ale i stopić trwale, są przecież Litwini dzisiaj samotni i to jest ich tragizmem w Wileńszczyźnie. Muszą oni tam posługiwać się doraźnie tym lub innym z miejscowych elementów narodowych, muszą się z nim łączyć i sprzymierzać, ale nie mogą go dopuszczać do tajemnic laboratorium polityki państwowej. Zadanie ich polega na balansowaniu. Ułatwia im to wprawdzie rola arbitrów w antagonizmie polsko-białoruskim, który tam zapewne wzrastać będzie coraz bardziej, ale nie jest to droga polityki zdrowa i normalna. Litwini wierzą, że jedynie współżycie państwowe Wileńszczyzny z Litwą wytworzy w masie ludowej spojenia państwowe, których dziś brak, ale dziś sami przyznać muszą, że brak ich obecnie. Dlatego też o swojej państwowej polityce wileńskiej muszą radzić samotnie w odosobnieniu od elementów zainteresowanych miejscowych, jeżeli nie liczyć Żydów. Jeżeli jednak przy układaniu programu tej polityki muszą być poniekąd samotni, to co do samej treści tego programu mogą wybrać drogę udzielenia Wileńszczyźnie zarządu i stosunku do państwa takiego, jaki ona sama sobie zechce nadać. Czy zdecydują się na to, czy się odważą – jestem bardzo ciekaw. Czy spoistość państwową, którą chcą osiągnąć w Wileńszczyźnie, ośmielą się założyć na samodzielności tej dzielnicy, ufając naturalnym czynnikom spójni, czy też, powodując się nieufnością, realizować ją zechcą metodą kurateli i polityki z góry, to znaczy wpływu i panowania narodu litewskiego na Wileńszczyźnie, choćby upozorowanego pewną szczyptą autonomii.
Od tygodnia czy więcej bawi w Kownie Kraskowski, który chce wracać do Wilna i tam się już ostatecznie osiedli. Kraskowski jest w obozie białoruskim. Namawia mię on do Wilna także, wskazując, że tam jest moje właściwe miejsce jako pole działalności i sfera wpływów, nie zaś tu w Kownie w jednolitym społeczeństwie narodowym litewskim. Sam czuję dobrze moją samotność tutaj i brak szerszego pola do działania. Mnie, Polakowi litewskiemu, wśród Litwinów czyniących robotę państwową, mało jest pola do działania. Mogę być wykonawcą i funkcjonariuszem państwa, toteż nim jestem, ale sama budowa toczy się beze mnie. W Wilnie sfera wpływu mego mogłaby by rozleglejsza, ale jeżeli Wilno nie zostanie litewskim, nie wrócę do Wilna.

19 lipca, rok 1921, wtorek
Było posiedzenie gospodarcze Trybunału. Prócz prezesa Kriščiukaitisa i mnie, uczestniczył w posiedzeniu sędzia okręgowy Narutowicz. W Trybunale zagadnienia

trafiają się bardzo ciekawe ze stanowiska prawnego, toteż chcąc pracować, ma się tu doskonałą szkołę do wyrobienia sobie umiejętności sędziowskiej. Tylko, naturalnie, trzeba zagadnienia rozstrzygać nie „po gospodarsku", nie tak sobie na poczekaniu podług pozornej logiki, ale po wystudiowaniu całego zespołu ustaw i przepisów prawa mających związek z daną kwestią. Prezes Kriščiukaitis jest sędzią sumiennym i pracowitym, a przynajmniej wydaje mi się takim z wrażenia, które odnoszę, jeno że teraz bawi na urlopie i przychodząc tylko na posiedzenia, nie ma możności przestudiować zawczasu zagadnień porządku dziennego. Dlatego też nasze decyzje bywają dość przygodne. Przypisuję to jednak wakacjom. Co do prokuratora Kalvaitisa, to mimo że z wielu względów czyni wrażenie dodatnie – jest energiczny i człowiek widocznie dobry – jednak nie wydaje mi się zbyt tęgim prawnikiem. Wnioski jego i motywacja tychże nie sięgają głęboko w sedno zagadnienia prawnego. Lubi on natomiast popisać się swoim doświadczeniem i zaimponować aplombem, ale nie zawsze jego doświadczenie okazuje się po sprawdzeniu odpowiadającym przepisom prawa. Są to moje pierwsze z Trybunału wrażenia. Zobaczymy, jak będzie dalej. Z mojej strony dołożę starań, aby celować w tej najwyższej instancji sądowej. Biorę to sobie za punkt honoru i chcę zdobyć w sądownictwie Litwy takie imię, jakie miałem na skromniejszych posterunkach i w węższej sferze – w Kolnie i Łomży.
Mówił mi Žemaitis, że Michał Biržiška już otrzymał mój rękopis pracy o stronnictwach politycznych litewskich i zapytywał, jak praca ma być zatytułowana, czy ma być dalszy ciąg, kiedy może być przysłany i jak wielki będzie. Odpisałem sam do Biržiski. Jeżeli zechce drukować, to wkrótce będę musiał się znowu zabrać do tej pracy, by ją dokończyć. Trudno mi jest zawsze ocenić własną pracę, czy jest coś warta. Zdaje mi się, że ta jest niezła i może być użyteczna, ale kto wie, czy ci, od których zależy wydanie, będą tego zdania.

20 lipca, rok 1921, środa
Szykuję się do sobotniego posiedzenia Trybunału, które jest poświęcone sprawom wyłącznie kasacyjnym. Na wokandzie jest 15 spraw. Są to wszystko sprawy karne, zasądzone w Sądzie Armii. Ustawa o instancji kasacyjnej, która dopuszcza skargi kasacyjne do Trybunału na wyroki apelacyjne Sądów Okręgowych, wyrokujących w II instancji w sprawach należących do właściwości sędziów pokoju, choć już uchwalona przez Sejm, dotąd nie została jeszcze opublikowana i przeto nie zaczęła działać. Tymczasem skargi kasacyjne są dopuszczalne tylko w sprawach karnych Sądu Armii, za wyjątkiem spraw tegoż sądu o przestępstwa polityczne, w których Trybunał jest instancją nie kasacyjną, lecz apelacyjną. W stosunku do Sądu Armii Trybunał zastępuje były Sąd Główny Wojenny z czasów rosyjskich („Главный Военный Судъ") i posługuje się ustawą postępowania wojennego. Kasacje są więc dopuszczalne na wszystkie wyroki Sądu Armii, oprócz spraw politycznych. Są więc tam sprawy rozmaite, dotyczące zarówno specjalnych przestępstw wojskowych, jak przestępstw ogólnych spełnionych przez osoby wojskowe i niektórych przestępstw szczególnych spełnionych przez osoby cywilne, ale przekazanych właściwości Sądu Armii na czas działania stanu wojennego. Skargi kasacyjne są prawie wszystkie niesłychanie niedołężnie redagowane, widocznie nie są pisane przez adwokatów, bo nie zawierają zwykle żadnych wskazań kasacyjnych i są w treści swojej apelacyjnymi. Dość powiedzieć, że przez dwa lata praktyki kasacyjnej Trybunału w stosunku do wyroków Sądu Armii tylko jeden wyrok został skasowany. Przypuszczam jednak, że nadal będzie się to zdarzało częściej, bo ja będę uważny i ścisły w tych sprawach. Tak na przykład spośród tych kilku spraw kasacyjnych wokandy sobotniej, które dziś przejrzałem, natrafiłem już na jedną, która, moim zdaniem, nadaje się do skasowania wyroku.

Wyroki Sądu Armii są niezwykle ostre. Prezes tego sądu, pułkownik Šniuksta, jest zdecydowanym rzecznikiem bezwzględnej represji i zastraszającego działania kar. Toteż uczynił on z Sądu Armii narzędzie postrachu. Wyroki śmierci sypią się tam jak z rogu obfitości. Zresztą nie dziwię się temu i nie potępiam, o ile chodzi zwłaszcza o akty bandytyzmu, jak rozboje, rabunki i morderstwa. Jakie czasy i jacy ludzie – taki system kar i takie środki walki ze zbrodnią. Wojna zdemoralizowała szalenie masy ludzkie, obniżyła poziom kultury i wrażliwości, oswoiła ludzi z krwią, rozzuchwaliła zbrodnię, która tłumiona być musi elementarnym postrachem, obniżyła wartość życia ludzkiego. Odwaga i bezczelność zbrodni idzie w parze z surowością i bezwzględnością kary. Wśród przejrzanych przeze mnie spraw sobotnich natrafiłem już na trzy wyroki śmierci. W dwóch wypadkach chodzi o fakty rozboju dokonanego przez żołnierzy. Samowola tych bandytów, garnących się do munduru wojennego i wyzyskujących uprzywilejowane stanowisko żołnierza dla celów zbrodni i rozpasania instynktów gwałtu i hultajstwa, nie budzi współczucia dla skazańców. Te wyroki śmierci nie robią już na mnie tego wrażenia, jakie robiły przed dwoma laty w sądzie doraźnym w Łomży. Zresztą tu nie były one tak doraźne, jak tam, a w postępowaniu kasacyjnym, czysto formalnym, kiedy się nawet nie ma przed sobą zbrodniarza, kiedy się nie tworzy wyroku, jeno się analizuje wyrok gotowy, chodzi nie tyle o akt czynny skazania, ile o problem prawny i społeczny. Dlatego też wyrok śmierci nie jest tu tak straszny, jak tam. Wreszcie – Łomża oswoiła mię z wyrokami śmierci. Natura ludzka do wszystkiego przywyka i w drodze oswojenia się znieczula na najstraszniejsze rzeczy. Ale i myśl moja w dziedzinie zjawisk społecznych i kultury dokonała dużej ewolucji w ciągu tych paru lat pod wpływem obserwacji i zastanowienia się nas stosunkami realnymi. Nie powiem, abym się stał zdecydowanym rzecznikiem kary śmierci, ale nie uważam też jej społecznie za jakieś zło absolutne; uważam ją raczej za środek, który powinien być rozważany ze stanowiska użyteczności społecznej. Użyteczność jego zależy od warunków i okoliczności miejsca, czasu i środowiska społecznego. Czasem może on być środkiem higieny i dezynfekcji społecznej, czasem środkiem koniecznym amputacji, czasem znów jest tylko krzywdą straszną i budzeniem wołania o pomstę. W trzecim z wyroków śmierci, o których mówię, chodzi o żołnierza, który sobie obciął palec dla uzyskania zwolnienia od wojska. W tym wypadku kara śmierci wydaje mi się przesadzoną. Żeby to jeszcze było na polu bitwy w obliczu nieprzyjaciela, ale tu tego nie było. Taki żołnierz może być, jako człowiek prywatny, najużyteczniejszym członkiem społeczeństwa i rodziny, pełnym ludzkich uczuć i cnót, pracowitym i zacnym; brak mu jeno zmysłu państwowości i ojczyzny, brak może samego instynktu obowiązków względem państwa. Za to go karać śmiercią – to za dużo.

Dziś prokurator Kalvaitis chciał pomówić ze mną o sprawie bardzo dla mnie osobiście przykrej, a mianowicie o sposobie pociągnięcia do odpowiedzialności karnej posłów frakcji polskiej za ów nieszczęsny memoriał do Ligi Narodów. Ponieważ wychodziłem wcześnie, więc odłożył rozmowę do jutra. Chce on ze mną o tym mówić ściśle ze stanowiska prawnego, co do samej drogi procesualnej pociągnięcia posłów do odpowiedzialności. Kwestia prawna – to jedno, ale mnie tu boli inny moment w tej sprawie. Domyślałem się, że posłowie polscy zostaną pociągnięci za ten czyn do odpowiedzialności sądowej i karnej i nie mogę zaprzeczyć, że podstawa do tego jest. Łudziłem się jednak nadzieją, że może rząd litewski ze względów politycznych nie zechce jątrzyć tego konfliktu międzynarodowego, bo niewątpliwie sprawa ta będzie miała echo w stosunkach międzynarodowych. Widzę jednak, że wypłynie ona i znów zaogni niezręczną sytuację współżycia litewsko-polskiego wewnątrz i na zewnątrz włącznie ze sprawą wileńską. Ba, posłowie polscy sami to sprowokowali. Niemniej dla mnie jest to nowa czara goryczy.

21 lipca, rok 1921, czwartek
Przykro mi, że w nieszczęsnej sprawie skargi do Ligi Narodów uczynił to Grajewski, którego lubię i cenię; ale niewątpliwie inicjatywa szła nie od samej frakcji poselskiej, ale od ciała kierowniczego (Biura Informacyjnego) albo i całkiem z zewnątrz. Poza tym, krok ten, który zresztą potępiam zasadniczo, został uczyniony w najniewłaściwszym momencie, kiedy z jednej strony Litwini byli podrażnieni uchwałami genewskiej sesji Ligi Narodów i nietrudno już było domyślić się, że memoriał ten miał na celu dostarczenie atutu Askenazemu w sprawie Polski z Litwą, a z drugiej strony, wewnątrz społeczeństwa litewskiego konsolidowała się reakcja przeciwko demagogii radykalizmu społecznego na rzecz łagodzenia stosunków społecznych i uspokojenia wewnętrznego. Ta reakcja, ten zwrot ku umiarkowaniu w umysłach, to budzenie się niesmaku do krzykactwa i awanturnictwa radykalnego – jest faktem. Pomimo że uchodzę w wielu kołach za radykała, jednak z utęsknieniem witam tę reakcję i czekam jej rozwoju jak uzdrowienia. Rośnie ona dość szybko i gdyby nie nieszczęsna sprawa wileńska, o wiele by się szybciej i mocniej manifestowała. Wystąpienie frakcji polskiej dolało jeno oliwy do ognia i dało nowy żer elementom pragnącym wichrzyć społecznie. Takie fakty szkodzą nie tylko współżyciu narodowemu, ale i całemu układowi stosunków społecznych w kraju, utrzymując stan wrzenia i fermentu.
Teraz wybuchnie przykry bardzo proces. Posłowie frakcji polskiej zostaną pociągnięci do odpowiedzialności pod zarzutem zdrady stanu i w toku śledztwa spodziewane są, zdaje się, duże rewelacje.
Dla mnie to jest niesłychanie przykre i bolesne, zapewne przykrzejsze, niż dla kogokolwiek innego. Nie jestem bowiem ani wyłącznie Litwinem, ani wyłącznie Polakiem. Polacy mogą się złościć na Litwinów i jest im z tym dobrze. Litwini mogą się złościć na Polaków i jest im również dobrze. Ja zaś, jak jakiś żubr szczątkowy, jak ostatni Mohikanin wymierającej rasy krajowej, kocham zarówno Litwinów i Polaków i nie umiem nienawidzić jednostronnie jednych lub drugich. Dla mnie więc osobiście ten zatarg jest tragedią i wszystko, co dolewa oliwy do ognia i jątrzy, boli mię niewypowiedzianie. Czuję się samotny jak człowiek, którego rasa wyginęła i który sam jeden z niej pozostał, niezrozumiany już przez nikogo.
A może jeszcze, może z krwi i z bólów obecnych walk i sporów powstanie idea pojednania i odrodzi się ta rasa, do której ja należę i może ja stanę się jeszcze nie ostatnim Mohikaninem, ale mostem żywym między tymi, co odeszli, tymi ze szkoły Mickiewicza i Syrokomli, a tymi co przyjdą? Może będąc epigonem przeszłości, jestem zarazem zwiastunem przyszłości? Czasem próbuję w to wierzyć. Daj Boże, aby tak było!
Rozmawiał dziś ze mną w Trybunale długo prokurator Kalvaitis. Nawiasem wspomnę, że dziś zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie. Gadał nie tylko z aplombem, który mu jest właściwy i z energią cechującą go zawsze, bo jest człowiekiem bardzo wyrazistym i tryskającym wolą i siłą psychiczną, ale też bardzo mądrze i dzielnie jako prawnik. Choć jest to człowiek, który nie zwykł być chwiejnym i który ma zawsze wyraźnie określone zdanie, poparte zdecydowaną wolą, jednak przyszedł się mnie poradzić, względnie podzielić swymi wnioskami w sprawie pociągnięcia posłów do odpowiedzialności. Okazuje się więc, że pociągnięcie posłów do odpowiedzialności jeszcze ostatecznie zdecydowane nie jest. Choć minister sprawiedliwości Karoblis uważał, że posłów do odpowiedzialności pociągnąć trzeba, a nawet minister spraw zagranicznych też się raz wyraził potwierdzająco, jednak prokurator Kalvaitis jest zdania, że kwestia ta ze stanowiska politycznego musi być wpierw rozważona w gabinecie ministrów dla

wyjaśnienia, czy proces taki, który się stanie bardzo głośny, nie będzie zawierać sam przez się niebezpieczeństwa dla niepodległości Litwy. Karoblis ma więc przedłożyć kwestię gabinetowi ministrów. Mam wrażenie, że gabinet ministrów postanowi wszcząć sprawę choćby dlatego, aby zachować konsekwencję i lekceważony autorytet Litwy, nie przyznanej „*de jure*", nie dopuszczając do tego, by sprawa jej niepodległości była tym krzywym drzewem, na które każda koza skacze. Jeżeli więc sprawa pociągnięcia posłów do odpowiedzialności będzie zdecydowana twierdząco, to co do kwalifikacji przestępstwa prokurator Kalvaitis zamierza wytoczyć zarzut zdrady stanu (art. 108 kodeksu karnego) i zarzut sporządzenia przez urzędnika dokumentu zawierającego świadomie fałszywe okoliczności (art. 667 k.k.). Otóż co do tej kwalifikacji, niezupełnie podzielam zdanie prokuratora. Co do pierwszego zarzutu, to zgadzam się z nim. Skierowanie do Ligi Narodów tego memoriału w chwili, kiedy Liga Narodów rozpoznaje spór państwowy między Litwą a Polską i w tej świadomości, że memoriał ten służy poparciu sprawy polskiej przeciwko Litwie w tym sporze, bo oczywistym jest, że posłowie nie mogli nie uświadamiać sobie tego, ma w presumpcji wszelkie cechy zdrady stanu, przewidzianej w art. 108. Gdyby zaś jeszcze śledztwo wykazało, że posłowie są winni tego, iż memoriał ich doszedł rąk prezesa delegacji polskiej Askenazego w Genewie wtedy, kiedy jeszcze Liga Narodów nic o nim nie wiedziała, to wina ich z tego artykułu staje się jeszcze kategoryczniejsza. Jutro dopowiem jeszcze o tym.

22 lipca, rok 1921, piątek
Oskarżenie posłów polskich z art. 108 jest, moim zdaniem, jedynym, które można im zasadnie wytoczyć. Oczywiście zachodzi przede wszystkim kwestia, którą słusznie podnosi prokurator Kalvaitis, czy w ogóle warto wytaczać oskarżenie i czy taki proces ze względów politycznych nie przyniesie więcej szkody, niż satysfakcji. Tam zwłaszcza, gdzie chodzi o czynniki polityczne, nie można się kierować maksymą: „*fiat iustitia, pereat mundus*"[580]. Rząd litewski musi rozważyć, czy proces taki nie zaszkodzi Litwie w opinii Ligi Narodów, Ententy i Europy. Litwa jest słaba i upośledzona w Europie, przyjaciół i potężnych protektorów ma mało, wpływ jej w świecie jest minimalny; nie jest uznana „*de jure*", nie ma granic ustalonych, jest samotna, odrzucenie przez nią genewskiej propozycji Ligi Narodów i pewne błędy taktyczne polityki Puryckiego w traktowaniu sporu z Polską mogły zniechęcić do niej potentatów świata. Natomiast Litwy rywalka w sporze – Polska – jest silną, uznaną, ma wpływy, ma stanowisko w polityce europejskiej, ma potężnego sojusznika we Francji, potentatce kontynentu europejskiego. Z tymi względami liczyć się trzeba. Ale są i względy inne i przypuszczam, że te ostatnie w decyzjach rządu litewskiego zwyciężą. Jest to wzgląd na to, że Litwa, słaba wobec potęg Europy i Polski fizycznie, może być silna tylko prawem swoim i konsekwentną wolą niepodległości, od której zbaczać nie może dla żadnych względów, że przeto nie powinna dla oszczędzania możliwych humorów opinii europejskiej i dla potulności tolerować wewnątrz u siebie wykroczeń przeciwko tej swojej naczelnej zasadzie niepodległości, że aby zdobyć szacunek dla swojej woli państwowej na zewnątrz, powinna sama siebie i tę swoją wolę, obleczoną w prawo, szanować i nie dopuścić jej deptania przez własnych obywateli, choćby Polaków i posłów sejmowych. Przypuszczam, że takie będą motywy rządu litewskiego i że zdecydują o pociągnięciu posłów polskich do odpowiedzialności. Dla mnie osobiście chodziłoby o względy jeszcze inne, względy wewnętrznego współżycia narodowego i nawet obywatelskiego, o pokój społeczny w kraju, o równowagę i stateczność w usposobieniu i stosunkach, bez których całe życie krajowe jest spaczone i chore. Taki

[580] „*Fiat iustitia...*" – „Sprawiedliwości musi stać się zadość, choćby świat miał zginąć".

proces pod tym względem podziała fatalnie i wniesie w stosunki tak z jednej, jak z drugiej strony podrażnienie, ferment i nowe wichrzenia. Będzie to fatalne dla całego życia krajowego, nie wyłączając sfery społecznej, gospodarczej, praktyk administracyjnych i wszystkich elementów państwowości włącznie z dziedziną ustawodawczą. A rzeczy te działają niezmiernie ujemnie nie tylko na stan wewnętrzny w kraju, ale i na cały bieg sprawy wileńskiej, która jest kapitalną sprawą problemu państwowego Litwy, jednym z zagadnień życia Litwy. Ale cóż – nie mogę w tym wypadku zaprzeczyć, że odpowiedzialność tego nowego, bolesnego zakłócenia [ob]ciąży[581] Polaków litewskich, którzy w osobie swych posłów sejmowych sprowokowali tym razem Litwinów.
Jeżeli już jednak ten proces ma mieć miejsce, to, moim zdaniem, wskazane jest ze stanowiska litewskiego ograniczyć go do oskarżenia o zdradę stanu z art. 108 k.k., nie wchodząc w analizę prawdziwości lub nieprawdziwości twierdzeń memoriału polskiego o krzywdach czy też „prześladowaniu" Polaków w Litwie. Przestępstwo działania na szkodę Litwy w jej stanowisku międzynarodowym, a mianowicie działania przeciwko zasadzie jej suwerenności mieści się w samym czynie podania tego memoriału w danych okolicznościach międzynarodowych. Kwestia prawdziwości twierdzeń memoriału nie ma tu znaczenia. Jeżeli się wytoczy drugie równoległe oskarżenie o fałszywe przedstawienie okoliczności w memoriale, nie mówiąc o tym, że uważam zastosowanie tego oskarżenia z art. 667 k.k. za formalnie błędne, bo poseł do Sejmu Ustawodawczego, który jest podług konstytucji litewskiej sejmem suwerennym, nie może być utożsamiany z „urzędnikiem", rezultat będzie ten, że punkt ciężkości oskarżenia i obrony – a więc całej sprawy – skoncentruje się na kwestii prawdziwości tych twierdzeń. Oczywiście wypadki krzywd i upośledzenia Polaków w atmosferze zatargu polsko-litewskiego nie mogły się nie zdarzać, a osobiście wiem aż nadto, że nietrudno dałoby się udowodnić istnienie takich wypadków, nieraz bardzo jaskrawych i systematycznych, zasługujących wprost na miano „prześladowania". Niech obrona udowodni tylko część twierdzeń memoriału, to choćby nie udowodniła wszystkich i nie obroniła od skazania, to jednak wrażenie będzie to, że przecież memoriał był uzasadniony. Sam proces przeto i wyrok będzie czynił wrażenie aktu prześladowania, co Litwie jeno zaszkodzi, kiedy punkt ciężkości polegać powinien nie na twierdzeniach memoriału, ale na tym efekcie, do którego był skierowany. Wskazałem na to prokuratorowi Kalvaitisowi i zaznaczyłem, że będzie to błąd oskarżenia ze stanowiska państwowego w tym procesie, który z konieczności stanie się czynnikiem politycznym. Ale Litwini, jak wnioskuję ze słów Kalvaitisa, uważają, że skoro proces ma mieć miejsce, to powinien wykazać niezasadność merytoryczną skargi polskiej, aby nie ściągać na Litwę zarzutu, że karze autorów memoriału za ogłoszenie prawdy i że boi się sama zajrzeć prawdzie w oczy. Moim zdaniem jest to wzgląd mylny.
Dowiedziałem się też od Kalvaitisa, że posłowie ks. Laus i Snalewski (Grajewski bawi na wsi), zgodnie ze swym publicznym oświadczeniem w „Gońcu Kowieńskim" po zajściu w Sejmie podczas debaty nad memoriałem polskiej frakcji, zgłosili rezygnację swoją z mandatów poselskich, ale pismo swoje z rezygnacją zaadresowali do Sejmu Ustawodawczego „Litwy Kowieńskiej". W takim zaadresowaniu zawiera się oczywiście zakwestionowanie prawowitej państwowości Litwy, reprezentowanej przez Sejm i przez Kowno Kowno oraz uznanie dwóch Litw – Kowieńskiej i Wileńskiej (może się nawet mylę, bo zdaje się, że Kalvaitis mi mówił o zaadresowaniu tego pisma do Sejmu nie „Litwy Kowieńskiej" lecz „Litwy Zachodniej"). Prezydium Sejmu ze względu na takie zaadresowanie pisma nie uwzględniło rezygnacji. Powstała nowa kwestia, czy nie należy zatem pociągnąć Lausa i Snalewskiego do odpowiedzialności

[581] *W tekście:* ciąży.

pod zarzutem obrazy Sejmu, ale Kalvaitis nie uważa tego za dostateczną podstawę do formułowania oskarżenia.

23 lipca, rok 1921, sobota
Proces posłów polskich, jeżeli dojdzie do skutku, może się stać jeszcze głośniejszym i jeszcze dramatyczniejszym, niż głośny proces w sprawie POW. Może on poruszyć namiętności głębiej i mieć skutki dalej idące. W tym bowiem procesie oskarżonym posłom groziłaby kara śmierci, podczas gdy w sprawie POW kara śmierci ze względów formalnych nie mogła mieć miejsca (dla tej przyczyny, że pierwsza z ustaw Sejmu Ustawodawczego Litwy w r. 1920 zniosła karę śmierci i następnie zniesienie kary śmierci zostało wpisane do konstytucji tymczasowej; wkrótce potem w lipcu r. 1920 został ogłoszony w całym kraju stan wojenny i zawieszone gwarancje konstytucyjne. Zawieszenie gwarancji konstytucyjnych przywróciło karę śmierci, która wszakże może być stosowana tylko do przestępstw spełnionych po zawieszeniu tychże gwarancji, przestępstwo zaś peowiaków datowało się z r. 1919). Ba, cóż robić – czyn pociąga za sobą skutki. Zresztą Grajewski nie należy do ludzi, którzy by się ulękli lub dali złamać wyrokiem śmierci. Byłoby to jednak potworne, gdyby Grajewski miał zginąć z rąk Litwy. Tego sobie nie umiem wyobrazić. A co dla mnie najcięższe, to, że podług organizacji sądownictwa litewskiego sprawa ta w drodze apelacji przeszłaby z Sądu Armii do Trybunału i że przeto, jeżeli proces ten zostanie wytoczony i jeżeli nic się do tego czasu nie zmieni, wypadłoby być mnie jednym z sędziów Grajewskiego, który jest moim przyjacielem osobistym i którego cenię bardzo. Nie przypuszczam, żeby doszło do wykonania wyroku śmierci, nie przypuszczam nawet, aby Trybunał wyrok ten co do kary utrzymał w mocy, jeżeli Sąd Armii skaże ich na śmierć, ale możliwość prawna jest i to jest dla mnie osobiście straszne, straszniejsze od wyroków śmierci, które orzekałem w sądzie doraźnym w Łomży. Wszak oto i dziś na posiedzeniu Trybunału odrzuciliśmy skargę kasacyjną żołnierza-bandyty, skazanego przez Sąd Armii, ale świętokradztwem byłoby zestawienie moich uczuć wobec wyroku śmierci na opryszku z uczuciami, jakich bym doznawał wobec możliwości wyrzeczenia wyroku śmierci na Grajewskiego. Ale mówiąc o doniosłości możliwych skutków prawdopodobnego procesu, miałem na myśli nie moje uczucia wobec tej sprawy ani nawet ewentualność wyroku śmierci lub wreszcie nawet samego stracenia, bo ostatecznie są to rzeczy, choć niezmiernie ciężkie, ale przecież osobiste, lecz skutki polityczne i państwowe, skutki międzynarodowe tego procesu, które mogą się zamanifestować w nie dających się dziś jeszcze przewidzieć kształtach, np. choćby możliwości czynnej interwencji polskiej. Kto by za to zaręczył! Zwracając się zaś do wewnętrznych w kraju skutków już nie przyszłego procesu, ale samego memoriału frakcji polskiej i w ogóle tego kierunku wystąpień o charakterze antypaństwowym, to zaiste dobrze mówi Albin Rimka w pierwszym z nowej serii swoich „Listów o reformie agrarnej", drukowanych we wczorajszym numerze „Lietuvy", że nikt w tym stopniu, co sami ziemianie Polacy i ich posłowie w Sejmie litewskim, nie robił do ostatniej chwili ze wszystkich sił tyle, ile zrobili oni, aby ustawa o reformie agrarnej wyszła z pracowni sejmowej nie jako akt polityki społecznej i ekonomicznej, lecz jako wytwór walki czysto klasowej, narodowej i partyjnej. W tych słowach zawiera się bardzo dużo prawdy. Jeżeli nie można ich zastosować do działalności czynnej całego ogółu ziemian naszych, którzy sterroryzowani i zmaltretowani siedzą cichutko po swoich norach, stuliwszy ogon i bojąc się nawet poruszyć, to można śmiało zastosować to do tej garstki, co za nich odważa się czynić i która jest czynna jedynie, a która właściwie ich myśl i tęsknotę wyraża, bo jej tylko oni w skrytości swego osobistego tchórzostwa sprzyjają. Garstka ta działa, moim zdaniem, szkodliwie, zupełnie zresztą unisono z ideą i myślą przewodnią polityki wschodniej

Piłsudskiego; szkodliwie dlatego, że dążąc do celu może w ich świadomości szlachetnego, lekceważy to, co jest w narodach i ich formacjach państwowych najistotniejsze i bez czego żaden twór polityczno-państwowy, o którym marzy Piłsudski, się nie uda i nie dźwignie czynnik ludowy, który jest w naszych krajach litewsko-ruskich tożsamy z narodowym i płynąca z tego czynnika wola niepodległości, choćby część bierna tłumów ludowych na razie tej woli nie uświadamiała sobie. Działanie tej garstki uważam za szkodliwe, ale przynajmniej godne szacunku, bo bywa ofiarne i szczere. Natomiast tchórzliwy ogół ziemiański, który wprawdzie nie działa, lecz z sympatią przygląda się temu działaniu i z tęsknotą wyczekuje jego owoców interwencyjnych dla ocalenia swoich majątków i zrobienia geszeftu – ten jest gorszy od garstki fanatyków i ślepych szaleńców szlachetnej jednak w myśli; on też tę swoją tęsknotę bierną i tchnącą interesem klasowym, przywiązywaną do akcji działających, czyni z niej sprawę klasową, której Litwa, broniąc swej niepodległości, przeciwstawia antytezy klasowe, prowadzące do dzikich produktów ustawodawstwa w stylu dawnej reformy agrarnej i towarzyszącej jej plejady ustaw prawnych. Zaostrzenie walki polityczno-narodowej może w trzecim czytaniu ustawy o reformie agrarnej zabarwić ją jeszcze bardziej jaskrawie. Ale jest taka grupa w tej garstce polityków polskich, która świadomie pragnie pogorszenia dla maksymy: im gorzej, tym lepiej.

24 lipca, rok 1921, niedziela
Napisałem dziś artykuł, któremu tytułu jeszcze nie dałem. Dotyczy on problemu białoruskiego w polityce państwowej litewskiej. Ale przy tej okazji dotknąłem samych zasad polityki państwowej litewskiej, wykazując konieczność budowania tychże nie metodą imperialistyczną czy kolonialną, wychodzącą z założeń prostego rozciągnięcia państwowości litewskiej, wytworzonej pracą Kowieńszczyzny, Suwalszczyzny i Żmudzi, na ziemię wileńsko-lidzko-grodzieńską jako „należącą" do Litwy z tytułu traktatu moskiewskiego z Rosją, jeno metodą uwzględnienia faktów żywej rzeczywistości na tych ziemiach dzielnicy wschodniej i dania im wyrazu takiego w polityce państwowej, który będzie najbardziej odpowiadał pierwiastkom stosunków i potrzebom rozwoju w tamtej dzielnicy i przeto da ludności tamtejszej maksimum poczucia, że w państwie litewskim będzie ona u siebie. Jeżeli Litwa jest i ma być rzeczpospolitą <u>ludową</u>, a tylko pod tym znakiem może ona zwyciężyć, bo to jest jej jedynym i zarazem najmocniejszym tytułem bytowania, to nie może ona tej zasady ograniczyć do swego litewskiego jądra etnograficznego w dzielnicy zachodniej, stosując poza to jądro – na Wileńszczyznę – zasadę i tytuł prostego panowania, opierającego się na „traktacie" z Rosją. Wtedy Litwa składałaby się z metropolii kowieńskiej, zbudowanej na zasadzie państwa ludowego, i kolonii wileńskiej. Oczywiście takim pierwiastkiem, taką zasadą Litwa ludności polsko-białoruskiej w Wileńszczyźnie nie pociągnie ku sobie. Argumenty prawa opartego na traktatach, czy to w Moskwie z Rosją, czy w Suwałkach z Polską, nie przemówią do umysłów i serc zainteresowanej ludności. A ponieważ wytwarzanie się państw na gruzach Rosji między Zatoką Botnicką a Morzem Czarnym albo nawet Kaspijskim jest jeszcze w stanie, że się tak wyrażę, laboratoryjnym, więc tu same traktaty nie pomogą. W ostatecznym wyniku o państwowości na spornych ziemiach Wileńszczyzny i Białej Rusi zadecyduje nie siła oręża ani prawa traktatowe, ani interwencje Ligi Narodów, ani jednostronne decyzje bądź Litwy, bądź Polski, lecz świadomość i wola ludności terytoriów spornych, a więc jej wybór. Oczywiście wszystkie te czynniki oręża itd. mają swoją wagę, ale tylko zawsze w związku z wolą i decyzją ludności zainteresowanej. Zresztą siła oręża nie jest po stronie litewskiej. Metoda wydobywania z mas ludności litewskiej w Kowieńszczyźnie maksimum wytężenia sił, ofiarności i gotowości bojowej, której służą

„Gynimo komitety", jest jednostronna. Gdyby Wileńszczyzna była zaludniona pod względem narodowym Litwinami, to rzecz byłaby prosta. Ale skoro tak nie jest, to Litwa, nie zaniedbując rozwijania gotowości wojennej z tej strony linii demarkacyjnej, powinna, chcąc osiągnąć zwycięstwo, wytworzyć takie pierwiastki w swojej polityce państwowej, które będą miały urok dla ludności Wileńszczyzny. Litwa musi zawierać w sobie atrakcję i urok. Litwa próbuje wytworzyć tę atrakcję swoją radykalną reformą agrarną, ale ta atrakcja jest jednostronna, która może nawet chybić, jeżeli stosowanie tej reformy agrarnej ujawni jej działanie destrukcyjne, co jest bardzo prawdopodobne. Atrakcją istotną byłaby polityczna zasada zupełnej samorządności ludowej i uszanowania pierwiastka ludowego w budowie państwowej i w zespole Wileńszczyzny z Litwą. Trudno jest Litwie wytworzyć ten urok atrakcyjny dla ludności polskiej w Wileńszczyźnie. Ludność polska czuje się tam tymczasem pod rządami polskimi uprzywilejowana wobec innych, a wiadomo, że ludzie niechętnie się uprzywilejowania zrzekają, choć działa ono na uprzywilejowanych nieraz ujemnie, wytwarzając w nich cechy pasożytnicze. Ludność polska tameczna wie, że w Litwie, czy to narodowo-imperialistycznej litewskiej, czy to ludowej, przywileju specjalnego dla Polaków nie będzie. I pod tym jednak względem Litwa mogłaby zrobić więcej niż dotąd; nie mogąc wytworzyć szczególnego uroku dla Polaków wileńskich, mogłaby przynajmniej unikać starannie i wypleniać ze swej polityki wszystko, co się przyczyniało do zrażania ich. Litwa to zaniedbuje i źle robi sama dla siebie. Bo przecie wcześniej czy później, jeżeli Wilno ma się połączyć z Litwą, Litwa będzie musiała się liczyć z Polakami wileńskimi i zjednać ich dla państwa, aby scementować zespół państwowy. Wszystko to, co dziś drażni i zraża Polaków krajowych, z czasem będzie się mściło na współżyciu, które jednak stanie się koniecznością. Idea utrwalenia państwowości na przeciwstawieniu Polakom innych elementów i na wygrywaniu tej przeciwstawności jest chybioną; dewiza „*divide et impera*" przystoi panującym i jest znowuż wyrazem nacjonalizmu, ale nie przystoi państwu budowanemu na zasadzie ludowej. Wszakże błędy polityki litewskiej względem Polaków można przynajmniej wytłumaczyć podrażnieniem i nerwami. Inaczej się rzecz ma w stosunku do Białorusinów. Ludność białoruska nie korzysta z uprzywilejowania pod rządami polskimi. Doświadcza ona na sobie w całej pełni imperialistycznego charakteru tychże rządów, widzi i czuje, że Polska realizuje zapanowanie swoje nad krajem i ludem krajowym i że ona, ludność rdzenna białoruska, nie znajduje w Polsce wyrazu dla swoich potrzeb. Otóż tu otwierałaby się dla Litwy świetna okazja do zwalczenia Polski. W tym celu musiałaby ona tak określić swój stosunek do Białorusinów, tak rozwiązać problem białoruski w swej polityce państwowej, aby w świadomości ludu białoruskiego i jego przywódców Litwa przedstawiała się państwem ludowym, które oni będą mogli nazwać swoim i w którym będą czuli się u siebie jako gospodarze w kraju własnym. Taka Litwa budziłaby ich tęsknotę ku sobie i stałaby się dla nich gwiazdą nadziei przeciwstawiającą się panowaniu polskiemu.

25 lipca, rok 1921, poniedziałek
Artykuł mój napisany wczoraj zawierał mniej więcej, tylko w innym brzmieniu, te myśli zasadnicze, które wyraziłem wczoraj w dzienniku. Tytuł dałem: „Problemat białoruski w polityce państwowej litewskiej". Napisałem umiarkowanie i nie ubrałem go w formę krytyki obecnej polityki litewskiej, jeno w formę wskazań i zasad tejże. Przeznaczając artykuł dla dziennika „Litwa", który jest wydawany za pieniądze rządowe i służy właściwie propagandzie państwowej litewskiej i polemice z polityką polską w sporze wileńskim, nie mogłem wyraźnie uczynić zarzutów polityce litewskiej. Ale sposób, w jaki przedstawiłem zasady polityki państwowej litewskiej, jakimi one

być powinny i błędy, których polityka ta unikać powinna, wskazują dość przejrzyście, że nie jest ona doskonała i że jednak coś jej brakuje, jeżeli trzeba dopiero teraz zasady te nakreślać. Jako wniosek praktyczny wskazałem w zakończeniu na konieczność oparcia się polityki państwowej w problemie białoruskim o białoruskie komitety narodowe Wileńszczyzny i Grodzieńszczyzny[582], to znaczy właśnie tę drogę, której Litwa dotąd starannie unika, nie ufając tym komitetom narodowym jako zbyt ściśle się wiążącym z rządem Łastowskiego. Wskazałem też i na to, że nieufność do rządu białoruskiego Łastowskiego nie jest uzasadniona, skoro jest z nim porozumienie co do tej kapitalnej rzeczy, że kwestia granic litewsko-białoruskich będzie między dwoma państwami ustalona na zasadzie porozumienia dopiero wtedy, kiedy Rzeczpospolita Ludowa Białoruska zaistnieje terytorialnie, dopóki zaś to nie nastąpi, rząd białoruski żadnych zastrzeżeń co do przynależności państwowej do Litwy pewnych części terenu, zaludnionego przez Białorusinów, nie zgłasza (dowiedziałem się wczoraj od bawiącego tu Kraskowskiego, że układ zeszłoroczny litewsko-białoruski[583] idzie jeszcze dalej, jest bowiem akt, podpisany przez Puryckiego, który oświadcza, że Litwa zgodzi się na zasady stosunku federacyjnego względem ziem białoruskich, które wejdą w skład wspólnej państwowości; akt ten, jak zresztą cały układ, jest poufny, bo nie mógłby nawet być ujawniony choćby dlatego, że rząd białoruski nie posiada formalnego bytu międzynarodowego; zresztą w ostatnich czasach zebrało się dużo kwasów w stosunkach między rządem litewskim a rządem Łastowskiego i zaufanie obustronne, a przeto i sam układ są trochę zachwiane).
Dość jasne jest, że mój artykuł godzi w pewne tendencje polityki litewskiej, mimo że nie wskazuje wyraźnie, iż jest ona taką, jaką w myśl mojego artykułu być nie powinna. Toteż mam duże wątpliwości co do tego, czy Žemaitis zaakceptuje mój artykuł do druku. Wręczyłem mu go dziś, ale nie przeczytał jeszcze. Nie bardzo też rad jestem z organu, w którym drukować mój artykuł mogę. Dziennik „Litwa", przeznaczony do agitacji, jest pomimo redakcji umiarkowanego Žemaitisa, zbyt zaciekły w doborze argumentów antypolskich. Stwarza to wcale nie najprzyjemniejsze tło dla moich artykułów. Poza tym, wpływy i poczytność dziennika są słabe, toteż głos poważny brzmiący ze szpalt tego pisma przechodzi bez echa i nie zwróci na siebie uwagi, bo bardzo niewielu dowie się o nim. Tylko „Dzwon Litwy" Michała Biržiški w Wilnie przedrukuje nieraz to, co jest pisane z większym talentem i siłą, a „Dzwon Litwy" jest dość dużo czytany w Wilnie, a nawet w kołach politycznych i redakcjach Warszawy[584]. Ale artykułu, w którym można dostrzec krytykę polityki państwowej litewskiej, „Dzwon Litwy" ze względów taktycznych przedrukować bodaj nie zechce. Do samych jednak zainteresowanych, do tych, których krytyka dotyczy i dla których są przeznaczone wskazania polityczne artykułu, to znaczy do polityków i opinii publicznej w Kownie, artykuły drukowane w „Litwie" prawie nie docierają. Polacy nie czytają „Litwy", bo jej nie lubią i lubić nie mogą za jej ton i kierunek, Litwini jedni nie umieją po polsku, inni są samemu językowi polskiemu niechętni, wreszcie inni bagatelizują to pisemko agitacyjne, a choćby uważali je za użyteczne ze stanowiska litewskiego, to

[582] Pod nazwą komitetów narodowych występowały różne białoruskie organizacje i instytucje. Na Litwie Środkowej czołową niepodległościową organizacją białoruską był kierowany przez Antoniego Łuckiewicza Białoruski Komitet Narodowy w Wilnie. Swą działalnością obejmował on również ziemie białoruskie przyłączone na mocy traktatu ryskiego do Polski. Być może Römer miał na uwadze właśnie ten Komitet i związane z nim organizacje.
[583] Umowa pomiędzy rządem litewskim a białoruskim rządem emigracyjnym Wacława Łastowskiego została podpisana 11 listopada 1920 r.
[584] „Dzwon Litwy", organ Tymczasowego Komitetu Litewskiego w Wilnie, ukazywał się od 30 (?) XII 1920 do 18 I 1921 r. Zastąpił on wychodzący wcześniej (zamknięty 28 XII 1920) „Głos Litwy". Z kolei w miejsce „Dzwonu Litwy" pojawiła się 11 IX 1921 „Straż Litwy".

jednak mało ono ich interesuje. Wreszcie Żydzi nie czytają w ogóle pism w języku polskim. Ale wyboru nie mam, bo w „Gońcu Kowieńskim" ze względu na jego tendencję podkopywania obecnej państwowości litewskiej, nic umieszczać nie mogę. Krytyka polityki państwowej litewskiej jest konieczna. Za mało jej w społeczeństwie litewskim. W stosunku do sprawy wileńskiej polityka ta jest pełna błędów. Krytyka, którą uprawia „Goniec Kowieński", chybia celu, bo godzi nie tyle w politykę, ile w samo państwo, usiłując je zdyskredytować pomimo frazesu obywatelskiego. Litwini czują to dobrze i dlatego argumenty „Gońca" nie mogą ich przekonać. „Lietuvos Balsas", organ opozycji Antoniego Smetony i Voldemarasa, uprawia krytykę ostrą, która wpływ swój niewątpliwie wywiera, mimo że elementy rządowe starają się ze wszech sił opozycję tę zdyskredytować. Ale krytyka tej opozycji prawicy, o ile w zagadnieniach polityki społecznej jest dzielna, o tyle w stosunku do polityki narodowej wewnętrznej i zewnętrznej wychodzi z tych założeń jaskrawie imperialistycznych i nacjonalistycznych, które z mojego stanowiska winny być z polityki państwowej usuwane. Od niedawna zaczął prowadzić bardzo użyteczną krytykę opozycyjną nowy organ w języku rosyjskim pod redakcją Białorusina Woronki – „Wolnaja Litwa"[585].

26 lipca, rok 1921, wtorek
Nie widziałem Žemaitisa, więc nic nie wiem jeszcze o losie mego artykułu, ale mam przeczucie, że Žemaitis nie zakwalifikuje go do druku w „Litwie". Ba, nie dziwiłbym się temu, bo trudno, aby pismo rządowe i zwłaszcza przeznaczone do propagandy, a więc bojowe w pewnym kierunku, lubowało się chętnie w artykułach, z których się wyczuwa zarzut polityki urzędowej. Jest to w zwykłym rzeczy porządku, mimo że ja osobiście jestem innego zdania i mawiam, że opublikowanie pewnych wskazań dla polityki państwowej, mogących czynić wrażenie dodatnie na te czynniki, o których zjednanie dla Litwy chodzi, jest pożądane bez względu na to, że pośrednio zawiera się w nich zarzut polityce dotychczasowej. Zresztą, aby podzielać moje zdanie, trzeba być przekonanym o tym, że moje wskazania są skuteczne. Wtedy nie szkodzi nawet, gdy się cokolwiek do błędu przyzna. Wtedy może to nawet czynić i wrażenie dobre, ujawniając szczery wysiłek do znalezienia drogi dobrej i do gotowości czynienia w polityce poprawek, nie upierając się i nie udając nieomylnych. Podkreślanie wyraźne naczelnej zasady ludowej w polityce litewskiej i odseparowanie się mocne od wszelkich tendencji traktowania Wileńszczyzny jako kolonii narodowej litewskiej, co właśnie (mówiąc nawiasem – nieraz zasadnie) zarzucają polityce państwowej litewskiej w pierwszym rzędzie Polacy, a szczególnie Wilnianie i w dużym stopniu także Białorusini i co jest jednym z głównych kamieni obrazy garnięcia się ludności tamecznej do Litwy, może mieć tylko skutek dodatni. Im więcej się to będzie w prasie litewskiej podkreślało, tym lepiej dla Litwy. A jeżeli za słowami nastąpią jeszcze w tym duchu czyny, to będzie jeszcze lepiej.
Moim zdaniem, bać się, że ktoś może zarzucić, iż pośrednio jest to przyznanie się do winy w dotychczasowej polityce, nie ma żadnej racji. Ostatecznie, cóż z tego: błądzić jest rzeczą ludzką; ważniejsze jest wykazanie, że Litwa szczerze dąży do tego i ma w swej polityce świadomość tych zasad, niż obstawanie przy swej nieomylności, kiedy ludność zainteresowana w ujemnym świetle wyobraża sobie dotychczasową Litwy politykę. Mój artykuł zresztą, przeciwstawiając zasady ludowe zasadom imperialistyczno-kolonialnym, nie zawiera nigdzie twierdzenia, jakoby polityka

---

[585] Brak bliższych danych o tym piśmie. Postać redaktora J. Woronki (Waronki) sugeruje, iż było to pismo narodowe białoruskie. Być może jednak jest ono tożsame ze wspomnianym przez M. Römera w zapisce z 15 września 1921 r., i określonym przezeń jako organ „żydowsko-rosyjski" pismem „Вольная Литва".

państwowa litewska hołdowała dotąd zwalczanym przeze mnie zasadom; starannie unikam tego i wskazuję tylko przelotnie, że zasady imperialistyczne dają się dostrzec czasem w aspiracjach prawicowych stronnictw litewskich. Bardzo więc łatwo wytłumaczyć, że mam w mej krytyce na myśli wcale nawet nie urzędowe czynniki państwowe, jeno opozycję prawicową i w szczególności znany artykuł Antoniego Smetony, drukowany w zeszłym tygodniu w „Lietuvos Balsas" i w bardzo przykry sposób dotykający Białorusinów, jakby to byli jacyś intruzi w Litwie, ośmielający się sięgać po cudze. I w rzeczywistości mój artykuł jest właśnie odpowiedzią na tezy Smetony, który wywodzi prawa państwowe litewskie do Wileńszczyzny nie z zasad ludowych współżycia na ziemiach ciążących ku sobie i nie z zasady samookreślenia, która wytwarza formacje państwowe w laboratorium ludów wyzwolonych z jarzma Rosji, lecz wyłącznie z traktatu lipcowego r. 1920 między Litwą a Rosją Sowiecką. Bezpośrednio więc, że tak powiem, zaprzeczam tylko Smetonie i prawicy, jeno że w istocie Smetona i prawica wyraża tylko konsekwentnie i prosto to, co mniej lub więcej osłania frazesem całe niemal społeczeństwo litewskie, czyniąc jednak i przeważnie myśląc tak samo, a czemu przeciwstawia się kategorycznie tylko rewolucyjny odłam lewicy litewskiej, mianowicie grupa Januszkiewicza (lewi albo rewolucyjni ludowcy), całkowicie pozbawiona wpływu na urzędową politykę państwową i pozostająca na stopie nielegalnej. Im więcej Litwa będzie podkreślała swą politykę ludową i jej hasła, z którymi zamierza iść do Wileńszczyzny, tym urok jej będzie rósł tamże. Litwini są podejrzliwi i uparci. Są to dwie cechy ich charakteru narodowego, które mają swoje strony dodatnie w polityce, ale mają i ujemne. Gdy im się coś wskazuje, podejrzewają, że się im zarzuca. Uparci są i niezwrotni i nie lubią zmieniać swych nałogów i przyznawać się do jakichkolwiek błędów. Są wprawdzie dzięki temu twardzi i jednolici, ale to ich pozbawia giętkości w polityce, która jednak, jak każde dzieło ludzkie, jest procesem żywym, ewoluującym.
W sprawie białoruskiej rząd litewski nie umie nigdy znaleźć linii właściwej. Ile razy próbował zmienić swą politykę i oprzeć się szczerze na związku z narodowym pierwiastkiem białoruskim w myśl zasady ludowej w swojej polityce na wschodzie, tyle razy za lada powiewem znów zawracał na tory swoich nałogów elementarnych, płynących z instynktu zapanowania narodowego litewskiego nad Wileńszczyzną, nakazującego mu nie ufać Białorusinom i opierać się raczej, dla zwalczenia konsekwencji narodowego prądu białoruskiego, na quasi-Białorusinach, a właściwie na klikę podszywających się pod tą nazwę Rosjan, którzy sprawę białoruską nienawidzą i uważają ją za zdradę sprawy rosyjskiej. Klika ta (rozmaici ludzie w rodzaju Bojewa, popa Kreczewskiego i in.) właściwie marzy i tęskni do Rosji, jeno nie do Rosji bolszewickiej, ale przyszłej Rosji narodowej i mocarstwowej. Godzi się ona z państewkami kresowymi, wierząc, że z czasem zleją się one z Rosją, a tymczasem są punktami oporu przeciwko bolszewizmowi. Białorusinów jednak uważają za część nie tylko państwa, ale i narodu rosyjskiego i choć sami się dziś nazywają Białorusinami, nie chcą za żadną cenę dopuścić do formacji państwowej białoruskiej. Są oni lojalni wobec państwa litewskiego – oczywiście na dziś, póki nie zmartwychwstała Rosja narodowa – i chętnie popierają państwowość bezwzględną litewską, tym chętniej nawet, im mniej ona jest ludową. Chętnie też popierają wcielenie do Litwy cząstek terytorium białoruskiego, to znaczy w ich pojęciu – rosyjskiego, nie po to jednak oczywiście, aby w nich wytwarzać ogniska narodowego separatyzmu białoruskiego. Sfery rządowe litewskie chętnie opierają się na tych „Białorusinach" rosyjskich, którzy są dla nich dogodniejsi od narodowców białoruskich; ci ostatni bowiem związek z państwowością litewską pojmują tylko na zasadzie zespołu współpracy równych z równymi, nie zaś zdobycia przez Litwę kolonii dla narodowego państwa litewskiego. Toteż polityka

litewska wciąż nałogowo nawraca do kontaktu z kliką rosyjską „Białorusinów" przeciwko Białorusinom narodowym. Klika rosyjska otacza rząd i w szczególności litewskie Ministerium Spraw Zagranicznych. Purycki błąd ten powtarza stale. Dość powiedzieć, że dyrektorem Departamentu Wschodniego w Ministerium Spraw Zagranicznych był Bojew, który i dotąd jest tam *persona grata*. Z Białorusinami narodowcami (rządem Łastowskiego) rząd litewski w roku zeszłym zawarł układ i przymierze. Ale oto już teraz przymierze to się psuje i stosunki są coraz gorsze. Jest nawet w tej chwili ostry kryzys w tych stosunkach. Oby Litwa nie zapłaciła kiedyś drogo za spoufalanie ze sobą Rosjan, maskujących się za Białorusinów.

27 lipca, rok 1921, środa
Przekonałem się dziś, że jednak Žemaitis zaakceptował mój artykuł do druku, bo w wydanym wczoraj numerze „Litwy" (z datą dzisiejszą) wydrukowana jest pierwsza część artykułu. Jednak wyczuł widocznie Žemaitis, że mój artykuł w jego części krytycznej może sprawić wrażenie aluzji do obecnej polityki litewskiej względem Wileńszczyzny, bo uważał za potrzebne poprzedzić tekst artykułu zastrzeżeniem, że społeczeństwo i rząd litewski bynajmniej nie negują odrębności indywidualnych Wileńszczyzny, które w państwie litewskim znajdą wyraz w „nadanym" ludności samorządzie gminnym, powiatowym i okręgowym i w „demokratycznie skonstruowanym" Sejmie Litwy, w którym ludność wileńska będzie miała około połowy posłów. Dopisek ten przypomina trochę odezwanie się nożyc na stuknięcie o stół. Wydaje mi się, że dopisek ten był zupełnie zbyteczny, bo albo nie trzeba było wcale brać artykułu mego za aluzję do dotychczasowej polityki litewskiej i traktować go tylko jako wskazanie, jako ustalenie zasad, które zresztą redakcja podziela, albo też trzeba było mocniej podkreślić stanowisko rządu i społeczeństwa litewskiego. Ogólniki o samorządach i demokratycznym Sejmie są blade, a wyraz o „nadaniu" samorządu jest stanowczo niefortunny, bo „nadanie" jest w samym założeniu tylko koncesją, a nie prawem zasadniczym i punktem wyjścia. „Nadanie" samorządu i demokratyczna konstrukcja Sejmu państwowego są to frazesy, które i Polska chętnie Wileńszczyźnie obieca. Jeżeli więc Litwa chce Wileńszczyznę pozyskać i dać jej urok w swej państwowości, jakiego Polska nie daje lub dać nie może, to powinna powiedzieć coś więcej. Nie chodzi o licytowanie się w obietnicach, ale chodzi o samą zasadę budowania państwa, jako rzeczy wspólnej ludowej i o wytwarzanie już dzisiaj pewnej stałej w tym kierunku praktyki politycznej, przynajmniej co do Białorusinów, skoro do Polaków wileńskich Litwa jeszcze trafić nie może.
Sam Žemaitis jest osobiście jednym z tych działaczy litewskich, którym najmniej można czynić zarzutów zachłanności narodowej i imperializmu. Był i jest on rzecznikiem polityki sprawiedliwej, demokratycznej, szanującej indywidualności narodowe i odrębne Wileńszczyzny stosunki wraz z płynącymi z nich konsekwencjami. Dał on też tego dowód w roku zeszłym w Wilnie, stanąwszy tam za czasów litewskich na czele organizacji oświaty. Ale co jest cechą wspólną wszystkich prawie polityków litewskich – za wyjątkami, których prawie nie znam poza skrajną lewicą rewolucyjną i kilku esdekami – wspólną bez różnicy partii politycznych i kierunków społecznych, a więc wspólną i dla Žemaitisa, to to, że nade wszystko są oni państwowcami. Ich większość ogromna za czasów rosyjskich przed wojną była politycznie rewolucyjna, ale we własnym państwie narodowym niezwykle szybko przyswoili sobie twardą dyscyplinę państwową, nie ustępującą nieraz tej, którą niedawno sami w Rosji zwalczali. Ta cecha państwowców do szpiku kości powlekła ich jakby pewną skorupą. Boją się krytyki państwowej i gotowi są bronić doskonałości swego państwa zawsze i wszędzie; są niezmiernie państwowo solidarni i skłonni każdą krytykę i opozycję

uważać za przestępstwo, godzące w samą zasadę państwowości. Pod względem państwowym nie mają wyrozumiałości, są gorliwi do przesady, podejrzliwi i węszący niebezpieczeństwo i intrygę wszędzie, gdzie tylko nie słyszą zachwytu, pochwał i apoteozy. Jest to wprawdzie cnota obywatelska w państwie słabym na zewnątrz, ale zarazem bywa to źródłem wielu błędów politycznych. Ten prozelityzm państwowy Litwinów (mówię nie o masie ludowej na razie) wytwarza w nich skłonność do utożsamiania państwa z rządem i przeto do uznawania polityki rządowej za tabu, którego tykanie jest czynem antypaństwowym. Wytwarza to dziwaczny stosunek polityków obozu większości rządowej (i sejmowej) oraz przeciętnej opinii inteligenckiej litewskiej w samym Kownie do obozu opozycji prawicowej stronnictwa „Pažangi" i jej organu „Lietuvos Balsas" (poniekąd także do stronnictwa konserwatywnych włościan „Žemdirbių Sąjunga"). Opozycja ta pod wodzą Antoniego Smetony i prof. Voldemarasa głosi hasła arcy- i skrajnie państwowe, ale napada ostro na rząd i Sejm zarówno za jego politykę społeczną wewnątrz państwa (zwłaszcza za reformę agrarną), jak za jego politykę zagraniczną (zwłaszcza za rokowania brukselskie i za przyjęcie pierwotne projektu Hymansa za podstawę rokowań w sprawie wileńskiej). Opozycja napada na rząd właśnie ze stanowiska ultrapaństwowego, zarzucając mu lekceważenie suwerenności Litwy, ustępliwość zbytnią i aż do zarzutów zdrady stanu. Większego i przesadniejszego kryterium państwowego, niż stosuje ta opozycja w swej krytyce rządu, trudno już znaleźć gdziekolwiek. A jednak dlatego, że uderza ona na rząd, politycy większości i ogół litewski w Kownie, trzymający się rządu i jego steru, pomawia opozycję Smetony i Voldemarasa o działanie przeciw państwu, a nawet nie brak głosów, domagających się represji na tą opozycję.
Dużo mam tematów ciekawych do dziennika, tylko nadążyć nie mogę.

28 lipca, rok 1921, czwartek
Przed kilku dniami Žemaitis zwołał posiedzenie naszej wegetującej Komisji do Spraw Litwy Wschodniej, to znaczy zaprosił na nie mnie i Rozenbauma, aby zdać nam sprawę z zapoczątkowanych przezeń kroków co do ustalenia programu polityki litewskiej na wypadek wejścia Litwinów do Wilna i zasięgnąć naszej w tej materii opinii. Wspominałem już w dzienniku o tym zapoczątkowaniu Žemaitisa, które uważam za bardzo użyteczne, bo nic nie ma gorszego, a poniekąd i głupszego, jak chcieć posiąść Wilno i nie wiedzieć, co z nim robić i jak się w nim zachować. Z tego braku programu, braku określonej linii politycznej wypłynęły też główne błędy Litwinów w Wilnie w roku zeszłym. Žemaitis, jak nam już zapowiadał poprzednim razem, zaczął od tego, że zwołał na naradę wszystkich tych, którzy w roku zeszłym w Wilnie byli pełnomocnikami poszczególnych ministeriów. Gdy Wilno w roku zeszłym przeszło w ręce litewskie, rząd w Kownie nie był do tego faktu przygotowany i był nim zaskoczony. Była chwila, że próbowano zastanowić się nad zasadami i programem polityki w Wilnie, była projektowana odezwa Sejmu do ludności Litwy Wschodniej (przez jedną chwilę umyślna ku temu komisja sejmowa skłaniała się do przyjęcia projektu odezwy, napisanego przeze mnie z polecenia Polskiego Biura Informacyjnego i przedstawionego w komisji przez posła Grajewskiego), myślano o czasowym skupieniu całego zarządu Wileńszczyzny w ręku jednej osoby, obdarzonej nadzwyczajnymi pełnomocnictwami (wysuwano kandydaturę Michała Biržiški, który się z góry zresztą zrzekł, wspominano i moje nazwisko, ale nie budziło ono zbytniego zaufania w kołach rządowych, bom był niedawno wrócił do kraju z Polski i wiedziano, że byłem w Legionach i że w r. 1919 przyjeżdżałem z ramienia Piłsudskiego z propozycjami, a zresztą wiceminister Klimas, któremu Purycki dał do zreferowania napisany przeze mnie w tym czasie rękopis o zadaniach polityki litewskiej na ziemiach wschodnich,

zawierający odpowiednie wskazania dla polityki państwowej, dostrzegł w moich poglądach tendencje polonofilskie i „federacyjne", co wystarczyło do zachwiania zaufania do mnie). Polskie Biuro Informacyjne też wystąpiło wtedy wobec rządu z opracowanym projektem zarządu Wileńszczyzny i zasad polityki państwowej tamże. Za podstawę do tego projektu były przyjęte moje wnioski, wyrażone zresztą w tymże rękopisie, który się nie podobał Klimasowi, ale mocno w pewnych szczegółach, a nawet poniekąd i zasadach zmienione przez Biuro Informacyjne. Specjalna delegacja Biura Informacyjnego w osobach Zygmunta Jundziłła, Aleksandra Meysztowicza i bodaj Wielhorskiego czy też Janczewskiego przedstawiła ten projekt rządowi, reprezentowanemu na tej konferencji z delegacją przez premiera Griniusa i ministra spraw zagranicznych Puryckiego, którzy zresztą – a zwłaszcza ten ostatni – potraktowali przedstawiony projekt bardzo niechętnie ze względu na jego dążenia autonomiczne. Ostatecznie skończyło się na tym, że ani odezwy sejmowej nie wydano, ani też rząd na żaden program się nie zdecydował. Zadeklarowano po prostu formalistycznie, że oto Litwa odzyskuje w postaci Wilna i Wileńszczyzny swoje prawowite dziedzictwo państwowe i że odtąd nadal jedynym gospodarzem całego terytorium wraz z Wileńszczyzną jest Sejm Ustawodawczy, który zostanie uzupełniony posłami wybranymi z oswobodzonego terytorium wschodniego.
Żadnego słowa specjalnego do Wileńszczyzny nie przemówiono, żadnych konsekwencji z jej odrębnej indywidualności nie uczyniono, po prostu tak, jak gdyby tu chodziło o odzyskanie jakichś paru powiatów o takim układzie, jak ziemia Kowieńska, Szawelska lub Żmudź, albo jak żeby waga indywidualna Wilna i dzielnicy wschodniej była taką samą, jak waga np. jakiegoś Puńska lub Sejn, kwestionowanych co do przynależności między Litwą a Polską, ale nie budzących poza samą kwestią przynależności żadnych innych szczególnych zagadnień polityki. Był to pierwszy i największy błąd Litwy, błąd zasadniczy, który się zemścił boleśnie. Litwa była wtedy tak pewna swego, tak przekonana o bezwładzie Polski na skutek klęski, zadanej Polsce przez bolszewików, że nie obawiając się rywalizacji polskiej, pozwoliła sobie na zlekceważenie Wilna i całej jego dzielnicy o bardzo skomplikowanej budowie, wymagającej niezmiernej uwagi i taktu, i głębi zasad politycznych; Litwa wyobraziła sobie, że wystarczy prostego zapanowania, aby posiąść Wilno. Zapomniała, że problem polega nie na panowaniu i wcieleniu formalnym, ale na wytworzeniu zapału państwowego, w którym Wilno i cała dzielnica wileńsko-lidzko-grodzieńska mogłaby i zechciała stać się udziałowcem państwa, nie zaś jego obiektem tylko. To był błąd fatalny i zarazem szkaradny, świadczący o wielkim ubóstwie perspektyw politycznych u ludzi stojących u steru państwa. Jeżeli na zapanowanie może sobie pozwolić wielkie mocarstwo, które zresztą także nic trwałego na tym nie zbuduje, to już w żadnym razie nie może sobie pozwolić na to Litwa, której jedyną siłą i zasadą może być tylko utworzenie państwa iście ludowego; Litwa więc wróciła do Wilna bez programu i zasady zarówno co do istoty i wytycznych swej polityki, jak również co do organizacji zarządu w odzyskanej dzielnicy wschodniej i Wilnie.

29 lipca, rok 1921, piątek
Pisząc o sprawach ogólnych, nie mam miejsca dla spraw prywatnych. Zanotuję tylko, że otrzymałem dziś z Departamentu Leśnego papier z żądaniem przedstawienia dokumentu stwierdzającego, kiedy umarł Papa. Wspomniano tam, że dokument ten jest potrzebny dla rozstrzygnięcia mojej sprawy. Oczywiście chodzi o los lasów bohdaniskich. Żądanie to mię zaniepokoiło, choć dobrze nie rozumiem, w jakim względzie termin śmierci Papy, a więc termin realizacji naszych praw spadkowych może być miarodajny dla ustalenia, czy lasy bohdaniskie ulegają upaństwowieniu pomimo działu czy nie.

Wczytując się w ustawę o upaństwowieniu lasów, w której jeden z artykułów orzeka, że dotychczasowy właściciel traci odtąd bezwzględnie prawo przekazywania („perleidimo”) własności, pomimo że las jeszcze przejęty przez państwo nie został, sądziłbym, że można kwestionować sam dział jako taki w stosunku do lasów, bo bądź co bądź w akcie działu jest moment przekazania własności od imienia ogółu współspadkobierców na imię jednego z nich. Widocznie jednak Departament Leśny tak nie sądzi, bo w przeciwnym razie uznałby od razu akt działu za nieważny co do lasów. Skoro żąda daty śmierci Papy, chodzi mu widocznie o coś innego. Ustawa o upaństwowieniu lasów była wydana w sierpniu r. 1920. Papa jeszcze żył i był właścicielem Bohdaniszek. Papa umarł w dniu 6 października. Rozporządzenia wykonawcze Ministerium Rolnictwa i Departamentu Leśnego do powyższej ustawy, ustalające tryb upaństwowienia i dozwalające czasowo pozostawić lasy w zarządzie gospodarczym dotychczasowych właścicieli, były wydane w końcu października i listopadzie, kiedy Papa już nie żył i właścicielami Bohdaniszek byliśmy my. W listopadzie też, to znaczy już po śmierci Papy, byłem przez Departament Leśny zatwierdzony, jako gospodarz („laikinasis šeimininkas”) lasów bohdaniskich, stanowiących już naszą własność wspólną. Kwestia więc, do którego z tych momentów przywiązuje Departament wagę decydującą. Niepokoi mię to, bo nie czuję mocnego gruntu pod sobą. Wolałbym, żeby Departament Leśny był wcale nie zwrócił uwagi na tę sprawę lasów bohdaniskich. Oby jeszcze stąd cios nie uderzył.
Wracam do mojej opowieści wczorajszej. Litwa w roku zeszłym, wkraczając do Wilna i będąc pełna ufności w niewzruszoność odzyskania stolicy, nie miała ani ustalonego programu swej polityki w Wilnie i całej dzielnicy wschodniej, ani też żadnych ustalonych zasad organizacji zarządu tamże. Ostatecznie generalnym pełnomocnikiem rządu na dzielnicę wileńską został mianowany Jonynas, ale funkcje jego nie zostały ściśle określone i zakres władzy nie wyczerpywał bezpośredniej właściwości poszczególnych ministeriów centralnych. Komendantem wojennym Wilna był Kurkowski, naczelnikiem cywilnym powiatu był niejaki Končius. Każde z ministeriów centralnych w Kownie, organizując pospiesznie i dorywczo swój zarząd w odzyskanej dzielnicy, mianowało jednego ze swych wyższych urzędników pełnomocnikiem („įgaliotinis”) danego ministerium. Wytworzył się na skutek tego dość znaczny chaos w tworzonym zarządzie, nie ujęty żadnym planem ogólnym. Zagadnienia życia i trudności, powstające na każdym kroku, zmusiły rychło do szukania paliatywów przeciwko temu chaosowi rozprężenia. Zarząd Wilna i dzielnicy był rozproszkowany stosownie do właściwości różnych ministeriów i instytucji i odpowiednio do tego wielogłowy. Co głowa – to była inna koncepcja, inna zasada i inna metoda rządzenia. Wśród osób stojących na czele byli ludzie światli, mający świadomość i czucie skomplikowanych zagadnień w kraju, ludzie rozumiejący konieczność uwzględniania indywidualności krajowej, ludzie tacy, jak Jonynas, komendant Kurkowski, Končius, pełnomocnik Ministerium Oświaty Žemaitis. Ale byli i tacy, którzy pełni byli ducha najskrajniejszego i wyłącznego nacjonalizmu litewskiego, nienawiści do Polaków i pojmowania zadań zarządu zupełnie tak, jak gdyby to chodziło o kraj zdobyty, o kolonię jakąś, na którą musi być rozciągnięty mechanicznie zarząd z Kowna bez żadnych zastrzeżeń i zmian, dyktowanych naturą rządzonego kraju. Do takich należała większość niższych urzędników nasyłanych z Kowna; także nie brak ich było i wśród przedstawicieli władz wyższych, wśród tzw. pełnomocników ministeriów. Do tej kategorii należeli zwłaszcza: pełnomocnik Ministerium Sprawiedliwości – mianowany prezesem Sądu Okręgowego w Wilnie Kalnietis, człowiek zresztą głupi, człowiek, który zjednał sobie powszechną nienawiść w Wilnie wszystkich, co się z nim zetknęli, i pełnomocnik Ministerium Komunikacji – Penkaitis, obecnie członek Sądu Okręgowego

w Kownie. Niezdolność skoordynowania planowego działań tych różnych elementów zarządu powołała wkrótce do życia instytucję rady pełnomocników wszystkich gałęzi zarządu. Rada ta powstała siłą rzeczy spontanicznie, w drodze praktyki. Oprócz właściwych pełnomocników wchodzili do niej tylko komendant miasta Kurkowski, naczelnik powiatu wileńskiego Končius oraz p. Tadeusz Wróblewski jako rządowy doradca prawny.

30 lipca, rok 1921, sobota
Są ciężary zawodu sędziowskiego bardzo bolesne. Nieraz już ich doświadczyłem, gdy przepisy prawa formalnego, którym obowiązany jestem ulegać i stosować w czynnościach sędziowskich, są w głębokiej kolizji z moim instynktem prawa, płynącym z uczucia sprawiedliwości. Ma to w szczególności miejsce w sprawach o przestępstwa polityczne. Nie stykałem się z tymi sprawami w Sądzie Okręgowym w Kownie, bo są one przekazane właściwości Sądu Armii, ale za to teraz w Trybunale, który dla tej kategorii spraw stanowi instancję apelacyjną, będę miał dużo do czynienia. Dziś była właśnie sesja apelacyjna, na której mieliśmy takich spraw kilka. Są one dla mnie osobiście tym boleśniejsze, że są to sprawy o działania polskie. Są one ogniskiem tego jątrzenia, które mię najwięcej boli. Ponieważ Litwa z dwóch stron doświadcza przeciwdziałania, względnie ataków na swoje usiłowania państwowe – ze strony komunistów i ze strony Polaków – więc i sprawy polityczne w sądach bywają albo bolszewickie, albo polskie. Pierwsze mniej mię wzruszają (dziś ich nie było), ale drugie są dla mnie męczarnią niewysłowioną. Pomimo mojej umiejętności panowania nad sobą i zachowania na zewnątrz chłodu, wytrącają mię one z równowagi i zakłócają wewnątrz mój system nerwowy. Sprawy polityczne polskie są dwóch rodzajów. Jedne dotyczą spisków, knowań i działań wewnątrz kraju, inne, stanowiące całą kategorię odrębną, dotyczą zajść na pograniczu litewsko-polskim w Suwalszczyźnie w latach 1919 i 1920, kiedy przy nieustalonej granicy i roszczeniach zarówno Litwy, jak i Polski do tego samego terytorium poszczególne gminy i miasteczka w powiatach sejneńskim, kalwaryjskim, wyłkowyskim przechodziły z rąk do rąk, a ludność lub jej odłamy, zwłaszcza młodzież, popierała czynnie tę lub inną stronę przeciwko drugiej, organizując się, tworząc oddziały zbrojne lub nawet dopuszczając się ataków gwałtownych. Oskarżeni w tych sprawach nie są zbrodniarzami, nie są ludźmi złymi; są to zwykle elementy najgorętsze, ideowe, których porywał zapał, elementy może najszlachetniejsze młodzieży ludowej. Czy sądzą również po stronie polskiej tych, którzy tam w analogiczny sposób działali na rzecz Litwy, organizując partyzanckie oddziały strzelców („šauliai”) – nie wiem. Przypuszczam, że także, a nawet słychać było, że stosowane są do nich represje bardzo ostre. Po stronie litewskiej sądzeni są naturalnie ci, którzy działali na rzecz Polski i przeciwko Litwie. Że ich działanie było skierowane przeciwko państwowości litewskiej – to fakt. Ale czy słuszna jest moralna zasada ścigania karnego ich za to, kiedy obie państwowości – polska i litewska – dopiero się wytwarzały i nie miały granic między sobą, jak nie mają ich do dziś i tereny sporne pogranicza w punktach zetknięcia dwóch sprzecznych roszczeń, pozostawiały kwestię państwowości i obywatelstwa właściwie otwartą? Czy nie może lud tych terenów wątpliwych domagać się, aby jego wola była czynnikiem decydującym sporu i aby zaniechano z jednej i drugiej strony ścigania za to, że dawał on przez swą młodzież i przez swe elementy żywsze wyraz tej woli w tym lub innych kierunkach?
Sądząc te sprawy i wyrokując o „winie” i „karze”, mam wrażenie, że to jest nie „sąd”, lecz gwałt i że sędzia wychodzi tu z roli sędziego i wchodzi na niewłaściwe mu tory agenta politycznego. Mniej mi jednak chodzi nawet o tę naturę funkcji sędziowskiej w tych sprawach. Co mię w nich najbardziej boli – to, że są one epizodami tego rozbratu

litewsko-polskiego, tego nieporozumienia głębokiego, przeciwko któremu powstaje cały mój duch i że ja zmuszony jestem ręce w nich maczać.
Było dziś kilka takich spraw z Suwalszczyzny i jedna sprawa Stefana Zyberka-Platera z Kurtowian, oskarżonego z art. 108 k.k. o zdradę stanu za ułatwienie we wrześniu r. 1920 ucieczki do Małej Litwy kilku internowanym podówczas żołnierzom polskim. Stefan Zyberk-Plater jako skazany w procesie POW nie jest pod względem kary zainteresowany w uchyleniu wyroku Sądu Armii. Apelował dla motywów zasadniczych, nie uznając siebie za winnego. Nalegałem, by zmienić kwalifikację winy i zastosować do Zyberka-Platera art. 137 k.k., głoszący o złamaniu neutralności, bo Litwa w tym czasie była ogłosiła swą neutralność wobec wojny polsko-rosyjskiej, toczącej się częściowo na jej ziemiach i żołnierze polscy nie byli wzięci do niewoli, jeno internowani. Wskórałem tylko tyle, że sprawa została odroczona dla wyjaśnienia kwestii, czy w tym czasie trwał jeszcze stan neutralności, czy też faktyczny stan wojny z Polską. Rola moja jako Polaka w sądzeniu tych spraw jest ciężka podwójnie. Jest ona po pierwsze ciężka osobiście dla mnie, a po wtóre, moje dowodzenia są przez współsędziów przyjmowane jako wyraz stronności na rzecz polską. Jeżeli nawet nie są, to w każdym razie mogą być tak przyjmowane i ta świadomość osłabia wagę moich dowodzeń. Sędziowie Sądu Armii, z których zawsze jeden musi uczestniczyć w komplecie sądzącym Trybunału w czasie rozpatrywania spraw pochodzących z Sądu Armii, są wszyscy trzej – prezes Šniukšta i sędziowie Vinser i Landsberg – zaciekłymi nacjonalistami, usposobionymi skrajnie antypolsko. Każdą sprawę polityczną polską traktują ze szczególną zajadłością i wyczuwam aż nadto dobrze, że moją rolę łagodzącą w tych procesach traktują niechętnie, jako dysonans w sądzie litewskim. Kriščiukaitis ma dużo taktu i nie daje poznać swoich tendencji i wrażeń, ale mam pewne czucie, że stronniczość nacjonalistyczna nie jest mu obca. Czwartym w komplecie był dziś członek Sądu Okręgowego Masiulis. Ten człowiek bardzo czysty, był całkowicie bezstronny i żadnym uprzedzeniom folgi nie dawał.

31 lipca, rok 1921, niedziela
Wczoraj we wszystkich sprawach politycznych, o których wspominałem, i w innych, które były na wokandzie, wnosił obronę Adolf Grajewski. Nie widziałem go od początku bieżącego miesiąca, bo bawił u siebie na wsi w majątku. Przyjechał teraz tylko dla tych obron na dwa dni i znów wraca na wieś. Nie był obecny w czasie zajścia w Sejmie i śledził za rozwojem wypadków z daleka, komunikując się jednak stale z posłami Snalewskim i ks. Lausem co do planu ich akcji wspólnej. Po obiedzie zaszedłem wczoraj do Grajewskiego, którego lubię z całego serca i szanuję głęboko za wielką prawość, za charakter i odwagę przekonań, mimo że nie podzielam obecnego kierunku jego polityki. Grajewski obstaje, że zrobili oni dobrze, wnosząc memoriał do Ligi Narodów. Uważa, że to było konieczne choćby dlatego, aby doprowadzić do pęknięcia wrzodu polsko-litewskiej bolączki. Jest przekonany, że środki chirurgiczne, gwałtowne, działające w otwarte karty, choćby operowały czynami jak nóż raniącymi, są lepsze od ślamazarnego kunktatorstwa jakiejś jałowej opozycji i od doktrynerskiego trzymania się jakichś zasad obywatelskich lub innych. Wyczuwa, że ze stanowiska *par excellence* obywatelskiego mogą być ich wystąpieniu czynione zarzuty, ale powiada, że dość już tego pilnowania się czystej zasady, kiedy druga strona – Litwini – depcze je bez ceremonii i nie szanuje praw obywatelskich Polaków w kraju i nie można żądać od żywych ludzi i żywego narodu, jakimi są Polacy w kraju, aby w odpowiedzi na brutalne traktowanie ich odpowiadali bezkrwistą zasadą i przyjmowali cierpliwie rolę Baranka Bożego. Znać, że Grajewski jest poruszony jednak głęboko i że mu nerwy grają. Ale nie należy on do ludzi potulnych; trudności i opór zewnętrzny są dlań ostrogą, która

podnieca jego temperament. Z drogi, na którą on i jego towarzysze wkroczyli, na którą przez to samo wciągnęli oni społeczeństwo polskie w kraju – nie zejdzie. Był to krok powzięty jednak przez nich, jak mi się zdaje, bez zupełnej świadomości skutków, nieco ze zbyt lekkim sercem, nieco zbyt doktrynersko *à rebours*, przez pewne upojenie zarazkiem politycznej metody Piłsudskiego, polegającej na ciągłej ofensywie, prowokowaniu i przekładaniu syntezy faktów i czynów nad analizę zasad i dokładności prawnej. Osobiście Grajewski nie chce już ani wracać do Sejmu, ani kontynuować kariery politycznej; chce wrócić na wieś, osiąść w majątku i gospodarzyć, uzupełniając gospodarzenie adwokaturą na miejscu, o ile oczywiście nie zostanie przeciwko niemu wszczęty proces karny z aresztowaniem i innymi tegoż konsekwencjami. Odważnie jednak, bez zmrużenia oka spogląda przed siebie w perspektywy możliwego procesu, włącznie do wyroku śmierci! Kwestia rezygnacji posłów frakcji polskiej nie została jeszcze przez nich rozstrzygnięta, ale Grajewski powiada, że w żadnym razie ani oni sami nie wezmą udziału w Sejmie, ani w razie ich rezygnacji nie wstąpią na ich miejsce ich zastępcy, dopóki – jak się wyraził – Sejm nie da im satysfakcji za sposób, w jaki zostali potraktowani w Sejmie w dniu 6 lipca. Jak sobie Grajewski tę satysfakcję wyobraża – nie wiem. Trudno jednak liczyć na jakąkolwiek satysfakcję, aż póki chyba sprawa wileńska zostanie rozstrzygnięta i stosunki Litwy z Polską zostaną uregulowane pojednawczo. A kiedy to nastąpi i w jaki sposób – tego doprawdy nikt dziś nie zgadnie. Na Litwinów Grajewski jest zażalony głęboko, ale powiada, że woli wrogów bezwzględnych, tych, co nienawidzą Polaków i są jawnie niesprawiedliwi i brutalni, od Biržišków i Žemaitisów, których rolę uważa za deprawującą i ziejącą zgnilizną. Kto wie, czy i mnie czasem tegoż nie zarzuca, bo należę do tych, co pragną i wierzą w pojednanie, a uważają je za możliwe na gruncie zasad, nie zaś za bóstwo, które się jak „*Deus ex machina*" urodzi z kontrastów nienawiści. Nie przeczę, że nienawiść obecna z obu stron, choć rozpalona do białości, może odegrać w stosunkach rolę burzy, która stopi i spali elementy nieporozumień i oczyści atmosferę dla przyszłego pojednania, bo że pojednanie nastąpi, a może nawet uczuciem sympatii zapłonie – w to przecież, *quand même*[586], wierzę. Może! Ale to „może" jest tak dzikie i tak nieobliczalne, że któż za jego skutki zaręczy. I jednak dobrze jest, że w samym podłożu społeczeństw rozszalałych nienawiścią przechowują się jednak niewygasłe iskry miłości, które nawet w tym okresie zgasić się nie dają. Nie godzę się pod wielu względami na metody publicystyczne Michała Biržiški i jego grupy w Wilnie lub Žemaitisa w „Litwie" kowieńskiej i nie zachwycam się tonem i manierami ich organów pracy, ale bądź co bądź u tych właśnie ludzi ze społeczeństwa litewskiego i w tych środowiskach mieszczą się najdrogocenniejsze pierwiastki polonofilskie. Żal głęboki spacza nieraz ich metody działania i prowadzi ich na manowce błędnych dróg publicystycznych, ale ten żal jest żalem nie nienawiści, lecz miłości i nastanie chwila, kiedy miłość oczyszczona z żalu zajaśnieje w warunkach pojednawczych.

1 sierpnia, rok 1920, poniedziałek

Dziś upłynęła siódma rocznica wybuchu Wielkiej Wojny, która takich dokonała przemian w stosunkach świata i tak zaważyła na osobistych warunkach życia każdego człowieka, że stanowi ona dla współczesnych jakby początek nowej epoki, jakby wielką granicę czasu, która podzieliła nasze życie na dwie wielkie połowy, jedną – do wybuchu wojny, to znaczy do sierpnia 1914, i drugą – od czasu wojny. Pomimo wszystkich swoich ciężarów, klęsk, strapień, ohydy, gwałtu, krwi, łez, nie ustających do chwili obecnej i których końca jeszcze dojrzeć niepodobna, niech błogosławiona będzie ta Katastrofa za to, że zruszyła ona Ludzkość z martwego punktu uświęconego prawem

[586] „*Quand même*" – choćby nawet; mimo wszystko.

gwałtu i dała nowy ruch wielkim tęsknotom i wysiłkom Ludzkości, Narodów i Człowieka. Ten ruch wytworzył gwałty i ciosy jaskrawsze nieraz od tych, które nas raziły dawniej w starym przedwojennym układzie stosunków, ale jest ta wielka różnica, że tam były one czynione na chłodno w imię grobu, który był prawem, podczas kiedy teraz są one epizodami tworzenia, męką porodu nowego życia, co dla nadziei czyni je nie tak szpetnymi, a przeto znośniejszymi.
Piotr Rosen przyjechał wczoraj w interesach swoich do Kowna i zamieszkał u mnie. Przenocował w moim mieszkaniu i przenocuje dziś jeszcze, ja zaś, ustąpiwszy mu miejsca, odwiedziłem Katę Juraitytę i spędziłem noc szaloną u niej, jedną z tych nocy kosztownych, w których oślepiająca orgia zmysłów miesza się z chmielem alkoholu.
Przechodzę do dalszego ciągu relacji o zamierzeniach Žemaitisa w sprawie programu polityki wileńskiej. Wspomniałem o tym, czym była w roku zeszłym za rządów litewskich w Wilnie tzw. Rada Pełnomocników („Įgaliotinių Taryba"). Instytucja ta powstała samorzutnie; jej zadaniem było ujednostajnienie zasad i metod zarządu i polityki w odzyskanym kraju, wykonywanych przez szereg osób różnych sfer zarządu, nieskoordynowanych formalnie. Otóż teraz Žemaitis, dążąc do ustalenia zawczasu programu polityki litewskiej i zarządu Wilna na wypadek, gdyby tą czy inną drogą Wilno dostało się w ręce Litwy, postanowił przede wszystkim zacząć od tego, aby zwołać na naradę wszystkich tych, którzy w roku zeszłym brali udział w „Radzie Pełnomocników" w Wilnie, aby się wypowiedzieli, jak oni te zadania pojmują. Oni bowiem zetknęli się już raz praktycznie z trudną sprawą zarządu dzielnicy wileńskiej, znają trudności, jakie powstawały, mają już pewne doświadczenie i świadomość błędów zeszłorocznych, których trzeba uniknąć. Narada taka została przez Žemaitisa przed dwoma tygodniami zwołana. Przybyli jednak na nią tylko trzej z liczby ówczesnych działaczy zarządu kraju: sam Žemaitis, Jonynas i Kurkowski. Inni – albo rozjechali się na urlop, albo nie mieszkają wcale w Kownie. Za to ci, którzy przybyli, stanowili elitę ówczesnej „Rady Pełnomocników". Nastąpiła w gronie tych trzech wymiana zdań, w której rezultacie nakreślili oni kilka głównych zasad szkicu zarządu tymczasowego w Wilnie. Chodziło im tylko o program na czas przejściowy, dopóki zarząd kraju (dzielnicy) nie zorganizuje się w ramach państwa litewskiego na zasadach stałych jako normalny, stosownie do tego, jaki zostanie przyjęty w założeniu stosunek Wilna do państwa (autonomia, kanton, autonomiczne skupienia samorządów, wspólna Konstytuanta). Otóż doszli oni do przekonania, że na czas przejściowy Wilno wraz z całą dzielnicą wschodnią, choć musi być w zarządzie państwowym połączone z centralnym organizmem państwa, jednak nie może być automatycznie wcielone w ogólny powszechny mechanizm rządzący. Wykluczone być musi proste i bezpośrednie rozciągnięcie władzy ministeriów centralnych na dzielnicę wileńską. Zarząd Wilna wyobrażają oni sobie na czas przejściowy tak, że na czele stanąć powinien człowiek pochodzący z dzielnicy wileńskiej i w niej stale zamieszkały, mianowany przez rząd centralny państwa czy też przez prezydenta w porozumieniu z rządem. Wszystkie ministeria państwowe dla spraw zarządu, należących do ich właściwości przedmiotowej, delegują do Wilna swoich pełnomocników, którzy tworzą radę kolegialną rządzącą pod przewodnictwem naczelnika zarządu i są zależni nie od swoich ministeriów, ale od tegoż naczelnika, względnie od kolegium swego. Naczelnik zarządu jest łącznikiem między dzielnicą wileńską a władzą państwową, rada zaś rządząca, której przewodniczy, jest w rodzaju gabinetu ministrów dzielnicowego. Urzędnicy zarządu winni być w zasadzie rekrutowani z ludności miejscowej. Języki miejscowe (polski, białoruski, litewski – czy i żydowski?) – są równouprawnione. Zarząd ten wykonywa czasowo administrację kraju, zarządza wybory do samorządów i trwa tylko do czasu zorganizowania się zarządu wszelkich instytucji krajowych normalnych.

2 sierpnia, rok 1921, wtorek
Nieszczęsne wyroki śmierci sypią się w Sądzie Armii jak z rogu obfitości. Zacząłem dziś przeglądać sprawy kasacyjne, wyznaczone na posiedzenie sądowe Trybunału w sobotę i z liczby 12 spraw będących na wokandzie znalazłem w czterech wyroki śmierci. W trzech sprawach kara ta wyznaczona za morderstwo, w tej liczbie skazanych jest jeden chłop cywilny za zamordowanie żony, jeden żołnierz za zabicie macochy i jeden żołnierz za zabójstwo dokonane przez zemstę. W czwartym wyroku skazany jest żołnierz za umyślne skaleczenie się w celu zwolnienia się od służby wojskowej. W dwóch sprawach – zabójstwo żony i zabójstwo macochy – żadnych motywów kasacyjnych nie ma, w dwóch innych są one wątpliwe. Z akt spraw tych, ze skarg i próśb skazanych tchnie przerażenie i męka strasznej kary oczekiwania egzekucji. Biedni i nieszczęśliwi ludzie, choćby nawet zbrodniarze! Ciężka bywa, ach, ciężka rola sędziego, gdy ustawy nakładają na niego ten stanowczy obowiązek wyrzekania kary śmierci albo oddalenia skargi skazanego. Ale czy jest miejsce dla rozczulania się litością nad wyrokującym sędzią, kiedy ofiara wyroku czeka na egzekucję!
Miałem wczoraj odpowiedź Michała Biržiški z Wilna. Chce drukować moją pracę o stronnictwach politycznych litewskich w odcinku dziennika „Dzwon Litwy”, a następnie wydać ją w odbitce książkowej. Spada więc na mnie praca dokończenia tego rozpoczętego dzieła.
Szkic zasad zarządu Wilna na czas przejściowy, oczywiście szkic bardzo niezupełny, zaprojektowany przez Žemaitisa, Jonynasa i Kurkowskiego, miałby być, podług ich zdania, przedstawiony do szczegółowego omówienia i technicznego ustalenia wykonawczego na specjalnej naradzie, zwołanej przez Žemaitisa z delegowanych *ad hoc* przedstawicieli ministeriów. Gdy nam Žemaitis na posiedzeniu Komisji dla spraw Litwy Wschodniej tę rzecz zreferował, zaoponowałem przeciwko przekazywaniu tak ważnej kwestii do decyzji specjalnej konferencji delegatów ministeriów, to znaczy ciała ściśle urzędniczego, którego praca będzie tchnęła biurokratyzmem. Zaproponowałem, żeby narada, która będzie zwołana dla omówienia projektu zarządu tymczasowego Wileńszczyzny i zasad tegoż, została zasilona elementem społecznym, a mianowicie by prócz osób, delegowanych przez ministeria, wezwać do udziału w naradzie przede wszystkim cały komplet naszej Komisji (Žemaitis, ja i Rozenbaum), dalej projektodawców Jonynasa i Kurkowskiego, następnie przedstawicieli wszystkich bądź frakcji sejmowych, bądź stronnictw politycznych litewskich włącznie do „Pažangi” na prawicy i rewolucyjnych ludowców (grupa Januszkiewicza) na lewicy i wreszcie – kogoś z działaczy narodowych białoruskich, ponieważ w tej chwili w naszej Komisji przedstawiciela Białorusinów po wyjeździe Konopackiego nie mamy, a delegat litewskiego Ministerium dla spraw Białoruskich ze względu na znany antagonizm między obozem narodowym białoruskim a ministrem Siemaszką nie może dać wyrazu poglądów i dążeń Białorusinów. W tej formie moja propozycja się jednak nie utrzymała, bo Žemaitis zwrócił uwagę na to, że połączenie przedstawicieli wszystkich partii nie tylko nie wytworzy zespołu mogącego coś zdecydować, ale doprowadzi do gryzienia się i kłótni, która żadnych owoców nie wyda. Postanowiliśmy więc zwołać osobno i poprzednio specjalną naradę grona działaczy wybitniejszych, obeznanych ze stosunkami Wilna i zaproszonych osobiście, nie zaś z ramienia partii, dla omówienia i ile się da – ustalenia zasad i wytycznych programu, a następnie dla opracowania techniki wykonawczej powołać już osobno projektowaną naradę delegatów ministeriów. Na naradę elementów społecznych projektujemy wezwać następujące osoby prócz Žemaitisa, mnie, Rozenbauma, Jonynasa i Kurkowskiego: Litwini Smetona, ks. Tumas, dr Jokantas, ks. Vailokaitis, Ślażewicz, poseł Raczkowski, Kairys,

Jan Vileišis, wreszcie Białorusin, o którego do tej pory powinniśmy się postarać pozyskać na członka Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Wczoraj zaproponowałem uzupełnić jeszcze tę listę paru osobami spośród Polaków ziemian z tych elementów, które stoją na stanowisku państwowości litewskiej, jak np. Dominik Dowgiałło lub Edward Kudrewicz, na co Žemaitis przystał chętnie. Niestety bowiem, udział posłów Frakcji Sejmowej Polskiej lub działaczy z grupy Biura Informacyjnego stał się na skutek ich stanowiska, wytworzonego przez znany memoriał do Ligi Narodów – niemożliwy.

3 sierpnia, rok 1921, środa
Upały mamy od jakiegoś tygodnia straszne. Powtarzają się one drugi raz w tym roku. Pierwszy raz mieliśmy kilka dni takich upałów w końcu maja. Za to czerwiec, kiedy właśnie miałem wakacje, był bardzo chłodny. Tu są one bardzo meczące, ale zdrowe dla mnie, szczególnie że mieszkam na Zielonej Górze, bardzo wysoko nad miastem, i muszę parę razy na dzień wspinać się w pełnym słońcu na liczne piętra schodków kamiennych, żeby się dostać do siebie. Przy tej czynności literalnie zalewam się potem jak wosk w ogniu. Nie ma pono lepszej kuracji, jak pocenie się. Tęsknię tylko bardzo do kąpieli, ale w mieście kąpać się nie lubię. Da Bóg – wynagrodzę to sobie w dwóch tygodniach wakacji, które mi pozostają na drugą połowę sierpnia, w których ciągu chcę odbyć króciutką wycieczkę do Kłajpedy i resztę czasu spędzić w Bohdaniszkach.
Słyszałem dziś, że „Goniec Kowieński" został skonfiskowany i zamknięty. Za co – nie wiem, bo nie co dzień go czytałem. Może za artykuł Wielhorskiego drukowany przed paru dniami i uderzający wściekle na Sejm i władze za zajście sejmowe z d. 6 lipca, w którym posłowie frakcji polskiej – ks. Laus i Snelewski – ulegli gwałtowi. Wprawdzie Sejm skarcił posłów włościańskich, którzy się dopuścili gwałtu i ukarał ich, ale niemniej Wielhorski czyni za to odpowiedzialnym cały Sejm i traktuje to za gwałt większości nad mniejszością i w ostrych wyrazach zapowiada, że Litwa odpowie za to. Zresztą sam artykułu Wielhorskiego nie czytałem, jeno mi opowiadano o nim. W ogóle taktyka, obrana od niejakiego czasu przez kierowników politycznych obozu polskiego w kraju, którzy faktycznie zagarnęli monopol przemawiania i działania od imienia ludności polskiej, polega na bezwzględnym jątrzeniu zaognionego stosunku. W rozmowach prywatnych przyznają oni otwarcie, że stosują tę metodę rozmyślnie. Nie chcą szukać tego, co koi i starać się te kojące pierwiastki, których jednak nie brak, popierać i rozwijać. Jest w tej taktyce idea prowokacji. Czy jest ona zupełnie samorzutna, czy też skądś inspirowana i służąca konsekwentnie jakimś określonym celom ubocznym – tego nie wiem. Masa ludności polskiej, przygnębiona przykrymi stosunkami, jest zupełnie bierna i na żadna odporność w żadnym kierunku nie chce się zdobywać, a garstka przywódców działa tak, jak się jej podoba.
Napisałem dziś list do Jerzego Šaulysa, który jako poseł litewski przy Kwirynale bawi w Rzymie. W liście tym ująłem – zdaje się, dobrze – problem mojego osamotnienia, które mię trapi w Kownie i które odczuwam tu tak, jak nie odczuwałem nigdy w Wilnie. Toteż przepiszę do dziennika odpowiedni ustęp z tego listu, choć, zdaje się, niejeden raz o temat ten w dzienniku potrącałem: „W szczególności boli mię rozdwojenie Litwy i ten spór litewsko-polski, zarówno zewnętrzny, jak wewnętrzny, który ma cechy zobopólnej nienawiści. Pogodzić się z tym nie umiem, bo sam tej nienawiści nie posiadam. Nie potrafię ani z Polakami nienawidzić Litwinów, ani z Litwinami nienawidzić Polaków. Nie wchodzę w to w tej chwili, kto więcej winien. Może to być zagadnienie dla rozumu, ale nie dla uczucia. Ani Polacy, ani Litwini nie doświadczają tych uczuć głębokiego smutku, które ja doświadczam. Kto potrafi być jednostronnym i nienawidzić, ten nie może tego doświadczać. Dobrze mu z tym. Ale dla mnie te rzeczy są prawdziwą

tragedią. Ja nie jestem ani wyłącznie Polakiem, ani wyłącznie Litwinem, ale jestem jednocześnie i Litwinem, i Polakiem. Jest to fakt. Fakt może dziwaczny, fakt w wielu innych krajach i narodach zapewne niepojęty, ze stanowiska współczesnego nacjonalizmu może nawet gorszący, ale niemniej fakt, który czuję w każdym elemencie mojej istoty psychicznej. Dla mnie określić kategorycznie moją narodowość nazwą tylko „Polaka" albo tylko „Litwina" jest czymś niesłychanie trudnym. Jest rzecz taka, że mógłbym każdej z tych nazw w zastosowaniu do siebie użyć, ale jednocześnie czuję, że nazywając siebie tylko krótko „Polakiem" – skłamałbym, a nazywając siebie krótko „Litwinem" – skłamałbym również. Jestem ani jednym, ani drugim, ale – i jednym, i drugim. Charakterystyczne, że Polacy zwykle mają mię za Litwina, a Litwini – za Polaka. Ta dziwna dwoistość narodowa, która jest u mnie, czyni mię samotnym i samotność ta jest mi wielkim ciężarem. Nie mogę zlać się ani z tymi, co są tylko „Litwinami", ani z tymi, co są tylko „Polakami".
Jestem, zdaje się, ostatnim Mohikaninem rasy litewskiej Adama Mickiewicza, który nie kłamał, nazywając siebie „Litwinem", jak nie kłamał, nazywając siebie „Polakiem". Ale zarówno błąd popełniają Polacy, przywłaszczając Mickiewicza sobie wyłącznie, bo nie był on tylko „Polakiem", jak błąd popełniają Litwini, przywłaszczając go sobie, bo nie był on też tylko „Litwinem". Kim był Adam Mickiewicz – tego nie wiedzą ani Polacy, ani Litwini, ale to wiem ja, bo sam jestem taki, bo sam czuję w sobie to, co czuł on, bo należę do tejże co on rasy psychicznej. Jest to rasa, która wymiera, a to, co wymiera, jest bezpłodne. Do niej należy pieśń łabędzia, która może być piękna, ale która nie zapładnia czynu, żeby zdobyć wpływ na umysły i czynem swoim pociągać masy za sobą – trzeba wyrażać to, co czują masy, trzeba być upieczonym z tegoż co one ciasta. W naszych warunkach trzeba być albo tylko „Polakiem" i czuć tak, to znaczy kochać i nienawidzić, jak czują Polacy, albo tylko „Litwinem" i również być w tym czuciu wyłącznym. Ogromna większość ludzi, którzy pochodzą z tejże co ja krajowej rasy psychicznej litewsko-polskiej, zdołała przezwyciężyć siebie na rzecz jednej lub drugiej strony. Do nich należą tacy np. Michał Biržiška, nawet Michał Ślażewicz i inni, którzy zostali tylko „Litwinami" i ci potrafią czynem swoim dokonać dzieł popularnych, które są w skutkach płodne. Inni z tejże rasy zostali tylko „Polakami" (najjaskrawszy przykład Józef Piłsudski) i również z czynu ich wyrastają owoce. Moje zaś czyny są jak kwiat jałowy, z którego owoc nie wyrasta nigdy. Ale nie umiem stać się ani tylko „Polakiem", ani tylko „Litwinem"; nie umiem nienawidzić ani pełną nienawiścią Polaków, ani pełną nienawiścią Litwinów; tylko miłość jednych i drugich łączy się w sercu moim. Dlaczego nie umiem stać się tym, czym stają się inni ludzie mojej wymierającej rasy – nie wiem. Może we mnie ta rasa ostatnim wytężeniem swoich soków szczególnie silnie się wyraziła i po raz ostatni w całej czystości swej zabłysła. Może. Bywają chwile, kiedy się łudzę, że może jestem nie tylko epigonem przeszłości, ale zwiastunem odrodzenia się tej rasy – jakby mostem między dwoma szczytami nad urwiskiem teraźniejszości, w której czuję się ogromnie samotny. Ale teraźniejszość zbyt jaskrawie przeczy temu złudzeniu!!".

4 sierpnia, rok 1921, czwartek
Od paru dni Žemaitis wyjechał na trzytygodniowy wypoczynek na wieś. Te więc projekty ustalania zasad zarządu prowizorycznego i polityki państwowej litewskiej w Wilnie, a także zwołania narady działaczy społecznych lub przedstawicieli ministeriów w tych celu, o których pisałem w dzienniku, uległy odroczeniu prawdopodobnie do września, jeżeli tylko nie spełzną na niczym, jak to z wielu przedsięwzięciami zrodzonymi w Komisji dla spraw Litwy Wschodniej bywało. Żałowałbym, gdyby tak się stało, bo uważam, że zaniedbywanie trudnego i skomplikowanego zagadnienia

wileńskiego, spokojne, pełne jakiejś deterministycznej wiary składanie sprawy wileńskiej w ręce dyplomacji i na kapryśną falę gry czynników międzynarodowych jest dla tej sprawy ze stanowiska litewskiego najgorsze. Sprawa wymaga tego, aby mieć odwagę spojrzeć zagadnieniu w oczy, nie dając się kołysać złudzeniom i fatalistycznemu optymizmowi, poznać wszystkie trudności zagadnienia, uświadomić sobie dokładnie jego elementy, wreszcie zrozumieć, że nie dyplomacja i nie czynniki siły lub gry międzynarodowej, ale rozwiązanie dobre problematów wewnętrznych w stosunku państwowym Wilna do Kowna zadecyduje o sprawie wileńskiej. Jeżeli nawet układ zewnętrzny, oparty na czynnikach międzynarodowych, odda Wilno państwu litewskiemu na tych czy innych warunkach, to będzie to tylko prowizorium, którego utrwalenie będzie zależało od trafnego rozwiązania problemu wewnątrz państwa w stosunku wewnętrznym jego połowy zachodniej i wschodniej, stosunku, mającym cechy kooperacji ludowej, w której obie połowy będą miały i mieć muszą rolę czynną. Toteż takie narady, takie usiłowania ustalenia zasad programu, jak te, co zostały zaprojektowane przez Žemaitisa i naszą Komisję, są dobre właśnie dlatego, że zmuszają ludzi do czynnego zajrzenia prawdzie w oczy i do zastanowienia się nad problemem. Zbytnia wiara w metody międzynarodowe, czysto formalne i zewnętrzne, zbytni determinizm i bierna inercja Litwinów wobec sprawy wileńskiej – zwichnęły już raz jedną bardzo poważną próbę w tym kierunku, jaką była rozpoczęta w lutym społeczna akcja porozumiewawcza kowieńsko-wileńska. Zresztą zwichnięcie tej akcji jest zarówno winą Litwinów, jak tych grup wileńskich polskich, które w niej udział brały i nie dość poważnie, nawet nie dość szczerze ją potraktowały, a następnie przez zwłokę – może i rozmyślną – ubiły ją. Dla tej samej przyczyny, dla której pragnę w ogóle, aby zaprojektowana przez nas narada doszła do skutku, pragnę także, aby oprócz Litwinów wzięły w niej udział i elementy społeczne białoruskie i przynajmniej te z polskich, które jeszcze są w stanie konferować dziś z Litwinami na gruncie państwowym i nie skompromitowały się tak, jak się skompromitowała Frakcja Poselska Polska i jej Biuro Informacyjne. Elementy białoruskie i polskie w tej naradzie są konieczne, ponieważ bez nich narada samych Litwinów może mieć tendencję do zamykania ram lub bagatelizowania całego szeregu bardzo istotnych rzeczy gwoli tego, co się chce, a co nie zawsze odpowiada temu, co trzeba. Żałuję też, że Žemaitis uznał za niemożliwe dopuszczenie na taką naradę Januszkiewicza. Januszkiewicz jest *leaderem* nielegalnej w Litwie partii rewolucyjnych ludowców, względnie rewolucyjnych socjalistów ludowych. W zakresie dążeń społeczno-politycznych jestem biegunowo tej partii przeciwny, ale za to stojący na jej czele ludzie – a przynajmniej Januszkiewicz – bodaj najkonsekwentniej z Litwinów uwzględnia zasady państwa ludowego i stosują je bez żadnych zastrzeżeń nacjonalizmu lub imperializmu narodowego do stosunków wewnętrznych w państwie i w szczególności do stosunku Wilna do Litwy. Ale ponieważ Januszkiewicz jest wodzem partii nielegalnej, partii rewolucyjnej, która jest ścigana przez prokuraturę i ponieważ on sam jest w Kownie na stopie nielegalnej, ukrywając się pod cudzym nazwiskiem, przeto Žemaitis uważa za niewłaściwe wzywanie go i dopuszczanie do obrad prowadzonych pod sztandarem instytucji państwowej, jaką jest Komisja dla spraw Litwy Wschodniej, tym bardziej, że na narady będą zapraszani tacy ludzie, jak Antoni Smetona, który może być skandalizowany obecnością Januszkiewicza i może podjąć głośny protest, który postawi Komisję i jej akcję w świetle fałszywym i niepożądanym.

5 sierpnia, rok 1921, piątek
Wyjeżdżając Žemaitis, prosił mię, bym podczas jego nieobecności dał od czasu do czasu jakiś artykulik do dziennika „Litwa”. Ponieważ sam wkrótce wyjeżdżam, więc

nie będę mógł dużo zasilić „Litwy”, ale dziś artykulik dla niej napisałem. Zatytułowałem go „Rosja”. Dotknąłem sprawy strasznej klęski głodowej, która dotknęła Rosję i która już teraz wyraża się w faktach mogących mieć konsekwencje nieobliczalne. Może wieści głoszone przez prasę są trochę przesadzone, ale niemniej musi być w nich sporo prawdy, bo sama prasa sowiecka przyznaje katastrofalne rozmiary klęski i zarówno Rosja, jak cały świat cywilizowany są poruszone zagadnieniem pomocy i ratunku głodnych. Są wieści, że tłumy ludzi głodnych z wielkich przestrzeni, które susza tegoroczna zamieniła w pustynię, tłumy ludzi różnego wieku, liczące czasem po kilkaset tysięcy głów, idą przez siebie, żywiąc się korzeniami, trawą, mrąc po drodze, idą w kierunku okolic żyznych lub na miasta, w których liczą znaleźć zapasy żywności. Są podobno już całe miasta nie tylko splądrowane, ale i zniszczone przez głodne masy wędrowne. Fale tej emigracji głodnych zdają się posuwać w kierunku Moskwy i na Ukrainę. Mogą się z tego wywiązać rzeczy straszne, rzeczy zgoła nieobliczalne, gdy jeszcze rozwiną się do tego epidemie i mór i gdy nastaną chłody jesienne. Może runąć władza sowiecka, ale może przyjść i do tego, że wielomilionowe tłumy głodnych mogą pójść na kraje sąsiednie – na Polskę, Litwę itd., a wtedy co? Jak z nimi wojować, jak zaradzić przeciwko tej nowej wędrówce ludów? Zresztą Rosja jest wulkanem nieustającym, która kto wie co za niespodzianki jeszcze gotuje. W sąsiedztwie wulkanu nigdy się nie jest bezpiecznym. Czy to żywiołowy pęd głodnych, czy propaganda rewolucyjna, czy instynkt zaborów i odrodzenia mocarstwowego imperializmu Rosji, czy inne jeszcze pobudki, drzemiące w tym olbrzymie, trawionym konwulsją od lat kilku, mogą spowodować wybuchy, których ofiarą stać się mogą kraje sąsiednie, zwłaszcza kraje nasze, które się oderwały od terytorium Rosji. Myślą przewodnią mego artykułu, wyrażoną w jego wnioskach końcowych, jest ta, że ludy krajów wyzwolonych z panowania rosyjskiego i otaczających Rosję wieńcem z zachodu, powinny jak najprędzej uregulować swoje konflikty wzajemne, by mieć czas, energię i myśl swobodną do zastanowienia się nad sprawami Wschodu i przygotowanie się na wszelkie ewentualności.
Nie jestem adoratorem dziennika „Litwa”, w którym razi mię wiele rzeczy, a przede wszystkim ton napastniczy, niepoważny, powiedziałbym – sztubacki w stosunku do Polski i Polaków. Pismo to nie jest bynajmniej właściwym tłem dla moich artykułów, toteż rzadko zabieram głos, a jeżeli zabieram, to zwykle Žemaitis zaopatruje moje artykuły jakimś przypiskiem redakcji.
Spotkałem się dziś na obiedzie w Klubie Litewskim, w którym się obecnie stale stołuję, z Białorusinami Łastowskim i Ćwikiewiczem. Rozmawialiśmy przy tym i mile czas spędzili. W Białorusinach jest jeszcze taki idealizm żywy, ten niespokojny duch tęsknoty do prawdy i sprawiedliwości, wrażliwość i giętkość, które towarzyszą wszelkiemu zdobywaniu, wszelkiemu wysiłkowi jeszcze niezrealizowanemu. Jest w nich jeszcze to, co u ich sąsiadów szczęśliwszych zostało zabite albo przytępione przez państwowość. Państwowość bowiem, choć jest dobrem dla ludów, demoralizuje je jednak, zwłaszcza ludy młode. Uczy je fałszu, tępi ich wrażliwość, zmusza do przekładania faktów nad prawdę, wytwarza w nich natychmiast psychologię „*beati possidentes*”. U Białorusinów tego jeszcze nie ma, bo oni dotąd pariasami narodów, są proletariatem rewolucyjnym wśród ludów. Podchmieliliśmy sobie dobrze z Łastowskim i Ćwikiewiczem i nie bardzo już pamiętam, jak potem trafiłem do domu.

6 sierpnia, rok 1921, sobota
W Trybunale miałem posiedzenie, na którym rozpoznawane były sprawy w trybie kasacyjnym na wyroki Sądu Armii. Przewodniczył prezes Kriščiukaitis, w komplecie sądzącym oprócz mnie brał udział sędzia okręgowy Rustejko i sędzia Sądu Armii

Vimer. Wszystkie skargi kasacyjne zostały oddalone, jak zwykle zresztą. Dość powiedzieć, że przez cały czas działalności Trybunału od dwóch lat tylko jeden wyrok Sądu Armii był w drodze kasacyjnej uchylony. Przyczyna tego zjawiska polega nie na tym, że wyroki Sądu Armii są doskonałe, ale na tym, że oskarżeni są w sferze procesu bezradni i nie umieją użytkować drogi kasacyjnej. Po pierwsze więc – na posiedzeniach Sądu Armii w czasie rozpraw nie stawiają żadnych żądań i nie czynią żadnych zastrzeżeń w protokóle, godząc się na wszystkie zarządzenia sądu, wskutek czego nie mają potem zasady do skargi, i po wtóre – ich skargi kasacyjne są pisane metodą apelacyjną i dotyczą prawie wyłącznie samej istoty faktu przestępstwa i winy, co w drodze kasacyjnej sprawdzeniu nie ulega. Skargi te są zwykle pisane przez jakichś domorosłych pisarczyków w więzieniu, którzy naturalnie pojęcia nie mają o tym, co to jest kasacja. W liczbie spraw dzisiejszych były trzy, w których były wyroki śmierci (czwarta sprawa z wyrokiem śmierci spadła z wokandy).
Zapomniałem zanotować wczoraj jedną rzecz, bardzo osobiście przykrą dla mnie. Chodzi o lasy bohdaniskie. Złe przeczucia nie omyliły mię, niestety. Zdaje się, że sprawę lasów przegramy. Wspominał mi wczoraj o tym wiceprezes Sądu Okręgowego Piotrowski, który jest jednocześnie juryskonsultem w Ministerium Rolnictwa, a więc i w Departamencie Leśnym. Wyjaśnił mi on znaczenie żądania otrzymanego przeze mnie z departamentu co do ustalenia daty śmierci Papy. Departament stoi na tym stanowisku, że jeżeli śmierć Papy nastąpiła po ogłoszeniu ustawy o upaństwowieniu lasów, to lasy bohdaniskie nie ulegały działowi, ponieważ własność lasów z mocy ustawy przeszła do państwa i w drodze spadkowej nie mogliśmy własności tej nabyć my. Wniosek taki czyniony jest z tego ustępu ustawy, który orzeka, że od chwili ogłoszenia ustawy prawo przekazywania własności lasów, zastawiania ich i wydzierżawiania należy *ipso iure* do państwa. Ponieważ w tych prawach rozrządzalności zawierają się zasadnicze elementy własności, więc – zdaniem Piotrowskiego – o przechodzeniu własności prywatnej lasów, przenoszących 25 dziesięcin, po wydaniu rzeczonej ustawy w drodze spadku nie może być mowy. Otóż Papa umarł w październiku, a ustawa była wydana w sierpniu. Próbowałem kwestionować wnioski Piotrowskiego i przeciwstawiać im koncepcję inną, podług której do czasu realizacji upaństwowienia przez odpowiedni akt przejęcia lasów poprzedni właściciel zachowuje swoje prawo z pewnymi ograniczeniami, jak mianowicie bez prawa przekazywania własności, zastawiania i wydzierżawiania; spadek nietestamentowy nie jest aktem przekazania własności, jeno wprowadza spadkobiercę jako kontynuatora osoby spadkodawcy w te same prawa, które miał spadkodawca. Jest to nie akt przekazania prawa, jeno podstawienia *ipso iure* osoby spadkobiercy w prawa spadkodawcy, rodzaj nowacji personalnej i spadkobierca dziedziczy prawa spadkodawcy w tymże zakresie, to znaczy z tymi ograniczeniami, w jakim służyły one spadkodawcy; ale ponieważ w tym wypadku ograniczenia te były przywiązane do ilości dziesięcin, przekraczającej cyfrą 25 dziesięcin, więc skoro po dokonanej nowacji las się rozdrobił na kilka sched, zawierających nie więcej niż 25 dziesięcin, ograniczenia same przez się odpadają. Takiej oto koncepcji próbuję bronić, opierając na niej obronę naszych praw do lasu. Jednak nie czuję się bardzo mocnym w tej obronie. W każdym razie Piotrowski zapewnia mię, że kwestia naszych lasów nie zostanie rozstrzygnięta w departamencie, jeno w komisji juryskonsultów wszystkich ministeriów, do której on ją wniesie na rozstrzygnięcie.
Nadziei na dobry obrót sprawy mam niewiele. Strata lasu będzie dla nas dotkliwym ciosem. Dla mnie osobiście pod względem materialnym utrata lasu sama przez się niewiele znaczy, bo mój las w Gaju prawie żadnej wartości towarowej na razie i zapewne na całe moje życie – nie przedstawia. Ale dla sióstr będzie to dotkliwe. Natomiast dla mnie będzie to miało ten skutek ujemny, że wtedy wypłaty będą

obliczone od ziemi bez lasu, a ponieważ ja mam jej najwięcej, więc zostanę obarczony ciężarem dużych spłat dla Henrysia i Kotuni. Jednym się tylko pocieszać możemy – że po odebraniu lasu schedy nasze tak zmaleją, iż reforma agrarna ich nie dosięgnie i żadne ograniczenia krępować nas nie będą.

7 sierpnia, rok 1921, niedziela
Po odrzuceniu przez Litwę wniosków genewskich Ligi Narodów i odmowie wysłania delegacji do Brukseli na drugą połowę lipca dla kontynuowania rokowań z delegacją polską pod przewodnictwem Hymansa zdawało się, że sprawa wileńska stanęła na rozdrożu lub zabrnęła w takie bagnisko i tak głęboko ugrzęzła, że niepodobna już wykombinować, kto i jak zdoła ją dźwignąć na tory załatwienia. Ale – jakież tory i jakaż wreszcie metoda likwidacji? Na arbitraż Ligi Narodów nie zgadzają się Polacy. Plebiscyt został odrzucony przez samą Ligę Narodów. Układy bezpośrednie między Polską i Litwą, rozpoczęte już w Brukseli pod przewodnictwem i kierunkiem mediatora z ramienia Ligi Narodów, Hymansa, zostały oto odrzucone przez Litwę, która zażądała kategorycznie, aby Polska wpierw przywróciła stan rzeczy stosownie do umowy suwalskiej z października r. 1920, o czym jednak Polska słyszeć nie chce. Cóż więc pozostaje? Wojna? Czy może przyłączenie Wileńszczyzny do Polski, skoro nie dało się znaleźć kompromisu dla wyjścia innego? Czy może rozkaz suwerenny Ententy, która wreszcie sama ten wrzód rozetnie i nakaże stronom wykonać jej decyzję? Ale wojna nic właściwie nie rozstrzygnie, a zwłaszcza nie rozstrzygnie chyba na rzecz życzeń litewskich, boć chyba w wojnie z Polską Litwa byłaby słabsza. Wojna jako metoda rozstrzygnięcia konfliktu mogła tu być rozumiana dwojako: wojna ze strony Litwy o odzyskanie Wilna, ale także wojna ze strony Polski, względnie Żeligowskiego lub innej środkowo-litewskiej ekspozytury Polski dla sforsowania Kowna i zmuszenia go do połączenia się z Wilnem w związku z Polską podług recepty aspiracji polskich. Były chwile, że możliwości w tym ostatnim kierunku zdawały się dość prawdopodobne. W kołach litewskich i litewskich z Wilna płynących wieści dużo się mówiło o przygotowaniach polskich w Wilnie do nowej imprezy wojennej na Kowno. Drugie z pozostałych wyjść – przyłączenie Wilna do Polski i postawienie przez fakt dokonany kropki na całej kwestii wileńskiej – nie było wprawdzie łatwym dla Polski ze względu na jej stosunki z mocarstwami Koalicji, które sobie takiego rozwiązania nie życzą, a nie odpowiada ono także zasadniczym postulatom polityki Piłsudskiego, ale opór Kowna przeciwko wszelkim kombinacjom kompromisu zdawał się czynić to rozwiązanie możliwym, gdy już innych wyjść nie będzie. Litwa byłaby postawiona w obliczu faktu dokonanego, a nie będąc w stanie zmienić go siłą zbrojną – ulegałaby konieczności i nie miałaby Wilna. Znaczna część kół prawicowych litewskich z „Pažangą" na czele – a zdanie to było zresztą dość rozpowszechnione w opinii publicznej litewskiej – traktowała takie rozwiązanie sprawy wileńskiej jako rzecz, której się bynajmniej ze stanowiska litewskiego obawiać nie ma powodu. Albo Wilno bez żadnych zastrzeżeń należy do Litwy i Polska nie ma w tej mierze nic do gadania, albo – Wilno zostaje od Litwy oderwane. Wszelkie opieranie odzyskania Wilna na układach z Polską, na jakichś warunkach i zastrzeżeniach, zobowiązujących Litwę wobec Polski, osłabia suwerenność Litwy tak w stosunku do Polski, jak względem Wilna i stanowi pewnego rodzaju uznanie praw Polski do ingerencji w wewnętrzne sprawy Litwy, jaką jest ze stanowiska państwowego litewskiego sprawa Wilna. Poza tym, „Pažanga", jak zresztą w ogóle znaczna część opinii litewskiej, zasadniczo nie ufa Polsce i uważa, że wszelki kompromis nawiązujący jakiś układowy stosunek Litwy do Polski stanie się pierwszym krokiem do uzależnienia Litwy, do uczynienia z niej wasalki polskiej. Toteż woli nic, niż posiadanie Wilna z łaski polskiej i na warunkach polskich. Jeżeli będzie „nic", to

znaczy że Wilno zostanie zaanektowane przez Polskę i Litwa go mieć nie będzie, to Litwa do niczego obowiązana nie będzie. Będzie ona postawiona wobec faktu siły przemożnej („*vis major*”), ale faktu tego nie uzna z prawo i zobowiązań przeto żadnych nie przyjmie.
Zdaniem zaś tego kierunku, Litwa bez Wilna istnieć może i Wilno mniejszą ma dla niej wagę warunku istnienia, niż Kłajpeda; natomiast Wilno bez Kowna istnieć nie może i wcześniej czy później, pomimo aneksji polskiej, samo wróci do Litwy, ale wtedy wróci do Litwy niepodległej i wróci bez zastrzeżeń. Lepiej więc nawet stracić Wilno na razie, niż otrzymać je z zastrzeżeniami, które Litwę skrępują i uczynią z niej niewolnicę, która skazana będzie na stanie się w przyszłości wraz z Wilnem prowincją mocarstwowej Polski. Na tym się zasadza nieprzejednane stanowisko prawicy litewskiej względem układów z Polską w sprawie wileńskiej, kompromisu i zasad projektu Hymansa. Ale trzeba tu wskazać, że i aneksyjny kierunek myśli polskiej (cała endecja, przeciwstawiająca się polityce Piłsudskiego), spekuluje na tych samych, co prawica litewska, założeniach, choć wyciąga z nich wnioski wprost przeciwne. I ona także jest przeciwna układom z Litwą na gruncie ustępowania Wilna Litwie w jakiejkolwiek postaci. Żąda ona aneksji Wilna do Polski i jest przekonana, że ponieważ Wilno i Kowno nie mogą żyć i rozwijać się bez siebie, więc wcielenie Wilna do Polski wytworzy ciążenie wzajemne rozerwanych części Litwy, ale ciążenie to wyrazi się nie, jak sądzi prawica litewska, w dążeniu Wilna do oderwania się od Polski i wcieleniu do Litwy, lecz odwrotnie, w dążeniu Kowna, a więc Litwy Kowieńskiej, do Wilna opartego, o większy i silniejszy organizm państwowy – Polskę.

8 sierpnia, rok 1921, poniedziałek
Innego jednak, niż „Pažanga”, są zdania koła rządowe litewskie i sfery finansowe oraz przemysłowe. Uważają one posiadanie Wilna za konieczne dla Litwy jako bardzo ważny warunek jej rozwoju. Nie odważają się traktować z lekkim sercem możliwości wcielenia Wilna do Polski w imię li tylko wiary czy przekonania, że Wilno samo zwróci się z czasem do Litwy i będzie szukało z nią kontaktu przez oderwanie się od Polski i wcielenie do niej, jak filozoficznie konkluduje prawica z pp. Smetoną i Voldemarasem na czele. Która z tych dwóch opinii jest słuszniejsza – nie podejmę się tu o tym sądzić. Dość, że koła rządowe, dążąc do odzyskania Wilna, próbują wszelkich sposobów i nie decydują się na lekceważenie propozycji Ligi Narodów o próbach rokowań bezpośrednich z Polską, które „Pažanga” nie tylko że odrzuca z oburzeniem, ale traktuje za zbrodnię przeciwko niepodległości, za czyn, za który rząd powinien być postawiony w stan oskarżenia. Tymczasem rząd był te rokowania przerwał. Skoro więc nie rokowania i nie układ, skoro nie wojna, skoro nie rezygnacja czasowa z Wilna, więc cóż? Czy rozkaz Ententy? Czy pewność, że ona decyzją swoją, która będzie ultimatum dla Polski, odda Wilno Litwie? Ale gdyby nawet tak było, gdyby nawet Polska została rzeczywiście zmuszona do prostego wyrzeczenia się Wilna i zwrotu go Litwie bez zastrzeżeń i warunków, co jednak nie byłoby tak łatwe, to jestem więcej niż przekonany, iż rzecz by się na tym nie skończyła. Polacy wileńscy zbyt się oswoili z myślą o państwowości polskiej, zbyt przywykli do rządów polskich w ciągu lat ostatnich, zbyt polegają na potencji polskiej i pragną jej, a skądinąd zbyt nie ufają Litwinom, zbyt się boją panowania litewskiego, które zresztą przez błędy Litwinów w roku zeszłym nie usposobiło ich do szczególnej ufności, i poza tym wszystkim zbyt są przyzwyczajeni przez wzory polityki Piłsudskiego do wiary w skuteczność różnego rodzajów zamachów i „faktów dokonanych” (akcja Żeligowskiego, powstanie górnośląskie itp.), aby znieśli potulnie i bez odruchu oddanie ich panowaniu litewskiemu bez zastrzeżeń, na rozkaz dalekiej Europy. Zresztą nie drzemią oni i teraz;

mają organizację wojskową, mają broń, przewidują wszelkie ewentualności i mają doskonałe warunki do przygotowania się do nich. Toteż gdyby przyszło do takiego oddania Wilna Litwie bez warunków i zastrzeżeń – na prosty rozkaz Koalicji i bez żadnej katastrofy w Polsce, zmuszającej ją do wycofania się – wybuchłyby w Wilnie powstania, spiski, terror i wszelkie formy oporu, które by panowanie litewskie uczyniło piekłem i dla Litwinów i dla Wilna.
Ze wszelkich więc stron i wszelkich możliwości rozważając perspektywy, sytuacja pod żadnym względem łatwą nie jest. Koła litewskie, mimo swój optymizm, nie są przecie jednak ślepe na te trudności. Na co więc liczył rząd, zrywając rokowania, rozpoczęte pod przewodnictwem Hymansa, skoro nie decyduje się na utratę Wilna, jak się decyduje na to w ostateczności prawicowa opozycja litewska, przekonana, że byłaby to utrata tylko czasowa? Nie umiałem sobie dać odpowiedzi na to. Mogłem przypuszczać chyba tylko to, że albo miał on poważne powody do posiadania pewności, iż czynniki europejskie w każdym razie zainterweniują i zmuszą Polskę do oddania Wilna, albo ulega znowu determinizmowi optymistycznemu, który napełnia Litwinów ślepą wiarą w to, że bądź co bądź Wilno musi być litewskie i basta – a więc będzie nim. Ale niezależnie od tego, że uważałem, iż sprawa znowu stanęła na rozdrożu bez określonych perspektyw wyjścia, uważałem także, że sama postać zerwania rokowań jest wielce wadliwa i szkodząca politycznie stanowisku litewskiemu. Rozumiem, iż w genewskich propozycjach Ligi Narodów mogły być postulaty nie do przyjęcia dla Litwy, jak w szczególności, że układ litewsko-polski winien być ratyfikowany przez przyszły Sejm Wileński, co z góry, przed dojściem układu, przesądzało już istnienie osobnego Sejmu w Wilnie, a więc osobnego prawno-państwowego stanu dzielnicy wileńskiej (bo to chodziło nie o wszechlitewski państwowy Sejm w Wilnie). Ale w odmowie litewskiej główny argument, główny motyw był ten, że wpierw Polska musi wykonać ściśle zeszłoroczny październikowy układ suwalski, w myśl którego Wilno pozostaje w ręku litewskim i linia demarkacyjna między Polską a Litwą idzie na Orany i Bastuny, a wtedy dopiero Litwa może stanąć do rokowań. Warunek litewski mógł być stawiany przed rozpoczęciem rokowań w Brukseli jako zastrzeżenie absolutne. Ale gdy się rokowania te zaczęło i prowadziło w Brukseli i gdy się nawet w zasadzie przyjęło projekt Hymansa za podstawę do rokowań, to potem nagle powiedzenie pewnego dnia, że nie – wpierw musi być wykonany układ suwalski, a wtedy dopiero mogą rokować – jest niekonsekwentne, bo przecież przed chwilą się rokowało, choć układ suwalski nie był wykonany.

9 sierpnia, rok 1921, wtorek
Rząd litewski i uczestnicy rokowań brukselskich, jak np. Ślażewicz, z którym rozmawiałem o tym, tłumaczą, że wysunięte przez Litwinów w odpowiedzi na genewskie propozycje Ligi Narodów żądanie, aby wpierw Polska wykonała układ suwalski, a dopiero pod tym warunkiem Litwa zgodzi się na prowadzenie z nią dalszych rokowań, nie jest żądaniem nowym, niezrozumiałym i niekonsekwentnym, gdy poprzednio już rokowała bez spełnienia tego warunku i nawet przyjęła w zasadzie projekt Hymansa za podstawę do rokowań. Wskazują oni na to, że Litwini w Brukseli na samym wstępie zgłosili żądanie wykonania układu suwalskiego i choć zgodzili się dokonać próby rokowań, ale zastrzegli z góry, że gdyby rokowania nie doprowadziły do porozumienia, to oni rezerwują sobie w każdej chwili odwołanie się do dyspozycji układu suwalskiego. Jest to układ prowizoryczny, ale niech go Polska lojalnie wykona, a wtedy znajdą się właściwe warunki do traktowania układu definitywnie.
Być może, że tak jest. Litwini w Brukseli rzeczywiście zastrzegli powrót do zasad układu suwalskiego na wypadek zerwania rokowań. Niemniej w opinii i w Europie

pozostaje wrażenie inne. Po pierwsze – opinia liczy się nie tyle z jakimś zastrzeżeniem protokolarnym, ile z głównym i powszechnie wiadomym faktem, że rokowania się pod przewodnictwem Hymansa toczą, że wysunięty został projekt Hymansa, że w zasadzie obie strony przyjęły go za podstawę dla dalszych rokowań. Po drugie – rokowania w Brukseli nie zostały zerwane, jeno zawieszone. Nagle Litwa powiada: nie, wpierw wykonanie układu suwalskiego, a dopiero rokowania dalsze. Wrażenie jest takie: toż to trzeba było wcześniej powiedzieć, a nie w toku rokowań. Cóż się zmieniło: czy nowy fakt propozycji genewskich? Poniekąd tak, ale to było też do omówienia, a zresztą może i ma rację Voldemaras w dzisiejszym artykule w „Lietuvos Balsas", że zasada ratyfikacji układu przez Sejm w Wilnie, o której mowa w propozycjach genewskich, dotyczy nie wileńskiego Sejmu kantonalnego, ale przyszłego Sejmu ogólnego dwukantonalnej Litwy, i że skoro się przyjęło w założeniu zasady projektu Hymansa przewidującego dwa kantony, to trzeba logicznie przyjąć to, że ratyfikacja układu przez obecny jeno Sejm w Kownie nie może wystarczać, bo obecna Litwa w przyszłej Litwie byłaby tylko kantonem, a obecny Sejm tylko Sejmem kantonalnym. Voldemaras jest kategorycznym wrogiem rokowań, projektu Hymansa itd., ale krytykując akcję rządową, wykazuje jej niekonsekwencje i może ma rację. Gdyby chodziło istotnie o Sejm Wileński jako Sejm Litwy, a nie kantonu wileńskiego, to wysuwanie nagle kwestii układu suwalskiego byłoby tym bardziej logicznie niedorzeczne.
Sytuacja więc, jaka się wytworzyła na skutek odmowy litewskiej, była bardzo niewyraźna. Nie wiadomo było, co dalej i co sobie rząd myśli, na co liczy w zakresie dalszych perspektyw rozwiązania sprawy wileńskiej, bo że Polska nie zastosuje się do żądań co do układu suwalskiego, to przecie było jasne i nikt ani na jedną chwilę się co do tego nie łudził. Wszakże wkrótce po tej odmowie zacząłem spostrzegać, że w kołach zbliżonych do rządu zbyt sobie nad kwestią sytuacji głów nie łamią. Rychło nawet dało się widzieć, że w kołach tych jest jakby takie wrażenie, wprawdzie nie afiszowane, jak żeby nic się właściwie w istocie rzeczy nie zmieniło i jak żeby zarówno sprawa rokowań litewsko-polskich, jak sprawa projektu Hymansa pozostawały nadal czymś aktualnym, co właściwie nie zgadza się z faktem odmowy litewskiej. Zacząłem się domyślać, że pomimo odmowy rząd litewski musiał sobie zostawić jakąś furtkę powrotu. Inaczej bowiem było niezrozumiałe, jak raptem z odmowy rokowań wyskoczą nagle jak *Deus ex machina* dalsze rokowania. I nie wiem, czy to była ta furtka czy nie, ale tak posądzam; nagle przemknęła w prasie wieść o tym, że w końcu lipca, w tym samym czasie, kiedy bawiła tam delegacja polska Askenazego, znaleźli się w Brukseli pp. Naruszewicz (poseł litewski w Londynie) i Miłosz (poseł litewski w Paryżu), obaj – uczestnicy poprzednich rokowań brukselskich. Po co tam przyjechali i co robią – nie wiadomo; nie była to formalna delegacja dla rokowań, ale też przecież nie przypadek. Przed kilku dniami rzecz się wyjaśniła. Naruszewicz i Miłosz byli wysłani przez rząd litewski dla doręczenia litewskiej odmowy Hymansowi i Hymans na ich ręce (a może nie na ich ręce, ale w każdym razie z pewnością po odpowiednim rozgadaniu się z nimi) wystosował pismo do rządu litewskiego w odpowiedzi na tę odmowę. W odpowiedzi tej wzywa Litwę do przysłania w ostatnich dniach sierpnia do Genewy delegacji formalnej litewskiej, zarówno dla wyjaśnienia i omówienia założeń i wniosków odmowy litewskiej, jak dla zbadania, czy się jednak nie da znaleźć wyjścia dla przezwyciężenia odmowy; jednocześnie będzie w Genewie i delegacja polska Askenazego, a w początku września ma być tamże sesja Ligi Narodów. Rząd litewski, jak się zdaje, przyjął propozycję i pośle delegację do Genewy. Zdawałoby się więc, że jest nadzieja, iż sprawa znowu wyjdzie na tory rokowań w celu układu. Tak się zdaje, choć co można wiedzieć i kto to się połapie w skokach spekulacji dyplomatycznej.

10 sierpnia, rok 1921, środa
Od kilku dni wrócił już z wakacji kolega Janulaitis, również, jak ja, sędzia Trybunału. Będę miał z niego miłego kolegę i dobrego towarzysza pracy, bo jest to człowiek żywy, pełen inicjatywy, który zawód sędziego w Trybunale Najwyższym pojmuje nie tylko jako technika prawnego do rozpoznawania spraw, ale także jako stróża praworządności w państwie, winnego czuwać i reagować na wszystko, co się dokonywa wbrew prawu w różnych sferach działalności państwowej. Janulaitis jest niezależny, ma indywidualność mocną, ma wielką odwagę przekonań, jest czysty zupełnie i prawy. Ma on swoje uprzedzenia, ma swoje „*parti pris*"[587] i w tych zakresach jest nieufny, podejrzliwy i zajadły jak prawdziwy Żmudzin; ale prawy jest zawsze. Co nienawidzi, to już nienawidzi szczerze, w kompromisy w ogóle nie wchodzi żadne. Do jego specjalnych przedmiotów niechęci należy wszystko, co tchnie biurokracją i tęsknotą do „*ancien régime*'u" rosyjskiego; z tym walczy na każdym kroku i zdecydowany jest tępić bezwzględnie; nie lubi w ogóle Rosji ani Rosjan, nie znosi imperializmu rosyjskiego i węszy go bardzo starannie. Bolszewików nienawidzi i uważa ich za typowy produkt rosyjski, który w gruncie realizuje także imperializm, jeno pod innym sosem. Dalej ma wielką niechęć do Żydów, których uważa za agentów rosyjskości i nie wierzy ani w ich quasi-radykalizm, ani w ich afiszowaną przyjaźń do Litwy; widzi on u Żydów pod rozmaitymi postaciami jedynie samolubstwo, geszeft i pragnienie zdobycia warunków dla pasożytnictwa społecznego. Nienawidzi „szmuglu" pod żadną postacią, tym bardziej, gdy „szmugiel" przykrywa się upozorowanym idealizmem; „szmugiel" zaś jest najistotniejszą cechą Żydów. W stosunku do Polaków jest u Janulaitisa żyłka polonofilska, ale tylko nie do ziemian i szlachty, bo tych nienawidzi szczerze i uważa za szkodliwy pasożytniczy element w kraju, który należy zgnębić; zgnębienie ziemian, zwalczanie radykalne wpływów dworu – uważa za dzieło sprawiedliwości społecznej i wyzwolenia ludu. Janulaitis jest biczem na różnych biurokratów sądowych i na wszystkich tych, którzy pragnęliby zażyć rozkoszy swojej władzy i drzemać w dymie kadzideł i otoczeniu posłusznych wykonawców wszelkiego rozkazu. Jako czynnik krytyczny, żywy, tępiący rozkład, ceniący treść, walczący bez ceremonii i bez względów dla różnych wielkich ambicyjek małych ludzi na wielkich stanowiskach, jest Janulaitis dla wielu niewygodny. Toteż się go wielu ludzi na wyższych stanowiskach boi i zapewne po cichu nie lubi, ale walczyć się z nim nie odważa, bo Janulaitis idzie drogami prostymi, nie ma grzechów, które by go osłabiały, ma imię w społeczeństwie litewskim i ma autorytet duży, mimo że jest samotny i poza tym posługuje się w walce pracą. Zdaje się, że boją się go ludzie nie tylko małej, ale i średniej miary. W naszym świecie sądowniczym Janulaitisa się z pewnością boją i nienawidzą po cichu – minister sprawiedliwości Karoblis, prezes Sądu Okręgowego Mačys, a zdaje się – i prokurator Kalvaitis. Mam wrażenie, że i nasz prezes Kriščiukaitis uważa kanciastość Janulitisa za niewygodną. Taki umysł i charakter niezależny podoba mi się. Sądzę, że w większości wypadków pójdziemy z Janulaitisem ręka w rękę, bo i ja nie lubię ducha kliki i rozmaitych rządów wzajemnej adoracji, w których kwitnie miernota i życie tępieje.

11 sierpnia, rok 1921, czwartek
Wyjazd mój na ostatki wakacji – zbliża się. Mam zamiar wyjechać we wtorek. Zacznę ten urlop od Kłajpedy, a skończę na Bohdaniszkach. Wziąłem już dziś wizę litewską na wyjazd, a jutro wezmę francuską – na wjazd do okręgu Kłajpedy. Ponieważ Kłajpeda, której los nie jest ustalony ostatecznie, jest tymczasem pod zarządem francuskim, więc na wjazd francuskie są wymagane wizy. Skorzystam z miejsca w dzienniku – bo nic osobliwego z dni bieżących do pisania nie mam – i zacytuję epizod z mojej rozmowy

587 „*Parti pris*" – rzecz postanowiona.

przed miesiącem z p. Mieczysławem Tadeuszem Skarżyńskim, charakteryzujący stanowisko endeków polskich w polityce wschodniej. M. T. Skarżyński, wódz endecji w Łomżyńskiem, były poseł do Dumy i do Rady Państwa za czasów rosyjskich przed wojną, jest jednym z wybitniejszych ludzi tego obozu. Zaszła u nas rozmowa o Piłsudskim. Spytałem Skarżyńskiego, czy teraz Piłsudski pozyskał już w Polsce powszechne uznanie. Skarżyński mi zaprzeczył, oświadczając, że przeciwnie – polityka Piłsudskiego bankrutuje i że Piłsudski nie jest popularny, że przeciwko niemu rośnie prąd niezadowolenia, który go obali. Oczywiście to, co mówi Skarżyński o opinii, należy stosować do opinii endeckiej, która w przekonaniu Skarżyńskiego utożsamia się z opinią narodu; Skarżyński jest zresztą przekonany, że endecja ma większość w Polsce i że przyszłość do niej należy, a wszystko inne jest tylko bałamuceniem i chwilową bańką mydlaną. Gdym spytał, co się właściwie zarzuca Piłsudskiemu, Skarżyński odrzekł, że to, iż Piłsudski jest germanofilem. Na razie wyraziłem zdziwienie, bo takie określenie, które jeszcze było możliwe w latach 1914-1917, a może nawet z zastrzeżeniem i w r. 1919, co też było zawsze wytaczane przez endecję przeciwko Piłsudskiemu, wydało mi się w r. 1921 wprost dziwne. Poprosiłem Skarżyńskiego o wytłumaczenie mi tego, co też on uczynił chętnie, a ja zrozumiałem, że jeżeli nawet jest w tym przesada, to przecież jest ona bliska prawdy. Oto są mniej więcej tezy Skarżyńskiego: Polska musi być albo germanofilska, albo rusofilska, musi mieć front albo antyniemiecki, albo antyrosyjski. Jeżeli będzie miała front przeciwko Niemcom, to musi sobie zapewnić bezpieczeństwo ze wschodu od strony Rosji, z którą powinna dojść do porozumienia; jeżeli zaś jej głównym wrogiem jest Rosja, to musi szukać porozumienia z Niemcami. Nie może sobie pozwolić na luksus posiadania wrogów jednocześnie z dwóch stron, bo zginie. Niemcy z Rosją się połączą i podadzą sobie dłoń przez Polskę, niszcząc ją i dzieląc między sobą jej ziemie. W chwili obecnej, póki Niemcy są zdeptane i póki Rosja, przechodząca ostry kryzys rewolucyjny, jest osłabiona, ta prawda nie jest tak widoczną i tymczasem Polska może być pozornie antagonistką jednocześnie i Rosji, i Niemiec. Ale gdy się Niemcy z Rosją dźwigną – a dźwigną się na pewno – to Polska będzie musiała wybierać. Sojusz francusko-polski jest zwrócony przeciw Niemcom. Jest to warunkiem poparcia Francji, którego Polska potrzebuje. Zresztą – głównym i historycznym wrogiem Polski są Niemcy; z ich strony groziła Polsce zawsze i grozi nieubłagana zagłada. Najpiękniejsze prowincje polskie – Pomorze, Poznańskie, Śląsk – jej kontakt z Europą i dostęp do morza, wszystko to jest zagrożone przez Niemcy, które też nigdy nie pogodzą się z tym, żeby Polska wyparła Niemców z rynku rosyjskiego i zagarnęła go dla swego przemysłu, a rynki wschodnie Rosji są dla Polski niezbędne. Nienawiść do Rosji jest po prostu żywiołem Piłsudskiego, jego drugą naturą. W tej nienawiści wychował się on, wyrósł w wojnie obecnej, ta nienawiść stała się jego ideą i kultem. Cała jego polityka wschodnia zmierza do ukucia trwałego antyrosyjskiego frontu Polski. Do tego są skierowane jego usiłowania utworzenia wielkiego związku państw od Bałtyku do Morza Czarnego, jego marzenia o niepodległej Białej Rusi i Ukrainie, jego idea federacyjna względem Litwy, dla której nie waha się poświęcić Wilna, jego zeszłoroczna nieszczęsna ofensywa na Kijów, która omal nie skończyła się katastrofą zupełną dla młodej Rzeczypospolitej Polskiej. Piłsudski jest pod tym względem nieuleczalny – jest opanowany manią antyrosyjską. W tej manii Piłsudskiego tkwi jego germanofilstwo. Jeżeli dziś się ono nie manifestuje, bo nie nastała chwila potęgi rosyjskiej, to w każdym razie tkwi tak jak zalążek w jaju, jak poczwarka w swoim spowiciu. Germanofilstwo Piłsudskiego może nie być czynne, może nie być wyrazem uczucia, ale jest koniecznością jego rusofobii. Dziś wyraża się ono tylko w pewnego rodzaju zaniedbywaniu zagadnień na zachodzie w stosunku do Niemiec, w ich traktowaniu podrzędniejszym w porównaniu do ciągłego

wydmuchiwania zagadnień polityki wschodniej w duchu organizowania antyrosyjskiego frontu politycznego. Piłsudskiego można sobie wyobrazić pojednanego z Niemcami przeciwko Rosji, jak to już miało miejsce w toku tej wojny w jego czynie legionowym, ale niepodobna go sobie wyobrazić w żadnej kombinacji pogodzonego z Rosją. To germanofilstwo Piłsudskiego i jego polityki dziś jest tylko wyczuwalnym, ale niemniej wyczuwalnym dokładnie dla tych, co umieją patrzeć i słuchać, a w przyszłości musi się ono stać elementem czynnym tej polityki. Tymczasem konieczność dla Polski walki z Niemcami o byt i przeciwstawianie się im na każdym kroku czyni, zdaniem Skarżyńskiego, nasze pojednanie z Rosją niezbędnym. Pojednanie z Rosją musi być szczere, polityka polska powinna być rdzennie rusofilska. Narodowa demokracja od dawna już myśl tę wyrażała konsekwentnie w polityce polskiej, dawały jej wyraz przed wojną pisma Romana Dmowskiego, a w czasie wojny od samego początku narodowa demokracja zajęła pod tym względem stanowisko zdecydowane.

12 sierpnia, rok 1921, piątek
Dalszy ciąg streszczenia mojej rozmowy z Mieczysławem Tadeuszem Skarżyńskim: Takim jest więc ów germanofilizm Piłsudskiego, zarzucany mu przez Narodową Demokrację w Polsce. Tego mu moskalofilska i germanofobska Narodowa Demokracja darować nie może. Czuje ona słusznie w Piłsudskim wroga zasadniczego jej najistotniejszej linii politycznej. Toteż nienawidzi polityki Piłsudskiego. Ale najciekawszą rzecz powiedział mi Skarżyński na ostatku. Najciekawszą nie dlatego, żeby była mnie nową i niespodziewaną, ale dlatego, że rzadko się endecy zdradzają z tym tak otwarcie i prosto, jak to uczynił Skarżyński w rozmowie prywatnej. Choć ten element polityki endeckiej jest widoczny od dawna, bo jeszcze przed wojną Białorusini, których on dotyczy, wytykali go Narodowej Demokracji i Polakom, jednak endecja zbywała zawsze te zarzuty pogardliwym milczeniem i publicznie wolała się z tym elementem nie afiszować i nie stawiać kropek nad „i". Chodziło o politykę wschodnią Polski. Endecja, gotując się do trwałej walki z Niemcami, szuka porozumienia i przyjaznych szczerych stosunków sąsiedzkich z Rosją, wprawdzie nie obecną bolszewicką, którą uważa za chorobliwe spaczenie Rosji, ale Rosją przyszłą, normalną, mocarstwową. W tym dążeniu endecja jest najbliższa polityki Francji. Francja bowiem także chce Polski germanofobskiej i rozumie, że warunkiem rozwoju maksimum czynnego germanofobstwa Polski jest zabezpieczenie jej ze wschodu przez porozumienie z Rosją. Zarówno więc endecja w Polsce, jak Francja są niechętne pomysłom Piłsudskiego w rodzaju zeszłorocznego marszu na Kijów, niepodległości Białej Rusi, Ukrainy itd., bo wszystko to drażni Rosję i stwarza zarody przyszłych z nią konfliktów. Z tych też względów Francja patrzała niechętnym okiem na rozszerzenie terytorialne Polski na wschód za linię Curzona, to znaczy za Okręg Białostocki i za Bug, bojąc się, żeby wcielenie do Polski cząstek ziem białoruskich i ukraińskich, które Rosja uznaje za swoje ziemie etnograficzne, nie stworzyło na przyszłość stałego ogniska sporu i walki na wschodzie między Polską a Rosją. Ale – powiada Skarżyński – Francja, która nie zna tak dobrze i nie orientuje się tak w stosunkach na wschodzie, jak je znają i orientują się w nich Polacy, popełniała pod tym względem błąd. Właśnie podział Białej Rusi między Polskę a Rosję (prawdopodobnie i podział Ukrainy), a więc dzieło traktatu pokojowego ryskiego, jest najmocniejszym czynnikiem porozumienia i spójni między Polską a Rosją. Nie ulega wątpliwości – powiada Skarżyński – że chociaż się tego publicznie nie mówi, a nawet się będzie temu otwarcie zaprzeczało, bo z tym się nikt nie chwali, Polska będzie dążyła do spolonizowania Białorusinów w swoich granicach państwowych, jak Rosja będzie dążyła do zrusyfikowania ich w swoich. I jedno, i drugie państwo będzie miało wspólne niebezpieczeństwo w ruchu

białoruskim, którego zwalczanie będzie wspólnym i solidarnym obu państw zadaniem. Z tych słów wynika, że wspólny interes trawienia Białej Rusi i asymilowania jej będzie cementem między Polską a Rosją, łącząc je, czyli raczej solidaryzując trwalej, niż gdyby do podziału Białej Rusi (i Ukrainy) nie doszło. Właściwie więc jest to wskrzeszenie doświadczenia historycznego z podziałem Polski, który był na długi czas scementował przyjaźń i solidarność trzech zaborców – Rosji, Niemiec i Austrii. Jest to zasada, że zbrodnia łączy wspólników. Nie wchodzę w to, ile taka polityka jest moralną i w czasach obecnych, gdy się demokracja szybko budzi i doprowadza do świadomości i do głosu ludy ujarzmione – jest ona mądra i praktyczna. Chodzi mi tylko o stwierdzenie tego elementu w psychologii politycznej Narodowej Demokracji i twórców Traktatu Ryskiego, który był wyrazem porażki polityki Piłsudskiego i triumfem politycznym Grabskiego. Zdaje mi się jednak, że Piłsudski z tym się nie pogodził i że innymi metodami, operując kontaktem z państwami bałtyckimi i presją wywieraną na Litwę, presją, której narzędziem jest afera Żeligowskiego, usiłuje inaczej zbudować stosunek Polski do Rosji, niż go zbudował Grabski z Dąbskiem przez Traktat Ryski.
Ale co też jest ciekawe – to to, że mam wrażenie, iż ta sama myśl o zbliżeniu i sojuszu przez podział Białorusi między uczestnikami podziału kiełkuje i u prawicy litewskiej – w grupie Smetony i Voldemarasa. Zdaje mi się, że chcieliby oni być dopuszczeni do uczestniczenia w podziale łupu białoruskiego w cząstce stosownie do swoich drobniejszych rozmiarów i że za tę cenę chętnie, ofiarowaliby przyjaźń Polsce i Rosji, wierząc, że taka przyjaźń będzie mocniejsza i „zdrowsza" od głupich rokowań brukselskich, będących wyrazem polityki Piłsudskiego, którym są oni przeciwni tak samo, jak całej polityce Piłsudskiego. Jest dużo oznak, że takimi są tęsknoty prawicy litewskiej.

13 sierpnia, rok 1921, sobota
Wczoraj – dzień ciepły, po obiedzie – parny, z dymami ścielącymi się nisko, ze słodkawą wonią roztopionej smoły, zmieszaną z gorzkawym zapachem spaleniska, prawdopodobnie z pożarów leśnych dokoła, których tego lata jest niezwykle dużo. Wieczorem pioruny bliskie, wicher, uderzający jakimiś nagłymi rzutami, huk i ryk żywiołów w powietrzu, krótkie deszcze, spadające falami. Dziś rano – pogoda, powietrze czyste, a od południa znów ciepło parne jak w łaźni, znów wonie dymów z pogorzelisk smolastych, potem wiatr suchy. Na noc chyba znowu będzie burza. Chciałbym, żeby takie powietrze utrzymało się jeszcze przez dni kilka, abym w mojej podróży w Kłajpedzie miał burzę na morzu, raczej na Zatoce Kurońskiej i widok fal i gniewu natury.
Odbyło się dziś posiedzenie Trybunału. Było to pierwsze posiedzenie kompletu Trybunału bez wypożyczonego członka Sądu Okręgowego. Pierwsze, odkąd Trybunał istnieje. Dotychczas bowiem Trybunał składał się tylko z prezesa i jednego członka (Janulaitisa), toteż zawsze trzeba było do kompletu posiedzeń dopożyczać sędziego z Sądu Okręgowego. Była to wada, ujemna w instancji sądowej najwyższej, bo wyroki Trybunału były zależne od przygodnego języczka u wagi, jakim był dopożyczony sędzia z instancji niższej. Dopiero moja nominacja utworzyła stały komplet Trybunału, co z pewnością wpłynie dodatkowo na wyrobienie jednolitej i ciągłej praktyki tej najwyższej w kraju instancji sądowej, która powołana jest do regulowania całej działalności organów sądowych, do nadania sądownictwu kierunku i przeto do ustalenia praworządności w państwie. Nadanie Trybunałowi funkcji kasacyjnych względem spraw płynących z sądów pokoju i stanowiących główną masę rozpoznawanych spraw

wpłynie na ujednostajnienie stosowania ustaw i na konsolidację praworządności, co czyni jeszcze potrzebniejszym stałość kompletu Trybunału.
Na wokandzie były dziś sprawy apelacyjne, których większość, jak zawsze, pochodziła z Sądu Armii, to znaczy należała do kategorii przykrych spraw politycznych. Były to wszystko sprawy „polskie". Przeszły one lepiej, niż ubiegłym razem. Na ogół były cztery sprawy polityczne „polskie". W dwóch wina oskarżonych była wyraźna i same sprawy nie przedstawiały żadnych elementów, budzących szczególną sympatię dla czynu oskarżonych. Ale w dwóch innych oskarżenie operowało materiałem, który nie zawierał, moim zdaniem, żadnych cech przestępstwa karalnego z kodeksu karnego. W jednej oskarżony był starzec, którego „wina" rzekomej „agitacji" występnej w wojsku polegała na tym, że przyszedł on w miasteczku Janowie do szewca dla reperacji butów i skarżył się na władze i samowolę żołnierzy, narzekając na nieustającą wojnę, którą uważał za zbyteczną i ubolewając nad przelewem krwi w bratobójczym zatargu litewsko-polskim; wypadek zdarzył, że za ścianą mieszkali żołnierze, którzy usłyszawszy rozmowę, weszli i wdali się ze starcem w dyskusję na temat, czy potrzebna jest wojna z Polakami i czy Litwini mogą zwyciężyć; w toku dyskusji żołnierze, pałający patriotyzmem litewskim, zaaresztowali swego interlokutora i zaprowadzili go do milicji, gdzie spisany został protokół. Z tego powstała sprawa i Sąd Armii skazał staruszka Górskiego na 6 lat ciężkiego więzienia za „agitację", mimo że nie było ani intencji agitowania, ani cech przedmiotowych agitacji, jeno dyskusja przygodna, wywołana przez samych żołnierzy; starzec nie agitował, jeno wyrażał swoją opinię. W drugiej sprawie chodziło o młodego człowieka, Kasperowicza, który w r. 1919, popełniwszy jakąś drobną kradzież, uciekł za linę demarkacyjną na stronę polską, wstąpił tam do wojska polskiego, był przez kilka miesięcy na wojnie na froncie kijowskim i widocznie sprzykrzył sobie taki zawód, a może spodziewał się, że tu zapomniano już o jego kradzieży, a może i tam coś przeskrobał, słowem – w maju roku zeszłego porzucił wojsko polskie i wrócił do kraju; gdy się wykryło, że był w wojsku polskim, wytoczono mu sprawę z art. 109 k.k. i Sąd Armii skazał go na 6 lat ciężkiego więzienia. Choć ze względu na faktyczny stan wojny między Litwą a Polską służba w wojsku polskim od r. 1919 jest uważana za służbę w armii nieprzyjacielskiej i przeto może być kwalifikowana z art. 109 k.k., ale w tymże artykule wystąpienie z armii nieprzyjacielskiej jest uznane za element kasujący przestępstwo, a Kasperowicz służbę w wojsku porzucił. W obydwóch tych sprawach, gdym je czytał, gotując się do referowania ich na posiedzeniu dzisiejszym, byłem zdecydowany domagać się uniewinnienia oskarżonych, a nawet, gdyby Trybunał miał zatwierdzić wyroki Sądu Armii, zgłosić *votum separatum*. Ale Trybunał w obydwóch sprawach podzielił moje zdanie i uniewinnił oskarżonych, co mi sprawiło – zwłaszcza w sprawie staruszka Górskiego – wielką satysfakcję. Była też jedna sprawa apelacyjna z Sądu Okręgowego w Mariampolu, ciekawa ze względu na osobę oskarżonego Romanowskiego, głośnego awanturnika i atlety (pyszny typ człowieka pełnego po brzegi temperamentu i zuchwałości), jednego z tych kondotierów, który bawi się życiem, jest artystą czynu nawet w przestępstwie i sportowo z werwą dokonywa aktów przemocy, gwałcenia dziewcząt, panowania swej indywidualności nad owcami stada ludzkiego.
W chwili, gdy kończę pisać, w powietrzu słychać już charakterystyczny huk, z którego wyrośnie za chwilę ryk burzy.

14 sierpnia, rok 1921, niedziela
Stosownie do obietnicy, odwiedziłem dziś moją dawną koleżankę pannę Marię Micewiczówną w Romajniach pod Kownem. Z panną Micewiczówną, moją koleżanką z Paryża, łączą mię stosunki przyjazne od wielu lat. Ponieważ mieszka ona na Litwie, a

jest samotna i jeździ dużo, więc spotykałem się z nią zawsze często – to w Wilnie, to w Warszawie, a raz już – w r. 1906 na wiosnę za czasów mojej „Gazety Wileńskiej”[588] – byłem w Romajniach u niej. I teraz widuję się z nią dość często w Kownie, zawsze z wielką przyjemnością, bo jest osobą wykształconą, rozumną, miłą, nie mającą w sobie nic babskiego. Poza tym, mam dla niej sympatię jako dla koleżanki, z którą mię łączy szereg wspomnień paryskich, koleżanki, jednej z najwybitniejszych i najciekawszych, jakie miałem. Nigdy zresztą, ani za czasów paryskich, ani później, nie było w stosunku moim z Micewiczówną żadnego śladu uczucia podobnego do miłości. Micewiczówna była zawsze osobą niepospolitą. Kochali się też w niej w swoim czasie koledzy w Paryżu na zabój. Nie wiem, czy choć jedna z koleżanek miała takie powodzenie, jak ona i umiała budzić takie miłości głębokie, choć sama była zimną, niezwykle dumną, nieprzeniknioną, umiejącą trzymać ludzi na wodzy i nie dopuszczającą do spoufalania się. Tym więcej się w niej kochano. Toczyły się o nią pojedynki, wybuchały dramaty między jej kochankami. Dziwna była i zagadkowa dziewczyna. Kobiet nie znosiła, od koleżanek trzymała się z daleka i była przez nie, zdaje się, szczerze nie lubiana, choć imponowała im zawsze. Na ogół dumna była, pogardliwa, pełna ironii i zimna. Blondynką była, nie miała ognia temperamentu, ale miała w sobie siłę i indywidualność kobiet typu skandynawskiego lub łotewskiego. Dla mężczyzn umiała być lodowatą, ale lód ten podniecał żar ich uczucia. Nie zdobywała ich nigdy, była obojętną, ale dawała się kochać i ulegała w jakiś sposób bierny indywidualnościom męskim psychicznie silnym, które w miłości umiały ją jednocześnie maltretować. Ta jej indywidualność i sztywność dumna dziwnie kolidowała w skojarzeniu z biernością wobec tych, co ją kochali i zapanowywali nad nią. Do tych ostatnich należał czas jakiś Leon Alter i zwłaszcza mój przyjaciel Stach Gierszyński, którego była narzeczoną. Nie wyszła za mąż i pozostała panną, dziś już mającą lat około 40, a więc starą, mimo że się dobrze zachowała; jest staranna o siebie, ma wciąż figurę zgrabną i śliczne nogi. Wyrażam się o niej w trybie przeszłym, bo bądź co bądź jest już starą panną, a więc jako taka należy do przeszłości. Strasznie jest obecnie samotna w swoich Romajniach pod Kownem, ale też ciągle wyrusza w świat – na długie wycieczki i pobyty w Polsce. Stała się gwałtowną litwinofobką i pozostając teoretycznie wolnomyślną i radykalną, jest w kwestiach polityczno-narodowych omalże nie endeczką. Micewiczówna, co jest rzeczą rzadką, jest patentowanym doktorem filozofii, uczennicą prof. Askenazego z Uniwersytetu Lwowskiego.

Do Romajń udałem się rano piechotą – 5 wiorst od Kowna w dół Niemna; z powrotem Micewiczówna dała mi konia. Dowiedziałem się od p. Micewiczówny o wypadku, który ma bliską styczność z moją siostrą Maryńką Römerową i który będzie dla niej ciosem bardzo bolesnym, gdy się o nim dowie. Maryni narzeczony – major Tatar-Trześniowski około miesiąca temu odebrał sobie życie[589]. Samobójstwo to było bardzo głośne w Polsce. Micewiczówna przed 10 dniami wróciła z Polski i sprawę tę zna dobrze.

Major Trześniowski wystrzałem z rewolweru położył trupem pułkownika (nie pamiętam nazwiska), który wydał o nim opinię ujemną, na której skutek Trześniowskiemu odmówiono stanowiska, o które się starał, i bezpośrednio po tym sam się życia pozbawił wystrzałem. Ponieważ major Trześniowski położył duże zasługi w obronie Lwowa, organizując tę obronę przeciwko Ukraińcom w roku 1918 czy 1919 i był przeto bardzo popularny we Lwowie, a poza tym samobójstwo jego było przyjęte za akt protestu przeciwko krzywdzie, którą mu wyrządzono, więc pogrzeb jego we

588 „Gazeta Wileńska” – demokratyczny, propagujący zasady krajowe dziennik wydawany i redagowany przez Michała Römera w Wilnie w 1906 r.
589 Samobójstwo majora Zdzisława Tatara-Trześniowskiego. Do wyjaśnienia w oparciu o prasę.

Lwowie odbył się niezmiernie uroczyście i manifestacyjnie. Samobójstwo to wywołało interpelację i debaty w Sejmie warszawskim, w których toku minister wojny Sosnkowski miał się o Trześniowskim ujemnie odzywać, co Micewiczówna cytowała mi jako rzecz zarzucaną poważnie Sosnkowskiemu. Biedna będzie Maryńka, gdy się dowie o tragicznej śmierci majora, o którego miłości i małżeństwie tyle rojeń serdecznych marzyła. Marzenie to było najsłodszą nadzieją jej życia schyłkowego, było mistycznym kwiatem wyśnionego szczęścia, który opromieniał jej wysiłki, pracę i samotność. Biedna Maryńka! Żal mi jej z całego serca. Będzie to cios dla niej bolesny, który zgruchocze jej spokój, bo gdzież jej marzyć o nowym swataniu małżeństwa w tym wieku i w tym głuchym osamotnieniu bohdaniskim. Chyba modlitwa da jej osłodę. Słychać, że mąż prawy Maryńki, Witold Römer, znalazł się w Warszawie, więc tym trudniej marzyć o nowym małżeństwie. Z majorem można było się nie liczyć z tą przeszkodą, ale gdzie nadzieja znalezienia nowego aspiranta Maryńce.

15 sierpnia, rok 1921, poniedziałek
Jutro wyruszam na wycieczkę do Kłajpedy. Postanowiłem jechać w jedną stronę statkiem po Niemnie, ale z powrotem koleją. Ale jak się dziś dowiedziałem na przystani, parostatki regularnie dochodzą tylko do Jurborka. Regularnego połączenia parostatkiem między Jurborkiem a Smolenikami, położonymi już w okręgu Kłajpedy, skąd statki odchodzą na Tylżę i Kłajpedę – nie ma. Z Jurborka statek idzie do Smolenik tylko o tyle, o ile się zbierze większa ilość podróżnych lub towarów. Zapewne więc w Jurborku wypadnie ugrząźć. Wobec tego postanowiłem wybrać się na tę wycieczkę bez żadnych rzeczy, oprócz palta i maluśkiej walizeczki ręcznej w rodzaju sakwojażu, tak aby móc w razie potrzeby przejść dystans kilkuwiorstowy przez granicę z Jurborka do Smoleników – pieszo. Ze Smolenik pojadę dalej statkiem, a gdyby go nie było – koleją. Ale z tego powodu wypadnie mi prawdopodobnie wrócić z Kłajpedy do Kowna po rzeczy, które chcę zabrać do Bohdaniszek, co jeszcze bardziej skróci moją wycieczkę, bo na 22 b.m. muszę już być w Kowaliszkach. Będzie to więc wycieczka błyskawiczna. Wspomniałem w początku lipca w dzienniku o artykule p.t. „Ciężki błąd”, który napisałem z powodu memoriału Frakcji Poselskiej Polskiej do Ligi Narodów. Artykuł był drukowany w „Litwie”, oczywiście z zastrzeżeniami redakcji w dopisku, towarzyszącym zwykle moim artykułom. Z „Litwy” został on przez Michała Biržiškę przedrukowany w wileńskim „Dzwonie Litwy”. Otóż wileński organ Straży Kresowej – „Gazeta Wileńska”[590] – odezwała się na ten artykuł w ten sposób, że wyraża powątpiewanie, azali istotnie wyszedł on spod pióra Polaka, którzyby się mógł odważyć potępić krok posłów polskich w Sejmie Litewskim. Mój artykuł w „Litwie” był podpisany: „Polak litewski”. „Gazeta Wileńska” wzywa tego Polaka do ujawnienia się i wykazania odwagi przekonań, które obiecuje „uszanować”, w przeciwnym zaś razie zapowiada, że będzie uważała ten artykuł za sfabrykowany w redakcji „Litwy” przez Litwinów. Po przeczytaniu tego wezwania postanowiłem ujawnić autorstwo tego artykułu w postaci listu bezpośrednio do redakcji „Gazety Wileńskiej”, zastrzegając tylko jedno: aby redakcja, ujawniając moje nazwisko, przedrukowała też *in extenso* mój artykuł. Chętnie biorę odpowiedzialność za to, co sam napisałem i co wyraża mój pogląd, ale nie chcę odpowiadać za to, co się spodoba jakiemuś publicyście preparować z mojego artykułu w ferworze polemicznym. List ten do redakcji napisałem i wysłałem go przez ręce Michała Biržiški. Artykuł mój wyraża dokładnie moje stanowisko, którego kryć nie mam powodu. Tu jednak w Kownie nie chcę się ujawniać dla dwóch

[590] Dziennik ukazujący się w latach 1920-1922 (?). Założony jesienią 1920 r. przez działaczy Straży Kresowej, w pierwszych miesiącach istnienia redagowany przez Tadeusza Katelbacha i Feliksa Chrzanowskiego.

względów: dlatego, że jestem sędzią w Trybunale i nie uważam za właściwe dla sędziego najwyższej instancji brać udział w walce politycznej i dlatego, że ponieważ stanowisko moje, acz niezupełnie, pokrywa się w tej sprawie ze stanowiskiem Litwinów, którzy są tu wobec posłów polskich stroną silniejszą, więc nie chcę się narazić na zarzut, że ponieważ zajmuję wysoką posadę w państwie litewskim, przeto chcę się ostentacyjnym patriotyzmem państwowym wysługiwać Litwinom, choć moje przekonania są znane i datują się nie od dziś, przeto powinny mię gwarantować od tego rodzaju zarzutów, jednak złość ludzka w walce politycznej nie zwykła się cofać przed insynuacją.
Jednocześnie posłałem Biržišce dla „Dzwonu Litwy" artykuł p.t. „Dwie zasady", w którym charakteryzuję obecny konflikt litewsko-polski jako walkę dwóch zasad: zasady kresowej, traktującej Litwę i Białoruś po dawnemu jako teren przejściowy między Polską a Rosją, jako jabłko niezgody dwóch potężnych rywali i element historycznego sporu polsko-rosyjskiego, i zasady „osobowej", która dąży do uczynienia z Litwy (i Białej Rusi) samodzielnego czynnika, posiadającego własną osobowość indywidualną w kształtowaniu się stosunków Wschodu Europejskiego. Walka może być skończona tylko zwycięstwem jednej z dwóch zasad. Zwycięży zasada osobowa – w to osobiście nie wątpię. Po jej zwycięstwie wszakże, nie wątpię, że przeszkody do solidaryzmu litewsko-polskiego znikną i że natomiast uwydatnią się i dojdą do głosu te względy, które prowadzą do zbliżenia i kooperacji dziejowej tych krajów.

16 sierpnia, rok 1921, wtorek
Wstałem raniutko o godz. 5 i udałem się na statek, który odchodzi z Kowna o godz. 6 rano. Trafiłem na mały stateczek pod nazwą „Gediminas", który też odszedł regularnie o wyznaczonej godzinie. Droga Niemnem do Jurborka już mi znajoma z lipcowej wycieczki. Na statku zapoznałem się z rodziną żydowską, złożoną z matki, dwóch córek podlotków i trojga mniejszych dzieci, wracających z Rosji, aż het z Rostowa nad Donem. Niesłychane wprost rzeczy opowiadali oni o Rosji, o anarchii stosunków tamtejszych, o nędzy jednych i orgii używania innych, o obyczajach, jakie się tam zrodziły, o chorobach, o rządach wyrostków obojga płci, posiadających faktycznie władzę na prowincji, itd., itd.; są to wprost dziwolągi, którym trudno uwierzyć, gdy się tam nie żyło; gdy się słucha opowiadania – zdaje się, że to jakiś sen. A co za straszne męczarnie znoszą nieszczęśni reemigranci przez długie tygodnie podróży repatriacyjnej, uwieńczonej czyśćcem kwarantanny w Abelach. Patrząc na tę rodzinę wierzy się słowom matki, że tam w Rosji w stosunkach piekła bolszewickiego młodzież starzeje. Rzeczywiście te podlotki dziewczęce, nawet przystojne i miłe, wynędzniałe, doświadczone przedwcześnie, wyglądają na staruszki w młodym ciele; nie znać w nich ciekawości życia młodego ani zalotności, ani upodobania do ruchu, wrażeń i ozdoby. Wzruszający był widok, kiedy statek podchodził do przystani w Borku, dokąd jechała ta rodzina reemigrantów – do starej babki, do kolebki matki rodziny: płakała ona dojeżdżając na miejsce, a potem, gdy się spotkała ze swą staruszką matką, która wyszła na spotkanie, nastąpiła scena łez i milczenia; o czym mają mówić rozbitki, wracający do starego gniazda z dalekich stron, gdzie się im fortuna śmiała i skąd to gniazdo wydawało się jeszcze niedawno takim nędznym i godnym politowania. Dziś wierne, stare gniazdo w głębokim zakątku Żmudzi otwiera im ramiona i daje schronienie spokoju i dobrobytu; o czym tu mówić przy powitaniu!
W Jurborku powiodło mi się. Byłem przygotowany na to, że w braku parostatku do Smolnik udam się tam piechotą. Tymczasem znalazło się kilku podróżnych do Smolnik i oprócz tego wiadomość o towarze do przywiezienia ze Smolnik do Jurborka. Kapitan wobec tego zdecydował się dojechać do Smolnik za opłatą po 2 mk. od osoby. W ten

sposób przekroczyłem granicę na parostatku i jestem w Smolnikach w okręgu Kłajpedy, gdzie jednak ugrzęzłem. Okazało się, że statkiem jechać dalej nie mogę, bo statki idą tylko do Tylży, a dopiero stamtąd inne idą do Kłajpedy. Ponieważ Tylża pozostała w granicach Prus, więc żeby zajechać statkiem na Tylżę, trzeba mieć wizę niemiecką, której nie mam. Pojadę więc dalej pociągiem, ale pociąg ze Smolnik odchodzi dopiero jutro rano. Stanąłem w hotelu „Memel” nad kanałem, służącym za przystań dla statków i ludzi. Smolniki – bliziutko od granicy litewskiej, a naprzeciwko – za Niemnem – Prusy. Miasteczko czy raczej duża wieś kościelna, jaką są Smolniki, czyste, porządnie zbudowane i utrzymane. Większość domów – murowana, z cegły lub plitek sztucznego kamienia; domy drewniane kryte dachówką czerwoną – też bardzo porządne. Sporo hotelików, zajazdów, restauracji, nie brak i magazynów; drogi porządne, drzewa, ogrody, warzywa, w oknach domów kwiaty. Przy domach rolników duże podwórka gospodarskie, dające im wygląd porządnych i ścisłych form. Wszędzie ład, kultura i zwłaszcza – co cieszy oko – praca i organizacja. Interesował mię narodowy charakter miejscowości. Właściciel hotelu, w którym zamieszkałem, młody Niemiec, zapewniał mię, że Litwini w całym okręgu Kłajpedy – a więc i w Smolnikach – stanowią zaledwie 10% (?!) ludności. Przekonałem się od razu, że to nieprawda. Dość mi było przejść się, wstąpić do kilku sklepów, podsłuchać tętno życia. Rzeczywiście ludność jest bardzo zgermanizowana i najchętniej i najpospoliciej używa języka niemieckiego. Ale słyszałem zwracających się i po litewsku, a co najcharakterystyczniejsze, że wszyscy, nawet rozmawiający po niemiecku, umieją, a przynajmniej rozumieją po litewsku. Jest to więc jeszcze język lokalny, język nie tyle odrębnej mniejszości, co całego podłoża. Wprawdzie uwydatnia się jaskrawie forsowny proces germanizacji, dokonywujący się spontanicznie, ale jeszcze czas na odzyskanie przez cały kraj swego naturalnego oblicza litewskiego. Niech tylko okręg Kłajpedy połączy się z Litwą państwowo – a litewskość tego kraju odchwyci się bardzo szybko. Ale jeszcze kilka pokoleń w tej atmosferze germanizowania się – a litewskość już by tu zginęła, jak zginęła stąd na zachód – po Insterberg i Królewiec. Najwyższy czas na ratowanie ginącej narodowości, która się już dusi w fali zalewu niemieckiego.
Na szyldach sklepów nazwiska po większej części litewskie, jak „Wittkat”, „Paliokat”, „Petschulat”; te końcówki „at” są charakterystyczną przeróbką niemiecką litewskiej końcówki „aitis” (z uwzględnieniem przemiany dźwięku „ai” w narzeczu żmudzkim i prusko-litewskim na długie „ā”, a więc „aitis” = „ātis”): Vitkaitis (Vitkātis), Paliokaitis (Paliokātis), Pečulaitis (Pečulātis). Szyldów z napisami litewskim widziałem zaledwie parę, oczywiście obok tekstu niemieckiego.

17 sierpnia, rok 1921, środa
Przejechałem dziś wzdłuż cały okręg Kłajpedy czyli całą tzw. „Litwę Małą” – od Smolnik do Kłajpedy. A ponieważ kraik ten, oderwany od Niemiec, stanowi wąziutki, długi pasek między Niemcami a dawną granicą rosyjską, więc długość ta wyczerpuje cały kraik, bo w szerokość nie ma go co liczyć; zdaje się, że szerokość nie przekracza nigdzie 3 mil. Ze Smolnik wyjechałem raniutko przed godz. 5. Do stacji Pagegen, która stanowi obecnie stolicę jednego z trzech powiatów okręgu Kłajpedy, jedzie się ze Smolnik kolejką wąskotorową. W wagonie wśród publiczności – język wyłącznie niemiecki. Nie zgadłbyś, że to kraj o podłożu litewskim. Dopiero w połowie drogi do Pagegen zaczyna się odzywać gdzieniegdzie wśród przybywających podróżnych język litewski, ale bardzo nieśmiało, jakby wstydliwie, rzekłbyś ukradkiem, tonąc wnet w niemieckim. Stosunek języka niemieckiego do litewskiego jest stosunkiem panującego do najniższego sługi. Język litewski jest tu, w swym kraju rodzinnym – sponiewieranym Kopciuszkiem, który się chowa w cieniu i nie może się manifestować głośno w

poczuciu równej wartości i równego prawa z niemieckim. Głośno rozlega się tylko najczystsza mowa niemiecka, po litewsku wymykają się tylko krótkie pozdrowienia, kilka słów wyrwanych i na tym koniec: dalej już ci sami Litwini mówią po niemiecku; jeżeli rozmawiają po litewsku, to tylko głosem przyciszonym, prawie że szeptem. Niektórzy zresztą tak mówią po litewsku, że oprócz pojedynczych słów nie mogę języka zrozumieć: słowa są litewskie, ale dźwięki wymowy niemieckie. W Pagegen dostajemy się na wielką magistralę kolejową, idącą tędy z Wystrucia (Įsrutė = Insterburg) przez Tylżę do Kłajpedy. Przesiadamy się więc. Jadę klasą III, ale ponieważ jest i IV, więc plebsu nie widzę, bo ten oczywiście mieści się w klasie IV. W klasie III jadą już tylko ci, co się noszą z miejska i pozują na „inteligencję": tu już więc panuje wyłącznie niemczyzna, a właściwie milczenie, bo w wagonie moim jadą sami młodzi Niemcy, sztywni, flegmatyczni, jakby połknęli kij i nabrali wody do ust w dodatku. Wolałbym stokrotnie żywy plebs ludowy z klasy IV, ciekawy do obserwacji. O godz. 10 jesteśmy w Kłajpedzie. Maszeruję z dworca w głąb miasta, idę, idę bez końca i nigdzie hotelu. W ogóle nie przypominam sobie miasta, w którym widziałbym tak rzadko hotele, restauracje i kawiarnie, jak w Kłajpedzie. Wreszcie znajduję pokój za 18 mk. dziennie w hoteliku „Sachsische König", utrzymywanym przez jakąś wdowę w jednej z bocznych uliczek, ale w samym śródmieściu koło placu rynkowego i portu. Rozglądam się ciekawie w Kłajpedzie, chodzę, włóczę się, jem obiad, wstępuję do sklepów, melduję się, znajduję ładną i doskonałą cukiernię z kelnerem Mulatem. Kłajpeda przypomina jakby Libawę; jest ładnym i stylowym bałtyckim miastem portowym. Kanały z wodą o poziomie prawie równym poziomowi ulic, wielkie składy, faktorie, spichlerze olbrzymie na towary; w kanałach statki różnego rodzaju, choć niezbyt duże; zdaje się, że ruch portowy jest niewielki. Kłajpeda, oderwana od Niemiec i nie połączona z Litwą, nie odchwyciła się po wojnie; składy i spichrze zapewne próżne przeważnie. Ulice, jak w Libawie; im bliżej portu, tym charakterystyczniejsze przeciwstawienie jednej arterii ruchu głównej wzdłuż linii tramwajowych, ożywionej przechodniami sklepami – i całych kwartałów tuż obok, głuchych, pokrzyżowanych ulicami bez ruchu, zabudowanymi wysokimi domami, jakby wymarłych. Kamienice przeważnie duże, poważne, staroświeckie, tchnące tradycją mieszczańską i okna w dużych murach rzadkie, przeważnie niewielkie, czasem zupełnie małe. Wszędzie kamień; bruk na głównych magistralach w kostki, chodniki z kamienia, domy kamienne. Miasto ciche i pracowite, skupione dokoła portu lub zaszyte po mieszczańsku w kamienicach w głębi głuchych ulic bocznych. Wieczorem na ulicach, nawet głównych, nie ma ani śladu tłumów spacerujących. Za to tłumy na parostatku kursującym między Kłajpedą a tzw. Sandkrug, miejscowością naprzeciwko na Mierzei Kurońskiej. Magazyny o godz. 6 wieczorem już zamknięte. Ludność, o ile nie wyjechała statkiem do Sandkrug, siedzi po domach. Po pustych arteriach głównych ulic od zmroku krążą tylko samotne ćmy nocne – prostytutki, przeważnie dziewczynki młode i ładne, oraz nieliczni lowelasi, wyrostki i nieokreślone indywidua o podejrzanym wyglądzie sutenerów. Późnym wieczorem głosy zabaw i śmiechów dziewcząt i wesołych młodzieńców. W cichym i pustym mieście kamiennym każdy dźwięk głosu ludzkiego lub kroków wywołuje echo donośne. Dziś był widocznie dzień targowy i wielkie hale targowe były pełne ryb i warzywa, cała jedna ulica z głównych była zastawiona wzdłuż chodnika koszami z warzywami, owocami, ptactwem, jajami, nabiałem, sprzedawanymi przez wieśniaczki. Na targu dominuje język litewski. W ogóle też w mieście przeważnie się rozmówić po litewsku można, a element wieśniaczy jednolicie litewski. Nie wiem, czy te wieśniaczki Litwinki, których pełne było miasto w godzinach przedobiednich i nawet przez czas jakiś poobiednich, są z ludności rybackiej, czy też także chłopskiej rolniczej; sądzę, że i jednej, i drugiej. Kobiety Litwinki mają

wygląd bardzo charakterystyczny, wszystkie, niezależnie od wieku, ubierają się albo na czarno albo przynajmniej bardzo ciemno; chustki na głowach też przeważnie czarne, czasem – białe, ale nigdy jaskrawe kolorowe. Nie wiem – może w święta są używane chustki kolorowe, ale dziś nie widziałem ani jednej; spódnice przeważnie szerokie, fałdowane albo marszczone. Dziewczęta młode podobne do Żmudzinek; noszą spódnice bardzo wysokie w stanie, co czyni stan bardzo krótkim, przypominając mody „*empire*"; nadaje to im bardzo wdzięczny wygląd i zresztą pasuje do figury Litwinek, które, jak zwłaszcza na Żmudzi i tutaj, są wysokie i długonogie, jak wysokimi i długonogimi są także mężczyźni. W miastach jednak prócz wynarodowionych Litwinów musi być i domieszka spora napływowej krwi niemieckiej – świadczy o tym liczny typ wybladłych blondynek Niemek (podczas gdy Litwinki wiejskie są przeważnie ciemne i wcale nieraz ładne (zwłaszcza czerwone usta).
Byłem po obiedzie w Sandkrug – ale o tym chyba jutro.

18 sierpnia, rok 1921, czwartek
Dziś miałem dzień rozkoszny. Dla tego jednego dnia warto było przyjechać i ponieść koszt tej wycieczki, która zresztą sama przez się jest zajmująca i dostarcza mi dużo wrażeń. Dzień mi upłynął tak: wstałem znowu raniutko i trzy kwadranse na szóstą dojechałem parostatkiem „Memel" do letniska „Juodkrantis" (po niemiecku „Schwarzort"). Parostatek ten kursuje stale pod czerwono-żółtą flagą Kłajpedy między Kłajpedą a Krantz (starolitewskie „Krantas") po Zalewie Kurońskim, stając po drodze w Juodkrantis, w Nidach i Rossite. Kłajpeda, jak wiadomo, leży nie nad morzem otwartym, ale nad tzw. Zalewem Kurońskim, do którego wpada Niemen i który oddzielony jest od Bałtyku tzw. Mierzeją Kurońską, długim i bardzo wąskim piaszczystym wałem lądu, który ciągnie się od Krantz pod Królewcem do Kłajpedy. Tu w pobliżu Kłajpedy mierzeja się kończy i między jej cyplem a lądem stałym Zalew Kuroński łączy się z Bałtykiem. Część wschodnia Mierzei Kurońskiej z miejscowościami Juodkrantis i Nidy (po litewsku Nidai, po niemiecku Niden) należy do oddzielonego od Niemiec okręgu Kłajpedy.
Zalew Kuroński, na którym w pobliżu jego wylotu w morze stoi Kłajpeda i po którym płynąłem do Juodkrantis, robi wrażenie bardzo dużego jeziora, a pod samą Kłajpedą zwęża się tak dalece, że przypomina szeroką rzekę w rodzaju Tamizy londyńskiej lub Newy petersburskiej; tylko ostry wiatr morski zwiastuje bliskie sąsiedztwo morza. Płynąc do Juodkrantis widać oba brzegi zalewu. Mierzeja, która naprzeciwko Kłajpedy w miejscowości Sandkrug jest pokryta lasem sosnowym, dalej za Sandkrug w kierunku Juodkrantis jest porosła karłowatą sosną, która nie rośnie w górę, lecz pełza po ziemi, często nie wyrastając nawet w krzak; wygląda to tak, jak żeby się widziało jakieś plantacje osobliwego krzewu sosnowego. Z ziemi wyrasta kilka gałązek sosnowych i na tym się sosna kończy; jest ona dojrzała, wydaje obficie smołę i rodzi szyszki, ale dla lotnego piasku morskiego i braku podglebia nie może wyrastać w drzewo. Dopiero w Juodkrantis na wybrzeżach formacji lodowcowej, pokrytych wąwozami i bardzo nierównej powierzchni, wyrasta piękny las sosnowy. Nieco dalej za Juodkrantis zaczynają się piaski lotne, na których nawet karłowate krzewy sosnowe nie rosną. Są to piaski wędrujące, straszne dla okolic sąsiednich, ruchome pod wpływem wiatru i posuwające się z zachodu na wschód wzdłuż mierzei. Zasypały już one dużo wsi rybackich i lasów, czasem z kościołami włącznie, usypując góry piaszczyste na zaludnionej poprzednio miejscowości. Władze niemieckie prowadziły systematyczną walkę z nimi, unieruchamiając piasek przez sztuczne plantacje bądź krzewu sosnowego, bądź jakiejś rośliny suchej, podobnej do trzciny, rosnącej jednak bardzo szybko. Sam Juodkrantis składa się z will na letniska, położonych wśród domów rybackich, pełnych

sieci, przyborów rybołówstwa i łodzi oraz zapachu smoły. Nieco dalej – wioska rybacka z kościółkiem ewangelickim. Ludność rybacka – rdzennie litewska z lekkim zabarwieniem łotewskim, zapewne przez imigrację rybaków Łotyszów. Juodkrantis położony w wąskiej dolinie wzdłuż Zatoki Kurońskiej, zamknięty wysokimi wzgórzami z lasem sosnowym. Uprawy zbóż nie ma tu żadnej, bo nawet nie ma gdzie, a zresztą i gleba nieodpowiednia; nawet ogrodowizny nie widziałem. Są tylko kartofle w ogrodach, jedyny plon rolnictwa rybaków.
Z Juodkrantis wszedłem w las na góry i wkrótce zza drzew zacząłem dostrzegać ciemny błękit wody, aż nagle z pewnego wzgórza ujrzałem przed sobą morze, pełny Bałtyk. Nie spodziewałem się, że mierzeja jest tak wąska. Byłem zachwycony i podniecony. Witałem morze radośnie, śpiewając mu hymn w duszy. Spieszyłem do niego jak dziewczyna do kochanka. Rzeczywiście miałem w stosunku do niego uczucie dziewczyny – bez przenośni bodaj. Chodziłem wzdłuż jego plaży piaszczysto-żwirowej, patrzałem, bawiłem się pieniącą falą, która z rykiem uderzała wściekle i długimi językami lizała plażę. Na pozór groźne i dzikie, jest morze w swym rytmie ruchu doskonale logiczne, ścisłe i karne. Jest ono w naturze tym, co kocham najbardziej. Mam w sobie instynkt wody, instynkt morza, które mi po chwili wpatrywania się w nie i obserwacji staje się zrozumiałe i proste w swej pozornej wściekłości. Nie miałem wpierw zamiaru się kąpać, ale potem zapragnąłem tej kąpieli namiętnie. Nie wiedziałem tylko, czy wolno, bo były jakieś tablice z napisami i zakazami, których dobrze zrozumieć nie mogłem. Zdjąłem więc tylko obuwie i brodziłem, ale postanowiłem powrócić do Juodkrantis, posilić się i spytać, czy wolno się kąpać swobodnie w dowolnym miejscu. Tak też zrobiłem. Wróciłem potem i po raz pierwszy w życiu wykąpałem się na plaży morskiej (raz jeden tylko kąpałem się w morzu – w Korfu – ale tam plaży nie ma). Kąpiel na plaży jest kąpielą w fali. Nie ja się kąpię, lecz morze mię falą kąpie. Fala mię ścięła i przewalała się z rykiem i pianą nade mną. Wkrótce poszedłem w głąb, szedłem na spotkanie wałów pędzącej fali i skakałem z nimi albo znów szedłem w długie, płaskie miejsca do pieniących się fal. Byłem zwinny i młody jak chłopczyk. Ta kąpiel była dla mnie rozkoszą, dawała fizyczne uczucie radości, była chwilą bezpośredniego życia. Kąpałem się w miejscu odludnym, sam na pustej plaży. Za to potem uczułem zmęczenie, ale niezmiernie przyjemne. O godz. 4 byłem z powrotem w Kłajpedzie i jeszcze raz pod wieczór pojechałem stateczkiem do Sandkrug, gdzie znów się przeszedłem w poprzek mierzei nad morze, ale tu już było ludno – kąpiele publiczne na plaży.
W Sandkrug jest urządzony dom gry – ruleta – niby na wzór Monte Carlo. Nie zachodziłem do niej, a zresztą nie wpuszczono by mię chyba, bo sądzę, że wstęp mają tylko członkowie, opłacający, o ile wiem, bardzo wysoką składkę.

19 sierpnia, rok 1921, piątek
Zły jestem na siebie, bo zmarnowałem dziś dzień – straciłem morze. Nie wstałem rano, licząc, że wyjadę do Juodkrantis statkiem popołudniowym. Powiedziano mi na przystani, że statek tylżycki, stający po drodze w Juodkrantis, odchodzi o godz. 3 po południu. Wybrałem się zawczasu i zaraz po godz. 2 byłem już na przystani, gdy przed samym moim nosem statek odpłynął. Co za złość! Pogoda śliczna, na morzu ostry wiatr, morze musi być śliczne dzisiaj. Pojadę jutro raniutko – na pożegnanie. W Sandkrug nie lubię się kąpać, bo kąpiel publiczna pozbawia mię 9/10 przyjemności. Siedzieć przez dzień cały w Kłajpedzie – to dość nudno. Spróbuję być w kinematografie i wieczorem w kabarecie, ale to paliatywy zabicia czasu. Sam kinematograf i kabaret nie nęcą mię, chyba żeby mi się trafiła jakaś przygoda romantyczna, bo nęcą mię kobiety. Ale dla 40-letniego mężczyzny przygody romantyczne nie nadarzają się tak

łatwo. Na to trzeba być młodszym. Co najwyżej może się nadarzyć jakaś pospolita dziewczynka uliczna. Na ogół młode kobiety są tu dość łatwe, jak się zdaje z obserwacji powierzchownej; stosunki są dość proste i znajomości między osobami różnych płci zawierają się szybko, ale młode dziewczątka, których pełno na ulicach, w kawiarniach i restauracjach, jeżeli nawet należą do tzw. „puszczających się", to robią to nie tyle zawodowo, ile swawolnie, szukając nie tyle samego zarobku, ile również przygód i rozrywki. Dlatego też młodość jest najkapitalniejszym warunkiem tych przygód. Spostrzegłem, na czym zasadza się osobliwość tych uliczek głuchych w kwartale między kanałem portowym a ulicą Bankową, to znaczy tej dzielnicy, w której mieszkam; domy stoją tu rzędami, jak skrzynie kamienne i nie mają wcale dziedzińców – z jednej strony ulica i z drugiej też ulica.
Śliczna jest Kłajpeda – czysta, pracowita, doskonale usytuowana nad morzem, zorganizowana, mająca wszelkie warunki rozwoju. Jakże piękną byłaby Litwa z Kłajpedą, Wilnem i ze swoim Bałtykiem, łącząca pierwiastek Zachodu z pierwiastkiem Wschodu, pełna kolorytu i barw indywidualnych w mozaice różnorodnych czynników kultury. Taka Litwa byłaby krajem niezrównanie ciekawym i pełnym wyrazu. Trzeba tylko wytworzyć koncepcję Wielkiej Litwy, w której wszystkie te czynniki kultury – niemieckiej, polskiej, ruskiej – znalazłyby swój wyraz i warunki działania, bez sztucznego poddania ich unifikacji litwinizacyjnej. Czynnik litewski w ośrodku byłby kamieniem węgielnym i cementem państwa i stałby się zapewne formą wspólną, w której by się zlewało działanie wszystkich czynników poszczególnych. Sądzę, że czynnik ludowy litewski tak się już skonsolidował i wzmocnił, że nie miałby powodu obawiać się wynarodowienia. Koncepcja Wielkiej Litwy od Kłajpedy do Nowogródka z zachowaniem indywidualności czynników kulturalnych i narodowych wytworzyłaby barwny styl kultury państwowej litewskiej, jedynej w swoim rodzaju, na który składały by się wszystkie czynniki powyższe, z czynnikiem litewskim jako ludowym w ośrodku. Ale prawdą jest, że jedynym państwowotwórczym czynnikiem takiej lub innej Litwy są Litwini. To pociąga za sobą niewątpliwie konsekwencje doniosłe, bo Litwini wiedzą aż nadto dobrze, że państwo na nich się tylko oprzeć może, a przeto w budowie państwowej boją się zakładać w fundamentach cegły elementów nielitewskich, aby gmach nie runął. Ostrożność Litwinów i ich obawy pod tym względem są zrozumiałe, ale ich rola budowniczych państwowych nakłada na nich dużą odpowiedzialność, aby umiejętnie tę Litwę zbudowali, tak, aby wszystkie cegły kultury i indywidualności były do tej budowli zużytkowane, jeżeli nie w fundamencie samym, to w licznych piętrach, ubikacjach, krużgankach i ozdobach gmachu. Trzeba z Litwy stworzyć harmonię – dzieło sztuki, które ma wszystkie elementy dla piękna. Kultura niemiecka, silna i organizacyjnie rozkwitła w dzielnicy Kłajpedy, może się stać znakomitym pierwiastkiem w tym państwie, jak skądinąd duże wartości dać może na innym krańcu państwa kultura polska i nawet pierwiastek etniczny białoruski. Niemcy kłajpedzcy są jednak zdecydowanie niechętni państwowości litewskiej i domagają się „niepodległości" Kłajpedy, mającej stanowić rezerwę dla łatwiejszego w zmienionych kiedyś warunkach politycznych, powrotu do Niemiec. Trudno dziś Litwinom powoływać ich do wspólnej pracy budownictwa w samym tworzeniu państwa. U Polaków litewskich przechował się wprawdzie gdzie niegdzie instynkt Wielkiej Litwy, ale ci, którzy go mają, będąc jednocześnie Polakami i wierząc w swą gwiazdę Polskę, chcieliby Litwę realizować przez Polskę. Jest to nieporozumienie, czyniące błędne koło, bo nigdy Litwa przez Polskę zbudowana być nie może, jak w ogóle żadna niepodległość nie może być wytworzona rękami cudzymi. Polska może budować tylko Polskę, jak Mickiewicz mógł być autorem tylko własnej poezji, ale nigdy nie stworzyłby poezji Słowackiego i odwrotnie.

Słówko jeszcze o Kłajpedzie. Jest to kraj, w którym nie widać żołnierzy i w którym cała młodzież jest cywilna. Tak się od czasu wojny przywykło widzieć na każdym kroku wojsko i żołnierzy, że taka jednolitość cywilna rzuca się w oczy jak osobliwość. Jest tu tylko mała garstka okupacyjnego wojska francuskiego – malowniczy strzelcy alpejscy.

20 sierpnia, rok 1921, sobota
Gdy się wypije, nietrudno o „przygodę”. Szukałem i znalazłem. Otóż miałem ją wczoraj, ale całkiem banalną, która zamiast przyjemności jakichś utęsknionych rozkoszy, dała się we znaki kieszeni i niemal nie przyprawiła mię o nocleg na ulicy w dosłownym znaczeniu. Oto wybrałem się wczoraj wieczorem do niejakiej kawiarni „Sanssouci” przy ul. Libawskiej, gdzie reklamy zapowiadały co wieczór kabaret. Kabaret był co prawda nędzny i składał się z kilku zaledwie numerów programu, wykonywanych na przemian przez parę artystów śpiewaków, stanowiących małżeństwo. Śpiewane były pospolite piosenki kabaretowe niemieckie, z długimi przerwami między jedną a drugą, aby przez rozciągnięcie programu zapełnić wieczór do północy. Publiczności zebrało się dużo, ale wbrew memu oczekiwaniu nie była to zwykła mieszczańska publiczność kabaretów niemieckich, w której biorą udział cnotliwi mieszczanie z córusiami, nieraz z robótką w ręku lub solidni ojcowie rodzin, otoczeni wiankiem progenitury z czujną małżonką u boku. Publiczność składała się z samej młodzieży w wieku poborowym i kilku dziewcząt z ludu miejskiego, które przyszły szukać rozrywki, wrażeń i znajomości okolicznościowych; zresztą dziewczątka skromne, nie prostytutki. Jeżeli „dają” – to dla zabawy za rozrywkę z chłopcem młodym. Dwóch tylko było starszych jegomości, widocznie bywalców lokalnych, czujących się tu jak w domu i będących za pan brat z artystami i kelnerami. Trzy tylko były dziewczyny różniące się strojem wyszukanym a jaskrawym i zachowaniem się wyzywającym, które można było wziąć za kokoty. Dwie z nich Żydówki, bodajże siostry, z nich młodsza bardzo ładna i kształtna, oraz jedna – Litwinka, jak się potem okazało, mimo że nie chciała się przyznać, udając Niemkę. Piłem dużo, mieszając koniak z bardzo mocnym portweinem. Wstawiony byłem, co się zowie, a że mi trzy dziewczyny jaskrawe, zwłaszcza młodsza Żydówka, podobały, więc pod koniec przysiadłem się do nich; oczywiście musiałem im fundować wino, a gdy program się wyczerpał, dziewczyny pociągnęły mię do tzw. „sali tanecznej”, gdzie po zakończeniu kabaretu zbierają się poufniejsi goście. Tam się i artysta wnet znalazł, i z publiczności pewien zgermanizowany Litwin. Nie chodziło naturalnie o tańce, ale o kolację, malagę itd. Krótko to zresztą trwało, bo nie byłem skłonny do zbytniego szafowania pieniędzmi, ale i tego było dość, aby pochłonęło tę całą moją oszczędność z bieżącego miesiąca, która była odłożona na stronę. Dziewczęta te jednak okazały się nie prostytutkami, jeno polującymi w wolne wieczory na wrażenia. Odprowadziliśmy je, ale pozwoliły się odprowadzić tylko do rogu ich ulicy, nie chcąc, abyśmy wiedzieli, gdzie mieszkają. Zresztą nie miałem zamiaru nocy z nimi spędzać. Ale gdym przyszedł do mego hotelu, nie znalazłem żadnego dzwonka u drzwi, a że gospodyni mieszka wysoko, więc stukanie było beznadziejne. Postanowiłem już spędzić noc na ulicy, bo w paru innych hotelach, do których spróbowałem dotrzeć, nie było miejsca i położyłem się już nad kanałem na pomoście drewnianym w cieniu spichlerza, ale płoszyły mię wciąż różne kroki, stukające donośnym echem po bruku bezludnych w nocy ulic kamiennego miasta. Perspektywa spędzenia czterech godzin nocnych na ulicy, zanim się dostanę na statek ranny do Juodkrantis, zaczęła mię przerażać męką. Spróbowałem drzemać na stopniach mego hotelu, aż wreszcie zacząłem się tak dobijać do drzwi, że gospodyni hotelu się obudziła i wpuściła mię. Przespałem się bez przebierania i po piątej zerwałem się, umyłem i pospieszyłem na statek. Dojechałem do Juodkrantis,

które umiłowałem serdecznie i znajomą drogą przez Eva-Berg i las sosnowy przebiegłem mierzeję w poprzek – nad Bałtyk kochany. Litewskie morze! O, jakżeś słodkie, morze Ojczyzny, jak kochane i piękne! Niemcy tu piętno swoje wycisnęli, ich kultura panuje tu w pełni, nawet do państwa litewskiego dotąd ziemia ta i wybrzeże nie należą, ale przecież w ustach ludu dźwięczy tu czysta mowa litewska, ta sama, co u nas pod Rakiszkami. Litwo, Twoje to morze i Twoje tu mieszkają i pracują dzieci. Morze było dziś cichsze, bo pogoda śliczna, słoneczna, bez wiatru; a jednak szumiało ono u brzegów i biło niespokojną fala o ląd, liżąc plażę piaszczystą. Tęskno Ci, morze! Nienawidzisz brzegów, które Cię ograniczają i łamiesz je i niszczysz nieustannie. Morze! I mnie tęskno samemu i nienawidzę śmierci Aninki, bo śmierć ta mię ograniczyła i jest moim brzegiem, moim kresem, jakim ląd jest dla Ciebie – wielkiego i dumnego; Ciebie, z natury nieskończonego, które granic nie znosi. Tęsknota jest Twoją i moją. Kocham Ciebie, morze, a Ty, wspaniałe, gdym Ci tę wspólność tęsknoty i miłości wyraził, idąc wzdłuż języka fali Twojej, liznąłeś mię złośliwie gwałtownym rzutem tejże. Kpisz z miłości mojej, bo ty i mnie nienawidzisz, gdyż i ja, jako cząstka ciała lądowego, ograniczam Ciebie, morze.

21 sierpnia, rok 1921, niedziela
Jestem w Kownie. Z żalem rozstałem się z Kłajpedą, a jeszcze z większym – z morzem. Nie wiem, jak mam wyrazić to uczucie, które się u mnie zrodziło dla Bałtyku i jak je nazwać. Powiedziałbym, że się zakochałem w morzu i dziś tęsknię do niego. Nie chcę uwierzyć, abym nie wrócił nigdy w to miejsce na Mierzei Kurońskiej po drugiej stronie Juodkrantis (Schwarzort), gdzie Bałtyk litewski uderza w plażę bezludną i gdziem spędził na nim godziny samotne kąpieli, rozkoszy głębokiej i rozmyślań tak wielkich i tęsknych, jak morze samo. To miejsce zdobyło w duszy mojej stanowisko zgoła odrębne od innych znanych mi miejsc przyrody. Nauka i sprawdziany doświadczenia oraz myśli ludzkiej uczą, że morze jest bezwiedne i bezosobowe, a przeto przypisywanie mu uczuć i tęsknot, których warunkiem jest osobowość, jest co najwyżej przenośnią literacką, tworem wyobraźni ludzkiej. A jednak zdaje mi się, że to morze czuje i tęskni i że ja znam jego uczuć i tęsknoty tajemnicę. Czyż nasze ludzkie uczucia, a może i myśl sama, nie są tylko odbiciem tych wielkich instynktów czucia, tej elementarnej psychiki materii, która rozlana jest w żywiołach natury? Dlaczegoż nasze uczucie w jego różnorodnych formach tak wiernie odtwarza nam psychicznie stany fizyczne, które są wspólne nam i wszystkim natury rzeczom? Weźmy stany proste: pogoda, harmonia, spokój, równowaga i – burza, zakłócenia. Stany takie są w nas i są one w przyrodzie całej, są w morzu. Stanom tym, które należą do natury fizycznej, odpowiadają w nas różne stany czucia. Efekty zewnętrzne są u nas i w przyrodzie podobne; czy na tym się podobieństwo kończy, czy psychika nie jest głębszą własnością materii, jej wyrazem i myślą, względnie – jeżeli nie własnością, to towarzyszącą jej zawsze duszą, której nie znamy całej, jeno się domyślamy zaledwie? Po co zresztą te dociekania?
Gdybym umarł, a zwłoki moje nie spoczęłyby w grobie Anny na cichym cmentarzu Wilna, by się kości moje z jej pomieszały kośćmi, to pragnąłbym, by rzucone były w Bałtyk. Wiem, że się nie stanie ani jedno, ani drugie, ale wszak pragnąć wolno. Dobrze mi było z Bałtykiem na plaży odludnej. Samotny byłem – ja i morze. Wykąpałem się, leżałem nagi na piasku, potem długo jeszcze siedziałem nad morzem; nic nie przerywało wielkiej samotności mojej i morza. Tylko raz dwoje dzieci rybackich przeszło koło mnie z banią wody słodkiej, proponując mi wody do wypicia za zapłatą, wody, która na piaszczystym wybrzeżu nad morzem ma cenę pragnienia; i poszli dalej wzdłuż pustynnego brzegu szukać zabłąkanych odludków jak ja, by im wody nad

morzem ofiarować. O, samotności! Lubię cię nad gromadę ludzką. Choć jest rzecz większa od ciebie i piękniejsza, samotności, rzecz, która ma się do ciebie jak słodycz do goryczy i uśmiech do łzy, a jest nią odosobnienie we dwoje, to znaczy miłość pary ludzkiej, małżeństwo. Szczęście to było moim, ale śmierć Aninki wyczerpała je dla mnie, toteż jestem sam jak morze i tęsknię jak ono...
Wyjechałem z Kłajpedy wczoraj wieczorem, po powrocie znad morza. Jechałem koleją na Bojary-Kretyngę i dalej na Prekuln-Możejki itd. pociągiem bezpośredniej komunikacji. Jechałem noc całą. Spałem, gdy pociąg szedł przez skrawek terytorium Łotwy. Do Kowna przyjechałem dziś o godz. 11 rano. Zamierzałem jutro wyjechać do Kowaliszek i Bohdaniszek, ale muszę zostać na dzień jutrzejszy dla Adolfa Grajewskiego, który prosi mię o dopomożenie staremu Reuttowi, jego teściowi, w wystaraniu się jutro przepustki do Wilna. Staruszek posunął się bardzo i zdziecinniał trochę. Ma już zresztą 77 lat.

22 sierpnia, rok 1921, poniedziałek
Spędziłem dzień w Kownie. Jutro rano wyjeżdżam do Kowaliszek i Bohdaniszek. Pomagałem staremu p. Benttowi w staraniach o przepustkę na wyjazd do Wilna.
Po kamiennej Kłajpedzie, która na wieczór pustoszeje, bo jej pracowita ludność bądź zamyka się na spoczynek w domach, bądź tłumnie emigruje w letniska podmiejskie albo do Sandkrug na wycieczkę i kąpiele morskie, Kowno czyni wrażenie mrowiska. Cały charakter tych dwóch miast jest zasadniczo różny. Kowno zarówno we dnie, jak wieczorem do późna w nocy – roi się od ludzi. W kamiennej nadmorskiej Kłajpedzie, twardej i jakby zbudowanej dla rezonansu, każdy dźwięk wieczorem rozlega się długim echem po mieście; miarowy stuk kroków ludzkich po kamieniu, głos rozmowy, tony muzyki z wnętrza domów – rozlegają się donośnie i daleko w ciszy nocnej. W Kownie natomiast, pomimo ruchu i gwaru tłumów, zapełniających ulice, cisza jest na ogół większa. Wszystko tu jest miększe i same dźwięki zamiast rosnąć w echo, jak w Kłajpedzie, topnieją w szept. Kamień nie jest tu zasadniczym elementem. Przeciwnie – roślinność, wzgórza piaszczyste lub tonące w zieleni, drzewo w budowlach, chodnikach i ogrodzeniach rywalizują z murem i łagodzą jego wyłączność sztywną; sam widok doliny niemeńskiej w wieńcu wzgórz zielonych i lasów – wszystko czyni Kowno miękkim i pomimo ruchu i gwaru – sennym, leniwym, jak jakieś miasto kejfu wschodniego wobec pracowitej, kamiennej, ostrej i ścisłej Kłajpedy. Te dwa miasta dwóch kultur Litwy przeciwstawiają się sobie na najbieglejszy rzut oka. Wrażenie Kowna, gdy się doń wraca z Kłajpedy, jest niezmiernie różne od wrażenia, które się ma przyjeżdżając tu z Wilna. Ale bądź co bądź Wilno bliższe jest Kownu bez żadnego porównania od Kłajpedy.

23 sierpnia, rok 1921 wtorek
Wyjechałem rano z Kowna i po spędzeniu dnia całego w wagonie o godz. 11 wieczorem przyjechałem do Rakiszek. Na stacji spotkała mię Maryńka. Miałem jechać na razie do Kowaliszek, a dopiero stamtąd do Bohdaniszek, bo w Kowaliszkach miało się odbyć nasze zebranie rodzeństwa dla likwidacji rachunków spadkowych, podziału długów Papy itd. Tymczasem dowiedziałem się od Maryńki, że Elizka Komorowska wyjechała do Poniewieża dla egzaminów wychowanków kowaliskich, wobec czego zebranie nasze będzie się mogło dopiero za kilka dni [odbyć]. Wskutek tego Maryńka mię powiozła prosto do Bohdaniszek.

24 sierpnia, rok 1921, środa

Dzień spędziłem leniwie, przeważnie na oglądaniu pracy Elwiry i Maryni. Jesień – czas plonów i obfitości na wsi. Pełne są gumna i odryny, ogrody owocowe w całej krasie dojrzałości, pachną jabłkami; drzewa są obciążone owocem, którego nadmiar zapełnia zasieki w spichrzu i puste pokoje w domu i pokrojony i nanizany suszy się w oknach, na ścianach, na balkonach, tworząc girlandy fantastyczne. Ogrody warzywne tchną takąż obfitością; ich płody są w przededniu plonu, ale już mnóstwo przepięknych pomidorów, cebuli, maku – zalega podłogi pokojów. Cała młodzież tegorocznego przychówku inwentarza – z licznym potomstwem na czele – rozkoszuje się tu żyznością jesieni. Elwira i Marynia są spokojniejsze, niż były na przednówku, bardzo zapracowane, ale zadowolone i raźniejsze; praca ich nie poszła na marne, bo oto ziemia i ogrody oddają w płodach sowicie to, co w nie pracą włożono i grosz kapie do kiesy po trochę. Ciężary jeszcze przeważają, ale płodność ziemi pociesza i przekonywa o użyteczności pracy, która pomnoży dorobek i zwycięży. Pierwszy rok, pomimo urodzajności, jest jeszcze trudny, ale zadatek jest dobry. Po obiedzie byłem z dziećmi – Helcią i Andrzejem – w Gaju, a potem kąpałem się z Andrzejem.

25 sierpnia, rok 1921, czwartek
Dzień upłynął jak zwykle; siostry pracują od rana do wieczora, ja zaś włóczę się i próżnuję. Porządkowałem trochę papiery Papy i bibliotekę moją, która jest w stanie podobnym do słynnych stajen Augiasza. Doprowadzenie jej do ładu systematycznego jest dziełem tak pracowitym, że aż ręce opadają na samą myśl o tym, bo trzeba byłoby na czas dłuższy wprząc się do tej pracy i robić jak wół albo mrówka, do czego wielkiej ochoty na wakacjach nie ma. To samo jest z moim archiwum, które przed wojną było w doskonałym porządku. Porządkowanie papierów śp. Papy jest czynnością smutną. Papa, jak ja, lubił gromadzić listy i papiery swoje, z których można byłoby ułożyć całe dzieje jego życia. Robił to tak, jak żeby żyć miał wiecznie. Tymczasem umarł, a papiery go przeżyły. Są w ich liczbie drobiazgi, które miały dla Papy wartość osobistą pamiątek i są jakby strzępami jego dawnych myśli i uczuć. Ze śmiercią całe to życie wraz z epizodami i odruchami serca i umysłu rozsypało się w proch – a papiery zdają się wołać smutnie: *vanitas vanitatis*! Wszystko przemija, wszystko traci swoje barwy! Niestety! Są ślady Papy, ale człowieka już nie ma. Rychło to samo będzie i ze mną. Pokolenie biegnie za pokoleniem, barwi się i pieni życiem jak fale morskie na piasku wybrzeża i – umiera, by za nim umarły następne.
Elwira i Marynia pracują w ogrodach owocowych i warzywnych i w polu. Marynia sieje żyto, kosi resztki jarzyny, Elwira – wozi jęczmień i orze pod żyto. Z ogrodów warzywnych rozpoczął się zbiór generalny pomidorów, ogórków, fasoli, tytoniu. Pomidory u Maryni dały urodzaj śliczny, bo też czuwała nad nimi i nie szczędziła starań. Służąca Jadzia wozi je na targ do Rakiszek i Abel. Zbyt na pomidory jest świetny. Marynia będzie z nich miała lepszy dochód, niż z ogrodu owocowego, którego urodzaj był w tym roku wyjątkowo piękny, ale nie ma zbytu na owoce.

26 sierpnia, rok 1921, piątek
Od dwóch tygodni pogoda stała i mocna. Towarzyszyła ona mojej wycieczce nad morze i trwa dotąd. Dzień w dzień słońce i niebo bez chmur, a nawet bez obłoków przy ostrym wietrze północno-wschodnim; toteż we dnie jest ciepło bez nadmiernego upału, a noce zimne, zapowiadają bliskość przymrozków. Śliczny czas dla wakacji.

27 sierpnia, rok 1921, sobota
Maryńka wie już o śmierci tragicznej majora Tatara-Trześniowskiego. Napisała jej o tym jej córka, Ewa Meyerowa, która przysłała jej też wycinki z gazet polskich,

omawiające tę śmierć oraz zawierające interpelację Daszyńskiego w Sejmie warszawskim z powodu tego wydarzenia i towarzyszących mu okoliczności[591]. Maryńka przyjęła tę wiadomość dość spokojnie, pomimo że zdaje sobie sprawę z tego, iż śmierć majora jest zarazem grobem dla jej marzeń o nowym małżeństwie i o słodyczy pozyskania towarzysza na starość. Intensywna praca w Bohdaniszkach tak pochłania energię Maryńki, że to jej wystarcza i daje treść życiu; praca ta uspokaja Maryńkę i koi jej nerwy, a w perspektywie Maryńka cieszy się nadzieją zamieszkania kiedyś przy niej w Bohdaniszkach Ewy z mężem, a bodaj też nadzieją, że się ożeni jej, Maryńki, syn – Stefuś Römer, wielki nicpoń i łajdak. Na poprawę Stefana, zdaje się już, nie liczy, ale mogą być po nim wnuki dobre i poczciwe.

28 sierpnia, rok 1921, niedziela
Mieliśmy dziś jechać całym dworem - to znaczy Elwira, Marynia i ja - do Kowaliszek na nasz zjazd rodzinny, na którym mieliśmy dokonać likwidacji rachunków spadkowych, długów pozostałych po śp. Papie i „kapitałów" spadkowych, o ile godne są tej nazwy nędzne zdeprecjonowane papiery, niegdyś „wartościowe" i stanowiące pokaźną fortunę, dziś – jakieś zaledwie grosze liche. Ale że Elwira i Marynia są tak zapracowane, iż prawie niepodobna się im oderwać, nawet w niedzielę, od swoich zajęć gospodarskich i że się trochę już lenią ruszać z domu, więc jazda do Kowaliszek została zaniechana, a natomiast wysłana została do Kowaliszek młoda służąca Maryni, Jadzia, z zaproszeniem Elizki Komorowskiej w tym celu na czwartek do Bohdaniszek.
Tymczasem w chwili, gdyśmy siadali do obiadu, zajechał pod ganek powóz, z którego wysiadła Elizka i Hektor. Zabawili do wieczora. Omówiliśmy szereg rzeczy dotyczących rachunków, ale ostatecznej likwidacji jeszcześmy nie dokonali, bo dopóki sprawa lasów bohdaniskich nie jest wyjaśniona, dopóty sprawa spłat wzajemnych pozostaje w zawieszeniu i dopóty przeto wszelkie inne wypływające z rachunków należności i obciążenia wzajemne nie dają się skompensować i wykończyć definitywnie.
Komorowscy są teraz rzadkim gościem w Bohdaniszkach. Elizka i jej nieodrodny syn Hektor, który w jeszcze większym od niej stopniu choruje na wielkopańskość, kręcą nosem na podzielone, skarlałe Bohdaniszki, które ze stopy wielkiego dworu pańskiego spadły na stopę folwarczków szlacheckich – bez komfortu i bez blasku pańskiego. Elizka, z natury serdeczna i wrażliwa, jest jednak nade wszystko „hrabiną". Imponuje jej bogactwo i wielki tryb pański życia. Tymi wartościami mierzy ona ludzi, nie wyłączając krewnych i rodzeństwa. Uboższych sióstr, które, jak Elwira i Maryńka, muszą same ciężko pracować, aby się dźwignąć na swoich schedach bohdaniskich i których nie stać na prowadzenie wielkiego dworu, na elegancję w domu, liczną służbę, powozy, konie wyjazdowe itd., Elizka się prawie wstydzi. Ta „arystokratyczna" skłonność Elizki, określająca jej stosunek do ludzi – *„c'est plus fort que son coeur, plus que son sentiment fraternel*"[592] dla sióstr rodzonych. Czują to i widzą dobrze nasze siostry Elwira i Marynia, toteż mają za to żal do Elizki. Co zaś do Hektora, to ten ma nie tyle „arystokrację" i pańskość w głowie, ile bogactwo samo w sobie, które uznaje za siłę jedyną i wartość ludzi, a Elizka jest olśniona Hektorem, boi się go i słucha, jak się nie bała i nie słuchała nigdy męża, a Hektor trzyma ją na wodzy i nie pozwala zbytnio się interesować Bohdaniszkami, aby ją serce nie uniosło i aby ściślejszy kontakt z

---

[591] Interpelacja skierowana przez I. Daszyńskiego do ministra spraw wojskowych „w sprawie samobójstwa majora W.P. Zdzisława Tatara-Trześniowskiego w Krakowie" została przedstawiona na 241 posiedzeniu Sejmu Ustawodawczego w dniu 7 lipca 1921 r.
[592] „*C'est plus...*" – „To jest silniejsze niż jej serce, niż jej uczucia rodzinne".

uboższymi siostrami, potrzebującymi nieraz pomocy, nie dawał powodu do ciągłych pożyczek i sukursów.
Był dziś list do mnie od Henrysia Wołłowicza, który donosi, że postanowił sam przybyć do Bohdaniszek i ewentualnie osiąść tutaj na swojej działce. Byłby to krok najnierozsądniejszy, od którego trzeba się go postarać odwieść.

29 sierpnia, rok 1921, poniedziałek
Upał i duszno. Termometr we dnie w cieniu podniósł się do dwudziestu kilku stopni Réaumura. Zdawało się, że powinno się zebrać na deszcz lub burzę, ale na wieczór ukazały się oznaki pogody i słońce zaszło bez chmur. Teraz noc jest tak ciepła, że można chodzić nago i spać na dworze. Zmiana w pogodzie od dni kilku jest ta, że nastały wiatry północno-wschodnie, które nadawały pewną ostrość powietrzu i sprawiały noce zimne. Ale pogoda jest nieustanna. Siostry moje korzystają z pogody, koszą i zwożą do gumna bez kropli deszczu owies, jęczmień, groch, koniczynę nasienną. Jest słonecznie i sucho. Susza tegoroczna, która spowodowała straszną klęskę w Rosji i zaciążyła dotkliwie na Europie Środkowej (w Niemczech), i nam się daje we znaki. U nas nie była ona wprawdzie katastrofalną, bo czerwiec mieliśmy chłodny i wilgotny, a i potem deszcze czasem wypadały, jednak teraz jest ona bardzo ostrą. Ostatnie dwa tygodnie nietrwałej pogody nie byłyby same przez się tak suszące, gdyby nie wiatr lądowy wschodni, wysysający wszelką wilgoć.
W ogrodach warzywnych Maryńka zebrała już pomidory, tytoń, fasolę, bób, ogórki. Elwira także, tylko bez pomidorów i tytoniu, których nie ma. Maryńka w ogóle ma więcej pomysłowości i inicjatywy od Elwiry, toteż przoduje wszędzie i toruje drogi przedsiębiorczości. Z takim talentem gospodarczym, jaki ma Maryńka, dźwignie się ona i dorobi się na Bohdaniszkach pięknego dochodu. Ma ona zresztą, dzierżawiąc moją schedę, przeszło podwójnie większy warsztat od Elwiry. Ten pierwszy rok, rozpoczęty z niczego, jest dopiero rokiem próby dla sióstr i zdobywania doświadczenia. Miałyby się one – szczególnie Maryńka – już teraz bardzo dobrze, gdyby nie różne ciężary przeszłości w postaci np. poszukiwanej rekwizycji zeszłorocznej, nie uiszczonej przez Jakszuka, różnych długów w naturze w zbożu, zaległości robotnikom itd. Na pomidorach Maryńka wychodzi świetnie. Z małego kawałka gruntu w mojej części lipowego ogrodu zbierze ona, dzięki wielkiej staranności, do 40 pudów ślicznych pomidorów. Bała się, że nie będzie zbytu na pomidory, które są u nas prawie nieznane, a chłopi ich zgoła nie znają i nawet nie widzieli ich nigdy. Tymczasem w Rakiszkach popyt na nie okazał się bardzo wielki; kupują głównie Żydzi i urzędnicy. Na każdy targ w Rakiszkach i Abelach Marynia wysyła Jadzię Čepasównę z kilku pudami pomidorów, które wyprzedaje po 4 mk. za funt, a teraz już podniesie cenę do 5 mk. Ma ona zresztą zupełny monopol na zbyt pomidorów, bo ona jedna je na rynek dostarcza. Z pomidorów tych zbierze może do 5000 mk., więcej, niż jej dał sad owocowy mimo ślicznego urodzaju jabłek.
Siadam zaraz do listu do Henrysia Wołłowicza, aby go odwieść od zamiaru przyjazdu. Henryś tak nagle powziął ten projekt i tak radykalnie zabiera się do wykonania, że się obawiam, aby mój list nie doszedł go za późno. Pisze, że w końcu bieżącego miesiąca zlikwiduje swoje interesy i rusza do Bohdaniszek, zostawiając tymczasem żonę w Polsce. Chce „osiąść” na swoim kawałku i prosi, aby co do warunków spłaty, która mu się ma należeć od Elwiry, nie decydowali bez niego, bo on się sam osobiście co do nich ułoży z Elwirą. Olśniła oczywiście Henrysia suma tej spłaty, wyrażająca się na marki polskie w cyfrze imponującej przeszło 2 milionów. Ale tymczasem las jest zakwestionowany, a przeto i stosunki spłaty mogą się zmienić, a poza lasem do Henrysia należy tylko ziemia w sznurach w wiosce Janówce, dzierżawiona przez

Kutkowską. Jeżeli las będzie odebrany, Henryś nie będzie przecie mógł osiąść na samej Janówce, zwłaszcza że jest ona w dzierżawie i w sznurach, a realizacja spłaty nie może być natychmiastowa. Będzie więc jeno miał rozchód nieużyteczny i przyjazd jego stanie się ciężarem dla sióstr w Bohdaniszkach, nie mówiąc o tym, że z łatwością może się wykryć jego służba w Legionach, co może spowodować ciężkie dla niego skutki odpowiedzialności karnej.

30 sierpnia, rok 1921, wtorek
Wiatr zmienił się stanowczo. Obecnie wieje ciepły wiatr zachodni, który powinien napędzać deszcz. Toteż chmurzyło się dziś i kilka razy zdawało się, że deszcz jest nieunikniony. Ale wiatr rozpędził chmury. Teraz na noc wiatr ustał i powietrze znacznie ochłodło.
Powoli, stopniowo, leciutko – Bohdaniszki zmieniają wygląd. Dotyczy to tylko szczegółów, wskutek czego zmiana jest nieznaczna i ciągłość dworu, jego indywidualność i charakter zasadniczy – zachowują się. A jednak z roku na rok, przez szereg tych zmian detalicznych dwór się przekształca, jak każda rzecz, która żyje i wreszcie po leciech oblicze dworu się zmieni. Jedne elementy w nim zanikają, inne się rozwijają. Każde pokolenie przekształca głęboko wyraz dworu. Za rodziców naszych dwór w Bohdaniszkach się upiększył i rozrósł. Przybył dzisiejszy duży dom mieszkalny, rozszerzył się w dwójnasób przeszło sad owocowy, dwór zagarnął część pola, przybyły liczne drzewa i gaiki, z upodobaniem sadzone przez Mamę i zdobiące dwór. Ja urodziłem się już w tym nowym dworze, jakim go uczynili rodzice nasi i takim go znałem od dziecka. Główna zmiana, jaka w nim zaszła za mojej pamięci, mniej więcej między rokiem 1890 a 1905, to było stopniowe wyginięcie wszystkich włoskich piramidalnych topoli w Bohdaniszkach, których było dużo we dworze i które stanowiły bardzo charakterystyczną jego cechę. Ten gatunek drzew wyginął zupełnie i wszystkie próby Mamy zasadzenia młodych topoli włoskich chybiły; wszystkie zasadzone uschły. Zresztą zanik topoli włoskich jest w naszych stronach zjawiskiem powszechnym; widocznie jakieś przyczyny klimatyczne odsunęły granicę strefy tego gatunku drzew ku południowi. Topole włoskie wyginęły w naszych okolicach wszędzie – już za mojej pamięci. W czasie wojny dużą zmianę w wyglądzie Bohdaniszek sprawił pożar oficyny, na której miejscu pozostał tylko wielki komin wędlarski i podmurówka i wyrósł domek parobczany, który teraz Marynia chce zużytkować na ptasznik. Na pograniczu lipowego ogrodu zginęły też dwa budynki – ptasznik z chlewami i tzw. cielętnik, sprzedane przez Papę na rozbiórkę, oraz tzw. gumienko na gumnisku, również sprzedane przez Papę. Pokolenie nasze, które obecnie objęło Bohdaniszki, dokona z pewnością we dworze całego szeregu nowych, głębokich zmian, przekształcających jego wyraz stosownie do nowych warunków gospodarczych dworu, wynikających z dokonanego działu i rozbicia jednolitości Bohdaniszek na folwarki. Z roku na rok dokonany podział będzie się realizować i pogłębiać, tym bardziej, że Marynia stanowczo idzie w kierunku odseparowywania się od Elwiry. Poza tym energia, inicjatywa i przedsiębiorczość Maryni uwydatni się w całym szeregu przemian i zastosowań we dworze, zmieniających jego wygląd zewnętrzny. Tymczasem zmiany są jeszcze niewielkie: tylko duży trawnik frontowy uległ uprawie i przeszedł na stopę ogrodu warzywnego (w tym roku są na nim kartofle), znikły spiree i bzy rosnące wzdłuż domu od strony trawnika i sadu owocowego, a w tych dniach gumnisko zostaje przez Marynię zorane pod ogród warzywny. Poza tym w ogóle dwór nabrał więcej cech fermy kosztem cech rezydencji pańskiej, ponieważ rozwinął się kierunek praktyczny wyzyskania każdej rzeczy we dworze dla potrzeb gospodarskich. Ale na ogół w tym roku dominuje jeszcze jednolitość spoista dworu. W przyszłym roku jednak spodziewać się można szeregu

ważnych zmian, płynących z jaskrawie separatystycznych zamierzeń Maryni. Tak więc Bohdaniszki wstępują w nową fazę swego bytowania, której cechą najjaskrawszą będzie rozpadanie się ich na dwa na razie (jeden – Elwiry i drugi – Maryni z moim) organizmy gospodarcze o charakterze wybitnie fermowym, to znaczy produkcyjnym. Część Maryni i część moja, choć formalnie odrębne, tymczasem pozostaną całością spoistą ze względu na to, że moja scheda jest dzierżawiona przez Marynię i przeto separatyzmowi jeszcze nie ulega.

31 sierpnia, rok 1921, środa
Ostatni dzień w Bohdaniszkach. Jutro rano wyjeżdżam przez Rakiszki do Kowaliszek, skąd na noc wyjadę na pociąg i – znowu do Kowna. Już po moich wakacjach. Szkoda. Właściwie powinienem był wyjechać już ubiegłej nocy, aby dziś być już w Kownie i od jutra stanąć do pracy, ale dwa dni zwłoki – to ujdzie.
Jest u Maryni mała służąca – Jadzia Čepasówna, dziewczynka lat 16, prawie dziecko jeszcze, zgrabna, ładna, Litwinka bardzo typowa. Moją zabawą z dziećmi Elwiry, mymi konceptami i figlami, moją mimiką, która bawi i śmieszy nie tylko dzieci, wesołością, którą roztaczam w Bohdaniszkach, Jadzia została wprawiona w zachwyt, który graniczy z zakochaniem się – oczywiście zakochaniem się pensjonarskim, głupiutkim, ale miłym. Jadzia ma wzrok wyrazisty, jak sarna, jest nieśmiała, ale z natury figlarna i wesolutka, strzela oczami jak urodzona, choć nieświadoma kokietka, a wyjazd mój przyprawia ją o łzy, z którymi się kryje. Tak, to prawda, mój panie Michale. Stary jesteś, ale jeszcze dziewczątka ci się czasem trafiają.
Ponieważ szukam służącej w Kownie i chcę wziąć właśnie dziewczynkę młodziutką, Jadzia tęskni i marzy o tym, by wstąpić na służbę do mnie. Marynia by mi ją ustąpiła, ale nie wiadomo, czy jej rodzice ją puszczą i czy ja sam się na nią zdecyduję, bo choć dziewczynka jest wierna, przywiązująca się, zręczna i ładna, jednak jest bierna, głupiutka i dość z natury niedbała. Naturalnie, że nie myślę o pozyskaniu w służącej kochanki.

1 września, rok 1921, czwartek
Jesień. 1 września. Natura idzie do spoczynku, człowiek współczesny, mieszkaniec miasta, wraca z wypoczynku do pracy. Jakże chwilami bywam zmęczony życiem! Samym procesem życia, nie – pracą; zmęczony nerwowo, nie – fizycznie, bo sił fizycznych mi nie brak, a praca – to jeszcze element wypoczynku nerwów. Czy to już starość? Tak, jest coś już we mnie ze starości.
Rano wszyscy troje – Elwira, Marynia i ja – wyjechaliśmy z Bohdaniszek do Kowaliszek. Jechaliśmy Elwiry klaczą Barką, zaprzężoną do linijki. Marynia większą część drogi szła pieszo w towarzystwie swego pieska, białego rasowego pinczerka Rusaka. Po drodze w Rakiszkach Elwira i Marynia opłaciły podatki za Bohdaniszki; zajechaliśmy też do intendentury powiatowej dla poinformowania się w sprawie zaległej rekwizycji zeszłorocznej z Bohdaniszek, ściąganej obecnie przymusowo. Wartość tej rekwizycji wynosi około 8000 mk., jest to więc ciężar duży, tym bardziej, że trzeba znaleźć środki do uiszczenia jej i za Kotunię z Henrysiem, u których gotówki nie ma. W swoim czasie podawałem podanie o zwolnienie Bohdaniszek od tej zaległości, ale podanie to złożyłem do rąk ówczesnego wójta Baranowskiego, który go nie wniósł gdzie należy i zagubił. Nie ma więc nadziei, aby się od tego ciężaru uwolnić.
W Kowaliszkach, ponieważ Hektor był na polu, a Elizka bez niego nie chciała dotykać interesów, dopiero wieczorem omawialiśmy sposoby likwidacji rachunków i różnych wypłat spadkowych. Dużo było artykułów do omówienia i znowu tylko połowicznie je omówiliśmy. Cały szereg pierwszorzędnych kwestii nie został jeszcze uregulowany.

Ponieważ Hektor dużo za nas złożył gotówki przy opłacie podatku spadkowego i kosztów działu, wskutek czego teraz jeszcze winniśmy mu z rachunków dotychczasowych 26 000 mk., więc nadal unika on wszelkiego dokładania gotówki prócz co najwyżej opłacenia szóstej części, wypadającej w każdym nowym wydatku na Elizkę; a ponieważ kasy Kotuni i Henrysia są puste, więc ciężar tych dwóch sched spada zwykle na Marynię z Elwirą. Nerwuje to je i niepokoi, bo biedaczki pracują jak woły i ledwie podołać mogą własnym potrzebom gospodarstwa, które dźwigają z wielkim trudem i wybrnąć wciąż nie mogą z długów i zaległości dawnego rachunku wspólnego. Mają żal do Hektora, który umywa ręce (wprawdzie po udzieleniu poprzednim zasiłku) i zmusza do umywania ich Elizkę, choć ma pieniądze. Maryńka liczyła też bardzo na to, że otrzyma należną jej resztę spłaty z działu od Hektora, za co obiecywała sobie dokupić parę koni, aż tu Hektor nie chce spłacać, póki kwestia lasów bohdaniskich nie będzie ostatecznie zdecydowana. Trudno mu się co prawda dziwić, bo lasy te są poważnie zakwestionowane, a w razie ich upaństwowienia warunki i cyfry spłat między nami zmienią się znacznie. Ale biedną Maryńkę to przygnębiło i z widocznym smutkiem i żalem wyjeżdżała w nocy z Kowaliszek. Rzeczywiście, biedne siostry pracują i dotąd cała ich praca pochłania się różnymi ciężarami i zaległościami, których mimo ciągłego sypania wciąż jeszcze zasypać nie można i dna jeszcze nie widać. Elwirze i Maryni kapie wciąż jeszcze ze sprzedaży detalicznej lasu włościanom okolicznym, choć ja się tego źródła bardzo boję, bo własność naszych lasów nie jest jeszcze przesądzona i zarząd państwowy leśny może się jeszcze czepiać za samowolną wyprzedaż lasu. Ale bez sukursu z tego źródła siostry nie dałyby sobie absolutnie rady. Da Bóg miłosierny, że nasze biedne siostrzyczki sieroty nie będą miały nowych stąd trudności.

2 września, rok 1921, piątek
Przespałem się 3 godziny – od godz. 11 ½ do godz. 2 ½ w nocy i wyjechałem na pociąg do Rakiszek – na Kowno. Rano o wschodzie słońca był przymrozek – pierwszy jesienny w tym roku, dotąd była tylko parę razy tzw. biała rosa, granicząca z przymrozkiem, ale właściwego przymrozku nie było; dziś dopiero był pierwszy.
Ze mną jechała z Kowaliszek do Kowna młoda pani Bystramowa, zwana Mariolką, Meysztowiczówna z domu, córka p. Aleksandra Meysztowicza z Pojościa, zamężna za najmłodszym z Bystramów z Bystrampola[593]. Jest to młodziutka mężatka, młodziutka osoba. Ślub jej odbył się przed kilku miesiącami w Kownie, jest ona rówieśnicą i przyjaciółką Zitki Komorowskiej, jej koleżanką z karnawału wileńskiego w r. 1920. Jest to nieszczęśliwa w tej chwili kobieta, bo mąż jej, Bystram, został przed kilku tygodniami skazany przez Sąd Armii w procesie organizacji polskiej „Strzelców Nadniemeńskich”[594], na 10 lat ciężkiego więzienia. Samotne jest teraz biedactwo, bo mąż został po wyroku uwięziony, a rodzice przed paru miesiącami wyjechali do Wilna. Nie tylko jest ona samotna, ale zbiedzona, znękana nieszczęściem, które spadło na

[593]E. Romer, *Dziennik*, t. 2 (1919-1923), Warszawa 1995, s. 36, 157, 186, informuje o Tadeuszu Bystramie z Bystrampola, najmłodszym synu Władysława Bystrama. Odnotowuje m. in. (s. 186), iż przyjechali do niego w gościnę „Irenka z Tadeuszem Bystramowie z Bystrampola”. Nie wiadomo, czy informacja ta dotyczy rodzeństwa, czy też małżeństwa. Biorąc pod uwagę pierwszą ewentualność, można przypuszczać, że T. Bystram wspominany w *Dzienniku* E. Romera jest jest tożsamy z Tadeuszem Bystramem wymienianym przez M. Römera.
[594] Organizacja Strzelców Nadniemeńskich (OSN) – podległa ekspozyturze Oddziału II w Wilnie organizacja o charakterze wojskowym, powołana w 1919 r. w celu wspierania działań konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej na Litwie. Działała po obu stronach polsko-litewskiej linii demarkacyjnej (po stronie litewskiej w konspiracji). Z miejscowości przyległych do tej linii rekrutowali się ochotnicy do OSN.

młodego męża, przygnębiona, nie wiedząca, jak ratować męża, niezaradna, a do tego – w poważnym stanie. Głupiutkie to jeszcze stworzenie, niewiele się orientujące w skomplikowanych zagadnieniach polityki, przestępstwa, sądów itd., mało świadoma życia, ale przez to tym nieszczęśliwsza i biedniejsza. Bawiła w Kowaliszkach, a dziś jedzie do Kowna, by się widzieć w więzieniu z mężem. Sprawa „Strzelców Nadniemieńskich" wpłynęła w drodze apelacji do Trybunału, toteż ja będę uczestniczył w jej rozpoznaniu. Elizka mię wczoraj uprzedziła, że p. Mariolka Bystramowa, którą wczoraj dopiero poznałem, chciałaby ze mną pomówić w sprawie jej męża, który rzekomo skazany został bez żadnych dowodów winy, na zasadzie domniemania, że to on się ukrywał pod pseudonimem Tryjeńskiego, domniemania, które żadnych rzekomo podstaw nie ma. Na razie nie bardzo miałem ochotę konferować z nią o tej sprawie, bo w ogóle unikam udzielania jakichkolwiek wskazówek i porad oskarżonym w sprawach, w których sądzeniu mam brać udział. Jest to niewłaściwe zasadniczo i krępujące. Gdy jednak Elizka przedstawiła mi stan znękania biednej kobiety i prosiła usilnie, bym się zgodził z nią pomówić, zgodziłem się na pomówienie, ale tylko w zakresie informacji, nie zaś porady. Zanim jednak do tej rozmowy doszło, stałem się niechcący świadkiem rozmowy Elizki z p. Bystramową; weszły one do pokoju, w którym siedziałem i nie dostrzegłszy mię – kontynuowały rozmowę. P. Bystramowa zwierzała się Elizce, że ją uprzedzono, iż ja w tego rodzaju sprawach jestem szczególnie zawzięty i że przeto lepiej ze mną wcale o tym nie mówić, bo nie tylko nie dopomogę, lecz będę szkodzić oskarżonym, Elizka zaś zapewniała p. Bystramową, że to jest fałsz i że o tym mowy być nie może choćby ze względu na moją nieskazitelną zacność i dobroć. Odezwałem się, że jestem obecny, aby nie być świadkiem jakichś dalszych niespodzianych wniosków o mojej osobie. Panie się stropiły; przykro im było, że mówiły o mnie przy mnie. Ale ciekawe jest to, że w pewnych kołach, oczywiście ziemiańskich, jest o mnie opinia taka. Skąd się ona bierze ? Co ją usprawiedliwia? Jakie złośliwe intencje usiłują przedstawić mię za człowieka, który z jakąś szczególną zawziętością działa w sądzie na szkodę Polakom? Bóg z nimi! Obmowy i złości ludzkiej nic nie zażegna. Bóg tylko widzi, ile dokładam starań, aby w tej kategorii spraw paraliżować pewne uprzedzenia sędziów Litwinów i rozstrzygać je w płaszczyźnie czystej przedmiotowości sędziowskiej, usiłując uwydatnić wszystko, co w tych sprawach pochodzi z naleciałości uprzedzeń i namiętności politycznych, jak również to, co może uzasadnić brak winy oskarżonych. Są ludzie i opinie, którzy chcą mię zohydzić i przedstawić za renegata i neofitę litewskiego, oczywiście przesadzającego w gorliwości antypolskiej. Nie wiedzą, a raczej nie chcą wiedzieć, że ideałem moim jest pojednanie Litwinów z Polakami litewskimi i Litwy z Polską. Żeby namiętnością moją było jątrzenie – nic nie ma mniej prawdziwego. Smutne to i bolesne, ale co robić. Jest to mój krzyż.
Dziś w wagonie cały dzień z p. Bystramową spędziłem i rozstaliśmy się dobrymi przyjaciółmi. Zdaje się, że nie może mię już ona uważać za takiego złośliwca, za jakiego mię jej przedstawiali inni, choć oczywiście zastrzegałem jej, że będąc sędzią nie mogę się z roli bezstronnego sędziego wyłamać, aby się stać obrońcą specjalnym oskarżonego. Zresztą nie wiem, czy p. Bystramowa zrozumiała cokolwiek, bo jest ona głupiutka i tak znękana i przestraszona, że nie orientuje się wcale. Jej niezaradność jest rozbrajającą. Jako przykład zacytuję, że gdym ją spytał, czy rzeczywiście może mię zapewnić szczerze, że w razie uwolnienia jej męża do sądu za kaucją, o co ona zamierza prosić, on nie ucieknie i nie ukryje się, biedna kobieta, nie rozumiejąc pytania i nie zdając sobie sprawy, co i jak należy odpowiadać, gdy się ma przed sobą bądź co bądź sędziego, z całą naiwnością zapewniła mię, że będzie się starała o ucieczkę męża, aby go ratować.

3 września, rok 1921, sobota
Czuję się, jak żebym powrócił na zimowe leże. Wrzesień – początek długiej jesieni, powszednia praca codzienna na długie miesiące, aż do lata przyszłego. Zresztą, kto wie. Żyjemy w czasach, kiedy nie można być pewnym żadnej trwałej równowagi. Zima może przynieść różne niespodzianki i kto wie, w jakich warunkach doczekamy się przyszłego lata.
Już wczoraj, w drodze do Kowna, rzuciłem się chciwie do gazet, których przez czas pobytu w Bohdaniszkach nie czytałem. Ciekaw byłem głównie wieści z Genewy, gdzie na 25 sierpnia powinny były się zjechać na zaproszenie Hymansa delegacje polska i litewska. Nic jednak o tym w gazetach nie znalazłem, oprócz wzmianki o wyjeździe do Genewy Gałwanowskiego. Do delegacji litewskiej na 25 sierpnia byli wyznaczeni Naruszewicz, Miłosz i Sidzikowski, obecnie zaś przybędzie i główny kierownik akcji litewskiej wobec Ligi Narodów – Gałwanowski. Dziś brałem udział w posiedzeniu Trybunału i przeto nie miałem możności zasięgnięcia języka o Genewie. Widziałem się tylko na obiedzie z Jonynasem i zapytywałem go, co słychać, ale i on nic nie wie.
W gazetach i w relacji Jonynasa, który był przed paru dniami w Wilnie, są wiadomości o różnych szykanach względem Litwinów w Wilnie. W szczególności władze wileńskie zamknęły gimnazjum żeńskie litewskie. Michał Biržiška otrzymał od władz rozkaz eksmisji I gimnazjum litewskiego z zastrzeżeniem pozostawienia mebli i urządzeń naukowych. Jest to cios dla gimnazjum litewskiego ogromny, cios przewidywany przez Biržiškę. Aresztowany został w cukierni Sztrala adwokat Šiling, który przyjechał na kilka dni do Wilna legalnie, pociągiem Ligi Narodów, za przepustką, wizowaną w Kownie przez misję francuską. Szykany te nie mogą się przyczyniać do złagodzenia stosunków.

4 września, rok 1921, niedziela
Dziwna rzecz, że o ile w Polsce sprzyjałem prądom radykalnym i kierunkom społecznie lewicowym, o tyle tutaj, w Litwie, sprzyjam prądom społecznie umiarkowanym i nie tylko że nie żywię żadnych sympatii do dróg rewolucyjnych, ale przeciwnie – darzę sympatią to, co stanowi reakcję przeciwko rewolucji. Sympatie rewolucyjne były u mnie zawsze żywe. Tu wszakże zgasły one we mnie. Sympatie te łączyły się u mnie zawsze ze sprawą ludową. Ideałom ludowym pozostałem wierny. Nie zawsze jednak hasła rewolucyjne służą sprawie ludowej. Rewolucja i radykalizm społeczny są tylko metodą, są w pewnych warunkach środkiem do celu, nie zaś celem samym w sobie. W niewoli caratu rosyjskiego rewolucja była drogą protestu, drogą kruszenia pęt. W Litwie sprawa ludowa, realizowana w narodowym ruchu litewskim, musiała być przed wojną z konieczności rewolucyjna, tak ze względów politycznych, jak ze względów społecznych, musiała się bowiem przeciwstawić zarówno panowaniu rosyjskiemu, jak ustrojowi społecznemu, który się opierał na przewadze szlachecko-obszarniczej i tłumił demokrację ludową. Tradycje rewolucyjne litewskiego ruchu ludowego przetrwały do dziś i stały się pewnego rodzaju nałogiem, utrwalając się w nim bez względu na potrzebę. W Litwie, zorganizowanej jako państwo ludowe, są one w znacznym stopniu anachronizmem, niekiedy nawet szkodliwym i demoralizującym; radykalizm społeczny jaskrawy, który był potrzebny dla rozkładu starego ustroju, tłumiącego rozwój czynnika ludowego, stracił w dużym stopniu swoją rację bytu, gdy czynnik ludowy zbudował państwo i zdobył w nim naczelne stanowisko. Toteż dziś służy on nie tyle wyzwoleniu, ile gnębieniu pokonanego przeciwnika i, operując frazesem, służy za podstawę aspiracjom próżniactwa społecznego, chcącego zamiast pracy twórczej panoszyć się pasożytniczo rabunkiem ocalałych szczątków dóbr klasy do niedawna panującej. Ten frazes rewolucyjny jest dziś zbyt często płaszczykiem chciwości i próżniactwa,

pretekstem dla instynktów rabunkowych. Hasła, do niedawna święte, znamionujące walkę męczeńską i wysiłki bohaterstwa pod sztandarem wolności, ulegają profanacji i są nadużywane dla celów nie mających nic wspólnego z wolnością i sprawą ludową. Dlatego też, wyczuwając ten fałsz, nie mogę się entuzjazmować dla prądów, które z idei stały się frazesem, z metody twórczej – liczmanem pospolitej chciwości. Najwięcej hałasu rewolucyjnego robią ci włościanie, którym się nie chce pracować i którzy chcą chwytać gotowe dobra, ocalałe z pogromu wielkiej katastrofy ostatnich lat. Nadmierna przewaga radykalizmu społecznego w tradycjach dążeń politycznych ułatwia szakalom pasożytnictwa ich obłudne dzieło. Dlatego z uznaniem witam odruch przeciwko tym nałogom i z zadowoleniem spostrzegam, że się coraz mocniej organizuje w kraju reakcja ludowa przeciwko temu frazesowi radykalnemu, grożącemu anarchią i rabunkowym nihilizmem w stylu rosyjskim. Na czele tej reakcji staje ruch, który się krystalizuje pod nazwą „Žemdirbiów". Akcja „Žemdirbiów" rozrasta się i zyskuje na sile. Jest to ruch rdzennie ludowy, konserwatywny, dążący do utrwalenia osiągniętych zdobyczy i ocalenia więzi społecznej od rozprzężenia i upadku, kładąc mocny nacisk na elemencie pracy. Siła tego ruchu wyraża się w coraz bardziej rosnącej jego energii i w liczeniu tylko na siebie, bez szukania pomocy i oparcia z zewnątrz. „Žemdirbiai" przemawiają coraz dobitniej, polegając tylko na czynnikach świadomości i woli, a głos ich brzmi coraz donośniej. Nie wątpię, że rychło nakażą oni przeciwnikom liczenie się z nimi.
Inaczej jest w Polsce. Tam czynniki „*ancien régime*'u" społecznego, czynniki starej, przedludowej reakcji, elementy szlacheckie, które w całej kulturze polskiej mają przewagę, są jeszcze tak silne i tak mocno ciążą na rozwoju, przygniatając sprawę ludową, że radykalizm społeczny i towarzyszące mu prądy rewolucyjne są jeszcze dotąd narzędziem emancypacji, hasłem pobudki wolnościowej. Dlatego tam, w Polsce, wiedziony instynktem, sprzyjałem temu radykalizmowi. Funkcja jego była tam inna niż tutaj i w tamecznych stosunkach była ona użyteczna jako metoda sprawy ludowej.

5 września, rok 1921, poniedziałek
W czasie obiadu Jonynas wręczył mi list od Ludwika Abramowicza, otrzymany z Wilna. Słyszałem już od kilku miesięcy, że Ludwik Abramowicz usunął się z redakcji „Gazety Krajowej", którą objął po nim Ludwik Chomiński[595]. Rzecz ta nie była wtedy dla mnie niespodzianką, albowiem Ludwik Abramowicz jeszcze zimą, gdym jeździł do Wilna, utyskiwał na to, że czuje się w redakcji skrępowany i zależny od wpływów, które nie odpowiadają jego przekonaniom. Już wtedy przewidywał, że konflikty między nim a grupą, która stanęła na czele pisma, będą rosły i że przeto będzie musiał się ze stanowiska redaktora usunąć, bo oczywiście zwycięży i ostoi się ten, kto będzie materialnie silniejszy. „Gazetę Krajową" założył Ludwik Abramowicz w roku ubiegłym za czasów krótkotrwałych rządów litewskich w Wilnie, w miodowych tygodniach tychże. Na razie uderzył on w ton państwowości litewskiej bez zastrzeżeń. Litewska prasa Biržiški w Wilnie powitała nowy organ bardzo serdecznie jako wyraz odradzającej się myśli krajowej Polaków litewskich, których poprzednia okupacja polska oddaliła całkowicie od idei krajowej, czyli państwowej litewskiej. Z jakich funduszów założył Ludwik Abramowicz „Gazetę Krajową" – jest to dla mnie tajemnicą. O sekret tej zagadki zbyteczne byłoby pytać Ludwika. Nikt nie lubi się przyznawać do źródeł swoich skarbów, gdy nie pochodzą one z własnego bogactwa dziedzicznego. Ludwik Abramowicz należy do ludzi, którzy znają wartość pieniądza i są nań łakomi, umiejąc czerpać i wiedząc, gdzie należy szukać źródeł. Zawód publicysty nauczył go giętkości, a jego ambicja, by stać zawsze na czele pisma, być

[595] L. Chomiński objął redakcję „Gazety Krajowej" od 28 V 1921.

redaktorem i nawet twórcą danego organu, nie zaś tylko pionkiem w służbie obcej, przyzwyczaiła go do łatwości w czerpaniu z różnych źródeł i wyrobiła w nim umiejętność wyszukiwania tychże. Nie chcę przez to powiedzieć, aby Ludwik Abramowicz po prostu się sprzedawał. Jego ambicja polega nie na samym tylko posiadaniu pieniędzy, ale na błyszczeniu oryginalnością stanowiska przekonaniowego i na tym, aby imię jego wiązało się z pewnym programem. Pieniądz nie jest dla niego celem, jeno środkiem dla zaspokojenia ambicji dziennikarskiej. Za największe pieniądze nie pójdzie on w służbę takiego kierunku, któremu przeciwstawiał się przez całe swe życie. W obozie endeckim nie znajdzie się on nigdy. Ma on pewne ramy swoje, pewne granice, poza które nie przekroczy. Ale wewnątrz tych granic, w zakresie tzw. „stanowiska krajowego", które od czasów „Gazety Wileńskiej" przyjął on za swoje, są rozliczne odcienie i odmiany kierunku; w tych też granicach Ludwik Abramowicz porusza się bardzo elastycznie, z wielką wrażliwością na pieniądz, który go zasila. Na razie, gdy powstała „Gazeta Krajowa", posądzałem, że Ludwik ma jakieś tajne subsydium od Litwinów. Zdaje się jednak, że tego nie było i że Ludwik rzeczywiście miał sam jakiś zapasik gotówki na rozpoczęcie wydawnictwa. Skąd go miał, w jaki sposób uciułał – tego już nie dociekam.
W bardzo prędkim czasie, już po kilkunastu numerach, jeszcze za czasów rządów litewskich w Wilnie, „Gazeta Krajowa" Abramowicza zaczęła ujawniać coraz wyraźniej zwrot przeciwko Litwinom i ich polityce państwowej w Wilnie. Kładłem to wtedy na karb li tylko przekorności Ludwika Abramowicza, który jest z natury narowisty i umie płynąć tylko przeciwko prądowi, lubując się nawet w oryginalności swego stanowiska na przekór temu, co jest mocne lub popularne. Polityka litewska w Wilnie mogła dawać dużo powodów do krytyki i opozycji, ale opozycja Ludwika Abramowicza w „Gazecie Krajowej" coraz bardziej z dnia na dzień nabierała cech brawurowej prowokacji Litwy, ku uciesze wszystkich tych elementów polskich w Wilnie, które nienawidziły Litwę i tęskniły do powrotu Polaków, przeczuwając rewanż polski, zbliżający się w miarę zwycięstw polskich nad bolszewikami. Zwrot w „Gazecie Krajowej" stał się rychło tak jaskrawy, że ja, który na razie z radością w niej współpracowałem, zasilając ją artykułami, nie mogłem już pisywać do niej; dziennik stał się organem wyraźnie wrogim Litwie. „Gazeta Krajowa" stała się wyrazem tzw. Komitetu Polskiego w Wilnie, który z Ignacym Turskim na czele zajmował stanowisko wyraźnie antylitewskie i pokładał nadzieje tylko w powrocie Polaków i Polski. Dopiero znacznie później dociekłem, że jedną z głównych sprężyn tej ewolucji Ludwika Abramowicza w „Gazecie Krajowej" były pieniądze, ofiarowane mu na wydawnictwo przez Polskie Biuro Informacyjne w Kownie; na mocy układu Biuro Informacyjne podjęło się finansowania czy też tylko subsydiowania „Gazety Krajowej", stawiając jej oczywiście pewne wymagania kierunku. Ludwik, któremu już zapewne dno wyglądało w worku, przyjął warunki, tym bardziej, że stanowisko Polaków kowieńskich było także *sui generis* „krajowe", a duch przekorności Ludwika dokonał reszty i pchnął go całą siłą pary do opozycji antylitewskiej o zacięciu prowokacyjnym. Wkroczenie Żeligowskiego do Wilna i zwłaszcza kombinacja „Litwy Środkowej" przyjęta została przez Ludwika Abramowicza w „Gazecie Krajowej" entuzjastycznie. „Gazeta Krajowa" stała się na razie prawie że organem pierwszej „Tymczasowej Komisji Rządzącej"[596]. Gdy wkrótce powstała i rozwinęła się prasa polska w Wilnie, „Gazeta Krajowa" stała

---

[596] Tymczasowa Komisja Rządząca powołana została 12 X 1920 r. przez gen. L. Żeligowskiego w charakterze organu władzy wykonawczej w Litwie Środkowej. Pod naciskiem okoliczności politycznych podała się 14 I 1921 do dymisji, a jej miejsce zajęła nowa Komisja o bliżej nieokreślonych kompetencjach, nie posiadająca już faktycznie wpływu na los Litwy Środkowej. Obowiązki jej prezesa pełnił Stefan Mokrzecki (pierwszej TKR – Witold Abramowicz).

się antytezą endeckiej, aneksjonistycznej „Rzeczypospolitej”[597], przeciwstawiając się organom kierunku „Straży Kresowej” – „Gazecie Wileńskiej” i „Słowu Żołnierskiemu”[598].

6 września, rok 1921, wtorek
Ludwik Abramowicz liczył oprzeć „Gazetę Krajową” na obozie federalistów, tych, którzy popierali koncepcję „Litwy Środkowej”, to znaczy demokratów i ludowców „Odrodzenia”. Od samego początku jednak widział, jak chwiejną jest „krajowość” tych panów i jak ta rzekoma „państwowość litewska” w ich pojęciach jest karłowatą, daleką od idei niepodległości kraju, jego samodzielności rzeczywistej. Od aneksjonistów endeckich różnili się oni niemal tylko tym, że gdy aneksjoniści żądają podziału Litwy i prostego wcielenia do Polski bez zastrzeżeń Wileńszczyzny, panowie „federaliści” Litwy Środkowej obstają za niepodzielnością Litwy i pragną uczynić z niej podrzędny twór quasi-państowy, przyczepiony w postaci aneksu do mocarstwowego rydwanu Wielkiej Polski. Nie takiej „krajowości” hołduje Ludwik Abramowicz i nie tak pojmuje on państwowość Wielkiej Litwy. W jego koncepcji, która różni się też zasadniczo od narodowej litewskiej, Litwa w granicach możliwie jak najbardziej zbliżonych do historycznych granic W. X. Litewskiego byłaby tworem nie narodowym, lecz wznawiającym dawne dzieło samodzielnej organizacji ziem litewsko-ruskich między Rosją a Polską na zasadach współpracy wszystkich czynników krajowych. Łącząc się w pracy publicystycznej „Gazety Krajowej” z federalistami z obozu demokratów i „Odrodzenia” przeciwko aneksjonistom, pozostał jednak Ludwik w istocie odosobniony. Jak się przeciwstawiał państwowcom litewskim w tym punkcie, że jego Litwa nie miałaby być narodowo-litewską, tak się przeciwstawiał w nim sojusznikom federalistom w tym punkcie, że Litwa ta nie byłaby też Litwą polską. Poza tym, jego przekorność i samotniczy wstręt do zlewania się z popularnymi prądami masowymi coraz bardziej dzieliły go od sojuszników. Rozdźwięk rósł. Federaliści, zorganizowani, silniejsi materialnie, opanowali gazetę. Wreszcie przed kilku miesiącami Ludwik zdecydował się na usunięcie się z redakcji. Z żalem ujrzał się zmuszony porzucić stworzone przezeń pismo w ręce tych, którzy byli silniejsi od niego. Redakcję objął Ludwik Chomiński, u szczytu zaś stoi komitet redakcyjny. „Gazeta Krajowa” w obecnej redakcji jest, jak twierdzi Ludwik, finansowana przez reprezentację Rzeczypospolitej Polskiej w Wilnie, zapewne więc przez Ministerium Spraw Zagranicznych w Warszawie, służące w sprawie wileńskiej organem polityki wschodniej Belwederu. Jej działalność jest przeto służebna i nie płynie ona z samodzielnych założeń krajowych, jeno służy grze politycznej Askenazego w polsko-litewskim procesie toczącym się wobec Trybunału Europy.
Od paru miesięcy Ludwik Abramowicz siedzi na bruku wileńskim bez pracy, rozglądając się i szukając sposobności podjęcia nowego dzieła. Jak mówi w swym liście do mnie Hela Ochenkowska, Ludwik „chwilowo bez zajęcia, ma różne projekty, tymczasem handluje książkami i przesiaduje z Wróblem (Tadeuszem Wróblewskim) – jadowią się obaj na cały świat”.
Łatwym było do przewidzenia, że Ludwik coś wymyśli lub coś znajdzie. W bezczynności nie wytrwa, bo i ambicja nie da mu usiedzieć, i pustki kieszeni wygonią

[597] „Rzeczpospolita” – warszawski dziennik założony w czerwcu 1920 przez Stanisława Strońskiego, związany z chrześcijańską demokracją. W pierwszych latach istnienia (do 1924 r.) „Rzeczpospolita” należała do czołowych dzienników polskich. Wychodziła do stycznia 1932 r.
[598] „Słowo Żołnierskie” – brak bliższych danych o tym piśmie. J. Bełcikowski, *Stronnictwa, partie, unie, federacje, kluby polityczne na ziemiach polskich i ich programy w r. 1921*, Warszawa-Lwów 1921, s. 6, wymienia „Słowo Żołnierskie” jako poprzednika organu PZL „Odrodzenie” pt. „Słowo Wileńskie”..

go znów na arenę działania. Już przed paru dniami wspominał mi Jonynas, że w długiej, 9 godziny trwającej rozmowie z Ludwikiem Abramowiczem – bodajże u Tadeusza Wróblewskiego – mocno namawiał go do rozpoczęcia nowego wydawnictwa. Że Jonynas nie mógł go do innego wydawnictwa namawiać, jak tylko takiego, które może się przyczyniać do szerzenia idei państwowej litewskiej (litewskiej przynajmniej krajowo, skoro nie narodowo), to oczywiste. Że namawianie to nie mogło być tylko platoniczne i że musiały mu towarzyszyć pewne oferty materialne subsydium czy kredytów, nietrudno się domyślić. Już z tego, co mi mówił Jonynas jeszcze przed otrzymaniem przeze mnie wczorajszego listu Ludwika, zrozumiałem, że Jonynasowi i Michałowi Biržišce wraz z Tadeuszem Wróblewskim chodziłoby o to, aby w Wilnie mógł powstać organ prasy polski o kierunku państwowym litewskim. Wydawana w Wilnie w języku polskim prasa Michała Biržiški jest jednak prasą litewską, redagowaną i wydawaną przez Litwinów jako organ propagandy. Nie może ona zastąpić braku organu „krajowego" polskiego, wydawanego przez Polaków stojących na stanowisku państwowym Litwy. Zapełnieniu tej luki miałoby służyć pismo wydawane przez Ludwika Abramowicza. Z wczorajszego listu Ludwika przekonałem się, że rzecz ta dochodzi do skutku. Ludwik rozpoczyna wydawnictwo tygodnika ilustrowanego pod nazwą „Pogoń". Ludwik jest zanadto rozumny i zanadto dba o swoje stanowisko publicystyczne i wpływy, aby miał za pieniądze litewskie redagować pismo takie, jakie mu podyktują Litwini. Jego pismo będzie autonomiczne, będzie się różniło od narodowego stanowiska litewskiego, będzie nawet zapewne nieraz ostro krytykowało politykę kowieńską i polemizowało z Litwinami. Litwini tego się z pewnością nie boją. Biržiška jest zbyt rozumny, aby nie uświadamiał sobie, że to jeno będzie atutem i nie zaszkodzi pisma tak, jak by zaszkodziło samo chwalenie bezkrytyczne Litwinów. Chodzi tu najbardziej o cel propagandy samej, zasady państwowości z łona społeczeństwa polskiego i o moment manifestacyjny ten, że w Wilnie jest organ Polaków-państwowców Litwy

7 września, rok 1921, środa
Dla charakterystyki zamierzeń Ludwika Abramowicza i zakładanego przezeń pisma zacytuję wyciąg z jego listu do mnie:
„...postanowiłem przystąpić znów do warsztatu publicystycznego. Tym razem będę wydawał tygodnik ilustrowany p.t. „Pogoń". Będzie to wydawnictwo o wyraźnym charakterze politycznym, propagujące ideę niepodzielności i niezależności Wielkiej Litwy, czyli hołdujące, innymi słowy, programowi krajowości i zbliżeniu powaśnionych narodowości, kraj nasz zamieszkujących. Nie godząc się całkowicie z polityką rządu litewskiego i tym bardziej z kursem nacjonalistycznym społeczeństwa litewskiego, nie mogę jednak zamykać oczu na dodatnie strony pracy państwowotwórczej litewskiej. Pismo będzie więc starało się o obiektywne oświetlanie wypadków po tamtej stronie kordonu. Z drugiej strony również, zwalczając wszelką zachłanność czy w tej, czy w innej formie państwa polskiego w stosunku do Litwy, „Pogoń" będzie podkreślała wszelkie momenty samodzielności tutejszego społeczeństwa, traktując je nie z punktu widzenia narodowego polskiego, lecz krajowego, a więc uwydatniając również życie miejscowych Litwinów, Białorusinów i Żydów. Mając zapewnione środki na czas pewien, nie będę się potrzebował liczyć z opinią i wdawać w kompromisy kosztem moich przekonań. Dla zainteresowania jednak szerszych kół czytelników wprowadzam ilustracje, które mają obrazować zarówno teraźniejszość, jak przeszłość tego kraju.
Stałym współpracownikiem będzie oczywiście p. Helena (Hela Ochenkowska; przyp. mój), dorywczym być może Czesław Jankowski, poza tym rachuję na referentów

litewskiego, białoruskiego i żydowskiego. Ponieważ jednym z zadań „Pogoni” będzie dążenie do zatarcia sztucznej granicy, dzielącej obecnie Wileńszczyznę od Kowieńszczyzny, chciałbym bardzo dawać w każdym numerze informacje o życiu w Republice Litewskiej i pod tym względem rachuję na Ciebie. Nie tyle mi chodzi o artykuły programowe, teoretyczne, ile informacyjne, oświetlające stosunki, wypadki i osoby działające w Litwie Kowieńskiej. Artykuły mogą być krótkie, ale rzeczowe. Np. Sejm Litewski z charakterystyką głównych ugrupowań i wybitnych działaczy, Rada Miejska w Kownie, oświata etc. Koniecznymi będą tylko fotografie lub dobre ryciny... Bądź tylko łaskaw wynaleźć jakiegoś fotografa, który by się podjął dostarczania zdjęć... W pierwszym rzędzie pragnąłbym otrzymać widoki: ogólny Kowna..., gmachu sejmowego, wizerunki Gałwanowskiego, Stulgińskiego, Griniusa, generała Żukowskiego, Ślażewicza, Krupowicza, Voldemarasa, Grajewskiego, ks. Lausa i Snielewskiego oraz innych osób, które będziesz uważał za wskazane. Pożądane są również zdjęcia typów i scen charakterystycznych – zawsze z dołączonym krótkim objaśnieniem, datami, danymi biograficznymi itp. Liczę na Ciebie, że weźmiesz do serca moje przedsięwzięcie i dopomożesz mi w mej pracy... Ponieważ pierwszy numer zamierzam wydać w końcu września, a muszę mieć zapas w tece, by przystąpić do wydawnictwa, nie potrzebuję podkreślać, że pośpiech jest bardzo pożądany. Okazje, zdaje się, nie są zbyt rzadkie – komunikować się więc będziemy mogli stale, listy do mnie przysyłaj na ręce Michała Biržiški... Może znajdziesz jeszcze jakich współpracowników odpowiednich – upoważniam Cię z góry do ich angażowania. Chciałbym w przyszłości również mieć artykuł o literaturze litewskiej z podobiznami sławniejszych autorów, to samo o prasie, fotografie biskupów Karewicza i Karasia, obecnej jego rezydencji, Sejn itd. Sam zresztą, jako po części dziennikarz, doskonale się będziesz orientował, co pismu może się przydać w zakresie propagandy wzajemnego poznania się...”.
Zaiste – informacje w postaci ilustracji są najlepszym narzędziem zainteresowania, a więc propagandy. Jest to skuteczniejsze od argumentowania dialektycznego. Poczyniłem już kroki dla gromadzenia dla Ludwika klisz, fotografii i cynkografii. Uruchomiłem do tego młodego sekretarza Komisji dla Spraw Litwy Wschodniej. Przedsięwzięcie Ludwika Abramowicza jest rzeczywiście bardzo użyteczne. Nie wątpię, że wchodzą w to pieniądze litewskie, udzielone zresztą nie na kupienie i ujarzmienie Ludwika, lecz do jego rozporządzenia. Ojcami chrzestnymi wydawnictwa są: Jonynas, Michał Biržiška i Tadeusz Wróblewski. Gdym Jonynasowi odczytał list Ludwika, ucieszył się bardzo, a na moje zapytanie, skąd Abramowicz może mieć na to pieniądze i wyrażone przypuszczenie, że od Biržiški, Jonynas odrzekł z uśmiechem, że i on tak sądzi. Zaraz też Jonynas pożyczył ode mnie ten list na jeden dzień; z pewnością pokazywał go Griniusowi czy Puryckiemu, referując swoje i Biržiški dzieło i motywując potrzebę kredytów na ten cel. Zresztą Ludwik Abramowicz ze swoim uporem przekory może spłatać różne niespodzianki Litwinom. Ale w każdym razie co zrobi przez swoje ilustracje dla propagandy – to już nie zginie.

8 września, rok 1921, czwartek
Dziś święto, w Trybunale nie było zajęć. Pomimo to pracowałem tam przez kilka godzin przed i po obiedzie, bom w ciągu dni ubiegłych zaniedbał pracę, a mam zaległości wyroków do motywowania i muszę się przygotować do spraw wyznaczonych mi do referowania na posiedzenie sądowe sobotnie, jutro zaś mało zapewne będzie czasu, bo ma się odbyć posiedzenie gospodarcze. Jednak naszą pracę sędziowską w Trybunale można nazwać krwawą, bo w sprawach dochodzących z Sądu Armii od wyroków śmierci roi się. Z pięciu spraw wyznaczonych mi na sobotę do referowania w

dwóch natrafiłem na wyroki śmierci. Jedna z nich jest kasacyjną, chodzi o morderstwo między włościanami, dokonane przez zemstę o bagatelę, o jakąś kłótnię karcianą. Druga jest bolszewicką, będzie rozpoznawana w trybie apelacyjnym; spośród sześciu oskarżonych o należenie do partii komunistycznej i przygotowywanie powstania zbrojnego – dwóch jest skazanych na śmierć, w ich liczbie znany komunista szawelski Balvočius, który był już raz w analogicznej sprawie skazany na śmierć, lecz na skutek forsownych zabiegów esdeków – ułaskawiony przez prezydenta Republiki. W sprawach kasacyjnych wyrok śmierci mniej mi ciąży, bo tam nie widzę oskarżonego, który na rozprawę nie jest wzywany i tam Trybunał wyroku nie wydaje, jeno bądź odrzuca skargę kasacyjną, o ile nie ma zasad formalnych do jej uwzględnienia, bądź wyrok kasuje. Tam więc nie my orzekamy karę śmierci, jeno mamy do czynienia z wyrokiem innego sądu. Natomiast w trybie apelacyjnym my musimy wyrok wydać. Na rozprawie też apelacyjnej są obecni oskarżeni. Ba, podam głos przeciwko karze śmierci, za karą ciężkiego więzienia bezterminowego, jeżeli więc zapadnie wyrok śmierci, to nie moim głosem. Zresztą nie jest wykluczone, że sprawa zostanie odroczona. W każdym razie, kwestia tych wyroków śmierci ani w drobnej części nie działa na mnie tak, jak działały te wyroki w sądzie doraźnym w Łomży.
Napisałem dziś dwa artykuliki dla dziennika „Litwy", jeden pod tytułem „Morze" i drugi pod tytułem „Kłajpeda". Žemaitisa nie ma, nie wrócił jeszcze z wakacji, więc redakcja tego pisemka, jak stado bez pasterza, jest zrozpaczona, bo sama podołać nie może; błagano mię więc z redakcji, bym cośkolwiek napisał. Nie mogłem jednak na nic innego się zdobyć, jak na artykuły o morzu i Kłajpedzie, choć sprawa wileńska jest w stadium najaktualniejszym i choć dziś właśnie ogłoszony został w „Lietuvie" tekst projektu Hymansa w nowej redakcji[599], wraz z tzw. „protokółem", co stanowi podstawę do rozstrzygnięć rozpoznawanej obecnie w Gienewie tejże sprawy. Pomimo to i pomimo że „Litwa" jest właśnie pisemkiem litewskim bojowym o Wilno, obrałem rozmyślnie tematy „obojętne", właściwie w kwestii wileńskiej neutralne i nie dotyczące wcale sporu polsko-litewskiego. Uczyniłem to dlatego, że wobec tonu nieraz bardzo przykrego „Litwy" w zatargu polskim nie chcę i nie mogę jako Polak mieszać moich słów do tej waśni i przemawiać tak, jak przemawiają publicyści tego pisma, a co do projektu Hymansa – to choć nie trafia mi on do przekonania i pod wielu względami nie zadawala mię, jestem osobiście tego zdania, że dla rozwiązania wreszcie tego węzła gordyjskiego należy go przyjąć Litwie. Wobec atutów, jakimi są, bądź co bądź, odzyskanie Wilna na rzecz państwowości litewskiej, międzynarodowe uznanie Litwy i prawdopodobieństwo pozyskania za tę cenę Kłajpedy – uważam, że niedoskonałości tego projektu bledną, a w wykonaniu nie okażą się tak niebezpieczne, jak się zdawać mogą. Ale nie wiem, czy moja opinia odpowiadałaby intencjom wydawnictwa, którego redaktor jest nieobecny, a wreszcie nie jestem zupełnie pewny mego stanowiska i miewam wątpliwości co do tego, czy osobista polskość moja nie tłumi we mnie odporności instynktu niepodległościowego Litwy, który u Litwinów może być silniejszy i może trafniej czasem sądzić rzeczy dotyczące stosunku do Polski. Dlatego nie chciałem o tym pisać.

9 września, rok 1921, piątek
Wrócił Žemaitis z urlopu. O godz. 1 ½ odbyło się zwołane przez niego krótkie posiedzenie Komisji do Spraw Litwy Wschodniej. Dłuższe posiedzenie odbędzie się w

[599]Przedłożony przez Paula Hymansa w dniu 3 września 1921 r. nowy (drugi) projekt rozwiązania kwestii polsko-litewskiej zakładał, podobnie jak pierwszy, zorganizowanie Litwy jako państwa złożonego z dwóch kantonów, ale rezygnował z zasady konfederacji Polski i Litwy, proponując w jej miejsce konwencje między obu krajami.

poniedziałek. Wtedy Žemaitis zreferuje nam o dzisiejszej konferencji Rady Ministrów z udziałem *leaderów* stronnictw sejmowych, zwołanej dla wysłuchania relacji Naruszewicza, który przyjechał z Genewy dla porozumienia z rządem. Žemaitis został też zaproszony na tę konferencję. Odbędzie się tam narada nad sytuacją i prawdopodobnie zapadną decyzje co do stanowiska, jakie Litwa zajmie wobec nowej redakcji projektu Hymansa i wniosków Ligi Narodów w sprawie wileńskiej. Naruszewicz, poseł litewski w Anglii, członek delegacji litewskiej w Genewie dla sprawy wileńskiej, przyjechał umyślnie dla złożenia rządowi relacji i ustalenia instrukcji. Zapewne dużo będzie zależało od tego, jak rzecz przedstawi Naruszewicz. W opinii litewskiej kół sejmowych i rządowych usposobienie jest dla wniosków Hymansa niechętne, ale na ogół koła te przez karność, która jest u Litwinów dość rozwinięta, unikają jeszcze formułowania jakichkolwiek sądów kategorycznych, dopóki sprawa się nie wyjaśni w relacji Naruszewicza i w decyzjach konferencji poufnej. Tylko opozycja występuje otwarcie z kategorycznym odruchem przeciwko kombinacjom genewskim. Opozycja z lewicy sejmowej w osobie frakcji esdeckiej podaje w tej materii dłoń opozycji z prawicy pozasejmowej, uosobionej w organie „Pažangi” – „Lietuvos Balsas” i kierowanej przez wodzów prawicy Voldemarasa i Smetonę. Esdecy zgłosili dziś w Sejmie interpelację w tej kwestii, traktującą kombinacje genewskie jako zamach na niepodległość Litwy i zażądali uznania nagłości interpelacji, co też Sejm uchwalił. Dyskusja nad interpelacją rozwinie się prawdopodobnie we wtorek. Do tego czasu rzecz się zapewne wyklaruje w konferencjach z Naruszewiczem i rząd wraz z grupami większości sejmowej zapewne dojdzie do pewnych wniosków. Sądząc z usposobienia, trudno przypuścić, aby kombinacje genewskie były zaakceptowane, ale odrzucenie ich utrudniłoby wielce pozycję Litwy wobec Ligi Narodów w rozwiązaniu sprawy wileńskiej. Zresztą wpływ Naruszewicza prawdopodobnie dużo zaważy. Jakim on będzie – nie wiem jeszcze. Zanotuję tylko, że Naruszewicz był właśnie tym człowiekiem, który skłonił rząd litewski po odmowie lipcowej wznowienia rokowań brukselskich z Polską do rejterady i wkroczenia znów na tory kompromisu w postaci przyjęcia propozycji Hymansa dotyczącej przyjazdu do Genewy dla zastanowienia się nad usunięciem przeszkód do kontynuowania rokowań. Naruszewicz działał wtedy jako rzecznik inspiracji angielskich; Anglia bowiem kładła nacisk na Litwę, by szła ona na ustępstwa w sprawie wileńskiej w myśl wskazań Ligi Narodów, wykonywanych przez Hymansa. Z opinią Anglii Litwa się liczy nade wszystko, szukając i w polityce angielskiej oparcia. Czy i teraz Naruszewicz przywozi pewne wskazówki polityki angielskiej i w jakim kierunku, to się okaże.
Inna sprawa, o której poinformował nas Žemaitis, dotyczy wniosków lipcowych naszej Komisji w przedmiocie ustalenia zasad programu polityki państwowej litewskiej względem Wileńszczyzny i zasad zarządu tej dzielnicy. Wtedy, jak wspominałem, zdaje się, w dzienniku, postanowiliśmy rzecz tę omówić przede wszystkim na zwołanym *ad hoc* zebraniu działaczy społecznych, które ze względów technicznych odroczyliśmy do okresu powakacyjnego. Otóż teraz z Wilna przysłano do Ministerium Spraw Zagranicznych projekt (zarys) statutu administracyjnego Litwy, zbudowanego na zasadach decentralizacji i autonomii dzielnicowej. Ministerium przekazało rozpoznanie tego projektu specjalnej komisji prawniczej, do której zaprosiło Janulaitisa, Leonasa, jednego z adwokatów Żydów świeżo przybyłego z Rosji i starego Rozenbauma, prezesa Rady Żydowskiej. W nawiasach nadmienię, że zastanawiająca i dziwna mi się wydaje tendencja stała kół rządowych, a zwłaszcza Ministerium Spraw Zagranicznych, do uwzględniania poza Litwinami tylko Żydów, pomijając Białorusinów i takich przychylnych Litwie Polaków, jak ja, nie mówiąc o innych Polakach. Komisja ta odbyła jedno posiedzenie wczoraj i dziś ma się znowu zebrać. Na dzisiejsze zebranie komisji

tej Ministerium wezwało też Žemaitisa. Projekt statutu, nakreślony szkicowo, pochodzi od kół litewskich w Wilnie i sympatyków litewskich (zapewne kół Biržiški i może z udziałem p. Tadeusza Wróblewskiego?). Poleciliśmy Žemaitisowi, by nalegał na to, aby komisja prawnicza, o ile tylko nie jest to robota dla użytku delegacji genewskiej, wymagająca śpieszności terminowej ze względu na wyjazd Naruszewicza, nie decydowała tej rzeczy samodzielnie, dopóki my nie poddamy tej kwestii pod rozwagę czynników społecznych.

10 wrześni, rok 1921, sobota
Do godz. piątej po południu byłem zajęty na posiedzeniu sądowym Trybunału, nie mogłem więc zasięgnąć dokładnie języka o tym, co wczoraj zostało ustalone na konferencji rządu i kół sejmowych z Naruszewiczem. Jednak o godz. 5 na obiedzie w Klubie Litewskim zastałem jeszcze spóźnionego Žemaitisa, a potem widziałem się z ministrem spraw białoruskich Siemaszką. Troszeczkę więc zmiarkowałem, jak rzeczy stoją, zwłaszcza w związku z krótkim wywiadem dziennikarskim u Naruszewicza, opublikowanym w urzędowej „Lietuvie". Zdaje się, że Naruszewicz przekonywał o konieczności drogi kompromisu i poparł to argumentami przekonywującymi. Elementy niechętne projektowi Hymansa nie odważają się bronić pozycji nieprzejednanej i zdają się być skonsternowane. Sam Žemaitis do nich należy. Na osłodę zresztą gorzkiej pigułki ustępstw w sprawie wileńskiej uwydatniane jest to, że za cenę nagięcia się do pewnych nieprzyjemnych postulatów w sprawie wileńskiej Litwie przyznano by Kłajpedę, przyznano by Litwę, jako państwo niepodległe, *de jure* i przyjęto by ją do Ligi Narodów za członka. Są to istotnie atuty pierwszorzędne dla Litwy, które by jej stanowisko międzynarodowe wzmocniły znakomicie. Litwa z Kłajpedą i Wilnem, choćby kantonalnym, przyjęta w poczet państw europejskich i formalnie zsolidaryzowana z Polską w każdym razie byłaby przynajmniej o wiele lepiej zabezpieczona od rewindykacji Rosji, która niewątpliwie nastąpić musi. To postawiłoby ją w warunki lepsze międzynarodowe od Łotwy i Estonii i państwo litewskie posiadłoby takie elementy dla rozwoju, jakich mieć nie może pozostając w obecnych granicach kowieńskich. Można zarzucić, że formalne zsolidaryzowanie Litwy z Polską, narzucone jej, w pewnej mierze uszczupla jej niepodległość, wprzęgając ją w pewien system polityczny międzynarodowy i ograniczając pod tym względem jej swobodę decyzji. To jest dla młodego narodu litewskiego, rozkochanego w osiągniętej niepodległości, bardzo bolesne. Zresztą tymczasem jeszcze, jak się zdaje, Litwa nie przyjmuje w całej rozciągłości projektu Hymansa. Projekt ten jest przyjmowany tylko za punkt wyjścia dla rokowań litewsko-polskich pod kierunkiem Hymansa. Litwa wysunie swój kontrprojekt, który podobno ma być redagowany w zastosowaniu do projektu Hymansa w ten sposób, że w szkielecie projektu Hymansa Litwa dla każdego artykułu zredaguje brzmienie takie, jakie by jej dogadzało. Przypuszczam, że i Polska to ze swej strony uczyni. Rezultat, jeżeli się jeszcze sprawa w dalszym toku nie zerwie, będzie zapewne kompromisem między projektem Hymansa a kontrpropozycjami stron. Prawdopodobnie kompromis ten nie odbiegnie zasadniczo od głównych tez Hymansa. Projekt Hymansa oddaje Litwie tzw. korytarz wilejsko-dziśnieński, ale za to odcina od niej Grodno, przeciwko czemu Litwa oponuje. Pomimo organizacji kantonalnej dla Wilna, projekt Hymansa utrzymuje Sejm wspólny ogólnopaństwowy i stolicę państwa w Wilnie, które przeto będzie siedzibą władz państwowych i Sejmu centralnego. Moim zdaniem, życie samo dokona z biegiem czasu poprawek do organizacji kantonalnej Wileńszczyzny i stosunku jej do państwa. Obawiać się zbytnio niedoskonałości zaprojektowanej budowy nie należy. Druga rzecz, której się Litwa obawia bodaj więcej, niż kantonalności wewnętrznej, to formalny stosunek do Polski, polegający na

konwencji wojskowej i na pewnych organach wspólnych dla polityki zagranicznej i ekonomicznej. To są rzeczy rzeczywiście niebezpieczniejsze ze stanowiska niepodległości, ale mechanizm tego stosunku jest tak skomplikowany, że działanie jego tam, gdzie nie będzie zbiegu woli obydwóch stron, będzie bardzo problematyczne i więcej papierowe, niż istotne. Dałby Bóg, żeby sprawa zbliżyła się wreszcie do rozwiązania i jak najlepiej dla Litwy. Jednak samo ewentualnie zawarcie układu nie zażegna jeszcze, jak różdżką czarodziejską, wszystkich kwasów, uprzedzeń i pierwiastków nienawiści, które się nagromadziły w stosunku polsko-litewskim wewnątrz Litwy. Jeszcze i z łona samego Wilna różne mogą być wyskoki reagowania na zawierany kompromis.
W dzisiejszym posiedzeniu sądowym Trybunału osią był wielki proces bolszewicki Balvočiusa i towarzyszy. Ja głosowałem przeciwko karze śmierci dla Balvočiusa, ale większością głosów utrzymano dlań tę karę. Co do drugiego ze współoskarżonych, który też miał wyrok śmierci, złagodziliśmy mu karę na bezterminowe ciężkie więzienie. Zresztą prawdopodobnie Balvočius, który ma licznych protektorów, zostanie ich staraniami ułaskawiony przez prezydenta w drodze zamiany kary na inną. Ciekawe jest, że nikt nie jest tak wściekły na bolszewików i tak gwałtownie nie domaga się kary śmierci w procesach bolszewickich, jak Janulaitis, który dotychczas jest esdekiem partyjnym, choć coraz dalej od towarzyszy swoich odchodzi.

11 września, rok 1921, niedziela
Kowno katolickie obchodziło dziś uroczyście 500-letnią rocznicę założenia diecezji żmudzkiej[600]. W katedrze, która bullą papieską podniesiona została do godności bazyliki – wielka pompa i wspaniałe uroczystości; na ulicach procesje pobożne.
Sam nie wiem, czy niezbyt pośpiesznie skłonny byłem żywić optymizm co do perspektyw szczęśliwego rozwiązania sprawy wileńskiej. Tyle razy nadzieje zawiodły, tyle razy wszelkie szanse spaliły na panewce. Sprawa ta, jak błędne koło, toczy się wciąż bez żadnego rozwiązania, a w chwilach, kiedy zdaje się zbliżać do jakiegoś statecznego kresu, wywraca nagle koziołki i toczy się we wręcz przeciwnym kierunku, zawadzając ciągle o przeszkody i zastrzeżenia bądź jednej, bądź drugiej strony. W litewskiej opinii publicznej nastrój jest bardzo niewyrobiony. Kombinacje genewskie, przyjazd Naruszewicza, zbliżanie się chwili stanowczej, kiedy trzeba powziąć jakieś decyzje, niepewność sytuacji, brak jakichś mocnych punktów oparcia dla tego, czego pragnęliby Litwini – wywołują stan nerwowy opinii, który nie sprzyja przedmiotowości. Może się on udzielić Sejmowi, a przez Sejm podziałać na rząd i wpłynąć na stanowisko delegacji litewskiej w Genewie. Litwini są między młotem a kowadłem. Boją się rozwiązań w myśl zasad projektu Hymansa, a z drugiej strony nie widzą jasno środków do stania się zadość ich życzeniom. Nęci ich zapewne obietnica Kłajpedy i uznania *de jure*, przyjemną się wydaje perspektywa jakiejś wreszcie stałości i równowagi pokojowej, ale z drugiej strony drażni połowiczność posiadania Wilna kantonalnego i niepokoi nade wszystko sfinks „związku" z Polską. Trudno się dziwić obawom Litwinów pod tym względem. Po wiekach unii z Polską, tej unii, która była doprowadziła Litwę do podrzędnego stanowiska prowincji i wynarodowiła jej stany wyższe oraz wielką połać kraju ze stolicą, i po wieku niewoli rosyjskiej, zaświtała jej zorza niepodległości, w której wreszcie Litwini poczuli się panami siebie, swobodnymi w decyzjach swoich. I oto zły los tak znowu układa stosunki, że jedynym wyjściem staje się znowu obroża. Obrożą bowiem jest bądź co bądź ów związek z Polską, owo

[600] 11 IX 1921 mijało 500 lat od utwierdzenia bytu diecezji żmudzkiej bullą protekcyjną Marcina V. Diecezja powołana została do życia przez sobór w Konstancji w 1417 r., a więc w 1921 r. przypadała w istocie 503 rocznica jej założenia.

sprzężenie się z nią konwencjami i organami wspólnymi. Zamiast swobodnej i niczym nie skrępowanej decyzji jest predestynacja pewnego kierunku. Czyżby ta chwila swobodna w dziejach Litwy miała być tak krótka! Czyżby ten dzień słoneczny, który zdawał się być dniem wiosny, był tylko krótkim dniem zimowym, po którym znowu zmrok zapadnie nad Litwą! Litwini boją się, że ten nowy związek z Polską w zmodyfikowanej postaci stanie się punktem wyjścia do ponownego zniewolenia Litwy, jak kiedyś w długim międzyczasie dziejowym od Jagiełły do Unii Lubelskiej. Jak wtedy magnaci litewscy bronili uparcie odrębności Litwy przeciwko unitarnym dążeniom Polski, aż wreszcie ulec musieli fatalistycznym koniecznościom wypadków, a w końcu sami tak dalece się roztopili w tej Polsce, że już dziś ich potomkowie w Litwie z czynnika oporu stali się czynnikiem niewolenia i dalszego forsowania polonizacji, tak współcześni Litwini bronią się i przeciwstawiają wiązaniu kraju z Polską, ale jeżeli dziś ulegną, to czy nie stanie się z ich potomkami to, co się już stało kiedyś ze szlachtą litewską i czy nie będzie to już przeto ostatni zmierzch Litwy, z którego się już ona nie dźwignie nigdy więcej i nie odzyszcze tych warunków wolności i swobodnej decyzji, jakie miała w krótkim okresie lat 1919-1921! Te dumy przepełniają serca litewskie w związku z sytuacją, jaka się wytworzyła i perspektywami rozwiązań, które stają przed nią. Co do mnie jednak, to wierzę, że nic już nie złamie Litwy bytu i niepodległości, odkąd dokonało się jej odrodzenie z łona ludu. Choćby nawet Litwa czasowo miała jeszcze tę niepodległość stracić, to nie ustanie w wysiłkach, aż wróci do niej. Ta Litwa, która jest obecnie, inną jest bowiem od Litwy z wieków XV-XVI, Litwy przeważnie ruskiej, Litwy jako tworu konkurencji z Moskwą, a zwłaszcza – nie ludowej i nie narodowej w tym znaczeniu, jakie zjawisku narodowości nadał wiek XIX. Współczesne zjawisko narodowości jest zjawiskiem nowym, nieodłącznym od zjawiska demokracji i bardzo różnym od zjawiska narodowości w wiekach ubiegłych. O narodowości można powiedzieć jak o ludziach: „*tempora mutantur et nos mutamur in illis*”[601].

12 września, rok 1921, poniedziałek
Zbieram klisze dla Ludwika Abramowicza. Zajmuje mi to czasu dużo. Zbiór klisz muszę uzupełnić dobraniem fotografii, a następnie wypadnie jeszcze klasyfikować i systematyzować materiał i zaopatrywać klisze i fotografie notatkami informacyjnymi. Na pracę sędziowską w Trybunale, na redagowanie wyroków motywowanych i studiowanie spraw, muszę łowić chwile czasu „ukradkiem”.
Tragiczną jest sytuacja Litwy. Staje ona wobec rozwiązań sprawy wileńskiej takich, które są sprzeczne jej ideałowi; jest popychana do nich siłą wypadków, logiką niezłomną konstelacji międzynarodowych i własnych konieczności bytu państwowego. Idzie, pchana wbrew woli, świadoma fatalizmu, w poczuciu, że się oprzeć nie zdoła. Jest w usposobieniu Litwinów, decydujących się na kombinacje genewskie, coś żałobnego, coś, co się zdaje być pogrzebem najświętszych Litwy tęsknot. Jeszcze rzecz się nie stała, jeszcze dopiero rozpoczną się rokowania, ale już instynkt powiada, że klamka zapada i że rozstrzygnięcie jest predestynowane. Mówi to nie tylko instynkt, ale wymowa argumentów międzynarodowych, które zreferował Naruszewicz. Z ciężkim sercem, z żałobą w uczuciach – Litwa odważa się na odpowiedź twierdzącą, która musiała już być dziś zakomunikowana w Genewie. Tę bolesną robotę spełnia rząd. Decyzja jego zapadła w porozumieniu ze stronnictwami rządowymi Sejmu, ale charakterystycznym jest, że gdy przyszło do wyznaczenia ludzi, którzy by pojechali do Genewy dla uczestniczenia w delegacji, która ma prowadzić rokowania i doprowadzić do końca wiadome z góry dzieło i gdy rząd zechciał, aby skład delegacji, do której należą obecnie Gałwanowski, Naruszewicz i Miłosz, został uzupełniony elementem

[601] „*Tempora mutantur...*” – „Czasy się zmieniają i my zmieniamy się wraz z nimi”.

społecznym, żadne stronnictwo nie dało swoich ludzi i nikt z działaczy społecznych nie zgodził się jechać. Żadne stronnictwo nie chce formalnie brać na siebie odpowiedzialności i ewentualnie ohydy podporządkowania Litwy Polsce, nikt z działaczy społecznych nie chce mieszać nazwiska swego do podpisów pod spodziewanym aktem. Całą więc odpowiedzialność formalną musi ponosić rząd. Z nowych osób pojechał do Genewy jeszcze Klimas, wiceminister spraw zagranicznych, więc także agent rządu. Jutro zapewne odbędzie się w Sejmie debata nad interpelacją esdeków, którzy zrozumieli niepopularność sprawy i wystąpili przeciwko niej stanowczo, przez to samo z góry odseparowując się od współodpowiedzialności. Fakt, że nie należą oni do bloku rządowego, ułatwiał im tę drogę, toteż w przyszłości nie będą oni wobec narodu obarczeni ciężarem tej sprawy. Opozycja prawicowa pozasejmowa, kierowana przez Smetonę i Voldemarasa, dawno już prowadzi kampanię przeciwko rządowi i Sejmowi na tym punkcie. Stronnictwa większości – chrześcijańscy demokraci i socjaliści-ludowcy – są w położeniu trudnym. Na razie wybrną zapewne frazesem niepętania rządu w chwili tak trudnej unikając meritum i nie przyznając się do sankcji swojej, to znaczy umywając ręce. Ale przyjdzie czas, że trzeba będzie albo dać sankcję, albo odrzucić dzieło dyplomacji i rządu. Jak wybrną one wtedy i czy wybrną? Czy przyjmą odium na siebie, czy potępią dzieło, które rząd z ich ramienia robił i znowu przeto całą rzecz w nicość obrócą z kompromitacją dla Litwy, czy też Litwa stanie wobec konieczności referendum ludowego przez odwołanie się do nowych wyborów? Tymczasem u Litwinów konsternacja i przygnębienie. Nie sprawa kantonu wileńskiego ich straszy, ale sprawa związku z Polską, sformułowana w ten sposób nieokreślony, że w razie rozbieżności zdań decydować będzie arbiter trzeci. Ten arbiter trzeci będzie naginał Litwę do tego, co będzie sprzeczne z jej interesami, bo w arbitrażu mocarstw stosunki siły i polityki wielkich potęg będą decydujące, a Polska jest, jak wiadomo, ekspozyturą mocarstwowej polityki Francji na kontynencie. Tą drogą Litwa podporządkowana będzie przez arbitraż Polsce, a rzeczą jest wiadomą, że Polsce Litwa jest potrzebna jako droga do morza i że zawsze potrzebie panowania towarzyszy potrzeba asymilacji, potrzeba pochłonięcia, do czego Polska w Litwie ma środków i dróg dużo. Tego się Litwini boją nade wszystko. Przez arbitraż Litwa będzie zmuszona do udziału w wojnach polskich, będzie pełniła rolę służebną wobec polskiego militaryzmu i imperializmu, a przepisy konwencji wojskowej, przewidziane w projekcie Hymansa, oddają armię litewską w czasie wojny, którą dekretować będzie arbitraż, do dyspozycji wspólnego dowództwa, które oczywiście będzie w praktyce polskim. Że układ taki nie zakończy sporu litewsko-polskiego, lecz utrwali walkę litewsko-polską, w której z jednej strony chodzi o niepodległość Litwy, z drugiej – o uczynienie z niej służebnicy polskiej – to fakt. Ale ja osobiście mam wiarę, że w tej walce, mimo trudnych dla Litwy warunków, zwycięży sprawa litewska. Czynnik litewski z białoruskim w samej Wileńszczyźnie, nie mówiąc o Kownie, stworzy wał rosnący, na którym się będzie zakładać samodzielność kraju.

13 września, rok 1921, wtorek
Zdaje się, że kryzys jest coraz ostrzejszy. Dzisiejsze posiedzenie sejmowe, na którym minister spraw zagranicznych Purycki miał udzielić odpowiedzi na interpelację socjalnych demokratów, zostało odroczone. Zdaje się, że główne stronnictwo większości – chrześcijańscy demokraci – i rząd chcą zyskać na czasie. Drugie zaś stronnictwa zespołu większości rządowej – socjaliści-ludowi – jeszcze nie ustaliły w swej frakcji ostatecznego stanowiska swego wobec kombinacji genewskich. I rząd, i stronnictwa rządowe w Sejmie boją się tej debaty nad interpelacją esdecką i nie odważają się na grę w karty otwarte. Nie chodzi o samo środowisko sejmowe, bo w nim

sami chrześcijańscy demokraci, mając większość bezwzględną, mogą przeforsować, co się im zechce. Tu jednak chodzi już o grę większą, o odpowiedzialność wobec kraju całego. Zwycięstwo w murach sejmowych może być pyrrusowym, może ono być porażką wobec kraju całego, kompromitacją i wyrokiem śmierci politycznej dla większości sejmowej i samego Sejmu. I rząd, i stronnictwa większości boją się przyznać do tego, do czego prowadzą kombinacje genewskie, boją się powiedzieć, że akceptowali to, co się stać musi na drodze, na którą Litwa w Genewie wchodzi. Sami nie są dobrej myśli i nie chcieliby tego, do czego się idzie, ale nie widzieli wyjścia innego. Boją się gniewu i burzy w narodzie. A gniew ten kipi i narasta. Opinia publiczna litewska z dnia na dzień coraz ostrzej i jaskrawiej podnosi się jak fala rosnąca w biegu, skupia się, konsoliduje, dźwiga z pierwotnego przygnębienia i wzbiera odruchem protestu. Konsternacja, która panowała przed kilku dniami, ustępuje miejsca tonom coraz bardziej stanowczym. Dziś jest jeszcze szmer, ale szmer ten rośnie, a jutro wyrosnąć może w krzyk. Opozycja podnosi głos coraz mocniej, świadoma popularności sprawy, którą wyraża i uderza śmiało, bezwzględnie, czując, że żelazo opinii rozpala się i że trzeba je kuć, póki gorące. „Lietuvos Balsas” w artykule wstępnym Smetony stwierdza niezłomną konsekwencję drogi rządowej w sprawie wileńskiej, którą to pismo od początku przewidywało i wytykało i która prowadzi do utraty niepodległości; rzuca groźne słowo, że ci, którzy podpiszą dzieło gotujące się w Genewie, przejdą do potomności z piętnem zdrajców Ojczyzny. Autorowie interpelacji sejmowej, esdecy, stanęli również w szeregu zdecydowanej walki z drogą układów genewskich i odseparowali się bezwzględnie od dzieła dyplomacji rządowej. Opinia publiczna, warcząc głucho, ale coraz głośniej, uderza jednomyślnie w jeden punkt: że najgorsze, co może spotkać Litwę, to zdeptanie jej, zgwałcenie jej niepodległości przemocą, ale że nawet to najgorsze lepszym będzie od dobrowolnego poddania się jarzmu i podpisaniu cyrografu przez rząd i Sejm Litwy. Z przemocą Litwa będzie walczyć, a jeżeli ulegnie, to tylko przez gwałt, ale i wtedy ocali ducha żywego, który ją wcześniej czy później dźwignie; jest to najgorsze, ale i to jest jeszcze lepsze od drogi jarzma dobrowolnego. Opozycja z prawicy i lewicy, solidarna w tym prądzie irredenty bez zastrzeżeń, gotuje się do wielkiej kampanii agitacyjnej. Słychać też, że w wojsku jest zaniepokojenie i poruszenie wielkie, które grozić może wybuchem buntu, sprzysiężenia i dyktatury. Wszystko jest możliwe. Wojsko, wychowane w pewnej idei, niełatwo zniesie taką przemianę, jak narzucony Litwie związek z Polską, w którym upatruje ono poddanie Litwy woli Polski. Agitacja opozycji na prowincji i na wsi nie będzie drzemać. Ludowcy pod wpływem tych nastrojów i zjawisk, więcej dotąd wyczuwalnych, niż czynnych, zachwiali się poważnie, czy mają pokrywać milczeniem akcję dyplomatyczną, ułatwiając stanie się rzeczy, gotującej się w Genewie, i stając się przeto współodpowiedzialnymi, tym bardziej, że w rządzie są ich ludzie z premierem Griniusem na czele, czy też mają stanąć kategorycznie po stronie opozycji i opinii popularnej, co spowodowałoby automatycznie odwołanie ich ludzi z rządu i kryzys gabinetu ministrów. To wahanie u ludowców i ścieranie się w ich łonie dwóch prądów było jedną z przyczyn, dla których dzisiejsze posiedzenie sejmowe zostało odroczone. Oczekiwane jest ustalenie stanowiska ludowców, którzy dzisiaj obradowali w tej kwestii. Co z tej całej kaszy będzie – Bóg raczy wiedzieć. Tylko Żydzi i inspirowana przez nich prasa w języku rosyjskim (prasy żargonowej czytać nie umiem) zdają się popierać i witać bardzo życzliwie drogę kombinacji genewskich. Co jest najtragiczniejsze dla rządu, że on sam nie ma ani przekonania, ani wiary w dobroć drogi, po której fatum albo logika jego poprzednich działań go pędzi. W dzisiejszym numerze „Lietuvy” rząd próbuje łagodzić opinię i na przykład wyjaśniać sytuację w tym sensie, że nawiązanie rokowań nie przesądza ich rezultatu. Kategorycznie podkreślono,

że ani pierwszy, ani drugi projekt Hymansa nie został i nie będzie przyjęty. Ale ci, co mieli sposobność czytania kontrprojektu rządowego, twierdzą, że niewiele różny jest w zasadzie od projektu Hymansa. Zapewne gdy się przyjęło zasady projektu Hymansa za podstawę, to i wnioski nie bardzo będą różne.

14 września, rok 1921, środa
Sprawa wileńska wraz z całą akcją dyplomatyczną rozpoczętą w Genewie pozostaje zagadką. Za podstawę do rokowań został przyjęty projekt Hymansa, ale ponieważ to są dopiero rokowania, więc strony oczywiście mogą wnosić poprawki i projektować zmiany, a układ ostateczny może być w zasadzie różny od przyjętego punktu wyjścia do rokowań. Opozycja, uderzając na alarm, wskazuje na to, że układ może być tylko wnioskiem z tego, co przyjęto za podstawę, tym bardziej, że rokowania toczą się pod presją Ligi Narodów i tegoż Hymansa i są tylko parawanikiem dla dyktowania Litwie warunków, a projekt Hymansa jest wyrazem decyzji superarbitra. Wszyscy mniej więcej wyczuwają prawdziwość twierdzeń opozycji, a z tego, co z relacji Naruszewicza przenikło do wiadomości publicznej, zdaje się być wyraźnym, że Naruszewicz tę rzecz takoż pojmuje. Tymczasem rząd, przyciskany do muru rosnącym podnieceniem opinii publicznej, stwierdza uroczyście w inspirowanym artykule „Lietuvy", że projekt Hymansa w żadnym razie przyjęty nie będzie. Kontrprojekt rządu, przekazany delegacji litewskiej, jest utrzymywany w tajemnicy, ale ci, co go widzieli (jak Žemaitis, którego chciano wydelegować do Genewy, lecz który odmówił jazdy), twierdzą, że zawiera on tezy zbliżone do Hymansa projektu. W każdym razie oświadczenie „Lietuvy" troszeczkę złagodziło naprężenie. Odroczenie jednak dyskusji nad interpelacją esdecką działa w kierunku przeciwnym. Tymczasem stanowisko stronnictw rządowych pozostało łamigłówką. Organ chrześcijańskich demokratów, dziennik „Laisvė", który przed paru dniami w szeregu artykułów wstępnych dowodził konieczności układu z Polską choćby za cenę zasadniczych ustępstw, cytując Witolda itd., podnosząc niebezpieczeństwo bolszewicko-rosyjskie i uderzając nawet w kruczy ton rezygnacji wobec fatalizmu konieczności historycznych, które – jak niegdyś, tak teraz – pchały Litwę do kompromisów i parsjalnej abdykacji z zasad suwerennych dla ratowania zagrożonych skądinąd stanowisk państwa, dając wyraźnie do zrozumienia, że obecny układ z Polską będzie takąż abdykacją częściową, z którą się pogodzić trzeba – co wywołało gwałtowne repliki opozycji i skłoniło nawet organ rządowy „Lietuvę" do potępienia wywodów „Laisvė" – dziś, robiąc salto mortale, twierdzi wręcz przeciwnie, że o związku Litwy z Polską nie może być mowy. Na lewicy wskazują, że chrześcijańscy demokraci musieli otrzymać na niedawnym kongresie katolickim jakieś *„mot d'ordre"*[602] w sprawie stosunku z Polską, czego wyrazem jest podkreślanie przez nich tego, że ostatecznie Litwie katolickiej naturalnym jest się łączyć z katolicką Polską przeciwko wspólnemu wrogowi. Ale, jak wspomniałem, dziś „Laisvė" śpiewa znów co innego. Co do ludowców, to ci, jak słychać, nie zdecydowali się jeszcze. Pewien ich odłam – w ich liczbie poseł Raczkowski i poseł dr Łaszas – żądają stanowczo odrzucenia wszelkich układów na podstawie projektu Hymansa i łączą się z opozycją. Wszakże druga część waha się i zasłania tym, że rokowania same przez się nic jeszcze nie przesądzają i że przeto powody do alarmu i obawy nie są uzasadnione. Podobno temu prądowi oportunistycznemu przewodzi Ślażewicz, który, jako uczestnik rokowań brukselskich, gdzie delegacja litewska wyraziła zgodę na przyjęcia za podstawę rokowań projektu Hymansa, jest osobiście związany własną rolą i musi dla własnego *prestige*'u bronić pozycji rządowej. Podobno z tego powodu w przeciwnym odłamie ludowców narasta niechęć i opozycja przeciwko supremacji Ślażewicza w stronnictwie

[602] *„Mot d'ordre"* – hasło.

i frakcji. Ciekawa rzecz natomiast, że najjaskrawszy krzyk protestu przeciwko rokowaniom genewskim podnosi się, na równi z prawicą, z podziemnych sfer komunistycznych, które nagle zapaliły się „miłością" niepodległości Litwy i uniesieniem „patriotycznym" przeciwko „jarzmu" polskiemu dla Litwy. Prześcigają się z patriotami w krzyku i gwałcie przeciwko jarzmu, choć sami kochają się w jarzmie – ale rosyjskim.

15 września, rok 1921, czwartek
Była dziś pogłoska, że rozstrzygnięcie sprawy wileńskiej w Genewie już nastąpiło i że układ między Litwą a Polską doszedł do skutku. Wiem o pogłosce tej stąd, że redakcja rosyjsko-żydowskiego dziennika „Эхо" zakomunikowała o tym przez telefon do Komisji do spraw Litwy Wschodniej, zapytując, czy to jest rzeczywiście faktem, bo redakcja otrzymała taką wiadomość. Žemaitis pobiegł zaraz do Ministerium Spraw Zagranicznych. Po powrocie stamtąd dużo się nie wywnętrzał, twierdził, że wiadomość jest przedwczesna. Sądzę, że jest ona istotnie przedwczesna. W czasie obiadu słyszałem, że była i inna pogłoska, mianowicie że Litwa zerwała rokowania w Genewie i kategorycznie odmówiła układu na zasadach Hymansa. I to jest z pewnością także przedwczesne. Co będzie dalej i jaki obrót weźmie sprawa, trudno przewidzieć. Nie przeczę, że rozwiązanie na zasadach zbliżonych do projektu Hymansa nie jest zadawalające; ograniczyło by ono niepodległość Litwy i zamiast pokoju i porozumienia stworzyłoby ognisko jątrzenia i walki na długie zapewne lata. Ale nie uważam, aby to było tak tragiczne dla Litwy, jak się na to zapatrują Litwini. Czy w tej, czy w innej formie, walka dwóch zasad – zasady Litwy niepodległej i zasady Litwy służebnej wobec Polski lub ewentualnie Rosji – nie ustanie w jednej chwili. Rozwiązanie Hymansowskie jest próbą kompromisu dwóch zasad, które się pogodzić i współżyć nie mogą, póki jedna nie zwycięży drugiej. Czy poza tym kompromisem, czy w kompromisie, walka trwać będzie, bo obie zasady są dziś dalekie od uznania się za zwyciężone. I moim zdaniem, zasada litewska, jako ludowa, opierająca dzieje kraju na jego własnych założeniach rozwoju, zwycięży w każdym razie. W pierwszym rzędzie ze sprawą litewską skojarzy się prąd białoruski w Wileńszczyźnie, który jest wyrazem tegoż czynnika ludowego. Zresztą mam wrażenie, że cały czynnik ludowy, nie wyłączając polskiego, działać będzie w tymże kierunku, mimo że czynnik ludowy polski będzie w tym działaniu naturalnym pętany i odwracany względami innej natury. Sprawa litewska w Litwie, włącznie z Wileńszczyzną, jest sprawą ludową i na tym polega jej żywotność. Dlatego ja osobiście zbytnio się tego kompromisu nie obawiam, a wobec niebezpieczeństwa, które przyjść może z Rosji i dominować nad wszelkim innym, kompromis taki może się nawet doraźnie okazać zbawiennym, pomimo że walki dwóch zasad – litewskiej i polskiej w Litwie – on nie zażegna; niebezpieczeństwo rosyjskie może ją odwlec, ale rozegrać się ona musi aż do zwycięstwa.
Prawdopodobnie jutro wypłynie na obrady Sejmu interpelacja esdeków. Przebieg tych obrad i rezultat są bardzo ciekawe.
Niektórzy wskazują, że jednak moment do rokowań z Polską i do decyzji Ligi Narodów w sprawie wileńskiej jest dla Litwy bardzo pomyślny, bo Polska jest w tej chwili osłabiona i nie może przeciągać struny. Fatalny stan finansowy Polski, ciężki kryzys gabinetu, wywołany dymisją Witosa i groźne chmury ze strony Rosji, zdające się zapowiadać nową wojnę – to są elementy kruszące w dużym stopniu odporność Polski w sprawie wileńskiej.
Żydzi, jak mogłem zmiarkować z prywatnych rozmów i jak to uderza ze szpalt gazet żydowsko-rosyjskich w Kownie – „Эхо" i „Вольная Литва" – pragną rozstrzygnięcia sprawy wileńskiej choćby na zasadach Hymansa i wbrew opinii publicznej litewskiej

forsują ideę kombinacji genewskich. Co do Polaków litewskich w Kowieńszczyźnie, to ci siedzą cicho, zachowują się powściągliwie, ale całym sercem tęsknią do przyjęcia i zrealizowania układu na zasadach Hymansa.
Chciałbym napisać nieco w dzienniku z okazji wczorajszego posiedzenia komisji prawniczej dla sprawy wileńskiej w Ministerium Spraw Zagranicznych, na które byłem zaproszony i byłem obecny. Postaram się uczynić to jutro, jeżeli nic nie przeszkodzi.

16 września, rok 1921, piątek
Nic nowego. Słyszałem od Žemaitisa, który tę wiadomość ma pono z Ministerium Spraw Zagranicznych, że rokowania litewsko-polskie w Genewie są chwilowo faktycznie zawieszone z powodu kryzysu rządowego w Polsce. Nie wiadomo, jaki nowy gabinet wyłoni się z kryzysu w Polsce. Jeżeli przyjdą do władzy endecy, co nie jest wykluczone, to nie wiadomo jeszcze, jakim będzie stanowisko Polski wobec projektu Hymansa i czy się Askenazy ostoi. Endecy bowiem są za rozwiązaniem sprawy wileńskiej w drodze prostej aneksji polskiej, na projekt Hymansa patrzą krzywo, Askenazego nienawidzą. Z pewnością i rząd endecki nie będzie mógł nie liczyć się z Europą, ale bądź co bądź mogą zajść różne nowe komplikacje. Czy odbyło się dziś posiedzenie sejmowe w Kownie, czy była omawiana interpelacja esdecka i czym się skończyło – nie wiem. Pracowałem w Trybunale, byłem w Komisji dla spraw Litwy Wschodniej, potem zjadłem obiad i od godz. 4 siedzę w domu na Górze Zielonej i do miasta już nie zajrzę, więc dopiero jutro się dowiem.
Mam pomówić o posiedzeniu, na którym pozawczoraj wieczorem byłem obecny w gmachu Ministerium Spraw Zagranicznych. Było to posiedzenie tej komisji prawniczej, o której mówił nam Žemaitis. Zostałem zaproszony do udziału w niej. Na posiedzeniu byli obecni Leonas, Janulaitis, ja, stary Rozenbaum i Bieleckin (Żyd, znany prawnik, który przed pół rokiem wrócił do kraju z Petersburga; mówi po litewsku, co jest u inteligentów Żydów rzeczą dość rzadką). Žemaitis, który też został przez Puryckiego do tej komisji powołany, nie był obecny, bo go nie zawiadomiono o posiedzeniu. Okazało się, że właściwie nie wszystkim członkom komisji jest dokładnie wiadome zadanie, które polecone zostało komisji. Ja sam też niezupełnie się co do tego orientuję. Czy chodzi o projekt organizacji autonomicznej Wileńszczyzny, czy o przejrzenie i udzielenie opinii o nadesłanych z Wilna projektach (zdaje się – Tadeusza Wróblewskiego), czy o zredagowanie ogólnego projektu ustawy państwowej o samorządzie dzielnicowym w Litwie. Rozenbaum, który w przemówieniach swoich tak się prezentował, jak najbliższy powiernik Puryckiego – zdaje się, że rzeczywiście Purycki lubi się otaczać konfidentami Żydami i że Żydzi działacze kowieńscy z Sołowiejczykiem i Rozenbaumem na czele mają szczególny dostęp i wpływy w Ministerium Spraw Zagranicznych – przedstawiał rzecz w ten sposób, że komisja ma opracować projekt ustawy ogólnej do przyjęcia przez Sejm, aby, że tak powiem, delegacja litewska dla rokowań wileńskich mogła się powoływać na tę ustawę przeciwko zarzutom o chęci Litwinów centralistycznego panowania w Wilnie. Co prawda praca ta, jeżeli takim jest zadanie komisji, byłaby mocno spóźniona, ale mniejsza o to na razie. Wybraliśmy Janulaitisa na referenta i poleciliśmy mu opracowanie zasad projektu dla przedstawienia komisji na następnym posiedzeniu, które już on sam zwoła. Chciałem tylko wskazać na to, że przy tej sposobności zaznaczyły się dwa pojmowania, jakby dwie różnice metody budowania życia samorządnego dzielnic w Litwie; na razie te dwa pojmowania jeno się zaznaczyły i nie starły się w dyskusji, ale przypuszczam, że czy to w tej komisji prawniczej, czy na innym terenie budowania decentralizacji litewskiej, będzie musiało w dalszym ciągu przyjść do walki między nimi. Jedno pojmowanie wyraziłem ja, drugie – Rozenbaum.

Podniosłem mianowicie, że byłoby dobrze, abyśmy zleciwszy Janulaitisowi przyszykowanie projektu czy tez jego, wyjaśnili wpierw sobie i jemu, o co nam chodzi, i ze swej strony wskazałem, że od stanowiska ustawy ogólnej państwowej o samorządzie dzielnicowym jako prawie nadanym dzielnicom, byłoby może właściwszym stanowisko przyznania ludności okręgów i dzielnic, których terytoria same się przez grupowanie gmin i powiatów określą, prawa swobodnego orzeczenia co do zakresu pożądanej przez nie samorządności autonomicznej w łonie państwa – to znaczy przyjęcie zasady samookreślenia wewnętrznego, zasady, że stosunki wewnętrzne dzielnic w państwie w przedmiocie ich praw i stosunku do państwa mają być nie tyle dekretowane z góry, ile wolą zainteresowanej ludności ustalone, oczywiście w pewnych ramach i warunkach państwowości. Rozenbaum zaoponował temu zasadniczo, wskazując, że zastosowanie tej zasady wytworzyłoby różnolitość wewnętrzną, która by zniszczyła jedność państwową i zrobiłaby z państwa jakiś zlepek, pokryty łatami; poza tym zakres samorządu dzielnicowego musi być dla wszystkich równy i jednostajny, w przeciwnym razie bowiem dzielnice, posiadające zakres mniejszy, stałyby się rychło malkontentami i trzeba byłoby albo zwalczać ich dążenia do rozszerzenia zakresu samorządności, albo stopniowo każdej przyznawać maksimum. Dlatego Rozenbaum obstawał stanowczo za ustawą powszechną państwową. Ponieważ Janulaitis ma dopiero zaprojektować zasady, więc na razie dyskusja się nie rozwinęła. Nie przeczę, że argumenty Rozenbauma mają swoją wagę, ale swoją drogą uważam, że przyjęcie zasady samookreślenia co do zakresu samorządności autonomicznej i stosunku dzielnicy do państwa, opierając wewnętrzną budowę państwową na czynniku woli ludowej, nie rozsadzi państwa, lecz przeciwnie, będzie cementowało je elementem kooperacji i zadowolenia ludności. Odpowiada to zasadzie państwa ludowego, jakim pragnie się stać Litwa, i dlatego ja się tego nie boję. Litwa, jeżeli ma być ona z Kłajpedą i Wilnem, musi więcej niż jakiekolwiek inne państwo unikać narzucania czegokolwiek z góry i hołdować zasadzie solidaryzmu.

17 września, rok 1921, sobota
I jeszcze interpelacja esdeków nie była dyskutowana wczoraj w Sejmie. Oczywiście i rządowi, i stronnictwom większości jest ona nie na rękę. Jej nagłość uchwalona była [przez] Sejm, bo wszystkim chodziło o zamanifestowanie gorliwości w tej sprawie. Ale od manifestacji do szczerej chęci jawnego wypowiedzenia się w sprawie – daleko. I rzeczywiście, rząd wraz ze stronnictwami większości zyskał na tej zwłoce tyle, że już dzisiaj pierwszy ostry moment podrażnienia przeminął; w opinii publicznej nastąpiło pewnego rodzaju uspokojenie. Frazes organu rządowego o tym, że projekt Hymansa nie będzie przyjęty, złagodził podniecenie. Dla spokojnego z natury temperamentu litewskiego to wystarczyło na razie. Ale w subtelnym języku dyplomacji zapewnienie o nieprzyjęciu samego projektu Hymansa jako tekstu może nie pokrywać kwestii zasad ugody Hymansa. Faktem jest, że rokowania będą się toczyły i że za podstawę do nich przyjęto projekt Hymansa; nie może to znaczyć nic innego, jak że zasady przyjęte jednak są. Zobaczymy, co będzie dalej. Rząd jest niewątpliwie na drodze do pogodzenia się z tymi zasadami. Ale poza rządem jest Sejm, który choć jest w myśl konstytucji tymczasowej suwerenny, jednak wrażliwy jest bardzo w interesie swoich partii na opinię publiczną. Otóż tu tkwi bodaj największe niebezpieczeństwo dla perspektyw ugodowych. Podczas gdy opozycja z obydwóch krańców – z prawicy i lewicy – przemawia odważnie i bije mocno, uderzając bez zastrzeżeń i czując oparcie w spopularyzowanych hasłach, to czynniki rządowe i większości sejmowej, które byłyby skłonne iść na ugodę w duchu Hymansa, boją się przyznawać do tego, są

wstrzemięźliwe i połowiczne. Komu brak odwagi, ten zawsze jest w działaniu słabszy od przeciwnika odważnego.
Ze wszystkich stron mam teraz roboty dużo. Gromadzenie i porządkowanie materiału dla tygodnika Abramowicza jest pracą mozolną, która mi co dzień dużo czasu zajmuje, mimo że posuwa się słabo. Poza tym, obiecałem artykuł dla nowego dziennika żydowskiego, który zaczął wychodzić w Kownie i przedstawia kierunek demokratyczny przeciwko dominującemu syjonistycznemu[603]. Następnie trzeba coś dać od czasu do czasu dla dziennika „Litwa" Žemaitisa. Dalej – muszę się wreszcie zabrać do dalszego ciągu mojej wielkiej pracy o stronnictwach politycznych litewskich, którą wciąż odkładam. Na koniec dziś otrzymałem propozycję nową – od towarzystwa wydawniczego „Švyturys"[604] – wydania w przekładzie litewskim mojej książki „Litwy". Tymczasem została tylko myśl rzucona jako rzecz do zastanowienia się dla mnie. O warunkach i wykonaniu ma się ewentualnie pomówić potem. Chętnie bym na to poszedł, ale sprawa przetłumaczenia książki nie jest rzeczą łatwą. Osobiście prawdopodobnie nie podołałbym temu. Musiałby tłumaczyć chyba ktoś inny.

18 września, rok 1921, niedziela
Zacząłem dziś pisać artykuł dla pisma demokratycznego żydowskiego. Piszę go po rosyjsku; w redakcji będzie on przetłumaczony na żargon. Byłbym skończył wieczorem artykuł, gdyby mię nie zaprosiła na herbatkę Elizka Komorowska, która przyjechała na parę dni do Kowna. Spędziłem wieczór u niej. Artykułu nie zatytułowałem jeszcze. Charakteryzuję w nim stan ludności polskiej w ogólnym układzie ludnościowym Litwy i wyciągam wnioski z tego co do budowy państwa, jaką ona być powinna, aby rozwiązała zadawalająco zagadnienie narodowości.
Byłem też dziś u Grajewskiego, który przyjechał na krótko do Kowna i wczoraj mię odwiedził. Frakcja Poselska Polska nie bierze teraz udziału w posiedzeniach Sejmu, uważając, że zajście lipcowe powinno być zlikwidowane w drodze jakiejś satysfakcji, a dopóki Sejm tej satysfakcji nie udzieli Frakcji Polskiej, dopóty ona zachowa absenteizm. Jednak rezygnacji z mandatów posłowie polscy nie składają, ale i diet poselskich nie pobierają. Zdaje się, że pierwotny zamiar kół rządowych pociągnięcia posłów polskich do odpowiedzialności karnej za ich memoriał do Ligi Narodów został zaniechany. Przynajmniej od dawna nic o tym nie słychać.
Widziałem się przy obiedzie w Klubie Litewskim[605] z Jonynasem, który pozawczoraj wrócił z Wilna. Opowiadał mi różne rzeczy z Wilna i Polski. Między innymi dowiedziałem się od niego, że kwestia wydawnictwa „Pogoni" przez Ludwika Abramowicza podobno jest jeszcze w zawieszeniu, ponieważ zachodzi ewentualność ponownego objęcia przez Ludwika redakcji „Gazety Krajowej". Ponieważ delegatura rządu polskiego, która w ostatnich czasach finansowała „Gazetę Krajową", obecnie już – jak mi komunikuje Jonynas – przestała ją finansować, przeto Ludwik Chomiński i konsorcjum demokratów-federalistów, stojące na czele pisma, nie może o własnych siłach ją wydawać. Ludwik Chomiński zmuszony więc jest do wycofania się z redakcji, którą ewentualnie objąłby znowu Ludwik Abramowicz. W takim razie Abramowicz zużytkowałby środki, które ma na „Pogoń", na wydawnictwo „Gazety Krajowej", którą, rozporządzając środkami, mógłby prowadzić niezależnie. Jak zrozumiałem ze słów

[603] Nowy dziennik żydowski w Kownie o kierunku demokratycznym – **do ewentualnego ustalenia.**
[604] Wydawnictwo „Švyturys" („Latarnia Morska") zostało utworzone w 1918 r. w Wilnie, jako akcyjna spółka wydawnicza. Od 1922 r. działalność wydawnictwa koncentrowała się w Kownie, gdzie już od 1919 istniał jego oddział. W 1928 zbankrutowało i dokonało fuzji z akcyjną spółką „Spindulys" („Promień"), ale do 1931 r. ukazywały się jeszcze książki pod jego firmą.
[605] Klub Litewski – **do ustalenia.**

Jonynasa, Michał Biržiška, od którego, jak posądzam, pochodzą środki Ludwika Abramowicza, popiera objęcie „Gazety Krajowej" przez Abramowicza, tym bardziej, że na skutek pewnych zarządzeń władz politycznych wileńskich dzienniki Michała Biržiški przestały wychodzić i nie będą mogły być na razie wznowione. „Gazeta Krajowa" przeto, choć nie stanowiłaby organu litewskiego, jakim była prasa Michała Biržiški, byłaby jednak bądź co bądź jedynym pismem polskim, stojącym na stanowisku państwowości litewskiej. Być może więc, że cała moja praca na gromadzenie klisz i fotografii dla „Pogoni" byłaby daremną i na nic byłyby te artykuły, które już obstalowałem u Ludwika Giry i Wacława Biržiški. Trzeba się będzie skomunikować w tej kwestii z Ludwikiem Abramowiczem.

19 września, rok 1921, poniedziałek
Mam ból newralgiczny, a może nawet zapalenie okostnej w prawej połowie twarzy, którego punktem wyjścia jest dolna szczęka prawa w okolicy złamanego zęba. Ból ten dokucza mi od dni kilku. Czasami ustaje, to znów wzmaga się. Chwilami na krótko staje się niezmiernie intensywny, ale gorzej dokucza, kiedy w słabym stanie trwa monotonnie i nieprzerwanie godzinami całymi. Dziś w nocy przez kilka godzin nie dał mi usnąć i zmęczył ogromnie.
Jutro wreszcie odbędzie się w Sejmie debata nad interpelacją esdecką. Tym razem musi się ona odbyć niezbędnie w myśl regulaminu sejmowego. Ciekaw jestem, jaki będzie rezultat. Dziś wieczorem frakcja sejmowa większości rządowej – chrześcijańscy demokraci i ludowcy – będą obradowali nad stanowiskiem do zajęcia jutro. W opinii publicznej zresztą usposobienie jest spokojniejsze, niż było w ubiegłym tygodniu. Uspokajające frazesy organu rządowego i zastój w rokowaniach genewskich oraz brak konkretnych relacji publicznych stamtąd uśpiły powoli alarm pierwotny.
Dla rządu i gotowej popierać go większości chwila do dyskutowania interpelacji esdeckiej jest dogodniejsza, niż poprzednio. Zwłoka była dla nich użyteczną. Rozumiem zastrzeżenia i obawy, wywoływane w opinii kombinacjami genewskimi, ale nie przeoczam tego, że źródła, z których płyną najgłośniejsze wołania protestu, nieraz są zamącone względami kariery, ambicji lub partii. Tak niewątpliwie esdecy robią na tym krzyku dobry interes popularności. Ich stanowisko, oscylujące między patriotyzmem a tradycyjnym socjalistycznym frazesem ortodoksyjnego marksizmu, obowiązującym ich do rewolucyjności i międzynarodowości, było trudne. Nie zadawalali oni patriotów (nacjonalistów), którzy im zarzucają przekładanie interesu rewolucji nad dobro Ojczyzny i narodu i ugodowość względem bolszewizmu, ani rewolucjonistów, którzy im zarzucają konszachty z burżuazją, zdradę rewolucji i nazywają ich pogardliwie socjal-patriotami. Kombinacja genewska dała im znakomitą okazję do restaurowania się na oba fronty i zyskania popularności zarówno w oczach patriotów, jak czerwonych internacjonalistów rewolucyjnych. Kombinacje genewskie bowiem, choć dla różnych powodów, są równie niesmaczne dla jednych, jak dla drugich. Esdecy, godząc w nie z werwą i zapałem, stają się dla jednych rycerzami Niepodległości Litwy, dla drugich zaś – rzecznikami sprawy rewolucyjnej, ponieważ występują przeciwko „reakcyjnej" Polsce, głównej oponentce Rosji rewolucyjnej. Na drugim krańcu opozycji nie rozumiem Antoniego Smetony. Przemawia on w „Lietuvos Balsas" mocno, argumentuje logicznie i przekonywująco. Niejeden z jego argumentów przeciwko ugodowemu rozwiązaniu sprawy wileńskiej na warunkach Hymansa jest tak dzielny i trafny, że trudno go odeprzeć. Ale czyż autor tych argumentów, Antoni Smetona, wczorajszy prezydent tymczasowy Republiki Litewskiej i dzisiejszy wódz opozycji, nie jest tym samym Antonim Smetoną, byłym prezesem „Taryby", jej twórcą i zarazem *leaderem* polityki litewskiej za czasów okupacji niemieckiej, który akceptował

nie tylko narzucone Litwie przez Niemcy konwencje, ale i takie jej stanowisko, które by ją czyniło zupełnym narzędziem polityki mocarstwowej niemieckiej, igraszką pruską, prowincją samorządną zaledwie i był rzecznikiem kandydatury niemieckiego książątka Uracha na podrzędny „tron” litewski?! Polityka kierunku niemieckiego, na którą szedł wtedy Smetona, bez żadnego porównania głębiej i ciężej ujarzmiała Litwę, niż czyni to projekt Hymansa, jeżeli go nawet przyjąć bez żadnych poprawek. Jeżeli zaś zważymy, że polityka ówczesna Smetony liczyła się z perspektywą Niemiec zwycięskich i panujących nad światem, to zobaczymy, że tam państwowość litewska traciła wprost wszelki cień samodzielności i ani w przybliżeniu nie zachowywała tych niepodległości znamion, które jej jednak projekt Hymansa zachowuje. Smetona, gdy mu się dziś to przypomina, zasłania się koniecznościami. Ale dlaczegóż teraz przyjmuje on dumną pozę niezłomnego rycerza, który woła nie tylko to, że konieczności nie ma, ale to, że gdyby one były nawet, to raczej trzeba zginąć z niewzruszonym sztandarem niepodległości, niż ulec koniecznościom. Argument ten może być słusznym, ale w ustach Smetony, którego pamiętamy jako człowieka konieczności, brzmi on dziwnie. Miałbym do powiedzenia jeszcze o rekwizycji bolszewickiej, ale to już chyba jutro lub innym razem.

20 września, rok 1921, wtorek
Dokładnej relacji z dzisiejszego posiedzenia Sejmu nie czytałem. Może ukazała się już ona w dzisiejszym wieczornym (z datą jutrzejszą) numerze „Lietuvy”, ale wróciłem do siebie na Zieloną Górę przed ukazaniem się „Lietuvy”. Wiem tylko tyle, ile mi pobieżnie opowiedział poseł Raczkowski, którego spotkałem wracającego z Sejmu. Interpelacja esdecka była dyskutowana, ale dyskusja nie zakończona. Dalszy ciąg odroczony do posiedzenia piątkowego. Przemawiali dziś posłowie: Kairys (*leader* socjalnych demokratów), ksiądz Staugaitis (chrześcijański demokrata i wicemarszałek Sejmu), ksiądz Krupowicz (*leader* chrześcijańskich demokratów, wielki mag demagogii), Digrys (socjalny demokrata). Z ludowców nikt jeszcze nie przemawiał. Chrześcijańscy demokraci wypowiadali się przeciwko interpelacji, za udzieleniem rządowi *votum* zaufania. Wskazywali na to, że rokowania są konieczne i że przyjęcia zasad Hymansa za podstawę do rokowań nie oznacza przyjęcia projektu Hymansa za treść konkretną układu. Tak i przewidywałem, że chrześcijańscy demokraci wykręcą się frazesem i nie powiedzą wyraźnie ani „tak”, ani „nie”. Ich pozycja jest w tej sprawie wyczekująca, oportunistyczna. Szczególnie unikają oni konkretyzacji wniosków i wyraźnego wypowiedzenia się przed opinią publiczną. Taktyka ta odpowiada zupełnie taktyce rządowej. Nietrudno przeto zgadnąć, jaki będzie rezultat formalny debaty nad interpelacją, ponieważ chrześcijańscy demokraci sami jedni rozporządzają większością absolutną w Sejmie. Bardzo ciekawe będzie jednak stanowisko, jakie zajmą ludowcy: czy wypowiedzą się solidarnie i jak, czy też ujawnią rozbieżność dwóch prądów, które się w ich łonie w tej kwestii uwydatniły: oportunistycznego prądu Ślażewicza, zbliżonego do stanowiska chrześcijańskich demokratów i dającego poparcie rządowi, i opozycyjnego prądu posłów Raczkowskiego i Lašasa, solidaryzującego się z interpelacją esdeków. Wprawdzie ludowcy nie mogą przeważyć szali większości, są oni jednak w zespole większości rządowej Sejmu ważnym języczkiem u wagi, ponieważ z ich ramienia jest w rządzie Grinius, prezes gabinetu ministrów. Zapomniałem dowiedzieć się u Raczkowskiego, czy minister Purycki przemawiał dziś w Sejmie w odpowiedzi na interpelację i co powiedział. Z pewnością musiał przemawiać. Przechodzę teraz do tematu o rekwizycji tegorocznej w Bohdaniszkach. Jest to zaiste ciekawy temat. O rekwizycji tej otrzymałem wiadomość z listu Maryni, otrzymanego pozawczoraj. Sposób rozkładu rekwizycji, przewidziany w ustawie, jest taki:

intendentura powiatowa rozkłada normę ogólną rekwizycji wyznaczoną na powiat, na poszczególne gminy, rady zaś gminne w każdej gminie rozkładają ją na poszczególne gospodarstwa; zasada jest ta, że gospodarstwa do 6 dziesięcin są wolne od rekwizycji, gospodarstwa od 6 do 9 dziesięcin opłacają (w naturze, ponieważ rekwizycja jest podatkiem naturalnym w płodach rolnych) 1 jednostkę rekwizycyjną, gospodarstwa od 10 do 29 czy 19 dziesięcin – 1 ½ jednostki, gospodarstwa od 20 czy 30 do 49 dziesięcin – 1 ¾ jednostki, gospodarstwa zaś od 50 dziesięcin i wyżej – 2 jednostki rekwizycyjne. Rekwizycja więc jest zbudowana na zasadzie postępowego podatku od własności. Otóż Bohdaniszki otrzymały już z gminy krewieńskiej wykaz rekwizycji na rok bieżący (zwyczajnej, bo zdarzają się poza tym i nadzwyczajne), którą mają uiścić stosownie do dokonanego przez radę gminną rozkładu. I cóż się okazuje? W roku zeszłym, jeszcze za życia Papy, kiedy Bohdaniszki nie były podzielone, rekwizycja była na nie nałożona w stosunku do 430 dziesięcin (ziemi użytkowej i lasu za wyjątkiem paru folwarków wydzierżawionych). Teraz moja własność po podziale wynosi w Bohdaniszkach (z lasem) 99 dziesięcin, to znaczy przestrzeń przeszło 4 razy mniejszą od tej, która była w roku zeszłym obłożona rekwizycją na Bohdaniszkach. Zestawiam cyfry: żyta w roku zeszłym z całości nie podzielonej (430 dziesięcin) było zażądane 76 pudów, obecnie z jednej mojej cząstki (99 dziesięcin) – 71 ½ pudów; pszenicy w roku zeszłym z całości – 21 pudów, obecnie z mojej cząstki – 15 pudów (nie mówię już o tym, że majątek otrzymaliśmy w roku zeszłym bez zasianej z jesieni pszenicy i że przeto jej nie mamy i będzie trzeba albo kupić i dać do rekwizycji, albo zapłacić za pszenicę gotówką – to może formalnie nie mieć znaczenia)! Owsa w przeszłym roku z całości 18 pudów, teraz z mojej cząstki – 57 pudów!!! Siana w przeszłym roku z całości 38 pudów, obecnie z mojej cząstki – 34 ½ pudy! Rezultat więc działu ten, że im więcej się dzieli, tym więcej przyrasta rekwizycji. Ale chcę jeszcze jutro obszerniej o tym napisać, bo jest to sprawa zasadnicza wielkiej wagi ogólnej.

21 września, rok 1921, środa
Sensacja! Szerzy się pogłoska o wybuchu wojny polsko-rosyjskiej. Nadeszła depesza, zakomunikowana przez ambasadę rosyjską (bolszewicką) w Kownie, o tym, że między Polską a Rosją nastąpiła wymiana not o charakterze ultimatum, a ponieważ ultimatum polskie zostało przez Rosję odrzucone, więc nastąpiło formalne zerwanie stosunków dyplomatycznych między obu państwami. Jedno z pism wydawanych po rosyjsku w Kownie pośpieszyło wydać o tym specjalny dodatek nadzwyczajny. Jak widać z tego komunikatu ambasady rosyjskiej, Polska zażądała od Rosji wyraźnego zobowiązania rozpoczęcia od d. 1 października reewakuacji majątku polskiego, wywiezionego z kraju w czasie Wielkiej Wojny, a może i wcześniej, grożąc w razie nieudzielenia niezwłocznie odpowiedzi zadowalającej zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Żądanie Polski dotyczy tego, do czego się już Rosja zobowiązała traktatem pokojowym ryskim; bolszewicy jednak na ogół nie są słowni i nie są bynajmniej pedantami w przestrzeganiu własnych zobowiązań. Na ultimatum polskie Rosja odpowiedziała odmownie, wskazując na to, że Polska, tolerując i popierając zwrócone przeciwko Rosji formacje kontrrewolucyjne Sawinkowa, sama nie stosuje się do swoich zobowiązań i stwarza dla Rosji duże trudności i niebezpieczeństwo. Literalnie z tej wymiany not wypływałoby tylko zerwanie regularnych stosunków dyplomatycznych, co nie stanowi samo przez się formalnego wypowiedzenia wojny. Zerwanie stosunków bywa używane jako środek presji międzynarodowej i nie zawsze identyfikuje się ze stanem wojny, choć niewątpliwie zaognia on ogromnie stosunek i może stać się z łatwością punktem wyjścia do działań wojennych, jeżeli skądinąd sprzeczające się państwa lub przynajmniej jedno z nich będzie uważać moment dla wojny za dogodny. Już od

pewnego czasu dużo się mówiło o naprężeniu między Rosją z jednej a Polską i Rumunią z drugiej strony i zapowiadało się możliwości rychłego wybuchu wojny. Zatarg obecny zdaje się więc potwierdzać owe alarmy ciągłe ostatnich czasów. Z redakcji „Echa" komunikowano Komisji do spraw Litwy Wschodniej, że redakcja otrzymała już wiadomość o przekroczeniu granicy rosyjskiej przez wojsko polskie. Czy to prawda – nic nie wiadomo. Gdyby doszło do tej wojny, to z pewnością miałaby ona olbrzymi wpływ na wypadki w Litwie, na losy sprawy wileńskiej itd. Łatwą więc jest do zrozumienia wytężona uwaga, z jaką się śledzi z Kowna bieg tych pogłosek i ewentualnych zdarzeń.
Co będzie, to będzie. Wkrótce się przekonamy. Tymczasem, nie wdając się w horoskopy wielkiej polityki, piszę dalej, co zacząłem wczoraj – o rekwizycji bohdaniskiej. Doprawdy trudno zrozumieć, co to jest i czym się ład taki uzasadnia. Jeżeli rekwizycja, która zawsze była ciężarem dla rolników i którą rolnicy z całego serca przeklinali, będzie tak rosnąć z roku na rok, to do czegóż to dojdzie! Już dziś zamożny i średnio zamożny chłop litewski narzeka na ciężary tego srogiego podatku w naturze, który całym brzemieniem pada na jedną klasę ludności, i bardzo często zraża się do samego państwa i zamiast się przywiązywać do odrodzonej ojczyzny, zniechęca się do niej i staje się w sercu jeżeli nie jej wrogiem (bywa i tak, jak się nieraz przekonałem w Bohdaniszkach), to przynajmniej obojętnym na jej losy i sam byt nawet. Ta ojczyzna litewska jest mu macochą. Ale jeżeli ciężar ten, zamiast słabnąć, będzie z roku na rok wzrastał, to co powie rolnik na to jutro? Szczęściem, że jest organizacja opozycyjna „Žemdirbiów" (Žemdirbių Sąjunga), która całą tę niechęć rolników ujmuje i sprowadza w łożysko państwowej walki o władzę, która się będzie musiała skończyć upadkiem rządów demagogicznej Chrześcijańskiej Demokracji na rzecz bądź reakcji agrarnej rolników, bądź rewolucji elementów bez- i małorolnych, które stanowią drugie skrzydło opozycji ludowej, kierowanej z podziemi. Wracając do rekwizycji – istotnie! Rolnicy ponoszą ciężar coraz większy z dnia na dzień na państwo, a usprawiedliwia się to tym, że stan pogotowia wojennego Litwy musi być ciągle utrzymany na *maximum* i że potrzeby wojska rosną, a Litwa nie jest w stanie faktu tego zmienić. Tymczasem w miastach i zwłaszcza w Kownie kwitnie spekulacja i szmugiel i liczna klasa pasożytów, tucząca się, bogacąca i opływająca w dostatkach, ciężarów na rzecz państwa nie ponosi prawie żadnych. Banki na spekulacji walutą robią złote interesy, tłumy spekulantów przenikają wszędzie i mnożą się przypływem powracających albo wprost przyjeżdżających z Rosji, którzy śpieszą tu jak do ziemi obiecanej. W Kownie dzięki tym utuczonym spekulantom mieszkania dostać niepodobna, bo płacąc dziesiątkami tysięcy odstępnego, zajęli wszystkie mieszkania. Pieniądze mają worami, ale państwo się wziąć za nich nie umie czy może i nie chce, i za wszystko płaci robotnik, który sam jeden musi państwo dźwigać. Stan staje się po prostu nieznośny.

22 września, rok 1921, czwartek
Nic nowego ani w kwestii wojny polsko-rosyjskiej, ani Genewy. W dniu wczorajszym sprawa polsko-litewska miała być wniesiona pod obrady plenum Ligi Narodów. Referat tej sprawy był przez Radę Ligi zlecony Hymansowi. Na czym stanęło – nie wiadomo, bo depesze jeszcze nie nadeszły. Że decyzje Ligi pójdą po linii projektu Hymansa drugiej redakcji tegoż, uważam to niemal za pewnik, ale ciekawe jest, jakie sankcje zastosuje Liga do zobowiązania stron co do przyjęcia jej decyzji, jeżeli strony nie zgodzą się na przyjęcie projektu Hymansa. Wszak projekt Hymansa jest projektem ugody, a przymus wyklucza ugodę. Zresztą – jakie środki przymusu? I jak postąpiłby wobec tego rząd litewski? A może Liga nakaże stronom przyjęcie jej arbitrażu i sforsuje je do podpisania *in blanco* przyszłego wyroku? Rzecz jest bardzo ciekawa. W Polsce

kryzys gabinetu został zakończony. Na czele rządu stanął Antoni Ponikowski, rektor Politechniki i były minister oświaty. Rząd jest tzw. „fachowy”, bez określonej barwy politycznej, ale, jak podają depesze, ma poparcie centrum i lewicy przeciwko prawicy sejmowej.
Jeszcze słówko o rekwizycji. Na wszelki wypadek prześlę do powiatowej komisji rekwizycyjnej skargę na rozkład rekwizycji przez gminę krewieńską, obciążający tak dotkliwie moją schedę. Skargę tę wniosę „na zapas”, ponieważ nie wiem, czy to gmina krewieńska źle rozłożyła rekwizycję, czy też norma rekwizycyjna na gminę krewieńską została w roku bieżącym tak szalenie powiększona. Siedząc w Kownie dowiedzieć się o tym nie mam czasu, bo trzeba byłoby sprawdzić w Rakiszkach i Krewnie, a tymczasem do zaskarżenia jest na ogół tylko dwa tygodnie terminu. Z tymi rekwizycjami rzecz jest nie do zniesienia. Miasta ani w przybliżeniu nie ponoszą tych ciężarów na utrzymanie państwa, co ponosi wieś i mianowicie rolnicy, a jeżeli chodzi o utrzymanie wojska, o główny ciężar obrony państwa – bo temu służy rekwizycja płodów rolnych – to ciężar cały ponoszą wyłącznie rolnicy. Ludność miejska, klasa przemysłowa, a w szczególności klasa bankierów i kupców z olbrzymimi na niej pasożytniczymi naroślami „czarnej giełdy”, spekulantów i szmuglerów wszelkiego kalibru i gatunku – to ci w ogóle są od ciężarów na rzecz państwa wolniejsi, a od ciężarów utrzymania wojska wolni. Im bardziej pasożytniczy jest jakiś zawód, tym okazuje się wolniejszy i opływa w dostatkach, bogacąc się bez kontroli i liku. Sytuacja rolników staje się nieznośną. Który z rolników nie pędzi wódki, ten nie ma sposobu opędzenia się ciężarom. Jakże się tu dziwić, że tajne gorzelnictwo tak się krzewi i jakże z tym walczyć, kiedy tylko ten rolnik, który pędzi wódkę, prosperuje i ma pieniądze! Za tajne gorzelnictwo państwo wyznacza srogie kary, ale nie daje możności dostatniego istnienia i dźwigania gospodarstwa tym, którzy jej nie pędzą. Wszak gdyby Elwira i Marynia nie miały ciągłego sukursu gotówki z detalicznej sprzedaży lasu, która też jest właściwie kontrabandą i robi się niezupełnie legalnie, a z pewnością i rabunkowo dla lasu, to nie ma ani mowy o tym, aby były mogły w obecnym stanie Bohdaniszek nie tylko dźwigać gospodarstwo, ale nawet utrzymać się na nim i podołać ciężarom ssącej je pompy państwowej. Czym dla nich jest las, tym dla innych rolników tajne gorzelnictwo.
I dziwna rzecz, że Sejm, złożony w większości z posłów włościańskich, toleruje ten stan rzeczy. Prowadzony przez chrześcijańskich demokratów po manowcach demagogii, usiłuje popisywać się radykalizmem, ćwiczy się w subtelnościach dziwacznej reformy agrarnej, ugania się za różnymi ustawami, a zaniedbuje rzeczy realnych. Jeżeli już tak ma na sercu interesy bezrolnych i małorolnych, których chce uszczęśliwić, to jednak dlaczegóż dalsi są jego sercu rolnicy, krew z jego krwi i kość z jego kości, niż rzesze przybłędów spekulantów i szmuglerów miejskich, którzy ani z krajem, ani z narodowością litewską nie są przeważnie niczym związani. Dopóki jest taki głupi Sejm – nie ma rady. Same masy rolnicze muszą się organizować dla zdobycia udziału legalnego we władzy. Rolnik ma wszystkie ciężary, a parobków nie może wydalić, musi im dawać ogromną ordynarię, a pracują oni jak chcą i ile chcą. Parobek bierze swoją ordynarię bez żadnej rekwizycji i bez żadnego względu na to, czy urodziło, czy nie; spekuluje on zbożem swojej ordynarii, czasem też pędzi wódkę i nic go nie obchodzi. Jest on bożyszczem, bo jest robotnikiem, choćby w istocie był pasożytem i spekulantem. A rolnik z roku na rok musi płacić coraz wyższą rekwizycję, coraz wyższą ordynarię. Czy może podołać – nic to nikogo nie obchodzi w ojczyźnie. Płać – boś burżuj !

23 września, rok 1921, piątek

Litwa przyjęta została na członka do Ligi Narodów[606]. Jest to niewątpliwie sukces, który podnosi Litwę do stanowiska udziałowca prawnego w międzynarodowym obcowaniu państw. Niestety, przeciwko przyjęciu Litwy do Ligi głosowała Polska i sojusznica tejże – Rumunia. Jest to ze strony Polski akt niechęci, który utkwi w pamięci Litwinów. Był on co najmniej niepotrzebny wobec tego, że delegaci polscy mogli przecie z góry wiedzieć, iż przyjęcie będzie zdecydowane przez większość dodatnio. Wystąpienie Polski miało w tych warunkach czysto manifestacyjne znaczenie, które żadnych innych skutków, prócz drażnienia Litwinów, mieć nie mogło. A co zyskuje Polska na drażnieniu Litwinów, szukając niby kontaktu z nimi – nie wiadomo. Moim zdaniem – nic, ale kto zgadnie tajniki intencji dyplomatów! Litwa została powiadomiona urzędowo o przyjęciu jej do Ligi depeszą sekretarza generalnego Ligi do pełniącego obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej marszałka Sejmu p. Aleksandra Stulgińskiego. Ciekawa rzecz, że Litwa zostawszy przyjęta do Ligi Narodów nie jest jeszcze przez większość państw uznana formalnie *de jure*. Chyba że jej uznanie zostanie przez ten fakt przyśpieszone. Niektórzy politycy litewscy, jak np. Žemaitis, są tak dalece usposobieni nieufnie do Ligi, że twierdzą, iż przyjęcie Litwy jest manewrem, by tym łacniej sforsować ją do związku z Polską w rozstrzygnięciu sprawy wileńskiej na zasadach Hymansa.
W tych dniach ma przyjechać do Kowna Kligys dla dokonania aktu sprzedaży schedy Henrysia Wołłowicza (Janówki i lasu montowskiego) na rzecz pewnego nabywcy – Litwina amerykańskiego, zarekomendowanego przez p. Alfonsa Masiulisa. Nabywca ten zawarł już z mymi siostrami, Elwirą i Marynią, układ o sprzedaży schedy Henrysia za cenę dwustu kilkudziesięciu tysięcy marek. Transakcja byłaby dla Henrysia bardzo dogodna, ale uważam, że niemożliwe jest zatajenie wobec nabywcy tego faktu, że własność lasu jest zakwestionowana ze względu na ustawę o upaństwowieniu lasów i że przeto nie jest wykluczone, iż las ten okaże się upaństwowionym. A wobec tego wątpię, czy nabywca się nie zawaha. Tymczasem będę czekał przyjazdu Kligysa i nabywcy.

24 września, rok 1921, sobota
Wczoraj debata nad interpelacją esdeków w Sejmie zakończona została uchwaleniem *votum* zaufania rządowi. Zgłoszone były trzy formuły przejścia do porządku dziennego: formuła chrześcijańskich demokratów, która została przyjęta, formuła esdeków, wyrażająca rządowi *votum* nieufności, i formuła pośrednia ludowców, która przechodzi do porządku dziennego, wyrażając tylko opinię Sejmu (oczywiście, przeciwną projektowi Hymansa, niepodległościową) i przyjmując do wiadomości oświadczenie rządu o tym, że zasady projektu Hymansa czy też żadne warunki gwałcące niepodległość, nie będą przyjęte. Zresztą redakcji formuł nie czytałem i wiem o nich tylko z relacji ustnej, ale zdaje się, że sens ich jest taki, jak wskazałem. Uważam przeto, że formuła ludowców w istocie także udziela absolucji rządowi. Była tylko mniej kategoryczna od chrześcijańsko-demokratycznej i miała lekki odcień rezerwy. Ale gdyby formuła chrześcijańsko-demokratyczna nie przeszła, to już sam ten fakt miałby znaczenie doniosłe i wywołałby duże wrażenie. Byłoby to co najmniej ostrzeżeniem dla rządu, jednocześnie pierwszym wyłomem w sejmowej dyktaturze chrześcijańskich demokratów i mógłby wpłynąć ośmielająco na pewne elementy chwiejne, które podobno są w łonie bloku chrześcijańsko-demokratycznego i zerkają na swobodę, ale jeszcze nie odważają się wyłamać z solidarności. W każdym razie, formuła chrześcijańsko-demokratyczna przyjęta została zaledwie trzema głosami większości. Powiadają, że przyjęcie jej zawdzięczają chrześcijańscy demokraci tylko tej okoliczności, że kilku ludowców – w ich liczbie dr Lašas, jeden z ostrzejszych

[606] „Nowiny Wileńskie” – tygodnik ukazujący się pod redakcją M. Biržiški w Wilnie w latach 1920-1921.

oponentów rządu w przedmiocie kombinacji genewskich – w czasie głosowania piło sobie herbatę w bufecie. Podobno niektórzy posłowie chrześcijańsko-demokratyczni wstrzymali się od głosowania. Esdecy żądali głosowania imiennego, co wywołało poruszenie i oburzenie chrześcijańskich demokratów, ale żądanie to było podobno zgłoszone bez zachowania pewnych formalnych warunków przewidzianych w regulaminie i dlatego zostało odrzucone. W głosowaniu imiennym liczba głosów za formułą chrześcijańsko-demokratyczną byłaby zapewne stopniała. Pierwszy więc akt walki, pierwszy szturm na pozycje ugodowe rządu został rozegrany. Na razie dał on zwycięstwo rządowi i połowicznej taktyce większości chrześcijańsko-demokratycznej. Ale jeżeli dla ocalenia pozycji kompromisowej rządu trzeba było, żeby zarówno rząd, jak większość chrześcijańsko-demokratyczna uroczyście i na wszystkie świętości zaklinała się i odżegnywała od wszelkiego posądzenia o możliwości przyjęcia przez nie zasad Hymansa i pomimo to większość okazała się bardzo znikoma, to cóż by było, gdyby Sejm stanął wobec faktu rzeczywistości przyjęcia tychże zasad. O żadnej ratyfikacji takiego układu nie mogłoby być mowy i natychmiast zerwałaby się burza, która by przerzuciła większość do obozu przeciwnego. Toteż trudno przewidzieć, jak się ta sprawa wileńska rozwiąże i na co liczy rząd wobec Ligi Narodów. Rząd twierdzi kategorycznie, że w żadnym razie projektu Hymansa nie zaakceptuje. Wobec sytuacji i nastroju, jakie się tu wytworzyły, trudno rzeczywiście przypuścić, aby rząd zmienił nagle tę decyzję. Ale jeżeli w braku ugody Liga Narodów zechce sama decyzją własną narzucić Litwie i Polsce rozwiązanie Hymansowskie? Co wtedy? Nastroje litewskie przeciwko zasadzie Hymansa tak urosły i wybujały, że się uśmierzyć nie dadzą. Gdyby jakaś większość w Sejmie zdecydowała się wtedy – co jest mało prawdopodobne wobec połowiczności i demagogii chrześcijańskich demokratów – przejść nad tymi nastrojami i skrupułami narodowymi do porządku dziennego, to powtórzyłyby się w Sejmie epizody rejtanowskie, a poza Sejmem wybuchłby z pewnością jakiś spisek – zamach stanu. Polskę mocarstwa Ententy, a przez nie i Liga Narodów trzymają w ręku przez sprawę górno-śląską, Litwę mogą chcieć forsować atutem Kłajpedy, niezmiernie ważnym bez wątpienia, ale opinia litewska jest tak zawzięta i tak pewna swego, tak przekonana o prawie swoim, że wątpię, aby dała się nawet Kłajpedą ujarzmić. Są takie chwile w życiu narodów, kiedy maksymalizm święci triumfy i panuje niepodzielnie nad umysłami; jedynym wtedy hasłem jest: wszystko – bez żadnych ograniczeń i zastrzeżeń. Litwa idzie na ustępstwa w sprawie autonomii Wilna i pewnych konwencji i kontaktu z Polską; ale w przedmiocie dyspozycji projektu Hymansa o związku z Polską jej odpowiedź przecząca zdaje się mieć wszelkie cechy granitu: nie i nie. Zobaczymy, co będzie dalej.
A tymczasem rząd zastanawia się nad konsekwencjami konkretnymi ewentualnego zwrotu Litwie terytorium Wileńszczyzny. W szczególności chodzi mu o ten tzw. korytarz, złożony z powiatów wilejskiego i dziśnieńskiego (cząstki nowogródzkiego także), który w myśl projektu Hymansa dostałby się Litwie. Rząd, zgodnie zresztą z opinią litewską, nie chce traktować tego terytorium za organiczne narodowe dziedzictwo Litwy, jeno za cząstkę Białej Rusi przydzieloną do Litwy i mającą prawo odpaść od niej, kiedy powstanie państwo narodowe białoruskie. Jest przeto myśl kategoryczna o udzieleniu temu kawałkowi terytorium osobnego statutu organicznego i wytworzenia z niego osobnego samorządnego namiestnictwa. Litwie chodzi o to tym bardziej, żeby przez to odgrodzić tę prowincję od sąsiednich powiatów katolicko-białoruskich, uznawanych przez nią za jej dziedzictwo narodowe, aby potem rewindykacje państwowe białoruskie znalazły kres z góry ustalony i nie mogły mieszać pow. wilejskiego i dziśnieńskiego z całą Wileńszczyzną i Wilnem stołecznym.

25 września, rok 1921, niedziela
No wreszcie – rozpocząłem dalszy ciąg mojej pracy o stronnictwach politycznych litewskich. Wczoraj wieczorem zdobyłem się wreszcie na ten czyn bohaterski, przełamując zwykłe lenistwo początku. Piszę teraz o chrześcijańskich demokratach. Pierwszą część tej pracy Michał Biržiška drukuje w Wilnie w dzienniku „Nowiny Wileńskie”[607], ale stosownie do mojego z nim porozumienia, praca powinna się następnie ukazać w osobnej odbitce książkowej. Dla dziennika bym jej nie pisał. Uważam ją za użyteczną i – *ma foi*[608] – dobrze napisaną książkę informacyjną. Mam już na nią tłumacza na języki rosyjski i żydowski w osobie młodego Żyda Diskina, sekretarza Komisji do spraw Litwy Wschodniej, który sam mię poprosił o pozwolenie przetłumaczenia jej, by ją potem wydać. Istotnie – nie tylko dla Polaków, ale i dla Żydów litewskich, Rosjan i w ogóle wszystkich obywateli litewskich, odgrodzonych od Litwinów nieznajomością języka litewskiego, ta książka byłaby cennym podręcznikiem wiadomości aktualnych o Litwinach.
Dowiedziałem się dziś, że wczoraj otrzymana została depesza o formalnym uznaniu Litwy „*de jure*” przez Anglię[609]. Jest to pierwszy owoc przyjęcia Litwy do Ligi Narodów. Sankcjonuje to jej stanowisko międzynarodowe, do którego tak długo tęskniła i które było jej dotąd odmawiane. Skoro już uznała Litwę „*de jure*” Anglia, jedna z potentatów świata, to uznają tym bardziej i inne państwa, a nie odmówi zapewne uznania i Francja. Chyba Ameryka Północna (Stany Zjednoczone), wierna swojej zasadzie, że podział dziedzictwa mocarstwowego Rosji (za wyjątkiem Polski i Finlandii) nie może być przez obce mocarstwa sankcjonowany bez wysłuchania opinii samej Rosji, co mogłoby nastąpić dopiero po upadku bolszewików – sama jedna nie uzna Litwy, jak nie uznała ani Łotwy, ani Estonii.
Spotkałem się dziś z drugim Litwinem, który uważa, że przyjęcie projektu Hymansa – czy jest on dobry, czy zły – jest konieczne dla likwidacji sprawy wileńskiej i że innego wyjścia nie ma. Tym Litwinem jest dr Sližys, dość znany działacz litewski, obecnie lekarz wojenny, poprzednio – dyrektor Departamentu Milicji. Jest to rzadkość, coś w rodzaju białego kruka. Ze wszystkich Litwinów, z którymi zdarzyło mi się w ostatnich czasach rozmawiać, tylko ten jeden dr Sližys i jeszcze sędzia okręgowy Šurna nie odrzucają bezwzględnie zasad Hymansa i dopuszczają przyjęcie tychże. Wprawdzie przed paru miesiącami Ślażewicz po powrocie z Brukseli wyrażał zasadniczo dopuszczalność przyjęcia projektu Hymansa czy też jego zasad, ale czy odważyłby się potwierdzić to dziś – wątpię. Mówił mi Sližys, że widział się świeżo z pułkownikiem Bergerem, Włochem, prezesem obecnym Komisji Kontroli Ligi Narodów, który twierdzi stanowczo, że Liga Narodów nakaże stronom przyjęcie projektu Hymansa i że rozwiązanie nastąpi bez wątpienia nie na innej zasadzie. Że ku temu się rzeczy mają, to jest pewne, tylko zachodzi kwestia, jak się to stanie, jak się to wykona. Nie ulega żadnej wątpliwości, że rząd litewski dobrze to rozumie. Tak też w gruncie rzeczy potraktował w Sejmie kwestię projektu Hymansa prezes gabinetu ministrów Grinius. Mówił on, że Litwa stoi wobec realnych konieczności, które nie zależą od jednostronnej woli rządu litewskiego. Mowa Griniusa była szczerszą, realniejszą, choć bardziej pesymistyczną w bolącej kwestii zasad Hymansa, od mowy ministra spraw zagranicznych Puryckiego, który zdaje się zabawiać z Sejmem i opinią publiczną w ciuciubabkę.
Wspominałem wczoraj o projektach rządowych litewskich co do odrębnej organizacji białoruskiego pasa wilejsko-dziśnieńskiego, do którego odeszłaby też przydzielona do Litwy cząstka pow. nowogródzkiego i nawet podobno pewne okrawki pow. lidzkiego.

[607] „*Ma foi*” – słowo daję.
[608] Przyjęcie Litwy do Ligi Narodów nastąpiło 22 września 1921 r.
[609] Uznanie *de jure* Litwy przez Anglię nastąpiło w istocie dopiero w 1922 r.

Rządowi litewskiemu – a poprze go w tym dążeniu z pewnością większość opinii narodowej litewskiej – chodzi bardzo o wyodrębnienie tego pasa i stworzenia dlań osobnych zasad, aby od samego początku zaznaczyć, że terytorium to nie utożsamia się z resztą Wileńszczyzny, do której też pretendują Białorusini, a którą Litwa uważa za swoje terytorium organiczne. Rada Ministrów poleciła między innymi Siemaszce, jako ministrowi do spraw białoruskich, aby zaprojektował organizację tego terytorium białoruskiego. Siemaszko, człowiek na ogół mało inteligentny, nie jest biegły w tych sprawach. Zapytywał mię wczoraj, czy ja bym mu co nie poradził. Wskazałem, aby się zastanowił nad taką formą stosunku, jaki przyjęty został w Czechach dla tzw. Rusi Zakarpackiej.

26 września, rok 1921, poniedziałek
Spodziewałem się dziś wieczorem przyjazdu Kligysa, bo siostry mi pisały z Bohdaniszek, że dziś przyjedzie on do Kowna z nabywcą schedy Henrysia dla sporządzenia aktu kupna-sprzedaży u notariusza pod moimi wskazówkami. Nie doczekałem się go jednak. Zapewne coś mu przeszkodziło i nie przyjechał, bo nie przypuszczam, żeby zajechał gdzie indziej, niż do mnie. W oczekiwaniu na Kligysa – po powrocie do domu z miasta o godz. 4 – zasiadłem do pisania mojej pracy o Chrześcijańskiej Demokracji. Jak się rozpisałem, to pisałem aż do dziewiątej przez pięć godzin. Opracowałem wstęp o frakcji „Ukininkų Sąjungos". Udała mi się praca dobrze, ale tak się zmordowałem, że już nie mam sił myśleć i nie mogę nic komponować w dzienniku. Wykonam więc tylko rzecz mechaniczną, która nie wymaga myślenia; mianowicie skopiuję do dziennika pewien list, który jest rzeczywiście wart uwiecznienia, maluje bowiem obyczaje i role pewnych posłów sejmowych. List ten znaleźliśmy w sobotę przy rozpoznawaniu pewnej sprawy, dołączony do niej. Jest to list pisany przez oskarżonego, koniokrada, do posła sejmowego Stanisława Balčytisa. List ten był wysłany przez oskarżonego z więzienia i został przejęty i dostarczony sędziemu śledczemu, który go załączył do akt sprawy. Oskarżony nazywa się Józef Petrošius, gospodarz z pow. taurogowskiego znad granicy pruskiej. Petrošius wraz z dwoma innymi – Kotowskim (Katauskas) i Šeperisem – był oskarżony o to, że w styczniu r. 1921 ukradł z zamkniętej stodoły, do której dostał się za pomocą uszkodzenia zamku, dwa konie wojskowe należące do 2 kompanii pułku straży granicznej i konie te wyprowadził za granicę, gdzie oddał je wspólnikowi Niemcowi, który wyekspediował je do Tylży. Sąd Armii uznał wszystkich trzech oskarżonych winnymi i skazał Petrošiusa na 8 lat ciężkiego więzienia. Trybunał w ubiegłą sobotę oddalił skargę kasacyjną oskarżonych. Tak się ma sprawa. Aby uczynić list Petrošiusa do swego przyjaciela posła Balčytisa bardziej zrozumiałym, wskażę, że oskarżony Petrošius był w d. 2 lutego badany przez sędziego śledczego powiatu taurogowskiego i przyznał się do winy, list zaś do posła Balčytisa napisasł w d. 28 lutego. „Kuopos vadas", czyli dowódca kompanii, o którym w liście wspomina Petrošius, jest oczywiście dowódcą tej kompanii, do której należały skradzione konie. List kopiuję po litewsku, tak, jak jest pisany. Język i pisownia listu na ogół – poprawne:
„Gerbiamas tamsta! Aš norečiau tamstos daug ką prašyti, pirmiausia aš valgį pabaigiau, tai prašau nupirkti duonos, dešros arba silkių, aš savo piningus pabaigiau, o ant jų valgio aš negaliu gyventi. Kiek išleisite piningų, tai prašau užrašyti, tai aš arba kitas už manie atlygis. Prašau tamstos dar viena „Sizolin" bankele nupirkti, nes man juo daug pagelbejo. Dabar prašau nueiti pas tardytoją, kaip einasi mano byla? Kad jis greičiau tardytų. O Katauskis susikliude tik del vieno žodžio, juos vel paleis, prašau pasiteirauti kas-link parankos. Aš nežinau – kad tamsta galėtumet kad ir ne dabar o veliau pakalbeti su tardytojum, gal aš galečiau įsisukti už gerą atlyginimą. Aš galečiau permainyti

„doprosa”, nes ant manęs nieko neprirado ir jokių liudininkų nera, aš manau, kad tamstos pakalbetumet , tai jis ir apsiimtų. Jau su kuopos vadu tai viskas padaryta, jis nekišia liežuvio ir paskui aš užlygisiu batalijono vadą. Aš č[i]a nežiurėsiu ant piningų, č[i]a kainuos ne šimtais ale tukštančiais. Tamsta žinoma jeigu suprastumet ant tardytojaus kalbos, kad jis apsiima, tai jau jam žadėk ligi 500 auk[s]o, o jei ne – tai ir daugiau. Vienu žodžiu daryti kaip galim geriausio. Ir geriausia, kad mane jis paleistu kuogreičiaus ant parankos, tuomet jam padarytum. Tai prašau jau neatsakyti, aš tamstai uz klapatus atlygiusiu. Su pagalba (parašas:) Juozas Petrošius.28 / 2. 21.
Jeigu pas manęs ateisite, tai prie jų ten nesakykit, kad gavau laišką, nes jis eina slapta. Ir prašau už kokias 10 markių nupirkti pašto ženklų po 50 skatikų ir ivynioti į popieriuką ir į duoną įkimšti, nes man kada prireik, taip aš ne turiu kaip išleisti.J.P[etrošius].... Ir piningų kokius kelius markus iduokite”.[610]
Klasyczny list koniokrada do posła suwerennego Sejmu Ustawodawczego. Piękny też i „poseł”, bo choć list go nie doszedł, ale widać z treści listu wyraźnie, że poseł jest w dobrej komitywie z koniokradem i że stosunki upoważniają koniokrada do liczenia na wskazaną w liście pomoc posła. Poseł Balčytis – chrześcijański demokrata – a jakże! W spisie posłów wskazany jest jego zawód: nauczyciel. Więc niezupełnie prosty chłop. Ano – nie ma co – ładny nauczyciel i ładny poseł.

27 września, rok 1921, wtorek
Kligys widocznie i dziś nie przyjechał. W chwili, gdy to piszę, pociąg powinien był już dawno przyjść, a jego nie ma. Widocznie coś się tam zmieniło w kombinacjach. Zapewne jazda do Kowna uległa pewnemu odroczeniu.
Ząb, a raczej szczęka boli mię nieznośnie. Nic nie mogę robić, bo ból nie daje mi chwili spokoju. Wezmę na noc znowu aspiryny – to skutkuje nieźle.
Z Genewy są tylko te wiadomości, które były otrzymane wczoraj. W sobotę na plenarnym posiedzeniu Ligi Narodów Liga, po wysłuchaniu referatu Hymansa, zaproponowała stronom – Polsce i Litwie – przyjęcie projektu Hymansa. Ze strony litewskiej Miłosz odwołał się do kontrprojektu litewskiego, ze strony polskiej Askenazy wręcz odmówił. Sprawa ugrzęzła. Znowu! Po raz nie wiedzieć już który! Są wieści, że Liga uchwali rezolucję w tej sprawie dzisiaj. Jaką ona będzie? Z kół sejmowych i Ministerium Spraw Zagranicznych szerzone są wiadomości czy też domniemania – nie

[610] List J. Petrošiusa:
„Szanowny Panie! Mam do Pana wiele próśb (dosł.: Chciałbym Pana o wiele prosić); po pierwsze, skończyło mi się jedzenie, a więc proszę zakupić chleba, kiełbasy albo śledzi. Ja swoje pieniądze wydałem, a na ich jedzeniu nie mogę wyżyć. Ile wydacie pieniędzy, to proszę zapisać, to ja albo ktoś za mnie wynagrodzi. Proszę Pana o zakupienie jeszcze jednej fiolki „sizolinu”, bo mnie on już znacznie pomógł. Teraz proszę zajść do sędziego śledczego [i spytać], jak idzie moja sprawa. Aby on szybciej prowadził śledztwo. A Katauskis zaszkodził tylko z powodu jednego słowa, (ich znów wypuszczą, proszę dowiedzieć się w sprawie poręczenia). Ja nie wiem, może Pan mógłby, jak nie teraz, to później, porozmawiać z sędzią śledczym, może ja mógłbym wykręcić się za dobrą odpłatą. Chciałbym zmienić „dopros” [treść zeznania], ponieważ u mnie niczego nie znaleźli i żadnych świadków nie ma; myślę, że jeśli pan porozmawiałby, to on się zobowiąże. Już z dowódcą kompanii to wszystko załatwione, on nie będzie się wtrącał, a później ja ugłaskam dowódcę batalionu. Ja nie będę się tu liczył z pieniędzmi. Tu trzeba nie setek, lecz tysięcy. Oczywiście, jeśli pan zrozumie z tego, co mówi sędzia śledczy, że on bierze, to obiecajcie mu już do 500 [rubli w złocie], a jeśli nie – to i więcej. Jednym słowem, działać jak można najlepiej. A najlepiej, żeby on mnie jak najprędzej wypuścił za poręczeniem, wtedy bym się natychmiast mu odwdzięczył. Proszę nie odmawiać, ja panu za kłopoty wynagrodzę. Z szacunkiem (podpis:)
Jeśli do mnie przyjdziecie, to przy nich tam nie mówcie, że otrzymaliście list, ponieważ on idzie tajnie. I proszę za jakie 10 marek zakupić znaczków pocztowych po 50 groszy i zawinąć w papier i wcisnąć do chleba, bo mnie tu mogą być potrzebne, a tak ja nie mam jak wysłać.
J.P. I pieniędzy jakich kilka marek dołączcie”.

wiem, o ile uzasadnione – że Liga przekaże rozpoznanie sporu swemu Trybunałowi dla wydania wyroku obowiązującego i że przedmiotem rozpoznania i wyroku będzie tylko sprawa ustanowienia granicy polsko-litewskiej. Zaczekajmy – jeszcze!

28 września, rok 1921, środa
Otrzymałem list od Maryni. Kligis tymczasem nie przyjedzie, bo gmina robi temu Amerykaninowi, który chce nabyć schedę Henrysia Wołłowicza, trudności w sprawie kupna pod pretekstem, że może się znajdą biedniejsi, którzy zechcą nabyć. Oczywiście zarówno gmina, jak nabywcy i sprzedawcy, którzy się liczą z tymi nieprawnymi jej zastrzeżeniami, nie znają przepisów prawa. Zastrzeżenia gminy mogą mieć znaczenie tylko wtedy, kiedy na sprzedaż wymagane jest pozwolenie od rządu; w tych wypadkach rząd może uwzględniać zastrzeżenia gminy i odmówić pozwolenia. Ale dotyczy to tylko tego wypadku, kiedy sprzedawca jest właścicielem przeszło 70 dziesięcin ziemi. Scheda Henrysia zaś wynosi mniejszą ilość dziesięcin, toteż co do sprzedaży żadnym ograniczeniom nie podlega; na sprzedaż i kupno w tym wypadku żadnych zgoła pozwoleń nie trzeba i ani gmina, ani rząd nie mają tu nic do gadania. Tylko że co do sprzedaży schedy Henrysia jest szkopuł inny: kwestia własności lasu, która jest zakwestionowana przez Departament Leśny; czy las ten należy do Henrysia, czy też ulega upaństwowieniu – to dotąd nie jest rozstrzygnięte, a duże jest prawdopodobieństwo, że decyzja wypadnie na rzecz upaństwowienia. Ukryć tej okoliczności przed nabywcą niepodobna, a czy w tych warunkach nie cofnie się od kupna – wątpię; notariusz też może tę kwestię podnieść i zażądać poświadczenia od Departamentu Leśnego, że las nie jest upaństwowiony. Gdyby nie ta trudność z lasem, to wiedziałbym, jak sobie poradzić z pozbawionymi wszelkiej podstawy prawnej „zastrzeżeniami” gminy.
Maryńka zawiadamia, że z Kotuńką Pruszanowską źle słychać. W dniu 9 września Kotuńka położyła się, by ulec operacji dotyczącej ruptury, bo dostała „mizerery” (przewrócenia kiszek?). Odtąd wiadomości, czy się udała operacja – nie było. Jeżeli tak, to jest źle. Choroba zwana „mizererą” jest bardzo ciężka. Wątpię, aby tu coś operacja pomogła, tym bardziej, że organizm Kotuni jest i fizycznie i nerwowo wyczerpany. Jeżeli tak jest, to jestem przekonany, że Kotuńka już umrze. Szkoda biednej siostrzyczki. Przed kilku dniami miałem list od Kotuńki przysłany *via* Gdańsk, datowany z d. 14 sierpnia. Nic tam Kotuńka o swej chorobie nie wspomina, tylko utyskuje na biedę i ciężkie warunki materialne, doprasza się, jak zawsze, prędszego spieniężenia jej schedy, jest pełna złudzeń co do możności wyrębu i sprzedaży lasu z jej schedy, snuje projekty bez końca co do różnych kombinacji to dochodzenia spadku po śp. wuju Ignacym Tukalle, to rewindykacji od rządu polskiego jakiegoś majątku „Karlsbergu” (bodajże to jest były majątek Śnitki pod Radoszkowiczami), który podobno kiedyś był przez rząd rosyjski skonfiskowany jednemu z naszych przodków Römerów i darowany Rosjaninowi (Śnitce?), a obecnie przez rząd polski odebrany i stanowiący własność państwową.
Maryńka wspominała w liście o ciężkim wypadku, jakiemu uległ mały Michaś Mieczkowski, dwuletni synek Elwiry. Spadł on z ganku na rynsztok cementowy i tak mocno uderzył się w głowę, że doznał wstrząśnienia mózgu. Był nieprzytomny, ma duży guz na czaszce i jeszcze nazajutrz miał wymioty. Dr Kozłowski z Rakiszek na razie oświadczył, że byłoby lepiej, gdyby umarł, ale potem przekonał się, że czaszka nie uległa złamaniu i orzekł, że po pięciu dniach dziecko zacznie wracać do zdrowia, choć nie jest wyłączone, że może być zajękliwy, niemy, głuchy itd. Jednak po całej dobie nieprzytomności Michaś odzyskał świadomość, rozumie, co się do niego mówi, sam także mówi trochę, siada sam. Da więc Bóg, że kalectwa nie będzie. Michaś jest miły i

ładny chłopczyk, jednak co do zdolności mowy, to zawsze był trochę upośledzony, choć jeszcze żadnemu wypadkowi nie był uległ. Choć ma już trzeci rok, nie mówi prawie nic, a raczej mówi, ale w taki sposób, że nic zrozumieć nie można i tylko rzadko jakieś jedno słowo wymawia zrozumiale, choć również przekręcone.

29 września, rok 1921, czwartek
Dzień moich imienin: św. Michał. Upłynął mi wcale nie świątecznie. Wieczór spędziłem jak zwykle, samotnie w domu. Z łatwością znoszę samotność, przyzwyczajam się do niej szybko i nawet ją lubię na ogół. Jednak postanowiłem zdobyć się przynajmniej na służącą. Będę miał choć żywego człowieka przy sobie i będę miał większą wygodę. Szczupłe jest moje mieszkanko, trochę za ciasne na służącą, ale cóż robić. Innego znaleźć w mieście teraz niepodobna, a zresztą bez mebli nie mogę wziąć mieszkania, gdyby nawet było; i środków nie wystarczyłoby zresztą. Tutaj mam kuchenkę w pierwszym pokoiku, który jest oddzielony od mojego tylko ścianką z desek, a zamiast drzwi, których nie ma, zawiesi się płachtę i w ten sposób pokoiki będą oddzielone. Służącą biorę ze wsi. Marynia najęła już dla mnie niejaką Annę Krasowską, bardzo wysoką 20-letnią dziewczynę, ale gdym jej napisał, że wolałbym służącą Jadzię, ustąpiła mi ją. Jadzia bardzo życzy być u mnie. Mnie się ona podoba, a że jest młodziutka, niemal dziecko, więc będzie giętka i łatwa do użycia. W październiku mam być w Bohdaniszkach i przywiozę ją ze sobą.
Moja praca o stronnictwach litewskich postępuje. Zakończyłem już prawie o genezie Chrześcijańskiej Demokracji i o dwóch skrzydłach bloku chrześcijańsko-demokratycznego – „Ukininkų Sąjunga" i „Darbo Federacija". Pozostaje mi napisać o jądrze Chrześcijańskiej Demokracji. Co dzień prawie wieczorem poświęcam parę godzin tej robocie. Kiedy zakończę Chrześcijańską Demokrację, wyślę ten fragment do Michała Biržiški i będę nastawał na wydanie pracy w książce. Zabiorę się wtedy do kolejnych stronnictw – „Santary", socjalistów ludowych itd.
Pogawędzę teraz – a może i jutro w dalszym ciągu – o sądownictwie kowieńskim. Sam należę do niego, ale w dzienniku mało mu miejsca udzielałem. Kapitalnym brakiem tego sądownictwa jest brak ludzi, zwłaszcza wielki brak sił zawodowych i wykwalifikowanych. Prawników jest mało, a jeszcze mniej prawników rutynowanych, biegłych w swoim fachu. Trudno się temu dziwić w małej Litwie, kiedy nawet w Polsce, która ma o wiele starszą i bogatszą kulturę i o wiele więcej elementu inteligenckiego, odczuwało się, kiedym był w sądownictwie polskim, dotkliwy brak prawników. Dotychczas były w Litwie – na obszarze ulegającym faktycznie władzy Kowna, to znaczy nie licząc zajętej przez Polaków Wileńszczyzny – dwa Sądy Okręgowe: w Kownie i w Mariampolu. Dopiero obecnie zaprojektowany został trzeci Sąd Okręgowy, w Szawlach, który prawdopodobnie będzie zorganizowany od nowego roku. W dalszej perspektywie przewidziany jest ewentualnie czwarty Sąd Okręgowy – w Poniewieżu. Ale już dziś miejsca nie ma, a dużo by się dało o tym i o stosunkach w sądownictwie powiedzieć.

30 września, rok 1921, piątek
Ponieważ nie mam nic szczególnie aktualnego do notowania, więc pomówię w dalszym ciągu o sądownictwie. Jedną z podstaw dobrego sądownictwa jest dobrze zorganizowany i dobrze funkcjonujący sąd okręgowy. Gdyby sąd najwyższy, jakim jest u nas Trybunał, funkcjonował najdoskonalej, to pomimo to wymiar sprawiedliwości będzie kulawy, jeżeli wadliwie będzie działał sąd okręgowy, sąd zasadniczy I instancji. W Trybunale nie wszystko da się naprawić czy to w drodze kasacyjnej, czy w drodze apelacyjnej. W drodze kasacyjnej Trybunał może korygować tylko to, na co same

strony zwrócą uwagę, zależy więc to przeważnie zarówno od staranności adwokatury, jak od obowiązkowości prokuratury. Otóż i jedno, i drugie kuleje. Adwokatura ma takie ogromne dochody, takie krocie każe sobie płacić za honorarium i taką ma łatwość klientów, że przeważnie dużo sobie fatygi nie zadaje i, nie będąc zmuszona do uganiania się za klientem wobec obfitej i popłatnej praktyki, że traktuje swoje zadania dość lekceważąco i zaniedbuje wysiłek; zwłaszcza pod względem procesu, gdzie pomoc zawodowa adwokatury jest dla stron najpotrzebniejsza, działalność adwokatury jest nacechowana niedbalstwem. Z prokuraturą, przynajmniej w Kownie, jest jeszcze gorzej. Podobno w Mariampolu prokuratura sprężyściej pracuje. Tu w Kownie prokuratura sądu okręgowego, której skład osobisty jest zresztą słaby zarówno pod względem wykształcenia (nie wszyscy członkowie prokuratury są prawnikami), jak jeszcze bardziej pod względem doświadczenia i rutyny zawodowej, ogranicza się przeważnie do formalistycznego traktowania swoich obowiązków. Dozór prokuratury nad sędziami śledczymi, wśród których prawników bodajże już nie ma (zaledwie paru w samym Kownie) i którzy obecnie rekrutują się już niemal wyłącznie z kandydatów na posady sądowe, młodzików o wykształceniu nie zawsze gimnazjalnym, jest słaby, bo sami podprokuratorowie przeważnie nie mają za sobą praktyki śledczej; redagowanie aktów oskarżenia, które z konieczności należy do prokuratury, prawie że wyczerpuje całą jej faktycznie działalność, natomiast czynna rola oskarżyciela w biegu sprawy jest przez organy prokuratury zaniedbywana nieraz skandalicznie. Na rozprawie sądowej podprokurator (bo sam prokurator Sądu Okręgowego, Rymsza, nie występuje nigdy) przeważnie jest bierny zupełnie i ogranicza się do zdawkowego frazesu o popieraniu oskarżenia albo co najwyżej wykrztusi coś w rodzaju krótkiego przemówienia bezbarwnej treści. Aby prokuratura kowieńska Sądu Okręgowego zadała sobie fatygę zaskarżenia wyroku, to jest – o ile sięgają moje wiadomości – nie praktykowane albo chyba tak rzadkie, jak biały kruk w naturze. A wyroki Sądu Okręgowego bynajmniej nie są ani tak doskonałe, ani tak srogie, aby zakładanie tzw. protestów odwoławczych prokuratury było ze stanowiska zadań oskarżenia zbyteczne. Ze spraw, które dochodzą do nas w drodze apelacji, a teraz zaczną dochodzić i w drodze kasacji, w bardzo wielu wypadkach zasady do zaskarżenia wyroku ze stanowiska oskarżenia są bardzo mocne; czasem nawet widzielibyśmy konieczność zaostrzenia wyroku, ale prokuratura milczała, więc my sami z urzędu uczynić tego nie mamy prawa, bo jesteśmy tylko sądem, a nie wyrazem strony oskarżającej. Cóż jednak mówić o prokuraturze Sądu Okręgowego, kiedy i nasza prokuratura Trybunału, choć niewiele ma do roboty, nie fatyguje się pracować. Prokurator Trybunału Kalvaitis, człowiek bądź co bądź z rutyną, sam prawie że nie występuje czynnie wobec Trybunału, ograniczając się tylko do zarządzeń administracyjnych w swojej sferze działania i do udziału w posiedzeniach gospodarczych Trybunału. Obowiązki oskarżenia w sprawach apelacyjnych na posiedzeniach sądowych i wyrażania wniosków prawnych w sprawach kasacyjnych, co według ustawy czyni się na piśmie, zleca swemu pomocnikowi, jedynemu podprokuratorowi Trybunału – Żylińskiemu. Ten ostatni, człowiek miły, zajęty poza tym polityką jako jeden z wodzów opozycyjnej prawicowej „Žemdirbių Sąjungi”, jest niedokończonym prawnikiem i słabym. Jego wnioski w sprawach kasacyjnych są prawie bez wyjątku redagowane podług jednego szablonu i nigdy nic zgoła jako myśl nam nie dostarczają. W sprawach apelacyjnych słyszymy z ust prokuratora stereotypową formułę: „Wnoszę o zatwierdzenie wyroku”. Oczywiście tak pojęty i tak wykonywany obowiązek prokuratora w najwyższej instancji sądowej czyni z tej ważnej funkcji czczą i jałową komedię, która nie ma najmniejszego znaczenia w naszej pracy wymiaru sprawiedliwości.

1 października, rok 1921, sobota
Członkowie delegacji litewskiej wrócili już wczoraj z Genewy. Czy cała delegacja wróciła, czy tylko część tejże dla zdania relacji rządowi – nie wiem. W każdym razie jest bardzo ciekawe, co zakomunikują. Ponieważ byłem zajęty na posiedzeniu sądowym w Trybunale, więc nie miałem możności zasięgnąć informacji w tej kwestii. Posiedzenie Trybunału było niemiłe. Na wokandzie było kilka spraw politycznych, które są zawsze bardzo przykre dla mnie, tym bardziej, że wszyscy moi koledzy sędziowie, a na ich czele Janulaitis, mają w sprawach politycznych zdecydowaną tendencję inkwizycyjną, czyniąc sędziów oskarżycielami. W jednej z tych spraw, mianowicie w sprawie Paszkiewiczów, dosyć głośnej ze względu na skandaliczne zaiste sformułowania aktu oskarżenia, zgłosiłem *votum separatum* na rzecz uniewinnienia oskarżonych.
Wracam do relacji stosunków w sądownictwie litewskim. Adwokatura, przesycona ogromnymi zarobkami, jest w obowiązkach swoich niedbała i traktuje swój zawód spekulacyjnie. Główna jej akcja polega na przemówieniach w sądzie, co w sprawach cywilnych ma pewne znaczenie, w karnych natomiast – prawie żadnego. A ponieważ w większości wypadków w sprawach karnych adwokaci wnoszą obronę z wyznaczenia, a nie z umowy, a więc bezpłatnie, przeto zupełnie o wartość swej pracy i o skutek nie dbają. Względy procesu, niezmiernie ważne dla obrony zwłaszcza w stosunku do kasacji, zaniedbują się przez adwokaturę po prostu skandalicznie. Prokuratura, słaba, niewyszkolona, leniwa, źle płatna, nie posiadająca też bodźca kariery, jak było za czasów rosyjskich przed wojną, traktuje swoje zadanie formalistycznie. Zresztą gdyby nawet pracowała staranniej, to jeszcze ze względu na jej poziom wykształcenia i biegłości fachowej małą by z niej sąd miał korzyść. Ale przynajmniej byłaby nadzieja, że się wyrobi i że z czasem zdoła wypełnić należycie swą funkcję w wymiarze sprawiedliwości. Bez należytej pracy tych dwóch fachowych czynników stron – mówię o sprawach karnych – kasacja niewiele się przyda. Instancja kasacyjna własnej inicjatywy ma niewiele, wszystko bowiem w postępowaniu kasacyjnym polega na inicjatywie stron. W drodze apelacyjnej wyższa instancja też nie może zastąpić instancji pierwszej, która jest zasadniczą. Uzupełnia ją ona, trochę koryguje, ale jeżeli I instancja jest kiepska, to zawsze wymiar sprawiedliwości będzie kulawy. Wyższa instancja bowiem w postępowaniu apelacyjnym nigdy nie nawiąże tego bezpośredniego kontaktu z żywym obliczem sprawy, jakie odtwarza się w I instancji. Toteż jeżeli sąd wyższy będzie jak najdoskonalszy, ale sąd zasadniczy I instancji będzie nędzny – wymiar sprawiedliwości będzie wadliwy. Sądami zasadniczymi są sądy okręgowe. Im słabsze są organy pomocnicze sądownictwa, jak sędziowie śledczy, prokuratura, adwokatura – tym większa odpowiedzialność ciąży na sądzie okręgowym i tym bardziej dobra działalność sądowa zależy od wartości jego pracy bezpośredniej. Nie mówię już o sądach pokoju. Te są tym bardziej organami zasadniczymi wymiaru sprawiedliwości. Ale skład osobisty sędziów pokoju, ich kwalifikacje pod wszelkimi względami – są bardzo niskie z konieczności przy istniejącym braku ludzi i sił fachowych. Jednak ze względu na większą wagę spraw należących do właściwości sądów okręgowych, sądy te stanowią w liczbie zasadniczych organów wymiaru sprawiedliwości sam środek sądownictwa. Jeżeli one będą dobre, to i sądownictwo będzie coś warte. Jakie są one i jak funkcjonują – o tym pomówię innym razem.

2 października, rok 1921, niedziela
Dowiedziałem się, że jeszcze członkowie delegacji litewskiej z Genewy nie wrócili. Coś ich jeszcze po drodze zatrzymało w Berlinie. Dokładnych przeto wieści jeszcze nie ma. Ale z tego, co się opowiada w kołach zbliżonych do rządu, należałoby wnosić, że

plenum Ligi Narodów zaleciło stronom – Polsce i Litwie – porozumienie się bezpośrednie na zasadzie projektu Hymansa, samo zaś uchyliło się od decyzji. Gdyby tak było, to sprawa wileńska wróciłaby do stadium, w jakim była ona na samym początku, czyli że znowu nie byłoby wyjścia. Wiadomo, że Polska odrzuciła stanowczo drugi projekt Hymansa, Litwa zaś nie mniej stanowczo odrzuciła pierwszy, a co do drugiego, to jeszcze zgłosiła szereg zastrzeżeń, ujętych w kontrprojekt. Nie ma nadziei, żeby dobrowolnie w drodze bezpośrednich rokowań którakolwiek ze stron poszła na dalsze ustępstwa.
Muszę sprostować wiadomość przedwczesną, podaną w dzienniku pod datą 25 września, o uznaniu Litwy *de jure* przez Anglię. Fakt ten jeszcze dotąd nie nastąpił. Natomiast uznała Litwę grupa państw skandynawskich.
Powtarzający się co parę dni dotkliwy ból zęba i szczęki, który trwa godzinami albo czasem i cały dzień lub znaczną część nocy, męczy mię niewypowiedzianie i odbiera wszelką radość życia. Nie przestaję wprawdzie pracować, ale nawet samo tworzenie myślowe, które tak lubię zwykle, nie daje mi rozkoszy.
Skończyłem dziś fragment mojej pracy dotyczący Chrześcijańskiej Demokracji. Sam ten fragment wystarczyłby na grubą broszurę. Praca ta trochę zanadto się rozrasta. Choć jestem z niej zadowolony, jednak się boję, że Michał Biržiška przerazi się rozmiarów i zacznie się poważnie zastanawiać nad wykładaniem kosztu na jej wydanie. Zaraz zabiorę się do następnego z kolei stronnictwa – „Santara”, o którym napiszę krótko. Ale potem znów czeka mię duży fragment – o socjalistach ludowych i Związku Włościańskim. Chcę w każdym razie zakończyć ten ostatni fragment jeszcze przed wyjazdem moim do Bohdaniszek, który ma nastąpić w d. 16 października i wysłać już całą tę część pracy do Wilna do Biržiški.
Mówiąc o stosunkach w sądownictwie litewskim, dotknąłem Sądu Okręgowego w Kownie. O nim chciałbym napisać dłużej. Braki tego sądu stanowią jedną z ciężkich bolączek sądownictwa. Do głównych źródeł wadliwości tego sądu należą: niedołęstwo prezesa Mačysa, zmienność składu osobistego sędziów i obniżanie się poziomu ich kwalifikacji. Kiedym ja w roku zeszłym został przyjęty do tego sądu, zastałem skład sędziów następujący: prezes Mačys, wiceprezes Piotrowski i sędziowie Preis, Oleka, Frydman, Budrecki. Bądź co bądź, każdy z nich przedstawiał pewne kwalifikacje zawodowe. Budrecki był z ich liczby najsłabszy, bo jest chciwy, zawodowo niedbały, zajęty wszystkim innym, a zwłaszcza swym neofityzmem litewskim, ale tylko nie pracą sumienną w zakresie swoich obowiązków sędziowskich. Ale miał on przynajmniej za sobą pozór rutynowanego sędziego, bo lat kilkadziesiąt przesłużył w sądownictwie w Rosji. Wprawdzie „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu”, a więc i przeszłość formalna Budreckiego nie uczyniła zeń dobrego prawnika i sędziego, ale kwalifikacje formalne miał, a wyjątki zdarzają się wszędzie. Był on wyjątkiem. Za to wszyscy inni byli jako sędziowie dobrzy. Mačys, kiepski administrator na stanowisku prezesa, jest cywilistą dobrym i lubi mechanizm sądzenia. Piotrowski, niegłupi i posiadający dużą biegłość zwłaszcza procesualną, jest także sędzią wcale niezłym, zwłaszcza kryminalistą. Choć oni obaj z Mačysem grzeszyli trochę tym, że świadomie czasem nie liczyli się z przepisami ustaw na rzecz tego, co im się zdało sprawiedliwsze, co stanowi drogę niebezpieczną dla sędziego, jednak jako wytrawni prawnicy zachowywali nawet w tej licencji sprawiedliwości materialnej pewien instynkt formalistyczny prawa. O innych w dalszym ciągu pomówię innym razem.

3 października, rok 1921, poniedziałek
Jeden z członków delegacji litewskiej, mianowicie Klimas, wrócił już z Genewy. Rząd przeto musi już mieć dokładne sprawozdanie. Jednak ponieważ w tych dniach mają

wrócić wszyscy członkowie delegacji, a więc i jej wodzowie właściwi – Gałwanowski i Naruszewicz – więc do czasu ich powrotu sprawa pozostaje w rezerwie. Że spór nie został jeszcze przesądzony kategorycznie decyzją Ligi Narodów i że plenum tejże znowu zaleciło porozumieć się stronom bezpośrednio i że jako podstawę tego porozumienia wskazano na zasady projektu Hymansa – to już jest wiadomo. Wszakże pozostaje jeszcze cały szereg innych bardzo ważnych rzeczy dotąd niepewnych, jak w szczególności: jakim było ostateczne stanowisko delegacji litewskiej w stosunku do zasad Hymansa, jak należy rozumieć zalecenie przez Ligę bezpośredniego porozumienia, czy jest to po prostu umycie rąk i zrzeczenie się przez Ligę wszelkiej decyzji, pozostawiając sprawę własnemu losowi wypadków, czy też Liga ma jakieś zamiary i metody doprowadzenia stron do tego porozumienia i jakie, wreszcie czy myśli o jakichś sankcjach na wypadek, gdyby strony lub którakolwiek z nich uchylały się od stosowania się do tego zlecenia. To wszystko pozostaje dotąd w jakimś cieniu niewiadomości i rząd nie kwapi się z udzielaniem wyjaśnień. Oczywiście czeka na przyjazd i dokładną relację Gałwanowskiego i Naruszewicza, bo coraz bardziej staje się widocznym, że jednak pomimo gwałtu, jaki się podniósł w opinii litewskiej w Kownie i w samym Sejmie Ustawodawczym przeciwko projektowi Hymansa, pomimo że rząd pod presją tego gwałtu kilkakrotnie solennie i publicznie zaręczył, że projekt Hymansa nie był i nie będzie przezeń przyjęty i pomimo że Chrześcijańska Demokracja, która na razie dawała już półgębkiem do zrozumienia, że „brutalna logika" konieczności międzynarodowych zmusza Litwę do wkroczenia na tory zasad Hymansa i że trzeba będzie z tym się pogodzić, potem zastraszona rosnącą żywiołowo opozycją i zaniepokojona przenikaniem protestu w jej własne szeregi, równie uroczyście w swojej formule rezolucji sejmowej przeciwstawiła się projektowi Hymansa, delegacja litewska w Genewie drugi projekt Hymansa w zasadzie w imieniu Litwy przyjęła. To, co było dotąd tylko wyczuwalne, dziś staje się już wyraźnym z ogłoszonego w „Laisvė" tekstu listu prezesa delegacji litewskiej Gałwanowskiego do prezydium Ligi Narodów. W liście tym, datowanym z d. 21. IX, Gałwanowski potwierdza, że delegacja litewska postanowiła „przyjąć w głównych rysach i podstawowych zasadach projekt Jego Excelencji p. Pawła Hymansa, zastrzegając sobie swobodę zgłoszenia wobec Ligi Narodów poprawek do niektórych punktów". „Laisvė" przytaczając list Galwanowskiego podkreśla, że stanowisko delegacji wyrażone w liście przeczy rezolucji sejmowej. Nie ulega wątpliwości, że tak jest w istocie. Wprawdzie w tym wypadku Chrześcijańska Demokracja i jej organ „Laisvė" powinny by się same uderzyć w pierś, bo kiedy jeszcze przed sesją genewską Naruszewicz przyjeżdżał do Kowna dla porozumienia się z rządem i odpowiedzialnymi kołami sejmowymi, to wodzowie Chrześcijańskiej Demokracji dali się przekonać jego perswazjami i poufnie udzielili sankcji na takie przyjęcie zasad Hymansa sami z zastrzeżeniem i już „Laisvė" puściła w świat balony próbne o „brutalnej logice", ale teraz, uląkłszy się po tym burzy opozycji, udaje już gorliwą nieskazitelność patriotyczną pod tym względem i nie przyzna się za nic do tego, że był czas, kiedy sama skłaniała się do tych „konieczności" i poniekąd upoważniła delegację do tego kroku. Co teraz z tego wyniknie? Jak rząd wybrnie z sytuacji? Czy odpowiedzialność zostanie zrzucona na delegację, która się stanie kozłem ofiarnym? Czy też rząd pokryje stanowisko delegacji, ale jak poradzi sobie w takim razie z niedawnymi własnymi, solennymi zapowiedziami? Czy wreszcie da się temu jakiś nowy wykręt i Sejm się uspokoi, bo tymczasem do rozwiązania sprawy w Genewie nie doszło ?

Gdyby się okazało, że Liga Narodów w Genewie po prostu umyła sobie ręce od tej sprawy i że wszystko, co tam zaszło, już nie obowiązuje, to wobec tego, że Polska odrzuciła drugi projekt Hymansa, kwestia stanowiska zajętego przez delegację litewską

byłaby mniej ważną. Ale i w takim razie trudno przypuścić, aby oświadczenie o przyjęciu projektu Hymansa „w głównych rysach i podstawowych zasadach" zupełnie już nie krępowało Litwy w przyszłości w następnych fazach tej sprawy, choćby tylko względem Polski. Czyżby jednak Liga Narodów tak już całkowicie umyła ręce i wyrzekła się wszelkiej ingerencji w tej sprawie? Wątpię.

4 października, rok 1921, wtorek
Janulaitis spytał mię, czy bym się nie zgodził przyjąć obowiązków redaktora projektowanego czasopisma prawniczego. Odpowiedziałem, że się zgadzam, ale że jeżeli Kriščiukaitis będzie życzył być redaktorem, to konkurować z nim nie będę. Wiem bowiem, że był projekt, aby pismo takie wydawać przez Ministerium Sprawiedliwości pod redakcją Kriščiukaitisa, który w zasadzie się zgodził. Są dwa projekty tego wydawnictwa: jeden, żeby je wydawało Ministerium i drugi, podniesiony dziś na posiedzeniu Towarzystwa Prawniczego[611], aby wydawnictwa tego podjęło się Towarzystwo Prawnicze po otrzymaniu na ten cel subsydium od rządu. Towarzystwo Prawnicze, założone w zeszłym roku, dotąd spało. Nawet zarząd nie odbywał posiedzeń. Do zarządu należą, zdaje się, Kriščiukaitis, Janulaitis i adwokaci Staszyński, Leonas i Norejko. Sądzę, że lepiej by było, aby pismo wychodziło z ramienia Towarzystwa Prawniczego. Potrzeba takiego pisma jest wielka. Samo Towarzystwo Prawnicze bez pisma będzie rzeczą martwą. Chętnie bym się podjął kierownictwa pisma, zastrzegając oczywiście, że ktoś inny musiałby mi być do pomocy dla korekty językowej. O mojej kandydaturze na posiedzeniu zarządu Towarzystwa Prawniczego nie było jeszcze mowy, bo dopiero po posiedzeniu Janulaitis się z tym zwrócił do mnie. Chce on wystawić moją kandydaturę i popierać ją. I owszem. Janulaitis mówi, że Kriščiukaitis nie kwapi się wcale do redagowania. Gdyby się kwapił – w drogę mu wchodzić nie będę.
Zacząłem wczoraj pisać o stronnictwie „Santara"; dziś pewno już o nim skończę i jutro lub pojutrze zabiorę się do socjalistów ludowych. Znakomicie wczoraj pisałem, a że ząb nie bolał, więc szło tym lepiej. Praca ta będzie kapitalną; będzie ona prawdziwą monografią powstania i rozwoju oraz statyki wszystkich stronnictw litewskich, a więc całego układu politycznego w narodowym społeczeństwie litewskim. Oprócz ogólnego wstępu historycznego w początku pracy, podaję też genezę każdego poszczególnego stronnictwa, sięgając przeto głęboko w ewolucję ostatnich lat, stanowiącą zarazem dzieje powstania państwa litewskiego. Poniekąd praca moja oświetla cały nasz okres od r. 1905 i przeto stanowi w pewnej mierze jakby drugą część mojej książki „Litwa", która się zamyka rokiem 1905. Obecna praca jest wprawdzie od „Litwy" specjalniejsza, bo zawiera historię stronnictw zamiast całkowitych dziejów narodowych i o wypadki tychże potrąca tylko okolicznościowo, o ile to jest niezbędne dla zrozumienia procesów społeczno-politycznych, wrażających się w stronnictwach. Jednak ma ona pewną ciągłość z „Litwą" i sądzę, że jeżeli ukaże się w druku, to zwróci na siebie uwagę i będzie miała wagę niewiele mniejszą od „Litwy". Chcę ją nazwać „Litwa Niepodległa". Choć tytuł taki będzie w stosunku do treści za obszerny, ale wolę zawsze dla książki jakiś tytuł lapidarny niż opisowy. Tytuł książki jest raczej jej imieniem, niż ścisłym określeniem zawartości. Muszę tylko koniecznie dopiąć tego, aby książka została wydana.
Nie skończyłem jeszcze rozpoczętej w dzienniku relacji o stosunkach w sądownictwie litewskim i jego charakterystyki, o czym dużo chciałbym powiedzieć. Mam tu jeszcze kawałek miejsca, ale już dziś zaniecham tego, bo wolę pisać na ten temat na całych kartach, kiedy będę miał którego dnia wolną, niż urywanymi fragmencikami.

[611] Towarzystwo Prawnicze – **do wyjaśnienia.**

5 października, rok 1921, środa
Otrzymałem dziś od komisji konstytucyjnej Sejmu za podpisem adwokata posła Tumenasa tekst projektu konstytucji Rzeczpospolitej Litewskiej, przyjętego w II czytaniu przez tąż komisję, wraz z prośbą przedstawienia swoich uwag do projektu i przybycia w tym celu na posiedzenie komisji, o którego terminie będę osobno powiadomiony. Takież pakiety przysłane zostały do prezesa Trybunału Kriščiukaitisa i mego kolegi w Trybunale – sędziego Janulaitisa, a prawdopodobnie i do szeregu innych prawników i mężów stanu oraz działaczy politycznych. Tymczasem zaledwie pobieżnie przejrzałem projekt konstytucji, który jednak nasuwa mi bardzo dużo uwag i zastrzeżeń. Co do przewidzianej w projekcie konstytucji organizacji sądu mam też poważne rezerwy. W szczególności zasada o wybieralności sędziów Najwyższego Trybunału przez Sejm wydaje mi się z wielu względów niebezpieczną. Wprowadzi to bowiem do wymiaru sprawiedliwości pierwiastek polityczny i wpływ partii dominującej. Ta okoliczność, że sędziowie Trybunału będą nieusuwalni, bo tak, zdaje się, należy rozumieć dalsze dyspozycje projektu, i że przeto wybór każdego sędziego będzie jednorazowy, nie bardzo poprawi sytuacji, bo sędziowie niższych instancji, wiedząc, że powołanie ich do Trybunału zależy od Sejmu, będą w swojej działalności sędziowskiej wysługiwali się prądom politycznym większości sejmowej, co będzie się odbijało na wymiarze sprawiedliwości i rychło może rozwinąć karierowiczostwo polityczne w szeregach sędziowskich, dając karierowiczom przewagę nad ludźmi niezależnymi, nad zasługą i rzetelną wartością zawodową, oraz zabagniając Trybunał miernotą kreatur partii rządzącej. Ciekaw jestem, jak w szczególności zapatrują się na to moi koledzy.
Wracam do relacji o stosunkach aktualnych w sądownictwie. Jak mówiłem, gdym się dostał w r. 1920 do Sądu Okręgowego w Kownie, zastałem w nim, prócz prezesa Mačysa i wiceprezesa Piotrowskiego, sędziów Preisa, Olekę, Fridmana i Budreckiego. O Mačysie, Piotrowskim i Budreckim wspominałem. Jako siły fachowe Mačys i Piotrowski mają wartość, Budrecki jest ze wszystkich wymienionych najsłabszy. Z trzech pozostałych Preis jako siła fachowa stoi niewątpliwie bardzo wysoko. Ma dobrą głowę i długoletnią wprawę zawodową. Przed wojną przebył on długą karierę w sądownictwie rosyjskim w Kownie: był sędzią śledczym, podprokuratorem, potem przez wiele lat członkiem Sądu Okręgowego, a wreszcie podobno był już mianowany członkiem Izby Sądowej w Wilnie, ale z powodu wojny czynności tej już nie spełniał. Zarzucają mu, że jest przekonań arcykonserwatywnych, że jako Rosjanin starej daty rządów carskich jest w duszy niechętny Litwie i tęskni szczerze do powrotu dawnych stosunków i czasów, że wreszcie nie był zupełnie bezstronny w działalności sędziowskiej, naginał się tendencyjnie do faworyzowania pewnych interesów prywatnych i pewnych sympatii politycznych, choć pod tym ostatnim zwłaszcza względem to niejedno da się zarzucić, choć może w przeciwnym kierunku, i niektórym obecnym sędziom Litwinom (w pierwszym rzędzie nie jest od tego wolny Piotrowski). Bądź co bądź, była to siła w zawodzie sędziowskim wybitna. Zarzucają Preisowi i pewne inne kawały, już spoza jego działalności sędziowskiej, ale takie, w których poniekąd nadużywa on swego stanowiska sędziowskiego, lecz o tym pomówię innym razem, gdy dotknę dziejów jego niedawnej dymisji. Drugi – sędzia Oleka – był przed wojną zastępcą starszego notariusza w Kownie. Jest Litwinem, może trochę nacjonalistą, przekonań dość radykalnych, zabarwiony tendencjami współczesnej reformy agrarnej. Ale jest wcale dobrym cywilistą i przede wszystkim jako sędzia był bezstronnym i stał ściśle na stanowisku prawa. Jest tylko bardzo nerwowy i nie mógł nigdy znieść nieładu i anarchii w Sądzie Okręgowym, pod którymi rozkwitają i plenią się, niestety, różne machinacje i spekulacyjki pracowników kancelarii. Trzeci –

Fridman, Żyd, człowiek wieku podeszłego, były długoletni obrońca sądowy (adwokat prywatny) w Poniewieżu. Nie jest prawnikiem formalnym, bo dyplomu uniwersyteckiego nie ma, ale studia prawne na uniwersytecie odbywał. Jest dobry cywilista i człowiek w gruncie – mimo pewne słabostki, ambicyjki – poczciwy. Słowem – pod względem sił fachowych zastałem dobór sędziów wcale dobry; jedyną skazą był Budrecki, ale nie ma prawidła bez wyjątku, a formalnie Budrecki odpowiadał kwalifikacjom. Na tym na razie przerwę.
Słówko o pieniądzu. Nasza marka niemiecka od paru miesięcy gwałtownie spada i straciła już prawie połowę swej wartości w stosunku do złota sprzed trzech miesięcy, a marka polska spada jeszcze bardziej. Na moich 10 dolarach, kupionych w lipcu przed niespełna trzema miesiącami, „zarobiłem" już przeszło 500 mk.! Kupiłem 10 dolarów za 730 mk., dziś są już one warte około 1260-1270 mk.! W ostatnich kilku dniach marka niemiecka jakby się zatrzymała. Marka polska zaś spada wprost katastrofalnie, nawet w stosunku do spadającej niemieckiej. Za 1 markę niemiecką lub ost można już mieć obecnie 50, a nawet do 70 mk. polskich! Spadek marki polskiej jest tak wielki, że w przeszłym tygodniu, jak się skarżą pisma wileńskie, chłopi w Wilnie na targu nie chcieli sprzedawać produktów za marki polskie i wskutek tego dowóz produktów do miasta się zmniejsza. Można co prawda zmusić na targu do przyjmowania marek polskich, ale wtedy chłop drugi raz już nie chce wieźć, bo wie, że i tak z miasta przyjdą do niego po produkty i zapłacą mu tak i tyle, jak i ile zechce. Co zaś do pieniędzy sowieckich, to była w gazetach wieść, może już nawet przesadzona, ale zapewne nie bardzo daleka od prawdy, że bolszewicy projektując wydanie nowych pieniędzy metalowych, zamierzają ustanowić wartość ich w stosunku do papierowych w ten sposób, że 10 000 rubli papierowych będzie się równało 1/8 części kopiejki w złocie, czyli 8000 rubli za 1 kopiejkę!!

6 października, rok 1921, czwartek
Pierwsza rocznica Papy śmierci. Siostry moje – Elizka Komorowska, Elwira Mieczkowska i Marynia Römerowa – zjechały się dziś na grób Papy i na nabożeństwo żałobne za śp. Jego duszę – do Abel. Spodziewały się zapewne i mojego przyjazdu, bo wiedzą, że około tego czasu miałem przyjechać. Dla różnych jednak przyczyn nie mogę wyjechać stąd wcześniej, aż w przyszłą niedzielę.
Piszę dalej o stosunkach w sądownictwie. Komplet Sądu Okręgowego w Kownie, który zastałem w roku zeszłym, był już za mały. Dopływ spraw był znacznie większy, niż ilość rozpoznawanych i zaległości przeto rosły. A kiedy jeszcze Fridman i ja zostaliśmy mianowani do Sądu Okręgowego w Wilnie, trzeba było śpiesznie uzupełniać szeregi. Starszych i doświadczonych prawników brakło. Zaczęto szukać i brać takich, jacy się zdarzali, usiłując bądź co bądź dobierać raczej starszych wiekiem. Dobrany został Masiulis, Narutowicz, potem Šurna. Z nich Masiulis, w tym czasie najmłodszy ze wszystkich, liczący około 35 lat, choć nie miał rutyny ani doświadczenia, okazał się człowiekiem bardzo starannym, niezależnym, życiowo wyrobionym, rozumnym. Widać było, że to jest materiał na sędziego dobry. I Masiulis, i Šurna dostali się do Sądu Okręgowego ze stanowiska sędziego pokoju, ale w ogóle karierę sądową i nawet prawniczą rozpoczęli dopiero za rządów litewskich. Poprzednio Masiulis, zamieszkały przed wojną w Wilnie, oddawał się trochę pracy publicystycznej i literackiej. Co robił poza tym – nie wiem. W adwokaturze go jednak nie było. Šurna, człowiek lat czterdziestu kilku, prawnik z wykształcenia, mieszkał przed wojną stale w Petersburgu i miał posadę w Ministerium Finansów. Abecadła sędziowskiego liznął przez rok pobytu na stanowisku sędziego pokoju w Wiłkomierzu. Jest to stary kawaler z tendencją na „*bon viveura*", ale w każdym razie umysł w sile, ustalony, pełny równowagi, co dla

sędziego jest zaletą. Długoletnia rutyna urzędnicza w ministerium rosyjskim przyuczyła go też do pewnego ładu, do pewnej metody biurokratycznej, do pewnej umiejętności obchodzenia się z aktami, co ostatecznie w nowym, organizującym się dopiero sądownictwie było elementem nawet pożądanym. Ale i jeden, i drugi, i Masiulis, i Šurna, choć mieli zadatki na niezłych w przyszłości sędziów, musieli się dopiero uczyć, dopiero nowicjat sędziowski odbywać. Nowicjatem była praca sędziowska i dla Narutowicza, mimo że to już człowiek podeszłego wieku – lat pięćdziesięciu kilku i dobrych. Ten wprawdzie od wielu lat należał do adwokatury, ale raczej formalnie. Był zawsze ziemianinem na Żmudzi w powiecie telszewskim, poza tym działaczem społecznym znanym od lat wielu. Ten zabrał się do pracy sędziowskiej bardzo gorliwie, z wielkim temperamentem, jak gorący koń stajenny do roboty. Pracował starannie, ale od razu widać było, że nie wytrzyma i do zawodu sędziowskiego na stałe się nie wdroży. Łatwo się zrażał, zniechęcał, a zbyt forsownie robił. Tęsknił wciąż do wsi, do rodziny, do Telsz, do swego dawnego trybu życia. Choć my z Fridmanem wróciliśmy do Kowna, trzeba było nadal szybko kompletować skład sądu, bo robota ciągle rosła. Toteż rychło zaczęto już obierać nie tylko nowicjuszów, jakimi byli Masiulis i Šurna, ale i zupełnych młodzieniaszków, ledwie upieczonych prawników, jak Rustejko, Sugintas, Burkiewicz, albo takich, którzy w ogóle nigdy ani przez jedną chwilę z sądownictwem lub adwokaturą nie mieli do czynienia, jak Penkaitis. Wśród tych nowych jeden się tylko trafił starszy wiekiem i doświadczeniem – Czesław Milwid, ziemianin i adwokat, były poseł do I Dumy w r. 1906. Ten pracuje jeszcze goręcej niż Narutowicz, a szybko i rezolutnie jak błyskawica. Jest człowiekiem niegłupim, bardzo prawym, kategorycznym. Nie jest wprawdzie prawnikiem bardzo wytrawnym, bo też był zawsze więcej ziemianinem, niż adwokatem, ale jest sędzią niezłym, bo ma instynkt prawdy życiowej i sprawiedliwości oraz umiejętności i energię decyzji. Już więc na wiosnę, kiedy jeszcze ja byłem w Sądzie Okręgowym, zebrała się w nim spora garść młodzików i niemowląt fachu sędziowskiego. Zapełniali oni szary koniec, uczestniczyli w posiedzeniach zawsze tylko pod przewodnictwem i kierunkiem któregoś z nas – starszych. Byli między nimi i bardziej zdolni, jak Sugintas, i bardziej tępi, jak Rustejko, i niezależni, samodzielnie myślący, jak Burkiewicz, i karierowicze, jak Penkaitis. Był i lepszy, i lichy materiał na sędziów, ale zawsze tylko materiał, surowiec, nie zaś sędziowie gotowi, wyrobieni, kwalifikowani. Brak ludzi był tak wielki, że brano każdego, byle tylko był prawnikiem z wykształcenia. Doszło do tego, że Sąd Okręgowy stał się pierwszym szczeblem dla początkującego prawnika. Tacy, którzy przed wojną, za normalnych czasów sądownictwa byliby zaledwie kandydatami do posad sądowych, których nie przyjęto by ani na podprokuratora, ani na sędziego śledczego, ani na sędziego pokoju, ani nawet na sekretarza Sądu Okręgowego, obecnie byli sędziami okręgowymi.

7 października, rok 1921, piątek
Mieliśmy w Trybunale posiedzenie cywilne. Jest to rzecz rzadka, bo przewaga spraw karnych, ze względu zwłaszcza na ich liczny dopływ z Sądu Armii, jest ogromna. Było to pierwsze posiedzenie sądowe cywilne, odkąd jestem w Trybunale. Zdaje się jednak, że w najbliższym czasie będzie kilka posiedzeń cywilnych. Na dzisiejszym były rozpatrywane cztery sprawy w trybie apelacyjnym. Sprawy były przeważnie bardzo skomplikowane, trudne i było wśród nich parę takich, w których nasz wyrok będzie precedensem. W dwóch sprawach odroczyliśmy na tydzień ogłoszenie rezolucji, bo musimy się poważnie nad wyrokiem zastanowić.

8 października, rok 1921, sobota

Do obiadu byłem na posiedzeniu karnym Trybunału. Na wokandzie były sprawy z Sądu Armii, przeważnie kasacyjne i tylko dwie apelacyjne. Z apelacyjnych jedna była „polska", druga – bolszewicka. W sprawie „polskiej" – Stefana Zyberk-Platera z Kurtowian, oskarżonego o to, że we wrześniu roku ubiegłego ułatwił on ucieczkę internowanym żołnierzom polskim, udzieliwszy im na mapie wskazówek co [do] dróg przedostania się do Okręgu Kłajpedy, w czym prokuratura i Sąd Armii dostrzegły cechy zdrady stanu, sporną była kwestia, czy w tym czasie Litwa była w stanie wojny z Polską, czy też była neutralną w stosunku do wojny polsko-rosyjskiej. Że Litwa była ogłosiła swoją neutralność, to jest wiadome, ale wkrótce potem, gdy Polska w kontrofensywie na bolszewików wkroczyła przemocą na terytorium obstawione neutralnym wojskiem litewskim, od czego się rozpoczęła jej akcja przeciwko Litwie, zakończona okupacją Wilna, stan faktyczny wojny między Litwą a Polską został przywrócony. Tak traktowaliśmy tę sprawę z Kriščiukaitisem, a ponieważ w czasie inkryminowanego Platerowi czynu stan neutralności Litwy nie był jeszcze wyraźnie zastąpiony stanem wojny, więc głosowaliśmy za uniewinnieniem i uniewinniliśmy przeciwko głosom Janulaitisa i sędziego Sądu Armii Wimera. W sprawie „bolszewickiej" byłem również za uniewinnieniem oskarżonego dla braku dowodów winy, ale Kriščiukaitis przychylił się tym razem do Janulaitisa i Vimera. Co zaś do Janulaitisa, to ten jest prawie że bez wyjątku zawsze za skazaniem, a w sprawach politycznych szczególnie. Ciekawa rzecz, że człowiek, który sam należał do obozu rewolucyjnego za czasów rosyjskich, był i jest formalnie dotąd członkiem partii s.-d., ma słowem całą przeszłość i tradycję rewolucyjną i sam niejednokrotnie był ścigany sądownie w sprawach politycznych, stał się w Litwie niepodległej wprost fanatykiem państwowości i w działalności sędziowskiej przyswaja sobie tendencje oskarżyciela, inklinując wyraźnie ku inkwizycyjnej metodzie sądu.
Bardzo przykre są wieści z Wilna. W ostatnich czasach wileńskie władze Żeligowskiego rozpoczęły systematyczne represje przeciwko Litwinom. Stłumiona została prasa Michała Biržiški, niszczone są systematycznie instytucje kulturalne litewskie, jak ochrony i szkoły. Są też areszty (głośny między innymi areszt Šilinga, który siedzi dotąd), prócz tego faworyzowane przez władze czynniki prowadzą gwałtowną nagonkę na biskupa Matulewicza i wszystko co litewskie. Od pewnego czasu władze wileńskie usiłują wyrugować gimnazjum litewskie Biržiški z gmachu przy Placu Łukiskim, który Litwini od lat kilku zajęli i przystosowali do swoich potrzeb. Michał Biržiška opierał się temu na drodze legalnej, aż oto przychodzą wieści, że władze gimnazjum polskiego wraz z uczniami urządziły napad na gimnazjum litewskie. Wyganiano uczniów Litwinów przemocą, dopuszczano się gwałtu, bito i wewnątrz gmachu, i w tłumie na ulicy. Widocznie skargi posłów frakcji polskiej w Kownie o prześladowaniu Polaków tutaj nie dają spać gorliwcom polskim w Wilnie, którzy chcą wykazać, że potrafią prześladować jeszcze energiczniej i prościej, niż się to w skargach zarzuca Kownu.

9 października, rok 1921, niedziela
Dzień dziś mamy tak pogodny i ciepły, jak w pełnym lecie. Prawdziwe babie lato, acz już spóźnione bardzo. Ząb mię od trzech dni nie boli wcale, a jednak ból się nie powtórzył. Nie odważam się jednak cieszyć, że ból ten się skończył na stałe. W nocy dziś miałem ucztę zmysłową z pewną ładną Żydóweczką. Jest to rzadkie urozmaicenie mego pustelniczego trybu życia.
Widziałem się z p. Dominikiem Dowgiałłą z Siesik. Jest to jeden z największych obszarników w kraju, ale rzecznik szczery państwowości Litwy, potomek rodu litewskiego, który też zawsze osobiście uważał się za Litwina – jeszcze przed wojną,

kiedy nie mógł robić tego dla kariery lub względów majątkowych, bo nie było jeszcze wtedy mowy o władzy i rządach litewskich, a państwo litewskie zdawało się rzeczą bardzo daleką. Nazywając siebie Litwinem, należał on jednak i należy całkowicie do naszej społeczności ziemiańskiej, która językowo i kulturalnie jest przeważnie polska. Dlatego też, choć nie wyciągał on ze swej kultury polskiej konsekwencji politycznych polskich, jednak wraz z całym społeczeństwem ziemiańskim pojmował on Litwę jako terytorium historyczne – tzw. Wielką Litwę – rozciągając ją chętnie i na Białoruś, i miał stary instynkt dziejowy naszej arystokracji, instynkt, zaszczepiony wiekami misji, solidarności litewsko-polskiej. Dowgiałło zakomunikował mi, że bawił świeżo w Warszawie na ślubie jednego ze swych synów, zamieszkałego w dobrach wołyńskich. Widział się w Warszawie z różnymi ludźmi, jak z polskim ministrem spraw zagranicznych Skirmuntem i z dyrektorem Departamentu Spraw Wschodnich Kossakowskim, którzy obaj są ziemianami z Litwy (Litwy w pojęciu szerszym tzw. „Kresów", ogarniających obszary litewsko-ruskie) i z którymi przeto łączą Dowgiałłę dawne i bliskie stosunki. Upewniał, że ci panowie są jak najlepiej usposobieni do Litwy, są przeciwnikami aneksji Wilna i skłonni są do bardzo daleko idących ustępstw, do kroków bardzo pojednawczych i że tylko samo Wilno, tylko roznamiętnienie nacjonalistyczne Polaków wileńskich, odwołujących się do Warszawy i podnoszących wielki krzyk, mąci szyki dyplomacji warszawskiej i utrudnia jej akcję pojednawczą. Tak widocznie panowie Skirmunt i Kossakowski chcą przedstawić Kownu swoje tendencje.
Mówił też Dowgiałło o Januszu księciu Radziwille, człowieku młodym jeszcze i zdolnym, który w swoim czasie za rządów Rady Regencyjnej w Warszawie zajął szybko stanowisko wybitne kierownika polityki zagranicznej polskiej. Ówczesna jego rola była wybitnie aktywistyczna, a więc opierająca się o spekulację germanofilską w przeciwieństwie do ówczesnej polityki zarówno endeckiej, z gruntu rusofilskiej i germanofobskiej, zasadzającej się na akcji Komitetu Narodowego w Paryżu, jak niepodległościowej polityki Piłsudskiego. Po porażce niemieckiej tzw. aktywizm stał się plamą na karierze politycznej ludzi, którzy doń ręki przykładali. Ludzie ci zeszli ze sceny. Dotąd też o Januszu Radziwille nic nie było słychać. Dowgiałło twierdzi, że Janusz Radziwiłł jest człowiekiem wprost niepospolitych zdolności i talentu politycznego i że jest to człowiek, który odegra w Polsce wielką rolę. Powiada też, że pamięć o znienawidzonym aktywizmie po trochę wygasa w opinii publicznej (chyba nie u endeków!) i że odium, którym byli porażeni ludzie obarczeni piętnem aktywizmu, dziś już przebrzmiało. Ile jest prawdy w tej świetnej zapowiedzi wielkiej kariery politycznej Janusza Radziwiłła, tego nie wiem. Otóż ten Janusz Radziwiłł chciałby przyjechać do Litwy zupełnie prywatnie i na własną rękę, bez misji żadnej i mandatu, aby się po prostu tutaj rozejrzeć w stosunkach, nawiązać znajomości i zbadać grunt co do perspektyw pojednawczych, którym osobiście hołduje. Dowgiałło chciałby przeto się upewnić, czy jest możność zapewnienia Radziwille przyjazdu. Wiedząc, że Žemaitis chciał się z Dominikiem Dowgiałłą zapoznać i skomunikować, by ewentualnie spróbować nawiązać przez niego kontakt z grupą przyjaznych Litwie elementów krajowych polskich, zaproponowałem Dowgialle urządzenie jutro spotkania się z Žemaitisem. Zdaje się, że dojdzie ono do skutku jutro wieczorem.

10 października, rok 1921, poniedziałek
W powietrzu wisi kryzys gabinetu Griniusa. Od wczoraj toczą się w sali ratuszowej obrady zjazdu ludowców i Związku Włościańskiego. Obrady były bardzo ożywione, dyskusja toczyła się ostra. Fakt, który staje się widoczny, że delegacja litewska w Genewie jednak projekt Hymansa zasadniczo w imieniu Litwy przyjęła, pomimo

kategorycznych i uroczystych zapewnień rządu w Sejmie i poza nim, że Litwa tego projektu nie przyjmie – a oczywiście delegacja nie uczyniła tego kroku bez wiedzy rządu i działała w myśl jego instrukcji – fakt ten wywołuje w opinii publicznej litewskiej ostry nastrój przeciwko rządowi, który nie mógł nie znaleźć wyrazu na zjeździe stronnictwa uczestniczącego w rządzie. Ja sam osobiście, choć nie jestem zasadniczo przeciwnym projektowi Hymansa i nie uważam go, jak mówi większość litewska, za zabójczy dla niepodległości Litwy, nie mogę żadną miarą usprawiedliwić postępowania rządu, który – trzeba to nazwać po imieniu – wprost oszukiwał opinię publiczną, mówiąc jej co innego, a robiąc co innego. Kłamstwo to, poparte najsolenniejszymi zaręczeniami, usiłuje on utrzymać dotychczas wbrew oczywistości, która staje się jawna bodaj nawet dla ślepych.
Trudno przypuścić, aby ta wykrętna polityka rządu była przezeń prowadzona na własną odpowiedzialność, bez zakulisowego poparcia Chrześcijańskiej Demokracji lub przynajmniej jej wodzów, bo inaczej rząd by już dawno runął. Nic dziwnego, że u ludowców, którzy przez osobę prezesa gabinetu, Griniusa, wchodzącego do rządu z ich ramienia, dają firmę rządowi opierającemu się o Chrześcijańską Demokrację i będącemu narzędziem jej polityki, a przeto i ponoszą odpowiedzialność przed krajem za rząd, poruszenie jest wielkie. Ujawniło się ono już w czasie obrad w Sejmie nad interpelacją esdeków. Teraz, kiedy przyjęcie projektu Hymansa przez delegację litewską stało się jeszcze jawniejsze, poruszenie się spotęgowało. Na zjeździe atakowano rząd, demaskowano jego zakpienie z opinii publicznej, uderzano na Ślażewicza, wielkiego „papieża” politycznego ludowców, który sam w Brukseli uczestniczył w rokowaniach litewsko-polskich i należał do tych, co projekt Hymansa zgodzili się przyjąć za podstawę do rokowań. Żądano odwołania członków stronnictwa z rządu, zerwania kompromisu sejmowego z Chrześcijańską Demokracją. Kierunek radykalny i opozycyjny, prowadzony, zdaje się, przez dr Lašasa, starł się ostro na zjeździe z kierunkiem oportunistycznym, którego symbolem stał się Ślażewicz. Skrzydło opozycyjne wskazywało nie tylko na przyjęcie przez rząd projektu Hymansa wbrew opinii Sejmu i wbrew zapewnieniom tegoż rządu, ale i na to, że cały kompromis ludowców z chrześcijańskimi demokratami na nic się nie zdał, bo chrześcijańscy demokraci nie spełnili jego warunków, nie liczą się w praktyce z ludowcami, a ludowcy ponoszą współodpowiedzialność za politykę Chrześcijańskiej Demokracji; dr Grinius reprezentuje ludowców w rządzie, daje rządowi ich firmę, ale w istocie nie on steruje polityką. Zjazd ludowców trwał dziś i potrwa jeszcze jutro. Jakie będą jego decyzje – jeszcze nie wiem. Ponieważ musiałem się dziś zobaczyć z posłem Kriščiunasem dla pewnych informacji o stronnictwie ludowców dla mojej pracy, więc udałem się do ratusza, gdzie się odbywa zjazd. Widziałem się tam z p. Felicją Bortkiewiczową, którą zapytywałem, jakie są perspektywy postanowień zjazdu. Należy ona do skrzydła oportunistycznego, jest wierna Ślażewiczowi i Griniusowi; jak Janulaitis ją nazywa, jest ona „Griniaus ir Sleževičiaus davatka” (dewotka Griniusa i Ślażewicza), to znaczy, jest tak samo niewolniczo im oddana, jak dewotki księżom. Otóż p. Bortkiewiczowa ze stanowiska oportunistycznego jest usposobiona optymistycznie. Powiedziała mi, że opozycja prawdopodobnie nic nie wskóra, bo jak wnosić można z nastroju włościan na zjeździe – włościanie boją się i nie chcą wojny, co ostudza ich zapał przeciwko projektowi Hymansa i na ogół wolą aby stronnictwo miało rękę w rządzie, choćby polityka jego była niedoskonała, aby mieć i wpływ i kontakt na sprawy państwowe i dlatego odwołanie członków stronnictwa z rządu nie bardzo im trafia do przekonania. Czy p. Bortkiewiczowa nie zapatruje się zbyt różowo – nie wiem. Z innych źródeł słychać, że opozycja na zjeździe jest silna i ma szanse zwycięstwa. Ale jest dużo danych do wnioskowania, że kryzys rządu nastąpi niezależnie od ewentualnego

odwołania zeń członków stronnictwa ludowców. Fakt bowiem przyjęcia projektu Hymansa przez delegację litewską, która oczywiście działała w zakresie instrukcji, bo rząd jej nie potępił, zmusi chyba rząd do ustąpienia choćby dla zaświadczenia ciągłości konsekwentnej jego własnych oświadczeń i dla dania Sejmowi możności swobodnego ustosunkowania się do wytworzonej sytuacji – przez utworzenie nowego rządu, do którego by bardzo prawdopodobnie została powołana znaczna część tych samych ludzi. A gdyby nawet rząd do tej decyzji nie doszedł, to możliwe, że uczynią to sami ministrowie ludowcy. Dziś na posiedzeniu gabinetu członkowie delegacji litewskiej z Genewy mieli dawać sprawozdanie.
Do spotkania Dominika Dowgiałły z Žemaitisem dziś nie doszło. Dowgiałło się nie stawił. Może nie otrzymał mego listu z wyznaczeniem spotkania.

11 października, rok 1921, wtorek
Jakie zapadły uchwały na zjeździe Związku Włościańskiego, jeszcze nie wiem, bo nie udało mi się dziś nikogo z ludowców widzieć, choć nawet szukałem ich rano. Zresztą zjazd trwał jeszcze w dniu dzisiejszym. Zdaje się jednak, że żadne gromy z tej strony nie uderzyły. Nie spełniły się też dotąd pewne domniemania, rozgłaszane wczoraj o tym, że wysłuchanie w gabinecie ministrów sprawozdania delegatów genewskich, co miało miejsce wczoraj po obiedzie, spowoduje jakieś decyzje rządu lub poszczególnych ministrów co do ewentualnego podania się ich do dymisji. Wysłuchano relacji delegatów i posiedzenie Rady Ministrów było widocznie tak dalekie od rozstrząsań możliwości jakiegoś kryzysu, że gdym dziś spotkał ministra Karoblisa i spytał go, czy nie przewiduje się kryzys rządu lub ustąpienie pojedynczych jego członków, to okazało się, że Karoblis nic nie słyszał nawet o jakichś możliwościach w tym kierunku, mimo że o tym głośno i dużo się mówi w mieście. Co prawda Karoblis jest to dusza słomiana papierowego biurokraty, którego całą mądrością jest tkwić w rządzie, dopóki go trzymają, bez żadnego rozumowania na własną rękę. O niczym nie wie i nic nie kapuje. Ale przecież wiedziałby, gdyby kwestia dymisji zbiorowej lub poszczególnej była omawiana w Radzie Ministrów. Jak słychać z tego, co pochodzi z ust członków delegacji genewskiej (Gałwanowskiego, Naruszewicza), rezolucja plenum Ligi Narodów nie jest tylko nic nie obowiązującym frazesem i umyciem rąk w sprawie wileńskiej. Plenum Ligi Narodów samo nie jest organem wykonawczym. Jego orzeczenie sankcjonujące drugi projekt Hymansa ma cechę decyzji, której wykonanie należy do zadań Rady Ligi Narodów. Należałoby stąd wnioskować, że obecnie Rada Ligi Narodów będzie musiała już tylko doprowadzić do wprowadzenia w życie projektu Hymansa i usunięcia przeszkód czynionych przez strony (Polskę). Podobno podług statutu Ligi, jeżeli w sporze dwóch stron, z których każda jest członkiem Ligi, decyzja Ligi jest przyjęta przez jedną stronę, to dla drugiej strony staje się ona przez to samo obowiązująca. A ponieważ Litwa, pomimo przeciwnych twierdzeń rządu w Kownie, właściwie przyjęła drugi projekt Hymansa, więc Polska, bez uchybienia statutowi Ligi nie będzie mogła skutecznie się sprzeciwić. Tak tłumaczą tu stan rzeczy, jaki się wytworzył w Genewie. Ale tu jeszcze w Kownie możliwe są wybuchy różnych bomb z okazji projektu Hymansa, a w Wilnie są one możliwe tym bardziej.
W mojej pracy piszę już teraz od trzech dni o ludowcach. Mam taką naturę w pracy, że gdy się do czegoś na dobre zabiorę, to muszę robić jednym tchem i nie mogę się uspokoić, aż nie skończę. Całe długie godziny wieczorem temu poświęcam. Chciałem skończyć rozdział o ludowcach przed wyjazdem do Bohdaniszek i wysłać całą tę część środkowa pracy – rozdziały o Chrześcijańskiej Demokracji, o „Santarze" i o ludowcach – do Michała Biržiški, ale widzę, że do wyjazdu, to znaczy do niedzieli, jeszcze nie zdążę skończyć. Zresztą kto wie, czy teraz Biržiška, po pogromie gimnazjum

litewskiego w Wilnie i całej jego, Biržiški, akcji tamże – będzie mógł zająć się sprawą mego rękopisu. Wiadomości o antylitewskich zarządzeniach władz wileńskich są bardzo smutne i ciężkie.

12 października, rok 1921, środa
Jak mi dziś mówiono, zjazd Związku Włościańskiego nie wyniósł rezolucji przeciwko rządowi, odwołującej z rządu swoich ludzi, jak się domagała opozycja kierowana przez dr Lašasa. Zjazd orzekł, że tylko w tym wypadku zachodziłaby konieczność kategorycznego przeciwstawienia się rządowi, gdyby rząd podpisał układ o przyjęciu projektu Hymansa. Zwyciężył więc kierunek oportunistyczny Ślażewicza.
Znalazłoby się dużo do pisania w dzienniku, a przede wszystkim o stosunkach w sądownictwie, o których przed kilku dniami pisać zacząłem i przerwałem, ale że mam dużo roboty w pisaniu mojej pracy o stronnictwach, której rękopis rośnie, więc nie mogę się nadmiernie męczyć dziennikiem.

13 października, rok 1921, czwartek
Nie umiem robić dwóch rzeczy naraz. Kiedy piszę jakąś większą rzecz, to nie lubię odrywać się i zaczynać inną. Moja praca obecna nie przeszkadza mi poza domem w godzinach przedobiednich załatwiać bieżącą pracę sądową w Trybunale. Ale w domu nie mogę się brać do innej roboty. Dlatego też nie mam ochoty do dziennika, o ile tylko chodzi nie o zanotowanie czegoś aktualnego, A aktualnych rzeczy z dnia dzisiejszego do zanotowania nie mam. Dzięki Bogu też, że Trybunał nie zabiera mi dużo czasu. Robota jest w Trybunale odpowiedzialna co prawda, ale spokojna i nie ma jej zanadto dużo. Z całej mojej dotychczasowej praktyki sędziowskiej – w sądzie pokoju w Kolnie, w sądach okręgowych w Łomży i w Kownie i w Trybunale obecnie – praca w Trybunale najmniej czasu zabiera. Tak i być powinno. Żeby dobrze wykonać pracę sędziego, nie trzeba być nią przeciążonym. Gdyby tylko nie sprawy polityczne, to nie miałbym nic tej pracy w Trybunale do zarzucenia. Nawet wyroki śmierci, z którymi mamy do czynienia prawie wyłącznie w trybie kasacyjnym, nie robią zbyt ciężkiego wrażenia, bo nie należą bezpośrednio do przedmiotu naszego rozpoznania, a zresztą wiemy, że prezydent państwa Stulgiński bardzo szeroko stosuje swoje prawo ułaskawiania skazanych.
Publicysta żydowski Kacenelenbogen, jeden z tej grupy, która w r. 1913-1914 w Wilnie zainicjowała z publicystą Nigrem na czele kierunek krajowo-litewski wśród Żydów, po niedawnym powrocie z Rosji rozpoczyna teraz wydawnictwo zeszytów zbiorowych w rodzaju miesięcznika, tylko nie periodycznych. Będzie to jednak wydawnictwo o charakterze publicystycznym. Zwrócił się do mnie z prośbą o artykuły. Obiecałem mu dopiero za miesiąc. Trzeba się brać do pracy publicystycznej choćby dlatego, że jest ona nieźle płatna, a pensja sędziowska wobec drożyzny obecnej nie wystarcza i nawet z zasiłkiem kilkuset marek z Komisji do Spraw Litwy Wschodniej nie może zaspokoić wszystkich potrzeb.

14 października, rok 1921, piątek
Z powodu wypadków wileńskich, które wywołały ogromne poruszenie w opinii litewskiej, zwołany został dziś o godz. 5 po południu w gmachu teatru miejskiego z inicjatywy litewskiej młodzieży akademickiej wielki publiczny wiec protestu. Najmocniej przez opinię litewską odczuwane jest wyrzucenie przez władze wileńskie gimnazjum litewskiego z gmachu przy Placu Łukiskim. Jeżeli wierzyć źródłom litewskim, które się opierają na wieściach komunikowanych przez przyjezdnych Litwinów z Wilna, wyrzucenie to było dokonane w sposób brutalny, jakby naumyślnie

prowokujący: żandarmeria i policja wraz z uczniami szkół polskich wkroczyła do gmachu pod wieczór, kiedy jeszcze odbywały się w nim zajęcia, i kiedy młodzież litewska wraz z obecnymi nauczycielami nie usłuchała nakazu opuszczenia gmachu, wyrzucono ją przemocą, przy tym bito, a kilku nauczycieli aresztowano. Przemocą też usunięty został ze swego lokalu przy gimnazjum jego dyrektor Michał Biržiška z rodziną. Jeżeli już władze wileńskie chciały koniecznie odebrać gmach Litwinom i wyrzucić zeń gimnazjum Biržiški wraz z nim samym, jeżeli już obecność Litwinów w tym gmachu była dla nich taką solą w oku, jeżeli chciały stać formalnie na gruncie uznawania gmachu tego za własność państwową, którą Litwini samowolnie przywłaszczyli, mimo że władze polskie zarówno Żeligowskiego, jak pierwszej okupacji i rządów Osmołowskiego zastały już Litwinów w tym gmachu, to ostatecznie tę samą rzecz można było wykonać inaczej, zająwszy gmach na przykład w nocy, nie zaś w czasie, kiedy w nim byli uczniowie. Jak podają źródła litewskie, w brutalny też sposób została wyrzucona z innego lokalu ochronka litewska. Poza tym zamknięta została kooperatywa litewska, zamknięty też oddział Litewskiego Banku Handlowo-Przemysłowego. Słowem, w Wilnie dokonano legalnego pogromu instytucji publicznych litewskich. Że instytucje te drażniły obecnych panów Wilna, że wyczuwali oni w nich ekspozytury państwowości litewskiej i że to ostatnie z pewnością było prawdziwe – to fakt. Ależ Wilno formalnie nie jest ani Polską, ani ustalonym państwem odrębnym. Jest ono przedmiotem spornym między Polską a Litwą i gdy ekspozytury państwowości polskiej krzewią się i są faworyzowane, bo zresztą samo „państwo" Żeligowskiego jest tylko ekspozyturą państwową polską, Litwinów się za ich akcję państwową ściga! Gdyby chodziło o państwowość „Litwy Środkowej" tylko, o zabezpieczenie indywidualności Wilna od zakusów zachłannych państwowości „Litwy Kowieńskiej" jako obcej, to ta sama miara stosowałaby się i do akcji jeszcze bardziej w obecnych warunkach wileńskich zachłannej ze strony państwa polskiego. Smutne to są rzeczy. Jest w tym z pewnością ręka aneksjonistów, bo czyż może Polska, taką metodą realizując swój stosunek do Litwy i Litwinów, wierzyć w możliwość jakiegoś zbliżenia, układu, konfederacji czy czegoś podobnego? Z kół polskich tutejszego Biura Informacyjnego szerzone są pogłoski, że fakty podane przez źródła litewskie są przesadzone i że w rzeczywistości rzeczy się tak nie miały. Nie byłem na meetingu litewskim w teatrze, bo te sprawy są dla mnie osobiście zbyt smutne i zbyt bolesne. Wszystko się z obydwóch stron robi, aby nienawiść litewsko-polska rozpaliła się do białości. Nieszczęsny Kraju Wileński! A jednak wierzę, że przyszłość Wilna jest pomimo wszystko litewska, choćby język pozostał w nim dominujący polski. Litwini stanowczością, żelazną konsekwencją swych dążeń i wreszcie martyrologią zdobywają i zdobędą Wilno. Nienawiść, jaką dziś tam budzą w elementach państwowo-polskich i gwałt, jakim te elementy usiłują ich stłumić, służą Litwinom, a nie Polakom. Stłumić tego ruchu elementy państwowe polskie nie zdołają. Jest on tam rewolucją, która przybiera powoli, ale przybierze i dojrzeje.

Dziś w Trybunale na posiedzeniu karnym mieliśmy jedną sprawę o agitację Stronnictwa Rewolucyjnych Socjalistów Ludowych. Obstawałem gorąco za tym, aby uznać, że akcja tego stronnictwa (chodziło o jej wyraz w odezwach przeciwsejmowych z r. 1920) nie jest sama przez się przestępstwem, mimo że godzi w istniejący ustrój polityczny i dąży do zmiany tegoż. Moim zdaniem, do tego rodzaju akcji niepodobna stosować przepisów karnych rosyjskich, które mogą działać tylko o tyle, o ile nie są w kolizji z gwarancjami konstytucyjnymi obywateli. W ustroju państwowym rosyjskim tych gwarancji konstytucyjnych nie było i tam przeto wszelka akcja godząca w ustrój była zbrodniczą. Tu zbrodniczą mogłaby być tylko taka akcja, która operuje bądź powstaniem zbrojnym, bądź zdradą stanu na rzecz siły obcej. Pozostałem jednak w tym zdaniu osamotniony.

Kriščiukaitis i Janulaitis są zbyt przepojeni doktryną utożsamiania państwa z ustrojem i traktowania ustroju za absolut. Kriščiukaitis jest w tym względzie człowiekiem starych poglądów utrwalonych nałogiem rosyjskiej absolutystycznej idei państwowej, Janulaitis wywodzi swoje poglądy z etatyzmu, któremu hołduje jaskrawie. Założyłem *votum separatum*.

15 października, rok 1921, sobota
Miała być dziś na posiedzeniu sądowym Trybunału rozpoznawana bardzo przykra sprawa polityczna OSN (Organizacja Strzelców Nadniemieńskich); jest to ta sama sprawa, w której skazany został przez Sąd Armii Tadeusz Bystram. Pragnąłbym bardzo przyczynić się do jego uniewinnienia, choćby przez wzgląd na jego nieszczęśliwą młodą żonę, tym bardziej, że jego wina jest bardzo wątpliwa. Z liczby oskarżonych przeciwko niemu i Naruszewiczowi jest najmniej dowodów; nic u nich nie znaleziono i żadnych materialnych, rzeczowych dowodów przeciwko nim nie ma. Ale znowuż oskarżenie Bystrama nie jest już tak dalece gołosłowne, jak mi opowiadała latem jego żona.
Faktem jest, że denuncjat w donosie pierwotnym wskazał między innymi, że komendantem Okręgu Poniewieskiego OSN był „Stryjeński" (pseudonim) i że pod tym pseudonimem ukrywa się T. Bystram. Gdy zaś dokonano rewizji u jednego z podejrzanych, Kolghofa[612], u którego znaleziono dużo kompromitujących rzeczy, ten w zeznaniu swoim wskazał także, że „Stryjeński" i Bystram to ta sama osoba. Później Kolghof tłumaczył się, że zeznał to pod przymusem, że mu zeznanie było dyktowane z góry i że protokołu zeznania nie odczytano mu. Ale protokół jest przez niego podpisany, a ustalić przymus jest trudno. Ponadto innych przeciw Bystramowi dowodów nie ma. Czy mi się uda przekonać Kriščiukaitisa, Janulaitisa i członka Sądu Armii na rzecz uniewinnienia Bystrama – nie wiem, ale znając ich tendencję mam wątpliwości poważne. Sama jednak sprawa OSN nie budzi we mnie bynajmniej sympatii i współczucia. W szkaradnym też świetle przedstawia się w tej sprawie rola Wiktora Wąsowicza, który będąc oficerem tzw. łącznikowym polskim w Kownie, używał tego stanowiska do organizowania tu z obywateli litewskich akcji na poły szpiegowskiej, na poły powstańczej dla ewentualnej militarnej interwencji polskiej. Przez Wąsowicza kierował tym Marian Kościałkowski z Wilna, adiutant bezpośredni Piłsudskiego. Sprawa dziś jednak spadła z wokandy dla braku kompletu sądzącego, bo się nie stawił żaden członek Sądu Armii.
Jutro w teatrze miejskim wieczorem odbędzie się publiczne sprawozdanie członków delegacji litewskiej w Genewie – Gałwanowskiego, Miłosza, Sidzikowskiego i Sołowiejczyka. Będzie to akt bardzo ciekawy, bo z pewnością będą interpelacje i krytyka działania delegacji ze strony oponentów, a członkowie delegacji będą się kręcili jak piskorze, by z jednej strony dowieść, że projektu Hymansa nie przyjęli, a z drugiej, że nie jest on niebezpieczny. Pierwsze publiczne zetknięcie się członków delegacji, której poruszona opinia publiczna z oburzeniem zarzuca przyjęcie projektu Hymansa wbrew woli Litwy, z tąż opinią będzie bardzo ciekawe. Wielka szkoda, że akurat jutro wyjeżdżam do Bohdaniszek i przeto nie będę mógł być obecny. Ale już wyjazdu nie odroczę, bo mam czas ograniczony i krótki. Ciekawa też będzie jutro uroczystość [odsłonięcia] pomnika poległym w walce o niepodległość.
Ogłoszone dziś zostały rezolucje wczorajszego wiecu publicznego w teatrze w sprawie gwałtów wileńskich. Są one na ogół umiarkowane; dodatnio się w nich przedstawia jeden z punktów, wzywający do tego, aby się nie dać sprowokować i nie dopuścić do

---

[612] Być może jest on tożsamy z Ignacym Kalgotem, o którym (jako o skazanym w 1921 r. na dożywocie) wspomina K. Buchowski, *Polacy w niepodległym państwie litewskim 1918-1940*, Białystok 1999, s. 76.

ekscesów względem obywateli mówiących po polsku lub ich instytucji. Podobno przebieg wiecu był na ogół kulturalny. Dobrą mowę powiedział, jak mi mówiono, ks. Tumas, który zaznaczył, że akcja Żeligowskiego, wbrew jej zamiarom, przyczyniła się do wewnętrznego skonsolidowania się elementu litewskiego w Wilnie i że metody stosowane przez Żeligowskiego i jego władzę więcej zdziałały na wyrobienie odporności i mocy wewnętrznej młodzieży litewskiej, niżby zdołali wyrobić najlepsi pedagogowie. Słyszałem dziś, że Michał Biržiška po wyrugowaniu gimnazjum z gmachu zbiera uczniów i wyrusza z nimi za miasto, gdzie odbywają się lekcje w polu pod gołym niebem. Litwini w Wilnie i ich mistrz Biržiška celują w wyzyskaniu wszelkich przeciwko nim zastosowanych środków. Przyjmują ciosy i czynią z nich swój wieniec bohaterstwa, który ich moralnie podnosi i wzmacnia.
Dziś od godz. 6 do 8 wieczorem w Sejmie odbywało się posiedzenie komisji konstytucyjnej z udziałem zaproszonych polityków i prawników jako rzeczoznawców dla wysłuchania ich uwag o projekcie konstytucji. Oprócz członków komisji i posłów wzięli udział w posiedzeniu w charakterze owych rzeczoznawców następujące osoby: prezes Trybunału Kriščiukaitis i obaj sędziowie tegoż – Janulaitis i ja, dalej Antoni Smetona, ministrowie Purycki, Karoblis i Gałwanowski. Może wśród obecnych byli i inni rzeczoznawcy, ale tego nie wiem. Z wymienionych przeze mnie zabierali głos: Purycki oraz Karoblis. Przewodniczył wiceprezes komisji konstytucyjnej Ślażewicz. Z wybitniejszych posłów członków komisji prócz Ślażewicza byli Tumenas, ks. Staugaitis, ks. Šaulys, Natkiewicz, Czapiński i inni. Posiedzenie było ciekawe, ale jeszcze będę mógł w dzienniku o tym obszerniej pomówić, bo posiedzeń takich będzie kilka.

16 października, rok 1921, niedziela
Wyjechałem do Bohdaniszek. Dzień cały straciłem na nudnej podróży. Gdyby pociąg na całej linii aż do Rakiszek szedł tak, jak idzie na głównej magistrali z Kowna do Radziwiliszek, to by się dojechało i prędzej, i przyjemniej. Ale od Radziwiliszek na naszej bocznicy ruch przechodzi we wleczenie się: lokomotywa słaba, pociąg wlecze się ospale. Do Poniewieża jeszcze jakkolwiek, ale już w Poniewieżu pociąg stoi godzinę, a dalej zaczyna się klasyczne kunktatorstwo. Stacje Subocz, Kupiszki, Skopiszki, Poniemuniek, Rakiszki – to symbol niedołęstwa ruchu; pociąg przesuwa się od stacji do stacji powoli, a na każdej lokomotywa nabiera wody, czasem drew i pociąg wystaje bez końca. Ta gałąź kolei nie ma teraz żadnego ruchu tranzytowego i stała się głuchą bocznicą kresową.
W Rakiszkach spotkała mię na stacji Elwira i zawiozła do Bohdaniszek, dokąd dojechaliśmy około godz. 2 w nocy.

17 października, rok 1921, poniedziałek
Jak zwykle, bardzo mile spędziłem dzień w Bohdaniszkach. W Bohdaniszkach, dzięki Bogu, znać już obfitość. Młocarnią parową, wypożyczoną od Lysandra, wymłócono całe zboże. Spichrz dość obficie napełniony ziarnem. Młocarnia dziś kroi sieczkę dla Elwiry, jutro kroić będzie dla Maryni, a pojutrze odwozi się do Krewna. Ordynaria parobkom cała do przyszłego św. Jerzego wydana, rekwizycja za rok przeszły dostarczona, na bieżący rok – przygotowana. Osobno zapasy na chleb, na siew, na karm inwentarza; trochę jest nadmiaru i na sprzedaż. W polu konie orzą; pełny dwór ptactwa. U Maryni, jak zawsze, inicjatywa, organizacja pracy, dzielność. Elwira ze sprzedaży lasu uciułała dość pieniędzy. Pierwszy rok pracy Elwiry i Maryni postawił je już w każdym razie na nogi. Dzieci Elwiry zdrowe, wesołe, zadowolone.

Moja służąca Jadzia gotowa do wyjazdu ze mną do Kowna. Służąca Anusia Krasowska, która była pierwotnie najęta dla mnie, teraz pozostała u Maryni na miejscu Jadzi. Gdym zobaczył Anusię Krasowską, pożałowałem na razie, żem ją zamienił na Jadzię. Jest to dziewczyna już dojrzała, w wieku lat dwudziestu paru, bardzo wysoka, smukła, o ładnych proporcjach ciała, piękny typ brunetki bardzo spokojnej, równej, pełnej dystynkcji. Moja Jadzia przy niej – to dziczka gorzka i surowa wobec pięknego owocu. Ale może i wolę moją Jadzię. Jest ona jeszcze dzieckiem, ma swój typ swoisty i wyraz, które mi się podobają i jest, zdaje się, przywiązana do mnie. Będzie to dziewczynka, która się w ręku moim ułoży i rozwinie.

18 października, rok 1921, wtorek
W Bohdaniszkach zaczęli odrabiać dni gospodarze boniuscy za szkodę zeszłoroczną w Kumszach. Zwlekali przeszło rok, aż póki nie wybrałem od sędziego pokoju tytułu wykonawczego na zasądzoną od nich sumę. Tytuł ten przekazałem na imię Elwiry i wtedy dopiero Boniuszki, zagrożone egzekucją, przystąpiły do wykonania ugody, którą w roku zeszłym z nimi po wyroku zawarłem. Odrabiają dni konne z pługiem i piesze z łopatą lub inaczej. Takich dwóch robotników dała mi dziś do rozporządzenia Marynia. Zasadzili mi oni drzewka we dworze. Drzewka – przeważnie jesionki z Gaju – zasadziłem na kopcach granicznych we dworze i cały jeden rząd wzdłuż gumniska od strony łaźni od gumna do sadzawki przy kuźni; poza tym posadziłem cztery lipki wzdłuż drogi od rowu od drogi Gajowej w dół do łąki nad sadzawką kąpielową. Wzdłuż tego rowu chcę dać dwa rzędy lip, ale to wykończę w roku przyszłym. Jutro sadzić będę jeszcze w mojej części dworu brzózki i jesionki oraz spuszczę staw duży Maryni we dworze.
Byli kupcy na ziemię – chłopi spod Jużynt; jeden z nich – Amerykanin. Amerykanin tentował[613] o Janówkę, drugi chciał kupować ode mnie Karwieliszki, ale ja teraz już ich nie sprzedaję, wobec tego zdecydował się na kupno Cegielni od Maryni po 3 ½ tysiące marek za dziesięcinę. Pojutrze ma przyjechać kończyć układ.
Dzień upłynął mi przyjemnie i szybko. Cieszy mię widok rosnącego dobrobytu i obfitości. Po ubóstwie ostatnich dwóch lat rozprzężenia powojennego i pobolszewickiego w Bohdaniszkach miło mi jest widzieć to dźwiganie się piękne kochanego dworu. Gdy zestawiam rok zeszły pod rządami Jakszuka z tym, co widzę pod gospodarną ręką sióstr moich, doznaję wrażenia człowieka, który tonął pod wodą i nagle znalazł grunt, wyprostował się, odetchnął głęboko i poczuł ocalenie. Za rządów Jakszuka czuło się w Bohdaniszkach zanik i zmierzch, napełniający serce tęsknotą i smutkiem; teraz ma się wrażenie wschodu i wiosny.

19 października, rok 1921, środa
Rano sadziłem w dalszym ciągu drzewka. Jednocześnie druga grupa robotników pogłębiała rów i przekopywała drogę dla spuszczenia dużego stawu dworskiego, który Marynia będzie szlamować. Parobcy zaś dworscy pod komendą Maryni powieźli do Krewna lokomobilę od młocarni Lysandra, która była wypożyczona do Bohdaniszek. Na tych robotach upłynął czas do obiadu. Na obiad przyjechała z Kowaliszek Elizka Komorowska z obiema córkami – Zitką i Litką – oraz małą Renią Komorowską, córką śp. pana Jarosława, wychowującą się w Kowaliszkach. Przyjazd Elizki z córkami, zapowiedziany już wczoraj, jest osobliwością. Sama Elizeczka jest serdeczna dla sióstr i nieraz chciałaby im okazać więcej pomocy, przygarnąć je, utrzymać bliższą łączność, jeno boi się Hektora, który te odruchy hamuje, wiedząc, że mogą one pociągać wydatki. Ale dzieci Elizki na uczucia rodzinne względem nas reagują słabo. Nie tylko Hektor nie

[613] „Tentować” – kusić, nęcić.

kwapi się na stosunek rodzinny i inaczej do Bohdaniszek nie przyjeżdża, jak tylko wtedy, gdy Elizka jedzie na zjazd familijny dla spraw spadku i działu, by ją kontrolować, ale i córki Elizki nie są na Bohdaniszki łaskawe. Odkąd Elwira i Marynia zamieszkały w Bohdaniszkach, Zitka była tu z matką tylko raz jeden, a Litka ani razu. I bliskie pokrewieństwo, i bliskie sąsiedztwo, i zbliżony do wieku Litki wiek Helci, córeczki Elwiry zdawałyby się ułatwiać częstszy stosunek między Kowaliszkami a Bohdaniszkami. Gdy chodzi o Przeździeckich, o Dymszów i o inne rodziny trzymające się trybu arystokratycznego (choćby gołe i zniszczone, jak p. Dymszyna z Ilsenbergu), to Kowaliszki są na zawołanie z pomocą, usługami, serdecznością. Dla biednych zaś, ciężko pracujących na dźwignięcie fortuny sióstr Elizki Kowaliszki są wstrzemięźliwe, bo Elwira i Marynia nie zachowują żadnego pozoru trybu wielkopańskiego. Zitka, choć i mądra dziewczyna i w gruncie dobra, choruje wraz z całym domem kowaliskim na arystokrację, a Litka – choć mała i głupia – jest jeszcze bardziej przejęta wielkością, sztywna i w tej sztywności prowokacyjnie impertynencka i pogardliwa.
Pod wieczór przy Elizce i jej dzieciach przekopany został rów i puszczona woda ze stawu. Ładny był widok rwącego potoku, który puścił się z łoskotem i napełniać zaczął po brzegi stawek przy łaźni, aż wieczorem zaczął się już przelewać dalej w rów idący ku sadzawce kąpielowej w pola. Jutro będzie dalszy ciąg tego ładnego widowiska.
Elizka przywiozła wiadomość, że marka niemiecka spadła znowu tak, że przed dwoma dniami w Kownie dolar kosztował już 185 marek! Przed moim wyjazdem dolar wynosił jeszcze 140 mk. Spadek jest wściekły, przypominający spadanie na złamanie karku marki polskiej, która natomiast w ostatnich czasach zaczęła się znacznie, w porównaniu do niemieckiej, podnosić. Spadek marki niemieckiej niepokoi mię bardzo, bo ceny szybko rosną, a przeto pensja moja, która jest nieruchoma, automatycznie maleje.

20 października, rok 1921, czwartek
Przez cały dzień duży staw bohdaniski spływał w dalszym ciągu, ale jeszcze nie spłynął cały. Jurenas przekopywał rów coraz dalej w głąb stawu w miarę spływania wody. Staw zmalał do drobnych rozmiarów basenu w jego najgłębszej części. Dla wszystkich dzieci we dworze i dla mnie samego także spuszczanie stawu dawało rozrywkę. Szemrzący strumień wody, jak z topionych śniegów na wiosnę lub jak potok górski, zbiega rowami i łąką aż do stawu kąpielowego w polu.
Pomimo że to już wyjazdowy dzień mego pobytu w Bohdaniszkach, miałem sporo różnego zajęcia: musiałem doprowadzić do spisania kontraktu dzierżawy z Bejnarowiczem w interesie Kotuni, jeździć do Staczerag w interesie Elwiry dla ustalenia w jednym miejscu starych kopców granicznych, dyktować wskazówki prawne Maryni co do sprzedaży jej Cegielni itd.
W nocy Marynia parą koni w karach odwiozła mię i Jadzię Čepasównę na kolej do Abel. Dobra Maryńka udzieliła mi do Kowna mnóstwa produktów, które będą stanowić dla mnie ogromną oszczędność. Dała mi ona tego wielokroć więcej, niż jest obowiązana z mocy umowy dzierżawy. Mając służącą, będę mógł teraz korzystać z tych produktów, które w przeciwnym razie byłyby mi nieużyteczne.

21 października, rok 1921, piątek
Noc i dzień cały spędziłem w podróży z moją młodą służącą Jadzią. Jadzia, z natury dość rezolutna, jest jednak wobec mnie nieśmiała i sztywna, jak zwykle bywają podlotki, co to są ani dzieckiem, ani kobietą. Jedną z atrakcji, dla których chciałem mieć służącą, była nie tylko wygoda własnego ogniska, którego się nie posiada w samotności kawalerskiego trybu, ale i towarzystwo żywej istoty, towarzystwo ludzkie. Pod tym ostatnim względem Jadzia jest dziczką, która mi da mało.

Wieczorem przyjechaliśmy do Kowna. Transport bagażu z dworca na Zieloną Górę zajął mi dużo czasu i kosztował drogo. Ogółem sprowadzenie tych produktów z Bohdaniszek aż na miejsce w Kownie kosztowało mię około 350 marek. Drogo, ale jest wygoda. Gdybym musiał to kupić w Kownie, kosztowałoby drożej.

22 października, rok 1921, sobota
Z nowin, o których się dowiedziałem po przyjeździe do Kowna, są tylko dwie warte zanotowania w dzienniku. Jedną z nich jest lekka zwyżka kursu marki niemieckiej. Przed kilku dniami spadek kursu marki był tak gwałtowny, że za dolara płacono sto dziewięćdziesiąt kilka marek. Obecnie marka się trochę podniosła: za dolara płacą 150-160 marek. Wprawdzie i to jest kurs bardzo niski, bo przed tygodniem, przed samym moim wyjazdem do Bohdaniszek marka stała po 142-145 za dolara, co już wtedy stanowiło niesłychany spadek kursu. Późniejszy spadek do 190 był już katastrofalny i zaczynał wywoływać panikę w sferach handlowych i finansowych. Czy obecna lekka zwyżka jest zwrotem trwałym, czy też chwilowym tylko zachwianiem tendencji zniżkowej – trudno jeszcze określić. Dla nas wszystkich, którzy żyjemy z pensji stałej, zniżka marki jest bardzo dotkliwa. Zniżka ta, jeżeli będzie postępowała nadal, powinna wytworzyć w Litwie dążenie do stworzenia własnej waluty. Słychać, że przygotowania w tym kierunku są czynione i że w wykonaniu tego zadania mają państwu dopomóc Litwini amerykańscy. Zadanie jest w każdym razie trudne; trzeba uniknąć błędów, jakie zadały ciężki cios walucie łotewskiej i zwłaszcza polskiej. Pod tym względem Litwa może korzystać z doświadczenia sąsiadów. Zresztą trudność rozwiązania zagadnienia waluty zależy nie tylko od zręczności, ale i od założeń gospodarczych i politycznych kraju.
Druga nowina to zamknięcie gazety „Lietuvos Balsas”. Formalnie uczyniono to na zasadzie stanu wojennego, faktycznie jednak – na wniosek ministra sprawiedliwości Karoblisa i prokuratora Trybunału Kalvaitisa. Pismo zamknięto za „szkodliwy kierunek”, bez wytoczenia mu konkretnego zarzutu i bez postępowania karnego. Jest to typowo rosyjski sposób tłumienia niedogodnej dla rządu opozycji. Formalnie Republika Litewska opiera się na zasadach swobód obywatelskich, faktycznie jednak ciągły stan wojenny niweczy wszelką swobodę i nadaje rządom cechę autokratyczną, umożliwiając stosowanie starych metod rosyjskich, wygodnych dla biurokratów litewskich wyszkolonych w biurokracji rosyjskiej. Zamknięcie „Lietuvos Balsas”, organu opozycji czynników społecznie umiarkowanych, a narodowo radykalnych, uważam za skandal, bardzo zresztą charakterystyczny dla demagogicznych w stylu cezariańskim tendencji Chrześcijańskiej Demokracji. Dla demagogicznej Chrześcijańskiej Demokracji polityka byłego prezydenta Rzeczypospolitej Antoniego Smetony, stojącego na czele tej opozycji, stanowi „szkodliwy kierunek”, który się pragnie przedstawić za szkodliwy nie dla obecnego rządu tylko, lecz dla państwa.
Wieczorem byłem dziś znowu na posiedzeniu komisji konstytucyjnej Sejmu. Z liczby tzw. rzeczoznawców, zaproszonych dla wyrażenia uwag o projekcie konstytucji, obecni byli dzisiaj i zabierali głos: prezes Trybunału Kriščiukaitis, sędziowie Janulaitis i ja, minister Purycki, Antoni Smetona, adwokat Norejko. Omawiano dziś rozdział 2 „O prawach obywateli Litwy” i rozdział 3 „O sądzie”. Wchodzono w detale, szczególnie zaś zwracano uwagę na wyłączenie z ustawy konstytucyjnej tego, co, zdaniem rzeczoznawców, jest w konstytucji zbyteczne. Pod tym względem najdalej szedł Janulaitis, który niemal wszystko z konstytucji usuwa. Ja przemawiałem dwukrotnie. W zakresie rozdziału drugiego oponowałem przeciwko poprawce Janulaitisa, żądającej zastąpienia nazwy „obywatel litewski” przez nazwę „Litwin”; obstawałem też za zachowaniem w konstytucji zastrzeżeń o prawach mniejszości narodowych i wniosłem

poprawkę o usunięcie przepisu nakazującego komunikowanie się samorządów – posługujących się językami miejscowymi – z władzami państwowymi po litewsku. W zakresie rozdziału trzeciego oponowałem przeciwko wybieraniu sędziów Trybunału w drodze wyborów przez kolegium prawników złożone z sędziów sądów okręgowych i adwokaturę zorganizowaną w radzie adwokackiej; wniosłem poprawkę o ustanowieniu cenzusu zawodowego dla sędziów Trybunału i jeszcze parę poprawek detalicznych. Dzisiejsze posiedzenie komisji konstytucyjnej było nie tak ciekawe i debaty mniej zasadnicze, niż przeszłą razą przed tygodniem, kiedy były omawiane zasady ogólne konstytucji. Tam były debatowane kwestie suwerenności, podziału władz i zwłaszcza artykuł pierwszy, orzekający, że Litwa jest Rzeczpospolitą demokratyczną ludu pracującego („darbo žmonių"). Przeciwko tym dwóm ostatnim wyrazom określenia oponowali wtedy wszyscy zaproszeni rzeczoznawcy; względnie najsłabiej oponował Janulaitis. Jedni oponenci uważali te słowa za zbyteczne i z tego względu żądali ich wykreślenia, wskazując na to, że język konstytucji powinien być ścisły, inni – i ja na ich czele – wskazywali na to, że wpisanie tych słów do konstytucji nie jest bynajmniej ozdobą bez znaczenia, lecz miałoby swoje konsekwencje prawne ścisłe, czyniące z Litwy nie demokrację powszechną, jeno demokracje oligarchiczną, zamkniętą w granicach „ludu pracującego", którego dokładne określenie byłoby w takim razie niezbędne; żądaliśmy wykreślenia tych słów nie jako zbytecznej ozdoby, lecz jako niebezpiecznej dla demokracji zasady.

23 października, rok 1921, niedziela
Przed obiadem spędziłem parę godzin w Trybunale na motywowaniu wyroków, ponieważ przez tydzień mojej nieobecności nagromadziło się sporo zaległości, które muszę odrobić teraz. Po obiedzie spędziłem resztę dnia w domu, względnie na chodzeniu z Jadzią za sprawunkami. Z Jadzi jestem dość zadowolony. Gotuje dobrze, robi, co jej każę. Może ma trochę za mało inicjatywy, ale może to i lepsze, niż gdyby miała jej za dużo. Jest cicha. Trochę się dziczy jeszcze, przypomina mi czasem zwierzątko, które się zaszywa w kąt i sztywnieje, gdy się na nie patrzy, a czuje się swobodne i daje naturalny upust swojej fantazji i chęciom, gdy się czuje samo. Dziś jednak Jadzia była już trochę mniej sztywna niż wczoraj.
Widziałem się dziś tylko z Janulaitisem, który także przyszedł pomimo niedzieli popracować w Trybunale. Janulaitis gotuje się w dalszym ciągu do energicznego ataku na projekt konstytucji. W szczególności zamierza atakować oddanie władzy zwierzchniej wykonawczej i reprezentacji państwa w ręce marszałka Sejmu oraz stanowisko udzielone w projekcie konstytucji Kościołowi. Projekt konstytucji kasuje instytucję prezydenta państwa i zleca jego funkcje marszałkowi Sejmu. Janulaitis chce usunąć nawet ten surogat prezydentury jako instytucji naczelnika państwa i wszystkie funkcje prezydenta skupić w osobie prezesa ministrów odpowiedzialnego politycznie przed Sejmem. Co do stanowiska Kościoła, to projekt konstytucji przewiduje oddzielenie Kościoła od państwa, wolność wyznań, ale równolegle opłacanie przez państwo potrzeb kultu. Janulaitis wskazuje na to, że powinno być albo oddzielenie konsekwentne Kościoła od państwa, wyłączające wszelkie subsydiowanie kultów przez państwo, albo też kontrola państwa nad Kościołem, jeżeli państwo ma płacić na jego utrzymanie. Sam on jest zwolennikiem pierwszej zasady (oddzielenie konsekwentne z zaniechaniem państwowego subsydiowania kultu).

24 października, rok 1921, poniedziałek
W ciągu tygodnia odbyło się kilka wieców w Kownie w przedmiocie sytuacji międzynarodowej Litwy i perspektyw rozwiązania sprawy wileńskiej. Po wiecu

niedzielnym sprzed tygodnia, na którym członkowie litewskiej delegacji w Genewie referowali publicznie o swojej działalności i stanie rzeczy, w piątek grono ludzi z opozycji prawicowej Smetony i Voldemarasa zwołało wiec w Domu Ludowym dla wyrażenia protestu przeciwko akcji rządu zmierzającej do pogodzenia Litwy z projektem Hymansa. Analogiczny wiec zwołany był w teatrze miejskim wczoraj z inicjatywy grona osób z lewicy; w liczbie organizatorów był Kairys i Jan Vileišis, świeżo wybrany na burmistrza miasta Kowna. Wiec wczorajszy odbył się pod przewodnictwem Jana Vileišisa. Oponentom odpowiadał m.in. Gałwanowski. Nie byłem na wiecu wczorajszym, bom nic o nim nie wiedział. Z tej akcji wiecowej i wystąpień publicznych członków delegacji genewskiej można wnosić, że nie tylko opozycja robi ruchy usiłując zohydzić projekt Hymansa i tą droga przygotować cios dla rządu w chwili, kiedy Litwa zmuszona będzie do zaakceptowania tego projektu, ale już i rząd przez akcję publiczną członków delegacji usiłuje spopularyzować wzgląd na konieczności międzynarodowe i przygotować opinię publiczną do umiarkowania. W akcji wiecowej opozycja i rząd walczą przeciwko sobie. Rząd zresztą robi to dość ostrożnie, wysuwając do akcji tej członków delegacji genewskiej oraz ambasadorów litewskich, których zjazd miał w tym czasie miejsce w Kownie. W akcji rządu nie ma otwartej agitacji za przyjęciem projektu Hymansa, bo agitacja taka byłaby zbyt niepopularna; dąży się więc tylko do wdrożenia w opinii publicznej przekonania o tym, że koniecznym jest liczenie się ze względami międzynarodowymi, konieczna jest pewna perspektywa dziejowa itd.; słowem – szerzonym przez opozycję względom wyłącznym na chęci patriotów litewskich przeciwstawia się świadomość tego, że Litwa nie jest państwem izolowanym, jeno członkiem wielkiego współżycia międzynarodowego, które określa także warunki jej bytu. W tej akcji sam rząd i rządzące stronnictwo Sejmu starają się pozostać na uboczu. Przywódcy opozycji rozumieją potrzebę liczenia się ze względami międzynarodowymi, ale wolą nie zwracać na to uwagi i rozpalać uczucia narodowe, bo to lepiej prowadzi do celu – obalenia rządu. Toteż ich ulubionym konikiem jest zawężanie perspektyw i operowanie łatwym i niezłożonym patriotyzmem „*du clocher*”[614]. Rząd wreszcie zrozumiał, zdaje się, że bierne przyglądanie się temu, jak opozycja podkopuje w opinii narodowej to, do czego prowadzi Litwę pośrednictwo Ligi Narodów, i nie tylko przyglądanie się, ale nawet potakiwanie pozorne wobec opinii publicznej i zaręczanie, że rząd tego nie przyjmie, podczas gdy w istocie zdecydowany jest na przyjęcie, o ile to się okaże koniecznym – staje się niebezpieczne, bo żadne konieczności nie ukoją później rozhukanej opinii publicznej i nie przekonają jej w tym, że mogą być jeszcze względy nakazujące kompromis. Jeżeli przeto rząd i czynniki dyplomacji litewskiej, traktujące tę sprawę z wyżyn rozleglejszej perspektywy dziejowej, dochodzą do przekonania, że kompromis narzucony przez Ligę Narodów, mimo że zawiera w sobie wcale nie doskonałe rozwiązanie, jest jednak dla Litwy korzystniejszy niż odrzucenie go, to powinien on jeżeli nie nawoływać głośno wprost do tego kompromisu, to przynajmniej przysposabiać zręcznie opinię publiczną, wdrażając ją do umiarkowania, aby w odpowiedniej chwili nie zniszczyła ona całego dzieła dyplomacji. Zdaje się, że rząd wchodzi na tę drogę i że w tym celu uruchomił czynniki dyplomacji dla propagandy przygotowawczej. Sądzę, że elementem tego też dążenia są zainicjowane referaty bawiących czasowo w Kownie ambasadorów litewskich na temat o tym, jak rządy i ludy wielkich demokracji zachodnich stosują się do sprawy litewskiej. Elementem też kontrakcji rządu jest zapewne zamknięcie wydawnictwa „Lietuvos Balsas”, stanowiące, moim zdaniem, środek chybiony i ujemny tak zasadniczo, jak praktycznie. Bo jeżeli opozycję Voldemarasa w „Lietuvos Balsas” koła rządowe uważają za wyraz zawiści i

[614] Patriotyzm „*du clocher*” – patriotyzm parafialny.

chęci obalenia rządu dla zajęcia jego miejsca, to przez ten akt gwałtu daje się tej opozycji aureolę prześladowania, która ją jeno podnosi i wzmacnia moralnie.

25 października, rok 1921, wtorek
Wspominałem już zapewne nieraz w dzienniku o Jerzym Dowiacie, ziemianinie żmudzkim, który się stale i konsekwentnie od młodości uważał za Litwina. Kiedyś około r. 1900, bawiąc jako student w Paryżu, już się tam przykładał do organizowania kolonii litewskiej, stykając się z Gierszyńskimi i z ówczesnym wybitnym działaczem litewskim na emigracji – dr Bagdonasem-Bogdanowiczem. W r. 1905 też brał udział w ruchu litewskim. Potem w r. 1918 na uchodźstwie w Petersburgu krzątał się też w sprawach litewskich, utrzymując kontakt z prawicą narodową litewską i zarazem prowadząc wespół z adwokatem Stanisławem Bitowtem i innymi akcję na rzecz skupienia na stanowisku państwowym litewskim Polaków pochodzących z Litwy. Po powrocie do kraju w ostatnich miesiącach r. 1918 założył w Wilnie do spółki z Łukomskim dziennik pod nazwą „Nowiny Litewskie", wydawany po polsku i stojący wyraźnie na stanowisku państwowym litewskim[615]. Dokoła tego dziennika zaczynało się wtedy wytwarzać jądro obywateli litewskich kultury polskiej, szukających kontaktu z zapoczątkowaną pracą państwową „Taryby". Na początku r. 1919 Dowiatt z prałatem Olszewskim, Rozenbaumem i Dominikiem Siemaszką udali się do Paryża jako pierwsza delegacja litewska dla reprezentacji sprawy litewskiej wobec rozpoczynającego się kongresu pokojowego. Nie będę tu opisywał dziejów tej delegacji, dość chaotycznych i przeplatanych różnymi intrygami ze strony innych czynników dążących do reprezentowania Litwy (w ich liczbie byli Gałwanowski, Miłosz, Gabrys, Mostowski i inni). Skończyło się na tym, że reprezentacja Litwy na zewnątrz przeszła w ręce tychże ludzi, którzy wytwarzali państwowość w kraju, to znaczy w ręce rdzennych Litwinów, w ręce inteligencji, która wyszła z ludu. Dowiatt wrócił do kraju, zaszył się do majątku i przeszedł do szeregów opozycji. Ludzie jak on, którzy choć osobiście nazywają siebie Litwinami i nawet przeciwstawiają się ostro polskości jako pojęciu narodowo-państwowemu, są jednak ziemianami, należą do społeczeństwa szlacheckiego o kulturze polskiej i są spadkobiercami starej tradycji państwowej W. X. Litewskiego, w młodej Litwie ludowej czują się samotni, obcy i wytrąceni z łożyska. Większość tych ziemian lgnie do polskości narodowo i politycznie, czując w niej żywioł, który może odrodzić swojską dla nich koncepcję starej państwowości „Rzeczypospolitej". Dowiatt i nieliczni podobni mu ludzie stoją samotnie pośrodku. Odrzucają polskość, ale sami są przez młodą Litwę odtrącani. Dowiatt określa siebie i cały ten odłam ludności krajowej, który uległ kulturze polskiej, lecz zachował swój głęboki związek z krajem tak materialnie, jak społecznie i w ogóle moralnie, nazwą „Starolitwinów" w przeciwstawieniu do „Młodolitwinów" albo „Żmudzinów", którzy wyszli świeżo z szeregów ludu mówiącego po litewsku, bez starej tradycji państwowej i którzy tworzą obecnie Litwę jako państwo narodowe na zasadach nacjonalizmu. Dowiatt od dawna nosi się z myślą skupienia i zorganizowania elementów „starolitewskich" dla nawiązania przez tę organizację ich kontaktu z elementami „młodolitewskimi", dla zdobycia przez „Starolitwinów" wpływu w państwie i należnego im udziału w Litwie jako rzeczy pospolitej, to znaczy wspólnej i dla skutecznego oddziaływania na masę ludności kultury polskiej w celu oderwania jej od wpływów endecko-polskich i zsolidaryzowania z budującą się Litwą.
Poniekąd pokrewną myśl mieliśmy z Žemaitisem, dążąc do nawiązania porozumienia między kołami rządowymi a może i społecznymi sejmowymi litewskimi a Polakami

[615] Brak innych danych o tym piśmie poza przytoczonymi przez M. Römera. (**bliższe dane do ewentualnego ustalenia**).

miejscowymi kierunku krajowego. Był to poniekąd przeze mnie podnoszony dalszy ciąg tej samej myśli, której innym wyrazem były realizowane zimą próby społecznej akcji porozumiewawczej między Kownem a Wilnem. Chodziło o metodę rozwiązywania sprawy wileńskiej nie środkami dyplomacji lub interwencji czynników zewnętrznych, lecz nawiązaniem bezpośredniego porozumienia powaśnionych dzieci jednego kraju. Z tego założenia płynął nasz zamiar w ostatnich czasach nawiązania kontaktu z takimi, wyrażając się terminologią Dowiatta, „Starolitwinami", jak Dominik Dowgiałło, Edward Kudrewicz, tenże Dowiatt. Chcieliśmy rozpocząć od rozmowy z p. Dominikiem Dowgiałłą i z niej zapoczątkować wytworzenie grupy porozumiewawczej zarówno dla stałego kontaktu, jak dla przeciwwagi wpływom kierunku peowiackiego, rozwielmożnionego w Polskim Biurze Informacyjnym, w akcji Polskiej Frakcji Sejmowej itd., stanowiącym forpocztę interwencjonistyczną Żeligowszczyzny i posiadającym faktycznie dziś monopol wpływów w miejscowym społeczeństwie polskim. Rozmowa z Dowgiałłą nie doszła jeszcze do skutku, bo gdym mu przed paru tygodniami wyznaczył spotkanie się z Žemaitisem, traf zrządził, że Dowgiałło nie otrzymał mego listu; potem on wyjechał, a gdy w zeszłym tygodniu on był w Kownie, to znowu mnie nie było. Aż oto wczoraj spotkałem Dowgiałłę, rozgadałem się z nim i dowiedziałem się, że właśnie porozumiewa się on z bawiącym tu posłem litewskim w Paryżu, Miłoszem, i adwokatem Stanisławem Bitowtem, który przed kilku tygodniami wrócił z Petersburga, w celu wytworzenia konkretnie tej od dawna projektowanej przezeń organizacji „starolitewskiej". Poparłem jego myśl i zdecydowałem się próbować tej drogi. Dziś zetknąłem Dowiatta z Žemaitisem, tylko że rozmowa ta była właściwie nie rozmową, jeno dwugodzinną nieustającą tyradą Dowiatta, który jak wpadł w trans mówienia, to mówił i mówił, wypowiadając wszystko, co od lat paru zebrało się w jego myślach i uczuciach. Po obiedzie w Klubie Litewskim spotkaliśmy się dla omówienia projektowanej organizacji; obecnych nas było czworo – Dowiatt, Miłosz, Bitowt i ja. Wszyscy czterej jesteśmy w naszym stosunku do Litwy pokorni i jednomyślni. Miłosz i Bitowt są obaj takimiż Litwino-Polakami, jak ja i Dowiatt.

26 października, rok 1921, środa

Z nocy wypadł pierwszy śnieg, który wkrótce stopniał. Mówił mi dziś rano Janulaitis, że przed paru dniami wydany był przez ministra wojny Šimkusa rozkaz internowania w obozie koncentracyjnym kilku osób z opozycji prawicowej, w ich liczbie takich wybitnych wodzów tejże, jak Voldemaras i ks. Tumas, poza tym niejakiego Marčiulonisa i jeszcze kogoś, za szkodliwą agitację przeciwrządową, nawołującą do akcji graniczącej z buntem i zakłócającą bezpieczeństwo państwa, która się wyraziła w przemówieniach tych osób na wiecu piątkowym. Rozporządzenie to miało być wydane na zasadzie stanu wojennego. Gdyby to było prawdą, byłoby to skandalem. Ale jeszcze większym skandalem byłoby to, że podobno komendant wojenny miasta, otrzymawszy ten rozkaz, odmówił wykonania go i rozkaz został odwołany czy też zastąpiony przez inne zarządzenie. Janulaitis dowiedział się o tym od Smetony. Janulaitis zdecydowany jest zbadać tę rzecz przez stosunki prywatne, jakie ma w kołach wojskowych, aby wyjaśnić, jak się rzecz miała w istocie i jakie były sprężyny działające w tej sprawie. Ślażewicz, zapytywany przez nas wieczorem w tej sprawie (Ślażewicz, który jest człowiekiem bardzo bliskim Šimkusa i który nie należy do rządu, ma zakulisowo wpływ ogromny na całą politykę rządową, był przez Janulaitisa podejrzewany o to, że ewentualnie on sam jest sprawcą tego zarządzenia ), otóż Ślażewicz oświadczył, że o czymś podobnym wcale nie słyszał i uważa to za bajkę zrodzoną w otoczeniu Smetony i wyolbrzymioną w wyobraźni tegoż. Ślażewicz twierdzi zresztą, że gdyby taki rozkaz był przez Šimkusa wydany, to z całą pewnością dotknięci nim siedzieliby już w obozie,

a komendant, który by się ośmielił odmówić wykonania rozkazu, byłby usunięty i wysłany na front, bo Šimkus nie lubi żartować i nie pozwoli bawić się swymi rozkazami. Swoją drogą, rzecz jest sensacyjna. Zobaczymy, czy się ona wyjaśni i jak. Słówko jeszcze o wczorajszym naszym zebraniu z Miłoszem, Dowiattem i Bitowtem. Ustaliliśmy listę około 10 osób, które postanowiliśmy wezwać, o ile się da, na niedzielę dla omówienia konkretnie naszego projektu zrzeszenia czy klubu. Mamy się zebrać o godz. 3 w gabinecie restauracji „Wersal". W liczbie tych osób, które chcielibyśmy powołać do jądra projektowanego zrzeszenia, są między innymi: Stefan Bilewicz, Noniewicz, Wacław Bielski, generał Żukowski, Czesław Milwid, Dominik Dowgiałło, paru innych, no i my czterej naturalnie. W naszym zamierzeniu, uzupełnieniem projektowanego klubu byłoby założenie własnego organu prasy, który różniłby się zarówno od „Dnia Kowieńskiego", stanowiącego organ kierunku peowiackiego, czyli ekspozyturę polityki interwencjonistycznej wszechpolskiej, jak od „Litwy", będącej organem ściśle nacjonalistycznym litewskim, wydawanym w języku polskim. „Litwa", redagowana przez Žemaitisa i wydawana za pieniądze rządowe, jest ekspozyturą ściśle narodowej polityki litewskiej, nie uwzględnia ani szczególnej psychologii, ani różnych zastrzeżeń, które są żywe w tradycjach tzw. Litwinów kultury polskiej czy Polaków litewskich – krajowców i przeto nie może trafić do ich przekonania i wywrzeć wpływ, jaki mogliby posiąść sami Litwini kultury polskiej i krajowi Polacy litewscy, czyli tak zwani podług terminologii Dowiatta „Starolitwini". Trudno jeszcze orzec, czy coś się konkretnie wykluje z naszego zamierzenia wczorajszego. Że potrzeba jest wielka, to nie ulega wątpliwości. Ale droga jest bardzo trudna, zwłaszcza dla pisma, bo trudno uniknąć dotykania zagadnień społecznych, stanowiących oś wszelkich spraw i prądów politycznych, zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy te zagadnienia są stawiane bardzo ostro, gdy tymczasem w zaprojektowanym „klubie" naszym znaleźliby się ludzie społecznie bardzo niejednolici. W szczególności kwestia reformy agrarnej jest bodaj niemożliwą do przemilczenia, a poglądy na rolę tej kwestii w sprawie wewnętrznej układu współżycia litewsko-polskiego są w kole tych osób, które chcielibyśmy skupić, z pewnością bardzo rozbieżne. Między pojmowaniem tego zagadnienia przez takiego np. obszarnika i arystokratę Dominika Dowgiałłę lub tegoż Dowiatta a przez esdeka Bielskiego jest oczywiście różnica tak wielka jak przepaść.
Byłem wczoraj wieczorem w lokalu klubu wojennego na referatach publicznych trzech dyplomatów litewskich: Jerzego Šaulysa, posła litewskiego w Rzymie, Sidzikowskiego, posła w Szwajcarii, i trzeciego (nazwiska nie pamiętam), który należał do poselstwa litewskiego w państwach skandynawskich i obecnie wyjeżdża, zdaje się, na stanowisko do Finlandii. Sprawa wileńska i układów genewskich nie była zresztą w tych referatach poruszana. Dotykały one relacji z odnośnych krajów i charakterystyki ich stosunku do sprawy litewskiej.

27 października, rok 1921, czwartek
Zdaje się, że nic konkretnego z zamierzonego przez Dowiatta projektu tymczasem nie wyjdzie. Ponieważ Dowiatt wyjeżdża jutro na wieś, a Miłosz i Bitowt też w przyszłym tygodniu wybierają się za granicę, więc zamiast na niedzielę, jak było ułożone, postanowili oni zebrać wyznaczone przez nas pozawczoraj grono osób, jako domniemanych założycieli grupy czy klubu, dzisiaj. Ale zmniejszyli to grono do dwóch osób oprócz nas czterech, to znaczy zaprosili dodatkowo tylko Stefana Bielewicza i Wacława Bielskiego. Rezultat był dla zamierzonej sprawy fatalny. Bielewicz, były ziemianin, niegdyś w dalekiej młodości PPS-owiec z kółka Józefa Piłsudskiego i przyjaciel osobisty tegoż, szwagier Włodzimierza Zubowa z Szawel, zsolidaryzowany od dawna z akcją litewską, uważający siebie za Litwina kultury polskiej, zajmujący

obecnie stanowisko dyrektora Departamentu Leśnego, postarzał już, sfilistrzał umysłowo i stał się wskutek tego ciężkim do jakiejś nowej akcji, topiącym z góry wszelką inicjatywę w pesymistycznych, uproszczonych formułkach fatalizmu. Toteż na zebraniu dzisiejszym grał on rolę czynnika rozkładowego. Ponieważ Dowiatt, a zwłaszcza Bitowt i Miłosz zbyt płytko formułowali zadania zamierzonej organizacji, pokładając przesadne nadzieje w czysto rozumowym i uczuciowym przekonywaniu przeciwnika i nie doceniając czynnika społecznego ani tak poważnych czynników politycznych, jak fakt interwencji polskiej w Wileńszczyźnie i jej możliwości nawet w Kowieńszczyźnie, stanowiących największą trudność i przeszkodę do pociągnięcia Polaków litewskich, a zwłaszcza ziemian, na stanowisko państwowe litewskie, więc Bielewiczowi łatwo było potraktować całe zamierzenia pobłażliwie i lekceważąco i oblać je zimną wodą pesymizmu, doprowadzając analizę sytuacji do przeciwnego bieguna uproszczenia, a mianowicie przedstawiając rzecz tak, że szlachta przekonać się nie da, bo nie chce, i że społeczeństwo litewskie uświadomiwszy to już sobie po bezużytecznych próbach czynionych w r. 1918 w Wilnie, zrozumiało już, iż jedyną drogą jest wyrugowanie szlachty przez odebranie jej majątków w drodze reformy agrarnej, która płynie w istocie z pobudek nie ekonomicznych, lecz politycznych, co zaś do masy ludowej mówiącej po polsku czy to w Wileńszczyźnie, czy miejscami tutaj, to rzekomo żadne porozumienie z nią nie jest potrzebne, bo jest ona społecznie identyczna z masą mówiącą po litewsku i wystarczy przeto dla niej ta sama strawa, którą się w państwie karmi ogół ludu, byle ją podać w mowie polskiej. W tym rozumowaniu wulgarnym jest kilka błędów istotnych. Po pierwsze, jeżeli szlachta rzeczywiście nie chce się dać przekonać, to dlatego, że fakt interwencji polskiej trwa; niech jednak tylko interwencja ta ustanie i niech szlachta ziemiańska w Litwie stanie sama oko w oko z państwem litewskim, to bardzo szybko zacznie się w niej rozwijać prąd państwowy litewski, gdyż sam interes nakaże jej szukać kompromisu z państwowością litewską i porozumienia z prawicowymi skrzydłami narodowego społeczeństwa litewskiego. A ponieważ już dziś są wśród niej ludzie nie tylko tacy, jak Dowiatt lub jak Dowgiałło, którzy z pewnych założeń idealistycznych są przywiązani do Litwy, ale i tacy, jak np. Edward Kudrewicz, Władysław Komar i inni, nawet taki Eugeniusz Römer, niedawny jeszcze endek przed wojną, którzy są o tyle przezorni, iż z góry już przewidują chwilę ustania interwencji polskiej i konieczność, choćby dla względów materialnych, kompromisu z państwem litewskim, więc i akcji wśród szlachty całkiem bagatelizować lub uważać ją za absolutnie beznadziejną nie można. Po wtóre, co do ludu mówiącego po polsku, sprawa nie jest tak prosta; pomimo elementarnego pokrewieństwa tego ludu z litewskim są jednak i różnice, wytworzone zwłaszcza przez ostatnie parę dziesiątków lat. Ruch narodowy litewski, który się dokonywał w społeczeństwie ludowym, mówiącym po litewsku, i który wyżłobił głębokie ślady w psychice tego ludu, nie dotknął tego odłamu, który mówi po polsku, i który skądinąd był i jest urabiany przez prądy inne. Toteż akcja państwowa litewska w ludzie mówiącym po polsku musi się przystosować do jego umysłowości, musi być programowo nieco inną, niż jest ona w ludzie narodowo litewskim. Ale na dyskusję i wyjaśnianie tych rzeczy nie było czasu, bo Bielewicz wypowiedział się i spieszył wyjść. Bielski mądrzej stawiał, zaznaczywszy niemożliwość połączenia w jednej akcji oddziaływania na szlachtę ziemiańską i na masy ludowe, ale także zabawił krótko i musiał wychodzić. Zostaliśmy we czterech – Dowiatt, Bitowt, Miłosz i ja – z tym samym właściwie, od czego zaczęliśmy, bo dwaj pierwsi i jedyni zwerbowani – uciekli od nas. A tymczasem Dowiatt wyjeżdża, Miłosz wraca do Paryża na swoje stanowisko, Bitowt również jedzie na czas jakiś za granicę, a ja zostaję w Kownie sam, jak nim byłem. Wóz nie zdźwignął się z miejsca i kilka dni gadania poszło na marne. Gadulstwo niewyczerpane Dowiatta, płytkość Bitowta,

zupełny brak ścisłości poety Miłosza – uczyniły to przedsięwzięcie, w założeniu dodatnie i użyteczne, nierealnym. Rzecz taka nie może być traktowana tak, jak się usmaża jajecznicę z dwóch jajek – na poczekaniu, bez ścisłego planu i doboru środków.

28 października, rok 1921, piątek
Wspomniałem, zdaje się, że odbywa się w Kownie zjazd ambasadorów litewskich, który trwa już od paru tygodni. Z powodu tego zjazdu dyplomatów toczą się wciąż ożywione narady w Ministerium Spraw Zagranicznych. Między innymi dowiedziałem się dziś od Šaulysa, który, jako poseł litewski w Rzymie przy Kwirynale, jest uczestnikiem zjazdu dyplomatów i ich narad, ciekawej rzeczy, a mianowicie, że według otrzymanych z Wilna informacji, czynniki litewskie i sprzyjające Litwinom w Wilnie wypowiadają się bardzo stanowczo za koniecznością przyjęcia przez Litwę projektu Hymansa. Zjawisko to bardzo wzmacnia usposobienie rządu i dyplomatów litewskich, którzy też tę konieczność uznają. Zarówno Tadeusz Wróblewski, jak zapewne Michał Biržiška i zwłaszcza Żydzi wileńscy z wpływowym dr Szabadem na czele uważają, że dalsze zwlekanie rozwiązania wileńskiego jest zgubne i że przyjęcie projektu Hymansa jest stanowczo konieczne. Zdają oni sprawę z tego, że projekt Hymansa jest bardzo niedoskonały i że Litwy on zadowolić nie może; rozumieją też, że sytuacja, jaka się wytworzy na gruncie projektu Hymansa, nie będzie ukojeniem i rozstrzygnięciem ostatecznym, jeno punktem wyjścia do nowej fazy walki wewnętrznej litewsko-polskiej o wpływy w Wileńszczyźnie i o pozyskanie jej mocne dla państwowości litewskiej. Uważają jednak w każdym razie to prowizorium za lepsze od obecnego stanu nieokreślonego, który służy jeno pogłębianiu państwowości polskiej w Wilnie.
W szczególności Szabad wskazuje wyraźnie na to, że jeżeli Litwa nie zaakceptuje tego prowizorium rozwiązania, to Żydzi zważywszy, że Litwa siłą oręża nie jest w stanie odzyskać Wilna, będą zmuszeni zdecydować się, wbrew swemu życzeniu, na układanie się z Polską jako czynnikiem realnym o *modus vivendi*. Polska natomiast usiłuje podobno skłonić Litwę do tego, by zamiast przyjęcia projektu Hymansa nawróciła ona do metody bezpośredniego rokowania z Polską; dyplomaci litewscy uważają to za manewr ze strony Polski, by wygrać na czasie, odciągnąć Litwę od Ligi Narodów i korzystać z tego w celu umocnienia się własnego w Wilnie. Wspominał mi też Šaulys, że według wileńskiej relacji Jonynasa, Ludwik Abramowicz trzyma się teraz Tadeusza Wróblewskiego i stoi wraz z nim mocno na stanowisku państwowym litewskim. Dotychczas nie wiem, co się stało z wrześniowym projektem Ludwika Abramowicza wydawania tygodnika ilustrowanego „Pogoń". Czy wydawnictwo to zostało zaniechane, czy może wychodzi, czy Ludwik Abramowicz nie wrócił do „Gazety Krajowej" i w ogóle co słychać z jego kombinacjami publicystycznymi? Ponieważ nie mam żadnych informacji bezpośrednio od Ludwika, będę musiał poinformować się o tym u Jonynasa.
Pozawczoraj po dłuższej przerwie od kwietnia odbyło się w mieszkaniu Ślażewicza posiedzenie naszego Związku ścisłego. Skorzystałem z przyjazdu Šaulysa, aby zwołać to posiedzenie, Šaulys bowiem jest jednym z najwierniejszych i najbardziej oddanych członków Związku. Był też i Jan Vileišis, który należał do naszej formacji w Wilnie jeszcze przed wojną, a który dotąd w odnowionym przez nas Związku nie bywał, ponieważ dopiero latem powrócił z Ameryki. Oprócz Šaulysa, Vileišisa i mnie, obecni byli na dzisiejszym posiedzeniu Dominik Siemaszko, Michał Ślażewicz, Stefan Kairys, Wacław Bielski i Augustyn Janulaitis. Mieliśmy więc prawomocne *quorum*, które podług wymagań tradycyjnych liczyć powinno nie mniej niż siedmiu obecnych na posiedzeniu. Przyjęliśmy zaś do naszej formacji nowego członka w osobie Zygmunta Żemaitisa. Ponieważ znamy go wszyscy i nie mieliśmy wątpliwości ani że on w

ostatniej chwili się cofnie, ani że my po zbadaniu go nie odrzucimy jego kandydatury, przeto przyjęcie odbyło się bez zachowania formalności tajemnych, jak wprowadzenie do koła z opaską na oczach itd. Nastrój na dzisiejszym posiedzeniu był bardzo miły, prawdziwie braterski i poufny. Choć się rzadko zbieramy i choć dotąd po wznowieniu nie zdołaliśmy skonkretyzować naszej działalności, jednak jest widocznie pewien urok w humanizmie i prądzie serdecznym samej organizacji naszej, skoro jej członkowie pomimo wszystko tak są do niej przywiązani. Zreferowałem o wznowieniu formacji wileńskiej, należącej do naszej organizacji, potem Šaulys referował o kontakcie z organizacją włoską. Omówiliśmy szereg nowych kandydatur, zwracając w szczególności uwagę na wciągnięcie w nasze szeregi dyplomatów litewskich w celu ułatwienia nam stosunku z odpowiednimi czynnikami za granicą. Podniesiona została kwestia opracowania statutu naszej wznowionej organizacji jako odtąd litewskiej; ułożenie projektu statutu zlecone zostało mnie i Janulaitisowi. Wreszcie Janulaitis podniósł kwestię planowej akcji przeciwko klerykalizmowi, o czym ma on nam przedstawić wnioski na następnym posiedzeniu.

29 października, rok 1921, sobota
Dzisiejsze posiedzenie sądowe w Trybunale przeciągnęło się do godz. 4, co jest wypadkiem rzadkim w Trybunale. Większą część posiedzenia zajęła głośna sprawa OSN („Organizacja Strzelców Nadniemeńskich”). Organizacja ta była kontynuacją POW („Polskiej Organizacji Wojskowej”) na terytorium Litwy Niepodległej. Jest to ta sama sprawa, w której w liczbie oskarżonych figurował Tadeusz Bystram z Bystrampola. Organizacja ta niewątpliwie była zbrodniczą i godzącą w Niepodległość Litwy. Łączyła ona zadania szpiegowskie (wywiadowcze) z partyzanckimi na rzecz oczekiwanej interwencji zbrojnej polskiej w Litwie. Działała ona jeszcze w r. 1920 jako spadkobierczyni POW i była kierowana przez Mariana Kościałkowskiego za pośrednictwem polskiego oficera łącznikowego w Kownie Wiktora Wąsowicza.
Rola moja w sprawach politycznych polskich jest dla mnie zawsze przykra osobiście, mimo że nie mogę zaprzeczyć konieczności ścigania przez państwo działań, skierowanych przeciwko jego niepodległości i mimo że z całą stanowczością potępiam tę akcję spiskową polską w Litwie. Ta sama POW, która w Polsce pod okupacją rosyjską i niemiecką służyła dziełu wyzwolenia i posiadała piękne zasługi, tu w Litwie zwracała się przeciwko wolności krajowej i służyła dziełu złamania wysiłków państwowych litewskich i ujarzmieniu kraju na rzecz Polski. Ale w tym wypadku leżało mi na sercu uniewinnienie Bystrama i Naruszewicza, których wina jest wątpliwa i których skazanie przez Sąd Armii opierało się na bardzo mętnych źródłach: z jednej strony denuncjacji anonimowej i z drugiej – zeznaniach pierwotnych współoskarżonego Kalghofa, zeznań tchnących fabrykatem „Žvalgyby”. Uniewinnienie tych dwóch oskarżonych nie tylko leżało mi na sercu osobiście, ale uważałem je też za rzecz godności Najwyższego Sądu Litwy, Trybunału, który powinien ile możności odrzucać precz mętne źródła oskarżenia. Nie bardzo się jednak spodziewałem dodatniego rezultatu, bo od samego początku dostrzegałem już tendencję Janulaitisa forsowania wyroku skazującego, a co do uczestniczącego w posiedzeniu członka Sądu Armii, Vimera, to wiem z góry, że zawsze – bez względu na dowody – będzie on w sprawie politycznej głosować za skazaniem. Nadspodziewanie jednak prezes Kriščiukaitis przyłączył się w stosunku do Bystrama i Naruszewicza do mnie i tą drogą głos jego wraz z moim przeważył. W stosunku do trzech oskarżonych, których udział czynny w OSN był niewątpliwy, utrzymaliśmy wyrok Sądu Armii i jego kary ostre, zmniejszając je nieco dla dwóch (Kalghof – ciężkie więzienie bezterminowe, dwaj inni – po lat 15); trzech pozostałych – Downarowicz, Bystram i Naruszewicz – uniewinniliśmy. Byłem z

wyroku w zupełności zadowolony. W drugiej sprawie, również politycznej polskiej, w której niejaki Lipowicz był oskarżony o to, że w jesieni roku zeszłego służył kawalerii polskiej, która się przedarła w głąb terytorium litewskiego, za przewodnika do toru kolejowego między Datnowem a Kiejdanami, uszkodzonego przez ułanów – uniewinniliśmy oskarżonego jednogłośnie; to uniewinnienie było też aktem sprawiedliwości i godności sędziowskiej Trybunału, bo właściwie całe oskarżenie było zbudowane tylko na presumpcji opartej na tym, że skoro Lipowicz był peowiakiem (w głośnej sprawie POW został on skazany na dożywotnie ciężkie więzienie), to prawdopodobnie był winien i w tym wypadku. W ogóle dzisiejsze posiedzenie sądowe Trybunału sprawiło na mnie wrażenie przyjemne.
Widziałem dziś wieczorem Jonynasa. Dowiedziałem się od niego, że wydawnictwo „Pogoni” zostało przez Ludwika Abramowicza zaniechane. Również powrót Ludwika Abramowicza na stanowisko redaktora „Gazety Krajowej” nie doszedł do skutku, ponieważ Ludwik Chomiński znalazł środki na dalsze prowadzenie „Gazety” i pozostał przeto nadal jej redaktorem. Natomiast Abramowicz wznowił wydawnictwo przedwojennego „Przeglądu Wileńskiego” i będzie je redagował w duchu krajowym[616]. Ludwik Abramowicz trzyma się obecnie stanowiska Tadeusza Wróblewskiego.
Mówiono mi dziś, że ambasadorowie litewscy, którzy się tu zjechali na zjazd i mieli się już w tych dniach rozjechać, postanowili pozostać w Kownie jeszcze parę tygodni – „aż do skutku”. Pod słowami „aż do skutku” należy, zdaje się, rozumieć – do czasu wykrystalizowania się ostatecznych decyzji w przedmiocie projektu Hymansa. Tylko jeden Miłosz wraca do Paryża. Inni pozostają. Dyplomaci litewscy popierają konieczność pogodzenia się formalnego z projektem Hymansa. Pracują tu oni intensywnie i odbywają codziennie długie narady i konferencje.

30 październik, rok 1921, niedziela
Opuściłem wczoraj posiedzenie sejmowej komisji konstytucyjnej, czwarte z rzędu z udziałem powołanych do wyrzeczenia opinii rzeczoznawców. Byłem zmęczony posiedzeniem sądowym, więc nie poszedłem, mimo że była debatowana bardzo ważna zasadnicza kwestia organizacji władzy wykonawczej. Zresztą kwestia ta była już dotknięta na poprzednim posiedzeniu, we środę, przy omawianiu rozdziału projektu konstytucji o Sejmie. Już wtedy ujawniły się zdania rzeczoznawców, o których zresztą z góry było wiadomo, jakie będą. Znana jest gorąca dyskusja w początkach Sejmu Ustawodawczego w r. 1920 przy debatach nad konstytucją tymczasową na temat, czy potrzebna jest osobna instytucja prezydenta Rzeczypospolitej, czy też funkcje naczelnika władzy wykonawczej mogą być przekazane prezydium Sejmu, ewentualnie marszałkowi tegoż. Chrześcijańska Demokracja broniła wtedy osobnej prezydentury, lewica z esdekami na czele występowała przeciwko prezydenturze. Dzięki większości chrześcijańsko-demokratycznej prezydentura została utrzymana w konstytucji tymczasowej, ale faktycznie prezydent nie został przez Sejm Ustawodawczy obrany i pełniącym obowiązki prezydenta pozostał marszałek Sejmu p. Aleksander Stulginski. Obecny projekt komisji konstytucyjnej, przedłożony opinii rzeczoznawców, staje już na stanowisku kompromisowym: osobnej instytucji prezydenta Rzeczypospolitej nie ustanawia, władzę naczelną wykonawczą skupia w osobie marszałka Sejmu, ale czyni go nieusuwalnym na całe trzylecie trwania Sejmu, który go wybrał, aż do czasu wyboru nowego marszałka przez następny Sejm kolejny. Faktycznie więc prezydent państwa, formalnie niezależny od władzy ustawodawczej, bo nieusuwalny, choć obieralny przez Sejm, istnieje, tylko że się nazywa nie prezydentem Rzeczypospolitej, jeno marszałkiem (prezesem) Sejmu i że przez to samo jest ściślej z Sejmem związany i zarazem

[616] Pierwszy numer wznowionego „Przeglądu Wileńskiego” ukazał się 1 XI 1921.

przewodniczy Sejmowi. W gruncie rzeczy różnica jest więc niewielka. Cała niemal różnica polega na tym, że uczyniono zadość niechęci lewicy do tytułu prezydenta Rzeczypospolitej, czyli zrobiono ustępstwo uprzedzeniu formalnemu. Większość jednak zaproszonych przez komisję rzeczoznawców, jako hołdujących prądom umiarkowanym (Smetona, Noreika, Kriščiukaitis, Gałwanowski), popierała wyodrębnienie prezydenta Rzeczypospolitej w osobną instytucję i nadania mu prawa veto zawieszającego. Natomiast Janulaitis, wysuwając się pod tym względem na samą szpicę awangardy lewicy, występuje z wnioskiem zupełnego skasowania prezydentury, nawet w postaci wcielenia jej w instytucję marszałka Sejmu i przekazania wszystkich funkcji władzy wykonawczej w ręce odpowiedzialnego przed Sejmem rządu (gabinetu ministrów), skupiając funkcje reprezentacyjne państwa w osobie prezesa ministrów. Ministrowie zaś w jego wniosku byliby zarazem prezesami odpowiednich komisji sejmowych. W tym wniosku obalone zostają resztki starej klasycznej zasady podziału władzy, zasady, na której dotąd budowana była demokracja, ginie wszelki cień niezależności władzy wykonawczej i dokonana zostaje wszechwładza Sejmu, jednolita i niepodzielna, analogiczna do monarchii absolutnej, zlewająca funkcję ustawodawczą i wykonawczą. Taką jest teza, z którą wystąpił Janulaitis. Zapewne nie zostanie ona przyjęta przez komisję konstytucyjną i przez Sejm obecny, ale prawdopodobnie stanie się ona parolem konstytucyjnym skrajnej lewicy demokratycznej (esdeków). Dalsze na lewo formacje, prześcigające esdeków, odrzucają już samą demokrację (w litewskich stosunkach do takiej pozademokratycznej formacji należą rewolucyjni socjaliści ludowi i komuniści, którzy odrzucając demokrację głoszą zasadę rządów „sowieckich”, to znaczy bezpośrednich rządów bądź ludu pracującego, jak chcą jedni, bądź proletariatu czy nawet proletariatu komunistycznego, jak chcą drudzy). Ciekawe jest, że demokracja, wyszedłszy z założeń walki z absolutyzmem monarchii, wytworzywszy dla tej walki zasadę podziału władz, dziś, po zwalczeniu monarchizmu, wraca w swoich najdalej posuniętych wywodach, jak to się tu widzieć daje na wniosku Janulaitisa, do tejże jednolitości władzy, do tegoż absolutyzmu, który cechował monarchię, tylko z tą różnicą, że tym władcą absolutnym jest Sejm jako fikcja przedstawicielstwa i woli ludu. Właściwie propagatorami absolutyzmu przeciwko klasycznemu, demokratycznemu podziałowi władz byli bolszewicy, ale ci łączyli go z dyktaturą mniejszości i odrzucili fikcję parlamentaryzmu wraz z samym parlamentaryzmem. Kresowi zaś epigoni demokracji, jakimi są u nas esdecy i taki państwowiec, jak Janulaitis, wzięli od bolszewików absolutyzm, ale zachowali z demokracji parlamentaryzm. Sejm absolutny – oto ich doktryna polityczna.

31 października, rok 1921, poniedziałek
Dotknę znowu tematu, o którym pisałem przed kilku tygodniami, mianowicie – sądownictwa. W Sądzie Okręgowym Kowieńskim od wiosny zaszły w składzie osobistym zmiany wielkie. Usunęło się zeń kilku sędziów spośród najstarszych i najdoświadczeńszych. Ja awansowałem do Trybunału. Sędzia Preis, którego sędziowie Litwini nie lubili i któremu czyniono różne zarzuty, a nawet szykany ze strony ministerium, podał się do dymisji i wstąpił do adwokatury. Preis jest Rosjaninem i człowiekiem przekonań starej daty, konserwatystą z krwi i kości, niechętnym kierunkowi społecznemu młodej Republiki Litewskiej. Toteż jego obecność na stanowisku sędziego, stosującego nowe ustawy litewskie, raziła opinię publiczną. Rzeczywiście też Preis w swojej działalności sędziowskiej miał zawsze tendencję do restrykcji, a nawet poniekąd do wypaczania idei tych ustaw społecznych, które były wydane przez władze litewskie i zmierzały do zasad sprzecznych z zasadami starego ustroju prawnego. Wszystkie te nowe ustawy litewskie w zakresie stosunków

społecznych i agrarnych, ograniczające instytucję własności, czyniące w niej wyłom na rzecz praw bądź jakichś lokatorów, bądź dzierżawców, bądź robotników, bądź pożądliwych rzesz małorolnych i bezrolnych, bądź państwa, rewolucjonizujące stary ustrój prawny, na którego kulturze wychowany był Preis, oburzały go. Jako sędzia był on też rzeczywiście nie tyle ich wykonawcą, ile ich hamulcem. Poza tym Preis miał tę wadę, że czasem korzystał ze swego stanowiska sędziego dla pewnych interesów prywatnych. Znaną jest sprawa wytoczona przezeń w sądzie pokoju o własność zegarka, prawnie zupełnie bezpodstawna i obliczona chyba tylko na to, że sędzia pokoju zasądzi jego powództwo przez wzgląd na jego autorytet jako sędziego okręgowego. Drugi ujawniony szczegół, który rzucił cień na niego, dotyczył wypadku z drzewem: Preis wystarał się w Departamencie Leśnym o drzewo na remont domu swego na warunkach ulgowych i drzewo to sprzedał na spekulację jakiemuś Żydowi do tartaku. Preis się potem tłumaczył, że to była tylko zamiana, a nie spekulacja i że za surowiec otrzymał od tartaku materiał obrobiony. Ale cień pozostał, tym bardziej, że miano różne poszlaki tego, iż Preis w ogóle, będąc sędzią, udzielał rozmaitych wskazówek i poparcia w sprawach swoim przyjaciołom Rosjanom, oddając poniekąd swoje sędziostwo na usługi prywatne przyjaciół. To wszystko, łącznie z jego przekonaniami i dążeniami, niechętnymi kierunkowi państwowości litewskiej, zwracało opinię publiczną przeciwko niemu. Od dawna patrzano nań z ukosa. Doszło do tego, że na wiosnę minister sprawiedliwości Karoblis zaproponował mu poufnie podać się do dymisji. Ze strony ministra był to nietakt gruby i akt prowokujący całą korporację sędziowską jako precedens rozciągnięcia przez ministra kontroli nad sędziami, kontroli, która może należeć tylko do ogólnego zebrania lub do wyższej instancji. Preis oburzył się na propozycję Karoblisa, odwołał się do prezesa Sądu Mačysa i do kolegów. Koledzy sędziowie też podzielili jego oburzenie. Niemniej merytorycznie zarzuty ciążyły nadal na Preisie nawet w opinii tychże kolegów, toteż latem Preis zgłosił dymisję i otrzymał ją.

Cokolwiek da mu się zarzucić, niepodobna zaprzeczyć, że jest on prawnikiem dobrym i rutynowanym, doświadczonym sędzią, toteż jego ustąpienie z sądu jest pod względem zawodowym dotkliwą dla Sądu Okręgowego stratą, zwłaszcza ze względu na wielki brak wykwalifikowanych sędziów w kraju. Następnie podał się do dymisji sędzia Oleka, również jeden z najlepszych sędziów i cywilistów w sądownictwie litewskim. Oleka, człowiek bardzo nerwowy, nie mógł znieść nieładu panującego w Sądzie Okręgowym, nie mógł patrzeć przez palce na nadużycia popełniane w kancelariach sądu pod płaszczykiem tego nieładu. Gdy się przekonał, że stan jest pod tym względem beznadziejny, że na poprawę stosunków liczyć niepodobna, bo nieumiejętności administracyjne prezesa Mačysa i coraz większy napływ do sądu młodych, początkujących i niedoświadczonych sędziów czynił uporządkowanie trybu wewnętrznego niemożliwym, Oleka nie chcąc dzielić odpowiedzialności za to, co się dzieje, wycofał się. Ustąpienie jego wywołało wielki żal i pewną nawet sensację w mieście. Oleka objął stanowisko dyrektora Centralnego Archiwum Państwowego.

Wreszcie podał się do dymisji także sędzia Stanisław Narutowicz. Ten jako siła fachowa był mniej wybitny, bo nie miał doświadczenia sędziowskiego, ale był staranny i w każdym razie niegłupi oraz bardzo uczciwy, choć może trochę narwany. Wystąpił, bo chciał wrócić do pracy na roli, do której przywykł i zresztą był już stary i za trudną mu była forsowna robota w Sądzie Okręgowym, a materialnie w tej posadzie oczywiście zainteresowany nie był, moralnie zaś też praca w pełnym nieładu Sądzie Okręgowym w Kownie wielkiej satysfakcji dać mu nie mogła.

1 listopada, rok 1921, wtorek

Kiedy Sąd Okręgowy w Kownie stracił Preisa, Olekę i mnie, to poziom jego przez to samo od razu bardzo widocznie się obniżył. Już poprzednio, jak to zaznaczałem, przyjęto na sędziów cały szereg ludzi nowych albo młodziutkich, albo choćby i starszych, ale takich, którzy nigdy żadnej praktyki sędziowskiej ani nawet prawniczej nie mieli i którzy w najlepszym razie przesłużyli kilka miesięcy już za rządów litewskich na stanowisku sędziów śledczych. Ale dopóki była w sądzie opoka sędziów starszych i bardziej doświadczonych, dopóty ci młodzi byli tylko dodatkiem, uzupełnieniem do kompletu. Mogli się uczyć w promieniu swoich starszych kolegów, byli właściwie sędziami-terminatorami. Z chwilą ustąpienia trzech z liczby filarów stosunki się jaskrawie zmieniły na gorsze. Lukę trzeba było uzupełnić doborem nowych, a nie było skąd ich brać, jak tylko z liczby takich, którzy poza dyplomem formalnym prawnika żadnych innych kwalifikacji nie posiadają i nie mogą się nawet jeszcze zabrać do adwokatury, bo nie daliby rady i nie mieliby klientów. Poza tym, ponieważ dopływ spraw w Sądzie Okręgowym ciągle rośnie, trzeba ilość sędziów stale zwiększać, czerpiąc zawsze z tegoż elementu żółtodziobów i początkujących. Toteż ci sędziowie-terminatorzy, którzy jeszcze na zimę byli tylko dodatkiem do rdzenia sędziów starszych, teraz stali się właściwą masą, bardzo rzadko okraszoną kilku pozostałymi prawnikami lepszej wody. Z tych sędziów starszych, doświadczonych, którzy rzeczywiście są prawnikami mogącymi się mierzyć z sędziami przedwojennego poziomu, pozostali teraz w Sądzie Okręgowym w Kownie tylko prezes Mačys, wiceprezes Piotrowski i sędzia Fridman. Względnie niezły jest jeszcze Milwid, który bądź co bądź był adwokatem, jest człowiekiem dojrzałym, pracuje bardzo energicznie, ma pewną znajomość prawa i niezłą głowę. Do poziomu filarów dźwignęli się już teraz i sędziowie Masiulis i Šurna, którzy za naszych czasów uchodzili za początkujących, choć bądź co bądź stali przynajmniej wiekiem, powagą i zrównoważeniem wyżej od młodzieży następnych po nich sędziów. Zresztą Masiulis jest rzeczywiście sędzią, który się wyrobi szybko; jest pracowity, bardzo stateczny, sumienny w pracy, myślący, studiujący ustaw. Od lata przyjęto do sądu w Kownie już cały szereg nowych sędziów, tak że dziś już bodaj połowy składu osobistego Sądu Okręgowego nie znam. Wiem, że został mianowany Milczyński, młody prawnik, który z praktyką sądową nigdy do czynienia nie miał i był przez parę lat rządów litewskich dyrektorem departamentu w Ministerium Sprawiedliwości, gdzie zyskał opinię człowieka bardzo pracowitego i sumiennego, następnie mianowany został niejaki Stetkiewicz czy Steczkiewicz, który poprzednio przez czas jakiś był sędzią śledczym w Kretyndze, następnie podprokurator Boreiša; przedstawiony jest do nominacji Markiewicz czy Markowski[617], sędzia śledczy w Poniewieżu, następnie mój dobry znajomy Bračulis, który w roku zeszłym wraz ze mną i Fridmanem był mianowany do Sądu Okręgowego w Wilnie. Był on wtedy z Wilna drapnął aż do Ameryki, skąd niedawno wrócił; ten, choć prawnik amerykański i człowiek starszy, w ogóle nie ma głowy prawniczej, a o prawie, które obowiązuje u nas, nie ma pojęcia i nawet przestudiować go nie może, bo nie zna języka rosyjskiego, podczas gdy obowiązujące u nas ustawy, za wyjątkiem Kodeksu Karnego, nie są jeszcze wydane w tłumaczeniu litewskim. Oprócz tych mianowani są lub przedstawieni do nominacji jeszcze inni, których nawet z nazwiska nie znam. Wszyscy ci nowi sędziowie są nowicjuszami. Nie ma w ich liczbie ani doświadczonych sędziów, ani wytrawnych prawników. Przed wojną mogliby w sądownictwie być co najwyżej kandydatami do posad sądowych. Jeszcze przed kilku miesiącami wstępując do Sądu Okręgowego stawali się w nim faktycznie terminatorami, dziś stają się w braku

---

[617] Być może tożsamy z Mečiusem Markauskasem (1891-?), prawnikiem i działaczem społecznym, o którym jednak nie wiadomo, by był sędzią śledczym w Poniewieżu (w 1920 osiadł w Mariampolu, gdzie pracował jako adwokat; w latach 1923-1925 był posłem do Sejmu Litwy).

mistrzów sami od razu „mistrzami” bez pojęcia o sztuce, do której się biorą. Uczą się oni, ale nie na działalności doświadczonych kolegów, jeno na sprawach które sami sądzą. Podobno gdy zdarza się im zobaczyć akta jakiejś sprawy, w której wyrok lub decyzja jest podpisana trzema imionami naraz, takimi jak moje, Mačysa i Piotrowskiego (względnie Preisa, Oleki), to się im to wydaje jak z bajki wyjęte, że też mogły kiedyś tak doskonałe komplety być dobierane.

2 listopada, rok 1921, środa
Od trzech dni układam statut naszego Związku ścisłego. Jest to praca duża, wymagająca wielkiej uwagi i ścisłości dla ujęcia wszystkiego, co jest zasadnicze w naszej organizacji i co odpowiada jej naturze oraz tradycji formalnej. Ja w naszym Związku jestem jego osią, najgłębiej go znam i najlepiej wyobrażam jego ciągłość. Toteż słuszne jest i naturalne, że po jego wznowieniu i reorganizacji na zasadach samodzielnych w Republice Litewskiej przy zachowaniu jednak jego istoty i celów humanitarnych, mnie właśnie polecone zostało opracowanie projektu statutu. Postanowienie takie zapadło u nas jeszcze w roku zeszłym. Do pracy tej wyznaczony byłem ja i Šaulys. Ale Związek nasz wtedy dawał bardzo słabe znaki życia, toteż w braku tętna żywego nie zabrałem się do tej pracy. Ostatnie jednak posiedzenie uczyniło na nas wszystkich wrażenie bardzo dodatnie i nadspodziewanie zagrało żywym tętnem. Podniesiona została na tym posiedzeniu znowu sprawa statutu. Polecone to zostało naturalnie znowu mnie, a zamiast Šaulysa, który tylko chwilowo bawi w Kownie, dodano mi Janulaitisa. Z werwą też zabrałem się do tej roboty, a długie wieczory jesienne, które ze względu na błoto i ciemność oraz na moje miejsce zamieszkania na Zielonej Górze nie pozwalają mi wychylać się z domu, sprzyjają znakomicie pracy, tym bardziej, że chwilowo innej pilniejszej nie mam, gdyż w mojej wielkiej pracy o stronnictwach politycznych litewskich mam tymczasem przerwę; środkową część rękopisu po wykończeniu jej wysłałem w tych dniach do Wilna do Michała Biržiški i czekam na jego odpowiedź co do pewnych kwestii wydania tej pracy.
W ogóle co do naszego Związku ścisłego, trzeba nie dopuścić do wygaśnięcia dodatniego nastroju i dźwigać energię. W najbliższym czasie zwołam znowu posiedzenie i chciałbym znów dokonać na nim przyjęcia nowego członka z liczby upatrzonych kandydatów. Co do trzech dyplomatów, których przyjęcie projektowaliśmy, mianowicie Naruszewicza, Sidzikowskiego i Zauniusa, to nie poszło z nimi tak gładko. Dwaj pierwsi, z którymi rozmawiał Šaulys, wahają się i obawiają trochę wstąpienia, a Zaunius, z którym mówił Kairys, skłaniał się już, ale Kairys nie dopilnował i Zaunius wyjechał. Mamy w liczbie kandydatów jeszcze kilku na pierwszym planie, na przykład Czapińskiego, Purenasa, Kacenelenbogena. Przychodzi mi na myśl, że byłoby bardzo pożądane i prawdopodobnie skuteczne rozwinąć nasz Związek na młodzież akademicką. Opracowany przeze mnie projekt statutu poza przedstawieniem go Janulaitisowi, który został do tej pracy wraz ze mną wydelegowany, chcę dać do przeczytania i do zgłoszenia uwag Šaulysowi, który po mnie jest jednym z najwierniejszych naszego Związku adeptów, a który przy formalnym dyskutowaniu go w Związku już nie będzie obecny, bo wróci do Rzymu na swoje stanowisko ambasadora. Šaulys jest jednym z tych, którego my z Kraskowskim mieliśmy na oku, myśląc o potrzebie wydzielenia w naszym Związku najściślejszego jądra porozumiewawczego.

3 listopada, rok 1921, czwartek
Z Jadzi, mojej służącej, jestem zadowolony. Orientuje się dobrze w mieście, jest zręczna do różnych posyłek i sprawunków, do których ją wdrażam, poza tym nie lubi

zawierania znajomości, nie jest gadatliwa ani zbyt towarzyska, najlepiej lubi siedzieć w domu, interesuje się tylko rynkiem, powierzchownością ulicy i małą naszą gospodareczką domową. Nie zna się na wyszukanej kuchni, ale to, co umie, gotuje bardzo smacznie, szczególnie zupy. Stanowi ona dla mnie wielka wygodę i zarazem ożywia moją samotność domową. Trochę ją pieściłem i sam nie wiem, czy się jej pieszczoty podobają, czy nie; boi się ich trochę, bo z pewnych oznak wnioskuję, że musiano ją ostrzegać przed niebezpieczeństwem służby u mężczyzny samotnego i że ona sama postanowiła się wystrzegać pod tym względem, ale znowuż kiedy staję się chłodny i sztywny, Jadzia staje się smutna i zdaje się tęsknić do pieszczoty. Zresztą to jeszcze dziecko, bardzo surowe i gorzkie pod względem rozwoju płciowego, którego zmysłowość nie jest jeszcze rozwinięta; jeżeli pieszczota może ją wzruszać, to tylko jako elementarna przyjemność głaskania i serdeczności. Namiętności jeszcze w niej nie ma cienia. Ale choć to jeszcze dziecko i z natury zdaje się mało inteligentna pomimo pewnej bystrości praktycznej, miłą mi jest jej obecność w długie wieczory jesienne. Poza tym z dnia dzisiejszego nic osobliwego do notowania w dzienniku nie mam.

4 listopada, rok 1921, piątek
Mroziki już rosną trochę. Jesteśmy już u progu zimy. Miejscami bieleją już plamy śniegu.
Wczoraj wyszedł z druku numer 1 wznowionego organu Smetony, zastępującego zamknięty „Lietuvos Balsas”. Numer pisma tym się tylko różni od zamkniętego, że nazywa się zamiast „Lietuvos Balsas” – „Lietuvių Balsas”. Różnica w dwóch literach tytułu: „os” zamienione na „ių”. Poza tym druk, układ, papier, współpracownicy – wszystko to samo. Koła zbliżone do grupy Smetony twierdzą, że rząd jest zdecydowany w dalszym ciągu tłumić ich opozycję środkami represji na zasadzie stanu wojennego. Podobno jest projekt wysiedlenia z Kowna na czas trwania stanu wojennego prof. Voldemarasa i weterynarza Banaitisa[618], jednego z wodzów „Žemdirbių Sąjungos”.
Do jaskrawych i przekonanych przeciwników projektu Hymansa i wszelkiego kompromisu na tym gruncie należy mój kolega Janulaitis, który, jak zawsze, bardzo namiętnie sprawę tę traktuje. Rozumowanie jego da się streścić w tezach następujących: oczywiście Polska traktuje sprawę wileńską za kluczyk do przywiązania Litwy do rydwanu polskiego, aby zyskać dostęp do Kłajpedy i zrealizować zarazem politykę izolacji Niemiec, a również ubić w Litwie reformę agrarną i przywrócić przewagę szlachty ziemiańskiej; Francja popiera i forsuje tę politykę Polski; projekt Hymansa jest jednym z misternych środków intrygi dyplomatycznej dla osiągnięcia tego celu; warunkiem koniecznym jest złamanie Niepodległości Litwy. Cóż będzie, jeżeli Litwa nie przyjmie projektu Hymansa i przez to samo ośmieli się przeciwstawić tej polityce? Oczywiście polityka Polski nie ulegnie wskutek tego zmianie i nie zatrzyma się przed względem formalnym uszanowania Niepodległości Litwy; będzie zmuszona zmienić tylko metodę i zamiast spekulacji dyplomatycznej pójdzie drogą przeboju. Nastąpi interwencja Polski; powiedzmy, że Litwa zostanie złamana, straci Niepodległość, stanie się autonomiczną prowincją imperium polskiego. Jeżeli więc Litwa musi stracić niepodległość, to po co ma ją tracić dobrowolnie, kiedy to samo będzie jej narzucone. Litwa naturalnie i po narzuceniu jej przemocy nie zrzeknie się prawa i dążenia do niepodległości. Jeżeli przeto dziś nie udzieli dobrowolnej sankcji jarzmu, to zachowa

[618] Być może tożsamy z Saliamonasem Banaitisem (1886-1933), wydawcą, drukarzem i działaczem politycznym, założycielem pierwszej drukarni litewskiej w Kownie (1905), członkiem Taryby (1917), współorganizatorem oraz działaczem chadeckiego Związku Gospodarzy Litwy, o którym jednak nie wiadomo, by był weterynarzem.

atut, który się jej przyda na później w walce o swoje prawo. Takim jest elementarne rozumowanie jaskrawych przeciwników projektu Hymansa.
Skądinąd słyszałem od Šaulysa, że dyplomatom litewskim nie udało się przekonać polityków sejmowych i przeforsować przyjęcia projektu Hymansa. Odpowiedź Litwy Lidze Narodów ma formułować zastrzeżenia do projektu Hymansa. Treść tych zastrzeżeń obecnie się układa. Jaki będzie dalszy bieg sprawy – nie wiadomo.
Słyszałem, że bawi w Kownie gen. Aleksander Babiański. Nie widziałem się z nim jeszcze. Wczoraj był umieszczony w „Lietuvie" jego artykuł, którego sam nie czytałem, ale o którym mi opowiadano. Babiański podobno podnosi w nim myśl uzupełnienia projektu Hymansa bezpośrednią akcją porozumienia (społecznego!) Kowna z Wilnem.

5 listopada, rok 1921, sobota
Skończyłem dziś układanie projektu statutu naszego Związku ścisłego. Dam go do przejrzenia Šaulysowi jako jednemu z najlepszych znawców tradycji Związku, aby poczynił uwagi, bo przy dyskutowaniu go i uchwalaniu nie będzie obecny. Następnie omówię go szczegółowo z Janulaitisem, ewentualnie przeredagujemy go z nim na nowo, względnie Janulaitis opracuje swoją redakcję projektu, następnie trzeba będzie jeszcze przetłumaczyć mój projekt na litewski i wtedy wniesiemy go pod obrady.
Odbyło się dziś od godz. 6 do 8 wieczorem ostatnie posiedzenie sejmowej komisji konstytucyjnej z udziałem zaproszonych ekspertów. Spośród tych ostatnich obecni byli: Kriščiukaitis, Janulaitis, ja, Leonas i Noreika. Szczegółowo omówione zostały ostatnie rozdziały konstytucji. Ja zabierałem głos tylko raz jeden dla wskazania potrzeby zarezerwowania prawa rewizji konstytucji przez ten Sejm normalny, w którym po raz pierwszy wezmą udział posłowie Wileńszczyzny po zlikwidowaniu okupacji polskiej, aby Wileńszczyzna nie została postawiona wobec faktu niewzruszalnej konstytucji, co pozbawiłoby ją w istocie udziału w zasadniczej budowie państwa.
Przed obiadem mieliśmy dziś posiedzenie sądowe Trybunału. Na wokandzie były sprawy cywilne. W ich liczbie była jedna, która ma znaczenie precedensu zasadniczego. Chodziło w niej o rozstrzygnięcie kwestii, czy wobec ustawy o zakazie zbywania własności majątków ziemskich większych ponad 70 dziesięcin, akt działu dokonanego za życia przez rodziców między dziećmi stosownie do przepisów Kodeksu Napoleona (sprawa pochodziła z Suwalszczyzny) podpada pod zakaz tej ustawy, czy też przez analogię do spadku „*ab intestato*"[619], który w myśl tej ustawy nie uległ ograniczeniu, może on skutkować przelew własności. Ustawa o zakazie zbywania własności tych majątków w związku z przewidywaną reformą agrarną wywołała całe mnóstwo takich aktów bądź działu przez rodziców między zstępnymi w Suwalszczyźnie (Kodeks Napoleona), bądź wydziałów sched dzieciom w Kowieńszczyźnie (podług tzw. tomu X Ustaw Rosyjskich, zawierającego ustawy cywilne w tej części kraju obowiązujące). Legalność tych aktów była dotąd sporna. Dziś pierwszy raz rozpoznawał taką kwestię Trybunał na skutek skargi apelacyjnej na decyzję wydziału hipotecznego przy Sądzie Okręgowym w Mariampolu. Ja byłem za rozstrzygnięciem twierdzącym, bo skłonny jestem jak najbardziej restrykcyjnie traktować ustawy prohibicyjne Sejmu w kwestii własności ziemskiej. Janulaitis był zdecydowanie za rozstrzygnięciem negacyjnym. Kriščiukaitis skłaniał się wpierw do mego poglądu, potem jednak zaakceptował tezę Janulaitisa. Trzeba przyznać, że teza Janulaitisa, która takie działy traktuje ze stanowiska darowizny i odróżnia je wyraźnie od spadków, jest formalnie bodaj ściślejsza i bliższa intencji ustawodawcy w stosunku do rzeczonej ustawy o zakazie zbywania własności. Dlatego też trudno by mi było zgłaszać *votum separatum*. Wyrok ten jest dużym ciosem dla ziemian naszych.

[619] „*Ab intestato*" – bez testamentu.

6 listopada, rok 1921, niedziela
Szukałem dziś przed obiadem gen. Babiańskiego, który zachodził wczoraj do Komisji do spraw Litwy Wschodniej i mówił, że chciałby się ze mną zobaczyć. Nie mogłem dziś jednak tego dopiąć, bo się dowiedziałem, że Babiański mieszka aż w Szańcach – przedmieściu Kowna – u swojej synowicy czy synowej. Co się odwlecze, to nie uciecze.
Na obiad byłem dziś zaproszony do byłego kolegi Preisa, obecnie adwokata przysięgłego. Była gęś, ale zresztą nic osobliwego. Towarzystwo składało się z garstki Rosjan prawicowych, których Preis jest jednym z *leaderów* w Kownie. Wszyscy ci Rosjanie wzdychają do dawnych czasów, nie wierzą ani w Litwę, ani w inne państewka „kresowe", nienawidzą zarówno bolszewików, jak separatystów litewskich, łotewskich i wszelkich innych i nie wątpią, zdaje się, w odbudowanie jedynej i niepodzielnej Rosji, silnej, spoistej i opartej na monarchizmie, która znów zjednoczy „kresy" i pogodzi antagonizmy narodowe i społeczne w silnej władzy ośrodkowej.
Zastraszający staje się spadek kursu marki niemieckiej. Spada ona tak gwałtownie, jak poprzednio spadała marka polska. Ta ostatnia zaś wobec spadającej niemieckiej automatycznie się podnosi. Przed dwoma miesiącami marka polska w porównaniu do niemieckiej stała niespełna 2 fenigi, czyli inaczej za 1 niemiecką można było mieć do 60 i nawet 70 polskich. Teraz marka polska dochodzi już 10 fenigów, czyli za 1 niemiecką wypada około 10 polskich. Dolar kosztuje dziś już 230 marek niemieckich i więcej, to znaczy podrożał od lipca o przeszło 3 razy. Równolegle do spadku kursu marki ceny na wszystko podnoszą się mocno, niektóre wprost skaczą. Cukier, który kosztował już 4 ½ marki za funt, podrożał do 10-12 mk., artykuły tak niezbędne, jak kartofle, drzewo, drożeją okropnie z dnia na dzień, jajka, które są zresztą artykułem eksportu, kosztują po 50 i do 60 mk. za dziesiątek, mleko – do 8 i 9 mk. za kwartę. Choć na ogół ceny towarów nie podniosły się w tym stopniu, w jakim spadła marka, jednak dla ludzi jak ja, którzy żyją tylko z pracy i określonej pensji w gotówce, każdy wzrost ceny jest ciężki, bo gotówki nie przybywa. Choć Sejm uchwalił zwiększenie pensji sędziom o 50% w stosunku do zasadniczej, jednak ponieważ zwyżka ta będzie płatna dopiero od dnia opublikowania tej ustawy (jeszcze opublikowana nie jest) i ponieważ pensja płatna jest z dołu, więc zanim zaczniemy korzystać z tego dodatku, już kurs marki o tyle spadnie i ceny tak podskoczą, że praktycznie będziemy mieli mniej, niż poprzednio bez podwyżki. Jedyny artykuł, który zamiast drożenia tanieje pomimo spadku wartości pieniędzy, to mięso, szczególnie wołowe, ale także baranina i cielęcina. Mięso wołowe staniało z 4 marek do 3 mk. za funt. Tłumaczy się to ogromnym brakiem poszoru w tym roku i przeto nienormalną zgoła podażą bydła rzeźnego. Siano dochodzi w Kownie do przeszło marki za funt. Tymczasem więc ludność może spożywać mięso, które stało się najtańszym artykułem spożycia. Ale zjawisko to nie jest normalne i gospodarczo zdrowe, bo ilostan bydła w kraju się zmniejszy. Za to na wiosnę nastąpi gwałtowny podskok ceny na bydło i mięso. W ogóle żyjemy wśród paradoksów ekonomicznych.

7 listopada, rok 1921, poniedziałek
Miałem list od Maryni. Dowiedziałem się z niego, że Kligys sprzedał już należącą do Henrysia Wołłowicza Janówkę za przeszło 93 tysiące marek i zrobił już akt u notariusza. Na należące do Kotuni Pruszanowskiej Wiwieliszki też znajdują się już kupcy. Marynia zaś zaprzedała swój folwarczek „Cegielnię" Pejsachowi Ruchowi po 3750 mk. za dziesięcinę (około 8-9 dziesięcin). Dla dokonania formalnej sprzedaży Marynia musi jeszcze uzyskać pozwolenie władz. Uważam, że Marynia robi głupstwo i

że nie straci bynajmniej na tym, jeżeli pozwolenia jej odmówią. Wobec ogromnego popytu na ziemię i gwałtownego spadku kursu marki niemieckiej, cena ta, która jeszcze latem wydawałaby się niezła, choć i wtedy nie była wygórowaną, jest bardzo niską. Wszak jeżeli tak dalej pójdzie – a nic nie wskazuje, aby spadek kursu marki miał się rychło zatrzymać – to wkrótce będziemy w takiej samej pozycji, jak Polska ze swą marką. Popyt na ziemię prawdopodobnie wobec obniżenia wartości pieniędzy będzie rósł stale.
Henryś Wołłowicz ze sprzedaży Janówki ucieszy się, choć dla niego powstanie strata kilkakrotna z tego, że sprzedaż ta nie była dokonana o kilka tygodni wcześniej, kiedy marka stała wyżej. Henryś od pewnego czasu bombarduje mię gwałtownie o rychlejsze spieniężenie jego schedy. Pisze ciągle do mnie przez swego kuzyna Eustachego Wołłowicza, oficera polskiego, delegowanego przez dowództwo polskie do asystowania Komisji Kontroli Ligi Narodów. I Henryś, i Kotunia Pruszanowska podnoszą gwałt o spieniężanie szybsze ich sched i zdają się nie rozumieć wszystkich trudności, jakie są z tym związane. Zdaje się im, że realizacja spadku to jedna chwila i nie otrzymując dotąd pieniędzy już szemrzą i skłonni są uważać się za pokrzywdzonych. Nie widzieli oni ciężarów i trudności, z jakimi musiały się borykać Elwira i Marynia w Bohdaniszkach, nie byli obecni i nie uderzyli palcem o palec, kiedy trzeba było znaleźć pieniądze za nas wszystkich, a więc i za nich, na opłacenie podatku spadkowego, kosztów działu, rekwizycji zeszłorocznej itd. Chcieliby, aby pieczone gołąbki same im wpadały do gąbki i gniewają się, że nie wpadły dotąd. Dobrze pisze Marynia, że niechby Kotunia i Henryś porównali swoją sytuację w dziale do mojej na przykład. Oni mają las, ja zaś nie mam w Gaju nic prócz rózeg. Oni mają ziemię na sprzedaż, ja zaś bez pozwolenia nic sprzedać nie mogę, a całą moją schedę ustąpiłem w dzierżawę Maryni, za pierwszy rok dzierżawy ani grosza nie wziąłem uwzględniając trudne warunki Maryni, a dzierżawa za rok drugi jest już w połowie pokryta różnymi zaległościami przeddziałowej rekwizycji itd., które Marynia za mnie uiściła. Swoją drogą, z tą dzierżawą 6-letnią, którą Maryni udzieliłem, wyszedłem jak Zabłocki na mydle. Umówiłem się z Marynią o czynsz dzierżawny na gotówkę – po 5000 mk. rocznie. Zdawało się na wiosnę, gdym umowę z Marynią zawierał, że marka niemiecka jest pieniądzem dość statecznym i że trudno liczyć na to, aby pieniądz państwowy niemiecki tak spadał karkołomnie, jak jakaś marka polska lub rubel łotewski. I oto doczekaliśmy się tego. Już teraz 5000 mk. jest warte zaledwie tyle, ile na wiosnę były warte jakieś 1 ½ tysiąca marek, a co będą znaczyły te 5000 marek w końcu szóstego roku dzierżawy, to Bóg raczy wiedzieć. Może za 5000 mk. można będzie kupić 1 funt chleba! Z dzisiejszymi stosunkami w sferze pieniężnej nic nieprawdopodobnego nie ma. Dobrze tylko, że tą dzierżawczynią jest Marynia, siostra, a nie człowiek obcy. Zawsze uwzględni ona sytuację i wyrówna mi krzywdę produktami, ale w każdym razie będzie to łaską z jej strony, podczas gdy posiadanie przez nią mojej ziemi nie łaską, lecz prawem jej będzie.
Miałbym do napisania o sprawach na gruncie projektu Hymansa, ale miejsca już nie ma.

8 listopada, rok 1921, wtorek
Mówił mi wczoraj Dominik Siemaszko poufnie, że dziś na posiedzeniu gabinetu ministrów ma być powzięta uchwała w sprawie decydującej odpowiedzi Litwy Radzie Ligi Narodów o przyjęciu lub odrzuceniu projektu Hymansa. W gabinecie ministrów część ministrów jest za przyjęciem projektu Hymansa, część – za odrzuceniem kategorycznym. Właściwie formalnie czy raczej pozornie żaden z ministrów nie odważa się proponować po prostu kategorycznego przyjęcia projektu Hymansa. Sprawa jest w gabinecie ministrów stawiana tak: czy przyjąć projekt Hymansa z zastrzeżeniami, czy odrzucić go. Konferencja dyplomatów litewskich, która obradowała w ciągu paru

tygodni i w szeregu posiedzeń omawiała kwestię projektu Hymansa, ostatecznie stanęła na wniosku o przyjęciu projektu z zastrzeżeniami. Dyplomaci litewscy, ambasadorowie Litwy w państwach zachodnich, byli na razie zdecydowanymi rzecznikami przyjęcia projektu Hymansa po prostu bez zastrzeżeń. Wiem o tym i od Šaulysa, i od Žemaitisa. Do najgorliwszych rzeczników przyjęcia należeli prócz Šaulysa Naruszewicz, Sidzikowski, Miłosz, minister Gałwanowski, Jonynas[620] i inni. W miarę jednak, jak przyjezdni dyplomaci orientowali się w nastrojach miejscowych opinii publicznej litewskiej, zaczynali oni rozumieć, jak trudnym byłoby wykonanie takiego przyjęcia w jego formie czystej. Na jednym z tych posiedzeń Žemaitis, wróg zdecydowany projektu Hymansa, zaproponował dyplomatom, by dla wysłuchania argumentów przeciwnych zaprosili oni szereg działaczy społecznych. Takie posiedzenie z udziałem działaczy społecznych odbyło się. Wśród zaproszonych byli tacy wrogowie przyjęcia projektu Hymansa, jak Smetona, Kairys i inni. Ostatecznie konferencja dyplomatów uznała, że formuła odpowiedzi Litwy ma brzmieć w taki sposób, że Litwa projekt przyjmuje, ale tylko z zastrzeżeniami. Wnioski konferencji dyplomatów miały w zasadzie mieć tylko znaczenie informacyjne, doradcze dla rządu, do którego decyzja ma należeć samodzielnie. Otóż w gabinecie ministrów ma być decydowane: przyjąć z zastrzeżeniami czy odrzucić. Chociaż taki Žemaitis przypuszcza, że poprawka o zastrzeżeniach wyraża rzeczywiście zejście dyplomatów litewskich ze stanowiska przyjęcia projektu i liczenia się ich z opinią publiczną w kraju, jednak w istocie o wiele bliższym prawdy wydaje mi się pogląd Siemaszki na to. Siemaszko twierdzi, że owe zastrzeżenia, przyczepione do przyjęcia projektu, mają w relacji Puryckiego, wnoszącego odpowiedni wniosek do gabinetu ministrów, cechę nie tyle zastrzeżeń istotnych, ile raczej prośby do Ligi Narodów, by zechciała uwzględnić trudne położenie Litwy i złagodziła pewne dyspozycje projektu. Można przypuszczać, że Rada Ligi Narodów, opierając się na orzeczeniu formalnym plenum Ligi, uchyli tę prośbę, która dla opinii litewskiej jest udrapowana w pozory zastrzeżenia i wtedy pozostanie tylko fakt przyjęcia projektu przez Litwę. Zresztą może poczynione jeszcze zostaną pewne dalsze zmiany detaliczne na rzecz Litwy. Podług Siemaszki, w gabinecie ministrów głosować będą za przyjęciem (z tymi „zastrzeżeniami" oczywiście) Purycki, Gałwanowski i Karoblis[621]. Za odrzuceniem zdecydowany jest głosować Siemaszko, z pewnością – Skipitis i bardzo prawdopodobnie – Bizowski[622]. Stanowisko ministra wojny Šimkusa jest jeszcze niejasne; jedni go uważają za zdecydowanego przeciwnika przyjęcia projektu, inni podają takie jego stanowisko w wątpliwość. Prezesa ministrów Griniusa, który osobiście bardzo daleko się zaangażował w kierunku ugodowym – nie ma. Jest on chory ciężko na oczy i bawi za granicą. Zastępuje go Puricki. Siemaszko twierdzi, a to samo potwierdza Janulaitis i słychać to z innych stron, że Puricki wraz z wpływowym w obozie chrześcijańsko-demokratycznym posłem i zarazem przedstawicielem sfer bankowych litewskich księdzem Vailokaitisem, marszałkiem Sejmu Stulgińskim i kilku innymi politykami – są wprost osobiście zainteresowani w tym, aby projekt Hymansa był uskuteczniony. Wdali się oni w spekulację kosztownościami i walutą na wielką skalę. W szczególności mają ogromne sumy marek polskich. Wzmocnienie Polski i zwyżka kursu marki polskiej stanowi dla nich, jak twierdzą, interes wprost miliardowy. Te miliardy pewno nie mniejszą grają rolę w ich polityce, niż względy natury państwowej. Co do Siemaszki, to jest on tak dalece usposobiony przeciwko przyjęciu projektu Hymansa, że oświadczył, iż w razie

---

620 Jonynas Ignas.
621 Karoblis Vincas, ówczesny minister sprawiedliwości..
622 Bizauskas Kazimieras (1893-1941), dyplomata, działacz społeczny i polityczny, ówczesny minister oświaty.

przegłosowania przyjęcia w gabinecie ministrów jest zdecydowany podać się do dymisji.

9 listopada, rok 1921, środa
Rozpoznawaliśmy w Trybunale wielką sensacyjną sprawę niejakiego Totoraitisa, z zawodu agronoma z wyższym wykształceniem, dość znanego jeszcze przed wojną działacza społecznego litewskiego z Suwalszczyzny. Był on wtedy dyrektorem spółki rolniczej litewskiej „Žagrė” w Mariampolu, założonej przez chrześcijańskich demokratów[623], i wspólnikiem braci Vailokaitisów[624] w jednym z pierwszych litewskich przedsiębiorstw bankowych. Obecnie Totoraitis zasiadł na ławie oskarżonych. W końcu r. 1918 przy organizowaniu się władz litewskich został z ramienia Ministerium Rolnictwa i Dóbr Państwowych mianowany pełnomocnikiem tegoż Ministerium na część północną pow. mariampolskiego. W tym charakterze przejmował on od okupantów Niemców na rzecz rządu litewskiego zarządzane przez nich majątki i organizował zarząd w tychże. Otóż w toku przejmowania i zarządu w jednym z tych majątków, w Kwieciszkach, położonych pod samym Mariampolem i stanowiących bardzo piękną posiadłość ziemską[625], popełnił on przez czas krótki, od kwietnia do września r. 1919, cały szereg inkryminowanych mu nadużyć (kupowanie koni w tym majątku jeszcze od Niemców na własność osobistą, zamienianie swoich koni na lepsze z tegoż majątku, utrzymywanie na koszt majątku własnego inwentarza, fikcyjne rachunki itd.). Akta sprawy są olbrzymie, bo oskarżenie dotyczy całego mnóstwa detalicznych czynów. W sprawie prócz oskarżenia jest i powództwo cywilne rządu wytyczone od imienia państwa. Sąd okręgowy w Mariampolu w szeregu inkryminowanych czynów uznał winę Totoraitisa za dowiedzioną i skazał go, z zastosowaniem okoliczności łagodzących, na 9 miesięcy więzienia, w szeregu zaś innych elementów oskarżenia uniewinnił go. Wyrok ten został zaskarżony przez wszystkie strony w procesie: przez oskarżonego, przez prokuratora, przez powoda cywilnego. Sprawa jest tak obszerna, że sam jej bieg dzisiaj, pomimo że nie było żadnych świadków w II instancji, wypełnił całe posiedzenie sądowe od godz. 10 do godz. 3. Referat sprawy i wyjaśnienia oskarżonych (Totoraitisa i jego pomocnika Gustaitisa), mowy prokuratora i obrońcy i ostatnie słowo oskarżonych – to były jedyne elementy rozprawy apelacyjnej. Obronę wnosił adwokat Leonas, oskarżał prokurator Sądu Okręgowego w Mariampolu Brazaitis[626] ze specjalnego polecenia znanego

[623] Žagrė, spółka rolnicza, działająca w latach 1907-1914 w Mariampolu. Założona przez chrześcijańskich demokratów. W 1914 r. miała około 1100 członków, 7 sklepów. Od 1912 r. krzewiła kulturę uprawy roli: zakładała punkty czyszczenia ziarna i wynajmu maszyn i narzędzi rolniczych, organizowała krótkotrwałe kursy oświatowe, odczyty, wystawy.
[624] Vailokaitis Jonas (1886-1944), sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy, finansista i przemysłowiec. Vailokaitis Juozas (1880-1953), ksiądz. W 1912 r. założyli we dwóch w Kownie „Bank Braci Vailokaitisów”, którego głównym celem było wtedy gromadzenie wolnego kapitału litewskiego i użycie go przeciwko kolonizacji rosyjskiej poprzez skupywanie majątków zubożałego ziemiaństwa, rozdział ich i wyprzedaż na raty Litwinom.
[625] Majątek Kwieciszki leżał w obrębie dzisiejszego Mariampola. Założony przez hrabiego M. Butlera w 1717 r. W połowie XIX w. Kwieciszki należały do A. Sapieżyny, po powstaniu 1863 r. car podarował go hrabiemu Bergowi, namiestnikowi króla polskiego. Od 1909 r. do I wojny światowej we dworze działała szkoła początkowa towarzystwa „Žiburys“, utrzymywana przeważnie przez dzierżawcę majątku Władysława Bieńkiewicza. W 1919 r. agronom Jonas Kriščiūnas (1888-1973) założył w Kwieciszkach szkołę rolniczą. W 1922 r. majątek został rozparcelowany, 122 ha ziemi oddano na rozszerzenie miasta i jako nadziały dla byłych ochotników wojskowych.
[626] Brazaitis Juozas (1883- ), prawnik. Od 19118 XII 9 sędzia Sądu Okręgowego w Wyłkowyszkach, od 1919 I 1 obrońca z urzędu w sądach okręgowych w Suwałkach, następnie w Mariampolu, od 1919 VII 7 obrońca z urzędu w sądzie wojskowym, od 1920 IV 9 znów z urzędu w Mariampolu, od 1921 XI 17 członek tegoż sądu.

prokuratora Kalvaitisa[627], ponieważ nasz podprokurator Żyliński[628], jako spokrewniony z oskarżonym, uchylił się. Wyrok nasz odroczony został do jutra. Sprawa ta budzi w społeczeństwie litewskim sensację ze względu na samą osobę Totoraitisa oraz na stosunki z osobą jego związane. Totoraitis jest znany, ma krewnych i przyjaciół, ma też wielu wrogów. Z byłymi wspólnikami swymi Vailokaitisami i całą ich kliką, do których należy też pełniący obecnie obowiązki prezydenta Rzeczypospolitej marszałek Sejmu Stulgiński, Totoraitis jest na noże. Przyjaciele Totoraitisa i on sam podnoszą wielki rwetes i starają się przedstawić w opinii publicznej tę sprawę jako wytwór intrygi Vailokaitisów i ich kliki, którzy chcą rzekomo tą drogą zgnębić Totoraitisa i zabezpieczyć się od rewelacji, jakimi on może ich zgubić. Przyjaciele i rzecznicy Totoraitisa usiłują inspirować opinię publiczną i dotrzeć nawet do sędziów, by wywrzeć wpływ na nich na korzyść oskarżonego. Janulaitis, jako szwagier Vailokaitisa, usunął się ze względu na możliwe gawędy od referowania sprawy, a gdy się dowiedziano, że referat polecony został mnie, to już i do mnie starano się dotrzeć. Wczoraj odwiedził mię aż na Zielonej Górze Justyn Wiemżyński i chciał rozpocząć ze mną rozmowę o tej sprawie, a nawet skierować do mnie kogoś trzeciego, który miał mię szczegółowo poinformować o „intrydze”, od czego się oczywiście uchyliłem. W rzeczy samej jednak w postępowaniu Totoraitisa w zarządzie dóbr Kwieciszki jest dużo rzeczy co najmniej dwuznacznych i brudnych, które ciężki cień rzucają na jego działalność i czynią uniewinnienie bodajże wykluczonym. Sprawa ta ilustruje jaskrawo ów „zarząd państwowy” w zasekwestrowanych dobrach, który państwu przynosi deficyt, rujnuje w sposób rabunkowy gospodarkę i służy prywacie urzędników, którzy go wykonywają. Spadek kursu marki i rosnąca wskutek tego z godziny na godzinę drożyzna manifestuje się już w objawach, których świadkiem byłem w swoim czasie w analogicznych warunkach w Polsce. Zaczyna się z jednej strony niepokój wśród publiczności, który z łatwością przeradza się w panikę, z drugiej rozwija się chciwość i żyłka spekulacji u kupców, z trzeciej – usiłowania władz do walki ze spekulacją środkami zarządzeń administracyjnych i represji. Na ulicach rozlepiono plakaty komendanta miasta o tym, że za podnoszenie cen w celach spekulacji i za ukrywanie towarów w tymże celu winni ulegną internowaniu w obozach specjalnych. Na ulicach grupki uboższej ludności omawiają drożyznę i szemrzą

10 listopada, rok 1921, czwartek
Od godz. 9 ½ do 2 ustalaliśmy dziś wyrok w sprawie Totoraitisa. Ponieważ całość oskarżenia składała się z całego mnóstwa inkryminowanych czynów detalicznych, przeto trzeba było dla każdego z elementów oskarżenia ustalać osobno kwestię winy a potem kary. Była to praca duża, bo wymagała szczegółowego rozeznania się w materiale dowodowym każdego z tych elementów. Janulaitis, jak zwykle, forsował oskarżenie przeciwko obrońcy i domagał się ostrzejszych sankcji karnych. Kriščiukaitis zaś był usposobiony łagodząco. Wobec tego mnie wypadła rola języczka u wagi, który przechylał decyzję na tę lub inną stronę. Ostatecznie jednak, pomimo ogólnego wrażenia o nadużyciu, cechującym całą działalność Totoraitisa w zarządzie majątku Kwieciszki, w detalach konkretnych przeważnie trudno było winę ściśle ustalić, toteż w większości elementów oskarżenia wypadło Totoraitisa uniewinnić. Pozostało kilka

[627] Kalvaitis Jurgis
[628] Žilinskas Aleksandras (1885-1942), prawnik, minister sprawiedliwości (1928-1934 ). Po powrocie z Rosji na Litwę był naczelnikiem powiatu mariampolskiego, śledczym w sądzie w Mariampolu, sędzią pokoju w Kownie, pełnomocnikiem nadzwyczajnym rządu litewskiego na obwód grodzieński, później śledczym do spraw specjalnych w Ministerstwie Sprawiedliwości. Prowadził śledztwo w sprawach POW i OSN. Po 1919 XI 7, również w omawianym okresie, był pomocnikiem oskarżyciela z urzędu w Sądzie Okręgowym w Kownie, od 1924 I członek tegoż sądu.

oskarżeń, z których w drodze przepisów o zbiegu przestępstw ustaliliśmy karę łączną w postaci 4 miesięcy i 2 tygodni więzienia, z czego jeszcze trzecia część potrącona została na zasadzie amnestii sejmowej z r. 1920.
Nie w porę wybrałem się z próbą małej spekulacji walutowej i trafiłem jak kulą w płot. Zachęcony dużym przyrostem wartości na tych 10 dolarach, które kupiłem w lipcu i widząc szalony upadek kursu marki niemieckiej, spadający tak, jak ciasto rośnie na drożdżach, a zaniepokojony o los moich drobnych oszczędności, które z miesiąca na miesiąc ciułałem, aby mieć choć jakikolwiek zapasik na nieprzewidziane wypadki, a które w żaden sposób jakoś nie narastają, bo co uzbieram trochę, to zaraz wydam na coś niezbędnego i nieprzewidzianego, tak że oszczędności te w gotówce wciąż się jakoś z miesiąca na miesiąc trzymają na tym samym poziomie nieco ponad 1000 mk. – postanowiłem zalokować tę drobną oszczędność w walucie zagranicznej: niech przynajmniej ta mała sumka leży nie w markach, które spadają, lecz w jakimś innym mocnym pieniądzu. Próbowałem kupić już kilka dolarów przed 10 dniami, ale Litewski Bank dla Handlu i Przemysłu[629], do którego Jadzię w tym celu posłałem, nie sprzedawał, jak się okazało, rosnącej waluty zagranicznej. Postanowiłem udać się do Żydów. Sam nie chciałem tego czynić, a do tzw. „czarnej giełdy", czyli bandy spekulantów walutowych, operujących na ulicy, obawiałem się skierować Jadzię, aby jej nie oszukano. Zanim Jadzia wyszukała kantor bankowy Brauna, prowadzący operacje walutowe i dość znany, do którego chciałem Jadzię posłać, upłynęło dni kilka, a tymczasem marka coraz spadała i dolary oraz inne dewizy obce drożały. Toteż wczoraj postanowiłem pośpieszyć. Posłałem Jadzię do kantoru Brauna z poleceniem kupienia franków. Przyniosła mi 10 franków, kupionych za 220 marek i dowiedziała się, że za dolary kantor żąda po 280 mk za jeden. Wiedząc, że codziennie dolary podnoszą się w ostatnich dniach po jakichś 20 marek, zebrałem dziś cały mój zapas oszczędności i dałem Jadzi na kupienie 10 dolarów. Tymczasem usłyszałem rano, że podług ogłoszonych wczoraj ostatnich kursów dewiz, dolary stoją już po 300-309 mk za dolara. Jakież było moje zdziwienie, gdy po przyjściu na obiad dowiedziałem się od Jadzi, że kupiła dla mnie 5 dolarów po 245 mk! Nie mogłem zrozumieć, co to jest i dlaczego tak „tanio". Aż po obiedzie dowiedziałem się na mieście, że istotnie marka niemiecka dziś podskoczyła nagle i to niezwykle gwałtownie i wysoko. Powiedziano mi nawet, że podskoczyła aż do 150 za dolara (ze 300, to znaczy podwójnie)!! Jeżeli tak jest, to zrobiłem nieświetny „interes" na moich frankach wczorajszych i dolarach dzisiejszych. Ale na pociechę mam choć to, że wczoraj byłbym zapłacił za 5 dolarów 1400 mk., a dziś, choć przepłacając, zapłaciłem tylko 1225 mk. Co oznacza ten oszołamiający zwrot w kursie marki? Czy zwrot ostateczny i odchwycanie się marki, czy tylko epizod w manewrach spekulacyjnych? Choć w pierwszym moim przypadku straciłbym na 5 moich dolarach, jednak wolałbym, aby tak było. Kraj uniknąłby niebezpiecznego zakłócenia stosunków, powodowanego przez gwałtowny upadek waluty, a w moim nawet egoistycznym interesie, poza solidarnością z interesem krajowym, lepiej jest, aby marka niemiecka, w której pobieram pensję moją, była wartościowa i stateczna i aby przeto ceny życia były dostępniejsze, niźli gdybym miał, tracąc na najistotniejszym i ciągłym, zyskać przygodnie na owych 5 dolarach i 20 frankach.

11 listopada, rok 1921, piątek
Gdym rano udał się do mieszkającego w hotelu „Metropol" polskiego oficera łącznikowego przy Komisji kontroli Ligi Narodów, Eustachego Wołłowicza, krewnego Henrysia, w interesie tego ostatniego, dowiedziałem się od niego ciekawej nowiny.

[629] Litewski Bank dla Handlu i Przemysłu, pierwszy bank komercyjny na Litwie, założony w 1918 r.

Przypuszczam, że wiadomość jest ścisła i że Wołłowicz nie komunikowałby mi o niej, gdyby to były dopiero domysły i projekty. Zakomunikował mi on mianowicie, że Żeligowski zrezygnował już ze swego stanowiska i że następcą jego został... p. Aleksander Meysztowicz[630], właściciel Pojościa w pow. poniewieskim. Osoba Aleksandra Meysztowicza na czele „władzy" „Litwy Środkowej" niemało mię zdziwiła. Gdym spytał Wołłowicza, czy zatem Meysztowicz został *eo ipso* „dyktatorem", bo takim formalnie był Żeligowski, Wołłowicz oświadczył, że dyktatury wojskowej nie będzie już w Wilnie wcale, jeno pozostanie władza cywilna, na której czele stać będzie Meysztowicz. Na to wyraziłem przypuszczenie, że prawdopodobnie uzupełnieniem tej przemiany będzie zwołanie „Sejmu". Zdziwienie moje wzrosło jeszcze bardziej, gdy Wołłowicz odpowiedział: „Sejmu nie będzie". Żadnej urzędowej wiadomości o tym władze nasze w Kownie jeszcze nie mają. O wypadku tym jako fakcie dokonanym dowiedziano się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych dopiero ode mnie. Okazuje się, że Ministerium wiedziało już przez Jonynasa o kandydaturze Aleksandra Meysztowicza na zastępstwo Żeligowskiego. Aleksander Meysztowicz, jeden z dyrektorów Wileńskiego Banku Ziemskiego, b. członek Rady Stanu rosyjskiej z wyborów przed wojną, obszarnik litewski z pow. poniewieskiego, z przekonań konserwatysta kierunku tzw. „krajowego" w stylu „federalistów", aczkolwiek może nieco mniej od nich lgnący do imperializmu polskiego, zdawał mi się bardzo mało wykwalifikowany do kontynuowania czy też likwidacji afery Żeligowskiego. Wyznaczenie go na to stanowisko było dla mnie zgoła niespodzianką. Faktem jest tylko jedno, a przynajmniej mnie się to tak przedstawia: nie może to być człowiek do likwidacji afery „Litwy Środkowej" w kierunku aneksyjnym polskim. Czy nadaje się on do likwidacji tej afery w kierunku ugody litewsko-polskiej, choć prawdopodobnie pragnie on jej, to mi się wydaje wątpliwe ze względu na usposobienie obydwóch stron. Sam fakt ustąpienia Żeligowskiego nie jest niespodzianką, tylko dziwnym się wydaje, jeżeli relacja Wołłowicza jest ścisłą, zaniechanie „Sejmu", którego zwołanie miało już być zdecydowane i wybory miały być ogłoszone na dzień 11 grudnia. Wiadomo, że Liga Narodów kładła nacisk na wycofanie Żeligowskiego i że Polska poniekąd w tym kierunku się zobowiązała, usiłując jednak zastąpić ewakuację rządów Żeligowskiego przez wycofanie tylko jego osoby. Słychać już było, że ustąpienie Żeligowskiego ma być powiązane ze zwołaniem „Sejmu" i wytworzeniem władzy z jego ramienia. Tą drogą byłby osiągnięty, w myśl życzeń Polski, pozór legalnej władzy krajowej z zachowaniem faktycznie ciągłości afery Żeligowskiego, co by czyniło samą osobę Żeligowskiego i formę dotychczasową rządów zbyteczną. Co jednak tłumaczy ta kombinacja przemiany władzy bez „Sejmu" – tego nie rozumiem na razie. Że tą drogą chodzi Polsce, a raczej Piłsudskiemu o danie Lidze Narodów formalnego pozoru likwidacji rządów Żeligowskiego – to tak, ale jakie są zamierzone dalsze metody polityki polskiej – tego jeszcze trudno z tych faktów dociec.
Zdaje się, że gwałtowny podskok wczorajszy marki niemieckiej był tylko epizodem chwilowym, bo słychać dziś, że spadła ona znów prawie do poziomu przedwczorajszego i że dziś dochodziła do 270 mk. za dolara.
Wieczorem byłem na zebraniu zwołanym za zaproszeniami przez „Meno Kurėjų Draugija" („Towarzystwo Artystów"). Towarzystwo to zastępuje dawną przedwojenną „Lietuvių Dailės Draugija" („Litewskie T-stwo Sztuk Pięknych"), które, acz formalnie nie zlikwidowane, faktycznie jest uśpione. „Meno Kurėjų Draugija" tym się w założeniu różni od „Dailės Draugija", że podczas gdy ta ostatnia była otwarta dla wszystkich, kto chciał pracować w zakresie popierania sztuki litewskiej – pierwsza („M.

[630] Aleksander Meysztowicz (1864-1943), ziemianin, 1905-1917 członek rosyjskiej Rady Stanu, 1 XII 1921 przejął władzę od gen. L. Żeligowskiego i stanął na czele rządu Litwy Środkowej.

K. D.") jest ściśle organizacją artystów, rodzajem zrzeszenia zawodowego, które acz ma również na celu rozwijanie sztuki narodowej, czyni z tego przywilej samychże artystów[631]. Towarzystwo to ma w swym łonie cały szereg sekcji – sztuki plastycznej, muzyczną, literacką, dramatyczną, operową. Pod względem działalności w sferze teatru narodowego (dramat, opera) towarzystwo wykazało dużą ruchliwość i zdziałało wiele, ale zwłaszcza w sferze sztuki plastycznej (malarstwo, rzeźba) zrobiło w Litwie Niepodległej o wiele mniej, niż „Dailės Draugija" przed wojną w warunkach politycznych i materialnych gorszych. W łonie towarzystwa powstały różne konflikty i spory. Jednym ze źródeł słabości Towarzystwa jest to, że artyści separują się i separują sztukę od szerokiej publiczności, podczas gdy sztuka narodowa rozwijać się może tylko w wielkim środowisku masy, w łonie społeczeństwa, że monopolizują oni sobie arystokratycznie rolę wielkich kapłanów, czyniąc ze sztuki własność kasty i że pod tym płaszczykiem arystokratycznym ukrywa się, zdaje się, wzajemna adoracja miernoty i karierowiczostwo, zazdrosne o wpływy i bojące się wielkiego podmuchu. Te właściwości szkodzą samej twórczości. Dzisiejsze zebranie było zwołane przez „Meno Kurėjų Draugija" dla kontaktu z szeroka opinią publiczną i spopularyzowania w niej akcji Towarzystwa. Na przewodniczącego powołano ks. Tumasa, na sekretarza sędziego Penkaitisa[632]. Rozpoczął prezes Towarzystwa, literat i poeta Ludwik Gira[633], referował tenże Gira i malarz Justyn Wienożyński[634]. W długim przemówieniu Wienożyński zachwalał Towarzystwo i wytaczał skargi na stosunek władz do Towarzystwa, skąpiących środków pieniężnych i lekceważących autorytet Towarzystwa. Bardzo dobrze odpowiedzieli z publiczności Smetona i zwłaszcza Bielinis, który wytknął poważne wady Towarzystwa i wskazał, że zebranie publiczne należało zwołać nie dla skarg na władze, ale dla zaprojektowania organizacji pracy w sferze rozwoju sztuki.

12 listopada, rok 1921, sobota
Spadek kursu marki niemieckiej zaznaczył się już ciężkim zakłóceniem stosunków gospodarczych w Litwie, a w dalszej konsekwencji zakłócać może i stosunki polityczne, i w ogóle cały normalny tryb aparatu państwowego. Jest to jedna z najdotkliwszych konsekwencji chwiejności waluty i jej zniżki gwałtownej. Dla rolników spadek waluty jest bodaj najmniej dotkliwy, poniekąd nawet pomyślny, stawiający ich w położenie uprzywilejowane. W szczególności jest on ciężki dla urzędników, pobierających pensje stałe. Ich sytuacja jest gorsza od robotników, bo ci ostatni mogą strajkować i tą drogą wywalczają sobie szybko podwyżkę płacy zarobkowej. Dla urzędników droga strajku jest trudniejsza. Pensje urzędników są niskie; w stosunku do przedwojennych, licząc na walutę złotą, były kilkakrotnie niższe nawet wtedy, kiedy kurs marki jeszcze nie zaczął spadać. Jest całe mnóstwo urzędników, biorących po kilkaset, po 700, po 800, po 1000 mk. miesięcznie. Pensja w kwocie 2000 należy już do wysokich, a biorących ponad 2000 mk. jest niewielu. Kiedy kurs marki był stateczny, wywóz płodów rolnych był zamknięty i ceny wobec obfitości

---

[631] Towarzystwo Twórców Sztuki. Pomysłodawcami i głównymi założycielami byli Adomas Varnas i Stasys Šilingas. Od 1920 r. miało sekcje muzyków (prezesii Juozas Tallat-Kelpša, Stasys Šimkus), literatów (prezes Vincas Krėvė), od 1921 r. działały sekcje dramatu (prezesi Antanas Vanagaitis, Liudas Gira), plastyki (prezes Justinas Vienožinskis). Towarzystwo nie miało wyraźnego programu ideowego i artystycznego. Gromadziło wyroby sztuki ludowej i rękodzieła, urządzało wystawy, organizowało konkursy, zakładało instytucje artystyczne, wspierało studiujących za granicą artystów. W 1920 r. wydało dwa numery gazety „Menas" („Sztuka") (redaktor Stasys Šilingas).
[632] Penkaitis Pranas (1877-1931), prawnik, w 1921 r. sędzia Sądu Okręgowego w Kownie.
[633] Gira Liudvikas
[634] Vienožinskis Justinas (1886-1960), malarz, historyk sztuki, sąsiad M. Römera z powiatu rakiskiego.

produktów spożywczych w kraju raczej się obniżały, to stan materialny urzędników, pomimo niskich pensji, był znośny. Ale w ostatnich czasach staje się on coraz cięższy, a dla niższych kategorii jest już wprost nie do wytrzymania. Muszą oni albo kraść i brać łapówki, albo przymierać głodem. Wpływa to oczywiście fatalnie na rozprzężenie machiny państwowej, toteż Litwa stacza się w taki sam chaos dezorganizacji, jaki można było obserwować w Polsce. Już się ukazują przejawy tego. Stan jest groźny. Dla Niemiec z pewnych względów politycznych spadek kursu marki może być nawet pożądany. Są pewne przypuszczenia, że Niemcy poniekąd planowo do tego dążą. Ale Litwa, skuta z Niemcami pieniężnie, zależna przeto od nich gospodarczo, musi ponosić wszystkie konsekwencje polityki niemieckiej lub polityki Ententy względem Niemiec i dopóki nie ma własnej waluty, nie może się uniezależnić i prowadzić własnej polityki gospodarczej. W Polsce sytuacja urzędników jest przynajmniej o tyle wobec spadku waluty lepsza, że tam przyjęte są tzw. mnożniki, które czynią podniesienie pensji automatycznym w stosunku do podniesienia drożyzny. Tutaj zaś podwyżka pensji może być ustalona każdorazowo tylko w drodze ustawodawczej. Nawet nie wiem, czy skarb państwa, nie rozporządzając emisją własnych pieniędzy, jest w ogóle w stanie zwiększać pensje wobec spadku wartości pieniędzy. Zastrajkowali już pracownicy warsztatów kolejowych, ruch kolejowy jest zagrożony, Ministerium Skarbu nie chce iść na ustępstwa, a może i nie może, obiecując zwyżkę pensji przez Sejm od nowego roku. Mieliśmy dziś wieczorem w lokalu Ministerium dla spraw Białoruskich posiedzenie naszego Związku ścisłego. Obecni byli: ja, Kairys, Janulaitis, Šaulys, Žemaitis, Wacław Biržiška, Bielski, Siemaszko i Felicja Bortkiewiczowa. Nieobecni byli: Ślażevicz i Vileišis. Dokonaliśmy przyjęcia w poczet członków – Urii Kacenelenbogena, pierwszego Żyda w naszej kowieńskiej grupie Związku. Poza omawianiem kandydatur, z których kandydatura posła Czapińskiego z frakcji s.-d. została zakwalifikowana do przyjęcia i zaprojektowane zostały dwie nowe kandydatury – posła Raczkowskiego[635] i sędziego Suginta[636], posiedzenie zostało wypełnione referatem Janulaitisa o potrzebie walki z klerykalizmem, dążącym oczywiście do dominacji i dyskusją o środkach takiej akcji. Postanowiono polecić Janulaitisowi usystematyzowanie wniosków, które się wyłoniły w toku dyskusji dzisiejszej, dla przedstawienia ich na następnym posiedzeniu do uchwały, Biržišce zaś polecono zaprojektować systematyzację tematów dla szeregu broszur w zakresie walki z klerykalizmem.

13 listopada, rok 1921, niedziela

To, co pisałem przed kilku dniami ze słów Dominika Siemaszki o zamierzonym ustaleniu na posiedzeniu Rady Ministrów ostatecznej odpowiedzi rządu Lidze Narodów w sprawie projektu Hymansa – nie sprawdziło się. Rada Ministrów żadnej jeszcze decyzji nie powzięła i zajmuje tymczasem stanowisko wyczekujące. Jeszcze jest czas, bo podobno podług statutu Ligi Narodów odpowiedzi ostateczne stron zainteresowanych – Polski i Litwy – powinny być udzielone w ciągu trzech miesięcy od uchwały plenum Ligi, zawierającej propozycję, to znaczy do 5 grudnia pono. Rząd litewski się nie spieszy, bo nie chce przedwcześnie otwierać kart wobec Polski i przygląda się tymczasem pilnie międzynarodowym konstelacjom politycznym, których taki lub inny układ ma oczywiście pierwszorzędne znaczenie dla tych lub innych rozwiązań, również sporu wileńskiego. Sądzę, że skrzydło oportunistyczne Rady Ministrów, którego głównymi rzecznikami są Gaławanowski i Purycki, woli też

[635] Račkaukas Vytautas Aleksandras. W Sejmie Ustawodawczym był posłem z ramienia Związku Włościańskiego.
[636] Sugintas Antanas (1890-1971), prawnik. Od 1917 r. należał do Litewskiego Związku Socjalistów Ludowców..

doczekać się powrotu z urlopu prezesa gabinetu Griniusa, który wzmocni je przeciwko ewentualnej opozycji w łonie tejże Rady Ministrów (Skipitis, Siemaszko, może Šimkus). Zresztą i wypadki wileńskie – ustąpienie Żeligowskiego, postawienie Aleksandra Meysztowicza na czele rządu, kwestia zwołania Sejmu Wileńskiego – muszą być przez rząd wpierw należycie zanalizowane, zanim wyrzecze on swoją decyzję. O tych wypadkach wileńskich rząd litewski wie dotąd tylko ode mnie, to znaczy tyle, ile zakomunikowałem Žemaitisowi ze słów polskiego oficera łącznikowego Eustachego Wołłowicza.
Esdecy (zwłaszcza Janulaitis) wciąż podejrzewają rząd (Puryckiego i Gałwanowskiego) i chrześcijańskich demokratów, że utworzyli oni zmowę na rzecz przemycenia przyjęcia projektu Hymansa w ten sposób, iż rząd, opierając się formalnie na tym, że Rada Ligi Narodów żąda odpowiedzi od rządów, a nie od Sejmów, do których należeć będzie tylko ratyfikacja *post factum*, udzieli odpowiedzi Lidze na własną rękę, nie odwołując się poprzednio urzędowo do Sejmu; odpowiedź ta orzekałaby przyjęcie projektu Hymansa, upozorowane „zastrzeżeniami", wtedy Sejm, zaskoczony faktem, odwołując się do owych „zastrzeżeń", udzieliłby rządowi *votum* zaufania, sankcjonując przez to samo jego odpowiedź, a kiedy Liga odrzuciwszy „zastrzeżenia" nakazałaby wykonanie projektu Hymansa jako przyjętego, wtedy do Sejmu należałaby już tylko ratyfikacja, trudniej zaś odrzucić projekt w stadium ratyfikacji, niż odrzucić go teraz. Esdecy podejrzewają, że taką jest pokątna zmowa oportunistów w rządzie z Chrześcijańską Demokracją, w której łonie głównymi aranżerami tego są podobno Stulgiński, ks. Vailokaitis i ks. Staugaitis. Opozycja przeciwko projektowi Hymansa w łonie Chrześcijańskiej Demokracji, kierowana przez posła Ambrazaitisa[637], jest podług tej wersji tylko pozorną, uplanowaną z góry w zmowie.
Intryguje mię wyjazd Ślażewicza w jakiejś podobno doniosłej i tajemnej misji. Nadmienił mi o tym Siemaszko, który jako należący do Rady Ministrów jest dobrze poinformowany, ale związany sekretem, toteż oświadczył, że nie może mi treści tej misji ujawnić. Ciekaw jestem, dokąd Ślażewicz pojechał i w jakim celu.

14 listopada, rok 1921, poniedziałek
Ludwik Abramowicz wydaje w Wilnie „Przegląd Wileński". Widziałem już pierwszy numer. Pisał mi on, że przysyła mi numer okazowy, ale Jonynas doręczając mi list Abramowicza, numeru okazowego nie doręczył. Wydawnictwa ilustrowanej „Pogoni" Abramowicz zaniechał. Co do „Przeglądu", to choć formalnie ma on być wznowionym przedwojennym „Przeglądem Wileńskim", jak o tym obwieszcza Abramowicz w numerze pierwszym, jednak w istocie różni się on od dawnego znacznie. Punktem wyjścia tej różnicy jest już przede wszystkim to, że grupą kierowniczą dawnego „Przeglądu", wpływającą na jego ideologię, była grupa Witolda Abramowicza, Krzyżanowskiego, Nagrodzkiego, Jana Piłsudskiego, grupa, stanowiąca jądro ideowe dzisiejszego „Stronnictwa Demokratycznego"[638] w Wilnie, hołdującego tzw. federalizmowi, który stał się właściwie płodem wszechpolskiego imperializmu; dziś organem tego obozu jest „Gazeta Krajowa", która ma wiele więcej pokrewieństwa z dawnym „Przeglądem Wileńskim", niż ma z nim pokrewieństwa „wznowiony" obecnie „Przegląd". Ten ostatni wyraża, przynajmniej w numerze 1, stanowisko krajowe, to

---

[637] Ambrozaitis Kazimieras (1882-1957), działacz społeczny i polityczny. W 1917 r. brał udział w Sejmie Litewskim w Petersburgu, 1919-1920 pracował w organizacjach katolickich, 1919 – jeden z założycieli organizacji o kierunku katolickim – Litewskiej Federacji Pracy, jej przewodniczący. 1920-1922 członek Zarządu Centralnego Litewskiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej. W Sejmie Ustawodawczym należał do frakcji Chrześcijańskiej Demokracji i Litewskiej Federacji Pracy, pracował w komisji reformy rolnej.
[638]

znaczy państwowe litewskie – konsekwentnie. Jednak Ludwik Abramowicz musi być w tej rozpoczętej pracy w Wilnie bardzo odosobniony. O wznowionym „Przeglądzie Wileńskim” napisałem przed kilku dniami artykuł do „Litwy”.

15 listopada, rok 1921, wtorek
Zupełnie swoiste wrażenie sprawia wojsko litewskie. Żołnierz litewski w szeregu nie jest podobny do żadnego ze znanych mi wojsk – ani do rosyjskiego, ani do polskiego, ani do niemieckiego, nawet pomimo że na formację wojska litewskiego wywarli duży wpływ Niemcy i że chętnie powołuje się ono na swoją szkołę niemiecką. Co do innych wzorów wojska – to żołnierz litewski ich nie miał. Na jego wyszkolenie złożyły się li tylko wzory niemieckie i rosyjskie – te ostatnie przez ogromną większość litewskiego korpusu oficerskiego, pochodzącego z byłej armii rosyjskiej. Wojskowi litewscy szczycą się, że młode wojsko litewskie przejęło od Niemców powagę, sztywność, ścisłą dyscyplinę formalną w szeregu. W istocie jednak charakter narodowy odegrał tu rolę wydatną i wytworzył własny osobny styl wojska litewskiego. Krok żołnierzy litewskich w marszu, postawa i ruch nie tylko nóg, ale i ciała i rąk – są zupełnie odrębne, bodajże jedyne w swoim rodzaju, a w każdym razie bardzo charakterystyczne i takie, jakich nigdzie w żadnym innym wojsku nie obserwowałem. W ogóle budowę typową Litwina cechuje długość nóg i odpowiednia krótkość stanu oraz krok, w którym posuwająca się noga wyrzuca się mocno naprzód, podczas gdy ciało pozostaje sztywne i mocno oparte na nieruchomej nodze: przez to ciało wraz z nieruchomą nogą pozostaje jakby osadzone w miejscu i podane wstecz, a przy stawianiu wyrzuconej naprzód nogi jakby przysiada na nieruchomej i dopiero wraz z nią przysuwa się do wysuniętej, by powtórzyć przy następnym kroku ten sam ruch. Chód ten jest przeciętnie charakterystyczny dla Litwinów nie tylko w wojsku; nie jest on ciągłym, lecz skandowanym: posunięcie się, unieruchomienie ciała, wyrzucenie jednej nogi naprzód, lekki przysiad na nieruchomej nodze w pozycji ciała sztywnej, posunięcie się itd. Ten sam chód jest właściwy u Litwinów nie tylko mężczyznom, ale i kobietom. A że tempo marszu jest w wojsku litewskim przyjęte bardzo powolne, więc ten chód charakterystyczny uwydatnia się w nim jeszcze bardziej, dochodząc do pewnej maniery. Temu skandowanemu chodowi towarzyszy odpowiedni ruch rąk, wyrzucanych mocnym rzutem naprzód. Oddział wojska litewskiego w marszu wskutek tego bardzo stylowego chodu, pełnego powolnej ścisłej miary, czyni wrażenie wielogłowego manekinu, poruszanego bardzo racjonalnym i ścisłym mechanizmem zegarowym. Pieśni żołnierzy litewskich są bardzo ładne; śpiewane są zawsze na różne głosy, jak dajny ludowe. Tym się różnią bardzo od piosnek żołnierskich polskich, wesołych i swawolnych, miłych, ale raczej wykrzykiwanych chórem niż śpiewanych. Jest w pieśniach żołnierzy litewskich muzykalność wielka, powaga i zarazem uczucie. Wskrzeszają one starożytną muzykę głosu ludzkiego dajn.

16 listopada, rok 1921, środa
Dziś po obiedzie widziałem się z Purenasem[639], któremu w imieniu naszego Związku ścisłego uczyniłem propozycję wstąpienia do Związku. Rozmowa nasza trwała około godziny. Zgodził się. Purenas od niedawna zamieszkał w Kownie. Jest on żonaty z Marią Wienażyńską, skończoną prawniczką, z rodziny Wienażyńskich z naszych stron bohdaniskich (siostrą malarza Justyna Wienażyńskiego, chrzestnego syna mojej śp. Mamy, i obecnego dyrektora Departamentu w Ministerium Rolnictwa Apolinarego Wienażyńskiego). Po powrocie z Rosji w r. 1918 czy 1919 osiadł on na razie w Rakiszkach jako okolicach rodzinnych swojej żony. W roku 1919 za czasów inwazji

[639] Purėnas Antanas.

bolszewickiej był w Rakiszkach komisarzem oświaty. Nie jest jednak i nie był z przekonań bolszewikiem. Był i jest esdekiem partyjnym. Zresztą jest to człowiek cichy, poważny, skupiony, z zawodu pedagog, raczej pracowity działacz kulturalny, niż polityk. O ile on jest cichy, poważny, pełny taktu, o tyle wściekłą jest jego żona, pełna histerycznego temperamentu, zapalona do polityki, wrząca gorączką agitacyjną. Po odejściu bolszewików Purenas pozostał w Rakiszkach na stanowisku dyrektora gimnazjum miejscowego, jego zaś żona zajęła tamże stanowisko notariusza. Purenas w r. 1920 był wybrany na posła do Sejmu Ustawodawczego, gdzie należał do frakcji s.-d. Wkrótce jednak zrzekł się mandatu poselskiego, przekładając pracę kulturalną i w szczególności oświatową nad działalność polityczną. W Rakiszkach gimnazjum pod dyrekcją Purenasa zasłynęło jako jedno z najradykalniejszych w kraju; kierunek postępowy dominował, młodzież była usposobiona bardzo jaskrawo. Gimnazjum to i wpływy w nim Purenasa oraz grona postępowych pedagogów były solą w oku dla miejscowego kleru. Kler, którego agentem stał się wikary rakiski ks. Rumša, rozpoczął gwałtowną kampanię przeciwko Purenasowi i jego kierunkowi w gimnazjum. Purenas walczył, ale siła kleru w miejscowych stosunkach była większa. Od początku bieżącego roku szkolnego Purenas zdecydował się opuścić stanowisko w Rakiszkach i przeniósł się do Kowna, gdzie objął lektorat na Wyższych Kursach Naukowych i prawdopodobnie zostanie profesorem na uniwersytecie, który ma być otwarty po nowym roku.

Dowiedziałem się nieprzyjemnej rzeczy, mianowicie że aresztowany został wczoraj czy przedwczoraj Aleksander Babiański. Powód aresztowania – formalny: chodziło podobno o paszport przeterminowany, który Babiański przedstawił do meldunku w Kownie (bodajże paszport zagraniczny polski, za którym Babiański przed kilku miesiącami przyjechał do Litwy). Oczywiście powód sam przez się jest błahy, bo Babiański jest zbyt znany, aby zachodziła potrzeba czepiania się merytorycznego do niedokładności paszportowych, a zwłaszcza do aresztowania go z tego powodu. Niewątpliwie także byłby zaraz zwolniony, gdyby tylko o to chodziło, a może nawet i będzie. Ale są głosy i takie (w ich liczbie Janulaitis), że należy skorzystać z tej okazji, aby zatrzymać Babiańskiego w areszcie w charakterze rewanżu za aresztowanie w Wilnie Šilinga[640], który jest więziony od trzech miesięcy i, jak dochodzą wieści, zwolnienie jego jest przez władze wileńskie uzależnione od uwolnienia przez Litwinów wszystkich skazanych w procesie P.O.W. w Kownie. Znaczyłoby to, że Šiling jest przez władze wileńskie traktowany w charakterze zakładnika; traktowanie takie byłoby co prawda dość dziwaczne, bo nie może być mowy o uwolnieniu skazanych sądownie przestępców politycznych bez aktu amnestii, do którego branie przez stronę przeciwną zakładników nie usposabia wcale. Otóż rozlegają się głosy, że Babiańskiego należałoby traktować za zakładnika, wet za wet za Šilinga. Nie sądzę, aby do tego doszło, lecz sam fakt jego aresztowania ma niewątpliwie złośliwą pobudkę sekowania Babiańskiego. W atmosferze rozgoryczenia i podrażnienia narodowego opinii publicznej litewskiej, wywołanych przez niepopularny projekt Hymansa, działalność Babiańskiego, który – sądzę, że niezupełnie słusznie – uchodzi za inspiratora tego projektu, została w ostatnich czasach zohydzona. Dawniej pojednawcze wystąpienia Babiańskiego były traktowane przez Litwinów dość życzliwie. Babiańskiego uważano w każdym razie za człowieka dobrej woli, choć zbyt poważnie akcji jego nie traktowano. Ale gdy teraz Babiański opublikował w „Lietuvie" artykuł stwierdzający pożyteczność tez projektu Hymansa i nawołujący do rozpoczęcia nowych pertraktacji społecznych kowieńsko-wileńsko-warszawskich, prasa litewska na wyścigi rzuciła się na niego i na „Lietuvę"; szczując i wołając o prowokacji Babiańskiego jako agenta imperializmu polskiego.

640 Šilingas Stasys, prawnik, polityk.

17 listopada, rok 1921, czwartek
Na sobotę wreszcie zdecydowane zostało w Komisji dla spraw Litwy Wschodniej zwołanie zebrania działaczy społecznych dla narady w sprawie programu polityki państwowej litewskiej w stosunku do Wileńszczyzny. Jeżeli się przejrzy mój dziennik, to się zobaczy, że narada taka była już od dawna zaprojektowana, jeszcze latem, ale wciąż dla różnych przyczyn była odwlekana. Jak można sądzić z relacji Žemaitisa w Komisji – oponował temu Purycki, powołując się na to, że trzeba zaczekać, aż się sytuacja w sprawie projektu Hymansa wyjaśni. Czas płynął i nic się nie wyjaśniało. Purycki, zdaje się, w ogóle boi się interwencji opinii publicznej w sprawę wileńską i wolałby, aby się ona w ciszy gabinetów dyplomatycznych rozpoznawała. Tymczasem dłużej zwlekać niepodobna. Frazes ogólnikowy o tym, że Litwa gotowa jest na przyznanie Wileńszczyźnie autonomii – nie wystarcza. Oto teraz władze wileńskie gotują się do zarządzenia wyborów do Sejmu w Wilnie. Czynniki litewskie przeciwstawiają się temu Sejmowi. Litwini, Białorusini i Żydzi mają w Wileńszczyźnie bojkotować wybory. Ale dla agitacji przeciwko wyborom czy też przeciwko Sejmowi Wileńskiemu, zwoływanemu w warunkach obecnych, jak zresztą w ogóle dla propagandy państwowej litewskiej tamże – nie dość jest wytykać wady państwowości polskiej, zarządu polskiego, imperializmu polskiego. Trzeba też dać coś pozytywnego, wskazać, co Litwa daje Wileńszczyźnie, co Wileńszczyzna zyszcze na związku państwowym z Litwą, mieć się na co powołać, a tego poza ogólnikami nie ma. Dobrze byłoby, gdyby nastąpiło w tym względzie jakieś np. uroczyste oświadczenie Sejmu lub rządu, coś konkretnego, jakaś może ustawa, jakieś ścisłe sformułowanie zasad czy programu. Litwini dotąd jakoś dziwnie tę kwestię obchodzą, jakby się bali konkretyzowania, jakby umyślnie czegoś nie domawiali. Może to czynić na Wileńszczyznę wrażenie tylko ujemne, wrażenie, że Litwini unikają precyzowania, by zachować furtkę do odwrotu i cofnąć to, co półgębkiem ogólnikami niby obiecują. A tymczasem np. opracowuje się w Sejmie Ustawodawczym projekt konstytucji, osobna podkomisja sejmowa układa projekt rozdziału konstytucji, traktującego o prawach mniejszości narodowych. Wilnianie oczywiście w układaniu tych projektów nie mogą uczestniczyć, tymczasem obchodzą ich one bardzo i mają ogromną wagę dla sprawy wileńskiej, jeżeli Wilno ma być połączone z Litwą. Toteż trzeba tym bardziej uczynić poważny wysiłek, aby należycie ująć potrzeby Wileńszczyzny w taki sposób, aby ludność tej dzielnicy poczuła, że Litwa rzeczywiście nie traktuje jej potrzeb po macoszemu. Pozawczoraj więc na posiedzeniu Komisji do spraw Litwy Wschodniej nastałem na tym, aby od dawna zaprojektowaną naradę zwołać. Ze względu na to, że koła rządowe, zwłaszcza Ministerium Spraw Zagranicznych, zdają się być niechętne tej akcji, postanowiliśmy zrobić to nie formalnie z ramienia Komisji, lecz od imienia prywatnej grupy inicjatorów. Nastałem na tym, aby na naradę zaprosić także kogoś z Białorusinów, ponieważ w stosunku do Wileńszczyzny koniecznym jest szczególne liczenie się z nimi. Nastałem, aby się nie ograniczyć do osoby Siemaszki i Czerkasa[641] z Ministerium (litewskiego) do spraw białoruskich, lecz zaprosić także kogoś z tych kół narodowców białoruskich, które grupują się przy rządzie białoruskim Łastowskiego[642]. Žemaitis i Rozenbaum zgodzili się na to. Wskazałem na Ćwikiewicza[643] i Czarapuka[644] jako takich, których ewentualnie można byłoby zaprosić. Siemaszko, z którym dziś o tym mówiłem, był przeciwny zapraszaniu Białorusinów z tych kół ze względu na ich

[641] Czerkas
[642] Łastowski wacław (Lastoŭski Vaclaŭ).
[643] Ćwukiewicz Aleksander.
[644] Czerepuk Jan.

stosunek ujemny do litewskiego Ministerium dla spraw Białoruskich. Jednak poszedłem w tej sprawie do Łastowskiego. Na skutek rozmowy z nim postanowiłem zaproponować zaproszenie Gołowińskiego.
W rozmowie z Łastowskim poruszyliśmy sprawę kontaktu naszego Związku ścisłego z takimże Związkiem ścisłym, zorganizowanym z Białorusinów. U nas potrzeba takiego kontaktu była uznana i do wykonania go byłem wydelegowany ja. Ze strony zaś białoruskiej organem kontaktu będzie Łastowski, ponieważ on jest nam znany osobiście jako należący dawniej w Wilnie do wspólnej z nami organizacji związkowej[645]. Ustaliliśmy z nim, że przede wszystkim trzeba, aby oba związki – litewski i białoruski – wyraziły swe wnioski w formie i przedmiocie tego kontaktu; tu trzeba ustalić i takie kwestie, czy to jest kontakt tylko doraźny, czy też ma być zorganizowany albo nawet organizujemy, na przykład jakiś stosunek federacyjny i jaki. Następnie kwestia terytorium (czy rozgraniczenie sfery terytorialnej, czy równoległość na pewnych terytoriach wspólnych) i szereg innych kwestii poszczególnych, jak również co do przedmiotów i natury kontaktu.

18 listopada, rok 1921, piątek
Babiański został wypuszczony z aresztu. Był dziś u mnie. Decyduje się wracać do Wilna. Swoich zamiarów propagandy w Kownie konieczności bezpośredniego porozumienia Kowna-Wilna-Warszawy – zaniechał. Przekonał się namacalnie na sobie, jak atmosfera nastrojów w sprawie wileńskiej jest pełna elektryczności i jak trudno w tym podrażnieniu wzywać do chłodnej rozwagi i do jakichś tam układów bezpośrednich. Zbyt był zaufał swojej poprzedniej popularności u Litwinów i tej opinii o nim jako o człowieku „dobrej woli", o pośredniku życzliwym. Nie docenił głębokich przemian psychologicznych w usposobieniach, wytworzonych pod wpływem podrażnienia na gruncie kwestii projektu Hymansa, czyniących wszelką próbę kompromisową, nie odrzucającą wprost tego projektu, podejrzaną i znienawidzoną. Te same pomysły, które jeszcze przed kilku miesiącami były przez opinię litewską przyjmowane do zastanowienia, dziś wydają się jej zbrodnią spisku, uknutego przeciwko niepodległości Litwy. Jedno odezwanie się Babiańskiego w „Lietuvie" wywołało taką kampanię przeciwko niemu, że dziś każde jego słowo kompromitowałoby jeno rzecz, do której jest skierowane. O żadnej akcji, poprowadzonej tu przez Babiańskiego, nie może być mowy. Uważany on tu jest za emisariusza Piłsudskiego, za kruka złowieszczego, który się ubiera w skórkę lisią, za agenta obłudnego wielkiej intrygi, która ma na celu zgubę Litwy i poddanie jej Polsce. Opinia o Babiańskim jako właściwym inspiratorze projektu Hymansa, nie wiem – słuszna czy niesłuszna – zaszkodziła mu u Litwinów do reszty. Niewątpliwie jego aresztowanie było aktem szykany, dającym satysfakcję podrażnionym uczuciom Litwinów, a były i takie elementy, które wypowiadały się za traktowaniem go jako zakładnika, w odwet za aresztowanie w Wilnie Šilinga. Babiański przebył pod aresztem do niedzieli, do dnia wczorajszego. Dwa pierwsze dni przesiedział w areszcie przy milicji, w którym nie miał nawet łóżka, co dla człowieka starego było bardzo męczące, potem zalokowano go w szpitalu. Wypuszczony został na interwencję Žemaitisa. Babiański stanowczo nie ma tu nic do zrobienia. Jeszcze w przeszłym tygodniu, kiedy był on u mnie dla zwierzenia się ze swoich projektów, wskazałem mu, że nic nie wskóra, bo sytuacja tu jest w opinii litewskiej taka, że jedna część elementów politycznie czynnych, która jest przeciwna wszelkiemu kompromisowi, korzystając z przewagi swojego manifestacyjnie patriotycznego stanowiska, przemawia z całą

[645] Mowa o loży „Białoruś", która około 1914 r. wyodrębniła się z kierowanej przez M. Römera loży „Litwa".

jaskrawością i bezwzględnością, nie dopuszczając wprost do odezwania się tych, co są w gruncie usposobieni oportunistycznie i przez to samo są podejrzani o niepatriotyczność. Jest to ostracyzm opinii, bardzo zręcznie zastosowany przez opozycję. Oportuniści, którym sprzyja rząd, boją się odezwać i są sterroryzowani. Natomiast nieprzejednani, wśród których część powoduje się karierowiczostwem patriotycznym lub względami partyjnymi obalenia rządu dla zdobycia władzy dla siebie, lecz druga część składa się z elementów głęboko przekonanych, są zdecydowani nie ustąpić ani kroku; w tych kołach – w osobach najjaskrawszych adeptów nieprzejednania, takich jak np. Janulaitis – wytworzyła się nawet specjalna ideologia w myśl zasady: „im gorzej – tym lepiej”. Pragną oni po prostu interwencji czynnej ze strony Polski, pożądają gwałtu na Litwie, aby tą drogą złamana została sytuacja bez wyjścia i wierzą, że taki gwałt wzmocni jeno moralnie Litwę i będzie najlepszą metodą jej ostatecznego zwycięstwa. Toteż ci skrajni nieprzejednani nie tylko się nie chcą liczyć z żadnymi względami połowiczności i kompromisu, ale skłonni są raczej do przejaskrawiania i do sprowokowania interwencji. Co w tych warunkach miałby tu robić Babiański ze swą propagandą kombinacyjek, w istocie dość niezgranych. Babiański wie od Žemaitisa o zwoływanym na jutro zebraniu działaczy społecznych na naradę w sprawie wileńskiej. Wskazywał słusznie Žemaitisowi i mnie na to, że koniecznym byłoby doprowadzenie do tego, aby Sejm w specjalnej deklaracji sformułował – najzupełniej ściśle – program tego ustroju, jaki Wileńszczyzna ma posiąść w państwie litewskim. Proponuje on, aby za wzór tego ustroju przyjęto ten, który esdecy litewscy na konferencji w Kłajpedzie zaproponowali dla Kłajpedy. Taka deklaracja Sejmu mogłaby, zdaniem Babiańskiego, posłużyć też za punkt wyjścia do odpowiedzi Litwy Lidze Narodów przy odrzuceniu projektu Hymansa w tym, co w nim wykracza przeciwko suwerenności Litwy w jej stosunku do Polski.

19 listopada, rok 1921, sobota
Wieczorem w gmachu sejmowym, w jednym z jego pokojów, odbyło się pod przewodnictwem Jana Vileišisa zebranie działaczy społecznych w sprawie wileńskiej. Na zebraniu obecne były następujące osoby: trzej członkowie Komisji do spraw Litwy Wschodniej jako inicjatorowie zebrania, to znaczy Žemaitis, ja i Rozenbaum młodszy, posłowie sejmowi z frakcji socjalno-demokratycznej Kairys, Czapiński i Digrys, esdecy Bielski i Janulaitis, posłowie sejmowi z frakcji socjalistów ludowych dr Staugaitis i Rusiecki, poseł sejmowy z frakcji żydowskiej Finkielsztejn[646], prawnik Żyd Bielackin[647], Jan Vileišis, Wacław Biržiška, były komendant litewskim Wilna Kurkowski[648], minister rodak białoruski Siemaszko, dwaj Białorusini, pracownicy tegoż Ministerium – Czerkas i Kaziaczyj, Białorusin Gołowiński z kół, grupujących się przy rządzie Łastowskiego. Oto, zdaje się, wszyscy. Charakterystycznym jest, że na zebranie nie przyszedł nikt z zaproszonych chrześcijańskich demokratów ani też zaproszony Smetona ze stronnictwa „Pažangi”. Z chrześcijańskich demokratów byli zaproszeni posłowie sejmowi ks. Vailokaitis, dr Jokantas i adwokat Tumenas. Na ich nieobecność zwrócono na zebraniu uwagę i podkreślono to jako prawdopodobnie fakt niezupełnie przypadkowy. W ogóle też, jak się to uwidoczniło, rozwiązywanie sprawy wileńskiej

[646] Ozer Finkelsztejn (1863-1932), działacz żydowski, prawnik. Na początku XX w. sympatyzował Bundowi (Żydowski Związek Robotniczy na Litwie, w Polsce i Rosji), od 1918 r. w Wilnie w szeregach Żydowskiej Partii Demokratycznej, do Sejmu Ustawodawczego został wybrany w rosieńskim okręgu wyborczym z „połączonej żydowskiej listy ludowej”. W Sejmie należał do frakcji żydowskiej, od 1920 07 05 był jej starostą. 1920-1922 jako prawnik pracował w Kolegium Prawa Ogólnego.
[647] Bielackin Szymon (1874-1944), poeta, prozaik, prawnik. Doradca prawny Ministerstwa do spraw Żydowskich.
[648] Kurkauskas Vladas.

metodą porozumienia i polityki ludowej zamiast metody kombinacji dyplomatycznych najbardziej leży na sercu lewicy, która też sprawę tę traktuje najbardziej wolnościowo; im bardziej na prawo, tym bardziej tendencje w tym kierunku stygną. Spośród zaproszonych, o ile chodzi o partyjne koła litewskie, najliczniej stawili się esdecy i oni też najżywszy brali udział w dyskusji; poza inicjatorami, Białorusinami i przewodniczącym Vileišisem przemawiali jedni esdecy. Z ludowców stawiło się tylko dwóch – dr Staugaitis i dr Rusiecki[649] – ale i ci nie przemawiali wcale; zaproszonych zaś ludowców było więcej (Ślażewicz, Raczkowski[650]). Esdecy, którzy są stanowczymi przeciwnikami projektu Hymansa, najszerzej jednak stawiają sprawę wileńską na gruncie porozumienia i przyznania ludności wileńskiej najzupełniejszego zakresu samookreślenia w jej stosunku wewnętrznym do państwa w formie bądź autonomii, bądź kantonu. Pierwiastek nacjonalistyczny w budowie wewnętrznego stosunku Wileńszczyzny do całości Litwy jest u esdeków wyłączony. Już ludowcy są pod tym względem mniej wyraźni i skłonni są do restrykcji, płynących z pewnych zastrzeżeń natury nacjonalistycznej.
Przemawiali na zebraniu głównie Žemaitis, Bielecki, ja, Vileišis, Kairys, Gołowiński, Siemaszko. Wszyscy wypowiadali się za tym, że konieczne jest wyraźne określenie przez państwo litewskie swego programu w stosunku do Wileńszczyzny i że mianowicie powinno to być dokonane przez Sejm w postaci deklaracji czy rezolucji, ewentualnie uzupełnionej nawet pewnymi gwarancjami w ustawie konstytucyjnej; chodzi o to, aby określenie tego programu czy zasad stosunku Litwy do Wileńszczyzny było dokonane nie przez takie lub inne stronnictwa czy nawet delegacje rządowe, jak to miało miejsce dotychczas, lecz właśnie przez Sejm Ustawodawczy, aby miało ono cechę ścisłego zobowiązania, przyjętego przez Litwę. Co do treści tego określenia, to zaznaczono dwie możliwe drogi: albo drogą przyznania Wilnu prawa samookreślenia, samodzielnego prawa ustawodawczego w zakresie ustalenia jego stosunku do państwa (stosunku zewnętrznego, uważając oczywiście samą przynależność do państwa za przesądzoną), zostawiając przeto otwartą kwestię treści tego stosunku, albo drogą podobną do przyjętej niedawno przez esdeków w stosunku do Kłajpedy, drogą dokładnego od razu sformułowania sfery tych spraw, które mają być sprawą wspólną całego zespołu państwowego, pozostawiając wszystko poza tą sferą dowolności autonomicznej Wileńszczyzny. Sporów nie było na zebraniu żadnych. Wszyscy byli jednomyślni co do udzielenia Wileńszczyźnie w państwie litewskim wszelkich praw terytorialnych i narodowych, jakich tylko zażąda. Co prawda, na zebraniu tym ze strony litewskiej brali udział najszlachetniejsi ludzie, sam kwiat wolnościowej idei litewskiej. Chciano uchwalić rezolucję, ale na wniosek Kairysa wybrano inną drogę. Mianowicie uchwalono zwrócić się do wszystkich stronnictw sejmowych wskazując im potrzebę odpowiedniego wystąpienia publicznego Sejmu i prosząc o odpowiednią inicjatywę w tym kierunku. Esdecy podniosą sami tę sprawę w swojej frakcji, bo u nich jest ona zresztą zupełnie dojrzała. We frakcji ludowców podniosą ją ci uczestnicy zebrania dzisiejszego, którzy są jej członkami. Dla zwrócenia się zaś do frakcji chrześcijańsko-demokratycznej zebranie wyznaczyło osobną delegację w osobach Jana Vileišisa, Zygmunta Žemaitisa i mnie. Z zebrania dzisiejszego wyniosłem wrażenie bardzo dodatnie.

20 listopada, rok 1921, niedziela
Pisałem o Sądzie Okręgowym w Kownie. Dotknę teraz innej sfery sądownictwa litewskiego. Nasz Trybunał Najwyższy łączy w sobie funkcję aż trzech instytucji

[649] Ruseckas Petras
[650] Račkauskas Vytautas Aeksandras.

sądowych z czasów rosyjskich. Po pierwsze, zastępuje on b. Izbę Sądową, to znaczy jest instancją apelacyjną dla spraw – zarówno cywilnych, jak karnych – które są w I instancji rozpoznawane przez Sądy Okręgowe. Po wtóre, zastępuje on b. Senat Rządzący rosyjski; funkcje b. Senatu spełnia on pod kilku względami: przede wszystkim, jako instancja kasacyjna dla spraw – cywilnych i karnych – które w I instancji należą do właściwości sędziów pokoju i w II instancji, w drodze apelacyjnej, są rozpoznawane przez Sądy Okręgowe; następnie jako instytucja, do której należy dozór zwierzchni i zwierzchnia władza dyscyplinarna w stosunku do wszystkich innych sądów; wreszcie jako instytucja, która ma moc w pewnych warunkach wyjaśniania ustaw. Po trzecie, zastępuje on b. Główny Sąd Wojenny, stanowiąc instancję kasacyjną, a w sprawach politycznych apelacyjną w stosunku do wyroków Sądu Armii. Ustawodawstwo litewskie, czyniąc Trybunał instancją kasacyjną, względnie – apelacyjną w stosunku do wyroków Sądu Armii, to znaczy pospolitego Sądu Wojennego, zainicjowało tzw. „militaryzację" Trybunału w zakresie rozpoznania tej kategorii spraw, wprowadzając mianowicie do kompletu sądzącego Trybunału jednego z sędziów Sądu Armii. Komplet sądzący Trybunału składa się więc przy rozpoznawaniu tych spraw z czterech osób: z trzech sędziów Trybunału i jednego sędziego Sądu Armii. Sąd Armii, który jest zasadniczym pospolitym Sądem Wojennym, posiada członków stałych, czyli właściwych sędziów, w ich liczbie prezesa, którzy są prawnikami i zarazem wojskowymi. Poza tym, do składu Sądu Armii należą tzw. członkowie czasowi, którzy składają się w równej liczbie z oficerów i z żołnierzy, delegowanych odpowiednim trybem przez poszczególne oddziały wojska. Ci członkowie czasowi zmieniają się co sześć miesięcy. Komplet sądzący Sądu Armii składa się z jednego sędziego stałego (lub prezesa sądu), który przewodniczy na posiedzeniu i z czterech członków czasowych po dwóch z liczby oficerów i z liczby żołnierzy. Wszyscy mają głos równy, to znaczy jeden głos prawnika przypada na cztery głosy nieprawników. Jest to więc sąd nie zawodowy prawniczy, lecz tzw. sąd opinii, oczywiście w tym wypadku opinii stanowej czy korporacyjnej – wojskowej. Poza tym, do sądownictwa wojennego należą tzw. sądy pułkowe, stanowiące niższą instancję dla spraw mniejszej wagi, podległą Sądowi Armii, i całkiem odrębny Sąd Wojenny Polowy, sąd zupełnie wyjątkowy dla wypadków szczególnych i w szczególnych warunkach. Na zasadzie przepisów o stanie wojennym, który prawie stale od początku i do tej pory działa na całym terytorium Litwy (za wyjątkiem krótkiego czasokresu od zarządzenia wyborów do Sejmu Ustawodawczego, to znaczy od marca czy kwietnia r. 1920 do lipca tegoż roku, kiedy w chwili zajęcia Wilna przez bolszewików stan wojenny został znów uchwałą Sejmu rozciągnięty na całe terytorium Litwy z zawieszeniem jednocześnie gwarancji konstytucyjnych i przywróceniem kary śmierci), oraz na zasadzie Ustawy Specjalnej o obronie państwowej. Do właściwości Sądu Armii na czas stanu wojennego należy cały szereg przestępstw ogólnych – w tej liczbie wszystkie polityczne i takie, jak zabójstwo, rozbój itd., choćby były spełnione przez osoby cywilne. Okoliczność ta czyni z Sądu Armii sąd na czas stanu wojennego normalny, równoległy do pospolitych sądów cywilnych, mimo że z budowy swej Sąd Armii zasadniczo się różni od sądów normalnych jako oparty wybitnie na jednostronnym pierwiastku wojskowym, przepojonym przez to samo specyficzną psychologią kastową. Choć bowiem armia współczesna nie jest żadną kastą i jest „armią ludową", w zasadzie niby zbliżoną do pojęcia „ludu uzbrojonego", jednak w istocie panuje w niej duch wyłączności, instynkt stanu, zbliżony do psychiki kastowej.

21 listopada, rok 1921, poniedziałek

W posiedzeniach sądowych Trybunału, rozpoznających skargi od wyroków Sądu Armii, bierze udział tylko członek stały Sądu Armii, to znaczy prawnik, w żadnym zaś razie członek czasowy. Tych członków stałych, to znaczy prawników, sędziów właściwych, Sąd Armii liczy obecnie trzech. Są nimi: prezes Sądu Armii Šniuksta, sędziowie Vimer[651] i Landsberg[652]. Są oni dobrani nadzwyczajnie i pasują do siebie doskonale. Mają wysoko rozwinięty zmysł solidarności, który czyni z ich Sądu Armii prawdziwą korporację. Ma to niewątpliwie i swoje dobre strony, choćby mianowicie tę, że będąc bardzo przywiązani do swego sądu i dbając o jego honor, pracują bardzo gorliwie i są niezwykle staranni. Pod tym względem Sąd Okręgowy w Kownie, zaniedbujący się niesłychanie z powodu zwłaszcza bezładu i zupełnego braku więzi organizacyjnej, mógłby brać z nich przykład i uczyć się. Wszyscy trzej są sprężyści, pilnują ładu, działają ręka w rękę. W Sądzie Armii zaprowadzili oni dokładny podział pracy. Żadnych tarć między nimi w robocie nie ma. Bieg spraw jest u nich tak regularny, jak mechanizm zegarka. Sprawy rozpoznają się szybko, zaległości nie ma, kancelaria – dobrze wyćwiczona. Pod względem mechaniki ruchu – stan tego sądu jest prawdziwie wzorowy. Nie tak jednak różowo przedstawia się sytuacja pod względem samej istoty wymiaru sprawiedliwości. Sąd Armii jest raczej organem represji, niż wymiaru sprawiedliwości. Prawdopodobnie ustawodawcy o to i chodziło, ale też i sędziowie aż nadto gorliwie przejęli się tą rolą. Ustawodawca dał im do rąk surowe kary, oni zaś stanęli na stanowisku maksimum możliwej surowości i uczynili z tego tendencję szczególną i stałą swojej działalności sędziowskiej. Poza tym, sąd ich ulega wyraźnie tendencji inkwizycyjnej, to znaczy nie tylko że oskarżony jest tam traktowany z góry jako podejrzany, ale jest skłonność do tego, aby go skazać *eo ipso* na skutek samego faktu oddania go pod sąd, o ile on nie udowodni swej niewinności. Jest w Sądzie Armii skłonność do mieszania funkcji sędziego z funkcją oskarżyciela i do przekładania „*onus probandi*”[653] z oskarżyciela (prokuratury) na oskarżonego. Że taką może być tendencja pospolitych oficerów i żołnierzy zasiadających w Sądzie Armii – to nic dziwnego. Ale tendencję tę podzielają i nawet akcentują wszyscy trzej sędziowie stali Sądu Armii, prawnicy zawodowi. Zarzuca im to jednogłośnie adwokatura, ale przekonałem się z całą stanowczością, że tak jest istotnie. Do tego doprowadza zbytnie przejęcie się sędziów rolą wykonawców represji, której wyrazem jest podług myśli ustawodawcy Sąd Armii. Nie jest to zjawisko zdrowe i dla wymiaru sprawiedliwości dodatnie. Pod tym względem wszyscy trzej sędziowie Sądu Armii są do siebie podobni jak trzy krople wody. Zapewne dlatego też tak wielkim wielbicielem Sądu Armii jest nasz Janulaitis, który sam także hołduje tendencjom inkwizytorskim w działalności sędziowskiej. Szczególnie zaś jaskrawą jest ta tendencja u sędziów Sądu Armii w sprawach politycznych. Biada temu, kto jest oskarżony w sprawie bolszewickiej lub polskiej. Sam fakt ich oskarżenia jest dla sędziów presumpcją ich winy, niemal dowodem tejże. Zaciekły i głęboko zakorzeniony duch korporacji, duch solidarności, jaki się wytworzył w Sądzie Armii między jego trzema sędziami, uwydatnia się szczególnie rażąco w stanowisku, jakie oni zajmują na posiedzeniach sądowych Trybunału. Trzeba przyznać, że przychodzą na posiedzenia z dokładną znajomością spraw, które mają ulegać rozpoznaniu. Ale rola ich polega faktycznie nie na samodzielnym wykonaniu czynności sędziowskiej, jeno na popieraniu wobec Trybunału zaskarżonego wyroku Sądu Armii. To oczywiście wypacza z gruntu intencję ustawodawcy, który wprowadził ich udział do kompletu Trybunału. Tą drogą bowiem w procesie, toczącym się przed Trybunałem,

---

[651] Vimeris Emilis(1885-1974), procurator sądu wojskowego (armii), generał brygady.
[652] Landsbergis Juozas (1886-1943), oficer Wojska Litewskiego, dwa lata pracował w sądzie wojskowym (armii).
[653] „*Onus probandi*” – obowiązek dowiedzenia.

oprócz stron właściwych – oskarżyciela i oskarżonego, względnie jego obrońcy – okazuje się jeszcze jakaś strona trzecia, działająca w dodatku niejawnie, w samej naradzie sędziowskiej, bo na rozprawie milcząca – obrońca wyroku I instancji! To jest nienormalne. Tak, to jest faktem, który ma miejsce w każdej rozpoznawanej przez Trybunał sprawie, pochodzącej od Sądu Armii.

22 listopada, rok 1921, wtorek
Zdaje się, że nieobecność chrześcijańskich demokratów na sobotnim zebraniu w sprawie wileńskiej nie była przypadkowa. Zarówno bowiem rząd, jak prezydium frakcji chrześcijańsko-demokratycznej wykazują jakieś dziwne niezadowolenie czy też nieufność do akcji, zaprojektowanej przez to zebranie. Na zebraniu tym, jak pisałem, postanowiono zwrócić się do wszystkich frakcji sejmowych z inicjatywą podniesienia w Sejmie sprawy wileńskiej i wypowiedzenia się programowego co do niej w kierunku jak najszerszego uznania Wileńszczyźnie praw autonomicznych i zasady samookreślenia w zakresie jej stosunku do państwa. Ponieważ na zebraniu nie było nikogo z chrześcijańskich demokratów, więc postanowiono skierować do nich specjalną delegację, do której wyznaczono Žemaitisa, Vileišisa i mnie. Otóż zdaje się, że Chrześcijańska Demokracja chce uniknąć przyjęcia tej delegacji. Wczoraj Žemaitis próbował kilkakrotnie skomunikować się przez telefon z prezydium Chrześcijańskiej Demokracji dla wyznaczenia czasu przyjęcia delegacji, ale pod różnymi pretekstami uchylono się od wyraźnej odpowiedzi. Dziś Žemaitis zwrócił się z tym do prezydium frakcji formalnie na piśmie, posławszy ją przez Diskina, sekretarza Komisji dla spraw Litwy Wschodniej. Prezydium naradzało się przez pół godziny w tej sprawie i wreszcie zamiast udzielenia odpowiedzi na pismo Žemaitisa – poproszono Diskina o zakomunikowanie Žemaitisowi, że ks. Krupowicz[654], *leader* sejmowy chrześcijańskich demokratów, rozmówi się w tej sprawie osobiście z Žemaitisem. Oczywiście Žemaitis jest zdecydowany nie dopuścić do tego, aby przyjęcie delegacji, wyłonionej przez zebranie, było zastąpione przez jakieś prywatne konszachty Krupowicza z nim osobiście i będzie nastawał na przyjęcie delegacji. Widocznie Chrześcijańska Demokracja czy może raczej jej macherzy chcą skręcić po cichu łeb całemu przedsięwzięciu i uniknąć wywlekania sprawy wileńskiej przed forum sejmowe. Ponieważ zachodzą liczne poszlaki, że przywódcy Chrześcijańskiej Demokracji (co do niektórych nie ulega wątpliwości) są rzecznikami przyjęcia projektu Hymansa i działają w tym kierunku w zmowie z takimiż rzecznikami w łonie rządu, więc tym się też tłumaczy najprawdopodobniej ich niechęć do wyciągania na arenę jawności sprawy wileńskiej. Gra bowiem rzeczników przyjęcia projektu Hymansa polega na tym, aby opinia publiczna, która na razie podniosła wielki gwałt i zamanifestowała się ostro w akcji wiecowej i rezolucyjnej, ukołysała się przez czas, a tymczasem rząd po cichu prześle Lidze Narodów zgodę na projekt Hymansa, ubierając tę zgodę dla pozorów w zastrzeżenia i wtedy Litwa wraz z Sejmem stanie wobec faktu dokonanego, który odrobić będzie trudniej, niż nie dopuścić do niego. Nie chcą więc dziś dyskusji w sprawie wileńskiej, nie chcą żadnych programów uchwalanych przez Sejm dla rozwiązania tej sprawy. Skądinąd i prezes ministrów Grinius, któremu Žemaitis referował o akcji, zapoczątkowanej przez zebranie sobotnie, dał mu do zrozumienia, że akcja ta wcale nie jest rządowi pożądana, choć Žemaitis zastrzegł, że formalnie inicjatywa zebrania wyszła nie od imienia Komisji dla spraw Litwy Wschodniej jako instytucji rządowej, lecz od członków Komisji jako osób prywatnych. Słyszeliśmy też, że Ślażewicz, który jest jedną z głównych sprężyn przyjęcia projektu Hymansa, wyrażał się o zebraniu sobotnim i jego inicjatywie ujemnie jako o rzeczy niepożądanej. Sam on

[654] Krupavičius Mykolas.

był w liczbie zaproszonych na to zebranie, ale nie przybył. W ogóle rzecznicy projektu Hymansa boją się nade wszystko budzenia czujności Sejmu i dyskusji w sprawie wileńskiej, rozumiejąc, że to jest największą przeszkodą dla ich zabiegów, które wymagają cienia i snu społecznego. Akcja na rzecz projektu Hymansa, która dobiega już pono kresu i lada dzień przejdzie w stadium faktu dokonanego, wykonywa się metodą intrygi tajemnej, metodą spekulacji, przeciwnej zasadom demokratycznym. Natomiast przeciwnicy projektu Hymansa pożądają jawności i usiłują budzić ją. Chcą oni też sprowokować wyraźne i mocne sformułowanie projektu państwowego Litwy w sprawie wileńskiej z jak najszerszą wolnością i samodzielnością Wileńszczyzny w łonie państwa litewskiego, ale bez żadnego ustępstwa w przedmiocie niepodległości, ograniczanej przez projekt Hymansa i narzucony Litwie przymusowy związek z Polską. O dzisiejszym posiedzeniu naszego Związku ścisłego, które było bardzo ciekawe, powiem jeszcze.

23 listopada, rok 1921, środa
Opiszę wczorajsze posiedzenie naszego Związku ścisłego, które odbyło się w lokalu Ministerium dla spraw Białoruskich. Na razie na posiedzeniu obecni byli: ja, Dominik Siemaszko, Wacław Bielski, Stefan Kairys, Jan Vileišis i Michał Ślażewicz. Przede wszystkim, odbyło się miłe przyjęcie nowego członka w osobie posła sejmowego z frakcji s.-d. Czapińskiego[655]. Chociaż do prawomocnego statutowego kworum brakło nam jednego członka (kworum wymaga obecności siedmiu), jednak ze względu na to, że kandydatura Czapińskiego była już poprzednio jednogłośnie przez nas zaakceptowana, dokonaliśmy przyjęcia go. Po załatwieniu procedury przyjęcia mieliśmy już z udziałem Czapińskiego kworum. Spraw na porządek dzienny miałem wybór obfity, mianowicie sprawa bieżących kandydatur na członków, omawiana na każdym posiedzeniu regularnie, następnie sprawa kontaktu z białoruską organizacja Związku, dalej sprawa klerykalizmu, przeniesiona z poprzedniego zebrania, dalej – sprawa akcji wileńskiej, dalej – komunikat Siemaszki o projekcie Hymansa w gabinecie ministrów, nie licząc innych mniej aktualnych spraw. Ale sprawa klerykalizmu odpadła z powodu nieprzybycia referentów Augustyna Janulaitisa i Wacława Biržiški, sprawa akcji wileńskiej – z powodu nieprzybycia referenta Zygmunta Žemaitisa. Siemaszko też uprzedził mię, że na skutek obecności Ślażewicza i nieobecności kilku innych członków (zwłaszcza Janulaitisa i Žemaitisa) woli zaniechać komunikatu, bo miał on wyjawiać zakulisowe intrygi w Radzie Ministrów w sprawie przyjęcia projektu Hymansa i miał być uzupełniony zwróceniem się Siemaszki do nas o poradę i wskazówki co do przeciwdziałania im, gdy tymczasem wiadomym jest, że właśnie jedną z rąk kierujących tą zakulisową intrygą jest – Ślażewicz. Wobec tego nie pozostawało mi nic innego, jak postawić na porządku dziennym jedną ze spraw organizacyjnych – sprawę kontaktu z organizacją białoruską. Zakomunikowałem o rozmowie mojej z Łastowskim. Ustalonych zostało parę tez tego kontaktu, w szczególności, że żadnego rozgraniczenia terytorium dla działania organizacji naszej i białoruskiej w stosunku do naszego kontaktu nie zastrzegamy i że kwestię ściślejszego organizacyjnego związku między formacją naszą a białoruską zostawiamy otwartą, tym bardziej zaś uważamy w obecnym stanie za nieaktualną sprawę jakiejś federacji między tymi organizacjami, zachowując tylko kontakt stały przez wskazane w tym celu z łona obu organizacji osoby. Gdyśmy przechodzili do kwestii samego przedmiotu kontaktu, przybył na posiedzenie Žemaitis i zaraz potem opuścił posiedzenie Ślażewicz, który z góry mię uprzedził, że przyszedł na krótko i czekał tylko przybycia kogoś jeszcze, aby nas kworum nie pozbawiać. Chociaż stwierdzenie tego jest dla stosunków naszego Związku

[655] Čepinskis Vincas.

ścisłego nieprzyjemne, bo dążeniem naszym jest miłość wzajemna, szczerość i zaufanie, jednak faktem jest, że odejście Ślażewicza wytworzyło uczucie ulgi u nas. W Ślażewiczu bowiem jest coś nieszczerego, coś, co krępuje w stosunku; jest w nim ten nałóg czy też ta rdza spekulanta w rzeczach politycznych, która cechuje nieraz działaczy państwowych i polityków; czyni ona z nich ludzi żyjących kłamstwem, bo ukrywających swoje myśli i zamiary istotne i używających maski zależnie od potrzeby; ich słowa i czyny są środkami, są manewrami dla tych lub innych efektów, nie zaś prawdą bezpośrednią; ta okoliczność oddala od nas Ślażewicza, czyni go w naszym środowisku, przepojonym szczerością, dość obcym, jak jakiś dysonans w grze. Poza tym, Ślażewicz jest jednym z głównych macherów wielkiej zakulisowej afery projektu Hymansa, wykonywanej metodą intrygi, podczas gdy w naszym środowisku Związku ścisłego stosunek jest do projektu Hymansa przeważnie wrogi, a w każdym razie bardziej jeszcze wrogi tej metodzie spekulacyjno-intryganckiej realizacji projektu, niż samemu projektowi.
Po odejściu więc Ślażewicza rozwinęła się dyskusja obszerna, nie tyle dyskusja, ile dzielenie się myślami, a w dalszej konsekwencji wnioski czynów zupełnie realnych. Żemaitis, referując przeszkody, jakie zdaje się czynić prezydium Chrześcijańskiej Demokracji w sprawie przyjęcia delegacji, wyłonionej przez zebranie sobotnie, dotknął oczywiście tej metody rozwiązywania sprawy wileńskiej z wewnątrz przez uznanie Wilnu najszerszych praw w państwie litewskim, a przeto musiał dotknąć i akcji tajemnej, prowadzonej zakulisowo przez rzeczników projektu Hymansa. Wtedy zabrał głos Siemaszko, członek Rady Ministrów. Zastrzegł poufność tego, co powie, bo miało to dotyczyć posiedzeń tejże Rady, utrzymywanych w tajemnicy i oświadczył, że chce się z nami poradzić, jak ma postąpić. Opowiedział mianowicie, jak sprawa projektu Hymansa jest w Radzie Ministrów stawiana. Wyjaśniło się już w Radzie, że większość członków rządu będzie głosowała za przyjęciem projektu. Stanowczymi rzecznikami przyjęcia są Grinius, Puricki, Gałwanowski i Karoblis. Niektóre osoby spośród wyższych funkcjonariuszy rządu, biorące udział w posiedzeniach Rady Ministrów, które były przeciwne projektowi Hymansa, zostały zastąpione w Radzie przez inne, które są zwolennikami przyjęcia.

24 listopada, rok 1921, czwartek
Dalszy ciąg pozawczorajszego posiedzenia Związku ścisłego. Referat Dominika Siemaszki. Rzecznicy przyjęcia projektu Hymansa w rządzie zamierzają powziąć decyzję samodzielnie w Radzie Ministrów, nie odwołując się do Sejmu. W tym celu upewnili się już oni o większości w Radzie i są pewni swojego. Projekt ma być przyjęty „z rezerwami". Jakie jest brzmienie tych rezerw – Siemaszko nie wie, ale z tego, co już w tej materii było mówione, należy wnioskować, że „rezerwy" te są tylko listkiem figowym dla opinii litewskiej i że w jakąkolwiek ich wartość istotną nie wierzą sami ci, którzy je formułują. Zaiste jest to nędzna komedia dla oszukania opinii publicznej i dla wykrętu przed nią. Rozumiem, że można uważać przyjęcie projektu Hymansa za konieczne, ale sposób, w jaki to wykonywają rzecznicy tej afery, jest zaiste niedopuszczalny. Są to kpiny z Sejmu, z demokracji, z Konstytucji, z samej roli rządu. Jest to komedia błazeńska, niegodna nazwy działania politycznego. Rozumiałbym i usprawiedliwiłbym w pewnych warunkach nawet narzucenie Litwie tej decyzji przez jakiś rząd wilczy, odważający się użyć środków dyktatorskich. Ale obecni spekulanci polityczni w rządzie są tchórzliwi i chcą wykonać swój zamiar intrygą i obłudą, wykrętami i kłamstwem, w którym demokrację litewską traktuje się jak naiwne dziecko. Jest to szczyt pogardy dla własnego narodu. Że czynniki Ligi Narodów, Francji i Anglii namawiają rząd do użycia takich metod – to im się nie dziwię. Ponieważ chodzi im o

załatwienie sprawy wileńskiej w ten sposób, więc używają dróg byle jakich. Litwę i jej opinię publiczną traktują jako kapryśne dziecko, które trzeba oszukać i któremu można wmówić byle co, a ponieważ rząd litewski utwierdza ich w tym przekonaniu, więc też tak i doradzają nam. Ale rząd litewski akcją tą maltretuje swój naród i kompromituje Litwę wobec Europy. Z takim kapryśnym i dziecinnym krajem i z takim rządem czynniki międzynarodowe poważnie liczyć się nie mogą. Otóż Siemaszko powiada, że sprawa przyjęcia projektu Hymansa będzie wniesiona na porządek dzienny piątkowego posiedzenia Rady Ministrów. Była ona już raz wniesiona na porządek dzienny przed paru tygodniami, ale wtedy została zdjęta. Prawdopodobnie też w piątek zapadnie decyzja gabinetu ministrów. Siemaszko porozumiał się już z ministrem spraw wewnętrznych Skipitisem[656], który jest także przeciwnikiem przyjęcia i postanowił wraz z nim w razie uchwalenia przyjęcia zgłosić natychmiast motywowaną dymisję z rządu. Ale faktem jest, że taka dymisja, choć pewne znaczenie manifestacyjne mieć może i choć dla opinii publicznej może być wskazówką da wyraz i zarazem dostarczy materiału przeciwnikom przyjęcia projektu i zwłaszcza metod politycznych rządu, merytorycznie niewiele zaważy na skutek uchwały rządowej. Formalnie bowiem wystąpienie z rządu dwóch, a nawet trzech czy czterech ministrów nie będzie stanowiło kryzysu gabinetu; kryzys nastąpiłby dopiero wtedy, gdyby ustąpił prezes gabinetu lub cały gabinet; a tymczasem rząd odpowiedź swoją prześle do Ligi Narodów, która też żąda odpowiedzi w sprawie projektu Hymansa bynajmniej nie od Sejmu, lecz od rządu. Fakt więc będzie dokonanym i Sejm zostanie postawiony wobec faktu dokonanego. Do tego też przecie i dążą rzecznicy przyjęcia i tak też im doradzają postąpić czynniki francuskie i nawet angielskie. Do Sejmu, podług projektu Hymansa, należeć ma tylko ratyfikacja ugody *post factum*. A wreszcie gdyby nawet Sejm, dowiedziawszy się o decyzji rządu, wyraził jemu wotum nieufności i spowodował dymisję gabinetu, to i w takim razie rzecz nie jest jeszcze *eo ipso* odrobiona. Fakt zgody rządu pozostanie faktem wobec Ligi Narodów, która przyjmie do wiadomości samą zgodę, a odrzuci „rezerwy" lub tylko coś niecoś w myśl tychże w projekcie Hymansa zmieni. Nowemu rządowi trudno będzie cofnąć to, co poprzedni rząd zadeklarował, bo oznaczałoby to kompromitowanie Litwy w oczach Ligi i zademonstrowanie przed nią takiej chwiejności państwa i takiego braku ciągłości, która nie daje możności liczenia się z takim państwem. Czynniki europejskie i rzecznicy przyjęcia projektu Hymansa w Litwie nie obawiają się wotum nieufności dla rządu i odwołania jego, byle już poprzednio fakt był dokonany. W każdym razie, po fakcie dokonanym trudniej jest w nim coś zmienić, niż przed dokonaniem nie dopuścić do niego. Fakt dokonany wzmocni ogromnie rzeczników przyjęcia, choćby opinia publiczna ich potępiła. Dokończę jutro.

25 listopada, rok 1921, piątek

Dokończenie posiedzenia Związku ścisłego z d. 22 bm. W dyskusji, która się wywiązała z komunikatu Siemaszki, wszyscy obecni podkreślali niedostateczność podania się Siemaszki i Skipitisa do dymisji po uchwaleniu w Radzie Ministrów przyjęcia projektu Hymansa. Dymisja ta może sprawić pewien efekt, ale swoją drogą uchwała Rady Ministrów o przyjęciu zapadnie i zostanie wykonana. Stanie się to, do czego prowadzą rzecznicy przyjęcia: Litwa i jej Sejm będą zaskoczone faktem dokonanym. Mówcy na posiedzeniu naszym wypowiadali się w ten sposób, że należy dążyć do tego, aby decyzja zapadła nie uchwałą Rady Ministrów, lecz uchwałą Sejmu: jeżeli projekt Hymansa ma być przyjęty, to niech o tym zadecyduje Sejm i niech on bierze na siebie za to odpowiedzialność, nie zaś rząd, który w takim razie postąpiłby autokratycznie i niekonstytucyjnie. Członkowie nasi, obecni na posiedzeniu – prócz mnie, który nie

---

[656] Skipitis Rapolas.

mam w tej kwestii ustalonego poglądu i sam nie umiem powiedzieć, czy lepiej, żeby Litwa przyjęła projekt Hymansa, czy żeby go odrzuciła, i oprócz może Vileišisa, który w tej kwestii ma również mniej zdecydowane stanowisko – wszyscy (Žemaitis, Czapiński, Kairys, Bielski, Siemaszko) byli zdecydowanymi przeciwnikami projektu Hymansa i wiedzieli, że uzależnienie decyzji od Sejmu przeszkodziłoby przyjęciu projektu, bo wobec niepopularności sprawy nie znajdzie się w Sejmie większość, która odważyłaby się uchwalić przyjęcie projektu Hymansa. Dlatego też kładli taki nacisk na przeniesienie decyzji z rządu na Sejm. Co do mnie, to nie mając w tym względzie zbyt kategorycznej opinii, bo w gruncie rzeczy nie uważam dla Litwy za klęskę ostateczną ani przyjęcia, ani odrzucenia projektu, gdyż wiarę w triumf państwowej sprawy litewskiej opieram na przekonaniu o mocy wewnętrznej czynników ludowych jej niepodległości, mocy, której nie zniszczą ani ewentualne ujemne skutki projektu Hymansa, ani też ewentualne najgorsze skutki odrzucenia tegoż projektu, nie przywiązywałem tak wielkiej wagi, jak inni, do meritum sprawy, ale nie mogłem nie przyznać, że akcja rządu jest co do metod wysoce niewłaściwa, gwałcąca demokrację i mogąca skompromitować samą państwowość litewską. Cóż więc wymyślono na posiedzeniu naszym. Zastanawiano się nad zgłoszeniem przez esdeków interpelacji nagłej w Sejmie przed piątkowym posiedzeniem Rady Ministrów, mającym decydować o przyjęciu projektu Hymansa. Ale stwierdzono, że i to na nic. Bo podług regulaminu Sejmu na interpelację, uznaną przez Sejm za nagłą, rząd obowiązany udzielić odpowiedzi w ciągu dni 10, a więc zanim interpelacja wpłynie na porządek dzienny obrad Sejmu, rząd może już przesłać zgodę na projekt Hymansa i choćby rząd miał na skutek interpelacji upaść, fakt pozostanie już faktem. Obalenie rządu po przyjęciu projektu Hymansa nie zastrasza rzeczników przyjęcia, bo liczą oni na to, że cofnięcie zgody przez Litwę będzie trudno wykonalne bez skompromitowania państwa i że ta trudność ułatwi potem przystosowanie się Litwy do faktu dokonanego. Ostatecznie więc na wniosek Kairysa posiedzenie nasze uchwaliło polecić Siemaszce, aby na posiedzeniu środowym Rady Ministrów w porozumieniu z ministrem Skipitisem i jeszcze innymi może ministrami, którzy są przeciwni przyjęciu, zażądał on wyraźnego orzeczenia Rady, czy odpowiedź rządu Lidze Narodów w przedmiocie projektu Hymansa może być dana dopiero po wysłuchaniu decyzji Sejmu, czy też może być udzielona samodzielnie przez rząd, i gdyby Rada Ministrów orzekła, że decyzja Sejmu jest zbyteczna, Siemaszko z towarzyszami powinien zgłosić dymisję natychmiast, nie czekając na to, jaką będzie uchwała Rady Ministrów w kwestii przyjęcia i motywując dymisję tym, że rząd działa przeciw konstytucji. Wtedy opinia publiczna i Sejm będą zaalarmowane tą dymisją jeszcze przed ewentualną decyzją rządu o przyjęciu projektu Hymansa i może opozycja zdoła jeszcze poruszyć odpowiednie sprężyny, by przeszkodzić przyjęciu.
Od tej uchwały posiedzenia naszego upłynęły trzy dni. Czy Siemaszko pozawczoraj wykonał tę uchwałę i jak ją wykonał – nie wiem, bom się z nim nie widział odtąd. Nie wiem też, czy dziś na posiedzeniu Rady Ministrów sprawa przyjęcia projektu Hymansa będzie na porządku dziennym. Oczywiście jednak dymisja Siemaszki i Skipitisa chyba jeszcze nie nastąpiła, bo byłoby już słychać o tym. Tymczasem dzisiaj zaszedł fakt nowy. W nocy dokonany został zamach terrorystyczny na ministra Gałwanowskiego; z ulicy przez okno został spowodowany wybuch czy to bomby, czy jakiejś maszyny piekielnej o sile wybuchowej niezwykłej. Pokój sypialny Gałwanowskiego, łóżko i sprzęty w pokoju uległy zniszczeniu, sam Gałwanowski ciężko raniony. O gotujących się zamachach terrorystycznych przeciwko ministrom, forsującym przyjęcie projektu Hymansa, było już słychać poprzednio. Kto to uczynił – nic nie wiadomo jeszcze. Śledztwo prowadzi się pod kierunkiem prokuratora Trybunału Kalvaitisa. Krążą

przypuszczenia, że zamach wyszedł z kół wolnych strzelców („šauliai”), w których ruch przeciwko projektowi Hymansa jest bardzo ostry. Ale słyszałem i wersję taką, że możliwym jest, iż zamach wyszedł z kół robotników z powodu polityki finansowej Gałwanowskiego, prowadzącej do wzrostu drożyzny i z powodu jego opozycji żądaniom sfer robotniczych i urzędniczych w sprawie zakazu eksportu artykułów żywności i podniesienia zarobków pracownikom i urzędnikom państwowym.

26 listopada, rok 1921, sobota
Wracam z herbatki proszonej u Ślażewiczów. Ślażewicz jest jednym z filarów politycznych Republiki Litewskiej, jednym z jej „*hommes d'etat*”, którzy nawet nie zajmując stanowiska w rządzie, faktycznie kierują nawą państwową przez wpływy swoje i umiejętne ich stosowanie. Jako *leader* socjalistów ludowych w Sejmie i prezes komisji sejmowej do spraw zagranicznych, przyjaciel osobisty premiera Griniusa, który ulega jego wpływowi, i przyjaciel ministra wojny Šimkusa, poza tym prezes „Gynimo Komiteto” i w ogóle człowiek, który ma w ręku nici różnych wpływów – Ślażewicz jest jedną z najsilniejszych osobistości w państwie. W obecnej chwili, ze względu na jego rolę w sprawie projektu Hymansa, popularność jego jest wprawdzie mocno zachwiana, a wraz z tym zachwiane jest poważnie jego stanowisko w stronnictwie jako *leadera*, ale w kołach oligarchii rządzącej państwem jest on dotąd jedną z postaci najwpływowszych. Może runie, kiedy runie system cały, ale tymczasem jest jeszcze potęgą. Demagog jaskrawy w przemówieniach swoich, przez czas jakiś miał pozory trybuna ludowego i w okresie przedsejmowym za rządów Taryby był człowiekiem, który skupiał dokoła siebie całą lewicę jako jej wódz, będący zarazem jedynym człowiekiem, umiejącym wytworzyć i stanąć na czele koalicji wszystkich stronnictw. W istocie jednak ten demagog pozorny jest czystej krwi oportunistą, a władza i wpływy rozwinęły w nim skłonność do spekulacji politycznej i do zakulisowego realizowania polityki. Gwiazda jego w opinii litewskiej blednie, w kołach jaskrawie patriotycznych i lewicy społecznej imię jego, poprzednio popularne, otoczone już jest nieufnością, a w ostatnich czasach łączone z imionami Gałwanowskiego i Puryckiego i atakowane niemal jako zdrajcy narodowego, ale jeszcze potęga jego we władzy faktycznej jest u samego szczytu. Jako adwokat – zarabia dużo i przeto ma pieniądze; wziętość jego jako adwokata polega nie tyle na zdolności i wiedzy, ile na wpływach, które pociągają do niego klientów, on zaś każe im za to sobie płacić drogo. Toteż może on wyprawiać takie herbatki, jak dzisiejsza, które kosztują tysiące marek. Być zaproszonym na taką herbatkę do Ślażewicza – to mieć dyplom na stanowisko, z którym się liczyć należy. Herbatki te mają cechę towarzyskich – z udziałem pań. Zapraszane są na nie koła dyplomatyczne przedstawicieli państw obcych, wybitniejsi cudzoziemcy bawiący w Kownie i wybitne jednostki polityczne. Dobór jest bardzo staranny, układany oczywiście z wielkim zastanowieniem. Oprócz grupy cudzoziemców ze sfery dyplomatycznej, było dziś kilku wyższych wojskowych, premier Grinius, wicemarszałek Sejmu dr Staugaitis[657], szereg wyższych dygnitarzy, trochę młodzieży, na ogół – ze 30 osób. Jako *leader* socjalistów ludowych, nie może Ślażewicz zapraszać do swego salonu chrześcijańskich demokratów, a zwłaszcza w większej liczbie, jego zaś towarzysze partyjni ze stronnictwa socjalistów ludowych, po pierwsze, nie bardzo się dziś będą kwapić do niego, a po wtóre, nie bardzo pasują towarzysko do tonu zebrania z przeważającym udziałem dyplomatów i ludzi manier wykwintnych, ani zaś „Pažanga”, ani esdecy do Ślażewicza salonu nie pospieszą. Toteż poza dyplomatami cudzoziemcami główny kontyngent zaproszonych rekrutuje się z ludzi ze stanowisk rządowych. Na herbatce prócz herbaty i kawy czarnej były ciasta, torty, słodycze,

[657] Staugaitis Jonas.

bakalie, owoce krajowe i zagraniczne, z trunków – doskonały krupnik litewski, miód, benedyktyn. W sprawie wczorajszego zamachu na ministra Gałwanowskiego śledztwo nic dotąd nie wykryło. Nie natrafiono na żadne ślady. Ślażewicz wyraził się, że zamach jest dziełem „hurapatriotów”. Ale któż bardziej od samego Ślażewicza był niedawno jeszcze w mowach swoich właśnie takim „hurapatriotą”, gdy z trybuny sejmowej wołał on do mas chłopskich, mówiąc o obszarnikach i Polakach: „Chwytajcie kije i kosy, co kto może, bijcie i pędźcie precz z Litwy te gniazda zdrajców!”. *Tempora mutantur*.

27 listopada, rok 1921, niedziela
Od kilku dni bawi w Kownie Franek Olechnowicz (po białorusku Alachnowicz)[658], mój niegdyś z r. 1906 współpracownik w „Gazecie Wileńskiej”, w której był reporterem wraz z Adolfem Narkiewiczem i nieboszczykiem Adamem Giedwiłłą. Stąd mam bliskie z nim stosunki. Od lat kilku, jeszcze przed wojną, Olechnowicz określił się narodowo jako Białorusin i jest dziś jednym z najbardziej znanych i popularnych literatów białoruskich, autorem wielu sztuk scenicznych, powiastek i piosenek oraz działaczem teatru narodowego białoruskiego. Na tym polu wykazał rzeczywiście talent. Bywa zarazem i autorem, i aktorem, i kierownikiem artystycznym, i dyrektorem teatru. Politycznie jest zerem, inteligencję myślową ma niewielką, jest wykolejeńcem i pijakiem, ale jest ruchliwy, ma intuicję artystyczną, która mu znakomicie zastępuje inteligencję, jest zaradny i traktujący życie wrażeniowo. W r. 1919 po zajęciu przez Polaków Mińska, w którym wówczas przebywał, wydawał przez czas jakiś pisemko białoruskie tamże o wyraźnym kierunku polonofilskim, subsydiowane, zdaje się, i inspirowane przez miejscowego agenta tzw. II oddziału, Wojewódzkiego. W r. 1920 za czasów bolszewickich w Mińsku pracował w białoruskiej akcji kulturalnej, rozwijanej przez władze tzw. Białej Rusi Sowieckiej. Potem dostał się do Wilna i był, zdaje się, bliski grupy Taraszkiewicza[659]. Stał na czele jakiejś wędrownej trupy teatralnej białoruskiej, z którą jeździł do Lidy, do Baranowicz itd. W ostatnich czasach podpisywał w charakterze redaktora pismo białoruskie pt. „Dzwon Białoruski”, narodowe, subsydiowane, jak się zdaje, przez Litwinów. Przywędrował z Wilna do Kowna trochę pieszo, trochę końmi i koleją, bez przepustek formalnych, mając zamiar udać się z Kowna do Berlina dla zobaczenia się tam i załatwienia interesu z jakimś bawiącym tam agentem rządu Białej Rusi Sowieckiej, który chce nabyć od niego prawo wydania całkowitego zbioru jego dzieł białoruskich. Do Kowna Olechnowicz przybył prawie bez grosza, ale tu miał za pośrednictwem tzw. rządu Białoruskiej Republiki Ludowej (rząd Łastowskiego korzystający z azylu w Litwie) otrzymać paszport na wyjazd do Niemiec i od tegoż rządu pieniądze w postaci pożyczki. Zamieszkał tymczasowo u mnie, to znaczy nie tyle zamieszkał, ile nocował na podłodze na szmatach, bo rzeczy żadnych ze sobą nie miał. Rzeczywiście otrzymał od Białorusinów 1000 mk. pożyczki, ale zanim wyjechał, już w ciągu paru dni pieniądze te przepił. Paszport jeszcze nie był gotów, więc żeby żyć i ewentualnie zebrać pieniądze na podróż, ze zwykłą pomysłowością zaradził sobie. Zaangażował się na występy kabaretowe w restauracji Załkinda przy hotelu Lewinsona, produkując się tam wieczorami deklamacją i piosenkami białoruskimi pod pseudonimem Bałtruka Pyszki

[658] Olechnowicz Franciszek (Аляхновiч Францiшак, 1883-1944), działacz białoruskiego ruchu narodowego, publicysta, poetam pisarz, działacz teatralny.
[659] Taraszkiewicz Bronisław (Тарашкевiч Бранiслаў, 1892-1938), nauczyciel, językoznawca, białoruski działacz społeczny i polityczny. Jeden z twórców ortografii białoruskiej – napisał pierwszy podręcznik gramatyki języka białoruskiego (pierwsze wydanie ukazało się w 1918 r., drugie – w 1931 r.). 1921-1923 był dyrektorem gimnazjum białoruskiego w Wilnie. W tym czasie blisko współpracował z Komunistyczną Partią Zachodniej Białorusi i w 1926 r. został jej członkiem. W 1927 zanielegalną działalność aresztowany przez władze polskie i skazany na 12 lat więzienia.

za wynagrodzeniem w kwocie po 75 mk. dziennie, obiad i kolację. Poza tym, próbował znaleźć robotę w malowaniu szyldów, ale bezskutecznie. Chcąc się zaangażować u Żemaitisa na korektora dziennika „Litwa” lub inną jakąś pracę w redakcji tygodniczka ludowego „Nowiny”, który zaczął wychodzić w duchu litewskim po polsku jako organ propagandy, wydawany ze środków „Gynimo Komiteto”. O podróży do Berlina Olechnowicz zaczyna jakoś mówić tak, jakby już nie miał jechać i coś wydaje się skłonnym do zainstalowania się na dobre w Kownie. Dziś wybrałem się z nim na przedstawienie artystycznego kabaretu litewskiego pod nazwą "Vilkolakis", kierowanego przez Biciunasa i uprawiającego satyrę polityczno-społeczną, aleśmy źle trafili, bo przedstawienia nie ma[660]. Od dziś Olechnowicz nocować przestał u mnie i będzie się gnieździł u Białorusinów.
Mówił mi dziś Dominik Siemaszko, że w gabinecie Ministrów w sprawie projektu Hymansa widoczny jest zwrot i że projekt większością głosów będzie jednak odrzucony. Chodzi tylko o to, czy będzie odrzucony wprost, czy też przeciwstawione mu będą owe „rezerwy” jako litewskie *„creditio sine qua non”*. Po zamachu na Gałwanowskiego sprawa ta w piątek nie była na Radzie Ministrów rozpoznawana i została odroczona do następnego posiedzenia Rady. Co do zaciągnięcia przez rząd opinii Sejmu przed udzieleniem odpowiedzi Lidze Narodów, to już w piątek na posiedzeniu Sejmu po wniesieniu przez esdeków interpelacji (była ona echem wtorkowych obrad w naszym Związku ścisłym) Purycki oświadczył, że rząd nie myśli wcale robić jakiegoś *„coup d'etat”* i ignorować Sejm. Co to jednak będzie, gdy Litwa odrzuci projekt Hymansa. Zwolennicy przyjęcia i bodajże Francuzi także puszczają wieści o rychłej w takim razie okupacji Litwy przez Polskę. Przeciwnicy projektu Hymansa twierdzą, że to są „strachy na Lachy” dla uzyskania zgody litewskiej, a niektórzy spośród nich szczerze, zdaje się, i gorąco pragnęliby tego faktu, uważając martyrologię Litwy za atut dla niej dodatni.

28 listopada, rok 1921, poniedziałek
Na posiedzeniu Rady Ministrów przed tygodniem, w poniedziałek, minister do spraw żydowskich Sołowiejczyk wystąpił z wnioskiem zreformowania Komisji do spraw Litwy Wschodniej przez zasilenie jej składu osobowego większą liczbą i doborem ludzi oraz zwiększenia intensywności jej pracy. Potrzebę uzasadniał tym, że wobec zarządzenia przez władze polskie w Wileńszczyźnie wyborów do Sejmu w Wilnie Litwa musi zwiększyć czujność i wytężyć akcję planową w Wileńszczyźnie na rzecz swojej państwowości. Rada Ministrów poleciła tę sprawę komisji specjalnej w osobie Sołowiejczyka[661], Puryckiego, Jonynasa i Żemaitisa. Zebrali się oni wczoraj. Sołowiejczyk podniósł konieczność, po pierwsze, stałej, dokładnej i ściśle funkcjonującej łączności między Kownem a Wilnem dla możności komunikowania się, po wtóre, wytworzenia w samym Wilnie organizacji kontaktu elementów różnych narodowości, kierujących akcją na rzecz państwowości litewskiej, z tym, aby taka organizacja kontaktu, taki komitet w Wilnie przejął na siebie inicjatywę i główną część zadania, należącego do naszej kowieńskiej Komisji do spraw Litwy Wschodniej, i po

[660] Teatr „Wilkołak” działał w Kownie w latach 1920-1925. Powstał w 1919 r. jako klub ludzi sztuki. Założycielami klubu byli: malarze Vytautas Pranas Bičiūnas, Vladas Didžiokas, Vladimiras Dubeneckis, Olga Dubeneckienė, Adomas Galdikas, grafik Paulius Galaunė, dramaturg Balys Sruoga, reżyser Antanas Sutkus. Klub mieścił się w Domu Ludowym (Laisvės alėja, nr 3). W latach 1919-1920 kierował nim B. Sruoga, 1920-1925 – A. Sutkus. W klubie odbywały się spotkania artystów, wieczorki, dyskusje, odczyty, ukazywało się pismo „Dainava“. W 1925 r., po premierach o ostrym wydźwięku społecznym klub zaprzestał działalności.
[661] Sołowiejczyk Maks (1883-1953), prawnik, aktywista ruchu syjonistycznego w Rosji i na Litwie. 1919-1922 był ministrem bez teki do spraw żydowskich w gabinecie ministrów.

trzecie, uzupełnienia Komisji do spraw Litwy Wschodniej szeregiem osób nowych spośród różnych grup narodowych, z których należałoby utworzyć coś w rodzaju Rady do spraw Litwy Wschodniej, funkcjonującej stale przy Komisji. Zadania te nie są nowe; pierwsze wykonywa się stale, choć nieraz się dezorganizuje; drugie – organizacja kontaktu w Wilnie – jest rzeczą bardzo ważną, o której myśleliśmy jeszcze ubiegłej zimy i którą próbowałem wytworzyć w Wilnie jako ekspozyturę naszej Komisji, co mi się jednak wtedy nie udało. Podobno teraz Jonynas twierdzi, że taka organizacja jest możliwą do wytworzenia w Wilnie; byłaby ona tam oczywiście tajną, ale właściwie do niej należałaby inicjatywa, bo ona byłaby bliższa samych potrzeb akcji, niż my tu w Kownie. Žemaitis na zebraniu wczorajszym zreferował naszą inicjatywę pchnięcia sprawy wileńskiej na tory wyraźnego sformułowania programu państwowego Litwy wobec Wileńszczyzny w postaci odpowiedniej deklaracji Sejmu Ustawodawczego, inicjatywy, której zapoczątkowaniem było zebranie działaczy społecznych w d. 19 listopada. Przedstawił też Žemaitis niechęć, z jaką ta inicjatywa zdała się spotykać ze strony kół rządowych i Chrześcijańskiej Demokracji, odmawiającej nawet przyjęcia delegacji owego zebrania przez prezydium frakcji. Sołowiejczyk, Jonynas i sam Purycki, który poprzednio dość niechętnie traktował inicjatywę tego zebrania, poparli tę myśl wczoraj i prosili, aby Komisja do spraw Litwy Wschodniej jak najprędzej przedstawiła rządowi gotowy projekt deklaracji sejmowej. Zdaje się, że zmierzch perspektyw projektu Hymansa sprzyja szerszemu traktowaniu przez czynniki litewskie programu sprawy wileńskiej. Otóż dziś na posiedzeniu Komisji ja się podjąłem ułożenia jutro projektu takiej odezwy sejmowej. Analogiczny projekt odezwy sejmowej pisałem już w roku zeszłym na zlecenie Polskiego Biura Informacyjnego przy polskiej frakcji poselskiej. Wtedy rzecz ta jednak w Sejmie upadła, a byłaby ona, gdyby w swoim czasie była przez Sejm wykonana, kiedy Wilno było w ręku litewskim, stanowiła przynajmniej zabytek i tradycję haseł, z którymi Litwa powitała swoją stolicę i dzielnie wschodnią. Toteż dziś mniej mi będzie przyjemniej pisać tę odezwę, niż było przyjemnie pisać w roku zeszłym. Bo wtedy Litwa miała Wilno i wydanie odezwy, ogłoszenie haseł o mianowaniu praw Wilna byłoby tylko aktem sprawiedliwości i zasady, nie zaś interesu, gdyż wtedy Litwa była pewna posiadania Wilna. Natomiast dziś taka sama odezwa w pojęciu chrześcijańsko-demokratycznej, a raczej demagogicznej większości Sejmu i w pozorach zewnętrznych będzie tylko aktem polityki, aktem ubiegania się o względy Wilna, aktem rywalizacji z Polską. Tak, większości chrześcijańsko-demagogicznej, tak, ty, rządzie Puryckich! Miałeś chamie złoty róg!.. Mieliście go przed rokiem, aleści, karły, zatrąbić nie śmieli. Dziś trąbić zgadzacie się, ale już efekt nie ten.

29 listopada, rok 1921, wtorek
Napisałem projekt deklaracji Sejmu w sprawie wileńskiej. Miałem do wyboru jedną z dwóch metod – albo deklaracja formalna, sucha, jako streszczenie tez zagadnienia, albo deklaracja w kształcie Manifestu do Ludzi Ziemi Wileńskiej. Wybrałem formę drugą. Nie wyklucza ona pewnej ścisłości w sformułowaniu tez zagadnienia, co też uczyniłem, ale jest zarazem odezwą bezpośrednią do ludności, przemówieniem do niej Sejmu Ustawodawczego Litwy ponad głowami tych, co działając z ramienia Polski, rugowani przez Litwę jako okupanci, narzucają się w roli pośredników między Wileńszczyzną a „Litwą Kowieńską”, w istocie zaś odrywają Wileńszczyznę od związku państwowego z Litwą i pchają ją do Polski. Punktem wyjścia tej deklaracji jest protest Litwy przeciwko zarządzonym przez władze wileńskie wyborom do Sejmu. W jej tekście wyrażam uznanie przez Litwę zasady, że stosunek dzielnicy wileńskiej do całości państwa w wewnętrznym ustroju państwowym nie może być ustalony jednostronnie i że ma się on

opierać na woli ludu wileńskiego. Streszczam też ofertę, która należy do spraw wspólnych, to znaczy związkowych w państwie, pozostawiając resztę do wolnego określenia Wileńszczyzny w tej formie stosunku, jaką ona zechce sama określić. Unikam też rozmyślnie w manifeście wszelkich napaści na Polskę i Polaków, wszelkich słów ostrych i drażniących, pomnąc, że wpływy i sympatie polskie są tam silne i upowszechnione i że drażnienie tych uczuć, samo w sobie ujemne i osobiście dla mnie przykre, mogłoby jeno niepokoić ludność i zrażać ją do Litwy, która powinna iść do tej ludności, nie wyłączając polskiej, nie z uczuciami odwetu, zemsty, nienawiści, lecz pomimo wszystko – ze słowem pojednania, miłości i zgody, bo tym tylko może zwyciężyć.
Nie wiem, czy zaprojektowana przeze mnie forma manifestu zostanie jutro zaakceptowana i uznana za właściwą. Przewiduję raczej, że nie. Wątpię, aby Sejm ze swoją głupią i demagogiczną większością chrześcijańsko-demokratyczną odważył się na takie słowo szczere i gorące, może nawet nie bardzo przyjęte we współczesnych stosunkach między ludami, tchnące nieco „wiosną ludów" z r. 1848, ale za to tym bardziej wiążące, tym bardziej śmiałe i nie zostawiające furtek do odwrotu, o co mi najbardziej chodzi, bo tylko w pozyskaniu wiary i sympatii ludności w Wileńszczyźnie, tylko w procesach jej woli może się mieścić siła sprawy litewskiej tamże. Manifest do ludu jest rzeczą jaskrawą, ale Litwa zbyt dużo zaniedbała względem Wileńszczyzny, zbyt dużo nawet zgrzeszyła, aby teraz mogła się bez jaskrawości obyć. Jaskrawość dotychczasowej demagogii i nacjonalizmu tylko jaskrawością w przeciwnym kierunku, jaskrawością wiążącą, jaskrawością całkowitego i bez niedomówień uznania praw Wileńszczyzny zagładzona być może. Manifest – to forma, którą bym wolał nad wszystkie.
Dowiedziałem się od Białorusinów, że z polecenia Departamentu Milicji Olechnowicz został wczoraj aresztowany. P. Nowakas, młodociany dyrektor tego departamentu, zbyt skory jest do aresztów. Przypuszczam, że rzecz się szybko wyjaśni i że Olechnowicz będzie rychło zwolniony. Ale to go niezbyt zapewne zjedna dla Kowna.

30 listopada, rok 1921, środa
Rano o godz. 9, przed posiedzeniem sądowym Trybunału, wstąpiłem do Žemaitisa, gdzieśmy się mieli spotkać we trzech wraz z trzecim członkiem Komisji do spraw Litwy Wschodniej – młodszym Rozenbaumem – dla odczytania napisanego przeze mnie projektu Manifestu Sejmu Ustawodawczego Litwy do Ludu Ziemi Wileńskiej. Chodzi mi tylko o opinię Žemaitisa jako miarodajną, bo Rozenbaum nie należy do umysłów ani głębokich, ani samodzielnych i jest tylko bladym odbiciem kół politycznych żydowskich, pionkiem bardzo miernym. Manifest w mojej redakcji podobał się im w założeniu i w wyrazie silnym, jaki mu nadałem. Powstała kwestia manifestu czy deklaracji tez. Žemaitis osobiście zgadzał się ze mną, dając pierwszeństwo manifestowi przed deklaracją. Rozenbaum był innego zdania. Ale i Žemaitis wyrażał z pewnych względów wątpliwości co do tego, czy rząd i większość sejmowa zdecydują się na formę manifestu, zwłaszcza tak kategoryczną, mocną i wiążącą, jakem ją ułożył. Wątpliwości te podzielam i nie jestem pewny przyjęcia projektu w mojej redakcji; niemniej będę go w tej właśnie formie popierał i nastawał na przyjęcie. Są dwa głównie względy, które będą zapewne krępowały większość sejmową i rząd. Pierwszy wzgląd ten, że Chrześcijańska Demokracja, uprawiająca demagogię i spekulację nacjonalistyczną, nie lubi z zasady rzeczy śmiałych, wyraźnych i przeto wiążących; dziś jest ona gotowa na przyznanie Wileńszczyźnie autonomii, bodaj nawet ustroju kantonalnego, wszelkich praw itd., ale woli to robić półgębkiem, połowicznie, gestami, nie zaś słowem kategorycznym i wiążącym, aby zawsze mieć w rezerwie

furtkę do cofnięcia się, gdy się okoliczności zmienią; pozbawienie się tej furtki nie będzie przez nią chętnie przyjęte; a ponieważ Chrześcijańska Demokracja ma w Sejmie większość i od niej zależy decyzja Sejmu, więc o przyjęciu tak szczerej odezwy, jak mój projekt manifestu – wątpię; zresztą i wśród ludowców jest skrzydło demagogiczno-nacjonalistyczne ze Ślażewiczem na czele, które powoduje się, zdaje się, tymi samymi względami w polityce wileńskiej. Drugi wzgląd, który zapewne budzić będzie opozycję szczególnie w rządzie, jest ten, że Manifest Sejmu Litwy do Ludu Wileńskiego, jako akt wrogi władzom wileńskim i polskim, separującym ten lud od Kowna, może wywołać komplikacje międzynarodowe i wywołać zarzut, że Litwa, która jednocześnie toczy z Polską proces o sprawę wileńską wobec Ligi Narodów, postępuje nielojalnie, schodząc z gruntu prawnego w procesie formalnym na tory odezw bezpośrednich do ludności Wileńszczyzny i przeto podburzania jej; co prawda, można by w odpowiedzi na ten zarzut wskazać, że pierwsza zeszła z gruntu formalnego Polska, zarządzając w tej chwili wybory do Sejmu w Wilnie i usiłując przeto przesądzić spór formalny w ramach prawnych faktami dokonanymi; ale jeżeli w rządzie i większości sejmowej tkwi jeszcze ukryta wiara w zbawienną pomoc nacisku Ligi Narodów i w przeprowadzenie *quand meme* jakimś sposobem projektu Hymansa – to oczywiście tego rodzaju wystąpienia, jak deklaracje uroczyste i zwłaszcza manifesty do ludu wileńskiego – muszą być uważana za niepożądane i niewłaściwe. Mój projekt został dziś z rękopisu przedrukowany w szeregu egzemplarzy na maszynce i jutro będzie doręczony członkom rządu, *leaderom* frakcji sejmowych i niektórym działaczom sejmowym z liczby tych zapewne, którzy brali udział w zebraniu z d. 19 listopada. Następnie projektujemy zebrać się w gronie zaproszonych działaczy społecznych w niewielkiej liczbie, aby omówić szczegółowo sprawę, zadecydować o formie – manifestu czy deklaracji, ustalić ostatecznie tekst projektu i przedstawić go rządowi lub w porozumieniu z rządem – frakcjom sejmowym do wniesienia do Sejmu.

1 grudnia, rok 1921, czwartek
Przychodził dziś do mnie do Trybunału Franek Olechnowicz. Przychodził w towarzystwie „anioła-stróża", to znaczy dodanego mu do eskortowania żołnierza. Nie jest wolny. Dowiedziałem się od niego, że po przetrzymaniu go w ciągu paru dni w areszcie został co prawda uwolniony, ale postawiono mu warunek, aby się zobowiązał na piśmie opuścić niezwłocznie terytorium Republiki Litewskiej. Olechnowicz odmówił, podając motyw ten, że skoro zaangażował się u Žemaitisa na korektora broszur, wydawanych przez Komisję dla spraw Litwy Wschodniej i wziął od Žemaitisa *a conto* przyszłej pracy zaliczkę (Žemaitis istotnie na moją rekomendację wypłacił mu 500 mk. zaliczki, zaangażowawszy go na korektora), więc nie może opuścić terytorium Litwy, bo przez to samo uchybiłby przyjętemu zobowiązaniu, czego nie zwykł czynić. Czy rzeczywiście tym motywem skrupułów uczciwości kierował się Olechnowicz, czy też chciał po prostu postawić na swoim i odzyskać wolność bez zastrzeżeń, do czego dąży i teraz – tego nie wiem. Ale dobrze odpowiedział i dobrze zrobił. Wtedy oświadczono mu, że zostanie internowany i skierowano do obozu internowanych na Fredzie, gdzie siedzi obecnie. Czynione są przez Białorusinów z grupy rządu Łastowskiego starania o uwolnienie go, Žemaitis zaś ze swej strony zwrócił się z tym do ministra Skipitisa, prosząc o szybsze i dokładne wyjaśnienie sprawy Olechnowicza i uwolnienie go, jeżeli nie ma jakichś przeciw niemu poszlak szczególnych o czymś konkretnym. Czy jednak to zależy od władz cywilnych – tego nie wiem. Sądzę wszakże, że gdyby nawet zależało od władz wojennych, to odpowiednia interwencja czynników takich, jak minister spraw wewnętrznych Skipitis, a w tym wypadku i Siemaszko jako minister spraw białoruskich, byłaby skuteczna. Osobiście nie

przypuszczam, aby cośkolwiek wrogiego Litwie mogło ciążyć na Olechnowiczu. Przy aresztowaniu go wystawiono mu róznego rodzaju zarzuty, nieistotne, świadczące raczej o podejrzliwości władz milicyjnych, niż o jakichś poszlakach czegoś konkretnego. Dziwiono się np., że on, znany literat białoruski, zaangażował się na nędzne występy w pospolitym kabarecie restauracyjnym; zaznaczono, że na piętrze nad tym kabaretem mieści się jakaś „misja polska"; wskazywano, że na ulicy rozmawiał z kimś o czymś, co się wydało milicji niewyraźnym, choć nie zechciano wymienić, z kim to była toczona ta rozmowa; do nieporozumienia przyczyniło się może i to, że Olechnowicz nie mógł się wykazać, gdzie nocował w Kownie w ciągu pierwszych kilku dni (nocował przecież u mnie, ale ja go sam prosiłem, aby o tym nie mówił, bo ponieważ nie meldował się w księdze domowej, więc gdyby się to ujawniło, mógłbym być osztrafowany i ja, i właściciel domu). Co najgorsze – to, że posądzam, iż przyczyna aresztowania, a stąd i internowania Olechnowicza wyszła od Siemaszki. Jeszcze w niedzielę, kiedym był u Siemaszki i powiedział mu o Olechnowiczu, Siemaszko wspomniał, że może należałoby go zaaresztować i potrzymać pod kluczem przez parę tygodni, bo przez jakiś czas (w r. 1919) Olechnowicz wydawał pismo białoruskie za polskie pieniądze („Białoruskaje Życcio"[662]). Przyjąłem to zresztą za żart. Ale u Siemaszki był i Donat Malinowski[663]. Otóż Malinowski i Siemaszko są właśnie ludźmi, którzy są na takie rzeczy gotowi. Malinowski szczególnie, ale, niestety, i Siemaszko także. Są na pozór dobroduszni, ale w gruncie złośliwi i wierzący w skuteczność środków policyjnych, którymi chcą dusić wszelką poszlakę nieprawomyślności litewskiej. Mają w naturze coś z rasy czynowników rosyjskich, pełnych obłudy i dobroduszności, pomieszanej z chytrością policjanta czy szpiega. Z przykrością to stwierdzam o Siemaszce, który należy do naszego Związku ścisłego. Gdyby nie należał i ktoś jego kandydaturę zgłosił, byłbym głosował przeciwko niemu. Lubię go nawet, ale nie ufam czystości jego środków działania, płynących nawet skądinąd z przekonania i pewnych źródeł jego charakteru, do których należy uczciwość i fanatyzm, zmieszana z pewną perwersją. Nie jestem pewny, czy w sprawie Olechnowicza jest ręka Siemaszki, ale posądzam, że tak, a ewentualnie, że jeżeli nie Siemaszko, to Malinowski coś w tym zawinił. Napisałem do Siemaszki o tym, że Olechnowicz nocował u mnie, i odwołałem się do niego, by poczynił stąd wnioski w celu uwolnienia Olechnowicza.
Może i niesłusznie posądziłem Siemaszkę, bo oto w tej chwili Jadzia przyniosła mi od niego odpowiedź na mój list; Siemaszko pisze, że wczoraj cały dzień latał w sprawie uwolnienia Olechnowicza i że wreszcie tenże został uwolniony dziś rano na osobiste poręczenie Siemaszki. Ale jeszcze koło południa Olechnowicz był u mnie w towarzystwie eskortującego żołnierza, a więc jeszcze nie wolny. Chyba, że wyszedł z obozu na badanie wcześniej, zanim przyszedł rozkaz o uwolnieniu. Ucieszę się, gdy go ujrzę wolnego, bo nie tylko osobiście mi go żal, ale też uważam tę rzecz za szkodliwą dla sprawy wileńskiej i w gruncie rzeczy niewiele się różniącą od aresztowania Šilinga w Wilnie, szczególnie gdy się to robi względem Białorusinów, których Litwa powinna właśnie zjednywać, bo wbrew nim rozstrzygnięcie sprawy wileńskiej w kierunku dodatnim dla Litwy nie może nastąpić. Co do Šilinga, to uwolniono go wreszcie z więzienia w Wilnie i w tych dniach wrócił on do Kowna.

2 grudnia, rok 1921, piątek

[662] „Беларускае жыцьцё".
[663] Malinowski Donat (Malinauskas Donatas) (1869-1942), członek litewskiego ruchu narodowego, sygnatariusz Aktu Niepodległości Litwy (1918 02 16), 1911-1912 należał do loży masońskiej „Litwa" na czele z M. Römeem, został jednak z niej wydalony za nieprzestrzeganie zasad masońskich i norm moralnych.

Co będzie, jak Litwa odrzuci projekt Hymansa, a Sejm zwołany przez Polaków w Wilnie albo oświadczy się za wcieleniem Wileńszczyzny do Polski, jak chcą endecy, albo, jak chcą federaliści, ukonstytuuje jakiś twór quasi-autonomiczny w związku z Polską i zwróci się bezpośrednio lub pośrednio do Kowna z propozycją udziału w tej formacji związkowej, o czym oczywiście Litwa i słuchać nie zechce?
Takie zaś mianowicie są perspektywy na czas najbliższy. Jeżeli wierzyć Siemaszce, w usposobieniu Rady Ministrów zaszła zmiana. Czy wpłynął na nią zamach terrorystyczny na Gałwanowskiego i przekonanie się o tym, jak dalece ostrą i zdecydowaną na opór jest opozycja i jak przeto niewykonalnym byłoby narzucenie opinii litewskiej przyjęcia projektu Hymansa, czy też kierownicze sfery Sejmu uplanowały zmianę taktyki – mniejsza o to. Słowem, jak twierdzi Siemaszko, obecnie nie ma już mowy o wyrażeniu przez rząd zgody na przyjęcie projektu Hymansa. Kwestia w Radzie Ministrów stawia się już podobno teraz tylko tak: czy po prostu odrzucić projekt Hymansa czy też, odrzuciwszy go, przedstawić mu jednocześnie własną propozycję w postaci owych tzw. „rezerw”. Z drugiej strony, w Wilnie zarządzone zostały wybory do Sejmu, mające ogarniać cały teren formalny tzw. Litwy Środkowej, włącznie z powiatami (lidzki, brasławski), zajętymi przez wojsko i władze cywilne nie Żeligowskiego, lecz Rzeczypospolitej Polskiej. „Federaliści” walczą z endekami o to, czy Sejm ma orzec prostą aneksję do Polski, czy też utworzyć stosunek związkowy kraju z Polską. W koncepcji „federalistów” orzeczenie przez Sejm w Wilnie stosunku związkowego „Litwy Środkowej” z Polską ma być faktem dokonanym, stanowiącym haczyk do wciągnięcia w ten stosunek związkowy całej Litwy, to znaczy i tej naszej tzw. „Kowieńskiej”. Ale jeżeli ta nasza, właściwa Litwa na to nie pójdzie? Jeżeli nie poszła na projekt Hymansa, to tym mniej szans, by poszła na to. Co wtedy? Rzecznicy przyjęcia projektu Hymansa pośród Litwinów twierdzą, że Polska dokona wtedy okupacji zbrojnej całego kraju, to znaczy Kowna, Żmudzi itd., aby sforsować Litwinów; wskazują, że nie tylko logika polityki polskiej zmierza z konieczności do tego, ale i politycy europejscy, zwłaszcza francuscy, uprzedzają o tym Litwinów. Dlatego też rzecznicy przyjęcia projektu Hymansa radzą przyjąć mniejsze zło, dopóki jeszcze czas i dopóki można za tę cenę pozyskać poparcie Ligi Narodów i czynników Ententy przeciwko ostatecznym konsekwencjom dążeń polskich. Natomiast spośród przeciwników przyjęcia projektu Hymansa jedni twierdzą, że prognoza o gotującej się okupacji polskiej to są tylko „strachy na Lachy”, tylko postrach, szerzony umyślnie dla sforsowania na opinii i rządzie litewskim przyjęcia projektu Hymansa; inni jednak uznają całkowicie realną możliwość takiej okupacji, uważając, że Polsce w istocie rzeczy chodzi nie o Wileńszczyznę, której posiadanie trwałe zresztą w oderwaniu od zachodniej części Litwy jest bardzo problematyczne, lecz nade wszystko chodzi właśnie o Litwę „Kowieńską”, Żmudź, dolny Niemen, ujście jego, Kłajpedę i słowem – dostęp do morza. Litwa zachodnia z Kłajpedą jest Polsce potrzebna i sama poprzez się ze względu na wybrzeże bałtyckie, i jako umocnienie posiadania Wilna z Grodnem i całej Białej Rusi w granicach Traktatu Ryskiego; wszystkie kombinacje polskie i Piłsudskiego z Wilnem są tylko środkiem do sforsowania i zniewolenia Litwy zachodniej, a środkiem ostatnim, zachowywanym w rezerwie, jest okupacja zbrojna. Oczywiście nie można twierdzić, żeby to rozumowanie było całkiem pozbawione logicznego uzasadnienia. Jednak przeciwnicy projektu Hymansa nie boją się takiego wyniku sprawy, a niektórzy uważają nawet, że to byłoby najlepsze i że w ostatecznym wniosku taki gwałt na Litwie jeno by ją wzmocnił moralnie. Możliwe – w każdym razie kryzys jest ostry i trwa w całej pełni; może on przechodzić jeszcze najrozmaitsze etapy i gotować nam nadzwyczajne niespodzianki, bo z czasem przyjść one mogą nie tylko ze strony Polski, ale i ze strony Rosji. Tymczasem jednak ten stan kryzysowy może być

przewlekły i ciągnąć się miesiącami i latami. Litwa jest, zdaje się, daleka od spokojnego portu.
Dziś śniłem wkroczenie wojsk polskich do Kowna; zdawało mi się, jak żebym był gdzieś na przedmieściu Kowna i nagle ukazała się szpica przedniej straży wojska polskiego, której komendant, młody podoficer, zrównawszy się z pierwszymi domami przedmieścia, wydał okrzyk: „Niech żyje Polska! Niech żyje Kowno!". Doznałem przykrego uczucia. Przykro mi było widzieć tych żołnierzy polskich, ten mundur i tego orzełka na czapce, w których szeregach sam przed kilku laty byłem, wierząc w wolnościowy czynnik tej młodej armii i młodej Polski Piłsudskiego – w roli tych, co przychodzą zgwałcić młode pędy niepodległości Narodu Litewskiego i nadać Litwie kształt nie taki, jaki ona z własnej woli mieć chce, lecz taki, jaki jest Polsce pożądany, by uczynić z niej służebnicę, a w istocie niewolnicę, tchnącą nienawiścią i zemstą. Obudziłem się pod przykrym wrażeniem.

3 grudnia, rok 1921, sobota
Odbyło się posiedzeniu naszego Związku ścisłego. Obecny był na posiedzeniu dr Jerzy Romm z Wilna, senior naszego Związku, jeden z pierwszej siódemki, która w końcu r. 1910 czy na samym początku 1911 zapoczątkowała w Wilnie formację tego Związku. Jest to Żyd, znany w Wilnie działacz społeczny i chirurg, człowiek obozu postępowego w społeczeństwie żydowskim, jeden z pierwszych, który wraz ze swym zmarłym bratem Eliaszem Rommem, pozostając działaczami w społeczeństwie żydowskim, nie zamykali się w nim i nie ograniczali, jak większość inteligencji żydowskiej, do kontaktu ze stronnictwami rosyjskimi na gruncie ogólno-państwowym Rosji, lecz wyczuwali warunki i układ szczególny naszego kraju i szukali przeto kontaktu ze społeczeństwem krajowym, z żywymi prądami w łonie jego złożonego układu narodowego, z tym wszystkim, co życie krajowe wytwarzało. Dziś jest to staruszek u schyłku, na którym znać już rozkładowe działanie wieku. Przed paru tygodniami wrócił on z Francji, gdzie bawił od lat paru i znużony zawieruchą polityczną, strapiony wypadkami życia osobistego (ma żonę młodą, którą pojął przed laty około dziesięciu i która postradała zmysły; osadził ją w domu obłąkanych w Berlinie i pozostał sam z synkiem 8-letnim), nie wraca do Wilna, nie mogąc już znieść ciągłego wrzenia, jakim Wilno kotłuje i pozostaje tu, w Kownie lub jakimś innym mieście Litwy zachodniej. Oprócz starego Romma, obecni byli na posiedzeniu: ja, Kairys, Siemaszko, Wacław Biržiška, Bielackin, Janulaitis, Žemaitis, Kacenelenbogen i Czapiński. Była, jak zwykle, mowa o kandydaturach, a następnie była omawiana sytuacja w Wilnie i potrzeba wydania przez Sejm deklaracji w sprawie wileńskiej.
Odrzucenie projektu Hymansa stało się faktem. Rada Ministrów uchwaliła odrzucić go. Bolszewicy grożą sądowi! W Trybunale mamy z Sądu Armii bardzo dużo spraw bolszewickich, o agitację bolszewicką w Litwie, z pewnością tyleż, a może i więcej, niż spraw polskich. Nie lubię tych spraw, bo jestem w ogóle zasadniczym przeciwnikiem walki z prądami politycznymi metodą represji karnej i przeto nie może mi sprawiać satysfakcji być osobiście narzędziem tej represji. Ściganie karne uznaję tylko tam, gdzie polityczna akcja rewolucyjna jest poparta gwałtem czynnym. Tam ustrój państwowy i społeczny mają prawo i podstawę do samoobrony represją, która jest także gwałtu postacią. A ponieważ Litwa, choć się ogłosiła na republikę demokratyczną, jest jeszcze w sferze świadomości prawnej przepojona pojęciami ustroju politycznego Rosji absolutystycznej, do której należała – co się szczególnie ujawnia w pojęciach prawnych inteligencji litewskiej – i ponieważ czynnym jest w kraju kodeks karny rosyjski, co ułatwia konserwację starych pojęć i praktyk, niezgodnych z ustrojem republikańsko-demokratycznym, a stan wojenny, funkcjonujący stale, działa w tymże kierunku – więc

w stosunku do spraw politycznych nie tylko władze milicji i administracji, ale i władza sądowa działają, moim zdaniem, bardzo wadliwie. Toteż przy sądzeniu tych spraw w Trybunale po większej części różnię się w zdaniu od moich kolegów i głosuję osobno. Nieraz też zgłaszać muszę *vota separata*. Przed pary tygodniami czy tygodniem rozpoznawana była w Trybunale sprawa Šaparasa i innych, wybranych na radnych miejskich m. Kowna, jawnych komunistów, bo nie ma wątpliwości, że odezwy komitetu tej grupy wyborczej zawierały cały arsenał komunistyczno-bolszewickich haseł i argumentów. Z tego i z pewnych innych poszlak wysnuto oskarżenie o przynależność członków danego komitetu wyborczego do tajnej organizacji rewolucyjnej i o agitację wywrotową. Sąd Armii ich skazał. W Trybunale my z Janulaitisem zgłosiliśmy *vota separata* na rzecz uniewinnienia, bo głosami prezesa Kriščiukaitisa i członka Sądu Armii wyrok Trybunału uznał ich winnymi. Janulaitis zgłosił *votum separatum* dlatego, że uważał winę za nie dowiedzioną, ja zaś nie tylko dlatego, ale też dlatego, że uważam wysuwanie oskarżenia politycznego karnego w legalnej akcji wyborczej za pozbawienie wolności wyborów i zasadniczego wykonywania praw obywatelskich. Otóż skazany Šaparas przesłał „protest" przeciwko wyrokowi Trybunału. Jeden egzemplarz „protestu" tego skierował do Prezydenta Republiki, drugi Šaparas do samego Trybunału. W „proteście" swym nazywa wyrok Trybunału bezwstydnym i wyraża pogróżkę, że „lud w swoim czasie potrafi i nie omieszka wyciągnąć z tego wnioski właściwe". Oczywiście skierowaliśmy „protest" Šaparasa do prokuratora w celu wytoczenia jego autorowi oskarżenia o obrazę sądu. Nie po raz to pierwszy komuniści grożą. Bywały pogróżki i bardziej konkretne, ale wtedy są one anonimowe.

4 grudnia, rok 1921, niedziela
Byłem po obiedzie na dorocznym walnym zgromadzeniu członków Litewskiego Towarzystwa Prawniczego, które się odbyło w sali posiedzeń sądu pod przewodnictwem prezesa Trybunału i zarazem prezesa zarządu tegoż Towarzystwa – Kriščiukaitisa. Litewskie Towarzystwo Prawnicze było założone w r. 1920, ale przez półtora roku istnienia nic nie zdziałało. Członkowie Towarzystwa byli się podzielili na cztery sekcje – sekcja organizacji sądownictwa, sekcja prawa cywilnego, sekcja prawa karnego i sekcja notarialna, ale wszystkie te sekcje pozostały na papierze. Zarząd, do którego należeli Kriščiukaitis, Janulaitis, Leonas, Staszyński i Noreika – spał; od listopada 1920 do października 1921 nie zbierał się ani razu. Jedyna żywa kwestia, która była przez zarząd rozpoznawana, to sprawa organu prawniczego, ale i ta nie została nie tylko doprowadzona do końca, ale nawet w stadium przygotowawczym zakończona. Na posiedzeniu dzisiejszym uwydatniło się jaskrawie niedołęstwo zarządu, a stąd i niezadowolenie członków, których większość sama jest zresztą dużo winna, bo na myśl nikomu z nich nie przychodziło cośkolwiek robić samym, napędzać zarząd lub z inicjatywą jakąś występować. Kriščiukaitis przewodniczył dziś zebraniu niezdarnie. W dyskusji tylko kilka osób reagowało żywo na omawiane zagadnienia i ujawniało w ogóle gorętszą i pełną emocji myśl, w ich liczbie zwłaszcza sędzia śledczy do spraw szczególnej wagi Toliušis[664], sędzia okręgowy Sugint, Janulaitis, poniekąd juryskonsult Ministerium Wojny Papečkis[665] i sędzia Sądu Armii Landsberg. Z adwokatury przybyło

[664] Toliušis Zigmas (1889-1971), prawnik, adwokat.
[665] Papečkys Juozas (1890-1942), prawnik, działacz państwowy i wojskowy na Litwie, pułkownik-lejtnant. 1916 ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Moskiewskim. Zmobilizowany do wojska, w 1917 ukończył Aleksiejewską Szkołę Wojskową, służył w pułku piechoty. 1917 doradca prawny Komitetu Zesłańców Litwinów w Moskwie. Po przewrocie bolszewickim 1917 w Rosji wyjechał na Kaukaz. Zmobilizowany w 1917, walczył w Białej Armii generała Antona Denikina. 1919 wrócił na

na zebranie zaledwie parę osób: członkowie zarządu Leonas i Noreika, adwokat Tumenas i bodaj nikt więcej. Ogółem było do 20 członków. W sprawie pisma prawniczego zebranie wypowiedziało się za tym, aby redagowaniem i wydawnictwem pisma zajęło się Towarzystwo. Zachodziło bowiem kwestia, czy pismo to ma wydawać bezpośrednio Ministerium Sprawiedliwości, czy też Towarzystwo Prawnicze za subsydium z Ministerium. Ministerium środki na ten cel ma i zgadza się udzielać subsydium Towarzystwu. Niewątpliwie pismo prawnicze, które jest samo przez się niezmiernie potrzebne dla młodego państwa litewskiego i w szczególności dla jego młodego i pod wielu względami szwankującego sądownictwa, ożywi zarazem Towarzystwo. Nie byłem do końca posiedzenia. Gdy zarządzono wybory zarządu, wyszedłem. Kto został do zarządu wybrany – nie wiem. Mam nadzieję, że wprowadzono doń siły świeże i żywsze.

5 grudnia, rok 1921, poniedziałek
Nie wspominam każdorazowo w dzienniku o każdym napisanym przeze mnie artykuliku do dziennika „Litwa", gdzie pisuję od czasu do czasu pod pseudonimem „Rys". Tę pracę publicystyczną bowiem w „Litwie", zresztą epizodyczną, mało cenię. Nie jestem tego pisma zbyt gorącym wielbicielem, bo nieraz jego ton w stosunku do Polski i Polaków, wprawdzie zrozumiały ze względu na psychologię walki, której wina, zdaniem moim, na Polskę, nie zaś na Litwinów, spada – razi mię. Poza tym, wpływy tego pisma i sfera jego poczytności są bardzo małe, toteż artykuły, umieszczane w tym dzienniku, są w przeważnym stopniu głosem w próżni, co oczywiście obniża wartość takiej pracy i czyni włożony w nią wysiłek dość jałowym i mało przyjemnym. Zbyt duża jest niewspółmierność między wartością wewnętrzną zawartych w tej pracy mojej myśli a ich działaniem. Pisuję tam od czasu do czasu tylko na usilną prośbę Žemaitisa, który czuwa nad redakcją tego pisma. Zresztą wszystkie te artykuły moje tam drukowane wcielam do zbioru moich prac publicystycznych, który zacząłem obecnie znów kompletować, jak to czyniłem przed wojną. Zbiór ten, złożony z wycinków z różnych pism, zawierających moje artykuły i naklejonych w osobnych ku temu zeszytach, pozostanie, jeżeli nie zaginie na skutek jakiegoś przypadku, moją spuścizną publicystyczną. Znajdzie się w nim niejedno ziarno myśli dzielnej dla budowy naszych stosunków krajowych. Może kiedyś ujrzy on światło publiczności w wydaniu osobnym. Czy za życia mojego to nastąpi i czy ja to zrobię – wątpię. Zbyt jestem na to samotny. Zacząłem poza tym pisywać do „Przeglądu Wileńskiego" Ludwika Abramowicza, ale ze względu na trudności i powolność skomunikowania się z Wilnem, artykuły moje do „Przeglądu" sączą się rzadko. Co zaś do wielkiej pracy mojej o stronnictwach politycznych litewskich, to po wysłaniu jej drugiej części do Michała Biržiški w Wilnie nie otrzymałem jeszcze od niego odpowiedzi i nie wiem, jakie będą jej losy wydawnicze, toteż na razie jej ostatniej części nie piszę.
Ciekawe są wiadomości o stanowisku Żydów wileńskich w sprawie zarządzonych przez władze tameczne wyborów do Sejmu w Wilnie. Żydzi na ogół, a wileńscy w szczególności, byli za przyjęciem przez Litwę projektu Hymansa. Co dla nich jest ze wszystkiego najgorsze, to pokawałkowanie Litwy na małe cząsteczki osobne. Ścisła niepodległość, do której Litwini tak wielką wagę przywiązują, Żydów mniej obchodzi, byle Wilno z Kownem tworzyło jakiś zespół; a że między tą zespoloną Litwą a Polską byłyby pewne więzy, to Żydom raczej na rękę. Żydzi wileńscy, których Polacy tamże bardzo kokietują i których za wszelką cenę starają się skłonić do udziału w wyborach

---

Litwę, wstąpił na ochotnika do wojska. Mianowany pomocnikiem obrońcy z urzędu w sądzie wojskowym. Występował jako oskarżyciel państwowy w sprawie POW.

do Sejmu, bo sam fakt, że czynnik tak poważny i niepolski w Wileńszczyźnie, jak Żydzi, brać będą udział w Sejmie, nada temu Sejmowi większą wagę wobec świata, gdyż pozbawi go jednostronności i wyłączności polskiej – skłaniają się obecnie coraz bardziej do zaniechania głoszonego przez nich w roku zeszłym bojkotu tych wyborów i do udziału czynnego w wyborach, widząc, że sytuacja prowizoryczna przedłuża się *ad infinitum* bez widoków rozwiązania i że ze strony litewskiej nie ma woli kompromisu, która by umożliwiła jakieś perspektywy inne i możność budowania jakichś kombinacji na nich. Litwinów to drażni i niepokoi, choć są i tacy, którzy niekoniecznie uważają wybory do Sejmu i sam Sejm za zło bezwzględne – zwłaszcza na lewicy. Na ogół jednak Litwini są pewnym zachwianiem stanowiska bojkotowego Żydów wileńskich zaniepokojeni i poniekąd zgorszeni, choć publicznie się jeszcze w tej kwestii nie wypowiadają. Nawet wśród syjonistów w Wilnie jest pewien odłam, skłaniający się do udziału w wyborach i w Sejmie, u demokratów zaś i socjalistów żydowskich skłonność ta jest jeszcze większa i wyraźniejsza. Oczywiście Żydzi działają w tej mierze bardzo ostrożnie, z wielkim taktem i sprytem. Żądają za to koncesji w stosunku Polaków do sprawy żydowskiej w samej Polsce, no i zapewne – ja przynajmniej w to nie wątpię – żądają pewnych zastrzeżeń i gwarancji ze strony federalistów polskich (a to federaliści głównie traktują z Żydami i dążą do pozyskania ich udziału w Sejmie) – przeciw aneksji Wilna do Polski i na rzecz postulatów, które by nie zamykały dróg do odbudowy zespołu Wilna z Litwą zachodnią. Z tego względu uważam nawet rolę Żydów wileńskich w tym trudnym zagadnieniu za dodatnią, która może uczynić z tego Sejmu może nawet coś dodatniego dla sprawy. Oczywiście w tej grze o udział w wyborach do Sejmu w Wilnie umieją znakomicie działać na dwa fronty. Polakom wskazują na to, jak wielką czynią ofiarę, skłaniając się do udziału w Sejmie, Litwinom zaś, którzy się tym niepokoją i gorszą, tłumaczą, że nie mogą robić inaczej ze względu rzekomo na obawę pogromów ze strony polskiej w przeciwnym razie. Bardzo ciekawym i dużo dającym do myślenia jest fakt bytności starego Rozenbauma[666], prezesa Rady Narodowej Żydowskiej i posła do Sejmu Ustawodawczego Litwy, w Warszawie. Są rewelacje o tym, że wycieczka ta była uczyniona w porozumieniu z ministrem spraw zagranicznych Polski Skirmuntem[667]. Ale o tym już chyba innym razem.

6 grudnia, rok 1921, wtorek
Olechnowicz dotąd nie jest zwolniony z obozu internowanych. Pomimo starań Białorusinów z rządu Łastowskiego, pomimo zabiegów Siemaszki, pomimo interwencji Žemaitisa, pomimo pierwotnych obietnic kilku innych ministrów, ostatecznie nie zwolniono go. Jak mi dziś mówił Žemaitis, sprawa Olechnowicza nie przedstawia się tak prosto, jak się to nam na razie mogło zdawać. Žemaitis sam rzecz tę zbadał. Okazuje się, że o przybyciu Olechnowicza do Kowna odpowiednie władze policyjne litewskie

---

[666] Rozenbaum Szymon (1859-1934), prawnik, poseł-senior w Sejmie Ustawodawczym, należał do frakcji żydowskiej, pracował w Komisji Redakcyjnej i Spraw Zagranicznych. 1920-1924 przewodniczący Rady Narodowej Żydowskiej na Litwie, syjonista. 1918 11 12 dokooptowany do Rady Stanu Litwy, 1918-1919 wiceminister spraw zagranicznych. 1919 członek delegacji litewskiej na Konferencję Pokojową w Paryżu. Opracowała w języku francuskim memorandum w sprawie Wileńszczyzny, wydane jako osobna broszura pt. „La Question Polono-Lituanienne" w Paryżu w 1919 r. Przy ustalaniu granicy wschodniej państwa litewskiego uzasadniał roszczenia terytorialne Litwinów względami historycznymi i prawnymi. W tej sprawie opracował wspólnie z Juozasem Purickisem osobne memorandum. Zebrany przezeń materiał etnograficzny, historyczny i statystyczny został w 1919 r. wydany w Paryżu pt. „Les territoires Lituaniennes. Le Gouvernement de Grodno".

[667] Skirmunt Konstanty (1866-1949), polityk i dyplomata polski. Od 11 czerwca 1921 r. do 6 czerwca 1922 r. minister spraw zagranicznych Polski.

były tu już uprzedzone jeszcze przed jego przybyciem; donieśli o tym do Kowna agenci wywiadowczy litewscy z Wilna, komunikując, że Olechnowicz jest wysłany przez tzw. defensywę polską w Wilnie (znakomity II oddział w Wilnie, na którego czele stoi Marian Kościałkowski i który kieruje akcją wywiadowczą i propagandy politycznej). Toteż odpowiednie czynniki w Kownie roztoczyły nad Olechnowiczm od chwili przekroczenia przezeń linii demarkacyjnej czujny dozór. Wiedziały one dobrze, gdzie on nocował, gdzie bywał w Kownie i co robił. Były uprzedzone, że Olechnowicz ma wrócić do Wilna na 14 grudnia, toteż nie spieszyły się z aresztowaniem go i czekały na wystaranie się tu przezeń przepustki na wyjazd do Berlina. Gdy już Olechnowicz przepustkę tę otrzymał, zaaresztowano go. W zeznaniu milicji po zaaresztowaniu go sam Olechnowicz zeznał, że do ostatnich czasów chodził w Wilnie stale do II oddziału, bywając tam mniej więcej co dwa tygodnie, gdzie się widywał z jednym z wybitniejszych (dodam – i sympatyczniejszych) działaczy politycznych II oddziału – oficerem Olejniczakowskim oraz Trzeciakiem (ten ostatni zbiegł do Wilna z Litwy i służył w II oddziale), których Olechnowicz wskazał jako swoich znajomych osobistych, i że otrzymywał z II oddziału subsydia na teatr białoruski. Osobiście nie chciałbym przypuszczać, że Olechnowicz przybył tu istotnie w celach szpiegowskich, jako agent-informator II oddziału, bo zresztą wydaje mi się on zbyt mało orientujący się w dziedzinie politycznej, ale trudno się dziwić Litwinom, że się im ten jego przyjazd wobec takich okoliczności wydaje podejrzanym i że się oni asekurują od takich możliwości. Ostatecznie – kto wie: dziś trudno za kogokolwiek ręczyć; Olechnowicz jest wykolejeńcem, lubi wypić, pieniędzy potrzebuje zawsze, bo nie umie ich gospodarnie używać, poza tym z gruntu jest bardziej Polakiem, niż Białorusinem i stąd może mieć naturalne do Polski i Polaków ciążenie, wreszcie – ta wojna tak ludzi zdemoralizowała i tak ze wszystkim oswoiła, że kto wie!
Wspomniałem wczoraj o „wycieczce” starego Rozenbauma, jednego z głównych macherów politycznych żydowskich, do Warszawy. Rozenbaum, były adwokat miński, wnęcił się do Litwy od początku jej powstania i potrafił grać tu rolę wybitną. Został prezesem autonomicznej Rady Narodowej Żydowskiej w Litwie, jest posłem do Sejmu Ustawodawczego, jest jednym z zaufanych doradców Puryckiego, *persona grata* w Ministerium Spraw Zagranicznych. Jego „wycieczka” do Warszawy, która się okazała ukartowaną i zabarwioną charakterem wybitnie politycznym, była dla opinii politycznej litewskiej i dla samej Rady Ministrów nowiną niespodziewaną. Dopiero z prasy warszawskiej, z wywiadów umieszczonych w jej organach, z rewelacji o misji politycznej urzędowej czy półurzędowej Rozenbauma w tej podróży dowiedziano się ze zdumieniem w Kownie o przyjeździe Rozenbauma do Warszawy. Dowiedziano się i zgorszono, bo Rozenbaum był traktowany w Warszawie jak jakiś pośrednik zaufany, wysłany z Litwy do zbadania gruntu co do szans porozumienia litewsko-polskiego. Miał on tam szereg spotkań, zakończonych konferencją z polskim ministrem spraw zagranicznych Skirmuntem. Zaalarmowane czynniki polityczne litewskie częściowo z rewelacji prasy warszawskiej, częściowo z innych źródeł doszły po nitce do kłębka i wykryły pewne elementy z genezy tej podróży: okazało się, że Rozenbaum skomunikował się zawczasu z komendantem polskim w Królewcu, który pośredniczył w skomunikowaniu się jego ze Skirmuntem co do jego przyjazdu. Pewnym nawiązaniem tego kontaktu były poprzednie jeszcze z przed wojny stosunki polityczne Rozenbauma ze Skirmuntem. Konsulat polski w Królewcu telegraficznie przesłał Rozenbaumowi zaproszenie do przyjazdu do Warszawy do Skirmunta. W tych dniach Rozenbaum już wrócił do Kowna. Okazało się, że z Warszawy, zdążył zajrzeć do Wilna. Czynniki polityczne i społeczne litewskie były poruszone tym samozwańczym maklerstwem dyplomatycznym starego spekulanta politycznego.

7 grudnia, rok 1921, środa

Olechnowicz został jednak uwolniony. Twierdzi, że pojedzie tylko do Wilna po rzeczy i po swoją „żonę" obecną – tancerkę Niżyńską – i wróci na stały pobyt do Kowna. Czy jednak istotnie ma takie postanowienie, nie zważając na przygodę, która go tu spotkała, wydaje mi się wątpliwe. Zdaje się, że cały wypadek z jego aresztowaniem i wszystkie te posądzenia, którymi go obarczano, są tylko wynikiem nadmiaru gorliwości i podejrzliwości Departamentu Milicji i jego dyrektora p. Novakasa[668].

Dowiedziałem się dziś wypadkowo, że niedzielne walne zgromadzenie członków Litewskiego Towarzystwa Prawniczego wybrało mię do zarządu Towarzystwa. Nowy zarząd składać się będzie ze mnie, Kriščiukaitisa, Janulaitisa, sędziego śledczego Toliušisa i adwokata Noreiki. Z wielką przyjemnością wezmę udział w tej pracy. Najpilniejszą sprawą będzie organizacja pisma prawniczego.

Wracam jeszcze do afery Rozenbauma. Rada Ministrów, reagując na zaalarmowanie opinii publicznej wiadomością o wycieczce warszawskiej Rozenbauma i komentarzami prasy warszawskiej o charakterze tej wycieczki, wezwała go w poniedziałek na swoje posiedzenie, żądając wyjaśnienia i relacji. Wiem o tym od Žemaitisa, który był na tym posiedzeniu obecny i który nam wczoraj w Komisji do spraw Litwy Wschodniej referował o tym. Okazuje się, że chociaż Rada Ministrów nic o tej podróży dyplomatycznej Rozenbauma nie wiedziała, jednak podróż ta nie była całkowicie samorzutna; wycieczka Rozenbauma nastąpiła w porozumieniu z pewnymi czynnikami rządu; z jakimi mianowicie – tego nam Žemaitis, skrępowany poufnością, nie mógł zakomunikować, ale z niektórych szczegółów nietrudno się było domyślić, że przede wszystkim maczał w tym ręce Purycki. Po wysłuchaniu wyjaśnienia Rozenbauma minister do spraw żydowskich Sołowiejczyk oświadczył – i prosił to oświadczenie zaprotokołować – że Rada Narodowa Żydowska, reagując na ten krok Rozenbauma, zażądała ustąpienia jego ze stanowiska prezesa tejże i że również sejmowa frakcja poselska żydowska, nie solidaryzując się z Rozenbaumem, zażądała od niego złożenia mandatu poselskiego. Ze względu na obecność na posiedzeniu Rady Ministrów osób, nie należących do niej, prezes Ministrów, Grinius nie dopuścił do dyskusji i wniosków w sprawie Rozenbauma, oświadczając, że Rada Ministrów rozpozna tę sprawę w swoim łonie na następnym posiedzeniu.

W Komisji do spraw Litwy Wschodniej omawiana jest teraz sprawa organizacyjna, zaprojektowana w Radzie Ministrów z inicjatywy Sołowiejczyka. Jest to sprawa rozszerzenia składu osobistego tej Komisji, a raczej utworzenia przy niej Rady do spraw Litwy Wschodniej, złożonej z działaczy społecznych, obeznanych ze sprawą wileńską i stosunkami wileńskimi, po kilku od każdej narodowości – Litwinów, Żydów, Białorusinów, Polaków. Rada taka odbywałaby periodyczne posiedzenia regularne i wypowiadałaby swoją opinię we wszystkich kwestiach litewskiej polityki wileńskiej, Komisja zaś byłaby organem wykonawczym Rady. Ewentualnie Rada taka mogłaby się stać surogatem przedparlamentu, surogatem tego, czym była „Taryba" w r. 1918. Uważam pomysł Rady takiej za dodatni. Największa trudność będzie w dobraniu do tej Rady Polaków czy też obywateli kultury polskiej, bo przeważnie ci Polacy, którzy stoją

---

[668] Navakas Juozas (1899-1989), litewski działacz wojskowy i społeczny, pułkownik Sztabu Geberalnego. Uczył się w szkole realnej w Poniewieżu, jednak świadectwo maturalne uzyskał w 1926 r. w gimnazjum wiłkomierskim. W 1919 r. wstąpił na ochotnika do wojska litewskiego. W końcu tego samego roku ukończył szkołę wojskową i został wysłany do IV pułku piechoty, w którym w 1920 r. brał udział w walkach z Polakami. Był ranny. W 1923 r. ukończył wyższe kursy oficerskie i został przeniesiony do służby w lotnictwie wojskowym. W 1924 r. ukończył kursy oficerskiego lotnictwa wojskowego.

wyraźnie na litewskim stanowisku państwowym, nazywają siebie Litwinami kultury polskiej (Dowiatt, Dowgiałło, Milwid, Bitowt, Bilewicz). Oczywiście do Rady takiej mogą wejść tylko ci Polacy litewscy, którzy stoją kategorycznie na stanowisku państwowym Litwy. Kwestia ta nas z Žemaitisem bardzo obecnie zajmuje. Postanowiliśmy niewątpliwie powołać do tej Rady Jerzego Dowiatta [669]i Czesława Milwida. O innych jeszcze się zastanawiamy. Dowiatt bawi właśnie w Kownie i bardzo się tą Radą zainteresował. Był już u mnie kilka razy i u Žemaitisa. Bawi też w Kownie p. Dominik Dowgiałło[670], którego skomunikowałem dziś z Žemaitisem. Zaproszenie Dowgiałły do Rady jeszcze nie zostało ustalone. Przede wszystkim, chodziło mi o to, aby się Žemaitis z Dowgiałłą zapoznał i zorientował się, co to za człowiek. Dowgiałło może być bardzo pożądany czy to w tej Radzie, czy też w organizacji pisma, o którym Žemaitis wciąż myśli, projektując zreformowanie „Litwy" i oddanie jej do rąk grupy polskiej. O godz. 9 wieczorem spotkaliśmy się z Dowgiałłą i Žemaitisem w restauracji „Wersal". Rozmowa w gabinecie przy kolacji trwała do godz. 11 ½. Na razie rozmowa nie kleiła się, ale potem szła dobrze. Dowgiałło był na ogół bardzo powściągliwy, ale na Žemaitisa, jak mi ten potem powiedział, sprawił dobre wrażenie.

8 grudnia, rok 1921, czwartek
Od godz. 5 do 8 wieczorem odbyło się zebranie Komisji do spraw Litwy Wschodniej z udziałem garstki zaproszonych osób w sprawie deklaracji, względnie odezwy czy manifestu Sejmu w kwestii wileńskiej. Oprócz członków Komisji, to znaczy Žemaitisa, Rozenbauma młodszego i mnie, obecni byli minister do spraw białoruskich Siemaszko, minister do spraw żydowskich Sołowiejczyk, *leader* chrześcijańskich demokratów i jeden z najwpływowszych ludzi w Litwie ksiądz Vailokaitis[671], Białorusin Gołowiński, esdecy Bielski i Janulaitis. Przewodniczył Janulaitis. Po zagajeniu Žemaitisa porządek obrad ustalono taki: odczytanie mojego projektu odezwy (manifestu) Sejmu do Ludu Ziemi Wileńskiej, ustalenie, czy bardziej pożądana ma być forma deklaracji czy odezwy (manifestu) Sejmu do Ludu Ziemi Wileńskiej, ustalenie, czy bardziej pożądana ma być forma deklaracji czy odezwy (manifestu) i przez kogo ma być wydana – przez rząd czy przez Sejm, wreszcie jaka ma być treść takiego aktu. Zebranie nie miało niczego orzekać ani uchwalać, jeno wypowiedzieć swoją opinię, a raczej przedyskutować kwestię, aby w dyskusji tej Komisja dla spraw Litwy Wschodniej mogła zapoznać się ze zdaniem obeznanych z tą sprawą działaczy społecznych. Za formą manifestu od imienia Sejmu wypowiedzieliśmy się ja, Bielski, Žemaitis i bodajże także Siemaszko. Przeciw manifestowi, a tylko za deklaracją sejmową, analogiczną do deklaracji, przyjętej przez Sejm w sprawie Kłajpedy, wypowiedział się Vailokaitis. Sołowiejczyk wypowiedział się za deklaracją przede wszystkim rządową, ewentualnie także sejmową, co zaś do odezwy, to wyraził zastrzeżenia, przede wszystkim te, że należałoby z tym może nie śpieszyć, aby nie powiedzieć czegoś, czemu wypadki zaprzeczą i raczej zaczekać, aż się wyklarują różne fakty i szczegóły co do stanowiska grup i narodowości wileńskich wobec ogłoszonych wyborów do Sejmu. Była też mowa o tym, czy należy wiązać tę deklarację, względnie manifest z odpowiedzią odmowną na projekt Hymansa, czy też wydać ją osobno, względnie nawiązać do protestu przeciwko zarządzonym przez władze okupacyjne w Wilnie i przez Sejm polski w Warszawie wyborów do Sejmu Wileńskiego. Co do tego, ustalono po krótkiej wymianie zdań, że deklaracja o prawach autonomicznych Wileńszczyzny mogłaby być nawiązana i do odpowiedzi odmownej na projekt Hymansa, ale odezwa do ludności wileńskiej z odpowiedzią na

[669] Dowiatt Jerzy, Daujotas Jurgis (1873-1924), ziemianin, popierał litewski ruch narodowy.
[670] Dowgiałło Dominik (Daugėla Dominikas, 1867-1931), ziemianin z Siesik w pow. wiłkomierskim.
[671] Vailokaitis Justinas, ksiądz.

projekt Hymansa w żadnym razie łączona być nie może i mogłaby być tylko łączona z protestem Litwy przeciwko inscenizowaniu z Warszawy Sejmu w Wilnie. W tym duchu większość odpowiedziała na pierwotne zastrzeżenia Sołowiejczyka, że wydanie przez Sejm litewski manifestu, zwrócenie się Sejmu bezpośrednio do ludności mogłoby wywołać komplikacje międzynarodowe i narazić Litwę na zarzut nielojalności i podburzania ludu przeciwko istniejącej w Wilnie władzy czasowej faktycznej w chwili, kiedy spór wileński między Litwą a Polską toczy się przed forum międzynarodowym. Bielski był na razie zdania, że Litwa może zignorować czynniki międzynarodowe Ligi Narodów, z którymi zbytecznym jest nadmierne liczenie się, zważywszy, że one same liczą się ze wszelkimi faktami dokonanymi i nie przestrzegają ścisłości prawnej w postępowaniu stron, tolerując, a nawet sankcjonując pośrednio fakt nielegalny władzy Żeligowskiego i jednostronnej okupacji polskiej Wilna; powołując się na manifesty naczelnego wodza Rosji do narodów Austrii, króla belgijskiego do ludności po okupacji Belgii przez Niemców i króla czy też rządu, a może Sejmu serbskiego do ludności po okupacji Serbii przez wojska austro-niemieckie z czasów Wielkiej Wojny, uważał, że odezwa Sejmu Litwy do ludności wileńskiej może być, a nawet powinna być wydana wraz z odrzuceniem projektu Hymansa. Ja oponowałem temu i wszyscy, nie wyłączając Bielskiego, zgodzili się ze mną. Wskazałem, że ze stanowiska prawnego, skoro Litwa zgodziła się na sprowadzenie sporu wileńskiego z torów bezpośredniej wojny z Polską na tory procesu międzynarodowego z udziałem pośrednictwa Ligi Narodów i skoro proces ten nie został zakończony, byłoby z jej strony niewłaściwym łączyć z odpowiedzią na projekt kompromisu Hymansa jakiś manifest jednostronny do ludu wileńskiego. Że natomiast skoro Polska, zarządzając jednostronnie wybory do Sejmu w Wilnie, pierwsza pogwałciła lojalizm prawny w tym procesie, Litwa ma słuszną zasadę do protestowania przeciwko takiemu aktowi i w związku z tym protestem ma zupełną podstawę do jednostronnego również odwołania się do ludności. W tych warunkach nikt już z tego zarzutu czynić nie może. Ostatecznie zgodzili się wszyscy na to, że wystąpienie rządu w Sejmie z deklaracją w sprawie wileńskiej z powodu zarządzonych przez Polskę wyborów do Sejmu w Wilnie i rezolucja Sejmu w tejże sprawie, zawierająca sformułowanie praw Wileńszczyzny w państwie litewskim, jest w każdym razie konieczna i musi być dokonana jak najszybciej, niezależnie od tego, czy poza tym będzie wydany manifest Sejmu do ludności wileńskiej, czy nie. Co zaś do kwestii manifestu i jego treści – o tym zdam relację z dyskusji dzisiejszej jutro.

9 grudnia, rok 1921, piątek
W dalszym ciągu o zebraniu wczorajszym. Co do formy więc wypowiedzenia się w sprawie wileńskiej, wszyscy zgodzili się na jedno: że rząd powinien zgłosić do Sejmu deklarację w sprawie wileńskiej, biorąc za punkt wyjścia protest przeciwko zarządzonym przez Polskę (bo nie tylko przez władze „Litwy Środkowej") wyborom do Sejmu Wileńskiego, i że Sejm w sprawie tej winien uchwalić rezolucję programową, zbliżoną do tej, jaka została niedawno uchwalona w sprawie Kłajpedy, to znaczy zawierająca stwierdzenie praw autonomicznych, należnych Wileńszczyźnie w Rzeczpospolitej Litewskiej. Powinno to być zrobione jak najprędzej i w formie jak najwyraźniejszej. Kwestia odezwy (manifestu) od imienia Sejmu była bardziej sporna. Większość wypowiedziała się za wydaniem manifestu. Nawet Vailokaitis nie oponował temu zasadniczo, mówiąc, że o pożytku wydania manifestu może on sądzić dopiero wtedy, gdy ujrzy tekst odpowiedni, który mu trafi do przekonania. Mam wrażenie jednak, że w gruncie Vailokaitis, a z nim i chrześcijańscy demokraci będą w ogóle wszelkiemu manifestowi czy odezwie sejmowej przeciwni i że przeto manifest taki wydany nie będzie. Nie podoba się im, zdaje się, sam fakt zwracania się do masy jako

czynnik dyplomatycznie niebezpieczny, który może utrudnić załatwienie sprawy w jakiejś postaci kompromisowej sporu. Wierzą oni, zdaje się, bardziej polityce spekulacyjnej i grze okoliczności, a więc obawiają się wszelkich kroków kategorycznych. Co do zaś ewentualnego tekstu manifestu czy odezwy, to Vailokaitis wyrażał się tak, że jego zdaniem tylko taka odezwa mogłaby być właściwa, która do niczego by ludności nie wzywała, nie czyniłaby wrażenia usiłowań przypodobania się ludności, nawet nie tyle by mówiła o przyszłych prawach Wileńszczyzny, bo o tym będzie w deklaracji, i o obietnicach ze strony Litwy, bo ludność może temu nawet nie uwierzyć, co by jeno kompromitowało autorytet Sejmu i Litwy, ile o tych przesłankach przedmiotowych, które powodują konieczność dziejową i użyteczność dla samej ludności wileńskiej związku Wileńszczyzny z Litwą. Słowem, zdaniem Vailokaitisa, deklaracja praw Wileńszczyzny powinna być wyrażona nie w odezwie Sejmu do ludności, lecz w rezolucji sejmowej, mającej cechę aktu prawnego i ścisłej; odezwa zaś, jeżeli ma być wydana, powinna zawierać li tylko jak najdokładniejsze sformułowania przesłanek rzeczowych, z których by sama ludność musiała uczynić wniosek o związku z Litwą. Natomiast wszelkiego rodzaju odezwy i proklamacje – niech będą wydawane przez stronnictwa, grupy itd., ale nie przez Sejm. Z wielkimi rezerwami co do odezwy wypowiedział się Sołowiejczyk, krytykując mój projekt i wskazując, jaką ona być powinna, jeżeli się ją ma wydać. Wskazał na to, że właściwie odezwa mogłaby być zupełnie dobrą tylko w takim razie, gdyby była nie jedną, lecz osobno dla Białorusinów, osobno dla Żydów, osobno dla Polaków wileńskich czy tych, co tam się za Polaków mają. Ale oczywiście takie odezwy poszczególne i spacyfikowane mogą być wydawane nie przez Sejm. Skoro zaś Sejm nie może wydać odezwy innej, jak jedną i wspólną dla Wileńszczyzny, a w jednej odezwie nie można mówić różnych rzeczy, więc trzeba wybrać to, co może najbardziej przemówić do tych, na których można najwięcej liczyć; otóż najmniej Litwa może liczyć w Wileńszczyźnie na Polaków i tych, co są kulturą, mową i wpływami polskimi ogarnięci, bo ci ciążą do Polski i żadne odezwy litewskie ich nie przekonają; Litwa poza Litwinami właściwymi liczyć może w Wileńszczyźnie głównie na Żydów i Białorusinów. Cóż może Żydów i Białorusinów najwięcej pociągnąć do Litwy i na co przeto w odezwie takiej czy manifeście należy kłaść nacisk największy? Dla Żydów – na autonomię narodową personalną, jaką im Litwa zapewnia, a dla Białorusinów, to znaczy dla chłopa białoruskiego – na reformę agrarną w duchu radykalnym, oddającą chłopom ziemię dworów. Tymczasem w moim projekcie o autonomii narodowo-kulturalnej personalnej i o reformie agrarnej prawie nic nie powiedziano; przeto mój projekt sprawia wrażenie, jak gdyby przemawiał przede wszystkim do Polaków wileńskich, zachęcając ich do związku z Litwą, i to jest, zdaniem Sołowiejczyka, jego słabą stroną. Poza tym, Sołowiejczyk uważał, że odezwa taka, protestując przeciwko zarządzonym w Wilnie w obecnych warunkach wyborom do Sejmu, nie może zostawić niedomówionym stosunku Litwy do tego Sejmu, który się z tych wyborów wyłoni. Sejm taki, zdaniem Sołowiejczyka, będzie sfałszowanym. Nie tylko w intencjach zwołujących jest myśl o sfałszowaniu woli ludności przez wykorzystanie wpływów z przewagi, jaką dziś ma w Wileńszczyźnie Polska, ale i sama procedura wyborów będzie technicznie zaprawiona fałszerstwem. Litwa powinna z góry to przewidzieć i w odezwie zaznaczyć, że Sejm ten w każdym razie, jakikolwiek będzie, będzie fałszywym. Trzeba postawić kropki na i z jak największym naciskiem i zawczasu bez zastrzeżeń, aby nie powiedziano potem, że oto rezultat wyborów zadał kłam nadziejom Litwy na wolę i opinię ludności, które w odpowiedzi Sejmu przyszły zdyskredytować i odciąć się od niego rowem bezwzględnej nieufności. O dalszych tarciach tej dyskusji dopowiem jutro.

10 grudnia, rok 1921, sobota

Zdaje się, że w najbliższym czasie dojdzie jeżeli nie do częściowego kryzysu gabinetu, to przynajmniej do ustąpienia ministra spraw zagranicznych Puryckiego. Jego stanowisko zdepopularyzowane zostało sprawą projektu Hymansa i podkopane różnego rodzaju wieściami i poszlakami o prowadzonej przez grupę osób z Puryckim na czele olbrzymiej spekulacji towarowej pod osłoną dyplomatycznej nietykalności transportów kurierów. Ostatnio zaś stanowisko Puryckiego zostało zachwiane skandalicznym wykryciem kontrabandy towarowej, wiezionej w zaplombowanych wagonach dyplomatycznych do Rosji. Zdaje się, że już i chrześcijańscy demokraci nie odważają się osłaniać Puryckiego, a w Radzie Ministrów z łona niektórych jego kolegów żądanie dymisji Puryckiego jest wysuwane kategorycznie jako ultimatum. Jeżeli Purycki upadnie, co jest, zdaje się, bardzo prawdopodobne, to ciekawe jest, kto po nim obejmie tekę. Sprawa Rozenbauma też nie przyczynia się do wzmocnienia stanowiska Puryckiego. W liczbie domniemanych następców Puryckiego wymieniają posła litewskiego w Londynie Naruszewicza, a wreszcie ostatnio zaczęto mówić o wysuwanej przez Chrześcijańską Demokrację kandydaturze posła sejmowego księdza Jurgutisa[672]. Wśród esdeków skrzydła narodowego (Janulaitis, poseł Digrys[673]) żywa jest tendencja do zwalczania kandydatury księdza i do oddziałania na ludowców, aby ich także skłonić do stanowczej przeciw temu opozycji. Chodzi o to, że ten odłam z wielką nieufnością traktuje odrzucenie przez rząd projektu Hymansa i posądza, iż to jest tylko odrzucenie pozorne, które nie usunie usiłowań do przemycenia tego projektu jakimiś środkami ubocznymi, przez różne kombinacje dyplomatyczne. Otóż uważają oni, że jednym z potężnych czynników, który oddziaływa na Chrześcijańską Demokrację w kierunku przyjęcia projektu Hymansa, jest Kuria Rzymska i dlatego obawiają się nade wszystko księdza na stanowisku ministra spraw zagranicznych Rzeczypospolitej Litewskiej. Ks. Jurgutisa osobiście nie znam, ale ze słyszenia znam go ze strony najlepszej.

Wracam jeszcze do zebrania pozawczorajszego. Zatrzymuję się na debatach tego zebrania nie dlatego, abym wierzył w jego skuteczność co do sprawy ewentualnego wydania przez Sejm Manifestu do Ludu Wileńskiego, bo w ogóle jestem prawie pewny, że Sejm się na ten krok nie zdobędzie (ja bym osobiście uważał go za bardzo wskazany dla sprawy litewskiej w Wileńszczyźnie), ale dlatego, że chcę scharakteryzować i utrwalić prądy, jakie się przy tej okazji w ciekawej pogadance uwydatniły. Otóż w odpowiedzi na przemówienie Sołowiejczyka, które streściłem, zabrał głos znów Vailokaitis. Choć sam on, jak mówiłem, był też przeciwny manifestowi, jednak zaoponował twierdzeniom Sołowiejczyka o potrzebie stawiania kropki na i w ujemnym stosunku Litwy do zwoływanego w Wilnie Sejmu. Zaznaczył mianowicie, że choć oczywiście Litwa słusznie protestować powinna i może przeciwko zarządzanym przez Polskę wyborom i przeciwko polityce faktów dokonanych, jaką Polska usiłuje tą drogą przeforsować, jednak nie należy z góry przesądzać roli, jaką Sejm ten może odegrać. W pewnych warunkach, które wcale nie są wykluczone, ten Sejm może się okazać właśnie najskuteczniejszym środkiem porozumienia i likwidacji trudnej sprawy. Są bowiem w każdym razie czynniki w samych stosunkach takie, które będą coraz silniej działały na umysły w kierunku łączności z Litwą i nie jest wykluczone, że się one w Sejmie ujawnią. Do tej zasadniczej myśli Vailokaitisa wyraził akces Bielski i wyraziłem go ja.

[672] Jurgutis Vladas (1885-1966), ksiądz, członek PChDL, od 1921 członek jej KC. W 1922 r. wystąpił z tej partii i został bezpartyjnym. W Sejmie Ustawodawczym należał do frakcji PChDL. Pracował w komisjach Spraw Zagranicznych oraz Budżetu i Finansów. Po uchwaleniu 1922 08 09 przez Sejm Ustawodawczy ustawy o licie mianowany dyrektorem Banku Litewskiego. Pozostawał na tym stanowisku do 1929 r.

[673] Digrys Stasys.

Ja w myśli mojej idę nawet dalej, niż to powiedział ks. Vailokaitis, a sądzę, że może idzie i on, choć o tym mówić dziś wobec Litwinów może jeszcze nie czas. Mianowicie nie wykluczam wcale myśli o tym, że pewne elementy „krajowców" polsko-wileńskich spod sztandaru federalistów, a może w pewnej mierze i sam Józef Piłsudski – prowadzą do tego Sejmu i będą go usiłowali kierować w tej myśli, by przezeń zaszachować aneksję i wytworzyć nową metodę do zjednoczenia Litwy. Zapewne, że w politycznych wnioskach federalistów i Piłsudskiego to „zjednoczenie" Litwy łączy się zawsze z pojęciem hegemonii Polski. Ale nie jest wykluczone, że prąd do zjednoczenia – niech się on tylko skonsoliduje – weźmie górę nad współczynnikiem hegemonii Polski. Tak – Litwa nie może dziś nie protestować przeciwko zarządzonym w Wilnie wyborom, choćby na zapas, dla zastrzeżenia z góry negacji tego Sejmu w razie jego akcji aneksyjnej; ale, jak to zaznaczyłem w moim przemówieniu, nie należy pluć w studnię, z której się wypadnie może napić wody. Nie powiedziałem o tym, że może intencje, przynajmniej niektórych z autorów tego Sejmu (w pierwszym rzędzie może samego Aleksandra Meysztowicza, a następnie zapewne i takich ludzi, jak Witold Abramowicz), nie są tak szpetne, jak się im w Kownie przypisuje. Nie powiedziałem tego, bo raziłoby to Litwinów, których niechęć do inscenizatorów „Litwy Środkowej" jest zbyt ostra. Ale powiedziałem, że protestując przeciwko intencjom zwołujących Sejm w Wilnie i przeciwko tej spekulacji politycznej, którą te wybory wyrażają, nie należy jeszcze dziś potępiać sam ten Sejm, bo jeszcze nie wiemy, jaki się on okaże. Oponowałem też przeciwko wnioskom Sołowiejczyka o reformie agrarnej w tekście odezwy. Nie o to moim zdaniem chodzi, aby obiecywać ludności wileńskiej złote góry w Litwie i szafować obietnicami „dania" im różnych doskonałości i uszczęśliwienia osobliwymi reformami. Byłaby to metoda demagogii cezariańskiej mało skutecznej. O wiele ważniejsze jest zaznaczenie dobitne nie reform nadawanych, choćby jaskrawie doskonałych, ale praw, zwłaszcza politycznych. Więcej waży powiedzenie, że ludność będzie mogła sama sobie samodzielnie zarządzić to, co uzna za doskonałe, niż powiedzieć, jakie doskonałości się jej „nada". Gwarancja praw jest najważniejsza.

11 grudnia, rok 1921, niedziela
Dowiedziałem się, że Purycki już się podał do dymisji. Ustąpił bez sławy i dobrej opinii, upadł na skandalu pospolitej spekulacji materialnej nie mającej nic wspólnego z polityką. Stanowisko ministra spraw zagranicznych jest bardzo ważne, szczególnie w warunkach, w jakich się Litwa znajduje. Mówią wciąż o kandydaturze ks. Jurgutisa, jako wysuwanej rzekomo przez Chrześcijańską Demokrację. Ale słyszałem dziś i wersję o innej kandydaturze, dość niespodziewanej dla mnie, mianowicie o kandydaturze adwokata Stanisława Šilinga, niedawnego więźnia w Wilnie, by1)ego prezesa Taryby, następcy Smetony na tym stanowisku. Gdyby się to sprawdziło, to zapewne pewną rolę w wyborze tej kandydatury odegrałby i ten fakt niedawnego więzienia Šilinga w Wilnie przez kilka miesięcy. Ale jest pono i wzgląd drugi dla kandydatury Šilinga. Šiling jest bezpartyjny i kiedyś był *leaderem* radykalnej młodzieży litewskiej, był bliski stronnictwu ludowców. W latach wojny wspólnie z Leonasem i innymi założył inteligenckie postępowe stronnictwo „Santara". Z ramienia też „Santary" był wszedł do Taryby. Potem jednak zerwał z „Santarą" i wystąpił z niej na skutek jakichś nieporozumień natury przeważnie osobistej, płynących z nadmiernej ambicji i arbitralności jego. Šiling jest dobrym mówcą, ale ma opinię człowieka pozbawionego umiejętności organizacyjnej. Jest zarozumiały i zakochany w sobie, chciałby panować i być otoczony posłuszeństwem. Fizycznie ma wygląd potworka: maleńki, brzydki, bez zarostu na twarzy, nosi długie włosy (przepraszam – zdaje się, że co do zarostu, to się mylę, bo przypominam sobie teraz, że zahodował brodę, którą

ciągle przebiera palcami, ale broda ta jest nędzna i brzydka i nie dodaje mu wdzięku; nie wiem dlaczego wrażenie pozostaje o nim jako o człowieku bez zarostu na twarzy, widocznie dla ubóstwa siły roślinnej tegoż). Šiling, jako były prezes Taryby, pozostał z tych czasów w bliskich stosunkach z ówczesnym prezydentem państwa Antanasem Smetoną i ministrem spraw zagranicznych Voldemarasem, obecnymi *leaderami* pozasejmowej opozycji. Opozycja ta, idąca w kwestii polityki zagranicznej ręka w rękę z opozycją skrajnej lewicy w Sejmie, aczkolwiek skrajnie rozbieżna z tą ostatnią w kwestiach polityki wewnętrznej, niezmiernie namiętna i wyrazista – przyczyniła się w dużym stopniu do udaremnienia kombinacji z projektem Hymansa, do zachwiania w ogóle rządu i zdyskredytowania zwłaszcza Puryckiego, ułatwiając jego upadek obecny. Koła rządowe i Chrześcijańska Demokracja oraz Ślażewicz chcieliby ugłaskać tę opozycję przez zbliżenie jej do władzy. Wiedzą oni dobrze, że *leaderzy* tej opozycji, zwłaszcza ambitny Voldemaras, tęsknią do władzy i dlatego głównie są tak wściekli, że jej nie mają. Ale opozycja ta była zbyt jaskrawa i rola Smetony i Voldemarasa zbyt ostra, aby można było ich osobiście do obecnego gabinetu wciągnąć. Wzięłoby się więc człowieka im bliskiego, a jednak formalnie nie należącego do ich stronnictwa. Powołanie Šilinga byłoby więc, zdaje się, aktem kontaktu z opozycją prawicową, mostem kompromisu. Wskazuję na prawdopodobieństwo tej kombinacji tym bardziej, że Chrześcijańska Demokracja nie nazbyt by życzyła brać na siebie wyłącznej odpowiedzialności za politykę zagraniczną w tych trudnych warunkach i delegować swojego człowieka.

Dziś z Žemaitisem i Dowiattem zaprojektowaliśmy listę osób, z których by utworzona została Rada do spraw Litwy Wschodniej jako organ doradczy i porozumiewawczy Komisji do spraw Litwy Wschodniej. Pomysł powołania takiej Rady wydaje mi się bardzo fortunny. Rada taka składałaby się z przedstawicieli czterech głównych grup narodowo-kulturalnych, odpowiadających układowi narodowo-kulturalnemu w Wileńszczyźnie, to znaczy – Litwinów, Polaków (względnie obywateli kultury polskiej), Białorusinów i Żydów. Skład byłby ukompletowany nie z wyborów czy delegacji, lecz przez powołanie. Stosunek między czterema grupami byłby oparty na parytecie liczebnym – np. po cztery osoby. Z Litwinów zaprojektowaliśmy powołać Kairysa (s.-d.), Jana Vileišisa (ludowiec), ks. Vailokaitisa (chrześcijański demokrata) i Smetonę („Pažanga"). Z Polaków, względnie obywateli kultury polskiej – Jerzego Dowiatta, Aleksandra hr. Tyszkiewicza z Kretyngi[674], Stefana Bilewicza[675] i czwartego o ile możności ze sfery robotniczej lub rzemieślniczej. Z Białorusinów – jednego z kół Ministerium spraw Białoruskich, jednego z grupy rządu Łastowskiego, jednego od stronnictwa eserów i jednego z grupy rosyjskiej Bojewa i Korczawskiego,

[674] Tyszkiewicz Aleksander (1864-1945), ziemianin, działacz społeczny, obrońca prasy litewskiej, mecenas. W 1887 r. poślubił Marię Pusłowską. Miał dziesięcioro dzieci. Po zakończeniu służby wojskowej zamieszkał w pałacu w Kretyndze, który odziedziczył po ojcu. W latach zakazu druku opowiadał się za wolnym słowem litewskim, dowodził nieracjonalności polityki rusyfikacyjnej. Przy jego dworze działała nielegalna szkółka, w której dzieci dworskie i mieszczańskie uczono pisania, języków polskiego, rosyjskiego i litewskiego, szykowano do I Komunii. W 1919 r. hrabia Aleksander Tyszkiewicz został wybrany na pierwszego przewodniczącego rady gminnej w Kretyndze. Hrabia A. Tyszkiewicz dbał o dwór, rozbudowany przez jego ojca: dokonał rekonstrukcji zniszczonej przez pożar zachodnią część pałacu, przerobił oranżerię, do dziś zachwycającą zwiedzających. W reformie rolnej rodzina Tyszkiewiczów utraciła niemałą część ziemi, a więc i dochodów. A. Tyszkiewicz postanowił rozszerzać swoje majętności folwarczne, zaciągał od rządu kredyty na inwestycje. Mimo dużych długów i poważnych inwestycji, hrabia utrzymywał emerytowana służbe dworską, a robotnicy rolni mieli u hrabiego pensje wyższe niż w innych dworach.

[675] Billewicz (Bielewicz) Stefan, ziemianin o litewskiej orientacji kulturalnej. Jego córka Joanna wyszła za Stanisława Narutowicza, a córka Zofia – za hrabiego Władimira Zubowa.

podszywającej się pod białoruskość. Co do Żydów, których trudno pozyskać zarówno spośród demokratów, jak syjonistów, to się ustali w porozumieniu z nimi.

12 grudnia, rok 1921, poniedziałek
Oprócz kandydatur ks. Jurgutisa, Naruszewicza i Šilinga na stanowisko ministra spraw zagranicznych, o których już wspominałem, słyszałem dziś wymieniane kandydatury Gałwanowskiego i nawet Jonynasa. Ta ostatnia zwłaszcza wydaje mi się bardzo wątpliwa. Powołanie Gałwanowskiego, który już należy do Rady Ministrów, oznaczałob, po pierwsze, wyraźną linię projektu Hymansa, bo Gałwanowski najotwarciej ze wszystkich wypowiada się za jego przyjęciem, a po wtóre, wskazywałoby na to, że gabinet jest zdecydowany nie dopuścić nawet do częściowego kryzysu swego i pozostanie po ustąpieniu Puryckiego w tym samym, co poprzednio składzie, bez żadnej nowej osoby. Ale najpowszechniejsza jest mowa o kandydaturze ks. Jurgutisa.
Žemaitis ułożył własny projekt odezwy Sejmu Ustawodawczego (manifestu) do ludności Ziemi Wileńskiej. Odczytał go nam dziś w Komisji do spraw Litwy Wschodniej. Projekt jego jest dobry, z niektórych względów bardziej mi się nawet od mego własnego podoba. Cały szereg najistotniejszych rzeczy jest w nim wzięte z mego projektu, ale bardzo udatna jest w projekcie Žemaitisa specyfikacja zwrotów do poszczególnych grup narodowych w Wileńszczyźnie – do Polaków, względnie mówiących po polsku, Białorusinów i Żydów, a nawet Rosjan – wykonana z wielkim taktem. Mniej udatny natomiast wydaje mi się w projekcie Žemaitisa wstęp historyczny.
Žemaitis poinformował nas, że Rada Ministrów wypowiedziała się jednak za li tylko deklaracją, uważając formę manifestu za niewłaściwą i nie na czasie. Prezes ministrów Grinius osobiście projekt takiej deklaracji ułożył. Žemaitis, który go czytał, powiada, że projekt ten jest ułożony w stylu Griniusa i zawiera szereg urywanych zdań, jakby rąbanych fragmentów, w istocie jednak powiedziano w nim bardzo mało. Dziś Rada Ministrów ma na posiedzeniu wieczornym debatować projekt deklaracji Griniusa; równolegle będą Radzie Ministrów przedłożone i projekty mój i Žemaitisa. Zapewne jednak przyjęty będzie projekt deklaracji Griniusa. Co zaś do sfer sejmowych, to te, podług relacji Žemaitisa, mają postąpić tak, jak się wypowiadał Vailokaitis, to znaczy jeżeli deklaracja rządowa zadowoli Sejm, to on się ograniczy do zsolidaryzowania się z nią, a jeżeli tekst rządowy nie zadowoli, to dopiero wtedy powstanie kwestia osobnego wypowiedzenia się Sejmu czy to w deklaracji, czy nawet w manifeście, o ile okaże się odpowiednio zredagowany projekt tegoż. Projekt Žemaitisa ma tę samą wadę, co mój – jest za długi. Przed kilku dniami, kiedym spędzał wieczór z Žemaitisem i Dominikiem Dowgiałło w gabinecie restauracji „Wersal”, wyszedłem w jakimś interesie na chwilę do szatni; w tej samej chwili z ulicy weszła do restauracji dziewczyna i skierowała się ku drzwiczkom, przez które się stamtąd wchodzi na ukryte schody, prowadzące do hotelu na górę; w drzwiczkach czekał ją już numerowy. Znając praktyki hotelowe, zrozumiałem dobrze, co to znaczy: była to dziewczyna sprowadzona dla gościa do numeru. Ujrzałem ją tylko przelotnie, przez jedną chwilę – była bardzo młoda, zgrabna, chód miała ładny, bardzo świeżą cerę; wrażenie świeżości podnosiło jeszcze to, że weszła z chłodu ulicy i miała policzki zaczerwienione od mrozu; wszedłszy przystanęła na chwilkę przed otwartymi drzwiami sali restauracyjnej, w której grała muzyka i produkował się jakiś kabaret na scenie otwartej i zajrzała do wnętrza sali, potem przechodząc spojrzała w lustro i następnie dość szybko udała się ku drzwiczkom, śpiesząc spełnić swoją powinność ciała, do której została wynajętą. Była hoża, żywa w ruchach i spojrzeniu, ładna, wabiąca świeżością młodości i drażniącą prostotą, z jaką szła się oddać uciechom mężczyzny. Nie wyglądała na jedną z tych smutnych ulicznic,

których ciało jest przedwcześnie zwiędłe, a temperament wyżarty przez nadużycie, z czego pozostaje już tylko powłoka kobiety; musiała być jednym z tych kąsków, rezerwowanych dla smakoszów i znawców, którzy płacą, ale żądają dobrego towaru. Na tym się rzecz ta skończyła. Ale czasem nie wiem czemu jakiś szczegół, jakieś wrażenie, z szeregu najpospolitszych, nagle utkwi w mózgu i wyżłobi jakiś rys, który nie daje potem spokoju i wciąż powraca w pamięci. Tak i ten widok dziewczyny – rzecz pospolita w stosunkach hotelowych – podziałał na wyobraźnię moją i oto ciągle ta scenka i ta dziewczyna jak jakiś upiór snuje mi się przed oczyma i zapala wyobraźnię pożądaniem zmysłów, jak gdyby w tym było coś osobliwego. Chuć męska, jak wulkan, kotłuje lawą wyobraźni.

13 grudnia, rok 1921, wtorek
Dziś słyszałem jeszcze o jednej kandydaturze na stanowisko ministra spraw zagranicznych, najosobliwszej, ale zaiste i najdziwaczniejszej ze wszystkich, o których się słyszało. Mianowicie o kandydaturze starego Rozenbauma. Nie przypuszczam zgoła, aby taka nominacja była prawdopodobna. Nie wspominam już o dziwacznym widowisku, jakie by prezentował na stanowisku ministra spraw zagranicznych Żyd syjonista w kraju katolickim, rządzonym przez większość klerykalną. Dziwolągi wszelkie się zdarzają. Ale ujawniona świeżo wycieczka Rozenbauma do Warszawy, która narobiła krzyku i wywołała nawet pospieszne odżegnanie się od Rozenbauma ze strony jego rodaków Żydów w żydowskiej frakcji sejmowej i Żydowskiej Radzie Narodowej, czyniłaby chyba sama przez się tę nominację w obecnej chwili niemożliwą. Słyszałem jednak i inną wersję, rzekomo bardziej autentyczną: że ministrem byłby Jurgutis, zaś Rozenbaum wiceministrem. Osobiście uważałbym wysunięcie na czoło Rozenbauma pod jakąkolwiek postacią za rzecz w najwyższym stopniu niewłaściwą, nie dla jego wycieczki warszawskiej nawet i nie dlatego, że był on inspiratorem upadłego ministra Puryckiego, ale wprost dlatego, że, po pierwsze, to jest człowiek, który traktuje politykę metodą kramarską, jak Żyd traktuje handel i geszeft, uprawiając spekulację, po wtóre dlatego, że Rozenbaum jest przybłędą, który z właściwą Litwą i społeczeństwem litewskim nic wspólnego nie miał, i wreszcie dlatego, że w istocie obchodzą go jedynie cele żydowskie, nie zaś Litwa Niepodległa. Mam nadzieję, że Litwa Niepodległa nie ukoronuje swej polityki spekulacją polityczną anonimowego państwa żydowskiego. Już jeżeli ma być Żyd, choćby w roli wiceministra, to niechby był kto inny.
O wymiarach spekulacji Puryckiego i spółki na handel z Rosją, prowadzonej pod przykrywką stosunków dyplomatycznych, słyszałem dziś skandaliczne i ohydne szczegóły od naszego prokuratora Kalvaitisa. Śledztwo jest wszczęte. Prowadzi je młody energiczny sędzia śledczy do spraw szczególnych Toliušis. Zapewne wywiąże się z tego skandaliczny proces sądowy, z którym nam w Trybunale wypadnie mieć do czynienia.
Zakończyłem dziś dłuższy artykuł, zatytułowany „Stosunki narodowe w Litwie", przeznaczony dla czasopisma żydowskiego, redagowanego przez Kacenelenbogena.
Przed obiadem w gabinecie prezesa Trybunału zebrał się po raz pierwszy nowy zarząd Litewskiego Towarzystwa Prawniczego w osobach Kriščiukaitisa, Janulaitisa, Noreiki, Toliušisa i mnie. Podzieliliśmy miedzy sobą czynności w ten sposób, że prezesem został Kriščiukaitis, wiceprezesem – ja, sekretarzem – Noreika, skarbnikiem – Toliušis i bibliotekarzem – Janulaitis W sprawie specjalnego organu prawniczego polecono Kriščiukaitisowi skomunikować się niezwłocznie z ministrem sprawiedliwości co do zapewnienia subsydium na wydawnictwo i dowiedzenia się o warunkach, jakie będzie stawiać ministerium. Odpowiedzi ma nam udzielić Kriščiukaitis pojutrze na następnym

zebraniu zarządu. Jak to będzie ustalone, to się zajmiemy niezwłocznie organizacją pisma. Jeszcze przed świętami ma być zwołane zebranie Towarzystwa dla wysłuchania referatów naukowych, zgłoszonych przez Mačysa[676] i Toliušisa. Toliušis z wielkim naciskiem podkreśla konieczność referatów i systematycznych debat w Towarzystwie w najaktualniejszych sprawach ustawodawstwa, organizacji sądownictwa, konstytucji, układów międzynarodowych, aby głos i opinia zorganizowanych prawników weszły w kontakt z życiem i reagowały na wszystkie potrzeby organizacji młodej państwowości litewskiej ze stanowiska wskazówek prawno-społecznych. Toliušis jest dzielny i żywy człowiek.

14 grudnia, rok 1921, środa
Przez niejakiego Aponowicza czy Oponowicza, Białorusina, który przyjechał przed paru dniami z Wilna i jutro tam wraca, otrzymałem ustne zawiadomienie od Kraskowskiego[677], że grupa naszego Związku ścisłego żyje i rozwija się w Wilnie dobrze. Wiadomość ta bardzo mię ucieszyła, bo do formacji tej przywiązuję wielką wagę; jako organizacja kontaktu między obywatelami różnych narodowości i różnych stronnictw i odcieni politycznych w kraju, należących do łona wielkiego prądu ideałów humanistycznych i ludowych – ma ona w Litwie wielkie zadanie do spełnienia. Cieszy mię to, że żywotność Związku rośnie. W Wilnie będzie on szczególnie użyteczny. Ale dla jego żywotności potrzebni są ludzie żywi i potrzebny jest w każdej grupie człowiek, który potrafi skupiać koło siebie innych, organizować i tchnąć ducha treści w formę. W braku takiego człowieka ośrodkowego nie można było w roku ubiegłym i początku bieżącego odrodzić grupę wileńską. Ludzi tam nie brak, bo związkowcami naszymi przed wojną byli spośród Wilnian: Michał Biržiška, dr Szabad[678], Antoni Łuckiewicz, Zasztowt[679] (czy go obecnie przyjęto do odrodzonej grupy – nie wiem) i inni. Ale każdy z nich, choć dzielny, był zajęty w swojej sferze pracy i żaden nie podjął się z zapałem roli skupiającego w tej formie pracy środowiska. Dopiero przyjazd Kraskowskiego dał bodźca odrodzeniu grupy wileńskiej. Kraskowski jest entuzjastą Związku, pełny zapału dla jego idei. Zadowolony jestem tym bardziej, że i tu w Kownie odrodzona przez nas w r. 1920 pierwsza grupa Związku, która przez pierwszy rok istnienia zaledwie wegetowała, w ostatnich czasach nabrała życia i zaczyna tętnić ruchem, w którym znać kiełkujący rozpęd. Na wiosnę byłem już zupełnie zwątpił o zachowaniu Związku, widząc, jak daremne były pierwsze usiłowania do wlania weń życia. A oto teraz jesteśmy już w Kownie w przededniu wydzielenia z siebie drugiej grupy. Rychło więc nasz Związek będzie liczył trzy grupy – wileńską i dwie w Kownie.
Wieczorem otrzymałem odesłany mi przez Jonynasa pakiet z listami z Wilna. Jak zwykle – ten pakiet z listami przeleżał z miesiąc u nieakuratnego Jonynasa. Zawierał on spóźnione sprzed kilku miesięcy listy od Lusi Roszkowskiej z Łomży, od Henrysia Wołłowicza, od Michała Pieślaka, od Aleksandra Lubomirskiego, ale zwłaszcza najważniejszy dla mnie i najciekawszy list od Michała Biržiški, datowany z pierwszych dni listopada. Donosi mi w nim Biržiška o otrzymaniu drugiej części mego rękopisu o stronnictwach politycznych litewskich, zawierający rozdziały o Chrześcijańskiej Demokracji, Santarze[680] i socjalistach ludowych. Potwierdza, co pisał poprzednio, że praca ta, po drukowaniu jej w „Nowinach Wileńskich", wydana będzie osobno w

[676] Mačys Vladas (1867-1936), prawnik, uczestnik narodowego ruchu litewskiego, członek komisji wyborczej w wyborach do Sejmu Ustawodawczego.
[677] Kraskowski Iwan (Kraskoŭski Ivan, 1880-1955), białoruski działacz społeczny i polityczny. Razem z M. Römerem działał w lożach masońskich w Wilnie i Kownie.
[678] Szabad Cemach.
[679] Zasztowt Aleksander.
[680] „Santara".

książce pod tytułem, stosownie do mojej wskazówki, „Litwa Niepodległa". Ale format książki będzie niewielki, zastosowany do szerokości wąskiej szpalty dziennika, z którego się ją odbija. Stosownie do tego nie tylko szerokość, ale i długość będzie mała. Biržiška oblicza całość książki na 300 stron druku (co do mnie, sądzę, że się myli i że przy takim zwłaszcza formacie, będzie zawierała więcej stron). Wobec małego formatu odbitki książkowej Biržiška proponuje wydanie jej w dwóch tomach, co rzeczywiście będzie lepsze, bo, po pierwsze, jeden tom przy tak małym formacie wyglądałby monstrualnie grupy, a po wtóre, rozbicie książki na dwa tomy pozwoli wydać część pierwszą zaraz, nie czekając na zakończenie pracy, która jeszcze i w rękopisie nie jest cała napisana. Część czyli tom I zawierałby, jak proponuje Biržiška, początek i aż do Santary włącznie. Tom II – od socjalistów ludowych i do końca. Bardzo się cieszę z oczekiwanej książki.

15 grudnia, rok 1921, czwartek
Zwołałem na dziś zebranie naszego Związku ścisłego, ale dzień okazał się wybrany niefortunnie, bo z powodu zapowiedzianego na jutro wniesienia do Sejmu deklaracji rządowej w sprawie wileńskiej wszystkie frakcje sejmowe pracują gorączkowo dla ustalenia takiego tekstu rezolucji sejmowej, który mógłby być przez Sejm przyjęty jednogłośnie. Nie jest to rzeczą łatwą, bo różne są tendencje, które trzeba pogodzić. Na ogół, zdaje się, chrześcijańscy demokraci chcą wyrazić w tej rezolucji jak najmniej, a przynajmniej unikają stawiania punktów na i, w innych zaś grupach są dążenia rozmaite; są i dążenia takie, by rezolucję tę zbliżyć do formy manifestu, nadając jej postać przemówienia do mas ludności wileńskiej. Słowem – całe popołudnie i wieczór dzisiejszy są wypełnione posiedzeniami frakcji i międzyfrakcyjnymi. Z tego powodu nasi członkowie Związku, którzy są posłami sejmowymi, nie przybyli na nasze posiedzenie. A że i niektórzy inni dla różnych przyczyn (choroba, wyjazd, brak czasu) nie mogli się stawić, więc posiedzenie z braku kworum się nie odbyło. Stawiło się zaledwie pięciu: ja, Siemaszko, stary Romm[681], na którym znać już wyraźnie uwiąd starczy umysłu, Žemaitis i Kacenelenbogen. Wykonaliśmy jednak pewną czynność jako li tylko wykonanie powziętej już uchwały, a mianowicie dokonaliśmy przyjęcia w poczet członków Purenasa. Podjął się on przez czas Bożego Narodzenia dokonać przekładu napisanego przeze mnie po polsku projektu statutu na język litewski. Kacenelenbogen pragnąłby w naszym Związku podjąć moment obcowania moralnego na idealistycznych przesłankach kultu człowieka i braterstwa ludzkiego. W założeniu istotnie to jest głównym naszego Związku pierwiastkiem. W praktyce jednak dominuje czynnik kontaktu politycznego i bieżących zagadnień polityki. W takiej grupie, jak nasza i w środowisku stołecznego skupienia nici politycznych przewaga polityki nad humanizmem jest u nas zrozumiała. Nasi członkowie w dużej ilości są politykami czynnymi, nieraz l*eaderami* partii lub kierownikami takiej lub innej akcji wybitnie politycznej. Żyją oni w sferze polityki, toteż supremację polityki wnoszą ze sobą wszędzie. A że nasz Związek w ogóle nie może pomijać aktualnych zagadnień politycznych, więc polityka pochłania i wyczerpuje sporadyczne posiedzenia nasze, wyżerając poniekąd ze Związku czysty idealistyczny kult braterstwa w obcowaniu. To się uwydatnia też np. na pewnym ostudzeniu stosunków i oddalaniu się od poufności Związkowej tych naszych członków (Ślażewicz, Bortkiewiczowa), którzy w bieżącej chwili politycznej hołdują innym metodom działania, niż większość u nas. W każdym razie, jedno z posiedzeń po świętach poświęcę referatowi Kacenelenbogena, by dać mu możność podjęcia tej kwestii i dokonania wysiłku do wydźwignięcia pierwiastka humanistycznego nad polityczny.

[681] Romm Jerzy.

16 grudnia, rok 1921, piątek
Nie wiem jeszcze, czym się skończyło dzisiejsze posiedzenie Sejmu, na którym powinna była być odczytana przez prezesa ministrów, dr Griniusa, uroczysta deklaracja rządu w sprawie wileńskiej. Jakie były przemówienia *leaderów* frakcji, czy Sejm uchwalił już jakąś rezolucję i jaka jest jej treść, czy zadowolił się zsolidaryzowaniem się z deklaracją rządową, czy też własną ogłosił deklarację lub odezwę, czy też odłożył jeszcze rezolucję do następnego posiedzenia – nic nie wiem. Rzecz cała musiała już być ułożona wczoraj metodą porozumienia międzyfrakcyjnego, bo wszystkie frakcje były tego zdania, że uchwała Sejmu musi być jednogłośna w tej sprawie. Ale o przebiegu wczorajszych układów międzyfrakcyjnych nie miałem żadnych wiadomości. Rano Žemaitis wzywał mię telefonicznie, abym przybył do Sejmu i był obecny obradom, bo w ostatniej chwili wypadnie może jeszcze coś zmienić, poprawić, pokierować. Nie poszedłem jednak, bo nie chcę mieszać zakulisowo mego udziału w to, co jest już w ręku Sejmu. W przygotowawczej robocie brałem udział i co uważałem z wskazane – o tym się już wypowiedziałem i na to uwagę zwróciłem, a dalej nie chcę brać na siebie uczestnictwa tego, co wykona Sejm. Žemaitis oczywiście czynnie forsuje i pilnuje sprawy do końca, ale moja rola jest inną. Nie jestem, jak Žemaitis, odpowiedzialnym kierownikiem polityki wileńskiej, jeno jednym z członków Komisji do spraw Litwy Wschodniej, raczej ekspertem i doradcą, niż sprężyną czynną. W tej też roli chcę pozostać
Za niespełna tydzień wyjeżdżam na święta do Bohdaniszek. Będę miał wypoczynek długi, bo mniej więcej do 10 stycznia. Janulaitis na czas świąt na cały miesiąc wyjechał do Berlina dla studiów naukowych w archiwach. Na posiedzeniach więc Trybunału, które pozostają do świąt i zapewne kilku pierwszych po Nowym Roku cały ciężar referowania spraw i wyroków spadnie na mnie. W ogóle teraz w Trybunale roboty jest więcej, niż było w początku jesieni. Stopniowo dopływ spraw kasacyjnych z sądów okręgowych, tak cywilnych, jak karnych, wzrasta. Toteż praca w Trybunale pochłania mi już teraz co dzień cały czas przed obiadem do godz. 3. Być może, że w praktyce Trybunału wkrótce odpadną sprawy apelacyjne z Sądu Armii. Takimi są sprawy polityczne, jedne z najprzykrzejszych. Z inicjatywy Sądu Armii powstał projekt ustawodawczy o uchyleniu trybu apelacyjnego dla tej kategorii spraw i o zachowaniu jednego ogólnego trybu zaskarżania wszystkich wyroków tegoż sądu – trybu kasacyjnego. Ten wniosek ustawodawczy był przez ministra sprawiedliwości przedstawiony nam, sędziom Trybunału, do wyrażenia naszej o nim opinii. Wszyscy trzej – Kriščiukaitis, Janulaitis i ja, choć z różnych nieco zasad – oświadczyliśmy się za uchyleniem trybu apelacyjnego w tych sprawach. Ja jednak motywowałem moją opinię tym, że skoro ustawodawca uznał za właściwe – co jest, moim zdaniem, błędem – wyłączyć pewną kategorię spraw (przestępstwa polityczne) z właściwości sądów powszechnych i przekazać je właściwości Sądu Armii, to znaczy sądu wyjątkowego, to nie powinien on w II instancji kierować ich do Trybunału, usiłując przez zasilenie kompletu sądzącego Trybunału jednym sędzią wojennym nadać Trybunałowi w zakresie sądzenia tych spraw również jakąś postać wyjątkową: po pierwsze, celu tego nie osiągnie, bo Trybunał nawet z tym „militarnym” uzupełnieniem nie zmieni swojej natury zasadniczej i nie przejmie się jakimś szczególnym „duchem” wojennym, a po wtóre, jest to obniżeniem godności Trybunału, że się go wwiązuje w system sądownictwa wyjątkowego, czyniąc zeń jeden z organów tegoż. Wypowiedziałem się przede wszystkim i zasadniczo za zniesieniem wyjątkowej właściwości sądowej dla spraw politycznych, a gdyby ustawodawca tegoż nie życzył – to przynajmniej za zniesieniem trybu apelacyjnego dla tych spraw z Sądu Armii do Trybunału. Równolegle

oświadczyłem się stanowczo za całkowitym usunięciem z kompletu sądzącego Trybunału sędziego wojennego dla spraw wpływających z Sądu Armii czy to trybem apelacyjnym, czy kasacyjnym. To ostatnie życzenie podzielił w swej opinii i Kriščiukaitis, któremu trafiło ono do przekonania. Prokurator Trybunału Kalvaitis w porozumieniu z ministrem Karoblisem wypowiedział się, co mię bardzo cieszy, też za zwróceniem spraw politycznych na tory właściwości normalnej – sądów powszechnych – i to stanowisko będzie zapewne popierać. Karoblis w Sejmie, co prawda, powiedział, że z Kalvaitisem uczynili to, zdaje się, nie tyle ze względów zasadniczych, ile przez niechęć do prezesa i sędziów Sądu Armii, ale mniejsza o to. Natomiast Janulaitis, wielki admirator Sądu Armii, jest za pozostawieniem tych spraw w tymże sądzie.

17 grudnia, rok 1921, sobota
Wczoraj miałem list od Zosi Eugieniuszowej Römerowej z Cytowian[682]. Dawno mi już ona pisała o tym, że moja ex-małżonka Regina wybiera się wynieść z Cytowian na polską stronę linii demarkacyjnej i zamieszkać na stałe w Grodnie, gdzie córkę naszą Cesię zamierza oddać na naukę do klasztoru brygidek. Obecnie Zosia pisze, że Regina z córką (a zapewne i z Francuzką – panną Claris Courtôt) już wyjechała. Nie dziwię się Reginie, bo tam ma on kamienicę (starą historyczną kamienicę Römerowską, zwaną inaczej „budą Römerowską”, przy ulicy dawniej zwanej Sawicz, a później Bakszta) w Wilnie i duży majątek ziemski Łunna nad Niemnem pod Grodnem. Dziwiłem się jej raczej, że woli siedzieć kątem w najętym domku w głuchym miasteczku na Żmudzi, nie będąc przecie i uczuciowo szczególnie z Litwą związana. Choć nie jestem zwolennikiem wychowania klasztornego, jednak lepiej będzie dla Cesi, że się będzie uczyła w klasztorze, niż gdyby miała rosnąć pod skrzydełkiem głupiej matki i histerycznej Francuzki. Niczego by się nie nauczyła, pozostałaby bez wykształcenia i charakter jej by się jeno spaczył w otoczeniu tych dwóch kobiet. O, Cieśko moja, córko jedyna! Czy Cię ujrzę, jaką i kiedy? I czy będziemy sobie pokrewni z ducha, jakeśmy pokrewni z ciała? Zajęty bieżącymi sprawami, pochłonięty życiem codziennym ö nie czuję Ciebie, której nie znam. Ale tęsknię do Ciebie zawsze jak majtek na pełnym morzu do dalekiego portu. Czy dopłynę i jakim ten port zastanę? O, Cieśko! Ucz się i rośnij, dziecino, nieświadoma ojca, który Cię kocha z daleka i błogosławi. Oddanie Cesi do klasztoru brygidek w Grodnie budzi we mnie jeszcze jedną nadzieję. Jeżeli moja stara zacna panna Wilhelmina Kościałkowska, zamieszkała w Grodnie, nie umarła, to korzystając z jej życzliwości dla mnie może uda mi się z nią skomunikować i przez nią przesłać Cesi pierwszy list od ojca i otrzymać pierwszą odpowiedź od córki. P. Wilhelmina Kościałkowska jest bliską krewną Reginy, cioteczną siostrą i przyjaciółką jej zmarłej matki, a więc i krewną Cesi. Będę tego próbować. Wszak złej myśli nie mam. I cóż to może szkodzić Reginie, że się skomunikuję z córką, która jest tyleż jej, jak moją! Ta złośliwa kobieta odmawia mi tego prawa, korzystając z tego, że córka jest w jej ręku.
Zdaje się, że Sejm wczoraj nie debatował nad deklaracją rządową w sprawie wileńskiej, odczytanej przez Griniusa, a w każdym razie nic jeszcze nie uchwalił. Ponieważ miałem dziś posiedzenie sądowe w Trybunale, więc nie miałem okazji dowiedzenia się szczegółów z Sejmu. Deklaracja rządowa, odczytana przez Griniusa, dziś już ogłoszona w gazetach. Treść jej nie najgorsza wcale. Powiedziałbym tylko jedno; w jednym jej ustępie powiedziano o zwoływanym obecnie w Wilnie Sejmie tak: „Takie wybory i sam Sejm, gdyby on nawet doszedł do skutku, nie mogą być przez rząd Republiki Litewskiej uznane”. Nie przeczę, że Litwa nie może uznać wyborów i musi protestować przeciwko

[682] Mowa o Zofii z Dembowskich Römerowej (1885-1972), malarce, żonie właściciela Cytowian Eugeniusza Römera.

nim i zwłaszcza przeciwko intencjom tych, którzy je zarządzają. Ale potępianie z góry samego Sejmu, którego jeszcze nie ma i który nie wiadomo jeszcze, jaki będzie – uważam za niepotrzebne uprzedzanie faktów. Tą drogą Litwa też jakby z góry zraża i odtrąca od siebie tych, którzy się w tym Sejmie mogą znaleźć. Sam jestem zdania, że przeszło 90 na 100 jest szans, że Sejm ten zwróci się przeciwko Litwie ku Polsce i nie łudzę się zbytnim optymizmem, ale nie są wykluczone i nieco inne kombinacje. Po co pluć zawczasu w studnię! Są w deklaracji i niektóre inne usterki, ale na ogół jest ona niezła.

18 grudnia, rok 1921, niedziela
Po długotrwałych suchych mrozach wczoraj mieliśmy zawiejkę, a dziś pełną odwilż. Utworzyła się gołoledź i ślizgota taka, że z Zielonej Góry, na której mieszkam, dostać się bez upadku do miasta jest prawie niepodobna. Wymaga to szczególnych kwalifikacji w sztuce akrobatycznej, których nie posiadam. Toteż nie odważyłem się iść do miasta, bo bojaźń ślizgoty jest moją słabą stroną. Spróbowałem rano wyjść, ale zaledwie wyszedłem za bramę, przeraziłem się na samą myśl zejścia z góry w dolinę kowieńską śródmieścia i wróciłem czym prędzej. Cały przeto dzień przesiedziałem w domu. Przez biedną Jadzię, która jest odważniejsza ode mnie, a zresztą ponieważ służy, więc biedaczka musi – sprowadziłem sobie z sądu kilka spraw i pracowałem nad wyrokami. Spodziewam się dziś przyjazdu Maryńki[683] z Bohdaniszek. Ma przyjechać dla dwóch spraw – dla wystarania się pozwolenia na sprzedaż „Cegielni” i dla wystarania się przepustki do Wilna. Co do przepustki – to spodziewam się, że otrzyma, co zaś do pozwolenia na sprzedaż, to wątpię, zwłaszcza w krótkim czasie, jak by pragnęła. Posłałem Jadzię na Maryńki spotkanie na dworzec kolejowy, a sam teraz czekam. Biedna Jadzia! Po ciemku w taką ślizgawicę – to prawdziwe tortury. Ale dziewczyna jest tak do Maryni przywiązana, że z największą radością pospieszyła na spotkanie.
Jadzia wróciła sama – Marynia nie przyjechała.
Oto jeszcze jeden tom dziennika zakończony.

---

[683] Römer Maria, Marynia, siostra Michała.